POLACY W KAZACHSTANIE

Kochanym Wnukom
Luli, Antkowi i Frankowi

Kazachstanie, kraju brzemienny
w wielowiekową historię, ty dobrze wiesz,
jak ważną i pilną sprawą jest pokój.
Z powodu twego położenia geograficznego
jesteś ziemią styczności i spotkania. Tutaj,
na tych bezkresnych stepach, spotykały się
i nadal spotykają w pokoju mężczyźni
i kobiety różnych narodowości, kultur i religii.
(…) Kazachstanie, obyś mógł z pomocą Bożą
wzrastać zjednoczony i solidarny!
To moje serdeczne życzenie, które ponawiam
powracając do tematu, który przyświecał całej
mojej wizycie: „kochajcie się wzajemnie!”

Papież Jan Paweł II
Astana, wrzesień 2001

ANTONI KUCZYŃSKI

POLACY W KAZACHSTANIE

ZESŁANIA – DZIEDZICTWO – NADZIEJE – POWROTY

Wydawnictwo
Kubajak
– 2014 –

Wydanie dofinansowane przez
Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Recenzenci:
Ks. prof. Franciszek M. Rosiński
Prof. Julian Zdzisław Winnicki
Prof. Zbigniew Wójcik

Opracowanie graficzne, projekt okładki:
Joanna Dzierzbicka

Opracowanie redakcyjne:
Przemysław Kubajak
Anna Kubajak

© Copyright by Wydawnictwo Kubajak
© Copyright by Antoni Kuczyński

ISBN 978-83-62501-20-5

Wydawnictwo „Kubajak”
pl. F. Kulczyckiego 2, 32-065 Krzeszowice
tel. 12 282 62 65; fax 12 282 10 86
e-mail: kubajak@kubajak.pl; www.kubajak.pl

Druk: Colonel 2014

SPIS TREŚCI

Przedmowa 9

Wstęp 13

CZĘŚĆ I. ZESŁANIA – DZIEDZICTWO – NADZIEJE – POWROTY . . . 25

1. Z najstarszych kronik 27
   - Migawki z historii Kazachstanu 27
   - Benedykt Polak – połowa XIII wieku 31
   - Podróż szlakami Benedykta Polaka w 2004 roku 38

2. Przełom XVIII/XIX wieku – zmagania o niepodległość 42
   - Konfederaci barscy 42
   - Następcy konfederatów barskich 52
   - Czas filomatów i filaretów 54
   - Czarni Bracia 57
   - Młodzi krożanie na zesłaniu 58

4. Powstanie listopadowe i okres popowstaniowy 63

5. Powstanie styczniowe i okres popowstaniowy 73

6. Zesłania w XX wieku 79
   - Polskie obwody autonomiczne w ZSRR 80
   - Antypolskie represje w ZSRR – lata 30. XX wieku 84
   - Przesiedlenia Polaków – lata 1935–1938 85

7. Zesłańcy z lat wojny 103
   - Deportacje – lata 1940–1941 105
   - Deportacyjne transporty 109
   - Pociągi ruszyły 112
   - Zesłańczy los 123
   - Serie wydawnicze poświęcone polskim zesłańcom 129
   - Układ Sikorski–Majski 130
   - Pogłos zesłań 133
   - Powojenne deportacje górników ze Śląska 137
   - Wojenne cmentarze 140

8. „Z tej biednej ziemi…” 142
   - Wędrujący księża 144
   - Kościół w stepie po wojnie 150
   - Wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II w Kazachstanie 161

CZĘŚĆ II. ANTOLOGIA. ZESŁAŃCZE POWIDOKI 167

Adam Suzin *Wycieczka w stepy* 168
Józef Kobyłecki *Miasta i stepy* 190
Adolf Januszkiewicz *Listy ze stepów* 201
Bronisław Zaleski *Stepy kirgiskie* 215
Aleksander Bem *Kirgiz i stepy* 238
Edward Ostrowski *Podróż przez stepy* 249
Jan Witort *Na weselu u Kazachów* 264

Bronisław Grąbczewski *W dolinie Wielkiego Ałtaju* 281
Władysław Bukowiński *Wspomnienia z Kazachstanu* 290
Kazimierz Burzyński *Wspomnienia z zesłania* 300
Marian Dziedzic *Z zesłania ku wolności* 311
Marian Mikołaj Jonkajtys *Na zesłaniu w Kazachstanie* 320
Halina Kierska *W kołchozie* 330
Józef Kuczyński *Z duszpasterską posługą* 342
Donat Poważyński *Zniewolone dzieciństwo* 355
Danuta Tęczarowska *W kołchozie Ak-Buzał* 365
Włodzimierz Złomanoff *„Zacząłem puchnąć z głodu”* 376
Paweł Zworski *Deportacja – zesłanie – powrót* 384

KAZACHSTAN W POEZJI POLSKICH ZESŁAŃCÓW 393

POECI XIX WIEKU 394

Tomasz Zan
Wygnaniec 395

Gustaw Zieliński
Odjazd 396
Do mojej myśli 397
Wiersz na pomięszkanie Adolfa J. 398
Step 399

POECI XX WIEKU 407

Marian Jonkajtys
Marsz Sybiraków 410
Saman 411
Piere-kati-pole 412

Stanisław Legeżyński
Chmury od Bałchaszu 413

Leopold Lewin
Sonet kazachstański 414
W Dżambule 414

Artur Międzyrzecki
Pieśni 415

Anna Rudawcowa
Do braci 416
Sybirska kołysanka 417
Powrót 417
Sen o Polsce 418

Halina Terlecka
Modlitwa w drodze na zesłanie 419
Nie chcę niczego 419
Step 420
Spowiedź Ojczyźnie 420

Aleksander Wat
Wierzby w Ałma-Acie 422

CZĘŚĆ III. ABY NIE ULEGLI ZAPOMNIENIU 423
Wstęp 425
1. Filomaci i Czarni Bracia 427
Tomasz Zan 427
Ks. Michał Zielonka 430
Adam Suzin 432
Jan Prosper Witkiewicz 433
Wiktor Iwaszkiewicz 436
2. W kręgu twórców kultury 437
Gustaw Zieliński – poetyckie strofy 437
Adolf Januszkiewicz – kazachski „Długosz” 451
Bronisław Zaleski – rysownik 456
Józef Kobyłecki 462
Aleksander Bem 462
3. W kręgu badaczy prawa zwyczajowego 464
Andrzej Szerszeniewicz 464
Karol Gutkowski, Czokan Walichanow i Hilary Gąsiewski 465
Józef Osmołowski 469
Seweryn Gross 473
Jan Witort 477
4. Zesłańcy styczniowi 485
3. XX wiek – Śladami pieśni akynów 488
Aleksander Zatajewicz – genialny badacz kazachskiego folkloru 488
4. Z lekarską posługą 497
Cezary Terajewicz 499
Ludwik Maciejewski 500
Adam Przegodzki i Wasyl Frunze 501
Inni lekarze i aptekarze 503
Lekarze weterynarii 505
Edward Ostrowski 507
5. Naukowe ekspedycje i prace inżynierskie 508
Wyprawa geologiczna Aleksego Butakowa i udział w niej Polaków 508
Ekspedycja badawcza – rejon Morza Kaspijskiego 510
Oficerowie polskiego pochodzenia w carskiej armii 511
Inni zasłużeni Polacy – geolodzy, badacze flory 513
6. „Zlituj się zlituj, nad ludem swym…” 521
Zakończenie. Przed dalszą drogą… 527
O książce 530
O Autorze 533

Słowniczek 534
Spis ilustracji 535
Indeks nazwisk 542

PRZEDMOWA

Ta ziemia do Polski należy
Choć Polska daleko jest stąd
Bo wolność krzyżami się mierzy
Historia ten jeden zna błąd.

autor: Feliks Konarski
Czerwone maki

Pisząc wstęp do książki Antoniego Kuczyńskiego, myślę o żołnierzach spod Monte Cassino. Nie tylko dlatego, że wielu z nich na tę drogę z sowieckiej Rosji przez Włochy do Polski wyruszyło właśnie z Kazachstanu. Także dlatego, że śpiewając „ta ziemia do Polski należy", myślimy o cmentarzu pod klasztorem na Monte Cassino, a myśląc o Kazachstanie oczyma wyobraźni, widzimy ogromny cmentarz, obejmujący niemal cały ten kraj. Cmentarz, na którym spoczywają tysiące naszych rodaków. I to rodaków, którzy nie mieli przywileju padnięcia w uczciwym boju, jak ci spod Monte Cassino, lecz zamęczonych, zmuszanych do walki w szeregach wrogiej armii, a nierzadko i zamordowanych przez katów – katów w mundurach bądź carskich, bądź sowieckich. Więc i „ta ziemia do Polski należy".

W powszechnej polskiej świadomości Kazachstan jest – wbrew faktom geograficznym – częścią zesłańczej Syberii. Zesłańcy, czy to idący w kajdanach, jadący w kibitkach czy wywożeni w towarowych wagonach, wiedzieli, że są zesłani na Syberię – zazwyczaj do końca nie wiedząc, dokąd konkretnie zostaną zawiezieni. A trafiali także do Kazachstanu. Na ogół wiadomo, jak taka wywózka wyglądała na ziemiach okupowanych przez Sowietów po 17 września 1939 roku. Nocne dobijanie się do drzwi, dobrze gdy dawano aż pół godziny czasu na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i odrobiny jedzenia, a potem wielodniowa podróż w wagonie towarowym. „Podróż" ludzi silnych – bo tylko tacy byli potrzebni do niewolniczej pracy. Zazwyczaj nie docierali tam starcy i dzieci. Umierali w deportacyjnych eszelonach, a straż pozostawiała zmarłych bez pogrzebu przy torach.

Często, gdy kończyła się ta makabryczna podróż i zesłańców pozostawiano gdzieś w kazachskim stepie – życie ratowała im życzliwa pomoc miejscowej ludności. Przyjmowano ich do jurt, dzielono się żywnością, której miejscowym też brakowało, uczono jak budować ziemianki, czyli – po prostu, jak żyć w tamtejszych warunkach. I to jest pokazanie tej ludzkiej twarzy Kazachów. O tym też pisze Kuczyński. Jego

książka przybliża ten problem, a perspektywa historyczna umiejętnie go wydobywa oraz pozwala poznać trudny los rodaków na tym poniewolnym szlaku.

Polscy zesłańcy z 1940 roku nie byli pierwszymi Polakami, którzy wbrew swej woli znaleźli się w kazachskim stepie. Spotykali tam zesłańców wywiezionych w roku 1936 z Marchlewszczyzny – polskiego obwodu na radzieckiej Ukrainie – przed którymi, za czasów carskich, zsyłano na kazachskie stepy powstańców listopadowych i styczniowych, a także młodzież, często prawie dzieci ze szkolnych i uniwersyteckich konspiracji, bądź winnych zbrodni czytania „nieodpowiednich" książek. Poprzedzali ich z kolei wzięci do niewoli przez Rosjan żołnierze napoleońscy i konfederaci barscy. A ci spotykali tam jeszcze ostatnich żołnierzy Leszczyńskiego. O nich wszystkich pisze zajmująco Kuczyński, a jego dzieło nie ma na celu epatowania narodową martyrologią. Przeciwnie – książka ta pokazuje przede wszystkim polską twarz Kazachstanu i potwierdza, że nawet ci zesłańcy, pozbawieni wszelkich praw, często zmuszani do służby w rosyjskiej armii, w której przyszło im występować przeciw walczącym o swą wolność Kazachom, wnieśli ogromne zasługi dla tego kraju.

Konfederat Karol Lubicz Chojecki pisze pierwsze ludoznawcze relacje z ziem kazachskich, Aleksander Zatajewicz opracowuje folklor tego ludu, filomata Adolf Januszkiewicz jest historykiem, którego zasługi dla Kazachstanu są porównywane z zasługami Jana Długosza dla Polski, a Bronisław Zaleski swe opisy życia Kazachów wzbogaca wspaniałymi rysunkami. Wśród zesłańców przewijają się tak znane nazwiska jak Adam Suzin, Tomasz Zan, czy Gustaw Zieliński. Już w roku 1847 ukazuje się pierwsza polska książka obszernie informująca o Kazachach (Józef Kobyłecki, *Wiadomości o Syberii i podróże w niej odbyte w latach 1831, 1832, 1833, 1834,* Warszawa 1847).

Polacy badali geografię Kazachstanu, polscy lekarze zwalczali choroby w kazachskich aułach, polscy geolodzy poszukiwali tamtejszych bogactw mineralnych. Wprawdzie wówczas prace te były robione na zlecenie rządu rosyjskiego, lecz dziś odkrycia polskich zesłańców służą wolnemu Kazachstanowi.

A za zesłańcami, tak tymi dawnymi, jak i tymi, którzy jeszcze do niedawna nie mogli opuścić radzieckiego Kazachstanu, szli polscy księża. Księża – bohaterowie, którzy mimo prześladowań pełnili duszpasterską służbę, za co byli więzieni w sowieckich łagrach. Należeli do nich Władysław Bukowiński, Tadeusz Fedorowicz, Albin Janocha, Józef Kuczyński, Paweł Welik, Adam Wróbel i inni niezmordowani duszpasterze tego misyjnego szlaku wiodącego przez kraj, w którym za sowieckich włodarzy powszechna była ateizacja.

Dziękował im za ten trud Jan Paweł II podczas podróży apostolskiej do Kazachstanu w 2001 roku, wspominając księdza Władysława Bukowińskiego, a w rozważaniach przed modlitwą Anioł Pański, pozdrawiając rodaków mieszkających w Kazachstanie, powiedział: „Z wielką radością patrzę na was i Bogu dziękuję, że dane mi jest być pośród was. Zawsze żywo interesowałem się waszym losem. Wiele mi mówił o was niezapomniany ks. Władysław Bukowiński, którego wielokrotnie

spotykałem i zawsze podziwiałem za kapłańską wierność i apostolski zapał. Był szczególnie związany z Karagandą, ale opowiadał mi o życiu was wszystkich.

Pragnę was zapewnić, że nigdy nie byliście zapomniani w moim sercu. Codziennie w modlitwie zawierzałem was i cały Kościół w Kazachstanie dobroci Boga" („L'Osservatore Romano", 11–12.2001).

„Ta ziemia do Polski należy" nie tylko z powodu tysięcy polskich mogił. Polacy z jak najlepszej strony weszli w historię Kazachstanu, przyczynili się do rozwoju tego kraju. Prace polskich zesłańców są częścią naszego dziedzictwa kulturowego, mogą być przyczyną naszej dumy narodowej. Złożona tematycznie faktografia książki budzi szacunek wobec dziedzictwa, jakie pozostało po Polakach w tym kraju, dotyczące etnograficznych opisów kazachskiej kultury czy rozpoznania zasobów mineralnych tej ziemi oraz ich eksploatacji. Książka jest pierwszą tak obszerną publikacją o tym i przyczynia się do wzbogacenia rodzimej historii nauki oraz tradycji narodowej związanej z pracą na obczyźnie.

Antoni Kuczyński, etnograf i historyk nauki, napisał książkę z pogranicza historii, geografii i antropologii kulturowej. Nie jest on tylko teoretykiem, jest badaczem terenowym i prowadził eksploracje naukowe w wielu rejonach postsowieckiej Azji, bywał w Jakucji, na Sachalinie i we Władywostoku, Tomsku i Omsku. Przez wiele lat był nauczycielem akademickim na Uniwersytecie Wrocławskim i Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Zna ludzi, zna ich problemy, zna historię ziemi, której poświęcił tę książkę, zna, ponieważ bywał w Kazachstanie jako etnograf, a zarazem jako działacz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" oraz Związku Sybiraków, animując różne formy pomocy dla mieszkających tam Polaków w zakresie przyjazdu do kraju przodków oraz wspomagając ich tu w Ojczyźnie, gdy już w niej zamieszkali. I choć główna część pracy Kuczyńskiego, czerpiąca z wielorakich źródeł, pozwala na poznanie historii kontaktów polsko-kazachskich, ubogaca ją jeszcze antologia obszernych relacji z XIX i XX wieku ukazujących różne oblicza Kazachstanu.

W tym właśnie przejawia się poznawcza rola lektury osobistego dokumentu, w którym faktografia biegnie po linii życiowych doświadczeń autora. Fakt, że dotychczas nie istniały takie antologiczne zbiory, każe uznać uwzględnienie ich w książce za nowe otwarcie do badań nad dziejami Polaków w Kazachstanie. Słowem tego typu relacje są ważnym materiałem służącym poznaniu kultury Kazachów i ich współżycia w relacji swój–obcy. Co więcej, uważny czytelnik tych relacji znajdzie w nich pełniejszy wyraz tego zagadnienia.

I jeszcze jeden problem, nasuwający się przy uważnym czytaniu książki Kuczyńskiego. Mimo odległości i mimo różnic kulturalnych, religijnych i językowych, Polska i Kazachstan mają parę cech wspólnych: wiele lat panowania obcego mocarstwa, wrogiego tradycyjnej kulturze podbitej społeczności, starającego się o złamanie jej i o zamienienie zagarniętego kraju w kolonię, a wolnych ludzi w bezmyślnych niewolników. Nie jest łatwe otrząśniecie się z tego położenia, otrząśnięcie nie tylko polityczne (oba kraje są dziś niepodległymi państwami), lecz przede

wszystkim mentalne. I to odrodzenie mentalne musi dotyczyć nie tylko zwykłych obywateli, lecz zwłaszcza tych, którzy tworzą elitę narodową. Nie jest to droga łatwa – czasem umożliwia ją poznanie, jak inni tę drogę przebyli. Zwłaszcza jeśli ci inni nie są całkiem obcy, jeśli dzieli się z nimi część własnej historii. Wtedy tym bardziej ich poznać trzeba.

Książka Antoniego Kuczyńskiego ukazuje nam, jak stosunki polsko-kazachskie rozwijały się w Kazachstanie, jak Kazachowie wpływali na życie tamtejszych Polaków, a jak Polacy wpływali na życie tego kraju. Pokazuje to nam, Polakom. Jakże chętnie widzielibyśmy jej drugą edycję – wydaną w języku kazachskim, by i Kazachowie mogli poznać ten fragment naszej wspólnej historii.

Czasy się zmieniają, dziś Kazachstan jest niepodległym państwem. W książce Kuczyńskiego parokrotnie wypowiada się ambasador Kazachstanu w Warszawie. Do dziś w Kazachstanie, jako wolni obywatele tego kraju, żyją potomkowie polskich zesłańców. Dla wielu z nich polskość jest już jedynie wspomnieniem. Wiedzą, że są Polakami – ale ich domem rodzinnym jest Kazachstan. Tu się urodzili, tu chcą żyć. Wielu z nich chciałoby jednak przybyć na stałe do Polski. Reemigrować – w tym dawnym, niezepsutym przez komunistyczną politykę określeniu – do kraju. Do kraju przodków!

Nie jest to jednak łatwe. Osobiście poznałem ich problemy w czasie moich etnograficznych wędrówek po postradzieckiej Azji – i wiem, że prywatne wysiłki kilkudziesięciu osób (a Antoni Kuczyński do nich należy) mogą pomóc tylko kilku, najwyżej kilkunastu czy kilkudziesięciu osobom. A na przyjazd do Polski czeka kilkadziesiąt tysięcy.

Tu powinno włączyć się państwo, bez pomocy państwa idea powrotu kazachskiej Polonii do Polski nie może zostać zrealizowana. Niestety – chęci na tę pomoc nie widać. Może i dlatego tę książkę warto czytać i podziękować Autorowi, że ją napisał.

Janusz Kamocki

WSTĘP

> Polacy w kraju dopiero stopniowo odkrywają prawdę o bytowaniu w Kazachstanie zapomnianych rodaków. Prawda to niezwykle trudna. Zaskakiwało, że w odległym Kazachstanie, w skrajnie trudnych warunkach politycznych i materialnych, ostały się niewielkie grupy Polaków, które nie wynarodowiły się, pomimo nieraz zewnętrznie przybranego obcego poloru kulturowego. Jakże często dostrzegano, że wiedza, jaką dzisiaj dysponujemy o tej społeczności, nie jest wystarczająca, aby móc w sposób odpowiedzialny podejmować trudne przecież decyzje, których skutki będą ciążyły na losach tej grupy przez wiele lat. Można było dostrzec, jak cząstkowa i fragmentaryczna jest nasza wiedza dzisiaj o skupiskach polskich w Kazachstanie, począwszy od ustalenia ich liczebności, rozmieszczenia, przez ocenę ich statusu prawnego, stanu materialnego, charakterystykę ich kultury społecznej, aż do oceny postaw, dążeń i mentalności. Niewiele mogliśmy powiedzieć o ich aktywności publicznej, narodowej, o miejscu współczesnej społeczności polskiej w życiu tego kraju[1].

– pisał przed laty Wojciech Wrzesiński w przedmowie do książki pt. *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność* (1996), będącej plonem międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego wspólnie z Zarządem Krajowym Stowarzyszenia „Wspólnota Polska".

Podkreślił on, że dzięki temu spotkaniu historyków, etnologów i językoznawców można już obecnie więcej powiedzieć o losach Polaków w tym kraju. Jeszcze do niedawna pisanie o zesłaniach Polaków do Kazachstanu pozostawało na poboczach polskiej historiografii.

W tym złożonym faktograficznie problemie polskiej obecności w Kazachstanie kryje się wiele nierozszyfrowanych jeszcze tajemnic, które obok dokumentacyjnych znaczeń sublimują się w świat emocji. Przyglądając się temu rozległemu problemowi, można dostrzec w nim wyraźnie istnienie pewnych ciągów tematycznych – mających charakter zesłań, dziedzictwa i powrotów „pod ojczysty dach"!

---

[1] W. Wrzesiński, *Przedmowa,* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, pod red. S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1996, s. 12.

Zesłańcze losy Polaków

Najczęściej powtarzającym się słowem kluczem związanym z problematyką związków polsko-kazachskich były i są zesłania. Dotyczą one różnych poziomów historycznych, doświadczeń wypełniających te dzieje.

W książce W. Djakowa i G. Sapargalijewa poświęconej dziejom Polaków w XIX-wiecznym Kazachstanie, napisano, że często byli oni skazywani na katorgę lub, jeszcze częściej, na służbę żołnierską w twierdzach. Nie wszyscy wytrzymywali roboty katorżnicze. Również życie w twierdzach, dokąd zsyłano Polaków skazanych na służbę w żołnierskich szeregach, było podobne do katorgi. Za pomocą niekończącej się musztry i nieustannych drobnych szykan osiągano jeden cel – pozbawienie więźnia możliwości myślenia o czymkolwiek poza perspektywą wielu lat służby. Po odbyciu kary zesłaniec był skazywany na przymusowe osiedlenie. Mógł podjąć wówczas pracę, ale tylko w wyznaczonym miejscu, np. w jakimś rejonie Kazachstanu czy Syberii.

Temat służby w twierdzach opisuje Walerian Staniszewski:

> Od chwili włożenia szarego szynela, człowiek zmieniał się w istotę, która musiała wyrzec się swej woli, myśli, uczuć, a poruszać się mogła tylko w takt bębna i piszczałki, jak ów powiedział. Od chwili przybycia na miejsce przeznaczenia zamykano braci naszych w brudnych i smrodliwych koszarach, z których nie wolno było nawet na chwilę wydalić się bez pozwolenia gefrejtera, kaprala lub feldfebla. Wydalenie się za mury fortecy lub za rogatki miasta, choćby tylko dla użycia przechadzki na świeżym powietrzu, było połączone z wielkimi trudnościami. Zwyczajny nawet sołdat wydalając się za miasto musiał uzyskać pozwolenie dowódcy kompanii. My zaś, co byliśmy zesłani w sołdaty za karę, zostawaliśmy pod szczególnym i ścisłym dozorem, a z tego powodu wydalenie się nasze za obręb miasta zależało już od pozwolenia dowódcy batalionu[2].

Pierwszym dozorcą zesłanego był podoficer z dziesiątki, następnie sierżant, który regularnie składał raporty dowódcy o jego zachowaniu. Te raporty były kierowane do dowódcy batalionu, stamtąd – do sztabu korpusu, gubernatora, a następnie do III Oddziału Jego Cesarskiej Wysokości. Cesarzowi meldowano o miejscu służby każdego „politycznego przestępcy" i bez jego wiedzy żaden z nich nie mógł być awansowany nawet do stopnia podoficera[3]. Za nieznaczne naruszenie dyscypliny wojskowej wydłużano lata służby liniowej, dodatkowo zaś winni byli nieraz poddawani karze chłosty.

Opisy takich egzekucji są realistyczne i dają ponury obraz kaźni. Przy dużej liczbie uderzeń ofiara traciła przytomność i lekarz kazał przerywać egzekucję. Gdy żołnierz wracał do zdrowia, ponownie kierowano go pod rózgi, by wymierzyć mu wcześniej orzeczoną liczbę uderzeń. Nieraz okrutne wymierzanie kary kończyło

---

2 W. Staniszewski, *Pamiętniki więźnia stanu i zesłańca*. Tekst do druku przygotowali A. Gałkowski i W. Śliwowska. Posłowiem i przypisami opatrzyła W. Śliwowska, Warszawa 1994, s. 263.

3 G. Sapargalijew, W. Djakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, Warszawa 1982, s. 32.

się śmiercią. Tę formę kary zastosowano np. wobec Józefa lub Aleksandra **Lewandowskiego,** uczestnika powstania listopadowego, który trafił do niewoli pod Hrubieszowem i został wcielony do Korpusu Orenburskiego. Szykany i połajanki, które go spotkały ze strony oficera rosyjskiego, sprawiły, iż uderzył go w twarz. Dowodzący tym korpusem gen. Wasyl Perowski skazał go w marcu 1835 roku na karę 3 tysięcy kijów, czyli chłosty. Zmarł w czasie egzekucji, co wywołało szeroki rezonans wśród zesłańców, a na łamach wydawanego w Londynie emigracyjnego „Republikanina" (1837, nr 5 z 13 kwietnia) ukazał się specjalny artykuł obnażający bezwzględność rosyjskiego systemu represji[4]. *Śmierć pod kijami Lewandowskiego* – tak zatytuował J. Gordon opis śmiertelnej kaźni tego zesłańca:

> Ziomek nasz na widok uszykowanych w długą ulicę katów, ulicę mąk, którą przebyć musiał, wydał okrzyk, potem przeżegnał się i obnażył swe plecy.
> Audytor przeczytał mu wyrok.
> Przywiązano mu ręce do karabina, dwaj sołdaci pociągnęli za karabin i powlekli go między szeregi; w bębny uderzono aby zagłuszyć jęki – i grad pałek posypał się z prawej i lewej strony po ciele ofiary.
> Mdło mi się robi gdy tę kartę kreślę...
> Lewandowski był skazany sądem doraźnym na trzy tysiące razów.
> Gdy który z żołnierzy (a byli tam i Polacy) uczuł politowanie na widok krwi po nim ściekającej, i nie śmiąc go uderzyć, dotknął tylko dla zadośćuczynienia formalności, dozorca jenerał czynił mu kredą znak z tyłu na kołnierzu, aby po skończonej egzekucyi mógł go snadniej znaleźć i obiczować za nieposłuszeństwo w biczowaniu bliźniego.
> Kilka razy zdawało się, że życie uleciało z ofiary, ale znowu gdy pałka trafiła na świeży nerw, wydobywały się z jej piersi jęki przeraźliwe. Gdy Lewandowski upadał, lekarz podchodził do niego z flaszeczką i przytykał do ust i do nosa; a gdy całkiem z sił opadł i nie mógł się utrzymać na nogach, przywiązano go przygotowanego na ten cel wózka, i ciagnięto dalej – dopóki nie uderzono na pół martwe i pokaleczone zwłoki razy tyle, ile potrzeba było do zupełnego spełnienia morderczego przykazu. […]
> Posiekane na zrazy ciało ś.p. Lewandowskiego, z wystającemi zeń kośćmi, przywieziono do szpitala i zamknięto w sali aresztanckiej. W ciele jeszcze się duch kołotał. Więźniowie biegli z pomocą nieszczęśliwemu, cucili go i smarowali rany oliwą, aby ulżyć boleści. Ale całe ciało przedstawiało jedną wielką ranę. […]
> – już dusza jego uleciała do niebios, zostawiając szatanom jego ziemską skorupę. […]
> Na czarnym zaś krzyżu na mogile, nieznana ręka odnawia zawsze jeden i ten sam napis, słowa zbrodni i męczeństwa:
> „Pokojnik Lewandowski, Ubijca Perowski". […]

---

4 W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik Biograficzny,* Warszawa 1998, s. 331.

Zasługi Polaków dla rozwoju Kazachstanu

Wielkie zasługi wnieśli Polacy-zesłańcy uwolnieni z katorgi, rot aresztanckich w twierdzach, służby w wojsku, będący na przymusowym osiedleniu w Kazachstanie. Mimo że byli zesłańcami, ich wiedzę i kwalifikacje chętnie wykorzystywano. Wielu z nich bardzo dużo wniosło do kultury, gospodarki kazachskiej. Polacy byli pionierami w wielu dziedzinach życia Kazachstanu. Uczestniczyli w ekspedycjach naukowych, poznawali azjatyckie języki, badali kulturę, zwyczaje tamtejszych ludów. Nawiązywali przyjazne kontakty z Kazachami.

By pełniej zarysować przestrzeń poznawczą i interpretacyjną, wspomnieć trzeba również o tym, iż **bywało nieraz i tak, że Polacy udawali się do tego kraju dobrowolnie.** Zawsze jednak ich obecność tam wynikała z wielorakich czynników będących skutkiem zaborów i braku niepodległości oraz dotkliwych restrykcji, również ekonomicznych, jakie np. nastąpiły po powstaniach listopadowym i styczniowym. Wyjeżdżali też do tego stepowego kraju Polacy, absolwenci wyższych uczelni cywilnych i wojskowych z terenu Imperium Rosyjskiego. Pracowali tam, zmagając się z losem we wszelkich jego odmianach – materialnych, społecznych czy politycznych. Niektórzy zapisali się w dziejach poznania kultury kazachskiego ludu i ich kraju oraz w różnych dziedzinach jego życia – administracyjnego, oświatowego czy gospodarczego. Byli to inżynierowie, lekarze, oficerowie.

Wielu spośród nich zapisało się na kartach historii tej krainy, niosąc np. pomoc tubylczej ludności podczas epidemii malarii, cholery oraz w innych chorobach. Byli też pionierami w wytyczaniu szlaków komunikacyjnych, organizatorami żeglugi, pracowali w miejscowej administracji, nieraz nawet na eksponowanych stanowiskach, budowali twierdze, przystanie wodne, prowadzili obserwacje o charakterze etnograficznym i brali udział w ekspedycjach geologicznych. Wiemy dokładnie, że tak było, ale ze względu na skąpość źródeł i aktualny stan badań nie możemy na tym etapie ustalić, ilu naszych rodaków za czasów carskiej Rosji związało się dobrowolnie z Kazachstanem.

Dodatkowo pod koniec XIX stulecia i na początku wieku XX, w ramach tzw. reformy stołypinowskiej w Rosji, z Królestwa Polskiego wyjeżdżali za Ural i w inne rejony Imperium **chłopi**, którym doskwierał głód ziemi. Spora ich część osiedliła się na terenie Zachodniej Syberii oraz w północnym Kazachstanie, np. w ówczesnej guberni omskiej, w rejonie iszymskim, ale byli i tacy, którzy zasiedlili Kraj Orenburski czy okolice Semipałatyńska.

Tak więc polscy dobrowolni przybysze do Kazachstanu, przede wszystkim ci z okresu reformy stołypinowskiej, osiągali tam często zadowalający status materialny i powszechne uznanie. Zwłaszcza ludność rolnicza, która w ramach tych reform przybyła na teren Syberii Zachodniej i osiadła częściowo w północnych rejonach dzisiejszego Kazachstanu, wniosła w gospodarkę agrarną tych ziem nowe formy uprawiania roli, rozwinęła sadownictwo i warzywnictwo oraz przyczyniła się do wzrostu pogłowia zwierząt hodowlanych, będących podstawą bytu dla wielu rodzin. Tutaj należy wspomnieć, że na terenie Kazachstanu nie powstawały wówczas

zwarte skupiska tej ludności, tak jak np. na Syberii, gdzie znajdowały się choćby takie polskie wioski, jak Biełostok (Białystok) opodal Tomska[5] czy Wierszyna[6] w okolicach Irkucka.

Ręka polskiego siewcy i oracza dała północnym rejonom kazachstańskiej ziemi mocne podstawy rozwoju tego kraju, zwłaszcza pod koniec XIX i na początku XX stulecia. Nie wiemy, ilu z nich zdecydowało się na powrót do kraju po zmianie ustroju w Imperium Rosyjskim w wyniku rewolucji październikowej oraz nieco później na mocy porozumień polsko-radzieckich o repatriacji po zawarciu pokojowego traktatu w Rydze w 1921 roku, który kończył wojnę polsko-sowiecką z lat 1919–1920. Do 1926 roku w Kazachskiej ASSR było 1807 obywateli narodowości polskiej, 1112 osób mieszkało w miastach, natomiast 695 osób na wsi. Najliczniejsze grupy Polaków znajdowały się wówczas w obwodach: semipałatyńskim (706), aktiubińskim (587), kustanajskim (302) i akmolińskim[7]. Byli to zapewne dawni dobrowolni przybysze w te rejony, związani z nimi pracą zawodową, posiadający tu gospodarstwa rolne, warsztaty rzemieślnicze, często pozostający w mieszanych polsko-rosyjskich związkach małżeńskich itp. Niektórzy z nich nie skorzystali z szansy repatriacji. Pozostali w Kazachstanie, bo to była już ich ziemia, tu chcieli żyć i pracować.

Lata 30. XX wieku tzw. wielkiego terroru w ZSRR spowodowały, że okrutnie ich represjonowano, wielu straciło życie w łagrach lub zostało rozstrzelanych. Na terenie Syberii zginęło wówczas w ten sposób wielu mieszkańców polskich wsi, np. we wspomnianym już Białymstoku (ros. Biełostok) opodal Tomska, Wierszynie w rejonie Irkucka, Wilejce w Kraju Krasnojarskim – to samo było w miastach, ba, nawet na dalekiej Kamczatce i na Sachalinie.

Pierwszy naród ukarany

Zesłańczy los dotknął także polską mniejszość we wschodniej części Ukrainy Radzieckiej, skąd w 1936 roku przesiedlono do Kazachstanu około 60 tysięcy Polaków. Mimo iż ostatnio ukazało się nieco publikacji na ten temat i dość

---

5 W. Haniewicz, *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*, Pelplin 2008.

6 A. Wiśniewska, *Proces kształtowania się i rozwoju tożsamości etnicznej mieszkańców Wierszyny (Syberia Środkowa)*, „Etnografia Polska", t. XLIV, z. 1–2, 2000; M. Głuszkowski, *Z wizytą u potomków polskich osadników w Wierszynie*, „Zesłaniec", nr 41, 2009, s. 15–28.

7 *Z dziejów Polaków w Kazachstanie 1936–1956. Zbiór dokumentów z Archiwum Prezydenta Republiki Kazachstanu*, Warszawa 2006, s. 7 (materiały do książki zebrali: J.M. Gribanowa, A.S. Zułkaszewa, M.U. Maskiejew). Pierwotnie książka ta ukazała się po rosyjsku w roku 2000 w Ałmaty. Jej twórcy otrzymali w roku 2001 prestiżową nagrodę kwartalnika „Przegląd Wschodni", wydawanego przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Wydanie polskie poprzedzone jest notami wstępnymi Bogdana Borusewicza, Marszałka Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, oraz Aleksieja Wołkowa, Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Republiki Kazachstan w Rzeczypospolitej Polskiej; M.A. Koprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani za polskość,* Biały Dunajec–Ostróg 2014.

powszechnie rezonuje on medialnie, to jak dotąd nie został szerzej opracowany, a to, co już zdołano napisać, nie wyczerpuje tematu.

Jedną z akcji podczas likwidacji Marchlewszczyzny w 1937 roku, niewyobrażalnie tragiczną i okrutną, opisał naoczny świadek Jan Sinicki ze wsi Czarny Bór na Ukrainie:

> Oddział NKWD otoczył naszą wieś w nocy i od wczesnego ranka rozpoczęła się intensywna praca selekcyjna. Całą ludność we wsi podzielono na trzy grupy: pierwsza – mężczyźni (których na podstawie doraźnych sądów „trójki" w większości natychmiast rozstrzeliwano w pobliskim lasku), druga – kobiety z małymi dziećmi (kierowano je na wysiedlenie do obwodu kokczetawskiego w Kazachstanie) i trzecia – dzieci powyżej 10 lat (kierowano je do tzw. dietdomów – sierocińców – w celu wychowania na oddanych władzy radzieckiej patriotów ZSRR i całkowitego izolowania od jakichkolwiek związków z polskością)[8].

Kolejne wielkie zsyłki miały miejsce w okresie drugiej wojny światowej, po zajęciu terenów wschodnich naszego kraju przez Armię Czerwoną w 1939 roku. Wówczas, podczas czterech masowych deportacji w latach 1940–1941, wywieziono w głąb ZSRR, a więc i na teren dzisiejszego Kazachstanu, setki tysięcy obywateli Rzeczypospolitej[9]. Tym razem na zesłanie poszli nie bojownicy o wolność, jak to było w XIX wieku, ale kobiety, starcy, dzieci.

Wędrujący księża

Na szczególną pamięć zasługuje martyrologium kapłanów w łagrach syberyjskich czy innych na terenie Związku Radzieckiego
Jan Paweł II, *Dar i Tajemnica*

Po rewolucji październikowej i tworzeniu nowego systemu politycznego w Rosji uwidoczniła się wyraźnie działalność antyreligijna. Zaznaczyło się to wrogim stosunkiem do religijności i przybrało różne formy propagandowe, które dotknęły szerokie rzesze społeczeństwa. Nade wszystko zaś skutecznie nękano wówczas duchowieństwo. Podważano w oczach wiernych autorytet Kościoła. Oskarżano księży o szpiegostwo, osłabianie władzy sowieckiej, działalność kontrrewolucyjną i sprzeciwianie się kolektywizacji. Organizowano antykościelne wiece, oczerniano w prasie Kościół i księży. A wszystko w myśl głośnego sloganu: „religia to opium dla ludu". Dla wielu duchownych skończyło się to tragicznie. Izolowano ich od społeczeństwa, osadzano w łagrach, więzieniach i rozstrzeliwano.

W 1928 roku utworzono na wyspie Anzer na Morzu Białym specjalny łagier dla duchowieństwa prawosławnego i katolickiego. Z czasem więziono ich na Wyspach Sołowieckich oraz w łagrach na Syberii i w Kazachstanie. Normą było, że po wyj-

---

8 M. Iwanow, *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim, 1921–1939*, Warszawa–Wrocław 1991, s. 372.

9 S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie 1940–1946. Zesłańcy lat wojny*, Warszawa 1996.

ściu z łagrów księżom nie wolno było powrócić do dawnych miejsc zamieszkania oraz doświadczali oni kolejnych represji, mających nierzadko charakter ponownego uwięzienia. Tej szeroko zakrojonej walce z Kościołem i duchowieństwem, towarzyszyło niszczenie cerkwi, kościołów, kaplic. Często przeznaczano je na magazyny, sklepy, sale kinowe i koncertowe, archiwa, biblioteki, kluby garnizonowe dla oficerów, domy pioniera itp.

Rozmach „operacji" antyreligijnej nasilił się w latach trzydziestych XX stulecia. Wówczas zamknięto wiele świątyń katolickich w różnych rejonach Związku Radzieckiego – na Syberii, Dalekim Wschodzie oraz Azji Środkowej. Wtedy też zamilkły modlitwy i śpiewy w kościołach Kazachstanu – w Ałma-Acie, Kustanaju, Pietropawłowsku, Semipałatyńsku, wzniesionych tam w XIX wieku. Nie było już kościołów, a na zesłanie trafiali do Kazachstanu katoliccy księża, nie tylko polskiej narodowości.

W tę trwającą wiele lat ponurą noc ateizacji trafił ksiądz **Bolesław Blechman**, który przed 1917 rokiem był kapelanem i dziekanem kapelanów w Kijowie, a potem pracował tam jako duszpasterz parafialny. Dwukrotnie więziony, ostatecznie został rozstrzelany. Do łagrów na terenie Kazachstanu zesłano wówczas księży: **Romana Jankowskiego, Józefa Krummela, Aleksandra Karola Łupinowicza, Franciszka Wyleżyńskiego, Jana Wersockiego**.

Przebywał też tam **ks. Paweł Welik**. Oskarżono go o to, że sprzeciwiał się „proletariackiej dyktaturze" i organizował na „przygranicznych obszarach kontrrewolucyjne i faszystowskie grupy", z którymi prowadził wrogą działalność zmierzającą do osłabienia władzy radzieckiej. Aresztowano go w Nowogrodzie Wołyńskim w 1935 roku i skazano na 5 lat łagrów w Kazachstanie. Po zwolnieniu nielegalnie wrócił na Ukrainę i zamieszkał w Żytomierzu, w domu należącym do działającego w ukryciu Zgromadzenia Sióstr Sług Jezusa. Nie długo jednak cieszył się wolnością. Aresztowany ponownie (1940), skazany został na śmierć. Wyrok zamieniono na 10 lat łagrów w Kazachstanie. Zmarł tam w 1942 roku. Pochowany został na łagrowym cmentarzu, gdzie obecnie znajduje się osada Iljiczowka opodal Karagandy[10]. A po nich znaleźli się tam księża zesłani w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu.

Księża, osaczeni łagrową codziennością, bynajmniej nie wyzbywali się duszpasterskiej posługi i sami idąc na spotkanie z Bogiem, wytyczali ten szlak innym łagiernikom słuchając zwierzeń, spowiedzi i udzielając błogosławieństwa. Takich przykładów szczególnego czasu, miejsca i wydarzeń spotkać można w relacjach wielu księży, których los skazał nas pobyt w Kazachstanie i na Syberii. Podczas zesłańczego życia przemieszczanie się z posługą duszpasterską między jego szczelinami okupione było trudem i niebezpieczeństwem. Towarzyszyła im jednak świadomość potrzeby duchowej oczekiwanej przez ludzi, którzy przez wiele lat pozbawieni byli kontaktów z księżmi i Kościołem.

---

[10] R. Dzwonkowski, *Losy duchowieństwa katolickiego w ZSRR – 1917–1939,* Lublin 1998, s. 259–265, 305, 337–338, 510–514, 524–525.

Ks. Józef Kuczyński w swej książce *Między parafią a łagrem* pisał na temat swojej posługi kapłańskiej w latach 1956–1958 w Kazachstanie, dokąd zdecydował się pojechać po zwolnieniu z łagru w Workucie. Po kolejnym aresztowaniu w 1958 roku zastąpił go o. Serafin Kaszuba.

> Wyjeżdżając z Workuty byłem już zdecydowany, że pojadę do Kazachstanu. […] Okolice Taińczy to rejon trosmaryniński, czkałowski i kelerowski, gdzie w 26 osiedlach mieszkali Polacy. W każdym osiedlu mogło być około 300 domów, tak że było około dwudziestu kilku tysięcy ludzi, którzy przetrwali w wierze pomimo, że przez 20 lat nie widzieli kapłana. […]
> Gdy przystąpiłem w Taińczy do pracy, ludzie zaczęli garnąć się do kościoła ze wszystkich stron. Przyjeżdżali z odległości 40, 60 i 80 kilometrów na pudłach samochodów ciężarowych, nawet wśród upałów i zamieci piaskowej, a w zimie w mróz i śnieg – ciepło odziani.
> Pracowałem tam w warunkach nadzwyczaj ciężkich: wyjazdy były trudne, trzeba było nieraz jechać 50 km do chorego, latem panowały upały do 40°, a zimą mrozy do –40°, a nade wszystko byłem w ciągłym strachu, że coś się może stać[11].

Pamiętajmy o Polakach w Kazachstanie

W Kazachstanie żyje liczna polska diaspora powstała w wyniku deportacji w 1936 roku ze wschodnich obszarów radzieckiej Ukrainy i w mniejszym stopniu Białorusi. Po I wojnie światowej część ziem dawnej Rzeczypospolitej, na której mieszkali, pozostała poza granicami niepodległej Polski. W czasach władzy sowieckiej dotknęły ich różne formy represji, które trudno zamknąć w jednym szerokim określeniu zwanym sowietyzacją. Mechanizm jej działania łączył się z ateizacją i tłumieniem wszelkich form polskości, dramatami rodzin wstrząśniętych rozstrzelaniem najbliższych, zesłaniami do łagrów, wreszcie deportacją do Kazachstanu w 1936 roku. Zostali więc oni skrzywdzeni kilkakrotnie, a na domiar złego nie mogli wrócić do Polski, gdyż byli obywatelami Związku Radzieckiego. Teraz, kiedy powstał niepodległy Kazachstan, byłoby to możliwe, ale kolejne rządy w Polsce nie podjęły odpowiednich i skoordynowanych działań.

Obecnie toczą się, najczęściej publicystyczne, debaty na temat powrotu Polaków z Kazachstanu do Macierzy, roznamiętnione i niejednokrotnie zaciemniające ostrość postrzegania tego problemu. Taką sytuację uznać należy za korzystną, gdyż pozwala na upublicznienie tego zagadnienia. Jednak aby umożliwić im powrót do Ojczyzny przodków, potrzebne są jednoznaczne uchwały państwowe. **A tymczasem, nie waham się stwierdzić, że Macierz jakby wyrzekła się naszych rodaków żyjących w tym odległym kraju.**

---

[11] ks. J. Kuczyński, *Między parafią a łagrem* (pisownia oryginalna), Paryż 1985, s. 68–69.

Związki polsko-kazachskie

Pierwszy polski ślad związany z Kazachstanem łączy się z udziałem wrocławskiego zakonnika Benedykta Polaka (Benedictus Polonus) w poselstwie papieża Innocentego IV do Mongolii w połowie XIII wieku.

Późniejsze spotkania naszych rodaków z Kazachstanem mają miejsce pod koniec XVIII wieku, gdy zesłańcza fala konfederatów barskich dotarła do Orenburga, a potem w XIX i XX stuleciu, gdy kraj ten, wchodzący w skład Imperium Rosyjskiego, był dla Polaków miejscem zesłańczej niewoli. Dla niewielu był też on miejscem dobrowolnej służby rządowej (wojskowej i cywilnej), po tym, jak kończyli studia w Rosji – a byli to lekarze, orientaliści, inżynierowie, sędziowie, pracownicy administracji i inni, którzy swoją pracą budowali gospodarkę Kazachstanu, a także stali się jego odkrywcami i badaczami.

Częstokroć łączyły ich z Kazachami przyjazne kontakty, co dawało im możliwość pełniejszego poznania kultury tego narodu. Wiadomo np., że nauczycielami **kazachskiego uczonego Czokana Walichanowa** był **Karol Gutkowski**, wykładowca geografii i geodezji w Syberyjskim Korpusie Kadetów w Omsku, oraz **Hilary Gąsiewski**, nauczyciel historii. Zachowały się źródłowe przekazy poświadczające jednoznacznie, że Walichanow cieszył się wielką sympatią ich obu, korzystał z ich księgozbioru, uczestniczył w dyskusjach, co nie pozostawało bez wpływu na ukształtowanie jego postępowych poglądów, dotyczących zapewnienia narodowi kazachskiemu warunków do rozwoju własnej kultury. Wykładowcą w omskim gimnazjum wojskowym był od roku 1872 **Bolesław Ściborski**, pełniący jednocześnie stanowisko kuratora szkół okregu akmolińskiego[12]. W ich wielorakich działaniach zawodowych można też odnaleźć troskę o los tego kraju i pragnienie poznania kultury jego mieszkańców.

Należy też wspomnieć o działalności o charakterze gospodarczym, inspirowanej dążeniami imperium rosyjskiego do rozpoznania zasobów naturalnych Kazachstanu.

Coraz częstsze przypominanie o pracy Polaków obejmującej wiele działań poznawczych, cywilizacyjnych oraz gospodarczych uczyni tę pamięć bardziej sprawiedliwą. Natomiast związki polsko-kazachskie mogą zostać wzbogacone o różne, jakże często dotychczas nierozpoznane elementy naszego dziedzictwa w tym kraju, ujawniając nieuchwytne oraz mniej znane dotąd więzi na płaszczyźnie etnograficznego poznania kazachskiej kultury, przyrody, posługi lekarskiej czy służby weterynaryjnej.

Powróćmy więc do wspomnianej wcześniej konstatacji o zesłańczych losach naszych rodaków w tym rozległym stepowym kraju. Ich obraz oddaje w jakimś stopniu obfita bibliografia autorstwa W. Galijewa, zatytułowana *Istorija Kazachstana. Dorewolucjonnyj pieriod. Bibliograficzeskij ukazatiel,* t. 1–2, Ałma-Ata 1988, stanowiąca kompetentny przegląd rosyjskojęzycznej literatury z tego zakresu,

---

[12] M. Stolarow, *Pamiati B. I. Sciborskogo*, „Ruskaja Starina", z marca 1900 r., s. 769–772.

w której są także tytuły związane z polskim wątkiem w historii Kazachstanu. Wspomnieć także należy o książce G. Sapargalijewa i W. Djakowa zatytułowanej *Obszczestwienno-politiczeskaja diejatielnost ssylnych Poliakow w dorewolucjonnom Kazachstanie*, Ałma-Ata 1971, której polska edycja pt. *Polacy w Kazachstanie w XIX w.* ukazała się w Warszawie w 1982 roku. Prezentuje ona wielość wątków polsko-kazachskich, w tym także obserwacje ludoznawcze i badania geograficzno-geologiczne Polaków oraz ich udział w różnych dziedzinach życia na rozległych przestrzeniach Kazachstanu.

Związki polsko-kazachskie stały się w ostatnim okresie przedmiotem dociekań historyków, socjologów i antropologów kultury, będąc pochodną zmian polityczno-społecznych w naszym kraju i związanym z tym otwarciem archiwów dotyczących zesłań i deportacji Polaków do Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu[13].

Najczęściej jednak powtarzającym się słowem kluczem związanym z tą problematyką były i są zesłania. Ostatnio coraz wyraźniej widać kierunek badawczy dostrzegający element naszego dziedzictwa naukowego i gospodarczego w tym stepowym kraju. Rozprawy historyczne, wspomnienia, artykuły publicystyczne i inne wielorakie przyczynki poświęcone tej tematyce otwierają wielopasmowy trakt dotyczący wkładu Polaków w poznanie kultury Kazachów, badań o charakterze przyrodniczym, działalności inżynierskiej, medycznej, gospodarczej i administracyjnej. Bywa nieraz i tak, że oprócz wartości poznawczych demistyfikują pewne wiadomości i korygują wcześniejsze niedokładności, które narosły wokół związków polsko-kazachskich.

Tak więc w tym sztambuchu historii związków polsko-kazachskich pojawia się wiele wątków faktograficznych, bo oto jest w nich „Kirgiz przyrosły do konia", „bogaty *bej* z kilkoma żonami", „pasterz wielbłądzich stad", odwieczny włodarz na tych stepach, informacja o polskich zesłańcach, czy wreszcie wzmianka

---

[13] G. Sapargalijew, W. Djakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX wieku,* Warszawa 1982; A. Kijas, *Polacy w Kazachstanie. Przeszłość i teraźniejszość,* Poznań 1993; *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność,* pod red. naukową S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1994; *W stepie dalekim. Polacy w Kazachstanie,* pod red. M. Gawęckiego i J. Jaskólskiego, Poznań – Ałmaty 1997; *Polska droga do Kazachstanu. Materiały z międzynarodowej konferencji naukowej. Żytomierz 12–14 października 1996 roku,* pod red. T. Kisielewskiego, Warszawa 1998; R. Wyszyński, *Polscy przesiedleńcy w Kazachstanie – polskość rezydualna,* [w:] E. Nowicka, *Polacy czy cudzoziemcy. Polacy za wschodnią granicą,* przy współudziale I. Kabzińskiej i R. Wyszyńskiego, Kraków 2000, s. 145–203, R. Badowski, *Polscy piewcy Kazachstanu,* Pelplin 2004; M.A. Koprowski, *Przez stepy Kazachstanu,* Katowice 2002; A. Kuczyński, *Gdzie step szeroki. Z dziejów związków polsko-kazachskich,* „Zesłaniec" Pismo Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków, nr 30, 2007, s. 37–84; nr 31, 2007, s. 33–70; nr 33, 2008, s. 33–54. Tekst opublikowany w „Zesłańcu" wszedł w skład obecnej książki, wzbogacony jednak został o nową faktografię umożliwiającą Czytelnikowi bardziej interesujące spotkanie z polską obecnością w tym stepowym kraju z czasów zaborów i sowieckiej dyktatury oraz w latach wielkiego przełomu po rozpadzie Związku Radzieckiego i powstania niepodległej Republiki Kazachstan. Zainteresowanie Czytelników opracowaniem opublikowanym w „Zesłańcu" legło u podstaw powstania tej książki traktującej o przeszłości i teraźniejszości naszych rodaków w Kazachstanie.

o stepowych przestrzeniach, gdzie latem panują „upały wielkie i znojne". Motyw kazachskich stepów przewija się wielokrotnie w polskich opisach o wielorakich skojarzeniach – etnograficznych, przyrodniczych, wolnościowych czy zesłańczych. Niezwykle interesujące są one w warstwie opisu przyrody i jej odbioru, zawierają głębokie pokłady emocji wynikających z zesłańczych doświadczeń. Dodajmy zarazem, że żywe one były w miejscowym folklorze, czyli w pieśniach *akynów*, w których wątki stepowe tworzyły interesującą mozaikę kulturową.

Dzieje Polaków w Kazachstanie są złożone i bogate, wpisują się z jednej strony w kanon zesłań, a z drugiej – dziedzictwa kulturowego, pozwalając pełniej poznać życie Polaków w tym kraju. W nurcie tzw. literatury zsyłkowej tematyka kazachstańska gości bardzo często, a bibliografia z tego zakresu staje się coraz obfitsza.

Ukazały się też, wprawdzie nieliczne, artykuły wskazujące na nasze związki z Kazachstanem, zwłaszcza w aspekcie dotyczącym wkładu Polaków w etnograficzne poznanie tego kraju. Także historycy kazachscy nie pomijają tego zagadnienia i odkrywają coraz nowe fakty dotyczące działalności Polaków i wpisujące się w historię, kulturę i religię mieszkańców Kazachstanu.

* * *

Proponując Czytelnikom autorską wizję dziejów Polaków w Kazachstanie, zesłań, dziedzictwa oraz ich nadziei na powrót do Macierzy, zdaję sobie sprawę, że w natłoku i nurcie różnych faktów historycznych dotyczących tego zagadnienia pominąłem zapewne wiele wątków związanych z naszą przeszłością w tym stepowym kraju oraz pełniejszą refleksją historyczną, kulturową i polityczną. Chciałbym jednak, aby faktografia zawarta w książce stanowiła drogę do jej ubogacenia przez innych autorów i zespolenia jej w ciągi tematyczne. Jeżeli do tego dodam luki w stanie badań i kłopoty z dotarciem do wielu źródeł, to w pełni mam świadomość, że niektóre z tego czteroczłonowego tytułu książki: „zesłania, dziedzictwo, nadzieje, powroty", nie zostały w pełni rozwinięte, a bywa nieraz, że zaledwie zasygnalizowane!

Książka składa się z trzech zasadniczych części. Pierwsza i trzecia zostały wyraźnie zaznaczone w ich podtytułach. Druga natomiast to zesłańcze powidoki Kazachstanu mające charakter antologii. Znalazły się w niej najstarsze opisy tego kraju o zróżnicowanych odniesieniach kulturowych dotyczących Kazachów, pozwalających Czytelnikowi zbliżyć się do nich oraz do różnych dziedzin ich życia – materialnego, społecznego i duchowego, w którym mocno zakorzenione były tradycyjne zwyczaje i obrzędy. Opisy te to rezultat intelektualnych i życiowych doświadczeń ich autorów, płynących z kontaktów z otoczeniem, krajobrazem i kulturą. Układ „Antologii" jest rezultatem przyjęcia reguł chronologicznych, zatem ostatnia jej część prezentuje losy Polaków w Kazachstanie obejmujące okres drugiej wojny światowej. Tam i wtedy zesłańcze związki realizowały się w trudzie codziennej pracy oraz w walce o przetrwanie. Rdzeń tych relacji „zesłańców z lat

wojny" tworzą smutne obrazy głodu, chorób i śmierci. Uzupełnieniem tych powidoków są wiersze, które wpisują się w „Gułag polskich poetów", przypomniany onegdaj przez historyka literatury Ninę Taylor-Terlecką z Wielkiej Brytanii[14].

Od kilkunastu już lat odradza się w naszej historiografii refleksja nad obrazem zesłańczego życia na Syberii i złożonością związków polsko-kazachskich. Odpowiedź na niektóre pytania znajdzie Czytelnik na stronach tej książki. Jej powstanie to nie tylko autorski trud okolony klimatem różnorodnych spotkań z zesłańcami, członkami bliskiego mi Związku Sybiraków, Polakami z Kazachstanu ale przede wszystkim serdeczność wielu ludzi – historyków, antropologów kultury i historyków nauki, socjologów, którzy częstokroć okazywali mi pomoc w gromadzeniu materiałów oraz mojej rodziny – żony i dzieci. Dziękuję też recenzentom za słowa życzliwej krytyki pozwalającej na dopełnienie książki słusznymi podpowiedziami merytorycznymi, a redaktorom i Wydawnictwu za jej kunszt edytorski. To właśnie pod ich adresem kieruję wyrazy wdzięczności za życzliwość i stałą zachętę do kontynuowania tego dzieła, którego zapowiedzią były wcześniej opublikowane teksty w czasopismach i pracach zbiorowych.

Antoni Kuczyński

---

[14] *Gułag polskich poetów. Od Komi do Kołymy. Wiersze.* Wybór wierszy i przedmowa Nina Taylor-Terlecka, Londyn 2001.

Część I

ZESŁANIA – DZIEDZICTWO – NADZIEJE – POWROTY

Związki Polaków z Kazachstanem
mają długą i piękną tradycję

Aleksander Wołkow
Ambasador Republiki Kazachstan w Polsce (2005–2012)

1.

Z najstarszych kronik

Migawki z historii Kazachstanu

W zamierzchłych czasach II i III wieku terytorium obecnego Kazachstanu zamieszkiwały liczne ludy. Potem jego część zajęli Hunowie, włodarzyli też tam Turcy i Mongołowie. Ta wielowiekowa dominacja obcych elementów uniemożliwiała tworzenie się stałych związków państwowych o charakterze kazachskim. Raz najeźdźcy wyniszczali miejscowych, kiedy indziej znowu miejscowi wyniszczali się wzajemnie, walcząc o wpływy feudalnych władców. Procesy integracyjne nie przyszły tu szybko, chociaż w XV wieku niektóre plemiona zjednoczyły się i w dorzeczu rzeki Czu utworzyły samodzielny chanat i przyjęły nazwę Kazachów.

Z czasem też na innych terenach Kazachstanu utworzyły się trzy ordy: Wielka (Siedmiorzecze), Średnia (Kazachstan Centralny) i Mała (Kazachstan Zachodni), na czele których stali chanowie. Nadal jednak sytuacja polityczna była chwiejna, przejściowa, a interesy poszczególnych chanów prowadziły do międzyplemiennych waśni.

W wieku XVII na ziemie te najechali Dżungarowie, a po rozgromieniu ich przez Chiny (1756–1758) Kazachowie znaleźli się między dwiema potęgami – Chinami i Rosją. Zwłaszcza Rosja, zainteresowana pełniejszą realizacją swej ekspansywnej polityki zarówno na Syberię, jak i w głąb Azji Środkowej, przejawiała wielkie zainteresowanie kazachskimi ziemiami. Przez nie bowiem wiódł szlak handlowy do Chin. Na karawanowych drogach było jednak nadal niespokojnie. To właśnie sprawiło, że historia tych ziem pełna była różnorakich konfliktów. Rozboje, bezprawie, nędza z jednej strony i wielkie fortuny z drugiej – takie były realia tamtych czasów. Ów dualizm, szczególnie wyrazisty na tych terenach, był zarzewiem wielu konfliktów.

W tym czasie, gdy Rosja carska przejawiała zainteresowanie tymi ziemiami i rozpoczęła powolne ich kolonizowanie, nazwa Kazachstan nie była używana, a Kazachowie określani byli mianem Kirgizów. Ziemie przez nich zamieszkiwane, podobnie jak przez inne narody tej części Azji Środkowej, wchodziły w skład Zachodniosyberyjskiego Generalnego Gubernatorstwa, potocznie zwanego Żółtą Syberią lub Krajem Stepowym.

Głównymi zajęciami Kazachów były dawniej koczownicza hodowla bydła, kóz i koni, prymitywne rolnictwo, a także handel wymienny. Nic więc dziwnego, że z racji swego położenia ziemie te były obszarem, na którym mieszały się od wieków polityczne, kulturalne i gospodarcze wpływy arabskie, mongolskie i tureckie.

Rosyjska ekspansja

Wyraźny wpływ imperialnej polityki rosyjskiej zaznaczył się w XVIII wieku. Ta zacofana peryferyjna prowincja azjatycka coraz bardziej poddawała się wpływom rosyjskim. Panujące stosunki patriarchalno-feudalne powodowały, że koczownicza ludność okazywała bezwzględne posłuszeństwo miejscowym władcom, ci natomiast, mamieni obietnicami Rosji, dobrowolnie uzależniali się od jej polityki i gospodarki. Doszło do tego, że w 1731 roku Mała Orda, w 1740 roku Średnia, a poczynając od 1819 roku stopniowo Wielka Orda przyjęły protektorat Rosji.

Chan tatarski

Początki chrześcijaństwa w Kazachstanie związane są z wiodącym przez te ziemie szlakiem jedwabnym. Swoją obecność zaznaczyli tu nestorianie, a prowadzona przez franciszkanów działalność misjonarska zaowocowała przyjęciem katolicyzmu. Niektóre obszary, przez które wędrowali mnisi, były pod wpływem islamu, i dopiero na początku XIV wieku papieżowi Janowi XXII (1316–1334) udało się utworzyć w miejscowości Ałmałyk (zachodni Kazachstan) siedzibę katolickiej diecezji misyjnej, która nie przetrwała jednak zbyt długo. W owym czasie apostołowali tam misjonarze franciszkańscy. We wspomnianym Ałmałyku poniósł męczeńską śmierć franciszkanin Ryszard de Bourgogne. Wkrótce bowiem zaczęły się prześladowania i trwały do końcowych lat XVIII wieku.

Gdy tereny te zostały opanowane przez Rosję, chrześcijaństwo zyskało możliwości rozwoju, a metropolita mohylewski, którego jurysdykcja rozciągała się również na te obszary, wysyłał kapłanów, by pełnili duszpasterską posługę wśród stacjonujących tu wojsk rosyjskich oraz urzędników carskiej administracji. Były to raczej przedsięwzięcia incydentalne, a chrystianizacja uzależniona była od uwarunkowań historycznych i struktury narodowościowej[15].

[15] K. Nitkiewicz, *Kościół katolicki w Kazachstanie i Armenii,* „L'Osservatore Romano" 2001, nr 11–12, s. 37.

Umocniwszy swe wpływy w 1822 roku Rosja zlikwidowała władzę chanów, rozpoczynając powolną kolonizację. Najlepsze obszary uprawnej ziemi w północnym Kazachstanie odebrano tubylcom, oddając je na osiedlenie wojskom kozackim. Stał się więc Kazachstan wewnętrzną kolonią Rosji i tworzył jej swoiste zaplecze militarne i gospodarcze[16]. Tak było przez całe XIX stulecie, a później, w innych realiach ustrojowych, przez dziewięć dekad wieku XX. Gwoli obiektywności przyznać trzeba, że oprócz niewoli kolonizacja rosyjsko-radziecka dała także Kazachstanowi nowe wzorce kultury i nowe podstawy bytu gospodarczego. Nie zapominajmy także o tym, że zniszczyła ich kraj pod względem ekologicznym, zwłaszcza te regiony, na których istniały poligony wojskowe, gdzie dokonywano prób broni atomowej.

Auł

Kto wie jednak, jak potoczyłyby się losy Kazachstanu, gdyby nie owa październikowa rebelia w Petersburgu? Postawić tu należy otwarte pytanie: które z państw Azji Środkowej miałoby tutaj największe wpływy? A może Kazachstan rozszerzyłby swoje panowanie na sąsiednie obszary?

Pozostawiając na uboczu te domysły i rozważania, wróćmy do historycznych realiów związanych z rosyjskim włodarzeniem na tych obszarach. Otóż od początku zainteresowania ziemiami kazachstańskimi Rosja sposobiła się do ekspansji w tym kierunku. Na ziemiach dawnego Kraju Orenburskiego oraz południowej części Syberii Zachodniej, graniczących z dzisiejszym Kazachstanem, pojawiło się wiele twierdz, których załogi były w stałej gotowości do marszów na rozległe tereny tego kraju. Były to Iljińsk, Kizył, Orsk, Tatiszczewo, Troick, Tanaty, Uralsk, Wierchnie-Uralsk, wszystkie obsadzone licznymi oddziałami.

---

16 W.J. Basin, *Rossija i kazachskie chanstwa w XVI–XVIII w.*, Ałma-Ata 1971; N. Chalfin, *Prisoedinenie Sredniej Azii k Rossi (60–90-e gody XIX w.),* Moskwa 1965.

W początkach XIX wieku wzdłuż południowej części zachodnio-syberyjskiej linii granicznej liczącej 858 wiorst (czyli około 1900 km), leżącej między Omskiem a Ust-Kamienogorskiem, znajdowały się 32 reduty, 3 twierdze oraz mniejsze posterunki graniczne. Wszystkie były ufortyfikowane, wewnątrz znajdowały się mieszkania korpusu oficerskiego i cywilnych urzędników, magazyny z prowiantem oraz koszary. Z nich wyruszały ku stepom ekspedycje wojskowe, często też ich załogi musiały odpierać ataki Kazachów[17].

W Omsku znajdowała się Kancelaria Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich, w której opracowywano plany podbojów i uzależniania ludów stepowych od Rosji. W niej zatrudniony był polski zesłaniec **Adolf Januszkiewicz**, dobry znawca tych terenów. Pracował tam również zesłaniec **Wiktor Iwaszkiewicz**, który z poruczenia naczelnika guberni tobolskiej, generała **Mikołaja Wiszniewskiego**, przeprowadził spis ludności i inwentarza Starszej Ordy (zwanej też Wielką Ordą) przed oficjalnym poddaniem się jej pod panowanie rosyjskie.

W czasach tworzenia się władzy radzieckiej terytorium dzisiejszego Kazachstanu nosiło miano Kirgiskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i dopiero w roku 1923 ustanowiono Kazachską Autonomiczną Republikę Radziecką. Obecnie, po rozpadzie Związku Radzieckiego (1991) i uzyskaniu suwerenności, kraj ten nazywa się Republiką Kazachstanu. Należy on do najaktywniej rozwijających się gospodarczo i kulturowo republik postradzieckich w tej części Azji.

Orenburg

Od chwili powstania w 1742 roku Orenburg był znaczącym ośrodkiem, z którego wiodły drogi w celu rozpoznawania i podporządkowywania Rosji kolejnych rejonów Azji Środkowej, zwłaszcza chanatów Buchary, Chiwy i Kokandu. Rosło znaczenie orenburskich garnizonów, a tym samym następował rozwój miasta. W takim właśnie poszukiwaniu optymalnych dróg dla rosyjskiej ekspansji kolonialnej upatrywać należy ważnej roli Orenburga, w którym rodziły się logistyczne plany kolejnych wypraw mających zaspokoić mocarstwowe nienasycenie Rosji i ugruntowania jej wpływów na tych terenach. Nie było to łatwe. Poszczególne chanaty broniły swej niezależności, mimo to rosyjskie apetyty rosły z każdym rokiem.

Dla wyjaskrawienia tego problemu dodajmy, że z początkiem XIX stulecia ujawniła się coraz aktywniejsza polityka Anglii, ukierunkowana na zabezpieczenie kolonialnych wpływów w Indiach i rozszerzenia ich na Afganistan. W łańcuchu tych rywalizujących zamierzeń oznaczało to zainicjowanie przez Rosję szpiegowskich działań mających zapewnić spójność dalszym zamiarom kolonizacyjnym.

---

[17] „Sibirskij Wiestnik", 1819, t. 5, s. 146–149.

Benedykt Polak – połowa XIII wieku

Pierwsze z wydarzeń w dziejach związków polsko-kazachskich miało miejsce w połowie XIII stulecia. Łączy się ono z uczestnictwem wrocławskiego mnicha, franciszkanina Benedykta Polaka, w wyprawie do Mongolii mającej charakter poselstwa papieża Innocentego IV, na czele którego stał Włoch Jan di Piano Carpini[18]. Była to niewiarygodna wprost, pionierska podróż w latach 1245–1247 do nieznanej wówczas zupełnie Azji Zachodniej i Wschodniej, aby z posłaniem papieskim dotrzeć do wielkiego chana mongolskiego Gujuka, rezydującego w Syra Orda opodal Karakorum. Ekspedycja dotarła do celu 22 lipca 1246 roku. Z listem od chana poselstwo udało się w drogę powrotną 13 listopada 1246 roku i przybyło do Lyonu w listopadzie 1247 roku. Przywiozło ono nie tylko odpowiedź chana, ale także sporą ilość informacji dotyczących imperium mongolskiego i krajów, przez które wędrowali franciszkańscy zakonnicy.

Ta niewątpliwie odważna misja papieska łączyła się z najazdami mongolskimi na Europę, w efekcie których uległy Mongołom księstwa ruskie. Dalszym celem tych podbojów było zajęcie Węgier, ziem polskich oraz krajów niemieckojęzycznych. Na opanowanych obszarach najeźdźcy wykazywali znaczne umiejętności logistyczne, które przyniosły im kolejną zwycięską bitwę pod Legnicą, podczas której 9 kwietnia 1241 roku zginął Henryk II Pobożny, książę śląski dowodzący oddziałami polskimi i nielicznymi pomocniczymi siłami przybyłymi z krajów niemieckich. Zwycięstwo to doprowadziłoby zapewne do dalszego zbrojnego pochodu „ku krajom zachodnim", gdyby nie fakt niespodziewanej śmierci wielkiego chana Ugedeja. Ten nagły zgon sprawił, że najeźdźcy wstrzymali swój wojenny marsz i wycofali się z Europy. Zaprzestanie go było zadziwiające i na dworach europejskich władców nie wiedziano, dlaczego zwycięzcy nie wyruszyli na dalsze podboje. Nie wiedziano też, czy zamierzają powrócić.

---

[18] F. M. Rosiński OFM, *Benedykt Polak – uczestnik legacji papieskiej do wielkiego chana (1245–1247),* [w:] *Kościół katolicki na Syberii. Historia – Współczesność – Przyszłość*, pod red. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2002, s. 13–34; tenże, *Benedykt Polak – prekursor polskich badań etnologicznych w Azji,* [w:] *Polskie opisywanie świata. Od fascynacji egzotyką do badań antropologicznych*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 2000, s. 7–21; tenże, *Wieści o zagrożeniu mongolskim*, „Wrocławskie Studia Wschodnie" 2008, t. 1 12, s. 9–36; tenże, *Franciszkańska legacja papieska z udziałem Polaka u wielkiego chana,* [w:] *Observare Evangelium. Wrocławska księga Jubileuszu 800-lecia Zakonu Braci Mniejszych*, pod red. F. Rosińskiego OFM, Wrocław 2009, s. 385–408; tenże, *Benedykt Polak – największy polski podróżnik w średniowieczu*, „Wrocławskie Studia Wschodnie" 2011, t. 15, s. 9–28; *Spotkanie dwóch światów. Stolica apostolska a świat*, pod red. J. Strzelczyka, Poznań 1993; J. Strzelczyk, *Od Lyonu do Mongolii. Poselstwa papieskie do Wilekiego Chana i relacje wysłanników,* [w:] *Benedykt Polak. Z Europy do Azji przez Kazachstan (1245–1247)*, Warszawa 2008. Książka poprzedzona słowem wstępnym Aleksieja Wołkowa, Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Republiki Kazachstan w Rzeczypospolitej Polskiej, z którego inicjatywy została wydana; R. Badowski, *Odkrywanie świata. Polacy na sześciu kontynentach,* Bielsko Biała 2007, s. 9–19; Zob. też: *Giovanni di Pian di Carpine, Storia dei Mongoli,* Edizione critica del testo latino a cura di Enrico Menestò traduzione italiana a cura di Maria Cristiana Lungarotti e note di Paolo Daffinà. Introduzione di Luciano Petech studi storico-filologici di Claudio Leonardi – Maria Cristiana Lungarotti, Enrico Menestò. Spoleto Centro Italiano di Studi Sull'alto Medioevo, Perugia 1989.

Mongołowie z odciętą głową Henryka Pobożnego pod Legnicą – miniatura z 1353 r.

Wówczas papież Innocenty IV postanowił wysłać poselstwo do Wielkiego Chana Mongołów w Karakorum w celu rozpoznania ewentualnych zamierzeń powrotu do Europy, organizacji zarządzanego przez niego państwa, jego militarnego i gospodarczego potencjału oraz religii i zwyczajów Mongołów z jednoczesną dyskretną misją, czy nie byliby oni skłonni przyjąć chrześcijańskiej wiary.

Poselstwo wyruszyło z Lyonu 16 kwietnia 1245 r. Kierował nim wspomniany już prowincjał franciszkanów na Polskę Włoch Jan di Piano Carpini. We Wrocławiu wyprawa zatrzymała się na pewien czas celem uzupełnienia ekwipunku i tu dołączył do niej franciszkanin Benedykt Polak. Potem przez Łęczycę podążyła w dalszą drogę i po przebyciu ziem polskich i ruskich zatrzymała się na pewien czas w obozie Batu-chana nad dolną Wołgą, skąd 8 kwietnia 1246 r. podążyła dalej na wschód. Niewątpliwą jest sprawa, że misja przemierzała ziemie dzisiejszego Kazachstanu, a wielkie morze wspominane w relacji z wyprawy, które spotkali po drodze to zapewne jezioro Bałchasz, a nie wykluczone, że mogło to też być jezioro Ała-kol. Potem wędrowcy przekroczyli Bramę Dżungarską, stanowiąca obecnie granicę między Kazachstanem i Chinami.

Wyprawa, w której wziął udział Polak stała się początkiem drogi do polskiego opisania Kazachstanu. Ponadto dla kronikarskiej rzetelności należy podkreślić, iż relacja Benedykta Polaka była pierwszą autopsyjną wiadomością o ziemiach dzisiejszego Kazachstanu i innych obszarów leżących na szlaku podróży. Taką informację uzyskał papież Innocenty IV. Legacja zebrała sporą ilość danych geograficznych,

etnograficznych i religijnych o ludach, z którymi zetknęła się w podróży. Wiadomości te poszerzyły niezmiernie ówczesny horyzont geograficzno-kulturowy, dotyczyły bowiem krain i ludów, których na Zachodzie nie znano nawet z nazwy, i jednocześnie utorowały one drogę kolejnym wyprawom do Azji aż po najdalsze jej wschodnie rubieże.

Papież Innocenty IV wg Kroniki Hermana Schedla z końca XV w.

Rezonans tej misji był wówczas ograniczony do kręgu dworu papieskiego, a relacja Benedykta Polaka ukazała się drukiem kilka wieków później. Dlatego też do dzisiaj w nauce funkcjonuje powszechna opinia o tym, że pierwszym Europejczykiem, który odbył podróż w głąb Azji, był Marco Polo. Nie wgłębiając się jednak w związek przyczynowy takiego poglądu, naukowa obiektywność nakazuje skorygować tę faktografię i wpisać Włocha Jana di Piano Carpini, legata papieskiego misji, oraz biorącego w niej udział wrocławskiego mnicha Benedykta Polaka, do księgi pierwszych Europejczyków, którzy odbyli wówczas podróż na teren dzisiejszej Mongolii, jadąc między innymi przez „step piołunowy", ciągnący się równoleżnikowo na północ od Morza Kaspijskiego, jeziora Aralskiego i jeziora Bałchasz, czyli przez terytoria dzisiejszego południowo-zachodniego Kazachstanu[19].

Powróćmy jeszcze na chwilę na poselski szlak Benedykta Polaka. Znane są trzy różne opisy tej podróży:

– najdokładniejszy, pochodzący od Jana di Piano Carpini,

– krótkie „sprawozdanie" Benedykta Polaka

– oraz historia Tatarów autorstwa C. de Brida, prawdopodobnie zakonnika polskiego pochodzenia, najpewniej z klasztoru franciszkańskiego w Bardzie na Dolnym Śląsku, korzystającego w dużej mierze z informacji Benedykta, na którego kilkakrotnie powołuje się w swoim opracowaniu.

To właśnie Benedyktowi Polakowi, franciszkaninowi z Wrocławia, zawdzięczamy pierwsze opisy azjatyckich krain, które leżały na szlaku misyjnej wędrówki. Godnie zapoczątkował on poczet Polaków, którzy wpisali się w historię naszego dziedzictwa z zakresu opisywania kultur i ludów świata. Tytułem ubogacenia przypomnijmy fragment przekazu rękopiśmiennego jego relacji, znajdujący się w wiedeńskiej Österreichische Nationalbibliothek w Wiedniu, w którym czytamy:

> W Roku Pańskim 1245 brat Jan z Zakonu Braci mniejszych zwany de Piano Carpini, wysłany przez pana Papieża wraz z innym bratem tegoż Zakonu do Tatarów, wyruszając w czasie Paschy[20] z Lyonu we Francji, gdzie przebywał papież, udał się

[19] *Benedykt Polak. Z Europy do Azji przez Kazachstan (1245–1247)*, Warszawa 2008, s. 59, przypis 14 do relacji Benedykta Polaka.

[20] Wielkanoc, 14 IV 1245 r.

do Polski i przybrał sobie we Wrocławiu trzeciego brata tegoż Zakonu o imieniu Benedykt, Polaka rodem, aby był mu towarzyszem jego trudu i służby oraz tłumaczem. Ci przy pomocy Konrada, księcia polskiego[21], przybyli do Kijowa, miasta ruskiego, które obecnie znajduje się pod jarzmem Tatarów. Zarządcy mieszkańców [Kijowa] dali im poczet na sześć dni drogi, aż do pierwszej strażnicy tatarskiej tam, gdzie zaczyna się Komania[22].

Gdy naczelnicy tej strażnicy usłyszeli, że są to posłowie papieża, zażądali od nich darów i przyjęli je. Wymienieni dwaj bracia Jan i Benedykt, ponieważ trzeci brat zapadł na zdrowiu[23], pozostawili tam, jak im polecono, konie i służebnych, których ze sobą przywiedli. Ich samych [braci Jana i Benedykta] przeprowadzono na koniach tatarskich wraz z ich pakunkami i bez uszczerbku dla nich do kolejnej strażnicy. W ten sposób [jechali] przez wiele straży zmieniając konie.

W trzecim dniu przybyli do dowódcy jakiegoś wojska, który dowodził ośmiu tysiącami zbrojnych. Jego słudzy, domagając się i przyjmując dary, zaprowadzili ich do swojego wodza Korenzy[24]. Ten zapytał ich o przyczynę podróży i rodzaj sprawy. Dowiedziawszy się tego dołączył do nich trzech spośród swoich Tatarów, którzy mieli staranie o ich konie i zaopatrzenie [w czasie jazdy] od jednej stanicy do drugiej, aż przybyli do księcia o imieniu Batu, który jest jednym z największych książąt Tatarów i który spustoszył Węgry. [...] w święto Marii Magdaleny wkroczyli do ziemi Tatarów. Tam spotkali cesarza przy wielkim namiocie zwanym Syra Ordą[25] i pozostali [w tym kraju] – przez cztery miesiące i byli przy wyborze Gujuk-chana na ich cesarza.

[...] Wprowadzeni do Syra Ordy czyli do namiotu cesarza, zobaczyli jego samego w podziwu godnym połyskliwym stroju, ukoronowanego, siedzącego w środku namiotu na drewnianym podium ozdobionym rozmaicie złotem i srebrem, a zaopatrzonym na górze w kratę. Na podium wchodziło się po stopniach czterema oddzielnymi wejściami. Trzy z nich znajdowały się z przodu podium. Przez środkowe [wejście] wchodził i schodził sam cesarz, przez pozostałe dwa, ludzie możni i niższego stanu. Przez czwarte natomiast, które znajdowało się z tyłu tego [podium], wchodziła matka [władcy] i jego żona oraz krewni. Syra Orda miała trzy wejścia na kształt bram z których środkowe, największe i górujące nad pozostałymi zawsze jest otwarte i bez żadnej straży. Przez nie wychodzi i wchodzi sam cesarz, a gdyby kto inny tamtędy wszedł, zostałby natychmiast zabity. Dwa boczne wejścia,

---

21 Konrad I Mazowiecki (1187–1247) książę mazowiecki i kujawski, syn Kazimierza II Sprawiedliwego. Popierał cysterską akcję misyjną. Dążył do opanowania Prus i osadził (1226) Krzyżaków na ziemi chełmińskiej. Siedzibą księcia była Łęczyca, przez którą wiodła trasa wyprawy.

22 Prawdopodobnie dotyczy to terenów zamieszkiwanych w XIII wieku przez plemiona Kipczaków i Połowców, rozciągających się pasmowo na wschód wzdłuż wybrzeży Morza Czarnego i ciągnących się dalej do Morza Kaspijskiego sięgając po Morze Aralskie.

23 Informacja ta odnosi się zapewne do brata Czesława z Czech.

24 Jeden z lokalnych wodzów dowodzący sześcioma tysiącami wojska.

25 Dosłownie znaczy „żółty namiot". Namiot ten znajdował się opodal Karakorum i stanowił letnią siedzibę chana. Pokrycie namiotu wykonane było z jedwabiu przetykanego złotymi nićmi.

umocnione zasuwami, mają bardzo surowych strażników, którzy strzegą ich z bronią. Przez nie z czcią wchodzą inni, boją się ustanowionej kary. [...] Po wypełnieniu czynności, dla których bracia przybyli, wyprawił ich cesarz z listem oznaczonym jego pieczęcią, aby zanieśli go panu Papieżowi[26].

Listy papieża i cesarza

List papieża Innocentego IV kierowany do: (...) władcy i ludowi Tatarów, aby poznali drogę prawdy

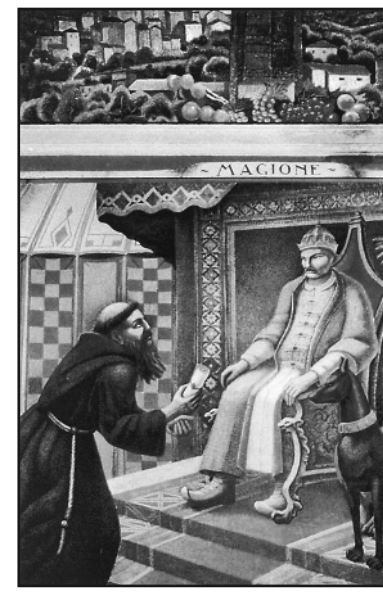

Jan di Piano Carpini przekazuje papieskie posłanie Wielkiemu Chanowi Mongolskiemu Gujukowi

Ponieważ nie tylko ludzie, lecz także bezrozumne zwierzęta, a nawet same żywioły są połączone w porządku świata w pewną jedność i przyrodzony związek za przykładem wyższych duchów, których zastępy Bóg Stwórca wszystkiego wyróżnił wieczną stałością pokojowego ładu, nic dziwnego, że wypadło nam bardzo się dziwić, że wy, ponoć, napadłszy wiele krain, tak chrześcijańskich jak i innych, niszczycie je strasznie pustosząc. Dotąd nie przestajecie w nieprzerwanym szale wyciągać grabieżczych rąk po kolejne ziemie. Zerwawszy więzy naturalnego pokrewieństwa, nie oszczędzając ani płci ani wieku, wymachujecie mieczem w okrutny i gniewny sposób w stosunku do wszystkich bez różnicy.

Przeto my pragnąc, by wszyscy żyli w jedności i pokoju oraz bojaźni Bożej za przykładem Króla Pokoju, wszystkich was upominamy, prosimy oraz gorliwie namawiamy, ażebyście na przyszłość zupełnie zaniechali takich napadów, a zwłaszcza prześladowania chrześcijan. Ponadto nie ma wątpliwości, że tyloma i tak wielkimi grzechami przyzywaliście gniew majestatu Bożego, który ze względu na dokuczliwość tych grzechów, przejednacie [jedynie] zadośćuczynieniem godnej pokuty. Nie powinniście zuchwale przedsiębrać większych okrucieństw z tego powodu, że kiedy szalał wobec innych miecz waszej potęgi, Wszechmocny Pan pozwolił, żeby różne narody padały dotąd przed wasze oblicze. Niekiedy [Bóg] odkłada do czasu karanie dumnych na tym świecie dlatego, żeby kiedy zaniedbają upokorzenia się, w odpowiednim czasie nie pozostawić bez kary ich niegodziwości i w nie mniejszym stopniu bardzo poważnie to pomścić.

---

[26] Cytowany fragment relacji Benedykta Polaka przetłumaczonej na język polski przez S. Młodeckiego i opatrzonej przypisami przez J. Strzelczyka pochodzi z książki pt. *Benedykt Polak. Z Europy do Azji przez Kazachstan,* op. cit., s. 53–57. Książka ta powstała z inicjatywy Ambasady Republiki Kazachstan w Rzeczypospolitej Polskiej. Rękopiśmienny przekaz tej relacji znajduje się w zbiorach Österreichische Nationalbibliothek w Wiedniu.

Oto uznaliśmy, że należy umiłowanego [nam] syna, brata [Jana] i towarzyszy jego jako szerzycieli niniejszych zasad, mężów znakomitych w służbie Bożej, wyróżniających się powagą, obdarzonych znajomością Pisma Świętego, wyznaczyć do was po to ażebyście dla czci Boskiej, zaiste raczej nas w nich łaskawie przyjęli i godnie [z nimi] postępowali. Okazując zaufanie im i temu co wam w naszym imieniu powiedzą, oraz co do wyżej wymienionych spraw, zwłaszcza tych odnoszących się do pokoju, a mając pożyteczne ich objaśnienie, [prosimy], abyście przez tychże braci dokładnie nam wyjaśnili, co skłoniło was do zagłady innych narodów i do czego dalej dążycie. [Nadto prosimy], abyście troszczyli się w ich podróży i powrocie o bezpieczny dla nich przejazd i inne niezbędne sprawy, ażeby bezpiecznie mogli do nas powrócić.
Wspomnianych zaś braci, jako długo sprawdzanych poprzez życie w regule zakonnej i w pełni w Piśmie Świętym uczonych, wybraliśmy przed innymi. Uznaliśmy, że należy ich do was wysłać, ponieważ byliśmy przekonani, iż będą oni dla was bardziej przydatni, jako kroczący za naszym Zbawicielem. Gdybyśmy uważali, że inni byliby wam użyteczniejsi i milsi, przysłalibyśmy do was jakichś prałatów Kościoła albo innych dostojników.
Dan w Lyonie, trzy dni przed idami marca, w drugim roku [pontyfikatu] roku 1245[27].

* * *

Pismo Wielkiego Chana Gujuka do papieża Innocentego IV[28]

Z mocy wiecznego Nieba, (my) Chan najwyższy[29] całego wielkiego ludu; oto nasze posłanie:
Oto rozkaz wysłany wielkiemu papieżowi, by wielkiego nim wiedział i go rozumiał.
Po odbyciu rady w… krajach käräl[30], zaproponowaliście, że się [nam] podporządkujecie, czego dowiedzieliśmy się od waszych wysłanników.
Gdybyście chcieli postąpić zgodnie z waszymi słowami, musielibyście, ty – wielki papieżu wraz z królami przybyć osobiście w celu złożenia nam hołdu, a my wówczas zapoznamy was z nakazami jasy.
Inna (sprawa). Powiedziałeś, że byłoby (dla mnie) dobrze, gdybym przyjął chrzest, zawiadomiłeś mnie o tym i przysłałeś mi (stosowną) prośbę. Lecz ja tej twojej prośby nie pojąłem.

---

27 *Benedykt Polak. Z Europy do Azji przez Kazachstan,* op. cit., s. 83–84.

28 Pismo Wielkiego Chana Gujuka zostało opublikowane w książce pt. *Benedykt Polak. Z Europy do Azji przez Kazachstan,* op. cit., s. 85–87. Jest ot najstarszy zachowany w oryginale dokument władców mongolskich. Uprzednio znany wyłącznie z tłumaczeń łacińskich. Odkryty został w Archiwum Watykańskim w roku 1920. Przekład Jerzego Strzelczyka z tłumaczenia na język francuski Paula Elliota (1922–1923).

29 Tureckie „talui" i mongolskie „dalai" (ostatnie zachowane do dziś w tytulaturze władców Tybetu) znaczą tyle co ocean. Dosłownie więc Gujuk określa się jako „chan oceaniczny" lub „morski", pragnąc w ten sposób podkreślić aspiracje do panowania nad całym światem (nad oceanem otaczającym cały świat).

30 Käräl – wyraz, zdaniem orientalistów, dostał się do języka mongolskiego z języków słowiańskich („król"), ewentualnie za pośrednictwem węgierskiego („királ"). „Kraje käräl" mogą oznaczać albo Węgry (i Polskę), albo szerzej królestwa europejskie.

Kolejna (sprawa). Przysłałeś mi takie oto słowa: „Zajęliśmy wszystkie kraje (Majar) i chrześcijan (kiristan). Zdumiewa mnie to. Powiedz mi, jaka była ich wina?" Także tych słów nie pojąłem.
Czyngis-chan oraz Chan wysłali byli do nich posłów, by wysłuchali oni Bożego rozkazu. Lecz oni nie uwierzyli Bożemu nakazowi. Ci, o których mówisz, zwołali nawet wielką naradę, okazali się pyszni i zabili naszych wysłanników. W tych krajach (przeto) wieczny Bóg wybił i wyniszczył mieszkańców.
Któż mógłby inaczej niż z rozkazu Bożego, z własnej jedynie mocy, wyniszczyć (lud) inaczej zawładnąć (krajem)?
A gdyby tak powiedział: „Jestem chrześcijaninem, czczę Boga i gardzę…", skąd mógłbyś wiedzieć, komu Bóg przebacza i komu okazuje miłosierdzie. Skąd mógłbyś to wiedzieć, ty, który wygłasza te słowa?
Z Bożej mocy wszystkie kraje od wschodu słońca do jego zachodu zostały nam przekazane. Jakże mógłby ktoś działać bez Bożego nakazu?
Teraz (przeto) powinniście wypowiedzieć szczerym sercem: „Zostaniemy (waszymi) poddanymi, oddamy (wam) nasze siły". Ty osobiście, na czele (wszystkich) królów, bez wyjątku, winniście przybyć by nam ofiarować służby i hołd. Od tej chwili uznamy waszą podległość.
A jeżeli nie spełnicie Boskiego nakazu i będziecie postępowali wbrew naszemu poleceniu, będziemy was uważali za wrogów.
Oto co podajemy do wiadomości. Jeżeli postąpicie wbrew temu, któż wie (co się może wydarzyć?) Bóg (jedyny) to wie.
W ostatnim dniu drugiego (miesiąca) gemami, roku 644[31].

Tę preambułę do historii związków polsko-kazachskich odnotowujemy po to, by obraz przedstawiony w dalszych partiach tekstu pozwolił czytelnikowi zbliżyć się do odległej historii tych kontaktów.

Na uwagę zasługuje tu również fakt, że w roku 2008 z inicjatywy Ambasady Republiki Kazachstanu w Rzeczypospolitej Polskiej ukazała się najnowsza edycja opisu tej podróży mnichów franciszkańskich (w latach 1245–1247 z Europy przez Kazachstan do Mongolii), poprzedzona „Słowem wstępnym" Jego Ekscelencji Ambasadora Republiki Kazachstanu w Polsce Aleksieja Wołkowa, w którym czytamy:

Z wielką przyjemnością pragnę przedstawić Państwu książkę pt. *Benedykt Polak. Z Europy do Azji przez Kazachstan (1245–1247),* w której po raz pierwszy pokazujemy źródłowy dokument – przechowywany w Narodowych Bibliotekach w Paryżu i Wiedniu – będący relacją z legendarnej podróży zakonnika i wzbogacony o kilka tłumaczeń, w tym na język kazachski.
Pierwsze pisemne świadectwa o plemionach zamieszkujących wielkie tereny stepowe, od mongolskich gór do rzek Dniepr i Dunaj, pojawiły się w połowie I tysiąclecia p.n.e. Starożytni Grecy nazywali je Scytami, Persowie – Sakami. Dzięki pradawnym

[31] Datacja zapisana została po arabsku i według rachuby muzułmańskiej. Odpowiada ona okresowi od 3 do 11 listopada 1246 roku.

kronikom wiemy, że w połowie I tysiąclecia naszej ery na terytorium współczesnego Kazachstanu ukształtowała się państwowość, która powstała w wyniku powołania staroturkijskiego sojuszu plemion nomadów. Pierwszy Turkijski Kaganat (lata 551–630) był ważnym etapem w historii stepu. W tym czasie nastąpił rozwój rzemiosła i handlu oraz wzrosło znaczenie Wielkiego Szlaku Jedwabnego, wytyczającego drogę z Chin do ziem arabskich i dalej do Europy. W okresie od VI do początku XIII wieku na terenach obecnego Kazachstanu powstało wiele państw, które sukcesywnie zastępowały siebie nawzajem, aż do najazdu Mongołów (Kaganaty: Zachodnio-Turkijski, Tiurgeski, Karłucki a także państwa: Oguzów, Karachanidów, Kimeków, Kipczaków). Po inwazji Mongołów, na początku XIII wieku utworzyły się ułusy imperium Mongolskiego – Dżuczi i Czagataja, które później dały początek – Ak Ordy (Białej Ordy), Mogolistanu, a następnie Chanatu Kazachskiego.
Ponad siedem wieków temu, franciszkanin Benedykt Polak, wypełniający misję dyplomatyczną Stolicy Apostolskiej, jako pierwszy wśród Europejczyków, przechodząc przez stepy dzisiejszego Kazachstanu, odbył podróż w głąb Azji. Rezultat tej wyprawy przewyższał wszystkie oczekiwania ówcześnie żyjących osób. Relacja polskiego podróżnika stanowi jeden z najciekawszych dokumentów epoki triumfu Złotej Ordy w Eurazji. Zdaniem naukowców, ta misja odegrała kluczową rolę w gromadzeniu informacji na temat Wielkiego Stepu i przybliżyła Europie wiedzę o jego mieszkańcach[32].

W tej interesującej książce, z wielką starannością przygotowanej przez Jerzego Strzelczyka, stanowiącej nieocenione źródło weryfikacji wcześniejszych poglądów na temat autorstwa relacji Benedykta Polaka, zgromadzono wiele cennego materiału źródłowego, mogącego w przyszłości służyć dalszym opracowaniom.

Podróż szlakami Benedykta Polaka w 2004 roku

Pomińmy tu na chwilę podstawowy temat, którym są związki polsko-kazachskie oraz poświęćmy nieco uwagi współczesnej podróży szlakiem Benedykta Polaka. Rozpoczęła się ona 4 czerwca 2004 roku we Wrocławiu. Jej uczestnikami, a zarazem pomysłodawcami i organizatorami, byli mieszkańcy Warszawy i Szczecina. Trasa wyprawy, zgodnie z odtworzonym pierwowzorem średniowiecznym, przy wydatnej pomocy ks. prof. Franciszka M. Rosińskiego i prof. Antoniego Kuczyńskiego z ówczesnej Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz prof. Jerzego Strzelczyka z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu wiodła przez Polskę, Ukrainę, Kazachstan, Chiny i Mongolię z zamiarem dotarcia do miejsca, gdzie leżała stolica imperium mongolskiego – słynne Karakorum. Wyprawa wyruszyła z pl. Nankiera we Wrocławiu, gdzie kiedyś stał klasztor franciszkański, ufundowany przez Henryka II Pobożnego.

Pożegnanie ekspedycji miało uroczysty charakter. Uczestniczyli w nim prowincjał Zakonu Ojców Franciszkanów we Wrocławiu o. Wacław Chomik, przedstawi-

[32] Ibidem, s. 7.

Kościół pw. św. Wincentego (dawniej klasztor franciszkanów, fundacji księcia Henryka Pobożnego) we Wrocławiu przy pl. Nankiera, na którym znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona Benedyktowi Polakowi (fot. po lewej) oraz ulica Benedykta Polaka we Wrocławiu (fot. po prawej)

ciel prezydenta Wrocławia oraz studenci etnologii i historii Uniwersytetu Wrocławskiego. Rozpoczęcie wyprawy szlakiem Benedykta Polaka uświetniło przybycie do Wrocławia ówczesnego Ambasadora Mongolii w Polsce Baasansuren Tugalkhuu, który wygłosił przemówienie:

Szanowne Panie, Szanowni Panowie,
Szanowni Przedstawiciele m. Wrocławia,
Szanowni Uczestnicy wyprawy

Osiemset lat temu, w XIII wieku w sercu Azji powstało Wielkie Imperium Mongolskie. Sława Czyngis-chana, twórcy imperium, rozeszła się po całej Azji, docierając aż do Europy i krajów arabskich.

Wówczas, ściślej mówiąc w 1245 roku, papież Innocenty IV wysłał oficjalną delegację do Azji Środkowej w celu nawiązania pokojowych kontaktów. W dokumencie tym, który zabrali ze sobą jego posłowie, żądał również przyjęcia przez Mongołów chrześcijaństwa. Można z tego wywnioskować, iż delegacja miała przed sobą bardzo trudne, równocześnie bohaterskie zadanie. Posłowie nie słyszeli ani nie wiedzieli nic o życiu codziennym i zwyczajach Mongołów, nie mówiąc już o ich gościnności wobec zagranicznych kupców i podróżnych, której Czyngis-chan, a później jego następcy, zawsze przestrzegali. W mniemaniu ówczesnych Europejczyków Mongołowie jawili się jedynie jako bezwzględni najeźdźcy, dlatego wyprawę papieską można śmiało nazwać wielką próbą, w której członkowie mieli się wykazać wyjątkową odwagą i cierpliwością.

Papież nakazał posłom pilnie notować wszystko, co zobaczą w podróży, przede wszystkim zaś ustalić dokładną lokalizację imperium mongolskiego, opisać strukturę rządu i armii, religie, tradycje i obyczaje jego mieszkańców. Zwłaszcza chciał się dowiedzieć o strojach, rodzaju mieszkań, pożywieniu oraz o życiu codziennym, świętach i zabawach Mongołów.

Członkami owej niebezpiecznej wyprawy, która trwała prawie 2,5 roku, byli dwaj mnisi z zakonu franciszkanów: Giovanni da Pian del Carpine oraz wrocławianin Benedykt Polak. Dziś zebraliśmy się we Wrocławiu, który był świadkiem początku owej wyprawy, która powinna być zapisana złotymi literami w historii. Zebraliśmy się tu, aby być świadkami równie ważnego wydarzenia. Dziś żegnamy ekspedycję udającą się do Karakorum, ówczesnej stolicy Imperium Mongolskiego. Ekspedycję, której celem jest wskrzeszenie pamięci Benedykta Polaka i przypomnienie jego zasług dla całej ludzkości.

Mam możliwość na własne oczy zobaczyć początek tej ekspedycji, którą Patronatem Honorowym objął Minister Spraw Zagranicznych RP – pan Włodzimierz Cimoszewicz. Wraz z władzami i mieszkańcami Wrocławia mam również zaszczyt uczestniczyć w tej wspaniałej ceremonii pożegnania.

O. Wacław Chomik OFM ze Śląskiej Prowincji Ojców Franciszkanów udziela błogosławieństwa uczestnikom ekspedycji szlakiem Benedykta Polaka

Ufam, że uczestnicy „Wyprawy śladami Benedykta Polaka" dostrzegą piękno mongolskiej przyrody i zapoznają się z życiem codziennym Mongołów oraz przekażą wiarygodną relację z wyprawy swoim rodakom. Benedykt Polak jest bohaterem nie tylko dla Polaków, ale również i dla nas Mongołów. Po powrocie do ojczyzny z dwuipółrocznej wyprawy spisał swoje wrażenia, pozostawiając bardzo szczegółowy opis Wielkiego Imperium Mongolskiego, życia codziennego, tradycji obyczajów ówczesnych Mongołów. Jedna z dwóch relacji spisanych ręką Benedykta Polaka przechowywana jest w Bibliotece Uniwersytetu Yale. Drugą, przed dwoma laty, odkryto w archiwach zakonu franciszkanów. Oba dokumenty mają bezcenne znaczenie historyczne i naukowe. Zawarte w nich informacje dotyczące Wielkiego Imperium Mongolskiego, historii, kultury i tradycji ówczesnych Mongołów, czyli naszych przodków, są prawdziwe i wiarygodne. Polscy i mongolscy naukowcy słusznie uważają, iż Benedykt Polak może być uznany za prekursora studiów mongolistycznych w Polsce.

Informacje o Wielkim Imperium Mongolskim, które wstrząsnęło całym ówczesnym światem, czerpane są głównie z opowieści Marco Polo. Tymczasem przed tym wielkim podróżnikiem do Mongolii dotarli Włoch, Giovanni da Pian del Carpine i Benedykt Polak. Dostarczyli oni Europejczykom informacji na temat Mongołów. Bezsprzecznie, pierwszym europejskim podróżnikiem, który postawił nogę na ziemi mongolskiej, był właśnie mieszkaniec Wrocławia, Benedykt Polak.

Rozumiemy, iż głównym celem uczestników „Wyprawy śladami Benedykta Polaka" jest wskrzeszenie sławy postaci Benedykta, który jak najbardziej zasługuje na to, aby nareszcie mógł zająć należne mu miejsce wśród wielkich podróżników i odkrywców.

Jesteśmy pewni, iż tak jak 750 lat temu Giovanni da Pian del Carpine i Benedykt Polak poznali mongolską gościnność, tak samo uczestnicy tej ekspedycji zostaną ciepło i radośnie przywitani przez moich rodaków.
Życzę uczestnikom wyprawy szczęśliwej, szerokiej drogi. My Mongołowie zazdrościmy Wam, uczestnikom wyprawy, iż będziecie podróżować po wspaniałych górach Ałtaju, szerokich stepach, gęstych lasach i bezdrożach Mongolii, która jako jeden z nielicznych krajów na świecie posiada jeszcze nieskażoną, dziewiczą, piękną przyrodę.
Życzę Wam szczęśliwej podróży, abyście bezpiecznie wrócili do domu. I mówię do zobaczenia ponownie w Polsce.

Szanowni Goście
Dzisiejsza wyprawa tak naprawdę rozpoczęła się w Szczecinie. Są wśród nas obecni również przedstawiciele tego wspaniałego miasta.
Korzystając z okazji, w imieniu Ambasady Mongolii w Polsce chciałbym przekazać Książnicy Pomorskiej sutry buddyjskie stanowiące żywy dowód wielowiekowej kultury i religii mongolskiej. Przekazuję ten dar na ręce przedstawiciela Książnicy Pomorskiej. Są to bezcenne arcydzieła *Dżadamb, Tarawczimbu, Banddzragez*[33].

Po wystąpieniu ambasadora, prowincjał Śląskiej Prowincji Ojców Franciszkanów we Wrocławiu oraz duchowny buddyjski udzielili błogosławieństwa uczestnikom wyprawy.

Z Wrocławia wyprawa udała się do Łęczycy, a następnie do Horodła n/Bugiem, miejscowości leżącej niedaleko polsko-ukraińskiego przejścia granicznego w Zosinie. W Horodle, gdzie w 1413 roku zawarto unię Polski z Litwą, uczestnicy ekspedycji spotkali się z młodzieżą miejscowego liceum oraz zapoznali się z zabytkami świadczącymi o historii tego nadbużańskiego grodu, w którym ponoć trzykrotnie gościł król Władysław Jagiełło.

Po zakończeniu wyprawy staraniem władz samorządowych Wrocławia na ścianie przy wejściu do kościoła św. Wincentego przy pl. Nankiera umieszczono tablicę pamiątkową przypominającą postać Benedykta Polaka.

Jezioro Bałchasz w Kazachstanie, w sąsiedztwie którego wiódł prawdopodobnie szlak wyprawy franciszkańskich mnichów do Mongolii oraz jurta

[33] Cyt. za: M. Ziegler, *Szlakiem Benedykta Polaka*, „Zesłaniec" 2004, nr 18, s. 93–95; A. Kuczyński, *Wyprawa szlakiem Benedykta Polaka*, „Wrocławskie Studia Wschodnie" 2004, t. 8, s. 329–332.

2.

Przełom XVIII/XIX wieku – zmagania o niepodległość

Konfederaci barscy

Konfederacja barska był to zbrojny związek szlachty polskiej, zawiązany w 1768 roku w Barze na Podolu dla obrony niezależności Rzeczypospolitej, przywilejów szlachty i katolicyzmu. W tłumieniu konfederacji trwającej do 1772 roku brały udział głównie wojska rosyjskie. Po opanowaniu ruchów powstańczych na Ukrainie walki objęły inne tereny Rzeczypospolitej. Po stłumieniu konfederacji sąsiednie mocarstwa, tj. Rosja, Austria i Prusy, dokonały pierwszego rozbioru Polski. Szacuje się, że **około 15 tysięcy konfederatów zesłanych zostało wówczas za Ural**, w większości do różnych syberyjskich garnizonów, chociaż znane są również przypadki lokowania ich w gospodarstwach chłopskich przede wszystkim na terenie Zachodniej Syberii.

W latach 1770 i 1771 ukazały się w Rosji rozporządzenia ówczesnego ministra wojny Zachara Czernyszewa nakazujące rozesłanie konfederatów do garnizonów w Omsku, Orenburgu, Semipałatyńsku, Tarze i Tobolsku. Wiadomo też, że nieliczne kontyngenty tych zesłańców trafiły nawet na teren guberni irkuckiej do tamtejszych oddziałów wojskowych oraz do pracy w tzw. batalionach górniczych na Zabajkalu. O losie ich nie posiadamy dokładniejszych informacji, nieraz jednak kolejni zesłańcy, jacy pojawili się na Syberii po konfederacji barskiej, wspominali, iż spotykali w syberyjskich miastach „starych już mocno konfederatów". Warto może wspomnieć i o tym, iż w powieści Margarity Jamszczykowej (pseudonim A. Ałtajewa) noszącej tytuł *Buntari w Sybiri*, która ukazała się w roku 1929 w Moskwie, jednym z bohaterów jest konfederata o nazwisku **Lewicki**.

Część **konfederatów barskich** znalazła się w Kraju Orenburskim, osadzona została w twierdzy orenburskiej lub rozlokowana w twierdzach okalających kraj od północnego wschodu. Stąd w składzie rosyjskich wojsk wyprawiali się nieraz na tereny dzisiejszego Kazachstanu, uczestnicząc w akcjach zbrojnych przeciwko miejscowym plemionom. Tworzyli oni pierwszą, olbrzymią falę zesłańców. Cezura czasowa i brak źródeł nie pozwalają na odtworzenie ich losów. Dość powiedzieć, że rozeszli się szeroko po Syberii, nawet aż na Zabajkale, a Maurycy Augusty Beniowski zawędrował zesłańczym szlakiem aż na Kamczatkę, skąd zresztą zdołał uciec[34].

---

[34] E. Kajdański, *Tajemnica Beniowskiego. Odkrycia, intrygi, fałszerstwa,* Warszawa 1994.

Pamiątkowy kopiec w Krynicy usypany w okresie międzywojennym – ku pamięci konfederatów barskich, w tym przywódcy Kazimierza Pułaskiego

Znawca dziejów Polaków na Syberii Zygmunt Librowicz wspominał też, że jeszcze pod koniec XIX stulecia w bliskości Semipałatyńska znajdowały się „dwie wioski, których mieszkańcy aczkolwiek już nie mówią po polsku", uważali się jednak za potomków konfederatów barskich[35]. O losie konfederatów barskich na zesłaniu wiemy bardzo mało, co potwierdził B. Zaleski pisząc, iż nie wiadomo, ilu ich tam naprawdę było, jaką drogą dotarli do Orenburga, ponieważ

> […] o ile wiemy, nikt z nich nie powrócił, kto by dał o tym świadectwo – ale dotychczas stoi mur kamienny, otaczający orenburską twierdzę, rękami konfederatów naszych wzniesiony i ten wymownie świadczy, że być ich musiało niemało i że do ciężkiej pracy używani byli. […] Przed niewielu laty założony, Orenburg zagrożony był nieraz przez Baszkirów i Kirgizów, przez miejscową ludność tatarską; a jak były usposobione masy żyjące na tych przestrzeniach, najlepiej dowodzi fakt, że tam właśnie powstały i tak bardzo wzrosły bandy Pugaczowa. W walce z nimi mieliśmy mimowolnie nawet udział. Gwałtem w Syberii wcieleni do wojska konfederaci przyszli wtenczas z tamecznymi pułkami do Orenburga; 400 ich w bitwie z Pugaczowem poległo – wielu, razem z całą załogą Troicka, po wzięciu tego miasta wyrżniętych przez niego zostało[36].

---

35 Z. Librowicz, *Polacy w Syberji*, Kraków 1884, s. 55.

36 B. Zaleski, *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich*. Wybrał, przedmową i komentarzem opatrzył A. Zieliński, Wrocław 2008, s. 76.

Przebywający w orenburskiej twierdzy konfederaci stanowili masę żołnierską, która podlegała surowym prawom regulaminowym. Byli to ludzie przeznaczeni do ataku na pierwszej linii. Warunki bytowania w twierdzy były okropne i żołnierze-zesłańcy wymykali się nieraz, by zasmakować wolności na rozległych stepach. Memoriał w sprawie ich położenia i powrotu do Polski złożył w Warszawie po powrocie z niewoli pułkownik francuski w służbie konfederacji, Thesby de Belcour. Wstawiając się za pozostającymi w niewoli towarzyszami broni, informował on w 1774 roku króla i sejm o ich położeniu. Nie wiemy ilu z nich powróciło do kraju.

Wiadomo natomiast, że część konfederatów brała także udział w walkach po stronie powstańców Jemieliana Pugaczowa, za co byli szczególnie karani, gdy dostali się w ręce wojsk rządowych. Szeroki, nieznający kresu piaszczysty step wchłaniał tych ludzi, którzy wyruszali weń, by pacyfikować tubylcze osady, zaś ich mieszkańców podporządkowywać administracji rosyjskiej. Mimo woli więc wmieszani zostali polscy jeńcy w służbę rosyjskiej sprawie. Kto dzisiaj jest w stanie przedstawić ich rozterki, gdy, sami niewolni, musieli walczyć z tubylcami, by uczynić z nich rosyjskich poddanych. Ot, paradoks historii, jakich wiele w kontaktach polsko-rosyjskich.

W starych materiałach źródłowych odnoszących się do rosyjskiego panowania nad Azją wiele jest podobnych przykładów. Nieraz dochodziło do krwawych walk z tubylcami, bywało, że i wśród kozackiej masy żołnierskiej wybuchały bunty. Wygłodniali żołnierze napadali na osady kolonistów, nieraz występowali przeciwko surowym regulaminom. Jakże często uważa się w literaturze dotyczącej zesłań syberyjskich, że zesłanie na katorgę w kopalniach było najsurowszym wyrokiem za nieprawomyślność wobec zaborcy. Tymczasem, jak słusznie wykazała Wiktoria Śliwowska, niestrudzona badaczka zesłań Polaków na Syberię i w inne rejony imperium rosyjskiego, właśnie przekazanie zesłańca „w sołdaty" i na ciężkie roboty w twierdzach stanowiło karę najdotkliwszą, częstokroć zwielokrotnioną przez samowolę komendantów twierdz i dowódców innych oddziałów, niestroniących od hańbiącej i okrutnej kary chłosty[37].

Wcielanie do wojska było częstą karą stosowaną wobec zesłańców politycznych, przeto i w jednostkach Korpusu Orenburskiego, i w oddziałach Korpusu Syberyjskiego, posiadającego twierdze wzdłuż północnych granic dzisiejszego Kazachstanu, znajdowało się wielu Polaków. Służba ta była udręką, nic więc dziwnego, że zdesperowani żołnierze, żyjący w ciągłym poniżeniu i nędzy, porzucali ją, ratując się ucieczką. Uchodząc w stepy, oczekiwali pomocy od tubylców. Nieraz ją otrzymywali, częściej jednak dezercja kończyła się niepowodzeniem i pojmaniem w nową niewolę. Potem zagubili się gdzieś w rozległych stepach, pełnych przedziwnych paradoksów i sprzeczności, zdeterminowanych różnicami interesów poszczególnych kazachskich chanów. Niektórzy z nich byli skłonni dobrowolnie

---

[37] W. Śliwowska, *Polacy na linii orenburskiej (pierwsza połowa* XIX *wieku*), [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność,* pod red. S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1996, s. 67–68.

poddać się pod panowanie Rosji, inni walczyli o prawa swego narodu, o prestiż i władzę. Dziwne to były czasy, a ich świadkowie wywodzący się spośród polskich zesłańców widzieli je, a nawet opisali, dając przez to obraz kazachskiej kultury, zwyczajów i obyczajów.

Ostatecznie jednak w pierwszej połowie XIX stulecia Kazachstan wszedł w skład imperium carskiego, a pobudowane na jego terenie twierdze rosyjskie przyjmowały nowe zastępy polskich zesłańców.

Jednym słowem – służba w takich oddziałach była niebezpieczna. Często najeźdźcy i tubylcze plemiona wyniszczały się nawzajem.

Konfederat – Karol Lubicz Chojecki

Pewne pogłosy tej sytuacji można też znaleźć w pamiętniku konfederata barskiego Karola Lubicz Chojeckiego, zatytułowanym *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków przez urodzonego Karola Lubicz Chojeckiego*, wydanym w Warszawie w 1789 roku, pełnym dramatyzmu zesłania i kulturowych realiów[38]. Kolejna wersja tych wspomnień ukazała się rok później pod zmienionym tytułem jako: *Polak Konfederat przez Moskwę na Syberię zaprowadzony. Razem wiadomość o buncie Pugaczowa,* Warszawa 1790. Były również rosyjskie edycje tych wspomnień. Pierwsza ukazała się w „Kijewskiej Starinie" w 1883 roku, w tłumaczeniu kijowskiego historyka Włodzimierza Antonowicza, druga zaś, zatytułowana *Polak – konfiedierat w Sibirii*, ze wstępem Mikołaja Sierno-Sołowiowicza („Russkij Archiw", 1886, s. 278–304). Edycje te świadczą jednoznacznie o wartości tego pamiętnika, za-

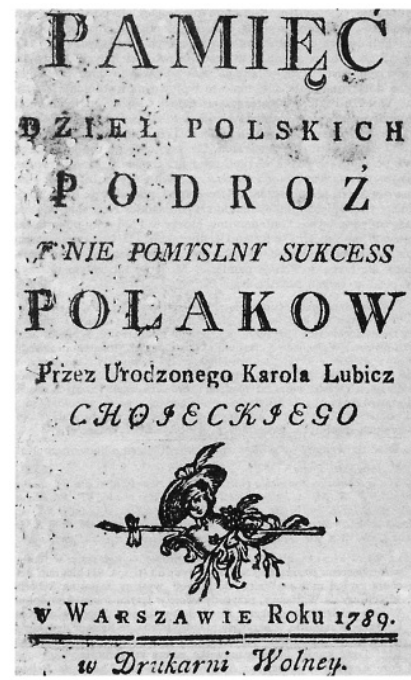
PAMIĘĆ
DZIEŁ POLSKICH
PODROŻ
I NIE POMYSLNY SUKCESS
POLAKOW
Przez Urodzonego Karola Lubicz
CHOJECKIEGO
W WARSZAWIE Roku 1789.
w Drukarni Wolney.

Strona tytułowa pierwszego wydania wspomnień K. Lubicz Chojeckiego

[38] Nowa edycja tych wspomnień ukazała się w roku 1997. Dokładna nota bibliograficzna brzmi: Karol Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków.* Na podstawie pierwodruku z 1789 roku wydali oraz przypisami opatrzyli Antoni Kuczyński i Zbigniew J. Wójcik, Bagno–Warszawa–Wrocław 1997. Nowe opracowanie tych wspomnień posiada informację: „Opublikowano na pamiątkę wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Ojczyźnie w roku 46. Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu oraz konferencji naukowej »*Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*« zorganizowanej przez Ośrodek Badań Wschodnich i Katedrę Etnologii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Wyższe Seminarium Duchowne Salwatorianów w Bagnie przy współpracy Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego i Stowarzyszenia »Wspólnota Polska«".

równo jako jednego z pierwszych polskich opisów Syberii, jak i ze względu na jego znaczenie źródłowe dotyczące ziem na wschód od Uralu.

Konfederat Lubicz Chojecki został wzięty do niewoli podczas walk w Krakowie. Jego losy znane są nam bliżej z napisanego przezeń pamiętnika. W Krakowie, zdobytym przez wojska rosyjskie, rozpoczął się jego zesłańczy szlak, wiodący przez Moskwę, Kazań, Tobolsk, Tiumeń i inne syberyjskie miasta. Następnie został on wcielony do wojska i przeszedł przez etap potyczek z powstańcami Jemieliana Pugaczowa. Zawędrował aż do Kazachstanu, gdzie jego oddział miał zagrodzić drogę kałmuckim hordom uchodzącym do Chin. Zetknął się z licznymi grupami ludności kazachskiej, których życie pobieżnie opisał – wygląd jurty, ubiory, wyposażenie gospodarstwa domowego, zwyczaje. Zauważył, że już wówczas – a był to koniec XVIII stulecia – kupcy rosyjscy organizowali nad Irtyszem duże jarmarki. Przybywali na nie tubylcy, prowadząc handel wymienny. Chojecki, wędrując przez stepy, miał możliwość poczynienia obserwacji o charakterze ludoznawczym – jest to pierwsza polska relacja o Kazachach, zwanych przez niego Kirgizami.

Obszary, przez które podróżował, były zróżnicowane pod względem fizjograficznym i klimatycznym. Wiele razy wspominał o syberyjskich mrozach – zimnie dokuczającym na postojach i w drodze, przed którym zabezpieczano się, zdobywając kożuchy lub kupując „burki" od Tatarów. W Solikamsku, mieście słynącym z warzelni soli, „umarło naszych Polaków siedmiu, których daleko za miastem w mogiłach pochowaliśmy" – wspominał, czyniąc uwagę, iż tamtejszy wojewoda był nieprzychylnie nastawiony do Polaków.

Chan tatarski Islam Gerej III

Z przyjaźnią natomiast wyrażał się o Sybirakach, którzy często udzielali potrzebującym pomocy. Z sympatią pisał też o gubernatorze kazańskim Andrzeju Samarinie, podając, iż był to „człowiek ludzki i wspaniały: miał bywać niegdyś w Polsce w charakterze posła, a żona jego niemniej dama roztropna na dworze imperatorskim wychowana". Nie ukrywał także sympatii wobec komendanta Tary, pisząc, iż „był to człowiek niezwykle grzeczny, naszym zaś polskim językiem tak dobrze mówił, że rodowity Polak nasz lepiej mówić nie może. […] Był człowiekiem wielkiej grzeczności i ludzkości. Bywaliśmy u niego

Gospodarstwo tatarskie

dość często". Zanotował także, że „Generał gubernator tobolski […] był panem wspaniałym, lecz dumnym i górnomyślącym. Był to człowiek wielką władzę mający i pełnomocny; umiał trochę mówić po polsku. Naszych Polaków po kilkadziesiąt chodziło do jego stołu, gdyż stoły były u niego nie tylko wspaniałe, lecz otwarte, gdzie wiele bardzo osób mieściło się"[39].

Wedle autora byli to „ludzie niezwykli" w tym niezwykłym kraju, w którym i lud prosty obdarzał zesłańców sympatią. Jednak spotykał też ludzi nieokrzesanych, pełnych wrogości wobec zesłańców, nietolerancyjnych i chciwych. Bywało więc różnie. Historycy są na ogół zgodni, że okres kolonizowania Syberii i uczynienie zeń kolonii karnej charakteryzował się praktyką kar cielesnych, bezprawiem i samowolą. Odległość od centrów władzy dawała się tu szczególnie we znaki. To wszystko, co powiedziano poprzednio, przedstawia zaledwie mały fragment pamiętnikarskiej narracji, będącej odbiciem niezmiernie uciążliwych zesłańczych losów autora i wyrażanych przez niego opinii o stosunkach w relacji zesłańcy – administracja Syberii. Widzimy w niej stosunek konfederatów do swych ciemiężycieli i odwrotnie, ciemiężycieli do zesłańców. Wielokrotnie przy tej okazji rodziło się wśród Polaków pełne dezaprobaty zdumienie, połączone ze spontanicznymi sprzeciwami, np. gdy zmuszano ich do przyjęcia prawosławia.

Poza negatywnymi sprawami sytuującymi się na płaszczyźnie władza–zesłaniec mamy także na kartach wspomnień relacje nacechowane pozytywnymi opiniami,

[39] K. Lubicz Chojecki, op. cit., s. 48, 66.

odnoszącymi się do niektórych rosyjskich oficerów. Chodzi tu o konkretne przejawy omijania przez nich surowych regulaminów i przyjazne traktowanie zesłańców. Jest to udokumentowany przez pamiętnikarza przejaw ludzkich odruchów tych, którym powierzono dyscyplinę i rygor wobec zesłańców. Tak zatem egzystują w narracji dwa różne wizerunki rosyjskiego urzędnika i oficera. Wizerunek satrapy, nosiciela zła i wad wszelkich oraz obraz człowieka przepojonego humanizmem i rozumieniem ideałów wolności.

Zdumiewały Chojeckiego krajobrazy, wielkie lasy i szerokie rzeki. Był świadkiem zadziwiającego zjawiska – tzw. białych nocy. Wspominał również o stepach, piaszczystych pustyniach i braku wody, co było przyczyną śmierci wśród żołnierzy i padania koni. Gorszył go brak powszechnego dostępu do źródeł wody w okolicach stepowych – mogli z nich korzystać tylko oficerowie. Bywało, że zesłańczy marsz odbywał się pośród najsroższej zimy, wojenna wyprawa w stepy kazachskie, mająca powstrzymać ucieczkę Kałmuków do Chin, czy walka z oddziałami Pugaczowa zagrażały ciągle życiu. Kto nie miał ciepłej odzieży, komu brakowało jedzenia lub wody do picia, zapadał na różne choroby, a nierzadko umierał.

Karol Lubicz Chojecki zauważył również kolonie osadników niemieckich w rejonie nadwołżańskim oraz uczynił uwagę o strukturze etnicznej Kazania, podkreślając, że mieszkało w nim niewielu Tatarów. Kazań w opinii tego autora był miastem dość dużym, stanowiącym dawniej stolicę Tatarów syberyjskich, zdobytym przez Rosjan po uciążliwych walkach, w efekcie których zburzono część murów fortecznych. Opisując je podał, że:

> Miasto zaś same czyli forteca murem dość grubym opasane; najwięcej z kamienia ciosanego murowane są domy, do naszych budynków europejskich wcale niepodobne, gdyż to już w azjatyckiej części świata znajduje się. […] Jest także i cerkwiów w tej fortecy kilka; były to przedtem meczety, teraz zaś na cerkwie zamienione i wewnątrz odmienione, lecz zewnątrz widocznie poznać się daje azjatyckie dzieło i że było niegdyś muzułmańskim siedliskiem. A od fortecy wychodząc, w prawą i lewą stronę, jest miasto z drewnianych i murowanych budynków w dość wielkiej obszerności wybudowane. W całym zaś tym mieście drewnianym i długim murem okolonym, sami tylko mieszkają Moskale. Tatarom zaś tylko jedna dzielnica oddana i to daleko za miastem, dla ich zamieszkania. To miasto przedtem było własnością Tatarów kazańskich, bardzo jednak mało ich w Kazaniu znajduje się, ponieważ Moskale całe to miasto własnym już narodem napełnili. Mają też i Tatarowie i meczet na swojej ulicy, gdzie mieszkają, dość pięknie wystawiony. Ale za Kazań wyjechawszy same już tatarskie wsie znajdują się, między którymi żadna się moskiewska nie znajduje, ani też tam oprócz Tatarów inszego człowieka widzieć nie można, chyba za mil 40, gdzie znowu inszy znajduje się naród[40].

Są też na kartach wspomnień wzmianki o innych miastach, np. Solikamsku, „mieście tak nazwanym od soli […] porządnym z samych tylko drewnianych bu-

[40] Ibidem, s. 46.

dynków złożonym, cerkwi jednak murowanych kilka się w nim znajduje". Niewiele pisał autor o Wierchorturii, natomiast zachwycił go Tiumeń, miasto daleko większe i wspanialsze niż Wierchoturia, „niemniej w handel wszelaki i w kupców obfitsze. Co się zaś tyczy żywności, daleko większy mieliśmy jej dostatek. […] Wygodne mieliśmy w Tiumeniu życie, gdzie kupowaliśmy tanie materiały chińskie, skóry z łosi, z których jedni szyli sobie spodnie, drudzy żupany".

Był też Chojecki w Tobolsku, Tarze i Omsku. O tym ostatnim pisał, że była tam „forteca z wałów ziemnych dość mocno zrobiona, w której były koszary, a za fortecą miasteczko z drewnianych budynków złożone, w których mieszkali kozacy z żonami, a powinnością ich było pilnować granic"[41]. W Omsku Chojecki włączony został do jednego z pułków, rozpoczynając żołnierską służbę. Obfitowała ona w wiele wydarzeń, charakteryzowały ją uciążliwe marsze oraz potyczki z lokalnymi grupami Kazachów.

Są też w pamiętniku inne relacje o charakterze etnograficznym, odnoszące się do ludów, z którymi zetknął się podczas wędrówki. Napisał o ich domostwach i obyczajach. Podkreślił ekspansję prawosławia i rugowanie tubylczych ludów z zajmowanych przez nich terenów, chwianie się pradawnych kultur pod naporem przybyszów. Dodajmy przy tym, że nie były to przypadki typowe jedynie dla Syberii, lecz powszechnie znane zjawiska, które dotknęły autochtoniczne kultury jak świat długi i szeroki, utopione w wirze cywilizacji. W ten sposób Syberia utraciła cząstkę siebie, co dostrzegł także polski dziejopis już w końcu XVIII stulecia.

Wtajemniczanie w odległy syberyjski świat i zróżnicowane kultury odbywało się podczas powolnych marszów oraz dłuższych postojów, wyznaczanych przez konwój prowadzący zesłańców, a potem dowódców oddziałów, w których służył pamiętnikarz.

Poszczególne rozdziały wspomnień zawierają informacje o wzięciu do niewoli konfederatów z Krakowa, przeprowadzeniu ich do Kijowa i Kazania, w zesłańczym marszu na Syberię. Tam został on wcielony do Korpusu Dragonów Syberyjskich, w którym służyli także inni pojmani w niewolę konfederaci barscy. Przez pewien czas przebywał w Omsku. Brał udział w pościgu za jedną z ord, która uciekała do Chin, oraz walczył przeciwko powstańcom Jemieliana Pugaczowa.

Po pojmaniu Pugaczowa i stłumieniu powstania został odkomenderowany do Bachmuckiego Pułku Kozaków i walczył przeciwko buntującym się Tatarom nad Morzem Azowskim. Podczas przemarszów i częstych dyslokacji udało się mu zbiec i powrócić do kraju. Jego ucieczka była pełna fascynujących i niebezpiecznych przygód – wiodła bowiem przez tereny, na których stacjonowały wojska rosyjskie.

Opinia Chojeckiego o powstaniu Pugaczowa jest w zasadzie zgodna z ocenami późniejszych badaczy analizujących te sprawy z szerszej perspektywy. Charakteryzował on nie tylko formy walki powstańczej, lecz wspominał także o stratach, które ponosiły obie strony. Pisał, że w potyczkach tych ginęli także Polacy służący w rosyjskich oddziałach, które walczyły z powstańcami. W oczach pamiętnikarza

[41] Ibidem, s. 67.

walka ta przybierała formę barbarzyńską. Walczące ze sobą strony grabiły, siekły, wycinały w pień załogi twierdz, dopuszczając się najokrutniejszych form walki. Zarówno informacje dotyczące walki z oddziałami Pugaczowa, jak i relacje etnograficzne, opisy miast i przyrody oraz stosunków społecznych panujących wówczas za Uralem czynią ze wspomnień Chojeckiego ważne źródło o charakterze historycznym. Nie bez przyczyny więc weszły one w obieg naukowy pośród tych badaczy, którzy zajmują się stosunkami polsko-syberyjskimi w XVIII stuleciu.

Kobiety tatarskie

W swoich wspomnieniach pisze o klimacie i przyrodzie, charakteryzuje uciążliwości żołnierskiego życia, opisuje mniejsze i większe miejscowości. Podaje, że w Tobolsku, Kazaniu i wielu innych okolicach spotykał

> wiele naszych Polaków, starych już mocno, w różnych tam stanach znajdujących się od kilkudziesiątków lat zabranych, którzy w rewolucji Stanisława Króla Leszczyńskiego dostawszy się w niewolę, nie mieli już swego wybawienia; przerażał nas strach niejednego, obawiając się podobnego niebezpieczeństwa[42].

Szczególne jednak zainteresowanie budziły w Chojeckim nieznane mu ludy Wotiaków, Czeremisów, Tatarów syberyjskich, Kirgizów (Kazachów), ich życie codzienne, ubiory, mieszkania, zwyczaje i obyczaje. Oto np., jak scharakteryzował Tatarów spotkanych ma zesłańczym szlaku:

> Prowincja Tatarów kirgiskich na mil sto rozciąga się. Naród ten mieszka w stepie pustym bez żadnych budynków, chleba nie jedzą, ani żadnego rolnictwa nie znają, szczególnie tylko mlekiem i mięsem żyją, bydła mają aż nazbyt wielki dostatek, ponieważ gospodarz jeden może mieć 5000 baranów, 2000 bydła rogatego, 1000 lub więcej koni i 300 lub 400 wielbłądów. Mieszkania ich *per modum* namiotów, wojłokami nakrywane, mają takowe płoty drewniane na sprężynach żelaznych składane, które dokoła stawiają, na wierzch zaś mają krokwie z żerdzi na sprężynach zrobione, które także wojłokiem nakrywają z zostawioną dziurą do wychodzenia dymu ogniowego, który na środku palą. Mają kotły najwięcej żelazne, w których

[42] Ibidem, s. 74.

mięso gotują i miseczki małe na podobieństwo filiżanek, drewniane chińskie, którymi, gdy się ugotuje mięso, rosół piją, a potem same mięso jedzą. Niedługo oni na jednym mieszkają miejscu, gdyż bydła ich wielkość dla wypasania trawy potrzebuje częstego przeprowadzania się, a wtenczas dopiero, gdy się przeprowadzają, zbierają domy swoje i te na wielbłądy kładą i wynalazłszy mil kilka lub kilkanaście dostatek trawy na inne z bydłem swoim prowadzą się miejsce. Gospodarzów też nie mieszka w jednym miejscu nad sześciu lub siedmiu, gdyż ci wielką swą liczbą bydła na mil kilka zabiorą obszerności. Pieniędzy żadnych nie znają ani ich biorą, gdyż wszystkie potrzebne sobie rzeczy na zamianę bydła swego nabywają. Z Moskalami ustawicznie jarmarczą na zamian rzeczy z czasem kilkanaście, a bardziej kilkadziesiąt tysięcy bydła nad Irtysz rzekę przypędziwszy, przeprawiają się też Moskale do nich za Irtysz i tam z nimi na różne wymieniają towary za jedno tylko bydło, barany i konie, z niewypowiedzianym jednak zyskiem[43].

Cytowana relacja oddaje wiernie ówczesny sposób życia tubylczej ludności północnego Kazachstanu, zwanych przez pamiętnikarza Tatarami kirgiskimi, z zaznaczeniem rosyjskiej ingerencji na tych terenach i kolonizacji Syberii Zachodniej przez Rosję. Owo napomknienie, że jeden z miejscowych ludów przeprawiał się za Irtysz na jarmarki, jest potwierdzeniem istnienia wówczas osad w północnym rejonie kraju, czyli takiego właśnie zasięgu kazachskiego osadnictwa przed rosyjską ekspansją na te obszary, co nieraz bywa kwestionowane przez historyków rosyjskich.

Z wszystkim, co napisał Lubicz Chojecki, wypada się zgodzić, a ogólnikowość nie wyklucza prawdziwości informacji o ludności kazachskiej spotkanej na szlakach, którymi wędrował autor tych opisów. Są one prawdziwe i choć świat przedstawiony przez autora wydaje się trochę sztuczny, nie brak w nim jednak autentycznego obrazu życia ludności tubylczej i niebywałych losów autora. Pewne fragmenty jego pamiętnika mają coś z dramatycznych opisów z *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza, jak pisał o tym znawca literatury polskiego Oświecenia, wybitny historyk literatury i erudyta Mieczysław Klimowicz[44]. Wielostronność pamiętnikarskiego zapisu w takiej formie popularyzacji sama określa swoje znaczenie.

Wojownik tatarski

[43] Ibidem, s. 84–85.

[44] M. Klimowicz, *Oświecenie*, Warszawa 1973, s. 459.

Następcy konfederatów barskich

Wspomniano poprzednio o konfederatach barskich, w następnych zaś rozdziałach znajdują się informacje o żołnierzach napoleońskich, członkach stowarzyszeń Filomatów i Filaretów oraz Czarnych Braci, którzy jako zesłańcy znaleźli się na tzw. kazachskiej ścieżce i zapisali się w dziejach poznawania i zagospodarowywania Kazachstanu. Zesłania lat 1815–1830, zdaniem Jerzego Kozłowskiego, nie były liczne i zamykały się w granicach maksymalnie do 100 osób,

> i to łącznie z karnie odesłanymi do służby wojskowej na czas nieokreślony. Objęły one wyłącznie ziemie „zabrane", to jest położone na wschód od Królestwa Polskiego, bądź też Polaków pochodzących z tych ziem i uznanych za poddanych rosyjskich. W większości była to młodzież uniwersytecka i szkolna oraz niżsi rangą oficerowie, członkowie tajnych lub półtajnych organizacji, którzy płacili wysoką cenę za swą patriotyczną gorliwość i ideową postawę[45].

Podobnie jak w Wilnie czy Krożach na Żmudzi, w innych rejonach kraju młodzi ludzie, często uczniowie gimnazjów, zakładali patriotyczne stowarzyszenia. W takich właśnie formach organizowania się szukali obrony przed prześladowaniami i zniewoleniem w swoim, poddanym dyktaturze przemocy, młodym życiu. Uczestnicy tych stowarzyszeń poddawani byli represjom i zsyłani za Ural. Spotkało to np. **braci Ordyńskich** z gimnazjum w Białymstoku, członków Towarzystwa Przyjaciół Wojskowych[46].

O następcach konfederatów z końca XVIII i początków XIX stulecia, którzy otarli się o kazachskie stepy, nie zachowało się za wiele informacji. Wiadomo jedynie, że część wziętych do niewoli żołnierzy napoleońskich dotarła w te strony. Jeden z nich, **Melchior Witkowski**, w *Pamiętniku prostego żołnierza z lat 1812–1816* wspominał, że wieźli ich aż do

> miasta Omska, leżącego nad rzeką Irtyszem, gdzie ta rzeka graniczy z Syberią rosyjską i księstwem kirgiskim. Tam w tym mieście przenocowaliśmy. Nazajutrz poszliśmy do fortecy omskiej, gdzie pomiędzy miastem Omskiem a fortecą płynie rzeka pod nazwiskiem miasta Om. I ta rzeka wpada w Irtysz rzekę. W samym narożniku tej rzeki wpadającej jest forteca z czterema bramami. Idąc od miasta do fortecy nazywa się bramą omską. We fortecy będąc, miasto jest na północ i taż brama także na północ. Na wschód brama nazywa się irkucka, na południe tatarska brama nazywa się, na zachód nazywa się tobolska. […] Gdyśmy już byli przewiezieni przez rzekę Irtysz do księstwa Kirgizów, jakeśmy przyszli w ich stepy, widzieliśmy wiele wielbłądów stadami pasących się po stepach, średnich i małych. Gdy ten inwentarz na tym placu wyje trawę, powieszają sakwy na wielbłą-

---

45 J. Kozłowski, *Emigracja okresu schyłkowego Rzeczypospolitej szlacheckiej i porozbiorowa (do 1874 r.),* [w:] *Emigracja z ziem polskich w czasach nowożytnych i najnowszych (XVIII–XX w.)*, pod red. A. Pilcha, Warszawa 1984, s. 89.

46 J. Trynkowski, *Gimnazjum. Z dziejów Gimnazjum Białostockiego (1777) 1802–1915,* Białystok 2002, s. 146.

dy i wsadzają też w sakwy dzieci swoje i zajmują resztę inwentarza i pędzą dalej w stepy. I tak z miejsca na miejsce z całą familją. Te stare wielbłądy tak są uczone, gdy kto chce na nie wsiąść, to klękają na przednie nogi, jak tylko zawołają Kirgizy na nie *szałajkit*. My także jeździli na nich, gdyśmy szli przez ich księstwo, przez któreśmy szli tylko dni cztery. Przy granicy Syberii rosyjskiej ci Kirgizy chleb znają, ale w oddaleniu mil pięć lub sześć tam nie znają, tylko mięsem żyją, jako to końskim i wołowym; z mleka zaś kobylego robią napoje tak mocne, którymi się można upić, tak są tęgie. Dawali nam je do próbowania. Niektórzy mają na sobie adamaszkowe tołuby, w zawojach po turecku, z ogolonymi głowami, na wierzchu głowy cokolwiek włosów[47].

Wiadomo też np., że w tym mieście służył **Karol Ordyński**, uczeń gimnazjum w Białymstoku, skazany w 1827 roku na pięć lat robót w twierdzach, z jednoczesnym wskazaniem osiedlenia na Syberii po odbyciu orzeczonej kary „ciężkich robót". Karę tę odbywał początkowo w Omsku, następnie w Ust-Kamienogorsku, a potem w Semipałatyńsku. W 1830 roku uzyskał zgodę na służbę w Korpusie Syberyjskim, z którego został zwolniony w 1838 r. i przeszedł do pracy jako urzędnik w Tobolskim Urzędzie Gubernialnym, a następnie w innych miastach na Syberii, między innymi w Semipałatyńsku, gdzie mieszkał wraz z rodziną, również po zakończeniu służby i pracy zawodowej w administracji cywilnej[48].

Wielu Polaków wędrowało wówczas przez stepy Kazachstanu. Nie posiadamy w polskiej literaturze innych opisów z tego okresu. Problem polskiego opisania Kazachstanu, choć w różnym zakresie i dotyczący różnych treści, towarzyszy naszej rzeczywistości faktograficznej od początku badania dziejów Polaków na Syberii. Badając historię tych związków, zwłaszcza w wieku XIX, natrafiamy na zesłańców pełnych poświęcenia w poznawaniu społeczno-kulturowym i geograficznym tego rozległego kraju. Ich biografie zostały silnie wplecione w losy tej ziemi.

Słabością uniemożliwiającą pełniejszy opis ich losów był utrudniony w czasach ZSRR dostęp do materiałów archiwalnych. Po rozpadzie Związku Radzieckiego, gdy zaczęli się tym zajmować historycy niepodległego Kazachstanu, rokowania na pełniejsze poznanie związków polsko-kazachskich są coraz pomyślniejsze. Poszukiwanie optymalnej formy opisu tych związków wymaga współpracy uczonych polskich i kazachskich. Postulat ten ma również głębszy sens, bowiem odczytane po latach różne materiały z archiwów Kazachstanu ukazują polskie dziedzictwo naukowe i gospodarcze w tym kraju, wyznaczając dalsze cele badawcze.

---

47 M. Witkowski, *Pamiętnik prostego żołnierza z lat 1812–1816,* [w:] *Pamiętniki z lat 1792–1849*, opracował R. Grabałowski, Wrocław 1961, s. 63.

48 J. Trynkowski, *Gimnazjum…* op. cit., s. 146.

Czas filomatów i filaretów

Już w pierwszych latach porozbiorowych oraz po klęsce Napoleona wśród postępowych warstw społeczeństwa zrodziła się potrzeba podjęcia działań na rzecz zaznaczenia pewnych sfer narodowej suwerenności. Zainteresowanie tym wydaje się zrozumiałe, bo i z ówczesnej Rosji dochodziły wiadomości o walce z caratem podjętej przez dekabrystów, żądających wprowadzenia konstytucji i nowych elementów prawno-ustrojowych. Działania te szybko zakończyły się klęską, dając początek okrutnym czasom mikołajowskiej Rosji. Wywołały też oddźwięk w niektórych warstwach społeczeństwa polskiego odnoszącego się krytycznie do rzeczywistości panującej w carskim imperium. Toteż trudno się dziwić, że w ówczesnym środowisku młodzieży akademickiej Wilna ukształtowały się organizacje domagające się niezależności narodowej w zakresie kultury, kształcenia czy praworządności, dostrzegające wielki rozdźwięk między potrzebami narodowymi a duszną rzeczywistością narzuconą przez zaborcę. Najprawdopodobniej i jedno i drugie złożyło się na to, że coraz śmielej podnoszono te potrzeby, powołując w 1817 roku **Towarzystwo Filomatyczne** (Filomaci), które zostało założone przez grupę studentów Uniwersytetu Wileńskiego, głównie przez **Tomasza Zana**, **Adama Mickiewicza**, **Józefa Jeżowskiego** i **Jana Czeczota**, początkowo z programem samokształceniowym, później ekonomicznym i patriotycznym. Z czasem zyskali oni duży wpływ na młodzież studencką poprzez kierowanie związkami filialnymi, takimi jak Promieniści, Filareci czy Związek Przyjaciół.

Adam Mickiewicz

Jan Czeczot

Jesienią 1823 roku władze rosyjskie wykryły związek i po głośnym śledztwie i procesie (1824), skazano 20 osób na zesłanie w głąb Rosji, na osiedlenie i służbę wojskową. Różnie układały się ich zesłańcze losy, rezonujące do dni naszych w publikacjach dotyczących związków polsko-syberyjskich.

Tomasz Zan

Tomasz Zan

Rozwińmy tu ten wątek poprzez pokazanie losów **Tomasza Zana**, który wpisał się w badania przyrodnicze i etnograficzne na południowo-zachodnim pograniczu Kazachstanu[49].

Urodził się on (1796) w Miasocie nieopodal Mołodeczna na Litwie, w zacnej rodzinie ziemiańskiej, w której żywe były tradycyjne normy wychowania patriotycznego. Dla ożywienia tego życiorysu dodajmy, że jego niespełnioną miłością była Maryla Wereszczakówna, co niemal nie zniweczyło jego przyjaźni z Adamem Mickiewiczem. W 1817 roku był jednym z głównych współzałożycieli Towarzystwa Filomatów, a w 1820 roku założył Zgromadzenie Przyjaciół Pożytecznej Zabawy, czyli Towarzystwo Promienistych, dlatego też zyskał w gronie przyjaciół przydomek „Promienisty". Nie stronił także od innych patriotycznych przedsięwzięć i stanął na czele Towarzystwa Filaretów. Był centralną postacią tych akademickich stowarzyszeń, wyróżniającą się indywidualnością w programowaniu interesujących ich zadań, w których odciskały się ślady jego autorytetu, uczciwości i otwartości na potrzeby otaczającego go środowiska. Dał temu wyraz Jan Czeczot, pisząc:

On pierwszy serca swego słodkiemi przymioty
Przyciągnął nas za sobą, a szedł drogą cnoty
Bawiąc się z nim – wspólnyśmy żywot polubili
Wśród igraszek – wielkieśmy rzeczy umyślili.

Owocem zbiorowego trudu obu tych organizacji był patriotyzm, uszanowanie niepodległości i wspólnoty narodowej jako najbardziej istotnych norm współżycia społecznego, które już u początku ich działalności zakwestionowane zostały przez zaborcę. Ideowe formy działalności Filomatów i Filaretów zostały niebawem przerwane w wyniku aresztowań i śledztwa wdrożonego przez satrapę Nikołaja Nowosilcowa (1761–1836), reakcyjnego polityka, zaciętego przeciwnika autonomii Królestwa Polskiego, kuratora wileńskiego środowiska naukowego, inspiratora śledztw (1823) przeciwko patriotycznej młodzieży akademickiej Wilna.

Tak więc ustała działalność tych organizacji, a w wyniku toczącego się śledztwa **Tomasz Zan** został zesłany w głąb Rosji. Początkowo więziony był w twierdzy Kizył, a w 1824 roku zesłano go do Orenburga, gdzie przebywał 13 lat. Mimo statusu

---

[49] W. Jewsiewicki, *Batyr. O Janie Witkiewiczu 1808–1839*, Warszawa 1983; tenże, *Stowarzyszenie „Czarnych Braci" w Krożach na Litwie i kazachstańskie losy jego członków,* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, op. cit., s. 81–96.

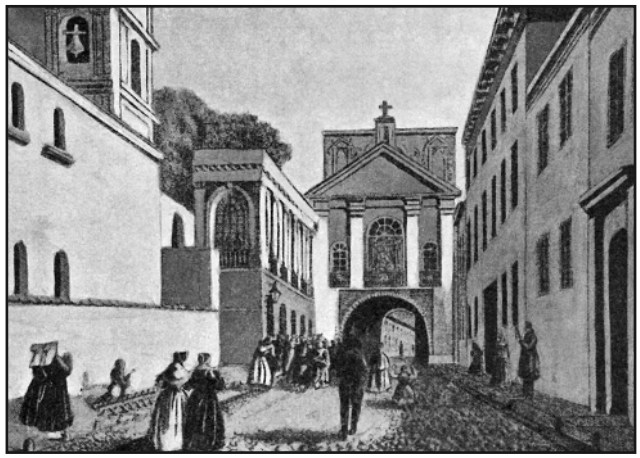

Ostra Brama z czasów Mickiewicza (po lewej) oraz klasztor OO. Bazylianów w Wilnie (po prawej)

zesłańca, z powodu braku wykształconych kadr, został skierowany do pracy w kancelarii generała-gubernatora Wasyla Perowskiego. Tak zwana linia orenburska stanowiła wówczas pasmo twierdz wojskowych graniczących od południa ze stepami Kazachstanu i niespokojnymi chanatami Azji Środkowej skutecznie uniemożliwiającymi przez pewien czas rosyjskie wyprawy kolonizacyjne na te tereny.

Adam Suzin

Adam Suzin (1800–1879), student Uniwersytetu Wileńskiego, skazany został po procesie filaretów na 5 lat pobytu w twierdzy Kizył, leżącej około 70 km od Orenburga. Po odbyciu kary został zesłany na krótko do Orska. Potem zaś, już na przymusowym osiedleniu, przebywał do 1837 roku w Orenburgu, gdzie był urzędnikiem w Komisji Granicznej.

Suzin był na zesłaniu wiernym przyjacielem Zana, stale wspomagającym go w terenowych eksploracjach.

Ks. Michał Zielonka

Ks. Michał Zielonka, prefekt szkół dominikańskich na Litwie i Białorusi, za obronę ucznia oskarżonego o działalność polityczną został zesłany w 1833 roku do Orenburga na zamieszkanie pod dozorem policyjnym[50].

Uwolniono go od kary w 1839 roku. Jednakże do końca życia (1860 roku) pozostał w Orenburgu, z poświęceniem służąc wiernym.

---

[50] A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny,* Poznań 2000, s. 397.

Czarni Bracia

Wyraźny ślad w historii związków polsko-kazachskich pozostawili członkowie tajnej organizacji Czarni Bracia z miasteczka Kroże na Litwie zesłani do twierdz leżących na tzw. linii orenburskiej. Byli to młodzi ludzie z miejscowego gimnazjum, którzy swoje patriotyczne ideały wyrażali kontestowaniem carskich porządków i rusyfikacji procesu nauczania.

Organizacja utworzona została przez **Jana Witkiewicza** w tym czasie, gdy działała w Wilnie Komisja Śledcza Nowosilcowa, powołana po ujawnieniu działalności patriotycznej młodzieży akademickiej, prowadzonej w ramach Towarzystwa Filomatów i Filaretów. Śledztwo objęło także młodych gimnazjalistów z Kroż, prawdopodobnie po otrzymaniu donosu o niepokornej grupie uczniów snujących mrzonki o niepodległości. Aresztowanych przywieziono do Wilna i w lutym 1824 roku, po ponadmiesięcznym śledztwie, sąd wojskowy pod przewodnictwem gen. Grigorija Rosena orzekł surowe wyroki. Za założycieli Stowarzyszenia uznano **Cypriana Janczewskiego** i **Jana Witkiewicza**, uczniów czwartego kursu. Za winnych nieprawomyślności wobec władz uznano także **Wiktora Iwaszkiewicza**, **Alojzego Pieślaka**, **Mikołaja Suchockiego** i **Feliksa Zielenkiewicza**.

Dwu gimnazjalistów – C. Janczewskiego i J. Witkiewicza – jako najbardziej winnych, skazano na karę śmierci, pozostałych na dożywotnie ciężkie roboty i zesłanie. Wyrok ten został złagodzony przez Wielkiego Księcia Konstantego. Dwaj młodzieńcy uratowali życie i podobnie jak pozostali, wcieleni zostali do garnizonów stacjonujących na linii orenburskiej na pograniczu stepów kazachskich. Uciążliwością tej kary była między innymi bezwzględność regulaminów wojskowych, przewidujących np. karę chłosty, a także i to, że zesłańczy marsz odbywali w kajdanach.

Cyprian Janczewski

Zakuto ich w kajdany i zesłano do Orenburga, dokąd wędrowali przez siedem miesięcy, doświadczając po drodze wielu upokorzeń. Alojzy Pieślak tak wspomina podróż do miejsca przeznaczenia:

> szliśmy zakuci w ciężkie pudowe [pud = 16,38 kg – A.K.] łańcuchy, które przyczyniały nam w drodze okrutnych mąk, zarówno wskutek nie przywyknięcia do ich noszenia i używania, jak i na skutek zbyt dużej wagi w stosunku do naszych osłabionych sił, co dawało się we znaki w czasie długich przemarszów od jednego etapu do drugiego[51].

[51] *Zapiski Pieślaka. Soobszczenije M.W. Łosiejewskiego*, „Istoriczeskij Wiestnik" 1883, t. XIII, nr 9, s. 578.

Po przybyciu do Orenburga czterej przyjaciele zostali rozdzieleni i przekazani do służby w ramach Samodzielnego Korpusu Orenburskiego. Wiktor Iwaszkiewicz został przydzielony do Troicka, Alojzy Pieślak do Wierchnie-Uralska, Mikołaj Suchocki do Zwierinogołowska nad rzeką Tobol, a Jan Witkiewicz do twierdzy w Orsku. Służba w fortecznych batalionach nie należała też do łatwych. Żołnierzy srogo karano za naruszanie surowej dyscypliny, a niekończące się musztry i bezsensowne zajęcia koszarowe były często przyczyną załamania psychicznego.

Taras Szewczenko w swoim „Pamiętniku" przedstawił sprawę obrazowo: „Żołnierze – to najbiedniejszy i najnędzniejszy stan w naszej prawosławnej ojczyźnie. Zabrano im wszystko, co upiększa życie: rodzinę, ojczyznę, wolność – słowem wszystko"[52].

Młodzi krożanie na zesłaniu

Młodzi krożanie narażeni byli na jeszcze większe dolegliwości w żołnierskiej służbie. Oto bowiem skazano ich pierwotnie na dożywotnią wojaczkę, bez prawa awansu i z pozbawieniem szlachectwa, co połączone było z poniżającymi karami, zwłaszcza chłosty wymierzanej kijami przez dwuszereg żołnierzy, przez który przechodził skazany. Na szczęście żadnego z nich nie dosięgnął ten szczególny rodzaj kary.

Przypomnijmy, że najmłodszy z gimnazjalistów miał 16 lat i został skazany na „dozgonne przebywanie w wojsku bez prawa awansu". Koszmar! Rozlokowani w batalionach na tzw. linii orenburskiej, narażeni byli nie tylko na surowość dyscyplinarną żołnierskiego życia, ale także na ciągłe wymarsze w stepy, by chronić rubieże carskiej monarchii przed napadami plemion kazachskich. Ponadto stepy kazachstańskie stanowiły obszar, przez który wiodły szlaki komunikacyjne z Rosji do państw Azji Środkowej. Kupieckie karawany, wyprawy dyplomatyczne, wędrówki eksploracyjne uczonych wymagały żołnierskiej ochrony. Przeto i służący w tych batalionach Polacy często wyruszali na ten niebezpieczny szlak.

Wędrujące tzw. bucharskim szlakiem karawany narażone były na rabunki. W celu ochrony posiadały one konwoje wojskowe, nieraz dobrze uzbrojone i liczne. Bywało jednak, że i to nie pomagało w odstraszeniu rabusiów, znających wybornie teren i przystosowanych do walki na otwartym polu. Wiadomo na przykład, że w 1824 roku wyruszyła z Orenburga do Buchary duża karawana, którą osłaniała eskorta wojskowa złożona z 625 żołnierzy, posiadająca na wyposażeniu dwie armaty. I choć tubylcy bali się ognia z dział, nie udało się uchronić karawany.

Oddziałem chroniącym karawanę dowodził **pułkownik Stanisław Ciołkowski**, Polak w służbie rosyjskiej. Mimo iż ochrona była mocna, karawanę napadli Chiwańcy, Kirgizi i Turkmeni. Walczono przez trzynaście dni, wreszcie zdecydowano się na porzucenie towarów i wycofanie się. Podobnych przypadków było więcej na tym szlaku, a ponadto bywało i tak, że rozzuchwalone zwycięstwem tubylcze

---

[52] Za: A. Kijas, *Polacy w Kazachstanie. Przyszłość i teraźniejszość*, Poznań 1993.

hordy napadały na osiadłych wzdłuż linii orenburskiej kolonistów rosyjskich. Być może, iż w niejednej z wypraw chroniących kolonistów brali udział młodzi krożanie, z pewnością zaś niejeden Polak wcielony do carskiej armii.

Na przełomie roku 1829/1830 w warunkach życia trzech zesłańców, A. Pieślaka, W. Iwaszkiewicza i J. Witkiewicza, zaszły duże zmiany. Zostali mianowani na podoficerów z prawem pobierania żołdu, a co za tym idzie, nastąpiła zmiana statusu żołnierskiego. O całej zaś sprawie zadecydował przypadek, tj. kontakt ze wspomnianym już uczonym niemieckim Aleksandrem von Humboldtem[53]. Otóż w Orsku, 7 września 1829 roku, przedstawiono mu sołdata Jana Witkiewicza jako znawcę języków tubylczych ludów, geografii i stepów kazachskich. Niemiecki badacz, zafascynowany zdolnościami młodzieńca oraz wszechstronną znajomością przez niego życia i spraw tubylczych, zapragnął pomóc żołnierzowi. Interesująco przedstawił to **Władysław Jewsiewicki** w książce *Batyr. O Janie Witkiewiczu 1808–1839*. W każdym razie zachowały się do naszych dni prośby A. von Humboldta, które skierował on do cara Mikołaja I w sprawie ulżenia polskim zesłańcom, wyrażając zarazem podziw dla ich hartu i poziomu intelektualnego. W pierwszej z nich, datowanej 25 listopada 1829 roku, pisał:

> Pięć lub sześć lat temu troje młodych ludzi ze szlachty, wychowanków gimnazjum w Krożach, w guberni wileńskiej, zostało zesłanych w sołdaty do oddalonych twierdz, w których dotąd znajdują się: w orskiej Iwan Witkiewicz, mający wówczas 14 lat, w wierchouralskiej Jelisiej (Alojzy) Pieślak, siedemnastoletni, i w troickiej – trzynastoletni Wiktor Iwaszkiewicz. W czasie ubiegłych pięciu lat wykonywali wszystkie obowiązki służbowe ku zadowoleniu swoich zwierzchników. Wyrażając skruchę za swoje winy, pokładali nadzieję w szlachetności i łasce monarszej[54].

Dalej prosił Humboldt o darowanie im kary, wskazując na to, by Witkiewicz, który posiadł wielką wiedzę o kulturze stepowych koczowników i znajomość ich języków, miał możliwości rozwoju swych zainteresowań. Po otrzymaniu odpowiedzi od cara z obietnicą ulżenia doli zesłańców, pisał ponownie:

> W złożonej przeze mnie petycji upraszałem o łaskę szybkiego awansowania na podoficerów następujących zesłańców, służących w twierdzach: Jana Witkiewicza w twierdzy orskiej, Alojzego Pieślaka w twierdzy wierchnieuralskiej, Wiktora Iwaszkiewicza w twierdzy troickiej. Wasza Cesarska Mość raczył mnie powiadomić, że los ich zostanie złagodzony. Prócz tego ośmielam się upraszać o łaskę przydzielenia do utworzonej w Orenburgu Komisji Granicznej Witkiewicza, który posiada wiele wiadomości, zdążył nauczyć się języków kirgiskiego i perskiego i jest lubiany przez zwierzchników[55].

---

53 Pisał o też o tym wrocławski etnolog. Zob. K. Zielnica, *Polonica bei Alexander von Humboldt ein Beitrag zu den deutsch Wissenschaftsbeziehungen in der ersten Hälfte des 19. Jahrhunderts*, Berlin 2004.

54 W. Jewsiewicki, op. cit., s. 83.Wiek spiskowców został zaniżony przez A. von Humboldta.

55 Cyt. za: W. Djakow, G. Sapargalijew, op. cit., s. 70.

Wstawiennictwo von Humboldta, wielkiego autorytetu moralnego i naukowego, skutecznie odmieniło los sołdatów.

Jan Prosper Witkiewicz

Do interesującego nas kręgu postaci należy **Jan Prosper Witkiewicz** (1808–1839), ów gimnazjalista ze Stowarzyszenia Czarnych Braci, skazany pierwotnie na karę śmierci, który po złagodzeniu wyroku odbywał karną służbę wojskową. Po latach awansował na oficera wykonującego szpiegowskie misje w Afganistanie i Persji.

Urodził się w Poszawszu na Litwie, rodzinnym gnieździe Witkiewiczów. Dwór ten, podobnie jak wiele innych na terenie ówczesnej Litwy Obojga Narodów, był miejscem, z którego emanowały patriotyzm oraz dążenia do narodowej wolności.

Jan Witkiewicz

Ówczesny etos szlachecki cenił ponad wszystko wolność i tradycją było przekazywanie tych ideałów kolejnym pokoleniom. W takiej to atmosferze wyrastał przyszły zesłaniec, znawca kultur ludów Wschodu, postać ciekawa i zagadkowa zarazem. Dom rodzinny zapewnił mu staranne wychowanie i szacunek dla wolności. Potem zaś, gdy nastał czas nauki w gimnazjum w Krożach, był on współzałożycielem stowarzyszenia o nazwie „Czarni Bracia", którego członkowie zamierzali pospieszyć z pomocą uwięzionym w Wilnie filaretom.

Związek ten uznany został przez carski aparat represji za buntownicze sprzysiężenie, zatem i wyroki w odniesieniu do jakże młodych „spiskowców" były srogie. Myślę, że były to jedne z rzadszych form represji, które w owym czasie spadły na młodych spiskowców, pozbawione wymiarów penitencjarnej rzeczowości. Bo kto z tych, tak srodze ukaranych młodych ludzi, mógł stanowić zagrożenie dla carskiego despotyzmu? Jednak zagrożenie to było praktycznie wyolbrzymiane przez satrapę Mikołaja Nowosilcowa.

Dzięki interwencji von Humboldta Witkiewicz został zwolniony ze służby żołnierskiej w fortecznych batalionach i otrzymał zatrudnienie w Komisji Granicznej w Orenburgu, wykonując z jej ramienia różne misje, daleko wykraczające poza funkcję tłumacza, którą oficjalnie pełnił.

Wiktor Iwaszkiewicz

Czas wspomnieć o kolejnym Czarnym Bracie skazanym na służbę wojskową na tzw. linii orenburskiej, Wiktorze Iwaszkiewiczu (1806–1859?). Podobnie jak inni z tego grona, służył on w jednym z batalionów fortecznych, skąd dzięki wspomnianemu już wstawiennictwu von Humboldta przeszedł do służby w Orenburskiej Ko-

misji Granicznej. Szybko awansował – w marcu 1830 otrzymał stopień podoficerski, w kwietniu 1835 awansował na stopień chorążego, a w lipcu 1839 roku został mianowany porucznikiem. Począwszy od 1830 roku wykonywał funkcje urzędnicze we wspomnianej już Komisji Granicznej, w ramach której opracowywano różne warianty gospodarczo-wojskowego penetrowania stepów kazachskich i dalszych obszarów Azji Środkowej. Najprawdopodobniej służba ta szła mu dobrze, gdyż w kwietniu 1842 roku został mianowany adiutantem szefa sztabu Samodzielnego Korpusu Syberyjskiego stacjonującego w Omsku.

Alojzy Pieślak i inni

Pomijając drobiazgowe kreślenie losów Czarnych Braci z Kroż, nieco wiadomości podać też należy o Alojzym Pieślaku (1805–1881), który po przybyciu do Orenburga skierowany został do 6. batalionu liniowego kwaterującego w Wierchnieuralsku. Nie było tam łatwo, doskwierał mu brak pieniędzy, więc imał się różnych zajęć: udzielał lekcji, zanim mu tego nie zabroniono, robił szczotki lub naprawiał buty. Rozmiłowany w przyrodoznawstwie, podziwiał stepową roślinność i gromadził kolekcje botaniczne. We wspomnieniach pisał, że wystarał się o to, by z uniwersytetu wileńskiego przysłano mu podręczniki na ten temat. Otrzymał je, a ponadto, jak informował:

Alojzy Pieślak

> W czasie wolnym od obowiązków służbowych, uczyłem dzieci czytania i pisania, po 10–12 kopiejek na miesiąc od ucznia. Po trzech latach zabroniono mi dawania lekcji. Dla zarobku szyłem buty, robiłem na drutach rękawiczki i pończochy itp., a dla zadowolenia własnego zacząłem studiować przyrodoznawstwo i zbierać kolekcje roślin. Z uniwersytetu [wileńskiego – A.K.] przysłano mi niewielki zasiłek w formie pieniędzy oraz niezbędne podręczniki przyrodoznawcze, które jednak zabrano mi, przy czym zabroniono również zbierania roślin i owadów, co lubiłem najbardziej i każdą wolną chwilę tym zajęciom poświęcałem. (Mimo to – A.K.) Zbiór ten powiększał się i liczył wiele okazów botanicznych, mineralogicznych i entomologicznych[56].

Wartość jego działalności na niwie przyrody dostrzegł von Humboldt, z którym znajomość odmieniła trudny los naszego zesłańca. Dzięki poczynionym przezeń staraniom Pieślak został awansowany na podoficera.

---

[56] *Zapiski Pieślaka…*, op. cit., s. 583–584.

Po zakończeniu służby imał się różnych zajęć poszukując życiowej stabilizacji z dala od kraju. Ożenił się z Rosjanką i zamieszkał w jej folwarku Aleksiejówka opodal Birska, zajmując się rolnictwem. Rzec można, że czynił to z zamiłowaniem, znajdując uznanie wśród lokalnej społeczności.

Z wielkiej gęstwiny spraw polskich na syberyjskim zesłaniu w okresie do powstania listopadowego można wyłuskać wiele innych nazwisk prostych żołnierzy służących w twierdzach na pograniczu z Kazachstanem, zwłaszcza w Kraju Orenburskim. Ich służba, oprócz uciążliwości i niebezpieczeństw, nie wyróżniła się czymś szczególnym w sensie zdobywania wiedzy o stepowych ludach i ich kulturze, zatem i pamięć o nich zetlała po latach, rzec można – czas zatarł ślad.

Jedno jest pewne, że nasi rodacy nadstawiali głowy za „ruskie sprawy, choć nie szukali śmierci na obcej ziemi". Wręcz przeciwnie, służba ich była poniewolna. Przybyli tu z dalekiego kraju, o którym w kazachskich stepach nikt nie słyszał. Zniewoleni przez Rosjan, za Rosjan byli uważani przez Kazachów, którzy niejednokrotnie wielu z nich pojmali w niewolę. Czy trafiali na targ niewolników do Buchary? Nikt o tym jednoznacznie zaświadczyć nie może, ale odnalezienie w tym mieście przez J. Witkiewicza owego **Michalskiego spod Zamościa** dowodzi, iż i tędy wiodły polskie drogi do niewoli, na poniewierkę i zatracenie. Jest to szczególnie prawdziwe w wypadku Polaków służących na tzw. linii orenburskiej, uczestniczących nieraz w konwojowaniu rosyjskich karawan do Chiwy i Buchary. Wtenczas bowiem najwięcej z nich popadło w niewolę, gdyż łupieżcze bandy Turkmenów, Kajsaków czy Chiwańców wybornie radziły sobie w stepowym kraju i mało kiedy napadnięta karawana potrafiła się skutecznie obronić.

Łupem padały nie tylko towary, ale i ludzie, którzy na bucharskim targu niewolnikami także byli towarem, i to o szczególnej wartości. Można przyjąć za pewnik, że z tak odległych stron już się nie wracało.

4.

Powstanie listopadowe i okres popowstaniowy

Nieszczęsne wydarzenia powstania listopadowego to bodaj pierwsza w XIX stuleciu masowa zsyłka Polaków w głąb Rosji. Szacuje się na podstawie niedokładnych materiałów, że objęła ona **około 20 tysięcy osób** i prawdopodobnie około dwóch tysięcy z tej liczby skierowano do oddziałów wojskowych wchodzących w skład Korpusu Orenburskiego. Dodać do tego jeszcze trzeba powstańców wcielonych do wojsk kozackich, których długoletnią służbę regulowały określone dekrety wojskowe.

Po **powstaniu listopadowym kazachską ścieżką wędrowali kolejni zesłańcy** przeznaczeni do służby w twierdzach przygranicznych, takich jak **Kizył, Orenburg, Orsk, Omsk** i innych, stanowiących spójny system umocnień rosyjskich. Ilu ich było, nie wiadomo, nikt do tej pory nie zdołał policzyć osób rozesłanych po wielu rejonach azjatyckiej części Imperium. Wiadomo jednak, że część trafiła do wojska, sporo skazano na przymusowe osiedlenie, a byli i tacy, którzy trafili na katorgę. Wszyscy oni, i ci znani z imienia i nazwiska, i ci, którzy bezimiennie utonęli w zesłańczej masie, przyczynili się w jakimś stopniu do umocnienia rosyjskiego włodarzenia zauralskimi obszarami, a bywało i tak, że wbrew sobie mieli swój udział w poznaniu historii i kultury krajów leżących na rosyjskim kierunku kolonizacyjnej polityki. Uświadomienie sobie złożoności tej kwestii prowadzi do refleksji nad statusem jednostki w tej niełatwej sytuacji. W dodatku służba „orenburczyków" nie należała do bezpiecznej i wielu z nich zostawiło swe kości na obcej ziemi.

Charakterystycznym elementem świadomości polskiej czasów popowstaniowych było spiskowanie przeciw zaborcy i przeświadczenie, że tylko niegodziwiec może poddać się bezwolnie rządom carskich namiestników. Ożywiły się kontakty z emigracją, zwłaszcza francuskie środowiska Polaków słały do kraju swych emisariuszy, by jednoczyć naród przeciwko zaborcy. Wedle zapisków carskiej ochrany nasilenie tego ruchu było tak duże, że stało się wręcz niemożliwe, by w pełni kontrolować polskie nastroje przeciwko caratowi. Tak było istotnie i tylko część spiskowców została aresztowana, inni natomiast rozwijali swoją działalność, krzepiąc ducha narodowego[57].

---

[57] Dokładniej o tym zob.: W. Djakow, A. Gałkowski, W. Śliwowska, W. Zajcewa, *Uczestnicy ruchów wolnościowych 1832–1855 (Królestwo Polskie). Przewodnik biograficzny,* Wrocław 1990.

X Pawilon Cytadeli Warszawskiej – centralne więzienie śledcze dla więźniów politycznych, gdzie urzędował sąd wojenny

Różne formy walki z caratem często kończyły się zesłaniem. Miało ono różnorodny charakter: zesłanie na osiedlenie, katorga, karne bataliony bez prawa awansu, służba w regularnych jednostkach liniowych, uczestniczących w walkach z tubylcami Azji Środkowej, Kaukazu czy Syberii.

Temat ten naświetlił **Walerian Staniszewski** w książce *Pamiętnik więźnia stanu i zesłańca* aresztowany w Warszawie za czytanie patriotycznych książek i zesłany do Kazachstanu, do twierdzy w Orsku w 1849 roku do służby w karnych batalionach.

> Kilka dni przebyłem we wspólnych koszarach, powołano mię nareszcie na moje właściwe stanowisko: do komendy smarowozów* czyli fursztatów**, którzy zajmowali się tak zwaną w tych stronach ziemlankę na słobodce. Słobodką nazywa się osada oddzielona od reszty zabudowań fortecy, zwykle położona poza jej murami i stanowi jakby przedmieście. Ziemlanka zaś jest to jama wykopana w ziemi boki jej wyłożone są deskami lub okrąglakami, albo też wylepione gliną; nad powierzchnię ziemi wygląda tylko dach, a właściwie tylko komin. Wszedłszy do tej jamy uczułem jakiś wstręt i zgrozę na myśl że to ma być moje mieszkanie. […] Obszerność tego pomieszkania wynosiła mało co więcej nad 2 sążnie wzdłuż i tyleż w poprzek. Przy dwóch ścianach urządzone były prycze, na których sypiali żołnierze komendy – w jednym kącie stał piec ogromny; tym sposobem na środku izby zostawało bardzo mało wolnego miejsca. Wagenmejster*** i dwóch żołnierzy mieli swoje łóżka ustawione na pryczach. Jeden z tych żołnierzy przez grzeczność ustąpił mi swego łóżka, cała więc wygoda ograniczała się na tym, że śpiąc nie miałem bar-

* Spełniło się więc to, co w żarcie przepowiedziałem sobie będąc jeszcze w Cytadeli.

** Fursztat – komenda furmanów w wojsku; służba fursztacka – należąca do pociągu, do furgonów wojskowych.

*** Wagenmajster – wagmeister – oficer dozorujący zaprzęgi wojska, oboźny.

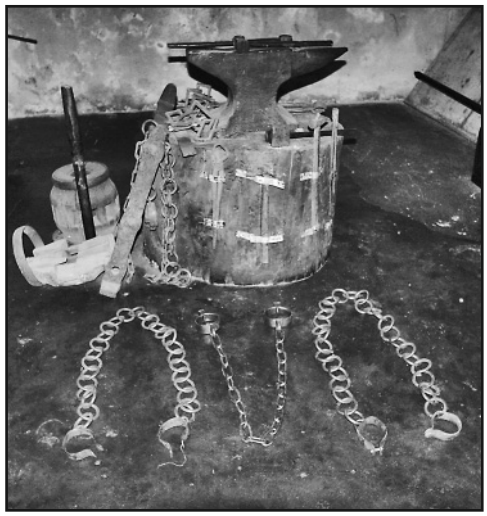

Miejsce w X Pawilonie, gdzie zakuwano więźniów w kajdany (po lewej) oraz cela w X Pawilonie (po prawej). Okna w celach zamalowane były na biało. Więźniowie byli izolowani, przetrzymywani pojedynczo, nękani obezwładniającą samotnością

dzo bliskiego sąsiedztwa, które nie bardzo było przyjemnym. Ale też dzień i noc musiałem siedzieć tylko albo leżeć w swoim państwie, bo na przechadzkę po izbie ani dwóch kroków przestrzeni nie było. Jeżeli pogoda nie była na przeszkodzie, to chodziłem do kolegów mieszkających w koszarach batalionowych, ale wolność moja w tym względzie była bardzo ograniczoną, bo przy każdym wyjściu musiałem prosić o pozwolenie swego zwierzchnika wagenmejstra. Ale że był to człowiek ponury, nieprzychylny dla mnie, w ostateczności więc tylko udawałem się do niego z prośbą, kiedy potrzeba ruchu i świeżego powietrza znaglała mię do tego[58].

[…] Wyłącznym tedy moim zatrudnieniem była kolejna służba przy koniach, tj., że z rana trzeba było przepędzić wszystkie konie do wody, potem oskrobać je zgrzebłem z nieczystości, następnie zadać im siana, bo owies widywały tylko podczas ciężkiej pracy, co zdarzało się bardzo rzadko, (albo w czasie lustracji batalionu). W południe i wieczorem powtarzało się pojenie koni i podawanie im siana. W nocy jeden dyżurny spał przy koniach na zmianę. Z całej służby fursztackiej noclegi te były częścią najuciążliwszą. Stajni we właściwym znaczeniu nie było, konie stały w ogrodzeniu pod gołym niebem i tam też sypiał dyżurny, chociaż mróz nieraz 30° przechodził. Do tych noclegów było urządzone legowisko w saniach okrytych z wierzchu wojłokiem, wysłanych wewnątrz sianem; dla dyżurnego był kożuch skarbowy, ale długoletnią służbą zużyty niewiele dawał osłony i ciepła, trzeba więc było mieć swoją ciepłą odzież, zawinąć się w nią razem z głową i nogami i leżeć nieruchomie nie wytykając nawet nosa, dopóki drugi dyżurny nie przyszedł na zmianę[59].

---

58 W. Staniszewski, *Pamiętniki więźnia stanu i zesłańca*. Tekst do druku przygotowali A. Gałkowski i W. Śliwowska. Posłowiem i przypisami opatrzyła W. Śliwowska, Warszawa 1994, s. 198.

59 Ibidem, s. 199–200.

Dzięki staraniom siostry w 1851 roku Staniszewski został zwolniony ze służby wojskowej. Tak oto komentował ten fakt: „Wydostałem się na przestwór, w którym mogłem znowu poczuć się człowiekiem, obdarzonym wolą i uczuciem". Jego wolność skrępowana była jednak brakiem możliwości powrotu do kraju i warunkiem podjęcia służby cywilnej w Kraju Orenburskim. Przeniósł się do Orenburga i został zatrudniony w kancelarii gubernatora jako pisarz za 5 rubli miesięcznie. Suma ta nie wystarczała na życie i dodatkowo posiłkował się dawaniem lekcji.

Do interesującego nas kręgu wydarzeń dodać trzeba liczną rzeszę zesłańców, którzy znaleźli się w głębi Kazachstanu bądź na linii orenburskiej, wywodzących się z kręgu uczestników ruchów wolnościowych na terenie Królestwa Polskiego – takich jak np. **Stowarzyszenie Ludu Polskiego**, **Związek Młodzieży Litewskiej** czy **spisek Szymona Konarskiego**. Upadek powstania listopadowego ożywił w parę lat po tym wydarzeniu ruch patriotyczny w Królestwie wśród młodzieży uczącej się oraz inteligencji. Raz po raz odbywały się procesy i w te nieszczęsne lata międzypowstaniowe nowe zastępy zesłańców wędrowały w głąb Rosji.

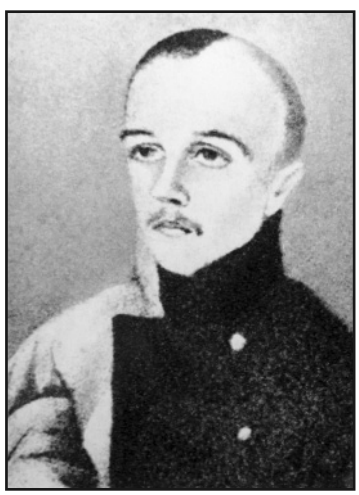

Szymon Tokarzewski

Szymon Tokarzewski za działalność patriotyczną w okresie międzypowstaniowym został zesłany do Ust-Kamienogorska i Omska. We wspomnieniach opisał niezwykle trudne życie w twierdzach.

Dwunastego listopada 1849 r. przed wieczorem, z oddali ośmiu wiorst ukazał się nam Omsk. Mówiliśmy do siebie: „chociażby Omsk był piekłem, a Krywcow wcielonym Lucyperem, już lepiej wejść do piekła i spotkać się z Lucyperem, byleby odpocząć cokolwiek". I konwojujące nas kozactwo dokuczyło nam strasznie, jak niemniej utrudził nas pięciotygodniowy pochód, zwłaszcza żeśmy, po największej części, szli w kajdanach.[…]
Waśka pienił się ze złości. Wreszcie taki wyszedł rozkaz:

– Ogolić jak należy, ubrać w „formową" odzież, zakuć po formie w kajdany i jutro przyprowadzić do mnie na „smotr" (czyli przegląd).
– Wasze Wysokobłagorodje, co rozkażecie zrobić z własnemi ich rzeczami? – zapytał Diagielew.
– Wszystko odebrać, opisać i sprzedać przez publiczną licytacyę, zebrane pieniądze użyć na polepszenie pożywienia aresztantów.
Takim filantropem był Waśka! – troszczył się o polepszenie pożywienia katorżników!... Raz jeszcze przemówił do nas z wymysłami, które zakończył pożegnaniem: Paszli won!

Nazajutrz zawołali nas do kordegardy, tam czekał cyrulik, który miał przekształcić nas na katorżników. Józik poszedł na pierwszy ogień. Przyznaję, że mnie zabrakło odwagi. Kiedy Józik pokazał się we drzwiach bez brody i wąsów, z połową ogolonej głowy, mimowoli zakryłem oczy. Daję słowo honoru, że ani matka, ani ojciec, zgoła nikt, z najbliższej rodziny, nie poznałby nas, tak pięknie byliśmy przeistoczeni! […]
Po wysłuchaniu napomnień i przestróg Waśki, poprowadzili nas do kuźni i w grube, ciężkie, okuli kajdany. W ordynanshausie następnie zrobiono spis rzeczy. Zabrano wszystko. Tylko po parze koszul Waśka zostawił nam, ze swej szczodrobliwości. Reszta została sprzedaną. Jak? kiedy? gdzie? kto je kupił? pozostało dla nas tajemnicą. Wiem tylko, że później, będąc na robocie w domu Waśki, na jego łóżku widziałem nasze safianowe poduszki, a jelonkowe ubranie Aleksandra Mireckiego, zabezpieczało członki Waśki od zimna[60].

Zesłaniec z ogoloną do połowy głową i jednym wąsem na obrazie A. Sochaczewskiego „Pożegnanie Europy" (fragm.)

Należy zwrócić uwagę, że przez cały wiek XIX w granicznych batalionach na terenie Kazachstanu znajdowało się oprócz zesłańców wielu rekrutów z poboru, a byli także oficerowie w służbie carskiej.

Jeden z nich, **Tadeusz Guzowski**, w 1854 roku na miejscu starej kazachskiej osady, **założył twierdzę Wiernyj, dzisiejsze miasto Ałmaty**. Była to w owym czasie jedna z nielicznych na tym terenie warownych osad, której załoga strzegła południowych rejonów tego obszaru. Służyli też polscy zesłańcy w jednostkach wojskowych wykonujących prace fortyfikacyjne, transportowe czy przy budowie dróg.

Z czasem wewnątrz tych rozległych ziem powstawały nowe rosyjskie twierdze, których załogi pilnie strzegły, by niepokorni Kazachowie czuli władztwo rosyjskich kolonizatorów. Już pod koniec wieku XVIII i następnie przez wiek XIX Polacy znajdowali się w składzie rosyjskich wojsk, walcząc niejednokrotnie przeciwko Kazachom. Niestety poza tym ogólnym stwierdzeniem, potwierdzanym zresztą w różnych źródłach, można powiedzieć, że nie wyróżniali się jakimiś ważnymi osiągnięciami podczas służby, zatem i o ich losach upływający czas zatarł ślad.

Zachowała się natomiast wiadomość utrwalona przez T. Zana o jednym z jeńców tej epoki, którego spotkał jako „**stuletniego Mieczkowskiego** barskiej konfederacji dzieje pomnącego"[61].

Różne były „przewinienia" skazanych – a to czytanie zakazanej lektury bądź jej kolportowanie, a to krytyczne wypowiedzi wobec zaborczych porządków, drobne spiskowanie przeciw zaborcy, planowanie lub udział w zamachach czy wreszcie działalność w patriotycznych stowarzyszeniach. Byli wśród nich uczniowie i studen-

---

60 *Siedem lat Katorgi. Pamiętniki Szymona Tokarzewskiego 1846–1857 r.,* Warszawa 1918.

61 Cyt. za: A. Kijas, *Polacy w Kazachstanie…*, op. cit., s. 17.

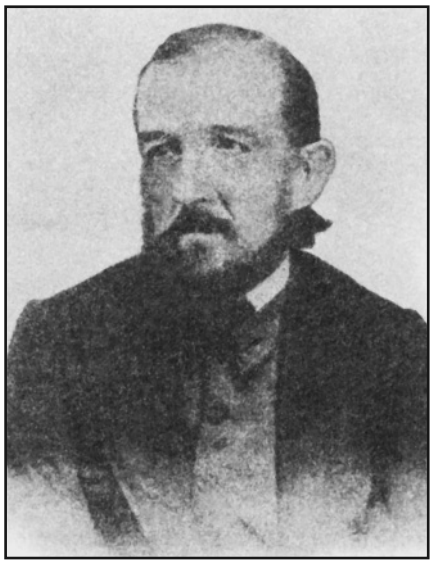

Szymon Tokarzewski

ci oraz ludzie różnych profesji, inżynierowie, lekarze, weterynarze, również księża.

Na przykład **Leon Kruszewski z Łodzi** skazany był „za czytanie z uczniami przestępczych utworów"; „za skłanianie umysłów do buntu" zesłano „w sołdaty" uczniów Szkoły Farmaceutycznej w Warszawie – **Seweryna Przewłockiego** i **Waleriana Staniszewskiego**[62]; „za bezprawne działania" skazano dwóch **księży – Czarnieckiego** i **Rymkiewicza**. „Za dezaprobatę prowadzonego stylu życia" znalazł się na zesłaniu **Edward Kuszewicz**, weterynarz z Wileńszczyzny, którego przeniesiono „na wszelki wypadek" do Troicka. **Adolf Kuczyński, powstaniec listopadowy**, który wcześniej umknął władzom z konwoju na trasie Dubno–Kijów, pojmany kolejny raz, wcielony został do wojska na orenburskiej linii. Powstańcem listopadowym zesłanym również w ten rejon był **wileński mieszczanin Antoni Kuczyński**. Na 15 lat służby w Korpusie Orenburskim skazano **zaliwszczyka Konstantego Kuczyńskiego**. Podobnych do nich były setki, za niepokornego wobec władzy uznawany był bowiem nawet prosty chłop, jakże często niepiśmienny, któremu wymknęło się jakieś słowo poczytywane za obraźliwe w stosunku do zaborcy. Różnie układały się ich losy, wobec dość specyficznych warunków pełnienia służby, i nie chodzi tu o tzw. koszarowe okoliczności, dyscyplinę i „kapralskie" połajanki, czyli o tzw. czynniki „karno-wychowawcze", lecz o rolę, jaką odgrywały te oddziały na olbrzymich obszarach pogranicza rosyjsko-kazachstańskiego.

Ciężko więc i powoli wlokły się dni, miesiące i lata tej wojaczki w granicznych kordonach. Wszyscy odbywający ją wbrew swej woli, „dotykali" rzeczywistości istniejącej w stepach kirgiskich, brali udział w walkach z „obcoplemieńcami", podporządkowując ich władzy rosyjskiej[63].

W takich trudnych warunkach zniewolenia nawiązywano pierwsze kontakty polsko-kazachskie. Wprawdzie w okresie tym Kazachstan pozostawał na uboczu zesłańczych traktów, wiodły one bowiem przede wszystkim na Syberię, niemniej jednak w twierdzach, które rząd carski budował na terenach graniczących ze stepami kazachskimi, przebywało wielu Polaków odzianych w żołnierskie szynele i biorących udział w wyprawach na teren dzisiejszego Kazachstanu.

---

62 W. Staniszewski, op. cit., s. 199–200.

63 W. Śliwowska, *Polacy na linii…*, op. cit., s. 69–79.

Adolf Januszkiewicz

Januszkiewicza zesłano na Syberię za udział w powstaniu listopadowym[64]. W 1832 roku został skazany na utratę szlachectwa, wszelkiego majątku i *posielenie* na Sybirze.

Autor w jednym z listów opisuje sytuację *posieleńców*.

Adolf Januszkiewicz

Posieleńcy, czyli osadnicy, za karę przeznaczeni zaludniać Syberyą, są dwojakiego rodzaju: zwyczajni i polityczni. Położenie tych ostatnich, już pod samym tylko względem przepisów prawa, daleko jest cięższe.

Przestępca pospolity, złodziej naprzykład, przybywszy do włości wskazanej mu przez Zarząd posieleńców (Prikaz o ssylnych), może zaraz zająć się rolnictwem albo zarobkowaniem, do lat trzech żadnego nie płacąc podatku. Jeżeli chce osiąść na miejscu, dostaje 15 dziesięcin ziemi; jeżeli zaś przedsiębierze zarobkować, otrzymuje kartę do swobodnego krążenia w swoim obwodzie. […] Zawsze wolno mu korespondować wprost przez pocztę z rodziną i otrzymywać tyle pieniędzy, ile mu tylko będzie przysłano.

Przestępca polityczny, przywiązany jest do miejsca wyznaczonego mu pobytu i zostaje tam pod dozorem policyi. Może także otrzymać wydział ziemi i nawet po trzech latach nie płaci podatku, ale choćby mieszkał lat pięćdziesiąt, żadnych przez to prerogatyw nie nabywa. Dzieci jego prawe w Syberyi zrodzone, nie zaciągają się do skazek rewizkich, czyli spisu ludności wiejskiej i miejskiej, lecz też nie mają praw stanu, które ojciec utracił. Nigdy nie daje się jemu paszportu, tylko pozwolenie tak na przeniesienie się z miejsca na miejsce, jak na przyjazd do Tobolska. Musi podawać o to prośbę do samego gubernatora, wymieniając ważne przyczyny, za jakie w ostatnim razie uznane są dwie: ciężka słabość zdrowia i spowiedź. Niewolno mu mieć żadnej broni, chyba również za szczególnem dozwoleniem najwyższej władzy. Niewolno pisywać za granicę Syberyi i otrzymywać ztamtąd listów inaczej, jak przez ręce policyi. Tąż koleją może odbierać od rodziny różne posyłki: w rzeczach, jak naprzykład bieliznie, odzieniu i t.p. bez ograniczenia ilości, w gotowiznie zaś nie więcej nad 1,000 rubli assygnacyjnych na rok.

---

64 A. Kuczyński, *Ludy dalekie a bliskie. Antologia polskich relacji o ludach Syberii*, Wrocław 1989, s. 124–126; J. Odrowąż-Pieniążek, op. cit.; S. Makowski, *Adolf Januszkiewicz w świetle nowych odkryć*, „Przegląd Humanistyczny", 1969, z. 1; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy…*, op. cit., s. 235–236; A. Januszkiewicz, *Listy z Syberii.* Wybór, opracowanie i przypisy H. Geber, Warszawa 2003 oraz tegoż *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży*. Opracowała H. Geber, ze wstępem J.Odrowąż-Pieniążka i posłowiem J. Fiećki, Wrocław 2013.

Tak brzmią przepisy, które nietylko, jak wszelka litera prawa w Rossyi, są giętkiem prawidłem dla władzy wykonawczej[65].

Początkowo przebywał we wsi Żylakowa w guberni tobolskiej, a potem przez parę lat mieszkał w Iszymie. Wreszcie w 1841 roku osiadł w Omsku, gdzie pracował w kancelarii Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich. Urząd ten, zainteresowany penetracją ekonomiczną i polityczną stepów kazachskich, często wysyłał swych pracowników w teren. Dotyczyło to również A. Januszkiewicza, który w przyszłości dał się poznać jako kazachski „Długosz". Szli w dzikie ostępy, by tam nieść obietnicę carskiego imperium o wielorakiej pomocy dla krajowców. Nieraz zostawali w stepach na zawsze, osaczeni przez Kazachów broniących swej ziemi.

Gustaw Zieliński

Gustaw Zieliński

Zieliński – wybitny poeta, był uczestnikiem powstania listopadowego[66]. Po jego upadku uniknął zesłania, wyemigrował bowiem do Prus, skąd wrócił na prośbę ojca. Niebawem jednak ponownie sprzeniewierzył się zaborcy, udzielając pomocy rannemu partyzantowi z oddziału K. Borzewskiego i A. Zawiszy, powiązanego z partyzantką polistopadową J. Zaliwskiego. Odpowiadał przed sądem wojennym w Warszawie, który skazał go na pozbawienie praw stanu, konfiskatę majątku i bezterminowe osiedlenie. W rezultacie znalazł się w Iszymie. W 1834 roku wyruszył na zesłańczy szlak. Jechał pod eskortą i w kajdanach.

Wincenty Maciej Migurski

Członkiem żołnierskiej zbiorowości był Wincenty Maciej Migurski, uczestnik powstania listopadowego, który po jego upadku zdołał wyjechać do Francji. Niebawem jednak powrócił do kraju jako emisariusz organizacji emigracyjnej Zemsta Ludu, wspomagającej partyzancką działalność J. Zaliwskiego[67]. Aresztowany, zesłany został do Orenburga, a następnie wcielony do 1. Batalionu Liniowego Korpusu Orenburskiego rozlokowanego w Uralsku.

Po pewnym czasie przybyła do niego **Albina Wiśniowska**, a dominikanin, **ojciec Michał Zielonka**, połączył ich węzłem małżeńskim. Tam urodziło się im dwoje

---

65 *Żywot Adolfa Januszkiewicza i jego listy ze stepów kirgizkich*. Berlin – Poznań 1861.

66 M. Stogowska, *Wpisany w epokę. Gustaw Zieliński 1809–1881*, Płock 1996.

67 W. Djakow, A. Nagajew, *Partyzantka Zaliwskiego i jej pogłosy (1832–1835)*, Warszawa 1979.

dzieci, które wkrótce zmarły. Zrozpaczeni zaczęli myśleć o sposobie wydobycia się z niewoli. Albina obmyśliła formę ucieczki, zgłaszając władzom, że małżonek zaginął i najprawdopodobniej popełnił samobójstwo. Czas płynął, władze uznały Wincentego za zmarłego i postanowiły odłożyć sprawę *ad acta*, gdyż nawet wysłany za nim list gończy nie wyjaśnił tajemniczego zniknięcia. Żona „samobójcy" czyniła tymczasem przygotowania do ucieczki.

Albina Migurska

Mając zgodę na powrót do kraju, wynajęła powóz i 13 czerwca 1840 roku wyruszyła w drogę. Na dnie powozu ukryty był mąż i dwie małe trumienki potajemnie wykopane na cmentarzu. Powożący kozak spowodował wypadek na wyboistej drodze. Sprawa się wydała. Uciekinierów ujęto pod Saratowem. Sąd wojenny w Orenburgu skazał Migurskiego na służbę w 13. Batalionie Piechoty Korpusu Syberyjskiego w Nerczyńsku. Towarzyszyła mu żona, która zmarła tam 15 czerwca 1843 roku, a parę miesięcy później – urodzony w Nerczyńsku syn Konrad. Spoczęli w jednej mogile na obcej syberyjskiej ziemi.

Migurskiego objęła amnestia w 1857 roku i powrócił do kraju, gdzie zmarł w Wilnie w 1863 roku. Przedtem jednak spisał swoje wspomnienia, które ukazały się w wydaniu książkowym jako *Pamiętniki z Sybiru* (Poznań 1863). Na kanwie tych niecodziennych i jakże tragicznych losów Migurskiego i jego dzielnej małżonki powstały różne utwory literackie w języku rosyjskim, z najpopularniejszą nowelą Lwa Tołstoja pt. *Za co?* Ostatnio w kooperacji polsko-rosyjskiej zrealizowany został film fabularny, ożywiający pamięć Albiny i Wincentego Migurskich. Godni byli tego[68].

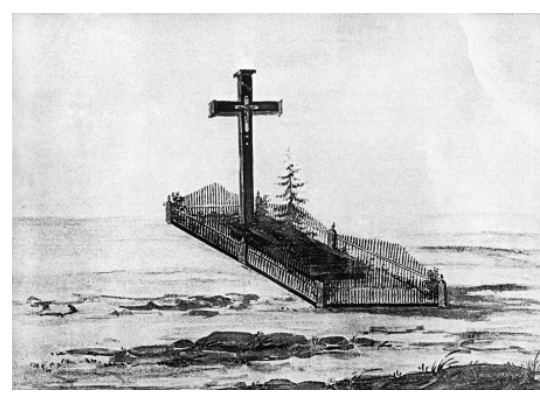

Grób Albiny Migurskiej i synka Konrada w Nerczyńsku

[68] A. Kuczyński, *Syberia. 400 lat polskiej diaspory. Zesłania, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków*, Krzeszowice 2007, s. 163–177.

Józef Kobyłecki

Kobyłecki był oficerem rosyjskim. Odmówił udziału w tłumieniu powstania listopadowego, dlatego karnie przeniesiono go do podmoskiewskiego pułku huzarów, potem do Tobolska, a następnie do Omska.

Aleksander Bem

Wspomnijmy też o zesłańcach z tego okresu, którzy pozostawili materiały wspomnieniowe, mogące stanowić wartościowe źródło odnoszące się do polskiego opisywania Kazachstanu. Należy do nich **Aleksander Bem**, przyrodni brat generała Józefa Bema. „Za ukrywanie przestępców politycznych" oddano go pod sąd wojenny. W 1849 roku otrzymał wyrok skazujący na wcielenie do wojska z pozbawieniem praw stanu. Służył w 2. batalionie liniowym w Korpusie Orenburskim. Zdemobilizowany w 1857 roku, powrócił do kraju.

Bronisław Zaleski

B. Zaleski (1820–1880), został skazany w 1846 roku za działalność patriotyczną na wcielenie do Korpusu Orenburskiego, w którym służył w latach 1848–1856[69]. Był doskonałym rysownikiem i jego umiejętności zostały wykorzystane podczas służby. Często wysyłano go w teren w charakterze rysownika.

---

[69] W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy…*, op. cit., s. 698–699; W. Caban, *Z Orenburga do Paryża. Bronisław Zaleski 1820–1880*, Kielce 2006; A. Kuczyński, *Bronisława Zaleskiego opisanie Kazachstanu,* [w:] *Polskie opisywanie świata. Od fascynacji egzotyką do badań antropologicznych*, pod red. nauk. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2000, s. 109–120; tenże, *Kazachstan głazami Bronisława Zaleskogo*, „Nowaja Polsza" 2001, nr 6; B. Zaleski, *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich*. Wybrał, przedmową i komentarzem opatrzył Andrzej Zieliński, Wrocław 2008.

5.

Powstanie styczniowe i okres popowstaniowy

Przyjmuje się, że w powstaniu wzięło udział około 150 tysięcy Polaków, a co najmniej 40 tysięcy osób spotkała kara Sybiru (nie wliczając w to osób im towarzyszących) mająca charakter: katorgi, osiedlenia na Syberii, pracy w tzw. rotach aresztanckich i karne wcielenie do wojska. Los ich był różny i wyznaczały go tęsknota za rodziną, srogość nadzorców, bieda i brak nadziei powrotu w rodzinne strony. Kolejne amnestie skracały im pobyt na zesłaniu, ale tak naprawdę nie wiemy, ilu z nich powróciło do kraju. Wiemy natomiast, że wielu zmarło z chłodu, wycieńczenia i wielu innych chorób. Historiografia polska dotycząca powstania styczniowego jest niezmiernie bogata, natomiast schodząc do poziomu naukowej empirii, zasadne jest przywołanie tutaj źródeł różnej proweniencji zawartych w 25 tomach monumentalnej serii *Powstanie Styczniowe. Dokumenty i materiały* ukazującej się w latach 1961–1986, w edycję których włożyła wiele trudu Profesor Wiktoria Śliwowska z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk[70].

Powstanie styczniowe, jako szczególny wyróżnik w dyskursie historycznym dotyczącym naszej niepodległości jest stałym elementem dociekań polskich historyków. Zaowocowało to licznymi badaniami i publikacjami w przestrzeni historycznej, w których przenikają się różne opinie i sądy wpisujące się w konteksty powstańczych walk, celowości powstania, zesłań na Syberię czy obchodów rocznicowych, częstokroć prezentujących odmienne spojrzenia i podejścia do tej tematyki.

Również w syberyjskich wspomnieniach powstańców da się nieraz zauważyć podobne opinie „za i przeciw". Trudno się temu dziwić, wszakże to zesłańcy, pokonani w powstańczej walce, zaludnili bezkresne obszary Syberii skazani tam jako buntownicy. A na takich carskie władze szczególnie baczyły, by ich izolować od Macierzy. Można więc przyjąć za zasadne, że wszystkie te poglądy zawarte w literaturze są częścią trwającej od lat dyskusji ubogacającej rozszerzający się

---

70 E. Niebelski, *Znaczenie wydawnictwa „Powstanie Styczniowe. Materiały i dokumenty" dla badań nad dziejami 1863 roku,* [w:] *Powstanie styczniowe 1863–1864. Walka i uczestnicy. Represje i wygnania. Historiografia i tradycja,* pod red. W. Cabana i W. Śliwowskiej, Kielce 2005, s. 267–272.

ciągle zbiór opinii i interpretacji na ten temat, występujących już od początkowych lat po upadku powstania. Taka sytuacja pozwala dostrzec fakt, że napotykamy nieraz na sprzeczne opinie dotyczące celowości powstania, inne zaś sytuują się w podkreślaniu jego patriotycznego fenomenu, który jednoczył społeczeństwo gdy nastał sprzyjający czas odrodzenia Rzeczypospolitej w okresie pierwszej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu.

Wspomnieć tu wypada, że szczególną atencję wobec powstańców styczniowych żywił Marszałek Józef Piłsudski, który datę ustanowienia Orderu Wojennego Virtuti Militari powiązał z rocznicą wybuchu powstania styczniowego, aby „związać życie nowoczesnego żołnierza Polski z wszystkimi walkami przeszłości, które dla jej swobody toczono". Orderem tym podczas dekoracji, która odbyła się 5 sierpnia 1921 r. w przeddzień rocznicy stracenia Romualda Traugutta, odznaczonych zostało 59 weteranów zasłużonych w walkach powstańczych, a Krzyż Komandorski z gwiazdą otrzymał wówczas Benedykt Dybowski, członek Rządu Narodowego, zesłaniec i badacz Syberii[71].

Powstanie styczniowe i związane z nim zesłania to obszerny fragment refleksji historycznej i literackiej zróżnicowanej tematycznie, ciągle poszerzanej o nowe wątki, częstokroć także podejmowane przez historyków rosyjskich, zwłaszcza z ośrodków naukowych na Syberii – Irkuck, Jakuck, Nowosybirsk, Omsk, Tomsk, a bywa, że i w Kazachstanie – Ałmaty. Ważnym elementem tego trudu jest nie tylko podejmowanie spraw związanych ze strukturą zesłań i ich różnorodnością – katorga, służba wojskowa, ale także kwestia polskiego, dziedzictwa cywilizacyjnego i gospodarczego za Uralem oraz wkładu zesłańców w poznanie kultury autochtonicznych etnosów azjatyckiej części Rosyjskiego Imperium, co niewątpliwie jest nowym etapem w zgłębianiu tej problematyki. Faktografia tego kręgu tematycznego niesie ze sobą wiele nowych ustaleń i ocen oraz prowadzi do powiększania rozmiarów wiedzy z tego zakresu.

Na zakończenie tego wątku przywołam jeszcze przeświadczenie P.P. Siemionowa Tian-Szańskiego, wieloletniego prezesa Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, który wyznawał zasadę, że „nauka jest takim ogólnoludzkim celem, wobec którego nie tylko ambicje osobiste, ale i narodowościowe powinny zniknąć".

---

[71] J. Załęczny, *Powstanie styczniowe 1863–1864. Wydarzenia, konsekwencje, pamięć,* „Zesłaniec" 2013, nr 55, s. 3–19.

Leopold Sielawa i Bronisław Szwarce

Chroniąc przed niepamięcią osobliwy opis *Z wycieczek po Środkowej Azji i Kirgiskich Stepach i Zachodniej Syberii*, sięgnijmy jeszcze do relacji **Leopolda Sielawy**, opublikowanej w dzienniku „Echo" w 1881 roku[72].

By dokładniej zarysować wartość tej relacji z Kazachstanu, podkreślić należy, że między jej tytułem a faktyczną treścią istnieje zasadnicza rozbieżność. W istocie bowiem odnosi się ona do twierdzy Wierny i jej mieszkańców, przy czym zawiera rozmaite wątki. Sielawa pisze, że miasto składało się wówczas z trzech części, takich jak Nowe Miasto oraz Wielka i Mała dzielnica, przy czym ta ostatnia była najstarszym fragmentem Wiernego. Odnotowuje, że w tzw. Nowym Mieście znajdowały się urzędy, cerkiew, szkoła, Soborowy Sad, czyli park otaczający cerkiew, dom arcybiskupa, klub wojskowy i domy majętniejszych mieszkańców. Wspomina o Kazachach oraz przybyszach, zwłaszcza Rosjanach. Pisze lakonicznie o Polakach „znad Wisły, Niemna i Wilii, którzy w połowie prawie zapomnieli swego ojczystego języka". Odnosi się wrażenie, że znaczne partie tego opisu to zaledwie przyczynki dotyczące kilku spraw, paru ludzi przyciągających uwagę innych swoją pozycją społeczną i funkcjonujących tu w wymiarze ponadprzeciętnym.

Przykładem tego są choćby krótkie wzmianki o:

– **Janie Koziełł-Poklewskim**, przedsiębiorczym powstańcu styczniowym, który był właścicielem zakładu kamieniarskiego opodal tego miasta,

– Niemcu **Oskarze Blumie**, pasjonacie botaniku, który pędził „spokojny żywot w Wiernym, jako zarządzający miejscowym rządowym ogrodem, gdzie pracuje ciągle nad jego ulepszeniem, kompletuje bogaty swój zielnik od wielu lat zbierany",

– Angliku **Johnie Newcastle**, poszukiwaczu złota w Kazachstanie, który po niepowodzeniach w tym zakresie zamieszkał w Wiernym i założył nieźle prosperujący warsztat ślusarski.

W omawianym tekście są także i inne sprawy osadzone w kontekście realiów dotyczących tego miasta, jego architektury, ludzi, infrastruktury. Tym właśnie charakteryzuje się ten mało znany opis twierdzy Wierny, dodajmy zarazem – pierwszy w polskiej literaturze, na który zwrócił przed laty uwagę A. Kijas[73].

Sielawa wspomina też o **Bronisławie Szwarce** (1834–1904), synu polskiego emigranta do Francji po powstaniu listopadowym, wychowanym i wykształconym w tym kraju. Od roku 1859 był on inżynierem na Kolei Warszawsko-Petersburskiej. Pracę zawodową na tej ważnej magistrali kolejowej łączył z wielką aktywnością w dziedzinie działań niepodległościowych – np. uprawianiem publicystyki i kierowaniem tajnym pismem „Ruch", publikowaniem artykułów w białoruskim piśmie

---

72 L. Sielawa, *Z wycieczek po Środkowej Azji, Kirgiskich Stepach i Zachodniej Syberii*, „Echo" 1881, nr 164, s. 2; nr 165, s. 2–3; nr 166, s. 2; nr 167, s. 2; nr 169, s. 2; nr 171, s. 2; nr 174, s. 2–3. Zob. też: A. Kijas, *Ałma Ata w relacji Leopolda Sielawy,* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i Współczesność*, pod red. S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1996, s. 203–209.

73 A. Kijas, *Ałma Ata w relacji…*, op. cit.

Bronisław Szwarce

„Mużycka Prauda". Współpracował z konspiratorami w Białymstoku i na ziemi grodzieńskiej, co przysporzyło mu popularności wśród zwolenników walki niepodległościowej.

Różne patriotyczne organizacje powstające wówczas na terenie Królestwa Polskiego były pilnie inwigilowane i prześladowane za antyrządową działalność i niech ta lakoniczna informacja uświadomi czytelnikowi, z jak zadziwiającą ostrością śledzono wówczas na wszelkie przejawy nieprawomyślnego działania. Nic więc dziwnego, że po pewnym czasie znaleziono dowody na uczestniczenie Szwarcego w spisku antyrosyjskim.

Od roku 1862 był członkiem Komitetu Centralnego Narodowego, stając się jednym z aktywnych działaczy związanych z przygotowaniami do powstania styczniowego. Aresztowany, przebywał od grudnia 1862 roku w Cytadeli Warszawskiej. Wkrótce sąd wojskowy orzekł wobec niego karę śmierci. Jednak specjalni emisariusze poprosili cesarzową Eugenię, żonę Napoleona III, o to, by podjęła starania o złagodzenie wyroku, pozostawał on bowiem nadal obywatelem Francji. W efekcie tych starań carski namiestnik w Warszawie, Wielki Książę Konstanty, ulegając staraniom cesarzowej Eugenii, zamienił karę śmierci na dożywotnią katorgę, jednakże decyzję o zamianie orzeczonego pierwotnie wyroku opatrzył stosowną informacją skierowaną do szefa żandarmerii, w której czytamy:

> Uważam, że trzeba zwrócić uwagę Pana na konieczność stałego i szczególnie bacznego nadzoru nad nim. Człowiek ten jest do tego stopnia doświadczony, przedsiębiorczy i pomysłowy, że zawsze i wszędzie niezbędne będą jak najsurowsze i wyjątkowe środki, żeby nie dopuścić do jego ucieczki. Są tym konieczniejsze, że Szwarce, jako zapamiętały i szczególnie zaciekły rewolucjonista, zawsze będzie osobnikiem w najwyższym stopniu niebezpiecznym[74].

Tak też to zrozumiano, osadzając go w Twierdzy Szlisselburskiej, leżącej u ujścia Newy do jeziora Ładoga, rozbudowanej w 1702 roku przez cara Piotra I, w której od 1730 przetrzymywano więźniów politycznych. Szwarce przebywał w niej przez 7 lat.

Wspomnijmy, że w twierdzy tej byli więzieni i zmarli **Walery Łukasiński** (1786–1868), działacz patriotyczny, oficer w wojsku Księstwa Warszawskiego, organizator Towarzystwa Patriotycznego, będącego emanacją założonego przez niego w roku

[74] Cyt. za: G. Sapargalijew, W. Djakow, op. cit., s. 262.

1819 Wolnego Mularstwa Narodowego, aresztowany w 1822 roku i więziony do końca życia, oraz **Ludwik Waryński** (1856–1889), działacz i ideolog polskiego ruchu robotniczego, twórca I Proletariatu i jego czołowy przywódca. Było to jedno z najcięższych więzień w ówczesnej Rosji, w którym panowały srogie rygory.

Podobnie jak w innych więzieniach, doskwierał tu więźniom chroniczny brak wyżywienia, opieki medycznej i na dodatek obowiązywała zasada szczególnego nadzoru nad niektórymi z osadzonych. Pozbawieni byli możliwości korespondencji, odwiedzin, grupowych więziennych spacerów, rozmów ze współwięźniami itp. Takiemu nadzorowi podlegał właśnie **Szwarce**, wobec którego stosowano system różnych nakazów, motywowanych uznaniem go za „zaciekłego rewolucjonistę" i osobę w największym stopniu niebezpieczną. Nie poddawał się jednak tym szykanom, kuszony obietnicami złagodzenia kary za ujawnienie „rewolucyjnych kontaktów". Podobnie jak wtedy, gdy chodziło o zmianę wyroku kary śmierci, tak i teraz rząd francuski oraz rodzina zabiegały o prawo łaski i umożliwienie mu wyjazdu do Francji. Na nic jednak zdały się te starania. Po siedmiu latach osadzenia w Szlisselburgu przeniesiono go do twierdzy Wierny (dzisiaj Ałmaty), i to tylko dlatego, że pierwszą z nich zamierzano zlikwidować i przeorganizować, do czego zresztą nie doszło i nadal była ona ciężkim więzieniem caratu. Przeprowadzona z tego powodu selekcja więźniów spowodowała, że w nowym miejscu pozostawał on nadal pod strażą, a jego kontakty z zesłańcami politycznymi były dokładnie kontrolowane.

Wspominając o tym czasie **Sielawa** pisze, że w „długim, parterowym, drewnianym budynku do koszar podobnym", znajdującym się w Wiernym, Szwarce mieszkał przez pięć lat, wiodąc życie pustelnicze, „ucząc się miejscowego języka, zbierając kirgiskie podania, baśnie i pieśni i rysując przy tem rozmaite typy ludowe". Jego droga do wolności prowadziła potem przez Tomsk, później przebywał w Tunce, gdzie poznał Józefa Piłsudskiego. Uwolniony w 1891 roku, zamieszkał najpierw w Krakowie, a potem we Lwowie, gdzie **zmarł w 1904 roku**, nie doczekawszy spełnienia snu o niepodległej Polsce. **Pochowany został na Cmentarzu Łyczakowskim**[75].

Grób Bronisława Szwarcego na Cmentarzu Łyczakowskim

[75] A. Kijas, *Polacy w Rosji…*, op. cit., s. 347; O. Morozowa, *Bronisław Szwarce,* Wrocław 1982, s. 113–127.

Polacy wcieleni do batalionów w Kazachstanie

Tytułem dopełnienia tego wątku wspomnijmy, że w latach 80. XIX wieku przebywała tam znaczna grupa zesłańców, w tym również uczestników powstania styczniowego, których wchłonęły bataliony w Semipałatyńsku i Ust-Kamienogorsku oraz w innych miejscowościach, a opowiedzieć dzisiaj o ich losie to zagadnienie niebywale skomplikowane. Jedyne, co jest pewne, to fakt, że sami z obcego dla Kazachstanu kraju, skąd ich zesłano, na obcej dla nich ziemi zmuszeni byli pilnować rosyjskiego ładu i porządku na etnicznie niejednorodnych obszarach.

Nieraz próbowali dezerterować, a pojmani byli wysyłani nawet do Jakucji lub do innych najodleglejszych rejonów Syberii. Owa konfrontacja służby i życia w niewoli dawała im niewątpliwie powód do pełniejszej refleksji motywowanej względami społeczno-politycznymi. Usytuowany i ukształtowany pod względem etnicznym region charakteryzował się nasileniem konfliktów. Obrachunki tego rodzaju należy więc pozostawić historykom wojskowości, którzy zdolni będą spojrzeć na to zjawisko podobnie jak to uczynił Wiesław Caban[76].

Przy całej surowości regulaminów wojskowych obowiązujących rekrutów z poboru, zesłańcy wcieleni do wojska uznani za niepokornych wobec władzy, określani często przez kadrę dowódczą niższego i wyższego szczebla „buntowszczykami", byli srogo szykanowani, a ich warunki bytowania w armii były bardzo ciężkie. W przypadku Polaków wcielonych karnie czy nawet z poboru do tych azjatyckich jednostek wojskowych uciążliwość służby potęgowały jeszcze nostalgia, silne poczucie tęsknoty za ojczyzną, które utrudniały adaptację.

Na zarysowanym już tle stosunków polsko-kazachskich trzeba wspomnieć jeszcze o jednym znamiennym fakcie, łączącym się z aktywizacją polityki rosyjskiej w centralnej Azji, co stwarzało konieczność obrony granic od południa. Wzdłuż linii granicznych na południowym obszarze rozmieszczone były liczne reduty i twierdze. Nierzadko wojskowi musieli odpierać ataki ze strony nie zawsze pokojowo nastawionych rdzennych plemion. Stąd też do pełnienia służby w przygranicznych obszarach potrzebni byli oficerowie i żołnierze. Wiadomo, że w Syberyjskim Batalionie Liniowym stacjonującym w Pietropawłowsku służyło wiele osób pochodzących z Polski, zarówno zesłańców politycznych, jak i tych, którzy trafili tam z regularnego poboru, oraz odkomenderowanych służbowo oficerów. Ci ostatni, będący absolwentami uczelni wojskowych, pełnili tam różne funkcje inżynierskie, logistyczne, byli lekarzami, intendentami i dowódcami określonych szczebli. Podobnie było w Syberyjskim Batalionie Liniowym nr 5 w Semipałatyńsku i innych lokalnych jednostkach.

---

[76] W. Caban, *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w Armii Carskiej w latach 1831–1873*, Warszawa 2001.

6.

Zesłania w XX wieku

Dla dokładnego rzeczy wyjaśnienia
Powiem: na suche przyszliśmy ugory,
Gdzie żadne ziele nie puści korzenia

Dante Alighieri *Boska komedia. Piekło*

Z okazji 70. rocznicy deportacji Polaków do Kazachstanu w 1936 roku, ambasador Republiki Kazachstanu w Polsce Aleksej Wołkow opublikował na łamach miesięcznika „Nowaja Polsza" (4/2006) artykuł *Poljaki Kazachstana*, a tłumaczenie tego tekstu, podejmującego wiele wątków polskiej obecności w tym kraju, zamieścił także miesięcznik „Wspólnota Polska" (2/2006). Dodać trzeba, że autor daleki był w nim od jakiejkolwiek jednostronności i wyraźnie podkreślił, że choć obecność Polaków w Kazachstanie miała jednoznacznie zesłańczy charakter, to jednak Polacy dali tej ziemi swój trud, wiedzę i umiejętności, badając kulturę Kazachów, ich folklor i język, a także przyczynili się do przyrodniczego poznania tego kraju i jego zagospodarowania. Co się zaś odnosi do współczesności, to:

> Kazachstańscy Polacy biorą aktywny udział w polityczno-społecznym życiu Kazachstanu, są wśród nich znani prawnicy, uczeni i biznesmeni. Podtrzymują i utrzymują więzi ze swoją historyczną ojczyzną. […] Wizyta wielkiego Polaka – papieża Jana Pawła II w Kazachstanie w 2001 roku dała potężny impuls dla umocnienia pozycji Kościoła katolickiego. Dziś w stolicy i innych miastach Kazachstanu wznoszą się nowo wybudowane kościoły i świątynie, a w Astanie odbywają się regularnie zjazdy katolików z krajów azjatyckich. Przedmiotem naszej wspólnej pamięci i naszych modlitw jest to, że na polskiej ziemi znajdują się mogiły żołnierzy radzieckich – Kazachów, którzy polegli w walce z faszyzmem, a na ziemi kazachskiej pochowani są żołnierze Polskiej Armii generała Andersa oraz liczni Polacy zamordowani w czasach represji[77].

Wspomniano poprzednio, iż metrykę polsko-kazachskich kontaktów datuje się na bez mała trzysta lat i ma charakter zesłańczy, odnoszący się do okresu od XVIII do początków XX stulecia, czyli do okresu odzyskania przez Polskę niepodległości

[77] A. Wołkow, *70. Rocznica deportacji do Kazachstanu,* „Wspólnota Polska", 2006, nr 2, s. 37.

w 1918 roku. Kolektywizacja i przymusowe osiedlanie ludności kazachskiej, prowadzącej koczowniczy tryb życia, doprowadziła do jej wyniszczenia biologicznego na skutek licznych epidemii i głodu. Największe nasilenie tego procesu nastąpiło w latach 30. XX wieku. Okres ten charakteryzował się także przybyciem do Kazachstanu obfitych fal kolonizacyjnych ludności rosyjskiej i ukraińskiej, a w dalszej kolejności przymusowo deportowanych tam Niemców, Polaków i grup etnicznych z Kaukazu, co spowodowało, że Kazachstan stał się państwem wieloetnicznym, a jego rdzenni mieszkańcy, czyli Kazachowie, stanowili w nim 30-procentową mniejszość.

We wspomnianym czasie po ustanowieniu władzy radzieckiej w Kazachstanie spotkać można było Polaków (chociaż niewielu) wspomagających bolszewików w zaprowadzaniu „ustroju sprawiedliwości społecznej w tym kraju".

Na początku włączania Kazachstanu w skład państwa radzieckiego Polak, **Stanisław Pestkowski** (1882–1943), działacz polskiego ruchu robotniczego i zesłaniec syberyjski, był w latach 1919–1920 przewodniczącym Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego w Kazachstanie, a później Kirgizji. W Karakalińsku **Ludwik Ulianowski** sprawował funkcję komisarza Rządu Tymczasowego, tworząc w mieście struktury nowej władzy. W Kirgizji wysokie stanowisko państwowe zajmował Polak, **Stanisław Pilawski** (1882–1937), przez pewien czas zastępca komisarza sprawiedliwości i członek Centralnego Komitetu Wykonawczego Kirgiskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Wszyscy oni pozostawali z sobą w kontaktach służbowych i dbali, by niepokorni tubylcy zaakceptowali nowy porządek społeczny. Nie wiemy, jak to czynili, z pewnością jednak nieobcy był im terror, skoro nowa radziecka władza właśnie im powierzyła takie stanowiska. W Kazachstanie pracowała także w latach 1935–1937 **Wiera Choruża**, działaczka polskiego ruchu robotniczego, przez pewien czas przebywająca w więzieniu białostockim, która w 1932 roku, w drodze wymiany więźniów politycznych wyjechała do ZSRR. Władze radzieckie skierowały ją do Kazachstanu, gdzie pracowała początkowo jako instruktor, a potem kierownik Wydziału Propagandy w miejskim komitecie WKP(b) w Bałchaszu.

Polskie obwody autonomiczne w ZSRR

Po traktacie ryskim (1921) część ludności polskiej mieszkającej na tych obszarach, które znalazły się poza granicami odradzającej się Polski, powróciła do kraju przodków. Większość jednak, pochodzenia chłopskiego, pozostała.

W latach 20. XX wieku zrodziła się w ZSRR idea utworzenia polskich obwodów autonomicznych. W 1929 roku powstał na Ukrainie Polski Rejon Narodowościowy im. J. Marchlewskiego, tzw. Marchlewszczyzna, a w 1932 roku tzw. Dzierżyńszczyzna – na Białorusi. Miała być to mała, wzorcowa, komunistyczna Polska. Eksperyment ten się nie udał. Polacy nie porzucili swojej wiary, stawili opór, gdy na przełomie lat 1920/30 rozpoczęto wprowadzanie kolektywizacji. Musieli borykać się z nowymi uciążliwościami natury ekonomiczno-społecznej, przede wszyst-

Czego dziwisz się, gosposiu,
Że ma marny wygląd prosię?
Nierasowe, kiepsko jadło,
Skądżeż wzięłoby się sadło?

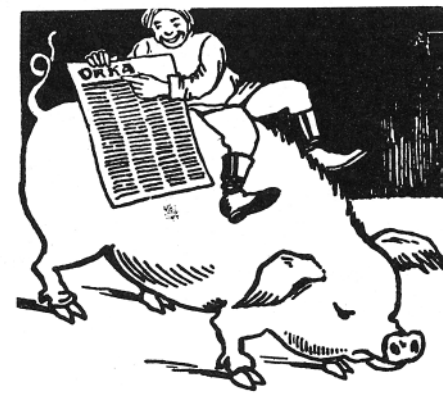

Patrz, jak sąsiad gospodarzy—
Wieprz z piętnaście pudów waży!
Bo rasowy, dopatrzony
Oraz według norm karmiony!

Propaganda radziecka z początkowego okresu „eksperymentu polonijnego" i kolektywizacji; skuteczność stosowania racjonalnych metod hodowli

kim z kolektywizacją. Taki zwrot w dotychczasowym życiu i poddanie się silnej indoktrynacji stały się źródłem niechęci ludności polskiej do nowych porządków. Na początku 1930 roku zaostrzono wcześniejsze postanowienia o „rozkułaczaniu" dopuszczano konfiskaty mienia i wysiedlania poza teren Białorusi. Zgodnie z postanowieniami KC WKP(b) planowano wówczas skierować 60 tysięcy ludności wiejskiej do łagrów, natomiast do odległych rejonów ZSRR miano przesiedlić 150 tysięcy kułaków. Dla Białorusi ustalono „normę" 4–5 tysięcy do osadzenia w obozach koncentracyjnych lub rozstrzelania, natomiast 6–7 tysięcy podlegało deportacji. Mienie deportowanych było konfiskowane, a akcji tej towarzyszyły rabunki. Teren tzw. Dzierżyńszczyzny zamieszkiwanej przez Polaków uważany był za szczególnie wrogi dla władzy radzieckiej, stąd też znajdujące się tam skupiska ludności polskiej zostały „poszarpane" przez rozstrzelania, skrytobójcze morderstwa, zesłania na Syberię i w północne rejony europejskiej części ZSRR (gubernia archangielska)[78]. Spowodowało to w 1935 roku likwidację Marchlewszczyzny, a w 1937 r. Dzierżyńszczyzny.

Polska mniejszość narodowa poddana została różnym formom nadzoru i represji – bytowej, religijnej, kulturalnej oraz politycznej. Nastał głód, pozamykano kościoły, aresztowano księży, zlikwidowano polskie szkoły, piętno „wrogów narodu" pociągało za sobą oskarżenia o szpiegostwo na rzecz „pańskiej Polski". Obraz tej sytuacji wyłaniający się z dokumentów i relacji jest wieloaspektowy i wielowarstwowy, obejmuje zarówno cierpienia indywidualne, jak i zbiorowe. Obraz tych represji wyłania się z poniższej relacji:

[78] J. Waszkiewicz, *Sowietyzacja Białorusi w latach 1929–1938*, „Echa Polesia", nr 3, 2014, s. 38–44.

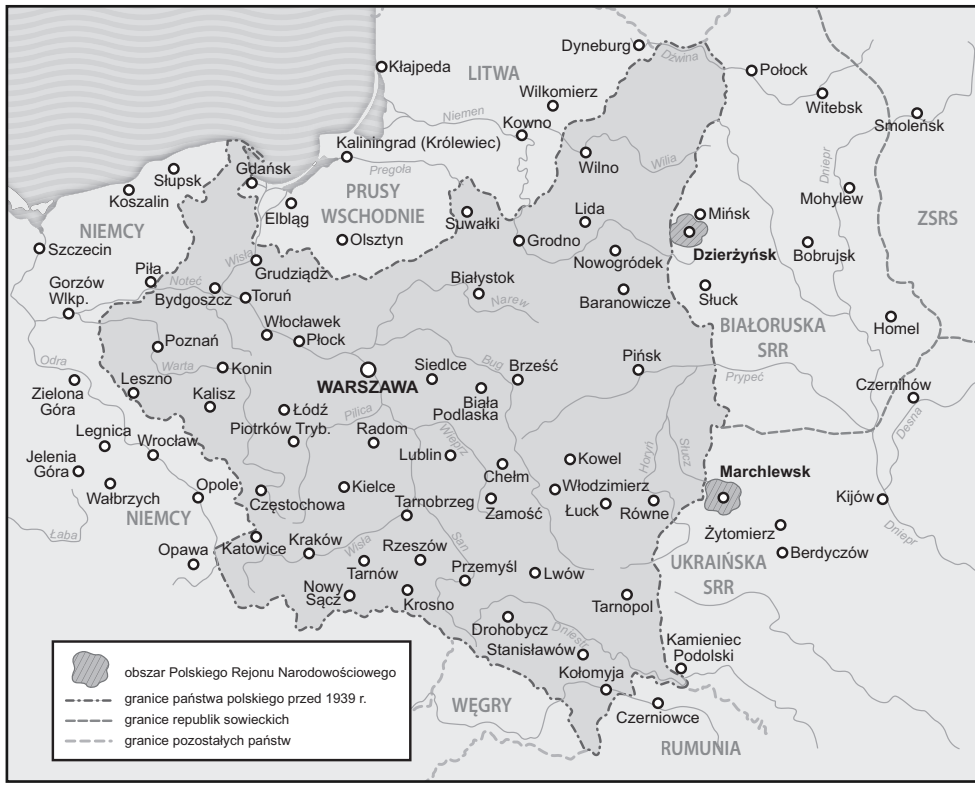

Dwa największe Polskie Rejony Narodowościowe w ZSRR w latach 1925–1936: Marchlewszczyzna (Ukraina) i Dzierżyńszczyzna (Białoruś)

Przy pierwszej kolektywizacji – na początku 1929 r. – wszystkie nadziały ziemi były odebrane. Na wiosnę 1929 r. na polach nikt nie pracował, dlatego kołchoz rozpadł się. W 1930 r. wiosną, powtórnie został założony kołchoz, któremu nadano imię Marchlewskiego. Kołchoz został założony na gospodarstwie Jana Zabirżewskiego, którego rodzinę wcześniej wywieziono, już nie pamiętam, zdaje się, że na Syberię. Rodzina Zaniżewskiego miała 10 ha ziemi i składała się z ojca, matki, trzech dorosłych synów i córki. Tym razem, przy zakładaniu kołchozu, zabrano im konie i woły, które stanowiły nadwyżkę; można było zostawić tylko jedną krowę. Żeby ludzie nie pozabierali bydła, jednocześnie porozbierano chlewy, stajnie i stodoły. Później, jak rozpoczęły się zsyłki, z rozebranych gospodarstw wybudowano dla kołchozu stajnie, magazyn na zboże, kuźnię i warsztat samochodowy.

W 1930 r., po powtórnym spędzeniu kołchozu, mieszkańcy wsi do pracy nie chodzili, a każdy „dłubał" na swojej domowej działce. Bydła przymusowo spędzonego do kołchozu nikt nie doglądał, nie karmił, nie poił. Tak było aż do jesieni 1932 r. Mama opowiadała, że strasznie było słuchać, jak bydło błagało o ratunek. Czasem ktoś w nocy, dla swego bydła coś zaniósł. Ale to było sporadycznie. Każdy się bał, bowiem już rozpoczęto represje. Czasami ktoś odwiązywał swoje bydło i wypusz-

czał nad wodę; wkrótce odbywało się to masowo. Tak trwało do późnej jesieni. Część bydła zginęła z powodu wzdęcia.
Na wiosnę 1933 r. pojawili się we wsi pierwsi głodujący, potem było ich coraz więcej i więcej. Rozpowszechniło się złodziejstwo. My swoją jałówkę trzymaliśmy w domu. Ojciec nadal często przyjeżdżał i przywoził nam suchary z chleba, który zbierał u siebie w stołówce, w miejscu pracy. Na wiosnę głód się rozszerzył – ludzie umierali siedząc, albo leżąc na ulicy. Grzebano ich we wspólnych mogiłach. Pamiętam, jak głodujący złapali naszego kota, zabili, usmażyli na długim patyku i zjedli, a my – dzieci – wszystko to widzieliśmy i płakaliśmy za naszym kotem. Przeżyliśmy prawdopodobnie dzięki sucharom przywożonym przez ojca oraz *„tiun"* – tak się nazywała zupa z sucharków, makuchów i lebiody, które zbieraliśmy w ogrodzie, a najwięcej na gnojowisku – na takiej glebie lebioda rosła szybko i była bardzo liściasta. W maju zmniejszył się napływ głodujących wędrowców, w lipcu znów szybko wzrósł. Głodni zbierali kłosy, jedli je – dostawali skrętu kiszek i umierali[79].

Głód

W latach 30. XX stulecia radziecka kolektywna gospodarka rolnicza nie mogła zaspokoić zapotrzebowania na produkty rolne, zwłaszcza zboża, w wyniku czego wiele rejonów ZSRR dotknął głód.

Spotkało to również Polaków, którzy zamieszkiwali wioski utworzone na Syberii w ramach tzw. reformy stołypinowskiej, przypadającej na przełom XIX i XX wieku. Była to przede wszystkim ludność chłopska, z Królestwa Polskiego oraz tzw. ziem zabranych, tj. z guberni grodzieńskiej, mohylewskiej, wileńskiej, witebskiej i wołyńskiej, dobrowolnie wyjeżdżająca za Ural, gdzie otrzymywała przydział ziemi, zwolnienie od podatków i zapomogi finansowe na zagospodarowanie. Wiele polskich osad powstało wówczas w okręgu minusińskim Krasnojarskiego Kraju i już w 1896 roku były to wsie – Ałgasztyk, Aleksandrówka, Kresławka, Abadziul, Warszawka. Taki początek miały również wioski Białystok i Połozowo w guberni tomskiej, Wierszyna w guberni irkuckiej, Wilenka, Konok, Polski Zaimek i Nowowarszawska w guberni jenisejskiej oraz inne w guberni tobolskiej, na Dalekim Wschodzie – Pomorze Amurskie i Sachalin.

Łagry

Rozpoczęto wywózki do łagrów. Ludzie ginęli bez wieści, zabierani nocą z domów, do których nigdy nie powrócili. Wiele osób poniosło śmierć, a obraz tych koszmarnych praktyk odsłania się powoli w trakcie badań. Dość powiedzieć, że w ten sposób przygotowano się do masowej deportacji, eliminując wcześniej osoby o dużym środowiskowym autorytecie, obawiając się buntów. Dlatego wśród rodzin mieszkających do dzisiaj w Kazachstanie są takie, które utraciły swych bliskich jesz-

[79] W. Popławski, *Śladami ojca,* [w:] *Polska droga do Kazachstanu. Materiały z międzynarodowej konferencji naukowej. Żytomierz 12–14 października 1996 roku,* pod red. T. Kisielewskiego, Warszawa 1998, s. 206.

cze na Ukrainie. Zniknęli oni bez śladu lub przetrzymywani byli w więzieniach, by ostatecznie znaleźć się w łagrach na Kołymie, Dalekim Wschodzie lub w innych rejonach Imperium Zła. Oto jak wspominała te represje jedna z mieszkanek Kazachstanu, którą deportowano tam wraz z rodziną w 1936 roku:

> Gdzieś z początkiem roku 1934 dowiedzieliśmy się, że aresztowano naszego kuzyna, który był organistą w sąsiednim kościele parafialnym. Zatrzymano go w więzieniu w Żytomierzu, gdzie wysyłaliśmy paczki. Raz nawet udało się otrzymać list od niego. Pisał, że czuje się dobrze, że brakuje mu tylko tytoniu i ma nadzieję, że na Wielkanoc zjawi się w domu. Po otrzymaniu listu mama przygotowała paczkę, by podać mu ją. Ale gdy tam pojechała, w więzieniu powiedziano jej, że takiego już nie ma i nie wiadomo, gdzie został przetransportowany. Minęło parę lat, była wojna i gdy mieszkaliśmy już wówczas w Kazachstanie, pewnego dnia, jak wspominała mama, odwiedził nas stary, obdarty mężczyzna. Początkowo nie chciano go nawet wpuścić do obejścia. Gdy wszedł do izby, okazało się, że był to ów kuzyn, organista, którego wywieziono w nieznanym kierunku z więzienia w Żytomierzu. Opowiadał potem, że pracował na Syberii i Dalekim Wschodzie, gdzie przebywał w łagrach. Powrócił do nas z Kołymy, tylko dlatego, że zwalniano wówczas więźniów, którzy szli do armii, a potem na front. Komisja lekarska już po zwolnieniu z więzienia nie skierowała go na front, ale do „trud-armii". Tam znowu przepracował parę miesięcy i ze względu na chorobę płuc zwolniono go do domu mówiąc, że rodzina mieszka w Kazachstanie. Zaraz po wojnie zmarł[80].

Antypolskie represje w ZSRR – lata 30. XX wieku

Antypolskie represje wiązały się z akcją zwaną likwidacją sprawy polskiej w ZSRR. **W latach 30. XX w. sowiecki aparat bezpieczeństwa wymordował wiele tysięcy Polaków**, którzy po traktacie ryskim zostali w tym kraju – byli to rolnicy, robotnicy i ludzie różnych innych zawodów, w tym wiele ofiar spośród inteligencji.

Tysiące osób rozstrzelano, jeszcze więcej wywieziono w różne rejony syberyjskiej ziemi, z Kołymą i Kamczatką włącznie.

> Uznano mnie za wroga narodu – informował starszy już mężczyzna spotkany przeze mnie na Syberii (1989) – i którejś nocy w 1936 roku zostałem aresztowany i osadzony w więzieniu w Żytomierzu. Podobnych do mnie było wielu; nauczyciele, lekarze, urzędnicy, księża, a nawet kościelni byli w tej celi. Bywało, że nocą zabierano niektórych z nich i nigdy już nie wracali. Ja zachorowałem i znalazłem się w więziennym szpitalu. […]
> Miałem stale dużą gorączkę, o utrzymanie której dbała bliżej nieznana mi rosyjska pielęgniarka zatrudniona w szpitalu, podając mylnie jej wysokość! Dziwiłem się jej troską o to, bym nigdy nie wyzdrowiał. Kiedyś powiedziała mi, że jest to jedyny sposób na uratowanie życia. Rozstrzeliwano wówczas masowo Polaków, zatem o tych, którzy byli w szpitalu, zapomniano. Wśród chorych byli także inni więźnio-

[80] Relacja w zbiorach autora.

„Wrogowie władzy radzieckiej" w środowisku polskim

wie – Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie. Tak ciągle chory przeleżałem tam trzy miesiące. Kiedy „odstawiono" mi naftę i ziemniaki, gorączka trochę spadła i wespół z innymi więźniami znalazłem się w transporcie na Sybir. Pracowałem tam w kopalniach węgla w okolicach Irkucka, na front się nie nadawałem, bo wskutek wypadku w kopalni miałem zmiażdżoną nogę i nie mogłem pokonywać pieszo większych odległości. Zostałem więc na Syberii, podczas gdy inni Polacy zostali wcieleni do Armii Czerwonej i poszli na front.

Czy mi się udało? Chyba tak, bo żyję i mogę Panu opowiedzieć o swym losie, a także innych moich rodaków, których jeszcze na Ukrainie rozstrzelano lub rozesłano po łagrach syberyjskich. Co się stało z moją najbliższą rodziną, nie wiem. Nigdy jej nie odnalazłem[81].

Dotknęło to także wielu polskich komunistów, którzy uwierzyli w „ustrój sprawiedliwości społecznej", jaki miał zapanować w ZSRR po rewolucji październikowej. Za tę wiarę spotkała ich kara, część z nich rozstrzelano, wielu natomiast zesłano do łagrów, gdzie wkrótce także zginęli z niedożywienia, pracy ponad siły w surowych warunkach klimatycznych Syberii, Dalekiego Wschodu i w innych rejonach wielkiego gułagu.

Przesiedlenia Polaków – lata 1935–1938

W latach 30. XX stulecia spotkała Polaków z terenu radzieckiej Ukrainy, na której według spisu ludności z 1926 roku mieszkało 476 tysięcy Polaków, nowa dokuczliwa forma represji, polegająca na zesłaniu wielu tysięcy rodzin do Kazachstanu. Zesłania te, zwane w dokumentach radzieckich przesiedleniami, objęły w latach 1936–1938, według niedokładnych danych, około 60 tysięcy Polaków, przy czym największy kontyngent przesiedlonych przypadł na drugą połowę 1936 roku.

Znając historię „oswajania" stepowych ziem Kazachstanu poprzez włączanie ich w olbrzymie areały uprawne w latach 50. XX stulecia, nie można nie wspomnieć, iż ludność polska wysiedlona z Ukrainy Radzieckiej w latach 1935–1938 należała do pierwszych deportowanych tam zniewolonych osadników z zadaniem uprawy roli. Późniejsze „zaciągi" młodzieży sowieckiej na zagospodarowanie stepów Kazachstanu nosiły charakter dobrowolnych akcji o dużym wydźwięku propagandowym, natomiast nasi rodacy zostali tam po prostu zesłani, zostali ukarani za przywiązanie do polskości, swojej wiary katolickiej i swojego narodowego języka.

---

81 Relacja w zbiorach autora.

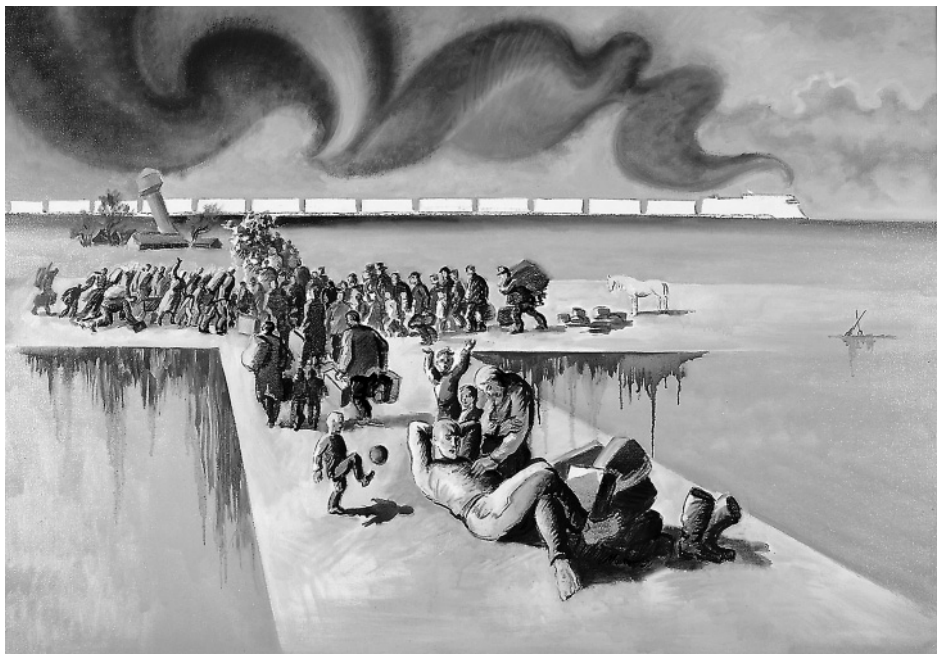

Feliks Mostowicz „Deportacje – fragment tryptyku, cz. III”

Przed rozpoczęciem masowych wywózek ludności do Kazachstanu zapadły stosowne decyzje dotyczące akcji deportacyjnej oraz rozmieszczenia przesiedleńców w nowym miejscu ich osiedlenia, dekretowane stosownymi decyzjami „Sovnarkomu” z dnia 23 stycznia 1936 roku, Kazachskiego Komitetu Krajowego WKP(b), Rady Komisarzy Ludowych Kazachskiej SSR z dnia 16 lutego 1936 roku i różnych późniejszych uchwał[82]. Ludność polską wywożono z tzw. rejonu narodowościowego im. Juliana Marchlewskiego (tzw. Marchlewszczyzna) na terenie Ukrainy (rejon Żytomierza, Winnicy i Kamieńca Podolskiego) oraz w mniejszym stopniu z drugiego rejonu narodowościowego im. Feliksa Dzierżyńskiego (tzw. Dzierżyńszczyzna) na Białorusi. Z tego ostatniego rejonu ludność w większości wywieziono na Syberię, w mniejszym stopniu do Kazachstanu, osiedlając ją w różnych odległych od siebie rejonach tych rozległych obszarów.

Wywożono całe rodziny, zwłaszcza ludzi „niepewnych”, kultywujących wiarę katolicką mimo prześladowań religijnych, jakie trwały w ZSRR, ludzi utożsamiających się z polskością, mimo odległości granicy z Rzeczypospolitą. Jechali tam z piętnem „wrogów ludu, szkodników politycznych i szpiegów faszystowskiej Polski”. Przesiedlenia te wyznaczały dla nich rolę pionierów kultury agrarnej w tym

82 *Z dziejów Polaków w Kazachstanie 1936–1956. Zbiór dokumentów z Archiwum Prezydenta Republiki Kazachstanu,* Warszawa 2006, s. 19–53; A. Koprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani za polskość,* Biały Dunajec–Ostrów 2014.

stepowym kraju, w którym miejscowa ludność, tj. Kazachowie, nie była przygotowana do racjonalnej uprawy roli. Tak więc zapewne względy natury praktycznej leżały także u podstaw tej deportacyjnej decyzji politycznej.

Z relacji sędziwych już dzisiaj ludzi, których wówczas wywieziono, wynika, że nieraz specjalne komsomolskie grupy agitacyjne pojawiały się w domach gospodarzy z informacjami, że przesiedlenie następuje w wyniku konieczności zagospodarowania ziem leżących odłogiem w dalekim Kazachstanie. Zapewniano przyszłych przesiedleńców, że w nowym miejscu osiedlenia będą mieli takie same warunki do życia. Mówiono także o tym, że przesiedlenia wynikają z konieczności oczyszczenia pasa przygranicznego, Polska bowiem szykuje się do napaści na ZSRR. W miejscowościach leżących bliżej polskiej granicy starano się robić to bez pośpiechu, nie nadając tej akcji charakteru przesiedleńczego. Oczywiście w tym przypadku również grupy agitacyjne działały bez pośpiechu. Dodajmy, że taka działalność agitacyjna nie była regułą. Nieraz po prostu nie mówiono nic, kazano przygotowywać się do wyjazdu i pośpiesznie formowano transporty deportacyjne. Kiedy indziej znowu ludność, którą miano przesiedlić, informowano o tym wcześniej, zalecano, by zabrała z sobą możliwie dużo żywności, narzędzia gospodarczego użytku, odzież, a miejscowe kołchozy wyposażały ją w narzędzia rolnicze, trzodę chlewną oraz zwierzęta pociągowe, przede wszystkim konie, rzadko kiedy woły. Bez pośpiechu formowano transporty, zwożono najpierw sprzęt rolniczy lub karmę dla zwierząt na czas drogi itp.

Informacje te stanowią fragment ogólniejszych relacji ludzi, którzy do dzisiaj mieszkają w Kazachstanie. Jedna z zesłanych wówczas osób opowiadała:

> Wszyscy zostaliśmy zesłani w roku 1936. Miałam wtedy czternaście lat. Dali nam trzy dni, żeby się zebrać i zrobić zapas jedzenia. Pozwolono wziąć krowę, świnie, kury, psy i koty. Wyjeżdżaliśmy na jesieni 3 września. Pod eskortą jechaliśmy do stacji wozami. Tam nas wsadzano do wagonów, oddzielano bydło. Wagony były towarowe z narami na dole i na górze, i wszystkie zajęte. Każdy gospodarz miał swoje wiadro zamiast ubikacji. Jechaliśmy dziesięć dób. Mężczyźni razem z inwentarzem – kurami w klatkach, krowami i psami. Na przystankach można było wyjść, ale ochrona daleko nie pozwalała i przed odjazdem wszystkich sprawdzała. Pociąg nie ruszał, dopóki wszyscy nie zebrali się i nie zostali sprawdzeni. Kto miał pieniądze, mógł sobie coś kupić na przystankach w kioskach. Pamiętam, jak podczas podróży dziecko Małeckiej bardzo zachorowało. Zostawili ich w szpitalu na jakiejś stacji kolejowej. Później przywieziono ją do Kazachstanu, a jeszcze później dziecko. Nie żyło długo, wkrótce zmarło.
>
> Mój mąż Przemysław Dokucki był sierotą. Jego ojciec zmarł, kiedy mąż miał cztery lata. Zesłano go razem z matką. Przywieźli nas do punktu nr 11. Mieszkali tu ludzie z eszelonów: korosteńskiego, chmielnickiego i połońskiego. Kiedy przyjechaliśmy, lokalni mieszkańcy, Kazachowie, przyjęli nas i traktowali bardzo dobrze. Byli bardzo przyjaźni. Obok znajdowała się kazachska wioska Żargain. Kiedy przyjechaliśmy, wydawano nam kredyt. Wyglądało to tak: stał duży wagon-magazyn, w którym

leżało szkło, materiał na drzwi, dach i bardzo dużo samanu. Materiał budowlany wydawano nam później. Płaciliśmy za niego. Saman robiła młodzież z Asakarówki. Ona też wykopała studnię. Kopać trzeba było bardzo głęboko – czternaście, piętnaście metrów. Wiadra w studni były drewniane. Na linie z jednej strony było wiadro z wodą, a z drugiej puste, które opuszczało się do wody.
Przywieźliśmy ze sobą dużo rzeczy. Rodziny, gdzie byli mężczyźni i konie, mogły sobie coś przywieźć. Niepełnym rodzinom było bardzo ciężko. Kiedy nas przywieziono, nie było przychodni, szpitali i lekarzy. Później przysłano nam pielęgniarkę, ale leków nie było. Pielęgniarka bardzo zwracała uwagę na czystość w domu. Mama pilnowała porządku, każdego dnia smarowała klepisko świeżym krowim obornikiem i posypywała piaskiem. Piasku w Zielonym Gaju nie brakowało. Dopiero na początku albo podczas wojny przyjechał lekarz Krasowski[83].

Ludzie nie wiedzieli, dokąd ich wywożą. Informowano jedynie, że w nowym miejscu, gdzie będą mieszkać, wszystko mają przygotowane, a warunki życia lepsze. Zapobiegliwe kobiety zabierały więc wedle nich rzeczy najpotrzebniejsze – sprzęt kuchenny, odzież, bieliznę, zwoje własnoręcznie utkanego płótna, obuwie, pościel, kilimy, kołowrotki, maglownice, sierpy i motyki, a nawet pęki lnianego włókna, by tam na miejscu miały z czego robić nici, oraz nasiona lnu i konopi. Jeszcze dzisiaj

Pracownicy kołchozu „Gwiazda Komuny" z Zielonego Gaju, w którym pracowali Polacy deportowani w 1936 r. z Ukrainy

[83] Relacja Michaliny Dokuckiej, [w:] H.Wiśniewska, *Ścięte korzenie,* Lublin 2013, s. 23.

w chatach przesiedleńców można spotkać nieraz te przedmioty, chociaż bezużyteczne, ale uwidaczniające zapobiegliwość przesiedleńców o przyszłe bytowanie w nowym miejscu osiedlenia. I ich wiarę w to, że jadą tam, „gdzie będą żyć podobnie" jak w wioskach na Ukrainie, skąd ich wywieziono.

Zabierano również ze sobą książeczki do nabożeństwa, różańce, obrazy z wizerunkami świętych, które jak się później okazało, pomagały w zachowaniu polskiej mowy oraz religii. Już w Kazachstanie konfiskowano im je, a mimo to przetrwały do naszych dni, przemyślnie ukrywane, nawet w pościeli. Moja rozmówczyni w jednej ze wsi w obwodzie kokczetawskim powiedziała, że książeczkę do nabożeństwa oraz różaniec miała zaszyte w poduszce. Wieziono ich w towarowych wagonach, odpowiednio przygotowanych, tzn. wyposażonych w półki do spania, w piecyki, tzw. kozy, oraz drewno na opał.

Była to podróż niezmiernie uciążliwa, trwająca parę tygodni, z czasowymi postojami dla podania wody, trudna do zniesienia, bo po pewnym czasie zaczęło brakować żywności, ludzie zaczęli chorować, zwłaszcza osoby starsze i dzieci. Wagony nie były ryglowane od zewnątrz, jechały jednak pod specjalnym nadzorem – były konwojowane.

Na miejscu przeznaczenia

Wkrótce jednak po przyjeździe w kazachstański step okazało się, że sytuacja, w której znaleźli się przesiedleńcy, była tragiczna, gorsza od najbardziej pesymistycznych oczekiwań. Przede wszystkim nie było domów. Prowizoryczne warunki bytowania od jesieni 1936 do wiosny 1937 roku były najgorsze w czasie zesłania.

W ciągu pierwszych miesięcy na tej ziemi wygnania zmarło wiele osób starszych i dzieci, a miejsca ich pochówku dały początek późniejszym cmentarzom usytuowanym na obrzeżach osad, stanowiąc przestrzeń graniczną między codziennością a sferą *sacrum*. Można więc powiedzieć, że pierwsze czynności, jakie przesiedleńcy podjęli w stepowej ziemi, to kopanie mogił dla swych najbliższych, a dopiero potem kopanie ziemianek, następnie budowa tzw. „samanów", czyli domów wzniesionych z suszonej na słońcu cegły wykonanej z gliny wymieszanej ze słomą i krowim nawozem.

Przesiedleńców rozlokowywano przede wszystkim w północnym Kazachstanie, zwłaszcza w obwodach akmolińskim i północno-kazachstańskim, a jedynie niewielką część skierowano do obwodu ałmatyńskiego na południu. Zapewnienia o czekających na przesiedleńców gospodarstwach okazały się sowieckim oszustwem. W bezkresnym stepie czekały na przybyszy wojskowe namioty i komendant mający do pomocy uzbrojonych strażników. Poinformowano osadników, że: – wiosną rozpoczną budowanie domów, – nie wolno im opuszczać tego miejsca, – nie mają prawa do korespondencji oraz prawa do powrotu i rozmawiania po polsku, – sprawowania jakichkolwiek form kultu religijnego.

Informacja ta opatrzona też została stwierdzeniem, że łamanie tych zasad będzie karane aresztowaniem. Tak też było, bo ci, którzy nie przestrzegali tych rygorów,

Feliks Mostowicz „Rodzina Mostowiczów w izbie" (w Kazachstanie). Matka Filomena (siedząca na ławeczce przy kuchni), siostra Wala przy cebrzyku, Feliks (autor) siedzi przy piecu i czyta książkę, brat Józef wygląda zza pieca

np. podejmowali próbę ucieczki lub wyrażali niezadowolenie z powodu warunków, jakie im stworzono, oraz oburzenie wobec władz, byli aresztowani i wysyłani do łagrów, z których nieraz powracali po latach bądź nie wracali w ogóle.

Na północy Kazachstanu, można rzec, było to osadnictwo na tzw. surowym korzeniu. Powodem było to, iż na początku lat 30. usilnie starano się kolektywizować kazachską gospodarkę pasterską, co wiązało się z różnorakimi działaniami restrykcyjnymi. W rezultacie **tereny te dotknął głód, zmarło około miliona osób.** Część Kazachów, po spacyfikowaniu ich ruchów wolnościowych, opuściła swe rodowe siedziby i uszła przed prześladowaniami do północnych Chin oraz Mongolii.

Wtedy właśnie władze Związku Radzieckiego postanowiły uczynić z północnych stepów kazachstańskich tereny rolnicze, aby uniezależnić się od sprowadzania zboża z zagranicy. Rolę tę wyznaczono Polakom, których gospodarstwa na terenie Ukrainy należały do zasobnych, a ich właściciele byli dobrymi rolnikami. Byli wśród nich i tacy, którzy uzupełniali gospodarkę rolniczą o inne formy jej wzbogacenia, do których należało: pszczelarstwo, uprawa lnu, tłoczenie oleju, domowe tkactwo, drobne młynarstwo i garbarstwo. U podstaw wspomnianej decyzji przesiedleńczej leżało też rozbicie skupisk polskich na tym terenie, które skutecznie sprzeciwiały się kolektywizacji, oraz osadzenia części tej ludności w stepach Kazachstanu, by tam właśnie rolniczo zagospodarowywała ziemie. Faktycznie wybór ten był „racjonalny" z punktu widzenia komunistycznej gospodarki, ale wykonanie tego zamiaru miało jednoznaczny wymiar restrykcyjny.

Kazachowie wiedzieli, że nie był to dobrowolny marsz Polaków na kazachskie stepy w celu ich zagospodarowania. Był to przymus, nakaz, decyzja, której sprzeciwienie się karano niejednokrotnie śmiercią lub zesłaniem do łagrów, co było częstokroć równoznaczne z pozbawieniem życia. Dowodów takiego rozumienia przez Kazachów masowego pojawienia się Polaków na ich ziemiach w latach 30. ubiegłego stulecia mamy aż nadto. W relacjach ludzi przywiezionych wówczas w zimny step po wielekroć przewija się opinia, iż to dzięki prostemu kazachskiemu ludowi udało się im przetrwać srogą zimę. Kazachstan wówczas, a także i potem, był rejonem wielkiego gułagu, na którego teren w sposób masowy wywożono wówczas ludność wiejską z terenu tzw. zazbruczańskiej Ukrainy radzieckiej, by z dala od swych osad kresowych można było łatwiej ją rusyfikować, a ponadto by włączyć ją w proces „postępu agrarnego, który jest tak potrzebny dla Kazachstanu" – jak głosiła jedna z instrukcji deportacyjnych.

Relacja z deportacji rodziny Diaczyńskich do Kazachstanu:

Osiedlano tutaj ludzi podejrzanych o nieprawomyślność – innymi słowy specprzesiedleńców. Gospodarzy sprzeciwiających się kolektywizacji, kułaków, a na dodatek nacjonalistów. Inaczej mówiąc, takich na których padł cień podejrzenia, że są wrogami władzy sowieckiej i ludu pracującego. Właściwie specprzesiedleńcy powinni być wdzięczni partii i rządowi za to, że postąpiono z nimi tak łaskawie. Innym działo się znacznie gorzej.

Punkt oznaczony na mapie numerem jedenastym, w rzeczywistości był nierównym terenem pełnym wzniesień i zapadlin. Na kilometrze kwadratowym stepu szła budowa. Aby wybudować sobie jakieś przytulisko, przesiedleńcy pracowali od świtu do jesiennej nocy. Musieli zdążyć jeszcze przed jesiennymi słotami, po których zaraz następowała lodowata, wietrzna zima

Całe budujące się osiedle składało się w większej części z lepianek, wokół których krzątali się ubrudzeni gliną i błotem ludzie. Wydawało się, że zobojętnieli już na wszystko. Nie było słychać ani śmiechu, ani wesołych pokrzykiwań. Nowo przybyli patrzyli na nich z nieukrywanym lękiem. „Mój Boże, to wszystko miałoby być również i naszym udziałem? Czyżby i nam gotowano taki sam los?"

Jakby odpowiadając na miotające się w przestrachu myśli zesłańców, jeden z enkawudzistów eskortujących obóz, wracając po krótkiej utarczce z traktorzystą, kategorycznie stwierdził:

– Od dzisiaj będziecie tutaj mieszkać. Miejsca wystarczy dla wszystkich!

Do unieruchomionego traktora już ze wszystkich stron biegli ludzie, rzucając łopaty i taczki. Umazanymi gliną rękami macali ubrania nowo przybyłych, z chciwym zaciekawieniem wpatrując się w ich twarze. Pośpiesznie i bezładnie padały pytania po polsku, ukraińsku, niemiecku.

– Ludzie skąd jesteście?

– Skąd przybywacie?

– Z jakich krajów, z jakiej wsi?

Z Żytomierszczyzny, z pulińskiego rejonu – odpowiadali nowo przybyli, stłoczeni przy saniach wyładowanych mizernym dobytkiem i dziećmi. Z rozpaczą, łudząc się jednocześnie nadzieją, wpatrywali się w twarze przybyłych tutaj przed nimi specprzesiedleńców. Na samym początku obezwładniała ich świadomość, że będą musieli tutaj żyć, a zarazem potem podnosiła na duchu myśl, że może to zawsze lepiej tutaj niż gdzie indziej – beznadziejnej stepowej pustce, bez śladu człowieka.
Czwarty i ostatni transport tego roku składał się z zesłańców przybyłych na końcu września. Wtedy właśnie zaczynało się babie lato. Zdążyli jeszcze przed jesiennymi słotami, które zresztą wkrótce nastąpiły. W transporcie tym przyjechało kilkadziesiąt rodzin i to ich wspólne miejsce osiedlenia nazwano, na razie, punktem jedenastym. Trzy poprzednie transporty, które przyjechały jeden po drugim jeszcze latem, składały się przede wszystkim z Polaków połońskiego, koresteńskiego i jemielczyńskiego powiatu. Czwarty transport, ten z pulińskiego, składał się trochę z Polaków, ale głównie z Niemców.
Do nowo przybyłych przyszedł komendant budującego się osiedla, Obremko, niski, ponury mężczyzna po pięćdziesiątce. Prawdopodobnie był wściekły z powodu tego, że tak późno, prawie u progu zimy, na jego barki rzucono jeszcze jeden transport specprzesiedleńców. Byłoby znacznie lepiej, gdyby traktor, mimo wszystko, dobrnął do wyznaczonego miejsca, a tam niechby nawet wszyscy pozamarzali. Tutaj jednak za wszystko odpowiadał on i dlatego musiał gdzieś ulokować nowo przybyłych. Podpisując dokument o przyjęciu kolejnego transportu ze specprzesiedleńcami, w skąpych słowach nakreślał im plan na najbliższą przyszłość.
O, tam, na końcu osady, za ostatnimi budującymi się domami rosną wysokie krzewy burzanu. Tam zaczniecie budować dla siebie jakiś dach nad głową. Teraz geodeta odmierzy prostokąty trzy na cztery metry. Na nich postawicie sobie lepianki. Między prostokątami – wspólna ściana. Na każdej połowie zamieszkają dwie rodziny. Rozumiem, że trochę przyciasno! Ostrzegawczo podniósł rękę słysząc szmery. Ale to chwilowo, kłócić się będziecie później! Stawiajcie ściany i przykrywajcie dachem. Dobrze ocieplajcie gliną – żeby – zanim zacznie się zima – wasze domy nie popłynęły razem z deszczem. Spieszcie się! Zima nie każe tutaj na sobie czekać i nie jest taka jak na Ukrainie, czy tam, w tej waszej Polsce[84].

Zasiedlane nowych terenów

W północnym Kazachstanie, gdzie osiedli nieliczni chłopi emigranci z okresu tzw. reformy stołypinowskiej w Rosji, było to raczej osadnictwo mniej zwarte, nakładające się na rosyjsko-etniczną strukturę mieszkańców wsi w tym rejonie i można powiedzieć, że były to raczej przypadki jednostkowe.

Natomiast w latach 30. XX wieku właśnie te tereny przeznaczone zostały do utworzenia na nich wsi zasiedlanych przez polskich przesiedleńców z Ukrainy[85].

---

[84] Relacja Mikołaja Diaczyńskiego spisana przez jego syna Anatola i opublikowana pt. *Myśmy do stepów unieśli Ojczyznę*, „Przekrój" 1999, nr 40, s. 34.

[85] *Polska i Ukraina w latach trzydziestych-czterdziestych XX wieku. Nieznane dokumenty z archi-*

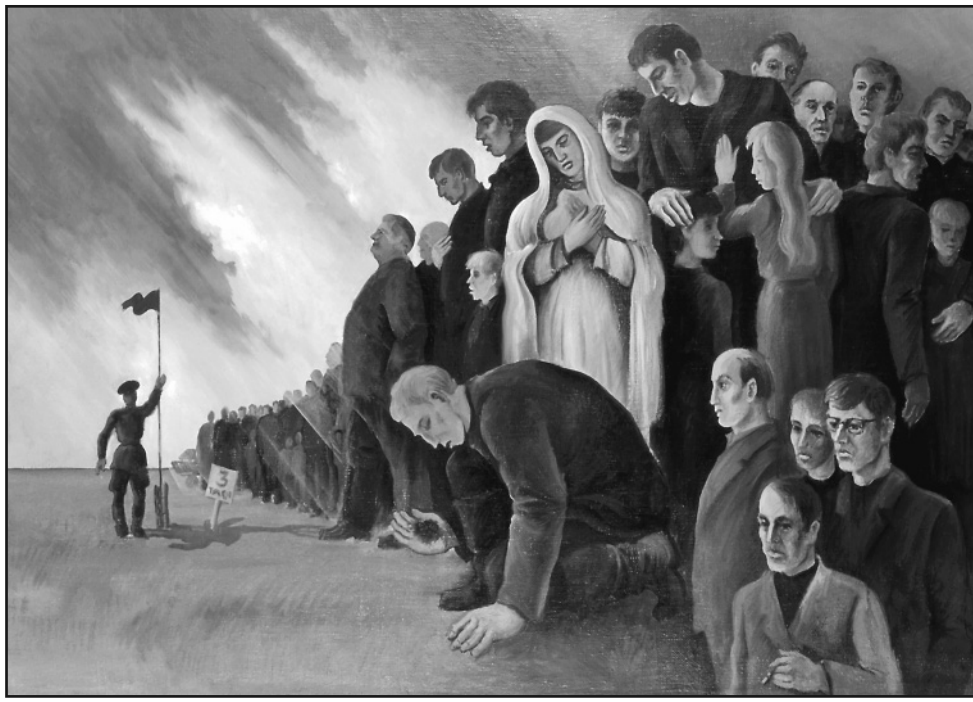

Feliks Mostowicz „Nowa Ojczyzna". Grupa Polaków deportowanych w 1936 roku z Żytomierszczyzny. Na obrazie widoczna flaga trzymana przez żołnierza, tabliczka z numerem 3 „uczastka" i tłum przesiedleńców na pustym stepie, gdzie mieli zbudować nową wieś.

Praktyka tego „osiedlania" była nadzwyczaj prosta. Transporty posuwały się przeważnie wzdłuż jedynej w północnym Kazachstanie linii kolejowej, wiodącej z Pietropawłowska, zbudowanej w połowie lat 20., aż do Taińczy. Tam też w pewnych odległościach, z dala od linii kolejowej kierowano przesiedlaną ludność, zatykając w szczerym stepie pal – często z flagą i zawsze z kolejną liczbą *„uczastka"*. Tak więc na przestrzeni wielu kilometrów powstawały w tym rejonie wioski z polskimi przesiedleńcami z Ukrainy, noszące oznaczenia: *„1 uczastek"*, *„2 uczastek"*, *„3 uczastek"* itd. Z czasem numery zastąpiono nazwami: Zielony Gaj, Jasna Polana, Bieriezowka, Czernigowka, Podolskie, Wiszniowka, Wołyńsk. Część nazw nowych osad w stepie była zapewne spełnieniem propozycji zamieszkujących je mieszkańców i wyrażała tęsknotę za ziemią utraconą, hen daleko na Ukrainie. Bywało też, że mniej zwarte grupy „zesłańców-osadników" docierały do Kustanaju, skąd odwożono ich w rejon Akmolińska i Astany.

Życie przesiedleńców podlegało nadzorowi i obwarowane było wieloma ograniczeniami o charakterze dyscyplinarnym. W kazachstańską ziemię wrastano więc powoli i z trudem, szczególnie wobec narzucającej się surowości miejscowych warunków bytu. Ludzie umierali z pragnienia i fatalnych warunków higienicznych,

wów służb specjalnych. Wielki Terror: operacja polska 1937–1938, t. 8, część 1, Warszawa–Kijów 2010, s. 227–248.

zwłaszcza latem, zimą zaś z wyziębienia, ponieważ namioty bądź naprędce sklecone ziemianki nie zapewniały tak bardzo potrzebnego ciepła, a w północnym Kazachstanie temperatura o tej porze roku osiąga nieraz –35°C. Przynosiło to ze sobą dramatyczne następstwa zdrowotne wśród tej prawie 60-tysięcznej grupy wywiezionych wówczas w bezludny step i osiedlonych z dala od głównych ośrodków miejskich. W listach pisanych do znajomych na Ukrainie przesiedleńcy skarżyli się na ciężkie warunki życia w obwodzie karagandzkim, informując, że zostali oszukani:

> Wyładowano nas w pustym stepie, gdzie widać tylko niebo i ziemię. Mieszkamy w namiotach. Trzeci dzień pada, namioty przeciekają, więc jest bardzo zimno i siedzimy w wierzchnich ubraniach. Niczego tu nie posiano. Pojawił się tyfus i dużo dzieci umiera, bywa, że jest po 2–3 zmarłych dziennie.
> Urządziliśmy się w namiotach po 7 rodzin. W namiocie straszna ciasnota. Bydło stoi pod gołym niebem. Nie ma tu żadnych szkół i nie ma gdzie się uczyć. Dobre jest tylko to, że jest dużo towaru, ale brakuje pieniędzy, żeby go kupić. Podczas przesiedlenia obiecali nam kredyty, a tu nie dali ani jednej kopiejki.
> Jechaliśmy przez 9 dni. Na stacji Taincza wyładowali nas w szczerym polu i leżeliśmy pod gołym niebem przez 4 dni, potem zawieźli nas 60 kilometrów dalej.[…] Wysadzili nas w szczerym polu, gdzie nic nie ma. Spaliśmy pod gołym niebem cały tydzień, a potem rozłożyli nam namioty – jedną sztukę na 25 rodzin[86].

Otrzymane listy od przesiedleńców spowodowały protesty wśród ukraińskiej ludności, która zaczęła buntować się przeciwko przesiedleniom. Grożono paleniem gospodarstw i całych chutorów, niszczono sady, atakowano milicjantów i agitacyjne trójki komsomolskie, pojawiły się czynne formy oporu ze strony przesiedlanych. Władze podjęły więc różne działania zmierzające np. do wzmożenia masowej akcji wyjaśniającej te przesiedlenia.

Wyróżnikami przywiązania ludzi do swoich stron, które mieli opuścić było wyznanie rzymskokatolickie, związana z nim obyczajowość, a także język i kultura. Była to przede wszystkim ludność wiejska, w mniejszym stopniu mieszkańcy miast, która przeciwstawiała się narzuconej im przemocą decyzji przesiedleńczych. Wobec osób przejawiających wrogie nastawienie do tych decyzji „podjęte zostały skuteczne przedsięwzięcia operacyjne" – informował Z. Kacnelson, Zastępca Komisarza Spraw Wewnętrznych USRS[87].

Realizowano więc dwa podstawowe działania: pierwsze – eliminacja napływu informacji od przesiedleńców z Kazachstanu poprzez kontrolę i zatrzymywanie korespondencji, oraz druga – najboleśniejsza, polegająca na „skutecznym" eliminowaniu osób deprecjonujących zarządzenia władz poprzez ich aresztowania, zesłania do łagrów i rozstrzeliwanie. Trzeba jasno uzmysłowić sobie, że nie istniała

---

86 Ibidem, s. 237–239. Pismo p.o. zastępcy ludowego komisarza spraw wewnętrznych USRS Salomona Mazo do Stanisława Kosiora i Pawła Postyszewa w sprawie listów od przesiedleńców ze skargami na warunki życia w Kazachstanie.

87 Ibidem, s. 247.

wówczas jakakolwiek możliwość zatrzymania i przeciwstawienia się akcji przesiedleńczej, będącej elementem tzw. operacji polskiej realizowanej w ZSRR.

Warunki życia na zesłaniu

Na zesłaniu w Kazachstanie nie bez znaczenia były też warunki klimatyczne charakteryzujące się, mówiąc najogólniej, krótkim gorącym latem oraz srogą długą zimą z dużymi opadami śniegu oraz śnieżnymi burzami *(buranami)*, typowymi przede wszystkim dla północnych rejonów tego kraju. Do destrukcyjnych zjawisk obniżających odporność osadników na choroby należało niedożywienie. Ponadto fatalne warunki sanitarne stwarzały zagrożenie plagą różnego rodzaju insektów. Rozpowszechnianiu się chorób sprzyjał głód. Poza tym brak było środków piorących, które zastępował ług robiony z popiołu spalanego drewna.

Brak izolacji cierpiących na choroby zakaźne powodował, że zapadały na nią nieraz najbliższe osoby z rodziny. Sytuacja to prowadziła w konsekwencji do umierania osób mniej odpornych, wycieńczonych fizycznie, niedożywionych, pozbawionych opieki medycznej oraz lekarstw. Tak było w pierwszym okresie przybycia do Kazachstanu przesiedleńców z Ukrainy w 1936 roku, a na powstałych wówczas cmentarzach, z których część dotrwała do dziś, spotykałem najwięcej grobów z tego pierwszego okresu osiedlenia. Brak opieki lekarskiej był jedną z głównych przyczyn dużej zachorowalności w pierwszym okresie osiedlenia, co powodowało znaczną śmiertelność, zwłaszcza wśród osób starszych oraz dzieci. Chorzy bezskutecznie szukali pomocy, a w osiedlowych posiołkach, które powstawały na tzw. surowym korzeniu w głębi stepu w ogóle nie było lekarzy. Chcąc dotrzeć do lekarza, trzeba było zazwyczaj pokonać spore odległości, a ponadto tzw. *komendancki czas* zabraniał przesiedlonym opuszczać wyznaczonych im stałych miejsc zamieszkania. Warunki zamieszkania, początkowo w namiotach, a później w samanach, brak wody pitnej, plaga insektów i niedożywienie dopełniały spustoszenia w ludzkim organizmie i były przyczyną wielu chorób zakaźnych. Potwierdzenie tego znajdujemy w licznych raportach kierowanych do władz, a w jednym z nich z września 1936 roku czytamy:

> Sanitarne warunki życia przesiedleńców w chwili obecnej tworzą przesłanki dla rozwoju zachorowań epidemicznych, w pierwszym rzędzie na tyfus brzuszny i infekcje przewodu pokarmowego. Mieszkańcy częściowo są zawszeni, nie prowadzi się planowej sanitarnej dezynfekcji, a rozmieszczenie zrealizowano tak, że nastąpiło przeludnienie niektórych obszarów. Zamieszkiwane terytorium jest silnie zanieczyszczone i brudne.
>
> Sieć medyczno-sanitarna nie zapewnia opieki medycznej nad ludnością, a także przeprowadzanie działań epidemiologicznych. Istniejące punkty izolacji epidemiologicznych rozlokowano w niedostosowanych do tego celu pomieszczeniach. Niedostateczna jest ilość materiałów opatrunkowych i instrumentów medycznych[88].

[88] *Z dziejów Polaków w Kazachstanie 1936–1956. Zbiór dokumentów…* op. cit., s. 32.

Dopiero po pewnym czasie, gdy ludność skierowana została do pracy w kołchozach, pojawiły się w większych osiedlach punkty ambulatoryjne, do których od czasu do czasu przyjeżdżał felczer bądź lekarz. Generalnie jednak system opieki medycznej był niezadowalający pod względem instytucjonalnym i personalnym, a większość przesiedlonych pozostawała bez opieki lekarskiej. Leczono się więc domowymi sposobami takimi jak: wywary z ziół, stawianie baniek, stosowano też formy zamawiania, wypowiadane po cichu przez starsze kobiety uzdrowicielki. Niektórzy udawali się do „rosyjskich wsi", gdzie znajdowały się tzw. banie, w których zażywano kąpieli, pozbywając się insektów. Nierzadko zasięgano też porad u lokalnych znachorów kazachskich, widząc w ich rozlicznych praktykach jeszcze jeden sposób na ulgę w chorobie.

Jakże więc w tych warunkach można było egzystować? Brakowało żywności i lekarstw. Ciągle ktoś mógł być aresztowany. Nieraz do stepowych osad przychodzili Kazachowie, z którymi wymieniano odzież na żywność, zwłaszcza mięso. W pamięci ludzi, którzy przeżyli pierwszą zimę na kazachstańskiej ziemi, zachowała się wdzięczność wobec prostego kazachskiego ludu, który wspomagał nieraz przybyszy w trudnych czasach oswajania się z Kazachstanem. Oto np. według relacji zebranych wśród kazachstańskich Polaków mieszkających w obwodzie ałmatyńskim, których wysadzono z eszelonu na stacji kolejowej Biesierki, wynika, że pierwszą zimę spędzili oni w kazachskich domostwach, nieraz były to jurty, częściej jednak samany. Bagaż osobistych krzywd i przeżyć związanych z deportacją nie zmącił u nich obiektywnego oglądu rzeczywistości, jaką zastali w kazachskich domostwach. Często Kazachowie dzielili się z nimi ostatnim bochenkiem chleba, pomagali w rozlokowaniu przywiezionego bagażu, uczyli z czasem budować domy z gliny, zapoznawali z warunkami stepowego życia, słowem – byli dla nich przyjaciółmi w trudnych chwilach nowego życia na obcej ziemi. Tak oto wspomina pierwszy okres na zesłaniu Franceska Michalska:

> Wynieśliśmy z pociągu nasz dobytek i czekaliśmy na samochody ciężarowe.
> Dookoła nas nie było nic. Żadnych zabudowań, żadnych śladów człowieka, żadnych drzew ani krzewów. Jedynie sucha, żółta, kłująca trawa. Za to powietrze było przejrzyste i widoczność doskonała, tyle że mogliśmy zobaczyć jedynie horyzont. Po jakimś czasie zauważyliśmy sporej wielkości kule toczące się lekko po stepie. Było to – jak się później okazało – ziele zwane tutaj *pieriekatipolje*, o kulistym kształcie i bardzo słabym ukorzenieniu. Wiatr często je wyrywał i toczył bez końca w niezmierzoną dal.
> Właśnie tego dnia zdarzyło się zaćmienie słońca. Nagle zrobiło się ciemno; pełni najgorszych przeczuć czekaliśmy, aż minie. Potem nastał prawdziwy zmierzch. Po dziennym upale zapanował wielki chłód. Rano znowu zrobiło się gorąco. Przyjechały też następne eszelony. A później, nareszcie, pojawiły się ciężarówki. Zaczęły rozwozić nas w różnych kierunkach. W pierwszej ciężarówce oprócz szofera jechał komendant. Polną drogą dotarliśmy do miejscowości Kellerowka, odległej od końca torów o jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Dalej jechaliśmy już tylko po trawie.

Była bardzo sucha, wysoka, szorstka. Gdy wreszcie się zatrzymaliśmy, komendant wysiadł i zawołał:
– *Wychoditie! Zdies budietie gorod stroit!*
Wyjął z kabiny drewniany kołek, na którym był napis: „Hurt Nagilnyj". Próbował wbić go w ziemię, najpewniej jako punkt centralny przyszłego *goroda*, ziemia jednak była twarda jak kamień, przywiązał więc tylko kołek sznurkiem do wysokiej, szorstkiej trawy.
Jeszcze tego samego dnia przywieziono około pięciuset rodzin. Podobnie jak my, pochodziły z Wołynia, z sąsiadujących z nami wsi. Rozwożono i wysadzano w stepie kolejne transporty. Każde z takich skupisk komendant oznaczał cyframi: 1, 2, 3 itd. Później, nie pamiętam dlaczego, nazwaliśmy naszą osadę Czernigowka.
Noc spędziliśmy w trawie. Niektórzy siedzieli na przywiezionych sprzętach. Baliśmy się wilków, a noc zeszła na śpiewaniu pieśni religijnych. Szczególnie utkwiła mi w pamięci wielokrotnie powtarzana *Serdeczna Matko*.
Następnego dnia przyjechało dwóch Kirgizów. Przywieźli ze sobą dwadzieścia dużych brezentowych namiotów. W każdym musiało się zmieścić od dwudziestu do dwudziestu pięciu rodzin. Na środku pozostawiono nieco miejsca dla przejścia, a po obydwu stronach komendant umieszczał kolejne rodziny. Każdej wyznaczał niewielką powierzchnię – w zależności od liczby osób. Nas było sześcioro. Przydzielił więc nam półtora metra.
Jeśli chcieliśmy się zmieścić na tej przestrzeni, musieliśmy kłaść się wszyscy jednocześnie. Nie sposób było się obrócić z boku na bok. Wielu więc, jak mój starszy brat Władek, nadal spędzało noce pod gołym niebem. W namiocie było jednak trochę cieplej i kilka osób mogło przykryć się tym samym kocem.
[…] Komendant zjawił się niebawem z nowym poleceniem. W odległości trzystu metrów od namiotów mieliśmy wykopać rów służący do załatwiania potrzeb fizjologicznych.
Inny rów wykopaliśmy już w sąsiedztwie namiotów; ten miał służyć jako palenisko. Miał dwa poziomy. W pierwszym, wyższym, należało umieszczać kotły, a w dolnym rozpalać ogień. W czasie, gdy byliśmy zajęci tymi czynnościami, wielu z nas zaczęło chorować. Były to skutki picia wody z kirgiskiej studni. Chorzy cierpieli na krwawą biegunkę, mieli wysoką gorączkę i byli bardzo osłabieni. Żaden nie miał siły dojść do rowu-ubikacji. Dokoła namiotów pełno było odchodów, śluzu i krwi. Utkwiły mi mocno w pamięci twarze małych dzieci o zapadniętych oczach, otoczonych sinymi kręgami; z buzi wystawały im wysuszone języki.
Pierwsza straciła dziecko Niedaszkowska. Biegała oszalała z rozpaczy, pytając wszystkich po kolei:
– Gdzie je pochowam? Przecież tu nie ma cmentarza, nie ma z czego zrobić trumienki.
– Komendant wyznaczył miejsce na cmentarz niezbyt daleko od namiotów. Sprowadził też skądś deski na trumnę. Ściślej – na trumny. Wkrótce bowiem zmarło jeszcze kilkoro dzieci. Nie trzeba było jednak długo czekać na śmiertelne żniwo wśród dorosłych. Najpierw umierali starsi, potem także ludzie w sile wieku.

Zdarzały się takie dnie, kiedy w naszym pięciuset rodzinnym osiedlu w obce, kazachskie zaświaty odchodziło nawet kilkanaście osób. Byliśmy osłabieni, wyniszczeni przez głód, suszę i chłody[89].

Wywiezieni otrzymali status *„spiecpieresieleńców"*, co łączyło się z odebraniem im dowodów osobistych i srogimi rygorami porządkowymi, ograniczającymi swobodę przemieszczania się (obowiązywał tzw. *komendancki czas*), oraz comiesięczną koniecznością meldowania się u miejscowych władz. Istniał zakaz uprawiania praktyk religijnych, korespondencji z najbliższymi, nauki w języku ojczystym, co w skuteczny sposób ograniczało w początkowym okresie zdobywanie wykształcenia przez młodzież, spośród której tylko nieliczni ukończyli szkoły średnie do początku lat 40. XX stulecia.

Po śmierci Stalina sytuacja ta zmieniła się na tyle, że zdjęto ów *komendancki czas*, zatem i zwiększyła się swoboda przemieszczania się, a ponadto młodzież uzyskała dogodniejsze warunki do kształcenia. Nadal jednak wszelkie podejrzenia o nieprawomyślność wobec władz były karane zsyłką do łagrów. Nawet w czasach tzw. wojny ojczyźnianej w latach 1941–1945 zasadą było, że młodzi mężczyźni z grupy tzw. *spiecpieresieleńców* nie byli wcielani do regularnej armii, natomiast kierowano ich do tzw. trud-armii, inaczej *stroj-batów* (bataliony budowlane), gdzie pracowali przy budowie linii kolejowych, zakładów przemysłowych, kopalni lub w innych dziedzinach gospodarki zajmującej się zabezpieczeniem potrzeb dla frontu. Dopiero pod koniec wojny, gdy brakowało żołnierzy na froncie, niektórzy z kazachstańskich Polaków wcieleni zostali do Armii Czerwonej i skierowani na tzw. front południowy, operujący na terenie dzisiejszej Austrii i Węgier.

Zdarzało się też, że w ramach uzupełniania stanu określonych jednostek Wojska Polskiego utworzonego w ZSRR pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga niektórzy żołnierze Armii Czerwonej byli przenoszeni do polskich jednostek. Po zakończeniu wojny otrzymali oni rozkazy wyjazdu, rzekomo po to, by ze swoimi rodzinami wrócić do Polski, a gdy znaleźli się ponownie w Kazachstanie, wspomniany *komendancki czas* nie pozwolił im na powrót. Spotykałem ich we współczesnym Kazachstanie, dzisiaj już sędziwych starców, żyjących mitem odległej Polski. W latach 90. ubiegłego wieku decyzją ministra obrony narodowej Rzeczypospolitej Polskiej niektórzy z nich zostali odznaczeni stosownymi medalami wojskowymi.

Kiedyś, będąc we wsi Oktiabr (dzisiaj Nur) niedaleko Ałmaty, spotkałem żołnierza, który w czasie wojny trafił do Armii Polskiej, a po jej zakończeniu stacjonował w Kostrzyniu nad Odrą. Tam otrzymał rozkaz wyjazdu po rodzinę do Kazachstanu, pojechał więc, ale już nie miał możliwości powrotu. Rozmawiałem z nim długo, słuchając opowieści o frontowych losach. Powiedział mi nawet, że „o wiele szczęśliwsi są ci, którzy pozostali wówczas na polskiej ziemi". Wsłuchując się w te słowa, odrzekłem mu, że przecież jest takich niewielu, podobnie bowiem jak on wrócili po swe rodziny do Kazachstanu i mieszkają tam do dzisiaj.

---

[89] F. Michalska, *Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce. Wspomnienia,* Warszawa 2007, s. 41–44.

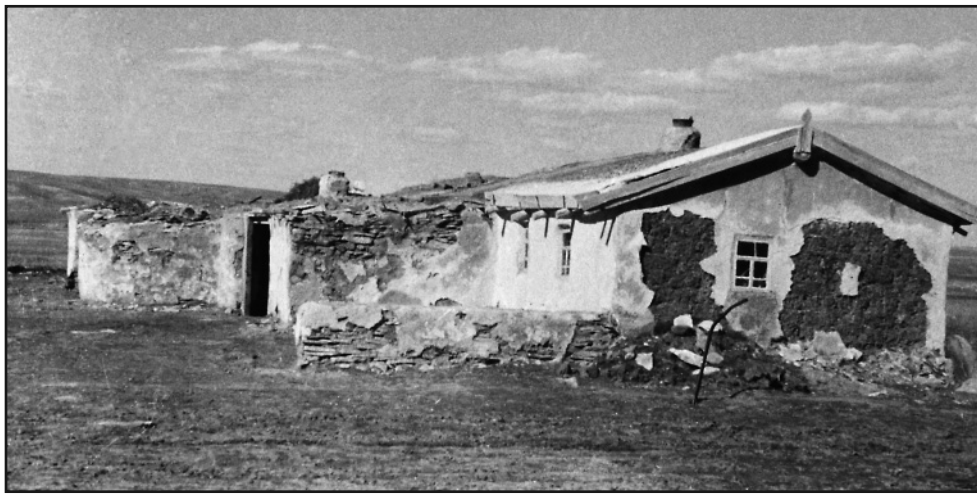

Dom z samanu. Autor tego zdjęcia – Karol Wituszyński został zesłany do Kazachstanu w 1940 roku. Był fotografem w Samborze, któremu udało się przemycić aparat fotograficzny. Zmarł w 1944 roku, jego żona zmarła nieco wcześniej, a syn został zamordowany w Kijowie – Bykowni w 1940 roku.

Na to usłyszałem wyznanie starego wiarusa: „ja mówię o tych, co pozostali na polskiej ziemi i leżą na polskich cmentarzach. Bo w Polsce są takie święta, że na mogiłach tych żołnierzy zapala się znicze, a ja, gdy umrę, a tak niewiele zostało mi życia, pozostanę tutaj na kazachskiej ziemi i za parę lat mogiłę moją pokryje stepowy piach".

Poprzez ten jednostkowy los docieramy głębiej do przestrzeni losów polskiej diaspory w Kazachstanie, do której każdy z opowiadających wnosi własny życiorys, własny obszar doświadczeń i refleksji.

Były to czasy tragiczne i ciężkie. Mimo to rok za rokiem, powoli zagospodarowywali się Polacy na kazachstańskiej ziemi. Najpierw po pierwszej strasznej zimie, podczas której wiele osób zmarło, stawiali kazachskim zwyczajem mieszkalne samany. Drewna tam zazwyczaj nie było. Kazachowie okazali się dobrymi instruktorami budowy domów na sposób miejscowy. Wespół z Polakami budowali nieraz te domostwa, by następną zimę mogli oni przeżyć w znośniejszych warunkach. Domy kryto *„kumyszem"*, czyli trzciną, która rosła w wilgotnych miejscach na stepie. Nauczono się też od autochtonicznej ludności przygotowywania opału na zimę, czyli tzw. *kiziaku*, to jest nawozu bydlęcego wymieszanego ze słomą, a następnie formowanego w małe kostki i wysuszonego. W tych aułach, w których mieszkali Kazachowie i Polacy, ci ostatni stali się dla tubylczych mieszkańców nauczycielami uprawy warzyw na działkach przyzagrodowych, lub Kazachowie odnajmowali działki naszym rodakom, którzy zebrane plony dzielili po połowie z właścicielami.

Rzekomi „wrogowie ludu", jak określano potocznie Polaków zesłanych wówczas do Kazachstanu, znajdowali się, o czym już wspomniałem, pod uciążliwym nadzorem miejscowych władz. Rozciągał się on na wiele sfer ludzkiego życia –

materialnych, społecznych i duchowych. Zwłaszcza ta ostatnia z determinacją była szykanowana, bo „religia to opium dla ludu", głosili miejscowi komisarze, przekazując tę centralną dyrektywę władz radzieckich. Z trudnością więc wrastano w tę ziemię, a w pejzażu powstających wsi nie było kościelnych wież, kaplic i krzyży. Chociaż te ostatnie pojawiały się coraz częściej na powstających w okolicy cmentarzach, gdyż pierwsze lata wrastania w kazachstańską ziemię pochłonęły najwięcej zmarłych.

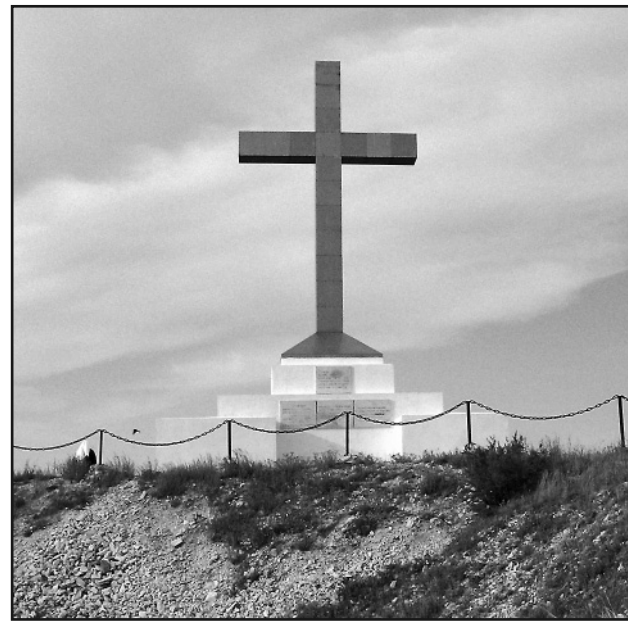

Krzyż na Sopce Wołyńskiej w Kazachstanie

Pojawienie się księży

Życie religijne skryło się szczelnie za zamkniętymi drzwiami wiejskich osad. Charakteryzowało się ono spotkaniami modlitewnymi, odmawianiem różańca i rodzinną katechezą. Lata 1936–1941 to okres, w którym społeczność polska przesiedlona do Kazachstanu pozbawiona była kontaktu z księżmi. Pojawili się oni tam już w pierwszym roku wojny niemiecko-sowieckiej, która wybuchła w czerwcu 1941 roku. Po zawarciu umowy między rządem Polski i Rosji Sowieckiej w lipcu 1941 roku, znanej jako układ Sikorski–Majski, i na mocy amnestii z sierpnia 1941 roku, zesłańcy, więźniowie łagrów stali się ludźmi wolnymi, z prawem swobodnego poruszania się. Księża, często wspólnie z cywilami, wędrowali przez Kazachstan, bowiem tamtędy wiódł zesłańczy szlak do formującej się armii polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Podążali oni, mijając po drodze wioski, w których mieszkali Polacy, zesłańcy z 1936 roku oraz zesłańcy z ziem zabranych Rzeczypospolitej po 17 września 1939 roku. Ich pobyt zwykle był krótki, ożywiał jednak życie religijne. A oto, co na ten temat powiedziała mi jedna z mieszkanek wsi w ałmatyńskim rejonie:

> Był wieczór późnego listopada, gdy nagle do naszej maleńkiej chatynki zapukali jacyś dwaj włóczędzy. Byliśmy zdenerwowani, bo wokół był pusty step, a dom stał nieco dalej od innych chat. Kopciłka ledwie świeciła, było więc ciemno. Gdy przez zamknięte drzwi mąż zapytał kto tam, usłyszał „my Polaki". Naradziliśmy się, czy otworzyć. Ale „skoro Polaki", to jak nie wpuścić ich do izby. Weszli, byli brudni i obdarci. Szmaty na nogach zastępowały buty, a byle jakie odzienie przy-

kryli kocami. My z łagru powiedzieli. Do wojska polskiego idziemy. Do jakiego wojska, pomyśleliśmy? Po chwili, gdy wypili czaj, zaczęli mówić o sobie. Jeden był księdzem, drugi jakimś dawnym nauczycielem. Zmęczeni poszli spać, układając się na ławach stojących przy piecu. Byli u nas dwa dni i pytali, czy daleko do Ałma-Aty, bo jak mówili, jest tam „polski urzędnik" rekrutujący do wojska. Chata nasza była biedna, więc i do jedzenia nie mieliśmy za wiele. Ugotowałam zalewajkę i trochę kartofli, zjedliśmy to razem, a potem powiedzieli, że szli od Iszyma. Pożegnałam ich dobrym słowem, a ten, co mówił, że jest księdzem, pobłogosławił dom i wspólnie odmówiliśmy pacierz. Prosiłam go, aby nie zapominał o nas w modlitwie. Obiecał, że tak będzie robił. Później nie miałam od nich wiadomości. Może dotarli do Ałma-Aty?[90]

Wraz z pojawieniem się księży, często kapelanów wojskowych, na tych drogach do wolności wiodących przez Kazachstan do armii gen. W. Andersa odradzało się życie religijne. Wprawdzie nie było ich wielu, ale ich przybycie do osad, w których mieszkali zesłańcy, dawało sposobność do spowiedzi, chrztów, poświęcenia mogiły i zbiorowej modlitwy. Bywało, że nieraz przybywali do danego miejsca zesłańcy z roku 1936, często z odległych okolic. Pozbawieni do tego czasu kontaktu z duchownymi, mogli po długiej przerwie, jak mi opowiadano, wyspowiadać się, ochrzcić i pomodlić bez narażania się na szykany.

A potem, gdy zakończył się exodus do polskiej armii, znowu ogarniała ich pajęczyna urzędowej indoktrynacji. Ale już samo wspomnienie tych spotkań w stepie podtrzymywało ich religijność, a modlitwa dawała ukojenie.

Religia nie znikła z życia zesłańców i wspomagała ich w prośbie o błogosławieństwo, mające wpłynąć na polepszenie zesłańczej doli. Stłamszeni pod względem materialnym, pozbawieni swych zasobnych ziem rodzinnych na Kresach, w stepie szukali wspomożenia u Boga. Ich wiara była silna mocą tradycji, ale tu jeszcze mocniejsza w obliczu nieszczęścia, jakie ich spotkało. Wzmocniła się jeszcze bardziej i na nic zdały się restrykcje administracyjne oraz różne pogróżki miejscowej milicji i tajniaków zaglądających do stepowych chat, by sprawdzić, czy zesłańcy nie „klęczą przed świętym obrazem"[91].

Z relacji mieszkańców wsi wynika, że spotkania z księżmi, którzy po długiej nieobecności pojawili się w niektórych wsiach w latach 1941–1942, gdzie mieszkali zesłańcy z 1936 roku, były dla nich zaskoczeniem i faktu tego nie mogli początkowo zrozumieć. Mieszkając od 1936 roku na kazachstańskiej ziemi, stanowili społeczność izolowaną i dla większości z nich przybycie w 1940 roku zesłańców z Polski było zjawiskiem zaskakującym, o którym dowiadywali się pokątnie. Spotkania te, mimo propagandowych informacji, iż przywieziono burżujów, szpiegów i wrogów Związku Radzieckiego, odkrywały prawdę o okolicznościach tej deportacji.

---

90 Relacja w posiadaniu autora – zapis z roku 1993.

91 Relacja w posiadaniu autora – zapis z roku 1993.

Spotkania zesłańców z lat 30. i 40. XX wieku

W niektórych relacjach z tego okresu zesłańcy z lat wojny wspominali, że spotykali na swym tułaczym szlaku Polaków, którzy mówili, że zesłano ich z Ukrainy w latach 1936–1937. Generalnie jednak należy wspomnieć o tym, że w zasadzie rozsiedlenie Polaków deportowanych w czasie wojny nie pokrywało się z polskimi osadami powstałymi w Kazachstanie w 1936 roku. Jedni i drudzy traktowani byli przez władzę jako element niepewny. Mimo zakazu opuszczania miejsca osiedlenia zdarzało się, że drogi tych ludzi krzyżowały się w stepie. Z jakim zadziwieniem słuchali oni wtedy informacji o rozpoczęciu wojny w 1939 roku i zajęciu przez Armię Czerwoną wschodnich obszarów Polski. Jeden z Polaków z kontyngentu zesłańców z 1936 roku, mieszkający w 1940 roku w obwodzie akmolińskim, wspominał po latach:

> Byłem na stacji kolejowej razem z innymi pracownikami kołchozu, gdzie przyjechaliśmy po jakieś materiały budowlane i po paliwo do traktorów. Długo czekaliśmy na wydanie tego z magazynu, chodziłem więc po okolicy. Natrafiłem tam w sąsiedztwie domu kultury, będącego lichawym barakiem, na grupę ludzi z tobołami, mówiących po polsku. Akurat przyjechał samochód, na który część z nich została załadowana. Pozostali czekali dalej. Mówili po polsku, więc zbliżyłem się do nich i powiedzieli mi, że jechali spod Brześcia trzy tygodnie i teraz czekają na dalszą drogę, ale gdzie ich zawiozą, nie wiedzą. Zaczął padać deszcz, kobiety z dziećmi schowały się do baraku, bo było zimno, a już był początek maja, mężczyźni pilnowali tobołków. Powiedzieli, że są tam już dwa dni i nie dostali nic do jedzenia. Dałem im papierosy, bo nic więcej nie miałem. Potem w różnych sytuacjach spotykałem po wsiach zesłańców polskich. Pracowali w kołchozach, budowali linię kolejową na odcinku Akmolińsk–Kartały, pracowali w kopalni, w polu przy uprawie ćwikły. Widziałem ich też w pobliskiej do mojego domu cegielni przy wyrabianiu kirpicza[92].

Większa rozmaitość takich spotkań dotyczy okresu, kiedy na podstawie układu Sikorski–Majski i tzw. amnestii dla polskich zesłańców rozpoczęto organizowanie polskich struktur wojskowych na południu Kazachstanu w miejscowościach Szokpak, Stacja Ługowaja i Otar. Wówczas rozpoczęła się wielka wędrówka ludności polskiej z północnych rejonów ZSRR do Kazachstanu i Uzbekistanu. Gdy z północnych obszarów ZSRR wielu polskich zesłańców znalazło się w Kazachstanie, zwłaszcza w południowej jego części, rozlokowano ich w kołchozach, w których brakowało ludzi do pracy, bo rozpoczęta wojna radziecko-niemiecka spowodowała powołanie do armii wielu mężczyzn. Bywało, że tam też dochodziło do spotkań z rodakami mieszkającymi tutaj od 1936 roku, pochodzącymi z okolic Żytomierza i Winnicy.

---

92 Relacja w zbiorach autora.

7.

Zesłańcy z lat wojny

Wejście Sowietów do Polski 17 września 1939 roku wywołało ogromny niepokój Polaków. Był to duży wstrząs dla licznych rzesz ludności zamieszkującej Kresy Wschodnie, o czym świadczy fakt, iż do dzisiaj mocno tkwi to w ich pamięci. Carski czy radziecki żołnierz kojarzył się przede wszystkim z niewolą i przemocą. Ten stereotyp znalazł potwierdzenie już od pierwszych kontaktów z wkraczającymi jednostkami Armii Czerwonej. Pojawiły się nieoczekiwane sytuacje, co obrazuje poniższy cytat:

> Zaraz po wejściu bolszewików ujawnili się ich sympatycy, poprzypinali sobie czerwone bukiety do ubrań i z czerwonymi sztandarami oraz transparentami witali naszych wyzwolicieli. Widziałem, jak w jednej z wiosek zbudowano nawet specjalną bramę umajoną kwiatami, przez którą sowiecki starszyna butnie przechodził prowadząc za sobą cały kordon żołnierzy-oberwańców. Ukraińska milicja siłą sprowadziła też Polaków, by byli świadkami, że zapanowały we wsi nowe porządki. Byłem wśród nich i ze spuszczoną głową przypatrywałem się tym owacjom. Miałem wówczas 18 lat i znałem wszystkich ludzi we wsi, w której do tej pory mieszkali zgodnie Ukraińcy i Polacy. Od tego czasu moi ukraińscy koledzy unikali mnie, niektórzy nosili czerwone opaski i rozdane im przez Sowietów karabiny[93].

Oprócz politycznej inności, która zapanowała na obszarach zajętych przez Armię Czerwoną, wytworzyła się nowa sytuacja socjologiczna, w której zupełnie odmiennie niż dotąd, a dla większości Polaków niespodziewanie, zarysowały się relacje swój–obcy. Nie tylko pojawili się ludzie obcy i wrodzy, burzący dotychczasowy porządek, ale i niejeden dotychczasowy sąsiad, uważany za swojego, z którym współżycie od lat układało się dobrze, nagle stawał się czynnikiem zagrożenia, lokował się po drugiej stronie linii podziałów. Początkowo byli to miejscowi komunistyczni aktywiści rekrutujący się z tzw. „uciskanych przez polską burżuazję Ukraińców i Białorusinów".

Później antagonizmy te stały się o wiele wyraźniejsze, gdy władza lokalna w szerszej skali trafiła w ręce przedstawicieli grup narodowościowych, skrupulatnie

---

[93] Ankieta J. Barczaka w zbiorach Pracowni Dokumentacji i Informacji Naukowej Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego (dalej: PDiIN).

instruowanych przez NKWD. Śledząc posunięcia różnych ośrodków antypolskich na szczeblu centralnym i terenowym, można zaryzykować tezę, że zadaniom tym podołali wyśmienicie miejscowi nacjonaliści, nierzadko inspiratorzy części podejmowanych kampanii.

Zachwiał się wtedy dotychczasowy świat wartości, ugruntowany tradycją kształt stosunków międzyludzkich i sąsiedzkiej współpracy. Zapanował nowy ład, który przyszedł z zewnątrz, burząc znany i tak czy inaczej akceptowany porządek społeczny. Jeśli dodamy, że mimo surowych zakazów wyższych dowódców dochodziło do grabieży mienia przez niezdyscyplinowanych żołnierzy, wykupywania ze sklepów wszelkich towarów, naigrywania się z „pańskiej Polski" i jej mieszkańców, wówczas jeszcze pełniejszy stanie się obraz sytuacji, która zapanowała wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej w granice Rzeczypospolitej. Jawi się to dość wyraźnie w bogatej literaturze wspomnieniowej, w opisach historiografów i ustnych relacjach ludzi, którzy na zawsze musieli opuścić Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej.

Wspomnijmy jeszcze o ostatniej w dziejach związków polsko-kazachskich fali deportacyjnej, przypadającej na lata 1940–1941 oraz na pierwsze lata po zakończeniu drugiej wojny światowej. Prawda o tych wydarzeniach jest gorzka i dramatyczna. Przewija się ona po wielekroć przez różne formy zapisów zesłańczego życia – dzienniki, listy, wspomnienia, dokumenty itp. Ukazują one szeroki krąg związanych z tym okoliczności, jak deportacja, więzienia i łagry, praca w nieludzkich warunkach, tułacze życie, śmierć bliskich, walka o przetrwanie i nadzieja. Nade wszystko nadzieja. W artykule omawiającym raport grupy specjalnej Związku Walki Zbrojnej, złożony ministrowi spraw wewnętrznych Rządu Polskiego w Londynie (1940), podkreślono wyraźnie, że deportacja ludności polskiej w głąb Związku Radzieckiego po 17 września 1939 roku była najtragiczniejszym w dziejach naszego narodu zesłańczym szlakiem,

> […] po raz pierwszy bowiem na Sybir szedł cały naród, a nie czynni bojownicy o niepodległość […], że po raz pierwszy wreszcie na znany nam sybirski szlak wstąpiły masowo polskie dzieci. W tym względzie okrucieństwo carów blednie w blasku czynów „Ojca Ludów".

Obserwując i oceniając dziś to zagadnienie, trzeba wyraźnie podkreślić, że powzięcie decyzji o deportacji Polaków w głąb Związku Radzieckiego w latach 1940 i 1941 oraz po 1944 roku było aktem represji o wymiarze szczególnym. Wówczas miało miejsce największe nasilenie deportacji i zesłań ludności polskiej w głąb Związku Radzieckiego, w tym także do Kazachstanu. Żyje jeszcze wielu świadków tej masowej wywózki i towarzyszącym jej, mrożącym krew w żyłach, wypadkom.

Deportacje – lata 1940–1941

Zanim wielotysięczne rzesze Polaków „udały się w tę podróż", trwały do niej określone przygotowania ze strony jej organizatorów, czyli radzieckich władz bezpieczeństwa i lokalnych organów administracji. Praktyka deportacyjna została określona i uszczegółowiona w stosownych dekretach, postanowieniach i instrukcjach wyznaczających zasady i kierunki transportów konwojowanych przez oddziały NKWD.

Pierwsza masowa deportacja z 10 lutego 1940 roku wiodła na obszary Krasnojarskiego Kraju, obwodów omskiego, irkuckiego, nowosybirskiego, swierdłowskiego, mołotowskiego, kirowskiego, Komi ASRR i w dorzecze dolnej Dwiny.

Kolejna, z kwietnia 1940 roku, wiodła głównie do północno-zachodniego i północno-wschodniego Kazachstanu.

Wreszcie trzecia, odbywająca się w czerwcu 1940 roku, kierowała wywiezionych w obszary leśne w okolicach Archangielska, na tereny leżące w rejonie środkowego i północnego Uralu, między innymi w okolice Swierdłowska, Nowosybirska, Krasnojarskiego Kraju, Kraju Ałtajskiego, do republik Komi i Maryijskiej i do południowej Jakucji.

Transporty czwartej deportacji, mającej miejsce w dniach 19–20 czerwca 1941 roku, a więc tuż przed wybuchem wojny z Niemcami, skierowano na obszary centralnej, wschodniej i północnej Syberii[94]. Skądinąd wiadomo, że ta ostatnia wywózka nie została dokończona, bo niektórych eszelonów nie zdołano odprawić w drogę wskutek zaskoczenia spowodowanego pojawieniem się wojsk niemieckich, bądź nie dotarły one do miejsca przeznaczenia, ponieważ zostały zbombardowane linie kolejowe.

Akcja deportacji, planowana na najwyższych szczeblach władzy Związku Radzieckiego, uznana została za przedsięwzięcie o szczególnym znaczeniu. Deportację rozpoczynano o świcie, co powodowało zaskoczenie wśród śpiących jeszcze domowników. Zatrwożonym nagłym najściem żołnierzy, nieraz w towarzystwie usłużnych mieszkańców danej wsi, często Ukraińców bądź Żydów, wydawano polecenie: *„Sobierajties z wieszczami"*. Mężczyzn, czyli głowy rodzin, jeśli wcześniej nie byli aresztowani, izolowano od domowników, bacznie pilnowano, uniemożliwiając przechodzenie z jednego pomieszczenia do drugiego, a jeśli im na to pozwalano, to tylko pod strażą żołnierza. To ich najczęściej indagowano w sprawie rzekomo posiadanej broni, której poszukiwanie uzasadniało rewizje, mające przy tym charakter dodatkowego zastraszenia.

Wśród takiego zamieszania przeglądano rodzinne dokumenty, szukano „kontrrewolucyjnej literatury", zabierano książeczki i zdjęcia wojskowe, przywłaszczano zegarki i cenne drobiazgi. To ostatnie było wprawdzie surowo zabronione, ale w praktyce zdarzało się niezmiernie często. Przeważnie każdy z kierujących wysiedleniem starał się coś uszczknąć dla siebie, a opuszczone domostwa stawały się

---

[94] S. Ciesielski, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, *Masowe deportacje radzieckie w okresie II wojny światowej,* Wrocław 1994, rozdz. II.

nierzadko łupem grabieży ze strony sąsiadów, znowu niejako w imię „sprawiedliwości społecznej". Wyrwanie ludzi ze snu, popędzanie przy pakowaniu, lament dzieci, szczekanie psów itp. były powtarzającym się zjawiskiem przy każdej z wywózek.

Wśród nadzorujących wysiedlanie byli często miejscowi funkcjonariusze, pełniący funkcję „rozprowadzających" do domostw, których mieszkańcy znajdowali się na listach wywózkowych. Ich działanie w tej akcji było ściśle określone, pełnię władzy w grupach operacyjnych miał natomiast zawsze funkcjonariusz NKWD, zwany często *„komandirem"*. To on zazwyczaj odczytywał przerażonym domownikom postanowienie o wysiedleniu, to on wydawał stosowne decyzje w trakcie rewizji: wyznaczał posterunki w obrębie zagrody, łagodził zalecenia instrukcji lub je zaostrzał. Słowem, był „panem życia" tych ludzi – i to często dosłownie, od niego bowiem zależało, czy wysiedlani zaopatrzą się w ciepłą odzież, czy zabiorą wystarczającą ilość pożywienia, pościeli. Owo „przygotowanie" się do podróży miało swoje praktyczne znaczenie nie tylko w transporcie, ale także już na samym zesłaniu, gdzie np. odzież stanowiła najbardziej poszukiwany przedmiot handlu wymiennego, za który od miejscowej ludności otrzymywano artykuły spożywcze. Nic przeto dziwnego, że nieraz we wspomnieniach Sybiraków spotyka się stwierdzenie w rodzaju: „Mamy nocna koszula z falbankami umożliwiła nam otrzymanie mleka od Kazaszki przez parę tygodni[95]."

Przywilejem kierującego grupą wysiedlającą, oprócz wydawania stosownych poleceń, była też możliwość rozmawiania z wysiedlonymi. Pozostali żołnierze i miejscowi funkcjonariusze mieli ograniczone możliwości kontaktu słownego z domownikami. Najczęściej powtarzali *„mołczi"*, *„nielzia"*, *„po bystrieje!"* Egzemplifikacją tych stwierdzeń jest spora liczba relacji z wywózki, zawierających w swej warstwie faktograficznej pełniejsze obrazy wydarzeń. Jedna z deportowanych wspominała:

> W mroźny (–30°C) wczesny poranek 10 lutego 40 r. weszło do nas kilku mężczyzn z bronią w pogotowiu. Jeśli sobie przypominam, było ich czterech: oficer NKWD, żołnierz i dwóch miejscowych z opaskami na rękawach. Osłupiałam z przerażenia, gdy usłyszałam *„pieriesielajem was w Rossiju"*, przeprowadzono rewizję i polecono w wyznaczonym czasie przygotować się do opuszczenia domu. Wkrótce podjechały dwie podwody, na które mieliśmy się załadować. Oficer okazał się dość ludzkim człowiekiem. Kazał matce wydoić krowę i nakarmić dzieci, podpowiadał wystraszonej i zdezorientowanej, co ma zabrać, bo będzie nam potrzebne. Droga do stacji kolejowej (zdaje się do Orzeszyn) była dość długa, około 20 km. Mróz, jak wspomniałam, był siarczysty. Byliśmy stosunkowo w dobrej sytuacji, bo poprzykrywaliśmy się pierzynami. Ten oficer biegł za saniami, przypominał o przykrywaniu się i przykrywał sam. Nasza mama, przerażona losem, jaki nas spotkał, i niewiadomą, która jeszcze czeka, siedziała obojętna i otępiała na mróz i upomnienia, żeby cieplej się ubrać. Zapytała, co z ojcem, to otrzymała odpowiedź: *„my wam muża oddadim"*. Po przybyciu na stację kolejową załadowaliśmy się do

[95] Ankieta K. Kowal, PDiIN.

wagonów towarowych „przystosowanych" do przewozu „żywego towaru". Były w nich porobione z desek piętrowe prycze rodzinne. Nam przypadło miejsce na górnej pryczy przy wejściu[96].

Wśród bagażu wysiedlanych były książeczki do nabożeństwa, nieraz stroskana matka zawiązywała dziecku szkaplerz czy medalik na szyi lub włożyła do kieszeni „święty obrazek", z którymi to przedmiotami nie rozstawano się później przez długie lata zesłania. Oprócz książeczek do nabożeństwa zabierano również ścienne obrazy z wyobrażeniami Matki Boskiej, Jezusa Ukrzyżowanego itp. W zasadzie instrukcje deportacyjne milczą o zakazach posiadania przedmiotów kultu religijnego, nie wolno jednak było zabierać książek, chociaż i te, obok książeczek do nabożeństwa, przebyły nieraz długą drogę na zesłanie i używane były do nauki czytania czy elementarnej edukacji.

Czas przeznaczony na spakowanie dobytku przed podróżą kształtować się miał, według wytycznych instrukcji, w przedziale dwóch godzin. Często jednak był on znacznie ograniczony sytuacją, która niespodziewanie rodziła jakieś zamieszanie podczas całej akcji. W przypadku deportacji ludności ze wsi grupy operacyjne miały na swych listach parę, a często kilkanaście rodzin w domach, w których trzeba było przeprowadzić rewizję, nadzorować pakowanie, a następnie wyekspediować ludzi do formowania eszelonów. Rodziny, które wcześniej wyrwano ze snu, miały więcej czasu na przygotowanie się do podróży. Później, kiedy noc zbliżała się do końca i szło „ku świtowi", w domostwach objętych deportacją częściej rozlegało się złowrogie *„po bystrieje"*, a czas na spakowanie kurczył się do 15–30 minut[97].

Nic więc dziwnego, że różny był stopień przygotowania ludzi do tej drogi w nieznane. Odnotowuje się również i takie fakty, iż ludzie, którzy znaleźli się na listach deportacyjnych, wiedzieli o tym wcześniej lub przeczuwali czekający ich los. A że praktycznie nie było możliwości ucieczki całą rodziną, przeto podejmowano przygotowania do spodziewanej wywózki. Jedni gromadzili całkiem pokaźne zapasy żywności, pakowali odzież i inne przedmioty, inni trzymali na podorędziu zaledwie kilka najpotrzebniejszych drobiazgów. Jednak gdy nadeszła owa „godzina zero", tylko niektóre rodziny były przygotowane do wyjazdu.

Takie przypadki wcześniejszego przygotowania zdarzały się podczas deportacji kwietniowej i czerwcowej w 1940 roku oraz czerwcowej w 1941, **deportacja lutowa w 1940 roku była natomiast szokiem zarówno dla ludności, która jej podlegała, jak i dla tej, która ją obserwowała**. Akcje wywozowe spowodowały wzrost obaw o własny los wśród sporej części obywateli polskich, którzy uniknęli

---

96 M. Zielińska-Kwiatkowska, *Włosy wypadły mi zupełnie,* [w:] *Wspomnienia Sybiraków,* t. 2, Warszawa 1990, s. 98–99.

97 *„W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali". Polska a Rosja 1939–42,* wybór i opracowanie J.T. Gross i I. Grudzińska-Gross, wstęp J.T. Gross, Warszawa 1990, s. 261, 307, 309, 311; T. Gwiazda-Dłuska, *Wspomnienie o niedoli mojej rodziny,* [w:] *Wspomnienia Sybiraków,* t. 1, Warszawa 1990, s. 94; J. Kmieć, *Przynosimy hańbę państwu radzieckiemu,* [w:] *Wspomnienia Sybiraków,* t. 2, s. 94; A. Kamińska-Zięba, *Dzieci polskich burżujów,* [w:] *Wspomnienia Sybiraków,* t. 6, s. 281.

pierwszej wywózki. Rodziły się wśród nich dręczące pytania: „Kiedy akcja się powtórzy?", „Czy nas wywiozą?"

Ludzi opanował strach przed dalszymi represjami. Życie ze świadomością ciągłego zagrożenia, wymuszanego posłuszeństwa i żywiołowej agresywności władz nakazywało jednak przygotowanie się „do drogi w nieznane", gromadzono więc zapasy ciepłej odzieży, żywności, lekarstw.

Represje, jakie zdarzały się na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej, obejmowały nie tylko stałych mieszkańców tych terenów, ale i tych, którzy uchodząc przed nawałą niemiecką, znaleźli się za linią Bugu. Ci *„bieżeńcy"*, jak ich określano w nomenklaturze radzieckiej, w krótkim czasie mieli też doświadczyć losu deportowanych w lutym i kwietniu 1940 roku. Była to tylko kwestia miesięcy, kwestia przygotowania kolejnych planów, zgromadzenia wagonów i zorganizowania transportów. Machina represji działała sprawnie.

Przesiedlenia dotyczyły głównie narodu polskiego, chociaż w trzeciej deportacji w 1940 roku większość stanowili przedstawiciele żydowskiej mniejszości narodowej oraz „bieżeńcy". Deportacyjne eszelony w jednych wagonach obok Polaków wiozły też Białorusinów, Ukraińców i Żydów. Ich również objęły radzieckie represje, mimo iż tak często z „czerwonymi kokardami w klapach" witali oni „wyzwolicieli" we wrześniu 1939 roku, wpisując się potem w różne formy prześladowań ludności polskiej.

Grozę sytuacji zaostrzał w lutym 1940 roku siarczysty mróz, obfity śnieg, co dodatkowo utrudniało wszelkie racjonalne działania przy pakowaniu dobytku. Zdarzało się, że gdy kierujący grupami operacyjnymi spuszczali z oka swych żołnierzy, ci dyskretnie dawali znać wysiedlanym, by zabierali jak najwięcej żywności, odzieży i pościeli. Tak więc i w tym urągającym ludzkiej godności zamieszaniu zdarzały się odruchy człowieczeństwa ze strony nadzorujących te działania. Jedna z sybiraczek opowiadała mi, że gdy chciała zdjąć ze ściany obraz z wizerunkiem Matki Boskiej, by zabrać go ze sobą, nadzorujący rewizję starszy stopniem żołnierz nie pozwolił tego uczynić. Ale zaraz potem jeden z jego podkomendnych, gdy zobaczył leżący na stole różaniec, wskazując nań dyskretnie, powiedział: „weź to, bo i z nim można się modlić". Kiedy indziej znowu pomagano w pakowaniu rzeczy, wynoszeniu ich na furmanki, umożliwiano sąsiadom podawanie żywności. Innymi słowy, mimo ogólnych zarządzeń, że czynienie tego było niedozwolone, postępowanie w tych sytuacjach było zróżnicowane.

Wywózki te pozbawiały ludzi dorobku życia. Na wsiach były to najczęściej zasobne zagrody, które mozolnie przez lata budowano i wyposażano. Dziedziczone z pokolenia na pokolenie, były małą Ojczyzną Kresowiaków, nic więc dziwnego, że tęsknota do tamtych stron była wśród nich bardzo żywa. Dopowiedzieć wypada, że często do dzisiaj rezonuje ona w ich wspomnieniach, wszakże do swych rodzinnych miejsc nie powrócili oni po zakończeniu drugiej wojny światowej i zasiedlili tzw. Ziemie Zachodnie. Trzeba też dodać, że sporą część deportowanych

wówczas stanowili tzw. osadnicy wojskowi i ludność przybyła na Kresy po reformie rolnej w latach 30. XX wieku i ich zagrody były zupełnie nowe, nieraz jeszcze nie w pełni wykończone, budowane z wielką starannością o właściwe rozplanowanie, usytuowanie itp., bo przecież miały służyć na lata. Wraz z zabudowaniami zostawał cały dorobek życia – wyposażenie mieszkań, narzędzia rolnicze, bydło i trzoda, słowem – wszystko.

W pośpiechu, nocą lub już o brzasku, pod bagnetami wyruszali ze swych domów na zesłańczy szlak. Przywiązani do tej ziemi, do stron rodzinnych, do tego, co w trudzie tworzyli przez lata, nagle stawali się nędzarzami z urzędowym kwitem, który potwierdzał rodzaj i ilość pozostawionego dorobku życia. Do dzisiaj mają te kwity, gdyż nie powrócili do swych siedlisk, a jakże często nadzieja na ten powrót trzymała ich przy życiu, łagodziła gorycz zesłańczego losu.

Deportacyjne transporty

Gdy świtem lub nocą opuszczano siedliska, bywało, że życzliwi sąsiedzi wtykali do rąk uprowadzanych ludzi jakiś tobołek z kawałkiem słoniny, bochenkiem chleba, osełką masła, wiedziano bowiem, że czeka ich długa droga i wszystko może się przydać. Zwyczajem wśród Polaków, zwłaszcza mieszkańców kresowych wsi, było czynienie znaku krzyża przed podróżą, do tradycyjnych form pożegnania należało też błogosławienie krzyżem bliskich udających się w drogę. Nic przeto dziwnego, że w pamięci wysiedlanych ludzi zachowały się opisy takich pożegnań.

> Zanim wyruszyliśmy z domu – wspominała jedna z członkiń Związku Sybiraków – mama zdjęła ze ściany krzyż i dała go do ucałowania każdemu z małych dzieci. A potem sama go ucałowawszy, oddała Babci, która zabrała go na zesłanie[98].

Z podobnymi sytuacjami można się spotkać w różnych relacjach zesłańców, z których wynika, że przed wyjściem z domu klękano przed obrazami z wizerunkami świętych i w zbiorowym pacierzu oddawano swój los w ręce Boga. Domostwa żegnano znakiem krzyża, często na progu mieszkania lub na granicy siedliska:

> Tatuś zatrzymał furmankę po przejechaniu bramy, zszedł z wozu i czyniąc znak krzyża pożegnał nasz dom, do którego już nigdy nie powróciliśmy[99].

Większą jeszcze rozmaitość tych zachowań odnajdujemy w relacjach różnych autorów. Wydarzenia z tym związane biegły szybko i każdy, kto je przeżył, odbierał na swój sposób te ciosy losu, stając się świadkiem dobrze zapamiętanej historii. Oto np. fragment opisu jednego z takich wydarzeń:

> Nocą, a było to 10 w kwietniu 1940 roku, wdarło się do naszego mieszkania trzech enkawudzistów. Z karabinami wymierzonymi do strzału, w ciągłym pokrzykiwaniu

---

98 Ankieta K. Rozbarskiej – PDiIN.

99 Ankieta Z. Zaręby – PDiIN.

Dymitr Grozdew „Panorama Golgoty Wschodu"

zmuszono całą naszą rodzinę do opuszczenia mieszkania. Czasu mieliśmy mało. Kazano nam zabrać najpotrzebniejsze rzeczy na drogę, informując, że wyjeżdżamy do innej wsi. Pod strażą zawieziono nas na stację kolejową. Tam stały bydlęce wagony, do których saniami zwożono takich jak my przesiedleńców. Krzyk dzieci mieszał się ze szlochem dorosłych. Przerywały go gromkie nawoływania bojców *„skoriej, skoriej"*. Strach paraliżował ciało i odbierał mowę. Posłusznie wchodziliśmy do wagonów. Gdy transport zapełniono, a trwało to parę godzin, drzwi w wagonach zaryglowano. Ruszyliśmy w nieznaną drogę. Po trzech tygodniach jazdy znaleźliśmy się na stacji kolejowej w Kazachstanie. Tam czekały już sanie i ciężarowe samochody. Rozwożono nas po rozległym stepie i osiedlano w kazachskich domostwach. Po paru dniach dorośli poszli do pracy w kołchozie. Pamiętam, jak podczas transportu umarło parę dzieci i starszych osób. Ciała ich zabrano z wagonu i ułożono obok torów. Koszmar! Potem jeszcze wiele razy spotkałam się ze śmiercią. Umarł także nasz ojciec. Mama pracowała w kołchozie, ja opiekowałam się młodszym rodzeństwem i dziećmi Kazachów, u których mieszkaliśmy. Oni też rankiem wychodzili do pracy, a wracali wieczorem. W naszym aule było jeszcze parę innych polskich rodzin. Wszystkie wróciły do Polski w 1946 roku, pozostawiając w stepie swych bliskich, którzy nie wytrzymali mrozów, głodu i chorób[100].

Deportacyjne transporty, zanim wyruszyły w drogę, były formowane na bocznicach stacji kolejowych. Dowożono do nich ludzi furmankami, saniami lub samochodami. Mieszkańcy wsi musieli nieraz przygotować własną furmankę, która

[100] Relacja w zbiorach autora.

później pozostawała na dworcu i trafiała do nowych właścicieli. Wzruszający opis takiego rozstania z koniem na stacji w Kochawinie oraz zbiorowych modłów dają wspomnienia Jana Proroka:

> Franek Szwiec, ojciec czworga nieletnich dzieci, w czasie wyjazdu z podwórka posłużył się, podobnie jak ja, własnym koniem i saniami. Miał wtedy śliczną, młodą klacz o imieniu Sowa, wykarmioną i wypieszczoną od źrebaka. Nic więc dziwnego, że trudno mu było rozstać się z Sówką na stacji w Kochawinie. Długo przy niej stał, rozmawiał i głaskał po głowie, zanim został wepchnięty do wagonu. Stąd przez szpary w drzwiach i żaluzjach okiennych obserwował konia przez całą noc, chcąc zobaczyć, kto przygarnie Sówkę, kto będzie jej nowym właścicielem, człowiek dobry, czy zły? A może przygarnie ją ktoś ze znajomych Ukraińców? Tego się jednak nie doczekał, bo do chwili odjazdu pociągu nikt się Sówką nie interesował. A wierne konisko wciąż stało na śniegu, zaprzężone do sań, i czekało na swego dobrego pana, strzygąc uszami i nasłuchując, z której strony nadejdzie. Gdy rozległ się gwizd parowozu i eszelon ruszył z miejsca, Franek Szwiec nie wytrzymał. Szlochając prawie, krzyknął z całych sił zdławionym przez ból głosem: Sowa!!! A cała jego rodzina w tym czasie zanosiła się od płaczu. Koń usłyszał głos swego pana i zorientował się w lot skąd pochodzi. Uniósł głowę, nastawił uszy i instynktownie, jak najwierniejszy pies, pognał wraz z saniami na przełaj, przez zaśnieżone pola wzdłuż torów, za odjeżdżającym pociągiem. Płakaliśmy wszyscy, wtórując rodzinie Szwieców i podziwiając niezwykłe przywiązanie konia do swego żywiciela… Zaś Franciszek Szwiec, w ciągu swego długiego życia (zmarł w 1976 r.) po wielekroć wspominał z rozrzewnieniem ten osobliwy epizod. A swoim koniom, których na przestrzeni lat 1946–1976 miał w swoim gospodarstwie rolnym w Nowym Tomyślu kilka, niezmiennie nadawał to samo imię: Sowa. […]
> Boże prowadź – szepnęła mama. – *„Pod Twoją obronę”* – zaintonowała któraś z sąsiadek. Zawtórowały jej inne piskliwe głosy, a po chwili śpiewaliśmy wszyscy, zagłuszając skutecznie łoskot parowozu i stukot kół. Odgłosy nabożnych pieśni związanych z sykiem lokomotywy i stukotem kół rozbrzmiewały i w innych wagonach – śpiewał cały eszelon. Tak było codziennie. Zbiorowe modły rano i wieczorem stały się regułą. *„Kiedy ranne”*, *„Pod Twoją obronę”* i *„Anioł Pański”* – towarzyszyły nam aż do ostatniej stacji kolejowej na trasie naszej zsyłki[101].

W miastach najczęściej przewożono ludzi samochodami z odkrytymi skrzyniami bagażowymi, czasami tylko okrytymi plandeką. Często patrole doprowadzały ludzi do punktu zbornego – remizy, szkoły, dziedzińca klasztornego czy po prostu jakiegoś placu w okolicy dworca. Na stacjach kolejowych, patrolowanych przez oddziały NKWD, następowało kompletowanie eszelonu. Najczęściej w jednym wagonie, z pryczami rozmieszczonymi wzdłuż ścian na dole i na górze, lokowano po 30–50 osób łącznie z bagażem. Zdarzało się jednak, że nieraz liczba osób w wagonie była nieco większa. Zanim pociąg odjechał, w miejscach formowania

[101] J. Prorok, *Skazani na zagładę. Wspomnienia z lat 1939–1945,* Wrocław 1992, s. 26–27.

eszelonu panowała atmosfera grozy. Ludzie płakali, złorzeczyli pilnującym ich żołnierzom, modlili się. Rodziny umieszczano w tych samych wagonach, a opuszczanie ich było zabronione. Grozę tamtych dni wspomina jedna z autorek interesujących wspomnień z pobytu w Kazachstanie, w których czytamy:

> Wkrótce wagon przepełniony był po brzegi. Zaczęła się histeria i panika. Niektórzy ludzie płakali, inni krzyczeli, inni jeszcze modlili się. Straż miała kłopot z zamknięciem drzwi. Myślałam, że część osób wyprowadzą do innych wagonów. Tymczasem strażnicy zaczęli walić kolbami karabinów. Ludzie cofali się w głąb i zrobiło się niespodziewanie luźniej. Gdy się policzyliśmy, okazało się, że jest nas 38 osób. Kto zdobył górne miejsce, blokował dostęp do zakratowanego okienka. Pociąg ruszył. Toczył się bardzo wolno, często zatrzymywał, zawracał. Słuchałam stukotu kół, starając się choć na chwilę oderwać myśli od rzeczywistości[102].

Wiele jest podobnych opisów, oddających rozmaitość postaw matek, ojców i dzieci wobec nieszczęścia, jakim była deportacja, i im więcej obcuje się z pamiętnikami, tym bardziej nasila się przeświadczenie, że relacjonowane w nich sytuacje to oddzielny temat do ukazania samopoczucia ludzi jeszcze niedawno wolnych, jakże boleśnie odczuwających tę drastyczną zmianę w ich życiu.

Pociągi ruszyły

Gdy za zamkniętymi w wagonach ludźmi zatrzasnęły się drzwi, rozpoczynał się pierwszy etap drogi w nieznane. Ten moment był przez nich szczególnie boleśnie odczuwany. Było to pożegnanie z rodzinną miejscowością, często „pożegnanie bez pożegnania się z bliskimi". Towarzyszyły mu trudne okoliczności o szczególnym napięciu emocjonalnym, które daje o sobie znać choćby w tej relacji:

Lokomotywa i wagony jakimi transportowano zesłańców znajdujące się w skansenie w Centrum Edukacji i Promocji Regionu w Szymbarku

[102] N. Niezgoda-Górska, *Dosyć nam Sybiru, dosyć Kazachstanu,* Wrocław 1994, s. 23.

Na pożegnanie rozdzwoniły się dzwony w kościele i nagle ze wszystkich wagonów spontanicznie wypłynęła pieśń *Kto się w opiekę odda Panu swemu*[103].

Kolejna autorka moment ten opisała jeszcze bardziej emocjonalnie.

Kiedy pociąg ruszył, to mężczyźni zaśpiewali piosenkę, i kiedy wspomnę tę chwilę, to słyszę ten śpiew.

Żegnam cię, żegnam, ziemio ojczysta,
i wasz, słowiki, wdzięczy śpiew,
jadę na Sybir, gdzie wicher śwista,
gdzie nie ma szumu polskich drzew.
Lecz gdy powrócę kiedy kwam,
A może zgasnę młody tam,
Bóg tylko jeden o tym wie,
Ach jakaż boleść serce rwie[104].

Modlitwa i pieśń to najczęściej powtarzające się sytuacje związane z chwilą odjazdu eszelonu i wyruszenia w dalszą drogę. Był to moment szczególny, rozpoczynał on bowiem czas wielorakich zmagań o przetrwanie, wywoływał więc w określony sposób szczególne formy zachowań, aż do poziomu emocjonalnych uniesień, którym towarzyszyła pieśń nabożna czy patriotyczna oraz modlitwa. Odmawiano nieraz zbiorowo litanię do Najświętszej Marii Panny, różaniec czy pacierz. Modlitwy te wyrażały tęsknotę za ziemią utraconą i nadzieję na przetrwanie. Stawały się więc naturalnym pragnieniem tych ludzi – zamkniętych w wagonach pędzących „na Sybir", jak to często powtarza się w ich wspomnieniach.

Śpiewane przez nich pieśni religijne czy patriotyczne były też psychiczną przeciwwagą dla agresywności strażników, połączonej często z brakiem szacunku dla zniewolonych ludzi. Pieśni i modlitwa umacniały zesłańców, łagodziły ich emocjonalne napięcia, rozszerzały poczucie wspólnoty i umacniały je. Jednocześnie pozwalały poprzez ten kontekst sytuacyjny zbudować poczucie dystansu wobec reprezentantów zniewalającego systemu, jakimi byli w tym przypadku żołnierze konwojujący transport, dać wyraz pogardy wobec nich i wykonywanych przez nich zadań.

Miejsce i czas to także istotny element tych religijno-patriotycznych zachowań. Jak już wspomniałem, rozpoczynały się one z chwilą wyruszenia eszelonu ze stacji początkowej, a potem znowu emocjonalnie „potężniały", gdy pociąg przekraczał granicę polsko-radziecką, a później raz jeszcze – podczas przejazdu przez Ural. Widok gór uralskich powtarza się wielokrotnie w literaturze zesłańczej. Już w XIX wieku pisano o tym, utożsamiając je z miejscem granicznym między

---

103 Z.K. Kawecka, *Świat nie miał ochoty słuchać. Dotrzymałam przysięgi,* „Magazyn Gazety Robotniczej" z 23 września 1994 roku (Wrocław).

104 J. Brzósko-Jankowska, *Gdzie nie ma szumu polskich drzew,* [w:] *Wspomnienia Sybiraków,* pod red. J. Przewłockiego, t. 4, Warszawa 1994, s. 21–22.

wolnością a zesłaniem, za Uralem bowiem w kierunku na wschód rozpoczynała się Syberia będąca synonimem niewoli.

Można też spotkać i takie przypadki, że wśród deportowanych znajdowali się ludzie, którzy mieli wcześniejsze doświadczenia rosyjskiej niewoli, bądź znali ją z relacji bliskich im osób. W ich pamięci zachowały się sceny z pierwszej wojny światowej oraz wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku.

W wagonie towarowym

Wraz z wyruszeniem na ten pierwszy z zesłańczych etapów rozpoczynała się nauka nowej rzeczywistości. Na podstawie licznych źródeł można ułożyć katalog podstawowych problemów stających przed deportowanymi: warunki fizyczne panujące w ograniczonej przestrzeni wagonu, potrzeby biologiczne, klimat zagrożenia ludzkiego życia i bytu, powstawanie nowych wartości obok lub w opozycji do dotychczasowych. Wszystko to odbywało się w sferze wydarzeń zewnętrznych, jak i w przestrzeni społeczno-psychologicznej.

Na płaszczyźnie realistycznej – zewnętrznej – uwydatniało się w organizacji przestrzeni „mieszkalnej" w jadącym tygodniami domu, jakim stawał się wagon. Gdy zacierały się pierwsze wrażenia wywołane stłoczeniem ludzi w zamkniętym pudle, po pewnym czasie następowało fizyczne uporządkowanie życia w nim panującego. Po pierwsze, rodziny starały się jakoś usadowić na narach, wymościć swoje posłanie, zapewnić możliwie najlepsze warunki mniejszym dzieciom i starcom. „Kąt sanitarny", czyli otwór w podłodze, odgradzano kocem czy prześcieradłem od reszty pomieszczenia. Piecyk, nawet jeśli nie był usytuowany centralnie, stanowił miejsce, wokół którego koncentrowało się życie w wagonie. Gdy się siedziało przy nim, mniej dokuczał wszechwładny zimą i wiosną chłód, pokrywający szronem ściany wagonów. Oprócz tego, że był on źródłem ciepła, którego wszystkim brakowało, stanowił też rodzaj kuchni, na której gotowano posiłki. Ustalał się więc często swoisty rytm dostępu do niego, by każda z rodzin mogła ugotować jakąś strawę. Po pewnym czasie i to źródło ciepła stawało się bezużyteczne, bo brakowało opału.

Matka – ostoja dobra i bezpieczeństwa

W większości relacji pochodzących od autorów, którzy w momencie wywózki byli dziećmi lub młodymi ludźmi, **na pierwszy plan ich wspomnień wysuwa się matka**. O polskich matkach walczących o swe dzieci, począwszy od pierwszych chwil wysiedlenia, wiele można by napisać. Już przed wyruszeniem w tę budzącą grozę drogę matki ubierały swe dzieci, koiły ich płacz, starały się łagodzić trwogę, chociaż same były bliskie histerii. Dla nich ich dzieci, bezbronne, zastraszone, głodne, zziębnięte, były na pierwszym planie. Wybierano im najlepsze w wagonie miejsce, chroniono je przed zimnem i głodem, chociaż nieraz nie na wiele to się zdało. W transportach bowiem, a później i na zesłaniu, dzieci oraz osoby starsze

czekał los najgorszy, one najczęściej chorowały i umierały. Matka, a później ojciec, na co dzień i od święta trwali w tej ciągłej walce o przetrwanie.

Na zesłaniu matka była ostoją dobra i bezpieczeństwa. Co to znaczyło w tamtych czasach, jaką miało cenę, czytamy wielokrotnie w różnego rodzaju relacjach. Wszyscy ludzie mieszkający pod jednym zesłańczym dachem – najpierw w wagonie, potem w ziemiance, lepiance, baraku – mogli być dla dzieci przyjaciółmi, ale obcymi. Matka natomiast była postacią nie tylko najważniejszą, ale i najbardziej potrzebną. To ona zespalała rodzinę, kiedy głód, choroba i śmierć zacieśniały swe kleszcze wokół zesłańców. Dziecięcy świat skażony zesłaniem i matka – to wielowątkowa optyka licznych wspomnień i innych źródłowych zapisów. Wywieść z tego można wizerunek psychologiczny łączący się z pogłębioną wizją dziecięcego spojrzenia na te kwestie. Odnotowanie tych problemów to zaledwie preambuła do szczegółowej monografii[105].

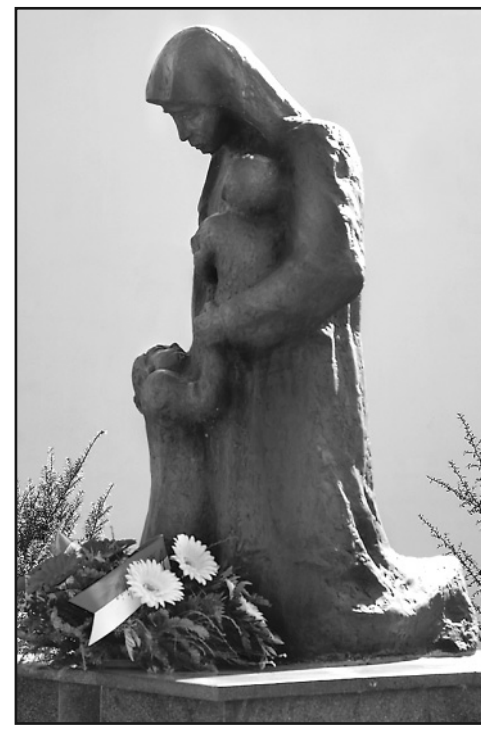

Pomnik poświęcony Matce-Sybiraczce w Lublinie

Organizacja życia w wagonie

Świat okolony czterema ścianami wagonu był mały. Wprawdzie jadący nie wybierali spośród siebie jakiegoś „kierownika", ale niejako **samoistnie ujawniały się miejscowe „autorytety"**. W zbiorowym życiu na mikropowierzchni naganne były wszelkie przejawy niesubordynacji. Likwidowano je w zarodku stanowczym i zdecydowanym działaniem. Ten sposób uładzania norm panujących na małej przestrzeni to jeden z kanonów zamkniętej w wagonach rzeczywistości. Wówczas funkcje owego „autorytetu" pełnili najczęściej mężczyźni, chociaż znane są przypadki przejmowania tej roli przez kobiety. Do nich należało krajanie chleba, dzielenie wody, łagodzenie sporów powstających w wyniku nerwowej atmosfery, która często mocniej oddziaływała na niektóre osoby. Ów czas był swego rodzaju próbą charakterów i odciskał się piętnem na każdym, kto został mu poddany.

We wspomnieniach nad tą prawdą przeważa pamięć o osobistych doświadczeniach, których nie daje się zapomnieć, lecz uczestnicy tamtych wydarzeń poprzez swe jednostkowe relacje dokumentują losy całej zbiorowości.

---

105 D. Bazuń, I. Kaźmierczak-Kałużna, M. Pokrzyńska, *Matki Sybiraczki – losy i pamięć. Polskie kobiety zesłane w głąb ZSRR,* Zielona Góra 2012.

Warto zwrócić uwagę na dwa elementy jazdy deportacyjnego eszelonu: możliwość obserwacji trasy i wyrzucanie kartek z nazwiskami. Mimo wielorakich środków zapobiegawczych zamknięci w wagonach stosunkowo dobrze orientowali się co do ogólnego kierunku jazdy. W pierwszym okresie podróży nazwy stacji spostrzegane dzięki obserwacjom dokonywanym przez różne szpary i dyskretnie czynione otwory na ogół z łatwością pozwalały lokalizować teren, dopóki były to terytoria polskie. Po pewnym czasie przekroczono jednak dawną granicę polsko-radziecką, stacje pojawiały się rzadziej, a napisy z uwagi na obce pismo były trudniejsze do odczytania. Nawet jeśli ustalono ich brzmienie, nie zawsze umiano zidentyfikować je z trasą, pominąwszy oczywiście większe miasta. Pomocne stawały się mapy i atlasy szkolne, które niekiedy udało się zabrać w czasie wysiedlania.

Swą wiedzę o kierunku wywózki starano się jednak przekazać bliskim pozostałym w kraju. W tym celu usiłowano wyrzucać z wagonów kartki z nazwiskami i adresami wywiezionych, które rzadko, ale jednak trafiały do odbiorców, zwłaszcza gdy znajdowano je na terenach zamieszkanych przez ludność polską, a więc na zachód od przedwojennej granicy. Wraz z oddalaniem się pociągu od dawnej linii granicznej ta forma „korespondencji" była mniej efektywna, ale bywało, że rosyjscy kolejarze lub inne osoby, z którymi zdołali się skontaktować deportowani, przekazywali ją do Polski.

Relacje tyczące się tej kwestii są zapisem nastrojów, którym przecież trudno się było nie poddawać: beznadziejności, bezbronności i przerażenia. Dostrzec można było wówczas zachowania podobne do tych z pierwszych godzin wyruszenia eszelonu ze stacji, na której był on formowany. Ludzie modlili się, słychać było pieśni pobożne i patriotyczne, litanie do Matki Boskiej. Były to nawroty do sytuacji sprzed tygodni, ale jakże już słabsze. Ludzkie zachowania przeszły proces transformacji spowodowany fizyczną uciążliwością podróży, ale też i balastem psychicznych doświadczeń. Zmęczenie wielodniową podróżą i poniewierką nie pozwalało rozczulać się nad własnym losem. W tak skrajnej sytuacji ujawniały się i brutalność i różne wynaturzenia natury ludzkiej, wzmocnione trudnymi warunkami zesłańczego transportu, kwestia tworzenia się pewnej skorupy znieczulenia powstającego w zetknięciu ze śmiercią odartą z jej zwyczajowego rytuału, np. zwłok wyrzucanych nieraz z wagonów w czasie postojów i pozostawianych przy torach.

Wprawdzie na podstawie relacji deportowanych sądzić można, iż **więcej mimo wszystko było wśród zesłańców solidarności, wspomagania się materialnego i psychicznego**, wzajemnego pocieszania i krzewienia nadziei, ale owa przysłowiowa łyżka dziegciu psuła nieraz i tak podły nastrój w wagonach toczących się na wschód. Tak było jedynie w przypadku, gdy „ludziom puszczały już nerwy". Nie były to jednak zachowania powszechne, raczej panowała zgoda, by nie dać sposobności władzom NKWD, które tylko szukały okazji, by wykorzystać niezgodę, zdobyć informatorów, w różny sposób przymusić ludzi do szpiegowania i zdrady. Podczas transportu na zesłanie nie zaprzątano sobie jednak głowy inwigilacją społeczności zamkniętej w wagonach. Celem podstawowym było bowiem wówczas

„bezpieczne" przewiezienie tej masy ludzkiej do miejsc przeznaczenia. Dopiero na zesłaniu mnożyły się różne formy nacisku, często jawnych propozycji współpracy z prześladowcami. Niewola łamała i niszczyła ludzi, deprawowała charaktery. Interesujące jest nie to, kto się załamał i współpracował z ciemiężcami, lecz jakie były zasadnicze powody takich decyzji. W większości główną rolę odgrywały czynniki warunkujące przetrwanie, a nie pobudki ideologiczne.

Wspomniano poprzednio, że wojska konwojowe NKWD prowadzące transporty miały za zadanie „bezpieczne" doprowadzenie ich do celu. Nic przeto dziwnego, że podążające na wschód transporty u początku swej drogi były pilnie strzeżone. Zamknięci i stłoczeni w wagonach ludzie nie mieli możliwości kontaktowania się ze światem zewnętrznym. Rygor ten był szczególnie wyraźny na Kresach Wschodnich zajętych po 17 września 1939 roku przez Armię Czerwoną.

Chodziło wyraźnie o przewiezienie deportacyjnych transportów przez ziemie polskie bez wzbudzania niepotrzebnej sensacji i zainteresowania postronnych osób. Często tłuczono kolbami karabinów w ściany wagonów, by uciszyć śpiewy, sprawdzano, czy nie ma w wagonach szpar, przez które można byłoby obserwować mijane stacje lub, co gorsza, skontaktować się z otoczeniem. Dla zastraszenia ludzi chodzono po dachach wagonów, przy akompaniamencie strzałów pozorowano likwidowanie ucieczek, gdy eszelon zatrzymywał się gdzieś na bezludziu. Były to szczególne formy psychicznego nacisku, stosowanego zresztą na różną skalę podczas poszczególnych deportacji, przy tym wyraźnie najgorzej rysuje się stosunek konwoju do zesłańców w czasie wywózki lutowej.

Z chwilą gdy pociąg zatrzymywał się na stacji, otaczano go posterunkami, by nie dopuścić do niego miejscowej ludności. Nie zawsze, ale często bywało, iż po drodze przeładowywano deportowanych do innych wagonów, tzw. szerokotorowych, nie wszędzie bowiem na zajętych obszarach zdołano doprowadzić do „modernizacji" linii kolejowych, dostosowując torowiska do rozstawu kół kolei radzieckiej. Sytuacja ta powodowała dodatkowe trudności dla uwięzionych. Z jednej strony była to pewna dolegliwość fizyczna, z drugiej zaś dalsze psychiczne okaleczenie tych ludzi, którzy tracili wszelkie złudzenia, że jadą tylko do „sąsiedniej obłasti", jak często uspokajano ich podczas nocnych najść na domostwa. Wszystko to wywierało głęboki wpływ na psychikę deportowanych, którzy, mając za sobą koszmar wysiedlenia, raz po raz przeżywali nowe wstrząsy i lęki. Szczególnie okrutne było postępowanie funkcjonariuszy konwoju, którzy na każdym kroku prześladowali ludzi zamkniętych w wagonach, „karząc" ich za głośne śpiewy, domaganie się otwarcia drzwi, dostarczenia opału, wody czy pożywienia.

Instrukcje przewidywały, że **eszelon powinien być zaopatrywany w jeden gorący posiłek dziennie**. Rzeczywistość rażąco odbiegała od tej normy. W trakcie poszczególnych operacji deportacyjnych występowały pewne odmienności, różniła się, nieraz znacznie, aprowizacja konkretnych transportów. Początkowo przeważnie podawano tylko przegotowaną gorącą wodę (ów słynny *kipiatok*), która, zanim dostarczono ją do wagonów, była zupełnie zimna. Nie zawsze regularnie,

a rzadko w wystarczających ilościach, dostarczano do wagonów chleb. Później, na ogół po przekroczeniu dawnej granicy polsko-radzieckiej, pojawiała się bliżej nieokreślona w rodzaju zupa, czasem kasza lub ryba, z reguły słona, co potęgowało zapotrzebowanie na deficytową wodę. Deportowani korzystali zatem z własnych zasobów zabranych z domu, które jednak w wielu wypadkach nie starczały na długo. Wtedy nad życiem wagonowym dominował rytm narzucony przez konwój, wynikający z częstotliwości wydawania wrzątku i zupy, kaszy czy chleba. Odbywało się to zazwyczaj w ten sposób, że na postojach na stacjach dwie osoby z wagonu z wiadrami udawały się pod eskortą po odbiór wody i strawy. Czasem czyniono to raz dziennie, najczęściej posiłki wydawano jednak od przypadku do przypadku, w jednym eszelonie częściej, w innym rzadziej.

Gdy transporty z deportowanymi dotarły do Kazachstanu i w inne rejony ZSRR, zelżały nieco rygory porządkowe. Zdarzało się, co było nie do pomyślenia wcześniej na ziemiach polskich, że dłuższe postoje na stacjach bądź na trasie, gdzie nie było domostw, były okazją dla ludzi do wychodzenia z wagonów. Ostrzegano tylko wówczas, że każda ucieczka będzie likwidowana przy użyciu broni palnej. W przedłużającej się podróży dawał się coraz bardziej odczuć brak żywności, toteż w czasie późniejszych deportacji, w pierwszej to się raczej nie zdarzało, w stacyjnych kioskach i bufetach, a nawet w sklepach usytuowanych w sąsiedztwie dworca uzupełniano zapasy żywności, choć ich asortyment nie był najbogatszy, a ilość limitowana. Można powiedzieć, że czasem nawiązywała się nawet jakaś nić porozumienia między wartownikami (oczywiście nie wszystkimi) a ludźmi wiezionymi na zesłanie.

Za zgodą tych łagodniejszych konwojentów można było udać się po zakupy, poleżeć na trawie czy pooddychać świeżym powietrzem. Nieraz też dowiadywano się od nich, dokąd podąża transport i o przyszłych warunkach życia. Nie były to informacje optymistyczne, ale w jakiś sposób przygotowywały ludzi na to, co ich czekało. Przyszłość stawała się bardziej realna, zrozumiała. Byłoby uproszczeniem generalizowanie owych „poprawnych" stosunków w relacji konwojenci–deportowani, ale pomijanie tego zjawiska zawężałoby pole widzenia. Można się było zetknąć zarówno ze skrywanym współczuciem dla wiezionych na zesłanie, okazywanym przez konwojentów tylko od czasu do czasu przy sprzyjających warunkach, jak i z rygorem, bezwzględnością. Różnie więc bywało, jednak konstatacja, iż nadzorcy byli mało wyrozumiali, opryskliwi, nawet bezwzględni, jest chyba, przeciętnie rzecz biorąc, najbliższa prawdy.

Jeśli braki jedzenia w trakcie podróży były dla deportowanych powodem dolegliwości fizycznych, to jak wstrząsające wrażenie musiały na nich robić przypadki, gdy do stojącego gdzieś na stacji czy w pobliżu ludzkich osad eszelonu udało się zbliżyć miejscowym ludziom proszącym o chleb czy inne pożywienie. Takie zdarzenia, nawet jeśli tylko incydentalne, kazały z trwogą myśleć o nadchodzącej przyszłości, wpływały na stan nastrojów umęczonych zesłańców.

Ukazując rozmaite próby organizowania czasu i przestrzeni w deportacyjnym transporcie, należy odnieść się do panujących tam warunków fizycznych. Wspomniano poprzednio, że wagony były przeładowane ludźmi i ich bagażem. Już jednak sam termin wywózki determinował w znacznym stopniu fizyczne warunki transportu.

W lutym 1940 roku, a w dużej mierze także i w kwietniu, ludziom doskwierało zimno, w którego wyniku wzmagało się wyczerpanie podróżą, mnożyły się choroby i zgony. **Natomiast w czerwcu 1940 i rok później z powodu wysokich temperatur w wagonach było gorąco i niezmiernie duszno. Brak wody pitnej** był nie tylko problemem zaspokojenia pragnienia, lecz dla wielu ludzi – zwłaszcza dla osób cierpiących na niewydolność krążenia, a także dla małych dzieci i starców – niejednokrotnie kwestią „żyć albo nie żyć".

Chłód i pragnienie to często powtarzające się najgorsze doznania z drogi na zesłanie. Pragnienie wzmagało się po wielekroć nie tylko wskutek upałów panujących podczas czerwcowych wywózek, ale także, o czym była już mowa, z powodu podawania słonej ryby. Trudno dzisiaj orzec, w jakiej mierze owa „solona sielotka" była rzeczywistym „menu", a w jakiej zabiegiem mającym dokuczyć ludziom na zesłańczej drodze. Wydaje się jednak, że podawanie jej w transportach deportacyjnych, a także łagierniczych, wynikało po prostu z relatywnie większej jej dostępności w Rosji i łatwości przechowywania połączonej z obojętnością wobec więźnia czy zesłańca, któremu spożycie takiej potrawy przysparzało męki pragnienia[106].

Ponadto brak wody ograniczał czy wręcz uniemożliwiał utrzymanie higieny osobistej i czystości otoczenia. „Węzeł sanitarny", jakim był otwór wycięty w podłodze wagonu lub rynna wystawiona przez zabite na głucho i usytuowane przeciwlegle do wejścia drzwi, stanowił mniejszą uciążliwość zimą, gdyż mróz skutecznie ograniczał rozchodzenie się nieprzyjemnej woni, wiosną i latem natomiast był to dokuczliwy element codzienności wagonowego życia. Ponadto w każdej chwili mógł stać się ogniskiem zakażeń, które najczęściej trapiły dzieci i starców. Powszechne były w wagonach dolegliwości biegunkowe, zaziębienia, często kończące się zapaleniem płuc, nieżyty żołądka i inne kłopoty trawienne. Pochodną tych schorzeń były zgony, zwłaszcza wśród dzieci i osób starszych. Załamanie psychiczne zmniejszało odporność na choroby, a brak lekarstw i środków czystości, nade wszystko zaś wody, pogarszał ten stan rzeczy.

---

[106] Zob. na ten temat: B. Skarga, *Po wyzwoleniu 1944–1956,* Poznań 1990, s. 11.

Umierano powoli

Jeśli w czasie transportu nastąpił zgon, ciało zmarłego oczekiwało na wyniesienie z wagonu do najbliższego postoju. Powierzając duszę zmarłego Bogu, odmawiano modlitwę i w skupieniu oczekiwano na zatrzymanie się transportu. Nie podejmowano przynależnych takiej sytuacji czynności ubierania zmarłego „na ostatnią drogę", najczęściej bowiem pozostawał w takim ubraniu, w jakim „rozstał się z życiem". Nieraz zawijano ciało w koc, a gdy na postoju zabierano je z wagonu, koc wracał do właściciela.

Śmierć w transporcie była kolejnym ogniwem łańcucha nieszczęść, które spadały na deportowanych. Rytuał śmierci łączył się w polskiej obrzędowości z bogatym katalogiem zachowań natury świeckiej i religijnej. Mycie zmarłego, czuwanie przy nim, modlitwa, pożegnanie i wreszcie pogrzeb, czyli „oddanie go ziemi", to główne jego elementy. Dodajmy jeszcze do tego nieodzowny fakt uczestniczenia księdza w pogrzebie. Normy te, funkcjonujące z pokolenia na pokolenie, zostały nagle brutalnie naruszone. Ludność uwięziona w wagonach wydarzenia te przeżywała szczególnie tragicznie. Trudno tu wyczerpać problematykę śmierci w trakcie deportacyjnej wędrówki. Niektóre kwestie z tym związane zasługują jednak na uwagę szczególną, zwłaszcza w kontekście przyszłych wydarzeń, zachodzących już na miejscu zesłania.

W codziennym życiu ostrość granicy śmierci jest nieco zatarta, lokuje się poza obrębem powszechnej refleksji. Jeśli zostaje przekroczona, to w normalnych warunkach kontekst tego zjawiska wyznacza przede wszystkim krąg najbliższej rodziny. I oto nagle umieranie stało się zjawiskiem wystawionym na publiczny ogląd – rodziny i obcych, dzieci i dorosłych, kobiet i mężczyzn. Wagonowa społeczność często doznawała dramatycznych przeżyć związanych ze śmiercią. Śmierci w wagonie oglądanej z perspektywy uwięzionych w nim ludzi nie da się bowiem zamknąć tylko w wymiarze realiów widzianych. To był początek oswajania się ze śmiercią w zupełnie innym wymiarze i nowych okolicznościach, niezwykle silnie ciążący nad trudną codziennością zesłania. Warunki transportu zubożały zjawisko śmierci o przynależne jej w polskiej obrzędowości rytuały, ale przede wszystkim odbierały jej ludzki, humanistyczny charakter[107].

Ludzie, którzy byli świadkami śmierci i „pogrzebów" w transporcie, wspominają:

> Tak dokładnie pamiętam śmierć dziadka, bo przez kilkadziesiąt godzin przebywał w wagonie, a następnie zabrali go i nie wiem, gdzie jest pochowany[108].
>
> Zmarł stary człowiek i dziecko. Na jakiejś stacji żołnierze otworzyli wagon (wagon był zamknięty z zewnątrz), zabrali zmarłych, położyli na śniegu koło toru, a pociąg odjechał[109].

---

[107] K. Kość, *Żywi we wspomnieniach. Doświadczenia śmierci w relacjach polskich zesłańców w ZSRR (w latach 1940–1946),* Wrocław 2008.

[108] Ankieta F. Ćwioro, PDiIN.

[109] Ankieta Z. Daniszewskiej, PDiIN.

Ciała zmarłych w transporcie były usuwane z wagonów na najbliższym postoju przez osoby bliskie. Ich bliscy najczęściej zmuszeni byli pozostawić zwłoki na poboczu torowisk, skąd zabierały je następnie radzieckie służby. Bywało jednak i tak, że gdy eszelon zatrzymywał się w polu, lesie czy stepie, to tam pośpiesznie kopano grób, stawiając na nim naprędce sklecony krzyż. Ludzie godnie stawiali czoło wyzwaniu tamtych trudnych dni, a śmierć na zesłaniu, której byli świadkami, nie zatarła się w ich pamięci. Jan Prorok wspomina:

> Pewnej mroźnej nocy w naszym wagonie zaniemógł dziadek Chrobak […] Na kilku kolejowych stacjach próbowaliśmy zawiadomić strażników prosząc o lekarza. I – o dziwo! – nawet nam to się udało. Przyszli i zapytali przez zamknięte drzwi, o co chodzi. A gdy im wyjaśniliśmy, odpowiedzieli, że *„felczera poka niet”*. Dziadek dwa dni później umarł. Pochowaliśmy go obok toru kolejowego, na trasie między stacjami, gdzie strażnicy specjalnie w tym celu zatrzymali pociąg i dali nam do rąk kilof i łopatę do wykopania grobu. *„Pomior i wsio”* – powiedział jeden z konwojentów, gdy po „ceremonii” pogrzebowej wsiadaliśmy do wagonu[110].

„Pomior i wsio” – te słowa wyznaczały surowy klimat nie tylko tej konkretnej sytuacji. Już wkrótce zesłańcy mieli się przekonać, iż życie ludzkie nie jest wartością bezcenną, a często przeciwnie – dla decydentów różnych szczebli nie ma nawet żadnego znaczenia, ot, *„pomior”*! Umieranie w wagonie towarowym wypełnionym ludźmi już samo w sobie było desakralizacją śmierci poprzez wystawienie jej na widok publiczny i to w warunkach urągających zasadom godności, gdy „człowiek odchodził do Pana”! Istnieje zależność między brakiem poszanowania życia a losem umierającego oraz związanych z tym przeżyć i doświadczeń najbliższych. Wyjątkowo bulwersujący przypadek traktowania ciał w transporcie opisał jeden z pamiętnikarzy, gdy na którejś ze stacji zatrzymał się deportacyjny eszelon:

> Wchodząca do szopy podobnej do ubikacji kobieta wyskoczyła stamtąd z przeraźliwym piskiem. Głos przerażenia dobywał się z jej gardła, choć zatykała dłonią usta. Radziecki żołnierz zbeształ ją za to, że bez zezwolenia oddala się.
> – Przecież tam stoją ludzie zamarznięci na śmierć – wykrztusiła. W ubraniach, w czapkach, nawet w kapeluszach, a zamarznięci.
> Okrążyliśmy kobietę pytając, jacy ludzie? Przybiegł oddział żołnierzy. Nie wpuszczono nas do tej szopy, a starszy lejtnant uniósł do góry ręce, chcąc coś powiedzieć.
> – Spokojnie, towarzysze Polacy. Ludzie wszędzie umierają, w transportach też. Wyciągamy martwych z wagonów, nie mogą przecież jechać z żywymi, to chyba zrozumiałe, a transporty z Polakami przejeżdżają tędy codziennie. Nie ja je wysyłam. Ludzie umierają wszędzie. Polak nie Polak. Co mamy robić z trupami? Przechowujemy w budce ubikacyjnej, innej nie mamy. A na wiosnę, jak śnieg stopnieje i ziemia rozstaje, zakopiemy jak obywateli.
> – A dlaczego przechowujecie w ubikacji?

---

[110] J. Prorok, *Skazani na zagładę. Wspomnienia z lat 1939–1945,* Wrocław 1992, s. 38–39.

– Nie mamy innej szopy. Zresztą ta ubikacja jest już nieczynna.
– Dlaczego na stojąco? – zapytała przerażona wciąż kobieta.
– A dlaczego na leżąco? – odpowiedział pytaniem lejtnant i odszedł.
Nasz major Grodzicki wyjaśnił: obliczyli, że na stojąco więcej się zmieści[111].

Mimo że cierpienia spowszedniały, nie przestały być bolesne. Brutalne rozstanie ze zmarłymi, którego okoliczności tak jaskrawo kolidowały z dotychczas pieczołowicie przestrzeganą normą poszanowania ciała zmarłej osoby, nie tylko burzyło standardy życia i umierania, ale jawiło się żywym jako ich własna nieodległa przyszłość. Z każdym dniem przybywały nowe doświadczenia i nieraz śmierć ocierała się o narodziny. Niewiele jednak dzieci urodzonych w deportacyjnych eszelonach przetrzymało panujące tam złe warunki. Przede wszystkim brud i związane z tym zakażenia stanowiły główną przyczynę śmierci noworodków i niemowląt. Matki wskutek szoku porodowego, głodu i trudnych fizycznie warunków traciły pokarm. Umierały dzieci i położnice. Były to jedne z powszechniejszych zgonów w drodze na zesłanie.

Solidarność „wagonowej" społeczności na rzecz matek i niemowląt okazała się nadzwyczaj silna. Wspomagali je wszyscy, dzieląc się żywnością i odzieżą, a znane są również przypadki karmienia niemowląt piersią przez obce kobiety. Za wszelką cenę i wszelkimi środkami starano się podtrzymać ich życie. Jeśli przeżyły, czekał je trudny los na zesłaniu. Zesłańcze dzieciństwo upływało wśród nędzy i skrajnego niedostatku, którym towarzyszył ciągły głód, pamiętany do dzisiaj przez tych, którzy wrócili do kraju.

Wychudzone dziecko – jedno z wielu, które zjawiały się przy Armii Andersa

Tak więc w deportacyjnych eszelonach na niewielkiej przestrzeni ograniczonej ścianami wagonów czas upływał odmierzany śmiercią i narodzinami, głodem i zimnem, pragnieniem i upałami. Trasy wywózek pokrywały się w pewnym stopniu z etapowymi marszami dziewiętnastowiecznych zesłańców. Oni jednak pokonywali te odległości znacznie dłużej, wlokąc się w rytmie „etap za etapem". Ich dwudziestowieczni następcy deportowani z polskich Kresów podążali tam w zamkniętych wagonach.

[111] E. Kurowski, *Zniewoleni przez Stalina. Opowieść zesłańca,* Warszawa 1990, s. 19–20.

Zesłańczy los

Z chwilą przyjazdu do docelowej stacji nie kończyła się wygnańcza wędrówka. Często bowiem pieszo, na barkach, statkach, platformach traktorowych, na samochodach ciężarowych, saniach lub wozach pokonywali zesłańcy jeszcze znaczne odległości do wyznaczonych miejsc pobytu. Tak wspomina tamten czas Krystyna Pietras:

> 13 dnia podróży, tj. 26 kwietnia 1940 roku, dojechaliśmy do Pietropawłowska […] Otwarto wagony i kazano wysiadać. Wysiedliśmy, każdy ciągnąc swój dobytek. Nawet ja oprzytomniałam, gorliwie pomagając Mamie i siostrze w przenoszeniu rzeczy, układaniu na rampie w piramidę i zabezpieczaniu przed wiejącą śnieżycą. Pociąg odjechał. Staliśmy na betonowym pasie, a po obu stronach ciągnęły się tory i ośnieżone pola. 300 metrów dalej stało kilka parterowych budynków stacyjnych, a jeszcze dalej rozpościerało się jakieś osiedle. Ogłoszono, że mamy spokojnie czekać, każdy przy swoich rzeczach. W odpowiednim czasie powiozą nas dalej. Nie dostaliśmy jednak ani jedzenia, ani wody. Nikt się nami nie interesował. Byliśmy brudni, zmęczeni, głodni i trzęśliśmy się jak osikowe drzewa z zimna, a wiatr chłostał nas niemiłosiernie brudnym śniegiem. […]
> Po kilku godzinach zamieć ustała. Ledwo otrzepaliśmy śnieg, a tu pojawili się nowi goście. Byli to konni jeźdźcy, przewodniczący okolicznych kołchozów, każdy ze świtą składającą się z dwóch lub trzech asystentów. Przejeżdżali wzdłuż naszej jak gdyby ulicy i każdy pejczem wskazywał na rodziny, które ich zdaniem wydawały się lepsze do pracy w ich kołchozach. Miałam wrażenie, że jestem na targu niewolników wystawiona na sprzedaż. Brakowało tylko handlarza zachęcającego do kupna przez ogłaszanie naszych zalet. Wybrane rodziny załadowywano na ciężarówki i wywożono gdzieś w nieznane. Zapadła noc. […] Dzień następny był podobny do poprzedniego. Nami nikt się nie interesował. Nic dziwnego. Nie wyglądaliśmy na dobrych robotników. […]
> Trzeciego dnia wyraźnie się ociepliło. Powiał raptem ciepły wiatr i śnieg natychmiast znikł. Podjechały ciężarówki, załadowano nas wszystkich, ubijając jak najgęściej, i powieziono w step. Po dwugodzinnej jeździe wyładowano nas wszystkich nad brzegiem rzeki Iszym. […] Trzeba było czekać na swoją kolejkę przy przewożeniu promem przez rzekę. Trwało to bardzo długo. […] Nie narzekaliśmy na powolne tempo, nie mieliśmy bowiem gdzie się spieszyć i wreszcie nie było już tyle żołdactwa z karabinami nad naszymi udręczonymi głowami. Mogliśmy się też wreszcie umyć w lodowatej wodzie rzeki. Naszych polskich mężczyzn nie było prawie wcale. Cała grupa składała się z kobiet i przerażonych, płaczących dzieci. […]
> Wreszcie dotarliśmy na zachodni brzeg Iszymu i załadowaliśmy się na czekające na nas ciężarówki. Zapadła noc. Skurczeni na samochodach drzemaliśmy pomimo okropnych wstrząsów, droga bowiem wydawała się raczej bezdrożem pełnym wyrw. Po kilkugodzinnej „trzęsawce" ciężarówka zatrzymała się oświetlając drewniany parterowy budynek, składający się z dwóch małych pomieszczeń. Kazano nam wejść do tego domu i położyć się do spania. […] Mama wyszukała w swoim

Odśnieżanie chaty zasypanej śniegiem

bagażu świeczkę, zapaliła ją i zobaczyliśmy, że jesteśmy w przedsionku bez podłogi i okien. Po otworzeniu drugich drzwi weszliśmy do małego pokoju z dwoma oknami, piecem i brudną drewnianą podłogą, okropnie zaśmieconą. W kącie leżały jakieś gazety. Mama zarządziła ułożenie się do snu. Gazetami wysłaliśmy podłogę, na to położyliśmy swoją pościel i po zgaszeniu światła zasnęliśmy[112].

Czasem po opuszczeniu rozformowywanego na bocznicy eszelonu zesłańcy mieli pewną swobodę poruszania się po najbliższej okolicy. Mając pieniądze, mogli dokonywać zakupów, co stwarzało z kolei sposobność do nawiązania kontaktów z miejscową ludnością. Mimo propagandowych zapowiedzi, iż przyjechali „burżuje", „wrogowie Związku Radzieckiego" i „szpiedzy", już pierwsze spotkania z tamtejszą społecznością wskazywały, iż nie zawsze wierzono tej oficjalnej informacji. Mieszkańcy większych miast lub węzłów kolejowych w większości zdawali sobie sprawę, iż jest to oczywista propaganda. Stąd też tak często powtarzane jest przez byłych zesłańców stwierdzenie o okazywanej im przez prostą ludność rosyjską życzliwości, chęci wspomożenia ich, niesienia doraźnej pomocy, nie mówiąc już o takich ryzykownych i zagrożonych długoletnim pobytem w łagrach zachowaniach, jak przyjmowanie korespondencji zesłańczej i ekspediowanie jej pod wskazane adresy.

Nie był to jednak obraz jednowymiarowy i jednorodny. Spotykano się też z wrogim traktowaniem przesiedleńców, kreowanym przez światopoglądową indoktrynację radziecką, ale czasem także przez niechęć do „obcego". Nowy dla ze-

[112] K. Pietras, *Wspomnienia z zesłania,* Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu, sygn. 65/s, s. 7 (dalej: AN PTL).

Kobiety ciągnące wózek po stepie

słanych świat cechowała ustawiczna zmienność prowokowana z jednej strony przez ich własne zachowania, ale z drugiej tworzona niejednokrotnie przez środowisko, w którym wypadało im żyć. Warto o tym pamiętać w kontekście wydarzeń, które stawały się ich udziałem po zakończeniu drogi na zesłanie[113].

Po parotygodniowej drodze na zesłanie, podczas której tworzono sobie wizję przyszłego losu indywidualnego i społecznego, następowało nagłe zetknięcie się z nowymi realiami, które nie napawały optymizmem. Zanim ludzie dotarli do miejsc przeznaczenia, doświadczali licznych niewygód już po wyjściu z wagonów. Przez wiele godzin oczekiwali na zajęcie się nimi. Pod gołym niebem rozlokowywali swój skromny dobytek, by jakoś przetrwać pierwszą noc. Każdy załom muru, wiata osłaniająca od wiatru, zadaszenie chroniące przed deszczem, wreszcie pomieszczenia dworcowe były po wielotygodniowym „etapie" pierwszym miejscem schronienia dla tych ludzi. Opuszczając pośpiesznie wagony, nie zawsze zdążyli zabrać z nich wszystkie bagaże. Zdarzały się przypadki kradzieży już na dworcach, jak i w dalszej wędrówce – barką, saniami, wozem itp. Stosunkowo duża liczba wiezionych przez zesłańców bagaży, źle zresztą opakowanych i byle jak zabezpieczonych, była pokusą dla konwojentów i miejscowej ludności.

Odczepiane po drodze wagony rozwoziły ludzi w różnych kierunkach, wyznaczając nowe etapy zesłańczej drogi. Często były to męczące, parodniowe marsze do miejsc zesłania, nieraz dowożenie saniami, samochodami lub barkami. A potem w miejscach osiedlenia znaleźli się zesłańcy w sytuacjach pełnych grozy i goryczy.

---

113 Wiele wątków z tego zakresu znajduje się w książce T. Mikulskiego, *Fotografia zbiorowa Polaków deportowanych do okręgu pawłodarskiego,* Wrocław 1995.

Mężczyźni zostali powołani do wojska, a kobiety zostały traktorzystkami. Na fot. dziewczyny naprawiające traktor

Obraz ten wyłania się wyraźnie z tekstów zamieszczonych w części antologicznej tej książki.

Zesłańcze relacje

Niektórzy opisali swe przeżycia związane z tym okresem życia. Oto np. Aleksander Wat napisał wiersz pt. *Wierzby w Ałmaty*, a także inne związane z jego pobytem w Kazachstanie. Kolejne poetyckie obrazy tych losów, rozterek i tęsknot pojawiają się także w wierszach innych poetów, których najpełniejszy wybór znajduje się w książce zatytułowanej *Gułag polskich poetów. Od Komi do Kołymy. Wiersze*, (w wyborze Niny Taylor-Terleckiej, Londyn 2001). Zesłańcze losy Polaków, którzy znaleźli się w okresie drugiej wojny światowej w Kazachstanie, opowiedział niezwykle plastycznie w dwu powieściach Jerzy Krzysztoń. Pierwsza, *Wielbłąd na stepie* (Warszawa 1987), dotyczy jego pobytu w Kazachstanie i Uzbekistanie w latach 1940–1942, druga, zatytułowana *Krzyż Południa* (Warszawa 1987), opowiada o pobycie w Persji (lata 1942–1944). W obu wykorzystał osobiste wspomnienia z czasów, których był świadkiem jako dorastający chłopiec. Przejęty tamtymi doświadczeniami, dał we wspomnianych powieściach zbeletryzowany obraz mało znanego do niedawna fragmentu losów polskich: dziejów licznych rzesz Polaków zagnanych przez wojnę w dalekie azjatyckie kraje, ich trudnych, dramatycznych przeżyć i ich nadziei. To wszystko opowiedziane jest niezwykle realistycznie i przystępnie.

Spraw tych dotyczy także bogata literatura wspomnieniowa, ukazująca się najpierw poza krajem, tutaj bowiem cenzuralne zapisy zakazywały publikacji takich książek w okresie Polski Ludowej. Zbeletryzowane wspomnienia Herminii

Naglerowej, zatytułowane *Ludzie sponiewierani*, wydane w Rzymie w 1945 roku, to jedne z pierwszych literackich opisów sowieckiej niewoli w Kazachstanie. Bohaterowie to ludzie z krwi i kości, lektura tej książki na długo zapada w pamięć czytelników. Podobnie jest z książką Oli Watowej pt. *Wszystko co najważniejsze* (Warszawa 1990), napisaną w formie dialogu, jaki wiedzie autorka z przyrodą stepów. Pejzaż ten zachwyca urodą rozległych przestrzeni, poszumem traw oraz

> […] trzcin, porostów, zapalających się horyzontów o zachodzie słońca i tej nieprawdopodobnie pięknej palety barw, której nie zobaczy się pod Paryżem. […] Nie mogłam oprzeć się urodzie, która mnie pochłaniała do tego stopnia, że zapomniałam na chwilę o naszych warunkach istnienia. […] Poczułam, że ta noc w dalekim stepie, że niebo i księżyc, i trawy, i cisza, że to wszystko należy do nich, że to jest ich świat i że nie ja, a one wiedzą, są wtajemniczone, że przynależą do tego świata, że to ich królestwo. A ja tutaj jestem tylko przybłędą, słabszą od najbardziej suchej trzcinki.[114]

W różnych wspomnieniach zesłańczych wielokrotnie pojawia się urzeczenie stepem, jego przestrzenią, kolorem, ciszą, którą tylko od czasu do czasu zakłóci świergot ptaka, jakieś nieznane zwierzę czy dochodzący z oddali krzyk pastucha pilnującego stad bydła. Stąd ta melancholijna nuta wieloznaczna obrazowo, z jaką opisują step zesłańcy. Oto np. Halina Kierska, w dziewczęcym pamiętniku z tamtych lat, wyznaje, iż step był jej relaksem i powiernikiem zarazem, którego soczysta zieleń koiła niewolę i choćby na chwilę pozwalała o niej zapomnieć, był miejscem, gdzie mogła

> się wypłakać, poskarżyć. Step nie zdradzi. […] Step jest piękny i w dzień, i nocą, gdy tchnie ciepłem zgromadzonym za dnia i wonnymi ziołami[115].

Liczne edycje pamiętnikarskie i historiograficzne dotyczące Polaków na zesłaniu w okresie drugiej wojny światowej składają się na niezmiernie złożoną mozaikę ich losów. Nieprzeliczona jest rozmaitość obrazów zesłańczego życia w nich zawarta, które wpisują się w pamięć, a dla historiografów tworzą bogatą dokumentację wydarzeń tamtych czasów pogardy. Literatura zesłańcza zawsze była stałym kanonem dotyczącym stosunków polsko-rosyjskich, była tworem pisarzy, historyków i autorów wywodzących się spośród zesłańców. Niewielka jej część dotyczy także Kazachstanu. Nagromadzone w niej informacje odkrywają zjawiska bolesne, które uobecniają się w obrazach tamtego codziennego życia – głodzie, pracy ponad siły, śmierci najbliższych, pośpiesznie skleconego krzyża na mogile, ucieczki.

Ta różnorodność relacji, przeżyć i doświadczeń to świetne źródło do bardziej rozbudowanej optyki smutnych doświadczeń Polaków zesłanych do Kazachstanu w latach 1940–1941. Odnajdujemy je we wspomnieniach Danuty Tęczarowskiej,

---

114 O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze,* Warszawa 1990, s. 49–50.

115 H. Kierska, *Kędy kazachski step… Dziennik deportowanej 1939–1946,* Wrocław 2009, s. 70.

zatytułowanych *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939–1942*, wydanych w Londynie w 1981 roku. Kazachstańskie realia zawiera także książka Marii Byrskiej *Ucieczka z zesłania*, opublikowana w Paryżu w 1986 roku.

Jest też ich wiele w publikacji noszącej tytuł *W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali… Polska a Rosja 1939–42*, w wyborze i opracowaniu Jana Tomasza Grossa oraz Ireny Grudzińskiej-Gross (Londyn 1983), oraz opracowaniach monograficznych autorstwa współczesnych polskich antropologów kultury, historyków czy psychologów.

W zespole literatury dotyczącej zesłańców w Kazachstanie nie sposób pominąć wspomnień **księdza Władysława Bukowińskiego**, zatytułowanych *Wspomnienia z Kazachstanu*, wydanych po raz pierwszy w Londynie (1979) i mających parę późniejszych wznowień krajowych. Dotyczy to również książki wspomnieniowej *Między parafią a łagrem*, wydanej w Paryżu (1985), autorstwa **księdza Józefa Kuczyńskiego,** który jako duszpasterz Polaków w ZSRR przez kilkanaście lat przebywał na zesłaniu, w tym także na terenie Kazachstanu. Jest tych tytułów znacznie więcej i wspomnijmy tu jeszcze o tym, że Instytut Literacki w Paryżu i niestrudzony redaktor paryskiej „Kultury" Jerzy Giedroyć dobrze przysłużyli się sprawie upowszechnienia literatury zesłańczej, która mimo zakazów docierała wówczas do Polski. Tam np. ukazała się w 1991 roku interesująca książka Grażyny Jonkajtys-Luby pt. *„…Was na to zdieś priwiezli, sztob wy podochli". Kazachstan 1940–1946*, będąca zapisem lat spędzonych na zesłaniu w Kazachstanie z matką i pięciorgiem rodzeństwa, książka niezwykle wzruszająca i interesująca pod względem faktograficznym.

Z publikacji o krajowej proweniencji, które zaczęły ukazywać się w Polsce po roku 1989, wspomnieć trzeba o książce Eugeniusza Iwanickiego *Wróg towarzysza Stalina. Wspomnienia z Kazachstanu 1940–1946* (Łódź 1990), pracy Marii Jadwigi Łęczyckiej pt. *Zsyłka. Lata 1940–1946 w Kazachstanie* (Wrocław 1989). Warto także zwrócić uwagę na publikację Zofii Tarkocińskiej pt. *Ociosani* (Warszawa 1989), w której również znajduje się obraz kazachstańskich stepów. Interesująco opisane losy związane z zesłańczym etapem życia są tematem książki wspomnieniowej pt. *Wędrowne maki* (Warszawa 2007), autorstwa Stanisławy Chobian-Cheron, lekarki, współczesnej mieszkanki Nancy, urodzonej w okolicach Nowogródka (obecnie Białoruś) deportowanej do Kazachstanu w 1952 roku. Przebywała tam do 1955 roku, gdzie jako absolwentka trzech lat studiów medycznych otrzymała pracę jako felczerka. Często przebywała w okolicznych osiedlach, rozrzuconych bezładnie wśród stepowych gościńców blisko uzbeckiej granicy. Mieszkali tam Niemcy nadwołżańscy, Czeczeni, Gruzini, Grecy oraz Polacy. W książce tej jest niemało oryginalnych i celnych spostrzeżeń dotyczących życia tych ludzi oraz burzliwych meandrów ich losu, mogących stanowić nader istotny punkt wyjścia do zrozumienia represyjnej polityki właściwej dla radzieckiego państwa. Książka, którą czyta się jednym tchem, dotyczy zarówno obrazu zesłańczej codzienności, jak również fascynacji kolorowym stepem. Ten

ostatni, mimo zniewolenia, dawał ukojenie i nadzieję na szczęśliwy los, który stał się w końcu udziałem autorki. Bogata jest więc lista tytułów książek wspomnieniowych dotyczących pobytu w Kazachstanie w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu.

Wreszcie wymienić należy jeszcze cykliczne edycje pod nazwą:

– ***Wspomnienia Sybiraków***, redagowane przez nieżyjącego już **Janusza Przewłockiego** z Komisji Historycznej Zarządu Głównego Związku Sybiraków;

– ***Tak było… Sybiracy***, pod redakcją **Aleksandry Szemioth**, publikowane przez Oddział Krakowski Związku Sybiraków, w których zamieszczono kilka tekstów dotyczących Kazachstanu;

– ***Biblioteka Zesłańca***, funkcjonująca w ramach Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego oficyna, która podjęła trud wydawania książek – monografii, antologii, wspomnień – poświęconych dziejom Polaków na Wschodzie.

Od czasu do czasu problematyka ta przewija się także na łamach prasy krajowej, najpełniej jednak ukazywana jest przez wydawane przez parę lat w Białymstoku

– **pismo „Sybirak”** oraz

– **kwartalnik „Zesłaniec”,** wydawany przez Radę Naukową Zarządu Głównego Związku Sybiraków.

Tematyka ta jest również podejmowana przez wydawnictwa:

– **lubelskie wydawnictwo „Norbertinum”**, wielce zasłużone w usuwaniu białych plam w historii stosunków polsko-radzieckich;

– **Wydawnictwo „Kubajak”** – wydawcę obecnej książki, jak również innych: naukowych, popularno-naukowych oraz wspomnień na ten temat.

Dzięki wspomnieniom byłych zesłańców, ludzi udręczonych psychicznie i fizycznie, którzy zdobyli się na to, by powrócić myślami do tragicznych przeżyć,

Serie wydawnicze poświęcone polskim zesłańcom

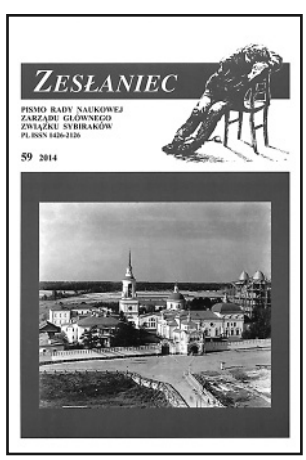

Kwartalnik – pismo ZG Związku Sybiraków

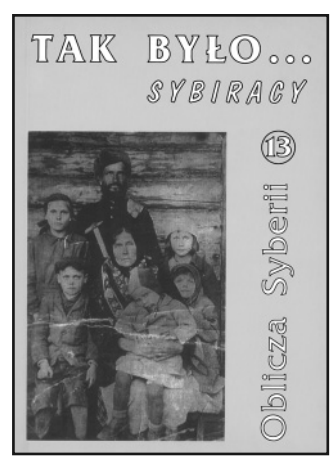

Publikacje Związku Sybiraków Oddz. Krakowskiego

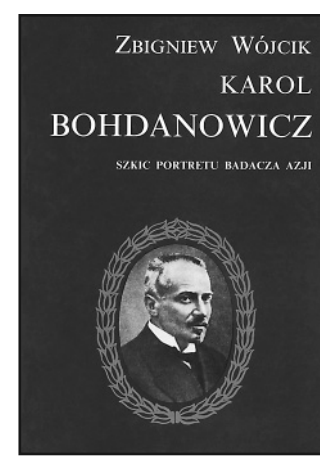

Biblioteka Zesłańca – Polskie Towarzystwo Ludoznawcze

historia wzbogaciła się o wartościowe świadectwa dotyczące tamtych czasów pogardy, o których milczano w czasach Polski Ludowej. Rzeczywistość, którą oglądamy w zesłańczych opisach, jest wieloraka. To one dają nam pełniejsze wyobrażenie o skali cierpienia i boleści życia na zesłaniu, którego obrazy jakby nieco zetlały w zbiorowej pamięci narodu, zwłaszcza wśród najmłodszego pokolenia.

Opisy te przynoszą także interesujące relacje o kulturze ludności kazachskiej, o zwyczajach i obyczajach tam panujących, ukazują zjawiska i wydarzenia nieprzystające do powszechnego wyobrażenia o zesłańczym życiu, które częstokroć stawało się lżejsze dzięki pomocy prostego kazachskiego ludu. Ten „inny świat" z punktu widzenia zniewolonego człowieka jawi się we wspomnieniach jako konkret bytowania, psychicznych przeżyć, jak i różnych ich odniesień do życia sprzężonego z cierpieniem. Wiele z tych wydarzeń zostało zapomnianych, bowiem ci, którzy ich doświadczali, milczeli, nie chcąc powracać do tamtych traumatycznych przeżyć. Teraz zaś rok za rokiem odchodzą w ciszy, a razem z nimi umierają zesłańcze historie.

Równocześnie z tymi pracami wspomnieniowymi, które znacząco dopełniają faktografię związaną z zesłańczym losem, ukazało się nieco prac historycznych prezentujących odbiorcom poszerzony krąg wiedzy z tego zakresu.

Układ Sikorski–Majski

Na mocy podpisanego 30 lipca 1941 roku w Londynie układu polsko-sowieckiego, znanego też pod nazwą układu Sikorski–Majski, i umowy wojskowej z 14 sierpnia tegoż roku, zawartej w Moskwie, została utworzona z zesłańców armia dowodzona przez gen. Władysława Andersa. Dwa dni wcześniej, bo 12 sierpnia, została ogłoszona amnestia, na mocy której polscy obywatele więzieni w łagrach i przebywający na zesłaniu odzyskali wolność. Obie te umowy otworzyły w 1942 roku tym żołnierzom i niewielkiej części ludności cywilnej drogę do Iranu. W czasie formowania się armii żołnierze i ludność cywilna zgromadzona przy wojsku (najczęściej ich rodziny) odczuwała dotkliwe braki żywności, którą dostarczyć miała strona rosyjska, jak również broni dla formującego się wojska. Te czynniki, jak i z pewnością kalkulacja polityczna Stalina spowodowały, że strona rosyjska wydała zgodę na ewakuację wojska i ludności cywilnej do Persji. Miały miejsce dwie ewakuacje wojska do Persji. Pierwsza – przełom marca i kwietnia 1942 roku, druga i ostatnia – w sierpniu 1942 roku. W sumie ewakuowało się 113 437 osób, w tym około 38 502 osób cywilnych (z tego około 20 tys. dzieci). Przeprawiano się drogą morską przez Morze Kaspijskie z Krasnowodska w ZSRS do Pahlevi w Iranie.

Pierwsze echa zesłańczych doświadczeń z wielu rejonów Związku Radzieckiego pojawiły się po wyjściu do Iranu armii gen. W. Andersa. Dzięki podjętym wówczas działaniom dokumentacyjnym wewnątrz armii zebrano wiele relacji o życiu w łagrach, więzieniach i na zesłaniu w stepach czy tajgach. Zachowały się także różne dokumenty i fotografie.

Mapa Kazachstanu oraz trasy marszu do miejsca koncentracji wojska oraz trasa przeprawy wojska przez M. Kaspijskie do Persji

Gen. Władysław Anders – dowódca Armii Polskiej formowanej w czasie II wojny światowej na terenie Związku Radzieckiego. Fotografia zrobiona już po wyjściu Wojsk Polskich z ZSRR na Półwyspie Gallipoli w Turcji, 9 lipca 1946 r.

Umożliwiły one wtajemniczenie w ten złożony krąg wypadków, które dotknęły ludność polską w ZSRR w latach 30. XX wieku, w czasie II wojny światowej, tuż po jej zakończeniu. Powstały wówczas różne rodzaje tekstów źródłowych. Ich skala gatunkowa jest niezmiernie szeroka – są to np. diariusze, pamiętniki, wspomnienia, relacje, które uzupełniają różne dokumenty urzędowe, rysunki i fotografie.

Wielu zesłańców, jeśli w ogóle, to z wielkim opóźnieniem dowiedziało się o układzie Sikorski–Majski i tzw. amnestii oraz możliwości wstąpienia do armii polskiej formowanej przez gen. Andersa. Dla przebywających wówczas w ZSRR było to wydarzenie szczególne. Opuszczali więc łagry i posiołki, udając się na południe, do miejsc, gdzie formowała się armia polska. Częstokroć droga ta prowadziła przez Kazachstan i w kazachskich wioskach spotykali Polaków zesłanych do tego kraju w latach 1936–1937, jak już wspomniano z terenów tzw. zazbruczańskiej Ukrainy, które po traktacie ryskim pozostały w granicach ZSRR. O spotkaniu takim opowiadał mi jeden z mieszkańców wsi Zielony Gaj w północnym Kazachstanie. Jakież było jego zdziwienie, gdy pewnego dnia późną jesienią 1941 roku pojawili się u niego trzej mężczyźni w łachmanach i poprosili o nocleg.

> Mówili do mnie po rosyjsku, gdy zadałem im pytanie, skąd są, odpowiedzieli, że z daleka i idą do polskiego wojska. Odezwałem się więc do nich po polsku i zobaczyłem na ich zarośniętych twarzach zadziwienie. Spotkali w kazachskim stepie Polaków, sądząc, że jestem jednym z tych nieszczęśników, którzy byli wywiezieni w 1940 lub 1941 roku. Zostali na noc, a potem jeszcze na parę dni. Opowiedzieliśmy o swoich losach. Oni o tym, że byli wywiezieni z Polski w 1940 roku gdzieś pod Archangielsk, a ja opowiedziałem im, jak to w 1936 roku przywieźli nas do Kazachstanu, gdzie pierwszą zimę spędziliśmy w dołach wykopanych w ziemi. Oni szli do polskiego wojska, a nam *komendancki czas* nie pozwalał na opuszczanie wioski i udawanie się w znaczne od niej odległości. Potem pojawili się we

wsi inni podobni do nich. Zatrzymywali się i po paru dniach ruszali dalej, starając się dotrzeć do linii kolejowej, by dojechać do Ałma-Aty, bo tam, jak mówili, jest przedstawicielstwo polskiej ambasady[116].

Wiadomo, że w celu zapewnienia informacji dla tych wędrowców, wkrótce po podpisaniu układu Sikorski–Majski na stacjach kolejowych w Kujbyszewie, Penzie, Gorkim, Czelabińsku, Swierdłowsku, Czkałowie i w innych miejscowościach rozlokowani zostali polscy oficerowie łącznikowi, których zadaniem było ustalanie z władzami radzieckimi odpowiednich warunków transportu dla przesiedlających się. W pierwszym okresie tego exodusu transporty kierowano do Uzbekistanu, w rejon Taszkentu i Samarkandy. Napływ migrantów był jednak tak olbrzymi, że część z nich zatrzymano w obwodzie czimkeckim na terenie Kazachstanu i przez pewien czas nocowali „pod gołym niebem"[117].

Delegatury polskiego rządu czyniły wielkie wysiłki, by pomóc tej ludności, podejmowały stosowne starania u władz radzieckich. W ich rezultacie w listopadzie 1941 roku Państwowy Komitet Obrony ZSRR podjął decyzję o rozładowaniu ciężkiej sytuacji w Uzbekistanie i przesiedlił z tej republiki około 37 tysięcy obywateli polskich do Kazachstanu, gdzie już i tak znajdowało się wielu Polaków, i ostatecznie na tym terenie w grudniu 1942 roku obywatele polscy znajdowali się: w okręgu akmolińskim – 11 154 osoby, aktiubińskim – 6442 osoby, ałmatyńskim – 2332 osoby, dżambulskim – 17 033 osoby, guriewskim i ust-kamienogorskim – 932 osoby, kustanajskim – 7713 osób, kizył-ordyńskim – 3000 osób, w pawłodarskim – 9845 osób i w czimkeckim (zwanym często w dokumentach południowo-kazachstańskim) – 11 747 osób, w pietropawłowskim, czyli północno-kazachstańskim – 12 648 osób i w obwodzie semipałatyńskim – 6249 osób[118].

Po zakończeniu wojny rozpoczęły się ich powroty do Polski, najczęściej jednak nie wracali do swoich dawnych miejsc zamieszkania, do „tych pól i lasów zielonych", ponieważ ich rodzinne gniazda pozostały poza granicami Polski, zgodnie z postanowieniami konferencji jałtańskiej. Zamieszkali więc na tzw. Ziemiach Zachodnich – na Dolnym Śląsku i Pomorzu, inni bliżej wschodniej granicy, licząc na to, że gdy ustanie czas powojennego bałaganu i politycznych sporów, wrócą na swe ukochane Kresy Polskie. Nie wrócili!

Pogłos zesłań

Ukazujący się w Warszawie „Kurier Codzienny", będący organem prasowym Stronnictwa Demokratycznego, w numerze 9 z 17 lipca 1945 roku opublikował artykuł pt. *Wrócą Polacy z Kazachstanu. Niecodzienny hart ducha cechuje tych ludzi*, przedstawiający obłudne kłamstwo o przyczynach zesłania ich w głąb sowiec-

---

116 Relacja w zbiorach autora.

117 P. Żaroń, *Ludność polska w Związku Radzieckim w czasie II wojny światowej,* Warszawa 1990, s. 169.

118 S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie 1940–1946. Zesłańcy lat wojny,* Wrocław 1997, s. 51.

kiej Rosji. Był to początek późniejszych deformacji faktograficznych związanych z deportacjami w okresie II wojny światowej, które utrzymywały się przez wiele lat w krajowej historiografii, a pierwszą skandaliczną zapowiedzią tego był ów artykuł. Napisano w nim:

> Twardy los wojny sprawił, że gdy w latach 1940–1941 trzeba było przygotować i rozbudować potężne bazy dla kilkumilionowej armii radzieckiej, w bezpośrednim sąsiedztwie „granicy interesów niemieckich", liczna rzesza Polaków zamieszkała na linii przyszłego frontu – w okolicach, gdzie w nowoczesnej i totalnie niszczącej wojnie zetrzeć się miały dwie potęgi – musiała opuścić dotychczasowe miejsca zamieszkania i przenieść się w rejony, w których nie byłaby ciężarem dla zbliżającej się akcji, a gdzie bezpieczeństwo byłoby całkowite. Z tej przyczyny wiele tysięcy Polaków znalazło się w drugim roku wojny w głębi Republiki Radzieckiej, po tej i po tamtej stronie Uralu aż po Kazachstan i dalej. […] Polacy, którzy wrócą do kraju, wpłyną na dalsze zbliżenie polsko-radzieckie. Ci wszyscy bowiem, którzy wrócą, poznali dokładnie kraj, ustrój oraz życie Związku Radzieckiego i staną się wśród nas niewątpliwie mocnym ogniwem współpracy i dobrego współżycia sąsiedzkiego między Polską a narodami republik radzieckich[119].

Z tą dezinformacją współegzystowały inne oficjalne przekazy, mówiące o przyczynach, które sprawiły, że w pierwszych latach II wojny światowej tysiące Polaków znalazło się na terenie Związku Radzieckiego. Wielu Polaków wstrząśniętych było losem swych bliskich uwięzionych po 17 września 1939 roku, a potem w okrutny sposób pomordowanych w więzieniach Lwowa czy Grodna oraz rozstrzelanych w Katyniu. Badania świadomości Polaków dotyczącej tragicznych skojarzeń związanych z deportacjami sowieckimi wykazują, że fakty te znane były nie tylko ludności zamieszkującej tereny wschodnie II RP. O tragizmie wywózek i wypędzeń wiedziano, mimo że pomijano je w szkołach, w publicystyce i badaniach naukowych.

Powszechne było wówczas określenie dotyczące wojennych losów Polaków na „gościnnej ziemi radzieckiej", a tu i ówdzie w życiorysach trafiały się określenia: „w okresie wojny pracowałem w przemyśle drzewnym w ZSRR", „po wojnie wróciłem do Polski z ZSRR, gdzie byłem zatrudniony w bazie traktorowej" lub „czas wojny spędziłem w radzieckim domu dziecka na Uralu". Nic więcej! Owe tajemnice i zakłamania wynikały z nakazów idących z ZSRR, przetwarzanych propagandowo przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, a potem przez władze Polski Ludowej i wszechwładną cenzurę. Podobne zakłamane opinie przekazywał tygodnik „Wolna Polska", organ Związku Patriotów Polskich wydawany w Moskwie, w którym w numerze 23–24 z dnia 10 lipca 1945 roku pisano:

---

[119] *Wrócą Polacy z Kazachstanu. Niecodzienny hart ducha cechuje tych ludzi,* „Kurier Codzienny" nr 9, z 17 lipca 1945 roku.

Dymitr Grozdew „Panorama Golgoty Wschodu"

Okupacja Donieckiego Zagłębia Węglowego przez Niemców, zwiększone potrzeby kraju w czasie wojny postawiły radziecki przemysł węglowy wobec konieczności rozszerzenia pozostałych zagłębi węglowych, jak również szukania nowych. Zwiększa się wydobycie węgla w Karagandzie (Kazachstan), Kzył-kii (Kirgizja), gdzie tysiące nowych pracowników zostaje wciągniętych do przemysłu węglowego i w twórczym wysiłku dostarcza fabrykom i kolejnictwu tak potrzebnego paliwa. Wśród pracowników przemysłu węglowego są również reprezentowani wychodźcy polscy. Około tysiąca Polaków, dotąd zupełnie niezwiązanych z górnictwem, zdobyło w Związku Radzieckim nowe kwalifikacje. Swą ofiarną i wytrwałą pracą w tej zupełnie nowej dla siebie dziedzinie potrafili oni zdobyć sobie sympatię i szacunek kierownictwa i towarzyszy. Kierownictwo trustów „Kurgapol", „Kopiejskugol" oraz Komisarz Ludowy Przemysłu Węglowego Kirgizji wyrażają się o pracy Polaków bardzo dodatnio.

Polacy w przemyśle węglowym opanowali wszechstronnie proces wytwórczy. Charakterystyczny jest szeroki wachlarz wykonywanych przez nich prac: od robotnika niewykwalifikowanego poprzez kopacza, woźnicę, tragarza, dróżnika, maszynistę pociągu, tokarza, ślusarza, wiertacza, detonatora, kierownika wentylacji kopalni, do kierownika i zastępcy głównego mechanika. Górnicy Polacy pracują w kopalniach Karagandy […] Największy polski ośrodek górniczy stanowi Karaganda. Górnicy

polscy w Karagandzie okazali się na wszystkich odcinkach pracy dobrymi, zdolnymi i rzetelnymi pracownikami stale przewyższając ustaloną normę produkcji […].
Wzorowa praca polskich górników zasługuje tym bardziej na uwagę, że przecież olbrzymia ich większość zaznajomiła się z tymi trudnymi zawodami dopiero na wychodźstwie, w czasie wojny z Niemcami. Tylko zrozumienie wagi wykonywanej przez siebie pracy, tylko nieprzeparta chęć udzielenia jak najwydatniejszej pomocy Związkowi Radzieckiemu w jego walce z najeźdźcą, zrozumienie przez ogół górników polskich tej oczywistej prawdy, że wyzwolenie Polski spod okupacji jest w pewnej mierze zależne od wydajności ich pracy, mogło spowodować tak powszechne zjawisko wzorowej pracy Polaków w kopalniach węgla.
O ideowym stosunku do pracy świadczy odezwa uczestników zlotu stachanowców-górników Karagandy: „Do Polaków w ZSRR", przyjęta jednogłośnie 11 listopada 1944 r. W odezwie piszą polscy górnicy:
W krótkim stosunkowo czasie opanowaliśmy trudne kwalifikacje górników i ślusarzy kopalnianych, pokaźna ilość spośród nas potrafiła wybić się na kierownicze stanowiska naczelników odcinków i techników górniczych. Znaczna liczba stachanowców, którzy cieszą się powszechnym uznaniem i szacunkiem zarówno swych radzieckich kolegów, jak i kierowników kopalń, jest dumna z Polonii karagandzkiej.
My, górnicy-Polacy, przyłączając się do ogólnego wysiłku społeczeństwa radzieckiego w Karagandzie, które w noworocznym liście do Marszałka Stalina przyrzekło wydobyć w bieżącym roku o 20% węgla i 25% koksu więcej niż w roku ubiegłym postanawiamy:
1. Wytężać swe siły celem zwiększenia wydajności naszej pracy, w przekonaniu, że więcej węgla – to więcej broni bijącej niemieckich faszystów.
2. Jako przyszli budowniczy zniszczonego kraju naszego będziemy się starali podnieść swe kwalifikacje, pogłębić swoje doświadczenie i znajomość procesu wytwórczego.
3. Będziemy dbali o dobre imię robotnika polskiego, aby zostawić po sobie dobrą pamięć i szacunek.

Górnik polski w ZSRR cieszy się opinią wzorowego, inteligentnego pracownika. Do Śląskiego Zagłębia Węglowego przybędzie wkrótce tysięczny oddział wzorowych górników polskich, aby swą pracą i wiedzą nabytą w kopalniach radzieckich, przyczynić się do odbudowy i rozwoju gospodarczego Polski[120].

Nie ma sensu odnosić się tutaj do tych gazetowych relacji, należy jednak wyraźnie podkreślić, iż wszystkie one są świadectwem zakłamania i przeinaczania zesłańczego losu Polaków w Kazachstanie, pracujących tam w kopalniach Karagandy, wywiezionych w pierwszych latach drugiej wojny światowej, a także po jej zakończeniu.

---

[120] R. Gerber, *Polacy w kopalniach węgla w ZSRR,* „Wolna Polska", nr 23–24, z dnia 10 lipca 1945, s. 4.

Powojenne deportacje górników ze Śląska

W nawiązaniu do owych górników z Karagandy wspomnianych w cytowanym artykule dodać trzeba znamienny fakt, że już **w marcu 1945 roku pierwsze transporty deportacyjne wyruszyły z górnikami z Górnego Śląska do łagrów na terenie całego ZSRR: Krzywy Róg, Donieck, Dniepropietrowsk, do Zagłębia Kiemierowskiego w Zachodniej Syberii, czy też do Kazachstanu**[121].

Podobnie jak w przypadku innych deportacji, z powodu braku danych, do dziś nie jest znana liczba mieszkańców Górnego Śląska wywiezionych do ZSRR w 1945 roku do pracy przymusowej. Ich liczbę szacuje się w granicach od 30 tys. do około 90 tys. wywiezionych. Często byli jedynymi żywicielami rodzin. Pozostawiali oni w kraju żony, na ogół bez zawodu, z licznymi dziećmi, które musiały borykać się z trudnym losem i szykanami ze strony władz PRL. Ci, którzy przeżyli i powrócili do kraju, byli świadkami tych deportacji i późniejszej wędrówki ku wolności. Droga ta, jakże trudna, dla wielu zakończona gdzieś samotną mogiłą w tajdze czy stepie.

O tym, co przeżywali śląscy górnicy, warto poznać też z ich relacji.

Protokół przesłuchania świadka Alfreda G., deportowanego w marcu 1945 roku

Od 1938 r. pracowałem na kopalni węgla kamiennego „Bobrek". Również w okresie wojny pracowałem na tejże kopalni [...]. Pamiętam, że kiedy w dniu 28 III 1945 r. grupa górników, wśród których i ja byłem, wyjechała windą na powierzchnię, zostaliśmy zatrzymani przez żołnierzy rosyjskich i przewiezieni w ubraniach roboczych na teren kopalni „Dymitrow". Tam zauważyłem dużą grupę górników, ok. 2000. Na drugi dzień nastąpiła rejestracja zatrzymanych górników przez oficera rosyjskiego. Mieszkaliśmy w barakach drewnianych i w blokach mieszkalnych. Po trzech dniach w grupie ok. 3000 osób zostałem doprowadzony pieszo do Gliwic. Przez dwa dni nocowaliśmy w koszarach wojskowych, po czym pieszo poszliśmy do Łabęd, gdzie na bocznicy stał pociąg towarowy. Do wagonu załadowano około 70 osób, zaś drzwi zostały zadrutowane. Z wypowiedzi konwojujących żołnierzy rosyjskich dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Rosji i że już do rodziny nie wrócimy. Podróż trwała około jednego miesiąca, ponieważ pociąg jechał po linii jednotorowej i często następowały wymijania pociągów. Dojechaliśmy w rejon Donbasu[122]. [...]

Warunki pracy w kopalniach opisał M. Niedurny:

Kopalnie, w których pracowali deportowani, pod każdym względem różniły się od tych, jakie funkcjonowały na Górnym Śląsku. Najczęściej były to zacofane technicznie tak zwane kopalnie upadowe, składające się z kilkunastu szybików o niewielkiej, dochodzącej do 50–60 m głębokości. Najmniejsze z nich zatrudniały

---

121 D. Węgrzyn, *Górnoślązacy jako forma reparacji. Deportacje z Górnego Śląska do ZSRR w 1945 roku,* „Zesłaniec", nr 35, 2008, s. 51–70.

122 *Protokół przesłuchania świadka Alfreda G., deportowanego w marcu 1945 roku,* [w:] *Deportacje Górnoślązaków do ZSRS w 1945 roku. Teki Edukacyjne IPN. Materiały dla ucznia.* Katowice 2008, s. 40.

zaledwie do kilkudziesięciu pracowników i przypominały rodzime biedaszyby. Technika eksploatacji zarówno węgla, jak i rudy żelaza była prymitywna i opierała się na sile ludzkich rąk. Podstawowymi narzędziami pracy były kilof i łopata, często złej jakości. […] Praca odbywała się w warunkach urągających ludzkiej godności. Za naruszenie dyscypliny więźniów bito, na porządku dziennym były wyzwiska i lżenie. Pragnienie gaszono wodą z cieków kopalnianych[123].

Protokół przesłuchania Gerarda M., mieszkańca Szopienic, deportowanego w 1945 roku

Dojechaliśmy aż do Karagandy w Kazachstanie. [...] Po kilku godzinach ponownie zapędzono nas do wagonów i powieziono do obozu w Dżezkazganie. W tym obozie rozładowano cały transport. Usytuowany był on w stepie. Umieszczono nas w barakach, zbudowanych z gliny i trzciny. Część takiego baraku znajdowała się w ziemi, a część nad ziemią. Spaliśmy na drewnianych pryczach (zwykłe deski), bez sienników. Przykrywano się jedynie własnym odzieniem. Obozu pilnowali żołnierze sowieccy. Był otoczony podwójnym drutem kolczastym. Na wieżyczkach czuwali strażnicy uzbrojeni w pistolety maszynowe. Powiedziano, iż w pobliżu obozu są tartak i huta szkła. Podzielono ludzi do pracy. Ja początkowo trafiłem do kuchni. Jedzenie przygotowywało się w ten sposób, że do kotłów wlewano wodę, stawiano je na piecach a potem dorzucano do nich solone warzywa. Zesłani otrzymywali po chochli takiej zupy dwa razy dziennie, przed pracą i po powrocie. Do zupy nie dodawano żadnego mięsa ani tłuszczu. Dodatkowo raz dziennie otrzymywano po 400 g chleba. Chleb wypiekano w obozie. Był on gliniasty i ciężki do strawienia. [...] W obozie mogło umrzeć ok. 300–400 osób. Przyczynami zgonu były głównie wycieńczenie, tyfus i czerwonka. Ja po powrocie do kraju ważyłem 38 kg, przy wzroście 175 cm. Chyba w lipcu 1945 r. nabawiłem się ciężkiego zapalenia płuc. Umieszczono mnie w szpitalu obozowym. Był to wydzielony barak, ogrodzony drutem kolczastym. Warunki były w nim takie same jak w innych barakach. Chorzy nie byli leczeni. Leżeli tam jedynie i nie musieli pracować. Kto wyzdrowiał, ten opuszczał szpital, a czyj organizm był zbyt słaby, ten umierał. Zdarzało się, że w ciągu jednego dnia grzebano poza drutami obozu kilkanaście osób Wykopywano dół, wrzucano do niego ciała i zasypywano je piaskiem. Wykonywali to zesłańcy. Mogił nie oznaczano[124].

Jarosław Neja w pracy zamieszczonej w Biuletynie „Konferencje IPN" napisał:

[…] deportacje wywarły niezaprzeczalnie negatywny wpływ na sytuację na Górnym Śląsku w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej. W sferze

---

123 M. Niedurny, *Warunki życia i pracy deportowanych Górnoślązaków na przykładzie obozów Regionu Doniecko-Naddnieprzańskiego,* [w:] *Deportacje Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku,* pod red. A. Dziuroka i M. Niedurnego. IPN, Katowice 2004. s. 76–77.

124 *Protokół przesłuchania Gerarda M., mieszkańca Szopienic, deportowanego w 1945 roku,* [w:] *Deportacje Górnoślązaków do ZSRS w 1945 roku. Teki Edukacyjne IPN. Materiały dla ucznia.* Katowice 2008, s. 41.

gospodarczej chodziło przede wszystkim o poważne zaburzenia w funkcjonowaniu podstawowej nie tylko dla regionu, ale i całego kraju gałęzi przemysłu, jakim było górnictwo. Zastąpienie tysięcy doświadczonych górników innymi pracownikami, którzy dorównywaliby im wiedzą i umiejętnościami, okazało się w pierwszych latach powojennych praktycznie niewykonalne. Podobnie zresztą jak ściągnięcie z ZSRR samych deportowanych. […][125]

Arkadiusz Kwieciński podaje:

[...] Należy podkreślić, iż zdarzały się przypadki zatrzymywania i wywożenia do Związku Radzieckiego byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, powstańców śląskich oraz osób, które nie podpisały volkslisty. [...] Wykonywali niewolniczą pracę w kopalniach węgla i rudy, kamieniołomach, hutach [...]. Bardzo ciężkie warunki bytowe, surowy klimat, nadmierne wyczerpanie pracą były przyczyną wysokiej śmiertelności [...], dopuszczano się zabójstw, znęcania się […]. Oto kilka przykładów: Frydryk Karol A. z uwagi na silną biegunkę nie poszedł do pracy. Strażnik obozowy uderzył go za to kolbą karabinu w głowę. Uderzenie spowodowało śmierć. [...] Karol P. zachorował na tyfus. Jeszcze żywego wrzucono go do masowego grobu. […][126]

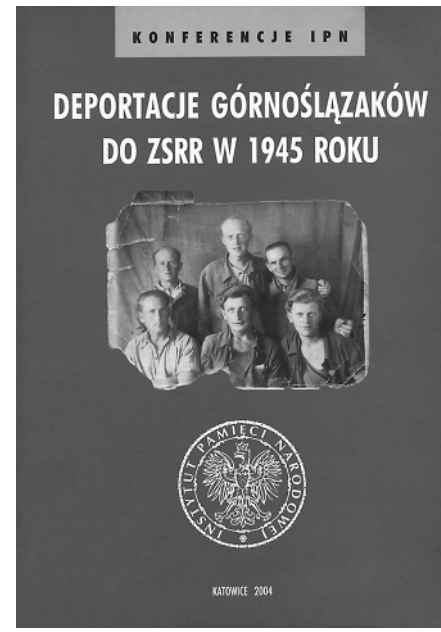

„Deportacje Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku" pod red. A. Dziuroka i M. Niedurnego. Instytut Pamięci Narodowej, Katowice 2004

Adam Dziurok we Wstępie „Biuletynu IPN" pisze:

Prokurator Okręgowej KŚZpNP (Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu) w Katowicach, Arkadiusz Kwieciński, zaprotokołował dotychczasowe ustalenia prowadzonego śledztwa w sprawie deportowanych Górnoślązaków, kończąc je ważnym sformułowaniem, że ***„zbrodnie władz sowieckich popełnione na wywożonych w głąb ZSRR mieszkańcach Górnego Śląska były zbrodniami przeciwko ludzkości {co} powoduje, że nie ulegają one przedawnieniu".***[127]

---

125 J. Neja, *Wpływ deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 r. na życie gospodarcze i społeczne Górnego Śląska w pierwszych latach powojennych,* [w:] *Deportacje Górnoślązaków do ZSRR…,* op. cit., s. 99.

126 A. Kwieciński, *Ustalenia śledztwa w sprawie deportacji Górnoślązaków do ZSRR,* [w:] *Deportacje Górnoślązaków do ZSRR…*, op. cit., s. 101–102.

127 A. Dziurok, *Wstęp,* [w:] *Deportacje Górnoślązaków do ZSRR…*, op. cit., s. 8.

Wojenne cmentarze

W Kazachstanie są dwa cmentarze wojenne, na których pochowano żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie, dowodzonej przez gen. W. Andersa. Zostały odnalezione i uporządkowane dzięki staraniom Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. **Oba znajdują się w obwodzie dżambulskim, w miejscowościach Szokpak i Stacja Ługowaja.**

W pierwszej miejscowości – **Szokpak –** stacjonowała 8. Dywizja Piechoty przed ewakuacją do Iranu. Według źródeł archiwalnych pochowano tam 212 żołnierzy w co najmniej dwóch miejscach: na cmentarzu przy stacji zbornej oraz na cmentarzu obozowym. Pierwotnie na mogiłach stał duży drewniany krzyż, który potem został zniszczony. Obecnie stojący, także drewniany, został poświęcony 1 listopada 1998 roku przez polskiego **księdza Piotra Ostafina**, proboszcza parafii rzymsko-katolickiej z pobliskiego Tarazu. Na krzyżu jest tabliczka z napisami w języku polskim, kazachskim i rosyjskim o treści: *Żołnierzom Polskiej Armii Generała Andersa i deportowanym Polakom, spoczywającym w ziemi kazachstańskiej, w dowód pamięci Rodacy*. Dobrze, że powstał ten znak pamięci, utrwalający zesłańczą drogę Polaków ku wolności, znak poszerzający panoramę losów polskich na ziemiach leżących daleko od ich Ojczyzny.

W drugiej miejscowości – **Stacja Ługowaja** – stacjonowała 10. Dywizja Piechoty. Miejsce pochówku znajduje się na cmentarzu prawosławnym, gdzie pochowano 49 żołnierzy polskich.

W miejscu tym w 1998 roku wspomniany już ks. Ostafin ustawił niewielki krzyż, a *akim* (duchowny muzułmański) pobliskiego miasteczka Kułan ufundował metalową tabliczkę z napisami w języku kazachskim i rosyjskim o treści: *Pamiętamy razem z polskim narodem*. W ramach rekonstrukcji cmentarza postawiono tam pomnik i ułożono płyty nagrobne z reliefem krzyża i tabliczkami imiennymi.

Zrekonstruowane cmentarze leżące na szlaku Armii Polskiej na Wschodzie, dowodzonej przez gen. Andersa, znajdują się również w Uzbekistanie i w wielu innych rejonach Rosji[128].

W kwietniu 2002 roku minęła 60. rocznica ewakuacji do Iranu Armii Polskiej z ZSRR i towarzyszących jej tysięcy polskich uchodźców.

W ramach wspomnianej rocznicy cmentarze w Szokpaku i w Stacji Ługowaja, które są świadectwem tragicznego polskiego tułaczego losu, zostały uporządkowane i uroczyście poświęcone. **Na cmentarzu w Szokpaku wzniesiono pomnik, a na nowym ogrodzeniu umieszczono tablicę z nazwiskami pochowanych tam żołnierzy. Podobnie zrekonstruowano miejsce pochówku w miejscowości Stacja Ługowaja.**

Wspomniano poprzednio, że stosunki polsko-kazachskie w swej ponad dwustuletniej metryce miały zawsze poniewolny charakter. Zniewolenie to przybrało dalsze koszmarne rozmiary w latach 30. XX wieku, kiedy to przez Związek

---

[128] E. Ziółkowska, *60. Rocznica polskiego wychodźstwa z ZSRR. Polskie Cmentarze Wojenne w Uzbekistanie i Kazachstanie,* „Przeszłość i Pamięć" – Biuletyn Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa 2001, nr 4, s. 160–164.

Pomnik ku czci deportowanych Polaków w Pawłodarze, odsłonięty w 2005 roku. Powstał on dzięki staraniom Wincentego Dewojny – prezesa Klubu Pawłodarczyka w Poznaniu oraz polsko-kazachskiego małżeństwa Łucji i Bułata Tokinów (oboje stoją obok płyty z orłem). Napisy na poszczególnych płytach wyryte są w trzech językach: polskim, kazachskim i rosyjskim.

Radziecki przelała się fala stalinowskich represji i ludobójstwa. Nie ominęła ona także Kazachów, którzy stracili wówczas sporą liczbę inteligencji i których także dotknęły różne formy represji, włącznie z przesiedleniami w inne rejony ZSRR. Skoro więc społeczeństwo kazachskie samo doświadczyło takich represji, łatwiej mu zrozumieć to, co spotkało Polaków przesiedlonych na teren ich kraju w latach 30. XX wieku.

8.

„Z TEJ BIEDNEJ ZIEMI…”

Kiedyś, będąc w Kazachstanie, dowiedziałem się, że w jednej z sąsiednich wiosek ma odbyć się nabożeństwo. Pojechałem tam z myślą, że spotkam któregoś z polskich księży, którzy na początku lat 90. XX wieku zaczęli odwiedzać ten kraj z posługą duszpasterską. Wieś była niewielka, mieszkali w niej Kazachowie, Rosjanie, Ukraińcy i Polacy. Ze znalezieniem domu, w którym miało być nabożeństwo, nie miałem trudności. Powiedziano mi, że pomalowany jest na biało, bo tam zbierają się ludzie na modlitwę, którą prowadzi *babuszka*. Inne domy były też drewniane, ale miały mniej staranny wygląd. Dachy pokryte były eternitem. Przed każdym od strony drogi był ogród, kwitły jeszcze kwiaty. Był to wrzesień. Z towarzyszącym mi mieszkańcem wsi, w której się zatrzymałem, przystanęliśmy przed tym domem. Była już tam grupka ludzi. Raz jeszcze mogłem się przekonać, że nawet osoby nieznające języka ojczystego identyfikują się z polskością. Byłem obcym przybyszem dla tej społeczności, ale towarzysząca mi osoba powiedziała zebranym, kim jestem. Wyjawiłem więc cel mojego przyjazdu, mówiąc, że chcę bliżej poznać losy mieszkających tu moich rodaków. Przyjęli to ze zrozumieniem i opowiadali o swoim losie od momentu, gdy przywieziono ich tutaj jesienią 1936 roku z okolic Berdyczowa, Kamieńca Podolskiego, Żytomierza czy Winnicy.

Babuszki – wędrujące katechetki

Czekaliśmy na przyjazd *babuszki*, od wielu lat prowadzącej te nabożeństwa. Bywało, że wcześniej gościła ona księży, którzy, wędrując po Kazachstanie, chrzcili po kryjomu dzieci, spowiadali, udzielali sakramentów i święcili groby. Czas oczekiwania wydłużał się. Wreszcie przyszła w towarzystwie paru starszych kobiet. Weszliśmy do chaty. W przestronnej izbie był stół nakryty białym obrusem. Na nim stał krzyż, obok wazony z kwiatami i świeca, którą zapalono po chwili. Ustał gwar. Przeważały osoby starsze, ale było też trochę dzieci im towarzyszących. Przedstawicieli średniego pokolenia nie było, nie było też księdza. Modlitwa rozpoczęła się od pacierza, potem prowadząca odmówiła *Litanię do N.P. Maryi Niepokalanie Poczętej*, czytając ze starej książeczki do nabożeństwa pt. *Wianek ku czci Najświętszej Maryi Panny z różnych nabożeństw uwity*, wydanej w Grudziądzu w 1881 roku, mocno zniszczonej, przywiezionej jeszcze z Ukrainy. Ukrywała ją

przez wiele lat. Zebrani powtarzali *Zmiłuj się nad nami* bądź *Módl się za nami*. Powoli upływał czas modlitwy zakończonej pieśnią *Z tej biednej ziemi…* Przyznam, że spotkanie to wywarło na mnie wielkie wrażenie, a słowa kończącej je pieśni, tu w stepie, daleko od Ojczyzny, miały szczególną wymowę. Brzmiały bowiem jak apel skierowany do Macierzy: *Zlituj się, zlituj nad ludem swym*.

Dzisiaj, po latach, gdy sprawa powrotu Polaków z Kazachstanu nie ma jednoznacznych prawnych regulacji ze strony Rzeczypospolitej Polskiej, pogłos tej pieśni powraca do mnie, budząc refleksje i żal!

Gdy skończył się czas modlitwy, długo jeszcze rozmawiałem z jej uczestnikami. Opowiadali o początkach pobytu w Kazachstanie. Nie było im łatwo. Mieszkali w ziemiankach, a dzisiejsze wsie Biełojarka czy Zielony Gaj to tzw. dawne *toczki*, czyli numerowane punkty, w rozległym stepie, gdzie ich osiedlono. Objęci byli specjalnym nadzorem, nie wolno im było opuszczać tych osad, w których obowiązywał *komendancki czas*, przez nich zwany komendanturą. Pracowali w utworzonych tam kołchozach i z trudem wrastali w step, doświadczając dyskryminacji. Dopiero po pewnym czasie *toczki* te otrzymały do dzisiaj zachowane nazwy.

Jeden z wielu zachowanych do dzisiaj ołtarzyków domowych, przy których o. Serafin odprawiał potajemnie Msze św.

Opowieści te przybliżyły realia życia i trwania w polskości, której ważnym czynnikiem była religia, dająca chwilowe ukojenie i oddalenie od trudnej codzienności materialnej. To ona stanowiła istotny węzeł struktury psychiczno-kulturowej wiążący wygnańców, pozwalający im opierać się narzuconym siłą normom programowej ateizacji, bezbożnictwa i wynarodowienia. Modlitwa i wiara były warunkiem przetrwania języka ojczystego wśród dzieci i młodzieży. To właśnie ich najbardziej dotykała ateizacja realizowana przez programy szkolne. Nie poddawali się jej tak łatwo. Dom rodzinny był ostoją wiary i polskości. Samoorganizowali się, by trwać w wierze i modlitwie, bo w pierwszym okresie nie mieli nawet kontaktu z księżmi, których nie było wówczas w Kazachstanie.

Moi rozmówcy z czcią i uległością odnosili się do osób, które wspomagały ich w modlitwie. Były to najczęściej starsze kobiety, **wędrujące katechetki**, których działalność stanowiła fundament trwania w polskości i przywiązania do religii. Słuchając relacji o zesłańczej przeszłości, przekonałem się, jak bardzo działalność owych katechetek przyczyniła się do budowania tożsamości nie tyle grupowej, ile jednostkowej – opierającej się na religii[129].

Wędrujący księża

W latach 1940–1941 na teren Syberii, Kazachstanu i Dalekiego Wschodu kolejno deportowano wiele tysięcy Polaków z tzw. Kresów Wschodnich, włączonych w granice Związku Radzieckiego. Z duszpasterską posługą udawali się tam nieraz księża. Ze wspomnień ks. Tadeusza Fedorowicza wiemy, że po tzw. lutowej deportacji (1940) **ks. Włodzimierz Cieński** z parafii pw. św. Marii Magdaleny we Lwowie, **ks. Marian Folcik**, wikary lwowskiego kościoła pw. św. Elżbiety oraz **ks. Tadeusz Fedorowicz poprosili arcybiskupa Bolesława Twardowskiego o zgodę na wyjazd razem z deportowanymi**. Tylko dwaj z nich **zezwolenie takie uzyskali – ks. T. Fedorowicz i ks. M. Folcik**[130]. Wkrótce potem znaleźli się wśród zesłanych, jednak sprawowanie opieki duszpasterskiej nie było łatwe i czynili to w ukryciu, będąc ciągle narażeni na aresztowanie i osadzenie w łagrach. Jak wspominał po latach ks. Fedorowicz, podczas odprawiania nabożeństwa wystawiano wartę lub wymyślano jakiś sposób, by usprawiedliwiać obecność w jednym miejscu kilku osób, które przyszły się wyspowiadać[131].

Wspomnijmy tu, że po zawarciu układu Sikorski–Majski, przewidującego tworzenie armii polskiej na terenie ZSRR pod dowództwem gen. Andersa i tzw. amnestii dla zesłańców z lat 1939–1941, uwięzieni w łagrach księża znaleźli się na wolności. W Kazachstanie kwaterowała formująca się 8. Dywizja Piechoty (Szokpak) i 10. Dywizja Piechoty (Stacja Ługowaja). Duszpasterstwem pierwszej kierował **ks. ppłk Wiktor Judycki**, natomiast druga nie miała jeszcze kapelana. Do posługi kapłańskiej żołnierzom skierowano wówczas paru księży. Do obwodu semipałatyńskiego – **ks. Tadeusza Fedorowicza**, do obwodu kustanajskiego – **ks. Lucjana Łuszczka**, do obwodu aktiubińskiego – **ks. Jana Kapustę**, do obwodu ałmaackiego – **ks. Jana Przybysza**[132]. W tym okresie pracowali także w Kazachstanie **o. Albin Janocha OFM Cap., ks. Adam Wróbel** i inni.

Porozumienie Sikorski–Majski przewidywało też zapewnienie opieki duszpasterskiej dla ludności polskiej deportowanej na teren ZSRR w latach 1940–1941, a w odniesieniu do Kazachstanu określało ono rozlokowanie kapłanów w obwodach: kustanajskim – 3, pawłodarskim – 3, północno-kazachstańskim – 3, akmo-

---

129 G. Pełczyński, *Restauracja kresowa,* Kraków 2011, s. 151–165.

130 Ks. T. Fedorowicz, *Drogi Opatrzności,* Lublin 1991, s. 23.

131 Ibidem, s. 45.

132 A. Hlebowicz, *Kościół w stepie,* [w:] *W stepie dalekim…,* op. cit., s. 74.

lińskim – 3, semipałatyńskim – 3, ałmaackim – 2 i południowo-kazachstańskim – 10[133]. Postanowień tych jednak w pełni nie zrealizowano, wkrótce bowiem po ich zawarciu doszło do ujawnienia zbrodni rozstrzelania oficerów polskich w Katyniu i zerwania wspomnianego układu, a w konsekwencji wyprowadzenia wojska polskiego na Bliski Wschód, a wraz z nim księży – kapelanów. I tu wspomnieć należy, że choć sytuacja porozumienia trwała krótko, to jednak do niektórych kazachskich osad zamieszkiwanych przez Polaków dotarli wówczas nieliczni księża. Przybywali oni do wsi zagubionych w stepie, gdzie przyjmowani byli z serdecznością i zadziwieniem. Trafiali tam nieraz tylko przejazdem, w trakcie wędrówki do miejsc formowania się polskiej armii.

Wpisywał się więc ksiądz w ten stepowy katolicyzm zesłańców, pełniąc wobec nich długo oczekiwaną religijną funkcję służebną, której wyznacznikami były chrzty, spowiedź oraz Msze św., niwelujące w jakimś stopniu wewnętrzne niepokoje ludzi zagrożonych brakiem religijnej swobody, żyjących ciągłą nadzieją powrotu do kraju. Taką mieszankę emocji obrazuje jakże wymowna relacja jednego z zesłańców:

> Pewnego popołudnia, kiedy wszyscy Polacy byli w pracy, przyszła do mnie staruszka i powiedziała: *„Wasz polskij świaszczennik prosit cztoby priszoł Polak”*. Ogarnęło mnie zdziwienie. Bo kim może być ten *„świaszczennik”*? A po drugie nie mogłem chodzić. O kulach, ledwie przemieszczałem się po izbie. Po przetrwaniu zimy w baraku, o ścianach pokrytych lodem, zachorowałem na stawy, albo na reumatyzm, nikt tego wtedy nie badał. Wziąłem jednak swój kij, którym podpierałem pierś. Robiłem „krok” kijem, a następnie dociągałem nogi. Tak doszedłem na drugą stronę drogi, gdzie mieszkała wspomniana staruszka, u której, jak się potem okazało, wyznaczono kwaterę, na czas pobytu w tej miejscowości, polskiemu księdzu. Stanąłem przed obliczem oficera w angielskim mundurze, ale miał koloratkę. Nie było więc wątpliwości, że był to polski kapłan. Do tego mówił do mnie po polsku: „Trzeba koniecznie zawiadomić Polaków, aby wcześniej zakończyli pracę i przyszli na Mszę św. dziś wieczorem”. Nie tłumaczyłem się, że nie dojdę tam, bo daleko, że muszę przejść po kładce przez szeroką rzekę. Po prostu, byłem przekonany o tym, że jest to zadanie ponad moje możliwości. Stałem jak zaklęty. Brakowało mi słów, aby cokolwiek powiedzieć. Nie byłem w stanie odmówić. I ruszyłem w drogę. Najpierw „krok” kołkiem opartym o pierś, potem noga za nogą. Tak doszedłem do rzeczki. I co teraz? Chwila zadumy i wreszcie decyzja.
> Odrzuciłem ten kostur od siebie, tak, jakby to on był przyczyną mojego kalectwa, a nie silne bóle stawów. I przeszedłem rzekę po kładce, tak jakbym nigdy nie miał problemów z chodzeniem. Z pozycji dnia dzisiejszego trudno pojąć, co sprawiło, że od tej pory do dziś chodzę normalnie, tak jak każdy zdrowy człowiek. Jakże wielkie było zdumienie mojej mamy, widząc mnie obok siebie, całkowicie sprawnego. Mimo wielkich obaw i przeszkód natury zdrowotnej, ale przy pomocy Bożej, wywiązałem się z powierzonego mi zadania. Wszyscy Polacy przybyli na wieczor-

[133] S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w latach 1940–1946. Zesłańcy lat wojny,* Wrocław 1996, s. 250.

ną Mszę św. Nie zabrakło też Rosjan. Następnego dnia rozpoczęły się normalne, kilkudniowe rekolekcje. Dzieci w dzień, dorośli po pracy. Rekolekcje zakończyły się spowiedzią i komunią świętą. A był to niezapomniany dzień 13 października 1942 roku. Rekolekcje prowadził i komunii udzielał ks. Tadeusz Fedorowicz w miejscowości Karaganda-Kul w Kazachstanie. Łzy mi się cisną do oczu, kiedy wspominam tamte czasy i tamte wydarzenia[134].

Po opuszczeniu armii polskiej formowanej w ZSRR po układzie Sikorski–Majski ks. Fedorowicz pozostał w Kazachstanie, gdzie przebywali „zesłańcy lat wojny" oraz ich rodacy wywiezieni tam w 1936 roku z rejonu Żytomierza i Winnicy, tzw. Marchlewszczyzny. Przebywający wówczas w Kazachstanie polscy kapłani, **wędrujący księża,** byli zatrzymywani przez milicję. Ludziom udzielającym im pomocy starano się uprzykrzać życie, nakładając mandaty, konfiskując „święte obrazy", strasząc pozbawieniem pracy, odebraniem kartek na chleb, skazując na areszt itp.

Duszpasterskie odwiedziny oczywiście rodziły negatywne stanowisko miejscowych władz radzieckich, nieprzyjaznych takim działaniom. Uciekano się więc do różnych sposobów omijania ich zastrzeżeń. Częstokroć pod pretekstem zapewnienia opieki rodzinom żołnierzy księża–kapelani wyjeżdżali do odległych miejscowości, co dawało możliwość mieszkającym tam Polakom ochrzczenia dzieci, przystąpienia ich do Pierwszej Komunii Świętej, wyspowiadania się, zawarcia małżeństw czy poświęcenia grobu. Wspomniane rodzaje duszpasterskiego daru wpisują się wyraźnie w podtrzymanie poczucia tożsamości narodowej i jej trwałości, zwłaszcza wśród zesłanych Polaków, już w 1936 roku.

Wyłaniający się z zesłańczych wspomnień przebieg duszpasterskich wędrówek jest zawsze otoczony wielkim szacunkiem wobec tych misyjnych podróży, podziwem dla znoszenia ich uciążliwości i wdzięcznością za spotkanie z rodakami. Są to ze względu na wielość kontekstów, w jakich były wypowiadane czy zapisane, jedne z najbardziej wzruszających relacji potwierdzających, że niespodziewane pojawienie się księdza w kołchozowym posiołku było fundamentem przetrwania i nadziei powrotu z zesłania. Zachowania te były funkcją wiary i patriotyzmu, które dawały zesłańcom siłę do znoszenia zesłańczego trudu, a z każdym przybyciem duszpasterza ubogacały ich życie na długie miesiące. Jakże wymownie ilustruje to opis nabożeństwa w jednej ze stepowych osad w Kazachstanie:

To co zobaczyliśmy, rzuciło nas od razu na kolana. Ołtarz zbudowany na stepie przez Polaków. Pięknie umajony polnymi kwiatami i… biel. W promieniach słońca biel płótna, którym udekorowany był ołtarz, i kwiaty lśniły z daleka, a jednocześnie było to dla nas miejsce święte. Wyszedł ksiądz, Polak, w prawdziwym ornacie, stanął na podwyższeniu ołtarza, rozłożył ręce i w tym momencie nad stepem popłynął jeden szloch. Ludzie nie wytrzymali nerwowo, zbyt dużo tu przeżyli, zbyt długo czekali na tę chwilę, gdy będą mogli być tak blisko polskiego księdza. A przybyło tu bardzo dużo Polaków, ściągnęli tutaj ze wszystkich zakątków Kazachstanu.

[134] Relacja w zbiorach autora.

Nieraz szli dwa, do trzech dni, chcieli tu być, chcieli pomodlić się i wyspowiadać oraz przyjąć Komunię Świętą. Był to uroczysty dzień dla Polaków, a jednocześnie wzruszający. Niektórzy przez całą mszę leżeli krzyżem na trawie przed ołtarzem. Wszyscy głośno powtarzali za księdzem słowa modlitwy, prosili pana Boga o pomoc, o udzielenie łaski powrotu do kraju. Ksiądz wygłosił na stepie do polskich kobiet, dzieci i starców, tych, którzy jeszcze przeżyli, wzruszające kazanie. Mówił o umęczeniu polskiego narodu, sięgnął do dziejów naszej historii, wskazał na to, że Polacy nigdy nie utracili wiary, pomimo trudnych w wielu przypadkach losów naszej Ojczyzny. Zawsze szli z Bogiem przeciw różnym najeźdźcom. Najwspanialszym momentem tej uroczystości był… śpiew, śpiew pieśni kościelnych tysięcy ludzi. Śpiewali na stepie, wydawało się, że śpiewa cała ludzkość na globie ziemskim:

Matko Najświętsza, do serca twego
Mieczem boleści wskroś przeszytego
Wołajmy wszyscy z jękiem, ze łzami…,
Matko Najświętsza, módl się za nami…

Słowa tej pieśni rozchodziły się po całym stepie, ludzie płakali ze wzruszenia, każdemu ściekały łzy po policzkach, przy czym ściskali się, życzyli sobie szybkiego powrotu do Polski[135].

Należy w tym miejscu zaznaczyć, że obraz posługi duszpasterskiej sprawowanej przez księży-kapelanów zawarty w różnych relacjach zesłańczych ma swoje pozytywne konotacje i częstokroć jawi się jako wyraz trwałej i niezmiennej wiary w opiekę władz polskich nad zesłańcami. Działalność ta stanowiła ważny moment komunikacji duchowej między zesłanymi a opiekującymi się nimi księżmi. A o ogromnej potrzebie społecznej, jaką zaspokajała ta wędrowna działalność księży, świadczą liczne informacje w zesłańczych wspomnieniach.

Takie samo odczucie można wyczytać w liście do dziekana Duszpasterstwa Polskiego w ZSRR ks. Włodzimierza Cieńskiego, w którym **ks. Łuszczek** zawarł wrażenia z odwiedzin w osadach obwodu kustanajskiego:

Objazd mój mogę nazwać śmiało triumfem wiary i polskości. Z jakim szczęściem, wprost z entuzjazmem, przyjmowano wszędzie Kapłana polskiego, tego opisać się nie da […]. Nabożeństwa urządzane dla Polaków ściągają również dziesiątki ruskich, którzy czuli się wprost uszczęśliwieni, że mogą po tylu latach spełnić swoje pragnienie, przystąpić do Sakramentów św., ochrzcić dzieci…, oczywiście odbywało się to w ogonku. Nawet ludzie zdawałoby się niewierzący odnajdywali często w tych dniach swoją wiarę. Drzemie ta wiara w głębinach duszy rosyjskiej i czeka tylko na iskrę, na wyzwolenie. W czasie mego objazdu przejeżdżałem do posiołka składającego się z samych prawie Niemców. Żyje tam kilka rodzin polskich. Niemcy katolicy przyjęli mnie nadzwyczaj serdecznie […] Byłem tam pięć

[135] R. Gaik, *Ufaj, że wrócę,* Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu, sygn. 30/s, II, s. 323 (rękopis).

dni. Niemcy, ale zwłaszcza Niemki, brały udział we wszystkich nabożeństwach.[…] Patrząc na ich wiarę żywą, świeżą, zdawało mi się, że przeżywam pierwsze wieki chrześcijaństwa i życie pierwszych chrześcijan. Po 12 latach braku kapłana wśród nich, braku wszelkiej pociechy religijnej, przecież ci ludzie zachowali podziwu godną wiarę i tradycje swoje[136].

Po wyprowadzeniu polskiego wojska z ZSRR na Bliski Wschód, a wraz z nim i księży-kapelanów, jedynie trzej z nich **pozostali w Kazachstanie, by służyć zesłańcom – ks. Tadeusz Fedorowicz, ks. Ryszard Grabski** i **o. Albin Janocha**.

Ks. Fedorowicz zamieszkał we wsi Bukoń Wielka w obwodzie semipałatyńskim i w 1943 roku został aresztowany. Po zwolnieniu powołano go do wojska i był kapelanem IV Dywizji Wojska Polskiego formującej się w Sumach na Ukrainie, z którą żołnierskim szlakiem przybył do Polski.

O. Janocha również niedługo cieszył się wolnością, pełniąc posługę duszpasterską w Turkiestanie, jednym z najstarszych miast południowego Kazachstanu w obwodzie czymkenckim, o której pisał po latach:

O. Albin Janocha na fot. z 1961 roku, 6 lat po przyjeździe do Polski z Kazachstanu

Praca moja nie ograniczała się tylko do Polaków w Turkiestanie, ale wyjeżdżałem również do większych i bardziej odległych skupisk. Odbyłem także dwie podróże duszpasterskie do sąsiednich rejonów. W jednym – niestety nie pamiętam jego nazwy – pozostałem około dwu tygodni, w drugim spędziłem Boże Narodzenie i pozostałem więcej niż miesiąc. I tam oprócz pracy w centrum rejonu wyjeżdżałem do kołchozów, gdzie było więcej Polaków. W większości wypadków dzieci były już przygotowane, a ja tylko sprawdzałem ich wiadomości i dopuszczałem do spowiedzi i Komunii św. Zasadniczo ludzie mogli się gromadzić tylko w niedziele. Miejscowi spowiadali się w sobotę wieczorem, a w niedzielę rano ściągali ludzie z okolic i spowiedź trwała kilka godzin, potem Msza św., kazanie, czasem chrzty, śluby i rozmowy z rodakami.

Gdy podczas Mszy św. widziałem rozmodlone twarze, gdy podczas kazania

[136] List z dnia 13 marca 1942 roku, zachowany w Archiwum Sikorskiego w Londynie, cytowany za: A. Hlebowicz, op. cit., s. 75–76.

widziałem wpatrzone we mnie oczy i wzruszenie na twarzach, to utwierdziłem się w przekonaniu, że jestem tutaj potrzebny, że nie mogę tych ludzi opuścić tylko dlatego, że gdzie indziej byłbym może bezpieczniejszy. Pamiętałem również o prośbie ks. bpa Gawliny[137] i o mojej obietnicy, że pozostanę tak długo, jak będzie możliwe. A gdy później mnie aresztowano i znalazłem się w więzieniu i obozie, gdy zaczęła się udręka, wycieńczająca praca, towarzystwo złodziei i różnych szumowin, gdy musiałem słuchać różnych przekleństw – przypominałem sobie te rozmodlone twarze promieniujące radością, przypominałem sobie to chwilowe szczęście, jakie ludzie przeżywali ze zjawieniem się kapłana, i nie żałowałem nigdy tego, że pozostałem na swoim stanowisku, na które powołały mnie – potrzeba ludu przywiązanego do wiary katolickiej, życzenie ks. bpa Gawliny i moje kapłańskie sumienie. Wspomnienie tych chwil było dla mnie zawsze pociechą i pokrzepieniem.

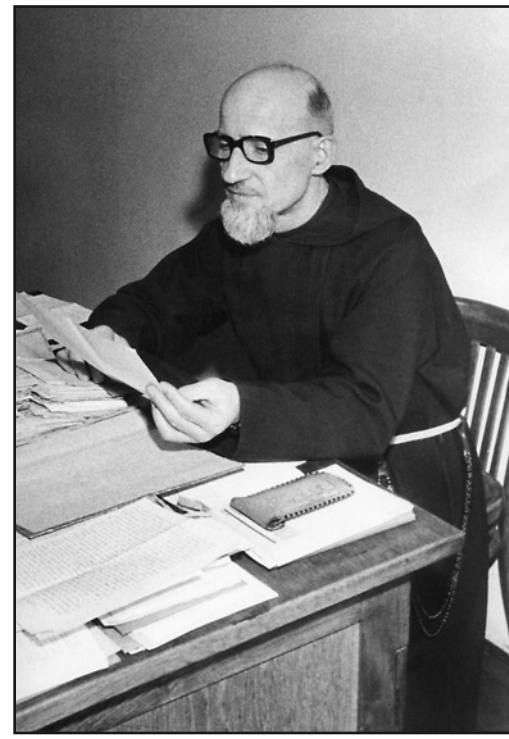

O. Albin Janocha na fot. z 1978 roku

Podróże po tych okolicach odbywano w różny sposób, a więc naśladując Adama i Ewę, czyli pieszo, albo różnymi środkami lokomocji. Do jazdy wierzchem mógł służyć wielbłąd, osioł, czyli iszak, albo rzadziej koń. Można było również skorzystać z samochodu ciężarowego albo z *arby*, czyli wysokiego dwukołowego wozu ciągnionego przez konia lub osła. Jazdy wierzchem unikałem, bo nie byłem do niej przyzwyczajony, chociaż raz dałem się namówić. Zresztą i wielbłądy, pomimo, że wysokie i podczas jazdy wyglądające majestatycznie, budziły we mnie współczucie, bo były chude, a ich garby, w których gromadzi się tłuszcz, zwisały jak puste worki. Osły też, gdyż małe te stworzenia, tak niskie, że jeździec niemal nogami dostawał do ziemi, były bardzo pracowite, ale równocześnie źle odżywiane i wykorzystywane. Podróżowałem więc albo *arbą*, albo samochodem. Zresztą o środek lokomocji starali się Polacy[138].

---

137 Józef Feliks Gawlina (1892–1964), „biskup tułacz” – generał dywizji, biskup polowy Wojska Polskiego. Po wojnie na obczyźnie, zmarł w Rzymie.

138 O. A. Janocha OFM Cap, *Pod opieką Matki Bożej. Wspomnienia Sybiraka 1939–1956,* Wrocław 1993, s. 88–90.

Pogłos o tych wędrujących kapłanach, którzy pojawili się w Kazachstanie w okresie formowania się armii polskiej pod dowództwem gen. Andersa, często pojawiał się we wspomnieniach Polaków zesłanych do Kazachstanu w 1936 roku z terenu tzw. zazbruczańskiej Ukrainy, których potomkowie mieszkają do dzisiaj w tym stepowym kraju. Spotykałem ich podczas pobytu w Kazachstanie, a niektórzy z nich mówili, że zostali ochrzczeni przez „polskiego wojskowego księdza". Wspominali pobyty w ich wioskach tych księży-kapelanów, którzy mieli dla nich wiele życzliwości i bywało, że dzielili się wojskowymi racjami żywnościowymi, zostawiali „święte obrazki", udzielali chrztów, idąc ku nim z przysłowiowym „sercem na dłoni". Ta serdeczność zachowań przewijała się wielokrotnie w relacjach moich rozmówców, zesłańców z 1936 roku, którym nie pozwolono po wojnie powrócić do Polski, byli bowiem przed 1939 rokiem obywatelami Związku Radzieckiego, mieszkającymi przed zesłaniem na terenie Ukrainy radzieckiej. Mieszkają tam do dzisiaj, ponieważ Macierz nie zdołała jak do tej pory podjąć skutecznych działań, aby mogli powrócić do kraju swoich przodków.

Kościół w stepie po wojnie

Po zakończeniu wojny Polacy z tzw. Kresów Wschodnich RP, które na mocy porozumienia niemiecko-sowieckiego Ribbentrop-Mołotow znalazły się po 17 września 1939 roku w granicach ZSRR, zesłani w latach 1940–1941 do Kazachstanu powrócili w zasadzie do Polski. Jednak w relacjach moich rozmówców, których spotykałem w Kazachstanie, często pojawiał się problem braku możliwości powrotu do Ojczyzny.

Zesłańcy ci ateizowani i karani za wiarę, nie poddawali się jednak wielorakim propagandowym działaniom oraz szykanom, i tu trzeba zaznaczyć, że były to najczęściej kobiety.

Jeśli wziąć pod uwagę wielką determinację wspomnianych już *babuszek* w działaniach na rzecz zapewnienia rodakom możliwości zbiorowego pomodlenia się, udzielenia „chrztu z wody" czy nawet wspólnej modlitwy nad grobem, to jeśli nawet tego rodzaju praktyki były nieliczne, to jednak stanowiły wyraźny dowód istnienia **„Kościoła w stepie"**. Restrykcje te trochę zelżały po śmierci „ojca narodów", ale i potem nie było łatwo, chociaż w latach 60. i 70. XX wieku wydawano sporadyczne zezwolenia na rejestrację wspólnot wyznaniowych i budowę domów modlitwy.

Kazachstan, druga pod względem wielkości co do obszaru republika ZSRR, nie posiadał wówczas żadnej zorganizowanej struktury dotyczącej życia religijnego katolików. Był to rozległy kraj łagrów, takich jak Karaganda, Dżezkazgan, Czurubaj Nura, Rudnik, oraz poligonów, gdzie dokonywano prób broni atomowej.

Nie można wreszcie pominąć tu jeszcze jednego ważnego zjawiska odnoszącego się do „Kościoła w stepie". Po drugiej wojnie światowej wielu księży z Białorusi, Litwy, Łotwy i Ukrainy zesłano do łagrów. Niektórzy z nich trafili do Kazachstanu, inni znaleźli się w łagrach Workuty, Norylska czy Kołymy.

Ks. Władysław Bukowiński – apostoł Kazachstanu

Był wśród nich **ks. Władysław Bukowiński** (1904–1974), absolwent Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego (1931). Przez pewien czas pracował jako katecheta i nauczyciel historii w Rabce, a potem był wikariuszem w parafii Sucha Beskidzka. Od 1936 roku wykładał w Wyższym Seminarium Duchownym w Łucku. Od jesieni 1939 roku, będąc proboszczem parafii łuckiej, pomagał uciekinierom z Polski i żołnierzom rozproszonych oddziałów, opiekował się rodzinami wywiezionych na Syberię, prowadził działalność charytatywną, a w kontaktach z parafianami starał się podtrzymywać ich na duchu, częstokroć chroniąc też przed sowieckim okupantem. Mimo zagrożenia aresztowaniem ks. Bukowiński rozpoczął katechizację dzieci.

Był wśród nich (wraz z siostrą) znajomy mi prof. Zbigniew Wójcik, geolog i historyk nauki, który wspominał po latach, że uroczysta Pierwsza Komunia Święta odbyła się w maju 1940 roku, a już w sierpniu ks. Bukowiński został aresztowany przez NKWD.

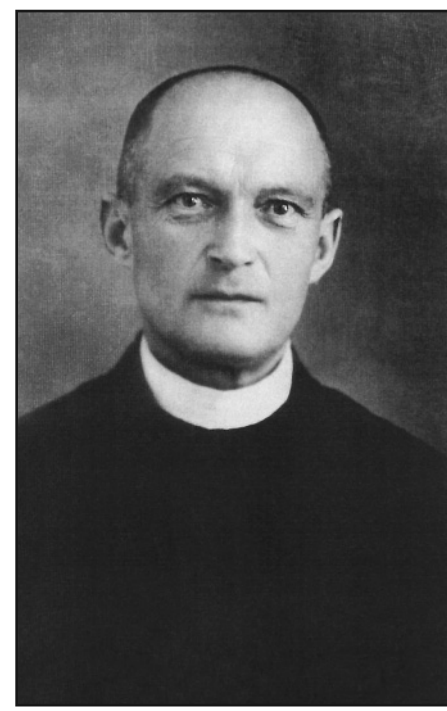

Ks. Władysław Bukowiński

Boleśnie odczuliśmy fakt aresztowania proboszcza ks. W. Bukowińskiego – wspominał po latach profesor. Starsi nie zapominali, że był więziony w łuckim więzieniu, w pobliżu katedry, w dawnych zabudowaniach klasztornych. Wiedzieliśmy, że cudem ocalał z pogromu, jaki więźniom urządzili strażnicy sowieccy, ustępując z Łucka. Rozstrzelanych wtedy polano benzyną i podpalono. Ciała zidentyfikowanych i nierozpoznanych odprowadzał do grobów ks. W. Bukowiński. Na twarzy jego widać było powagę człowieka, który – bodaj jako jedyny – przeżył tragedię współwięźniów. […] W czasie okupacji niemieckiej nie był nadmiernie ograniczany w posłudze. Na msze niedzielne czy podczas świąt, chodziliśmy normalnie. […] Również po latach uświadomiłem sobie, że wspierał wszelkimi sposobami Żydów z getta w czasie okupacji niemieckiej. W kościele wypisywano metryki. Ks. Bukowiński organizował pomoc zarówno dla Żydów, jak i więzionych w Łucku jeńców radzieckich, morzonych głodem. Domyślam się, że moja Mama, która okresowo pracowała w szpitalu dla jeńców sowieckich, mieszczącym się na terenie getta, musiała być z Nim w kontakcie, bo często przynosiła różne rzeczy, których nie mieliśmy w domu. Dzieci nie były dopuszczane do tych tajemnic, choć jedna dziewczynka Żydówka

przez pewien czas przechowywana była u nas w domu i mieliśmy świadomość, że jest to akcja ratunkowa. To były świadome działania starszych i uczestniczyli w nich nasi księża.
Wojska sowieckie zajęły ponownie Łuck w lutym 1944 roku. Ks. W. Bukowiński natychmiast przystąpił do usuwania zniszczeń w kościele powstałych w czerwcu 1941 roku. Na wiosnę 1944 roku byliśmy na uroczystościach Pierwszej Komunii Świętej młodszych naszych kolegów – tym razem już ostatniej pod przewodnictwem kochanego przez nas proboszcza. Następnych już nie doczekaliśmy. Księdza W. Bukowińskiego oraz dwóch innych księży bp. Adolfa Piotra Szelążka i kanonika Karola Gałęzowskiego aresztowano w nocy z 3 na 4 stycznia 1945 roku. Po 18-dniowym śledztwie 22 stycznia wywieziono ich do więzienia w Kijowie. Później trzymano ich w łagrach. Wypada jeszcze nadmienić, że po aresztowaniu księży w Łucku opustoszał kościół katedralny, z czasem zamieniony na magazyn. Obraz z głównego ołtarza Matki Bożej Wędrującej został jednak uratowany i przewieziony do jednego z klasztorów żeńskich w Lublinie, gdzie przetrwał lata komuny[139].

Księdza W. Bukowińskiego skazano wyrokiem zaocznym wydanym w Moskwie na 10 lat pozbawienia wolności za zdradę interesów narodowych ZSRR, której nigdy mu nie udowodniono! Pierwsze cztery lata przebywał w łagrach w obwodzie czelabińskim, skąd w 1950 roku przeniesiono go do Dżezkazganu w Kazachstanie, gdzie przez 12 godzin na dobę pracował w kopalni miedzi.

Łagrowe warunki były niezmiernie ciężkie, chorował na zapalenie płuc, jednak mimo grożących dodatkowych kar za sprawowanie opieki duszpasterskiej wśród łagierników udzielał sakramentów świętych, m.in. spowiadał i umacniał więźniów w wierze. Został zwolniony z łagru w Dżezkazganie w 1954 roku na mocy wyroku administracyjnego. Nakazano mu pozostać trzy lata w Karagandzie, gdzie pracował jako stróż nocny. Rozpoczął wówczas pracę duszpasterską w tym kraju, i mimo że nie upłynął wspomniany trzyletni okres nakazujący mu pozostanie w Kazachstanie, przyjął w 1955 roku obywatelstwo radzieckie, by móc oficjalnie tu pozostać! To stworzyło mu lepsze warunki do pracy misyjnej. Często wyjeżdżał poza Karagandę, docierał do stepowych osad, gdzie mieszkali katolicy, przeważnie Polacy i Niemcy. Dotarł nawet do Tadżykistanu, gdzie była liczna niemiecka diaspora.

Najczęściej jednak przebywał wśród polskich zesłańców osiedlonych tu w 1936 roku w ramach akcji depolonizującej tzw. zazbruczańską Ukrainę. Wyjeżdżał na wyprawy misyjne w okolice Aktiubińska, Semipałatyńska, Ałmaty, gdzie mieszkali Polacy. Odprawiał Msze św., najczęściej wczesnym rankiem lub wieczorem, zakładał kaplice w domach prywatnych, uczestniczył w pogrzebach, chrzcił dzieci i dorosłych, udzielał ślubów.

---

139 A. Kuczyński, *Laudacja Zbigniewa Wójcika. Laureata Nagrody Specjalnej „Przeglądu Wschodniego 2008,* „Przegląd Wschodni" 2011, t. XI, z. 4, s. 680–681. Zob. też: Z. Wójcik, recenzja książki: *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół. Część 2.* Zebrał i opracował ks. Witold Józef Kowalów, Biały Dunajec–Ostróg 2006, „Zesłaniec" 2008, z. 36, s. 99–101.

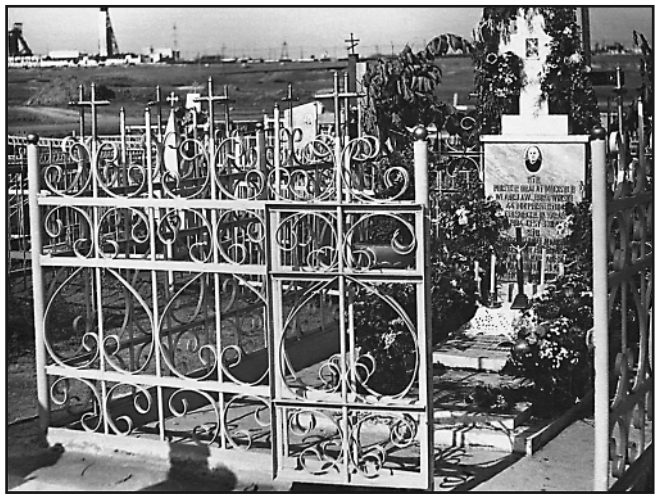

Pierwszy grób ks. Władysława Bukowińskiego w Karagandzie

To wszystko nie podobało się władzom. W grudniu 1958 roku został ponownie aresztowany i skazany na trzy lata pozbawienia wolności. Przebywał w miejscowości Czuma, w obwodzie irkuckim, a potem w obozie pracy dla *„religioźników”* w Sosnówce na wschód od Moskwy, w którym więziono duchownych prawosławnych, księży katolickich i grekokatolickich oraz duchownych muzułmańskich. Po odbyciu kary przybył ponownie do Karagandy, gdzie do chwili śmierci w 1974 roku sprawował posługę duszpasterską. Tam też znajduje się jego grób.

Przez cały okres misyjnej posługi wszystkie podejmowane przez niego działania duszpasterskie przeniknięte były maksymalizmem i stanowiły dopełnienie osobowości stale wychylającej się ku potrzebom wiernych, będące, rzec można, „wiecznym czuwaniem”, o którym pisał:

> Przychodzę po południu lub wieczorem. Przede wszystkim urządzam ołtarz. Jest nim zwyczajny stół, byleby tylko mocno stał i nie chwiał się. Stół przykrywa się białym obrusem. Na stół kładzie się duże pudełko lub dwie grube książki, przykrywa białą chustką i stawia krucyfiks. Świece stawia się na lichtarzach lub, jak ich nie ma – w szklance z solą. Powyżej zawiesza się jeden lub dwa obrazy i ołtarz gotów. Następnie spowiadam. Mszę św. odprawiam o godzinie 9 wieczorem. Po Mszy św. zwykle jeszcze spowiedź. Wreszcie krótki spoczynek nocny. Krótki, bo kładę się zwykle po północy, a już o 5 lub 6 rano jest poranna Msza św., potem dalej spowiedź, czasami chrzty i namaszczenia olejami świętymi, czasami śluby. Najczęściej pierwszą mszę odprawiam za żywych członków rodziny gospodarzy, a drugą za zmarłych. Cała rodzina spowiada się i zwykle dwa razy – wieczorem i rano przyjmuje komunię św. Jakie ma to znaczenie dla życia rodzinnego, tym więcej, że nie ma tam kościółka, każdy łatwo zrozumie. Ponieważ to powtarza się wciąż w różnych domach i rodzinach, więc sypiam częściej w cudzych łóżkach niż w swoim własnym[140].

[140] W. Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu,* Gdańsk 1989, s. 50.

W jego myśleniu i działalności katechizacyjnej stale obecne były motywy powiązane z kreowaniem wspólnoty duchowej wiernych, których spotykał na kazachstańskim misyjnym szlaku, dlatego **nazywany jest apostołem Kazachstanu, a jego proces beatyfikacyjny jest już na etapie rzymskim**. Z tego okresu jego działalności istnieje wiele świadectw wiary, której wyznawanie i przyznawanie się do niej wymagało od niego wówczas wielkiej odwagi.

Ks. Józef Kuczyński, ks. Bronisław Drzepecki i o. Serafin Kaszuba

Taka sama odwaga charakteryzowała działalność duszpasterską **ks. Józefa Kuczyńskiego**. Pamięć o nim trwa do dzisiaj wśród naszych rodaków w Kazachstanie. Tak wspominała go po latach Maria Kuberska:

Trzej przyjaciele ks. Józef Kuczyński, ks. Bronisław Drzepecki, ks. Władysław Bukowiński

W 1956 r. do Taińczy, około sześćdziesięciu kilometrów od naszej wsi Zielony Gaj, przyjechał z więzienia ksiądz Józef Kuczyński. Jeden wierzący człowiek o nazwisku Czarny oddał swój dom, przeznaczając go na kaplicę, w której były odprawiane nabożeństwa. W tym czasie do województwa celinogradzkiego, też do wsi Zielony Gaj, przyjechał z więzienia ksiądz Bronisław Drzepecki, ponadto do Karagandy przyjechał, również zwolniony z więzienia, ksiądz Władysław Bukowiński. Był to czas małej odwilży po śmierci Stalina. Najlepiej znaliśmy księdza Józefa Kuczyńskiego, który mieszkał w naszym województwie. To był bardzo dobry ksiądz, zjeżdżali się do niego ludzie z obwodów kokczetawskiego i pietropawłowskiego. Chcąc spotkać się z księdzem szli pieszo pięćdziesiąt kilometrów. On chrzcił, spowiadał i udzielał ślubów. Co tydzień wzywano księdza do władz, nakazywano, aby przestał pracować. Karano go grzywną, a karę pieniężną trzeba było zapłacić. Ludzie starali się zebrać odpowiednią ilość pieniędzy. Później w gazetach pisano nieprawdę. Ludzie wierzący napisali list protestacyjny z podpisami, chcieli bronić księdza, lecz on nie pozwolił wysłać tego do gazety. Mówił, że Pan Jezus cierpiał i nam też trzeba cierpieć. Ósmego grudnia 1958 roku, przyjechała milicja

i aresztowała księdza Kuczyńskiego. I znowu skazali go na dziesięć lat więzienia. W tym czasie aresztowano także księży Drzepeckiego i Bukowińskiego i tak samo skazano na dziesięć lat więzienia. Po długich staraniach ze strony wiernych księdzu Kuczyńskiemu zmniejszono karę z dziesięciu na siedem lat. W sumie ksiądz Józef Kuczyński za wiarę w Boga i za kapłaństwo siedział siedemnaście lat w więzieniu. Gdy zabierali księdza Kuczyńskiego, ludzie płakali, lamentowali, a dwadzieścia osób położyło się na drodze pod samochód, nie dając przejechać. Inni ciągnęli do tyłu auto. Ksiądz musiał wyjść z samochodu i prosić ludzi, żeby odstąpili, dali wolny przejazd, bo jemu będzie gorzej. Wtedy ludzie odeszli od samochodu. Po uwięzieniu księdza naszą kaplicę obrabowali i wszystko zniszczyli, a potem dali ją jednemu komuniście, który urządził tam sobie mieszkanie.

Dwa razy jeździłam do Moskwy do Chruszczowa, woziłam podpisy wierzących, pisałam prośbę o zwolnienie księdza. Jeździłam do Ałma-Aty i do Kokczetawu niezliczoną ilość razy, pisałam różne prośby, udowadniałam im, że jesteśmy ludźmi wierzącymi, wierzyliśmy w Boga, wierzymy i nadal będziemy wierzyć. Chociaż zabrali nam księdza, o naszej wierze świadczą groby na naszych cmentarzach – są z krzyżami, to jest nasza wiara w Boga. Przez pół roku walczyłam o uwolnienie księdza. Po wyjściu z więzienia ksiądz Kuczyński pojechał na Ukrainę do obwodu winnickiego.

W latach 1959–1965 był u nas **ksiądz Kaszuba**. W 1963 roku w listopadzie przyjechał do naszej wsi Zielony Gaj, do mego domu, w którym spowiadał wierzących, chrzcił dzieci, udzielał ślubów. Wszystko to czynił w wielkiej konspiracji, dlatego też najczęściej pracował w nocy. Wśród nas mieszkali ludzie niewierzący, którzy starali się wyśledzić, gdzie zbieramy się na modlitwę. Kiedy przyjechał do nas ksiądz Kaszuba, szli do miejscowej władzy i mówili, u kogo ksiądz się zatrzymał. Pracowałam w gminie jako kasjerka.

Pewnego razu przywieźli księdza do Skulbaszewskiego. Jeden człowiek niewierzący wieczorem zbuntował tam ludzi, a na drugi dzień przyszedł do gminy, do prezesa i mówi: „U Skulbaszewskiego jest ksiądz, idźcie i zabierzcie go”. Zaraz tylko gdy usłyszałam te słowa, poprosiłam prezesa, żeby pozwolił mi iść do sklepu, aby coś kupić i pobiegłam do Skulbaszewskiego ostrzec ich. Natychmiast ukryli księdza i niewierzacy go nie znaleźli.

W Święta Wielkanocne ludzie zbierali się po domach-ziemiankach. Na rezurekcje gromadzili się wieczorem w czterech domach, bo w jednym się nie mieścili. Wieczorem odmawialiśmy Różaniec i Koronkę do Miłosierdzia Bożego, Litanię do Matki Boskiej, rozważaliśmy Mękę Pańską, czytaliśmy modlitwy mszalne, śpiewaliśmy pieśni wielkopostne do trzeciej godziny nad ranem. Potem śpiewaliśmy przez trzy godziny *Twoje święte zmartwychwstanie* i *Wesoły nam dziś dzień nastał*. Następnie ludzie rozchodzili się cichutko do domów. Tak samo zbierali się i modlili na święta Bożego Narodzenia. I zawsze robili to po cichutku, tak aby nikt z władz się nie dowiedział. Święto Zmarłych obchodziliśmy trzy razy do roku. Jeden raz na świętego Marka, to jest 25 kwietnia, drugi – w drugi dzień Wielkanocy i trzeci – 2 listopada. Ludzie szli na cmentarz, gdzie stała święta figura i przed nią ławki do

siedzenia. Zbierali się i modlili. Kto kochał swoich zmarłych, starał się o porządek na grobach.
Wiele mogłabym opowiadać, bo miałam trzynaście lat, kiedy przyjechałam do Kazachstanu. Wszystko widziałam, przeżywałam i pamiętam. Zawsze walczyłam o odrodzenie języka polskiego, o polskość. Wielu krzywd doznałam, ale o tym nie chcę mówić[141].

Grób grekokatolickiego księdza Aleksandra Chiry w Karagandzie

Najbardziej znanymi kapłanami krążącymi wówczas po Kazachstanie, poza **ks. Władysławem Bukowińskim** i **ks. Józefem Kuczyńskim**, byli **ks. Bronisław Drzepecki**, **o. Serafin Kaszuba** i **o. Odoryk Aleksander Beń** (który później osiadł w Kazachstanie) oraz **ksiądz grekokatolicki Aleksander Chira**. Przebywali tam również księża z Litwy i Łotwy wpisujący się w dzieje stepowego Kościoła w latach jego zniewolenia przez władzę sowiecką. Podobnie jak polscy duszpasterze także i oni, nie bacząc na zagrożenia, pełnili duszpasterską posługę, stanowiącą źródło i siłę wiary, która pozwoliła na trwanie Kościoła wśród wieloetnicznej ludności Kazachstanu.

Ks. B. Drzepecki był absolwentem seminarium duchowego w Łucku, potem studiował w Rzymie (1933–1937), uzyskując doktorat z teologii. Podczas wojny pracował na Wołyniu, a od 1944 roku za zgodą **biskupa Adolfa Szelążka** przeniósł się na teren diecezji żytomierskiej, gdzie od lat 30. XX wieku nie było księży. Aresztowany przez NKWD w styczniu 1945 roku, prawie 10 lat przebywał w różnych więzieniach/łagrach. Uwolniony w grudniu 1954 roku, pozostał w Kazachstanie, gdzie z wielkim zaangażowaniem poświęcił się nielegalnej pracy duszpasterskiej. Za jej prowadzenie został ponownie aresztowany i kolejne pięć lat spędził w łagrach. Gdy po wyjściu na wolność (1964) przyjechał do Akmolińska (dzisiaj Akmoła) z zamiarem osiedlenia się, nie uzyskał potrzebnej na to zgody władz administracyjnych. W następnych latach był proboszczem parafii Szarogród na Podolu, gdzie zmarł nagle w 1973 roku[142].

Zesłańczy los spotkał także **o. Serafina Kaszubę**, absolwenta seminarium zakonnego oo. kapucynów w Krakowie, a potem studenta (1932–1936) Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie uzyskał dyplom magistra filozofii. Podczas drugiej wojny światowej oraz krótko w okresie powojennym był duszpasterzem na Wołyniu. Był tam świadkiem okrutnych ukraińskich eksterminacji polskiej ludności. Wszystko to rodziło niepewność co do przeżycia kolejnego dnia, powszechnym

141 Relacja Marii Kuberskiej, [w:] H. Wiśniewska, *Ścięte korzenie,* Lublin 2013, s. 88–90.

142 H. Hellonowa, *Nie uroniłem godności,* „W drodze" 1989, nr 2, s. 60–69.

zatem stało się opuszczanie tych stron przez liczne grupy Polaków. A potem dane mu było doświadczyć znacznych trudności ze strony władz sowieckich w sprawowaniu posług religijnych. Był świadkiem aresztowań księży, likwidacji religii w szkołach, zamykania kościołów itp. Wobec tych trudności wyjechał jesienią 1961 roku do Kazachstanu, gdzie prowadził wędrowną pracę duszpasterską, przerywaną aresztowaniami. Tę pasterską posługę rozpoczął na stacji kolejowej w miejscowości Taińcza, na której wysiadł jako jeden z pasażerów:

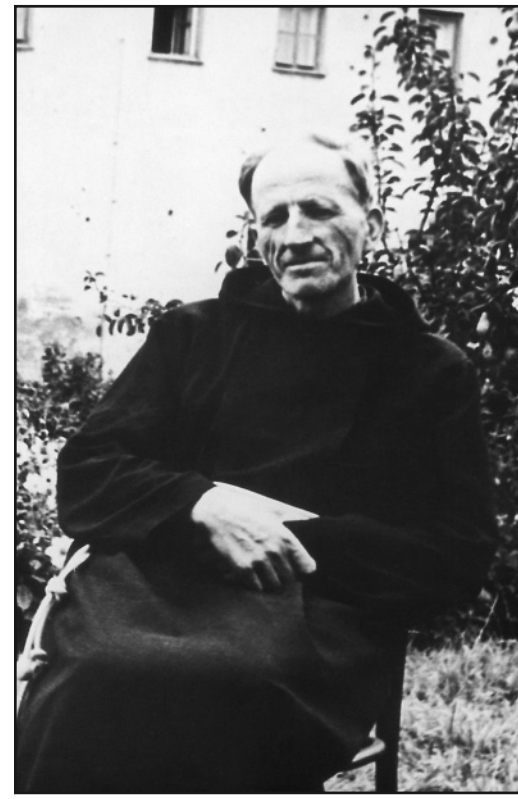

O. Serafin Kaszuba

> w białym, trochę zmiętym kitlu, z niezasobną walizką w ręku. Zapytał kogoś o ulicę Zapadną. Dzień był pogodny, ale poprzednio padały deszcze. Po przebyciu toru znalazł się na ulicy błotnistej, nie do przebycia. W takiej porze tubylcy noszą gumowe buty i patrzą z politowaniem na przybyszów skaczących nieporadnie po kałużach błota. Trzeba było przejść parę przecznic, zanim na jakimś narożnym domu ukazała się pożądana nazwa: Zapadna. Teraz chodziło o znalezienie domu, w którym mieszkała siostra księdza. Spotkanie trudno opisać, choć się dotychczas nie znali. Jak ongiś w Emaus, mieli się poznać przy łamaniu Chleba. Trwały przygotowania, kiedy weszła jakaś kobieta z prośbą, żeby iść do umierającego ojca. Skąd się dowiedziała? „Już ja się domyślam”. To była pierwsza funkcja kapłańska. A potem? Radość, ruch, nowe życie. Boże, Ty nas nie zapomnisz[143].

Tam rozpoczął się ważny okres jego wędrownej posługi w Kazachstanie i na Syberii. Przybywał do wiernych w różnych miejscowościach, których było wiele na tym misyjnym szlaku. Nieraz trudno było zlokalizować je na mapach, a jeszcze trudniej dotrzeć do nich, często na piechotę, furmanką, jakimś okazyjnym autem. Wędrował więc nieprzerwanie do Polaków, by oddać im kapłańską posługę. Były to dla nich szczególnie radosne spotkania, przypominające Polskę i rodzinne strony. Chrzcił dzieci, błogosławił małżeństwa, święcił mogiły, spowiadał i udzielał komunii

[143] H. Warachim, *Włóczęga Boży,* Łódź 1996, s. 163–164.

świętej. Nieraz był aresztowany, karany za „włóczęgostwo" i sprawowanie kapłańskiej posługi. Ostatecznie rozstał się z Kazachstanem w 1976 roku, a w 1977 roku zmarł nagle we Lwowie. Jego grób znajduje się na Cmentarzu Janowskim tego „wiecznie wiernego miasta", do którego powracał w chwilach trudnych.

O. Odoryk Beń

Dopełnijmy tę faktografię o pracy duszpasterskiej wędrujących po Kazachstanie polskich księżach postacią **franciszkanina o. Odoryka Aleksandra Benia**. Wyświęcony w 1939 roku, do 1943 roku pracował na Wołyniu w parafii Boreml, krótko był kapelanem szpitalnym we Lwowie[144]. W 1944 roku wyjechał do Kamieńca Podolskiego, aby duszpasterzować w tamtejszej katedrze. W styczniu 1945 roku został aresztowany i zesłany do łagru w Dżezkazganie, a po zwolnieniu w 1952 roku otrzymał nakaz osiedlenia się w obwodzie Kiemierowo na Syberii.

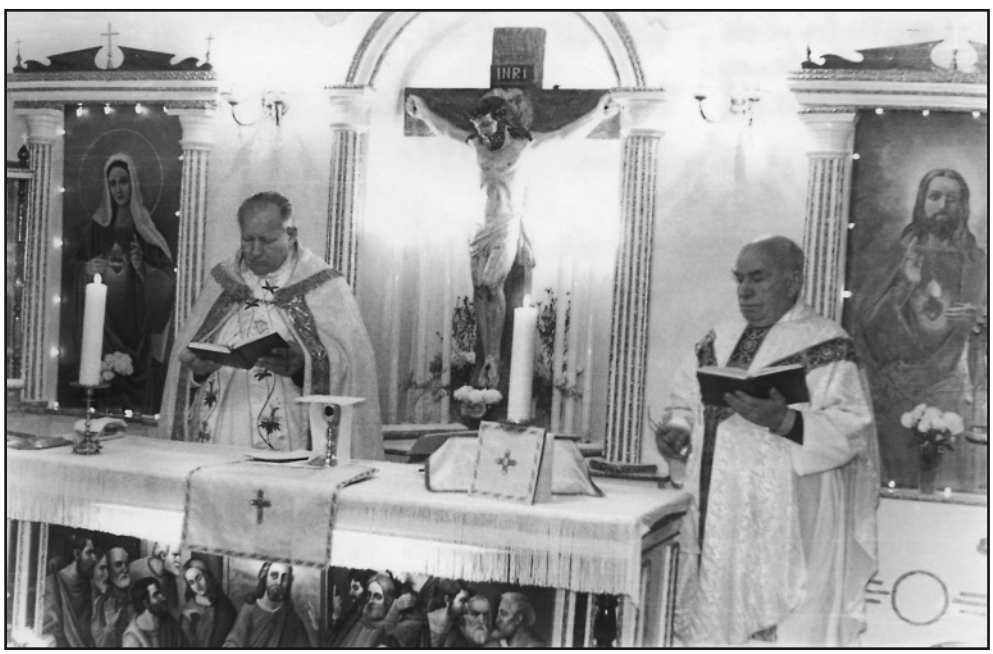

O. Odoryk Aleksander Beń OFM (pierwszy z prawej) podczas Mszy św., Czelabińsk 1987

Pracował jako kierowca i od tego czasu potajemnie prowadził pracę duszpasterską, odwiedzał chorych, odprawiał msze, chrzcił, spowiadał, udzielał ślubów. Praca ta miała spory zasięg terytorialny, często bowiem wyjeżdżał do odległych miejscowości, w których od wielu lat nie było księży. Posługę tę pełnił wobec różnych narodowości, a gdy po osiągnięciu emerytury osiadł w Kazachstanie, często bywał wśród mieszkających tam rodaków. Znając świetnie język niemiecki, prowadził także działalność duszpasterską wśród Niemców.

144 S. Pyza, *Życie heroiczne i myśl Ojca Serafina Kaszuby,* Biały Dunajec–Ostróg 2005.

Swoje duszpasterskie wędrowanie zakończył w 1991 roku na przemyskim rynku, gdzie zmarł na serce dwadzieścia metrów od furty klasztornej. Przybył wówczas z dalekiego Kazachstanu na spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, podczas jego kolejnej pielgrzymki do Ojczyzny. Pochowany został w Kalwarii Pacławskiej, nieopodal Przemyśla.

W kopalni miedzi w Dżezkazganie pracowali także inni Polacy, a wśród nich **ks. Władysław Bekisz, ks. Stanisław Bohatkiewicz, o. Ryszard Czesław Grabski OFM Cap, o. Władysław Wielemański** i **ks. Michał Woroniecki CM**[145]. Oni też po opuszczeniu łagru i osiedleniu w innych rejonach rozległej Syberii, narażając się na kolejne aresztowania, które zresztą następowały, z poświęceniem prowadzili działalność duszpasterską, której nie zaniedbywali także, gdy więzieni byli w łagrach.

Trwanie w wierze

O wędrujących duszpasterzach opowiadała Helena Bagińska z Zielonego Gaju, ochrzczona przez ks. Józefa Kuczyńskiego, mieszkająca obecnie we Wrocławiu. Od niej dowiedziałem się nieco na temat jego duszpasterzowania w tej miejscowości. Mimo tego, że jest to cząstkowa opowieść, jednak jest ona mocno osadzona w tamtejszych realiach i ubogaca los tego księdza-wędrowca, pozwalając pełniej zrozumieć jego misyjną działalność. Księża-wędrowcy byli prześladowani, więzieni w łagrach, ale wbrew temu po uwolnieniu powracali na swój misyjny szlak. Spotykali tam ludzi, którzy mimo ateizacji trwali w wierności Bogu. Pielęgnowali tę wiarę w domu, za zamkniętymi drzwiami. Pozwalała ona na zachowanie tożsamości narodowej, chociaż znajomość języka polskiego stawała się coraz słabsza; modlitwy jednakże znali na pamięć, jakkolwiek nie zawsze rozumieli ich treść.

Miejscem, które pomagało im przetrwać w tej religijności, były częstokroć cmentarze. Powstały one w 1936 roku. Po przyjeździe do danej *toczki* zdarzało się bowiem, że po trudach drogi i braku opieki lekarskiej umierały osoby starsze i dzieci. Tak więc te smutne okoliczności sprawiały, że właśnie miejsca pochówku tworzyły symboliczną przestrzeń, powiększaną z czasem przez nowe zgony. Bliskość cmentarzy chroniła na swój sposób mieszkańców osady przed marginalizacją życia religijnego. Mogiły najbliższych były łącznikiem spajającym więzi rodzinne i poczucie wspólnoty narodowej. Opowiadano mi, że odwiedzając groby, w ciszy i skupieniu modlono się, odmawiając najczęściej *„Ojcze nasz”* i *„Zdrowaś Mario”*. Przebywanie w tym miejscu było też czasem refleksji o ludzkim przemijaniu i wierności Bogu. Za odwiedziny cmentarza zesłańcy nie mogli być represjonowani, podobnie jak za organizowanie pogrzebów, wprawdzie najczęściej bez księży, ale w atmosferze świętości krzyża na mogile. Początkowo na grobach umieszczano polskie napisy, najprostsze w treści: nazwisko i imię, data urodzenia i śmierci. Potem zastąpiono je alfabetem rosyjskim. Napisy te można jeszcze zobaczyć na cmentarzach w sąsiedztwie polskich osad.

---

[145] *Spotkałem Człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół...*, op. cit, s. 26.

W tych ekstremalnych warunkach ograniczających religijność powszechnie występującą praktyką były tzw. **chrzty z wody** sprawowane przez osoby starsze. Potem, gdy nadarzała się okazja, odbywało się dopełnienie tego sakramentu przez księży. Miało to niebagatelny wpływ na przetrwanie polskości, mimo urzędowej indoktrynacji ateistycznej i administracyjnych zakazów. Żeby przeciwstawić się narzuconej ateizacji, szukano sposobów na zneutralizowanie jej i podtrzymywanie życia religijnego na zesłaniu. Bywało, jak już wspomniałem, że cmentarz z krzyżem stawał się miejscem modlitwy, często były to też spotkania modlitewne w domach, a także udzielanie błogosławieństwa nowożeńcom z użyciem „świętego obrazu i chleba".

Z upływem czasu, gdy odchodzili ludzie starsi, znajomość modlitw malała. W niektórych domach były różańce, a ich odmawianie pozwalało trwać w religijności. Ale i ta forma modlitwy z czasem zanikała. Nie obchodzono tradycyjnych świąt Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia, a ich religijnego znaczenia wiele osób, z którymi rozmawiałem, nie potrafiło już zinterpretować. Nie mieli prawa do żałoby, zadbanych mogił, komunii dzieci i innych uroczystości religijnych. Ale też dodać trzeba, że potrzeby duchowe tych ludzi zachowały swoją siłę, chociaż wyraźnie zaznaczało się nieraz zbyt powierzchowne rozumienie treści wypowiadanych modlitw, pełniej natomiast wiara ta wyrażała się w sferze pojęć etycznych i duchowych.

Swoiste odrodzenie tej religijności rozpoczęło się w latach 90. ubiegłego stulecia, gdy do Kazachstanu przyjechali – już legalnie – księża z Polski i zaczęto budować kościoły. Religijność „kazachstańskich Polaków" zesłanych tu w latach 30. XX wieku początkowo skupiała się wokół rodziny. Z czasem i to zjawisko słabło, chociaż było i nadal jest ono swoistą oznaką identyfikacji narodowej. Dodajmy jednak i to, że kwestia praktyk religijnych polskich rodzin w Kazachstanie jest dość złożona, szczególnie w małżeństwach mieszanych, np. polsko-rosyjskich czy polsko-ukraińskich, jest to sprawa prywatna małżonków i ich dzieci.

Myśląc o świadomości w sferze odczuć duchowych, z całą mocą podkreślić trzeba, że społeczność polska, która znalazła się w Kazachstanie w latach 30. i 40. XX wieku, była oporna na ateizację i raz po raz próbowała doprowadzić do legalizacji działalności religijnej, co w pełnym wymiarze nastąpiło po rozpadzie Związku Radzieckiego.

Współczesne środowisko kazachstańskich Polaków, oddane idei rekatechizacji, jest bardzo aktywne. Odczytywane przez Kościół katolicki w Polsce potrzeby w tym zakresie pozwalają wypełnić lukę, która powstała przez czas władzy radzieckiej. Dla pokolenia, które pamięta wędrujących duszpasterzy, ich aresztowania i ponowne powroty do wiernych, każda nowa świątynia budowana obecnie jest radością, spełnieniem nadziei, którą żyli w mrocznych latach komunizmu. Jest to bez wątpienia zjawisko historyczno-socjologiczne, nad którym badania zapewne zostaną podjęte, przynajmniej wybiórczo, w kilku przekrojach czasowych, co da bardziej pogłębiony obraz tych spraw oraz zweryfikuje tradycyjną optykę widzenia praktycznych aspektów współczesnego rozwoju katolicyzmu w kraju leżącym w miejscu graniczącym z aktywnymi i niebezpiecznymi ruchami islamistów.

Wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II w Kazachstanie

Jak już zostało wspominane, zachowanie tożsamości narodowej naszych rodaków w Kazachstanie to niewątpliwie wielka zasługa księży, którzy w latach drugiej wojny światowej oraz po jej zakończeniu, narażeni na liczne szykany i zsyłki do łagrów, nie wyrzekli się pracy duszpasterskiej. Także i dzisiaj, w zmienionych warunkach politycznych, gdy Kazachstan jest krajem wolnym i wielonarodowym, dużej pomocy polskiej diasporze udziela Kościół katolicki. Najliczniejsza grupa kapłanów i sióstr zakonnych pochodzi z naszego kraju.

Widomym znakiem tej troski była wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II w Kazachstanie w dniach 22–25 września 2001 roku, który podczas ceremonii powitania na lotnisku w Astanie powiedział:

> Dziękuję Bogu, który przywiódł mnie aż do Astany, stolicy tego szlachetnego i rozległego kraju, położonego w sercu kontynentu euroazjatyckiego. Z miłością całuję tę ziemię, na której powstało państwo wieloetniczne, dziedziczące od wieków wielorakie tradycje duchowe i kulturowe, a dziś podejmujące nowe zadania społeczne i ekonomiczne. Od dawna pragnąłem tego spotkania, bardzo się zatem cieszę, że dane mi jest powitać i uściskać z podziwem i miłością wszystkich mieszkańców Kazachstanu.
> […] Narodzie kazachski, stoi przed tobą trudne zadanie budowania kraju pod znakiem prawdziwego postępu, solidarności i pokoju. Kazachstanie, ziemio męczenników i wierzących, ziemio zesłańców i bohaterów, ziemio myślicieli i artystów – nie lękaj się! Choć liczne i głębokie są blizny na twoim ciele, choć dzieło odbudowy materialnej i duchowej napotyka trudności i przeszkody, niech pociechą i bodźcem będą dla ciebie słowa wielkiego Abaja Kunanbajewa: „Początkiem człowieczeństwa są miłość i sprawiedliwość, to one są zwieńczeniem dzieła Najwyższego".
> Miłość i sprawiedliwość! Najwyższy, który kieruje krokami ludzi, niech zapali te gwiazdy nad twoją drogą, bezkresna ziemio Kazachstanu.
> Takie uczucia napełniają moje serce, gdy rozpoczynam wizytę w Astanie. Przyglądając się barwom waszego sztandaru, drodzy mieszkańcy Kazachstanu, proszę Najwyższego, aby udzielił wam darów, które one symbolizują: stabilizacji i otwartości, których znakiem jest błękit; pomyślności i pokoju, symbolizowanych przez złoto.
> Niech Bóg błogosławi tobie, Kazachstanie, i wszystkim twoim mieszkańcom, niech cię obdarzy przyszłością zgody i pokoju![146]

Ujmującą częścią tej wizyty było uczestniczenie w niej licznych pielgrzymów z syberyjskiej części Rosji – z Barnaułu, Bijska, Irkucka, Nowosybirska, Omska i z innych najodleglejszych rejonów Syberii oraz Azji Środkowej. **Kazachstańscy katolicy nazywali tę pielgrzymkę „wielkim cudem”**. Stanowiła też ona swoisty rodzaj pamięci o Polakach żyjących w Kazachstanie, do których papież Jan Paweł II, pozdrawiając ich serdecznie przed modlitwą „Anioł Pański” (Astana – 23 września), powiedział:

---

[146] *22 września. Miłość i sprawiedliwość początkiem człowieczeństwa. Ceremonia powitania na lotnisku,* „L'Osservatore Romano” 2001, nr 11–12, s. 14–15.

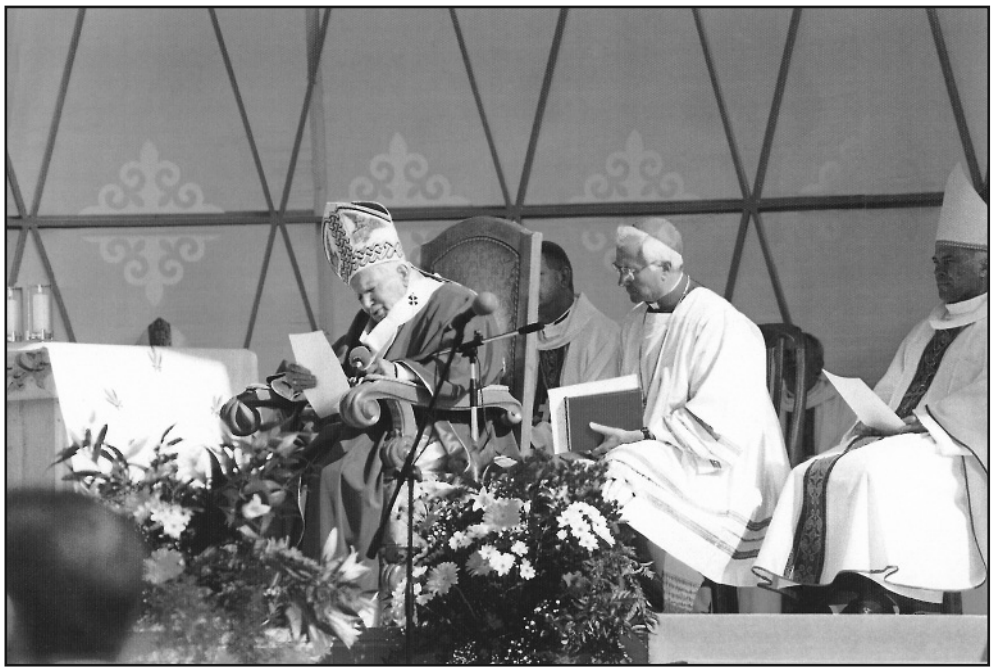

Ojciec Święty Jan Paweł II wygłasza homilię podczas Mszy świętej

Z wielką radością patrzę na was i Bogu dziękuję, że dane mi jest być pośród was. Zawsze żywo interesowałem się waszym losem. Wiele mi mówił o was niezapomniany ks. Władysław Bukowiński, którego wielokrotnie spotykałem i zawsze podziwiałem za kapłańską wierność i apostolski zapał. Był szczególnie związany z Karagandą, ale opowiadał mi o życiu was wszystkich. Pragnę was zapewnić, że nigdy nie byliście zapomniani w moim sercu. Codziennie w modlitwie zawierzałem was i cały Kościół w Kazachstanie dobroci Boga. Dziękuję Mu za was, za to, że nieustannie dawał wam tę moc Ducha Świętego, dzięki której zachowaliście wiarę Ojców mimo różnych doświadczeń i prześladowań. I wam z serca dziękuję za tę wierność Chrystusowi i Kościołowi. Proszę was nie ustawajcie w dawaniu takiego świadectwa.
Matce Najświętszej zawierzam waszą przyszłość. Niech będzie ona pomyślna i szczęśliwa. Budowana w duchu wzajemnej miłości. Niech dobry Bóg obficie wam błogosławi[147].

Pielgrzymka ta duszpastersko umocniła i ubogaciła całą katolicką społeczność Kazachstanu oraz dalszą działalność misyjną polskiego Kościoła katolickiego

[147] *23 września – Astana. Zawierzam was Maryi Królowej Pokoju. Rozważania przed modlitwą „Anioł Pański”*, „L Osservatore Romano” 2001, nr 11–12, s. 11–18.

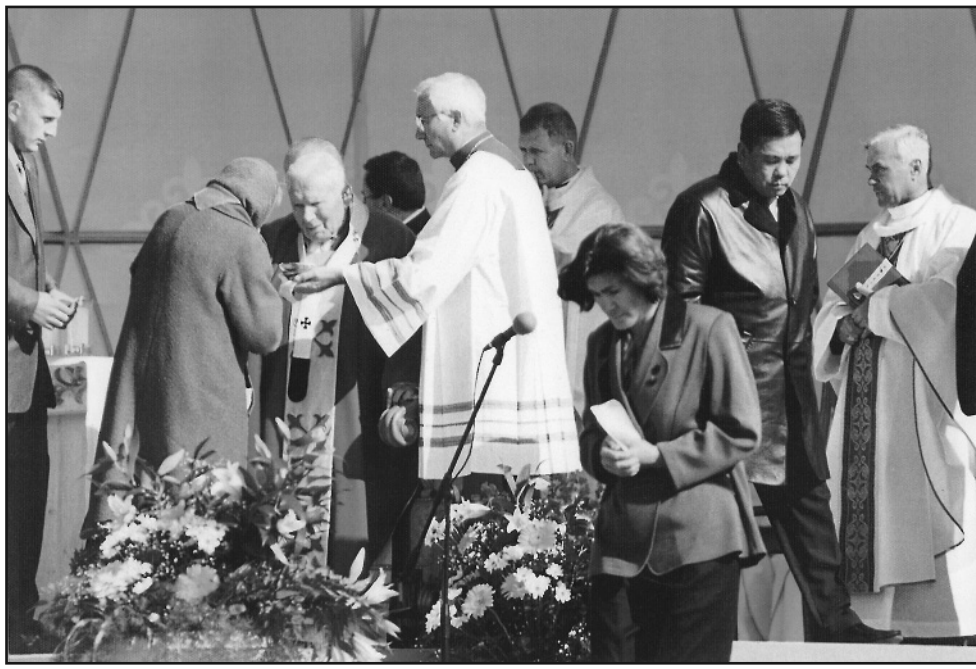

Komunia święta podczas Mszy św. na Placu Matki Ojczyzny w Astanie

w wielonarodowym i wielowyznaniowym kraju, w którym mieszka ponad 300 tysięcy katolików[148].

Duże znaczenie dla katolików w Kazachstanie miała **konsekracja kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Pietropawłowsku** (7 lipca 2002 roku). Jest on najstarszym i jedynym kościołem rzymskokatolickim, wybudowanym wspólnym staraniem polskiej i niemieckiej diaspory w tym kraju w 1911 roku. W grudniu 1998 roku po wielu staraniach władze miejskie zwróciły go wiernym i służy on jako miejsce kultu, będąc zarazem pomnikiem katolicyzmu w Kazachstanie.

Powstają też obecnie nowe kościoły i kaplice. **Narodowe sanktuarium maryjne znajduje się w pobliżu miejscowości Oziernoje, gdzie Polacy oddają hołd Matce Bożej jako Królowej Pokoju.** Działania misyjne Kościoła katolickiego w tym kraju wspomagają odradzanie się w nim tożsamości narodowej polskiej diaspory, która w wielu parafiach północnego Kazachstanu stanowi trzon wspólnoty katolickiej. Są jednak takie rejony w tym rozległym kraju (parę razy większym od Polski), gdzie naszych rodaków, żyjących w rozproszeniu, dzielą od najbliższego kościoła katolickiego znaczne odległości. Powoli sytuacja ta zaczyna się zmieniać na korzyść, a seminarium duchowne w Karagandzie, troszcząc się o wiernych, przygotowuje nowych duszpasterzy do trudu na niwie ewangelizacji.

---

148 J. Dudek, *Pielgrzym pokoju,* „Zesłaniec” 2002, nr 6, s.81–85; L.A. Juszczuk, *Na spotkanie z Ojcem Świętym,* tamże, s. 87–92.

Miejscowość Oziernoje położona jest na stepie w północnym Kazachstanie. Powstała na tzw. surowym korzeniu w 1936 roku po przesiedleniu Polaków z Ukrainy. Zastali tam całkowicie odmienne warunki od tych, w której do tej pory żyli w rejonie Żytomierza. Rozległy, pusty step nie był miejscem gościnnym. Zdobycie jedzenie wymagało usilnych zabiegów, głód często zaglądał w oczy przesiedlonych. Niespodziewanie 25 marca (Święto Zwiastowania) 1941 roku nagle w pobliżu osady z topniejącego śniegu powstało jezioro, a w nim pojawiły się ryby – źródło zaspokojenia głodu. Niektórzy twierdzą, że w rok po powstaniu jeziora, wpuszczono też do niego karasie. Z czasem osadę nazwano Oziernoje – Jeziorne. Jezioro wyschło w 1955 roku. Obecnie staraniem potomków byłych zesłańców powstało tam Sanktuarium Matki Bożej Królowej Pokoju, w którym znajduje się nastawa ołtarzowa zwana „Gwiazdą Kazachstanu", mająca charakter tryptyku, z bogatą bursztynową ornamentyką skrzydeł. Ołtarz powstał w pracowni gdańskiego artysty Mariusza Drapikowskiego i posiada wymiary 7,5 × 2,5 m. W Oziernoje, odległym od Czkałowa około 115 km, zamieszkałym w 90% przez Polaków, zagościła też figura Matki Bożej Fatimskiej, peregrynująca przez dawny Związek Radziecki. Wówczas też odsłonięto figurę Matki Bożej z rybami, która szybko otoczona została kultem wiernych.

Kościół w Oziernoje

Budynek klasztoru Sióstr Karmelitanek w Oziernoje

Pola uprawne dyni i ziemniaków przy domach w Oziernoje

Jurta przed kościołem w Oziernoje w dniu uroczystości Królowej Pokoju

Wierni w czasie uroczystości Matki Bożej Królowej Pokoju w Oziernoje

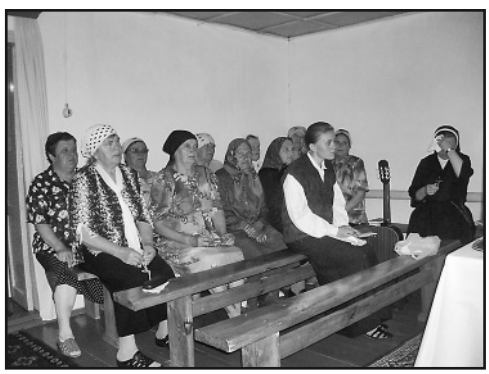

Kobiety z Oziernego w Kaplicy Sióstr

Modlące się dzieci w Kaplicy Sióstr w Oziernoje

W pobliżu Oziernoje, na tzw. Wołyńskiej Sopce w 1998 roku postawiono 12-metrowy krzyż – pomnik ku czci ofiar komunistycznych represji w Kazachstanie, obok którego ustawiono kamień z napisem: „Bogu chwała – ludziom – pokój, męczennikom Królestwo Boże, narodowi kazachskiemu rozkwit”. Sanktuarium Matki Bożej Królowej Pokoju jest obecnie ważnym miejscem kultu w azjatyckiej części byłego Związku Radzieckiego oraz celem licznych pielgrzymek. Corocznie w sierpniu odbywają się tam spotkania młodzieży z Azji Centralnej i krajów Europy. W ostatnich latach do Oziernoje przybyli benedyktyni z Uznach w Szwajcarii oraz siostry karmelitanki z Częstochowy[149].

[149] A. Malinowski, *Matka Boża z rybami,* „Głos Polski”. Kwartalnik Polonii w Kazachstanie 2006, nr 16, s. 9.

CZĘŚĆ II

ANTOLOGIA
ZESŁAŃCZE POWIDOKI

Adam Suzin

Student Uniwersytetu Wileńskiego
Na zesłaniu w latach 1825–1837

WYCIECZKA W STEPY

Autor „Wycieczki w stepy" urodził się w 1800 roku w Zaleszczanach w powiecie kobryńskim (dzisiejsza Białoruś). Ostatnie 5 lat życia spędził w Warszawie (1874–1879) u córki, gdzie zmarł 11 grudnia 1879 roku. Spotykał się wówczas z Józefem Kowalewskim, kolegą filareckim, zesłańcem, orientalistą, badaczem ludów mongolskich, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, który wspierał go swoim autorytetem w różnych potrzebach wynikających z zagrożenia utraty wzroku. Wówczas też wspólnota dawnych filareckich działań pozwalała im powracać do minionych lat, kiedy Suzin był studentem Wydziału Matematyczno-Fizycznego Uniwersytetu Wileńskiego, natomiast Kowalewski studiował filologię klasyczną na Wydziale Literatury i Sztuk Wyzwolonych. Ich spotkanie przerwała śmierć Kowalewskiego w 1878 roku.

Wspomnijmy, że obaj po procesie członków Zgromadzenia Filaretów powędrowali na zesłanie. Suzin kilkakrotnie przesłuchiwany, każdorazowo odpierał przedstawiane mu zarzuty, nie udzielał odpowiedzi na zadawane pytania oraz z determinacją bronił innych obwinionych. Można powiedzieć, że był jednym z najofiarniejszych działaczy filareckich. Jego mężny upór wobec indagujących go śledczych utrwalił Adam Mickiewicz w tzw. scenie więziennej III części *„Dziadów"* słowami: „Było odważnych w powszechnej grozie// I śmiałków więcej niż tuzin// Lecz cierpieć śmiało, lecz milczeć w kozie// Potrafił tylko Suzin".

Na mocy wyroku orzeczonego w 1824 roku Adam Suzin skazany został na 6 miesięcy pobytu w twierdzy. Zesłańczy szlak rozpoczął w Wilnie, skąd razem z J. Czeczotem i T. Zanem kibitką przywieziono ich do Orenburga. Stąd A. Suzin powędrował do twierdzy w Kizył, a potem do więzienia w Orsku. Następnie zamieszkał w Orenburgu na tzw. osiedleniu bez prawa powrotu do stron rodzinnych. Tu ponownie spotkał Zana, powoli adoptował się do nowych warunków życia, udzielał lekcji języka francuskiego, uczył się języków wschodnich, a od 1829 roku pracował jako buchalter w Komisji Pogranicznej w Orenburgu.

Wolny czas poświęcał na wędrówki po okolicy, podczas których gromadził materiały geologiczno-przyrodnicze oraz etnograficzne dla założonego przez Zana Muzeum Krajoznawczego. Działaniom tym patronował gen. gubernator Wasilij A. Perowski zainteresowany planami podbojów Azji Środkowej i tworzeniem dla nich odpowiednich założeń logistycznych. Często do różnych planów z tym związanych korzystał z usług „niepokornych" Polaków posiadających odpowiednie wykształcenie, przebywających tutaj na zesłaniu. Tak oto na propozycję przedłożoną przez profesora Uniwersytetu w Dorpacie, Ernesta Hohhmana, podróżującego po tych rejonach przygranicznych wspólnie z geologiem Grigorijem Helmersenem, Suzin prowadził obserwacje klimatologiczne i meteorologiczne i wraz z Zanem na zlecenie Komisji Pogranicznej w Orenburgu poszukiwał złóż odpowiednich kopalin – węgla i rud. Opis jednej z takich wypraw w stepy Kazachstanu, przepełnionej informacjami etnograficzymi i geograficznymi, znajduje się na łamach *„Kroniki Rodzinnej"* (1870–1871) pt. *Wycieczka w stepy kirgiskie odbyta przez Adama Suzina.* Pomijamy

tu pełniejszą ocenę realiów z „tej wycieczki", wspomnijmy jedynie, że po części stanowi ona klucz do rozumienia złożonych struktur familijnych-klanowych funkcjonujących w kulturze społecznej i duchowej autochtonicznych mieszkańców kazachskich stepów. W sumie to ważna kategoria źródłowa wyjaśniająca wiele aspektów aktywności życiowej tych ludzi determinowanej przez tradycyjne struktury społeczne, które z czasem traciły swoją ostrość pod wpływem kolonizacji rosyjskiej.

I na zakończenie jeszcze kilka informacji dotyczących dalszych losów Suzina. Z Orenburga wyjechał w 1835 roku dzięki pozytywnej rekomendacji starań o urlop na wyjazd w strony rodzinne. Ponownie wyjazd taki miał miejsce w 1837 roku i wówczas otrzymał zgodę na pozostanie w Kobryniu, gdzie opiekował się chorym ojcem. Tak więc z Orenburgiem rozstał się na zawsze. Będąc wolnym, mieszkał w Kijowie i Wilnie, pozostawał jednak pod policyjnym dozorem i dwukrotnie był aresztowany pod zarzutem działalności konspiracyjnej. Ożenił się z siostrą Antoniego Edwarda Odyńca, a ich syn Paweł, oficer armii rosyjskiej, był uczestnikiem powstania styczniowego i w czerwcu 1863 roku zginął w okolicach miejscowości Staszyki nieopodal Grodna*.

Podstawa relacji: [A. Suzin], *Wycieczka w stepy kirgiskie odbyta w 1834 roku przez Adama Suzina, „Kronika Rodzinna"*, 1871; nr 17, s. 270; nr 18, s. 284–286; nr 19, s. 301–302; nr 20, s. 316; nr 22, s. 349–350; nr 23, s. 262–264; nr 24; s. 380–382.

* Informacje biograficzne: W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny,* Warszawa 1998, s. 584–585; A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny,* Poznań 2000, s. 340.

Przewóz przez Ural zatrzymał mię dość długo, nędzne konie baszkirskie ledwie co nie uwięzły w błocie i całą drogę wiorst 26, aż do Dołgownego wlokły się powoli kulejąc, tak że już dość późno w nocy stanąłem na noclegu. Znalazła się izba osobna i czysta dla przejeżdżających, gospodarze z samowarem i ze wszelką usługą gotowi, przez generała Struków umyślnie na ten cel osadzeni. Mimo to zasnąć prawie całą noc nie mogłem, bo bolała mnie głowa od całodziennego trudu. Nazajutrz dość jeszcze rano przybyłem do Ileckiej Zaszczyty, gdzie na prośbę F. chciałem się u nich zatrzymać na kwaterze, ale wkrótce pomiarkowałem, że tam ani jednej minuty nie miałbym spokojnej, tak dla szczupłości mieszkania, jak też dla ustawicznych kłopotów obowiązkowych gospodarza, który oprócz tego mieszkania był złośliwy i niewiele przyjemności ze swego towarzystwa obiecywał. Prosiłem tedy i otrzymałem inną kwaterę osobną, u niejakiego Rybakowa, gdzie także nie miałem zupełnej spokojności, gdyż przeze drzwi u gospodarza, który jak mi powiadano dobrze pije. Odbywały się długo w noc szumne biesiady, oprócz tego ogromny w kącie stojący zegar głośnym swoim ruchem i mocnym a przedłużonym wybijaniem godzin, ustawicznie drażnił moje nerwy i tak już rozkołysane i do bezsenności usposobione.

Od kozackiego oficera Piotrowa, który, jak mię zaręczali, ma być najlepiej wszystkich stepowych rzeczy świadomy, dowiedziałem się, że sułtan Baj-Muchamed koczuje o 50 wiorst od Burannego Forpostu odległego od Zaszczyty wiorst 40.

Tenże Piotrow oświadczył chęć jechania ze mną do sułtana, musiał tylko pierwej dla niektórych interesów być w Orenburgu skąd niezawodnie nazajutrz powrócić przykazał. Nie chcąc opuścić tak dobrej zręczności postanowiłem parę dni zabawić w Ilecku, zwłaszcza, że kilkudniową bezsennością osłabione siły, niejakiego wytchnienia wymagały. Zwiedziłem kopalnie soli i alabastru, przypatrzyłem się w pierwszych machinie do dźwigania wody, której dalej w głąb posuwać się nie pozwala, dla osuszenia wszakże jedna machina nie jest dostateczna, gdyż pomimo ciągłego działania pompy, woda była przeszło na sążeń głęboka. Chodziłem też po bulwarach w około obszernego stawu i po wiszącej nad wodą altanie. Wszystko dosyć ładne, wszakże Ilecka Zaszczyta w ogólności przykre mi zostawiła wrażenie, wszystkie dni mojego w niej pobytu męczony byłem bezsennością i nie miałem nawet ochoty wchodzić w szczegóły robót odbywanych w kopalniach, ani zwiedzać okolic, odkładając to do powrotu ze stepów.

Nie doczekawszy się Piotrowa pierwszego czerwca wyruszyłem w dalszą drogę po nowoileckiej linii sam jeden. Od F. dostałem nieco bibuły do zasuszania kwiatów, gdyż wyjeżdżając z Orenburga dla wielu kłopotów nie miałem czasu o tym pomyśleć. Przed wieczorem stanąłem w Burannym, gdzie przenocowawszy dość niewygodnie, nazajutrz dnia. drugiego czerwca, wyprawiłem się w stepy konno z eskortą sześciu kozaków. Pod rzeczy dano mi telegę, za godzinę stanęliśmy nad Ileckiem, którego malownicze wybrzeża bogate są w bujne łąki, i tu i ówdzie pięknymi drzewami porosłe, przeprawa zajęła nieco czasu, gdyż konie trzeba było wykładać i osobno wpław przez rzekę przepędzać a rzeczy i ludzi na maleńkim i dziurawym czółenku częściami przewozić. Bok bolał i kaszel męczył mię niezmiernie. Zostawało jeszcze do przejechania niemałą przestrzeń, było to prawie nad moje siły, ciągłą bezsennością od mojego wyjazdu z Orenburga nadzwyczaj osłabione.

Za tym wszystkim wracać było niepodobna i nie było po co. Kilkoletnie doświadczenie przekonało mię bowiem, iż w Orenburgu można stracić, lecz nie odzyskać zdrowie. Kumys i stepowe życie zdawały się jedynym środkiem, którego chciałem koniecznie spróbować. Zresztą jeżeli już przyszła pora umierać, to wolałem zakończyć to pełne męki życie w stepach, na łonie czystej natury, opodal od tych półcywilizowanych ludzi, z którymi obcowanie dla prostego (człowieka) i otwartego charakteru, tak trudne i przykre. Wsiadłem na konia i śród przyśpiewów i baraszkowań kozackich puściłem się w dalszą drogę ku kurhanowi wznoszącemu się wśród równych i mało co falowatych stepów. Kurhan ten okrągłego kształtu i rowem trawą porosłym otoczony, widocznie był dziełem ręki ludzkiej. Kozacy nic więcej o nim powiedzieć nie umieli, jak że podobnych kurhanów w stepach wiele, i że to muszą być ślady koczowisk w tych miejscach bogatych Kirgizów. We dwie może we trzy godziny wyjechaliśmy do kirgiskiego aułu, gdzie po raz pierwszy w tym roku napiłem się kirgiskiego *kumysu*, i zdało mi się, żem się trochę na siłach pokrzepił.

Kozacy nie znając sami drogi do sułtana Baj-Muchameda wzięli Kirgiza przewodnika i mimo zapewnień tego ostatniego, iż do sułtańskiego aułu było nie więcej

nad 25 wiorst, jechaliśmy ku zachodowi aż do samego wieczora stepami, naprzód nie różniejącymi się niczym od orenburskich, a potem pomiędzy białymi wapiennymi wzgórzami. Przewodnik sam dobrze nie wiedział o miejscu do któregośmy dążyli, trzeba było z aułu do aułu dopytywać się i tym sposobem droga nasza dość nudnie się ciągnęła. Kirgiskie auły nic szczególnego nie przedstawiały. Wszędzie takież same szerokie i ogorzałe twarze, takież brudne i po większej części odrażające niewiasty. Od samego rana nic nie jadłem, nie chciałem wziąć się do sucharów, aby do reszty nie popsuć żołądka, wolałem prosić o *kumys*; ale już to nie byli znajomi kozakom Kirgizi, i wszędzie była jedna odpowiedź: *kumys dzok*. Wszakże pasące się dokoła stada koni przekonywały o jej fałszu. To mi dało naturalnie złe wyobrażenie o chwalonej kirgizkiej gościnności dla podróżnych. Być może, iż całą tej niegrzeczności przyczyną byli zbrojni w długie piki Kozacy, na których Kirgizi z ukosa i z niedowierzaniem poglądali.

Pod wieczór ukazało się w znacznej odległości, w różnych stronach kilka aułów, nie widzieliśmy, w którym sułtan przebywał, tymczasem konie były zmęczone i słońce miało się ku zachodowi, gdybyśmy się omylili, naówczas trzeba by nocować w stepie; posuwaliśmy się noga za nogą, nie wiedząc w którą kierować się stronę, gdy na koniec w jednym z aułów, dało się rozpoznać kilka białych namiotów. Kozacy wnieśli, iż one powinny należeć do oficerów kozackiego oddziału znajdującego się przy sułtanie. Przyspieszyliśmy więc kroku i po półgodzinnej jeździe stanęliśmy nad rzeką Utwą, którą przebywszy w bród, ujrzeliśmy się niebawem pośród rozrzuconych kibitek; z prawej strony z niewielkiej odległości w półkole uszykowane były wozy i bałaguny uralskich kozaków.

Sułtana Baj-Muchameda spotkaliśmy jadącego konno w towarzystwie sułtana Machmuda, krewnego i bliskiego powiernika i kilku innych starszych Kirgizów. Przywitał się ze mną siedząc na koniu, później zwrócił się do Kozaków i każdego prawie nazywał po imieniu wypytując się o różne szczegóły ich domowego życia i zdawał się szczególnie być zadowolony tonem uszanowania z jakiem jemu odpowiadali.

Baj-Muchamed był dość słusznego wzrostu, tuszy znacznej, twarz miał dość przystojną i mało ogorzałą, nos niemały i niepłaski; był on w hałacie z cienkiego błękitnego sukna; ogoloną głowę przykrywała mu zwyczajna tatarska jedwabna mycka i z wierzchu mała okrągła z siwych baranów czapeczka; na nogach miał meszty z zielonego safianu i trzewiki tatarskie takiegoż koloru. Zszedł z konia i uścisnął powtórnie moją rękę, powiódł mnie do swojej kibitki. Postawiono dwa składane stołki, usiadł na jednym i posadził mnie obok siebie; sułtan Machmud i inni przytomni Kirgizi zasiedli swoim zwyczajem wokoło kibitki na rozesłanych dywanach, tworząc półkole. Kibitka sułtańska[1] niczym się nie różni od kibitek innych Kirgizów dobrze już nam od lat dziesięciu znajomych, chyba tym tylko, że daleko większa i białymi *koszmami* pokryta; naprzeciw drzwi przy ścianie były ułożone jedne na drugich kufry, paki, skórzane materace i poduszki; z prawej strony za perkalową firanką, siedziały kobiety, zapewne sułtańska żona z córkami,

[1] kibitka – tu w znaczeniu jurta.

które kiedy niekiedy ukazując czarne ciekawe oczy spoza zasłony dawały wiedzieć o swojej obecności.

Oświadczyłem sułtanowi, że przysłany byłem do jego aułów w interesie, o którym nazajutrz po wypocznieniu z przykrej i niezwykłej dla mnie podróży chciałbym z nim pomówić; co do siebie rad byłem ze zdarzenia, które pozwalało mnie poznajomić się z jego sułtańską mością, pobyć czas jakiś w jego aule i pić *kumys*, który doktorzy jako jedyne lekarstwo dla poprawienia słabego mojego zdrowia pić zalecali.

– A czy też wymienili doktorzy – zapytał – jakie są przy *kumysie* najlepsze pokarmy?

– Podług nich baranina ma być najzdrowsza.

– Dobrze, ale jaka baranina?

Przyznałem się, że szczególnie nie rozpytywałem się o tym, zdaje mi się jednak, że młody kurguszek najlepiej powinien by przypadać dla słabego żołądka.

– Otóż to właśnie, my o tym lepiej wiemy od doktorów, do *kumysu* jednak raptem brać się nie należy; przywykając po trochu, to potem i bardzo wiele wypijać go można, inaczej *kumys* może zaszkodzić, dlatego ja wam w pierwszych dniach wiele pić nie radzę.

Tymczasem już od kwadransa *telengut* (służący sułtański) przelewał sporą drewnianą łyżką biały nektar w ogromnej skórzanej misie dla nadania mu tym sposobem lepszego smaku i uczynienia godniejszym ust Jego sułtańskiej mości i szanownych gości.

Wtem na skinienie gospodarza, nalano dwie szklanki i podano je na tacy, nie chciałem być pierwszy i sułtan zdawał się być kontent z tej mojej dla niego atencji. Wychyliłem szklankę od razu. Kumys dobrze przygotowany i smaczny sam z siebie, jeszcze mi się smaczniejszy wydał po całodziennym poście. Wkrótce odprowadzono mnie do osobnej kibitki, którą mi za kwaterę wyznaczono. Byłem zmęczony i potrzebowałem wypoczynku, rzuciłem się na rozesłany materac w nadziei, że po takich trudach będę mógł zasnąć, ale zaledwo upłynęło pół godziny, sułtan przysłał prosić na herbatę. Nie wypadało odmówić, poszedłem i zastałem jeszcze większe grono do koła usadowione. Dla mnie był przygotowany stołek, samowar szumiał na środku kibitki. Kilku *telengutów* uwijało się dokoła niego. Wszyscy milczeli, sułtan rozpoczął ze mną rozmowę. Od, zapytał: Jak dawno z Orenburga? Co tam słychać nowego? Czy zdrów Gregory Fiedorowicz? Czy prawda, że wojenny gubernator zamierza także leczyć się *kumysem*? Jak długo zamierzasz pobyć pomiędzy nami? U nas *kumysu* i baraniny nie zabraknie, bylebyś do naszego życia przywyknął. Przed trzema laty żył u nas jeden z waszych, tak był chory, że głowy prosto trzymać nie mógł i zaledwie trzymał się na nogach, a wyjechał zdrów zupełnie. Podano herbatę i sułtan ubolewać zaczął nad śmiercią hrabiego Suchtelena, przez którą wiele utracił. Tego doktora co go nie wyleczył, ja bym oddał pod sąd. Teraz moje zasługi za nic są miane; dotąd żadnej nie otrzymałem nagrody, lubo jestem pewny, że żaden z rządców nie wypełnia tak akuratnie rządowych poleceń. W przeciągu

dwóch lat ostatnich posłałem do pogranicznej komisji na zaspokojenie różnych pretensji, kilka tysięcy rubli pieniędzmi, 1500 baranów i kilkaset wielbłądów. Czy też pograniczna komissyia doniosła o tym wojennemu gubernatorowi? Upewniłem jego sułtańską mość, że pograniczna komisja o wszystkim koniecznie gubernatora uświadomić musi; że wątpić nie można, iżby jego zasługi bez nagrody długo pozostały, że wojenny gubernator niedawno do tego kraju przybył i nie mógł w tak krótkim czasie dostatecznie rozpoznać tak licznych i tak różnorodnych interesów, i że bez wątpienia niebawem i na kirgizkie sprawy zwróci swoją uwagę.

Tymczasem powtórnie poczęto roznosić herbatę, nie wziąłem drugiej szklanki wymawiając się tym, że mnie herbata szkodzi.

– Dobrze robisz, że wiele herbaty nie pijasz, nawet zupełnie powinieneś jej zaniechać, jeżeli chcesz aby *kumys* był pomocny.

Odpowiedziałem – iż takie właśnie było moje postanowienie, że główny cel mojego pobytu w stepach, jest poprawienie zdrowia i dlatego chcę iść w tej mierze za radą jego sułtańskiej mości.

– Czy umiesz zdejmować portrety – zapytał mnie znowu po niejakim czasie.

– Nie – odpowiedziałem, zgoła nie znam rysunków.

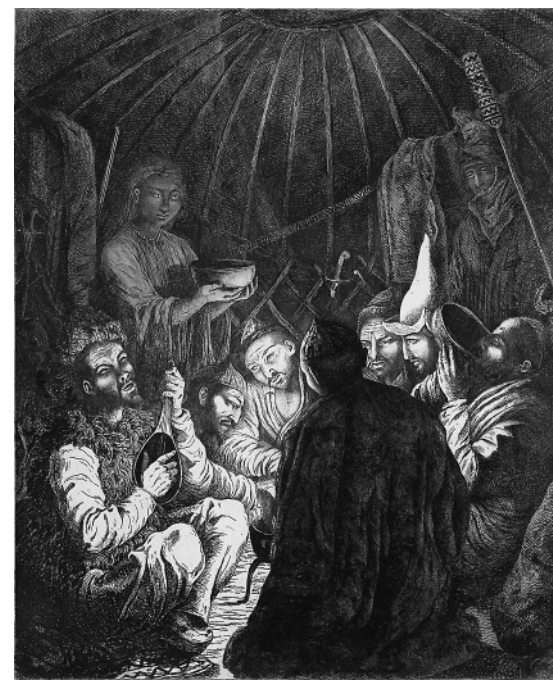

Wnętrze jurty Kirgizów

– To szkoda, warto by, gdybyś zdjął teraz swój portret, po dwóch tygodniach spojrzawszy w zwierciadło nie poznałbyś sam siebie, teraz twoja twarz zupełnie do ziemi podobna, potem się wypełni i ozdobi rumieńcem.

– Dałby Bóg, aby się spełniło przepowiedzenie waszej sułtańskiej mości, gdybym był tyle szczęśliwy i odzyskał zdrowie, wiecznie bym miał w pamięci pobyt mój w stepach i gospodarza, którego doznawałem gościnności.

Poczęły się zwykłe między Kirgizami zabawy. Nic nie zrozumiałem z ich mowy, rozmyślałem nad sposobami wyuczenia się choć w części ich języka, przez co pobyt mój w stepach byłby daleko korzystniejszy. Teraz musiałem być tylko niemym świadkiem ich rozmów, z których zapewne najlepsze by można powiedzieć wyobrażenie o ich pojęciach i charakterze. Sułtan Baj-Muchamed mówi po rosyjsku

nieźle, nie może się jednak we wszystkich przedmiotach z łatwością wytłumaczyć, ani też wszystkiego zrozumieć i często do tłumacza uciekać się musi. Lubo uprzejmie zaproszony na wieczerzę, pożegnałem atoli dostojną kompaniję, gdyż gwałtem potrzebowałem wypoczynku. Wszakże całą noc zasnąć nie mogłem już to dla rozdrażnionych dziennymi przygodami nerwów, już to dla nieznośnych i bezprzestannych ukąszeń, których nie pojmowałem przyczyny, gdyż mnie upewniano, iż na tem miejscu pcheł wcale nie było, co dla obficie rosnącego piołunu zdawało się podobnym do prawdy. Za nadejściem dnia postrzegłem, iż byłem łupem mnóstwa maleńkich białych żyjątek, od których co najprędzej, przez wymycie się i odmianę bielizny, starałem się oswobodzić. Przypomniałem sobie przedostatni nocleg w Burannym Forpoście, gdzie wokoło łóżka, na którym noc spędziłem było mnóstwo jakiś kożuchów nie donoszonych i betów różnego rodzaju, co dostatecznie wytłumaczyć mogło prześladujących mnie owadów.

Wieczorem sułtan częstował przybyłego do niego w gościnę jednego ze znakomitszych Kirgizów sułtana Irtena Karatajewa. Główny gość zasiadł na pierwszym miejscu po prawej stronie Baj-Muchameda, mnie posadzono po lewej. Inni Kirgizi zasiedli po obu stronach w półkole. Wszystkich było do czterdziestu, taki bowiem u Kirgizów obyczaj, że nikomu do kibitki wstępu zabronić nie można; proszeni więc i nie proszeni wchodzili tłumnie, witali się z sułtanem, podchodząc do niego z uszanowaniem i ściskając go za ręce sadowili się podług znaczenia swojego na odpowiednich miejscach. Poczęto roznosić *kumys* w sporych misach; gospodarz i główny gość wypiwszy po jednej porcji, podane sobie po wtóre z *kumysem* porcelanowe miski, oddawali upodobańszym gościom, którzy za danym znakiem zbliżali się z uszanowaniem, na klęczkach, przyjmowali naczynia, odstępowali o krok nazad, przysiadali znowu i wychyliwszy biały trunek szli napełnić nim znowu podaną sobie miskę, którą odnosili na powrót temu, z czyich rąk byli przyjęli. Tym sposobem gospodarz z sułtanem Irtenem uraczyli gości, aż póki nie podano herbaty, którą na ogromnej tacy w filiżankach, zupełnie po naszemu roznoszono. Tymczasem ciągle trwała między niemi ożywiona rozmowa, której z goła nie rozumiałem. Sułtan, kiedy niekiedy odzywał się do mnie z grzecznym słówkiem, zachęcał do picia *kumysu*, traktował herbatą.

Po herbacie przynoszono po kolei każdemu miednicę i wodę w osobnym naczyniu do mycia rąk, później rozesłano wzdłuż siedzących podłużne kolorowe obrusy i podano w sporych drewnianych talerzach porzniętą w kawały baraninę, którą każdy krajał własnym nożykiem na drobniejsze kawałki, potem kładł go rękami do ust, oblizując kiedy niekiedy palce. Gospodarz i znakomitsi goście przyzywali czasami mniej dostojnych i z daleka siedzących, którym się osobne talerze nie dostały i kładli im palcami do ust po kilka kawałków razem. Jest to znak szczególniejszej względności ze strony traktującego, którą każdy z uszanowaniem i wdzięcznością przyjmuje. Sułtan podawał mi kiedy niekiedy lepsze kąski i zachęcał do jedzenia. Nie dałem się długo prosić, gdyż porządnie byłem wygłodzony i za przykładem kompanii, zajadałem się z apetytem, używając rąk zamiast widelca, smakowitą

baraniną i mimowolnie przyszło mi na myśl stare nasze przysłowie: „pierwej Pan Bóg stworzył palce nie widelce".

Gdy się już wszyscy należycie posilili, zdjęto obrusy, podano wodę do umycia rąk i znowu misy z białym napojem gęsto krążyć poczęły. Kumys będąc napojem wielce posilnym, ma oprócz tego moc szczególniejszą, sobie właściwą, i jak sam tego doświadczyłem, dziwnie pomaga do trawienia tłustej baraniny, która inaczej dla słabego żołądka za ciężką i nawet niebezpiecznie szkodliwą być by mogła. Jest to trunek jedyny moich koczujących przyjaciół i zastępuje u nich miejsce gorących napojów, z tą tylko różnicą, iż posiadając dobre ich przymioty, nie wywiera tych szkodliwych skutków, na jakie przez zbyteczne używanie tamtych, nasi cywilizowani Europejczycy narażeni bywają.

Następującej nocy spałem nieco lepiej, co zdaje się było dobrym skutkiem *kumysu*. Wstawszy poszedłem wkoło aułu rozsypanego na niezbyt rozległej równinie, przerzniętej z południowego wschodu na północny zachód rzeczką Utwą (Czungutrau) i wzgórzami częścią wapiennymi, a częścią gliniasto-piaszczystymi otoczonej. Grunt równiny dość mizerną trawą porosły piaszczysto-wapiennymi, gdzieniegdzie z czarnoziemem zmieszany, wszędzie prawie solą przejęty, która w miejscach, gdzie kałuże powysychały, w drobniutkich kryształkach osiadła bieleje. Na pierwsze wejrzenie myślałem, iż to był kolor wapna, ale przypatrzywszy się lepiej ujrzałem małe przeźroczyste kryształki, które miały wyraźny smak soli. Na północ o wiorst kilka sterczał biały jak śnieg podługowaty Turtabasz, a na wzgórzach od południa roznosiły się na mogiłach kirgizkich wzgórki z darni i kredy, zapewne z okolicznych gór przywiezionej. Utwa wąska i powoli płynąca raz tak płytka, iż ledwie do kolan koniowi dochodzi, ma atoli miejsca, w których Kozacy oddziału przy sułtanie będącego łowią dość spore sumy, szczupaki, jazie, karasie, okonie, itd.; brzegi po obu stronach dość wysokie piaszczysto-wapienne, zawierają w sobie mnóstwo jednego gatunku muszelek, których nazwy nie wiem. Kwiatów zastałem bardzo niewiele, może z powodu licznych stad różnego rodzaju bydła, które się na tych miejscach już przeszło od tygodnia pasie. Najobficiej rośnie piołun, *euforbia poheutilla astragalus*, *salvia timus* (bogurodskaja trawa), *convolvulus scorzo'neria*, *trifolium* i kilka innych gatunków, których nazwiska nie pamiętam lub nie wiem, a które zbieram i staram się w bibule w Ileckiej Zaszczycie wziętej, nim obiecana przez Tomasza[2] nadejdzie. Bohdanów Tatar powiedział mi, iż mocny odwar z korzeni euforbii w umiarkowanej ilości przyjęty, jest najskuteczniejszym lekarstwem od bólu w boku, jakowego skutku on sam na sobie doświadczył.

Pod wieczór poszedłem nieco dalej w stepy, zerwałem kilka kwiatów i powracałem nazad znużony, gdy idąc mimo jednej kibitki postrzegłem kilka Kirgizek siedzących u drzwi i zajmujących się szyciem. Między niemi była jedna młoda dosyć biała, i gdyby nie płaski nos, wcale nie szpetna dziewczyna, inne stare i skrzywione. *Salaumalejkum! Malejkusalau! Kajda barasiu?* i inne wyrazy, których nie rozumiałem i nie pamiętam, były wyrzeczone przez jedną z nich, która zdawała się

[2] chodzi o Tomasza Zana.

gospodynią tej kibitki. Potem na wezwanie: *utur'* usiadłem koło nich i pokazałem moje kwiatki, chcąc im dać do zrozumienia, jaki był cel mojej przechadzki. Między kwiatkami, które trzymałem w moim ręku był jeden z czerwonym korzonkiem, który moja gospodyni schwyciła, odłamała i zaczęła pocierać nim twarz swoją, potem przybliżyła się do mnie i chciała mi zrobić tę samą usługę, ale nie chcąc zostać w stepie elegantem i spodziewając się nabyć od *kumysu* wkrótce naturalnego rumieńca, usunąłem się wołając: *dżók, dżók, jaman, jaman!* Tymczasem drugie przyglądały się mojemu kamlotowemu surdutowi, białemu kołnierzykowi i młoda dziewczyna już coś chciała wyszyć zieloną, wełnianą nitką na mojej pole; wyjąłem chustkę z kieszeni, a podając jej starałem się dać do zrozumienia, iż wolałbym na chustce mieć znak zielony na pamiątkę od niej, nie wiem czy byłem zrozumiany, wszakże moja nimfa przyjęła chustkę i natychmiast wzięła się do roboty. Przez cały ten czas stara, którą miałem za gospodynię nie przestawała rzucać na mnie czułych spojrzeń, na ostatek, zniecierpliwiona moją nieuwagą, postanowiła wyraźnie okazać swoje uczucia: oczy jej czarne iskrzyły się, pomarszczone policzki poróżowane kosztem mojej rośliny zdawały się w płomieniu i zbliżała się do mnie, aby mię uścisnąć. Byłem w strasznym ambarasie, nie chciałem tej pierwszej znajomości kończyć niegrzecznie, tym czasem nie sposobna mi było odpowiedzieć na tę łaskawość. Na koniec udało mi się powoli usunąć na bok jak gdyby dla przypatrzenia się szyciu młodej Kirgizki. Na moje szczęście już się ono miało ku końcowi i wkrótce odebrałem chustkę z wyszytym zielonym rąbkiem, a inna stara obok mojej szwaczki siedząca, zawołała chrapliwym głosem: *kałacz tanycz.* Obiecałem przynieść kołacza i powiedziawszy: *amambul*, oddaliłem się co prędzej.

W dniu następnym odwiedziłem sułtana Machmuda, który mię już wiele razy do siebie zapraszał, tym razem nie zastałem go w domu, lecz żona jego, już niemłoda, ale dość przystojna z czarnymi iskrzącymi się oczyma, przyjęła mnie nader grzecznie i nad moje spodziewanie, była wielce rozmowna.

– Sułtan Machmud was bardzo lubi, czy on w domu, czy nie, proszę zawsze u nas bywać, wszystko co mamy na wasze zawołanie. Może będziecie pić herbatę, albo jeżeli się podoba każę zarznąć barana?

– Bardzo wam za to wszystko dziękuję, przygotowanie barana wymagałoby wiele zachodu i czasu, a ja tylko na minutę tutaj wstąpiłem, od herbaty uciekłem z miasta i przyjechałem do was aby pić *kumys*.

Podano tedy natychmiast sporą misę *kumysu*, kilkoro dzieci uwijało się po kibitce, zrobiłem uwagę, iż pięknych miała synów – To nie moje – rzekła zapłoniwszy się nieco, to są dzieci naszego brata Chau-Sułtana, potem po niejakim milczeniu przydała:

– Machmud ma także wiele dzieci, ale te rozproszone po stepach i trudno by je do jednego zebrać miejsca. Przy pożegnaniu jeszcze raz oświadczyła się z gotowością na wszystkie usługi, i prosiła, aby bez ceremonii przysyłać po wszystko, co mi będzie potrzebne. Z sułtanem Baj-Muchamedem przychodziłem do coraz większej zażyłości. Na drugi dzień po przyjeździe przysłałem mu w podarunku gło-

wę cukru, żałowałem iż nie poszedłem za radą W. i nie przywiozłem rumu, który byłby daleko przyjemniejszy jego sułtańskiej mości, gdyż mimo zakaz Mahometa, postrzegłem, że Kirgizi wielce lubią nasze mocne napoje. Uważałem też, iż go bardzo interesowało moje krzesiwo i natychmiast mu je posłałem. Na drugi dzień jego sułtańska mość wielką miała przyjemność pokazywać gościom swoim, jak za przytknięciem do buteleczki łuczywka od razu płomieniem się zajmowała. Świece też moje woskowe, które oświecały kibitkę sułtańską, niemało dziwiły szanowne zgromadzenie. Kilka dni następnych upłynęło z małą różnicą, takim że samym sposobem. Też same po okolicznych wzgórzach i nad Czurguntanem przechadzki, i też same wieczorami u sułtana uczty, często późno w nocy przeciągnione, gdyż Kirgizi wyspawszy się we dnie, radzi całe noce na zabawie przepędzają.

Kobiety nigdy zgromadzeniom tym nie towarzyszą; albo wychodzą do innej kibitki, albo siedzą ukryte za firankami. Wszakże kiedy sułtana nie ma w domu, firanka się zdejmuje i wtenczas się przed przechodniami nie ukrywają. Kilka razy zastałem sułtanową z córkami pijącą herbatę pośrodku kibitki; pierwszy raz myślałem, iż moja obecność będzie je żenować i chciałem się oddalić, ale mnie zwrócono i zaproszono do herbaty. Rad byłem temu, gdyż od dawna miałem chęć przypatrzenia się pięknością do tej pory ciągle ukrytym. Sułtanowa już w wieku, pełna powagi i mało mówiąca. Na ręku trzymała maleńkiego ślicznego synka, który był ciągłym jej pieszczot przedmiotem. Ubiór jej w niczem się nie różnił od ubioru innych Kirgizek. Płat biały płócienny obwijał jej głowę w kształcie słupka i spadał z tyłu prawie do samej ziemi, okrywając tym sposobem znaczną część sinego jej sarafanu. Dwie córki obok niej siedzące młodziutkie i wielce nieszpetne, były w kolorowych, jedwabnych chałatach i czerwonymi przepasane paskami. Na głowach miały też kolorowe jedwabne chusteczki, szczególnym sposobem, z pewną niedbałością uwiązane. Podziękowałem za herbatę, której wcale nie pić postanowiłem i poprosiłem o *kumys* przydając, iż on był teraz moim jedynym i najlepszym napojem. Po niejakim czasie, aby przerwać milczenie, oświadczyłem przez tłumacza (gdyż sułtanowa wcale nie rozumiała po rusku), iż pozostało mi od drogi nieco cytryn, które dla mnie całkiem teraz stały się niepotrzebne, to czy by nie podobało się sułtanowej użyć ich teraz do herbaty.

– Może sami macie niewiele a za powrotem zapewne będziecie potrzebować, rzekła. Odpowiedziałem, iż do mojego powrotu jeszcze zapewne niemało czasu upłynie, że one tak długo trwać nie mogą i że najlepszy z nich będzie użytek, jeżeli mogą służyć jej sułtańskiej mości. Kazałem przynieść słoik z cytrynami i uważałem, że dość smakowały moim stepowym pięknością, gdyż na nowo krążyć poczęły filiżanki z herbatą, która się pierwej już miała ku końcowi.

Sułtan Baj-Muchamed ma dwie żony, mieszkające w osobnych kibitkach. Z jednej ma pięciu synów i cztery córki, z drugiej tylko dwóch synów i także cztery córki. Pierwsza jest mu upodobańsza nie dla piękności, gdyż i nie młoda i wcale nie piękna, ale zapewne dla dzieci, które są dosyć ładne i do których zdaje się być mocno przywiązany. Drugiej żony nigdy nie odwiedza, przynajmniej od

czasu mojego tu pobytu, ani razu to się nie zdarzyło. Ma już wyswataną i trzecią żonę, która się jeszcze przy rodzicach znajduje i którą odwiedza kiedy niekiedy na osobności, i wkrótce ma zupełnie do siebie sprowadzić.

Dnia dziewiątego po przyjeździe poprawiwszy nieco siły, chciałem z przybyłym do sułtana oficerem uralskiego wojska, dla odzyskania długów u niektórych Kirgizów, odwiedzić sąsiednie auły, wzdłuż ponad Czungurtajem rozłożone. Zamierzałem dni kilka na tę wycieczkę obrócić i jużem się wybrał w drogę, gdym się dowiedział od sułtana Machmuda, że nazajutrz auł nasz ma niezawodnie z tego miejsca odkoczować, widziałem się przeto zmuszonym wyrzec się dalekiej wycieczki, gdyż dla nieprzywykłego dla przydłuższych po nieznajomych stepach podróży, byłoby za trudno doszukiwać się przenoszącego się z miejsca na miejsce aułu, zwłaszcza, że nie wiedziałem, jakich będę miał przewodników i czy w rzeczy samej Andrzej Afanasiewicz, tak jak upewniał, będzie mógł ich dla mnie wynaleźć. Wolałem zatem ograniczyć się tym razem na zwiedzaniu pagórków kredzianych o wiorst sześć odległych. Chciałem jeszcze być na Turtabaszu, na który już od kilku dni z ciekawością poglądałem, ale jeszcze wiorst najmniej pięć było do niego a już wieczór nadchodził, i zaledwie zostawało tyle czasu, iżby przed nocą do aułu powrócić. Tem bardziej żal mi było, iż nie mogłem z bliska obejrzeć tej góry, że nazajutrz mieliśmy się z tego miejsca oddalić i później zamierzone odwiedziny mogły się stać niepodobne.

Pod wieczór przed zmierzchem wszystkie kibitki były zdjęte, wszystko ułożone w paki i gotowe do podróży. Już było dość późno, gdy na rozesłanych dywanach i *koszmach* liczni goście w wielki okrąg pod gołym, gwiaździstym niebem zasiedli do wieczerzy. Na gościach u Baj-Muchameda nigdy nie zbywa. Każdego prawie dnia z różnych rodów Kirgizi zjeżdżają się już dla okazania uszanowania swojemu rządcy, już z różnymi spornymi sprawami, które sułtan słownie zwykle podczas wieczerzy, bez żadnych piśmiennych wywodów rozstrzyga. Częstokroć goście ci przypędzają z sobą w podarek dla sułtana barany i konie, inaczej trzody jego, jakkolwiek liczne, nie mogłyby na uraczenie tak licznych i tak częstych gości wystarczyć.

Wielce smakowitym pokarmem uważa się u Kirgizów młody baranek, ale zdaje się iż nad wszystko przedkładają mięso źrebięcie. Właśnie tego wieczora zarznięto pięknego młodego konika i gdym powróciwszy z przechadzki i usiadł obok sułtana, który ciągle nie przestaje mi czynić największych grzeczności, zapytał mnie, czyli ja mogę jeść koninę? Nie mając żadnego przeciw temu czystemu zwierzęciu uprzedzenia i z kilkokrotnego doświadczenia wiedząc już o jego smakowitości, odpowiedziałem jego sułtańskiej mości, że nie tylko jadam, ale nawet lubię koninę, i że gotów jestem natychmiast dowieść mego upodobania do niej. Zapomniałem pierwej powiedzieć, iż sułtan Baj-Muchamed, jest wielce nabożny, regularnie modli się podług przepisów alkoranu, pięć razy na dzień. Przed każdym jedzeniem, równie i po jedzeniu odmawia się u niego krótka modlitwa, w czasie tej modlitwy wszyscy przytomni trzymają przed oczyma rozłożone ręce jak gdyby na nich czytali, po odmówieniu modlitwy gładzą sobie obiema rękoma twarz i brodę i dopiero

wówczas zabierają się do przeznaczonej im strawy. Gdy podano miski z mięsem wszyscy z niezmiernym jedli apetytem; zdaje się, iż Kirgizi wcale nie, albo mało co żują, gdyż po włożeniu do ust pełnej ręki sporych kawałków mięsa, zaraz prawie następuje połknięcie, co może być jedną z przyczyn zdrowości i białości ich zębów, której by mogła pozazdrościć niejedna z europejskich naszych piękności. Chociaż także nie mogę się skarżyć na brak apetytu, nie byłem jednak w stanie dorównać moim stepowym towarzyszom, przed którymi w oka mgnieniu całe znikały talerze i sułtan zrobił uwagę, że ja nigdy się nie najem, jeżeli tak małymi kawałeczkami i tak powoli jeść będę.

Przypominam sobie, iż stryj mój pan Jan S. opowiadał kiedyś, iż książę Sapieha, przy którego zostawał dworze tak lubił mięso końskie, iż nigdy nie siadał do stołu bez ogromnej, źrebięcej pieczeni, którą na raz sam jeden zjadał. Jakkolwiek sławny był z tego względu apetyt książęcej mości, podług mnie daleko godniejszej uwagi jego smak delikatny, iż umiał ocenić wyborność mięsa, do którego u nas niesłusznie wszyscy wstręt mają, a którego nie używanie początkowo pójść mogło stąd, że u nas nie tak liczne i nie tak obszerne pastwiska, nie pozwalają utrzymywać w wielkiej liczbie tego zwierzęcia, i że przy jego nieodzownej potrzebie do różnych zajęć gospodarskich, niezmiernie by się jego cena podniosła, gdyby równie jak wół używane było na pokarm. Ale tym podobne przyczyny u moich przyjaciół Kirgizów nie mają miejsca; ich niezmierzone stepy pozwalają im hodować i rozmnażać prawie do nieskończoności konie, równie jak barany i innego rodzaju dobytek, i oni nie mają słusznej przyczyny wyrzekać się pokarmu, którego używanie nie naraża ich na żadną stratę, a który smacznym i zdrowym znajdują.

Noc tę trzeba było pod gołym niebem i prawie na bezsenności przepędzić. Chłód, a więcej jeszcze ustawiczny szum od przygotowań do jutrzejszego koczowania, prawie ani na chwilę oka zmrużyć nie pozwoliły.

Dwoma godzinami przed wschodem słońca, gdy tylko co świtać poczęło, spędzone do jednego miejsca wielbłądy, przerażały swoim żałobliwym krzykiem i na kilkakrotnie powtarzane rozkazy kobiet i sług sułtańskich, zajmujących się ich ładowaniem, głębokie wydając westchnienia, przyklękały dla przyjęcia ciężarów na grzbiety swoje. Gdy słońce się ukazało już objuczone wielbłądy gotowe stały do drogi, trzody z wolna postępowały stronami, każdy siodłał konia dla siebie i zabierał się bez żalu opuścić to miejsce, na którym niewiele dni przepędził, i z którym niczym nie był złączony. Dobre lub złe pastwisko dla trzody, stanowi najwięcej o dłuższym lub krótszym przebywaniu Kirgiza na jednym miejscu. Chęć zbliżenia do znajomych lub ułatwienia niedokończonych interesów sprawuje, iż się raczej w jedną niż w drugą stronę kieruje. Miejsce naszego koczowiska już zupełnie było opuszczone, pozostały tylko tu i ówdzie okrągłe ślady, na których stały kibitki, tudzież pogaszone ogniska i walające się gdzieniegdzie porzucone szmaty.

Siadałem sam jeden spoglądając na to opustoszałe miejsce i na ożywione dokoła stepy, którym ukośne wschodzącego słońca promienie nowego przydawały powabu. Rzędy obładowanych wielbłądów posuwały się z wolna jedne za drugimi; obok

nich kobiety w różnokolorowym stroju, na koniach, tu i ówdzie grupy jeźdźców przebiegających z miejsca na miejsce, bez celu, tak jak bez celu zdaje się być całe życie Kirgiza; dokoła ciągnące się trzody i rżące i ryczące i beczące, wszystko to rozsypane po stepie jak okiem zajrzeć i ozłocone promieniami podnoszącego się wspaniale słońca, wcale zajmujący czyniło widok, który się kończył dwusetnym oddziałem uralskich kozaków, długimi nastrzępionych pikami i za nimi przydłuższym nieco szeregiem teleg z bagażami. Grzegorz długo mi nie przyprowadzał konia, począłem się obawiać, aby oddalający się coraz ten żyjący obraz nie zniknął na koniec z oczu i samego mnie nie zostawił na stepie. Już zabierałem się dążyć piechotą, niezbyt kontent z tego o mnie zapomnienia, gdy nareszcie przybył Grzegorz z koniem, którego ledwie mu się złowić w tabunie udało. Osiodłanie niewiele zajęło czasu, już leciałem w cwał, by się połączyć z drugimi, kontent z niewielkiego stępaka, powolnego na rozkazy i lekko niosącego, gdy spotykam także w cwał lecącego sułtańskiego sługę, wiodącego na arkanie drugiego konia.

– Sułtan wam przysyła swojego upodobanego, wyrzekł, prosi, abyście na nim jechali, ten niech będzie dla waszego służącego.

Lubo nie miałem ochoty rozstawać się z moim stępakiem, nie można było atoli nie przyjąć tej oznaki sułtańskiej przychylności i oprócz tego rad byłem, że mój Grzegorz także nie pójdzie piechotą, gdyż zdawało się niepodobna iżby mu udało się samemu bez arkana, złowić drugiego konia w tabunie. Ranek był szczególnie piękny, jakby umyślnie dla naszej podróży, gdyż wszystkie dni poprzedzające, były wietrzne i dosyć chłodne. Chciało mi się połączyć z pięknościami jadącymi obok wielbłądów, ale uważałem, że wszyscy mężczyźni jechali w znacznej odległości, w osobnych grupach, i bałem się zrobić cokolwiek przeciwko zwyczajowi moich nowych towarzyszów, których zaskarbić przychylność postanowiłem. Jechaliśmy ku południowemu wschodowi, przez wzgórkowate stepy, godzin ze cztery, nie tracąc z widoku Czungurtaju, na koniec zatrzymaliśmy się na wąskiej zielonej dolinie; rozbito naprędce z płótna namiocik, gdyż słońce dopiekało, a wielbłądy z kibitkami jeszcze nie nadeszły. Nowe to miejsce niczym się prawie nie różniło od pierwszego. Taż sama wzdłuż Czungurtaju, nieco tylko rozleglejsza równina i też same naokoło wzgórza; brzegi rzeki z obu stron urwiste, wyraźnie okazywały gliniastą i wapienną naturę gruntu, który w innych miejscach z czarnoziemem mieszany, zieleńszą i bujniejszą trawą był pokryty, ba wzgórzach zaś grubszy piasek zdarzał się przeważać. W ogólności wegetacja tu bardzo nędzna i nie wiem co mogło skłonić sułtana do zatrzymania się na tym miejscu. Gdym się oto pytał, odpowiedział, iż niedługo tu zostaniemy. Z północno-zachodniej strony widać jeszcze było podługowaty wierzch Turtabaszu, jak brzeżek wyglądającej spoza ziemi chmury, na wschodzie, spomiędzy pomniejszych wzgórków, wyglądał okrągły biały Kizymczyk, ku południowemu wschodowi ciągnęła się nad rzeką podłużna równina. Kwiaty te same, tak że dwa tylko nowe gatunki do mojego zbioru przybyły, a Tomasz bibuły nie przysłał. Wkrótce nadciągnęły wielbłądy i w oka mgnieniu nowe miasto stanęło. Tego dnia, dopiero aż późno w nocy zgotowano baraniny, trzeba było przestać na

samym *kumysie*, choć jeść chciało się porządnie. Zdaje się, iż trzeba przez przywyknienie długie, usposobić żołądek, iżby sam *kumys* mógł wszelki inny pokarm zastąpić. Nazajutrz u Machmuda byłem na wieczerzy, częstowano gości obficie *kumysem*. Począłem zapisywać i uczyć się powoli używańszych wyrazów kirgizkich. Zdaje się, iż długiego trzeba by czasu, by się dobrze tego języka wyuczyć.

Sułtan Machmud przystojny, z małą bródką, z orlikowatym nosem, lubi się stroić, od modlitwy ucieka, brząka sobie: tram, tram na gitarze i przyśpiewuje: *halil, halil, halil la!* Nie dziw, że się mu udaje bałamucić stepowe dziewczęta i dawać powody biednej żonie do użalań. Chodząc nad Czungurtajem spotkałem kozaków łowiących ryby, które się obficie w głębszych miejscach znajdują. Przy mnie wyciągnięto kilka sporych szczupaków, linów, jazów i karasi. Kozacy powiadają, iż się także pojawiają dość wielkie sumy. Biednego żółwia oswobodziłem od męczeńskiej śmierci, na którą go byli Kozacy skazali. Usypali z piasku wysoki wzgórek, położyli nań żółwia grzbietem na dół, ażeby się powoli spiekł na słońcu, gdyż jeżeli żółw, skrzywdzony zostanie przy życiu, to niezawodnie przyjdzie i zadepce tego, kto go skrzywdził, a od czego ów umierać musi. Dobrze się stało, żem nie pojechał ze Szczapowem, gdyż ledwo sześć dni upłynęło od jego odjazdu, a jużeśmy trzy koczówki odbyli. Od owej zielonej doliny nad Utwą skierowaliśmy się prosto ku południowi i zatrzymawszy się dwa dni dla wypoczynku nad maleńkimi jeziorkami, utworzonymi zapewne w czasie wiosennej powodzi i nie łączącymi się widocznie z żadną rzeką, dążyliśmy dalej, w tymże samym kierunku ku Bałdurty. Droga nasza szła przez monotonne wszędzie stepy, wszędzie wzgórza gliniaste, piaszczyste, dosyć w trawę ubogie, przerznięte tu i ówdzie wąskimi dolinami lub parowami, gdzie bujniejsza wegetacja się daje, kwiaty także wszędzie te same, ta tylko różnica, iż w jednym miejscu panuje *euforbija*, w drugim *timus* (bogorodzkaja trawa), w innym *achillea* biała lub żółta, a wszędzie prawie piołun; miejscami daje się widzieć *konvolvulus*, *scorconera*, dyrydnik, gwoździki białe i różowe. Zbiór moich kwiatów zapewne będzie ubogi, dla nie zdrowia nie mogę dalekich robić wycieczek, zbieram więc te tylko, które spotykam w moich przechadzkach po okolicznych wzgórzach i dolinach.

Już słońce dobrze dopiekać poczęło gdyśmy wjechali na równinę niezbyt rozległą, porosłą kępkami wysokiej trawy, którą w tym miejscu Czylis, od wschodu na zachód przerzyna. Grunt doliny tej często wapienny lub wapienno-piaszczysty, wąziutki Czylis, w niektórych miejscach ledwie w wysokiej trawie dojrzany, tu i ówdzie tworzy niewielkie, ale dość głębokie sadzaweczki i tym sposobem dla pojenia trzody przydatny. Kozacy po kilkakrotnym zapuszczeniu sieci ledwie kilka niewielkich karasków wyciągnęli, może dlatego, iż wielkość ich sieci nie odpowiadała głębokości wody. Jakkolwiek bądź innego nie było środka przekonać się, czy rzeka obfituje w ryby lub nie. Woda płynie bardzo powoli, także kierunek jej biegu, osobliwie, gdy wiatr przeciwny, ledwie dojrzany być może. Zdrowie moje dotąd wyraźnie się nie poprawia, to ból w boku, to duszenie męczyć nie przestawały. Nieregularność życia wiele mi się też naprzykrza. Kirgizi jedzą albo kilka razy

na dzień albo żadnego razu, albo zbyt rano albo też cały dzień o jednym *kumysie* przebywszy, dopiero aż późno w nocy do jedzenia się biorą. Czasem, gdy nie ma gości, zamiast świeżego mięsa jedzą wędzoną i soloną koninę, którą i ja kilka razy jadłem i zawsze miałem od niej mocne palenie w żołądku i powiększone duszenie w gardle, dlatego wyrzekłem się jej zupełnie i postanowiłem zawsze czynić zapas kilkudniowy ze świeżego mięsa, które mój Grzegorz nie arcywyśmienicie gotuje, ale od głodu i to dobre. Cieszę się ciągle nadzieją, że taka dieta wyjdzie mi potem na dobre.

Stosunki moje z sułtanem co raz się stają ściślejsze. Jeżeli mu czego potrzeba z moich rzeczy, rozkazuje Grzegorzowi bez ceremonii sobie podawać, za to ja mam prawo do jego *kumysu*, do jego mleka, po które ile razy trzeba posyłam; jem prawie zawsze z jednego z nim talerza, czasem też co lepsze kąski wkłada mi prosto do ust swymi sułtańskimi palcami. Przy każdej wieczerzy nie zapomina o domownikach swoich i zawsze wszystkich własnymi rękami nakarmi; mówię nakarmi, gdyż zdaje mi się, iż od kilku garści pełnych mięsa można być sytym. Dlatego też zawsze stawia przed nami ogromny drewniany talerz pełny *machanu*, a czasem, gdy więcej gości, i dwa nawet, gdyż mówił raz do mnie: „taki u nas zwyczaj, że o nikim zapominać nie należy, inaczej miano by do mnie urazę. Częstokroć Kirgizi odwiedzają mnie nie dla mojego mięsa, lecz aby się dotknąć moich palców". W tym razie mówił sułtan istotną prawdę, gdyż bardzo często goście przybywający do niego, przywożą mu *kumysu* i przypędzają swoje barany i konie, stąd widać, że nie mięso ich sprowadza. Wszakże bez tych podarunków w niedługim czasie sułtan musiałby wszystkie trzody swoje, jakkolwiek liczne roztraktować, zwłaszcza, że żaden z upodobańszych jego gości, a mianowicie z krewnych nie jedzie, ażeby czego także w prezencie nie dostał. Za mojego pobytu jedna z krewnych, która go odwiedziła po długoletnim niewidzeniu, odjeżdżając uprowadziła trzech wielbłądów i piętnaście koni, druga zaś dwa wielbłądy i pięć koni.

Powiedziałem wyżej, iż kobiety siedzą za firankami, firanki te wszakże nie należą zgoła, jak widać, do kirgizkich zwyczajów, gdyż w jednej tylko sułtańskiej kibitce dają się widzieć i wiszą tylko w czasie zebrania gości i w obecności sułtana; w innych kibitkach nawet bogatszych Kirgizów, kobiety siedzą bez żadnego zakrycia, owszem są bardzo wolne w obchodzeniu się z mężczyznami. Te same panny sułtanówny, które u ojca niby rzadkość jaka siedzą za zasłoną, widziałem w innych kibitkach, leżące sobie w jednych koszulkach obok z innymi kobietami i mężczyznami, którzy przy tak dostojnych damach nie wstydzą się odkrywać plecy i nogi aż do kolan i zabawiają się z niemi najpoufalszym sposobem. Przyszedłem także do lepszej znajomości z jejmością, panią sułtanową. Już kilka razy odwiedziła mnie w mojej kibitce. Siada sobie, a nawet kładzie się na moim materacu. Każe sobie robić herbatę, za nią przychodzą i inne kobiety, jej znajome i w gościnie u niej bawiące, wypijają pełen kociołek herbaty i odchodzą powtarzając po kilkakroć: *ałdaraza buze* (bardzo dziękuję). Często pytają mnie się, czy mam żonę i nie mogą zdaje się tego pojąć, jak można w takim jak ja wieku żyć bezżennie, dlatego

od pewnego czasu począłem im mówić, że moja żona i cała moja familia bardzo daleko, aż za Rosją, która jest bardzo wielka; liczyłem jak mogłem na palcach setkami wiorst, póki od *mułły* nie nauczyłem się liczyć po kirgizku i wtenczas byłem lepiej zrozumianym, gdym powiedział: *minike ataj, minike anaj, minike chaton bik alles, ikeumen jarem czakrem*. Wczoraj rozmawiając z sułtanem o nowo zakładającej się twierdzy nad Morzem Kaspijskim i o tym, że się to Chiwie i okolicznym Kirgizom nie bardzo podoba, zrobiłem uwagę, iż dziwiło mnie, że Chiwa wiedząc o wielkości i potędze Rosji, odważa się często robić jej co do handlu przeszkody, i nie pomyśli, że Rosja, prędzej lub później zechce te przeszkody usunąć a wtenczas Chiwa straci swoją niepodległość i wejść musi pod panowanie Rosji.

– O, co do tego, odpowiedział, to chiwańczykowie zupełnie są spokojni, u nich są *mułłowie*, którzy ich upewniają, że przyjazne duchy ciągle czuwają nad całością Chiwy i że zaginąć jej nie pozwolą.

Uważałem, że sułtan mówił to z mocnym przekonaniem i dlatego nic nie odpowiedziałem, wiedząc, iż co do artykułu o świętości on był nieporuszony i wszystkie moje przeciwne rozumowania były próżne. Sułtan o Europie prawie żadnego nie ma wyobrażenia. Ledwie wie, iż oprócz Rosji są jeszcze jakieś oddzielne narody, zdaje się, iż o Anglikach i Francuzach dotąd ni razu nie słyszał! Pod imieniem Franków równie jak inni muzułmanie, rozumie wszystkich chrześcijan. Po niejakim milczeniu przydał: wszakże w naszych księgach świętych powiedziano: że kiedy Konstantyn będzie na tronie Franków (tj. Rosji), wtedy Mahometanie będą przez niego pobici, wtedy może i Chiwa upadnie.

Chociaż Baj Muchamed nie zna rzeczy europejskich, ale za to zdaje się, jak najdokładniejszą znajomość stepów kirgizkich posiada. Ma dzieło Lewszyna od p. Gensa sobie darowane, które wątpię czy mógł przeczytać, gdyż z trudnością może składać litery, a jeszcze trudniej całe wyrazy, na mapie atoli przy tym dziele będącej, wskazuje od razu wszystkie stepowe miejsca i dokładnie wszystkie o nich szczegóły opowiada.

O historii swojego narodu równie też wie bardzo mało. Mówił, iż te stepy były pierwej zamieszkałe przez Kałmyków, że Kirgizi w późniejszym czasie przyszli od Buchary, że Abułchair Chan, dziad jego pierwszy wszedł w stosunki z Rosją, ale co było przed Abułchairem, tego z goła nic nie wie. Wchodziłem o tymże przedmiocie w rozmowę z bratem jego rodzonym, sułtanem Tiauką, który niezbyt daleko koczuje i często przyjeżdża w gościnę, ale i od niego niczego więcej nie mogłem się nauczyć. O Kałmykach wyszłych z Rosji wiedzą tylko tyle, że ich matka dotąd żyjąca, ale bardzo stara, jest Kałmyczką wziętą w niewolę przez ich ojca Ajczawuka, w czasie tego wychodu.

Starania moje względem zbierania kirgizkich pieśni dotąd były daremne, lubo już dwa razy zdarzyło mi się słyszeć śpiewanie i granie tutejszych trubadurów. Chęć moją do kirgizkich pieśni zaostrzył jeszcze bardziej Bohdanów pismowoditiel przy sułtanie Minczirak, który powiada, iż lubo słyszał wiele śpiewaków i swoich i baszkirskich i czytał dosyć rosyjskich wierszy, wszakże nigdzie nie znalazł nic

piękniejszego nad pieśni kirgizkie ściągające się zwykle do wydarzeń historycznych lub do miłości. Prosiłem go najusilniej, aby się postarał o spisywanie tych pieśni, jeżeli mu się odtąd ich usłyszeć zdarzy. Lubo obiecał, wątpię czy prędko będzie w stanie zadość uczynić mej prośbie, gdyż prawie ciągle zajęty papierami, ani minuty nie ma wolnej, oprócz tego nie zawsze się zdarzają śpiewacy, nie postrzegłem, ażeby się Kirgizi bardzo za nimi upędzali; jeżeli się który zdarzy, wchodzi do kibitki i nie proszony sam swoje pieśni przy instrumencie do bałałajki podobnym zaczyna, po półgodzinnym lub godzinnym śpiewaniu dostaje miskę *kumysu* i idzie do innej kibitki po takąż nagrodę. Obchodząc odleglejsze kibitki spotkałem w jednej podobnego trubadura, trafiłem już na sam koniec, wszakże jeszcze słyszałem kilka piosneczek różnego rozmiaru, których głos przy akompaniamencie dosyć mi się wydał przyjemny. Wielka szkoda, iż nie było żywego ducha, co by choć umiał po rusku, może bym potrafił nakłonić śpiewaka, aby zajechał do naszego aułu, wszystkie moje prośby migowe nic nie pomogły, czy nie rozumiał, czy też nie chciał zadość uczynić mojemu żądaniu, wypiwszy podaną sobie miskę *kumysu* wyszedł, wsiadł na koń i poleciał w stepy, Pan Bóg wie dokąd.

Drugi, którego także przypadkiem w jednej kibitce spotkałem, nie śpiewał, ale tylko grał na drumli i na czubuzie. Drumla nie jest kirgiskim narodowym instrumentem, granie wszakże tego Kirgiza było bardzo różne od wszystkich tych, jakie mi się pierwej słyszeć zdarzało. Drumle trzymał całkiem w ustach, tak że ledwie kończyk jego widać było. Rękami się nie dotykał, ale tylko przybliżał lub oddalał od ust, wyrabiając niemi różne figle, jak gdyby ich ruchem rozprowadzał i miarkował drumlowe tony, o których jako nie muzyk, tyle tylko powiedzieć mogę, że mi się dość podobały. W ogólności kirgiska muzyka, ile słyszałem, nie ma jak się zdaje, takie rozmaitości i takiej szybkości w następstwie tonów, jak muzyka nasza. Lubią oni zatrzymywać się i spoczywać niejako na jednym głosie, tak jak lubią jednostajne i bezwładne prowadzić życie. Przesiadują dni całe na jednym miejscu bez żadnej roboty, oprócz czczej gawędy. Trzeba by zdaje się wielkiej i blisko dotykającej pobudki, ażeby ich do jakiegokolwiek działania doprowadziła. Wszystkie roboty około domu poczynają za wstyd dla siebie i same tylko kobiety lub *telenguci* są nimi obciążone, żaden zaś wolny Kirgiz do nich ręki nie ściągnie i siedzi sobie założywszy ręce lub smaczno zasypia, wtedy gdy w czasie przekoczowywania z miejsca na miejsce, gdy trzeba stawiać i rozstawiać kibitki, znosić rzeczy, ładować wielbłądy, z biednych kobiet, zwłaszcza przy mocnym upale, pot kroplami spada; nie raz szczerze żal mi było panien sułtanowien, które jak ostatnie robotnice do upadłego prawie pracowały.

Przy takim wstręcie do pracy Kirgizi samą tylko ostatnią nędzą przynagleni bywają najmować się za robotników do pogranicznych mieszkańców. Gdym się dowiedział, że znajdujemy się niedaleko linii granicznej i że do „Ozierskiego forpostu" nie więcej będzie nad piętnaście wiorst, chciałem doń pojechać, aby dostać krup i od dawna nie widzianego chleba, prosiłem tedy sułtana Mahbeta o konia i o przewodnika. Co do pierwszego żadnej nie ma trudności, zaś co do przewodni-

ka, powiedział, iż teraz niepodobna go znaleźć, gdyż wszyscy z okolicznych aułów Kirgizi wybierają się na skaczkę, którą jeden starszyna niedaleko stąd koczujący i wydający córkę swoją za mąż, w tych dniach ma wyprawiać. On sam tamże jechać zamyśla i na ten cel konia już zaczął przysposabiać. Jakoż spostrzegłem stojącego na uwięzi karnego rumaka, którego morzono głodem, i ledwie kiedy niekiedy do lichej trawy przypuszczano.

Było to dla mnie dobre zdarzenie widzieć kirgizkie wesele oświadczyłem więc sułtanowi, iż nie miałem zbyt pilnego interesu do forpostu, że owszem będzie mi daleko przyjemniej pojechać z nim razem na skaczkę; jeżeli jak powiada niezbyt do niej daleko. Nazajutrz tedy przed wschodem słońca ruszyliśmy w towarzystwie kilkunastu Kirgizów, wszystkich niecierpliwie żądających dostać się co najprędzej na miejsce, gdzie miała się wypróbować rączość ich koni i gdzie oczekiwało ich mnóstwo mięsa i *kumysu*; podróż nasza ciągnęła się aż do zmierzchu lubo ciągle jechaliśmy dobrym kłusem a niekiedy nawet i cwałem. Szczęście moje iż dzień był dosyć chłodny, inaczej trudno by było wytrzymać tę podróż dla mnie zupełnie nową; po przybyciu na miejsce dziwiłem się, iż niewiele byłem znużony, zwłaszcza, że konna jazda dawniej nawet przy dobrem zdrowiu, zawsze mnie mocno mordowała. Sułtan Mahbet z Kirgizami został na równinie próbować swoich koni; obaczywszy, że inni toż samo robili, udałem się sam jeden do wskazanego aułu i postrzegłszy piękną białą kibitkę, nieco od innych oddaloną, wniosłem, że to być musi mieszkanie gospodarza wyprawiającego wesele i skierowałem się ku niej. Dwa niewielkie dywaniki były w niej rozesłane, na których siedziało dwóch Kirgizów. Oba umieli trochę po rusku. Jeden z nich młody i dość przystojny był pan młody. Od dwóch dni siedział z towarzyszem swoim w tej kibitce, umyślnie dla siebie postawionej i nigdzie się z niej nie wydalał, gdyż nie wolno mu było spotkać się we dnie z narzeczoną, którą tylko ukradkiem przyprowadzała doń bratowa jej ojca. Już lat siedem jak się zaręczył. Wtenczas jeszcze był gołowąsy a teraz już mu bródka na palec urosła. *Kałymu* zapłacił czterdzieści baranów, pięć koni i krów kilka a teraz na ostatek przyprowadził dwa wielbłądy. W posagu ma wziąć tę piękną białą kibitkę i zapewne jakie takie sprzęty i ubiory kobiece. „U was, przydał daleko lepszy zwyczaj nie ma tyle zachodów i człowiek się tak długo nie męczy". Zrobiłem uwagę, że takie ukradkowe widywanie się z narzeczoną musi mieć swe wielkie przyjemności. Już było dość późno, gdy przybyli moi towarzysze rozsiodłaliśmy konie i zabieraliśmy się do spania, gdyż właśnie tę kibitkę pana młodego chciano nam wyznaczyć na kwaterę, wtem przyszedł posłaniec od gospodarza, który nas zapraszał do siebie. Gdy weszliśmy do jego namiotu, już zarznięty i oprawiony baran leżał u progu, dobrą dla wygłodniałych zapowiadając wieczerzę. Mnie i sułtana Mahbeta posadzono na dywanie naprzeciwko drzwi wchodowych, inni usadowili się naokoło przy ścianach kibitki. Ogień tylko co rozniecony pośrodku tlał pod ogromnym żelaznym kotłem i kiedy niekiedy błyskając szerszymi pasmami oświecał szerokie i ogorzałe twarze Kirgizów. Dym gęstymi kłębami wymykał się przez górny otwór, nie dosięgając dokoła siedzących biesiadników. Dwie stare

kobiety zawijały się koło barana i porąbanego na części rzucały do kotła, w którym woda już wrzeć poczynała; tymczasem *kumys*, dusza wszystkich biesiad kirgizkich, obficie krążyć począł i wrzaskliwa szumiała rozmowa. Na ostatek ucichli wszyscy i dał się słyszeć chrapliwy głos Czybuzga. Wpatrując się w tę stronę skąd głos wychodził postrzegłem siwego i brodatego Kirgiza, którego grube rysy i gesta, przy wzmagającym się kiedy niekiedy płomieniu, rozeznawać można było. Za każdym przestankiem mocno wymawiał jakieś krótkie słowo, jak gdyby kończące myśl poprzednio przez muzykę wyrażoną. Po umilknieniu Czybuzga poczęły się pieśni. Dwaj naprzeciwko siebie siedzący młodzi Kirgizi śpiewali na przemian krótkie strofy, jak pasterze w eklogach Wirgiliusza. Musieli wieść spór pomiędzy sobą i słuchacze szumnym śmiechem i głośnym powtarzaniem niektórych prześpiewanych wyrazów, to jednego, to drugiego zachęcali. Ciekawy bardzo byłem wiedzieć o co rzecz szła i zapytywałem po kilkakroć obok siedzącego Kirgiza, który umiał nieco po rusku, ale ten mi zawsze powiedział: „pieśni śpiewają, zwyczajnie, pieśni" i tym podobne nic nie znaczące wyrazy. Śpiewanie to ciągnęło się dość długo, tymczasem ugotowała się baranina i wyłożono ją z kotła na kilka wielkich drewnianych mis, na jedną tłustość, na drugą wątrobę, potem mięso itd. Z tych dopiero sam gospodarz kładł zakasanymi aż po łokcie rękami po kawałku do każdego talerza, które po zwykłem umyciu rąk roznoszono gościom. Mnie dostał się spory talerz, ledwie dziesiątą część zjeść mogłem, resztę naśladując moich towarzyszów, porznąwszy na drobne kawałeczki, częstowałem dokoła siedzących gości, począwszy od gospodarza, i wkładałem im do ust całe garście machanu, z czego i gospodarz i goście wielce byli kontenci. Choć już mieliśmy wyznaczoną kwaterę gospodarz prosił mnie i sułtana Makbeta, abyśmy nocowali, gdyż w tamtej będzie wiele ludzi i może być niespokojnie.

Nazajutrz skorośmy się obudzili postawiono pośrodku dzbanek z wodą, z którego wszyscyśmy się umywali, po czym wypiwszy po ogromnej misce *kumysu* zamiast herbaty pojechaliśmy do przyległego aułu, gdzie byli znajomi sułtanowi Kirgizi, i gdzie mieliśmy oczekiwać na skaczkę, która powinna była odprawić się tegoż samego wieczora. Tu nam dano osobną kibitkę, zarznięto kurgaszka i oprócz tego częstowano *ajranczykiem* i masłem, które moi towarzysze z wielkim apetytem zjadali, biorąc w rękę i przekładając z jednej do drugiej oblizywali dłonie. Dziwili się mocno, że ja tak smakowitej rzeczy nie jadłem. Lecz chociaż dotąd we wszystkim starałem się ich naśladować, nie mogłem w żaden sposób jeść samego masła, które oprócz tego było nieświeże i nieczyste. Inny Kirgiz z sąsiedniej kibitki zaprosił nas także na barana, którego umyślnie zarznął dla uraczenia sułtana. Dziwiłem się niepomiernemu apetytowi moich towarzyszy, którzy tylko co po obfitej uczcie, sprzątnęli w oka mgnieniu całego barana. Gdy po tym bankiecie wszyscy się pokładli poszedłem chodzić po wapiennych okolicznych wzgórzach, prawie zupełnie nagich, widać było daleko ciągnącą się ku wschodowi równinę pokrytą zieloną trawą i poprzerzynaną tu i ówdzie parowami dość głębokimi, w które woda zapewne w czasie wiosennych powodzi nalana, a teraz stojąca i na wpół z błotem zmiesza-

na, służyła za nędzny napój trzodom kirgiskim. Z tym wszystkim na tem miejscu były rozsypane jak okiem dojrzeć, w niezliczonej liczbie kibitki i czyniły widok równiny zajmującym. Gdy się słońce dobrze zniżać poczęło (nie mając zegarka na godziny czasu liczyć nie mogłem) ze wszystkich tych aułów wysypało się mnóstwo konnych jeźdźców. Wszyscy dążyli ku wzgórzu, na południe o kilka wiorst leżącemu, kilkunastu jeźdźców, mających walczyć o rączość swych koni, ruszyło naprzód wraz z kilku świadkami na miejsce wyznaczone, skąd bieg swój rozpocząć mieli i wkrótce zniknęli mi z oczu. Nie mogłem dokładnie dowiedzieć się jak wielka była meta, jedno mówili, że na dziesięć, drudzy, że na piętnaście wiorst. W ogólności trudno się od Kirgiza dowiedzieć o odległości, równie, jak trudno dowiedzieć o czasie. Kiedy powie, iż wiorst piętnaście, to śmiało liczyć można we troje, jeżeli nie więcej i dlatego chcąc się dowiedzieć od nich o odległości, lepiej jest pytać, w jakim czasie i w jakim biegu ją przebyć można, i tak nawet rzadko który dokładnie odpowie. W tym czasie jednak niewiele się musieli omylić, gdyż po dwóch może po trzech godzinach ukazały się wśród chmury kurzu nasze bieguny.

Kawał poszarpanej *koszmy*, zawieszonej na drągu, służył za kres ich biegu. Biesiadnicy, którzy dotąd wokoło niewielkiego wzgórza skupieni, słuchali śpiewów pośrodku stojącego barda, poruszyli się jednym razem, aby lecieć na spotkanie zawodników, ale gospodarz ze swoją partią nie chciał im na to pozwolić. Wszczął się wrzask okropny, machali rękami, wywijali batogami, ale w końcu uciszyli się i widać, że gospodarza strona zwyciężyła, gdyż pozostali na miejscu. Wszakże niedługo trwała cisza, bo gdy tamci bliżsi podjeżdżać zaczęli wtenczas rzucili się wszyscy naprzód; znowu się wszczął krzyk nadzwyczajny wśród zamieszania niepodobna było odróżnić zawodników od widzów; domyśleć się tylko można było, iż każdy z ostatnich dopomagać chciał swojemu znajomemu do otrzymania zwycięstwa. Stałem na koniu niedaleko mety chcąc wszystkiemu dobrze się przypatrzeć, ale wśród tłumu nic prawie widzieć nie mogłem i ze wszystkich stron ściśnięty ledwie co wymknąć potrafiłem. Mignął tylko w mych oczach biedny baran, naznaczony w nagrodę zwycięzcy, którego rwali na różne strony. Spór ten skończył się na tym, jak mi mówiono później, iż barana przyrządzono Kirgizowi, którego koń siwy niezaprzeczalnie odznaczał się w biegu, lubo o doścignieniu do mety wśród takiego chaosu, nic pewnego postanowić nie można było. Już miało się ku wieczorowi gdyśmy wrócili do aułu. Cały ten tłum nie zsiadał z koni, ale się snuł pomiędzy kibitkami, z których dwie były zajęte przez kobiety wystrojone w najparadniejszą odzież. I panny i mężatki miały na sobie chałaty różnokolorowe, jedwabne, czerwone lub amarantowe, aksamitne. Dziewice odznaczały się od zamężnych tym, iż na głowach miały albo kołpaczki stożkowatego kształtu z piórkami u góry i różnymi brzękawkami po bokach lub tylko prosto związane chusteczki. U mężatek zaś kołpaki u góry znacznie ścięte i zwykle częścią w białe płótno obwinione, które okrywając po obu stronach uszy i przechodząc popod brodą padało długim końcem na plecy na kształt płatów włościanek poleskich.

Panna młoda sama nie miała na głowie żadnego szczególnego ubrania. Włosy po prostu w kilka kos splecione spadały na plecy; na nich zawieszona była czerwona jedwabna chusteczka, spod której kiedy niekiedy wymykało się omdlewające wielkiego czarnego oka spojrzenie. Już od pewnego czasu rozlegały się po kibitkach żałobliwe pieśni. Koszmy po bokach były podjęte i przez kratkowane ściany całe ich wnętrze widne było. Na końcu zjawił się młody śpiewak, który siedząc przy kratce zewnątrz kibitki, począł także intonować grubszym tonem i rozpoczęło się śpiewanie na przemian. Gdybym rozumiał po kirgizku zapewne treść tych pieśni dałaby mi poznać różne mniemania kirgiskie, ściągające się do epoki najciekawszej ich życia. Śpiewanie to miało się ciągnąć bez żadnej odmiany przez całą noc; dlatego nie spodziewając się obaczyć nic nowego wróciłem do swojej kibitki i położyłem się spać sam jeden rad, iż tę noc spokojnie będę mógł przepędzić. Nazajutrz do dnia znowu skaczka zupełnie taka jak pierwsza, z tą tylko różnicą, iż zamiast barana zwycięzca klacz otrzymywał. Po skaczce dziewięć kibitek umyślnie na to rozstawionych, napełniło się biesiadnikami. Kumys i *ajranczyk* przywożono z sąsiednich aułów, zwyczaj u Kirgizów wynikający z koniecznej potrzeby, bez czego najbogatszy nie byłby w stanie ugasić pragnienia swych licznych gości. Częstowano miskami, które były wielkości naszych salaterek, a których po kilka, w niezbyt długim czasie, każdy wypijał. Dwie kibitki osobne były zajęte przez dziewczęta ciągle śpiewające, między którymi znajdowała się panna młoda, i jedna kibitka przez zamężne kobiety. Kobiety te traktowano *ajranczykiem*, który rozkruszony na niewielkie kawałeczki w drewnianych korytkach podawano. Zaproszony z towarzystwem moim do jednej z najlepszych kibitek, napiwszy się *kumysu* i kilka minut posiedziawszy, wymknąłem się z tego natłoku dusznego by obejść i obejrzeć wszystko.

Zaszedłem do kobiet, gdzie mnie podano garść *ajranczyku*, myślałem, że się na tym skończy i chciałem wychodzić, gdyż wszystkie te stare baby, choć wystrojone i niemiłosiernie naróżowane, strasznie były odrażające. Już uroczyście wyrzekłem *aman bul*, i miałem się ku drzwiom, ale zachodzi drogę jedna, bierze za rękę i krzyczy: *lachte*, *tochte kutak barma*, *ilkunma kichinem*, i razem przy tych wyrazach nuż mnie na wszystkie strony skubać i łaskotać; do niej przyłączyło się wiele innych i w takie mnie wzięły obroty, iż myślałem, że ducha wyzionę. Krzyku mojego wśród ich wrzasku nie było słychać. Na moje szczęście przechodził znajomy Kirgiz i mnie od tych żartów i pieszczot oswobodził. Panny były daleko grzeczniejsze, witały się ze mną i podawały, acz z małym oporem swoje ręce. Panna młoda nawet pozwalała uchylać zasłony i przypatrywać się nieszpetnej swej twarzyczce. Po niejakim czasie tak się ośmieliły, iż zabawiały się moimi rękawiczkami, które mi z rąk pościągały, moim kołnierzykiem, połami surduta, nożyk wyjęły z kieszeni i obrzynały nim sobie paznokcie, ale najbardziej im się podobały moje błyszczące guziki od kamizelki, i tak się ich uparły, iż nie było rady i musiałem cały jeden rząd oberznąć.

Zjawiła się tymczasem jedna zamężna – która z nich się najbardziej tobie podoba? – zapytała, która najpiękniejsza? Wszystkie są piękne. – Ale która mianowicie,

powiedz; kiedy milczałem nie wiedząc co odpowiedzieć, ona porwała moją rękę i poczęła wciskać w rękę tej dziewczyny, której nieco pierwej przypatrywałem się czarnym pięknym włosom. Wtem zrobił się na dworze jakiś tumult, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę i ja wymknąłem się obaczyć, co to znaczy. Była to jakaś bagatela, wnet wszystko ucichło, gospodarz zbliżył się do mnie i zaprosił na *machan*, który wtenczas na drewnianych talerzach, na drobniutkie kawałeczki pokrajany, *kumysem* oblany, po wszystkich kibitkach roznoszono. Podziękowałem gospodarzowi, gdyż było jeszcze dość rano i czułem małą niestrawność po wczorajszej wieczerzy. No to choć słuchać śpiewania naszych dziewic i przyprowadził mnie pod tę samą kibitkę, z której przed chwilą wyszedłem, i gdzie podobnie jak dnia wczorajszego, siedział ten sam śpiewak i toczyły się pieśni na przemian. Głos był ten sam, wyrazów nie zrozumiałem, postawszy parę minut odszedłem, chcąc zwiedzić jeszcze kibitki, z których mięso rozchodziło się w takiej obfitości. Było ich dwie drzwiami z sobą połączonych. W jednej stało kilka worów wypełnionych kawałkami gotowanego mięsa, a na rozesłanych słomianych matach toż samo mięso tylko drobno pokrajane ogromnymi stosami leżało. Wysoki Kirgiz z zakasanymi po łokcie rękawami, z ogromnym nożem, napełniał garścią podawane sobie przeze drzwi talerze, polewał *kumysem* i wstawiał do drugiej kibitki, skąd je zabierano i niesiono, gdzie tylko trzeba. Do tej zaś kibitki, gdzie był skład mięsa, nikt oprócz niego nie miał wolnego wstępu.

Po uczcie wszyscy wsiedli na koń i odjechawszy nieco od kibitek zrobili niewielkie koło, gdzie się odbywały znajome już nam zapasy ręczne, nie bez hałasu i sporów względem tego, komu się nagroda należy. Zwycięzcy dawano po kawałku białego płótna. Taka widać nieszczęśliwa natura ludzka, iż w najoczywistszej rzeczy nie obejdzie się bez sporów i kłótni, kiedy się przeciwne spotkają interesy i kiedy nie ma jakiej pośredniej władzy, która by powagą swoją namiętności ludzkie na wodzy trzymać mogła. Zapaśnicy występując do walki wkładali na obnażone po pas barki jergaki włosem na dół wywrócone i po wierzchu z lekka przepasywali się chustami. Widać taki ubiór znajdowali dogodniejszym dla swobody poruszeń i nie tak przystępnym dla ujęcia przeciwnikowi. Gdy już przeciwników nie stało resztę pozostałą płótna rozdarto na kawałeczki i rozdano widzom. Mnie także dano niewielką szmatę mówiąc: Wy naszym gościem jesteście, ta szmatka nic nie kosztuje, ale proszę przyjąć, bo taki u nas obyczaj. Przez cały ten dzień miały jeszcze trwać śpiewy przy pannie młodej, która dopiero o samej północy miała być zaprowadzona do kibitki pana młodego i zupełnie oddana na jego opiekę. Wszakże wszyscy prawie goście zaraz po skaczce rozjechali się do swoich aułów i zaczęto rozbierać kibitki na ich przyjęcie postawione. Jadąc nazad wstąpiliśmy do kibitki, gdzie leżał bez mowy pod białą kotarą mały chłopiec, który podczas wyścigów upadł wraz z koniem w największym pędzie. Dokoła w milczeniu siedzieli krewni i znajomi. Jeden *mułła* rozwiedzionym w łyżce szafranem namaszczał choremu czoło, ręce i nogi, a drugi czytał modlitwy. Zabawiliśmy przy nim chwilę a następnie udaliśmy się w dalszą drogę.

JÓZEF KOBYŁECKI
Zawodowy wojskowy
Na Syberii w latach 1831–1837

MIASTA I STEPY

Zawodowy wojskowy, ur. w 1801 roku, zm. 1867 roku w Warszawie. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, służył w rosyjskim pułku artylerii, przeniesionym po rozpoczęciu działań zbrojnych z Warszawy do Brześcia Litewskiego. Pułk ten sposobił się do walki z powstańcami, zatem Kobyłecki, nie chcąc walczyć przeciwko rodakom, złożył raport, w którym prosił o przeniesienie go w głąb Rosji. Przez pewien czas przebywał w Moskwie, skąd skierowano go do Tobolska w charakterze adiutanta tamtejszego naczelnika okręgu artyleryjskiego generała von Brüla. Czteroletni pobyt w tym mieście (1831–1834) łączył się z licznymi wyjazdami inspekcyjnymi do odległych batalionów. Poznał więc Kobyłecki Omsk, Tomsk, Tiumeń, Iszym, Tarę oraz zetknął się z tubylczymi ludami i rosyjskimi kolonistami mieszkającymi na tych rozległych obszarach. „Zwiedzając kilkakrotnie od 1831 roku, w przeciągu lat czterech – pisał w swej książce wydanej w 1837 roku w Warszawie – z powołania służby, średnią i południową Syberię, aż do samych granic państwa chińskiego, zbierałem w tych podróżach z troskliwością dla własnej pamięci to wszystko, co tylko od światłych mieszkańców zasięgnąć mogłem: o zwyczajach, religii, sposobie życia ludzi okolicy w której się znajdowałem i najodleglejszych nawet stronach; takowe wiadomości starannie zebrane i służyć mające dla mnie samego za wzór postępowania, w rozmaitych okolicznościach służby mojej, w wolnych o obowiązku chwilach, sprawdzałem z opisami rozmaitych autorów".

Na Syberii zawarł Kobyłecki związek małżeński z córką rosyjskiego generała (1835), czyniąc swoją pozycję bardziej stabilną pod względem statusu i majętności. Wkrótce wystąpił z wojska i zamieszkał w Warszawie, gdzie pracował w urzędzie gubernialnym. Tutaj też ukazała się jego książka zatytułowana *Wiadomości o Syberii i podróże w niej odbyte w latach 1831, 1832, 1833, 1834* (Warszawa 1837), mająca charakter monografii historyczno-geograficznej. Wiele w niej informacji o autochtonicznej ludności Syberii, o podboju tej krainy, jej geografii i gospodarce. Jednym słowem, swoisty las wiadomości będący rezultatem osobistej obserwacji i źródłowej kompilacji. Pisząc tę książkę, posiadał status gubernialnego urzędnika, więc tu i ówdzie znajdują się w niej swoiste ukłony wobec carskiego systemu kolonizacyjnego, dbałości Rosji o tę ziemię i jej rozwój. W sumie jest to książka ciekawa i należała zapewne do jednej z poczytniejszych publikacji, wszakże dawała wyobrażenie o Syberii, która stała się udziałem powszechnej świadomości Polaków poprzez osobiste i rodzinne związki z jej rozległymi obszarami*.

Podstawa relacji: J. Kobyłecki, *Wiadomości o Syberii i podróże w niej odbyte w latach 1831, 1832, 1833, 1834,* Warszawa 1837.

---

* Informacje biograficzne: W. Armon, hasło: Kobyłecki Józef, *„Polski Słownik Biograficzny"*, t. 13, 1967/1968, s. 74 i cytowana tam literatura oraz A. Kuczyński, *Syberyjskie szlaki,* Wrocław 1972, s. 241–254; tenże, *Ludy dalekie a bliskie,* Wrocław 1989, s. 110–111.

Omsk leży po obydwu stronach rzeki Omi, wpadającej tu w Irtysz wśród stepów bezdrzewnych; gdzieniegdzie zielenią się tylko rzadkie kępki krzewistej brzeziny. Kilkanaście lat temu, jeszcze mieszkaniec Omska obawiał się wyjść za rogatki miasta, gdyż dziki Kirgiz prędki jak strzała, napadał na każdego gardząc niebezpieczeństwem i unosił w stepy swoje; dziś już ta drapieżność pustyń mieszkańca upokorzoną została; dziś już Kirgiz przysuwa swą jurtę pod samą zagrodę miejską, włóczy się po jego ulicach, przygląda się pięknym budowlom lub znosi na bazar nędzne wyroby swego przemysłu. Omsk liczy teraz 11.428 mieszkańców, składa się z kilku odrębnych części, z których każda zaludniona jest oddzielnym stanem, i tak: forteczka leżąca po prawej stronie rzeki Omi, przy samym jej ujściu w Irtysz, osadzona garnizonem wojennym, mieści w sobie kilka znacznych zabudowań, jak to: murowaną Soborną Cerkiew, kościółek ewangelicki, dwa wielkie dwupiętrowe pawilony służące za koszary, główny odwach, dom generała-gubernatora i Naczelnika prowincji i kilka innych zabudowań murowanych; z drewnianych zaś są: więzienia, koszary dzieci żołnierskich i wiele mieszkań przeznaczonych dla oficerów. W odległości kilkuset kroków od forteczki widać murowane gmachy rządowe i część miasta Kadyszew zwaną, z drewnianych domów złożoną; dalej obszerny lazaret wojskowy z ogrodem botanicznym, i Mokre, trzecią część miasta, tę zajmują sami prawie urzędnicy i mieszczanie. Most na palach, kilkaset kroków długości mający, łączy inne części miasta leżące po lewej stronie rzeki Omi, a są to: Ilińska i Nowastobodka, zamieszkałe przez mieszczan i kupców: oprócz jednej murowanej cerkwi wszystkie tu zabudowania są drewniane; zdobią je: dom rządowy, policyjny, pocztamt i obszerne sklepy kupieckie, napełnione wszelkimi towarami europejskimi.

Na koniec ostatnia najrozleglejsza część miasta nazwana Kozacze Przedmieście, zamieszkała jest, jak samo jej imię wskazuje, przez samych prawie kozaków; w niej znajduje się gustownie wymurowana cerkiew, szkoły kozackiej i szlacheckiej młodzieży, będące najpiękniejszą murowaną budowlą miasta, cztery korynckie kolumny unoszą ładną attykę, cały budynek jest o dwóch piętrach z kilkoma osobnymi pawilonami. Sławny Humboldt zwiedzając te szkoły, uwielbiał porządek i zadziwiał się nad oświatą, którą dobroczynny rząd aż w stepach kirgiskich rozpościerać usiłuje. Młodzież kozacka prócz zwyczajnych klasycznych nauk, wykładaną ma w całej obszerności umiejętność artylerii i wojskowości, ćwiczy się w sztukach gimnastyki, mianowicie w sztuce robienia bronią i tańca; stąd w wielu będących na zabawach tutejszych, sprawi podziwienie, iż młody oficer kozacki z równym wdziękiem staje do kadryla francuskiego, jak do narodowego tańca, i niejeden z nich wysłany w step kirgiz-kajsacki, oprócz ścisłego wykonania poruczonej mu czynności, skreśli plan okolicy, narysuje widok i uczenie opisze wszystko, co go tam zająć zdołało. W tej części miasta, znajduje się wspaniały murowany meczet mahometański, dla mieszkańców stepu, Kirgizów wystawiony; ale na próżno z wyniosłego minaretu wzywa donośnym głosem tatarski *Mułła* wiernych, codziennie wieczorem na pacierze wołając: „Allach! Allach!" – Echo rozlega się

po oceanie stepowym, nikt przecież nie przychodzi, rzadko dziki Kirgiz wstępuje w progi świątyni dla wzniesienia modłów do Najwyższego Stwórcy! Obok meczetu wybudowano piękny dom przeznaczony na mieszkanie przybywających sułtanów kirgiskich lub ich posłów. Dalej widać obszerną fabrykę sukna, należącą do wojska kozackiego i piękny dom z kolumnami ich atamana; stąd rozciąga się miasto w kilku równo odległych ulicach zabudowanych drewnianymi domami, na koniec koszary wystawione dla kilku pułków kozackich i konnej artylerii, również park, stajnie i murowana ujeżdżalnia.

Ulice Omska są proste i regularne, ruch na nich nieustanny, tu przejeżdża konny artylerzysta kozacki na pięknym rumaku, a tam Kirgiz nawet wśród gorącego lata, odziany baranią skórą przewróconą długą sierścią na wierzch, w spiczastej czerwonej czapce, towarzyszy konno swej na krowie jadącej damie, u której nosa wisi dla ozdoby przewleczone, jak u naszych kobiet w uszach, mniej lub więcej kosztowne kółko; tu znowu poczwórna kareta z rodziną gubernatora, ciągniona czwórką pięknych kirgiskich rumaków, przesuwa się koło dróżek urzędników lub dwukołowej biedy stepowego mieszkańca. Bazar latem przepełniony jest najpiękniejszymi rybami i przywożonymi melonami i arbuzami; tam widać w kucki siedzących Kirgizów sprzedających miotły, łopaty i kosze; tu chłopa syberyjskiego stojącego przy wozie napełnionym cielętami, masłem lub innym jakimś produktem krajowym. Taki widok ruchu codziennie można mieć w Omsku.

Klimat Omska jest przykrzejszy od klimatu Tobolska, chociaż Omsk prawie o sześćset wiorst ku południowi odległy jest od Tobolska, zapewne dlatego, iż jest odkryty, bezleśny i nie mający gór żadnych, a wiatry panujące w tych stronach są tak mocne i gwałtowne, że częstokroć dachy z domów i poręcze z mostów zrywane bywają. Syberyjskie stepowe *burany* równie tu są niebezpieczne w zimowej porze, jak wichry w piaszczystych puszczach Arabii pustej; w całej bowiem przestrzeni podnoszący się śnieg zaciemnia widnokrąg a podróżny w tym ciemnym chaosie nie widząc śladu drogi, jeżeli nie jest wiedziony instynktem zwierząt, z trudnością wielką wydobywa się ze śniegu, stąd często za nadejściem wiosny, gdy już ziemia pozbędzie się swej śnieżnej pokrywy, znajdują ciała ludzi i zwierząt zimową porą śniegiem zasypanych.

Droga z Tobolska do Omska jest szeroka, zrównana, opatrzona wygodnymi mostami i w miejscach osuwistych poręczami; stacje pocztowe dobrze urządzone, tak iż lekko ubrany podróżny, w przeciągu trzydziestu sześciu godzin tę odległość 600. wiorst przebywa. Podróż ta nader jest zajmująca w lecie, przeszło dwieście kilkadziesiąt wiorst jedzie się środkiem najpiękniejszych okolic; rzeczki Wagaj i Basztyk wiją się po kilkakroć około drogi przechodzącej przez nieprzebyte lasy jodłowe i sosnowe; wioski tatarskie i ruskie niemało ludne, rozłożone zawsze nad brzegami wód rybnych, wdzięcznej dodają rozmaitości. Lecz wszystkie te przedmioty zdają się ulatywać przed wzrokiem podróżującego, taka jest szybkość biegu koni syberyjskich, a chociaż stacje pocztowe znajdują się co 20 lub 30 wiorst, rzadko jednak kto z podróżujących używa z nich koni, chłopek syberyjski lub Tatar

ma również rącze rumaki, bo te są zawsze owsem karmione i chętnie najmują je do jazdy za pomierną cenę. Wystawcie sobie założone cztery dzikie bieguny, kilku Tatarów z całej mocy trzyma je za cugle przy samych nozdrzach, jednak prawie zawsze wleczeni są aż za bramę zagrody, tam dopiero puszczają je i zostawiają bezpieczeństwo podróżnego woźnicy siedzącemu na koźle; oswobodzone rumaki parskając biegną na wyścigi z wiatrem i prawie w mgnieniu oka przez mosty, lasy, góry, parowy, przebiegają przestrzeń kilkadziesiąt wiorst do następnej stacji, gdzie świeże podobne zakładają konie.

Tak więc podróżny nie spostrzega prawie, kiedy przebył kilkaset wiorst i stanął u kresu swej podróży. Zbliżając się do miasta Tjukały, już lasy zaczynają się przerzedzać. Widać tylko gdzieniegdzie kępkami rosnące brzozy i wielkie jeziora otoczone pięknymi wioskami i siołami; dość znaczna rzeka Iszym, królowa stepów tegoż nazwiska, przerzyna prawie w połowie drogę z Tobolska do Omska. Ale nie doświadczył nigdy przykrości ten, kto tej drogi latem nie odbywał, miliony drobnych muszek, komarów, bąków, obsiada człowieka i konia, usiłując ich umęczyć w tym życiu. Do tego stopnia są te owady mianowicie muszki dokuczliwe, takie ich mnóstwo się znajduje, osobliwie w barabińskim stepie, że mieszkaniec i podróżujący zmuszeni są nadziewać na głowę siatki, konie zaś obmazywać dziegciem, aby się tym sposobem, choć cokolwiek zabezpieczyć od ich ukąszeń. Po wsiach palą mierzwę, a dym z niej wychodzący ochrania cokolwiek bydło, które instynktem wiedzione ciśnie się do zbawiennych ognisk, i woli wędzić się w dymie i palić, niż być ukąszonym.

Miasto Tiukata będące o sto dwadzieścia wiorst od Omska, jest mniej znaczne i mające tylko kilka tysięcy ludności, leży przecież na głównym poprzecznym trakcie idącym z Rosji przez Iszym, Tiukałę, Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck do Kiachty.

Iszym miasto nad rzeką tegoż imienia, stolica owych sławnych stepów iszymskich i siedlisk rodzin tatarskich, jest spichlerzem tej okolicy, zabudowania ma drewniane, ulice porządne, w kilkuset domach liczy kilka tysięcy ludności. Choć jest od Tobolska trzysta pięćdziesiąt wiorst odległe, mieszkańcy przecież gubernialnego miasta przybywają tu na jarmarki dla zaopatrzenia się w bydło, mięso, zboże, które w Iszymie daleko jest tańsze jak gdzie indziej. Jeszcze w południowej stronie Guberni Tobolskiej leży nad rzeką Tobolem, miasteczko Kurgan, w miejscu najurodzajniejszym i najcieplejszym zachodniej Syberii; tu nawet bez wielkich zachodów rodzą się arbuzy.

Kirgiz-Kajsacka średnia horda

Spomiędzy dzikich narodów Syberii jest to jeden z najludniejszych i najbardziej podobieństwem zbliżony do Kałmuków i Tatarów koczujących. Kajsak znaczy w ich języku człowiek wolny; nazywają siebie Kirgiz-Kajsakami to jest: Kirgizami wolnymi, ruskich zaś Kozaków nazywają Urus-Kajsak. Nie ma więc wątpliwości, że wyraz kozak pochodzi od kirgiskiego Kajsak, co znaczy wolny człowiek. Dzisiaj Kirgiz-Kajsak buja po całej przestrzeni stepowej, rozległej i niezmierzonej okiem,

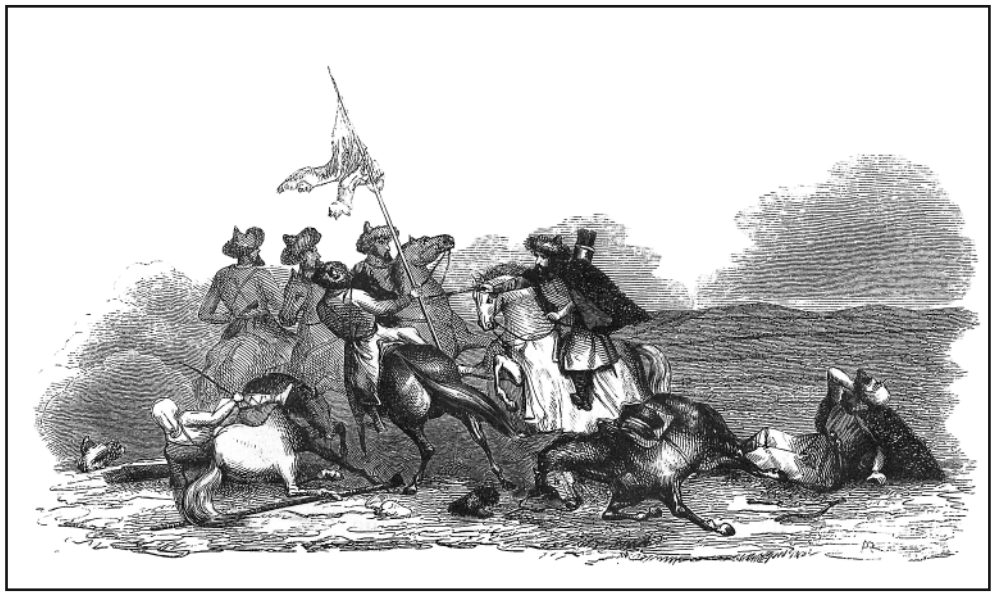

Baranty – rozboje, napady na inne auły „Rozboje, napady na inne auły, nazywają jednym słowem baranty. Z takowych barant powstaje pospolicie nienawiść i zemsta." – pisze autor wspomnień J. Kobyłecki

za czasów jednak Czyngis-hana, ich koczowisko rozciągało się od rzeki Jenisiej aż do Sielengi. Dzielą się na trzy hordy, na wielką czyli złotą, średnią i małą.

Średnia horda długo wzbraniała się ulegać Rosji, dopiero w roku 1641. Tugaczewski starłszy się z licznymi jej pokoleniami, rozbijał je zupełnie i zmusił do uległości, przy rzece Czułymie; w rok potem Kobylski, wziąwszy od niego dowództwo, poraził ich na głowę, a biorąc w zakład przyszłej wierności atamanów, odesłał ich do Tomska i tam daniny składać rozkazał. Później jeszcze wyparto ich zupełnie ku południowi i oddzielono linią Gorżką i linią Irtyszną, a step który teraz zajmują, nazywa się Karabińskim.

W dzisiejszych czasach już Kirgiz doznaje opieki i troskliwości rządu; już i w głębi ich stepów rzadsze są rozboje, nie tak częste kradzieże, bo miecz sprawiedliwości oświeconego rządu i tam sięga i karze winnego; na próżno się ukrywa po swoich aułach, urzędnik, sędzia i lekarz przybywszy ze strażą, dochodzą prawdy, spisany protokół przedstawiają rządowi, który trzymając się świętych zasad prawa, wymierza sprawiedliwość równie dla dzikiego Kirgiza, jak dla każdego z prawych synów Rosji.

Rozboje, napady na inne auły, nazywają jednym słowem *baranty*. Z takowych *barant* powstaje pospolicie nienawiść i zemsta, skutkami ich są kilkakrotne napadanie się, zabieranie i odbijanie sobie wzajemnie stad; ale biada temu, co się żywcem dostanie w ręce mściciela, najpospoliciej przerzyna mu ten wszystkie żyły, a pastwiąc się nad swą ofiarą, odrąbane różne członki, kładzie w wnętrzności zamordowanego.

W lecie zbliżają się ze swymi aułami do linii irtysznej, a szczególniej ku miastu Omsk i ku innym warowniom kozackim; wtedy odbywają się sotowki, targi, to jest zamiany bydła kirgiskiego na mąkę, wyroby żelazne i inne drobne rzeczy, choć podobne potrzeby bardzo są ograniczone dla człowieka żyjącego w stepach; zamiany te bardzo bywają korzystne dla kozaków linijnych, częstokroć za jeden pud żytniej mąki dostają dobrego kirgiskiego konia, a za arszyn ordynaryjnego manszestru, tłustego barana.

Latem, to koczujące ich życie, może mieć swoje przyjemności, lecz zimą jest okropne; jurty okryte są śniegiem, a przeziębły Kirgiz prawie z nich wychodzić nie śmie, tarzając się w ciepłym popiele. Straszne *burany* wpędzają śnieg w górny otwór jurty lub drzwiami, czasem nawet przewracają to nikczemne schronienie obywatela stepów; stąd często widzieć można kaleki między Kirgizami, a to kalectwo albo od sparzenia pochodzi albo odmrożenia jakiejś części ciała.

Przed zimą składają swe ruchomości na wozy i zapuszczają się w góry, leżące ku południowi w nowo utworzonych okręgach. Z daleka rozlega się po stepie skrzyp niesmarowanych osi, w czasie przechodu kilkaset takowych wozów, składających kilka aułów; auł mieści w sobie pięć do dziesięciu rodzin, z których każda mieszka w kilku kibitkach. Sułtani i starszyzna ma obszerniejsze i wygodniejsze jurty, robione z wojłoków czyli *koszmy*, tkanej z sierści wielbłądów; kształt ich i wewnętrzne urządzenie jest takie samo jak w jurtach koczujących Tatarów jenisejskiej guberni, różnią się tylko tym, iż są bez kory brzozowej. U możniejszych jednak sułtanów obite są jurty wewnątrz czerwonym suknem i materiami jedwabnymi. W ubogiej jurcie biednego Kirgiza obrzydliwa panuje nieczystość: w zawieszonym kotle na trójnogu ciągle się gotuje końskie mięso, do którego zbliżają się zarazem na pół nagie, okryte krostami i wyrzutami dzieci i psy stad strzegące, ubiegając się wzajemnie o kawałek, który wydobyć się im uda; porozścielane wojłoki służą im za pościel, dzieci zimową porą sypiają zwyczajnie w ciepłym popiele niedogasłego ogniska; na ziemi stoi *tursuk*, wór z tłustej skóry końskiej z *kumysem*, służący za napój najulubieńszy; przy górnym otworze jurty, przez który dym wychodzi, wiszą końskie wędzonki, kiełbasy i kiszki krwią nalane. Bydło, konie, wielbłądy składają ich bogactwo. Bogaty Kirgiz ma czasem 4.000 koni, mnóstwo bydła i wielbłądów, nigdy jednak nie przeznaczają na rzeź bydlęcia, padające tylko od jazwy czyli zarazy syberyjskiej i zdechłe bydlęta, służą do pożywienia.

W czasie kanikuły od wielkiego gorąca i zbytniego używania *kumysu*, tak starzy jak młodzi tracą pamięć; ospa raz pokazawszy się w aule nie oszczędza nikogo, dlatego też powodem jest ogólnego przestrachu i naprowadza ich na barbarzyński sposób przerwania jej zabójczych działań; skoro się tylko na kim pokaże, kładą zarażonego w budkę naprędce z bali zbudowaną i zostawiwszy mu na kilka dni żywności, przenoszą jak najśpieszniej swe koczowisko w inne odległe miejsce; tak porzucony, nieszczęśliwy chory, prędzej staje się pastwą żarłocznych wilków niż z choroby i wycieńczenia umrze śmiercią naturalną. Dobroczynny rząd stara się wszelkimi środkami udzielać pomocy, używa powagi dla ukrócenia tego barba-

rzyńskiego zwyczaju, ale przesąd zawsze górę bierze i niweczy najbardziej ludzkie usiłowania.

Kirgiz-Kajsaki są narodem nie mającym żadnej prawie religii, niektórzy tylko słabo bardzo przywiązani są do mahometanizmu, a lubo znajdują się pomiędzy nimi szamani przecież ze wstrętem uważają ich jako ludzi przejętych mocą diabła i tylko w ciężkiej chorobie do nich się udają. Dziwną jest rzeczą, iż Kirgizi nie mając za życia dogodnych siedzib i mieszkań, nad mogiłami nieboszczyków zakopanych mniej niż na arszyn głębokości w ziemię, stawiają budowle z bali pokryte dachem. Przy pogrzebie bogatszych odbywają szczególniejsze obrzędy. Skoro tylko żyć przestaje wszystkie żony i krewni jego wydają straszne jęki, krzyk żalu, płaczą, drapią sobie twarze, wyrywają włosy, wspominając nieboszczyka cnoty, męstwo i znaczniejsze jego czyny. Niekiedy trwają podobne sceny rok cały, codziennie rano i wieczorem powtarzając też same ceremonie, przed bałwanem lub figurką ubraną w odzież nieboszczyka. Ciało natychmiast obmywają, ubierają w najlepsze odzienie lub obwijają w płótno i kładą na dywanie, potem *mułła* odmawia modlitwy, na koniec zabierają i wiozą je na wielbłądzie do wykopanej mogiły w towarzystwie krewnych i płaczków, niosących na długiej żerdzi zawieszoną czarną chustkę zamiast pogrzebowej chorągwi; niekiedy zakopują wraz z trupem zbroję i rząd z jego konia lub też zabijają na mogile najmilszego mu wierzchowca; mięso z zabitego gotują i jedzą, a kości na grobie palą. Widok kirgiskiego cmentarza sprawia ciekawe wrażenie na podróżującym i z daleka przedstawia jakby wznoszące się miasto, wśród niezmierzonej przestrzeni stepowej; widać tam piramidy ułożone z kamienia i gliny, baszty i wysokie ogrodzenia; w jednym miejscu znajdują się przybite kopie i na nich pozawieszane grzywy końskie, wstęgi i chustki; dalej na mogile sławnego zdobywcy widać umieszczone siodło z lancą, łuk i sajdak ze strzałami; nad łowcą zaś umieszczają jakkolwiek niezgrabne i niezbyt wyraźne wyobrażenie jastrzębia lub sokoła; nad młodzieńcem kolebkę i tym podobne godła, zastosowane do znaczenia lub wieku zmarłego.

W głębi tych rozległych przestrzeni znajdują się innego rodzaju jeszcze pomniki, z których szczególniej trzy obok siebie będące zasługują na uwagę. Są to piramidy albo raczej ostrosłupy na cylindrowych podstawach, wymurowane z wypalonej cegły; każda ma około dwudziestu arszynów wysokości, a w nich są otwory prowadzące po kilku wschodach do ich środków; w pierwszej umieszczony jest z ciosowego kamienia posąg zamężnej kobiety Kirgizki, mającej na głowie nakrycie; druga tej samej wielkości, wyobraża młodą Kirgizkę z wiszącymi kilkoma warkoczami i sznurkami korali; trzecia podobna dwóm pierwszym, wyobraża młodego oblubieńca. Figury te stoją na podstawach z jednego kamienia wykutych; robota ich prosta i niezgrabna; pierwszą podług tradycji zowią macochą, drugą panną młodą, trzecią panem młodym; żadnej innej wiadomości ani o ich wystawieniu, ani o znaczeniu zaciągnąć nie można, oprócz ballady opowiadanej w ich narodzie; napisów żadnych nie ma, a po zieloności granitu sądząc, sięgają one dalekiej starożytności.

W rocznicę śmierci znakomitego Kirgiza obchodzą pamiątkę po nim na jego mogile, zjeżdżają się z dalekich aułów krewni i przyjaciele nieboszczyka, a tu już czekają na nich pieczone barany. Najadłszy się siadają na konie i uganiają się do mety na 20, 50, czasem i sto wiorst odległej. Zbiera się niekiedy do 300 jeźdźców, kobiety, starcy i małe chłopcy, mogą mieć udział w tej zabawie; zdarza się, że najpierwszy dobiegający koń ustaje lub pada o kilkadziesiąt kroków od mety, czym prędzej zarzucają na niego arkany, ciągną go i bijąc nahajkami wloką z pośpiechem, aby najpierwszą otrzymać nagrodę z rąk sędziego tych wyścigów. Nagrodami są: koń, wielbłąd, kilka baranów, czasem stary kałmuk!! Są jeszcze innego rodzaju gonitwy z Kirgizów, w których mężczyźni ubiegają się z kobietami w sztuce zręczności dobrego jeżdżenia konno. Jeźdźcy stawają parami i każdy mężczyzna powinien dogonić tę, co obok niego stoi, uchwycić ją a przynajmniej dotknąć się jej ręką. Jeżeli piękności kirgiskiej nie podoba się kawaler, stara się różnymi sposobami uniknąć jego natarczywości, już to przez rozmaite zwroty konia, już przez zręczne nachylenie się i przekręcanie na koniu lub na koniec przez dotkliwe użycie kańczuga, którego uderzeniem uwalnia się od natrętnego jeźdźca. Kirgizi lubią wielożeństwo i bogatsi mają do dwunastu żon; skupują je z innych aułów płacąc *kałym* bydłem, nie biorą przecież żon z jednej rodziny; z bezdzietnymi wdowami obowiązany jest żenić się podług zwyczaju patriarchalnego najbliższy brat zmarłego.

Panny kirgiskie noszą srebrne kółeczka przewleczone przez nozdrza; kilka splecionych warkoczy spada im na piersi i znaczna liczba sznurków korali z szyi. Wdowa po ostatnim chanie kirgiskim Walii w całej świetności swego ubioru na posłuchaniu u gubernatora omskiego, taką się okazała. Przy twarzy płaskiej i rumianej była dość otyłą, postawa jej wyrażała godność i powagę, choć smutek po stracie męża i zgasłej świetności wyraźnie się w jej rysach przebijał; na głowie miała spiczastą białą czapkę na półtora arszyna wysoką, podobną w kształcie do głowy cukru, ozdobioną w koło perłami, koralami, drogimi kamieniami, monetą srebrną i złotą, przewieszanymi zwierciadełkami i galonem złotym, spod tej czapki wychodziła z tyłu wielka biała chustka spięta pod brodą i aż do stóp spadająca. Na wierzchu okrywała ją jak u naszych duchownych bogata kapa tkana ze złota, którą zostawiła w przedpokoju gubernatora, spodnia zaś suknie podpasana, była z pięknej materii chińskiej zrobioną. Na nogach miała żółte buty safianowe, na wysokich korkach, na wierzch kładła zielone papucie ze skóry jaszczura. Przy niej będąca panna równie bogato była ubrana, ale bez czapki, tylko kilka splecionych warkoczy i liczne sznurki korali spadały na jej piersi. Mężczyźni zapuszczają małe i rzadkie brody z wąsami, mają albowiem zwyczaj wyrywania sobie pojedynczych włosów szczypczykami, kładą na ogoloną głowę wysokie spiczaste czerwone czapki z klapami futrzanymi, latem jednak używają białych kapeluszy. Bogaty Kirgiz nosi ubiór z aksamitu, kurtkę czerwoną lub czarną ze sznurkami złotymi i szerokie *czambary* haftowane w kwiaty jedwabiem różnych kolorów, na wierzchu nosi czupan czyli szlafrok jedwabny, zimową porą jergak, który ubogi Kirgiz na sobie nosi dopóty, aż póki sam od starości z niego nie opadnie; u pasa mają po-

zawieszane skórzane worki i kalitki ozdobione mosiężnymi gwoździami; worki te przeznaczone są na chowanie fajki, krzesiwa, noża, tytoniu itd., buty noszą na wysokich korkach, czerwone lub żółte, niekiedy wyszywane i stąd chód ich bywa trudny i ciężki; koń jest dla Kirgiza nierozdzielnym towarzyszem, jak drugi centaur zdaje się być jednym z nim ciałem, od rana do wieczora, nawet od jurty do jurty zaglądając nie zsiada, kobiety zaś zwyczajnie jeżdżą na krowach lub wielbłądach. Kirgiz wcale nie jest czynnym w domu; żona całym gospodarstwem się zajmuje. Mężczyzna lubi polowanie, do którego używa chartów i wyuczonych berkutów, to jest pewnego gatunku stepowych sokołów. Chart kirgiski jest prześliczny, prawie zawsze czarnego lśniącego koloru, ma kosmate wiszące uszy.

Barany kirgiskie są wielkie, mają długą twardą i rudą wełnę, sadło wielkości poduszki wiszące z tyłu barana nazywane w stepach kurdiuk, waży niekiedy czterdzieści funtów. Kirgiz przyjmuje swych gości uprzejmie, częstuje ich pieczoną baraniną, którą porznąwszy na kawałki, biorąc w palce, kładzie w usta tego kogo chce nakarmić, taki sposób postępowania z obcym jest największym znakiem czci, którą mu oddaje.

Ubodzy Kirgizi przynoszą czasami zimową porą swe dzieci do miast i osad rosyjskich i często za pud mąki oddają najulubieńsze dziecię. Lubo ci stepowi mieszkańcy mają swych sułtanów i starszych, mało przecież dla nich okazują uszanowania. Sułtani zwyczajnie co rok zjeżdżają się do Omska i do Tobolska, tak dla złożenia hołdu uszanowania wyższym władzom, jak dla pozyskania podarunków, którymi ich gubernatorowie, stosując się do zwyczajów wschodnich, obdarzają. Uzbrojenie Kirgiza jest: kopia, szabla, łuk i strzały, długa strzelba i czekan czyli toporek na długim osadzony trzonku, z którym zręcznie bardzo obchodzić się umieją, już uderzeniem w upatrzone miejsce, już to trafnością nadzwyczajną rzutu; dla obrony od nieprzyjacielskich pocisków kładą na siebie pancerze, koszule druciane a czasem i hełmy.

Chociaż twarz Kirgiza nosi cechę mongolskiego pochodzenia, nie jest przecież tak płaską jak Kałmuka, ma małe czarne oczy, wzrok nadzwyczajnie bystry, w czasie pogody rozeznaje niewielkie przedmioty w odległości dziesięciu wiorst i więcej. Od zbytnich upałów letnich a może i zadymionych jurt swoich, ma cerę śniadawą. Wzrostu jest więcej aniżeli miernego i budowy ciała mocnej i proporcjonalnej.

Linia gorzka i Irtysz

Linia gorzka łączy się z orenburgską, zaczyna się od rzeki Tobola i pierwszym jej miejscem warownym czyli forpocztem jest Zwierinogołowsk. Łańcuch wsi kozackich dosyć znacznych i zaledwo mających ślady dawnych warowni polowych noszących przecież nazwiska redut i forpocztów, ciągnie się stąd aż do fortecy i miasta Omska, przez step Kirgiz-Kajsacki, rozległy jak ocean, ogołocony z lasów, bujnych pastwisk i słodkiej wody. Przyrodzenie upośledziło te miejsca, ziemia nawet uprawna nędzne wydaje płody; jedynym sposobem utrzymania się kozaka linii gorzkiej, jest handel zamienny z koczującymi w tych stepach Kirgiz-Kajsakami. Tu

mieszkaniec zimową porą, w kocioł stojący na ogniu nakłada śnieg i płynem z niego często przydymionym zaspakaja pragnienie, bydło zaś i konie poją się liżąc śnieg lub lód; w lecie tenże mieszkaniec, w czasie dolegliwości afrykańskich upałów, nie zna co to jest przyjemny chłód pod cieniem drzew rozłożystych, a pragnienie swoje i zwierząt gasi gorzką i słonawą wodą z jezior okolicznych.

Pomiędzy tymi wsiami kozackimi, odległymi od siebie piętnaście do trzydziestu wiorst, powystawiane są majaki, wzniesione rusztowania i budki, służyły one dawniej, pierwsze dla ostrzegania w odległości nadciągających hord dziczy kirgiskiej, drugie dla oddziałów straży wojskowej. Teraz podobna ostrożność mniej jest potrzebną, już i dziki Kirgiz oswoił się z Rosjaninem, a w tych samych wsiach kozackich, gdzie tylko siła zbrojna się zbierała, zasiada przed domem Kirgiz szukający zarobku, najmuje się do robót jakich bądź, do przewożenia osób lub rzeczy i cieszy się jeśli za swe ciężkie trudy, obdarzą go kawałkiem suchego chleba.

Forteczka Presnogorkowska, pierwsza na tej linii, osadzona jest garnizonem piechoty; prócz zabudowań wojennych i drewnianych koszar, ma niewielką murowaną cerkiew, w której widzieć można nagrobki dwóch generałów, co służąc od pierwszych stopni wojskowych, później rozłączonymi będąc, każdy z nich dostąpił wysokich godności militarnych, zrządziły losy, że w jednym nawet domu, wkrótce jeden po drugim ostatnie wydali tchnienie, a step kirgiski przyjął w łono swoje martwe zwłoki zasłużonych krajowi i godnych powszechnego szacunku mężów.

Z celniejszych forteczek znajdujących się na tej linii, jest Petropawłowsk nad rzeką Iszym; sama warownia położona jest na wzgórzach a pod nią rozciąga się miasto handlowe i dość ludne, chociaż tylko prawie z drewnianych domów i nędznych chatek złożone; mieszkańcami jego są po większej części Tatarzy i Bucharcy. Tu przybywają corocznie wielkie karawany z Taszkirii i Bucharii, przenoszące na obładowanych wielbłądach przez pustynię stepową bogate płody bucharskie, stąd też obszerne murowane sklepy, pełne są najpiękniejszych materii, w różnych gatunkach, szalów i kobierców. Między innymi karawany bucharskie przywożą ryż, drobne rodzynki *kiszmisz*, suszone brzoskwinie i morele *uriuk* zwane i *daby*, czyli płótno bawełniane w sztukach niebieskich i białych. Bucharcy noszą zawoje z pięknych szalów, z twarzy zupełnie są podobni do Turków europejskich. Tu osiadają bogaci handlarze bydła i koni, które skupują od Kirgizów, dlatego też liczne ich stada ciągle po ulicach Petropawłowska biegające widzieć można. Miasto to ma ludności 4.100. Dwie cerkwie, osiem murowanych domów, 743 drewnianych.

W przestrzeni 900 wiorst z Omska po linii idącej przez step, a którą tworzy bieg rzeki Irtysza, ciągła jednostajność przedstawia się oku podróżującego, wszędzie też same niezmierzone równiny, okryte bujnymi pastwiskami lub mało urodzajnymi obszary i jeziorami słonymi. Również jak i na gorzkiej linii, prawie co piętnaście wiorst znajdują się kozackie forpoczty lub reduty; są to wielkie włości kozaków, a w nich urządzone jak najporządniej stacje pocztowe, gdzie kozak lub Kirgiz, założywszy rącze stepowe konie pędzi z niewymowną prędkością; przebycie więc tej przestrzeni mało wymaga czasu. Droga ciągle idzie ponad brzegiem Irtysza; ta

wspaniała rzeka wypływa z jeziora Norzajaan leżącego w Chinach, przeżyna olbrzymie skaliste góry małego Ałtaja, przebiega jak ów wolny Kirgiz kilka tysięcy wiorst, przez stepy ogołocone z wszelkich zarośli, biorąc kierunek ku północy przepływa nieprzebyte lasy, a przyjmując w siebie mnóstwo rzek i strumieni, łączy swe wody z królową rzek Syberii z olbrzymią Obą, na kilkaset wiorst poniżej Tobolska.

Domy kozackie na irtysznej linii nie mają dachów, bogatszych tylko pomieszkania są piękne, wygodne a nawet zbytkowe; niektórzy z kozaków bardzo są zamożni i posiadają liczne stada. W każdej reducie znajduje się obszerna do obrotów kozackiej kawalerii służąca ujeżdżalnia, koszary i szkoły dla młodych kozaków. Wojsko ich jest dobrze urządzone i wyćwiczone, tylko ubiorem różni się od regularnej kawalerii.

Około Koriakowskiego forpocztu znajduje się dwanaście jezior słonych, dostarczających soli zachodniej Syberii; najlepsza przecież sól dobywa się z jezior: Borowego, Północnego, Tawalżyńskiego i Burlińskiego, najobfitsze jest Koriakowskie; soli z niego używają w aptekach pod nazwiskiem sybirskiej, dobywają jej do miliona pudów. Jebelejskiej soli z jeziora Jebeleja leżącego w kirgiskim stepie dobywa się rocznie 53.700 pudów. Sól z tych wszystkich jezior spławiają do Tobolska na wielkich dubasach rzeką Irtyszem.

Na drodze po irtysznej linii, ciągle spotykać można wlekących się Kirgizów konno lub wózkiem o dwóch kołach, pospolicie biedą zwanym, kobiety zaś jeżdżące na krowach. Spojrzenie Kirgiza w tych miejscach wyraża zupełną dzikość a nawet srogość. Przebywszy około siedmiuset wiorst, zaczynają się pokazywać wzgórza i miasto wraz z forteczką Siemipałatyńsk, biorącą swe nazwisko od siedmiu murowanych budowli, których gruzy jeszcze dotąd widzieć się dają, nad rzeką tegoż imienia. Forteczka ma liczny garnizon, samo miasto ciągnie się na kilka wiorst w jednej linii; oprócz pięknych zabudowań drewnianych, należących do urzędników komory celnej i bogatych kupców rosyjskich, całe prawie miasto zamieszkałe jest przez Bucharców, Taszkińców i Tatarów. Już tu zadziwia kształt zabudowań azjatyckich, połączonych z sobą mnóstwem galerii, pomiędzy którymi widać kilka drewnianych meczetów ze spiczastymi minaretami. Miasto liczy mieszkańców 3.200, ma dwie cerkwie a domów 648. Okolice Siemipałatyńska są piaszczyste, chociaż góry obrosłe lasem sosnowym; przybywają do tego miasta karawany z Chin i Taszkinii. Droga stąd do Uść-Kamienogorska 189 wiorst odległego, idzie po dość wzniosłych pagórkach, ale ciągle napotykać można wsie kozackie. Sam Uść-Kamienogorsk, niewielka forteczka z mniejszym jeszcze miasteczkiem, leży przy ujściu rzeki Ulby do Irtysza, wśród kwiecistej doliny, poprzecinanej stokrotnie wspomnianymi rzekami i otoczonej odnogami gór Ałtaju. Drewnianych domów 231 składa miasteczko zamieszkałe przez niezbyt zamożnych kupców i kozaków, w fortecy znajdują się przecież lepsze zabudowania i murowana cerkiew, ludności ma 1.700.

ADOLF JANUSZKIEWICZ

Powstaniec listopadowy
Na zesłaniu 1832–1856

LISTY ZE STEPÓW

Zesłaniec z okresu powstania listopadowego, urodził się 9 czerwca 1803 roku w Nieświeżu, zmarł w 1857 roku w Dziahylni na Ziemi Mińskiej (dzisiejsza Białoruś). Poprzez matkę spokrewniony był z rodziną Tadeusza Kościuszki. Kształcił się u dominikanów w Nieświeżu, a potem w Winnicy na Podolu. W latach 1821–1823 był słuchaczem Uniwersytetu Wileńskiego i należał do kręgu bliskich znajomych Adama Mickiewicza, który uwiecznił go w III części Dziadów pod postacią Adolfa. Okres wileński w jego życiu charakteryzował się bliskimi kontaktami ze środowiskiem filareckim, z którym związał się duchowo, próbując nawet poetyckich zmagań. Po dwu latach studiów powrócił na Podole i zamieszkał w Kamieńcu. W 1826 roku wybrany został „deputatem sądu głównego izby cywilnej" i po trzech latach urzędowania zrezygnował z tej funkcji powodowany koniecznością leczenia nadwątlonego zdrowia. Początkowo przebywał w Karlowych Varach, potem był w Niemczech, Szwajcarii i Włoszech, gdzie spotkał się z Adamem Mickiewiczem.

W 1830 roku zamieszkał ponownie w Kamieńcu i po wybuchu powstania listopadowego włączył się czynnie do licznych patriotycznych przedsięwzięć. Już 3 lutego 1831 roku został członkiem powstańczej Legii Litewsko-Wołyńskiej, biorąc udział w walkach z wojskami rosyjskimi. Siedmiokrotnie ranny podczas służby patrolowej w marcu 1831 roku dostał się do niewoli pod Maciejowicami, gdzie przed laty walczył jego krewny, naczelnik Tadeusz Kościuszko. Pierwsze raporty powstańcze uznawały go za poległego. Po pewnym czasie okazało się jednak, że przebywa on w punkcie zbornym w Brześciu n/Bugiem, skąd odprawiano jeńców w głąb Rosji. Potem przewieziono go do Wiatki, a następnie do Kijowa, gdzie stanął przed sądem, który wyrokiem z dnia 4 marca 1832 roku skazał go na utratę szlachectwa, majątku i osiedlenie na Syberii.

Tak więc z powstańczych szeregów powędrował Januszkiewicz na zesłanie i 9 maja 1832 roku był już w Tobolsku, skąd po wykryciu spisku zesłańców przygotowujących powstanie i ucieczkę z niewoli (tzw. sprawa omska) przeniesiony został do wsi Zelakowa opodal Iszymia. Wreszcie od roku 1835 roku mieszkał w Iszymie, gdzie za pieniądze dostarczone przez rodzinę kupił niewielki dom i nawiązał liczne kontakty z rodakami przebywającymi tu i w okolicy na zesłaniu. Często odwiedzali oni jego dom, bowiem zorganizował w nim bibliotekę zaopatrywaną w książki przesyłane przez rodzinę i kupowane na miejscu. Z tego okresu datuje się między innymi jego bliska znajomość z Gustawem Zielińskim, również zesłańcem, romantycznym poetą, piewcą kazachskich stepów.

Od 1841 roku mieszkał Januszkiewicz w Omsku, gdzie początkowo pracował w miejscowym sądzie, a potem w kancelarii Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich. Tam zatrudniony był również polski zesłaniec Wiktor Iwaszkiewicz, z grona patriotycznego stowarzyszenia Czarni Bracia, założonego przez uczniów z gimnazjum w Krożach. Obaj często wyjeżdżali w step kazachski, wypełniając różne misje. Polubił te podróże, podczas których zachwycały go tubylcze „plemiona koczujące razem w liczbie tysiąca

i więcej jurt, na przestrzeni jakich dwudziestu lub trzydziestu wiorst, zasianych krociami koni, wielbłądów, baranów i bydła cudnej piękności". Był świadkiem ceremonii przyjęcia przez Wielką Hordę Kirgiską poddaństwa rosyjskiego. Opisał życie Kazachów, nadając świadomie swojemu dziennikowi oraz listom charakter dokumentu historycznego. Żywił współczucie dla tego ludu, wierząc, iż przyjdzie czas, „że i koczujący dziś nomada zaszczytne zajmie miejsce w pośród ludów, co nań patrzą teraz z góry", jak pisał w jednym z listów. Przekazy Januszkiewicza odbiegają daleko od konwencji zwykłych zesłańczych pamiętników i tekstów epistolarnych. Wiele w nich bowiem etnograficznych i historycznych realiów tyczących się Kazachów. Wartości te legły u podstaw wydania ich w języku rosyjskim (1966) i kazachskim (1979).

W 1997 roku ukazała się w Kazachstanie książka pt. *Polsza perzenti*, autorstwa Otegena Kimisbajewa (Ałmaty 1997), w której autor przedstawił postać Januszkiewicza, podkreślając zarazem jego wielki wkład w poznanie kazachskiej kultury. Książka ta przyczyniła się do popularyzacji w Kazachstanie postaci Polaka, którego imieniem nazwano w ostatnim okresie jedną z ulic Ałmaty, a w miejscowej prasie ukazały się artykuły podkreślające wartość jego relacji o kulturze tego pasterskiego narodu mającego duże poczucie swojej odrębności.

Był Januszkiewicz obiektywnym kronikarzem stosunków społeczno-politycznych panujących w kazachskich aułach. Nic więc dziwnego, że raz po raz opinie jego przywoływane są przez historyków kazachskich, badających dawne stosunki w łonie Wielkiej Hordy. Cenne są np. spostrzeżenia Januszkiewicza o powstaniu Kenesarego Kasymowa, który zjednoczywszy wokół siebie wielu Kazachów, był zdecydowanym przeciwnikiem podporządkowania tego narodu władzy rosyjskiej. Raz po raz napadał na posterunki rosyjskie, „w pień je wycinał i rzucał postrach aż w granice Syberii".

Te i inne zapiski Januszkiewicza czynią z niego nie tylko piewcę życia stepowych aułów, lecz ważnego kronikarza historii Kazachów. Dodajmy przy tym, że pełnił on funkcję sekretarza Komitetu do Ułożenia Projektu Praw Kirgiskich. Jego ponaddziesięcioletnie podróże po stepach sprawiły, że miał wielu przyjaciół wśród Kazachów. Mimo iż był urzędnikiem rosyjskim, w jego listach widać wyraźnie krytyczny stosunek do imperialnej polityki kolonizacyjnej narzucającej poddaństwo narodowi, który nade wszystko kochał wolność, a szerokie stepy były jego domem. Dodajmy, że świat młodzieńczego losu znaczony zesłaniem i powierzonymi urzędniczymi obowiązkami niewiele mógł ofiarować mu radości, ale wiele z tego, co przeżył, zdołał przekazać w listach pisanych do matki, brata i przyjaciół. Nie ubarwia w nich świata, z którym się spotykał, i kreśli nieradosne obrazy życia Kazachów, popadających w uzależnienie od rosyjskich kolonizatorów.

W 1849 roku nadwątlone zesłaniem zdrowie sprawiło, iż wystąpił ze służby. Do 1852 roku mieszkał w Omsku, a potem w Niżnym Tagile, gdzie pracował jako bibliotekarz i opiekun parku i ogrodów hrabiego Anatola Demidowa, za którego wstawiennictwem car Aleksander II zwolnił go z zesłania. Januszkiewicz mimo swej choroby, co rychlej, pospieszył do matki i brata mieszkających w Dziahylni. Tam w czerwcu 1857 roku, w niespełna rok po powrocie z wieloletniego zesłania, pełnego udręki, tęsknoty i zarazem dobroci skierowanej ku stepowym ludom, zmarł wśród bliskich, do których przez wiele lat pisał listy. Pochowano go w Dziahylni, a na nagrobku umieszczono wiersz:

Z ducha, serca i myśli, z cnót, ofiar i czynów,
Bóg nie miał sług wierniejszych, kraj godniejszych synów,
Obywatel, z wyznawcy niezachwianą siłą.
Przechodniu! Nie zań tylko nad jego mogiłą,
Lecz módl się i za siebie. By przezeń uprosić
Tak żyć, wierzyć i kochać; tak cierpieć i znosić.

W latach 2006–2007 Polacy mieszkający na Białorusi przy współpracy z Fundacją Dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego podjęli prace badawcze na terenie starego cmentarza w Dziahylni, gdzie odnaleziono resztki grobów: matki Tekli z Sokołowskich Januszkiewiczowej, Maryli z Bułharynów Januszkiewiczowej,

żony Januarego, brata Adolfa i ich syna Michała. Stare płyty nagrobne odrestaurowano i umieszczono na ich mogiłach.

Niestety po grobie Adolfa Januszkiewicza pozostał jedynie ślad. W miejscu tym ustawiono głaz, na którym rzeźbiarz Walerian Januszkiewicz umieścił popiersie Adolfa, herb rodowy Januszkiewiczów i cytowany powyżej wiersz ze starego nagrobka. W 2013 roku odbyły się w Dziahylni uroczystości związane z 210. rocznicą urodzin A. Januszkiewicza. Poświęcono wówczas stare i nowo odnalezione groby, a na ścianie dawnego spichlerza dworskiego, jedynego budynku, jaki się zachował z majątku Januszkiewiczów, umieszczono tablicę czczącą pamięć Adolfa – powstańca listopadowego i zesłańca. Niestety lokalne władze administracyjne wydały nakaz usunięcia tego znaku pamięci*.

Podstawa relacji: A. Januszkiewicz, *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży.* Opracowała H. Geber, Wrocław 2013.

---

* Informacje biograficzne: A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny,* Poznań 2000, s. 127–128; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny,* Warszawa 1998, s. 235–236; A. Kuczyński, *Ludy dalekie a bliskie. Antologia polskich relacji o ludach Syberii,* Wrocław 1989, s. 124–126; J. Odrowąż-Pieniążek, *Wstęp. Patriota z przekonania,* [w:] A. Januszkiewicz, *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży.* Opracowała H. Geber, Wrocław 2013, s. 5–18; J. Fiećko, *Posłowie. Adolf Januszkiewicz, romantyczny podróżopisarz i bohater literackiej legendy,* [w:] A. Januszkiewicz, *Listy ze stepów kirgiskich…,* op. cit., s. 251–274.

Kak (uroczysko), 23 maja

Kochany January! Nim opuszczę auły Ajkimbet-Kirejów, pośród których czas daleko znośniej mi upływa niżeli w Omsku, biorę raz jeszcze pióro do ręki, by ci przesłać braterskie uściśnienie i pomówić z tobą o otaczających mnie przedmiotach. Kirgizi tutejszego okręgu od miesiąca już z górą rzucili swoje *kystawy*, to jest koczowiska zimowe. Nie masz dla nich przyjemniejszego dnia w całym roku, jak ten, w którym po kilkumiesięcznym spoczywaniu na jednym miejscu, mogą przymarzniętą do ziemi swoją jurtę włożyć na garby wielbłąda i z całym swoim dostatkiem, ze wszystkimi swymi stadami koni, owiec i kóz, rozpocząć tę ciągłą wędrówkę, co się kończy dopiero aż za nastaniem śniegów i mrozów.

Dzień ten jest dla nich dniem szczęścia i powszechnej radości.

Smutny dotąd, nudny, okopcony dymem *tezeku* Kirgiz wsiada z wesołym licem na swego najlepszego bieguna i z dzielną miną wywija na nim pośród tabunów występujących w pochód.

Osmalona jego połowica przy nieustannie płonącym, jak nasz stary znicz, ognisku, stroi się w najokazalszy chałat, w najbogatszą swoją *sauklę*, i jak *karawanbasza* prowadzi za sobą szereg wielbłądów, dźwigających na swych grzbietach ruchomy dom Kirgiza, wszelki sprzęt jego i dostatek.

Dziewczęta rade, że się wydobyły spod okopconego sklepienia jurty, gdzie ich wdzięki więdniały jak kwiaty w ukryciu, rozpuściwszy na wiatr liczne sploty swych

Saukele (saukla) – nakrycie głowy młodej Kazaszki z obwodu turgajskiego

kruczych włosów, na zwinnych harcują rumakach pod przestronnym sklepieniem niebios.

Dziarska i swawolna młodzież, nieobojętny wzrok topiąc w czarne oczy swych towarzyszek, puszcza się z nimi na wyścigi; lecz niełacny tryumf, bo hoże amazonki pędzą po stepie jak strzały, i bolesny cios *kamczy*, częstokroć spadły na twarz, oddala najzuchwalszą pogoń.

Drobna dziatwa, co w czasie silnych mrozów leżała zagrzebana w popiele, uśmiecha się, krzyczy radośnie i wyglądając z kołysek przywiązanych do boków wielbłąda, zapomina o cierpieniach, jakich doznawała w tych pieluchach szczególniejszego rodzaju, których gorące uściski niejedną pamiątkę zostawiły na jej ciele. Tabuny wychudłe, wycieńczone po biednym karmie zimowym, który z wielkim trudem wygrzebywać sobie musiały kopytami spod zasp śniegu, nawalonego potęgą *buranu*, różnotonnymi głosy podzielają radość swych panów.

Pies nawet, to wzgardzone i najnieszczęśliwsze stworzenie u Kirgiza, co za wierne usługi często dni kilka i kości nie widzi, ochoczo bieży za stadem, marząc o myszach polnych, swoim zwyczajnym pożywieniu.

Jednym słowem: pierwsze to wyruszenie z miejsca na wiosnę, jest niejako zmartwychwstaniem Kirgiza, odrodzeniem się Fenixa z jego popiołów.

Sam step, którego dotąd głuche milczenie przerywał tylko czasami przeraźliwy świst zawieruchy, nagle na wszystkich punktach się ożywia, bo po niezmierzonej jego przestrzeni rozlega się wszędzie uroczysta nuta pieśni kirgiskiej.

Masz więc słaby zarys koczówki pasterskiego ludu.

Włość, której dziś gośćmi jesteśmy, koczuje już od czasu opuszczenia swoich zimowisk na trzecim miejscu, i zajmuje w tej chwili obszar kilkudziesięciu wiorst, ciągnący się po obu brzegach Czaru. Korzystając z chwil wolnych od zatrudnień zwiedzałem pobliższe auły, by się lepiej zapoznać z tym życiem tak różnym od naszego, z życiem, które wyobraźnia moja malowała sobie w najpiękniejszych barwach. Ale nie wszystko złoto, co się świeci z góry! W każdej jurcie spodziewałem się znaleźć szczęśliwych pasterzy Arkadii… niestety! rzadko w której nie spotkał wzrok mój smutnych obrazów nędzy i chorób trapiących biedną ludzkość. We wszystkich prawie czarnych jurtach (bo majętniejsi mieszkają w białych) febra i straszniejszy od niej syfilis liczyły swoje ofiary, a dotknięte nią osoby obojga płci wyglądały jak widma lub szkielety; na dzieciach ospa, krosty, wrzody, i wszystko to własną tylko siłą musi pasować się z cierpieniem, bo nauka Eskulapa, złożona tutaj w ręku głupich i zabobonnych *buksów*, podaje środki ratunku po największej części nacechowane piętnem szarlatanizmu i guślarstwa. Serce się rozdziera na wi-

dok tylu męczenników wołających o pomoc. Na szczęście nasze niektórym z nich mogliśmy przynieść ulgę. Wiktor[1] bowiem, mając z sobą zapas proszków emetyku, chiny i jalapy[2], kilku chorym na febrę dał je do zażycia, nakazawszy zachowanie najściślejszej diety, a nie zepsuta jeszcze natura tego ludu naszymi wymyślnymi pokarmami, przyłożyła się dzielnie do zwalczenia choroby.

Na wieść o tych cudownych lekarstwach mego improwizowanego Hipokratesa, zbiegały się tłumy chorych z okolicznych aułów. Przywożono ich na koniach, krowach, wielbłądach, a najsłabszych na dwukołowych *taradajkach*, *arbami* zwanych. Wszyscy prosili o te proszki, co większy skutek przyniosły niż modlitwy *mułłów* i zaklęcia *buksów*; uzdrowieni zaś składali swe dzięki w najczulszych wyrazach. Mąż nawet jednej młodej i wcale nieszpetnej rekonwalescentki, posunął do tego stopnia uczucie wdzięczności, że na wyjeździe w drogę, żegnając się z nami i dziękując Wiktorowi za pomoc okazaną żonie, prosił, aby w czasie nieobecności jego, nie robił sobie żadnej ceremonii i raczył go zupełnie zastąpić.

Ta wielka liczba chorych na febrę niczym jest atoli w porównaniu z syfilityczną zarazą, której straszne spustoszenia ciągle się nam nasuwają przed oczy; zresztą febra, jak nas zapewniano, grasuje tu tylko z początku wiosny; latem zaś sam wpływ powietrza, ruch, *kumys*, uwalniają od niej chorego i bez pomocy lekarskich środków; lecz ostatnia, nie znajdując żadnego hamulca, rozwija się swobodnie, okropnie i bez względu na pory roku, wiek i płeć, zatruwa jadem swoim całe rodziny. *Buksy* wprawdzie, postawiwszy w trójkąt parę *kieregów* i nakrywszy je wojłokiem, sadzają pod nim chorego i podkurzają go cynobrem; ale ta kuracja ledwie nie tyle pomaga co umarłemu kadzidło. Na ospę, od której mnóstwo ofiar pada co rok, żadnego środka nie zna kirgiska medycyna, a wielki wynalazek Jennera[3] straszniejszy dla nich jeszcze niżeli sama choroba, gdyż wprowadzeniu jego w praktykę przesąd stawia niezwalczoną tamę. Kogo jad ospy owionie może pożegnać się z tym światem; odłączony bowiem od zdrowych, żadnego od nich

---

1 Wiktor Iwaszkiewicz, uczeń gimnazjum w Krożach na Litwie, zesłany za przynależność do tajnego Związku Czarnych Braci, który stawiał sobie za cel pomoc więzionym Filaretom. Aresztowany w 1823 roku, karnie został wcielony do wojska, ukarany pozbawieniem praw i służbą w batalionach orenburskich. Odbył wówczas wiele wypraw wojennych przeciwko ludności tubylczej. W służbie wojskowej pozostawał przez wiele lat, w kwietniu 1842 roku został mianowany adiutantem generała Żumczużnikowa, naczelnika sztabu Korpusu Syberyjskiego. W roku 1845 odszedł do służby cywilnej i pracował w Pogranicznym Zarządzie Kirgizów Syberyjskich.

2 Emetyk – metylocefelina, alkaloid występujący w korzeniu wymiotnicy lekarskiej. Farmaceutyk w postaci krystalicznego proszku o działaniu wykrztuśnym i przeciwpierwotniakowym. Stosowany głównie do zwalczania schorzeń pierwotniakowych, np. motylicy wątrobowej. Chinina – alkaloid otrzymywany głównie z kory chinowca. Farmaceutyk w postaci krystalicznego proszku o właściwościach przeciwgorączkowych i przeciwbólowych. Stosowany głównie w leczeniu zapobieganiu zimnicy czyli malarii. Jalapa (wilec) – gatunek rośliny zielonej, z której produkuje się farmaceutyk o działaniu przeczyszczającym.

3 Edward Jenner (1749–1823), lekarz angielski, wynalazca szczepionki przeciw ospie, która przyczyniła się do zupełnego prawie wygaśnięcia tej groźnej przedtem choroby. Metoda Jennera, prawie niezmieniona do dzisiaj, pozostaje najskuteczniejszym środkiem zwalczającym ospę.

nie doznaje ratunku: krewni uciekają od niego jak od zapowietrzonego i jeśli kto z litości przyniesie mu pokarm lub napój, to stawia go z daleka. Nieszczęśliwy więc pacjent musi ginąć niechybnie, jeśli go sam Allach nie ocali. O krostę zaś błyszczącą prawie na każdym ręku, Kirgizi tyle dbają, co my o piegi. Lecz dosyć już tych smutnych obrazów, z którymi co chwila spotykałem się zwiedzając obszarpane, podziurawione jak rzeszoto, pozbawione zgoła wszelkich wygód mieszkania uboższej klasy tutejszych Kirgizów. O klasie bogatszej na ten raz nic nie powiem, gdyż nie miałem zręczności zajrzeć pod jej białe jurty: raz, że ich tu kilka zaledwie błyszczy wśród mnóstwa czarnych; po wtóre, iż etykieta nie pozwala nie tylko *kafyrowi* (niewiernemu), jak ja, lecz nawet rodakowi wejść do jurty Kirgiza grającego rolę dżentelmena, nie będąc wprzód zaproszonym od niego. *Dżataki* (to jest biedaki) jak wszyscy biedni na świecie, nie przestrzegają tak ściśle prawideł etykiety; tej to tolerancji obowiązany jestem, że widziałem (jakkolwiek mnie to bolało) kirgiską biedę w całym znaczeniu tego wyrazu, powiększoną jeszcze w oczach moich na widok pokarmów, jakich by im żaden pies twój nie pozazdrościł.

Przedostatniej nocy, *barantarze* napadli znowu na tabun pasący się w bliskości naszego stanowiska. Krzyki: *„Aj! gaj! abłaj! abłaj!”* z jednej, i wrzask pastuchów z drugiej strony, postawiły wnet na nogach całą ludność aułu, która dopadłszy koni poprzywiązywanych na wszelki wypadek do jurt, puściła się na plac wrzawy; lecz nim nań zdążyła, już najezdnicy odbili osiem koni i korzystając z ciemności nocy popędzili z sobą. Ostatnia noc przeszła spokojnie; ale (jeżeli słuszny domysł naszego gospodarza) dlatego jedynie, że wczorajszego dnia deszcz padał: ergo banda złodziei krążąca w tej chwili po okolicy, miałaby wielką trudność przebywać na swych zmęczonych koniach grząskie moczary, a co gorsza, zostawiłaby na nich wyraźne ślady, które by ją zdradziły i dały możność wytropić. Niebezpieczeństwo wszakże wisi nad nami. Tylko co na spoconym koniu przybiegł Kirgiz, który przed kilkoma godzinami najechał trafunkiem na czterdziestu z górą *barantarzy* leżących w dolinie, nie więcej jak o dwadzieścia wiorst od nas. Wszyscy uzbrojeni w dzidy, i czterech z nich długo pędziło za nim. Kształt siodeł każe wnosić, że ci rabusie są Basentyńcy, z barnaulskiego okręgu. Bijseke, spodziewając się ich napadu, rozesłał na wszystkie strony podjazdy, kazał być w gotowości sąsiednim aułom, a my, ze swojej strony przedsięwzięliśmy środki ostrożności. Życzyłbym sobie bardzo być świadkiem tej nocnej walki, która, podług opowiadania Wiktora, przedstawiać ma najdoskonalszy obraz piekła z całym rykiem i wrzaskiem wściekłych jego obywateli. Niecierpliwie oczekując nocy tymczasem rzucam pióro i nabijam broń.

24 maja

Banda stepowych korsarzy musiała zwąchać proch wsypany do moich pistoletów pod ołowiane kulki, kiedy i tej nocy nie objawiła żadnych nieprzyjaznych pokuszeń. W oczekiwaniu jednak co chwila napadu byliśmy *sur le qui vive!* przepędzając czas na gawędce z Kirgizami, którzy obsiadłszy dokoła ognisko, nie szczędzili nam pytań w różnych przedmiotach. Wiktor, znając wybornie ich język, musiał na

wszystko kategorycznie odpowiadać, a odpowiedzi jego słuchane były jak wyrocznie i przyjmowane z największym aplauzem wśród nieustannych wykrzykników: *„Oj! boj! o appermoj!”* Dziwili się oni wszyscy głębokiej jego mądrości i nie mogli pojąć w prostocie ducha, jak taka masa rozumu i wiadomości może pomieścić się w jednej głowie. Lecz nic nie zrobiło na ich umysłach tak wielkiego wrażenia i nie dało tak wysokiego pojęcia o geniuszu mego towarzysza, jak kiedy z powodu wszczętej rozmowy o *barancie*, przedstawił im dramatycznie cały proceder tego szlachetnego rzemiosła: jakim sposobem Kirgiz zazwyczaj podkrada się do cudzego tabunu pieszo lub konno; jak, pełzając po ziemi, przysłuchuje się czy śpią pastuchy; jak, przekonawszy się o ich czujności i lękając się o swoje boki, rzuceniem w tył poza siebie czapki, naśladuje niby wzlot dropia lub żurawia; jak nareszcie, pomimo tych wszystkich i tym podobnych środków ostrożności i podstępu, złapany ptaszek gra rolę niewiniątka, itp. Scena ta, wykonana artystycznie i z głęboką znajomością rzeczy, rozśmieszyła do łez najpoważniejszych Kirgizów, i nie wiem czy który partner na świecie bardziej był zadowolony swoim najulubieńszym aktorem, jak słuchacze Wiktora. Jeden z nich wykrzyknął: „pułkundyku![4] musiałeś ty sam jeździć na *barantę* i kraść konie, albo jesteś czarownikiem, kiedy znasz tak doskonale najskrytsze tajniki naszego życia stepowego”. Wiktor, nic nie odpowiedziawszy na ten komplement, wstał, i obszedłszy wkoło siedzące z rozdziawionymi gębami z zadziwienia, wskazał palcem na jednego ze słuchaczy i rzekł: „oto jest złodziej! On już nie jednego konia ukradł, i nie jednego jeszcze ukradnie!” Gdyby cały firmament niebios ze wszystkimi swymi nowymi i starymi planetami, kometami i gwiazdami spadł na głowę tego Kirgiza, nie przeraziłby go potężniej, jak te niespodziewane Wiktora słowa. Oniemiał, struchlał nieborak. Cała publiczność zawrzeszczała: „prawda! prawda!” a wielki mówca Toukumbaj dodał: „Co nam ukrywać przed tobą, kiedy ty wiesz co u nas jest, co było i co będzie!”

Domyślisz się zapewne, że Wiktor oparł swe twierdzenie na podejrzanej fizjonomii Kirgiza, a traf zrządził, iż zgadł; wreszcie nietrudno było i zgadnąć, gdyż każdy z nich prawie jest, był lub będzie amatorem cudzych koników.

Kirgizi jednak innego byli w tym względzie przekonania; nie mogąc bowiem sobie objaśnić, jakim cudem człowiek, nie będący sam złodziejem lub czarownikiem może tak nieomylny stanowić wyrok, wpadli na promienną myśl, że Wiktor udaje tylko *kafyra*, lecz rzeczywiście jest prawowiernym synem Mahometa. Jakoż jeden z *bijów* zaczepił go z tej strony, mówiąc: „Jak widzisz, wszyscyśmy z tobą otwarci; przyznaj się pułkundyku! że nasza krew płynie w tobie”. – „Więcej wam powiem, śmiejąc się odparł Wiktor – moja krew płynie w ostatnim potomku jednego z najznakomitszych waszych chanów”.

„Jak to? co to?” – mnóstwo głosów zawołało – a że nadzwyczajnej ich ciekawości niepodobna się było oprzeć, mój towarzysz opowiedział im następne zdarzenie.

---

4 Tu w znaczeniu: pułkowniku.

„Czy słyszeliście o Jakubie, synu chana Nurali?" – „O któż go nie zna w naszej hordzie!" – odezwało się kilka głosów. – „Otóż, ciągnął dalej Wiktor, za dni moich młodszych, kiedy los rzucił mnie na stepy Małej Hordy, poznałem się z Jakubem. Polubił on mnie bardzo i nazywał swoim *tamyrem*. Żyliśmy z sobą jak bracia: co jego, to było moje, co moje, to jego. Było mu naówczas ze 60 lat i miał dwie żony. *Bajbicze*, stara jak mohodziarskie góry[5], i brzydka jak wielbłądzica na skonaniu; lecz za to młodsza, piękna Ajdżanym, słynęła w całej hordzie ze swojej krasy. Od Emby do Tobola nie znalazłbyś piękniejszej twarzy, żywszych i czarniejszych oczu. Nie szczupły też i *kałym* zapłacił za nią mój przyjaciel. Bywałem często u niego i często widząc Ajdżanym, pokochałem ją bardziej jeszcze niż jej męża: pozyskałem jej wzajemność; stary dozorca żon Jakuba, w czasie jego niebytności, ułatwiał nam sposobność widywania się; koniec końców następstwem tych randez-vous był syn, na nieszczęście tak podobny do ojca, że Jakub, zobaczywszy go po raz pierwszy, zaraz rzecz zmiarkował, i niezmiernie oburzywszy się na swego *tamyra*, ledwie że nie zabił żony. Po przejściu atoli pierwszej chwili gniewu, uspokoił się i dał mu imię Biktur. W kilka miesięcy przyjechałem znowu. Zrazu przyjął mnie kwaśno i ani słowa nie odpowiedział na moje pozdrowienia i pytania; nareszcie chwyciwszy mnie za rękę, pociągnął za sobą do jurty Akdżanymy. Tu skoro próg przestąpił, kazał jej podać kindżał wiszący nad łożem i groźnym tonem rzekł do mnie: „Wybieraj! kogo chcesz, ażebym z was zabił: ciebie, żonę czy waszego syna!" Nie straciwszy przytomności, powiedziałem mu: „Sułtanie! ja nie chcę, abyś tu kogokolwiek z nas zabijał; twoje postępowanie mnie zadziwia, gdyż podejrzenia twoje są niesprawiedliwe: dostałeś chyba pomieszania zmysłów". Straszna to była chwila; sam myślałem, że już nie wyjdę z jurty; lecz czy wiecie, na czym to wszystko się skończyło? Sułtan, spojrzawszy mi raz jeszcze w oczy, rzekł: „Bądźcie spokojni! ja tylko chciałem się przekonać czyś ty tchórz, czy nie? Nastraszyłem was, lecz czyliż sądzisz, żebym zdolnym był zabić ciebie, żonę lub syna? On mi jest drogi, bo nie mam innego, a życzyłbym tylko, aby w sercu jego była śmiałość. Teraz pocałujcie się przy mnie i pamiętajcie, jeżeli mam mieć jeszcze potomków, warunek: niech tylko nie będą córki". – Ze łzami wdzięczności w oczach spełniliśmy jego rozkaz; lecz z oddaleniem się moim w inne strony, zastrzeżenie względem prokreacji następców sułtana pozostało bez skutku. Tak więc mój Biktur jest teraz ostatnim potomkiem chańskiego rodu Małej Hordy. W kilka lat po tym zdarzeniu widziałem go, dodał bohater powieści, lecz gdy malcowi powiedziano, iż jestem jego ojcem, plunął mi w oczy i nazwał mnie *kafyrem*.

Te i tym podobne rozmowy zabrały nam większą część nocy. Niezmordowani nasi słuchacze chcieli je przedłużyć, lecz gdy sen zaczął kleić powieki, Wiktor kazał zagasić ognisko: Kirgizi rozeszli się, zapadł *tunduk*, nastąpiła długa cisza i tylko w oddaleniu długo jeszcze dawał się słyszeć śpiew pastuchów i uroczysty głos modlitwy: *„Allach Akber! Allach Akber!"*

---

[5] Góry Mugodżarskie – pasmo górskie będące południowym przedłużeniem Uralu oddzielone od niego rzeką Ural, obecnie w granicach Kazachstanu.

25 maja

Za kilka godzin opuszczamy Kak. Dziś z rana, o dziesięć kroków od naszej jurty, spod nóg mi prawie wyśliznęła się gadzina długości z łokieć; być może, iż w nocy nawiedzała i nasze mieszkanie. Kirgizi powiadają, iż ich tu „nie kupować" a za sąsiednią górą ma być takie mnóstwo, iż kroku nie można stąpić, żeby nie spotkać się z nimi. Gadzina, po kirgisku *dżiłan*. Są tu wielkie i małe, i te ostatnie mają być bardziej szkodliwe: niektóre bywają grubości ręki. Często kąsają ludzi i bydło. Na zapytanie moje, jakich używają środków przeciw strasznym skutkom ich jadu, odpowiedział mi jeden Kirgiz: „Najlepszy jest środek wezwać natychmiast *mułłę*, aby nad człowiekiem ukąszonym przez gadzinę przeczytał: *żmijskoje słowo* (tak się wyraził po rosyjsku); ranę zaś samą posmarować końskim potem i dawać go choremu za napój. Jeśli pacjentem koń, należy położyć go pomiędzy owcami; ranę nacierać zasuszoną gadziną, a po trzech dniach puchlina ustąpi i koń wstanie zupełnie zdrowym. Warunek tylko niezbędny, ażeby gadzina była zabitą ostatniej wiosny, *kamczą* a nie czym innym, i ażeby była pierwszą, którą Kirgiz tej wiosny zobaczy na stepie: dlatego staramy się zawsze o egzemplarz takiej gadziny; zresztą koński pot dajemy także pić koniom i bydłu". Zostawiając ocenienie skutków tej kirgiskiej recepty waszym uczonym medykom, nie od rzeczy będzie zwrócić ich uwagę na to, że żadna pałka tak rychło nie pozbawia życia gadziny jak *kamcza*, która, ma się rozumieć, ciągle dotykając się konia, wsiąka w siebie pot jego. O tym zapewniają mnie wszyscy Kirgizi i Kozacy. Musi więc w tym końskim pocie zawierać się jakiś antypatyczny pierwiastek dla tego stworzenia, który działać może nawet przeciw jadowitemu ukąszeniu jego. Ale wracając do rzeczy, z opowiadań Kirgizów przekonałem się, że prócz powyższych środków ratunku, uciekają się i do innych, bez wątpienia skuteczniejszych aniżeli *żmijskoje słowo* lub zasuszona gadzina. Tak na przykład, gdy raz córka naszego gospodarza została ukąszona w rękę, przewiązano ją natychmiast w górze, ranę wypalono gorącym żelazem, a córka we trzy dni wyzdrowiała. Było takie zdarzenie u nich: młody jeden chłopiec spał i śniło mu się, że matka podaje mu *kumys* i że on go pije. Zbudziwszy się poczuł nadzwyczajny ruch w żołądku; nareszcie zaczął uskarżać się, że *dżiłan* krąży w jego wnętrznościach. Dano mu krowiego masła, herbaty, i jak zapewniał mnie sam ojciec nieboraka, nazajutrz gość nieproszony wyszedł. Nie tak jednak szczęśliwą była dziewka z sąsiedniego aułu, którą także w czasie snu nawiedziła gadzina. Po użycia rzeczonego środka przez dwa dni nie było żadnego skutku, na koniec w chwili, kiedy prócz małego dziecięcia, nikt nie znajdował się w jurcie, gadzina pokazała swą głowę spomiędzy ust cierpiącej i zaczęła wychodzić powoli; na nieszczęście dziecię na ten widok krzyknęło; gadzina się zlękła, schowała się na powrót i ukąsiwszy biedną dziewkę odebrała jej wkrótce życie.

Środek ostrożności, jaki Kirgizi przedsiębiorą zwyczajnie przeciw żmijom i wężom, by nie zachodziły do ich mieszkań, jest bardzo prosty: bierze się arkan spleciony z sierści i końskich włosów, im nowszy tym lepszy, jako nie obtarty,

i opasuje się nim jurtę wokoło. Gad, bojąc się ostrych kolców powrozu cofa się od tego zaklętego koła i zostawia człowieka w pokoju.

Jak bocian, Kirgiz ma sobie za święty obowiązek oczyszczać step. Nigdy on nie przepuści gadzinie; jeśli ją spotka, choćby miał najpilniejszy interes, zatrzymuje się i zabija *kamczą*. Jeśli przypadkiem nie ma tej ostatniej z sobą, dopóty szuka pałki, póki nie znajdzie; wraca z nią w to miejsce gdzie zoczył swoją ofiarę, i odszukawszy, najczęściej przytrzymuje ją pałką tak, aby głowę podniosła do góry; wtedy w rozdziawioną gębę wsypuje szczyptę tabaki, od której gadzina ginąć ma niezwłocznie.

W tej chwili weszła żona naszego gospodarza wraz z kilkoma kobietami i całą swoją drobną rodziną. Powinnością płci żeńskiej jest zdjąć jurtę i opatrzyć czy wszystko w całości. Po raz pierwszy mieliśmy honor oglądać te damy; oprócz samej gospodyni, imieniem Nurczy, dość przystojnej, reszta wyglądała jak grzech śmiertelny. Rozmawiały z nami swobodnie i były sobie bez żadnej ceremonii; acz mówiąc prawdę, nie tyleśmy je zajmowali, ile nasze rzeczy. Łóżka żelazne najbardziej ściągnęły na siebie ich uwagę i one to w szczególności dały im powód do różnych konceptów, nader lekko obwiniętych w bawełnę, z których śmieli się ich mężowie a my jeszcze bardziej.

Bądźcie zdrowi, bo już eskorta nasza siada na koń i Amantaj czeka na kałamarz, by go schować do *arby*.

Ajaguza, 5 czerwca

Kochana mamo! Dotąd jeszcze jesteśmy w Ajaguzie. Wypocząwszy po trudach stepowej podróży oczekujemy tylko przybycia pogranicznego naczelnika, z którym razem wyruszyć mamy na brzegi Lepsy. Tymczasem Ajaguza przedstawia dla mnie w tej chwili nieskończenie różnobarwny i zajmujący widok. Kilkunastu sułtanów z najznakomitszych rodów, w tej liczbie kilku potomków chana Abłaja, rozbiło już swoje białe jurty lub kolorowe w pasy bucharskie *szatry*, obok naszej topolowej chałupy. Ubrani w pstre chałaty i *biszmety*, oddają nam etykietalne wizyty, piją u nas herbatę, palą cygara, mówią mało, jak zwykle arystokracja kirgiska, dla pokazania dobrego tonu. Mnóstwo *bijów*, aulnej starszyzny i prostych Kirgizów ściąga co dzień z odległych uroczysk, aż żwirowy grunt tętni pod kopytami ich dzielnych rumaków. Kilkaset koni przepędzonych z najmańskich tabunów, buja swobodnie wśród doliny zarosłej karagajnikiem, nie przeczuwając, że wkrótce nieznane im dotąd wędzidło ukróci ich niepodległość. Obok tej dziczy pasą się ciche barany z ogromnymi *kurdiukami* (ogonami), przeznaczone na ugoszczenie kosztem rządu tylu przybylców w ciągu *bajgi* odbywającej się co rok, podczas bytności pogranicznego naczelnika w stolicy okręgu. Ponad barany i konie wznoszą się garby wielbłądów, przygotowanych pod juki i żywność dla naszej wyprawy. Oddział kozaków i artyleria stoi w gotowości a ponad całą tą sceną pali słońce o 40 st. ciepła! Ale powietrze tak czyste, tak lekkie, tak zdrowe, że z prawdziwą rozkoszą nim oddycham.

Ajaguza, 11 czerwca, w nocy (Do G.Z.)

Kochany Gustawie! Po długim, długim oczekiwaniu, powitaliśmy nareszcie pogranicznego naczelnika, który pod osłoną 25 kozaków, przyleciał do nas z Kokbektów; mówię przyleciał, bo może być właściwszy wyraz dla jazdy mającej na zawołanie całe stada koni rozstawione co kilka mil na stepie, i co cię jak wichry niosą przez góry, doliny, krzaki i rzeki. Przyjazd jego wielce mnie uradował; przyspieszając bowiem nasz pochód za Lepsę (w ów kraj złotych bażantów, i co ciekawsze, tygrysów, których dotąd widziałem w żelaznych klatkach, a z którymi teraz może mi się zdarzy spotkać oko w oko pod otwartym niebem), kładzie zarazem kres temu nieczynnemu życiu, jakie tu od dni kilku pędzimy, a które straciło już dla mnie swój powab nowości.

Cicha i skromna Ajaguza, doczekawszy się tak znakomitego gościa, jakim jest rządca średniej hordy Kirgizów, cała teraz w nadzwyczajnym ruchu, i wygląda jakby panna młoda w dzień ślubu. Nie wyobrazisz sobie, co za pstry *plumpudding*, co za jaskrawe mixtum, chaos przedstawia się oczom moim na każdym kroku. Tu dygnitarstwo cywilne i wojenne różnej broni, nie znające przez rok cały więzów ścisłej formy, w świeżych jak z igły mundurach, w haftach świetniejszych od słońca, w nie zaszarganych kapeluszach lub błyszczących kaskach, paraduje po placu twierdzy; tam arystokracja kirgiska, strojna w najbogatsze swoje chałaty lub *manłyki* o złotych lub srebrnych smokach, w *czambarach* szytych karmazynowym jedwabiem w różnowzore esy, floresy i gzygzaki, w spiczastych cukrogłowych czapkach, poważnym krokiem przechadza się wśród tłumów ludu siedzącego na ziemi, obok grup koni patrzących obojętnie na tę całą pompę; ówdzie płeć piękna i niepiękna, w żółtych, zielonych, błękitnych i pąsowych z chińskiej *kanfy* mantylkach, lekkimi stopy spaceruje po wałach. Jednym słowem jest to tysięczno-barwny i tysięcznokształtny widok, jakiego byś nie zobaczył w kalejdoskopie, choćbyś go nawet tysiąckroć obrócił.

Tymczasem kwatera nasza ciągle jak w oblężeniu a wewnątrz ścisk jak na raucie londyńskim. Przez dwa dni ostatnie w szczególności nie mieliśmy chwili spokoju; wskutek bowiem polecenia pogranicznego naczelnika, sąd *bijów*, ten improwizowany stepowy areopag, w obecności Wiktora, rozstrzygał ważną sprawę pomiędzy Taszkińcami i Bucharcami z jednej a Kirgizami z drugiej strony. Kilku Taszkińców i Bucharców (zwanych przez Kirgizów Sartami), zamieszkałych dla handlu przed czterdziestu laty w Semipałatyńsku, nieliczne swoje stada koni i wielbłądów składające karawany, pasło w kirgiskim stepie; a że step długi i szeroki jak ocean Kirgizi nie żałując trawy, „którą Allach co rok zasiewa", nie wzbraniali tych wypasów swym współwyznawcom; lecz gdy w późniejszym czasie przychodnie ci, wzrósłszy do liczby kilkuset, ogromnymi swymi tabunami okryli znaczne przestrzenie stepu i nie tylko ścieśniali kirgiskie koczówki (mianowicie zimowe, co najważniejsza), ale jeszcze pod pozorem dawności, przyswajali sobie całe uroczyska Arkatu i Aldżanu, zajmujące do 60 w. kw., Kirgizi, prawi właściciele tych ostatnich, słusznie oburzeni przeciw chciwości zdzierców, poczęli stawiać przeszkody tak, że nieraz

przychodziło między nimi do krwawych kłótni, zwłaszcza, iż Sarty, istne Żydy i pijawki Kirgizów, nie chcieli nawet najlżejszej daniny płacić za użytek z cudzej własności. Długoletni spór takowy, wytaczający się już niejednokrotnie przed wyższą władzą, ciągnął się dotąd, i dziś dopiero, po dwudniowych rozprawach i mowach bez końca, ostatecznie rozwiązany został. Oto jest krótka treść traktatu, który ja miałem honor układać na zasadzie, ma się rozumieć, ustnego wyroku *bijów* z obu stron wybranych.

1. Naród Sartów, odtąd i aż do skończenia świata, będzie miał wolne i niezaprzeczone prawo koczować latem i zimą, ze swymi stadami na uroczyskach Arkatu i Ałdżanu.

2. Za udział tego prawa naród Sartów obowiązuje się wiecznymi czasy, co rok płacić kirgiskiemu narodowi średniej hordy daninę, składającą się ze stu *dab bucharskich*, które rozdane będą pomiędzy *dżataków* Kuczukk-tobuklińskiej i Dżangubek-siwanowskiej włości, jako koczujących na wspomnianych ziemiach od niepamiętnych czasów.

3. Pokój, zgoda i dobra harmonia trwać będą na wieki wieków pomiędzy dwoma narodami.

Krótko i węzłowato.

Pisząc te *pacta conventa*, dowodzące wspaniałomyślności kirgiskiego narodu, co tak hojnie rozszafował ziemią, na której obszernej przestrzeni mogłoby najwygodniej pomieścić się z pół tuzina niemieckich książąt z całą pompą swych pałaców, szambelanów, fraucymeru, ministrów i swych potężnych kontyngensów, pomyślałem sobie: o dziwne losy człowieka! czy mi się śniło kiedy, ażebym ja, w drugiej części świata grał rolę dyplomaty pośród ludów znanych mi ledwie z imienia.

Sprawa ta taszkińsko-bucharsko-kirgiska nastręczyła mi zręczność poznać dwóch mężów, mających wielkie znaczenie u swych rodaków, i którzy, jak dwie gwiazdy pierwszej wielkości, przyświecają plemionom stepu. Powiem ci więc słów kilka o sułtanie Baraku i *biju* Kunanbaju[6].

W kwiecie jeszcze wieku potomek chanów, wyprowadzający swój ród od Dżingischana, sułtan Barak, jest to człowiek okazałej postawy, szlachetnych rysów lica i nadzwyczajnej siły. Hojna natura w uposażeniu tego stepowego Herkulesa, obok niepospolitych zdolności umysłowych, wlała weń tęgi charakter i nieustraszone męstwo. Wychowany po rycersku, jak syn barona z feudalnej epoki: nikt trafniej od niego nie strzeli z łuku, nie ujarzmi snadniej dzikiego rumaka, nie dźwignie ogromniejszego głazu. *Bajgi*, owe kirgiskie turnieje, łowy i *baranta*, na których zawsze palma zwycięstwa wieńczyła skroń jego, szeroko po stepie rozniosły sławę młodzieńca. Pode zielone jego znamię cisnęła się zewsząd chciwa łupów i zdobyczy drużyna, a młody bohater prowadził ją nieraz pod śnieżne szczyty Ałtaju, skąd, jak orzeł tych gór na ptaki, spadał na liczne stada Jusunów, których, mimo dziewięćkroć przeważniejszej siły, zbiwszy na miazgę, z bogatym zawsze plonem wracał do

[6] Uskinbajewicz Kunanbaj był ojcem poety kazachskiego Abaja Kunanbajewa (1845–1904), którego A. Januszkiewicz najprawdopodobniej leczył jako małego chłopca zagrożonego ślepotą.

swych aułów. Wyprawy te, przypominające napady góralskich klanów na płaszczyzny Szkocji, imię jego, jak niegdyś bohaterów walterowych powieści, uczyniły strasznym i opromieniły wieńcem narodowej poezji: niejedna bowiem banda stepowych korsarzy pierzchała na samo tylko imię Baraka, i niejeden *ulanczi* (poeta ludu) opiewał chwałę pogromcy zalepsańskich plemion. Dziś, ze zmianą okoliczności krajowych, złożył on swoje gromy, spoczywa na laurach, i tylko z herkutem na ręku goni za wilkiem, lisem lub stadem lotnych sajg (antylop); lecz dosyć nań spojrzeć, aby się przekonać, że krew dżyngischańska nie zamarła w jego żyłach, i że skromna władza *ilbilańczy*, a nawet bramowany złotem chałat, nie wystarcza dumie *batyra* Najmanów. Jakoż męskie swe czoło, na którym błyszczy gwiazda mocy i geniuszu, wysoko on wznosi przed każdym, kto by się go lekceważyć ośmielił. „Raz będąc w Czuguczaku – opowiadał mi – poszedłem z kilkoma innymi do tamecznego *ałdaja* (komendanta); towarzysze moi padli przed nim na kolana, jak nasze kobiety przed starszymi: ja tylko jeden, na znak uszanowania, położyłem rękę na sercu. Niezgiętością mego karku zdziwiony *ałdaj* zapytał: czemu nie padam na ziemię jak drudzy? – Bogu tylko taka cześć się należy, rzekłem, a ty nie jesteś Bogiem. Mój *ałdaj*, rozgniewany tą odpowiedzią, wrzasnął: Ja ci każę. – Ty, odparłem, nie masz prawa mi rozkazywać, i ja nie spełnię twojego rozkazu; lecz jeśli ci nie podoba się moja wizyta, bądź zdrów. – Słowa te zmiękczyły Czurczuta (Chińczyka), i nie tylko prosił mnie usiąść, lecz jeszcze przyjął lepiej niż innych, częstował herbatą i różnymi potrawami, których wszakże dotknąć się nie mogłem, nie będąc przyzwyczajonym do gadzin i tym podobnych przysmaków chińskich kucharzy”.

Bij – jeden z dostojników kazachskich

Oto masz w słabych zarysach Bajronowską postać, obraz męża ze wszystkimi pierwiastkami potężnego ducha, zdolnego pod moc swej woli podbijać masy i naginać je ku swoim celom.

Niewiele laty starszy od sułtana Baraka, *bij* Kunanbaj, nie mniej jest także wielką znamienitością w stepie. Syn prostego Kirgiza, obdarzony z natury zdrowym rozsądkiem, zadziwiającą pamięcią i wymową, czynny, gorliwy o dobro swych ziomków, biegły w stepowym prawie i przepisach Alkoranu, znawca wszystkich ustaw rosyjskich tyczących się Kirgizów, nieposzlakowanej bezstronności sędzia i przykładny muzułmanin, plebejusz Kunanbaj zjednał sobie sławę wyroczni, do

której z najodleglejszych aułów, młodzi i starzy, ubodzy i bogaci cisną się po radę. Zaufaniem możnego rodu Tobukli powołany na stopień rządcy, z rzadką prawością i energią piastuje władzę, a każdy jego rozkaz, każde słowo spełnia się na skinienie. Niegdyś przystojny mężczyzna, dziś, napiętnowany strasznymi bliznami ospy, co go przed kilku laty omal nie wtrąciła do grobu, w zapale mowy każe zapominać słuchaczom o szpetności swej meduziej twarzy; okrutna zaś plaga jaką dotknięty został obudza w nim samym słodkie wspomnienia współczucia ziomków, które ci może dać miarę jego zasług i znaczenia. „Tłumy ludu w rozpaczy – mówił mi z wzruszeniem i dumą – oblegały w dzień i w nocy moją jurtę, w której walczyłem ze śmiercią wśród mąk nieznośnych. Łzy to jego zalały ogień co mnie pożerał, i wymodliły u Allacha mój powrót do życia". Nie takimże współczuciem, w jednym z najoświeceńszych krajów Europy, otaczał lud ostatnie chwile umierającego trybuna, co równie jak Kunanbaj był tarczą jego przeciw niesprawiedliwości i gwałtom możnych; ów lud, co mniej szczęśliwy od półdzikiego, nie mogąc dla swego obrońcy wypłakać życia u Boga, w uniesieniu wdzięczności dla umarłego wynalazł Panteon. Tuzin sułtanów i z pół kopy *murzów* było dzisiaj u nas na herbacie. Do całej tej arystokracji rodu i bogactw wybornie zastosować można nasze przysłowie: wart pałac Paca, a Pac pałaca. Biała kość (sułtany) bardziej szarą niż białą wydawała się obok Baraka, a wszyscy *baje* (bogacze) niegodni rozwiązać rzemyka u obuwia Kunanbaja.

Przedstawiciel „białej kości", sułtan Daulet Buszajew z pow. perowskiego, koniec XIX w.

Bronisław Zaleski
Żołnierz Korpusu Orenburskiego
Na zesłaniu 1848–1856

STEPY KIRGISKIE

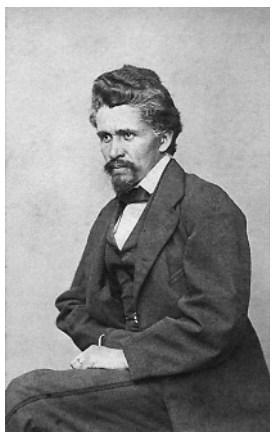

Działacz niepodległościowy, zesłaniec, prawnik, publicysta, urodzony w 1820 roku we wsi Raczkiewicze w powiecie słuckim w guberni mińskiej, dzisiejsza Białoruś. Zmarł w Mentonie we Francji (1880). Pochowany na Cmentarzu Montmorency. Studiował prawo na Uniwersytecie Dorpackim. Był jednym z aktywniejszych członków działającego tam „patriotycznego kręgu studenckiego" pozostającego w kontaktach z Towarzystwem Demokratycznym w Wilnie. Ciążyły też na nim kontakty z konarszczykami i inne niepokorne działania wobec zaborcy. Aresztowany za tę działalność, więziony był przez trzy lata w Wilnie, skąd w 1842 roku wysłany został do guberni czernihowskiej, gdzie na Uniwersytecie Charkowskim ukończył studia prawnicze. Od 1845 roku był urzędnikiem gubernialnym na Wileńszczyźnie.

Z patriotycznego podszeptu wszedł w powiązania z wileńską grupą konspiracyjną A. Reniera, bibliotekarza Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego, zesłanego za organizowanie na Litwie przestępczych „komitetów wojskowych", skazanego na 15 lat „ciężkich robót" w Zakładach Nerczyńskich opodal Irkucka. Zaleski natomiast za kontakty z wileńską grupą A. Reniera został oskarżony o naradzanie się w „swym mieszkaniu na temat powstania", został ponownie aresztowany i po długim śledztwie karnie wcielony (1848) do pogranicznego Korpusu Orenburskiego z pozbawieniem praw stanu i możliwości awansu. Podążał tam przez Mińsk, Moskwę Kazań i w ciągu niespełna dwóch miesięcy zesłańczej wędrówki przybył w marcu 1848 roku do Orenburga. Tu spotkał podobnych do niego rodaków, których wcześniej wcielono w sołdaty, przeżywających, tak jak i on, trudy rekruckiego losu. Trochę chorował i wysłany został do „wód siarczanych w Siergiejewsku" dla podratowania zdrowia. Nie było mu lekko znosić przykre obelgi batalionowych przełożonych, zwłaszcza w tzw. „rekruckim okresie". Uczestniczył też w wyprawach wojennych, a podczas jednej z nich, po wyróżnieniu się podczas szturmu twierdzy Ak-Meczet (1853), awansowany został do stopnia podporucznika. Żal zesłańczy łagodził listami do bliskich, które ubogacał szkicami rysunkowymi. Nieraz też udzielał lekcji języka francuskiego dzieciom rosyjskich oficerów, a pod koniec zesłania opiekował się zbiorem bibliotecznym Komisji Granicznej w Orenburgu.

Na prośbę matki i dzięki wsparciu uzyskanemu ze strony gubernatora Władimira Nazimowa uzyskał dymisję z wojska i powrócił w strony rodzinne (1856). Tu ożenił się, wkrótce jednak został rozwodnikiem. Poniewolny czas wypełniała mu praca w komisjach przygotowujących reformę chłopską związaną ze zniesieniem poddaństwa i pańszczyzny. Od 1860 roku przebywał w Paryżu, wspierając działania emigracyjne dotyczące zakupu broni dla przyszłych powstańców Białorusi i Litwy. Aktywnie działał w Hotelu Lambert, pozostając w przyjaźni z Władysławem Zamojskim, Cyprianem Kamilem Norwidem, dalekim krewnym Józefem Bogdanem Zaleskim i innymi polskimi emigrantami. Był dobrze znany w środowisku polskich

elit miasta nad Sekwaną. Wiele publikował, spełniał się jako artysta, twórca rysunków, akwafort, ilustracji książkowych.

Z okresem pobytu na zesłaniu łączy się udział Zaleskiego w kilku wyprawach geologicznych. Podczas jednej z nich zaprzyjaźnił się z Tarasem Szewczenką i wspólnie wykonywali szkice krajobrazowe. Opis tych ekspedycji rozproszony po różnych czasopismach scalony został przez A. Zielińskiego w książce: *B. Zalewski, Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich* (Wrocław 2008). Pisarstwo etnograficzne dotyczące Kazachów dopełnił on ilustracjami, które umieścił w albumie *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes* (Paryż, 1865) zawierającym 22 akwaforty opatrzone tekstami objaśniającymi. W 1991 roku album ten ukazał się w Ałmaty w formie dwujęzycznej publikacji (kazachskiej i rosyjskiej) pt. *Kazak sacharasyna sajchat – Żiżń kazachskich stepiej*, co stanowi potwierdzenie jego wartości dla obrazu kultury Kazachów, którą dotknął nieuchronny proces deformacji spowodowanej rosyjską kolonizacją. Inne jego stepowe obrazy tchnące znacznym stopniem ich przeżywania, wytrzymały próbę czasu i nie uległy zapomnieniu. O wartości poznawczej tej faktografii świadczy fakt, że znajduje ona odbicie w różnych opracowaniach dotyczących Kazachstanu oraz to, że jest ważnym elementem refleksji etnokulturowych dotyczących mieszkańców tej rozległej ziemi stepów*.

Podstawa relacji: *B. Zaleski, Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich. Wybrał, przedmową i komentarzem opatrzył Andrzej Zieliński,* Wrocław 2008. Tytuł od autora antologii.

* Informacje biograficzne: W. Caban, *Z Orenburga do Paryża, Bronisław Zaleski 1820–1880*, Kielce 2006; A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917. Słownik biograficzny*, Poznań 2000, s. 389–390; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 2006, s. 698–699.

Stepy kirgiskie ciekawe są pod wielu względami, szczególniej dla nas, ludzi Zachodu. Tam niebo, ziemia i mieszkające na niej ludy są nam zupełnie nieznane. Na łonie tego przyrodzenia ludzie-dzieci, pomimo tylu wieków bytu, zdają się bez zarodu samoistnej przyszłości. Gdyby można poznać gruntownie całe tamtejsze życie, pewnie by nauki zyskały na tym wiele, ale na to i czasu, i środków potrzeba. Mnie udało się spędzić kilkanaście tygodni w jednym zakątku stepu, więc słów kilka o tym posyłam, nie jako opisanie całego stepu, ani nawet tej cząstki jego, którą teraz zwiedziłem, ale raczej jako treściwe objaśnienie spotykanych w podróży nowości[1].

Wybrawszy się z Orenburga, trzeba było pierwej jeszcze ziemie należące do orenburskich i uralskich Kozaków przejechać, Morze Kaspijskie przepłynąć, zanim dostaliśmy się na półwysep Mangiszłak[2], stanowiący część wschodnich jego wybrzeży.

Poczynając od Uralska, kraj zupełnie płaski, na całej przestrzeni 500 werst ani jednego wzgórza, ani wąwozu nie spotkaliśmy. Gdzieniegdzie tylko widne są

1 W rękopisie: „jako treściwe objaśnienie do szkiców, jakie Pani mieć chciałaś" (chodzi o rysunki).

2 Mangyszłak – półwysep wysunięty w Morze Kaspijskie (Kazachstan); wnętrze jego zajmuje pustynny płaskowyż.

ślady i łożyska drobnych rzeczek, wpadających do Uralu. Horyzont wszędzie prawie prostą linią odcięty. Ziemia nieurodzajna, od połowy drogi między Uralskiem a Gurjewem[3] czerwona lub solą przesiąkła, więc ludzie prawie nie trudnią się rolnictwem i wioski, tak zwane tutaj forposty[4], przytuliły się wszystkie do ojca żywiciela ludności, do Uralu, płynącego poważnie po płaszczyźnie ku morzu. Lewy brzeg jego często porosły drzewami, przeciwny prawie nigdzie, toteż w tej stronie, jak okiem sięgnąć, ani drzewa, ani krzaczku: równina jednostajna, płaska, w niektórych miejscach utkana tulipanami, których złociste główki jak gwiazdki różnobarwnie świecą się, częściej porosła piołunem, którego mocny zapach przepełnia powietrze, a wreszcie tu i ówdzie bujnie wyrasta pospolita trzcina. Forposty są dość duże, czasem z murowaną cerkwią pośrodku, i gęsto jedne przy drugich rozsiadły się. Domy w nich małe, im bliżej do Gurjewa, tym bardziej podobne do lepianek. Drzewa nie ma, kleją je więc ludzie z chrustu i gliny, dając im nawet płaskie dachy z tychże materiałów zrobione, przez które w czasie ulewy woda strumieniami do środka wpada. Ale w tych lepiankach żyją ludzie w dostatku, bo rzeka zaradza wszystkiemu: jej jesiotry, bieługi karmią i odziewają Uralców, i pewno nigdzie wieśniak nasz i w połowie tak zamożnym nie jest. Lubi też Uralec swoją rzekę i trzeba go widzieć na wodzie, w czajce, którą budarką nazywa[5], żeby mieć wyobrażenie o jego zwinności, przytomności i zręczności – zupełnie pan tego żywiołu.

Na połowie drogi między Uralskiem i Gurjewem już siać przestają, bo nic się nie rodzi, i tam ludzie często cierpią okropną nędzę. Latem żyją kawonami, które tu jedne rosną i dojrzewają; zimą i wiosną jedzą rybę, skąd nieraz zabójcze choroby się wywiązują. Chleba prawie nie znają. Lud w ogóle pięknie zbudowany; kobiety noszą osobny strój, uralskim zwany, gustowny i często dosyć bogaty. Są między nimi bardzo dostatni ludzie; niektórzy prócz ryb handlują jeszcze baranami, skupując je u Kirgizów. Wszyscy są wyznania tak zwanego starowierskiego[6], nie lubią więc innowierców, jak wszyscy w ogólności sektarze. Odłączywszy się od ogółu, nie mają ogólnej, rodzinnej miłości. Przesądów u nich mnóstwo, mimo to jednak jest wiele prostoty i rysów wspólnych wszystkim prawie ich jednowiercom. Rybołówstwo jest u nich najważniejszym zatrudnieniem. […]

Ale i Uralcy, choć mają osobny swój charakter, który określić nie tak łatwo, nie tyle dla nas ciekawi; zawsze to ludzie nasi. I Kozaka, i kupca łatwo sobie każdy wyobrazi mniej więcej wiernie, ale na tym pasie ziemi, szerokim 70 werst, który do nich należy, nie oni jedni. Na prawo sąsiaduje z nimi Bukiejewska Horda, naj-

---

3 Gurjew – obecnie Atyrau, miasto i port w Kazachstanie w pobliżu ujścia rzeki Ural do Morza Kaspijskiego.

4 Forpost (ros.) – forpoczta, osada warowna.

5 Czajka (z ukr.) – szybka i zwrotna łódź kozacka.

6 Sekta staroobrzędowców (starowiercy, raskolnicy) powstała w Rosji w XVII w. jako reakcja przeciw reformie liturgicznej patriarchy Nikona; skierowana przeciw oficjalnemu Kościołowi prawosławnemu podlegała prześladowaniom, część jej zwolenników emigrowała (m.in. na teren Rzeczypospolitej).

bogatsza ze wszystkich, z którą handel prowadzą; na lewo, po drugiej już stronie Uralu, ciągną się stepy kirgiskie. Widać z forpostów ich koczowiska, a nędza nieraz ich na tę stronę Jaiku dla szukania kawałka chleba przegania. Przeszłoroczna zima[7] była bardzo ciężka, wiele koni wyginęło u nich, a baranów bez liku; zubożeli na długie lata. Wielu z nich za Uralem popaliło kibitki i poszło na robotników; wszędzie prawie w forpostach, a im bliżej Gurjewa tym częściej spotkać ich można.

Leniwy Kirgiz, lubiący nade wszystko spoczynek, stał się prawdziwą *bête de somme*[8] kupców uralskich. Za nędzną płacę, często za strawę jedną, najmują się całymi rodzinami i najtrudniejsze prace spełniają. Jednak kiedy tylko może, Kirgiz stara się mieć zajęcie z jego bytem odwiecznym zgodne. Pasterze z natury i najmując się starają się żyć z trzodami; pastuchami we wszystkich prawie forpostach są Kirgizi. Kilka albo kilkanaście namiotów ich (kibitek) widzieć można na polu koło wioski, gdzie pasą trzody kozacze. Tak służąc człowiekowi Zachodu, żyją choć na zewnątrz życiem ojców. Co tam się dzieje w duszy potomków czingischanowych towarzyszów, to Bogu jednemu wiadomo, ale przynajmniej choć odpędziwszy stado daleko w step, zapomni na chwilę, że inne czasy nastały.

Między uralskimi Kozakami jest wiele Kałmyków[9], tak iż wyjechawszy za Uralsk, prawie nie ma forpostu, gdzie by ich nie było, a w wielu z nich, gdzie ich więcej, są i duchowni Kałmycy. Niedaleko od Sarepty[10] bardzo ich wielu i tam też Uralcy co rok jeżdżą w dni świąteczne dla wspólnego nabożeństwa. Udało mi się znaleźć jednego z nich w domu; zaszedłem, żeby się przypatrzyć życiu ich choć powierzchownie. Mieszkał w kilku kibitkach, zupełnie takich jak kirgiskie, tylko porządniejszych, z białego wojłoku i pomalowanymi na środku pałkami. Jedna z nich służy za świątynię, wysłana wojłokiem. Na niziutkich stołeczkach poustawiane maleńkie naczynia, mające znaczenie symboliczne albo służące do składania ofiar. Kawałki kukuruzy stały tam także; nasiona jej i ziarna zboża były w kilku małych naczyńkach; kilkadziesiąt sztuk monety leżało na boku. Duchowny, ubrany w chałat ognistożółtego koloru (kolor wyłączny duchownych), siedział z założonymi na krzyż nogami. Był tyle uprzejmy, że pokazał nam obrazy swoje, chowane osobno pod zamkiem, odbywszy pierwej nabożeństwo i kilka pokłonów.

Obrazy, jedne podobne do drugich, wyobrażają bóstwo i cały dwór jego. Twarze rozmaitych kolorów: żółte, czerwone, zielone, szafirowe, a ciała z wielu nieraz nogami i rękami. O jednym mówił nam, że wyobraża główne bóstwo, o drugim, że matkę Boga, to znowu najpotężniejszych duchów. Charakter w ogóle tych obrazów indyjski, a że niewiele umiał po rusku, ja zaś nic zgoła po kałmycku, więc na takim powierzchownym objaśnieniu skończyć się musiało. Bardzo dobre, choć trochę

---

7 W 1850 r.

8 *bête de somme* (franc.) – zwierzę juczne.

9 Kałmucy – ludność pochodzenia mongolskiego zamieszkująca Kałmucję, Kraj Stawropolski, obwód astrachański i wołgogradzki, ok. 250 tys.

10 Sarepta – późniejszy Krasnoarmiejsk, miasto w obwodzie saratowskim, znane niegdyś m.in. z produkcji sławnej tabaki, cygar i musztardy.

uidealizowane rysunki Kałmyków wydał niedawno w podróży swojej po stepach między Kaspijskim i Czarnym Morzami p. Hommaire de Hell[11], a „Ilustracja"[12] je powtórzyła. Wszystko tam takie, jakie jest u tutejszych Kałmyków, nawet horyzont równy i prosty jak tutaj, tylko u uralskich Kałmyków nie ma pałaców i świątyń, wszystko biedniejsze i ceremonie religijne prostsze daleko. Uprzejmy duchowny, który nam obrazy pokazywał, z twarzą podobną do chińskiej, czarnymi jak smoła włosami i malutkimi żywymi oczami, napisał nam słów kilka po kałmycku na pamiątkę. Różny to charakter od innych: piszą z góry na dół, zaczynając od lewej ręki, tuszem, który pędzelkiem nakładają na pióro, skąd też pewno trwalsze ich rękopisma niż nasze, żółkniejącymi atramentami pisane.

Gurjew, licha mieścina o werst 11 od morza, nad samym Uralem zbudowana, a raczej rozrzucona, ma w sobie cechę pośpiechu i niedokończenia: tu dom bez dachu, tam znowu do połowy wybudowany, w części pokryty, choć już nienowy. Wszystkie wyglądają jakby niedawno stawiane, na popas tylko dla ludzi, a jednak wiele tam kupców bardzo bogatych. Rybołówstwo i handel rybami są wyłącznym ich zatrudnieniem. Morze ułatwia handel z Astrachaniem. Kirgizów tam mnóstwo; po kilkudziesięciu u jednego gospodarza widzieć mi się zdarzyło. Po skończonej robocie, której z dziwną oddają się cierpliwością, zwykle razem na dziedzińcu obiadować zasiadali. Twarz ogorzała, czarne oko i włosy, ruchy nieraz żywe; jeszcze widać syna stepu szerokiego, ale nędza grzbiet schyliła.

Parochód[13], który co miesiąc przychodzi tam z Astrachania do Gurjewa i pocztę do Nowopietrowska odwozi, miał i nas zabrać. Przepłynąwszy werst kilkanaście czółnem po Uralu, który kilku korytami do morza wpada, z każdym prawie rokiem coraz bardziej miałkim się stając, weszliśmy na pokład i wkrótce pożegnaliśmy brzeg europejski. Ogromne stada łabędzi i pelikanów ze wszystkich stron się zlatały. Na odkrytym morzu, gdzie oko nie ma z czym porównać przedmiotów, dziwnie się wydawały, braliśmy je nieraz za łodzie, wyspy itp. Ale wkrótce i to zniknęło; wiatr niósł nas ku Azji. W półtora dnia przepłynęliśmy w poprzek morze, tu około 350 werst szerokie, i zobaczyliśmy przylądek Tiup-Karagan. Okrążywszy go, wpłynęliśmy do nowopietrowskiej przystani, na półwyspie zwanym Mangiszłak.

O trzy wiorsty od morza zbudowana twierdza na trzech wzgórzach z muszlowca[14], z którego cały tam brzeg się składa, mieści w sobie garnizon; nad samym morzem ma dwadzieścia tylko domków w linię prostą zbudowanych, zupełnie podobnych do siebie. Stanowi ona nową w tych latach tam założoną osadę europejską.

---

[11] Ignace Xavier Hommaire de Hell (1812–1848) – geolog i podróżnik francuski, autor dzieła *Les steppes de la mer Caspienne, la Caucase, la Crimée et la Russie méridionale* (*Stepy nadkaspijskie, Kaukaz, Krym i Rosja południowa*, 1844–1847).

[12] „Illustration" – tygodnik ilustrowany wychodzący od 1843 r., najstarsze i najznakomitsze z francuskich pism ilustrowanych.

[13] Parochód – parowiec, parostatek.

[14] Muszlowiec – skała osadowa utworzona w znacznej części z muszli różnych organizmów, zwłaszcza małży i ramienionogów.

Na piasku zmięszanym z drobnymi muszlami, obmywanymi ciągle pianą morską, bez żadnego nie tylko cienia, ale nawet bez trawki wokoło, stoi ten pluton domów. I ludzie tam żyją, i mnóstwo dzieci widziałem bawiących się w spiekocie słonecznej na brzegu, albo kąpiących się w morzu. Tak to człowiek wszędzie żyć umie.

Pusta strasznie okolica: od przylądka Tiup-Karagan do samej twierdzy ciągnie się piaszczysta równina, wiankiem wzgórzów opasana, ale te wzgórza, złożone z muszlowca, szare, nagie, zdaje się, że tylko dzikości tej stronie dodają. Między twierdzą a morzem dwa jeziora słone, jedno białe i tak gęste, że wygląda jakby pokryte lodem, drugie czerwonym zwane, ślicznego karminowego koloru, szczególniej przy łamaniu promieni słonecznych; wokoło roślinności żadnej.

Twierdza opasana niewysokim murem, cała z muszlowca zbudowana, który się najlepiej w płyty kwadratowe piłować daje, czysta i porządna, potrzebom miejscowości odpowiadająca. U stóp jej kibitki Kirgizów, których kozy i barany i na tym kamienistym gruncie pokarm dla siebie wynaleźć umieją. Załoga żyje komunikacją z Astrachaniem, bo wszystko stamtąd, nawet siano dla koni skarbowych, sprowadzać musi. Smutne też i tęskne tam życie, jak życie na pustyni. […] Parochody co miesiąc przywożą tam wieści, bo są pocztowymi statkami Kaspijskiego Morza, a drobne statki ze zbożem, sianem, drwami itp. ustawnie zawijają do portu i odpływają do Astrachania, zabierając z sobą rybę, skórki baranie, stanowiące przedmiot handlu z Kirgizami, a czasem i towary chiwijskie, bo karawany stamtąd, choć bardzo niewielkie, kilka razy do roku przychodzą do Nowopietrowska. Przy nas duże były, od 60 do 100 przeszło wielbłądów liczące. Towary składały się z chałatów, dywanów i suszonych owoców, jako to ali-buchara[15], tak przez proroka zalecana prawowiernym, osobny rodzaj rodzynek, kiszmiszem zwany, i różne gatunki śliwek. Chiwińcy ogorzali, w wysokich, czarnych baranich czapkach, z orlimi nosami i żywym, pełnym okiem, różnili się zupełnie od Kirgizów i prędzej mi się wydali typami Wschodu niemongolskiego.

Za twierdzą ogrody. Żołnierze każdej broni, składający załogę, mają osobny kawałek ziemi, na którym zasiewają ogrodowizny. Wiele to pracy kosztuje, bo ustawnie polewać trzeba, bez czego słońce wypaliłoby wszystko. Zbudowano też dwie machiny konne, dostarczające ciągle wody, która się po wszystkich grzędach rozchodzi, ale za to załoga ma swoją rzodkiew, kapustę, ogórki, kawony, nawet i melony, które, choć niewielkie, ale bardzo słodkie, i praca się wynagradza. Niebo skwarne i często całe miesiące trwa zupełna pogoda, bez żadnej odmiany. Za to kiedy deszcz się zbierze, to już prawdziwa ulewa, ale nieraz w ciągu lata zaledwo parę razy odświeża się tak powietrze. Toteż szkorbut panuje, tylko że znaleziono lekarstwo, które w tamtej miejscowości najdoskonalej leczy tę chorobę: jest to prosta rzodkiew, im bardziej gorzka, tym lepiej skutkuje. Febry, których siedliskiem zdaje się być Uralsk, nieznane w Nowopietrowsku; utrzymują, że to od gatunku gruntu i suchości powietrza pochodzi. Zima bardzo lekka, mrozy nie przechodzą

[15] Ali-buchara – roślina trudna do zidentyfikowania.

Skała Mnich

13 stopni, a śnieg zaledwo kilka razy w ciągu całej zimy pada i zawsze trwa nie więcej nad kilkanaście godzin.

O werst sześć od Nowopietrowska, na kamiennym i stromym wybrzeżu morskim, odróżnia się od skał innych kształtem swoim kamień na sążni dwanaście wysoki, nazywany Mnichem, a od niektórych Samsonem. W istocie dziwne ma podobieństwo do postaci człowieka siedzącego, uwiniętego w szeroką szatę z kapturem. Na wierzchołek tej skały włażą nieraz żołnierze nowopietrowskiego garnizonu, stęsknieni za światem i ludźmi, patrzeć na szerokie morze i śledzić na nim żagla pożądanego, szczególniej wiosną pierwszy parochód spodziewany. Miejsce, na którym siedzi ten stróż samotny, tak dzikie i puste, z szumiącym u stóp jego morzem, że mimowolnie jakiś dreszcz uroczysty przejmuje tam człowieka. Byłem zupełnie samotny, kiedy ten brzeg rysowałem; orzeł tylko szerokim skrzydłem zaszumiał raz nad głową, morze huczało, a w wyobraźni snuły się fantastyczne obrazy. Miejsce to doprawdy na teatr niejednej sceny Fausta lub Szekspira, jakby duch śmierci tamtędy przeszedł i wszelkie życie skonało.

A jednak niedaleko stamtąd, na stromym brzegu wznoszącym się wyżej jest ogród… dziwny, oryginalny ogród! Składa się ze stu przeszło drzew morwowych, rosnących w szczelinach porozwalanych skał, między ogromnymi kamieniami. Nie wiadomo, jak się te drzewa tam dostały; niektórzy utrzymują, że zasadzone przez dawnych mieszkańców tej ziemi Truchmeńców[16]; ale śliczne drzewa, i dziwna, jak rosną na tym kamienistym gruncie. Prawda, że źródeł tam kilka, ale warstwa składająca najwyższy pokład Mangiszłaku muszlowa, gruba na sto przeszło sążni,

[16] Truchmeńcy – Turkmeni, pasterski lud koczowniczy, który w XVIII w. przeniósł się z terenów zakaspijskich do północnej części Kraju Stawropolskiego; posługuje się językiem truchmeńskim.

Ogród Mangiszłaku

i one tam zewsząd zawalone kamieniami. Skorzystano z miejscowości[17], porobiono schodki i dróżki, altanę, nawet mostek, i powstał ogród, jeden może z najbardziej dzikością swoją oryginalnych na świecie. Drzewa pokryte były w czerwcu jagodami, najczęściej białymi, choć i czarne spotykać się dawały. Gdyby taki ogród mógł być przy twierdzy, byłby prawdziwym dobrodziejstwem dla mieszkańców; teraz rzadko go odwiedzają, bo daleko, a upały straszne.

Opuściliśmy Nowopietrowsk. Po drodze to samo przyrodzenie. Zmierzaliśmy ku górom Karatau[18]. Ponieważ się w stepie nie tyle jedzie albo idzie, ile się chce, lecz ile można, bo woda jest tylko w rzadkich studniach i przy nich zatrzymać się trzeba, więc pierwszego dnia zaledwo 29 werst uszliśmy. Po drodze wody nie było, więc nawet stad baranów, co zwykle około nich się pasą, nie widzieliśmy. Nie spotkaliśmy nic prócz kilku Kirgizów podróżnych, którzy zwyczajnym sposobem „Salam-malajkium" witali nas, rozpytując o cel podróży.

Gdzieniegdzie rozsiane po stepie ujrzeliśmy mogiły. Zatrzymać się nam przyszło w głębokim wąwozie, zwanym Hanga-Baba. Bardzo to oryginalne miejsce: kilka gór z marglu, białych zupełnie, oddziela się malowniczo od szarego stepu, w dolinie, pustej zresztą jak wszystko w okolicy, rośnie prześliczne morwowe drzewo; kilka pni suchych stoi niedaleko; niżej trochę, przy załomie doliny między górami,

---

17 Miejscowość – tu: warunki lokalne.

18 Karatau – pasmo górskie ciągnące się wzdłuż półwyspu Mangyszłak; najwyższe wzniesienia osiągają 555 m n.p.m.

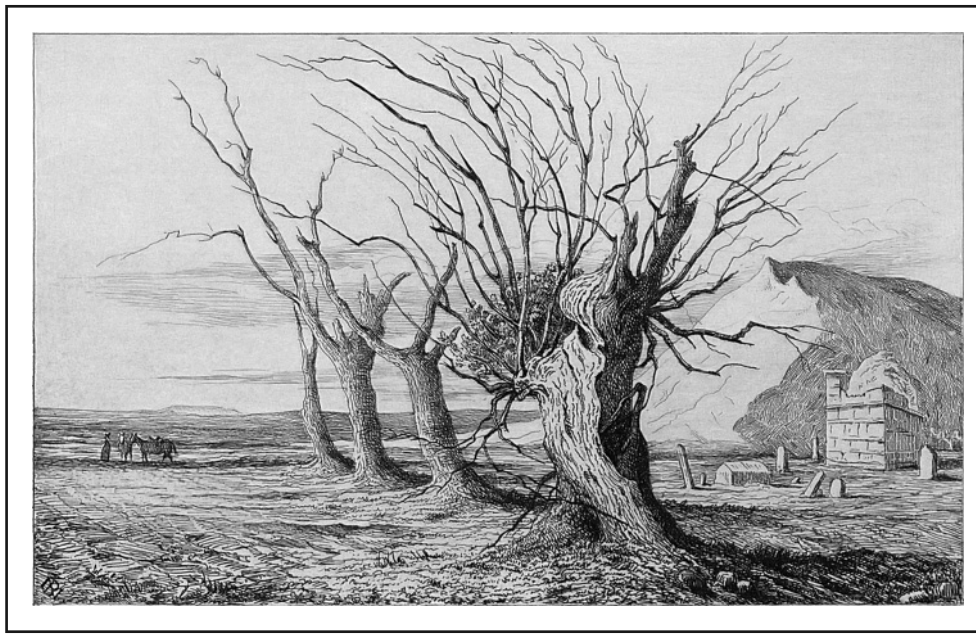

Hanga–Baba

domek Hangi-Baby, od którego miejscu całemu nadano nazwisko. Był to człowiek czczony przez Truchmeńców jak święty, i musiał nim być w istocie, kiedy mu aż dom z kamieni zbudowali i dotąd czcią go otaczają. Dom niziutki i już w ruinach. Widać ślady wielu maleńkich izdebek, we środku większa z okrągłymi słupami i niszami w ścianach u dołu, zapewne meczet świętego. Tamże i pochowany być musi, bo z boku w jednej z przegródek kamiennych jest ślad grobu i tam zatknięto kilka żerdzi, na których przejeżdżający zawieszają ofiary: kawałki odzienia, szmatki chałatów, skóry bucharskiego kota[19]. Na kamieniach przy tych żerdziach kilkanaście rogów baranich ogromnej wielkości. W kilku kamieniach małe wydrążenia, jak mówią Kirgizi, zrobione dlatego, żeby latem zbierała się w nich deszczowa woda i ptaszki napić się mogły i chwaliły Boga… Śliczna myśl ludzi żyjących z naturą i kochających wszelkie w niej życie!

We wszystkich załomach tego wąwozu, usłanych ogromnymi kamieniami, ułożonymi w fantastyczne piętra aż do góry, rosną morwowe drzewa ogromnej nieraz wielkości dochodzące, malownicze bardzo i daleko piękniejsze od tych, które w nowopietrowskim ogrodzie widzieliśmy, bo ręką człowieka nieokrzesane, w całej pełności życia, ze wszystkimi suchymi gałęziami, tak pięknie odbijającymi od gęstej zieloności. Jedyne to drzewa, jakie w stepie widzieliśmy; dalej w całej wędrówce

[19] „Koty bucharskie – pisał Adolf Jabłoński – są o wiele większe od naszych, z oczami zawsze różnymi, najczęściej jedno niebieskie a drugie żółte; ogony długie, puszyste jak u lisów. Rozgniewane najeżają sierść na grzbiecie i ogonie, a wtenczas są niebezpieczne, gdyż rzucają się napastnikowi w oczy" (*Dziesięć lat niewoli moskiewskiej*, s. 251).

ani jednego napotkać się nam nie udało. Hanga-Baba musiał być bardzo rozumnym człowiekiem, tak śliczne wybrał dla siebie miejsce, tyle tam studzien między drzewami, zapewne jego staraniem wykopanych… Pustynia, jak wszystko wielkie i bez granic, musi podnosić duszę człowieka, a w stepie miłośnik natury nie mógł lepszego wybrać dla siebie miejsca.

Ze świtem ruszyliśmy dalej, ale dnia tego mniej jeszcze ujść było można. Studnie znalazły się o werst 12, drugie były za daleko, tu więc znowu nocować nam przyszło. Podróże na wielbłądach odbywają się w ogólności powoli, bo chociaż wielbłąd ma krok szeroki, jednakże koniowi wyrównać nie może, a jadąc stępo na odległości 25 werst zawsze o godzin parę wyprzedzaliśmy naszą karawanę. Opowiadali mi kupcy, chodzący z karawanami do Chiwy i dalej, że nigdy więcej nad werst 60 w dzień zrobić nie mogą na wielbłądzie, a kiedy mocno są obładowane, to i mniej jeszcze. Ciężaru też więcej nad 16 pudów nie może unieść tutejszy wielbłąd. Słusznie okrętem pustyni nazwany, jak okręt kołysze też jeźdźca; dla nieprzyzwyczajonego jest to ruch przykry i prawie nieznośny. Dwóch rodzajów są wielbłądy u Kirgizów, jedno- i dwugarbne, ale ostatnie powszechniejsze; sierści rozmaitej: białej, brunatnej i żółtawej. Z karawanami idą często razem maleńkie wielbłądzięta, wesołe i pocieszne niezgrabnością swych ruchów, co jakoś ten poważny pochód urozmaica; powiązane jedne za drugimi przez nozdrze przeprowadzonym sznurkiem, ryczą płaczliwie; latem ogołocone z sierści brzydkie są.

Studnie to prawdziwe pulsa stepu. Koło nich zwykle rozstawiają się kibitki, w okolicy ich pasą się trzody, tam zachodzą pasterze, podróżny się zatrzymuje, jednym słowem koło nich odbywa się mnóstwo epizodów stepowego życia. Głęboko kopane, przykryte okrągłym, wydrążonym kamieniem, często po kilka razem, mają koło siebie koryto, także wykute z kamienia dosyć miękkiego, i są prawdziwie ogólną wszystkich własnością. Rodziny koczujące mają jeszcze małe drewniane korytka, porobione z desek, które tam morze wyrzuca, i te z sobą do studni przynoszą, ale prawie wszędzie są kamienne służące wszystkim. Studnia nie wystarcza na długo dla trzód znaczniejszych, toteż przez dni kilka poją je w jednym miejscu; kiedy się woda wybierze, przepędzają trzody dalej, a potem wracają znowu do pierwszych, które się napełniły tymczasem.

Następnego dnia, przeszedłszy werst 25, zatrzymaliśmy się w miejscu zwanym Udiuk. Kraj, który przeszliśmy od Nowopietrowska, jednostajny bardzo, pusty i monotonny; piasek, kamienie, zawsze jednej i tej samej formacji. W wielu miejscach przesiąkłe solą płaszczyzny, sołonczakami tu zwane, lśniły się od promieni słońca, jak jezior zwierciadła. Roślinność bardzo mała. Dosyć gęsto w niektórych miejscach rosną wysokie kępy trawy stepowej, szorstkiej i twardej, a tak gorzkiej, że jej nie tylko wielbłądy, ale i konie nie jedzą. Zimą tylko, kiedy śnieg spadnie, traci swą gorycz i wtenczas wielbłądy nią się karmią. Kilka gatunków kolczastej rośliny, także na pokarm dla bydła niezdatnej, bodiaki[20], takie jak w Małorosji[21],

---

[20] Bodiak *(Carduus)* – roślina stepowa z rodziny złożonych, o kolczastych liściach i łodygach.

[21] Małorosja – Ukraina.

z pięknymi gałkami kwiatów na pojedynczych łodygach, dużo powoju różowego, pełzającego od kępy do kępy, gdzieniegdzie trawka albo piołun, mięta stepowa, bujnie po wąwozach rosnąca – otóż i wszystko prawie, co nie tylko tam, ale i w całej wędrówce naszej z królestwa roślinnego widzieliśmy. Dalej w górach często napotykałem dziewannę.

Z ptastwa bardzo mało. Orły czasami przelatują po stepie, ale tych więcej koło twierdzy i w wyższych górach widziałem. W stepie nic prócz kuropatw stepowych, trochę różnych od naszych; latają stadami, a w godziny upałów spadają raczej niż siadają na studniach i wtedy łatwo strzelać je można. Ze zwierząt czworonożnych widzieliśmy tylko kilka sajgaków, rodzaj sarny stepowej, czasem lisa, podobnego do naszych, a nieraz spod naszych nóg wysuwał się schowany między kamieniami spłoszony zajączek, mniejszy bez porównania od naszych. Świń dzikich, których także mnóstwo koło Aralskiego Morza, nie ma tu dla braku trzciny, w której się trzymać lubią. Jaszczurek tylko w stepie niezmiernie wiele; malutkie, nadzwyczaj zwinne, koloru takiego jak step, uwijają się ciągle po nim, prześlizgując się z norki do norki lub igrając na słońcu. Maleńkich susłów stepowych w niektórych miejscach widzieliśmy dużo; wyskakiwały z jamek i stając na tylnych łapkach grzały się na słońcu, czasem i do kibitek naszych zaglądały, nawet zachodziły w odwiedziny. Step tak mało był ożywiony, że radzi byliśmy z serca i tym gościom. Wężów jest także niemało w górach, w stepie samym nawet spotykaliśmy je dość często. Kirgizi, żeby się zabezpieczyć od tych gadzin, chowają w kibitkach koty, których się one lękają.

Pierwszego czerwca stanęliśmy u stóp gór Karatau, przy studni Apazir, gdzie całe trzy tygodnie przepędzić nam przyszło. Mieszkaliśmy w kibitkach takich jak kirgiskie, bo nic nad nie wygodniejszego wymyśleć w stepie nie można. Nocowaliśmy pod niebem, piliśmy całymi piersiami świeże stepowe powietrze i było nam dobrze, tylko że monotonność miejsca prędko nużyć zaczęła. Pod koniec naszego tam pobytu już każdy kamień był nam znajomy.

W dolinie Kirgizi drobnymi aułami koczują. Kilkanaście jest studni w tej stronie, a każda z nich ma osobne nazwisko. Koło studni też porozstawiane kibitki. Stada baranów stanowią całe ich bogactwo. Barany te, osobnego gatunku, na wysokich, silnych nogach, większe od naszych, najczęściej garbonose, z tłustymi ogonami, które czasem do 30 funtów tłustości dają. Mięso ich było dla nas ciągłym w stepie pokarmem, a jednak nie przejadało się wcale jak nasza baranina; tłustość zastępowała masło. Jagnięta szczególniej delikatne mają mięso. Wełna tych owiec długa i gruba, a że zimę i upały przenoszą najdoskonalej, nie potrzebując przykrycia, ani nawet przygotowanego pokarmu, więc są prawdziwym skarbem dla Kirgizów. Koni i krów dla braku karmi trzymać prawie nie mogą, kilka ich ledwo w całej dolinie widzieliśmy, za to mają wielbłądy.

Jeździliśmy czasem do aułów i Kirgizi też przyjeżdżali do nas w odwiedziny. Jeżeli który miał jaki podarunek od rządu, chałat czerwony, szablę lub coś podobnego, to zaraz się z tym pochwalić przyjeżdżał. Jeden z bogatszych, który miał kla-

cze, przywiózł wiele *kumysu* […] i zapraszał do siebie. Pojechaliśmy. Kibitka duża, porządna, matą wewnątrz wyłożona; sprzęty, takie jak wszędzie u nich, składały się z kilku worków skórzanych, kotła żelaznego, dzbanka, powrozów i lin. Kirgiz miał trzy żony. Dzieci znaleźliśmy mnóstwo, niektóre z ożywionymi twarzami i jakimś blaskiem w czarnym oku, inne okropnej, odrażającej szpetoty. Kobiety na ogół bardzo brzydkie. Gospodarz częstował nas *kumysem*. Za pomocą tłumacza wdaliśmy się w rozmowę.

Kirgizi w ogólności lubią namiętnie opowiadania. Można ich zjednać sobie, gadając jak najwięcej, rozpytując o najdrobniejsze szczegóły. Pytali nas o nasze familie, ile mamy baranów, wielbłądów, o suknie nasze, zresztą o każdą rzecz, którą na nas spostrzegali. Jedna z kobiet koniecznie dopraszała się pierścionka, który na moim palcu dostrzegła. Nie znając języka, gdzie tylko było można powtarzaliśmy kilkanaście słów, którycheśmy się wyuczyli, i widocznie to ujmowało naszych gospodarzów. Mężczyźni zaczynają już rozumieć język rosyjski, ale kobieta żadna ani słowa nie rozumie. Gospodarz częstował nas ciągle *kumysem*, prosząc, żebyśmy siedzieli i byli gośćmi, to on barana zarżnie i zgotuje, aleśmy się wymówili. Przynieśliśmy mu tytuniu (na który Kirgizi bardzo są łakomi, bo wszyscy, nie wyłączając kobiet, a nawet i dzieci, zażywają namiętnie tabakę i ruski tytuń bardzo cenią), a także trochę cukru dla dzieci, ale ten starsi, wydarłszy dzieciom, sami łapczywie zjedli. Gospodarz nareszcie odezwał się naiwnie, że jeżeli mu damy rubla srebrem, to będzie wielki nasz *kunak* (co znaczy przyjaciel) i wszędy będzie rozpowiadał, że nas kocha. Takich i tym podobnych pytań i próśb przy odwiedzinach było bez liku.

Pożegnawszy naszego gospodarza, odwiedziliśmy i inne kibitki. Wszędzie to samo znaleźliśmy: dzieci mnóstwo, najczęściej zupełnie nagich i aż brązowych od słońca. U niektórych chłopaków na wierzchu golonej głowy zostawiony kosmyk włosów spadających równo na wszystkie strony, mnisza tonsura na odwrót. To są faworyci familii czy ojca. Brzuchy u dzieci ogromnie wydęte (czy od pokarmu, czy *kumysu*?). Między starymi Kirgizami spotykają się twarze zupełnie różny typ noszące, bardziej podobne do Chiwińców niż Kirgizów. Między porządniejszymi kibitkami była jedna malutka (żułamiejka). Właściciele jej bardzo biedni. Cały ich majątek, prócz nędznych sprzętów i lichego odzienia, składał się z trzech owiec. Kirgizi mówili, że to *„bajgusze”*. Był tam mężczyzna i kobieta, przystojna jak na Kirgizkę. Siedzieli obok siebie, przytuleni jedno do drugiego, i zdało mi się czytać w ich twarzach i ruchach, że im dobrze z sobą.

Najstarszy wiekiem w aule nazywa się *aksakał*[22] (dosłownie: biała broda) i ten uważa się za głowę całego aułu. Kirgizi naturalnie ustaw pisanych nie mają, ale jest u nich zwyczajowe prawo, które się święcie wypełnia. Starsi, zwani *bijami*[23], rozsądzają według tego prawa wszystkie spory i przestępstwa. Przyjętym jest za zasadę, że trzeba się wykupić od kary albo zadosyć uczynić; nazywa się to po kirgisku *kun*,

---

[22] *Aksakał* – wyraz do dziś używany grzecznościowo w odniesieniu do osób starszych.

[23] *Bij (bej, baj)* – przedstawiciel arystokracji kazachskiej.

a jak wszystko w stepie, tak i *kun* oblicza się na barany. I tak za rozmyślne zabicie sułtana *kun* wynosi od 2000 do 1500 baranów, za *bija* 1000 i tak stopniowo. Za zabójstwo żony płaci się tyle, co za zabójstwo obcego człowieka, żona, która by zabiła męża, ulega karze śmierci, ojcobójstwo także. Zabicie matki opłaca się jak zabicie każdego innego człowieka, na dzieciobójstwo kary nie ma, sąd zdają na Boga. *Kun* płaci się najbliższym krewnym i spadkobiercom zabitego, jeśli zaś na to nie przystają, domagając się śmierci zabójcy, to kara na nim dopełnia się, chyba że znowu krewni jego ze swojej strony na to nie pozwolą. W takim razie sprawa kończy się pojedynkiem na białą broń między wybranymi na ten cel Kirgizami, z których jeden najczęściej zostaje na placu. Rany zadane człowiekowi ocenione są także. Wzrok, słuch, kalectwo rąk i nóg, wybicie zębów ceni się zarówno z życiem i kto by wszystkich tych kalectw dopuścił się na jednym człowieku, ten zapłaci za to pięciorazowe *kun*, jak za zabójstwo, a pierwej jeszcze skaleczonego własnym kosztem wyleczyć musi. Śmierć z ran pociąga za sobą zwyczajny *kun* za zabójstwo. Za każdy ucięty palec opłaca się 100 baranów.

Kradzież, oprócz zwrotu ukradzionej rzeczy, ciągnie także za sobą opłatę po 9 sztuk bydła i wszystkiego, co złodziej posiada, stosownie do wyroku *bija*, tylko że okradziony te rzeczy rozdarować powinien innym Kirgizom, a jeżeli zechce, to nawet i krewnym obwinionego, sam zaś zatrzymać ich u siebie ani swoim krewnym oddać nie ma prawa. Obelżywe słowa i razy opłacają się także podarunkiem, który również u skrzywdzonego pozostać nie może.

Gwałt nad dziewczyną karze się śmiercią. Kirgiz, który by żonę drugiego do ucieczki z sobą namówił, prócz zwrotu jej płaci mężowi dziewiątą część majątku. Jeżeli żona ucieka od męża i mieszka u innego Kirgiza, mąż przez *bija* upomina się o nią, a wtedy zwraca się jemu żona, a przestępca karę publicznie odbiera. Po śmierci Kirgiza wdowa obowiązana jest koniecznie wyjść za jednego z najbliższych krewnych jego; to samo ściąga się[24] i do oblubienicy, której narzeczony umarł albo wygnany został za jakie przestępstwo. Wolne są od tego kobiety mające dorosłe dzieci. Kirgiz liczący lat 15 uważa się za pełnoletniego. Po śmierci ojca naturalną opiekunką dzieci jest matka, a w razie i jej śmierci opiekę nad sierotami i pozostałym mieniem obejmują najbliżsi krewni.

W dolinie Apazir są mogiły jak w całym stepie. Jedna z gór nawet nazywa się Świętą Górą (Aulio-Tau), bo na niej święty pochowany. Takich mogił uświęconych przez Kirgizów wszędzie jest rozsianych po stepie dużo, a wszystkie stare. Kirgizi na pytanie nasze, czy teraz żyje jaki święty człowiek między nimi albo w Bucharii czy Chiwie, odpowiadali zawsze, że te czasy minęły. Pomników, nawet kamieni nadgrobowych, jak na innych mogiłach, nie widać nad popiołami świętych, tylko żerdzie, czaszki wielbłądzie i rogi acharów (gatunek stepowych dzikich baranów). Rogi te, już nadgniłe i stare, przeszło pud ważyły.

W przeciągu trzech tygodni, które tam spędziliśmy, Kirgizi parę razy przemieniali koczowiska. W wilię dnia tego zbierali się zawsze w jednym z aułów,

[24] Ściąga się – ma zastosowanie.

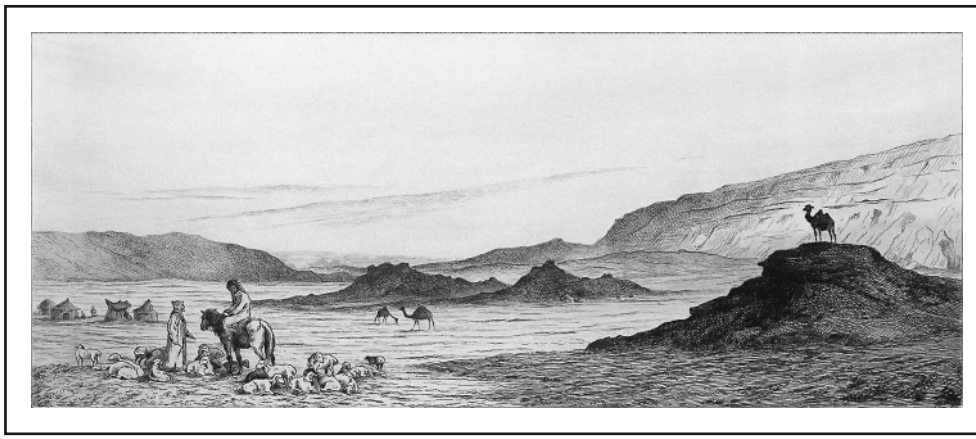

Dolina Apazir

zapewne u jakiegoś *aksakała*, i hałas ich biesiady dolatywał aż do nas. Nazajutrz widzieliśmy szereg wielbłądów, naładowanych kibitkami i całym mieniem Kirgizów, przechodzący o werst kilka na inne miejsce, ku innej studni. Kobiety zwyczajnie prowadziły wielbłądy; nieraz kilkanaście główek nagich dzieci wyglądało z kosza zawieszonego na wielbłądzie. Kirgizi w świątecznych strojach jechali konno, a psy szły krok w krok za wielbłądami. Wszędzie ich mnóstwo w aułach; przy odosobnionej nawet kibitce zawsze się pies znajdzie, stróż i przyjaciel pasterzy. Kirgizi, odbywając podróże w upały, trzymają w ustach włos koński i utrzymują, że to utula pragnienie.

Bardzo są zręczni na koniu. Mówili mi ci, co często bywali w stepie i nawet napady ich wytrzymywali, że nieraz nim Kozak lub żołnierz potrafił zdjąć broń i kurek odwieść, już go Kirgiz z konia ściągnął. Najbardziej w takim razie strzec się trzeba, żeby z lewej strony nie zajechał, bo na prawą szczególniej stronę nadzwyczaj zręcznie i zwinnie przechylają się z konia. Krzyk ich przy napadzie ma być niezmiernie przeraźliwy i taki, że z wołania „hik heu" można by wnosić, iż są w kilka razy większej liczbie niż rzeczywiście.

Wesela u Kirgizów odbywają się bez żadnych szczególnych ceremonii. Duchowny czyta modlitwę nad nowożeńcami i na tym kończy się cały obrządek. Potem następuje uczta, *toj* po kirgisku zwana, gdzie wszyscy są wystrojeni w najbogatsze, na jakie się zdobyć mogą, suknie. Na weselach dziewczęta konno wyzywają do wyścigów mołojców kirgiskich. Zwykle dają im najlepszego konia i grubą nahajkę. Dopędzający powinien dziewczynę wpół ująć i porwać z konia. Nim tego dokaże, odbiera od niej tęgie razy nahajką, co wesołość patrzących obudza. Jeżeli koń jego nieraźny i dopędzić swojej amazonki stepowej nie może, ona zwraca się ku niemu, pędzi go i nahajką okłada. Najczęściej do wyścigów staje ten, komu się dziewczyna podoba, i zdarza się nieraz, że wtenczas pędzą za sobą daleko od zgromadzonych widzów, aż znikną sprzed ich oczu za górami. Wtedy następują oświadczenia miłosne i tak na weselach nieraz zawiązują się nowe małżeństwa.

Jest jeszcze u Kirgizów taniec do chorowodu[25] podobny: stają wkoło parami, pobrawszy się za ręce, i potem pędzą co tchu w kółko w jedną stronę; nagle zwracają się w przeciwną, również szybko kręcąc młynka, i kto upadnie, a zdarza się, że i kilku utrzymać się na nogach nie może, jest przedmiotem powszechnego śmiechu i wesołości.

Dnia 22 czerwca opuściliśmy dolinę Apazir o wschodzie słońca. Rosa, którą pierwszy raz widzieliśmy w stepie, odświeżyła powietrze. Drogę mieliśmy jednostajną: gdzieniegdzie sołonczaki, to znowu pasy ruchomego piasku tylko wyrazistszym robiły charakter pustyni. W ogólności grunt w stepie tak jest solą przesiąkły, że nieraz nam się zdarzało widzieć w kibitkach na miejscu, gdzie była rozlana woda, powstające kryształki soli, jak tylko miejsce to przeschło. Bardzo wiele strumieni zupełnie jest słonych, często i w studniach woda gorzka i słona. W nowopietrowskiej twierdzy nawet nie mają dobrej wody; żeby mieć herbatę, muszą wodę sprowadzać z Astrachania.

Prawie nie spotykaliśmy aułów, aż przeszedłszy 25 werst, spuściliśmy się drogą krętą i zewsząd osadzoną kamieniami na rozległą dolinę Ułaszek, rozległą na werst kilka i kilkanaście. Z jednej strony opasywały ją małe piaszczyste wzgórza, usłane kamieniami okrągłymi jak bomby, jak gdyby tam grad kamienny padał. Z drugiej białe, marglowe góry (Aktau), wszędzie podobne do wałów twierdzy, a czasem i do baszt dawnych zamków.

Przy wzgórzach piaszczystych auł większy niż wszystkie spotykane dotąd. Po całej dolinie rozsiane kibitki, studni kilka, a pośrodku mały rezerwoar wody, jakby sadzawka; w niej dzieci i kobiety myły baranów. Scena była bardzo ożywiona: stada kóz i baranów przepędzano do studni, dzieci nagie uwijały się wszędzie, kobiety tkały na swoich warstatach, rozłożonych na ziemi, szeroką na pół łokcia tkaninę. Przyjazd nasz zwrócił ich uwagę, otoczyli nas z daleka, dowiedziawszy się jednak, iż nazajutrz pójdziemy dalej, nie ruszali się z miejsca. Wszystko szło swoim trybem u nich, a my rozłożyliśmy się u stóp cmentarza. Tam znalazłem spotykane potem i dalej nagrobki kirgiskie: są to słupy rozmaitego kształtu, z arabeskami i napisami czarno malowanymi. Arabeski tak ślicznie wyrznięte, rysunek ich tak czysty i piękny, że się nadziwić nie mogłem. Mają zupełnie odrębny swój charakter i, patrząc na tę piękną robotę, żałować mi przychodziło, że nie są z marmuru zrobione, a z nietrwałego piaskowca, lecz w stepie marmuru nie ma, i nic zresztą prócz piaskowca.

Kiedy przypatrywałem się tym nagrobkom, towarzysza mego L.[26] wezwano do aułu o kilka werst oddalonego, gdzie miała być chora. Pojechawszy tam, znalazł położnicę, męczącą się już przeszło dwa dni, i kibitkę napełnioną i otoczoną Kirgizami. Mówiono mu, że to zwyczaj Kirgizów, a nawet wielu plemion Środkowej Azji, spraszać obcych i cudzoziemców do podobnie cierpiących kobiet. Czy myślą znaleźć w nich pomoc, czy chcą zrobić i obcych świadkami narodzin nowego czło-

---

[25] Chorowód – dziś: korowód.

[26] Ludwik Turno.

wieka-Kirgiza? Przewodnik jadący z L., wszedłszy do kibitki, zaczął wrzeszczeć, aby przestraszyć cierpiącą, myśląc, że przez to ułatwi czy przyspieszy zleżenie. Potem prosił L., żeby nahajką bił po poduszkach przy położnicy leżących, ale wszystkie te krzyki i strachy na nic się nie zdały i wrócił nic nie pomógłszy cierpiącej.

Huragan stepowy (*buranem* tutaj nazywany) nie pozwolił mi nic rysować, przy zachodzie słońca jednak wypogodziło się i śliczny był widok światła i gry kolorów. W głębi panoramy widać było najwyższą z gór Karatau – Kareczuhu, 2200 stóp wysoką.

Z Ułaszeku, przeszedłszy werst 17, stanęliśmy w dolinie Agaspejar, pełnej także kibitek, gdzie znaleźliśmy dwa pomniki całkiem różne od wszystkich dotąd widzianych, z kopułami jakby meczety: są to katakumby, groby całych rodzin kirgiskich. Widać we środku zwykłe kirgiskie nagrobkowe kamienie, kolory na nich żywe i dobrze zachowane, choć to już dawne budynki. Takich i podobnych budynków bardzo wiele w stepie; czasem cmentarze jak zrujnowane miasteczka wyglądają i jedyne to pamiątki życia w stepie. Pomniki te, zwyczajnie kwadratowe, często sklepione, zbudowane są z drobnych kamieni, okładanych zewnątrz płytami muszlowca, bardzo gładko ciosanego. Zwyczajnie takie budynki powstają w dni kilka przy pogrzebach bogaczy, na które zjeżdżają się Kirgizi nieraz o werst kilkadziesiąt i więcej. 200 albo 300 ludzi pracuje nad budynkiem i po skończeniu następuje uczta. Prędko klecone, często się też rozwalają i zrujnowanych najwięcej w stepie. Te, które widzieliśmy w Agaspejar i kilka im podobnych spotykanych później, zapewne z większym staraniem i dłużej budowane były, bo i architekturą się odznaczają, i przetrwały bez szkody dotąd, kiedy się wiele daleko nowszych porozwalało[27].

Oprócz takich większych pomników i słupów nagrobkowych są jeszcze mniejsze pomniki, nagrobki, mające jak i tamte osobny charakter, nieraz symbolicznymi napisami ozdobione albo znakami wyobrażającymi stan i zajęcie zmarłego. Wszystko, co jest wypukłe i z kamienia wyciosane, najczęściej piękne i gustowne, ale za to rysunki koni, wielbłądów itp., zwykle twardym jakim narzędziem wyrznięte z kamienia, są w stanie zupełnego niemowlęctwa, a wszędzie zupełnie do siebie podobne, jakby je jedna ręka kreśliła[28].

Nie widziałem pogrzebu kirgiskiego, ale opowiadali mi ci, którym w czasie długiego pobytu w stepie całemu ich życiu przypatrzyć się udało, że żadnych osobnych nie zachowują przy tym ceremonii, duchowny tylko odczytuje modlitwę przy złożeniu ciała do grobu. Mogiły tak kopią, żeby ziemia nie padała na twarz

---

[27] Były to zapewne mauzolea z połowy XVIII i początku XIX w. z ornamentacyjnymi płaskorzeźbami. Wywodziły się one z dawniejszej architektury narodów Azji Środkowej i Kazachstanu, m.in. z budownictwa kipczackiego, stosującego portale i stożkowatą kopułę. (Por. G. Sapargalijew, W. Djakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, Warszawa 1982, s. 167–168).

[28] Późniejsze badania zabytków Mangyszłaku odwoływały się do dorobku kulturalnego Seldżuków. Stwierdzono, że charakterystyczne cechy ich sztuki (m.in. wizerunki ptaków, innych zwierząt dzikich i domowych) przetrwały aż po czasy rozpowszechnienia się islamu. Prawdopodobnie na te wizerunki zwrócił uwagę Zaleski. (Por. Sapargalijew, Djakow, op. cit., s. 166–167).

Cmentarz w Agaspejar

umarłego, którego w grobie sadzają z twarzą ku Mekce obróconą. Na pogrzebach mężczyźni jedynie przytomni być mogą, kobiety zajmują się tylko przygotowaniem uczty, którą kończą się zawsze wszystkie ważniejsze w życiu Kirgizów wypadki.

W Agaspejar widziałem duże jak na Kirgizów plantacje kukuryzy, prosa chiwińskiego, a nawet i jęczmienia, który w końcu czerwca zupełnie już był dojrzały. Prócz tych roślin sieją jeszcze Kirgizy tak zwaną przez nich *dżigurę*[29], podobną z liści do naszych konopi, z pięknymi bardzo kitami nasion u wierzchu. W stepie ślicznie wyglądają te zielone oazy. Winne one swój byt wodzie, którą z częstszych tu coraz źródeł Kirgizi sprowadzają i która się po wszystkich bruzdach rozchodzi. Dwóch, trzech Kirgizów siedzi ciągle przy takim kawałku pola z łopatkami, oczyszczając rowki, które się zasypują, i patrząc, żeby woda dochodziła wszędzie, bo bez niej słońce wypaliłoby wszystko.

Opuściwszy Agaspejar i wchodząc w najwyższe pasmo Karatau, coraz więcej takich widzieliśmy plantacyj. Wodę do nich Kirgizi nieraz o werst 6 i 8 sprowadzają ze źródeł i strumieni, do czego nie tylko cierpliwości i pracy, ale umiejętności nawet potrzeba w stronie pełnej wzgórz i wąwozów. Umieją jednak zaradzić sobie. Orzą maleńką sochą, do której konia zaprzęgają; czasem zamiast sochy używają łopatek. Ziemię pod zasiew przemieniają co rok. Mimo pracy przy sprowadzaniu wody na coraz nowe miejsca nigdy nie zabraknie nowego kawałka ziemi, chociaż step obszerny zasiewających ma wielu.

---

29 Dżigura – roślina uprawna z rodziny traw, rodzaj sorgo (Sorgum). „Jest to coś pośredniego między naszym prosem a kukurudzą" – pisał Zaleski 7 września 1851 r. z Nowopietrowska. Kirgizi „robią z niej krupy, mąkę, pieką chleb i ciasto; bogaci karmią nią faworyty konie" (*Z Orenburga,* „Przegląd Polski" 1881, s. 227). Nasiona tej pożytecznej rośliny wysłał do Polski.

Dwudziestego czwartego czerwca o werst 50 od Agaspejar stanęliśmy w dolinie, a raczej w wąwozie Siunkuk, już wpośród najwyższych gór pasma Karatau. Tu znowu czas dłuższy przebawić nam przyszło. Robiliśmy wycieczki do sąsiednich aułów i w góry otaczające nas dokoła. Kirgizi tu daleko bogatsi, koni mają dużo, bo karmi daleko więcej. Zajmują się plantacjami chiwińskiego prosa i *dżigury*. Źródeł w górach mnóstwo, więc korzystają z nich i sprowadzając wodę do wąwozów, całe doliny zasiewają. Przy nas już drugi posiew zielenił doliny. Dostają ziarno, pędząc w kółko wielbłądy albo konie po nałożonych snopach zboża.

Często jeździłem konno o werst kilkanaście, żeby się górom przypatrzyć, pięknym tu bardzo osobną swoją pięknością, i wtenczas spotykałem auły albo przejeżdżających Kirgizów. Zawsze wesołymi witali mnie okrzykami. Często jechali za mną, zbaczając z drogi swojej, żeby się nowemu człowiekowi przypatrzyć. Gadali bez końca, nie dając się zrazić odpowiedzią *„bel-melme”* (nie rozumiem), zarzucali pytaniami, na które zawsze jednym odpowiadać musiałem, a nieraz, kiedy zacząłem rysować, siadali przy mnie, przypatrywali się i nadzwyczajnie ucieszeni byli. Poznawali to konia, to wielbłąda narysowanego, zawsze z okrzykami wesołości, i każda rzecz, czy to narysowana, czy to w stroju im nieznajoma, wyrywała okrzyk podziwienia: *„Oj-boj-oj!”* Szczególniej kobiety z ciekawością przypatrywały się i wypytywały o wszystko.

Zwyczajnie w takich wędrówkach, jeżeli dalej jechać mi wypadało, kociołek na herbatę był przy siodle, manierka z wodą z drugiej strony i torba z sucharami. Czasem we trzech i czterech robiliśmy takie wycieczki. Zatrzymując się przy aule, puszczaliśmy konie na paszę, a sami gotowaliśmy wodę na herbatę. Wtedy to cała gromada zbierała się koło nas, jeden przychodził za drugim i całym wiankiem nas otaczali, śmiejąc się między sobą (jak nam tłumacz objawił) z każdego prawie ruchu naszego, ze sposobu siedzenia, picia, z ubioru itd. Suchary łakomie zawsze jadali. Chcieli, żeby się wszystkim z nimi dzielić, aż do natręctwa nieraz. Z herbaty byli zawsze uszczęśliwieni, tylko że nigdy im dosyć nie było.

Mieliśmy z sobą drobne rzeczy, jak zwierciadełka, guziki, chustki kolorowe itp. Mówiono nam, że to najlepszy towar na handel z Kirgizami, i myśleliśmy, że skórki baranie (merłuszkami tu nazywane), piękne wojłoki lub coś podobnego znajdziemy u nich. Aleśmy się zawiedli. W ostatnich latach, od zbudowania nowopietrowskiej twierdzy, Ormianie jeżdżą ciągle po stepie z towarami. Świecidełka i wszystkie podobne rzeczy, choć podobają się, ale już nie zachwycają tak Kirgizów, i skończyło się na tym, żeśmy rozdarowali wszystko, nacieszywszy się do woli Kirgizami, którzy po kilka razy to zgadzali się na handel, to zrywali układy, a zawsze przychodzili w kilku lub kilkunastu przypatrywać się wszystkiemu i całe godziny rozprawiali, zmieniając po kilka razy zdanie swoje ze zwykłą im w ogóle lekkomyślnością.

W tych to miejscach największe upały wytrzymywać musieliśmy. Krajowcy utrzymywali, że lato nie było wcale gorące, a jednak termometr Réaumura, który mieliśmy z sobą, bardzo często 46 do 47° ciepła pokazywał, prawda, że na słońcu.

Ziemia, szczególniej tam, gdzie grunt był piaszczysty, tak się nagrzewała, że przez podeszwy paliła. Nic robić niepodobna było od pierwszej do trzeciej, bo to godziny najsilniejszego skwaru. Deszcz ani razu odświeżyć nas nie przyszedł, rosy nawet nie było. Pierwszy raz upadła, kiedyśmy już z Apazir wyruszali. Jedynym środkiem ratującym nas od upałów była gorąca herbata, której ogromnie wiele wypijaliśmy. Ale za to deszcze piaszczyste nawiedzały nas często, bo kiedy w stepie powstanie zamieć, to i słońce zakryje, i wszystko piaskiem zasypie. Kłęby piasku wiatr pędzi przed sobą, a w kilku miejscach białe słupy, jakby wiry czy świdry piaszczyste, wznoszą się pod niebo. Wielbłądy wtedy kładą się na ziemię i szyje wyciągają w stronę przeciwną wiatrowi, konie tulą się jedne do drugich, spuszczając głowy, ludzie chowają się od wiatru, ale często i kibitka cała się wywraca. Nieraz przy cichej pogodzie powstają takie huragany, przeszumią nad głową, okryją wszystko piaskiem i znowu po nich cicho. Z daleka w stepie można widzieć nieraz takie wiry piasku podnoszonego w górę. Czasem ich kilka od razu w różnych kierunkach postrzec można, a przy jasnym słońcu jeszcze w tęczowe kolory stroją się niekiedy.

Zewnętrzna fizjognomia kraju zupełnie różna od okolic Nowopietrowska. Geologowie tak tłumaczą historię tego kawałka ziemi. Kiedyś cała ta przestrzeń, dzieląca dziś dwa morza, Aralskie i Kaspijskie, pokrytą była falami, powierzchnia wyraźne tego ślady nosi dotychczas. Siły wulkaniczne podniosły ją i uformowały wyniosłość Ust-urta, a w jednym miejscu, w kierunku pasma Karatau, rozdarły nawet powierzchnię i wyniosły nad nią głęboko w łonie ziemi spoczywające dotąd pokłady, które te góry składają.

Tak jest w istocie. Od Nowopietrowska na ogromnej przestrzeni ciągnie się muszlowiec, najświeższy z pokładów Mangiszłaku, a przybliżając się ku pasmu Karatau, już się spotyka formacja kredowa, pod pierwszą leżąca i jeszcze cienką jej warstwą wszędzie pokryta. Całe góry Aktau ogromnymi prostopadłymi ścianami z kredy i marglu otaczają zewsząd pasmo Karatau, wtenczas kiedy to ostatnie, z formacji zielonego piaskowca złożone, nosi na sobie wszystkie cechy metamorficznych[30], przepalonych ogniem pokładów. Warstwy widać następowały po sobie w takim porządku: muszlowiec, formacja kredowa, zmięszana u spodu z rozmaitego gatunku glinami, i na koniec formacja zielonego piaskowca. Siły wulkaniczne, podnosząc powierzchnię, rozdarły dwa wyższe pokłady i z trzeciej w porządku warstwy utworzyły szczyty Karatau. Znajdowaliśmy w tych górach zupełnie wulkaniczne ciała, jak granit, rozmaitego rodzaju kryształy itp.

Było też czego jeździć w tych miejscach. Tu kończyło się wyższe pasmo Karatau, a od niższego oddzielały je góry Aktau[31], piękniejsze tutaj niż gdziekolwiek. Zupełnie jak zamki dawne lub gmachy fantastyczne wyglądały; naokoło cały wianek gór takich otaczał Karatau. Każda z nich miała osobne nazwanie, jak Usirtau, Akmyntau, Kajraktau, wszystkie w ogromnych rozmiarach, białe, z różowawą na

[30] Pokłady metamorficzne – skały przeobrażone pod wpływem czynników chemicznych, temperatury oraz wysokiego ciśnienia.

[31] Karatau – góry czarne; Aktau – góry białe.

wierzchu warstwą, jakby dachem, z kolumnami niby rozmaitych porządków[32] i posągami. Wszystko to słońce nieraz oświecało fantastycznie, rzucając obłoki rozmaitej barwy na te olbrzymie ściany. Nieraz byłem w zachwyceniu. Pusta strona, drzewa żadnego nigdzie, kreda tylko i glina, a z tak nędznych zdaje się materiałów taka piękność powstać mogła. Bryła kredy, warstwa gliny, rozlany po nich promień słońca – i Bóg arcydzieło stworzył.

Najbardziej zastanawiającą spomiędzy tych gór wszystkich jest tak zwana Czirkała. Choć inne są piękniejsze, ale forma tej odrębna i wielka płaszczyzna, na której się wznosi, bardziej od wszystkich innych robi ją wydatną. Prócz tego podania kirgiskie ubrały ją w pewnego rodzaju poezję. Na wierzchu tej góry miała być twierdza, której załoga bardzo długie oblężenie wytrzymała i wtenczas zdała się dopiero, kiedy oblegający podkopali się pod górę i obcinając powrozy spuszczanych po wodę wiader, pragnieniem do poddania się ją zmusili. Tak mówi podanie, a góra znajoma jest tym u wszystkich tu Kirgizów.

Pojechaliśmy umyślnie, chcąc być na jej wierzchołku. Z jednej strony okrągława i jakby na kilka piątr podzielona, z drugiej sterczy prostopadłymi ustępami; wszędzie zupełnie stroma, a wysoka na stóp przynajmniej 700. Złożona z kredy, gliny i niższego gatunku gipsu. Znaleźliśmy w jednym miejscu między dwiema ścianami ślady dawniejszych schodów albo raczej zasieków w miękkim kamieniu. Pomagając sobie toporem i powrozami, wdrapaliśmy się na wierzchołek. Nie znaleźliśmy szczątków żadnej budowy ani tej studni nawet, o której mówi podanie, jednakże jest kilkanaście grot maleńkich, wykutych w miękkiej górze, zasłoniętych od wiatru i niepogody, a okopconych zupełnie dymem. Widać, że tam ludzie mieszkali, może rabusie kirgiscy (dżigity), bo też góra jest prawdziwym orlim gniazdem. Pułkownik Iwanin[33] przed kilku laty znalazł tam starą kolczugę i kilka monet tatarskich. Wierzchołek góry zupełnie pusty; gdzieniegdzie tylko mały krzaczek dżidy[34] rośnie albo jaka stepowa roślinka.

Blisko Czirkały mogiła Dalismena (Dalismanaulio)[35], z żerdziami, czaszkami wielbłądzimi i rogami acharów jak zwyczajnie. We wzgórzu, złożonym ze stwardniałej gliny i piasku, jest grota malutka, przez otwór w górze oświecona; pewnie w niej święty mieszkać musiał. Dotychczas to miejsce w wielkim jest poszanowaniu u Kirgizów: w chorobach i wszelkiego rodzaju niepowodzeniach uciekają się do świętego, zabijają w jego grocie barany, modlą się i wierzą w cudowność tego miejsca.

Na takich wędrówkach przeszło nam parę tygodni i podczas nich zaprzyjaźniłem się ze stepem. Kto lubi przysłuchiwać się głosom ziemi, ten pewno przyzna, że każda strona ma swoją własną muzykę, swoje dźwięki i tony, swoje szepty

---

32 Porządek – tu: styl.

33 Zapewne M.I. Iwanin, geolog, który odkrył w latach 40. XIX w. złoża węgla kamiennego na półwyspie Mangyszłak.

34 Liwnik wąskolistny (dżida, Elaeagnus) – drzewo z ostrymi kolcami i pięknymi, z jednej strony srebrnymi liśćmi.

35 Dalisman-mułła-aulio – grób świętego męża Dalismana. Jak stwierdza Zaleski w *Vie de steppes…* (s. 59), Kirgizi nie wiedzą, kim był Dalisman, ani kiedy żył. Inskrypcja na murze świadczy, że był sułtanem.

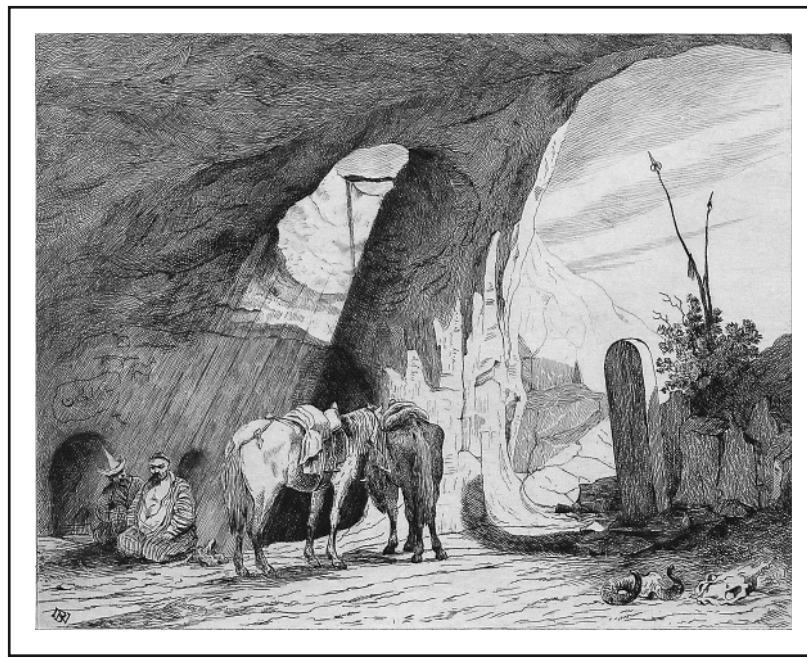

Grobowiec świętego męża Dalismana

tajemnicze, jednym słowem właściwą sobie harmonię. W stepie noc jest godziną tej muzyki. Nie umiem powiedzieć, jakie robi wrażenie płaczliwy krzyk wielbłąda słyszany w nocy; jest w nim coś bardzo uroczystego i rzewnego. Często przypominał mi organy, i doprawdy jest to organ stepowy, który najuroczyściej nastraja duszę, a bez ustanku, to z tej, to z drugiej strony, słychać go w stepie i pewno nikt tego wrażenia nie zapomni, kogo raz ono objęło, nie może ono prześliznąć się po duszy choć cokolwiek czującej.

Z Siunkuku przenieśliśmy się w dolinę Kuguz, jedyne miejsce zaludnione w całej podróży naszej. Łąka trawą zieloną porosła, tuż przy kibitkach naszych strumień przezroczysty płynął, spiesząc na ogrody kirgiskie. Z jednej strony góry Karatau, z drugiej ściany Kajraktau z całą swoją kolumnadą. Toteż niespiesznie nam było stamtąd. Byliśmy na wierzchołku Karaczuhu i tam znaleźliśmy Kirgizów. Wierzchołek tej góry nie jest śpiczasty, owszem jest to płaszczyzna na werst trzy długa, na której wznosi się kilka pojedynczych wzgórz, czyli wierzchołków. Trawa na nich rośnie i Kirgizi, mogąc mieć klacze, częstowali nas *kumysem*, gościnnie jak zwykle.

Stamtąd w połowie lipca jeździłem do twierdzy bez wielbłądów, więc prędko. Dziwiłem się z początku temu, jak Kirgizi w stepie orientować się umieją i w miejscach tak podobnych do siebie nie zmylą się nigdy. Przejechawszy jednak parę razy przez jedno i toż samo miejsce, zrozumiałem, jak z nim oznajmić się można. Wszędzie jest coś odznaczającego się: to góra kształtem swoim różna od innych, to grobowe pomniki – i wszystko to na płaszczyznach tutejszych z daleka widać, takimi więc znakami zawsze kierować się można.

Jechałem zatrzymując się przy studniach albo aułach. Przewodnik chciał zostać, bo miał w aule swoją kibitkę, mnie chciało się pojechać dalej, bo ledwo werst 25 w tym dniu zrobiliśmy. Nie było jednak rady. Zapytani Kirgizi potwierdzili, że na drodze mojej o werst ledwo 40 studnię spotkać mogę. Zdążyć tam niepodobna było, więc zostaliśmy. Córka starszego w aule poprowadziła mnie i Kozaków ku studniom i sama napoiła nasze konie. Wesoła, śmiejąca się siedziała długo przy nas, przypatrując się przyborom do popasu. W krótkim czasie koło mojego kociołka z herbatą zebrała się cała drużyna, siostry i bracia mojej przewodniczki. Jeden z nich grał na bałałajce i chciał koniecznie przyjaźń ze mną nawiązać; nazywał mnie *kunakiem* i prosił, żebym jaki podarunek przyjął od niego.

Nazajutrz przed wschodem słońca, kiedy ruszyliśmy z miejsca, wszyscy żegnali nas uprzejmie głośnymi okrzykami „sass-buss" (bądź zdrów), a młody chłopak przeprowadził mnie o werst kilkanaście, chwaląc się to swoją zręcznością na koniu, to wysadzanym srebrnymi blaszkami siodłem, to czerwonym chałatem. Polecał pamiętać o sobie i kiedy po dwóch tygodniach wracałem znowu tamtędy, spotkał mnie z rozjaśnioną twarzą i w odwiedziny do naszego aułu przyjechać obiecał, alem go więcej nie widział. W tym aule piękniejsze niż gdzie indziej spotykałem twarze. Dziewczyna, co napoiła nasze konie, piękne miała rysy. Pąsowy turban na głowie bardzo stroił twarz żywą, ogorzałą, z czarnymi jak heban włosami, zaplecionymi w długie kosy. Tyle było prostoty i szczerości w całym jej z nami obejściu się, że patrząc na nią mimowolnie stanęła mi w oczach Rebeka u studni Eleazarowej[36] i myśl moja przeniosła się w te dalekie czasy…

Dalej na popasie spotkałem bogatsze niż zwykle w tamtych stronach kibitki. Stary Kirgiz mieszkał w jednej, żony zajmowały osobną mniejszą, ale wewnątrz wzorzystymi matami wyłożoną, z mnóstwem pak dokoła, w których, jak mi mówiono, znajdowały się chałaty i rozmaita odzież, co właśnie, prócz bydła, bogactwo Kirgiza stanowi. Gospodarz różnił się od innych Kirgizów ciemną odzieżą i otyłością większą, pił *kumys* w ogromnej ilości i często wydawał krzyk jakiś nadzwyczaj donośny, a zarazem pełny i dźwięczny. Chwalił się z tym, a także popisywał się znajomością kilkunastu słów rosyjskich nienajgrzeczniejszych, które ciągle powtarzał. Przy całym dostatku sposób życia taki sam jak u wszystkich Kirgizów. Nie tylko oni sami, ale powietrze całe koło nich przesiąkłe wyziewami kwaszonego mleka, bo latem ciągle żyją *kumysem* albo *ajranem* (kwaszone mleko owcze).

Wróciwszy z twierdzy, znalazłem towarzyszów podróży niedaleko Apazir, w dolinie Tartu, gdzie trzy tygodnie spędziliśmy. Miejsce nie tak piękne jak koło Siunkuku i Czirkały. Blisko była dolina Dołnapa z grobowcami, a około nich tak oryginalne kamienie w formie słupów, że nikt by ich nie wziął za naturalne. Tu znajdowaliśmy różnego koloru piękne ametysty w kamieniach rudy żelaznej, chalcedony w skamieniałym drzewie, aksenit i agaty. W tych miejscach napotykaliśmy

[36] Nawiązanie do biblijnego opisu spotkania Rebeki u studni z wysłannikiem Izaaka Eleazarem. Wędrowiec zdecydował, że pierwsza kobieta, która napoi jego i wielbłądy, zostanie żoną Izaaka; uczyniła to Rebeka „dzieweczka zbytnie śliczna i panna bardzo piękna" (Genezis XXIV).

wiele niedźwiadków[37] i falang; ledwo nie pod każdym kamieniem po kilka ich zobaczyć było można. Niedźwiadki, z kleszczami takimi jak u raków, na końcu ogona mają haczyk, którym ranią niebezpiecznie. W tutejszym stepie nie bardzo są wielkie, najczęściej żółtawego koloru, choć i na czarne natrafialiśmy. Falanga ze dwa cale ma długości, podobna do pająka, tylko tułów dłuższy. Na głowie duże oczy niebiesko fioletowego koloru, na końcu pyszczka po dwa haczyki u góry i dołu, którymi kąsa. Nóg bardzo długich ma dziesięć, biega prędko, złośliwa i tak łakoma, że nawet inne falangi zjada. Koloru płowego, cała prawie włosem pokryta, choć dosyć rzadkim. Oprócz niedźwiadków i falang są jeszcze w stepie tarantule, ogromne czarne pająki, których ukąszenie ma być śmiertelne, tych jednak ledwie kilka widzieliśmy. Barany są naturalnymi nieprzyjaciołmi falang i chciwie je pożerają, stąd przekonanie, że skóra barania najlepiej od tych owadów zabezpiecza, co jednakże nie jest koniecznie pewnym.

Z Tarty, dawniejszą drogą przez Udiuk, a potem przez Burli, powróciliśmy do Hanga-Baba, gdzie jeszcze dziesięć dni zabawiliśmy. Przez trzy miesiące na nagi step patrząc albo na góry również puste, z jakąż rozkoszą powitaliśmy wąwozy pięknymi morwowymi drzewami porosłe! Nie mogliśmy nalubować się nimi i w istocie w tym czasie przekonałem się, że to, cośmy stracili, oceniamy najlepiej.

Kirgizi koczowali blisko. Wielu ich przychodziło do nas w odwiedziny, dzieci zaś ustawicznie włóczyły się po obozie, prosząc to o kawałek suchara lub chleba, to z właściwą im wszystkim ciekawością przypatrując się każdej rzeczy. Jeden maleńki chłopak przywiązał się do nas i prawie odejść nie chciał. Zbiedzony i chudy, nie miał ani w oku, ani w ruchach tej żywości, jaką nacechowane są w ogóle dzieci kirgiskie. Dowiedzieliśmy się, że był sierotą i przechodził od kibitki do kibitki, żyjąc z jałmużny. Opowiadali nam, że ojciec jego był bogatym, ale odumarł go maleńkim, a u krewnych bydło i barany ojca wyginęły, reszta sprzętów przepadła i został żebrakiem. Będzie *bajguszem* (nędzarzem), mówili starzy Kirgizi, a u nich ubóstwo jest pogardliwym, tak jak bogactwo zaszczytnym.

Często chodziłem robić studia z natury i wtedy spotykałem także Kirgizów. Zdarzało się, że po całych godzinach siedzieli przy mnie, przypatrując się rysowaniu. Raz prosiłem jednego, żeby mi śpiewał, bo jest coś oryginalnego, nawet miłego w ich śpiewie; zgodził się, ale żądał, żebym mu także śpiewał. Zupełnie głosu nie mam, ale jak mogłem, tak rozmaite piosnki nuciłem, a on mnie dziękował swoimi. Na koniec pyta mnie o imię i improwizuje ogromnie długą pieśń na pochwałę nowego tamara (przyjaciela), w której imię moje, najdziwaczniej przekręcane, co chwila powtarzane słyszałem. Śpiewał tak długo i w końcu przyrzekliśmy sobie przyjaźń. Miał zajść nazajutrz, ale musiało mu coś przeszkodzić, bo nie przyszedł, a my wkrótce opuściliśmy Hanga-Babę, wracając do Nowopietrowska.

Zabawiwszy dni kilka w Nowopietrowsku, tąż samą drogą przyjechaliśmy do Orenburga.

---

[37] Niedźwiadki – potoczna nazwa skorpionów.

Aleksander Bem
Żołnierz Korpusu Orenburskiego
Na zesłaniu 1849–1857

KIRGIZ I STEPY

Autor drukowanej poniżej relacji urodził się 1810 roku w rodzinie „szlacheckiego stanu" jako przyrodni brat gen. Józefa Bema. Kształcił się w szkołach wojskowych, prawdopodobnie w Kielcach, gdzie przez 5 lat odbywał aplikację w kancelarii prawnej. Od 1836 roku ponownie mieszkał w należącej do ojca wsi Słabkowice, pomagając mu w prowadzeniu gospodarstwa. W 1846 roku został aresztowany za udzielenie pomocy braciom Janowi i Teodorowi Luniewskim w czasie „rozruchów" antyrosyjskich w powiecie miechowskim (kieleckie) oraz za próbę odbicia aresztanta przetrzymywanego przez carską policję i nakłanianie chłopów do buntowniczych wystąpień. W 1849 roku wyrokiem sądu wojskowego skazany został na służbę w Orenburskim Batalionie Liniowym. Zesłaniec Walerian Staniszewski wspominał, że wedle relacji Bema wiele zamieszania robiło jego nazwisko, gdy konwojowano go na zesłanie. „W Moskwie i w innych miastach gubernialnych zjeżdżały się grube figury do oglądania jego, w tym mniemaniu, że mają w swych rękach gen. Bema. Wieść o jego pochodzie wyprzedzała go nawet; jakiś sałdat przybywszy z podróży do szpitala w Kazaniu, opowiadał za rzecz pewną, że wiozą, czy też pędzą Bema zakutego w kajdany na ręce i nogi". Po pięciu latach uznany został za niezdolnego do służby wojskowej i powrócił do kraju, gdzie pozostawał pod dozorem policyjnym. Majątek rodzinny nie był w stanie zapewnić mu utrzymania, poszukiwał więc jakiegoś intratnego zajęcia dla „zabezpieczenia sobie bytu" i oczekiwał na posadę w Ordynacji Zamojskiej. Czy ją otrzymał? Źródła milczą, podobnie jak nie znamy daty jego śmierci i miejsca pochówku.

Z listów pisanych przez A. Bema do rodziny W. Wieczorkowski skompilował relację pt. *Kirgiz i stepy*, którą opublikował w „Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych" (1856), uważając ją za ważne źródło ludoznawcze dotyczące Kazachów. Listy te poprzedził wstępem, w którym czytamy: „Na dalekim wschodzie, za Wołgą i Uralem, ponad Aralskiem i Kaspijskiem Morzem, leży kraj dziki, ziemia pustyń piaszczystych, ziemia ludu, co nie przeszedł dziwnych kolei europejskiej cywilizacji, ale wegetuje z dnia na dzień, chowając stary obyczaj swych przodków. Obyczaj ten, to zlepek niekształtnych, mistycznych podań i wierzeń ludów, z którymi sąsiadował od niepamiętnych czasów, toż i hord różnojęzycznych, co przez ciąg tylu wieków ocierały się i mieszały z pierwotnym plemieniem tej ziemi. Kraj ten to ojczyzna Kirgiza. […] Jednak badawczy wzrok zachodniego podróżnika nie przeniknął jeszcze do krainy Kirgizów. Zachód znał ją długo tylko z wieści, jak wszystkie wieści, niepewnych. […] Co do nas poznaliśmy pierwszy raz Kirgiza w prześlicznym poemacie Gustawa Zielińskiego, poznaliśmy go ze strony uczuciowej, namiętnej… Chcielibyśmy może teraz chłodniejszego nieco, ale za to prawdziwego i więcej szczegółowego poglądu na ten lud dziki, ale nie zepsuty jeszcze, a więc godny głębszego zastanowienia.

Dostaliśmy nieco listów pisanych do familii przez bawiącego tam od niejakiego czasu Aleksandra Bema. Listy te szkicowane naprędce, jedynie w celu obznajomienia rodziny z miejscem swego pobytu i bez żadnego zamiaru drukowania kiedykolwiek, pisane, jak się wyraża sam ich autor: »pod horyzontem martwego stepu i pod jego wpływem, tak są posępne i życia pozbawione, jak wszystko co do stepu należy i z nim jest połączone«. Mimo tej jednakże skromności autora, listy te są dla nas bardzo zajmujące i tym

się wyróżniają, że są pisane nader przystępnie i popularnie. Sądzimy więc, że nie będzie od rzeczy ułożyć z nich jaką taką całość dla czytelników »Kroniki«.

Nie obiecujemy całości skończonej, bo nasz wędrownik nie zwiedzał nigdy stepu w celu naukowym, dla wyczerpania tego bogatego przedmiotu, ale obdarzony umysłem spostrzegawczym i nauką, notował swoje wrażenia i dzielił się nimi listownie z najbliższymi jego sercu. Drukujemy więc wrażenia, często oderwane notaty, ale nie zupełny etnograficzny opis kirgiskich stepów"*.

Podstawa relacji: W. Wieczorkowski, *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema. Ułożył Władysław Wieczorkowski*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych" 1856, nr 48–50. Tytuł od autora antologii.

* Informacje biograficzne: S. Staniszewski, *Pamiętniki więźnia stanu i zesłańca*. Tekst do druku przygotowali A. Gałkowski i Wiktoria Śliwowska, Warszawa 1994, s. 167; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku*, Słownik biograficzny, Warszawa 1998, s. 53.

Gdybym był malarzem lub poetą, odmalowałbym wam pędzlem lub wierszem stepy i ich mieszkańców Kirgizów, kiedy jednak do malarstwa ani poezji nie jestem usposobiony, prostym a krótkim opisem pragnę wam dać wyobrażenie o stepach, Kirgizach i harmonijnie im odpowiadających wielbłądach, nieodstępnych towarzyszach stepowych mieszkańców.

A i to Morze Aralskie, co się rozłożyło pośród ziemi spieczonej, nie rzuca z łoskotem falami i nie przeraża ludzkiego oka, ale jest ciche i spokojne; jak ten step, którego piaszczystymi brzegami otoczyło się dokoła. Zresztą słonych jezior i rzek nie braknie tu bynajmniej. Rzeki jedne wpadają do Uralu, inne toczą swe nurty do tak zwanego Morza Aralskiego, inne wreszcie do pomniejszych jezior. Oto są znaczniejsze rzeki: Ural, Irgiz, Turgaj, Jemba, Jarikła, Utwa itd.

Lasów i drzew nigdzie nie widać; żadnej prawie nie masz zieloności, żadnej rozmaitości, która by choć na chwilę oko zająć mogła, a wiatr buja swobodnie po stepie od końca do końca, wiatr wściekły, nieznośny. Wszystko martwe, wszystko bez życia, a dodawszy do tego widok niezgrabnego Kirgiza ociężałego i leniwego, który jedzie na równie niezgrabnym wielbłądzie lub wole (bo tu i woły używane są miast wierzchowych rumaków) a będziecie mieli zupełny widok stepowy. Jaka zgodność, jaka harmonia pomiędzy stepem, Kirgizem i wielbłądem panuje, trudno wyrazić, zdaje się, że dla siebie są oni stworzeni; Kirgiz bez stepów i wielbłąda żyć by nie mógł, a w stepach Kirgizów i wielbłądów nikt by żyć nie chciał. Dotąd jeszcze cały step jest ziemia dziewiczą, prawie nie tkniętą pługiem od jej uformowania, a ta formacja jest bardzo nowa, bo zdaje się iż cały step był morzem. Najwznioślejsze miejsca mają pokłady rozmaitych muszli wodnych i skamieniałości, których obfitość nie daje wątpić o przemianie morza na ziemię, wiele jest skamieniałości jeszcze nie zupełnych, a górnicy nigdzie nie znajdowali tak świeżej formacji. Ziemia stepowa jest dobra i byłaby bardzo urodzajną, gdyby tylko deszcze ją odwilżały. Niektóre ogrodowe europejskie rośliny dobrze się tu udają,

szczególniej słonecznik bardzo pięknie się rozwija, inne mianowicie: groch i bób są nędzne. Żyto jare (ozimego tu nie sieją) i proso nie bardzo się udają, ale za to arbuzy i melony nie mogą iść w zapasy co do dobroci z europejskimi, tak są wyborne, chociaż nie znają one, co to inspekta, ale rosną sobie wprost na grzędzie, a zasadzenie ich z powodu nieprędko kończącej się zimy, zwykle bywa późne. Arbuzy i melony są o wiele większe od europejskich, zasadzają ich tu bardzo wiele, bo stanowią one ważny artykuł żywności. Jedzą je surowe a na dłuższe zachowanie marynują, solą i różnie przyprawiają. Arbuzy są tym dla Kirgiza, czym w Europie kapusta lub ziemniaki, które tu nie udają się wcale z powodu suszy. Nie wszystkie jednakże miejsca są równo żyzne; w nizinach brzegi niektórych rzek i jezior nadzwyczajnie przesycone solą, a w takich niektóre tylko wegetują rośliny, a i te są najczęściej wodniste, ilością soku solnego i nie maja liści tylko pręciki. W Europie nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć podobnej rośliny, i nie pamiętam nawet czy jej opis czytałem w jakiejś botanice. Rośliny tej jest kilka gatunków i nazywają ją słońcem, zapewne dlatego, że jest bardzo słona.

Wiosny bardzo często nie masz w stepie; tak np. mieliśmy tu w roku 1851 zaraz po zimnach, ledwo dwa dni przyjemnych, wiosennych, i zaraz zaczęły się upały (w czerwcu), które bezprzestannie panują; gorąco przechodzi 30 stopni i czasem tylko wiatrem ochłodzone bywa. Długo czekaliśmy na deszcz który by odwilżył ziemię spieczona i stwardniałą jak kamień. Zdarzy się nieraz, że czarne chmury pokryją horyzont, zdaje się, że już deszcz ożywczy odwilży ziemię spragniona, gdy nagle, zrywa się wicher, rozwiewa chmury i kropla jedna nie pada – a natomiast powstaje okropna zawieja piaskowa. Już nawet tracono w tym roku nadzieję zbioru, gdy nareszcie doczekaliśmy się kilku deszczów, a po nich odżyły zboża i ziemia odwilgła. Gdy śniegi zimą są wielkie, to wtedy lepsza otucha na urodzaj, bo śniegi zrządzają wielki rozlew wód i pomagają wegetacji, trawa bujnie się rozrasta i daje obfitość siana, którego można przysposobić na następne lata, jeśli te byłyby nie urodzajne. Ale gdy śniegów nie ma, wtedy dotkliwie daje się odczuć brak paszy na pożywienie dla bydła, owiec i koni. Bywały lata, że Kirgizi tracili z tego powodu całe stada.

W lipcu niknie zieloność, brzegi Turgaju, Uralu, Ory i kilku innych rzek stepowych okryte trawa; jedyną są przyjemnością dla oka, bo wyższy step już prawie martwy, wypalony słonecznym upałem; Kirgiz wędruje dalej już to dla handlu, już dla ocalenia swej trzody od zarazy, step pozostaje głuchy i pusty. Nie darmo też mówią: pusto jak w stepie.

Miejscowość zwana Karakumy sławna jest na całym stepie, z trudności jakie w jej przechodzie napotykają podróżni; słuchając poprzednich opowiadań rozumiałem iż rzadko komu udaje się przejść szczęśliwie tę drogę. Przeraziły mnie przesadzone opisy nadzwyczajnych upałów, piasków, pragnienia przechodzących z niedostatku wody, niezliczone mnóstwo jadowitych niedźwiadków (skorpion), tarantul i dziś […] poczytuję to wszystko za wyjątek z tysiąca i jednej nocy. Upały bowiem nie są silniejsze jak w całym stepie pod tymże samym stopniem, piaski daleko większe

w innych miejscach napotkać się dają, a brakowi wody zapobiegają studnie, czyli doły wykopane w miejscach przeznaczonych na nocleg, gdy w dzień baryłka napełniona wodą gasi pragnienie. Co zaś do niedźwiadków, tarantul tych wcale nie wiedziałem. Prawda, że wątlejsze tutejsze konie, ustają zwykle pod ciężarem zaprzęgu, wiele ich ginie w sławnych Karakumach.

Dla mnie jednak też Karakumy innymi się wydały, bo znalazłem w nich to, czego w całym stepie nie widać, znalazłem życie. Kiedy cały step spieczony upałem słońca przedstawia oku panowanie śmierci i zniszczenia, kiedy żadna roślina nie pokazuje znaków życia, ale wszystko zwiędłe i suche, wtedy cała przestrzeń Karakumów pokryta krzewami itd. rozwesela wzrok podróżnika. Krzewy te nie mają właściwych liści, ale podobne są do roślin, które w Polsce nazywają rolnicy: chrzęstka i skrzyp.

Krzew zwany tutaj grebieńszczyk, (którego właściwie nazwiska dopytać się nie mogłem) zupełnie jak cyprys wygląda, a w końcu maja i w czerwcu gdy się okryje różowymi kwiatami, zachwycający przedstawia widok. Wszystkie te trzy gatunki krzewów, o których wspomniałem, są żółtego koloru i bardzo twarde. Ostatni tak jest ciężki, iż tonie w wodzie jak heban. Znajduje się jeszcze w stepie, drzewko nazywane przez Kirgizów dzida, podobne do sakłaku i okryte na kształt cierni kolcami. Toteż używają go w stepie podobnie jak sakłaku na cybuchy. Jest wreszcie jeden gatunek krzewu, nie znany mi z nazwiska, a podobny nieco do zwykłej akacji, tylko, że ma więcej kolców, chowa się mnóstwo zajęcy i bażantów: pierwsze karmią się korą ze wspomnianej rośliny, drugie nasieniem. Jednych i drugich mnóstwo tu nastrzelałem, ale niebezpieczne to polowanie i dla ciała i dla odzieży, gdyż mogą być bardzo łatwo pokaleczone i podarte.

W zimie trudniejsze już polowanie, bo kiedy przyjdzie na nią pora, to już to będzie zima prawdziwie stepowa. Śnieg pada szerokimi płatami, to znów topnieje, to znów pada i marznie. Na koniec w listopadzie zaczyna się stała zima, śnieg pada prawie codziennie; a *burany* (zawieje) bywają tak okropne, iż ani nie widzieć, ani wyjść nie można, przy tym potężne do 35 dochodzące okropnie dokuczają. Toć bywają i w Europie zawieje śnieżne, lecz te bynajmniej z tutejszymi porównać się nie mogą. W czasie takiej okropnej zawiei, albo *buranu*, wyszedł raz człowiek za wały twierdzy i oddalony siłą wiatru o kilka kroków, żadnym już sposobem trafić nie mógł na powrót, i pomimo dawanych mu znaków przez dzwony i strzały, nie powrócił już więcej i zmarzł na stepie. Dlatego też w czasie podobnych zawiei nikomu nie wolno wychodzić za linię, aby się takie wypadki nie powtarzały.

Blask słońca w czasie letnich upałów, drobny pył podnoszony najmniejszym powiewem wiatru, a w zimie rażąca białość śniegowa, bardzo szkodliwie działają na wzrok. Pobywszy chwilę pod gołym niebem, za wejściem do mieszkania, nie można już potem żadnych rozeznać przedmiotów. Panuje tu także corocznie przy końcu zimy szkorbut, który tu zowią cyngą; objawia się on w nieco odmienny sposób, jak w Europie, i jest daleko niebezpieczniejszym. Choremu pokazują się naprzód sine plamy na nogach, później robią się rany i nogi krzywią się, kręcą

i dokuczają okropnie. Całe ciało nabrzmiewa, jakby w puchlinie, następuje na koniec duszność w piersiach, ociężałość i śmierć. Obecnie wiele bardzo znajduje się dotkniętych tą słabością, staranność tylko i wielka troskliwość lekarzy nie dopuszcza chorobie rozwijając się, ale ją zaraz w początkach uśmierzają. Najlepszym środkiem ustrzeżenia się od szkorbutu jest ciągłe używanie ruchu, zdrowych i posilnych pokarmów, przyprawianych pieprzem, chrzanem, gorczycą itp. korzeniami, obok używania wódki i fajki. Kto inaczej postępuje pewno ulegnie chorobie a kto zachorowawszy, wiele leży i śpi, nie ujdzie niebezpieczeństwa a nawet z trudnością przychodzi mu się wyleczyć.

W stepach kirgiskich żyją: bawoły, dziki, bobry, gronostaje, zające, dzikie kozy, piękne, wysmukłe, zgrabne, wesołe i pełne życia, lekkie w podskokach, zachwycają swoim widokiem. Dalej wspaniałe łabędzie, dropie, pelikany, czerwonaki, bażanty, rozliczne gatunki kaczek, cyranek, kulików i gęsi tudzież wiele innego ptactwa nieznanego w Europie, zapełniają step ubogi w ludzi, żałuję tylko że nikt tu nie umie dobrze wypychać, bo można by piękne zbiory dla gabinetu zoologicznego zgromadzić. Z pomiędzy kulików jest jeden gatunek duży, biały, dziób u niego płaski, zaokrąglony w końcu około półtora cala; w środku pół cala szeroki, a długi około 8 cali. Kulika takiego nazywają tutaj kołpikiem. Nie przypominam sobie ani nazwiska, ani opisu jego, i nie wiem czyli to nie jest ibis, którego czcili starożytni Egipcjanie. Z drugiej strony nie przeliczone mnóstwo komarów, bąków i innych rozmaitego rodzaju owadów, nieznośnie przez całe lato dokuczają. Wspomnę tu jeszcze o pewnym gatunku kaczek, które tu nazywają biegunami; są to kaczki morskie, większe od zwyczajnych, piękne, pstrokate; utrzymują się one na wodach słonych i gorzkich, a gnieżdżą się w ziemi, że zaś najłatwiej znaleźć im nory w grobach Kirgizów, więc chętnie składają tam swoje jaja, będąc w tym schronieniu tak spokojne, jak spoczywający w nim nieboszczyk. Nasi tylko myśliwi i tam ich wyśledzą i czasem na gnieździe siedzącą ubiją. Jednakże wielu z tutejszych mieszkańców nie je mięsa tych kaczek z powodu bliskich ich z trupami stosunków.

Na tej ziemi bezludnej człowiek łatwo przywyka do otaczających go stworzeń a i one tu jakby instynktem lgną do swego dobroczyńcy. Łabędź, ten śliczny ptak łatwo się bardzo przywiązuje, w roku zeszłym wyhodowaliśmy jednego; tak on przywykł do tego, kto go karmił, że za nim wszędzie chodził, a nawet sypiał razem. Kiedy wyrósł siedząc przy łóżku w nocy, wkładał głowę na posłanie śpiącego karmiciela swojego. Wychodząc z Turgaju z żalem zostawiłem biednego, tudzież kilka jaj pod gęsiami, z których miałem nadzieję widzieć stado pięknych domowych łabędzi. Uważam, iż w ogóle ptaki i zwierzęta łatwo się oswajają. Chowano tu lisa i wilka, które bardzo się ugłaskały. Wilczek choć mię nie znał, bo tylko co przybyłem, lizał mi ręce, łasił się jak pies i chodził ze mną na spacer. Lisa trzymano na łańcuszku, raz dałem mu kawałek mięsa, to jak mię potem zobaczył z daleka, wybiegał krzyczał przeraźliwie, położył się do góry brzuchem i czekał żebym go pogłaskał, wbiegł na ramiona i łasił się. Teraz chowa się tu młody koziołek złapany w stepie; chodzi on jak piesek za swoim panem. Na stepie kozy są bardzo pierzchliwe,

przeciwnie w niewoli bardzo powolne, lecz za to nie tak powabne i nie tak zręczne, jak na wolności. Chowałem także jeże; psy złapały mi na polowaniu samicę, a maleńkie tak się oswoiły, że nam na ramiona wchodziły, jadły razem z nami z jednego talerza i różne nam psoty czyniły. Z pomiędzy drapieżnych zwierząt, najstraszniejszym tu jest tygrys; nie spotkałem się dotąd z takim nieprzyjacielem, ale jeśliby się to zdarzyło, sądzę, że wystrzał ocaliłby mnie od śmierci. W ucieczce nie szukałbym ocalenia, gdyż uciec bym nie potrafił, bo i nogi nie po temu i jeździec ze mnie nie najlepszy, w strzale tylko nadzieja, a ogromny łeb tygrysa nie może być chybionym, i prawdę powiedziawszy ciekawy jestem, jaki byłby skutek wystrzału, gdybym np. o dwa kroki spotkał przyczajonego Dżułbarsa.

Było tu już takie zdarzenie, że żołnierz polując na bażanty, natrafił na tygrysa; nie stracił jednak przytomności, strzelił mu w łeb i wybił jedno czy dwa oczy, tygrys zaczął się rzucać i biegać, a tymczasem nabił fuzję, podszedł do niego i dobił. Mówiono mi jednakże, że czasem i kula zsunie się po głowie i czaszki nie rozbije. Już wtedy rozdrażniony tygrys rzuca się z całą wściekłością na swoją ofiarę…

Abyście lepszego nabrali pojęcia o Kirgizach, bliżej ich opiszę. Mężczyźni są średniego wzrostu, krępi, dobrze zbudowani, twarz ich okrągła, czerwona, ogorzała, nos szeroki najczęściej spłaszczony, oczy podłużne, wielkie, daleko od siebie położone, bo szerokość nosa znaczną pomiędzy niemi przestrzeń zajmuje. I cóż powiecie mimo te wszystkie cechy, nie odróżniają oni swoją brzydotą; owszem są nawet dość przystojni w młodszym zwłaszcza wieku. Główny ubiór Kirgiza stanowi tak zwany czapan; jest to długa suknia pospolicie czarnego lub brunatnego koloru, podobna do naszego szlafroka; taki czapan podbijają w zimie futrem baranim; używają także odzienia ze skór dzikich kóz, włosem na wierzch, albo też noszą kilka zwykłych czapanów, jeden na drugim. Suknię męską ze skóry źrebięcej z włosem na wierzch odwróconym, ozdobioną aksamitnymi obwódkami jaskrawych kolorów.. […] Szlafroki te wkładają w ogromne skórzane a czasem i w różne wzory wyszywane szembary (szarawary), które dla pomieszczenia kożucha są bardzo szerokie i czynią z Kirgiza jakąś istotę niezgrabną, tym więcej, że nogi jego są bardzo krótkie. Jednakże ubiór ten jest bardzo wygodny, bo kożuch nie podwiewany wiatrem więcej ciepła daje, a pomieszczenie onego w szembarach ułatwia jazdę konną. Szembary ściągają się rzemiennym paskiem, u którego z jednego boku wisi skórzana kaleta, u bogatszych ozdobiona wraz z paskiem srebrem, a nawet kamieniami, z drugiej zaś strony pomieszczony jest nóż w skórzanej oprawie. Na ogolonej głowie w zimie małe jarmułki kolorowe obszyte u dołu futerkiem, na te zaś kładą tak zwany *małachaj* z futra baraniego powleczonego suknem lub inną materią; latem samego tylko używają *małachaja*, który bywa zwykle biały, wełniany. Ubiór ten na głowę wybornie zastosowany do klimatu, jest bardzo użyteczny w czasie wielkich tu panujących mrozów i śniegowych zawiei. Okrywa głowę, szyję i większą część twarzy u wierzchu jest szpiczasty, dalej się rozszerza, spada na plecy i ramiona mając niejakie podobieństwo do worka: składa się on z kilku części sto-

sownie wyciętych i zszytych; z przodu zawiązuje się sznurkiem dla okrycia twarzy. Użytku koszul nie znają wcale nasi stepowi mieszkańcy.

Kobiety są tu małego wzrostu, brzydkie, prędko się starzeją, a ubiór ich, jeszcze mniej udany aniżeli u mężczyzn. Używają one podobnych jak mężczyźni szlafroków, a w czasie jazdy konnej i zimą szembarów, co przy małym wzroście, bardzo je niekorzystnie przedstawia. Na głowie noszą białe zasłony, które im głowy i pół figury okrywają, jedną tylko twarz wyjąwszy. Nie jest to bynajmniej arcy malownicze ubranie. Dodawszy do tego twarz brzydką, ogorzałą i przedwcześnie pokrytą zmarszczkami, obok niechlujstwa odbijającego w całym ubiorze, wszystko to tym silniej dopełni nam odrazy. Dziewczęta przywieszają sobie do końca warkocza swobodnie spadającego im na plecy, rozmaitego rodzaju metalowe świecidła i ozdoby, głównie zaś srebrne monety, które za każdym poruszeniem głowy dźwięk wydają.

Teraz wam powiem jak mieszkają Kirgizi. Chaty swoje, czyli kibitki (kibit znaczy mieszkanie) albo właściwie jurty budują sobie Kirgizi bez wielkiego zachodu. Z kijów wystruganych, grubości palca robią rodzaj kraty, łącząc je w punktach krzyżowania się przeciągniętym przez wywiercone dziury kawałkiem rzemienia, przez co krata składa się i rozciąga i dlatego łatwo ją przenieść z miejsca na miejsce. Kratę takową wysoką na dwa łokcie, stawiają w okrąg na ziemi, a na wierzchu na kijach wygiętych, przytwierdzają za pomocą sznurków koło, które stanowi niejako sklepienie kibitki. Z wierzchu okrywają tę kratę cienką, słomianą lub też z trzciny mianą, lub też z trzciny cienkiej sporządzoną matą, na którą kładą jeszcze *koszmę*, rodzaj wojłoka z grubej baraniej wełny lub wielbłądziej sierści; drzwi także z *koszmy* podnoszą się w górę. W czasie palenia odkrywają wierzch kibitki dla odchodu dymu. Wewnątrz w pośrodku jest ognisko i stoi kocioł do gotowania; naokoło rozesłane *koszmy* do siedzenia. Przy drzwiach stoją chore owce, krowy, jagnięta itp. Dla starego bowiem bydła, dla owiec, wielbłądów i koni, pomimo ogromnych mrozów i *buranów*, nie pomyślano o żadnym schronieniu.

Głównym pokarmem i przysmakiem Kirgizów jest machan, czyli mięso końskie; chociaż używają także mięsa baraniego, koziego i wielbłądziego. Z końskiego urządzają sobie kiełbasy, które mi prawdziwie smakowały, chociaż bez żadnych wymysłów i nieporządnie sporządzone. Główną przyprawę potraw stanowi sól, którą zbierają dla użytku kuchennego na brzegach słonych jezior. Nie jest ona tak czysta jak warzonka, ani tak dobra jak kopalna. Kolor tutejszej soli jest ciemnobrunatny, połączona jest przy tym z solą glauberska, co jej pewną gorycz nadaje. Można jej jednak z pożytkiem używać na potrzeby kuchenne. W lecie Kirgizi sami żyją *kumysem* zrobionym z mleka kobylego i wielbłądziego; ma on podobieństwo do maślanki, z tą jednak różnicą, iż wiele w nim znajduje się spirytusu, co mu nadaje własność upajającą. Jest to zresztą napój bardzo zdrowy i w wielu słabościach, szczególniej piersiowych przepisują go lekarze, dla nieprzywykłych jednak jest trochę niemiły, a to z powodu jego przyrządzania. Robią go bowiem w następujący sposób. Ze świeżej skóry zwierzęcia, najczęściej zdechłego, szyją worek *(tursuk)* włosy wewnątrz obracając; w ten nalewają mleko kobyle i wielbłądzie i tak trzy-

mają aż do fermentacji; przez takie ciągłe utrzymywanie mleka w *tursuku*, włosy obłażą i pełno ich w *kumysie*, który w miarę używania dolewają zawsze świeżym mlekiem. Ze skóry świeżej wydziela się nieprzyjemna woń, która jednak zmniejsza się z czasem, a przyzwyczajonym nie czyni żadnej odrazy. Z początku nie bardzo chętnie piłem *kumys*, później jednak zasmakował mi bardzo. Ale nie wszyscy Kirgizi zarówno smaczny wyrabiają *kumys* i dlatego stosownie do dobroci, można go gatunkować jak wino.

Kiedy gości przyjmują u siebie Kirgizi, a są gościnni tylko dla swoich, wtedy raczą ich *kumysem*, albo mięsem gotowanym lub smażonym w sadle. Lecz tym ostatnim przysmakiem, oprócz Kirgizów mało kto pragnie być ugoszczonym, gdyż nieczystość panująca tu ogólnie, czyni i ten pokarm niezdatnym. Gdy komu chcą okazać szacunek biorą kawałek mięsa w rękę i ten prosto do ust gościowi wkładają; a kiedy podadzą mięso z kością, znaczy to bardzo wysoki stopień szacunku; gość po ogryzieniu kości, ma prawo oddać takową gospodarzowi lub kogo lepiej uważa, co także oznacza wzajemny dla nich szacunek, kość tę tak czysto ogryzają, iż najmniejsza odrobina mięsa na niej nie pozostanie i będzie jak oskrobana, największym bowiem u nich przysmakiem jest mięso przy kości.

Kiedy Kirgiz chce uczcić gościa, ale nie radziłbym nikomu doświadczyć zemsty Kirgiza, czyli tak zwanej *baranty*. – Bo to prawdziwa korsykańska Vendetta. Teraźniejszy rząd zapobiega o ile możności podobnym bezprawiom, ale rozległa przestrzeń stepowa, przedstawia wiele trudności w zupełnym wykorzenieniu złego, które chociaż mniej często, jednakże dotąd się praktykuje w cichości. Dawniej familia jedna lub pokolenie, zbrojno prześladowały inne gdziekolwiek się spotkali, co trwało dopóty, dopóki słabszy zupełnie wytępionym nie został, a majątek jego nie poszedł jako łup wojenny w posiadanie zwycięzcy. Dziś *baranta* ogranicza się właściwie do nocnej kradzieży końskich stadnin. Takie łupiestwo nie jest tu jednak w pogardzie. Owszem upatrują w tym pewien rodzaj rycerstwa, podobnie jak nasi karpaccy górale nie uważają rozboju za rzecz haniebną i upadlającą.

Kirgizi prowadzą życie koczujące, nie mają stałych siedzib i nagle z trzodami i mieszkaniami swoimi, przenoszą się z miejsca na miejsce i dlatego nie zajmują się bynajmniej uprawą gruntu, nie starają się nagromadzić zapasów żywności dla trzód swoich na zimę i zbudować im stajnie dla zasłonienia od ostrości zimy. Trzody ich i stada, tak zimą jako i latem stoją pod gołym niebem, aż litość bierze patrzeć jak te biedne zwierzęta przeziębione w nocy, zmuszone są w dzień dla wyszukania lichego pożywienia, grzebać nogami śnieg, blisko na dwa łokcie pokrywający ziemię, gdyż innej paszy nie mają. Toteż gdy zima trwa długo, ogromne ponoszą straty mieszkańcy. Niekiedy nawet padają całe stada lub większa część takowych, a reszta pozostała, tak jest nędzna, że chodząc przewraca się. Wszystko to jednak nie potrafiło dotąd skłonić próżniackiego narodu do stałego zamieszkania i zaopatrzenia się na zimę w paszę przez co trzody ich i stada przynosić by im mogły ogromne korzyści, gdyż tak zaspakajają zaledwie pierwsze potrzeby życia. Nawyknienie Kirgizów do włóczęgi jest tak wielkie, że kiedy nawet mają konieczną

potrzebę, pozostawać dłuższy czas w jednym miejscu, to przynajmniej co parę tygodni przestawiają swoje kibitki o kilkanaście lub kilkadziesiąt kroków.

Bogactwo Kirgiza zależy od ilości posiadanych przez niego stad bydła. Bogaty fiura (pan) ma kilka tysięcy owiec i koni, kilkadziesiąt wielbłądów i bydła rogatego. Aby tak ogromne stada wyżywić, całe lato włóczą się po stepach, na zimę dopiero gromadzą się w doliny zarosłe trzciną, a pośrodku nich, dla jakiejkolwiek zasłony od okropnych zawiei zakładają auły. Takie auły złożone są z kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu kibitek, w których mieści się albo jedna familia, albo też całe pokolenie. Gdy śniegi topnieć zaczynają i doliny woda zalewa, wychodzą Kirgizi ze swych zimowych siedzib, pakują kibitki i wszelkie ruchomości na wielbłądy, szukając sobie miejsc wyższych i w takim pochodzie całą wiosnę, lato i większą część jesieni pozostają. Zatrzymują się w miejscach obfitszych w paszę, ale zawsze nie na długo. Na zimę dopiero powracają znowu w okolicę, z której wyszli i zakładają auły, albo w tych samych dolinach, albo w ich bliskości. Każde bowiem pokolenie ma wyznaczone sobie miejsce w dolinach, których granic przekraczać mu nie wolno. Ubodzy Kirgizi *(bajgusze)*, jako mający małe stada, nie przenoszą się tak często, i tak dalekich nie odbywają pochodów, co więcej zdarzało mi się widzieć w jednym miejscu auł z kilku kibitek złożony, którego mieszkańcy zajmowali się na małą skalę rolnictwem. Nad brzegami zaś rzeki Ory, spotkałem nawet dość liczne auły Kirgizów, stale zamieszkujących wspomnianą okolice i trudniących się rolnictwem. Trzody ich i stada pasące się w stepie, stogi siana sterczące nad brzegami Ory ożywiają smutną jednostajność stepową.

Kirgizi uznają władzę swoich sułtanów, którzy zostają pod głównym zwierzchnictwem i opieką Rosji. Język kirgiski bardzo zbliżony do tatarskiego, tak że umiejąc ten ostatni można rozmawiać z Kirgizami i Baszkirami. Religia ich niby mahometańska, jest właściwie mieszaniną różnych sekt, odwiecznych przesądów i najrozmaitszego pochodzenia tradycji. W tym jednakże chaosie prorok z Mekki zyskał sobie niejaką przewagę u Kirgizów, lecz o ile uważać mogłem, nie bardzo skrupulatnie zachowują oni swoje obrzędy. Tatarzy w tym względzie są gorliwszymi wyznawcami koranu.

Powiem słówko o tytoniu, może to wam śmiesznym się wyda, ale będzie to zarazem ustęp i o wierze Kirgizów. Bywając nieraz u nich, ile razy otworzyłem tabakierkę, zawsze znalazłem gotowe nosy i palce, wyciągnięte ku mnie po tabakę, która szczególniej stare kobiety chciwie zażywają; skutkiem tego wracałem zawsze do domu z próżną tabakierką. Patrząc jak chciwie zażywają tabakę, a wiedząc przy tym, że fajki wcale nie palą, dopytywałem się o przyczynę. Jako odpowiedź usłyszałem następującą legendę, która ma być zapisana w księgach świętych.

Bardzo dawno żył w Persji prorok wielki; gorliwy bardzo i słynący ze swej wiary mahometanin, a przez wyznawców koranu tak poważany, iż w jego obecności nikt nie śmiał coś zdrożnego powiedzieć, a zwał się Hazret Adams. – Po śmierci tego proroka niejaki Asraił, srodze prześladował mahometan, o czym doszła wieść na drugi świat do uszu Hazret-Adamsa obrońcy mahometan, ten ażeby przyjść

w pomoc braciom swoim i zasłonić ich od prześladowań Asraiła, uprosił sobie Boga iżby mu pozwolił zmartwychwstać i przyjść na ziemię. I tak powstawszy z martwych, przyszedł Hazret-Adams do Asraiła żądając aby przestał prześladować mahometan; gdy jednakże Asraił był nieporuszonym, groził mu prorok karami, a gdyby i groźby nie skutkowały, wnet nastąpiło spełnienie onych: naprzód Asraił ukaranym był uschnięciem ręki, potem odpadnięciem nosa i nogi, kiedy zaś i to nie odwiodło go od zaciętego prześladowania, prorok włożył na niego chomąto Boże. Przelękniony tym Asraił, spocił się i tym potem swoim zmoczył ziemię, która w oka mgnieniu wydała ziele tytoń. Zdziwieni ludzie nagłym wyrośnięciem nieznanego im ziela przedsięwzięli dochodzić użytków i własności jego, więc zaczęli go palić, ale pierwszemu palącemu fajkę wzdęły się płuca, drugiemu twarz spuchła i oślepł, trzeciemu spuchł żywot i w okropnych bólach życie zakończył. Hazret Adams zwracając uwagę na szkodliwe ziele objawił, że nikt zbawionym być nie może, pomimo nawet swojej świątobliwości, kto tylko pali tytoń lub zażywa tabakę, gdyż wonności niebios, nie dozwoli mu zapach tabaki, a wijący się przed oczami dym z fajki, zaciemniać będzie oczy na piękności raju. Jednakże łaskawy prorok podał rady do oczyszczania się od odoru tytoniowego: kto palił za życia fajkę, temu trzeba po śmierci wypalić płuca siarką i smołą, bo wedle powonienia proroka siarka przyjemniejszy od tytoniu wydaje zapach. Używającym tabaki każe Hazret nozdrza wypalać. Otóż i łatwy sposób osiągnięcia wiecznej szczęśliwości. Wypalanie po śmierci czy to płuc czy to nosa, rozumie się, ze nie sprawia żadnej przykrości, każdy więc może poddać się tej pośmiertnej oczyszczającej ceremonii. Jednakże Kirgizi zgodzili się tylko na jedną połowę rad udzielonych przez proroka, zgodzili się na operację z nosem i łakomie zażywają tabakę. Za to operacja pośmiertna płuc nie ma w nich zwolenników; czy to zapach siarki tak zachwalany przez proroka jest dla nich nieprzyjemny nawet po śmierci, czy też inną nie mniej ważną mają do tego przyczynę, dość, że wcale fajki nie palą. Rzecz to dosyć dziwna pomiędzy wyznawcami koranu, którzy bez żadnego skrupułu używają tytoniu, podobno nawet sam Mahomet obiecuje swoim wyznawcom między innymi, że będą mieli w raju wyborny tytoń, kosztowne cyprysowe cybuchy. Co do samego Hazreta owego łaskawego dla Kirgizów proroka, ten w wielkim jest u nich uczczeniu, a miejscowość zwana Azret czy Hazret równie jest święta dla Kirgiza, jak Mekka dla wszystkich innych Mahometa wyznawców.

Cmentarze czyli mazarki widzieć można dość gęsto w stepie, zwłaszcza na miejscach wznioślejszych, każda familia na oddzielnych zakłada je wzgórzach. W wykopanym grobie chowają zmarłych siedzący, twarzą na wschód obracając, z wierzchu zakrywają grób grubą matą z rogoziny i obsypują ziemią, nadając rozmaite kształty i wielkość usypanym nagrobkom; można je widzieć w kształcie kolumn, ostrosłupów, domu lub kufra. Dla biednych niewielka kupka ziemi zastępuje wysokie usypiska. Niektóre groby bywają bielone, inne czerwono pomalowane, inne bez żadnej ozdoby. Wszystko to zależy od zasług i życia zmarłego. Często widzieć można na wierzchu grobu głowę końską, czerwono, zielono i biało upstrzoną, co

znaczy, że pod nią spoczywa *batyr* (bohater). Kirgiz kiedy sobie dobierze dobrego konia, za nic się z nim nie rozstanie, miałem nawet sposobność przekonać się, że nawet konia prawie na pozór wartości nie mającego, za żadne pieniądze sprzedać nie chciał. Kiedy taki Kirgiz mający konia faworyta umiera, familia i przyjaciele jego zabijają tego konia, zjadają mięso, a głowę kładą na pomniku.

Wszystkie jednak te pomniki Kirgizów nie są jednak bardzo trwałe, co stąd pochodzi, że grobu w którym pochowany zmarły nie zapełniają ziemią, ale sypią dopiero na matę dół pokrywającą. Próżnia znajdująca się pod matą, jest przyczyną całkowitego lub też cząstkowego zapadania się mazarków. Tylko wielka spójność gliniastej ziemi stepowej, którą z wierzchu oblepiają grobowiec utrzymuje go, choć do czasu w pewnej formie.

Obrzędów pogrzebowych nie widziałem, więc i mówić o nich nie mogę, wspomnę za to słów kilka o muzyce Kirgizów, która zapewne i przy podobnego rodzaju smutnych uroczystościach, nie poślednią odgrywa rolę. Kilkakrotnie zdarzało mi się słyszeć w aułach grajków kirgiskich, ot niedawno miałem sposobność widzieć takiego trubadura, który przygrywają na dumra, instrumencie z długą rękojeścią i dwoma tylko baranimi strunami, opiewał nam w formie epopei, bohaterskie ustępy z życia znajomego nam dobrze Kirgiza. Muzyka ta nie zachwyciła nas bynajmniej, bo cóż i za wrażenie może wywołać narzędzie muzyczne, z którego jeno jakiś niesforny brzęk wydobywać się daje? Ale rzecz dziwna, te proste tony wywierają wpływ niepojęty na równie proste serce młodego ludu. Każdy akord, choć może mniej czysty i harmonijny odbija się natychmiast ogniem lub też spokojem na dzikich twarzach Kirgizów, i żaden dźwięk nie jest straconym dla tych serc, z których oświata nie wygnała jeszcze żywego uczucia. Oni rozumieją muzykę nawet w jej niemowlęctwie, bo też zarówno myślą jak i duchem są to jeszcze niemowlęta wobec ogólnego ruchu cywilizacji. Wyższa muzyka to jeszcze dla nich niezrozumiała zagadka.

Widząc grajków i słysząc muzykę kirgiską, dopytywałem się czy istnieją u nich tańce, lecz powiedziano mi, że ich nie znają; co mnie mocno zastanowiło, boć przecie i najdziksze ludy, jeśli mają tylko jakąkolwiek muzykę, zwykle tańczą podczas uroczystości posuwając nieraz swój zapał aż do szaleństwa. Toteż Kirgizi o ile mogłem uważać, mało bardzo mają świąt i uroczystości. Obchodzą zaś je przez wyścigi konne i piesze, gimnastykę, strzelanie do celu itp. Jeden z moich kolegów który był uczestnikiem podobnych wyścigów, gdzie nawet otrzymał konia za trafny strzał, opowiadał mi o nich, ale mnie samemu nie zdarzyło się ich widzieć.

Kończąc nasze opowiadanie musimy wspomnieć o żarliwym przywiązaniu Kirgizów do ojczyzny, przywiązaniu właściwym wszystkim ludom, o których białą szatę nie otarł się jeszcze kosmopolityzm zachodu. Ani kraj bogaty, ani życie otoczone wygodami i rozkoszą – nic nie nęci Kirgiza do wydalenia się ze stepowego obszaru. Przedkłada on nad wszystko swoją spieczoną i bezwodną pustynię, bo to ziemia jego praojców, to jego własna ziemia rodzinna.

EDWARD OSTROWSKI

Lekarz weterynarii – nauczyciel akademicki
Uczestnik wyprawy naukowej (1855)

PODRÓŻ PRZEZ STEPY

Lekarz weterynarii, nauczyciel akademicki. Urodził się 1816 roku w Pokorszach na Wileńszczyźnie, zmarł w 1859 roku w Rokitnie (gubernia kurska). Ukończył gimnazjum w Wilnie. Był absolwentem wileńskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, na której początkowo studiował medycynę, a potem weterynarię. Dyplom lekarza weterynarii uzyskał w 1838 roku. Pracę zawodową rozpoczął w Warszawie jako specjalista d/s weterynarii (asesor), któremu podlegały gubernie mazowiecka i kaliska. Urząd ten sprawował stosunkowo krótko, bowiem już w 1840 roku powierzono mu stanowisko zastępcy dyrektora nowo utworzonej Szkoły Weterynaryjnej w Warszawie, a rok później otrzymał nominację na dyrektora tej uczelni.

Poza obowiązkami administracyjnymi związanymi z kierowaniem wspomnianą szkołą prowadził wykłady z weterynarii w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa na Marymoncie. Aktywnie uczestniczył w życiu obu uczelni, pogłębiając jednocześnie drogą samokształcenia wiedzę weterynaryjną. Na podstawie pracy *Zaraza płuc, czyli zapalenie płuc panujące u bydła rogatego,* uzyskał w 1845 roku stopień starszego lekarza weterynarii, a w 1853 roku otrzymał dyplom i stopień magistra nauk weterynaryjnych za rozprawę pt. *O zarazie śledziony, czyli chorobie karbunkułowej.* Kolejną uczelnią na jego drodze akademickiej była Wyższa Szkoła Weterynaryjna w Charkowie, w której od 1853 roku był profesorem. Powierzono mu prowadzenie zajęć z patologii, weterynarii sądowej, a wiele czasu poświęcał na prowadzenie kliniki terapeutycznej i jej rozbudowę. Było to zajęcie nader pracochłonne i rzec trzeba – nowatorskie w dziedzinie medycyny weterynaryjnej. Uczestniczył także w różnych zespołach eksperckich, bywał na zjazdach, a sprawozdania ze swych dociekań badawczych publikował w specjalistycznych czasopismach.

Jednym z wątków tej działalności jest udział w ekspedycji rządowej do Kazachstanu. Pisał o tym we wstępie do książki będącej pokłosiem tej wyprawy, informując: „Z rozporządzenia J. W. Ministra Narodowego Oświecenia w r. 1855 w porze wiosennej przeznaczony zostałem, z dodanymi mnie w Charkowie osobami, odbyć naukową podróż do stepów Kirgiz-Kajsackich, co też wkrótce nastąpiło". Wspomniana książka to *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*…, wydana w Grodnie w roku śmierci autora (1859). Stanowi ona interesujący, choć niezbyt obszerny przegląd rozmaitych zagadnień dotyczących życia stepów i ich autochtonicznych mieszkańców. I chociaż ciąży na niej zarzut pewnych „zapożyczeń" z wcześniej wydanych dzieł M. J. Kittary i A. Lowszyna zawiera ona jednak interesujące obrazy życia społecznego i gospodarczego tego Stepowego Kraju, którego ziemia – jak pisał „zupełnie niezdatna do uprawy, wyjąwszy niektórych części w północnej stronie, gdzie czasami spotkasz małe kawałki gruntu zasiane prosem lub innym jakim zbożem, lecz i bardzo rzadko. Jadąc dalej ku południowi nie dojrzysz już nawet śladów rolnictwa. Jedyny użytek ze stepów jest tu chów zwierząt domowych. W północnej stronie, częściej tu spotkasz konie i bydło, a im dalej ku południowi, tym więcej wielbłądów i owiec".

Generalnie stwierdzić trzeba, że ukazanie się tej książki pozwoliło pomnożyć wiedzę o tym odległym dla rodaków zakątku ziemi. Zamieścił w niej autor realia przyrodnicze, historyczne, kulturowe i geograficzne powiązane z wrażliwością wyobraźni i doświadczeniem podróżnika nabytym w tej drodze przez stepy*.

Podstawa relacji: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich przez Edwarda Ostrowskiego,* Grodno 1859.

* Informacje biograficzne: A. Kijas, *Polacy w Kazachstanie. Przeszłość i teraźniejszość,* Poznań 1993, s. 47; tenże, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny,* Poznań 2000, s.255–256; R. Rakoczy, *Ostrowski Edward, „Polski Słownik Biograficzny",* 1979, s. 24.

Ubiór Kirgizów jest albo ciężki lub też nadzwyczajnie lekki: głowę mają ogoloną, na której oprócz jarmułki, czyli fezki, noszą czapkę ciepłą, futrem obszytą, podobną zupełnie do tych, jakie dawniej nosili litewscy żydzi, lub też kapelusz spiczasty, biały, z wielkim rondem, zwany *małachaj*, wyrobiony z cienkiego wojłoku. Na ciele, oprócz koszuli i spodniego odzienia, noszą coś na kształt żupanika, czyli kaftana podobnego do ubrania żydów, nazywanego, jak mi się zdaje, *cyces*. Na tym mają jeszcze długi kaftan, niby płaszcz, najczęściej rudawego koloru, z wielbłądziego sukna i ten się zowie *czekmen*, albo też ze skórek źrebięcych, włosami na zewnątrz obróconych, i to się zowie u nich *ergaki*, lub na koniec długi, różnokolorowy, najczęściej jaskrawy, pasem związany szlafrok, i w tym ostatnim stroju Kirgizi najbardziej mi dawne ubiory żydów przypominali. Przy tym noszą zawsze boty niezgrabne, ciężkie, z długimi cholewami przykrywającymi spodnie ich odzienie. Zimową porą często kaftany swoje podszywają tak zwaną *dżabagą*, wybornie zastępującą futro lub też noszą zwyczajne kożuchy i inne futra. Zapewne ciekawyś, co to jest *dżabaga*? Jest to szczególny produkt owiec kirgiskich. Owce ich bowiem, pozostając przez całą zimę pod gołym niebem, opatrzone z natury grubą wełną, mają z niej wyborną od zimna ochronę. Wełna ta przez zimę podlega szczególnemu spilśnieniu, tak, że cała owca wygląda jakby była pokryta płaskim kołtunem lub grubym ciepłym kapeluszem, który na wiosnę zaczyna powoli, przez podrastanie nowej wełny od spodu, coraz bardziej oddzielać się od ciała. Wówczas to Kirgizi rękami dopomagają oddzieleniu się tej grubej powłoki, która stanowi właśnie wspomnianą *dżabagę*. Tą *dżabagą*, jakby rodzajem waty, podszywają swoje zimowe ubrania. Ma ona tę dogodność, że jest ciepłą i tanią, bo pud jej kosztuje tam zwykle około 75 kop. sr[ebrnych], rzadko drożej. Letnią porą Kirgiz albo się ubiera bardzo ciepło, wkładając futrzaną czapkę i ciepły kaftan dla ochronienia się, jak powiada, od skwaru, albo chodzi boso, w jednej koszuli i w krótkim spodnim płóciennym odzieniu, albo nawet w samych tylko bardzo krótkich pantalonach, bez koszuli, przykrywając głowę kapturem lub chustką. W takim to stroju przedstawia ci się Kirgiz prostego pochodzenia, czarny, opalony, nie umyty, zapocony, okurzony, jednym słowem obrzydliwy.

Kirgiz bogatszy, a nawet sam sułtan, ma także głowę ogoloną, na niej czapkę w kształcie ostrokręgu, najczęściej aksamitną, ozdobioną galonami, a u spodu obszytą futerkiem. Na nią wkłada pospolicie, tak jednak aby nie zakrywać zupełnie futerka, *małachaj* czyli kapelusz biały, cienki, ozdobiony galonami, z rondem szerokim

podszytym najczęściej czerwonym aksamitem. *Małachaj* ten zdejmuje w domu lub w kibitce, lecz głowę ma zawsze przykrytą czapką lub też mycką jaką, haftowaną srebrem, złotem lub przynajmniej ozdobioną galonami. Na sobie oprócz koszuli nosi rodzaj długiego żupana, podobnego do sutanny, z jaskrawej bucharskiej lub perskiej jedwabnej materii. Na tym żupanie pas wąski kirgiski, często ozdobiony różnymi srebrnymi blaszkami, czasami u pasa ma sztylet, szaszkę lub pałasz ozdobnie oprawiony. Na żupanie zaś nosi szlafrok zwyczajny bucharski, zupełnie taki, jakie się sprzedają w sklepach Bucharców w Warszawie. Ten się już wcale nie zapina, aby można pod nim było widzieć pas i żupan; kolor jego pospolicie bywa światły. Najczęściej widziałem kaftany jedwabne w wąskie paski, białe z zielonymi lub szarymi. Zimową porą noszą na kaftanie ciepłe czekmeny lub futra. Zamiast botów, przykrywających zwykle spodnie odzienie mają oni rodzaj mesztów haftowanych lub bez haftu, a na tych skórzane pantofle czy też lub właściwiej mówiąc, kalosze noszone tam zimą i latem. Kalosze te zdejmuje się wchodząc do pomieszkań kirgiskich arystokratów albo do meczetów.

Ubiór *mułłów* tym się różni od innych, że noszą długie kaftany czyli właściwiej szlafroki, najczęściej białe szerokim pasem ściągnięte, a na głowie zawoje białe różnokolorowe. Zresztą zawoje nie są wyłącznie przeznaczone dla *mułłów*, bo i inni Kirgiz-Kajsaki nosić je mogą, lecz nigdy ich prawie nie używają, pozostawiając je samym *mułłom*. Wszyscy noszą brody.

Ubiór prostych Kirgizek nie bardzo jest zajmujący. Kobiety zamężne głowę mają obwiązaną chustką białą lub też noszą coś w rodzaju kornetów, używanych przez nasze zakonnice; dziewczęta głowę zawiązują chustką czerwoną. Tak jedne jak drugie noszą koszule i zamiast sukien worki jakieś, zupełnie swobodne, szerokie, bez żadnego wcięcia i kroju. Na nogach mają albo trzewiki albo też boty takie, jak i mężczyźni.

Kobiety wyższego rodu często noszą na głowie okrągłe czapeczki aksamitne, obszywane u dołu futerkiem, spod czapki wystają rozpuszczone włosy, mające u końców poprzyczepiane rozmaite blaszki i ozdoby złote i srebrne. Krom tego, niektóre młodsze arystokratki wkładają na czapkę rodzaj welonu, którym od niechcenia część twarzy zakrywają, nie tak jednak starannie, aby widzieć nie było można. Czasami w dni uroczyste noszą czapeczki wysokie aksamitne, najczęściej czerwone bardzo ładne, ozdobione perłami, rozmaitymi świecidełkami i drogimi kamieniami. Na koszulach z wy-

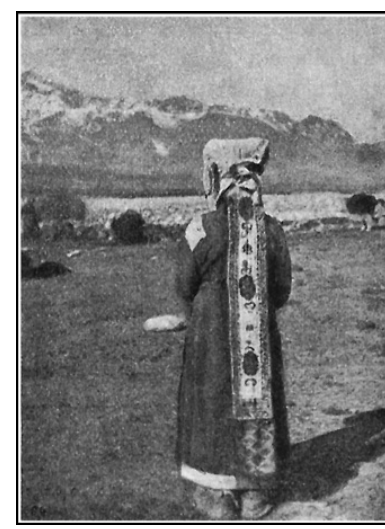

Ubiór młodej Kirgizki w dolinie Wielkiego Ałaju

łożonymi kołnierzami, mają perkalowe lub jedwabne suknie, najczęściej białe lub innego światłego koloru, sposzyte jak wór bez żadnego wcięcia i zastosowania do figury. Na te zaś wkładają długie, po kolana przynajmniej sięgające, piękne kaftany aksamitne, obszywane galonami i bardzo zgrabnie do kształtu kibici zastosowane. Zresztą nie noszą botów lecz pończochy i trzewiki, często kolorowe, safianowe, nieraz złotem lub srebrem haftowane.

Dzieci Kirgizów biedniejszych w pierwszych latach życia, w porze letniej, zupełnie są nagie, później ubierają je tylko w spodenki. Bogatszych rodziców dzieci noszą się zupełnie tak jak i dorośli. U dziewcząt bogatszych postrzegałem najczęściej sukienki czerwonego koloru.

O pogrzebach kirgiskich niewiele ci powiem. Widziałem cmentarz kirgiski i na nim nawet dosyć proste pomniki. Mówiono mi, że po śmierci obwijają umarłego w płótno lub prześcieradło i przy stosownych modłach *mułły* zagrzebują go do ziemi, tak jak i u nas. Obrzędy weselne u Kirgizów bardzo są proste. Do domu pana młodego przyjeżdża *mułła* i błogosławi nowożeńców. Zjedzą przy tym dobrą porcję baraniny, napiją się (jeżeli jest) *kumysu* i na tym koniec wesela. Bogatsi dają przy tym uczty wystawne, często z wyścigami, z szermierką na koniach lub pieszo itp. O wszystkim tym przy zręczności pomówię z tobą obszerniej.

Do handlu Kirgizi, jako mający wiele wspólnego z żydami, okazują niemało pociągu, lecz brak im potrzebnej do tego przezorności, zapobiegliwości, wytrwałości i odwagi. Kupić co na przykład wówczas, kiedy tanie i zatrzymać się ze sprzedażą do czasu, kiedy ceny się podniosą, nie jest we zwyczaju u Kirgiza, nabywa tylko to, o czym jest przekonany, że zaraz może sprzedać z nadzwyczajnym zyskiem. Ceny na wszystko naznacza ogromne i umie z wytrwałością korzystać z potrzeby nabywającego. Zresztą prawie wszystko sprzedają i kupują tylko na jarmarkach, tak u siebie w stawce chana, jak i w okolicach otaczających ich stepy, w Kamyszynie, Gurjewie itp. Głównym przedmiotem ich handlu są zwierzęta domowe i niektóre produkta sprzedawane w surowym stanie. Żadnych nie

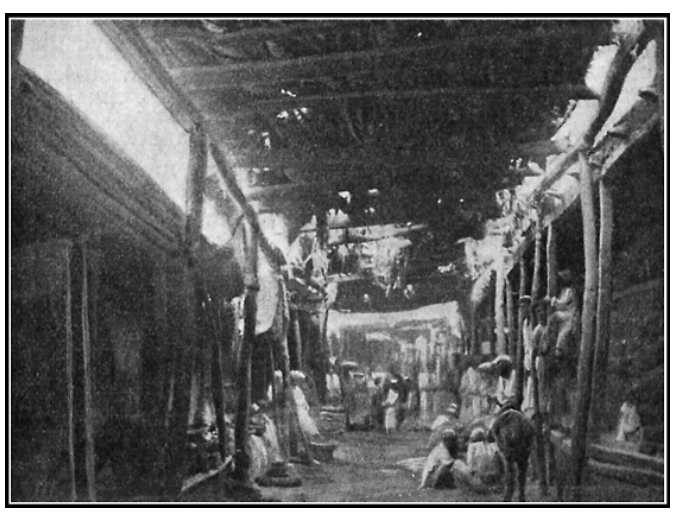

Targ w Kaszgarze

mają u siebie fabryk i rękodzielni, niewielu i to najgorszych i najdroższych rzemieślników, u których także nigdy prawie nie ma nic gotowego, lecz wszystko zamawiać potrzeba.

Niepodobna mi także chociaż słów kilku nie powiedzieć o domowych zwierzętach Kirgizów, stanowiących nie tylko niezbędny artykuł żywności i główną dźwignię handlu, lecz nadto zastępujących monetę (akcza), gdy najczęściej wartość usługi, zatrudnienia lub rzeczy jakiej, oblicza się nie na ruble i kopiejki, dobrze znajome Kirgizom, ale na barany, konie itp. Mówiąc wszakże o zwierzętach nie nudzę cię bardzo długo. Nie powiem o ich chowie, bo ten prawie się niczym nie różni od chowu u Kałmyków; pominę opis chorób i ich przyczyn itp. a zatrzymam się nieco nad tym, co cię więcej zająć zdoła.

Wielbłądy Kirgizów są albo jednogarbowe, zwane dromaderami lub też, co częściej bywa, dwugarbowe. Bywają one siwe, rdzawe lub kasztanowate, często bardzo wielkie, szczególnie jednogarbowe, przy tym silne, wytrwałe, poprzestające na najnędzniejszym karmie i długo wytrzymujące brak wody. Używają ich głównie do przenoszenia ciężarów w dalekie nieraz strony, wkładając na jednego wielbłąda do 20 i więcej pudów. Czasami jeżdżą na nich konno, niekiedy urządzając na grzbiecie siedzenie na kilka osób; lecz ta jazda jest bardzo męcząca z powodu trzęsienia, porównać ją można do jazdy po morzu w czasie burzy. Chód wielbłąda jest spory, daleko prędszy niż konia, ale do prędkiego biegu niełatwo go namówić; w ogólności bardzo jest krnąbrny i leniwy, szczególnie w porze letniej. Młodemu wielbłądowi w drugim lub trzecim roku życia wypalają Kirgizi otwór w przegrodzie nosowej. Do otworu tego wprowadzają wałeczek drewniany a do niego przyczepiają powróz, który im służy za cugle. Przed użyciem wielbłąda porusza go Kirgiz pociągając cugle i słowem czok daje rozkaz do uklęknienia i położenia się na ziemi. Na leżącego nakłada ciężary lub sam wsiada i następnie targaniem powodu i powtórzonym słowem czok, każe mu się podnieść. Przy tym zwyczajnie wielbłąd zaczyna ryczeć przeraźliwie aż po długim namyśle podniesie się z ziemi powoli, z początku na kolana, później zupełnie wstaje, oglądając się na ciężar i przeraźliwie rycząc puszcza się w drogę. Powolne te, leniwe i flegmatyczne istoty, dziwnie są jednak czułe dla swych dzieci. Matka rozdzielona ze swoim dzieckiem tak się ciągle o niego niepokoi, takie raz po raz bolesne wydaje jęki, że wytrzymać prawie niepodobna. Nieraz to na mnie przykre robiło wrażenie i do tak niemiłego nastrajało usposobienia, że w istocie byłem zupełnie jak nieszczęśliwy jaki kochanek, mający z rozpaczy życie sobie odebrać. Kirgiz jednak na te jęki bynajmniej nie zważa, zażywa spokojnie tabakę i popędza dalej stękającą wielbłądzicę. Przy zatrzymaniu się gdzie bądź, chociażby na chwilę, sam wielbłąd natychmiast klęka, kładzie się na ziemi i bardzo się cieszy jeżeli zdejmują zeń ciężary. Zgłodniały szuka sobie nędznego na stepie pożywienia; jeżeli nie jest głodnym lub nie ma na stepie pożywnych chwastów, leży spokojnie i odpoczywa. Oprócz użytku z siły wielbłąda mają z nich Kirgizi skórę, wyrabiającą się najczęściej na tak zwany surowiec lub na worki do *kumysu*, mleka i wody, zwane u nich saba i *tursuk*; mają wełnę czyli

tak zwany włos i puch wielbłądzi, którego co rok zbiera się około jednego puda z 3-ch wielbłądów i sprzedaje się mniej więcej po 2 rub[li] za pud. Z tej wełny w Guberni Orenburskiej, Saratowskiej i innych wyrabiają sukno grube, chętnie przez samych Kirgizów kupowane na tak zwane czekmeny. Włos gruby wielbłądzi służy do wypychania materaców, poduszek itd. a z puchu wyrabia się rodzaj szalów i inne materie. Mięso jest łykowate, twarde i niesmaczne, służy jednakże Kirgizom za pokarm, lecz pospolicie w tym tylko razie, gdy wielbłąd nie może już być używany do pracy i musi być zabitym. Mleko wielbłądzie i *ajran* z niego przygotowany jest lepszym od mięsa i używa się pospoliciej. Przedni wiek wielbłąda liczą tam około lat 25. Nie ma wątpliwości, że może żyć daleko dłużej lecz przedwczesne użycie do pracy i nieumiarkowane obładowywanie ciężarami, złe utrzymanie i choroby, najczęściej skracają mu życie. Ceny na wielbłąda bywają tam mniej więcej od 15–30 rub[li] za sztukę i taniej płacą za dwugarbne a drożej za dromadery.

Mógłbym ci wiele jeszcze rzeczy napisać o wielbłądach, pomijając inne powody, chcąc być treściwszym: bo może się przytrafić, że listy te będą czytane przez kobiety i rozwlekłość by je znudziła, czego bynajmniej nie życzę.

Konie kirgiskie jeżeli nie odznaczają się pięknością kształtów, za to cnotą mało ustępują najwybitniejszym nawet rasom. Są rącze, wytrwałe, często swawolne lecz mniej od kałmuckich złośliwe, wzrostu małego i bardzo pod tym względem do naszych podobne. Najczęściej bywają gniade lubo i wszystkie inne maści, nie wyłączając srokatej, łatwo tam widzieć można. Budowy są zwięzłej, wejrzenia przyjemnego, rysy mają zaokrąglone, głowę średniej wielkości, często nawet małą, zwyczajnie prostą, rzadko garbatą i w ogólności dobrze do szyi zastosowaną. Konie górne wargi i nos mają często jakby ukośnie ścięty, szyję dość krótką i prostą, krzyż ścięty, osadę ogona dobrze do ciała przystającą, nogi silne, nie cienkie, długo włosem porosłe a pęciny zazwyczaj ukośne. Średnia cena konia wynosi około 10 rub[li]. sr[ebrnych] chociaż bywają zdarzenia, że za konia szczególnych przymiotów płacą po 50 rubli i więcej. Konie kirgiskie chodzą po stepach tabunami. Zamożni właściciele posiadają ich po kilka tysięcy sztuk, lecz wielu biednych Kirgizów często nie ma ani jednego. Używają koni do jazdy konnej, w której Kirgizi bardzo się odznaczają, czasami do przenoszenia ciężarów, szczególnie latem, bo w innych porach roku chętniej posługują się wielbłądami. Skóry ze starych sprzedają na wyroby garbarskie, skóry źrebiąt wyprawione z sierścią, służą na tak zwane ergaki. Mięso końskie a szczególnie źrebięce, uważa się za wielki przysmak; z mleka klaczy przyrządzają *kumys*, dziwnie mile łechcący podniebienia Kirgizów. Oprócz pospolitej rasy kirgiskich koni, jest tam jeszcze rasa poprawna zwana argamaki; konie te, nie tylko się wychowują w Chiwie, Bucharyi i na wschodnim brzegu Morza Kaspijskiego, szczególnie u Turkmenów, lecz są także i u wielu Kirgizów. Argamaki powstały z połączenia się rasy kirgiskiej ze wschodnią a szczególniej z arabską; droższe są od zwyczajnych kirgiskich koni, odznaczają się wyższym od nich wzrostem i harmonijnością kształtów, przekazaną im od przodków pochodzenia wschodniego, bardzo rącze, wytrwałe i głód wytrzymujące długo. Konie zwane Kara-Bair (ubogi

wzbogacił się) powstają z połączenia koni kirgiskich z góralskimi, kaukaskimi lub czerkieskimi i odznaczają się przymiotami obu tym rasom właściwymi.

Bydło rogate Kirgizów mało się różni od naszego, szczególnie hodowanego przez chłopków litewskich. Ta chyba nie tyle w powierzchowności ile raczej w charakterze zachodzi między nimi różnica, że krowy Kirgizów tak są znarowione, że nie dają inaczej mleka, jak tylko przy cielęciu. Dlatego też, chcąc doić krowę przypuszcza się do niej ciele, które skoro wyssie kilka kropli mleka, zostaje odpędzane a krowa doić się daje. Mleka krowy tameczne dają niewiele, co pochodzi z lichego ich utrzymywania, nieumiejętnego z nimi się obejścia, braku łagodności ze strony dojek i bez wątpienia właściwości rasy. Z mleka tego przyrządzają *ajran*, ser kirgiski podobny z wejrzenia do kamienia, wcale niemiłego smaku i na koniec masło, zbijane zwykle w workach skórzanych i przyrządzane najnieporządniej, tak że go niepodobna prawie skosztować letnią porą przy strasznych upałach; dla braku lodowni i naczyń przechowują tu masło w żołądkach bydlęcych lub cielęcych, zakopywanych zwykle do ziemi i codziennie, w miarę możności, polewanych zimną wodą. Sądzę, że łatwo sobie wyobrazisz jak dalece takie masło może smakować z bułką przy kawie lub herbacie. Zresztą z krów swoich mają Kirgizi skóry i mięso. Średnia cena sztuki bydła rogatego bywa od 2 do 17 rub[li]. sr[ebrnych]

Owiec Kirgizi chowają najwięcej. Rzadko można znaleźć tak biednego Kirgiza, który by ich zupełnie nie miał, a są tacy, co mają po kilka tysięcy. Owce ich, tak zwane tłustoogonowe, czyli czunduki, mają zamiast ogonów ogromny na pośladkach narost, napełniony tłuszczem a zowiący się kurdiukiem. Narost ten jest dobroczynną spiżarnią kirgiskiej owcy. Przez lato bowiem i jesień, przy pożywnym karmie, napełnia się kurdiuk tłuszczem często do 40 funtów wynoszącym; przez zimę zaś, przy nędznej paszy, zmniejsza się coraz bardziej, zasilając swymi cząstkami krew owczą i broniąc ją od śmierci z głodu. Po bliższe wyjaśnienie w tej mierze odsyłam cię do jakiejkolwiek fizjologii np. uczonego i zacnego naszego profesora Adamowicza z Wilna, bo ja się wcale nie myślę tu wdawać w naukowe zaciekania. Owce Kirgizów są dosyć wielkie, wełnę mają grubą i szorstką, zdatną na najgrubsze tylko sukna, koloru najczęściej rudawego lub kasztanowatego, lubo są także białe, pstre i czarne. Uszy mają bardzo długie i obwisłe, a prawie wszystkie są bez rogów. Dają wyborne mięso, będące w najpospolitszym u Kirgizów użyciu. Mięso młodych owiec, zwanych tam kurgaszki, jest tak lubiane, jak kurczęta lub wyborne kapłony w Warszawie. Wełna strzyżona rzadko się sprzedaje, lecz używa się na wojłoki, czyli *koszmy*, którymi Kirgizi pokrywają swoje kibitki. Nadto otrzymuje się z owiec znajomą ci już dżabagę, mleko, *ajran*, ser i masło, a skóry ich służą na kożuchy lub też do wyściełania na zimę ziemi w kibitkach. Oprócz tego owce lubią bardzo i niszczą tarantule, bronią więc Kirgizów od tych jadowitych pająków. Średnia cena owcy bywa od 2–4 rub[li]. sr[ebrnych] za sztukę.

Kozy utrzymywane są po większej części przez biednych tylko Kirgizów. Dają one więcej mleka niż owce i przez czas daleko dłuższy żywią nim letnią porą całe biedne kirgiskie rodziny. Kozy te podobne bardzo do kałmuckich, wzrostu

są średniego, czasami bez rogów, uszy mają długie i obwisłe, włos siwy, biały lub mieszany, nogi najczęściej więcej niż u naszych kóz obrosłe. Mają z nich Kirgizi oprócz mleka, znośnego mięsa i skóry, włosy używane na powrozy i sznurki do umocowywania i związywania kibitek, oraz około jednego funta puchu, którego pud jeden sprzedają po 3 1/2 do 4 1/2 rub[li] sr[ebrnych], a z którego wyrabiają się miękkie i ciepłe chustki, wyborne pończochy i rękawiczki. Ceny kóz bywają pospolicie od 1 1/2–2 1/2 rub[li] sr[ebrnych] za sztukę.

Psów u Kirgizów wiele wszędzie spotkać można; większa część ich podobna bardzo do naszych chartów, zdarzają się jednak i nasze zwyczajne kundle. Trzody chlewnej, z powodu zakazu religijnego a ptactwa domowego dla trudności utrzymywania przy życiu koczującym, Kirgizi wcale nie mają.

Około połowy sierpnia, podług dawnego stylu, w czasie pobytu mojego w stepach, dni już wyraźnie krótszymi się stawały, a w porze południowej upał bywał bardzo jeszcze mocny, lecz noce i ranki znacznie chłodniejsze; – teka moich notatek ze stepów znacznie się wzbogaciła, zbiory roślin i innych osobliwości miejscowych urosły, ale i tęsknota moja coraz bardziej wzrastała. Powiększonych zbiorów łatwo się pozbyłem, odsyłając je wszystkie na pierwszą od stepów pocztę; nie tak mi jednak było łatwo pozbyć się swej tęsknoty, która coraz się bardziej wzmagała; od kilku już miesięcy żadnej od nikogo nie odbierałem wiadomości. zostawiwszy w Charkowie tylu miłych znajomych i tylu życzliwych przyjaciół, a pomiędzy nimi cholerę, co mnie tym mocniej niepokoiło. Obowiązki mojego urzędowania dłużej już nad parę miesięcy w podróży mi pozostawać nie dozwalały, potrzeba więc było koniecznie opuścić stepy, gdyż wiele jeszcze rzeczy do widzenia po drodze zostawało; wyjazd mój jednak nie mógł nastąpić przed odbyciem się tamecznych wyścigów konnych, bo nie wypadało mi nie korzystać ze zręczności porównania ich z wyścigami naszej zachodniej Europy.

Wyścigi u Kirgizów, jako rodzaj narodowej zabawy, znane są od najdawniejszych czasów: uroczyste święta, wesela lub uczty magnatów kirgiskich, nigdy się prawie bez nich nie obchodziły, dawniej jednak były one bardziej przedmiotem zabawy i rozrywki, a nie miały na celu, jak u nas, istotnego pożytku, służyły więcej do popisu ze zręcznością jeźdźcom podnoszącym w biegu rzuconą jaką monetę itp. niż dla pokazania rączości i wytrwałości ich koni. Wyprawiający ucztę Kirgiz odznaczającego się nagradzał koniem, kilku baranami lub też pięknym kirgiskim kaftanem (czekmenem).

Wszystko to jednak nie wystarczało do obudzenia współubiegania się w ogóle i do ulepszenia w czymkolwiek hodowli koni: w roku dopiero 1849 zaprowadzone tu zostały prawdziwe już wyścigi konne pod opieką samego Rządu: wyznaczono 5 nagród, od 5-ciu aż do 80 rubli srebrem, i to głównie przyczyniło się do podniecenia współzawodnictwa łakomych zwykle na pieniądze Kirgizów. Odtąd trzy razy do roku odbywają się wyścigi przy samej Stawce Chana, jedne podczas wiosennego jarmarku, drugie w czasie jesiennego, a trzecie w dniach uroczystości zwanej Ramazam-Bajram. Przed każdymi wyścigami wielu Kirgizów przygotowuje do nich

swe konie, przez tak zwane u nas trenowanie, które trwa niedługo, bo najwięcej 6 tygodni, a czasami skraca się do 4, 3, 2 i nawet do jednego. W tym czasie nie wypuszczają już konia na pastwisko lecz dają mu siano i owies, zmniejszając stopniowo ilość siana, a powiększając owsa, czasami zaś karmią samym tylko owsem bez siana i ilość jego stopniowo przed wyścigami zmniejszają; w każdym razie starają się podawać trenowanym koniom kilka razy na dzień pewną ilość świeżego mleka klaczy. W czasie trenowania codziennie pędzają konie na linkach lub też jeżdżą po kilka razy, z początku wolniej i krócej a później coraz prędzej i dłużej do 10 lub 14 wiorst od razu; przy tym z początku jeżdżą na koniach niczym nie przykrytych lub też osłoniętych lekką płócienną derą, a później używają stopniowo dery coraz cięższej i coraz cieplejszej; nigdy ich jednak nie czyszczą tylko powalanych od błota, odmywają niekiedy wodą i wycierają wojłokiem. W dzień wyścigów nie dają koniowi od samego rana żadnego zgoła posiłku, jeżdżą na nim powolnym krokiem lub prowadzą w ręku na miejsce wyścigów o takiej porze, aby koń miał przynajmniej parę godzin czasu do wypoczynku; tam nań wkładają lekkie jakie siodło i tręzlę, włosy mu na nadgrzywku, czyli na tak zwanej czuprynie, związują sznurkiem w sterczący, do góry podniesiony pęczek (jak mówią, dla łatwiejszego rozcinania powietrza w biegu) i wsadzają młodego chłopaka, mającego mniej więcej od 10 do 12 lat, rzadko zaś starszego; chłopaków tych nie ważą wcale przed wyścigami, lecz każdy właściciel stara się o to, aby jego chłopiec był o ile można lżejszy a sadzą ich na konie prawie zupełnie nagich, gdyż tylko w koszuli, bardzo krótkich płóciennych spodenkach i z głową obwiązaną lekką chusteczką. Śmiesznie ci się zapewne wydają te stepowe, kirgiskie dżokeje, lecz spójrz na nich z bliska, jak każdy siedzi na koniu, zdaje się ćwiekami do niego przybity, wrośnięty; spójrz mu w oczy pełne stepowego ognia, zobacz z jaką zręcznością, wprawą i energią umie użyć swojego bieguna a zapewniam cię, że niczym przy nich będą wyuczone i wyważone wasze Jakobsony, Williamsy, Smity i Ify.

Dosyć będzie dla ciebie tych wstępnych przed wyścigami wiadomości, potrzeba już ci przedstawić same wyścigi, lecz jam pedant, bo Profesor, nie mogę nic opuścić z tego com z góry powiedzieć zamierzył; wyobrażam więc sobie, że mówię to na lekcjach i nie zwracam uwagi, iż połowa znudzonych moich słuchaczy opuściła nudne szkoły naszej sale i miłego gdzieś używa wczasu przy fajeczkach i papierosach, albo może spaceruje po uniwersyteckim ogrodzie, strzelając oczami na przechodzące tu i ówdzie Julcie i Anusie – nie zważam, ciągnę dalej tym samym tonem, bo godzina lekcji jeszcze się nie skończyła.

W roku 1855 święto Ramazan-Bajramu, jako ruchome, przypadało przed samym jesiennym jarmarkiem, wyścigi więc ramazańskie odbyłyby się chyba razem z jarmarcznymi; musiano je przenieść na inną uroczystość, to jest na święta Kurban-Bajram, przypadające 12–24 sierpnia; przed tym dniem i ja z wycieczek moich wróciłem do Stawki Chana, a wszystko co się tam działo chcę ci teraz opisać.

W dniu 11–23 sierpnia pod wieczór Kirgizi z różnych oddalonych stron stepów tłumnie się zbierać poczęli do Stawki Chana, lecz jeszcze nie na wyścigi tylko na

całonocne nabożeństwo w meczecie; o zmroku ponury *muezin* ogłosił wiernym z okien minaretu początek święta Kurbanu, a otworzone podwoje świątyni zaledwie cisnących się przepuścić były w stanie. Na całonocnym tym nabożeństwie wcale być nie mogłem, bo meczet tak był przepełniony wiernymi, że dla mnie niewiernego i miejsca by tam się nie znalazło; przy tym, w tych czasach rozbiegły się po stepach wieści, że się tam błąkają jacyś podpalacze, którzy i Stawkę Chana podpalić mają; wszystkie więc poczyniono ostrożności a nawet na minarecie stał przez noc całą kozak uralski, który dla ostrzeżenia nas o mogącym grozić nieszczęściu, miał polecenie dać ognia z broni. Rzeczy miałem tak upakowane, aby w przypadku nieszczęścia, wynieść je jak najłatwiej było można. Przy podobnych pogróżkach bezpieczniej było nie udawać się do meczetu, lecz pozostać w domu. Mieszkanie moje w pałacu Chana znajdowało się przed samym meczetem, mogłem więc łatwo usłyszeć pierwszy zaraz wystrzał kozaka, żeby się jednak jeszcze lepiej zapewnić, drzwi salonu wiodące na frontowy balkon na całą noc otworzyć kazałem i sam na koniec zasnąłem, trworzony niekiedy szelestem nietoperzów wmykających się do mieszkania. Przespałem tak do zwykłej mej godziny czwartej, o której dał mi się słyszeć przed meczetem głośny śpiew chóralny Kirgizów; pierwszy to raz wówczas posłyszałem ich śpiewy; były one zupełnie na wschodnią gamę, jakieś przeciągłe, dzikie, rażące, najpodobniejsze do jakiegoś jednotonnego marszu; dziś jeszcze pamiętam dobrze każdą nutę śpiewu, lecz jakże ci ją oddać, kiedy nut pisać nie umiem? Wychodzę śpiesznie z mieszkania i widzę rzeczywiście rodzaj tryumfalnego przed meczetem marszu: po jednej i po drugiej jego stronie stało w pewnej od siebie odległości po paręset wystrojonych Kirgizów, mających na czele jednej partii Achuna, a na drugiej jednego z *mułłów*, za nimi stali sułtani i inni Kirgizi i Tatarzy, podług starszeństwa rodu i zamożności; każda partia śpiewała na przemian chóralnie jakąś strofę krótką, po czym robiła parę kroków naprzód ku drugiej partii i to się powtarzało dopóki obie do siebie nie zbliżyły przed samymi drzwiami meczetu; po ich wejściu do środka rozpoczęło się nabożeństwo rannego Namazu, my tymczasem z Prezesem Rady Zarządu udaliśmy się w stepy na naszą ranną przechadzkę.

Po spacerze i herbacie prezes oświadczył mi, że ponieważ to jest dzień wielkiej uroczystości Kirgizów, wypada więc abyśmy oba poszli z powinszowaniem do znakomitszych mieszkańców Stawki; zamiast zwyczajnych naszych letnich parusinowych surdutów, pomimo wzrastającego upału, włożyliśmy surduty sukienne, prezes wojskowy a ja cywilny, lecz z przyczepioną wstążką od orderu (było to znakiem uszanowania dla nich) i około 9-tej godziny, po odbytym porannym Namazie, zaczęliśmy oddawać wizyty. Książę Czyngiz spał jeszcze; najczęściej wstaje on około 12-tej lub nawet i o 2-giej godzinie, z nim więc zobaczyć się mieliśmy nadzieję dopiero przy obiedzie; udaliśmy się przeto do Achuna, który w tym dniu miał ogromny i bogaty na głowie zawój, jak widać zrobiony z tureckiego szalu; dziękował nam bardzo za pamięć ten wesoły i miły starzec, przedstawiał nam swojego syna, *mułłę* młodego, i jak mówką, bardzo ukształconego i wyćwiczone-

go w swoich naukach *mułłowskich*; przedstawiał swoją synową i wnuków i zapraszał uprzejmie na podaną w tej chwili herbatę. Od Achuna wyszliśmy na plac będący po drugiej stronie meczetu, gdzie w kibitkach koczowało przez lato kilku urzędujących w Stawce Kirgizów; w pierwszej z nich mieszkał Baszkir zostający w charakterze tłumacza przy Radzie Zarządu. Ubiór jego, powierzchowność, nie różniły się niczym od innych Kirgizów, lecz ponieważ nie zależał już bynajmniej od Achuna Kirgiskiego, nie obawiał się więc go wcale i karafkę z wódką miał na stole; u innych zaś Kirgizów także widziałem później wódkę lecz ta była schowana; wynoszono ją tylko w chwili częstowania i sprzątano zaraz z obawy, aby mogący nadejść Achun nie był zgorszony jej widokiem.

Kibitka Baszkira chociaż nie tak wspaniała jak najbogatszych sułtanów, nie była jednak ubogą; wysłana porządnym dywanem a po prawej jej stronie, przy samych prawie drzwiach, stał worek skórzany *(tursuk)* mieszczący z 10 garncy *kumysu*; dalej, jedne na drugich jak i u sułtanów kufry, następnie wcale pięknie przykryte i wysoko nasłane łóżko, obok niego stolik okryty serwetą a na stoliku oprócz wódki, ogromny półmisek z ciastem, zupełnie podobnym do tego, jakie w Polsce nazywają faworkami, a na Litwie chrustem; przysmak ten ozdobiony był tu i ówdzie gotowanymi owocami urjuku, konfiturami i cukierkami podobnymi do używanych u nas do upiększania bab wielkanocnych; ozdoby, jako ze stron dalekich sprowadzane, bardzo tam są kosztowne, gdyż w samych stepach, oprócz ożyny czyli jeżyny, nie ma żadnych na konfitury jagód, a że nie ma i cukierni, nie potrzebuję ci mówić, bo o tym nie wątpisz. Tak samo przyozdobione ciasta widziałem w tym dniu i we wszystkich innych kibitkach, jest to więc u Kirgizów jakby nasze wielkanocne święcone. W lewej części kibitki, na rozpiętym pewnego rodzaju sznurze porozwieszane były najbogatsze samej pani ubrania wierzchnie, to jest aksamitne, galonowane kaftany i niektóre żupany samego pana. (Wystawę bogatszej odzieży widziałem w dniu tym i w innych kibitkach, należy więc ono wyraźnie do samej uroczystości.) Niedaleko od łóżka stała nieszpetna, średniego wieku, żona Baszkira, Kirgizka; grzecznie nas powitała lecz rozmawiać mogła tylko przez tłumacza, bo nie umiała po rosyjsku; na głowie miała dosyć ładną aksamitną, ozdobioną kamieniami czapeczkę a na sobie białą suknię i długi pąsowy aksamitny kaftan. Kilka pięknych, a szczególnie jedna bardzo bogata czapeczka kobieca kirgiska, leżała na wierzchu kufrów; zdziwiło mnie to niepomału, że w dniu największej uroczystości żona Baszkira nie miała jej na głowie, lecz on mnie najspokojnie wytłumaczył, że to wcale nie są jej czapki, więc włożyć ich nie może. – Czyjeż więc? – zapytałem, on mi znowu z flegmą odpowiedział, że przed niedawnymi czasy miał trzy żony, z których dwie młodsze niedawno mu umarły, pozostała zaś tylko najstarsza (chociaż jak już wyżej wspomniałem, wcale nie stara i nieszpetna kobieta), a on jej nie daje czepków po nieboszczkach, lecz chowa dla przyszłych młodszych żon swoich. Rozpocząwszy już raz tę tak dziwną dla mnie rozmowę, spytałem znowu Baszkira, czy on nie lubi swej żony lub ma powody być z niej niezadowolonym? Na co mi odrzekł: „Nie, ona dobra kobieta, lecz mnie bardzo nudno, bom przyzwyczajony

mieć zawsze kilka żon". Dziwne, pomyślałem sobie, przyzwyczajenie; u nas są mężowie, dla których i przy jednej żonie tak bywa huczno i wesoło, że z domu uciekać muszą, a Baszkirowi kilka żon nawet dla wesołości potrzeba. Po krótkiej rozmowie udaliśmy się jeszcze do kilku innych kibitek i wszędzieśmy prawie jedno i to samo znaleźli, z tą tylko różnicą, że w kibitkach, gdzie mieszkający w niej Kirgiz urzędnik był dawnym uczniem Nieplujewskiego Korpusu w Orenburgu i miał stopień oficera, w tych powiadam kibitkach, obok porozwieszanych, ozdobnych sukien żony, wisiały także i godła jego oficerskie: szarfa, pałasz, epolety itp. sam zaś taki, prawdziwie tytularny oficer, ubrany był wszędzie w zwyczajnym kirgiskim stroju. We wszystkich zresztą kibitkach grzecznie nas przyjmowano, wszędzie proszono o przyjęcie wódki, wina, *kumysu* lub herbaty i podawano świąteczne ciasto; w tak rannej jednak godzinie, wszędzieśmy tylko za gościnność dziękowali. Po oddaniu kilku krótkich wizyt odwiedziliśmy na koniec, przed kilku dopiero dniami przybyłą tam kibitkę młodego oficera Kirgiza, Bek-Mahomedowa Makatasza, który skończywszy nauki w Orenburgu, był starszyną jednego oddziału w stepach, obecnie zaś, przy sformowaniu 2-ch pierwszych okręgów przy Morzu Kaspijskim, został mianowany Naczelnikiem Okręgu, odpowiadającym w znaczeniu Naczelnikowi Rodu. Ważna to już jest u Kirgizów figura, a co jeszcze dziwniejsze, że dawniej zawsze na naczelników Rodu wybierani byli tylko sułtani, Bek zaś Mahomedow nie pochodził z sułtańskiego rodu; zdolności jego administracyjne i osobiste przymioty wyjednały mu tę godność, obudzającą zazdrość ogólną. Udając się teraz na swoją posadę przybył niedawno do stawki, postawił w niej swą kibitkę i święta Kurbanu przepędzał; kibitka jego obszernością swoją i wewnętrznymi ozdobami przypominała bardzo kibitki bogatych sułtanów, największą jednak jej ozdobą była młoda jego małżonka, którą Bek namiętnie kochał.

W samej rzeczy, delikatne rysy jej alabastrowej białości twarzy, jakby z odmalowanym rumieńcem karminu, mówiące jej oczy, piękne usteczka i dziwnie kształtna kibić, stanowiły razem tak zachwycającą całość, że oczu od niej oderwać prawie nie mogłem; dodać jeszcze do tego prześliczne, małe i nad podziw zgrabne rączki, dodać nadzwyczajnie piękne, w haftowane perskie trzewiki ubrane nóżki i wyraz jakiejś rzewności, dobroci i zupełnego oddania się woli Boga w spojrzeniu, a będzie to zupełny portret tej najpiękniejszej w całych stepach Kirgizki… nieszczęśliwej! Dlaczego, zapytasz, nieszczęśliwej? Bo lubiącej nad życie swojego, czule do niej przywiązanego męża, mającej jedno kilkumiesięczne jeszcze dziecię, będącej młodą, piękną, dobrą i zamożną, widzącą najświetniejszą przyszłość w zdolnościach ulubionego małżonka i pojmującą w zupełności konieczność prędkiego rozstania się z tym wszystkim… Była to niestety suchotnica; tłumiła ona biedna z wyraźnym natężeniem coraz bardziej dręczący ją kaszel, lecz zroszone łzą oczy na widok dziecięcia i dziwna tkliwość i dobroć w spojrzeniu i w odpowiedziach troskliwemu o nią zawsze mężowi, zdradzały zbyt wyraźnie pozorną jej obojętność; widać w niej było duszę uchodzącą już z ziemi, uchodzącą z zupełną ufnością w Bogu, tęskniącą jednak okropnie za ziemią, na której dla niej tak pięknie obraz rajskiego szczę-

ścia, w tęczowych kolorach zabłysnął. Na pierwszy zaraz rzut oka odgadłem stan jej okropny, opowiadania męża o jej cierpieniach tym bardziej mnie w przykrym mym przekonaniu utwierdzały. Prędkośmy ją pożegnali bośmy nie chcieli dłuższą obecnością naszą męczyć tej prawdziwie niknącej już istoty: śmierć sama coś ma dla nas szczególnego, w człowieku umierającym widzi się zawsze coś nadludzkiego, a nawet widok istoty, która za chwilę będzie musiała stanąć przed Bogiem przejmuje nas jakimś wzruszeniem i poszanowaniem; nie jest w tym wyraźnie rodzaj hołdu i najpokorniejszej dla Boga wdzięczności, kiedy człek takie doznaje uczucia dla istoty mającej być wnet powołaną przed Jego oblicze. Po wyjściu z tej kibitki nie chciało mi się już więcej oddawać wizyt; widok owej prawdziwie pięknej i tak już krótko mającej żyć istoty zbyt przykre sprawił na mnie wrażenie, przy tym i wizyt bardziej koniecznych nie mieliśmy do zrobienia, bośmy prawie wszystkie ważniejsze osoby odwiedzili; wróciliśmy się więc do domu.

Przez cały ten dzień w Stawce chana widocznie panowała uroczystość; Kirgizi w paradnych ubiorach ciągle siebie nawzajem odwiedzali i ugaszczali, a każdy ociec rodziny podczas tego święta zarzynał własną ręką jednego przynajmniej barana, więc na baraninie nikomu już wówczas nie zbywało.

Rosjanie i inni mieszkańcy Stawki odwiedzali także Kirgizów i ucztowali z nimi, dla biednych zaś Kirgizów, nie mających swoich owiec, kazano kosztem zarządu rznąć barany i stosownymi porcjami całe ich rodziny obdzielać, lecz niejeden Kirgiz przychodził do Sugumu, zabierał wydzieloną sobie część mięsa i nie dziękował nawet nikomu; bowiem najmniejsza grzeczność przewyższa pojęcie każdego prostego i nieokrzesanego Kirgiza.

Na obiedzie więcej się też osób niż zwykle u prezesa zebrało; nie tylko byli tam urzędnicy Rosjanie lecz także i kilku sułtanów, a i ja miałem swojego gościa: powiatowy lekarz z Czarnego Jaru proszony umyślnie przeze mnie przybył tu szaloną kirgizką pocztą; miał on zamiar i mnie odwiedzić i przypatrzyć się zarazem Kirgizom w dniu tak uroczystym i na koniec zobaczyć słynne wyścigi. Gość mój nie przyjechał też do mnie bez gościńca; para butelek wybornej nalewki a co ważniejsza bułki i grzanki z Czarnego Jaru stanowiły dla nas nie lada przysmaczek.

Nazajutrz od samego rana ruch w Stawce był jeszcze większy, lecz nie taki jak wczorajszy, pielgrzymi i poważny, ale prawdziwie stepowy, balowo-kirgizki: po południu miały się odbyć wyścigi a przed nimi dla przybyłych wyprawiano bankiet, zwany *toj* u Kirgizów. Dawniejsze możnych Kirgizów uczty najczęściej kończyły się wyścigami, a to zespolenie przetrwało i dotąd na pociechę mieszkańców i *toj* wyda dziś Rada Zarządu. Około zabudowania zwanego Sugumem postawiono wczoraj jeszcze cztery wielkie kibitki: jedna z nich, najwspanialsza i wewnątrz po sułtańsku przybrana, miała być salą balową dla samej arystokracji, trzy inne obok były dla prostego ludu; w Sugumie zaś samym ruch także był niepospolity, pieczono tam baraninę, mięso w ogromnych kawałach układano w potężne stosy i gotowany ryż z kotłów pakowano do mis olbrzymich, znoszono przy tym worki skórzane z *kumysem*, przygotowywano dla arystokratów herbatę i na koniec

z daleka umyślnie sprowadzono cały ogromny wóz tak wybornych kawonów, że każdy z nich bez wątpienia z rozkoszą byłby widziany na gościnnym nawet stole w Wilbanowie, Podzamczu lub w Klemensowie u was.

Podczas kiedy w Sugumie ruch był tylko kucharski, w samej Stawce azjatycki przepych rozwijał się w całym blasku. Ze wszystkich stron stepów tłumnie zbierali się Kirgizi na koniach lub na wielbłądach, w paradnym ubraniu i w paradnych rzędach. Każdy tu przybywający podprowadzał konia pod Sugum, przywiązywał go pod gołym niebem lub tylko zakładał pęta (czyder) na trzy nogi, podrzucał po wypoczynku odpowiednią porcję przygotowanego zawczasu siana a sam się udawał do zgrai swych towarzyszy, aby się z nimi do syta wygadać.

Ja także od rana kręciłem się wśród Kirgizów, oglądałem ich konie, siodła i rzędy, lecz nie widziałem jeszcze żadnego mającego należeć do wyścigów konia – te bowiem prosto na plac wyścigowy przybywały i tam na miejscu wypoczywały. Przed jedenastą godziną zaczęła się już zgromadzać i magnateria kirgiska; każdy sułtan w jaskrawym ubiorze przyjechał zwyczajnie na najlepszym swym koniu, siodło miał bardziej od innych ozdobne, ze srebrnymi blachami i aksamitem, jechał naprzód otoczony gronem bliższych przyjaciół lub znajomych, a z tyłu za nim liczna służba; ilość towarzyszy i służby była prawdziwie kamieniem probierczym zamożności i znaczenia przybywającego sułtana i nikt się też nad stan swój zbytecznym orszakiem nie otaczał. Arystokraci, szczególnie młodzi, przybywszy w towarzystwie sług i przyjaciół odpowiednich wiekiem i wzrostem przede wszystkim przejeżdżali się po całej Stawce, starsi zaś oddawszy swej służbie konie, sami ku meczetowi zbliżali lub też przed modlitwą zajeżdżali do którego z urzędników zarządu. O samej 12-tej odbył się w meczecie południowy Namaz, a o pierwszej po południu *toj* się rozpoczął.

W jednej z 4-ch dla *toju* przyrządzonych kibitek zbierać się miała starszyna kirgiska; na rozesłanym w niej kobiercu każdy wchodzący usiadał na klęczkach koło samej ściany; spostrzegałem wówczas, że i tu się ściśle etykiety trzymano: starsi ze znaczenia a jeszcze bardziej z rodu, więcej się ode drzwi oddalali, mniej ważne figury bliżej nich siedziały, na pierwszym zaś miejscu, to jest przy ścianie przeciwległej drzwiom kibitki, leżały trzy obok siebie poduszki, przeznaczone dla trzech najstarszych osób; środek kibitki zupełnie był nie zajęty, tylko siedziało na klęczkach dwóch służących Kirgizów; przed jednym z nich stał wielki skórzany, napełniony *kumysem* worek, taca i kubki do *kumysu*, a przed drugim samowar, taca z filiżankami i mnóstwo w drobne kawałki porąbanego cukru. Ja, jako nie siedzący, stanąłem także przy ścianie i oczekiwałem rozpoczęcia uczty aż wkrótce nadszedł prezes Rady Zarządu, za nim sułtan Kuczak i nieco później w kirgiskim bogatym ubraniu syn Chana, książę Czyngiz. Zebrani w kibitce Kirgizi nie wstając z miejsc ukłonili się im tylko a trzy nowo przybyli usiedli na poduszkach z nogami na krzyż pod siebie założonymi (syn Chana pośrodku) i *toj* rozpoczął. Klęczący przy *kumysie* Kirgiz wnet go zaczął z worka wylewać do kubków i podawał na klęczkach siedzącym na poduszkach a następnie i innym osobom. Książę odezwał

się to do mnie, to do Prezesa po rosyjsku, to znowu do Kuczaka po kirgizku albo też przemawiał czasami słów parę do innego jakiego Kirgiza; układ miał pański, grzeczny był, lecz dumny w mowie i spojrzeniu a obecni wielkie dla niego okazywali uszanowanie. Zresztą rozmowa w kibitce nie była wcale ożywioną, bo ją wyraźnie krępowała obecność Księcia i Prezesa Rady. *Baj* nie znajdował się na *toju*, gdyż interesa kraju powoływały go wówczas w okolice Morza Kaspijskiego. Widząc, co się dzieje pomiędzy arystokratami nie zapomniałem i o gminie i nieznacznie się do sąsiednich kibitek wymknąłem.

Bez przesady ci powiem, że niejeden lord wiele dałby za to, żeby mógł co dzień choć na godzinę zostać Kirgizem. Całe kibitki natłoczone były gromadą prawdziwych żarłoków, którym przed rozpoczęciem *toju* podano dzban cynowy z wodą i jeden na całą kibitkę ręcznik, z kolei leli sobie na ręce wodę, obmywali je tylko dla formy, wycierając później ręcznikiem, w istocie zaś w takim były stanie, że dwa przynajmniej dzbany wody, przy tym pół funta mydła i parę grubych ręczników zaledwie by je z brudu i błota oczyścić mogły; między Kirgizami postrzegałem kilka kozaków uralskich, którzy mając z nimi podzielać ucztę, nie uchylali się także od ceremonialnego rąk umywania. Po skończeniu tego obrzędu zamiast arystokratycznego *kumysu* i herbaty wnosić tu zaczęto na ogromnych jakichś blatach stosy baraniny w wielkie porznięte kawały; nieraz bywałem w menażeriach przy karmieniu tygrysów, hien i lampartów, tutaj one mi się zupełnie przypominały: całe kawały mięsa, bez noży, łyżek i widelców, leciały z blatu do kirgiskich chciwych paszcz a obracane w nich, jakby dla formy tylko pojedynczym lub najwięcej podwójnym poruszeniem szczęki pomykały do gardła, gdy czujna przy *toju* ręka, najbliższa widać przyjaciółka zgłodniałych żołądków, nowy kawał mięsa do ust podsuwała. Zdziwiony byłem tym szalonym apetytem i z obawą nawet na to patrzałem, gdyż ciągle mi się zdawało, że się zadławić muszą; obawa moja była jednak zbyteczną. Nie chcąc czekać końca tej uczty i widząc jej tak dobry początek, wróciłem znowu do pierwszej kibitki. Domyślasz się zapewne, że byłem w tej chwili aż nadto przekonany, iż Kirgiz-Kajsaki nie znają wcale higieny dziwna jednak, że po jedzeniu daleko im lżej niż nam największym higienistom.

W kibitce arystokratycznej zastałem wszystko po dawnemu, z tą tylko różnicą, że zamiast *kumysu* towarzystwo piło herbatę przygryzając kawałki cukru; u nas się zwykle obiad kończy kawą lub herbatą a Kirgizi, jak widzisz, panowie od *kumysu* i herbaty obiad zaczynają. Wkrótce miano podać i sam obiad złożony z baraniny, pullawu i kawonów a prezes Rady znudzony zapewne koniecznością zachowania dla przyzwoitości narodowych ich zwyczajów i nie chcąc ich może krępować swoją obecnością, powstał z poduszki i przeprosił towarzystwo, że nie może do końca pozostać, gdyż i u siebie ma gości. Książę i sułtan Kuczak do nas się przyłączyli i wszyscy razem udaliśmy li do Prezesa Rady na obiad zostawując wnoszoną w tej właśnie chwili baraninę, że się tak wyrażę, dyskretności kirgisko-arystokratycznych żołądków. Obiad nasz, chociaż później od kirgiskiego *toju* podany, nie później się jednak od niego skończył, bośmy się wszyscy na wyścigi spieszyli.

Jan Witort

Działacz niepodległościowy, etnograf
Na zesłaniu 1875–1886

NA WESELU U KAZACHÓW

Działacz niepodległościowy, zesłaniec syberyjski, etnograf, urodził w 1853 roku na terenie guberni kowieńskiej, zmarł w 1903 roku w miejscowości Poniewież. Absolwent gimnazjum w Wilnie, student Akademii Medyko-Chirurgicznej, potem Instytutu Technicznego w Petersburgu. Aresztowany za przynależność do kółka socjalistycznego, zesłany został w 1875 roku do Archangielska, a następnie wyznaczono mu jako miejsce pobytu miasto Onegę, leżące przy ujściu rzeki o tej samej nazwie do Zatoki Oneżskiej Morza Białego. Stąd wyruszał na wycieczki do bliższych i dalszych miejscowości, powodowany zainteresowaniami ludoznawczymi. W okolicach Kandałakszy bywał wśród mieszkających tam Saamów – bardzo często nazywanych Lapończykami. Odwiedził także Półwysep Kola i Wyspy Sołowieckie, leżące na Morzu Białym. Poznał życie mnichów w Klasztorze Sołowieckim, stanowiącym niezmiernie ważne centrum duchowe prawosławia, nie tylko Pomoria (czyli wybrzeży Morza Białego), ale całej ówczesnej Rosji.

Po zwolnieniu z zesłania przybył Witort do Krakowa (1879), gdzie został rychło aresztowany za kontakty z galicyjskimi socjalistami i wydalony z zaboru austriackiego. Po przybyciu do Warszawy nie zaprzestaje działalności niepodległościowej. Zatrzymany przez „ochranę", więziony był dziewięć miesięcy w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej i skazany został ponownie na zesłanie (1880). Początkowo przebywał w Nikolsku (Wołogda), później został przeniesiony do Tomska i Semipałatyńska. Podobnie jak podczas pierwszej zsyłki, ludoznawcze zainteresowania Witorta spowodowały, że poczynił on interesujące obserwacje o życiu Kazachów. Na temat ten opublikował artykuł *Ze stepów Azji Środkowej* w lwowskim czasopiśmie „Lud" (1899, t. 5), który w ocenie współczesnego etnologa Zbigniewa Jasiewicza z Poznania „jest pozycją wyjątkową w polskim piśmiennictwie środkowoazjatyckim. Po raz pierwszy zabrał głos obserwator oczytany w literaturze etnograficznej i posługujący się przyjmowanymi wówczas założeniami teoretycznymi, przedstawiający systematyczny wykład wybranego zagadnienia. Zainteresowany prawem zwyczajowym dostarcza bogatych danych dotyczących rodziny, stosunków własnościowych i etyki u Kazachów".

Zwolniony z zesłania (1886), mieszkał Witort w Poniewieżu, w guberni kowieńskiej. Na niwie naukowej współpracował z czasopismami „Lud", „Wisła", „Głos". Napisał między innymi: *Kilka słów o świekrostwie; Godła rodowe chłopów Archangielskich; Przyczynek do historii przesądów (Rozstrzelanie cholery na Syberii w 1892 r.)* („Lud" 1896, t. 2). Poza tym opublikował *Zarys prawa zwyczajowego ludu litewskiego* (1898); *Zarys prawa pierwotnego* (1899). Jego zasługi dla etnografii polskiej nie zostały dotychczas w pełni przedstawione. Rękopisy innych prac Witorta znajdują się w Archiwum Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu oraz w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu*.

Podstawa relacji: J. Witort, *Ze stepów Azji Środkowej,* „Lud", 1899, t. 5. Tytuł od autora antologii.

---

* Informacje biograficzne: B. Baranowski, *Polskie relacje o rosyjskiej kulturze ludowej (1831–1920)*, „Acta Universitatis Lodziensis – Folia Ethnologica", t.3, Łódź 1985, s. 174–187; V. Milius, *Mokslo draugijos ir Lietuvių etnografija (XIX a. antroji pusė – XX a. promiji pusė,* Vilnius 1993, s. 98–117 ; A. Kuczyński, Z. Wójcik, *Mate-*

riały do bibliografii podmiotowej i przedmiotowej Jana Michała Witorta, „Wrocławskie Studia Wschodnie", t. 2, 1998, s. 153–212; A. Gomóła, *Jan Michał Witort. Wprowadzenie do antropologii pokolenia „ludzi naukowych"*, Poznań – Katowice 2011; A. Milewska Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego,* Warszawa 2012, 187–192.

Ludziom z zachodu, którzy przywykli widzieć lasy i pola, wsie i miasta, trudno wyobrazić sobie stepy; każde wspomnienie o nich wywołuje obraz olbrzymiej płaszczyzny pokrytej bądź piaskiem, jak Sahara, bądź jednostajną, bujną roślinnością, jak amerykańskie prerie; zawsze jednak znamienną cechą stepów jest nużąca jednostajność, wzbudzająca tęsknotę lub pewną ospałość, wieczne powtarzanie się tych samych obrazków, tych samych wrażeń. Takie wrażenia wynosi zwykle podróżnik przy pierwszym obeznaniu się ze stepem, lecz one rychło nikną, skoro oko oswoi się z niezwykłym widokiem, skoro baczniej rozejrzy się w otoczeniu. Nie widać tu ani pól falujących zbożem, ani owej prawie czarnej zieloności lasów iglastych, a jednak gra barw jest niemniej żywą i niemniej urozmaiconą. Obok szarego piasku, stanowiącego tło obrazów stepowych, ciągną się nad ruczajami długie smugi trawy, jak ruń zielonej, a usianej kwieciem irysu; gdzie indziej widać srebrzyste duże plamy – to piołun, którego zapach roznosi wiatr po całym stepie, tam dalej, jak śnieg na słońcu, błyszczą sołonczaki, a jeszcze dalej na skraju horyzontu występują skały, przednia straż Gór Ałtajskich. Nim skwar południowy minie, zdaje się, że wszystko wymarło, schowało się pod kurhanami rozsianymi wśród stepu. Lecz niech zbliży się wieczór, niech promienie słońca padną ukośnie, a jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się krajobraz. Cudowna gra światła przemienia skały w fantastyczne zamczyska o niezliczonych basztach i wieżach, a głosy zwierząt składają się na przedziwny koncert stepowy. Podnosi się ożywczy wietrzyk. Toteż mieszkańcy miast stepowych nie mogą nachwalić się stepu, tęsknią za nim, gotowi nawet koczować, byle tylko żyć w stepie, oddychać jego świeżym powietrzem, pieścić się tymi obszarami niezmierzonymi, jakby stworzonymi dla życia koczowniczego. Kto był w stepach, kto oddychał ich powietrzem, patrzał na te bezmiary, ten zrozumie niezawodnie to dziwne uczucie, które nie pozwala pozostawać długo na jednym miejscu i ciągnie ustawicznie w dal… w dal…

Wiadomo zresztą, że od wieków stepy Azji środkowej budziły podobne uczucia. Od jak dawna ród ludzki pamięta, mieszkały w stepach ludy koczownicze; jedne ustępowały, inne zajmowały ich miejsce. Niektóre wylewały się poza obręb stepów niosły na zachód i na wschód śmierć i zniszczenie, a potem wracały do stepu i zupełnie znikały; inne znowu zdobywały nową ojczyznę i zapominały o swej kolebce; inne zaś znikły doszczętnie i już nikt nie potrafi wskazać tych miejscowości, w których niegdyś one koczowały.

Dziś głównym plemieniem koczującym w stepach Azji środkowej są Kirgizi. Od „dachu świata", Pamiru, aż do wielkiej drogi Syberyjskiej, od Orenburga aż

do północno-zachodnich granic Mongolii koczują oni, a na północy tej ogromnej przestrzeni stanowią przeważną część ludności. Jakiem jest pochodzenie Kirgizów, dotąd nie wiadomo; jedni utrzymują, że są oni osobnym plemieniem fińsko-mongolskiego szczepu; wedle innych zaś stanowią zlepek rozmaitych plemion, które kiedyś w stepach koczowały. Sami Kirgizi niewiele o swoim pochodzeniu wiedzą; jedni twierdzą, że pochodzą w prostej linii od psa rudego i 40 dziewcząt (*krk* – 40 *kyz*), lub że są potomkami 18 starożytnych bohaterów, których czczą jako protoplastów 18 głównych rodów kirgizkich.

Pewnym jest, że Kirgizi należą do szczepu fińsko-mongolskiego oraz że kolebką ich jest lewy brzeg Syr-Darii, skąd stopniowo rozlali się po całym obszarze dziś przez nich zajętym. Północno-wschodnia część stepów kirgizkich, dzisiejszy kraj siemipałatyński, był zamieszkały przez Dżungarów i Kałmuków. Pierwsi w walce z Kirgizami bądź wyginęli, bądź zlali się z nimi; drudzy zaś posunęli się dalej na wschód, w góry ałtajskie lub w granice Chin ku pobratymczym Mongołom. W kraju zaś rozgospodarowali się Kirgizi wraz ze swymi stadami baranów, wielbłądów i koni, prowadząc dalej swe odwieczne życie koczownicze, tak jednostajne, tak zależne od warunków klimatycznych.

Lato, to period rozkoszy dla Kirgizów: upałów nie obawiają się oni, a gdyby nawet skwary dokuczały zanadto, to jurta, lekki, obszerny a wysoki namiot z grubego wojłoku, dostarczy zawsze schronienia przed promieniami słonecznymi. Brak wody rzadko daje się odczuwać: Kirgiz zna doskonale swój step, zna wszystkie źródła i studnie i prawie zawsze tak umie się urządzić, że ma wody dosyć.

Na bogatych pastwiskach osłabione i wychudłe stada rychło przychodzą do pełni sił; klacze i owce dają dużo mleka, a więc i Kirgiz jest sytym i strawa jego, składająca się przeważnie z mleka zsiadłego *(ajranu)*, sera *(kurt)* i *kumysu*, jest zawsze świeżą i zdrową. Lato sprzyja rozjazdom, pozwala odwiedzać znajomych i krewnych, często koczujących o kilkaset wiorst, a towarzyski Kirgiz nigdy nie omieszka skorzystać z tej sposobności; toteż lato można nazwać karnawałem stepowym; latem też odbywają się rozmaite zabawy, wyścigi konne, walki atletów, gody małżeńskie, wyboru, sądy itd.

Lecz gdy nastanie zima, gdy spadną śniegi, a zwłaszcza, gdy powstaną straszne *burany* (*buran* – zamieć śnieżna), trwające po kilka i kilkanaście dni, wówczas nastaje „ciężka pora roku". Niedawno rześki i ruchliwy koczownik zakopuje się w lichej lepiance z gliny i chrustu, bez dachu i okien; strawa jego jest nędzna i sprowadza się do resztek sera i małych porcji mrożonej koniny lub baraniny; stosunki ze światem zewnętrznym przerywają się na kilka miesięcy lub są tak trudne, że pomimo nudy i tęsknoty towarzyski Kirgiz nie odważa się opuścić aułu z obawy wilków i *buranów*.

Jeszcze gorszym jest położenie stad. Dla wielkiej ilości bydła nie sposób zrobić latem dostatecznego zapasu siana. Nieliczne stogi zachowują się na koniec zimy lub początek wiosny. Stada same szukają sobie pożywienia, rozkopując śnieg i żywiąc się zeschłą trawą zeszłoroczną. Dopóki nie spadnie śnieg głęboki, nim

wąwozy i jary nie zostaną zasypane, stada trzymają się nieźle, lecz gdy nastaną *burany*, a zwłaszcza po odwilży straszny północno-wschodni wiatr pokryje cały step grubą warstwą zlodowaciałego śniegu, wówczas następuje straszliwa klęska, nazywana *dżut*. W ciągu kilku dni giną z głodu ogromne stada, a ich właściciel z żonami, dziećmi i domownikami, bezsilny wobec nieszczęścia, patrzy na upadek swego dostatku, na mienie topniejące, jak śnieg wiosenny i bezwładnie wyczekuje nowego gościa – śmierci głodowej. Jednej ciężkiej zimy, jednej gołoledzi wystarcza, by tysiące zamożnych Kirgizów doszło do kija żebraczego, by zaczęła grasować olbrzymia śmiertelność, by ludzie umierali wprost z głodu, jak to się działo w czasie 1882–1883 r., kiedy z powodu *dżutu* padło blisko 3/4 ogółu stad kirgizkich. W samej rzeczy dobrobyt Kirgiza, niemal całe jego życie, pozostaje w ścisłej zależności od stad: barany, wielbłądy i konie zaopatrują Kirgizów we wszystko, co im potrzebne jest do życia: odzież, obuwie, sprzęty domowe a poniekąd i samo mieszkanie wyrabiają oni z wełny, sierści i skór bydlęcych; nawet opału „kij" dostarczają im zwierzęta (kij – to ubity i wysuszony pomiot barani, który zastępuje w stepach bezleśnych nasze drwa).

Nieliczne i mało rozwinięte rzemiosła kirgizkie przerabiają niemal wyłącznie produkty zwierzęce. Ze skór szyją się duże i małe wory, zastępujące nasze naczynia, z rogu robią łyżki, strzemiona i inne przedmioty drobne, a płasko porznięte i rzeźbione kości służą do inkrustacji małych mebli, zastosowanych dożycia koczowniczego. Żelazo było wprawdzie znane już od dawna w stepach, ale do niedawna ceniło się bardzo wysoko; otrzymywano je drogą wymiany z Turkiestanu. Koczownicy otrzymywali je bądź w postaci wyrobów gotowych (zbroje, szyszaki, szable, noże, kotły itp.), bądź też przerabiali na miejscu na ostrza pik i straszne ajbołty (mała siekierka osadzona na długiej, gibkiej trzcinie). Z Turkiestanu otrzymywali też Kirgizi tkaniny bawełniane, jedwabne, lżejsze i ozdobniejsze niźli wyroby z grubej wełny owiec stepowych i sukna wielbłądzie. Przy bliższym zetknięciu się z narodem, pod którego władzą dziś zostają, wyroby turkiestańskie powoli zostały wyrugowane przez rosyjskie; wówczas też Kirgizi po raz pierwszy poznali produkt życia osiadłego, a mianowicie chleb. Chleb, dla nas tak potrzebny, nawet dziś u Kirgizów jest bardzo mało używany, a do niedawna stanowił artykuł zbytku, znany bardzo nielicznym rodzinom, koczującym w pobliżu stałych osad rolniczych. Obecnie spożycie zboża w stepach wzrasta z każdym rokiem i jeśli nadal tak będzie wzrastało, to wkrótce ziarno i mąka zastąpią Kirgizom mleko i mięso. Ten wzrost spożycia zboża pozostaje w bezpośrednim związku ze zmianą warunków ekonomicznych i ogólnym upadkiem dobrobytu koczowników – z jednej strony, z drugiej zaś wytwarza nowe zwyczaje i potrzeby, tudzież przygotowuje powoli podstawę dla zmian w ustroju społecznym Kirgizów, zbliża chwilę, gdy będą oni musieli porzucić obecny tryb życia i stale osiąść na roli.

Zetknięcie się z wyższymi formami kultury i cywilizacji nie pozostaje bez śladu; w dziedzinę starych obyczajów i zwyczajów kirgizkich oraz poglądów wdzierają się powoli nowe zasady ziarna wyższego, ale obcego uspołecznienia, które – być może

rychło – usuną uprzednie formy życiowe, nieraz zachowujące ślady zamierzchłej przeszłości. A śladów owej przeszłości jest jeszcze dużo, nawet pełnych życia. Tak w życiu społecznym Kirgizów zachowało się dużo pozostałości ustroju rodowego; niektóre z nich są tak żywotne, odgrywają tak znaczną rolę, iż niewątpliwie – rzec by można – są pamiątkami przeszłości niedalekiej.

Tu zaznaczę, że w odległych miejscowościach bardzo często można spotkać wspólnoty rodzinne złożone z kilku lub kilkunastu agnatów, żonatych i dzietnych, a rządzone przez najstarszego spośród nich; zdarza się niekiedy, że na czele takiej wspólnoty rodzinnej stoi osoba z wyboru jej członków, a nawet, acz bardzo rzadko, kobieta wdowa. Człowiek obcy, osiadając w stepie, udaje się pod opiekę jakiego bądź wpływowego Kirgiza, który go zalicza do swego rodu i uważa za krewniaka; ta okoliczność nadaje mu wszelkie prawa istotnego członka rodu.

W sferze stosunków majątkowych szczątki organizacji rodowej zachowały się w szczodrej pomocy biednym krewnym (zwyczaj dawania na lato koni i owiec bez wynagrodzenia), w prawie służącym każdemu Kirgizowi brać w razie potrzeby np. konia, by ścigać złodziejów, w nieograniczonej gościnności, wspólnej wypłacie *kunów* (grzywien) i *kałymu* (zapłaty za żonę); w razie nieszczęścia lub niebezpieczeństwa pomoc wzajemna dla członków rodu jest obowiązkowa. W prawie karnym spotykamy wyraźne ślady zemsty rodowej i krwawiny. Do dnia dzisiejszego zachował się jeszcze zwyczaj *tamyrstwa*, tj. zbratania się dwóch rodzin lub osób, które ustanawia jak najściślejsze związki braterskie. W ogóle i dziś nawet żyją wspomnienia o wspólnym pochodzeniu, o wspólnych okrzykach bojowych oraz sprawach i interesach. Dziś nawet każdy Kirgiz wie doskonale do jakiego rodu należy; niektórzy z nich potrafią nawet wyliczyć wszystkie rody kirgizkie w stepach, wskazać ich protoplastów i genealogię pierwotną.

Do pozostałości czasów dawno minionych należy lewirat, chociaż dziś tło jego jest ekonomiczne. Wszakże ustrój rodowy należy już do przeszłości, natomiast panuje niepodzielnie patriarchat. Patrząc na rodzinę kirgizką zda się, że widzisz owych patriarchów biblijnych Abrahama i Jakuba, mających po kilka żon i rządzących samodzielnie losem domowników. Rodzina kirgizka składa się z głowy, jego żony lub żon, dzieci, niekiedy krewnych i domowników; mienie stanowi jej część nierozerwalną. Głową rodziny jest zwykle ojciec; posiada on prawa niemal nieograniczone. Żona jest jego własnością, która po jego śmierci dostaje się w spadku bratu; dopóki jednak mąż żyje, mocen jest robić ze swoją żoną, co mu się podoba, nie oglądając się ani na przyszłość, ani na prawa swych bliskich agnatów. A prawa męża są bardzo obszerne; rozciągają się one na osobę żony i na jej majątek. Mąż ma prawo wymagać, by żona żyła z nim razem, dzieliła jego losy, prowadziła gospodarstwo itd., słowem była jego sługą pokorną; w razie najmniejszego wykroczenia może on karać żonę dowolnie, byle tylko nie znęcając się i nie kalecząc jej ciężko. Oryginalnie zwyczaje kirgizkie określają pojęcie znęcania się: mąż może chłostać żonę, ile się podoba i jak się podoba, byle tylko w jurcie (w namiocie), ale uderzenie nagiej kobiety poza jurtą – to znęcanie się; znęcaniem się będzie też

przypiekanie żelazem rozpalonym ciała żony itd. Oderwanie albo urznięcie ucha, wywichnięcie nogi lub ręki – to kalectwa lekkie, które nie są powodem do skarg… wedle prawa zwyczajowego. Karnej represji podlega mąż tylko za zabójstwo żony i ciężkie poranienie lub okaleczenie; pozywać go do sądu mogą ojciec żony lub w ogóle jej krewni. Wypadki podobne zdarzają się jednak bardzo rzadko; usuwa je możność i łatwość rozwodu, który zależy wyłącznie od woli męża: dość mu trzy razy powiedzieć żonie: „idź precz!" *(sin tałak)* a już rozwód gotów! Rozwiedziona powraca do swojej rodziny i może wyjść za mąż. Jeżeli mąż nie zgadza się na rozwód z żoną, a obchodzi się z nią źle, to jej krewni robią mu pewne przedstawienia i skłaniają do zmiany postępowania, co nieraz odnosi skutek pożądany; wszakże nie mają te uwagi żadnej sankcji zwyczajowej. Jeżeli Kirgiz ma kilka żon (maximum 4), to postępowanie jego nie ulega zmianom zasadniczym, bo każda prowadzi gospodarstwo oddzielne; tylko żona pierwsza – *bajbicze* – cieszy się większym szacunkiem. Nawiasem mówiąc, wielożeństwo śród Kirgizów chyli się do upadku; liczba żon, dawniej nieograniczona, została dziś sprowadzoną do 4, co nie ma jednak znaczenia poważnego, z powodu łatwości rozwodów. Nierównie większe znaczenie mają czynniki ekonomiczne, zwłaszcza *kałym*, bez którego wypłaty nie można dostać żony; toteż wielożeństwo jest dziś dostępnym tylko Kirgizom bogatym. Zresztą i publiczna opinia kirgizka zaczyna je potępiać… Dodam jeszcze, że mąż ma prawo sprzedać lub wydzierżawić żonę, przelewając na dzierżawcę wszystkie swe prawa; zdarza się to już bardzo rzadko i jak się zdaje tylko za zgodą żony.

Mienie żony *(dżasan)* zlewa się z mieniem rodziny mężowskiej, ona zaś traci doń wszelkie prawa; wyjątek stanowi tylko szczególny strój głowy, sankele, ozdobiony perłami, koralami, złotem i drogimi kamieniami, którego wartość niekiedy parę tysięcy rubli wynosi. Strój ten stanowi bezwarunkową własność żony i w razie bezpotomnego jej zejścia ze świata zwraca się rodzinie. Resztą mienia żoninego mąż rozporządza zupełnie dowolnie; nawet gdy żonie zagraża głód, wówczas tylko krewni mogą robić swoje uwagi i prosić męża o oszczędność.

Wszakże w czasach ostatnich żony zaczynają nabywać niejakich praw do majątku mężowskiego. Tak np. wdowa bezdzietna, jeżeli nie ma kogo poślubić spośród krewnych mężowskich, wraca do rodziny i otrzymuje 1/6 część majątku męża. Zdarza się, że krewni pozwalają wdowie zabrać najmłodsze dziecko, jeśli ono nieodłączone, oraz 1/8 część mienia. Nareszcie przy rozwodzie zwyczaj dziś każe dać żonie wielbłąda, konia, pościel i część mienia.

Władza głowy rodziny nad jej młodszymi członkami jest daleko większą niż władza męża nad żoną. Do niedawna ojciec posiadał prawo życia i śmierci w swych rękach; dopóki nie zniesiono niewolnictwa w stepach mógł ich sprzedawać dowolni. „Syn przed ojcem, jak niewolnik przed panem" (atały uł, kożały kuł) – mówi przysłowie kirgizkie, charakteryzując stosunek syna do ojca. Jak niewolnik względem pana ma tylko obowiązki, nie zaś prawa, tak i syn w stosunku do ojca; winien on tylko ślepo spełniać rozkazy ojca, uważać go niemal za wcielenie bóstwa; jego los zależy całkiem od woli ojca; słowem ojciec jest panem wszechwładnym. Jeżeli

dziś nie może zabić syna lub sprzedać go w niewolę, to ma prawo trzy razy wynająć go osobom postronnym, pobierając jego zasługi. W granicach, zakreślonych prawem karnym, zwyczaj pozwala ojcu nie tylko bić syna, nawet dorosłego, chłostać go, więzić, głodzić, zakuwać w kajdany, wypędzać z aułu i wydziedziczać, ale nawet najmniejsza skarga ojca na syna znajduje zupełne uwzględnienie w sądach ludowych (bijów), które, nie roztrząsając sprawy, skazują syna na kary najsurowsze. Skargi syna na ojca nigdy nie są uwzględniane przez sądy *bijów*. Do niedawna za obelgę czynną ojca spotykała syna kara następna: rozebranego do naga oprowadzano z powrozem na szyi po aułach i bito nahajami, wymieniając winę. Dziś kary tej zastosować nie można, ale wedle zdania *bijów* jest ona zupełnie słuszną i sprawiedliwą, przeto sądy, nie mogąc jej stosować, uchylają się od rozstrzygania spraw o czynne obelgi rodziców, przekazując je krewnym pokrzywdzonego. Dodam wreszcie, że prawo rodziców co do życia dzieci niezupełnie jeszcze zatarło się; dotąd występuje ono w formie zabójstwa słabych dzieci, by za pomocą denuncjacji fałszywej zwalić odpowiedzialność za ich śmierć na ród wrogi, co praktykuje się często. Wreszcie ojciec zaręcza syna, zwykle niemowlęciem jeszcze, a w wyborze przyszłej synowej kieruje się wyłącznie pobudkami materialnymi. Zdarza się, że krewni starają się drogą namowy skłonić ojca, by dał synowi coś ze swego mienia i rozstał się z nim; w jednym tylko wypadku, tj. gdy ojciec ożenił się powtórnie i żyje z macochą, syn ma prawo żądać wydziału części mienia ojcowskiego. Sądy ludowe zwykle nie odmawiają w tych razach swej pomocy.

Wcale inne jest położenie córki; do rodziny należy ona tylko czasowo, do zamężcia. Już od urodzenia córki ojciec marzy o otrzymaniu za nią zapłaty *(kałymu)*, poszukuje dla niej męża i często zawiera umowę o jej sprzedaż, gdy spoczywa ona jeszcze w kolebce; często pobiera nawet częściami za nią *kałym*. Córka dla rodziców staje się więc jakby obcą; zadaniem ich jest wychować ją, nauczyć gospodarstwa kobiecego i wreszcie oddać ją wraz z wyprawą przyszłemu mężowi. Ojciec oznacza tylko wysokość *kałymu* i wyprawy; całe wychowanie zaś należy wyłącznie do matki, która za postępowanie córki jest odpowiedzialną przed mężem. Matka obchodzi się w ogóle z córką bardzo łagodnie i delikatnie; młoda Kirgizka nie zna, co to chłosta, która tak często spotyka jej rówieśniczki chrześcijańskie; w razach ostatecznych matka poprzestaje na szturchańcu lub wytarganiu za uszy czy włosy. Prawo zwyczajowe kirgizkie zaleca wielką łagodność w postępowaniu z dziewczętami: „ojciec bije syna, by go poprawić, matka córkę – by zepsuć" (ake urgan uł ungar czysze urgan kys unbas) – mówi przysłowie. W ogóle położenie dziewczyny w rodzinie jest wcale znośnym; nawet przekroczenia zwyczajowe nie pociągają dziś zbyt przykrych skutków.

Prawa majątkowe ojca rodziny względem dzieci są różne. Ojciec obowiązany utrzymywać córkę do zamężcia; po zamężciu zaś córka obowiązana dać mu pewne podarki oraz utrzymywać matkę, jeżeli ta nie ma synów i środków do życia. Syn zawsze jest obowiązany utrzymywać rodziców; ojciec zawsze ma nieograniczone prawo do jego majątku; każdą rzecz syna może wziąć na własny użytek, byle nie

oddawać osobie trzeciej. Nie ma on żadnego prawa do synowej; jedną tylko chwilę w czasie ceremonii ślubnej widzi jej twarz, a potem nie powinien jej nawet znać; toteż zwykle świekier nie zna swojej synowej pomimo tego, iż całe lata mieszkają razem w jednym aule. Pożycie miłosne świekra z synową (świekrowstwo), tak rozpowszechnione na Syberii, Kirgizom jest zupełnie nieznanem. Do rodziny niekiedy należą i zięciowie; zdarza się, że Kirgiz nie mający czym zapłacić *kałymu*, przyłącza swoje stada do stad Kirgiza, którego córkę ma zaślubić; zaślubia ją nareszcie i wchodzi w pewien zależny od teścia stosunek. Zwyczaj ten nazywa się kuszk-jow, spotyka się rzadko i nie cieszy się sympatią Kirgizów: „lepiej być psem nie przywiązanym, niźli zięciem zależnym od teścia" *(kałudagy kijsnden kargysy dżok tazy artyk)* głosi przysłowie.

Ze względu na warunki życia koczowniczego Kirgizi wielce dbają o zachowanie stosunków przyjaznych z innymi rodzinami; sama istota położenia zmusza ich do tego. Rozumie się, że w rodzinie patriarchalnej wszystko zależy od jej głowy, przeto Kirgiz zawsze stara się zawiązać dobre stosunki tylko z głową innej rodziny; rzeczywiście nigdy nie omieszka korzystać z najmniejszej okoliczności w tym celu. Niekiedy pomiędzy głowami rodzin wywiązuje się prawdziwa konkurencja i dyplomaci stepowi zużywają dużo przebiegłości i chytrości oprócz cennych podarków, by zawiązać stosunki przyjazne z Kirgizem wpływowym a możnym. Zwyczajowo wyrobiły się pewne formy stałe tych stosunków, zwane z kirgizka *tamyrstwem*. Związek taki zobowiązuje do podarków wzajemnych i winien trwać całe życie bez przerwy: „woda przecedzona nie ustaje się, a kość z kością nie rozłącza się" (su suselmejde, snek uselmejde) mówi przysłowie. Ta forma *tamyrstwa* zowie się snek *tamyrstwo*. Najwyższą jednak formą jest doz *tamyrstwo* tj. przyjaźń wieczysta, którą ustanawiają dwaj mężczyźni uciskając się obnażonymi piersiami (kuszak taskan) lub pociągając za duży palec (barmak uź taskan). Ta forma przyjaźni przechodzi z pokolenia w pokolenie i kończy się zwykle związkiem małżeńskim pomiędzy potomkami pierwszych *tamyrów*. Wkłada ona na obie strony obowiązki tak wielkie i święte, że je chyba można przyrównać do obowiązków braci rodzonych… wedle pojęć Kirgizów. Doz *tamyrstwo* może być zawarte nawet z nie Kirgizem, nawet z kobietą, byle nie Kirgizką. Najniższa forma *tamyrstwa* – ans *tamyr* daje tylko prawo do podarków wzajemnych, bez żadnych innych obowiązków i ograniczenia co do czasu.

Współczesne małżeństwo Kirgizów jest instytucją złożoną z różnych pozostałości szczątkowych i nawarstwień historycznych, które nie zlały się dotąd zupełnie. Pomijając takie zabytki zamierzchłej przeszłości jak obrzęd porwania oblubienicy, należy podkreślić trzy główne składniki małżeństwa: ludowe prawo zwyczajowe, wpływ prawodawstwa mahometańskiego i koranu oraz oddziaływanie kultury i cywilizacji rosyjskiej, a zwłaszcza prawodawstwa cywilnego. Wpływy rosyjskie wyrażają się głównie w zastosowaniu do życia codziennego nowych poglądów na kobietę, na prawo dowolnego rozporządzania jej osobą itd. Wpływy te datują się od niedawna, ale potęga ich wzrasta coraz bardziej.

Wedle starego prawa zwyczajowego, pochodzącego, jak głosi podanie, z czasów chana Tanke, wiek zawarcia małżeństwa określał się dla mężczyzn na lat 15, dla kobiet zaś – 16; wymaganie większej dojrzałości fizycznej od kobiet tłumaczy się warunkami życia koczowników, w którym cały ciężar robót domowych i gospodarczych spada wyłącznie na kobietę. Z czasem atoli ograniczenia wieku osób wstępujących w związki małżeńskie straciły wszelkie znaczenie; dziś żadnych ograniczeń nie ma. Małżeństwa wczesne spotykają się dość często; tłumaczą się one chęcią prędszego otrzymania *kałymu*, spokrewnienia się z rodem wpływowym, posiadania robotnicy bezpłatnej u biednych itd.

Stare i nowe prawa zwyczajowe różnią się z sobą co do zakazów małżeństwa pomiędzy krewnymi i powinowatymi; pierwsze bezwarunkowo zakazywały związki małżeńskie do 7 pokolenia, drugie zakazują je tylko pomiędzy krewnymi w liniach wstępnych i zstępnej oraz w liniach bocznych do trzeciego stopnia; nie wolno też poślubić macochy, pasierbicy, synowej i teściowej; małżeństwo z siostrą i córką jej brata jest zakazane, jeżeli żona żyje. Małżeństwo pomiędzy stryjecznym lub ciotecznym rodzeństwem jest dozwolone.

Małżeństwo zawierają Kirgizi prawie zawsze na mocy wzajemnej umowy pomiędzy głowami dwóch rodzin lub naczelników rodu; na zgodę oblubieńca i oblubienicy nie zwracają najmniejszej uwagi; zresztą bywa często, że obie strony znajdują się w dzieciństwie. Tylko w ostatnich czasach w powiecie siemipałatyńskim zaczyna rozpowszechniać się zwyczaj, na mocy którego oblubienica starsza o lat 6 od oblubieńca, nie może być zmuszona do poślubienia go. Wypadki zerwania umowy przedślubnej zdarzają się bardzo rzadko, bo narażają zrywającego na ciężkie straty materialne.

Koniecznym warunkiem wesela kirgiskiego jest swatanie, które ciągnie się niekiedy przeszło 10 lat a jest połączone z masą oryginalnych zwyczajów. Składa się ono z mnóstwa aktów poszczególnych, rzec można stopniowo zwiększających odpowiedzialność materialną za zerwanie umowy. Pierwszym aktem swatania jest umowa wzajemna pomiędzy ojcami oblubieńca i oblubienicy; umowa ta określa szczegółowo wysokość *kałymu* oraz sposób i termin wypłaty. Ojciec chłopca winien złożyć ojcu dziewczyny podarek, zwany kargaban. Zerwanie umowy pociąga skutki następne: ojciec oblubienicy zwraca podarek i płaci karę, ojciec oblubieńca traci kargaban. Rozumie się, że umowa ta zawiera się publicznie, przy licznych świadkach, jak zwykle u Kirgizów.

Drugim aktem są oświadczyny formalne, które łączą się zwykle z jak największym przepychem; robią się one przez swatów – kudełarów. Ilość swatów zależy od zamożności oblubieńca; niekiedy dochodzi ona do 20 osób. Swaty, jadąc do aułu oblubienicy, zatrzymują się w najbliższym aule u krewnych oblubieńca i wówczas zawiadamiają o swoim przybyciu. Ojciec dziewczyny natychmiast zawiadamia swoich krewnych i przyjaciół, zaprasza ich do siebie, buduje jurty dla swatów i naznacza dzień ich przyjęcia. W oznaczonym terminie przyjeżdżają swaty i w obecności zebranych gości – świadków – proszą o rękę córki gospodarza.

Oświadczyny przyjmują się i natychmiast uświęcają się zarznięciem białego barana i odmówieniem modlitwy. Potem następują uczty i zabawy trwające czasami dni kilka. Uczty składają się przeważnie z gotowanej baraniny, koniny, *kumysu*, herbaty itd., zabawy zaś – z wyścigów konnych *(bajgi)*, walki siłaczów, śpiewów chorów męskich i żeńskich oraz muzyki. W czasie tej uroczystości, zwanej *toj kuda tinser*, przedmiotem powszechnych żartów i drwin są swaci; młode mężatki i dziewczęta prowadzą ich do studni, oblewają wodą, zaprzęgają do wozów, zmuszają wozić siebie itd. Chwila rozpłaty – to uczta ostatnia, na której podają potrawę symboliczną *baur kajriuk*[1]. Sporządza się ona z wątroby i tłuszczu białego barana, zarzniętego na początku uroczystości oraz *kurtu* (gatunek sera). Potrawą tą swaty częstują gospodarzy i ich krewnych, podając ją na dłoni oraz starając się obmazać nią twarz częstowanej osoby; wówczas powstaje popłoch niemały, śmiech, krzyki… Pod koniec uczty ostatniej, ojciec oblubienicy rozdaje swatom podarki, zwane *kyit*; ich wartość u bogatych jest bardzo znaczna. Trzeba zauważyć, że wartość podarków, które otrzymuje każdy swat, zależy od jego zamożności i pochodzenia; wyjątek stanowi tylko ojciec oblubieńca, który otrzymuje podarek najcenniejszy, chociażby nie należał do osób bardzo szanowanych. Jeśli on jest nieobecny, to podarek przysyłają mu przez swatów.

Trzecim aktem swatania jest wypłata *kałymu*. *Kałym* jest to zapłata, którą oblubieniec przy pomocy swego rodu składa ojcu oblubienicy, wysokość jej zależy od rozmaitych okoliczności obu rodzin, swatów, pochodzenia itd. w ogóle wysokość *kałymu* ze strony maksymalnej wzrasta, minimalnej zaś – zmniejsza się. Dawniej *kałym* dzielił się na trzy stopnie: *domałakkrk dżety* (47 trzechletnich klaczy), *otuz dżety* (37 klaczy) oraz *dżygirma dżety* (27 klaczy). Do najwyższego *kałymu* dodawano dwie dopłaty: *bas-dżaksy* i *ajak-dżaksy*; dopłaty te wzrastając ustawicznie doszły już do wartości 5 i 4 wielbłądów. Dziś ojciec oblubieńca, płacąc najwyższy *kałym*, daje nie 47 klaczy trzechletnich lecz 32 koni dorosłych i 9 wielbłądów; ponieważ wartość jednego wielbłąda równa się wartości 5 koni, przeto najwyższy *kałym* wynosi 77 koni i nazywa się *dżaksyły-krk-dżety*. Często jednak przekracza tę granicę i wynosi np. u bogatych 100 wielbłądów czyli 500 koni. Najniższym *kałymem* dziś jest *on-dżety* czyli 17 koni, ale często zdarza się, że u biednych spada do 2 koni. Wartość *kałymu* to chluba Kirgizów, przeto obie strony starają się go określić jak najwyżej. Odrabianie *kałymu* nie zdarza się wcale; trafia się jednak, że oblubieniec ubogi przyłącza swe stado do stad bogatego Kirgiza.

Po formalnych oświadczynach ojciec oblubienicy ze swymi swatami stosownie do warunków umowy jedzie do aułu oblubieńca po *kałym*. W czasie tych odwiedzin zachowują się te wszystkie ceremonie i obrzędy, które odbywają się przy

---

[1] Baur – wątroba – w przenośni oznacza też braci rodzonych i stryjecznych, przeto jedząc ją wspólnie swaty stają się niby braćmi; tłuszcz i ser – główne produkty pasterstwa – wskazują jakby zamianę wzajemną stad; barwa biała – to oznaka radości. Ale ta potrawa posiada też znaczenie prawne: w sądach ludowych – *bijów* – służy ona za dowód stanowczy swatostwa; jeśli świadkowie stwierdzą, że ją jedli, fakt uważa się za zupełnie udowodniony.

nawiedzaniu aułu oblubienicy przez swatów oblubieńca; różnicę stanowi to, że w czasie uczty nie podaje się kujriuk baur; oprócz tego swaty oblubienicy otrzymują podarki tańsze, mniej warte niż swaty oblubieńca. *Kałym* wypłacają publicznie w końcu uroczystości… stosownie do umowy bądź w całości bądź częściowo, w każdym razie uroczystości owe nie powtarzają się, gdy swaty przyjeżdżają po częściowe wypłaty *kałymu*. Składają się nań nie tylko rodzice oblubieńca, ale i jego ród tudzież swaty; udział ostatnich tym jest większy, im cenniejsze są podarki otrzymane od ojca oblubienicy.

Znaczenie swatostwa u Kirgizów jest bardzo wielkie; raz zawarta umowa musi być koniecznie dotrzymana, to uważa się za święte. Wedle prawa zwyczajowego dwa tylko powody unieważniają ją: nieuleczalna choroba lub kalectwo oblubieńca czy oblubienicy, ukryte przed drugą stroną oraz oszustwo oblubieńca, np. jeżeli będąc biednym wydał siebie za bogatego.

Do tych dwóch powodów w czasach ostatnich dołączono trzeci: można zerwać umowę, jeżeli oblubienica jest o sześć lat starszą od oblubieńca. Zdarza się to wówczas, gdy dziewczyna po śmierci pierwszego oblubieńca ma poślubić jego brata młodszego, albowiem nawet śmierć nie prowadzi do zerwania umowy. Jeżeli oblubieniec zmarł, to oblubienica musi poślubić jego brata nieżonatego lub najbliższego krewniaka w liniach bocznych: *aga ulse-dżenga muras*; *at ulse-sauri muras*, tj. jeśli umrze brat, to bratowa – dziedzictwo, jeśli zdechnie koń, to skóra – dziedzictwo – mówi przysłowie kirgiskie.

W razie śmierci oblubienicy jej miejsce zastępuje siostra młodsza lub krewniaczka. Jeżeli siostry zmarłej są małe, a oblubieniec ma braci w wieku odpowiednim, to jedna z nich poślubia jednego z braci oblubieńca. *Kałym* zwraca się tylko wówczas, jeżeli nie ma kogo dać za żonę w zamian zmarłej. Na wolę osób mających wstąpić w związki małżeńskie nie zwraca się najmniejszej uwagi. Jeżeli dziewczyna nie chciała poślubić mężczyzny, który ją kupił, to bez najmniejszej ceremonii zmuszano ją gwałtem. Dziś stan rzeczy nieco się zmienił, mimo to jednak matka w razach podobnych nie szczędzi wcale swej córce chłosty… Zresztą przymus fizyczny powoli ustępuje miejsca systemowi kar pieniężnych i wynagradzania cywilnego. Jedynym wyjściem jest ucieczka, ciężkie przestępstwo wedle prawa zwyczajowego. W ogólności tylko ojciec może rozpocząć sprawę o porwaniu córki; sprawy podobne zawsze wywołują walkę rodową wraz z nieskończonymi najazdami, grabieżami, procesami itd.

Kałym już wypłacono bądź w całości, bądź w większej części, ale obrzęd weselny następuje nie zaraz: rodzicom narzeczonej daje się znaczny przeciąg czasu na sporządzenie córce wyprawy – *dżasan*. W tym czasie oblubieniec może odwiedzać oblubienicę; te odwiedziny niby są potajemne, chociaż w rzeczywistości odbywają się jawnie. Pierwsze z nich – *urun kielu* – ma największe znaczenie i oryginalną stronę obrzędową. Jadąc pierwszy raz do oblubienicy, oblubieniec zabiera cały orszak, który składa się z Kirgiza leciwego a szanowanego – *otagosy* oraz najzręczniejszych jeźdźców. Cała ta gromada zatrzymuje się w aule najbliższym

i zawiadamia rodziców oblubienicy o swoim przybyciu, wyczekując zaproszenia. W aule oblubienicy budują jurty dlań, ale w znacznej odległości od innych; swachny zaś konno spieszą zaprosić oblubieńca; ta która pierwsza zawiadomi go otrzymuje znaczny podarek zwany *czaup-kieldy*. Po czym wszyscy jadą do aułu i zatrzymują się przy jurcie, wystawionej dla oblubieńca a otoczonej przez kobiety, które wyczekują podarków – *czatyr-najgozy*.

Oblubieniec wszedłszy do jurty natychmiast posyła matce, babce i siostrom oblubienicy podarki zwane *ilu*. Składają się one z wielbłądów, jambów, materii jedwabnych itp. Najdroższy podarek otrzymuje matka, potem babka itd. W ogóle wartość podarków maleje z oddaleniem stopnia pokrewieństwa. Oprócz *ilu* oblubieniec posyła jeszcze trzy rodzaje podarków: *kade*, *ujge-krer* oraz *dżartys*: pierwsze żonom braci i stryjów oblubienicy, drugie – samej oblubienicy, a trzecie – jej innym krewnym. Podarki te odgrywają rolę tak poważną, że wedle kirgiskiego przysłowia małżeństwo może być zawartym raczej bez *kałymu*, niż bez nich; oprócz tych podarków istnieje masa innych, acz bardzo drobnych. W orszaku oblubieńca zawsze jest jedna osoba – *kjen-dżygit*, która zawiaduje ich rozdawaniem; tylko *dżartys* matka oblubienicy rozdaje wedle własnego uznania.

Po przyjęciu podarków rozpoczyna się uczta – *toj*, która trwa cały dzień; oblubienica ucieka od rodziców i kryje się w najbliższym aule u krewnych. Wieczorem w owym aule urządza się ucztę z udziałem swach, jej przyjaciółek i przybyłych orszaku, ale bez oblubieńca. W tym czasie matka panny posyła gospodyni aułu, w którym przebywa jej córka, podarek zwany *kyr-kazar*; przynosi go oblubieniec w tym celu, by ją uwolniono. Rzeczywiście przed świtem gospodyni aułu stara się oddać oblubienicę swachnom, ale przyjaciółki nie wydają. Rozpoczyna się walka zwana *tartys* (tj. przeciągać się). Nareszcie przyjaciółki otrzymują podarek – *kałym* i wydają oblubienicę, która w ich towarzystwie wraca do jurty rodzicielskiej. Jedna spośród nich zawiadamia o tym oblubieńca, podprowadza go do jurty, w której znajduje się oblubienica i przez kratki drewniane (na nich rozciąga się wojłok namiotu) łączy ich dłonie[2], za co dostaje podarek. Oblubieniec natychmiast wraca do swojej jurty; w aule zabawa zaś trwa aż do dnia. Następny dzień upływa spokojnie; oblubieniec nie opuszcza ani na krok namiotu, dokąd swachny przynoszą mu strawę i traktamenty.

Wieczorem w jurcie rodziców oblubienicy, z której się gospodarz wydalił, swachny ścielą pościel dla oblubieńca i w wielkiej tajemnicy przyprowadzają go, za co znowu dostają od niego podarek *tiusen-sałar* (tj. posłać pościel). Oblubieńca, gdy wchodzi do jurty, matka oblubienicy obsypuje *urinkiem* (suszone morele i brzoskwinie), *kiszmyszem* (winogrona suszone), orzechami i piernikami, które obecni zbierają; tu zwykle powstaje hałas wielki, śmiech itd.; zwyczaj ten zowie się *czaszu* (sypać). Potem wprowadzają oblubienicę; wszyscy opuszczają jurtę i młodzi pozostają sam na sam aż do powrotu rodziców, którzy udają, że nic nie wiedzą.

---

2 Zwyczaj ten nazywa się kałus-tatar, tj. uściśnięcie ręki.

W ten sposób formalnie zachowuje się tajemniczość *urun-kielu*. Uprzednio oblubienica wchodząc do jurty, w której ją oczekiwał oblubieniec, wylewała na żarzące się węgle filiżankę masła roztopionego; obecni kłaniali się nisko a potem przeskakiwali przez płomień, powtarzając: *ot-ana, maj-ana, dżaryłga,* tj. matki nasze ogień i masło, błogosławcie! Zatem odbywała się bardzo złożona ceremonia układania do snu oblubienicy i oblubieńca; dziś ona została zaniechana stanowczo, ale pozostał ślad słaby, tj. obowiązek złożenia podarku swachnom, zwanego *kyz-kuszaktal*[3].

Takie wizyty oblubieńca trwają kilka dni, przerywane ucztami, wyścigami itd. Przed objazdem ojciec oblubienicy daje orszakowi zięcia podarki – *kyit*, do worków zaś, w których oblubieniec przywiózł podarki, wkładają dary zwane *kapkasałat* (położyć do worka), albo też zwracają niekiedy część wypłaconego *kałymu*. Oblubieniec może odwiedzać auł oblubienicy choć kilka razy… – aż do wesela, które następuje niekiedy bardzo nieprędko, przy każdych odwiedzinach wyżej wspomniane ceremonie i obrzędy przestrzegane są pilnie.

Jeśli zmarł oblubieniec to rodzice oblubienicy przywożą ją do aułu zmarłego i pozostawiają tam na rok, by w żałobie opłakiwała swoją stratę; potem poślubia ona brata zmarłego lub jego krewniaka. Jej rodzice składają rodzicom zmarłego podarki pocieszające – *aza*. Jeżeli zmarła oblubienica to oblubieniec poślubia jej siostrę lub krewniaczkę, dopłacając do *kałymu* z 47 koni 4–5 wielbłądów lub do *kałymu* z 27 koni – wielbłąda i konia; gdy zmarła nie miała ani siostry, ani krewniaczki, którą można by było poślubić, zwraca się połowę wypłaconego *kałymu*.

Okres czasu od zawarcia umowy przedślubnej naznacza się na przygotowanie wyprawy – *dżasan*. W teorii Kirgizka nie ma najmniejszego prawa do *kałymu*, ale faktycznie jej część otrzymuje ona w formie wyprawy; bogaci dają zwykle znacznie więcej niźli otrzymali za córkę, biedni – mniej. Wyprawa składa się wyłącznie z rzeczy użytecznych: odzienia, dywanów, statków gospodarskich itp.; do tego zawsze dodaje się wierzchowca i wielbłąda. Wedle starego zwyczaju każdą rzecz dawano w dziewięciu sztukach; dziś ten zwyczaj prawie został zaniechany. Tu warto nadmienić, że zwyczaj określa pewną normę wyprawy, Kirgizi nazywają ją naborem. Z tych rzeczy użytkowych ważne znaczenie posiadają tylko *dżelek* i *sankiele*. *Dżelek* – to narzutka z materii czerwonej, którą nosi nowo zaślubiona w ciągu roku, *sankiele* – to wysoki stożek ścięty w wojłoku, z obu stron oklejony suknem czerwonym lub aksamitem a bogato haftowany złotem i srebrem, ozdobiony koralami, perłami i drogimi kamieniami, do którego przypięte są na zewnątrz pióra strusie oraz sznury monet złotych i pereł, sięgające aż za kolana. Jest to strój nader kosztowny a niezgrabny i brzydki; dziś powoli zaprzestają go używać… nawet bogaci. Sankiele stanowi wyłączną własność kobiety.

Termin wesela wyznacza ojciec oblubienicy, które odbywa się w każdej porze roku. Wprawdzie duchowieństwo mahometańskie zakazuje odprawiać wesela w miesiącu Safar-ajt, który uchodzi za nieszczęśliwy oraz w czasie postu urazy, ale

---

[3] Tj. objęcie dziewicy.

na to zwracają mało uwagi. Wesele odbywa się w aule oblubienicy, dokąd przyjeżdżają oblubieniec z orszakiem, który składa się z jednego Kirgiza leciwego a szanowanego – *otangasy* i towarzyszy pana młodego – *kien-dżygitow*. Podarki, które on przywozi teraz różnią się od uprzednio przywożonych nie tylko nazwą, ale i wartością. Oprócz podarków zwanych *dżartys* i *kade*, oblubieniec winien złożyć matce oblubienicy *sind-aky*, tj. dar za wykarmienie jej piersią; winien też przywieźć wojłok na pokrycie jurty nowo zaślubionych – *otan*, oraz przypędzić bydło, niezbędne dla uczty – *toj mał*. Dary owe troskliwie oceniają się.

Potem następuje budowa jurty dla nowo zaślubionych; jej części drewniane daje ojciec oblubienicy a pokrycie zewnętrzne sporządza się z wojłoków przywiezionych przez oblubieńca. Kobiecie, która pokryła jurtę dają barana – *otan-dżabar*. Gdy już jurta jest gotowa wówczas szanowane krewne oblubienicy zapraszają do niej oblubieńca, który dotąd mieszkał w jurcie wystawionej dlań przez rodziców oblubienicy. Zaraz też swachny przyprowadzają doń oblubienicę, za co otrzymują podarek – *dżen-getaj*. Mówiąc nawiasem kobiety, które zapraszają do jurty oblubieńca oraz przyprowadzają doń oblubienicę, winny posiadać bardzo liczne potomstwo. Gdy ta wejdzie do jurty oblubieniec winien położyć ją na pościel w obecności swach – *kyr kutierek*, ale może on wykupić się od tego obowiązku składając im dary nieznaczne. Zwyczaj ten daje nazwę pierwszej nocy, spędzonej razem przez młodych za pozwoleniem teścia; noc ta nazywa się *otanga-sałar*, tj. położenie jej na wznak. Swachny otrzymawszy dary opuszczają młodych, którzy pozostają sami jedni.

Nazajutrz otagasy udaje się do ojca oblubienicy i prosi go o wyznaczenie dnia uwolnienia córki do aułu jej męża przyszłego. W wigilię dnia tego rżną bydło, przypędzone przez oblubieńca oraz odbywają wyścigi z nagrodami, które wyznacza ojciec oblubienicy. Gdy mężczyźni udadzą się na wyścigi, wówczas kobiety uzbrajają się w *sujuły* (maczugi), *ajbałty* i wszelką broń, która się znajdzie i wyczekują ich ukończenia. Młodzież wracająca z wyścigów otacza konno jurtę państwa młodych – *ataul* i stara się zerwać z niej *tiundiuki*, tj. wojłoki pokrywające. Kobiety wybiegają z jurty, bronią ją, biją napastników, a jeżeli złowią jednego z nich, to wciągają do wewnątrz jako jeńca; często nie obchodzi się i bez kalectwa. Gdy wszyscy się zmęczą, gdy kobiety stracą nadzieję obronienia jurty, wówczas zaczynają błagać napastników i starają się przeciągnąć ich na stronę darami. Teraz rozpoczyna się śpiew, kobiety i część młodzieży, zostająca w jurcie, zaczyna pieśń monotonną, smutną, której każda zwrotka kończy się słowami: *dżaar-dżar!* Słowa i melodia improwizują się, ale treść pozostaje zawsze jednakową: wychwala ona oblubieńca i oblubienicę oraz pociesza ostatnią z powodu bliskiej chwili opuszczenia aułu rodzicielskiego.

W tym czasie oblubienica siedzi sama jedna w jurcie i słucha śpiewu, dopóki jej się nie sprzykrzy; by ten zamilkł musi złożyć podarki śpiewakom i śpiewaczkom. Wieczorem zapraszają oblubieńca. Zjawia się on ze swymi śpiewakami; mężczyźni i kobieta siadają parami i znów zaczyna się śpiew chóralny. Chór męski wychwala

kobiety, kobiety zaś mężczyzn; każdy chór po kolei śpiewa po strofie, improwizowanej na poczekaniu. Powoli pochwały ustępują miejsca naganom; o świcie już oba chóry wymyślają wzajemnie. Chór, który okaże się zdolniejszym w wymyślaniu składa stronie przeciwnej podarki drobne. Zwyczaj ten nazywa się *kulmende*, tj. moja wina. Tak upływa cała noc, w czasie której oblubieniec i oblubienica nie śpią wcale. Po ukończeniu śpiewów młodzież zbiera się w jurcie pp. młodych, je baraninę, pije *kumys*, a kręgi baranie oddaje oblubieńcowi, który przywiązawszy do nich chustkę, rzuca do otworu jurty; jeżeli chybi, to chustka należy do kobiet. Nazajutrz swachy zbierają się od samego rana w jurcie pp. młodych, ubierają oblubienicę w najlepszą odzież, sadzają na wierzchowca, którego prowadzą za uzdę do jurty jej rodziców; tam żegna się ona z nimi po raz pierwszy.

Po jej wyjściu ojciec pokazuje wyprawę zięciowi i swatom; potem rachują, opakowują i zaraz nią juczą wielbłądy. Wówczas oblubienica po raz drugi żegna rodziców, płacząc; ojciec – wedle zwyczaju – pyta ją, czy nie pozostawiła w aule rodzicielskim jakiejś bądź rzeczy ulubionej. Jeśli odpowiedź brzmi „tak", to rzecz tę zawsze oddaje się córce.

Teraz dopiero następuje chwila spełnienia aktu religijnego. Państwo młodzi, oddzieleni osobnymi zasłonami, stoją w jurcie rodziców oblubienicy przed nimi i świadkami (po 2 z każdej strony). Zasłona oblubieńca podnosi się na chwilę i spuszcza się znowu; wnet to samo robi się z zasłoną oblubienicy. Duchowny mahometański albo osoba zastępująca go odmawia modlitwę i pyta młodych, czy pragną oni wstąpić w związki małżeńskie? Odpowiedź nie jest konieczną, bo milczenie uznaje się za znak zgody; jeśli daje się ona jednak, to winna być wyrażona w czasie przeszłym np. „pragnęłam". Dawniej w czasie ślubu stawiano naczynie metalowe pełne wody, do którego obecni rzucali srebro, perły i korale, a potem pili ją; naczynie wraz z kosztownościami przechodziło na własność duchownego. Dziś ten zwyczaj prawie został zaniechany.

Po ukończeniu ślubu ojciec zwraca się do swej córki i mówi: *bałam dżeman hołma atanga nalet kielteresin,* tj. żyj tak, żeby mię nie przeklinano. Zięciowi zaś powiada: *bałam chorłama kyzynde, atagymde kielteresin,* tj. nie znieważaj żony, tym zgubisz moją sławę. Są to formułki religijne.

Zaraz po ślubie panna młoda udaje się do swojej jurty i tam nakłada strój kobiety zamężnej: *dżanłuk* – biały ubiór na głowę, *ekczin* – przepaskę na czoło, *sankiele* oraz *dżelek* – lekką narzutkę; potem konno w towarzystwie matki jedzie do aułu mężowskiego, przeprowadzana czas niejakiś przez przyjaciółki. Po jej wyjeździe pan młody udaje się do jurty teścia, żegna się z nim a potem dopędza żonę, z którą razem wraca do domu.

Na spotkanie orszaku weselnego wyjeżdżają konno krewniaczki pana młodego, zatrzymują wielbłądy panny młodej oraz nie puszczają ich do aułu, dopóki nie otrzymają wykupu zwanego *tine marunduk* (tj. powód wielbłądzi). Państwa młodych spotykają chóry śpiewaków i śpiewaczek, w ich towarzystwie udają się oni do jurty ojca pana młodego. Przy wejściu panna młoda kłania się im nisko

i wówczas jeden ze śpiewaków laseczką podejmuje zasłonę, zakrywającą jej twarz, którą ona natychmiast opuszcza. Ojciec pana młodego daje swej synowej podarek – *kuriumdyk*; cały ten obrzęd zowie się *kiełym kuriumdyk*. Uprzednio panna młoda padała przed świekrem na kolana, lecz dziś zwyczaj ten pod wpływem mahometaństwa znikł doszczętnie. Po ukończeniu oględzin panny młodej rozpoczyna się uczta trwająca aż po północy; po jej ukończeniu matka panny młodej wraca do swego aułu i wówczas ojciec pana młodego składa jej podarki – *kyit* dla niej osobiście, swata i jego krewnych.

Przechodzę do skreślenia słów parę o zwyczajach, dziś na pół zapomnianych a pozostających w ścisłym związku z obrzędami weselnymi. Zwyczaj *dżenge*, o którym niżej, zachował się dotąd, acz w formie zmienionej. Dawniej wyrażał się on tak w pierwszą noc poślubną, którą młodzi spędzali razem, na pościel ich kładziono kawałek białej materii jedwabnej – *nekle dżemłyk*. Nazajutrz, gdy młodzi opuścili jurtę wchodziły swachny, zabierały kawałek materii białej i oddawały matce panny młodej, która obdarzała ich /!/; tymczasem ogłaszano w całym aule, że panna młoda okazała się cnotliwą. Jeżeli zaś stradała swój wianek w czasie *urum kielu*, to pan młody winien był powiedzieć o tym swachom, które powtarzały jego słowa matce i aułowi całemu. Wówczas przyjaciółki panny młodej napadały na pana młodego, który musiał wykupić się, składając pewne podarki.

Jeżeli panna młoda nie zachowała czystości dziewiczej, to narzeczony mówił o tym swachom, które zawiadamiały jej matkę o tym nieszczęściu, córce zaś w jej imieniu oświadczały, że swym postępowaniem sprawiła matce dużo przykrości oraz „zrobiła twarz czarną". Zatem swachy wyszukiwały winowajcę i sprawa kończyła się w sądzie *bijów*, który skazywał winnego na odszkodowanie dla męża. Oprócz tego ojciec panny młodej bił swoją żonę za brak dozoru nad córką. Jeżeli okazało się, że sami rodzice byli winni, np. jeżeli sprzedali swoją córkę na kilka dni, to pan młody mógł zażądać jej siostry młodszej lub zwrotu *kałymu*. Zwyczaje zachowane w tych wypadkach zwały się *katymczekty*, tj. babą za mąż wyszłą. Dziś zwykle, gdy pan młody znajdzie pannę młodą pozbawioną wianka, ma prawo zażądać zwrotu *kałymu*, ale jej winę musi udowodnić zeznaniami świadków. Praktykuje się to tylko wśród bogatych, biedni zaś są zadowoleni, gdy im uda się uzyskać odszkodowanie.

Trzeba podkreślić, że w okresie swatostwa rodzice obu stron nie mają pomiędzy sobą żadnych stosunków bezpośrednich: oblubieniec nie towarzyszy swatom, potem zaś wprawdzie zwiedza auł oblubienicy, ale te odwiedziny są uważane za potajemne, o których teść nie powinien wiedzieć. Zięć po raz pierwszy spotyka teścia w chwili odjazdu, przy pożegnaniu, gdy już panna młoda wyjechała do aułu mężowskiego. Państwo młodzi dopiero po upływie trzech lat mogą zwiedzić auł rodziców żony. Wprawdzie Kirgizi patrzą pobłażliwie, gdy córka odwiedza matkę, ale spotkanie się zięcia z teściową przed tym terminem uważa się za czyn surowo potępiany. Względem świekra wymogi te są znacznie surowsze: w ogóle nie powinien on ani znać ani widzieć swej synowej.

Dzieci spłodzone przez oblubieńców w okresie swatostwa uznaje się za nieprawne, chociaż należą do rodu i rodziny swego ojca oraz korzystają ze wszystkich praw dzieci legalnych. To samo stosuje się do dzieci zrodzonych ze związków miłosnych wdowy z bratem jej męża nieboszczyka tudzież służącej z jej panem. Podobne stosunki miłosne etyka kirgiska uznaje za dozwolone, natomiast inne potępia surowo. Dzieci, zrodzone z nich, należą do rodu matki, który atoli zawsze pogardza nimi. Uprzednio dziewczęta brzemienne karano śmiercią razem z ich kochankami, dziś zaś – ostatni płacą grzywny sowite, a pierwsze – tracą swe warkocze i są uznawane niemal za nierządnice. W tym tkwi powód do spędzenia płodu, tak szeroko rozpowszechniony wśród dziewcząt kirgiskich, a tłumaczącego się lekkością ich obyczajów; są nawet w stepach specjalistki osobne. Ani prawo karne zwyczajowe, ani etyka kirgiska nie potępiają tego zwyczaju.

W swym rozwoju dziejowym prawo przechodziło szczeble rozmaite, zanim wyróżniczkowało się z obrębu nakazów religijno-moralnych, w dalszym ciągu rozpadło się na prawo międzynarodowe, państwowe, cywilne, kryminalne itd. Faktycznie proces tego różniczkowania nie ukończył się jeszcze nawet wśród ludów cywilizowanych, ale bądź co bądź rozwój ogólny zdąża ku temu. Nie mam jednak zamiaru badać tych „prawnych pozostałości szczątkowych", ani też kreślić przebieg tego procesu różniczkowania się; pragnę jeno dać zwięzły a jasny szkic prawa karnego, zwyczajowego Kirgizów, prawa, znajdującego się na bardzo niskim szczeblu rozwojowym.

Władza państwowa *(choinka)*, acz tu i ówdzie wytworzyła się samodzielnie, nie zdążyła rozwinąć się, gdy okoliczności zewnętrzne ją usunęły; z początku jej usunięcie tylko w bardzo słabym stopniu oddziałało na ustrój społeczny hord kirgiskich. Z biegiem czasu atoli wpływy rosyjskie potęgowały się i krzepły wraz z wzrostem władzy państwowej; powoli uspokojono stepy, zniesiono niewolnictwo, zaprowadzono administrację prawidłową, podzielono olbrzymie przestrzenie na obwody, powiaty, włości itd.; wszakże zachowano Kirgizom zupełny samorząd gminny i sądownictwo ludowe, wedle prawa zwyczajowego oraz zwolnienie ich od służby wojskowej, powinności naturalnych i wszelkich podatków oprócz 3 rubli opłaty od każdej „jurty" (namiotu).

Posiedzenie ludowego sądu, rys. Achmatow, koniec XIX wieku

Bronisław Grąbczewski

Generał, badacz Azji Środkowej
W służbie wojskowej 1875–1906

W DOLINIE WIELKIEGO AŁTAJU

Topograf i podróżnik, generał armii rosyjskiej, urodzony w 1855 roku w Kownatowie na Litwie, zmarł w 1926 roku. Pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Gdy ojciec jego Ludwik zesłany został na Syberię za udział w powstaniu styczniowym, majątek ziemski Grąbczewskich skonfiskowano, a rodzina przeniosła się do Warszawy. Tutaj przyszły podróżnik ukończył gimnazjum i rozpoczął studia w Instytucie Górniczym w Petersburgu, których nie ukończył. Wstąpił do wojska i początkowo służył w warszawskim pułku ułanów. Następnie wysłano go do garnizonów środkowoazjatyckich. Rosyjska wyprawa wojenna w 1875 roku skierowała go do Kokandu w Azji Środkowej, potem uczestniczył w wyprawie ałtajskiej (1876) i samarkandzkiej (1878).

Gdy Rosja zawładnęła Ferganą, Grąbczewski związał się z pracą w miejscowej administracji wojskowej. Często wówczas podróżował i łącznie na terenie Azji Środkowej przebywał 21 lat (1875–1896), wykonując wiele ważnych misji dotyczących stosunków ludnościowych, topograficznych i strategicznych. Sprawdzał np. wraz z delegatami rządu chińskiego linię graniczną między Ferganą a Kaszgarią, którędy przebiegał kordon rosyjsko-chiński. Badał pasma górskie, ustalał bieg rzek, penetrował pod względem etnograficznym terytoria objęte pożogą wojenną, godził zwaśnione strony, gromadził okazy przyrodnicze, określał punkty triangulacyjne. Zbadał rozległe obszary Azji Środkowej – Pamir, część pasma górskiego Hindukusz, część Himalajów, płaskowzgórze tybetańskie.

W 1896 roku przeniósł się na Syberię jako komisarz pograniczny nad Amurem, gdzie przebywał przez 4 lata. W 1899 roku otrzymał nominację na generalnego komisarza Kwantungu z rezydencją w Porcie Artura, gdzie urzędował do 1903 roku. Tam powierzono mu stanowisko gubernatora i atamana kozaków astrachańskich. Wówczas prowadził badania geologiczne, botaniczne i etnograficzne na terenach dzisiejszego północno-zachodniego Kazachstanu. W ciągu 4 lat (1903–1906) rządów na tym terytorium zjednał sobie mieszkańców kozackich stanic, występował przeciwko bezwzględnemu uciskowi biednych przez bogatych, ograniczał wymiar rządowego podatku, zakładał punkty felczerskie, racjonalizował pasterstwo i hodowlę. Gdy jednak zaprotestował przeciwko reformom społecznym, politycznym i agrarnym premiera Piotra Stołypina, przychylono się do jego prośby i otrzymał telegraficzne „pozwolenie" niezwłocznego wyjazdu za granicę.

Po tym rządowym pozwoleniu wyjechał do Francji i Hiszpanii, gdzie przebywał do 1910 roku. Potem wrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie. Przez pewien czas pracował w Instytucie Meteorologicznym, zasadniczo jednak nie stworzono mu w odrodzonej Rzeczypospolitej warunków do zużytkowania wiedzy i doświadczenia. Czas i doświadczenia podróżnicze wykorzystał do opisania azjatyckich dróg, dając czytelnikom szeroką panoramę wykonywanych zajęć, kreujących go na wielkiego podróżnika, a także wnikliwego obserwatora kulturowej odmienności różnoplemiennych i różnojęzycznych społeczności. Traktują o tym książki: *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej* (1924); *Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł*

rzeki Indus (1925); *W pustyniach Raskemu i Tybetu* (1925); *Wspomnienia myśliwskie* (1925) i *Na służbie rosyjskiej, fragmenty wspomnień* (1926). Książki te stanowią zaledwie część jego dorobku poznawczego. Większość opracowań pozostała w rękopisie i znajduje się w archiwum Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w Sankt Petersburgu.

Materiał etnograficzny zawarty w tych książkach i rękopiśmiennych manuskryptach gromadzony był na uboczu podstawowych zajęć badawczych podczas mozolnych podróży. Mimo to tchnie on bogactwem realiów zwyczajowych i obyczajowych, a wartość jego we współczesnych studiach etnologicznych jest niewątpliwa. Był więc Grąbczewski doskonałym znawcą kultur ludów Azji Środkowej, z którymi obcował na co dzień, oddając się z zapałem poznawaniu osobliwości etnograficznych. Pomocna mu w tym była znajomość języków tubylczych – a także wyrozumiałość i życzliwość względem różnoplemiennych mieszkańców obszarów środkowoazjatyckich.*

Podstawa relacji: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej,* Warszawa 1924, s. 18–31. Tytuł od autora antologii.

---

* Informacje biograficzne: N.M. Akramow, *Woprosy istorii, archieołogii i etnografii narodow Pamira i Pripamiria w trudach B.Ł. Grombczewskogo,* Duszanbe 1974; N.M. Akramow, S.J. Abdurachimow, *Wkład polskogo uczenogo B. Ł. Grombczeskogo w izuczenije lednikow Pamira:* „Dzieje polskich, rosyjskich i radzieckich badań polarnych". Materiały III Sympozjum Polsko-Radzieckiego z Historii Nauk o Ziemi, Wrocław 1982; F. Chłapowski, *Podróż kapitana B. Grąbczewskiego w Środkowej Azji:* „Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego", 1891: 18, z. 1; M. Fleszar, *Rękopisy Br. Grąbczewskiego w Towarzystwie Geograficznym ZSRR:* „Przegląd Geograficzny", 1962: 34 ; B. Kowalski, *Bronisław Grąbczewski – polski podróżnik i badacz Azji Centralnej:* „Wszechświat", 1978: 10; M. Marciniak, *Bronisław Grąbczewski jako badacz kultury ludów Azji Środkowej: „Kultura i życie społeczne Azji Środkowej"*, pod red. Zbigniewa Jasiewicza, Poznań 1983; B. Olszewicz, *Bronisław Grąbczewski, podróżnik polski po Azji Środkowej:* „Naokoło Świata", 1926: 25; tenże; *Generał Bronisław Grąbczewski, polski badacz Azji Środkowej 1855–1926*, Poznań 1927; tenże, *Grąbczewski Bronisław: „Polski Słownik Biograficzny"*, 1960: 8; W. Słabczyński, *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa 1974; W. i T. Słabczyńscy, *Słownik polskich podróżników*, Warszawa 1992; U.S. Umorzakow, *W sprawie działalności badawczej i praktycznej B. Grąbczewskiego w Azji Środkowej (1876–1897): „Historia rosyjsko-polskich kontaktów w dziedzinie geologii i geografii"*. II Polsko-Radzieckie Sympozjum, Leningrad 12 VI–19 VI 1972. Streszczenia referatów, Warszawa 1972. Pełny tekst referatu znajduje się w wydaniu rosyjskim *„Russko-polskije swiazi w obłasti nauk o ziemle"*, Moskwa 1975; S. Zieliński, *Mały słownik pionierów polskich kolonialnych i morskich. Podróżnicy, odkrywcy, zdobywcy, badacze, eksploratorzy, emigranci, pamiętnikarze, działacze i pisarze emigracyjni,* Warszawa 1932.

Cała dolina Ałtaju pokryta jest wspaniałą trawą. Nigdzie drzewa, nigdzie krzaczka. Nic tylko łąki alpejskie, które służą za wspaniałe pastwiska dla dziesiątków tysięcy jurt koczowników. Koczownicy ci dążą do tego Eldorada ze swymi stadami ze wschodniej i południowej Fergany zaraz po roztopach w dolinie przez wszystkie pięć przełęczy w paśmie Gór Ałtajskich. W miarę wzmagania się upałów linia śniegów wznosi się coraz wyżej w góry, oswobadzając od śniegu coraz to nowe przestrzenie, które natychmiast pokrywają się świeżą, soczystą trawą. Na świeże pastwiska przenoszą się auły, wędrując coraz wyżej w góry, aż do września, tj. do

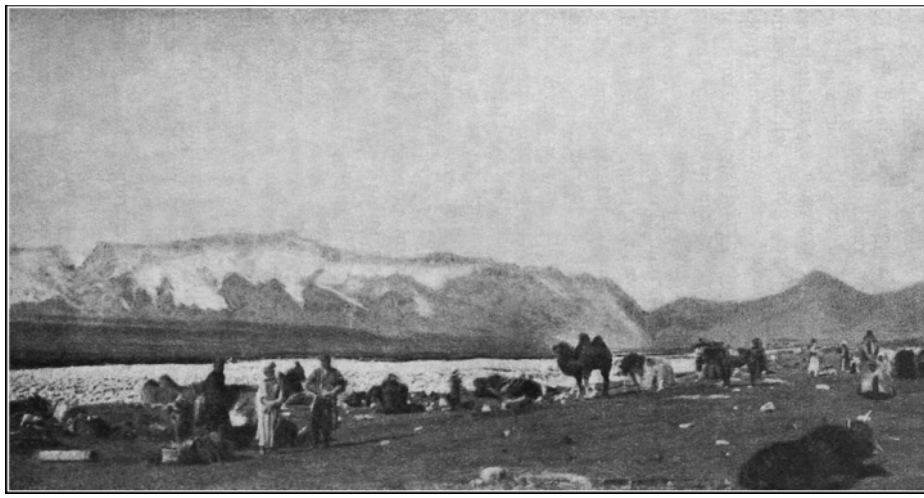

Przenosiny aułu z miejsca na miejsce

pory, kiedy śniegi przestają tajać a linia wiecznych śniegów zatrzymuje się na 14 000 stóp n.p.m. Od końca sierpnia poczyna się powrót aułów na zimowe leże.

W październiku spadają nowe śniegi i dolina Ałtaju, tak ożywiona w lecie, staje się pustynią. Dłużej od innych pozostają na Ałtaju właściciele ogromnych stad koni, które trudno jest wypaść w dolinie. Czasami nawet zimują w dolinie Ałtaju, przechodząc tylko ze wschodniej części na zachodnią, do Darat-Kurgana, gdzie dolina zniża się do 9000 stóp n.p.m., a gdzie prócz tego Góry Zaałtajskie i Ałtajskie zbliżają się ku sobie na 8 kilometrów. Jest tam dużo wąwozów, w których tabuny mogą się ukryć przed wichrem. Znam osobiście Kirgiza Ir Daulet Bija (Majestat ziemi), który miał 12 tabunów koni, po kurumiu, tj. po 800–900 sztuk w każdym, oprócz odpowiedniej ilości baranów, wielbłądów, krów itd. Kirgiz ten trzody swe wysyłał na zimę w dolinę Fergany, sam zaś, lubiąc konie, przebywał stale na Ałtaju, koczując razem ze swymi tabunami. Nie wiedział on jednak nigdy, ile koni posiada.

Przenosiny aułu z miejsca na miejsce – to święto: jurty się rozbiera i kładzie na wielbłądy pokryte jaskrawymi dywanami; na innych znowu wielbłądach umieszcza się cały dobytek, a więc pościel, ubranie, skrzynie zamczyste, okute żelazem, które przy otwieraniu wydają dźwięki muzyczne itd. Wszystko to rozkłada się równomiernie, robiąc wygodne siedzenie. Potem mężczyźni i dzieci 5–6 lat siadają na koń i biorą do ręki sznury, przewleczone przez nozdrza wielbłądów. Kobiety zaś z małymi dziećmi na rękach i dziewczynki od 11–12 lat przywdziewają swe najparadniejsze kostiumy, zawsze jaskrawe, a często ze złotogłowia, głowy upiększają ogromnymi turbanami, szyję – koralami, które całymi pękami spuszczają się aż do pasa – i auł rusza w drogę. Im ród kirgiski jest bogatszy, tym wielbłądy są piękniej przybrane, dywany jaskrawsze a kobiety bardziej wystrojone i więcej mają korali.

Kirgizka przybrana do zmiany miejsca aułu

Goszcząc raz w aule u bogatego Kirgiza rodu Juwasz, zauważyłem na szyi żony starszego syna, usługującej mi przy jedzeniu, korale wagi 38 funtów. Zdziwiony zapytałem, czy nie męczy jej noszenie takiego ciężaru. Spojrzała na mnie z takim zdziwieniem, iż zrozumiałem, że w jej pojęciu zadałem pytanie głupie, grzecznie jednak odpowiedziała: „Nie, ja je noszę bardziej na plecach niż na szyi".

Zwinięcie aułu i urządzenie się na nowej siedzibie odbywa się zdumiewająco szybko, i w 2–3 godziny na pustynnym miejscu wyrasta cała wioska kipiąca życiem; tam zaś, gdzie wrzało przed chwilą życie, pozostają tylko ślady ognisk. A jednak wystawienie jurty, szczególnie w ten sposób, żeby się mogła oprzeć wichrom górskim, wymaga niezwykłej umiejętności. Wielkość jurty i dobroć wojłoków zależy naturalnie od dobrobytu właściciela; im Kirgiz jest bogatszy, tym ma jurtę większą i wojłoki bielsze; jurt mniejszych niż 4 do 5 metrów średnicy nie stawia się wcale. Bywają jednak i ogromne. Raz zatrzymałem się na noc u pewnego *bija* (naczelnika) rodu Czum-bagysz, który mnie umieścił w swojej *michman-chana* (*michman* – gość, *chana* – pokój), która miała w średnicy 11 m. Była to prawdziwa sala balowa, zupełnie okrągła, jak wszystkie jurty w tym kraju, w odróżnieniu od szałasu Tybetańczyków i Kałmuków, namiotów arabskich lub czumów, koczowników Syberii, Goldów, Samojedów itd., które mają najrozmaitsze kształty, w zależności od klimatu i innych warunków.

Jurty zwykle są wysokie, znacznie wyższe od wzrostu człowieka, więc można w nich stać i chodzić wygodnie. Wojłoki na nich układa się w ten sposób, że pośrodku zostaje okrągły otwór, który się pokrywa oddzielnym wojłokiem tundiuk z przywiązanym do niego sznurem, za pomocą którego otwór przy pięknej pogodzie łatwo się ściąga a w razie deszczu zakrywa. Na zewnątrz, z wierzchu wojłoków, jurty obwiązuje się bardzo szerokimi (25 cm) taśmami kolorowymi, wyrobu domowego, z grubej, ale misternie tkanej wełny. Wewnątrz jurtę zdobią dokoła maty z długiej trzciny, z których każda obwinięta jest nitkami róż-

Bij (naczelnik) kirgiskiego rodu Czum-bagysz

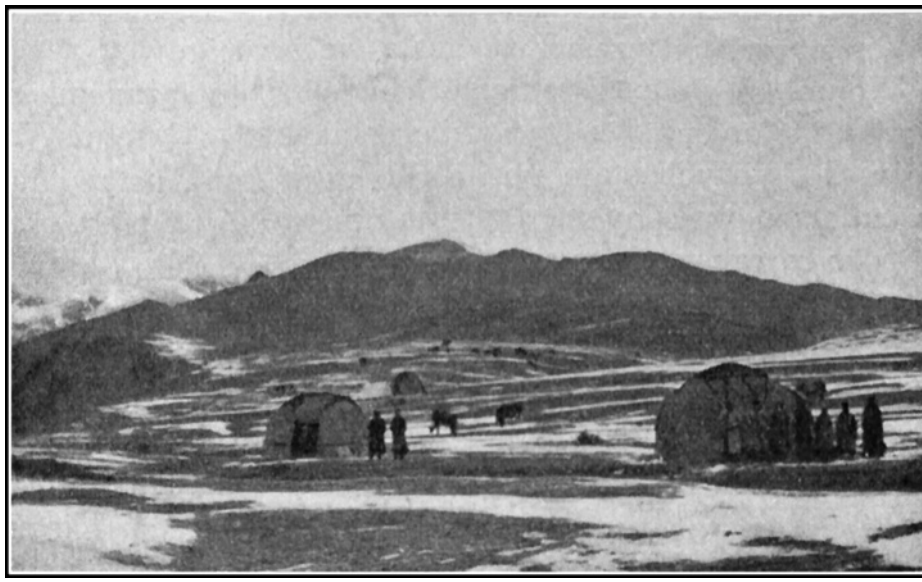

Auły kirgiskie w dolinie Wielkiego Ałaju zajmujace tereny oswobodzone spod śniegu

nokolorowymi; połączone razem i związane stanowią one wzorzystą matę, ładnie zdobiącą wnętrze jurty, którą prócz tego upiększa się różnokolorowymi frędzlami z wełny i misternymi festonami. Jurta średniej wielkości, z białej *koszmy*, przyzwoicie przybrana, kosztowała w owe czasy 200–250 rubli.

Podłogę jurty zaściela się cynówkami z trzciny; na to kładzie się gruby wojłok, pokryty z wierzchu jaskrawym dywanem. Pośrodku jurty dołek, kilka kamieni stanowiących ogniska a nad nim żelazny, składany trójnóg, na którym wiesza się kocioł na żelaznych łańcuchach. Przy ognisku są miedziane kumgany do zaparzania herbaty. Zupę jedzą Kirgizi z drewnianych lub cynowych czarek; resztę potraw, jak mięso, ulubiony *pałau-asz* z ryżu – palcami. Tak zresztą jedzą wszyscy, nie wyłączając miliarderów-kupców, krajowcy Azji Środkowej. Kirgizi chleba prawie nie używają, a jeśli go jedzą, to w formie rwanych klusek *(bugursak)*, smażonych w maśle lub na baranim tłuszczu, albo klusek, pociętych na cienki makaron, zalanych z lekka bardzo słonym bulionem.

Mięso jedzą tylko w razie święta rodzinnego, przyjazdu znakomitego gościa lub choroby któregoś ze zwierząt domowych, jakie trzeba dorżnąć, żeby nie zdechło. Za najwytworniejsze uważa się mięso baranie, potem koninę, szczególniej źrebięcinę (kiełbasa z mięsa źrebięcego jest rzeczywiście wyborna), potem mięso wielbłądzie, na ostatku wołowe lub cielęce. Żyją więc Kirgizi przeważnie *kumysem* lub *ajranem*. Kumys przygotowuje się w ogromnym worze skórzanym, do którego wlewa się wszelkie mleko, więc owcze, kozie, wielbłądzie, krowie i kobyle. Całymi dniami kobiety bełtają to mleko kijem, na końcu którego umocowany

jest krzyż drewniany. Im dłużej i więcej mleko się bełcze, tym lepszy jest *kumys*. W każdym razie będzie to jednak *kumys* gorszego gatunku. Idealny *kumys*, na podarki albo na przyjęcie znakomitego gościa, przygotowuje się z czystego mleka kobylego, bełcze się w ciągu co najmniej trzech dni: jest on gęsty jak śmietanka, koloru słomkowego, orzeźwiająco kwaskowaty. Wypity jednak w większej ilości powoduje lekkie upojenie, jak po wypiciu przy śniadaniu lekkiego białego wina francuskiego *gvare* albo *sauterne*.

W podróżach konnych *kumys* – to napój nieoceniony, sytny i orzeźwiający. Worek skórzany *tursuk* z *kumysem*, przywiązany do siodła ze strony ocienionej, żeby go nie paliły promienie słoneczne, zaopatrzy podróżnego na kilka dni w jedzenie i picie, im więcej zaś *kumys* będzie się bełtał w *tursuku*, tym będzie lepszy i smaczniejszy. Naturalnie, tylko trzeba się przyzwyczaić do pewnego smaku skóry i dymu – jakiego napój ten nabiera od *tursuku* z nie wyprawionej skóry.

Ajran – mleko kwaśne, rozbełtane z wodą, stanowi jedynie pożywienie Kirgizów biednych, nie mających wielkich trzód; znajduje się on wszakże w każdym najbogatszym domu, jako napój do stałego użytku służby, dzieci i kobiet, na których ciążą wszelkie prace domowe. Mężczyźni całymi dniami siedzą, przykucnąwszy u drzwi jurty i gwarzą z sąsiadami. Młodzież pasie stada w górach, często o kilka kilometrów od aułu, strzegąc ich od wilków i innych drapieżników. Pastuchy pasą stada konno. W ogóle Kirgiz bez konia obejść się nie może i piechotą chodzić nie lubi. Przed jurtą każdego mniej więcej zamożnego Kirgiza zawsze stoi koń, osiodłany i przywiązany do wbitego w ziemię kołka. Biedne konisko krąży przy kołku bezradnie, bo ma powód od uzdy tak przymocowany do siodła, że ani schylić się po trawę, ani położyć się nie może.

Auły tego samego rodu kirgiskiego trzymają się jednej miejscowości i wzajemnie się bronią przed napadami bandytów i złodziei. Każdy ród kirgiski ma swój znak *(tawro)*, zrobiony z żelaza, którym w sposób barbarzyński wypala na skórach swoich zwierząt nigdy nie schodzące znaki. Znaki te rozstrzygają sporu w razie pomieszania się stad na wspólnych bezgranicznych pastwiskach oraz pozwalają rozpoznać przynależność zakwestionowanego zwierzęcia w razie kradzieży i odnalezienia go gdzieś daleko na rynkach Fergany. Można konia przefarbować, ale nie uda się zetrzeć wypalonego *tawra*.

Bezczynne życie, jakie prowadzą mężczyźni, powoduje ciągłe odwiedziny wzajemne i plotkowanie. Nowiny w tych bezmiernych stepach rozchodzą się z taką szybkością, jak u nas przez żydowską pocztę pantoflową. Kirgiz, choćby spieszył się w pilnej sprawie, spotkawszy drugiego, musi się zatrzymać i w kilka minut dowie się o wszystkim, co się dzieje w stronach, skąd jedzie spotkany i nawzajem, opowie mu wszystko o swoich stronach.

Kirgizi w ogóle są bardzo uczciwi i gościnni. Nie znam wypadku, by któryś z nich odmówił mi noclegu, nie napoił chociażby *kumysem* albo *ajranem*, jeżeli nie mógł zabić barana lub kozy. Uczciwość kirgiska jest przysłowiowa. Pracując w administracji kraju i rozpatrując setki sporów, niejednokrotnie obserwowałem,

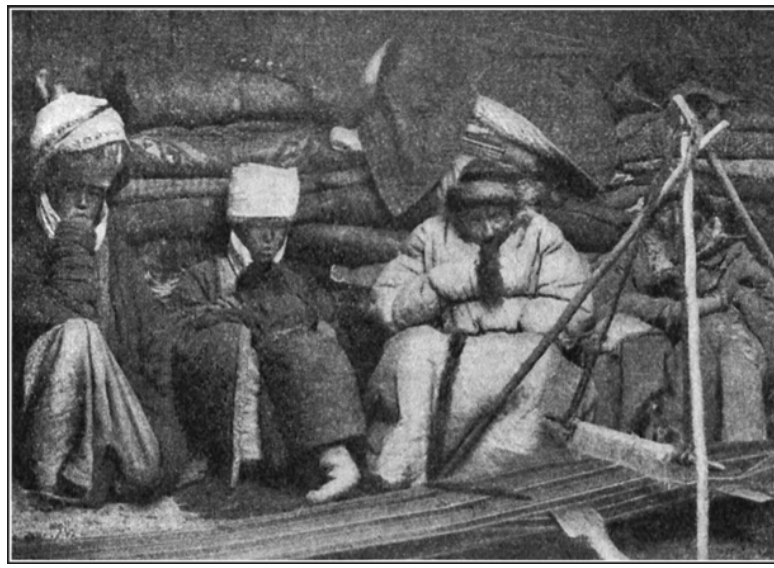

Wnętrze jurty Kirgiza średniej zamożności. W jurcie – cała rodzina: ojciec, syn, jego dwie żony i syn. Wzdłuż ścian jurty pościel, ubranie i dywany.

jak dzieci lub wnuki zwracały długi swoich ojców lub dziadów, zaciągnięte na słowo… Pamięć przodków czci się z wielkim pietyzmem. Oprócz przyjęć w czasie pogrzebów, które zawsze były rujnujące dla spadkobierców, najstarszy z rodu w rocznicę śmierci obowiązkowo urządza *toj*, które trwają zawsze co najmniej trzy dni i ściągają Kirgizów nie tylko z danego rodu, lecz w ogóle wszystkich chętnych. A że Kirgizowi nie zależy na przestrzeni, przeto siada na koń, przywiązuje do siodła *tursuk kumysu* lub *ajranu* i jedzie o 100–200 kilometrów, by pogwarzyć z Kirgizami z rozmaitych stron, wziąć udział w *bajga* lub popatrzeć na wyścigi.

Bajga – to narodowa zabawa kirgiska: polega ona na tym, żeby z konia porwać leżącego na ziemi zabitego kozła, unieść go z tłumu ubiegających się współzawodników, odciągnąć ich od siedzących gdzieś na pagórku na dywanie sędziów i, zmyliwszy wszystkich, przycwałować z kozłem znów przed sędziów i rzucić im go pod nogi. Za taką sprawność zwycięzca otrzymuje natychmiastową nagrodę w postaci jaskrawego chałata, który w tej chwili wkłada na siebie na wierzch ubrania, żeby wszyscy zebrani widzieli, iż on jest zdobywcą i roznieśli to po stepie. Kozła zaś chwyta z konia rywal, i szalona jazda przez kamienie i wyrwy, przy wzajemnym wyrywaniu sobie kozła przez innych współzawodników rozpoczyna się na nowo.

Wyścigi u Kirgizów znane są tylko na długą metę, zwykle 40 kilometrów (5 tasz). Urządzają je oni w czasie wesela, śmierci albo obrzezania w rodzinach bardzo bogatych, gdyż kosztują drogo. W czasie oznaczonym na wyścigi (przeważnie jesienią, kiedy konie są najsilniejsze), posyła się zawiadomienie do całego rodu i do rodów pokrewnych przez wzięte żony albo oddane córki. W oznaczonym

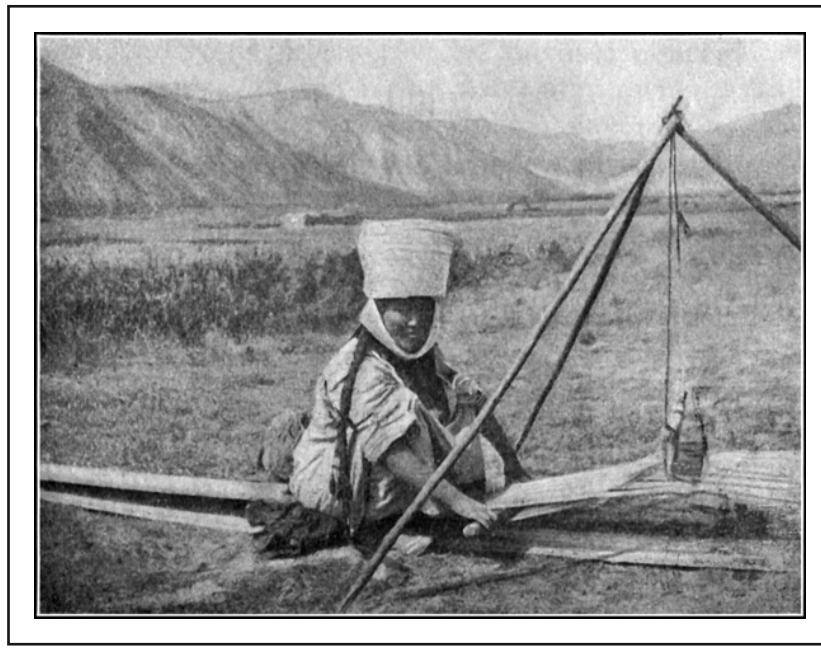

Kirgizka z doliny Wielkiego Ałaju tka wełnianą materię na ubranie

czasie zjeżdżają się wyścigowcy z wytresowanymi końmi. Konie te są małe, chude, z obwiązanymi szpagatem nogami i ogonami. Jeżdżą na nich malcy 12–14-letni. W dzień wyścigów, do których staje po kilkadziesiąt koni, ustawiają je do startu w miejscu określonym, zapisują i puszczają w bieg, przy czym po całej drodze gęsto rozstawieni są Kirgizi z rodu, który urządza wyścigi, a także z tych, którzy biorą udział w wyścigach; ludzie ci pilnują, żeby do pędzących nie przyłączył się ktoś w drodze albo zamienił zmęczonego konia. Na starcie jest jurta, w której siedzą sędziowie i wyczekują przybycia jadących, pijąc herbatę. Czasy, jak długo wolno być w drodze, nie oznacza się, bo nikt zegarków nie ma i nie zna się na godzinach. Kirgizi żyją według słońca i regulują życie podług 5 omówień *(namarów)*, przypisanych przez religię.

Koło jurty sędziowskiej i dalej po drodze gromadzą się tłumy konnych, czekających na wyścigi. Opodal wszystkie wzgórza zajęte są przez kobiety z bliskich i dalekich aułów; przyszły one piechotą albo przyjechały z mężami i braćmi i nie mieszając się z tłumem zajęły miejsca na wzgórzach. Wreszcie słychać okrzyki patrzących, tętent biegnących koni i zjawia się pierwszy koń chwiejący się, zakrwawiony, z jeźdźcem, malcem ledwie żywym. Bardzo często konia tego ciągną za powód od uzdeczki dwaj inni jeźdźcy, co nie jest zabronione przez prawidła wyścigowe. Pierwsza wygrana zwykle jest poważna, bo składa się z 9 nagród po 9 sztuk. Więc 9 chałatów (1 ze złotej parczy, 1 ze srebrnej, 1 z aksamitu, 3 z sukna, 3 z jedwabiu), 9 wielbłądów, 9 koni, 9 krów i 45 baranów. Drugi i trzeci koń otrzymują już nie 9 x 9 = 81 sztuk podarków, lecz tylko 9 sztuk, tj. jeden chałat,

1 wielbłąda, 1 konia, 1 wołu albo krowę i 5 baranów. Dalsze sześć koni otrzymuje tylko po jednym koniu, wielbłądzie albo krowie. Reszta nic.

Urządzenie takich wyścigów i przyjęć w pierwszą rocznicę śmierci ojca rujnuje niektórych doszczętnie. Znam Kirgiza z rodu Czumbagysz, Mirzę Pajasa, człowieka bardzo porządnego, któremu ojciec, Dżarkien-Baj-Datcha (Datcha – generał), zostawił 10 000 baranów, 200 koni, 60 wielbłądów, 120 krów itd. Po urządzeniu uroczystości pośmiertnych, odpowiednich do wysokiego stanowiska ojca, został goły, jak święty turecki…

Drugą nadzwyczajnie kosztowną rzeczą u Kirgizów jest ożenek, bo za żonę trzeba zapłacić *kałym* (wykup), który zależnie od znakomitości i bogactwa żony, dochodzi do takich sum, że nowożeniec nieraz rujnuje się zupełnie.

Miałem jako stałego towarzysza swych włóczęg myśliwskich Mahomet-Seid-Tiura-Seidaa więc dokumentami stwierdzonego potomka Mahometa, przy tym siostrzeńca ostatniego chana kokandzkiego, Hudojar-Chana i jego *udajczy*, tj. adiutanta; wziął on za żonę jedną z córek Hudojar-Chana i zapłacił za nią *kałymu* 59 000 tillej, tj. dukatów złotych, sumę na ówczesne stosunki bajeczną, miliardową. Wypłacenie takiej olbrzymiej kwoty zrujnowało Mahomet-Sejda i zmusiło go do wyzbycia się nawet łowczych sokołów i jastrzębi, których był wielkim znawcą i miłośnikiem. Dodać muszę, że przyjaciel mój ożenił się z córką chana nie wtedy, kiedy Hudojar-Chan był u steru władzy, ale w 10 lat po zajęciu chaństwa przez Rosjan, kiedy, o ile pamiętam, Hudojar już umarł na wygnaniu w Rosji, córka zaś jego wniosła mężowi, jako wiano, tylko wielkopańskie przyzwyczajenia i prawo do używania tytułu „Oim", tj. pani.

Transakcje matrymonialne u Kirgizów dokonują się zwykle pomiędzy rodzicami przyszłych małżonków, gdy ci są jeszcze niemowlętami, i od tego czasu poczyna się coroczna wpłata *kałymu* częściowo: bydłem, pieniędzmi lub rzeczami. W razie śmierci jednego z narzeczonych, pozostały się żeni albo pozostała wychodzi za mąż za najbliższego krewnego. Byłem raz zaproszony na wesele bogatego Kirgiza z rodu Juwasz, którego 15-letni syn żenił się z 26-letnią wdową po bracie swego teścia tylko dlatego, że narzeczona jego umarła, a teść więcej córek nie miał. Zdarzają się wypadki, że po zrobieniu transakcji i wypłaceniu części *kałymu* umiera narzeczonemu ojciec, a pogrzeb i w rok potem uroczystości pośmiertne tak rujnują narzeczonego, iż nie może on dalej wypłacać *kałymu*. Wtedy narzeczony likwiduje samodzielne gospodarstwo i razem z pozostałą częścią zwierząt domowych wstępuje na służbę jako prosty parobek do swego przyszłego teścia, przy czym należna mu pensja i przyrost od inwentarza żywego idą na opłatę *kałymu*. Narzeczony czasami dobrych 10 lat czeka i patrzy, jak jego przyszła się starzeje.

Koszta weselne ponoszą rodzice panny młodej i dają oprócz tego wiano, stosownie do swojej zamożności i znaczenia, jakie posiadają wśród ziomków. Wiano składa się zwykle z jurty, kilku dywanów, ze skrzyń okutych żelazem, z różnych sprzętów gospodarskich i z niewielkiej ilości zwierząt domowych. Resztę dodają rodzice pana młodego albo też młodzi żyją w biedzie, powoli dorabiając się lub wyczekując sukcesji.

Władysław Bukowiński

Ksiądz, zesłaniec

W więzieniu i w łagrach 1940–1941, 1945–1954, 1958–1961

WSPOMNIENIA Z KAZACHSTANU

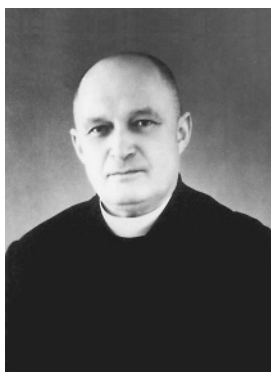

Ks. Władysława Bukowińskiego wielokrotnie
spotykałem i zawsze podziwiałem
za kapłańską wierność i apostolski zapał.
Jan Paweł II, Astana 2001 r.

Ks. Władysław Bukowiński urodził się 22 grudnia 1904 roku w Berdyczowie, zmarł 3 grudnia 1974 roku w Karagandzie i tam jest jego grób. W latach 1921–1931 studiował prawo i teologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Święcenia kapłańskie otrzymał 28 czerwca 1931roku. Przez pewien czas pracował jako katecheta i nauczyciel historii w Rabce, a potem był wikariuszem w parafii Sucha Beskidzka. Od 1936 roku wykładał w Wyższym Seminarium Duchownym w Łucku. Od jesieni 1939 roku, będąc proboszczem parafii łuckiej, pomagał uciekinierom z Polski i żołnierzom rozproszonych oddziałów, opiekował się rodzinami wywiezionych na Syberię, prowadził działalność charytatywną, a w kontaktach z parafianami starał się podtrzymywać ich na duchu, częstokroć chroniąc ich przed sowieckim okupantem. Mimo zagrożenia aresztowaniem ks. Bukowiński rozpoczął katechizację dzieci.

Podtrzymywał parafian na duchu, a kazania i osobiste kontakty z parafianami łagodziły cios wojny i dawały siłę na przetrwanie. Wkrótce jednak nastąpiły represje władz sowieckich – aresztowania, zesłania i deportacje na Syberię. Cała diecezja łucka została zajęta przez wojska sowieckie. Ordynariusz tej diecezji bp. Adolf Piotr Szelążek (1865–1956) musiał opuścić pałac biskupi, ustała działalność Kurii, zamknięto Wyższe Seminarium Duchowe. Ks. Bukowiński wspomagał duchowo wywożonych w głąb Związku Radzieckiego. Jego posługa łączyła się z ryzykiem utraty wolności i mimo propozycji opuszczenia Łucka pozostał z wiernymi. Wkrótce został aresztowany przez NKWD i okresie od 22 sierpnia 1940 roku do 26 czerwca 1941 roku przebywał w łuckim więzieniu na terenie dawnego klasztoru brygidek, skąd cudem uszedł z życiem podczas rozstrzeliwania więźniów przez sowieckich oprawców, gdy do Łucka zbliżyły się wojska niemieckie.

W latach 1941–1945 był proboszczem w katedrze łuckiej – nauczał, pocieszał, odprawiał Msze św., katechizował dzieci, błogosławił małżeństwa, święcił groby na cmentarzu. Organizował pomoc charytatywną dla więźniów, ratował dzieci żydowskie, starał się być wszędzie tam, gdzie oczekiwali go ludzie potrzebujący kapłana, wątpiących podnosił na duchu, utrzymywał konspiracyjne kontakty z lokalnym komendantem Armii Krajowej Leopoldem Świkłą – „Adamem". Wszystkie te nurty krzyżowały się, nakładały na siebie, wzajemnie przenikały, wpisując się w okupacyjny model duszpasterstwa i patriotyzmu. Działania te, obarczone ryzykiem i surowym wyrokiem niemieckich władz oraz ukraińskich nacjonalistów, były bez wątpienia aktem odwagi w tych skrajnie trudnych i niebezpiecznych warunkach niewoli znaczonych tragicznymi czystkami etnicznymi na Wołyniu. A gdy je przetrwał i minął czas wojny, wkrótce został aresztowany przez władze sowieckie.

W latach 1945–1954 przebywał w sowieckich więzieniach i łagrach w Kijowie, Czelabińsku i Dżezkazganie. Gdy opuszczał Łuck, już wówczas w granicach ZSRR, we *Wspomnieniach z Kazachstanu*, wydanych w Gdańsku dopiero w 1989 r. napisał: „Wyjeżdżamy z Łucka. Nad niebem góruje kopuła naszej katedry – w promieniach słońca lśni pięknie złotawym blaskiem. Stopniowo znikają z oczu zabudowania miasta, lecz wciąż jeszcze widoczna jest kopuła. Wreszcie znika i ona... Patrząc z samochodu więziennego na stopniowo znikający nam z oczu Łuck wraz z całą kopułą naszej katedry, jasno pojąłem, że Łuck to przeszłość w moim życiu i w dziejach Polski współczesnej. Co przyniesie przyszłość? Coś całkiem nowego".

Zarówno w więzieniu jak i w łagrach, pomimo pogardy nadzorców, restrykcji i poniżenia, po wyczerpującej wielogodzinnej pracy odwiedzał chorych w szpitalu więziennym, umacniał współwięźniów w wierze i nadziei, udzielał sakramentów prowadził rekolekcje w różnych językach. Będąc w łagrze w Dżezkazganie napisał i wykładał wspólwięźniom historię Polski *(Historia nauczycielką życia. Historia est magistra vitae. Historia Polski pisana w łagrze*, Biały Dunajec – Ostróg 2010). Był zawsze blisko ludzkiej niedoli, łagodził jej pęta i ubogacał modlitwą niosąc tę posługę współwięźniom. Po upuszczeniu łagru w Dżezkazganie skazany został na osiedlenie w Karagandzie, gdzie pracował jako stróż, prowadząc jednocześnie tajne duszpasterstwo. Przez cztery lata tego osiedlenia odbył wiele wypraw misyjnych w różne rejony Kazachstanu i Tadżykistanu. Karaganda był jego bazą wypadową, do miejsc gdzie znajdowały się nawet nieliczne skupiska katolików. Tam w prywatnych domach odprawiał Msze św., spowiadał i udzielał sakramentów, znosząc wiele trudów po drodze. Nie łatwy był to misyjny szlak, często o głodzie i chłodzie, przerywany niejednokrotnie. różnymi represjami ze strony lokalnej władzy.

Przemierzając rozlegle stepy i ludne miasta wspominał po latach, że „wszędzie gdzie byłem widziałem głęboką celowość tego, że tam właśnie byłem". W jego wspomnieniowych relacjach z tego okresu kumuluje się wyraźnie przeświadczenie o potrzebie bycia tam wśród ludzi, spowiedzi, odprawiania Mszy św., chrztu oraz katechizacji. Trwał w tym postanowieniu, mimo ciągłego zagrożenia uwięzieniem. W 1958 r. został ponownie aresztowany i skazany na „trzy lata łagru". Po wyjściu na wolność postanowił pozostać w Kazachstanie, doskonale bowiem zdawał sobie sprawę z tego, jak wielu Polaków, a także Niemców, Rosjan i Ukraińców mieszkających w Kazachstanie, oczekuje opieki duszpasterskiej. O fakcie takiej potrzeby przekonał się wielokrotnie podczas licznych wypraw misyjnych jakie odbywał po tym kraju podczas tzw. osiedlenia . Po wyjściu na wolność w 1961 r. zamieszkał w Karagandzie gdzie prowadził pracę duszpasterską, nie zaniedbując wędrówek po misyjnym szlaku, podczas którego docierał do Ałmaty, Kokczetawu, Akmolińska oraz licznych posiołków rozrzuconych po stepie. W mieście tym zmarł 13 grudnia 1974 r. Tam jest Jego grób. Proces Beatyfikacyjny Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego rozpoczął się 19 czerwca 2006 roku.

Podstawa relacji: Ks. W. Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu,* Gdańsk 1989, s. 18–21, 48–50, 61–62, 78.

Nota biograficzna w: J. Hennelowa, *Patron Kazachstanu,* „Tygodnik Powszechny", 34, 2001, s. 15; Ks. W. Bukowiński, *Do moich przyjaciół. Fragmenty spuścizny rękopiśmiennej,* zebrał i opracował Witold Józef Kowalów, Biały Dunajec – Ostróg 2001; *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół,* cz. II, zebrał i opracował ks. Witold Józef Kowalów, Biały Dunajec – Ostróg 2006; W. J. Kowalów, *Być prorokiem. Ks. Władysław Bukowiński,* proboszcz w Łucku, „Wołanie z Wołynia", nr 44, 2009, s. 31-38; ibidem, *Aktualność świadectwa Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego,* „Wołanie z Wołynia", nr 4, 2010, s. 24–31; Ks. Władysław Bukowiński, *Historia nauczycielką życia. Historia est magistra vitae. Historia pisana w łagrze,* Biały Dunajec–Ostróg 2010, s. 11–19.

W czerwcu 1955 r. moje warunki życiowe były już całkiem inne niż w styczniu 1945 r. Od 10 miesięcy na wolności w Karagandzie. Zostałem tam administracyjnie zesłany po ukończeniu 10-letniego więzienia, które trwało dokładnie 9 lat, 7 miesięcy i 6 dni, bo odliczono mi pięć miesięcy za dobrą robotę, choć prawdę mówiąc – prawie nigdy nie poczuwałem się do tego, bym był dobrym robotnikiem. Opatrzność Boża działa nieraz i przez ateistów, którzy zesłali mnie tam, gdzie ksiądz był potrzebny. Już w sierpniu 1954 r. wiedziałem, że czeka mnie tam niezmiernie wielka praca duszpasterska. Zesłaniec, podobnie jak i obozowiec, ma ścisły obowiązek pracować dla rządu. Wziąłem taką pracę, która dawała mi stosunkowo dużo wolnego czasu na pracę duszpasterską. Pracowałem co drugą noc jako stróż nocny na obiektach budowlanych. Pracy kapłańskiej, oczywiście po domach prywatnych, było na początku wiele, jak nigdy przedtem i potem w moim życiu. Ogromna większość spowiedzi była generalnych z całego życia.

Jako zesłaniec miałem obowiązek co miesiąc meldować się w komendanturze, bez pozwolenia której nie miałem prawa wyjeżdżać z Karagandy. Komendantem tym był starszy lejtnant Kazach. Przy comiesięcznych meldunkach wypytywał się on dokładnie każdego zesłańca o warunki jego życia i pracy. Była to obowiązkowa spowiedź miesięczna, jak dowcipnie mawiał wśród licznych jeszcze wtedy zesłańców-Polaków.

Przy owym meldunku po trzech czy czterech miesiącach, gdy – jak zwykle – „wyspowiadałem się" z tego, gdzie mieszkam i pracuję, pan komendant nagle rzekł: „Wszystko to dobrze, ale powiedzcie jeszcze, jak wam idzie wasza praca duszpasterska?" Już skądś się o niej dowiedział. „Dziękuję panu – odparłem – także i praca duszpasterska idzie mi nieźle". Odtąd przy meldunku głównym przedmiotem „miesięcznej spowiedzi" była owa – tak stale przez komendanta nazywana– praca pasterska. Muszę jednak przyznać, że ów Kazach był raczej dobroduszny i nie stawiał zbyt niedyskretnych pytań.

Zesłańcy polscy oczekiwali wtedy na repatriację do Polski, jednak długie miesiące bezskutecznie. Aż wreszcie w czerwcu 1955 roku (którego to było czerwca – nie pamiętam) gruchnęła upragniona wieść: „Dzisiaj zapisują na repatriację". Kto żyw szedł co prędzej do komendantury.

Ja nie miałem powodu się spieszyć i poszedłem dopiero wieczorem tego dnia. Komendant nawet mnie nie spowiadał", tylko zapisał meldunek i natychmiast odesłał do kapitana – prawdopodobnie Rosjanina – który przyjmował zapisy na repatriację.

Między mną a tym kapitanem odbyła się następująca rozmowa: kapitan po sprawdzeniu moich personaliów: „Obywatelu Bukowiński, proponujemy wam repatriację do Polskiej Republiki Ludowej". Ja: „Witam z radością decyzję rządu radzieckiego o repatriacji Polaków, na którą oczekiwało tysiące moich rodaków, lecz ja sam osobiście pragnę pozostać w Związku Radzieckim". Kapitan: „A! Wam także przysługuje prawo pozostania w Związku Radzieckim".

W tym momencie zobaczyłem u kapitana na biurku 2 spisy: jeden bardzo długi zgłaszających się do repatriacji, a drugi całkiem krótki, bo jak to dokładnie spostrzegłem moje nazwisko było trzecie w tym spisie... Wtedy to definitywnie stałem się obywatelem Związku Radzieckiego.

Tak prosto i zwyczajnie dokonał się ów drugi moment przełomowy w moim życiu. Tym razem ja sam dobrowolnie pokierowałem swym życiem, doskonale zdając sobie sprawę z podjętej decyzji.

Jedną z konsekwencji tej decyzji poniosłem trzy lata później, kiedy to 3 czerwca 1958 roku zostałem aresztowany po raz trzeci w moim życiu, a 25 lutego 1959 roku sądzony po raz pierwszy w życiu, gdyż przy pierwszych dwóch aresztowaniach wyroki były administracyjne, a nie sądowe.

Do owego jedynego w mym życiu sądu wrócimy jeszcze w trzeciej części tego pisma. Teraz omówimy tylko jeden epizod sądu, który wydaje mi się bardzo charakterystyczny.

Sądziło mnie kolegium obwodowego sądu w Karagandzie. Główny sędzia zrobił na mnie wrażenie bardzo pozytywne. Najprawdopodobniej był to prawnik, człowiek rzeczowy i taktowny. Obok niego dwoje asesorów. Asesorka wyglądająca na nauczycielkę wyraźnie mi sprzyjała. Natomiast asesor pozostawił wrażenie człowieka mało inteligentnego i bardzo nie lubiącego „popów". O ile główny sędzia i asesorka rozmawiali ze mną grzecznie i dość swobodnie, o tyle asesor milczał napuszony odzywając się tylko jeden raz. A było to tak:

Główny sędzia zapytał się, dlaczego nie skorzystałem z repatriacji i pozostałem w Związku Radzieckim? Odpowiedziałem, że uczyniłem to ze względów ideowych, dla pracy duszpasterskiej wśród tak bardzo jej potrzebujących, a nie mających swoich kapłanów wierzących katolików Związku Radzieckiego. Ta moja odpowiedź najwidoczniej wyprowadziła z równowagi pana asesora. Otworzył on swoje usta i rzekł:

„Co wy nam gadacie o jakichś względach ideowych? Jasną jest rzeczą, że wy zostaliście w Związku Radzieckim tylko ze względów materialnych. Wyście sobie obliczyli, że za wasze 'treby' (chrzty, śluby, pogrzeby, czyli *iura stolae*) uzyskacie większy dochód w Związku Radzieckim, niż byście mogli uzyskać w Polskiej Republice Ludowej i dlatego pozostaliście w Związku Radzieckim. A nam 'ne puskajte pył w głaza' („nie sypcie piasku w oczy").

Na tę filipikę odparłem *stante pede*: „Gdybym kierował się względami materialnymi, to byłbym – proszę mi darować ostre słowo – idiotą pozostając w Związku Radzieckim. W Polsce otrzymałbym kościół parafialny ze stałym dochodem, mógłbym w nim legalnie i spokojnie pracować, a w Związku Radzieckim muszę siedzieć na ławie oskarżonych".

Pan asesor zamilkł i więcej już do końca sądu nie otworzył swoich ust. Są ludzie, którzy nie chcą uznać, że nawet pogardzany „pop" może się kierować w życiu względami ideowymi. Daleki jestem od wyniosłego poniżania względów materialnych, zwłaszcza w życiu ludzi familijnych. Ale mówiąc stylem biblijnym – biada

człowiekowi zapominającemu o słowach Zbawiciela, iż: „nie samym tylko chlebem żyje człowiek, ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych".

Tak więc spełniła się moja intencja z dnia 22 stycznia 1945 r. Już długie lata mieszkam i pracuję na wschodzie, a to nie tylko w skali polskiej, ale nawet i w skali radzieckiej. Wszak we wschodniej, azjatyckiej części Związku Radzieckiego leżą zarówno sama Karaganda, jak i wszystkie inne miejscowości, które odwiedziłem podczas moich podróży misyjnych. Praca duszpasterska tak w Karagandzie z bliższą okolicą jak i na „misjach" będzie głównym tematem trzeciej części tego pisma.

Już teraz przypomnę, że moje zesłanie administracyjne do Karagandy trwało tylko pierwsze niecałe dwa lata. Wtedy cała praca duszpasterska odbywała się tylko w Karagandzie i nie mogło być mowy o żadnych podróżach misyjnych.

W maju 1956 r. zostałem zwolniony z zesłania i otrzymałem paszport, jako już pełnoprawny obywatel Związku Radzieckiego, który może się poruszać swobodnie bez niczyjego zezwolenia po całym ogromnym terytorium tego państwa, byleby tylko miał paszport przy sobie.

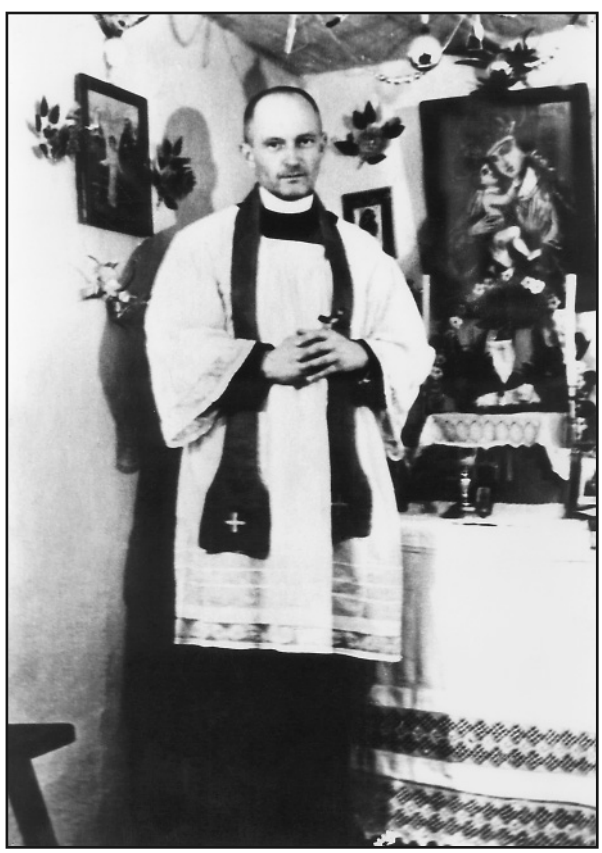

Ks. Władysław Bukowiński w małym kościółku w Karagandzie w latach 1956–1957

Wkrótce zwolniłem się z pracy stróża nocnego w przedsiębiorstwie budowlanym i jeszcze w tym samym 1956 roku odbyłem trzy pierwsze, na razie niedalekie podróże misyjne, by w następnych latach 1957 i 1958 osiągnąć szczyt częstotliwości i zasięgu całego dotychczasowego mojego misjonarstwa.

[...]

Bardzo często księża stawiają mi pytanie, jak można uprawiać duszpasterstwo bez kościoła? Można! Wszak na 12 lat mojej pracy w Karagandzie tylko jeden rok miałem kościółek, a 11 lat pracuję bez żadnego kościoła lub domu modlitwy.

Był czas, że zaczęto w różnych miejscowościach otwierać małe kościółki, raczej kapliczki, ale bez zezwolenia władz państwowych. Poinformuję, jak to było w Karagan-

dzie. Trzeba wiedzieć, że był czas, kiedy w naszej Karagandzie było na zesłaniu kilkunastu księży katolickich. Było to w latach 1955–56–57. Jeden z tych księży – Litwin – dobrze władający językiem niemieckim, uruchomił wiosną 1956 r. taki kościółek dla Niemców w śródmieściu, lecz nie w jego reprezentacyjnej części. Zachęcony przykładem przyczyniłem się do otwarcia kościółka dla Polaków na przedmieściu, gdzie ich najwięcej mieszka. Równocześnie jeden ksiądz, Ukrainiec, postarał się o kościółek dla grekokatolików, także nie w reprezentacyjnej części.

Jak się to odbywało? Bardzo prosto! Wierni składali ofiary. Kupowano dom. Usuwano kilka wewnętrznych ścian i w ten sposób z kilku małych pokoików powstawał jeden wielki pokój lub – jak kto woli – mała sala. Wystawiono i urządzono ołtarz, po czym poświęcono kościółek i rozpoczynano w nim odprawiać nabożeństwa, a wciąż dalej starano się lepiej zaopatrzyć i ozdobić swój rzeczywiście umiłowany kościółek.

Niestety, wszystkie trzy kościółki w Karagandzie były bardzo krótkowieczne. Najpierw, wiosną 1957 r., władze zamknęły kościółek ukraiński, w maju tegoż roku niemiecki, a na ostatku, dnia 4 lipca – polski. Ten polski kościółek w Karagandzie pracował równo rok. Ksiądz Józef Kuczyński poświęcił go 29 czerwca 1956 r., a już 4 lipca 1957 r. nasz biedny kościółek zakończył swój krótkotrwały żywot, został przez władze zamknięty i nawet opieczętowany, a jak opłakiwany, to chyba tylko Bóg wie… […]

Jakże więc wygląda moja praca duszpasterska bez kościółka w Karagandzie?

Jestem ustawicznie domokrążcą. Nie urządzam żadnych większych nabożeństw u siebie w domu, bo bardzo łatwo władze mogłyby mnie oskarżyć o nielegalny kościół. Jeżeli odprawiam Mszę św. u siebie, to przychodzi kilka pobożnych babek. „I wsio". Całe moje duszpasterstwo dokonuje się w cudzych domach, lecz w żadnym wypadku nie w jednym domu, chyba dopiero po pół roku, a nigdy zaraz następnym razem.

Nie każdy dom nadaje się do pracy duszpasterskiej. Najlepiej nadaje się domek jednorodzinny, położony na uboczu. Nie jest pożądane sąsiedztwo kina, szkoły lub klubu, a jeszcze mniej milicji. Trzeba zwracać baczną uwagę na to, żeby byli spokojni sąsiedzi.

W takim domu można spokojnie się modlić, a nawet głośno śpiewać, byleby tylko były pozamykane drzwi i okna.

Mszę św. można w naszych warunkach odprawiać raniutko lub wieczorem. W dzień odprawiam tylko mszę pogrzebową przy zwłokach.

[…]

Najczęściej pierwszą mszę odprawiam za żywych członków rodziny, a drugą za zmarłych. Cała rodzina spowiada się i zwykle dwa razy – wieczorem i rano – przyjmuje Komunię św. Jakie to ma znaczenie dla życia rodzinnego, tym więcej, że nie ma tam kościółka, każdy łatwo zrozumie.

Ponieważ to powtarza się wciąż na nowo w różnych domach i rodzinach, więc sypiam częściej w cudzych łóżkach niż w swoim własnym.

Zawsze jestem u innych ludzi w nocy z niedzieli na poniedziałek. Oprócz tego, co najmniej jeden raz w tygodniu, powtarza się to samo w jakiś dzień powszedni, zwykle w środku tygodnia. Oczywiście, ma przy tym zastosowanie przysłowie *„Omnia mea mecum porto"* – wciąż trzeba transportować z miejsca na miejsce wszystko, co jest niezbędne do odprawiania Mszy św. i do szafowania sakramentów.

Karaganda jest bardzo rozległa. Moim ulubionym środkiem lokomocji jest samochód osobowy. Nie mam i nie mogę mieć własnego samochodu, czasem korzystam z dobroczynności moich parafian, najczęściej jednak sam je opłacam. W ten sposób najłatwiej i bez zwracania niczyjej uwagi da się urzeczywistnić transport nie tylko samego „jegomościa", lecz razem z nim i rzeczy kościelnych.

Frekwencja wiernych na nabożeństwach w Karagandzie jest dość znaczna. W niedzielę przychodzi na Mszę świętą nie mniej niż sto osób. W dzień powszedni zbiera się około 50. W niedzielę wierni i bez księdza urządzają nabożeństwa, bo jest niemożliwe, by wszyscy byli na Mszy świętej przez księdza odprawianej. Jeżeli mieszkanie jest ciasne, to bywa bardzo ciasno i gorąco. Jeżeli jest obszerniejsze, to ludzie mieszczą się dobrze, tylko zazwyczaj nie wszyscy mogą widzieć ołtarza.

[…]

Wśród ludności katolickiej bardzo szeroko rozeszła się fama, że w Karagandzie zawsze można znaleźć księdza. I ludzie jadą do księdza. Nie mówiąc już o samym Kazachstanie ludzie jadą z południa, z republik Azji Środkowej, czyli z byłego Turkiestanu. Jadą z północy, nieraz aż z Archangielska, choć stamtąd znacznie bliżej do Moskwy niż do Karagandy. Jadą z zachodu, aż z Powołża. Jadą ze wschodu, aż z głębi Syberii. Nie zawsze jadą tylko do księdza. Jadą do krewnych, ale zarazem także i do księdza.

Jakże często wśród tych przyjezdnych i nie tylko wśród nich, są tacy, co nie spowiadali się bardzo wiele lat: bywa, że 20 lat, ale bywa, że nawet 40 lat! A może jeszcze częściej bywają tacy, co się nie spowiadali ani razu w życiu. Najstarsze „dziecko", które przystąpiło u mnie do pierwszej Komunii świętej, była to pewna wdowa licząca sobie 52 wiosny życia. A takich, którzy przyjęli u mnie pierwszą Komunię świętą mając 40 lat [i ponad 40 lat], trudno byłoby porachować. Tak samo jest u każdego duszpasterza w tamtych stronach.

Choć więc praca duszpasterska w naszej trzeciej zonie, jest w zasadzie taka sama jak na całym świecie, bo tak samo chrzcimy, spowiadamy, odprawiamy Mszę świętą, udzielamy Komunii świętej, błogosławimy związki małżeńskie i dysponujemy na śmierć chrześcijańską – to jednak ma ona pewne osobliwości.

[…]

Nie licząc krótszych podróży misyjnych do niedalekich miejscowości, bo były i takie, odbyłem osiem wielkich wypraw misyjnych. Z nich pięć jeszcze przed moim aresztowaniem, a trzy w ostatnich latach po uwolnieniu z więzienia.

Z tych ośmiu wypraw misyjnych połowa, bo cztery, były do Turkiestanu, republiki związkowej położonej na skrajnym południu ZSRR, na granicy z Afganistanem. Tam od 1947 r. mieszka dużo przesiedleńców – Niemców katolików, którzy przed wojną mieszkali w okolicy Odessy.

Grupa młodszych dzieci przygotowana przez ks. W. Bukowińskiego do Pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej w Karagandzie

Grupa starszych dzieci i dorosłych przygotowana przez ks. W. Bukowińskiego do Pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej w Karagandzie

Ks. Bukowiński w ornacie i albie ofiarowanej przez wiernych w Karagandzie

Jedna wyprawa była również w kierunku południowym, w okolice Ałma-Aty, gdzie objechałem miejscowości zamieszkane przez Polaków przesiedlonych z Ukrainy w 1936 r.

Dwie wyprawy misyjne były na zachód, do miasta Aktiubińska z okolicą. I wreszcie jedna wyprawa była na wschód do Semipałatyńska i niektórych innych miejscowości w tamtych stronach. Tylko na północ od Karagandy nie urządzałem żadnych większych wypraw misyjnych, bo tam działali Bronisław i Józef, a potem tam częściej pokazywali się inni księża.

Najkrótsza z tych wypraw misyjnych trwała miesiąc, najdłuższa cztery miesiące. Połowa tych wypraw misyjnych, bo cztery, zakończyły się pomyślnie, bez interwencji miejscowych władz. Pozostałe cztery wyprawy musiały ulec skróceniu i nie zostały dokończone wskutek interwencji władz.

W 1957 i 1958 roku odbyłem aż pięć wypraw misyjnych, natomiast dwie wyprawy w roku 1963, w tym jedną skrócono. Ostatnia wyprawa misyjna do Tadżykistanu trwała od grudnia 1967 r. do marca 1968 r. i też została przerwana w tydzień przed planowanym przeze mnie jej zakończeniem. […]

W czerwcu 1957 r. objeżdżałem polskie wioski w okolicy Ałma-Aty. Przeżyłem tam wiele głęboko wzruszających momentów.

W jednej wiosce dosłownie cała wieś czekała na mnie. Kiedy przyjechałem (samochodem osobowym), dziewczęta odświętnie ubrane otoczyły mnie wieńcem jak prymicjanta i wprowadziły do domu przeznaczonego na nabożeństwo, a lud cały śpiewał bardzo pięknie „Kto się w opiekę odda Panu swemu". W innej wiosce powitał mnie krótkim przemówieniem w obecności licznie zgromadzonego ludu miejscowy patriarcha, pan Stanisław Lewicki. Było to chyba najbardziej wzruszające przemówienie wygłoszone do mnie w całym życiu. Pan Lewicki mówił: „Wywieźli nas pod te góry, zostawili tutaj i wszyscy zapomnieli o nas. Nikt o nas nie pamiętał. Dopiero Ojciec Duchowny do nas przyjechał. My takie sieroty, my takie sieroty". Płakał czcigodny patriarcha, płakał cały zebrany lud, płakał i ksiądz razem z nimi. Ale to były dobre łzy…

Otóż któregoś dnia czerwcowego przyjeżdżam z jednej wioski do drugiej. Droga była daleka, ok. 30 km. Jechałem kiepską furką zaprzężoną w parę niepozornych koników. Ubrany byłem całkiem niereprezentacyjnie. Dość porządną walizkę miałem ukrytą pod słomą, żeby nie zwracała niczyjej uwagi. Cóż, kiedy droga była przeważnie polna, kiepska furka mocno trzęsła i raz po raz walizka wyskakiwała spod słomy, tak, iż trzeba było kilka razy w drodze przystanąć, aby ją znowu ukryć. Był przepiękny dzień czerwcowy w pełnym blasku popołudniowego słońca. Ani chmurki na niebie. Na prawo od nas obszerna, urodzajna równina, na lewo majestatyczne pasmo gór o szczytach pokrytych śniegiem. I wówczas poczułem się bardzo szczęśliwy i wdzięczny Opatrzności za to, że mnie tam przyprowadziła do tych tak biednych i opuszczonych, a przecież tak bardzo wierzących i miłujących braci i sióstr w Chrystusie. Tego szczęścia doznanego na owej trzęsącej się furce nie zamieniłbym na największe zaszczyty i przyjemności. Nieraz później, zwłaszcza w ciężkich chwilach, jakich mi nie brakowało, przypominałem sobie to olśniewające przeżycie.

Nie wiem, co przyniesie przyszłość, nawet najbliższa, mnie i moim przyjaciołom pracującym w duszpasterstwie w Związku Radzieckim. Nie wiemy, w jaki sposób Opatrzność Boża czuwać będzie nad naszym Kościołem w tym kraju. Wiem tylko jedno, iż słodkie jest jarzmo Chrystusowe, a brzemię Jego jest lekkie...

Kazimierz Burzyński

Nauczyciel

Pobyt na zesłaniu 1941–1946

WSPOMNIENIA Z ZESŁANIA

Autor poniższej relacji urodził się w 1927 roku w Zagożdżonie (obecnie Pionki) nieopodal Radomia. Tam jego ojciec, łomżyniak, pracował w warsztatach mechanicznych Wojskowej Wytwórni Prochu i Materiałów Kruszących. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Łomży, skąd 21 czerwca 1941 roku deportowany został wraz z rodziną do Kazachstanu. Pracował tam jako robotnik rolny początkowo w sowchozie Dżireń-Kupa, a potem kolejno w kołchozach Żusasaj oraz Brusiłówka. Przed powrotem do Polski mieszkał w miasteczku Sol-Ileck, w w obwodzie Czkałowskim, gdzie zatrudniony był jako robotnik w szpitalu rejonowym. Na zesłaniu zmarli jego krewni – dziadek Jan (1941) oraz babcia Kazimiera (1943).

Do kraju powrócił w 1946 roku. Wraz z rodziną zamieszkał w Łomży. Tam początkowo uczył się w gimnazjum, maturę zaś uzyskał w Liceum Przemysłu Drzewnego (1951). W liceum tym rozpoczął pracę zawodową w warsztatach, które przygotowywały uczniów do zawodu. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera mechanicznej technologii drewna uczył przedmiotów związanych z tą specjalnością oraz opracował program nauczania z tego zakresu. Jego autorstwa jest podręcznik pt. *Konstrukcje wyrobów z drewna*, wydany w 1983 roku.

Opublikował też *Wspomnienia sybiraka*. Pierwsza edycja ukazała się w roku 2004, druga w 2012 – obie w Łomży. Książka pomnaża zakres wiedzy o losach Polaków na zesłaniu, w okresie II wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Dopełnia ona wiedzy o życiu Polaków zesłanych do Kazachstanu odtworzonym z zasobów pamięci, korespondujących z dewizą Związku Sybiraków „Umarłym pamięć. Żyjącym pojednanie!" Z nakładających się warstw tej pamięci powstała właśnie ta interesująca książka.*

Podstawa relacji: K. Burzyński, *Wspomnienia sybiraka*, Łomża 2004.

* Informacje biograficzne: przekaz autora relacji.

Od początku 1942 roku zaczęły dziać się rzeczy, które były następstwem umowy Sikorski–Majski. Zaczęły dochodzić wiadomości o organizującej się w Buzułuku, Tatiszczewie i Tockoje Armii Polskiej. Odnajdywały się rodziny. Dzięki temu, że ich synowie służyli w Armii Andersa, dwóm rodzinom spośród naszej społeczności udało się opuścić Dżireń-Kupę i wyjechać później do Iranu. Kiedy

14 marca przyjechał do wsi pierwszy wojskowy, dla Polaków ten dzień stał się wielkim świętem. Każdy chciał zobaczyć polskiego żołnierza, dotknąć jego munduru, nacieszyć się widokiem orzełka na czapce.

18 lutego otrzymaliśmy po raz pierwszy amerykańską pomoc. Niewiele tego było wobec naszych potrzeb, ale świadomość, że są kraje, a w nich ludzie, którzy o nas wiedzą i o nas pamiętają, którzy chcą ulżyć naszej doli, znacznie podniosła nas na duchu. Oprócz darów rzeczowych rodziny wojskowych, rzadziej inne, otrzymywały od czasu do czasu zapomogi pieniężne, których wysokość oscylowała wokół kwoty 150 rubli, co przy bazarowych cenach było kwotą symboliczną.

Zwykle na przełomie marca-kwietnia dzikie kaczki zaczynały składać jaja. Przemierzałem wtedy step w różnych kierunkach robiąc nieraz wiele kilometrów, a gdy zbliżałem się do gniazda, kaczka z łopotem skrzydeł zrywała się spod moich nóg. Czasem jeszcze nic w nim nie było, a czasem znajdowałem kilka lub nawet kilkanaście jaj. Jeżeli w czasie transportu któreś pękło, wypijałem je. Nic nie mogło się zmarnować. Niestety takie wybieranie jaj trwało krótko, bo później trafiały się już tylko zalężone i nie nadawały się do spożycia.

Od chwili wywiezienia nikt z pełnoletnich Polaków nie miał żadnego dokumentu tożsamości. Dopiero na początku maja przywieźli dawno zapowiadane *udostowierienija* (zaświadczenia), ale NKWD rozdało je dopiero 14 maja. Ja jako niepełnoletni zostałem wpisany do zaświadczenia mamy.

Przy Armii Polskiej, która znajdowała się już w Uzbekistanie, utworzono organizację młodzieżową „Junacy". Łącznie z ochotniczkami z Pomocniczej Służby Kobiet tworzyła pokaźną grupę około 4500 młodych ludzi. O tej organizacji dowiedzieliśmy się z pisma otrzymanego z Aktiubińska, w którym zachęcano, aby kilkunastoletni chłopcy zgłaszali swój akces do niej. Rodzice zdecydowali, że mam jechać. Oprócz mnie zgłosiło się jeszcze dwóch chłopaków. Po wielu perypetiach udało nam się dotrzeć do Przedstawicielstwa Ambasady Polskiej w Aktiubińsku, skąd nas i innych chłopców miał zabrać do Jangi-Jul, miasteczka leżącego na południe od Taszkientu, jakiś polski wojskowy. Okazało się, że zgłosiliśmy się za późno. Kapral Ostrouch (tak nazywał się ów wojskowy) wyjechał przed dwoma dniami z grupą nastolatków. Pani z Przedstawicielstwa kazała nam zgłosić się do NKWD, gdzie mieliśmy otrzymać przepustki. Tam zwodzono nas dwa dni, zanim nam je wydano. Jeszcze jeden dzień zajęła, według tamtejszej nomenklatury, obróbka sanitarna. My to nazywaliśmy odwszalnią. Dopiero zaświadczenie z punktu dezynfekcyjnego i przepustka uprawniały do nabycia biletów. Po wielogodzinnym staniu w kolejce kupiliśmy je i wkrótce pociągiem Moskwa – Taszkient ruszyliśmy w drogę.

Gdzieś za Aralskiem wsiadł do naszego wagonu jakiś w średnim wieku Kazach ubrany w barwny chałat i w *tiubitiejce* (czapeczce bez daszka) na głowie. Miał ze sobą coś długiego zawiniętego w płótno. Wkrótce okazało się, że to coś jest instrumentem muzycznym, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Nasz nowy współtowarzysz podróży przedstawił się jako *narodnyj artist* (artysta ludowy). Po-

wiedział, że instrument, na którym gra, nazywa się *dombra*. Jego owalny korpus przypominał nieco korpus mandoliny, ale był bardziej płaski, natomiast szyjka była wąska i bardzo długa, zakończona płytą kołkową z zaledwie dwoma kołkami napinającymi dwie struny. Dopiero wiele lat później, w Polsce, dowiedziałem się, że *dombra* należy do bardzo licznej rodziny tzw. lutni długoszyjkowych wywodzącej się z Azji Centralnej. Kazach jechał z nami kilkaset kilometrów i długi czas umilał nam podróż śpiewem przy wtórze *dombry*. Muzyka nie przypominała w niczym tej, do której byliśmy przyzwyczajeni. Wprawdzie słyszałem już nieraz, jak śpiewali Kazachowie, wśród których żyliśmy, ale ich śpiew wydawał się bardziej prymitywny. A może byłem zasugerowany tym, że to śpiewa artysta ludowy?

Od miasta Kazalińsk trasa biegła wzdłuż Syr-Darii, najdłuższej rzeki w Azji Środkowej. Po prawej stronie za rzeką rozciągała się pustynia Kara-Kum, ale i po naszej krajobraz bardziej przypominał pustynię niż step. Zdziwiła nas duża liczba lśniących w słońcu jeziorek, jednak ktoś z pasażerów wytłumaczył nam, że to lśni nie woda, a sól. Były to tak zwane sołonczaki. Dopiero po przejechaniu kilkuset kilometrów oddaliliśmy się od rzeki.

Pierwszego września po południu dotarliśmy do Taszkientu, a wieczorem do stacji Kaufmanskaja, skąd do Jangi-Julu trzeba było jeszcze przejść kilka kilometrów pieszo. Czekała nas jednak niemiła niespodzianka. Napotkani przed dworcem polscy Żydzi poinformowali nas, że w Jangi-Julu nie ma już wojska, że wszyscy wraz z całym sztabem są już w pociągu, którym wkrótce odjadą do Krasnowodzka i dalej przez Morze Kaspijskie do Iranu. Niestety mieliśmy pecha. Wprawdzie przy jednym z peronów znaleźliśmy pociąg, ale z będącego już w ruchu wyrzucił nas – to nie do pojęcia – polski plutonowy! Do dziś mam przed oczami obraz żołnierza ubranego w battle-dress (mundur polowy), z trzema belkami na naramiennikach (tyle belek miał wtedy plutonowy) i naszywką POLAND na rękawie, wymyślającego nam po rosyjsku, chociaż tłumaczyliśmy po polsku, kim jesteśmy i w końcu wykopującego nas (dosłownie) z wagonu na peron.

Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy wracać na gapę. Przepustek nie mieliśmy, biletów nie mogliśmy, i nie mieliśmy za co kupić, bo na dworcu, na oczach tłumu ludzi, obrabowała nas banda *biesprizornych* (bez opieki) wyrostków. Jedno co mieliśmy, to około 1700 km do przebycia. Korzystaliśmy z różnych pociągów: towarowych, cystern, osobowych. Byliśmy wielokrotnie przeganiani, obrzucani kamieniami, obdzielani kopniakami, ale uparcie posuwaliśmy się na przód. Kilka wydarzeń z tej podróży szczególnie utkwiło mi w pamięci. Na którymś z kolejnych odcinków jechaliśmy na stopniach wagonu pociągu osobowego. Na stopniach sąsiedniego wagonu, ze względu na upał panujący we wnętrzu, jechało kilku sowieckich żołnierzy. Zajadali arbuzy i melony. Nam ślinka ciekła na ten widok, a oni pewnie dostrzegli w naszych oczach pożądliwość, bo któryś z nich spytał:

– *Czto riebiata, gołodnyje?* (– Co chłopcy, jesteście głodni?)

Kiwnęliśmy twierdząco głowami. Zawołali nas do siebie i obdarowali kilkoma dorodnymi owocami. W ciągu kilku minut znalazły się w naszych pustych żołąd-

kach. Wraz z częściowym zaspokojeniem głodu przyszła refleksja. Tam polski żołnierz wyrzuca nas z jadącego pociągu, a tu sowiecki wyciąga rękę, dzieląc się tym co ma. Kompletne przewartościowanie pojęć. Słowa „braterstwo", „przyjaciel", „wróg" nabierają zupełnie innego znaczenia. Załamuje się wiara w to, co uważało się za święte. Chaos w głowie, chaos w sercu.

Na którejś stacyjce, kiedy też osobowy pociąg ruszał, przeskoczyliśmy płotek oddzielający teren kolejowy i wskoczyliśmy do pulmana. Staliśmy w wejściu. Pociąg już pędził, kiedy z korytarza wyszedł sowiecki major. Odniósł się do nas całkiem przyjaźnie. Wypytał o okoliczności, które skłoniły nas do takiego sposobu podróżowania, o cel podróży, a jednocześnie ostrzegł, że w razie kontroli na pewno zostaniemy wyrzuceni. Dodał z nutką dumy w głosie, że w 1940 roku był w Warszawie, i że Warszawa bardzo mu się podobała. Wyszedł, ale za chwilę wrócił prowadząc młodą kobietę w mundurze konduktora. Powiedział jej kim jesteśmy i poprosił, aby się nami zaopiekowała. Pokazała nam swój służbowy przedział. Tam mieliśmy się schronić, gdyby pojawiła się kontrola. Opuścili nas, ale major znów wrócił niosąc bochenek chleba.

– Jedzcie na zdrowie – powiedział – pewnie jesteście głodni.

Znów wracają wspomnienia z Jangi-Julu, znów jawi się obraz plutonowego, znów nasuwają się porównania i znów mętlik w głowie.

Mimo takiej protekcji kilkuosobowa kontrola zaskoczyła nas. Wchodzili z dwóch stron wagonu uniemożliwiając ucieczkę. W ten sposób wyłapywali biesprizornych i uchylających się od służby wojskowej, i dezerterów, którzy podobno też się trafiali. Kiedy przyjechaliśmy na stację, było całkiem ciemno. Zaprowadzili nas do budynku, w którym mieściło się NKWD. Na piętrze na korytarzu aż gęsto od takich jak my. Spędziliśmy tam noc, a na drugi dzień dopiero koło południa zaczęli wzywać zatrzymanych przed oblicze jakiegoś naczelnika. Niektórych wypuszczali, innych wyprowadzali pod strażą.

Było całkiem późno, kiedy przyszła kolej na nas. Każdemu, po krótkim przesłuchaniu, grażdanin naczalnik (obywatel naczelnik) nakazał w ciągu 24 godzin zameldować się w Aralsku i podjąć pracę, albo wynosić się stąd. Kiedy po wyjściu zastanawialiśmy się, gdzie można spędzić noc, wypuścili następnego zatrzymanego – niewiele starszego od nas Rosjanina. Zaproponował, abyśmy poszli na dworzec, gdzie będzie łatwiej znaleźć miejsce na nocleg. Po drodze natknęliśmy się na jakiegoś kolejarza, który niósł kilka bochenków chleba. Nasz nowy kolega zaczepił go:

– Diadia! Prodaj chleba (– Wujku! Sprzedaj chleba).

Odpowiedział, że nie sprzeda, ale może na coś wymienić. Nasz Rosjanin zapytał, czy może być koszula. Zdziwiliśmy się, bo nic w rękach nie miał. Kiedy kolejarz przystał na propozycję, chłopak zdjął marynarkę i ściągnął koszulę z grzbietu, a marynarkę włożył na gołe ciało. Dostał za to dwa bochenki chleba. Poszliśmy dalej. Przed dworcem na placyku stała trybuna wykorzystywana pewno w czasie bolszewickich świąt. Od tyłu była na wysokości około metra obita deskami, ale z jednej strony brakowało kilku, więc przez otwór wślizgnęliśmy się pod podłogę.

Wspaniałe miejsce na nocleg, ale jeszcze wspanialsze było to, że nasz towarzysz rozdzielił chleb sprawiedliwie, każdemu po równo, tak jakbyśmy wnieśli jakiś wkład w jego zdobycie. Niesamowite! Jak solidarny może być człowiek! Jak prawdziwie ludzki! Do dziś na to wspomnienie odczuwam wielki szacunek dla niego i wielką wdzięczność.

O świcie poszliśmy jeszcze do portu, aby popatrzeć z bliska na to olbrzymie jezioro nazywane tu Aralskim Morzem. Wtedy jeszcze jego powierzchnia wynosiła ponad 66 tys. km^2. Zasilane było głównie wodami dwóch wielkich rzek Amu-Darii i Syr-Darii. Stalinowska polityka przeobrażania przyrody sprawiła, że z powierzchni Uzbekistanu, Turkiestanu i południowej części Kazachstanu zniknęły wszelkie uprawy. Zastąpiono je monokulturą bawełny. Do sztucznego nawadniania korzystano w sposób rabunkowy z wód obu dopływów. Doprowadziło to do tego, że od lat 70. Syr-Daria nie dociera do jeziora ginąc w piaskach pustyni, a Amu-Daria dociera tylko okresowo. Jezioro gwałtownie wysycha i w końcu lat 90. jego powierzchnia skurczyła się do 33 tys. km^2. Aralsk, podobnie jak leżący na południu Mujnak i inne mniejsze miasta, przestał być portem i ośrodkiem rybołówstwa. Wszystkie teraz leżą na pustyni dziesiątki kilometrów od brzegu.

Tu pożegnaliśmy naszego rosyjskiego przyjaciela. Miał inne plany i nie zamierzał jechać z nami na północ. Nam wkrótce udało się złapać pociąg jadący w naszym kierunku, ale jeszcze kilkakrotnie musieliśmy się przesiadać na inne. Ostatni etap z Aktiubińska do Sol-Ilecka przejechaliśmy niemal w komfortowych warunkach. Konduktorka pozwoliła nam ulokować się w przedziale obok innych pasażerów. Jechaliśmy nocą i dziwiła się, że wymienialiśmy kolejne miasta zanim do nich dotarliśmy: Martuk, Jajsan, Akbułak i wreszcie Sol-Ileck. Tu poczuliśmy się jak w domu. Ponieważ jeszcze nie świtało, poszliśmy do domu noclegowego naszego sowchozu i na podłodze przespaliśmy się do rana, po czym nie zwlekając ruszyliśmy pieszo w dalszą drogę.

Niespełna dziesięć kilometrów na południe od Sol-Ilecka płynie Ilek. Przebyliśmy go w bród (mostów w takich miejscach nie było) i znaleźliśmy się wśród bachczi ciągnących się po obu stronach drogi. Bachcza to pole w stepie zasiane arbuzami i melonami. W tamtych stronach często spotykało się takie basztany w pobliżu wsi zamieszkałych przez Rosjan lub Ukraińców. Kazachowie tego typu uprawami się nie zajmowali. Wielkie kule owoców widać było z daleka, ale co kilkaset metrów stały szałasy i kręcili się strażnicy. Mimo to udało się nam podkraść tyle arbuzów i melonów, że zaspokoiliśmy i głód i pragnienie.

W Dżireń-Kupie również był taki basztan, na który robiliśmy nieraz nocne wyprawy. Czołgaliśmy się po plantacji, bo też była pilnowana, a zerwane owoce ładowaliśmy do worków ciągniętych za sobą. Mieliśmy chyba dużo szczęścia, bo nie pamiętam, aby nas kiedykolwiek na tym procederze przyłapano. Pod wieczór ukazały się w oddali zabudowania wsi. To dodało sił naszym zmęczonym całodziennym marszem nogom. Jeszcze przyśpieszyliśmy kroku i po przekroczeniu w bród Chobdy rozeszliśmy się każdy do swego domu.

Pierwszą spotkałem mamę.

– Synku kochany! To ty? – Zawołała z niedowierzaniem. Uściskom, całusom i łzom nie było końca. Podobnie wyglądało powitanie z babcią i ojcem. Zdziwienie moim powrotem było tym większe, że akurat wczoraj otrzymali mój list wysłany z drogi do Jangi-Jul. Musiałem oczywiście streścić cały przebieg naszej eskapady, a przy okazji dowiedziałem się, że jest już 10 września. W podróży, licząc od wyjścia z Dżireń-Kupy byliśmy ponad trzy tygodnie. W tym czasie przejechaliśmy i przeszliśmy prawie 4 tys. kilometrów.

23 września, licząc na pewną poprawę warunków, przenieśliśmy się do kołchozu Brusiłówka leżącego 12 km na północ od Dżrień-Kupy. Jak na tamtejsze warunki był to dosyć bogaty kołchoz. Każda rodzina miała jakąś krowinę, parę owiec trochę kur, gęsi, a nad rzeką niewielki spłachetek ziemi, coś w rodzaju ogródka przydomowego, albo działki. Tu urwały się niemal wszystkie moje kontakty z Kazachami, bo mieszkańcami wsi byli w większości Rosjanie i Ukraińcy, do których kulturowo było nam wszystkim znacznie bliżej niż do Kazachów.

Tu jednak miałem okazję zobaczyć, jak Kazaszki wyrabiały z mleka swoje narodowe specjały: *irumszik* (akcent na ostatniej sylabie), *sarsę* i *kurt*. Zobaczyć, ale i spróbować. Gospodynie w żeliwnym kotle bardzo długo gotowały mleko. Nie wiem, czy dodawały coś do niego, ale raczej nie. Po jakimś czasie wytrącał się twaróg. Wybierały go na matę i suszyły na słońcu. Jego kawałki miały kształt poskręcanych uszek koloru jasnobrązowego, a smak słodkawy. Był to irumszik. Kazachowie często pogryzali go popijając herbatę.

Pozostała serwatka była nadal gotowana, aż po odparowaniu pozostawała na dnie gęsta, brązowa papka. Marża (żona, a bardziej ogólnie – kobieta) lepiła z niej okrągły placuszek średnicy około 10 cm o grubości około 2 cm, i wkładała go do wyschnięcia najczęściej na dach chaty. To była *sarsa*. Trudno po tylu latach dokładnie określić jej smak, ale na pewno była gorzko-kwaśno-słodka. Kiedyś przechodząc koło jakiejś lepianki zauważyłem dwie suszące się *sarsy*. Ślina gwałtownie napłynęła mi do ust, a żołądek burczeniem dopominał się o napełnienie go. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Podkradłem się, chwyciłem obie i popędziłem w step, aby je w spokoju skonsumować. Na moje szczęście nikt nie zauważył kradzieży i nikt mnie nie gonił. Jak bardzo mi wtedy smakowały! Aby zrobić *kurt*, mleko należało mocno przekwasić i twaróg z niego powiesić w worku do odsączenia serwatki. Do bardzo kwaśnego i niezbyt zachęcająco pachnącego dodawano nieco mąki, wyrabiano i formowano bryłki wielkością i kształtem zbliżone do naszych małych oscypków, a następnie rozkładano do wysuszenia. Poza kwaśnym smakiem kurt odznaczał się mało przyjemnym zapachem. Moja cioteczna siostra – Alusia – nieraz wspomina te wyroby, bo jako mała dziewczynka często była nimi ugaszczana przez Kazaszki litujące się nad stale głodnym dzieckiem. Do dziś zresztą czuje wdzięczność do tych nieznanych kobiet.

Życie w Brusiłówce miało pewne plusy, ale i poważne minusy. Zresztą wszędzie sytuacja Polaków po wyjeździe Armii gen. W. Andersa do Iranu uległa pogorszeniu. Zaczęły się represje, odebrano nam udostowierienija, zmuszono do przyj-

mowania sowieckich paszportów, a tym samym sowieckiego obywatelstwa, wiele osób aresztowano. W końcu marca 1943 r. pan Stanisław Polak, który uczył nas w funkcjonującej zaledwie trzy miesiące szkółce, mój przyjaciel Zbyszek Pieńkowski i ja dostaliśmy wezwanie do Chobdy w celu stawienia się przed komisją poborową. Zawiózł nas Kazach saniami zaprzężonymi w wielbłąda. Pana Stanisława, podobnie jak wielu innych, zatrzymali, a mnie i Zbyszka zwolnili. Wracaliśmy do domu około 120 km pieszo już w czasie trwających roztopów. Pan Stanisław był podobno w tak zwanym batalionie pracy gdzieś pod Moskwą, skąd uciekł, ale został złapany i wszelki ślad po nim zaginął.

My ze Zbyszkiem pierwszego dnia pod wieczór napotkaliśmy dwie bazy, w których trzymano bydło, a w wydzielonych kilku małych izdebkach mieszkali Kazachowie. W pierwszej bazie nie chciano nas przyjąć i jeszcze poszczuto psami, natomiast w drugiej samotna Kazaszka, nie dość, że pozwoliła przenocować, to jeszcze udzieliła jakiejś nędznej strawy – podzieliła się tym, co miała i podtrzymywała całą noc ogień susząc naszą przemoczoną odzież. Spaliśmy na polepie przy glinianym piecu, ale w ścianie były szpary i przez noc nawiało na nas nieco śniegu. Gospodyni, to słowo brzmi jak tytuł arystokratyczny przy jej widocznej mizerii, użaliła się, że jest sama, bo jej syna zabrali do wojska i być może na froncie poniewiera się gdzieś tak jak my. Byliśmy ogromnie wdzięczni za jej dobre serce, bo gdyby nie ona przyszłoby nam spędzić noc na dworze, albo wcisnąć się cichaczem między krowy.

Dalsza droga była drogą przez mękę. Gwałtownie topniejący śnieg sprawił, że każdy jar zamienił się w rwący potok, a małą latem rzeczkę Tumanczę, lewy dopływ Bolszoj Chobdy przechodziliśmy po spiętrzonych krach tworzących zator. Wróciliśmy do domu w opłakanym stanie. 24 maja dziewięcioro Polaków zostało zmobilizowanych na *trudowoj front* czyli tak zwany front pracy (coś w rodzaju niemieckich robót przymusowych). Wśród tej dziewiątki znalazł się Zbyszek i ja. Mobilizacja odbywała się na takiej zasadzie, że kołchozowi nakazywano wysłać na front określoną liczbę osób. Przewodniczący chroniąc swoich kierował Polaków. Podczas całego mego pobytu w Brusiłówce ani razu nie zdarzyło się, aby zmobilizowano kogoś z Rosjan. Zawieźli nas siedem kilometrów na zachód od Sol-Ilecka i wysadzili przy torze kolejowym, na którym stał pociąg złożony z wagonów towarowych. Okazało się, że to ma być nasz hotel robotniczy. Miejsce to według oficjalnej nomenklatury nazywało się Kołonna nr 3 (Kolumna nr 3). Byliśmy na budowie linii kolejowej łączącej Sol-Ileck przez Aksaj z Uralskiem. Przeglądając starsze mapy można stwierdzić, że takiej linii nie ma, natomiast na mapach powojennych jest. Musiała zatem powstać w czasie wojny, a my ją budowaliśmy.

Praca była niesłychanie ciężka. Wszystko wykonywano ręcznie: wykopy, wynoszenie ziemi, układanie podkładów i szyn. Żadnej mechanizacji. Dla mnie, wówczas szesnastolatka, przy głodowych racjach żywnościowych, była to praca zabójcza. Po trzech tygodniach w niedzielę 13 czerwca uciekłem. Zbyszek uciekł dwa tygodnie po mnie, a jakiś czas po nim dwie siostry Stasia i Jadzia Bronowi-

czówny. Wszyscy początkowo ukrywaliśmy się nie wychodząc w dzień z domów. Tajemnicą pozostaje fakt, że Zbyszek i ja nie znaleźliśmy się w sferze zainteresowań NKWD i nie doznaliśmy żadnych represji. Starsze od nas siostry wytropili i postawili w Aktiubińsku przed trybunałem wojennym oskarżając je o dezercję. Stasię skazano na pięć lat więzienia, Jadzię na pięć lat przymusowych robót. Pierwszą wywieziono do Taszkientu, a następnie przerzucono do Czymkientu, gdzie na skutek pracy ponad siły i głodu zmarła w 1944 roku. Jadzia jakiś czas pracowała w Aktiubińsku, a gdy mieli ją wysłać na północ w tajgę, jeszcze raz zaryzykowała i znów uciekła. Pół roku ukrywała się w Brusiłówce, a następnie cichaczem przeniosła się do Dżireń-Kupy.

Jakiś czas potem znów otrzymałem wezwanie na *trudowoj front*. Tym razem nawet napisali, gdzie będę skierowany. Był to Niżnyj Tagił, miasto położone około 1000 km na północ od Czkałowa, jeszcze za Czelabińskiem i Swierdłowskiem, w Środkowym Uralu. Jest to jeden z najstarszych ośrodków górniczych na Uralu liczący sobie ponad dwa wieki, z rozwiniętym przemysłem hutniczym, maszynowym i innymi. Było oczywiste, że stamtąd nie będzie dla mnie powrotu. Postanowiłem uciekać z Brusiłówki, zanim mnie wywiozą.

Z sowchozów, jako przedsiębiorstw państwowych, nie mobilizowano ludzi na front pracy, w przeciwieństwie do kołchozów, które teoretycznie były niepaństwowe i miały „przywilej" dostarczania taniej siły roboczej instytucjom państwowym. Najbliżej miałem do Dźireń-Kupy i tam postanowiłem wiać. W końcu września przenieśli się z Brusiłówki rodzice z babcią. Zamieszkaliśmy w bardzo dużej izbie w budynku przypominającym bazę dla bydła, ale częściowo znajdującym się poniżej poziomu gruntu. Dwa okienka takie jak w wagonie towarowym znajdowały się niemal pod sufitem, a rozmieszczone były po przekątnej izby. To od strony drogi umożliwiało obserwowanie tylko nóg poniżej kolan osób przechodzących obok domu. Tu drugiego października kolejny cios dotknął naszą rodzinę. Po krótkiej chorobie zmarła babcia. Z pięciorga wywiezionych zostało nas już tylko troje.

Wkrótce nadeszła kolejna, trzecia już zima na zesłaniu. Żadne wróżby wieszczące szybki koniec wojny i powrót do Polski nie ziściły się. Jednak każda pomyślniejsza wiadomość ożywiała na nowo nasze nadzieje. Bitwę pod Stalingradem, bitwę pod Kurskiem, a nawet powstanie Związku Patriotów Polskich przyjmowaliśmy jako kolejne etapy przybliżające koniec naszej tułaczki.

Wzorem poprzednich lat przygotowaliśmy już wcześniej pryzmę kiziaku i stertę opału roślinnego, w którym przeważał tak zwany katun. Nie znalazłem nigdzie odpowiednika polskiego tego słowa. Na stepie roślina ta przyjmuje kształt kuli Po wyschnięciu ma kolor żółtopomarańczowy. Każdy silniejszy podmuch wiatru odrywa ją od ziemi i toczy po stepie. Stąd nazwa katun, bo *katitsia* znaczy tyle, co toczyć się. Łapaliśmy takie toczące się kule, ugniataliśmy w wiązki i nosiliśmy na plecach pod dom układając stertę. Do wyciągania ze sterty służył diorgacz. Można by to przetłumaczyć jako szarpacz (*diorgat* – szarpać, targać, wyrywać). Był to pręt metalowy zakończony z jednej strony jak harpun, a z drugiej wygięty na kształt

uchwytu. Wbijało się go w stertę i wyszarpywało z niej pęczki opału. Poza katunem mógł to być burzan, mogła być trzcina lub cokolwiek innego. Wszystkie te rodzaje opału wymagały stałego podkładania. Aby cokolwiek ugotować, trzeba było spalić ogromne jego ilości. Kuchnie miały odpowiednio duże drzwiczki, przez które jedna osoba pilnująca ognia musiała co chwila dokładać świeżą porcję. Kiziak był znacznie lepszym opałem o kaloryczności zbliżonej do kaloryczności torfu.

Na początku grudnia jeden z brygadzistów powiedział mi, że mam popędzić tabun koni do leżącego mniej więcej w połowie drogi do Chobdy sowchozu Akrab. Dostałem delegację ważną pięć dni i dziewiątego grudnia o świcie ruszyłem z ponad dwudziestką koni w drogę. Mróz był siarczysty, na pewno dużo poniżej –20°C. Nie miałem walonek, a ojca buty z cholewami, nie zabezpieczały zbytnio przed takim mrozem. Zrobiło mi się zimno w nogi, więc zacząłem nimi uderzać o boki konia, próbując je w ten sposób rozgrzać. Rzeczywiście po jakimś czasie przestałem odczuwać chłód. Pod wieczór dotarłem do sowchozu. Jakiś pracownik biurowy oznajmił mi, że konie mam popędzić jeszcze kilkanaście kilometrów dalej, do którejś fermy, jednak ze względu na zapadający zmierzch kazał mi się ulokować z moim stadem na noc w bazie. Umieściłem koniki przy żłobach, nakładłem im siana, a sam umościłem sobie w jednym z tych żłobów posłanie i ułożyłem się do snu.

Następnego dnia nim dotarłem na miejsce, znów zaczął zapadać zmierzch. Zimą to naturalne. Ferma składała się z kilku nędznych lepianek. W jednej z nich, w maleńkiej izdebce, mieszkał samotny stary Kazach, któremu przekazałem stado. We wnętrzu panowało przyjemne ciepło, więc rozebrałem się, podczas gdy on poszedł gdzieś ulokować konie. Gdy wrócił zaparzył herbatę, zrobił coś do jedzenia, po czym pokazał, w którym miejscu na podłodze będę spał. Od wyjazdu z domu był to mój pierwszy ciepły posiłek. Siadłem na posłaniu i zacząłem ściągać buty. Czułem, że coś jest nie w porządku z moimi nogami. Gdy zdjąłem skarpetki zobaczyłem, że lewa stopa od małego palca po piętę jest czarna. Niewiele lepiej wyglądała prawa. Kazach na to wykrzyknął:

– *Oj purmaj, kutuk Żumabaj!* – Okrzyk zdziwienia i przerażenia, coś w rodzaju naszego „O rany Julek!", a Żumabaj to Kazaskie imię męskie.

– *Propał noga!* – dodał, czyli nogi przepadły.

Tu należy wyjaśnić, że z reguły starzy Kazachowie, chociaż i część młodszych, źle mówili po rosyjsku. Przypominało to mowę sienkiewiczowskiego Kalego z *W pustyni i w puszczy*: „Kali powiedzieć, Kali zrobić itp.".

Położyłem się, ale wkrótce nogi zaczęły odmarzać. Ból niesamowity. Powstrzymywałem się całym wysiłkiem woli, żeby nie wyć. Po jakimś czasie ból zelżał na tyle, że trochę się zdrzemnąłem. Było jeszcze ciemno, kiedy gospodarz zaczął się krzątać. Miał jechać do centrali i chciał tam być możliwie wcześnie. Zapalił kopciłkę – buteleczkę wypełnioną naftą z osadzonym w niej knotem. Przy jej nikłym blasku zobaczyłem, że nogi nie dość, że są czarne to jeszcze spuchnięte i porobiły się na nich bąble wypełnione krwawą cieczą. Skarpetki jakoś wciągnąłem, ale każda próba włożenia buta powodowała znów okropny ból. Wyszedłem w skarpetkach

na dwór, siadłem na znajdującej się przed chatą ośnieżonej pryzmie nawozu i ponowiłem próbę. Łzy ciekły mi jak groch.

Udało mi się z wielkim trudem i w wielkim bólu wsunąć nogi tak, że pięty znajdowały się nad napiętkami. Podobny układ stopy mają panie chodzące w pantoflach na bardzo wysokich obcasach. Wgramoliłem się jakoś na konia i ruszyliśmy – Kazach na przedzie saniami, ja za nim. Wiał dosyć silny wiatr i prószył śnieg. Wkrótce zaczęło świtać. W Akrabie pożegnałem go serdecznie, podziękowałem za gościnę, jakiej mi udzielił i dalej pojechałem sam. Za Akrabem wiatr dął już bardzo mocno i sypał gęsty śnieg. Prawdziwy *buran* (zamieć śnieżna). Tu w Kazachstanie można go chyba porównać tylko z syberyjską purgą. Bywa tak, że nie da się dojrzeć nawet własnej wyciągniętej dłoni.

Kiedyś ojciec w czasie takiej śnieżycy wyszedł do sklepu. Mieliśmy do niego blisko, ale ojciec szedł długo na oślep zmagając się z wichurą. Szedł i szedł, a tu ani sklepu, ani żadnej chaty pozwalającej zlokalizować swoje położenie. Porządnie zmęczony natknął się na jakąś ścianę. Posuwając się wzdłuż niej dotarł do wrót. Szczęśliwie trafił na bazę. Kobiety, które tam pracowały przy krowach powiedziały, że jest w czwartej bazie. W centrali były takie cztery bazy rozstawione w jednej linii co kilkaset metrów. Czwarta znajdowała się najdalej, kilka kilometrów za wsią. To istny cud, że ojciec przypadkowo trafił na nią. Parę metrów w bok i poszedłby w niekończący się step. Nierzadkie były wypadki zabłądzenia i zamarznięcia. Człowiek przebijał się przez śnieg tracąc coraz bardziej siły. Gdy przysiadł na chwilę, aby odpocząć, już się nie podnosił. W domu bardzo niepokoiliśmy się długą nieobecnością ojca. Na szczęście *buran* wkrótce ucichł, a bywają takie, kiedy wieje kilka dni z rzędu.

[…]

Jechałem niezbyt szybko, bo nogi nie pozwalały mi utrzymywać się pewnie w strzemionach. Drogę było jeszcze widać, tym bardziej, że ktoś przede mną jechał saniami i śnieg nie zdążył zasypać śladów. Jednak bardzo szybko ślady stawały się coraz mniej widoczne i wkrótce nie wiadomo było gdzie droga, gdzie step. Wokół jednakowa biała równina i tylko wycie wiatru niosącego kłęby śniegu ograniczającego widoczność do kilku metrów. Mimo dnia panował półmrok. Gdzieś, kiedyś wyczytałem, że konie posiadają nadzwyczajny instynkt i same potrafią odnaleźć drogę. W tym była moja jedyna nadzieja. Przestałem powodzić i po prostu położyłem cugle na łęku siodła zdając się całkowicie na konia.

Nie zawiodłem się na nim. Zauważyłem, że jesteśmy w kołchozie Krasnojarskim, kiedy wjechałem między chałupy. Z powodu zawiei nie sposób było dostrzec wsi z daleka. Nabrałem pewności, że nie zabłądzę w stepie, że dotrę do domu. Do Brusiłówki było już blisko, a stamtąd 12 kilometrów i Dżireń-Kupa. Wydawała mi się wtedy tym jedynym, najbardziej pożądanym miejscem na ziemi. W Brusiłówce zatrzymałem się przed domem, w którym mieszkali wywiezieni z nami państwo Kruszewscy. Akurat w oknie siedziały ich dwie córki – Wanda i jej starsza siostra Halina. Zapraszały mnie gestami do domu, ale ja byłem tak skostniały, że nie

mogłem nawet zsunąć się z konia. Widocznie zauważyły, że ze mną jest coś nie porządku i wyszły na dwór. Zdjęły mnie z siodła i zaniosły do mieszkania. Rozebrały mnie, a kiedy ściągnęły buty, były wprost przerażone widokiem moich nóg. Stan ich był jeszcze gorszy niż wczorajszego wieczora, bo po odtajaniu w chacie Kazacha, w czasie wielogodzinnej jazdy ponownie zamarzły.

U państwa Kruszewskich przeleżałem około dwóch miesięcy. Pomocy medycznej żadnej. Panie pielęgnowalny mnie, jak mogły najlepiej. Dwa razy dziennie opatrywały rozległe rany, które potworzyły mi się na nogach, a ja przecież żyłem i cały mój organizm funkcjonował normalnie ze wszystkimi jego fizjologicznymi potrzebami. Jestem dozgonnie wdzięczny całej tej szlachetnej rodzinie za to, co dla mnie zrobiła. Chyba to był już luty 1944 roku, kiedy rodzicom udało się wyprosić u dyrekcji sowchozu konia i sanie, którymi można by było przewieść mnie z Brusiłówki. Wkrótce po przyjeździe odwiedziła mnie doktor Derksen. Jedyne co mogła zrobić, to kazała moczyć nogi w roztworze kalium hypermanganicum. Niczym innym nie dysponowała.

Kiedy nogi zaczęły się goić, przyplątał mi się dur brzuszny, potem malaria, zapalenie płuc, tak że prawie cały 1944 rok był dla mnie pasmem chorób. Chyba Opatrzność czuwała nade mną, że z tego wszystkiego wyszedłem.

[…]

W ostatnich dniach października przenieśliśmy się do Sol-Ilecka. Podobnie postąpiło wiele polskich rodzin. Po utworzeniu w 1943 roku Związku Patriotów Polskich ponownie uzyskaliśmy pewne przywileje utracone w 1942 roku po zerwaniu przez Związek Sowiecki stosunków z Rządem Polskim w Londynie. Jednym z tych przywilejów była możliwość wyboru miejsca zamieszkania. Sol-Ileck leżał w Rosyjskiej Federacyjnej Republice Radzieckiej niemal na granicy z Kazachstanem. Mieszkało tu dużo Kazachów, chociaż na pewno nie byli w większości, ale bardzo dużo przyjeżdżało na handel i po sól. W Sol-Ilecku jest duża kopalnia soli. Ja jednak już do końca naszego pobytu na zesłaniu nie spotykałem się z nimi ani w pracy, ani towarzysko.

Do Polski wróciliśmy w ramach repatriacji w pierwszej połowie kwietnia 1946 roku. Gdyby nie okoliczności i warunki w jakich przyszło nam żyć w Kazachstanie, na pewno patrzyłbym na ten kraj zupełnie innym okiem. Jednak i tak nie raz oczami wyobraźni widzę piękny bezkresny step pełen barwnego kwiecia, rozkołysanych na wietrze traw z białymi pióropuszami (nie wiem, jak się nazywają) przypominających wzburzone morze, odurzający swym zapachem, pełen śpiewu różnego ptactwa, nawoływań dzikiej zwierzyny. To na początku lata, kiedy przyroda tam dosłownie wybucha. Widzę go również, jak spalony słońcem, w drgającym od żaru powietrzu czeka na deszcz, który bardzo rzadko pada. Widzę jego zimowy urok pod czarnym, rozgwieżdżonym niebem, nieskazitelną biel śniegu skrzącą się w słońcu, słyszę wycie wichru i wycie wilków, które nieraz napełniało serce trwogą. Nade wszystko wspominam mile Kazachów rdzennych mieszkańców tej ziemi, od których, poza nielicznymi wyjątkami, nie zaznałem niczego złego.

Marian Dziedzic

Geolog

Na zesłaniu 1940–1946

Z ZESŁANIA KU WOLNOŚCI

Autor relacji urodził się w 1936 roku w Rabczycach koło Drohobycza. Jego ojciec pochodzący z okolic Krosna, jako ochotnik brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku W latach trzydziestych przebywał w celach zarobkowych we Francji. Tam ożenił się i wraz z małżonką wrócili do Polski. Zamieszkali w Rabczycach w powiecie drohobyckim, skąd pochodziła małżonka. Za zarobione we Francji pieniądze kupili trochę ziemi i wybudowali dom. W 1940 roku wraz z rodziną zesłani zostali na Syberię, a od 1944 roku przesiedlili się do miejscowości Karatał w Kazachstanie. Tam zmarła mu matka (1945), a po jej śmierci, zaopiekowała się nim polska rodzina, chroniąc w ten sposób przed umieszczeniem w rosyjskim domu dziecka. Ojciec przez pewien czas był w łagrze, a potem w wojsku.

Do Polski powrócił w 1946 roku, gdzie odnalazł go ojciec i umieścił w domu dziecka. Po śmierci ojca (1949) przebywał w różnych domach dziecka, aż do matury w 1956 roku. W latach 1956–1962 studiował geologię na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego, a potem pracował jako geolog-dokumentalista złóż surowców stałych.

W przestrzeni mojego akademickiego życia zachował się fakt mieszkania z Marianem w tym samym domu studenckim, szkolenia w tzw. studium wojskowym i jakieś tam, mało znaczące skrawki z otaczającego nas wówczas świata. Nie było w nim nawiązań do zesłańczego losu a doznania z tym związane pojawiły się wiele lat później, gdy podczas jakiegoś sporadycznego kontaktu dowiedziałem się o jego syberyjskich doświadczeniach. Na drodze wiodącej poprzez studia i pracę zawodową oficjalne uwolnienie się od tego zesłańczego doświadczenia było niemożliwe, podobnie jak niewskazane było mówienie o tym w czasach zadekretowanej przez ludową władzę „przyjaźni polsko-radzieckiej"! Można powiedzieć, że wspomnienia tamtych zauralskich obrazów rezonowało skrycie w kręgu rodzinnym autora i w nim samym.

Aż nastał czas, w którym pękły „kajdany milczenia" i w historiografii krajowej ożył problem deportacji Polaków w latach 1940–1941 na Syberię, do Kazachstanu, na Kołymę i w inne rejony Związku Radzieckiego. Ten proces obiektywizacji polskich losów na syberyjskim zesłaniu w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu przybrał już charakter wielu publikacji naukowych, wzbogaconych częstokroć źródłami z archiwów sowieckich. Tym korytem popłynęła też fala zesłańczych wspomnień, a wśród nich poniższa relacja*.

Podstawa relacji: M. Dziedzic, *Tułaczka*, „Zesłaniec" nr 44, 2010. Tytuł od autora antologii.

* Informacje biograficzne: zapis rozmów z autorem oraz jego relacja opublikowana w „Zesłańcu" (nr 44, 2010)

Po około dwóch tygodniach dotarliśmy za Ural, do stacji kolejowej Iszym. Tu wysiedliśmy. Czekała nas daleka podróż. Pierwszy etap przebyliśmy samochodami. Kolejne dni to podróż końmi. Zatrzymywaliśmy się na odpoczynek i nocleg w kołchozach, gdzie zapewniano wyżywienie. Po około 2 tygodniach i przebyciu około 300 km dotarliśmy do wsi Tuligany. Tam nad rzeką Irtysz zostaliśmy zakwaterowani w barakach, które na nas czekały. Baraki zbudowane były z nieociosanych bali, uszczelnionych mchem. Ściany wyglądały tak samo z zewnątrz jak i z wewnątrz. Pomiędzy drewnianą podłogą a gruntem znajdowała się wolna przestrzeń. Do baraku wchodziło się po schodkach.

Z pierwszego okresu pobytu na Syberii, z transportu niewiele pamiętam. Pozostały mi w pamięci obrazy zarejestrowane jak zdjęcia, które tkwią do dzisiaj we mnie. Biel krajobrazu, mijane wsie wśród zasp śniegu, jakieś dzieci ciągnące sanki, duża tafla lodu na zamarzniętym jeziorze, po którym jechaliśmy, jazda saniami. Czy są to moje własne spostrzeżenia, być może tak, ale pewności nie mam, czy obrazki te zostały zarejestrowane w wyniku późniejszych opowiadań rodziców bądź znajomych.

Zesłańcza wędrówka – obraz autorstwa Jadwigi Kasiak

Osiedlono nas w Omskaja Obłast' Ust-Iszymskij Rajon, Panowskij Sielsowiet, Lesouczastok Skorodum, kołchoz Tuligany, posiołok Tuligany. Tuligany położone były około 40 km na północny-zachód od Ust-Iszyma, nad rzeką Irtysz. Jest to miejsce, gdzie dopływ Irtysza Bicz (Bicza) zbliża się do niego na około 150–200 m, by po kilkuset metrach wpaść do niego. W obozie były dwa baraki mieszkalne oraz baraki zaplecza. Jeden z baraków był większy. W nim oprócz części mieszkalnej znajdowała się kuchnia i stołówka. W tym baraku mieszkaliśmy oraz Fuglowie, Smolakowie i inni.

Baraki były jednakowo wyposażone. Środkiem biegło przejście, po obu stronach którego pod ścianą ustawione były prycze. Na jednym, stosunkowo wąskim posłaniu spała cała rodzina, z dziećmi w nogach. W rogu był piec. Niedługo po przyjeździe ludzie zaczęli chorować. Pluskwy były plagą baraków, wszy, które oblazły każdego, ciasnota w barakach, do których wtłoczono po około 80 osób, brak warunków higienicznych i bytowych były powodem zachorowań i zgonów. Umierali najsłabsi, dzieci.

[…]

Zesłańcy pracowali przy wyrębie tajgi i obróbce ściętego drzewa. Mężczyźni prawie cały czas przebywali poza obozem, zjawiając się w nim raz na miesiąc, celem odwiedzenia rodzin. Daleko w tajdze, o dzień marszu (około 35 km) mieszkali w barakach w osiedlu Anguf, położonym w górnym biegu rzeki Bicz. Ścinali ręcznie drzewa, ściągali końmi ociosane z gałęzi bale na brzeg rzeki. Z nastaniem wiosny, kiedy Bicz odmarzł, drzewo spławiano.

Ojca widywałem rzadko. Pamiętam, że w tym czasie, podobnie jak inni mężczyźni, nosił brodę. Chroniła ona twarz w zimie przed mrozem, a w lecie przed rojem drobnych muszek, które wciskały się wszędzie i gryzły. Ojciec przychodził z wyrębu zawsze zmęczony całodziennym marszem z Anguf. Wspólnie z Mamą relacjonowali sobie jak „przepracowali" czas od ostatniego widzenia. Mówił o ciężkiej pracy przy ścince drzew i o tym, że trzeba bardzo uważać, by komuś nie stała się krzywda. Ze szczególną pieczą obchodzono się z końmi. Uraz konia mógł być uznany za sabotaż. A to było poważne oskarżenie. Ojciec opowiadając, palił papierosy. Tytoń miał w specjalnym mieszku, w którym przechowywał krzesiwo i hubkę, przy pomocy których zapalał skręcone papierosy.

Bele drzewa, spuszczane w Anguf do Bicza, były wyławiane przez kobiety w Tuliganach. Rzeka tworzyła tam zakole, które uniemożliwiało dalszy spływ. Drzewo wyciągano na brzeg przy pomocy koni. Aby wyciągnąć drzewo na brzeg, trzeba było wejść do wody i założyć na nie łańcuch. Robiły to kobiety. Końmi kierowali miejscowi brygadziści. Drzewo było składowane na placu między Irtyszem a Biczem. Pokrywało cały plac. Musiało go starczyć na całą zimę, kiedy spław ustał, bo Bicz był skuty lodem. Drewno było korowane, cięte na wymiarową długość i składowane w sągi. Na placu stały kozły, na które układano bele drzewa i przecinano ręczną piłą. Na placu tym bywałem często i przyglądałem się pracy Mamy i innych kobiet. Za zakolem był drewniany most, po którym przechodzono na

drugi brzeg Bicza, na plac obróbki drzewa i na przystań nad brzegiem Irtysza, przy której cumowały barki. Bardziej odważni, ja do nich nie należałem, decydowali się przechodzić na drugi brzeg, biegnąc po kłodach drzewa, leżących w wodzie. Z nastaniem wiosny, po spłynięciu lodów, Irtyszem przypływały barki. Cumowały przy brzegu, tuż przy placu obróbki drzewa. Z brzegu na pokład barki spuszczano dwie żerdzie. Po tak zbudowanej pochylni, przy pomocy lin, kobiety spuszczały bale drzewa na pokład. Załadowane barki odpływały.

Praca trwała 8 godzin dziennie z przerwą na obiad, która według K. Zajączkowskiej-Sawickiej przypadała między godziną 12-tą i 13-tą. Przerwa nie była wliczana w czas pracy. Niedziela była dniem wolnym, ale kuchnia była czynna. Za ciężką pracę, bo do pracy ich tu przywieziono, zesłańcy otrzymywali nędzne wynagrodzenie. Żywili się w stołówce wraz z rodzinami, płacąc za obiad. Naczynia każdy miał własne, zabrane z domu. W wyjątkowych wypadkach, jak mówiła K. Zajączkowska-Sawicka, można było otrzymać menażki służbowe. Śniadania i kolacje przygotowywali sami. Otrzymywali w tym celu przydział 20 dkg chleba dla pracującego i po 10 dag na dziecko i niepracujących. Za te racje trzeba było płacić. Zesłańcy uzupełniali głodowe przydziały wymieniając na żywność przywiezioną bieliznę w okolicznych wsiach. W sklepiku, który był na terenie obozu można było kupić niezbędne rzeczy takie jak: kalosze, walonki, kufajki. Żywności nie sprzedawano. Według relacji K. Zajączkowskiej-Sawickiej, która była kierowniczką stołówki, wydawano codziennie około 300 obiadów. Stołówka była czynna do 1943 r. W początkowym okresie osadnicy prowadzili hodowlę krów i świń na własne potrzeby. Po 1941 r. działalność ta ustała. Obóz był zaopatrywany w żywność przez okoliczne kołchozy. W połowie 1944 r. zesłańców, w tym K. Zajączkowską-Sawicką, od której pochodzą te wiadomości, przewieziono na Ukrainę.

Wiosną 1941 r., miałem wtedy 5 lat i słabo pamiętam to wydarzenie, wylał Irtysz. Według relacji I. Smolak i K. Zajączkowskiej-Sawickiej woda stopniowo zaczęła zalewać plac pracy, przedarła się do Bicza i doszła do baraków. Mieszkańców ewakuowano do Biczy i rozlokowano w domach kołchoźników. Z tego okresu pamiętam jedynie to, że baraki były otoczone wodą i płynęliśmy gdzieś łodziami. Po opadnięciu wód przywieziono ludzi do porządkowania obozu.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej (22.06.1941) sytuacja zesłańców uległa zmianie. Złagodzono dyscyplinę. Zezwolono na opuszczanie obozu i osiedlanie się w okolicznych wsiach. Na początku 1942 r. zachorowała Marcelina. Miała wysoką temperaturę i trudności z oddychaniem. Wiele lat później mówiono mi, że był to dyfteryt. Ojciec w czasie jej choroby był na wyrębie. Zdesperowana Mama wybłagała sanie i udała się do Skorodumu po pomoc, bo tam był felczer. Po paru dniach wróciła sama. O Marcelinie nic nie mówiła. Wiadomo było, że zmarła. Po jakimś czasie, jak mi po latach powiedziała Fuglowa, Mama opowiedziała, co się stało. Marcelina zmarła na jej rękach w czasie jazdy saniami. Jej ciało zagrzebała Mama w śniegu na cmentarzu w Skorodumie, licząc, że wiosną ktoś ją pochowa.

Takie postępowanie było zimą powszechne. Kto miał siłę kopać grób w zamarzniętej na kamień ziemi?

Twarz Marceliny zatarła się w mojej pamięci. To, co pozostało we wspomnieniach sześcioletniego chłopca, to to, że była wesołą, okrągłą na buzi brunetką. A może te wspomnienia to opowieść M. Fugiel. Myślę, że była podobna do Mamy. Żadne jej zdjęcie się nie zachowało, być może wcale go nie było. Gdzieś po śmierci Marceliny, a przed moją chorobą, przyjechał samochód ciężarowy. W południe kierowca rozpalił ognisko i podgrzewał na nim coś w beczce. W pewnym momencie rozległ się huk i dna beczki poleciały w przeciwne strony. Jedna z nich uderzyło chłopca w twarz. Upadł, ale po chwili wstał. Miał zakrwawione usta. Stracił przednie zęby. Dziś przypuszczam, że kierowca podgrzewał wodę w beczce po benzynie.

Niedługo po śmierci Marceliny zachorowałem i ja. Miałem temperaturę, bóle brzucha, biegunkę i bardzo schudłem. Choroba trwała dość długo. Mówiono potem, że miałem dur brzuszny. Pamiętam, że w tym czasie dawano mi do picia naftę. Snułem się po baraku. Odganiano mnie od drzwi, do których podchodziłem, by je uchylić i zaczerpnąć świeżego powietrza, celem złagodzenia nieprzyjemnego smaku w ustach po wypiciu nafty. Stawiano mi bańki. Według relacji K. Zajączkowskiej-Sawickiej tylko Mama zabrała ze sobą bańki. W razie potrzeby była wzywana i stawiała je chorym. Po latach opowiadała mi M. Fugiel, że w czasie mojej choroby Mama mówiła jej „śmierci drugiego dziecka nie przeżyję".

Po śmierci szeregu dzieci powstał wśród tych, co pozostały makabryczny, tak go teraz oceniam, test kto będzie następny. Sprawdzianem była ślina. Jeśli wypuszczona z ust ciągnęła się uznawano to za znak niechybnej śmierci. Test ten był wykorzystywany w stosunku do rodziców, gdy nas karcili. Pamiętam, że gdy Mama zwracała mi uwagę to mówiłem, ze ślina mi się ciągnie i że umrę. Krzyczała wtedy na mnie, żebym tego nigdy nie mówił. Było to po śmierci babki Doroty, gdy przy jakiejś okazji powiedziałem Mamie o ciągnącej się ślinie, bardzo się zdenerwowała. Powiedziała, że wobec tego, że jestem niegrzeczny, to ona idzie się powiesić i zostanę sam. Wyszła z domu. Z płaczem wybiegłem za nią obiecując, że więcej tego nie powiem. Słowa dotrzymałem.

W połowie 1942 r. z Tuligan, M i K. Fuglowie z synem Tadeuszem wyjechali do Kazachstanu. Mama korespondowała z nimi. Po wyjeździe Fuglów na wiosnę 1943 r. opuściliśmy baraki i osiedliliśmy się w kołchozie Tuligany. Niedaleko Tuligan położone były wsie takie jak: Bicz, Tajłaki, Nagorno, Bakszewo, a po przeciwnej stronie Irtysza Zagwaździno, do którego przeprawiano się łodzią. Do największej wsi Bakszewo, położonej około 8 km od baraków, jak mówiła K. Zajączkowska-Sawicka, udawano się na handel wymienny.

W Tuliganach zamieszkaliśmy na uboczu wsi tuż obok lasu. Teren za domem w kierunku lasu porośnięty był łopianem. Duże jego liście tworzyły coś w rodzaju dywanu. Domek zbudowany był z bali uszczelnionych mchem. Miał spadzisty dach na dwie strony i coś w rodzaju strychu, na który wchodziło się po drabinie. Składał się z jednej izby z małym okienkiem, w której stał piec, prycze do spania i stół. Zesłańcy,

opuszczając baraki, musieli sami zadbać o swój byt. Budowali sobie prymitywne domy, bądź zamieszkiwali u kołchoźników. Na własne lokum porywały się rodziny, w których mężczyzna mógł pracować i w wolnym czasie budować. Niezbędna była sąsiedzka pomoc, bo samemu trudno było podołać. Zesłańcy zatrudnieni byli w kołchozach, bo swoi poszli na wojnę. Kołchoz udostępniał budującym się siekiery i piły. Ojciec od pewnego czasu nie pracował już w Anguf. Wszystko wskazuje na to, że dom, w którym zamieszkaliśmy wybudował Ojciec. Być może tak było, ale pewności nie mam. Jak sięgam pamięcią był to nowy dom. „Meble" były ze świeżego drewna. Obok domu było dużo kory, gałęzi i naciętego drzewa na opał. Jeśli moje przypuszczenia są trafne, byłby to trzeci wybudowany przez Ojca dom.

Gdzieś w środku 1943 r. Ojciec poszedł do wojska. Pewnego dnia tuż przed wymarszem przyniósł do domu wiewiórkę. Została ugotowana i zjedzona ze smakiem. Powiedział, że upolował ją przy pomocy patyka. Siedziała na drzewie i tam ją dosięgnął rzucony przez niego kij. Wkrótce po wyjeździe Ojca zachorowała babka Dorota. Pamiętam ją jako siwą, przygarbioną staruszkę, miała wtedy 63 lata, ubraną w długą do ziemi spódnicę. Kiedy Mama wychodziła do pracy, babka zostawała ze mną i krzątała się w izbie, stale coś mrucząc. Może się modliła. Często wychodziła, zostawiając mnie samego. Wracała późno. Mama po jej powrocie stale powtarzała: znowu zostawiłaś dom i poszłaś na plotki. Z przyzwyczajeń babki niezadowolony był również Ojciec, który upominał ją by trzymała się domu. Napominania nie skutkowały. Robiła swoje. Chorobę babki wspominam jako koszmar. Leżała na pryczy i stale jęczała. Pochowała ją Mama, Ojca już nie było, zawiniętą w jakieś płótno. Na grobie postawiono, jak pamiętam, krzyż z brzozy.

Zimę w obozie w Tuliganach dzieci spędzały w barakach. Śnieg i mróz ograniczały możliwość poruszania się. W lecie przez cały czas przebywały w pobliżu baraków. Tu w Tuliganach nauczyłem się pływać w Biczu. Tu czyniłem pierwsze próby, których potem już nie ponawiałem, łowienia ryb, z różnym skutkiem, na własnoręcznie zrobiony haczyk z drutu. Z Mamą robiliśmy wycieczki do lasu na grzyby i jagody. Grzyby były suszone, a niektóre gatunki solone i kiszone.

Irtysz pozostał mi w pamięci jako bardzo szeroka rzeka. Wiosną z chłopakami stawaliśmy nad jego brzegiem i patrzyliśmy na przepływające wielkie kry. Pojawiały się stada kaczek, które płoszyliśmy, rzucając patyki. Zwinnie nurkowały, by wynurzyć się poza zasięgiem naszego rzutu. W Irtyszu było mnóstwo ryb. Pamiętam jak pewnego razu, a było to w zimie, przyniósł Ojciec połowę szczupaka. Był ogromny, prawie tak duży jak ja. Położony na stole ruszał ogonem. Wiosna, szczególnie ta ostatnia, kojarzy mi się z lebiodą, którą zbierałem, i z której Mama przygotowywała zupę oraz ze smakiem soku z brzozy. Wycinało się w drzewie zagłębienie i co jakiś czas, odwiedzało je, by wypić smakowity sok.

W wojsku Ojciec spotkał Tadeusza Fugla, który udał się tam ze swoim ojcem Kazimierzem. K. Fugiel, ze względu na stan zdrowia i wiek, został zwolniony z wojska. Według relacji Tadeusza Fugla, który był świadkiem tego zdarzenia, Ojciec po jednej z pogadanek został aresztowany. W czasie dyskusji zapytał, czy

Polska będzie taka jak przed wojną, czy komunistyczna i czy ziemie wschodnie będziemy odbijać szablami jak w 1920 roku. Według posiadanych dokumentów, Ojciec przebywał w łagrze w Stalinogorsku, obecnie Nowomoskowsk, położonym około 200 km na południe od Moskwy.

W Tuliganach przebywałem z Mamą do końca marca 1944 r. Chyba na początku marca zamieszkał z nami, obok już przebywających dwóch kur, nowy „członek rodziny". Była to mała świnka, którą Mama przyniosła do domu. Skąd ją wzięła, za co kupiła czy wymieniła, nie wiem. Mama jak większość wiejskich kobiet była osobą bardzo zapobiegliwą. Tu w ekstremalnych warunkach cecha ta była bardzo przydatna. Świnka miała w kącie izby, obok kur, odgrodzone miejsce, w którym biegała i pochrząkiwała. Przyzwyczaiła się do mnie i wypuszczana przybiegała na zawołanie.

Wędrówka

Pod koniec marca 1944 r. niespodziewanie zjawiła się u nas Irena Smolak[1] z córką Jadwigą i synem Jerzym. Mieszkali w sąsiedniej wsi, Zagwaździno, odległej od nas o około 7 km, na drugim w stosunku do Tuligan brzegu Irtyszu. Smolakowa namówiła Mamę, by udać się do Kazachstanu, do wsi Karatał, gdzie mieszkali M. i K. Fuglowie. Smolakowa przywiozła na małych sankach swój dobytek: mąkę, zboże i suszone ryby. Było tego niewiele. O wiele za mało jak na trzy osoby. Z takimi zapasami nie mogła marzyć, by wyruszyć w daleką drogę. Na co więc liczyła? Ale jak ktoś ucieka przed niechybnym losem, nie myśli, co będzie jutro. Zapasy Mamy pozwoliły optymistycznie ocenić realność przedsięwzięcia. Żywności musiało wystarczyć na cały czas drogi, bo liczyć można było tylko na siebie. Mama została wybrana na towarzyszkę ucieczki z rozmysłem. Utrzymywała kontakt listowy z Fuglami. Iść można było tam, gdzie miało się pewność, że będzie jakieś zaczepienie i pomoc od swoich. Smolakowa wiedziała, że Fuglowie, „to prawie wasza rodzina" mówiła, pomocy nie odmówią. Na południe wybrało się przed nami kilka rodzin, bo tam i nie takie srogie zimy i bliżej kolei, co miało znaczenie, gdyby przyszło wracać do kraju.

Przygotowania robiono nocą, by nikt nie zauważył. Smolakowie przez cały czas nie wychodzili z domu. Mama chodziła do pracy. W przeciągu kilku dni robiono, w tajemnicy, przygotowania do wymarszu. Pieczono chleb i placki, tarto ziemniaki i formowano w kulki, a następnie wystawiano na zewnątrz, by zamarzły. Zabito i upieczono dwie kury i prosiaka. W czasie zabijania prosiaka wyszedłem z izby i płakałem, jak po stracie kogoś bliskiego. W czasie wędrówki nie chciałem jeść mięsa prosięcia.

Dobytek dwóch rodzin załadowano na sanie długości około 2 m, które skombinowała Mama. Wcześnie rano wyruszyliśmy w drogę. Wędrówka, jak ją oceniam obecnie, była aktem desperackim. Inicjatorką przedsięwzięcia była Smolakowa.

[1] Irena Smolak przed zesłaniem mieszkała we wsi Majdan, powiat Drohobycz. Była żoną leśniczego. Rodzice moi z rodziną Smolaków poznali się na zesłaniu. Mieszkaliśmy w tym samym baraku.

Musiała uciekać, obawiając się wykrycia niedoborów w magazynie, który prowadziła. Pracowała w Zagwaździnie, w Rybtreście, który zajmował się połowem ryb i ich przeróbką. Sama, bez uczestnictwa Mamy, musiałaby zrezygnować z wyprawy. Argumenty, którymi przekonała Mamę, miała mocne: więzienie i dzieci, które pozostawione bez opieki nie miały szans na przetrwanie. Przypuszczam, że ani Mama, ani Smolakowa nie zdawały sobie sprawy z tego, na co się porywają.

Zastanawiałem się po latach, dlaczego Mama dała się przekonać i zgodziła się wyruszyć w drogę i nie wiem, czy znalazłem zadowalającą odpowiedź. Nie była przecież aż taką altruistką, by narażać siebie i mnie dla obcej osoby i wyruszyć z nią w nieznane. Argumenty Smolakowej były wprawdzie ważne, ale to był jej problem, który sama spowodowała. Nawarzyła piwa i szukała wspólnika do wypicia. Mama zdecydowała się wyruszyć w drogę być może, aby zostawić za sobą przeszłość. Tu nic ją nie trzymało. Pochowała córkę i teściową, a mąż poszedł do wojska i brak było od niego wiadomości. Tam, gdzie miała dotrzeć, byli bliscy, z tej samej wsi, których znała i na których mogła liczyć.

Na wędrówkę w zimie wyruszyły dwie kobiety: Mama 42 lata, Smolakowa 31 lat i dzieci: Jerzy 7 lat, ja 8 lat i Jadwiga 12 lat. W czasie wędrówki na nogach miałem walonki (twarde buty z wojłoku), które dobrze chroniły przed zimnem stopy owinięte w szmaty. Nosiłem spodnie, które Mama uszyła z rękawów swojej kurtki, już dobrze sfatygowanej, która nadawała się tylko na szmaty. Na głowie miałem czapkę-uszankę, zrobioną przez Ojca ze skórki zająca. Miałem też kurteczkę i rękawice.

Tuligany położone były około 40 km na północny-zachód od Ust-Iszyma nad rzeką Irtysz. Posługując się dostępnymi mapami, starałem się po latach ustalić przybliżoną trasę wędrówki. Po przekroczeniu skutego lodem Irtysza (Smolakowie po raz drugi) szliśmy generalnie na wschód, w kierunku Ust-Iszyma, a następnie wzdłuż rzeki Iszym na południe. Przez miasto Iszym dotarliśmy do Pietropawłowska. Jest to trasa długości około 450 km. Odcinek trasy od Ust-Iszyma do Iszyma pokrywa się prawdopodobnie z drogą, jaka przebyliśmy w 1940 r. Jest to najbardziej prawdopodobny przebieg trasy, bo tędy w górę biegu rzeki Iszym, prowadzą wszystkie drogi na południe.

Dokładna droga przemarszu jest w tej chwili nie do odtworzenia. Nikt z dorosłych nie prowadził notatek, a czas, jaki upłynął od tych wypadków, wymazał z pamięci nazwy osad i miejscowości. To, co pozostało w pamięci, wówczas ośmioletniego chłopca, to naprawdę niewiele, bo i niewiele się działo. Niekończąca się biel śniegu, zmęczenie całodziennym marszem, zwalające z nóg, podobne osady, a w nich podobne chatki. W każdej wsi wędrówka od domu do domu z prośbą o nocleg. Częste odmowy, bo wędrowcom wypada dać jeść, a oni sami przymierali głodem. Dwie kobiety ciągnące sanie, a potem wózek, przy pomocy sznura, przepasanego przez piersi. Troje dzieci podążające w ślad za ciągnionym dobytkiem i starające się ulżyć matkom, popychając sanie, a potem wózek. Siły topniały w miarę, jak marsz się przedłużał. Jerzyk, jako najmłodszy i najmniejszy był czę-

sto wieziony. Przed każdym wymarszem Mama i Smolakowa wypytywały ludzi, u których nocowaliśmy o wsie, jakie spotkamy na naszej drodze i o odległość do najbliższej i kolejnych osad. Wiadomości te pozwalały ocenić, jaki odcinek drogi możemy w tym dniu pokonać.

Pamiętam, było to w pierwszych dniach naszej wędrówki. Szliśmy cały dzień i nie było widać żadnej osady. Nastawał zmierzch, w oddali słychać było wycie wilków, a myśmy szli i szli. W końcu dotarliśmy do osady, gdzie przenocowaliśmy. Na drugi dzień, nie tylko ja, byłem tak zmęczony, że nie mogłem ustać na nogach. Starałem się chodzić, opierając się o ławę, która była podstawowym meblem w każdej izbie. Po tym dniu marszu odpoczywaliśmy cały dzień. W którejś wsi nocowaliśmy w domku na uboczu. Przyjęła nas samotna kobieta z małym dzieckiem. Na środku izby tliło się ognisko, z którego roznosił się dym po izbie. Dziecko siedziało na piecu i paluszkiem wygrzebywało glinę, którą wsadzało do buzi. Było bardzo chude. Smolakowa dała mu kawałek placka. Dziecko, trzymając placek w jednej ręce, drugą ręką dalej wygrzebywało glinę i jadło. Zdawało się, że nie wie, co z plackiem zrobić. Przenocowaliśmy na klepisku koło ogniska, rozkładając uprzednio posłanie. Przez cały czas wędrówki spaliśmy na podłodze, mając pod sobą, na sobie i przy sobie cały dobytek.

[…]

Jednym z prowiantów w czasie wędrówki był samogon. Dostawaliśmy czasami miarkę samogonu wielkości naparstka, a może był to naparstek, na rozgrzewkę w czasie marszu. Rozkład dnia w czasie wędrówki był podobny. Rano i przed snem przecieraliśmy twarz i ręce mokrą szmatą. To było „mycie". Ciepły posiłek spożywaliśmy, jak była okazja. W połowie dnia, w czasie odpoczynku, w miejscu osłoniętym od wiatru, a czasami we wsi jedliśmy suchy prowiant. Był to chleb, suchary lub placki upieczone na blasze. Jako dodatek była ryba, odrobina kury, bądź mojego prosiaczka. Jak się udało dostać kipiatok (wrzątek), to się popijało. Kolacje i śniadania były podobne, ale czasami też gotowane. Gotowano tarte ziemniaki, przygotowane przed wymarszem, bądź przyrządzano tzw. zawieruchę. Jest to rozbełtana z wodą mąka i ugotowana. Ta ciemna masa, zrobiona z żytniej mąki z odrobiną mleka, była, na owe czasy, wybornym jedzeniem. I tak przez miesiąc, częstowani czasami przez gościnnych mieszkańców, u których nocowaliśmy, szliśmy przed siebie.

Przed Pietropawłowskiem, pierwszy raz w czasie naszego marszu, spotkaliśmy ciężarowy samochód. Zabrał nas wraz z całym dobytkiem na pakę i podwiózł kilkanaście kilometrów. Po dotarciu do Pietropawłowska, przenocowaliśmy na jego przedmieściu. Przyjęła nas, litując się nad nami rosyjska rodzina. Poczęstowano nas kolacją, składającą się z okraszonych ziemniaków i chleba. Na drugi dzień wyruszyliśmy w drogę i dotarli na miejsce zamieszkania M. i K. Fuglów: „Uczastok Karatał, Sielsowiet Biszkul, Kazachsko-Pietropawłowskaja Obłast". Po latach uczestniczka tej wędrówki Jadwiga, namalowała obraz olejny, przedstawiający naszą piątkę w drodze do wytkniętego celu.

Marian Mikołaj Jonkajtys

Nauczyciel

Na zesłaniu 1940–1946

NA ZESŁANIU W KAZACHSTANIE

Autor relacji urodził się we wrześniu 1929 roku w Radziłowie. Jego rodzice Maksym Jonkajtys i Felicja z domu Czerepowicz byli nauczycielami. Początkowo pracowali w Mińsku Litewskim (dziś Białoruś).

Inwazja bolszewików na Polskę w 1920 roku sprawiła, że rodzice Mariana przenieśli się do Radziłowa, a później do Szczuczyna. W 1929 roku ojciec został kierownikiem 7-klasowej Szkoły Powszechnej im. J. Piłsudskiego w Szczuczynie. Oprócz pracy w szkole poświęcał się pracy społecznej.

Maksym i Felicja mieli trójkę dzieci: Edwarda (urodził się w 1921 r.), Mariana (1929 r.), Józefę (1934 r.). Felicja po urodzeniu drugiego dziecka zrezygnowała z pracy w szkole.

Autor w 1936 roku rozpoczął naukę w szkole. W 1939 roku wybuchła wojna, która zmieniła losy rodziny. W marcu 1940 roku został aresztowany przez NKWD ojciec autora. 13 kwietnia 1940 roku Felicja wraz z dziećmi została zesłana do Kazachstanu. Tam skierowano ich do obwodu Pawłodarskiego rejon Irtyszski, do Siewierny Zierno Sowchoz nad Irtyszem. Przebywali tam 6 lat. Do Polski powrócili w 1946 roku najpierw do Białegostoku, a później przenieśli się do Szczuczyna.

Po powrocie do kraju autor nadrobił zaległości w nauce w szkole podstawowej. Potem kontynuował naukę w Gimnazjum Mechanicznym w Ełku. Pracę zawodową rozpoczął w 1950 roku jako asystent kierownika warsztatów szkolnych w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Ełku. W trakcie pracy uzupełniał swe wykształcenie zawodowe jako nauczyciel. W 1973 roku Kuratorium Okręgu Szkolnego powołało go na stanowisko nauczyciela dyplomowanego, zaś w 1978 roku „Profesora Szkoły Średniej". W 1977 roku zorganizował Zespół Szkół Zawodowych im. J. Piłsudskiego, gdzie jako jej dyrektor pracował do emerytury w 1980 roku.

W 1952 roku zawarł związek małżeński z koleżanką z lat szkolnych Wandą Malinowską (zmarła w 2005 r.). Mają dwoje dzieci oraz czworo wnuków.

Autor całe dorosłe życie angażował się w pracę społeczną, głównie w harcerstwie, a ponadto w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym, NOT (SIMP), Związku Nauczycielstwa Polskiego ZNP. Za swoją pracę zawodową i społeczną autor otrzymał liczne odznaczenia. Jest aktywnie działającym członkiem Związku Sybiraków w Białymstoku. Napisał wiele artykułów na temat zsyłki na Syberię. Opracował wykaz deportowanych mieszkańców miasta i gminy Szczuczyn i Wąsacz oraz wykaz mieszkańców „Siewiernego" w Kazachstanie. Jest współautorem kilku książek*.

Podstawa relacji: Marian M. Jonkajtys, *Na zesłaniu w Kazachstanie. Zapamiętałem, opowiadam. 1940–1946,* Wydawnictwo Kubajak, Krzeszowice 2014. Opisuje w niej życie na zesłaniu widziane oczyma chłopca.

* Dane biograficzne: opracowanie na podstawie materiałów własnych autora relacji.

Aresztowanie Ojca i wywózka

W lutym 1940 roku nadeszła straszna wiadomość: całe rodziny pracowników leśnictwa i osadników wojskowych wywieziono na Syberię.

Niektóre daty i wydarzenia z nimi związane szczególnie wywarły na mojej pamięci piętno. Tak było i tym razem **14 marca 1940 roku** po południu. Już po krótkiej drzemce Tatuś z Mamą rozmawiali. Widziałem jak pomagał ucierać kartofle na racuchy. Przyszedł woźny z magistratu z kartką, z której wynikało, że jest potrzebny, ma się zgłosić. Zwrócił się do mnie o podanie butów, to było jego ostatnie zwrócenie się do mnie, potem do Mamy: „nie czekaj, przyjdę późno". Nie dotrzymał słowa – nie przyszedł.

W nocy o drugiej, przyszli żołnierze ze swoim dowódcą głośno domagając się otworzenia drzwi, chociaż one nie były zamknięte na klucz, czy zasuwę. Tym głośnym dobijaniem się obudzili nas wszystkich. Weszli żołnierze z bronią gotową do strzału z majorem NKWD Zwierowem na czele, który natychmiast oznajmił „ja waszego męża aresztował", *„was muż był szpionom niemieckim*, teraz rozpoczniemy rewizję". I zaczęli przewracać wszystko, szukając czegoś nie mówiąc, czego szukają. Rewizja trwała ponad dwie godziny. My dzieci byliśmy wystraszeni.

W mieszkaniu po rewizji pozostały poprzewracane niektóre meble, a z nich wyrzucone na podłogę rzeczy: książki, papiery i inne przedmioty. Ten obraz na długie lata został w mojej pamięci. Nie płakałem, jak bywało wcześniej kiedy się czegoś bałem lub nie mogłem sobie poradzić.

Mamusia przy oficerze i żołnierzach też nie płakała, była spokojna, ale jak oni wyszli, pękło w niej opanowanie, zaczęła szlochać. Edek Ją uspakajał, a my wszyscy w nocnych koszulach skupiliśmy się przy Niej obejmując czule, milczeliśmy. Nie wszystko rozumieliśmy, ale czuliśmy, że stało się coś strasznego.

Dopiero potem Edek nam wytłumaczył, że pewnie już nigdy nie zobaczymy Ojca. Było to 15 marca 1940 roku. Okazało się, że jego przewidywania sprawdziły się. 9 lipca 1944 r., podczas naszego pobytu na zesłaniu, Ojciec został rozstrzelany przez Niemców, którzy okupowali wówczas Szczuczyn.

Następna data to **13 kwietnia 1940 roku**. O godzinie trzeciej w nocy powtórzyła się scena bardzo podobna do tej z marca. Wtargnęli żołnierze z oficerem tym razem niższej rangi, który poinformował o deportacji naszej rodziny. Wpierw zrobiono rewizję nie taką brutalną, jak przed miesiącem, a potem kazano zbierać swoje rzeczy, pakować jak do drogi. Oznajmił, że jedziemy do Ojca.

Oficer, który przyszedł po nas, był inspektorem szkolnym. Znał naszego ojca, a ponadto był chyba dobrym człowiekiem, ponieważ pozwolił na zabranie wszystkiego, co było niezbędne do życia gdzieś daleko. Bielizna pościelowa właśnie była poprana i wisiała na strychu, zgodził się, byśmy ją ze sobą wzięli. Moje buty były u szewca. Kiedy świtało, pozwolił mi pójść po nie bez konwojenta.

Grupa Polaków z Ogrodów Siewiernego Ziarno Sowchozu Irtyjskiego Rejonu, Pawłodarskiej obłastii – OGRODY Kazachstan. 2 sierpnia 1940 roku. I rząd, stoją od lewej: pan Halicki, Janina Piechowska, Jadwiga Kamińska – córka p. Kamińskiego, Janina Plutowa, pani Kamińska – siostra Józefa Kamińskiego, Bronisława Kamińska – córka p. Kamińskiego. II rząd, siedzą od lewej: pani Halicka z synkiem, Helena Gładkowska, pani Piechowska, Franciszka Szkodzińska z synkiem Eugeniuszem, Felicja Jonkajtys, pani Kamińska – druga siostra Józefa Kamińskiego. III rząd, siedzą na ziemi od lewej: Edward Jonkajtys, Józef Kamiński, Stanisław Szkodziński

Widząc maszynę do szycia, poradził, aby mama ją zabrała. Także kiedy pakowała produkty żywnościowe, które brat wyjmował, mówiąc: „Po co? Przecież tam też ludzie żyją. Kupimy je", doradził *„Biercie wsio, tam prygaditsia"* – „Bierzcie wszystko, tam się przyda" i skarcił brata. Tak z tobołami, walizkami i pakami załadowano nas na ciężarówkę. Jadzia, mimo że miała inne nazwisko, musiała z nami jechać. Jurek przygarnięty przez naszą rodzinę (jako syn aresztowanych „obszarników") choć bardzo chciał pojechać z nami, pozostał sam. Co się z nim stało, nie wiemy do dziś. […]

Siewierny Sowchoz

7 maja 1940 roku dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. Ciężarówki zatrzymały się w centrum Siewiernego, obok dwóch równolegle do siebie postawionych piętrowych budynków z czerwonej cegły, zwanych, jak się później dowiedzieliśmy, karkasami. Przed nimi stali przedstawiciele dyrekcji. Nie wolno było schodzić z „maszyny" (ciężarówki), dopóki nie sprawdzono nazwisk wpisanych na listach.

Zakwaterowanie

Następnie polecono nam wyładować i przenieść bagaże do wskazanego pokoju na parterze jednego z tych „okazałych" domów. Pokój miał jedno okno i około 20 m^2. W tym jednym pokoju zakwaterowano rodziny: panią Brajczewską z trójką dzieci, w tym z kilkumiesięcznym Januszem, panią Załuskową z dwoma synami, panią Szymanowską z jej małym Jureczkiem, Stacha Szkodzińskiego z bratem Kazikiem i nas, tzn. Edka, Jadzię, Ziutkę i mnie, razem 15 osób, w tym dwa niemowlaki.

Pod ścianą, naprzeciwko okna był komin z niedużą płytą, na której można było gotować. Podłoga drewniana, ściany pobielone na biało, ale chyba bardzo dawno, ponieważ biel ta miała odcień szarości. Na środku sufitu zwisała na przewodach żarówka, co oznaczało, że jest światło, ale wyłącznika nie było.

Płyta kuchni nie miała fajerek ani drzwiczek. Pytanie – czym palić?

Nie wiedzieliśmy wtedy, że podstawowym paliwem jest tu suchy krowi nawóz zwany kiziakiem, a oprócz niego pali się słomą, piołunem czy suchą trzciną.

Pierwsze spotkanie i pierwsze doświadczenia

Nasza chłopięca trójka – Kazik, Tolek i ja – szybko znaleźliśmy pretekst, aby wyjść przed dom, gdzie zebrała się spora gromadka gapiów – dziewcząt i chłopców. Ponieważ już znaliśmy parę słów rosyjskich i mieliśmy sprawne ręce do roboty, zaczęliśmy zawiązywać znajomości z rówieśnikami. Najlepiej robił to Kazik. Pierwsze słowa dotyczyły pieniędzy, oczywiście polskich. Miejscowi chcieli je zobaczyć. Kazik wrócił do pokoju, wyszukał kilka złotówek i groszy i przyszedł pokazać. W czasie oglądania monet na ręku Kazika jeden z chłopców podbił jego dłoń i wszystkie drobniaki rozsypały się na ziemię. Sprytni chłopcy pozbierali je i szybko ulotnili się. Takie było nasze pierwsze spotkanie z chłopcami z Siewiernego. Miało ono i dobrą stronę, ponieważ inni nam pomogli w rozwiązywaniu pewnych zagadek. Dowiedzieliśmy się, że wodę do gotowania i mycia przynosi się z rzeki zwanej Orłówka oraz jak się zdobywa opał.

Orłówka to niezbyt szeroka rzeka, która wypływa z Irtysza kilkanaście kilometrów na południu i wpada ponownie do niego zaraz za Siewiernym. Rzeka ta płynie na poziomie Irtysza i żeby do niej dojść, trzeba zejść z wysokiego brzegu, od którego zaczyna się step, który znajduje się ok. 20 m nad poziomem wody. Zejście do rzeki wiodło po zboczu, specjalnie wyrobionymi jakby schodami, które były już mocno wydeptane.

Wzięliśmy wiadra i poszliśmy po wodę, ale żeby ją nabrać musieliśmy wejść do wody, ponieważ nie było żadnego pomostu. To było nasze, chłopców, kolejne doświadczenie.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, jak i gdzie zbiera się kiziak i jak się go rozpala w płycie. Lecz zanim to nastąpiło, trzeba było poszukać innego opału dla ugotowania czegoś ciepłego. Poszliśmy nad rzekę w poszukiwaniu suchych patyków. Pomogły nam w tym Jadwiga i Winia, nasze dziewczęta.

Wyzbieraliśmy chyba wszystkie patyki i kępki suchej trawy, żeby wystarczyło do ugotowania przez nasze panie pierwszego od wielu dni gorącego posiłku. Był to krupnik, chyba najsmaczniejszy, jaki kiedykolwiek jadłem.

Zwiad

W międzyczasie Edek i Stach wybrali się na „zwiad" w celu zapoznania się z możliwością zdobycia niezbędnych artykułów żywnościowych.

Przy rejestracji w Irtyszsku informowano, że sowchozy posiadają sklepy, restauracje i piekarnie. Edek i Stach, mając trochę pieniędzy, poszli więc na pewniaka. Niestety spotkało ich rozczarowanie. Kiedy spotkali jednego z mieszkańców Centrali (Sowchoz dzielił się na: Centralę, gdzie była dyrekcja Sowchozu, MTS, szkołę, szpital i klub oraz Oddzielenia – fermy, na których uprawiano zboże, hodowano bydło i owce), powiedział im: „Na 1 maja w sklepie było wszystko, i cukier, i herbata, cukierki, wódka, a nawet koszule i pończochy, ale dzisiaj nie ma już nic, oprócz soli i broszek". Podobnie wyraził swoją opinię o stołówce – jadłodajni, twierdząc, że o tej porze, to znaczy po godzinie 16^{00}, już nic nie ma do jedzenia. Odpowiedzią na pytanie o adres piekarni był śmiech.

Co to znaczyło, nie mogli obaj zrozumieć. Widząc zdziwienie pytających, jeden z rozmówców wyjaśnił, że piekarnia jest, ale teraz zamknięta, a jak będzie chleb – to tylko na kartki i w określonej ilości.

Tak skończył się zwiad w sprawie zaopatrzenia rodzin w artykuły spożywcze.

Kiedy wrócili do mieszkania i zjedli trochę gorącego krupniku, uznali, że młodsi byli bardziej zaradni.

[…]

Praca pań

Nasze panie zostały zatrudnione przy tynkowaniu baraków. Najpierw musiały nauczyć się przygotowywać zaprawę. Polegało to na tym, że w niezbyt głęboko wykopanym dole, pod warstwą czarnej ziemi była glina. Trzeba było przynieść wiadrami wodę z rzeki, wlać do dołu, a następnie miesić nogami tak długo, aż utworzyła się jednolita masa gliny. Wtedy dodawano plewy i łajno bydła i znowu wszystko mieszano nogami. Te doły z czasem stawały się coraz głębsze, ale były i takie, gdzie woły miesiły glinę. Poganiacz stał na środku, a woły chodziły wkoło. W ten sposób powstawał dół w kształcie okręgu, w jego środku słupek, na którym stał poganiacz. Jak widać dla Polek zastosowano metodę cięższą i upokarzającą, aby poznały trud pracy w ziemi.

Przygotowaną zaprawę nakładano na ściany domu, rozmazując ją równo rękami, bez żadnych pac czy narzędzi. Straszne to było zajęcie dla naszych pań, które tego rodzaju prac nigdy nie wykonywały.

[…]

Budowniczowie

Wkrótce Edek, Stach i pan Kamiński zostali przydzieleni do brygady budowlanej, którą kierował Kazach Aman, a głównym majstrem był też Kazach Kisa, już w podeszłym wieku. Brygada ta miała wybudować kilka chat w stepie, gdzie przypędzano bydło z Ogrodów na letni wypas.

Brygadę wyposażono w następujący sprzęt i narzędzia: wóz na drewnianych kołach z jarzmem na parę wołów (byki), płóg jednoskibowy z dyszlem oraz złamaną kosą, linę konopną i szpadel.

Żeby wybudować chatę w latach 40. XX wieku na kazachskim stepie, trzeba było najpierw – nieopodal wyznaczonego miejsca, wyorać darń, potem skiby ciąć łopatą na około 90-centymetrowe odcinki i układać je na wyznaczonym zarysie planu chaty. Układano je podobnie jak z cegieł muruje się ściany. Jedna warstwa wzdłuż, druga w poprzek ściany. Tak wznoszona ściana nie wymagała żadnej zaprawy. Trzeba było tylko uważać, żeby kłaść zawsze trawą stepową do dołu.

Edek w swoim notesie zapisał: „Z początku robota szła ciężko. Wiatr wiosenny, który hulał po stepie, sypał nam w oczy ziemią z tych brył. Jedyną naszą całodzienną strawą był czarny chleb (800 g na dzień) z wodą z beczki po paliwie do traktorów.

Pracowaliśmy od wschodu do zachodu słońca. Spaliśmy pod wozem lub, jak się nieraz zdarzało, wymykaliśmy się do Centrali odległej o około 6 km. Tam udawało się zjeść jakąś ciepłą strawę i przespać się na podłodze u naszych rodaków.

Aman dał się nam dobrze we znaki, nie dawał chwili wytchnienia. Pracowaliśmy ostatkami sił. Wyczekiwaliśmy końca tej pracy jak zbawienia. W domu, to znaczy w Ogrodach, nie byłem już prawie trzy tygodnie".

Początkowo przypuszczaliśmy, że w pustym stepie zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, że na teren budowy dostarczone będą materiały i sprzęt, przyjadą specjaliści. Myśleliśmy, że orząc step, przygotowujemy grunt pod przyszłą uprawę, a nakładając na wóz bryły darniny, plantujemy teren. Nasze przypuszczenia rozwiały się, gdy, po przywiezieniu darniny kilkaset metrów dalej, obaj Kazachowie przystąpili do zasadniczej pracy. Pod ich wprawnymi rękami z układanych obok siebie, równo pociętych brył zaczęły rosnąć ściany.

Najtrudniej było zrozumieć, że w taki prymitywny sposób, przy użyciu tak kruchego budulca może powstać dom. Wieczorem było już widać wyraźne kształty budynku. Do wysokości metra sięgały już ściany zewnętrzne, zaznaczone były ścianki działowe oraz otwory na okno i drzwi. Wiadomo nawet było, gdzie będzie piec. I, o dziwo, wszystko to jakoś się trzymało, bez wapna, cementu i kawałka drewna. Po dwóch dniach mozolnej pracy, trwającej od świtu do późnego zmierzchu, ściany pierwszego domu były gotowe. Z grubsza przygotowaliśmy też materiał pod następny budynek. Z pewną satysfakcją ułożyliśmy się tej nocy na spoczynek w prawdziwych czterech ścianach, chociaż dachem było nam jeszcze usiane gwiazdami ciemnobłękitne niebo. Nie mieliśmy już jednak wątpliwości, że którejś następnej nocy przysłoni je dach wykonany naszymi rękami, choć jeszcze nie bardzo wiedzieliśmy, z czego będzie zrobiony.

Następnego dnia z polecenia Kazachów, pan Kamiński udał się wołami do Ogrodów po żerdzie, a ja z Edkiem podawaliśmy Kazachom darninę i pod ich nadzorem układaliśmy ściany kolejnego domu.

Dzień był wyjątkowo uciążliwy. Słońce szybko osuszyło wyoraną poprzedniego dnia darninę. Buszujący po stepie porywisty wiatr wydmuchiwał ze skib miałkie drobiny piasku, zasypując nim oczy, usta i nozdrza. Kazachowie poganiali do pośpiechu, a my bezradnie, brudną chusteczką i brudnymi łapskami, wciskając do załzawionych oczu zawisły na rzęsach piasek, bluźniliśmy z cicha swoim zwierzchnikom. Pod wieczór upodobniliśmy się do straszydeł. Nie widziałem siebie, ale Edek wyglądał żałośnie. Był niesamowicie brudny, oczy jego przypominały dwa rozżarzone węgielki, włosy nasycone potem i ziemią upodobniły się do skorupy zaschniętego błota. Nic nie mówił, tylko głośno charcząc, raz po raz wypluwał z siebie ciemną, zabarwioną krwią maź. Ja po kilku godzinach nie byłem w stanie wydusić z siebie ani odrobiny śliny. W ustach i gardle piasek i ani odrobiny wilgoci. Może to i dobrze, bo chyba tylko dzięki tej wewnętrznej suszy zbyt dotkliwie nie dokuczał głód.

Gdy stanęły ściany drugiego domu, mogliśmy przystąpić do zakładania dachu, który, jak we wszystkich tutejszych ziemiankach, spełniał jednocześnie rolę sufitu. Najpierw na rozłożone w poprzek ścian żerdzie położyliśmy uprzednio przywiezioną znad Irtysza wiklinę. Następnie przykryliśmy grubą warstwą siana. Na to wszystko poszła darnina i dla wypełnienia szpar kilkadziesiąt łopat ziemi. Po wstawieniu drzwi, zbitych z kilku nieociosanych desek, i zatkaniu otworów okiennych z dumą mogliśmy popatrzeć na wykonane przez siebie „arcydzieło".

Odjeżdżając z miejsca budowy, nie zostawiliśmy na szczycie dachu tradycyjnej wiechy, nie było bowiem komu przyjmować od nas roboty ani płacić wiechowego. Pracowaliśmy w samotności, z dala od ludzkich osiedli, bez ciepłej strawy, bez pościeli i bez garnuszka czystej wody. Dlatego to miejsce żegnaliśmy bez żalu. Przesiąknięci zapachem potu, brudu, z przekrwionymi oczyma wracaliśmy szczęśliwi, że owe ciekawe, ale jakże uciążliwe dni mamy już poza sobą.

[…]

Pastuch bydła

Na początku czerwca 1943 roku, jako wrogów Kraju Rad, przesiedlono kilka rodzin polskich z Centrali dalej w step do Oddzielenia (farmy) nr 3, prawie 30 kilometrów na zachód. Zamieszkaliśmy w domu rodziny Kazachów prawie na skraju osady, tak jak w Centrali z paniami: Kazimierą Bednarz i jej córeczką Winią, która urodziła się na Ogrodach w 1940 roku w lipcu i Bronisławą Szymanowską z synkiem Jureczkiem. Ziemianka miała dwa pomieszczenia, w których mieszkali gospodarze i my. Oni zajmowali obszerny pokój, a my przejściowy z „ruskim piecem" i płytą, bez drzwiczek. Na piecu tym spała moja siostra Ziutka i ja, żelazne łóżko Mamy stało naprzeciwko frontu pieca. Dalej po tej stronie było małe okno, stół z ławą do siedzenia i łóżko pani Broni z Jureczkiem. Po przeciwnej stronie ulokowała się

pani Kazia z Winią. W środku było przejście dla gospodarzy, do ich pomieszczenia. Aby wejść do części mieszkalnej trzeba było przejść przez dwa pomieszczenia, obszerną sień, w której przechowywano zapasy opału na zimę (kiziaku). Drugie pomieszczenie to obora dla konia, trzech krów i kilku owiec. W naszej izbie było ciasno, ale za to cieplej, bo w środku. W takim to lokalu mieszkaliśmy do końca stycznia 1944 roku. Mieliśmy trzech sąsiadów. Były to rodziny Kazachów.

Równolegle do naszej chaty mieszkał miejscowy nauczyciel Kazach, a prawie naprzeciwko naszego domu zajmowali dom kolejni nowi sąsiedzi, kuzyni naszych gospodarzy. On nazywał się Utabaj i był pastuchem koni, a jego żona miała na imię Raula. Utabaj, kiedy zwracał się do żony, wołał ją tak: *„Aj Raula”*, Mama przekręcała to imię i mówiła, że ona nazywa się Ojraojra.

Pod koniec pierwszego tygodnia, rozpocząłem pracę na „stanowisku, starszego i jedynego” pastucha. Pasłem „młodzież” (tj. młode jałówki i byczki – 150 sztuk) aż do pierwszych mrozów i śniegów. Utabaj też był pastuchem, ale koni. Wiele jemu zawdzięczam. Był on bardzo porządnym, uczynnym człowiekiem. To właśnie on nauczył mnie, jak panować nad bydłem, operować batem, a także jazdy wierzchem na młodym byczku. Kiedyś na początku mojej pracy powiedział mi, że trzeba wybrać najbardziej spokojnego byczka, by przyuczyć go do jazdy na nim na oklep. „Masz takie duże stado, chodząc trudno będzie utrzymać, żeby nie rozlazło się, jeżdżąc będzie łatwiej.” Na byczka siadałem na oklep. Jego łeb ściągałem powrozem do nogi, mały rożek służył mi za strzemię i wskakiwałem w ten sposób na niego. Na początku podskakiwał jak jakiś rumak, ale moje wspaniałe biczysko poskramiało jego zapędy i dał się prowadzić tam, gdzie ja chciałem.

Samo pasanie bydła tak naprawdę nie było ciężką pracą. Najgorzej było napoić te 150 sztuk wodą. Na osiedlu były tylko dwie bardzo głębokie studnie i wodę czerpało się wiadrem o rozmiarach dwukrotnie większych od normalnego. Ta praca była dla mnie bardzo męcząca.

Było gorąco, bydło spragnione, trudno było nieraz go utrzymać i gnało wtedy do wodopoju – koryta. Jeżeli koryto nie było napełnione wcześniej, stworzenia dopadały i tylko siorbnęły, a nie napiły się, więc stały i czekały na jeszcze. Według rady Utabaja, powinienem jak najszybciej napełnić całe koryto wodą i dopiero wtedy dopuszczać bydło do picia, dolewając ciągle wodę, by koryto było cały czas pełne.

Bywało, że kiedy miałem przygnać je do studni, umawiałem się z siostrą, a ona brała Jureczka i ta para „młodych pastuchów” przytrzymywała stado. W nagrodę mieli zapewnioną jazdę wierzchem na moim przeszkolonym „wierzchowcu”. Gdy było już wiadomo, że wracamy do Polski, Jureczek powiedział, że jak przyjedzie do Wólki i jego rówieśnicy powiedzą na przykład „Coś ty z byka spadł”, to on odpowie: „Bywało nie raz”.

Przypomina mi się pewne zdarzenie przy studni. Właśnie kończyłem nalewać wodę do koryta, kiedy wpadło stado koni innego niż mój przyjaciel pastucha. Konie zaczęły wypijać nalaną wodę z koryta, ja biczem je rozpędzałem, a Kazach na koniu nacierał na mnie, przeklinając i raz po raz smagając biczem. Byłem wtedy

chyba najodważniejszym człowiekiem na świecie. Stanąłem i swoim biczem chłostałem jego konia, nie dopuszczając go do siebie. Poskarżyłem się później opiekunowi i już nigdy potem nie było takich zdarzeń.

Kazach Utabaj swoje stado pasał w pobliżu mego i często mnie odwiedzał sprawdzając, jak sobie radzę. Pracę zaczynałem bardzo wcześnie, w południe miałem przerwę, a kończyłem prawie o zachodzie słońca.

Utabaj nauczył mnie doić krowę. Kazał, abym miał ze sobą kubek i kiedy bydło najadło się trawy i ją przeżuwało, jechałem na swoim „wierzchowcu" do innego stada pasących się nieopodal krów mlecznych, i jako protegowany Utabaja, mogłem sobie nadoić do kubka mleka, a mając w zanadrzu placek, zasiadałem do znakomitego posiłku. Niestety był to jedyny posiłek do zachodu słońca.

Z tym stadem pracowałem aż do pierwszych śniegów, tj. do przełomu października i listopada.

Mój opiekun nie tylko pomagał mi w pracy, ale również i po niej. Zdarzało się, że był zapraszany do sąsiadów i znajomych na „ucztę" wydaną np. z okazji zabicia barana lub konia, na co właściciel powinien mieć zgodę władz. Mój udział w takiej polegał na tym, że siedziałem za jego plecami z podwiniętymi nogami. Gospodarz siedział przy niskim stoliku, mięso podane przez kobiety, wprawną ręką, władającą doskonale nożem, kroił i podrzucał gościom. Mój opiekun sprytnie łapał nie jeden, ale dwa kawałki i przekazywał jeden do tyłu. Jadłem wtedy gorące mięso barana albo konia. Kiedy trochę ostygło, część chowałem za koszulę, aby mieć co zanieść do domu. Po mięsie goście dostawali rosół w drewnianych, kolorowych miskach. Utabaj wypijał część i zawsze zostało też i dla mnie. Jeżeli chodzi o *kumys* – sfermentowane kobyle mleko, danie to wieńczyło biesiadę. Kumysu nie można było uronić nawet kropli, ja zawsze miałem kilka dobrych łyżek dla zaspokojenia „obżarcia biesiadnego".

W Kazachstanie, podczas naszego 6-letniego pobytu na zesłaniu, ja i moja rodzina, jedliśmy mięso tylko wtedy, gdy byłem gościem na przyjęciu. Pozostałe dni zawsze były postne.

[…]

Przypomniała mi się też ciekawa przygoda. W płycie paliło się nie tylko kiziakiem, ale i słomą. Słomę używało się latem i jesienią, podczas, gdy kiziak był przeznaczony na zimę. Panie u swego brygadzisty załatwiły zezwolenie na przywiezienie z pola słomy, a ja otrzymałem zgodę na wykorzystanie swoich wołów do jej przetransportowania. Do tego typu ładunku używano tu specjalnego wozu. Panie usiadły na nim i pojechaliśmy na pole, gdzie pszenica była już skoszona. Słoma wyrzucona przez kombajn leżała na rżysku. Najpierw trzeba było ją zebrać w mniejsze kopy, a potem załadować na nasz wóz, zwany tu „tramwajem", chociaż tramwaju w żaden sposób nie przypominał.

Zajęło nam to sporo czasu i zrobiło się bardzo późno. Jedna z pań spostrzegła stojący nieopodal kombajn. Wlazłem na niego i stwierdziłem, że w zbiorniku jest zboże. Zawołałem panie, a sam zacząłem nagarniać ziarno w nasze woreczki. Tu

muszę przypomnieć, że oprócz kieszeni, każdy pracownik, bez względu na narodowość, zawsze miał przy sobie „wysmukłe woreczki", które po pracy, w tajemnicy przed brygadzistą, napełniał ziarnem i ukrywał w wierzchnim ubraniu.

Okazało się, że zboża w kombajnie jest dużo, a nikt kombajnu nie pilnował. W pobliżu też nie było nikogo widać, zresztą było już ciemno. Takiej okazji nie można zmarnować.

Pani Kazia zarządziła, że musimy zdjąć nasze ubrania, pozawiązywać nogawki słomianymi powrozami, napełnić tę naszą garderobę pszenicą i schować w słomie, a samemu zakopać się w niej obok. Ja, goły, siedziałem na swoim miejscu i poganiałem woły, podczas gdy panie były schowane w słomie. Tak dojechaliśmy pod naszą chatę. Pierwszy wpadłem do chaty i szybko włożyłem jakieś portki, a Mama w międzyczasie wyniosła paniom okrycie. Tylko bardzo się dziwiła, dlaczego wszyscy jesteśmy goli, ale gdy zobaczyła sukienkę i spodnie wypchane zbożem, zrozumiała. Rozładowaliśmy następnie „tramwaj", a słomę ułożyliśmy obok chaty. Pszenica znalazła godne miejsce w chacie. Zanim zasnęliśmy, długo się śmialiśmy z naszego „gołego złodziejskiego wyczynu".

Jureczkowe wyczyny

Na drugi dzień po zakończeniu żniw rozpoczęliśmy wożenie ziemniaków. W przeddzień oznajmiłem w domu, że teraz będę woził ziemniaki. Nasz mały Jureczek (4 lata i 6 miesięcy) powiedział, że chciałby jeździć ze mną i gdy będziemy blisko naszej chaty, będzie je zrzucał na ziemię. Zgodziłem się. Jechaliśmy tak jednak tylko jeden raz. Brygadzista wozaków zabronił wozić dzieci. Zauważył, że Jureczek wyrzucał ziemniaki, a ponadto motywował swój zakaz bezpieczeństwem dziecka.

Pomysł na zaopatrzenie się w ziemniaki był dobry. Mieszkaliśmy wtedy w chacie, która wcześniej była chlewem, gdzie hodowano świnie. Hodowla ta nie sprawdziła się jednak. Chlew (chata) stał pusty, więc go nam dano. Dlatego opuściliśmy dotąd zajmowaną ziemiankę.

Nasz „pałac" (stał się nim po wymazaniu gliną podłogi i ścian oraz postawieniu niedużej płyty z kominem) stał przy drodze, którą jeździliśmy do piwnic, gdzie magazynowano ziemniaki. Wymyśliliśmy, że gdy będą jechały wozy z ziemniakami, będę ustawiał się na końcu. Jurek będzie wychodził na skraj osady i kiedy nadjadę, on zaczepi się za wystający z tyłu wozu drąg. Pomogę mu wdrapać się na niego, ale, jakby co, nic nie widzę!

Jurek, stojąc na drągu, trzymał się jedną ręką skrzyni, a drugą wyrzucał ziemniaki. Gdy stał na drągu, to nawet nie było widać jego głowy. Kiedy dojeżdżaliśmy do naszej chaty Jurek zeskakiwał, brał swój traktorek i blaszankę i rozpoczynał zbieranie wyrzuconych ziemniaków. W taki to sposób udało się Jureczkowi zaopatrzyć mamę i siebie w ziemniaki tak, że starczyło im aż do wiosny.

Halina Kierska

Dyplomowany bibliotekarz
Na zesłaniu 1940–1946

W KOŁCHOZIE

Autorka tej relacji urodziła się 13 sierpnia 1925 roku w Brześciu nad Bugiem. Ojciec Henryk Kierski, właściciel dużych zakładów mechanicznych oraz mama Klaudia, zapewnili jej i młodszemu bratu (Julian) szczęśliwe dzieciństwo. Niestety śmierć ojca (1934) przerwała rodzinną sielankę. Po kilkurocznym wdowieństwie mama autorki wyszła za mąż za porucznika w stanie spoczynku, Romana Peszkowskiego. Wkrótce została ponownie wdową, bowiem zginął on w Katyniu.

Gdy wybuchła wojna, Halina Kierska była uczennicą Gimnazjum Koedukacyjnego im. R. Traugutta w Brześciu. Była świadkiem obrony Twierdzy Brzeskiej oraz kilkudniowej obecności wojsk niemieckich i przekazania miasta władzom sowieckim. W dniu 13 kwietnia 1940 roku wraz z mamą i bratem została zesłana do Kazachstanu, skąd w listopadzie 1944 r. przesiedlono ich na Ukrainę, a w lutym 1946 roku powrócili do Polski. Brat Julian ukończył Wydział Elektrotechniki Politechniki Wrocławskiej (zmarł w 2009 roku). Wszyscy mieszkali we Wrocławiu (tu też zmarła mama autorki w wieku 94 lat). Zaraz po powrocie autorka tej relacji uzupełniła średnie wykształcenie i ukończyła bibliotekoznawstwo na Wydziale Filologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Potem w ramach doskonalenia zawodowego uzyskała prestiżowy tytuł zawodowy dyplomowanego bibliotekarza.

Przez cały okres pracy zawodowej związana była ze służbą biblioteczną, przede wszystkim w bibliotekach naukowo-technicznych: Biuro Projektów Gazownictwa „Gazoprojekt" i Centralny Ośrodek Badawczo-Projektowy Górnictwa Odkrywkowego „Poltegor". Jako osoba o dużym doświadczeniu zawodowym prowadziła też zajęcia dydaktyczne w Instytucie Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego, praktyki dla studentów oraz pracowała w Bibliotece Uniwersyteckiej. Jest autorką kilku artykułów w specjalistycznych czasopismach – m.in. w „Rocznikach Bibliotecznych" oraz książki wspomnieniowej z zesłania pt. *Kędy kazachski step…Dziennik deportowanej 1939–1946* (Wrocław 1996, drugie wydanie – 2009). Jest współzałożycielką (1990) Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia. Potem przez wiele lat organizowała wycieczki na te tereny. Należy do Związku Sybiraków i Rodziny Katyńskiej*.

Podstawa relacji: H. Kierska, *Kędy kazachski step…Dziennik deportowanej 1939–1946*, Wrocław 2009.

* Informacje biograficzne: przekaz autorki relacji oraz Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu

Iwankówka. 30 kwietnia 1940. Pomimo rozpaczy, poczucia zagrożenia i wielkiej niewiadomej przed nami, pierwszą noc spaliśmy jak zabici. O świcie obudził nas ruch w chacie. Gospodyni wypędzała krowę z obejścia, świnka zaczęła przedśniadaniowy koncert, kury i kogut też. Trzeba wstawać. I tak już będzie stale. Pobudka o świcie z gospodarzami. Teraz dopiero uświadomiłam sobie w pełni, że jestem na zesłaniu na czas nieograniczony. Może na całe życie?! Boże ratuj!

Sitniczycha udostępniła nam całą izbę, ale nie za darmo. Zapowiedziała od razu, że pieniądze ją nie interesują. Trzeba było otworzyć kufer… Napisaliśmy zaraz listy do Tatka, znajomych, koleżanek, podając nowy adres: Kazachskaja SRR. Akmolinskaja obłast', Makinskij rajon, sieło Iwankowka. A potem poszliśmy we troje obejrzeć miejsce, gdzie zmuszono nas żyć.

Wieś duża, około 100 zabudowań, o dwóch równoległych ulicach, ciągnących się ze dwa kilometry. Pomiędzy ulicami przydomowe ogródki, jedne uprawne, inne porośnięte trawą. Domy – chaty zbudowane z tzw. samanu, czyli mieszaniny błota, gliny i słomy (formowanej w kostki i wysuszonej na słońcu, o wadze 15–20 kg), bądź ziemianki z płatów darniny. Wszystkie o płaskim dachu, niektóre kryte słomą. Tylko kilkanaście domów jest drewnianych. Do każdej chaty przylega tzw. prigon (coś w rodzaju wielkiej sieni i chlewika jednocześnie), z miejscowych kamieni w liliowym odcieniu, podparty belkami i także kryty słomą. Wchodzi się wpierw do „prigonu", a stąd do chaty. Są tu odgrodzone drągami miejsca dla krowy, świni, kaczek, kur. W „prigonie" bywają studnie, składa się opał, stoją wiadra z wodą. Jest to także zabezpieczenie na czas surowych zim. W zasięgu ręki są zwierzęta, opał i woda. Ilość zwierząt ograniczona. Rodzina może mieć tylko jedną krowę i jednego wieprzka, ptactwa – ile wyżywi. Konie mogą mieć tylko Kazachowie, a tych ciągle nie widzimy. Wieś sprawia wrażenie całkowicie rosyjskiej.

Chaty z zewnątrz i wewnątrz są bielone. Mają przeważnie jedną większą lub dwie małe izby, każda z piecem chlebowym lub płytą. Piec chlebowy ma zapiecek do spania i wygrzewania się całej rodziny w mroźne dni. Bieli się go na biało i pąsowo gliną kopaną za wioską. Podłoga, a ściślej gliniana polepa, jest pokryta warstwą nawozu końskiego zmieszanego z gliną. Raz lub dwa razy w miesiącu jest smarowana mieszaniną świeżego nawozu krowiego z wodą i odrobiną gliny. Działa to ponoć dezynfekująco. Przerażające!

Zamiata się miotłą z piołunu lub liściastych gałęzi, zwanych wienikiem. Z braku drzewa, pali się w piecu badylami słoneczników, słomą lub kiziakami, tj. wysuszonymi odchodami bydlęcymi. Właściciele krów mają własny „surowiec", który gromadzony przez zimę za „prigonem", przyrządza się w lecie, rozcieńczając wodą, mieszając ze słomą i udeptując bosymi nogami na jednolitą papkę. Potem kroi się ją w kostki łopatą lub formuje w drewnianych formach. Wysuszone na słońcu, układane są w sterty za chatą. Za te sterty przy każdej chacie, chodzi się z braku „sławojek", i w zimie, i w lecie. W środku lata oczyszczane są z nawozu bazy bydlęce. Zwołuje się wtedy na określony dzień kołchoźników. Zbiegają się

całe rodziny i trwa wyścig w wyrąbywaniu ściółki. Kto nie ma dostępu do tego „skarbu", jak my, musi kupić lub zbierać w stepie.

W piecach pali się tylko rano i wieczorem. W południe nie wolno ze względu na słomiane dachy. A jeśli trzeba coś pilnie ugotować, używa się „trinożki", obręczy na trzech nóżkach, na którą stawia się garnek i podkładając badylki czy szczapki, umieszcza w piecu chlebowym lub na dworze daleko od chaty. Z braku zapałek gospodynie biegają z garnkami żaru od domu do domu. Smużka dymu przyciąga i wskazuje, że tu ogień się wykrzesało.

Przed kilkoma drewnianymi domami są maleńkie ogródki, w nich niewielka karłowata topola lub krzew żółtej akacji, parę stepowych bylin i czasem dzika róża. Innych kwiatów nie ma. Wszystko szare, bezbarwne. W ogrodach koło chat posadzono już słoneczniki, cebulę, kartofle, groch, a i te podobno są karłowate, bo za krótkie tu lato.

Jest w wiosce kilka okazałych budynków drewnianych. To szkoła 10-klasowa, „kantora" kołchozowa, Sielsowiet, tj. Rada Wiejska, kładowaja, czyli magazyn na artykuły żywnościowe: mąkę, tłuszcz, pieczony chleb. Stąd odbiera się przydziały dla brygad. Jest mleczarnia i młyn na ropę, tzw. dwiżok, masterskaja – kuźnia z ośrodkiem remontowym maszyn rolniczych, garaż z liliowego kamienia, stajnie dla koni i wołów. I ze trzy kilometry za wioską wiatrak widoczny z daleka.

Za wioską jest jeszcze rzeczka, groźna w wiosenne roztopy, w lecie kałuża, a na obu jej brzegach „kapustniki", poletka mieszkańców Iwankówki przeznaczone wyłącznie na kapustę. Za nimi kilka długich budowli – bazy dla baranów i cieląt na kilkaset sztuk każda.

W niektórych ogrodach widać wolno stojące „banie", miejscowe jednorodzinne łaźnie parowe, przeważnie z darniny. Wewnątrz kilka dużych kamieni, pod nimi palenisko, cebrzyki z wodą. Pali się w nich prawie co tydzień i jeśli woda zostaje i kamienie gorące, zaprasza sąsiadów.

A dalej, już za wioską i rzeczką, step i step bez końca. Za stepem znów step, a dalej także step. Szary horyzont zlewa się z niebem. Z drugiej strony wsi zaczynają się pola uprawne, ciągnące się kilkadziesiąt kilometrów.

Trafiliśmy też przypadkowo za wsią na miejscowy cmentarz. Okropne wrażenie. Nie ogrodzony, zaniedbany, kilkanaście krzyży prawosławnych. Jedne jeszcze stoją, inne leżą. Gdzieniegdzie na byłej mogile duży polny głaz. W większości mogiłki są wtopione prawie w zachwaszczoną ziemię. Wokoło piołun, jakieś badyle, wdziera się stepowa trawa. Zapuszcza się tu drób, czasem i krowa się popasie… Boże, nie pozwól nikomu z naszych zostawić tu swoich kości!

Wieś Iwankówkę, po rosyjsku „posiołok", zamieszkuje głównie ludność rosyjska nasłana tu w różnych okresach. Jest trochę Ukraińców przesiedlonych w latach trzydziestych, Koreańczyków z okolic Władywostoku i kilka tylko rodzin Kazachów, zwanych przez tutejszych Rosjan – Kirgizami. Zamieszkują oni głównie auły, tj. wyłącznie swoje osady, zajmując się pasterstwem i myślistwem. W kołchozach i miastach niewielu ich mieszka. Dwie rodziny iwankowskich Kazachów należą do

bogatszych. Głowa jednej jest kołchozowym szewcem, drugi – poluje i dostarcza skórek. Inni to biedota. A ponieważ kołchoz musi mieć nazwę inną niż wioska czy kilka małych wiosek, które go tworzą, iwankowski kołchoz nosi szumne miano „Leninskij Put´", czyli Droga Leninowska. Znajduje się około 50 km od najbliższej stacji kolejowej i miasta powiatowego Makinka i o 18 km od najbliższego miasteczka Woźniesienka, gdzie jest poczta, szpital, apteka, milicja, NKWD i inne siedziby lokalnych władców. Codziennie jeździ tam po korespondencję jedyny w wiosce listonosz Jaszka, pocieszna postać. Najbliższy kołchoz Puszkinka odległy jest od nas o około 10 km.

To są pierwsze wrażenia z oględzin wioski i pierwszych, nieudolnych jeszcze rozmów z tubylcami. Poznaliśmy się z naszymi towarzyszkami niedoli. Jest trochę dzieci i jedyny mężczyzna, 20-letni Kostek Michalcewicz. Razem nas tu wszystkich, łącznie z dziećmi, 25 dusz. Mężowie wszystkich pań są w obozach i więzieniach. Im, gospodynie także postawiły ultimatum ekonomiczne, a czwórce samotnych pań, które zamieszkały razem – aby jak najrzadziej wychodziły z izby, bo to „kręcenie się" denerwuje. Obawiają się, że wkrótce zamiast drzwi będą musiały używać swego okna.

Podczas naszych wędrówek po siole i rozmów z tubylcami byliśmy obserwowani z okien, zza węgłów chat. Dzieci gromadą chodziły za nami. Czasami obok nas upadł kamień… Wszystko to razem przerażające.

Dokumentów żadnych nie mamy, zabrano nam podczas rewizji, a więc ucieczka stąd nie wchodzi w grę. Żadna kasa nie sprzeda biletu kolejowego bez dokumentów pasażera i bez zezwolenia kołchozu na wyjazd.

25 maja 1940. Męczą mnie nocami koszmarne sny. Przeżywam jeszcze raz wszystko od początku. Budzi mnie Mama lub Julek, krzyczę przez sen.

Przewodniczący kołchozu dotrzymał słowa. Przez kilka pierwszych dni otrzymywaliśmy z „kładowoj" po pół bochenka dziennie wspaniałego, wyrośniętego chleba z razowej mąki pszennej i chude mleko. Odbierał to Julek. Później zostało tylko mleko i z konieczności jawnie rozkwita handel wymienny.

Po paru dniach zjawił się brygadier, aby „zaprosić" Mamę do pracy. Przygotowywano pszenicę na zasiew i do planu i trzeba było na wialniach oczyścić ją z łuski. Kombajny młóciły przy ubiegłorocznych stogach. Poszła biedna Mama i wróciła ledwie żywa. Wialnię obsługuje się ręcznie. Składa się ze skrzyni na ziarno, dużego wentylatora oraz ruchomych sit. Ziarno cienką stróżką zsypuje się na ruchome sita odsiewające plewy, a z sit oczyszczone już sypie się na ziemię. Odgarnia się je na boki drewnianą łopatą. Wialnię obsługują cztery osoby. Najcięższa praca to wsypywanie ziarna do zbiornika szuflą o pojemności średniego wiadra, którą trzeba podnieść do wysokości około półtora metra. Wsypywać ziarno trzeba szybko. Dwie osoby kręcą korbą wprawiającą sita w ruch. Czwarta osoba odgarnia ziarno spod sit. Pracuje się na zmianę, odpoczywa tylko przy odgarnianiu czystego ziarna. Po paru dniach pracy nabrała Mama trochę wprawy.

Dla nas, niestety, jest tylko praca fizyczna. Jesteśmy „niebłagonadieżnyje", tzn. niepewny element i „wragi naroda", ale jakiego narodu polskiego czy rosyjskiego nam nie powiedziano. Pracuje się w kołchozie na tzw. „trudodni", czyli ilość normy wykonanej przez jedną osobę w ciągu dnia. Suma „trudodni" każdego pracującego kołchoźnika stanowi jego roczne wynagrodzenie. Tu wyłącznie w naturze. Ponieważ kołchozy mają rozliczenia roczne, dopiero po zakończeniu roku, oddaniu państwu obowiązkowego kontyngentu (zboża, ziemniaków i ewent. innych dóbr, jak: skórek zwierząt, mięsa, mleka czy masła) dzieli się pozostałe plony na kołchoźników. W 1939 roku kontyngent był podwyższony, niewiele więc zostało do podziału. Nie płaci się zatem bieżąco za pracę. Tylko w brygadach polowych przysługuje bezpłatne wyżywienie.

Miejscowa ludność ma jeszcze zapasy z poprzednich zbiorów i nieco żywego inwentarza, my musimy wszystko nabywać. Nasza odzież, bielizna i pościel bardzo się podoba tutejszym kobietom i wszystko chciałyby kupić, oczywiście za bezcen. Na razie nie głodujemy. Brak tylko cukru, tłuszczu i jarzyn. Pustoszeją nasze walizki. Co będzie potem?

Miejscowi na ogół odnoszą się do nas nieprzyjaźnie, łagodzą to trochę kontakty handlowe. Poprzedzająca nasz przyjazd propaganda odniosła skutek. Nazywają nas *„proklatymi, zakajannymi Polaczkami"*. Często słyszymy złośliwe docinki pod adresem pomieszczyków i polskich panów. Jesteśmy też pod nadzorem miejscowej młodzieży. Potrafi taki „pacan" (wyrostek) wejść do naszej izby bez pukania i pytania, stanąć pod ścianą lub usiąść na podłodze i obserwować nas godzinę, dwie. Na pytanie czego sobie życzy pada odpowiedź: *„A niczego, priszeł pogulat' "*, a przeważnie nie odpowiadają. Milczą gryząc pestki słoneczników i patrzą, patrzą, śledzą każdą naszą czynność…

Tydzień temu taka „wizyta" miała nieprzyjemne następstwa. Braciszek, majsterkowicz prawie od urodzenia, zabrał z Brześcia induktor z telefonu i małą żaróweczkę, swoją zabawkę. Kilku wyrostkom zademonstrował zapalającą się lampkę po pokręceniu korbką. I już wkrótce mieliśmy wizytę samego przewodniczącego Rady Wiejskiej, Czuwałowa, największej osobistości Iwankówki, oczu i uszu NKWD, którego w wiosce nie ma. Zaczęły się indagacje, gdzie nasz aparat nadawczo-odbiorczy i z kim się kontaktujemy. Podejrzewając, że brat boi się powiedzieć prawdę przy Mamie, wyprowadził go z mieszkania i tam, sam na sam, wypytywał, groził i obiecywał 11-letniemu chłopcu, że zapomni o sprawie, jeśli tylko się przyzna i odda mu aparat. Zapewnił też Julka, że jeśli Mama będzie go kiedykolwiek za coś biła, ma zjawić się u niego ze skargą, a on już z Mamą odpowiednio postąpi. Biedny, przerażony braciszek zapewniał płacząc, że wszystko chłopcy wymyślili i oprócz tej zabawki nic nie ma.

Nie wiem, czy Czuwałow uwierzył, ale przez jakiś czas mieliśmy wzmożone młodzieżowe wizyty. Żyliśmy w niepokoju parę tygodni, że naśle nam tu NKWD. Jest to człowiek wyjątkowo nieżyczliwy Polakom, schodzimy mu wszyscy z drogi. Wstrętna kreatura. Korniszon! Przed dwoma dniami mieliśmy inną wizytę, także

w pierwszej chwili przerażającą. Późnym popołudniem otworzyły się mocno szarpnięte drzwi (pukanie nie jest tu znane) i stanęła w nich olbrzymia i jakaś dziwna postać. Zmartwiałam. Wysoki mężczyzna w lisiej czapie z ogonem opadającym na plecy, jakimś futrzanym serdaku, śniada cera, czarne długie wąsy sięgające za podbródek, oczy skośne. Całość jakaś niesamowita. Mama i Julek zastygli w miejscu. Chwilę trwało milczenie, przybyły taksował nas wzrokiem i wreszcie huknął:

– *„Twoj czaj imiejet?!”* Sprawa się wyjaśniła. Chciał kupić herbatę, gospodyni mu powiedziała, że mamy. Transakcja doszła do skutku, dostaliśmy parę kilogramów baraniny. To był wreszcie Kazach. Nazywał się Bajzuła, tutejszy myśliwy. Nie wiem, czy wszyscy są tacy straszni, ale tego nie chciałabym sama spotkać w stepie. Herbatę Kazachowie uwielbiają, a w miejscowym sklepiku jej nie ma.

Na parę dni przed naszym tu przyjazdem rozpoczęły się zasiewy pszenicy. Żyto tu ponoć nie udaje się. W połowie maja zasiewy zakończono i mieszkańcy wsi urządzili ogólną „gulankę”. Doroczny to zwyczaj. Mieliśmy okazję ją zobaczyć. Na świeżym powietrzu ustawiono stoły i każda brygada przygotowała sobie wspólny posiłek. Był barszcz z kiszonej kapusty, mięso gotowane z kartoflami, mleko z makaronem, jajecznica zapiekana z mąką, kwas chlebowy i oczywiście wódka. Gdy skończono jeść, rozpoczęły się tańce przy dźwiękach harmonii i bałałajki. Przypominały nasze ludowe pląsy z przytupywaniem i przyśpiewkami, zwanymi tu czastuszkami. Przyśpiewki na ogół głupawe, czasem tylko dowcipne, w większości improwizowane. Rosjanie mają dobry słuch, często i ładnie śpiewają. I w pracy, i po pracy, przeważnie na głosy. Słyszeliśmy to już kilkakrotnie.

Dopiero w początkach maja zazieleniła się trawa, a potem błyskawicznie, nieomal z dnia na dzień, step zamienił się w przeogromny, bezkresny dywan kwiatowy. Krokusy! Liliowe, białe, kremowe, purpurowe. Różnokolorowa bajka jak okiem sięgnąć. Aż szkoda po nich chodzić. Z trudem wybierało się miejsca nie pokryte kwiatami. Tak objawia się na stepie wiosna. Orgią barw. A w moim kraju? Konwalie, bez, fiołki. Łany fiołków na fortach i fosach Twierdzy. Błękitne, liliowe i pachnące, pachnące. Po kilku dniach kwiaty zniknęły, pozostał zielony, gęsty dywan traw, który prawie codziennie zdeptywałam z Julkiem w poszukiwaniu suchego nawozu krowiego. Najlepszy to podziurawiony przez mrówki. Jest to stałe zajęcie zesłańców i wioskowej biedoty. Wyniki zbierania różne, zależne od szczęścia w danym dniu.

Przy transakcjach wymiennych poznała Mama i drugiego Kazacha, Haży-Achmeda. Ten nie wygląda tak groźnie jak Bajzuła. To miejscowy szewc. Kupił parę ubranek Julka i zaprosił Mamę z nami i dwiema naszymi paniami w gościnę do siebie.

31 maja 1940. Jest w Iwankówce sklepik, jedyny. Spożywczo-przemysłowy. Z towarów przemysłowych są lampy naftowe, widły, łopaty, sierpy. Z artykułów spożywczych dotychczas tylko raz przywieziono rybę wysuszoną na wiór oraz cukier i wódkę na pierwszego maja, ale Polakom ich nie sprzedawano.

Wraz z panią Alą Ochocką i Milą Radź złożyliśmy wizytę rodzinie Haży-Achmeda. Ciekawi byliśmy ich życia. Gospodarz przyjął nas na progu i wprowadził do

izby. Dom drewniany, cała podłoga zasłana jest dywanami, na ścianach bałałajki. W rogu pokoju kołyska, nad nią pochylona stara Kazaszka, babka dziecka, zwana tu „mamką", w sukni do ziemi, z głowy zwisa długa płócienna chustka (kształt welonu) szczelnie ją opinająca. Na nasz widok nałożyła na suknię aksamitny kasak rozkloszowany poniżej talii i zapinany na srebrne monety: strój wizytowy. Była też żona „marża", ale ona w domu męża głosu nie ma. Rządzi wszystkim „mamka", matka męża.

Stołu ani krzeseł nie ma. Usadzono nas na dywanie. Kazach na naszą prośbę zagrał na bałałajce kilka tęsknych melodii, a „mamka" w tym czasie przygotowała coś w rodzaju maleńkich pączków, smażonych w baranim tłuszczu, zwanych „baursak". Przyniesiono niziutki, okrągły stolik, nakryto ceratą, mężczyźni nałożyli czapki, bez których nie wolno siadać do stołu, i rozpoczęła się biesiada. Jedliśmy siedząc po turecku. Nie jest to wygodne. „Baursak" nawet smaczny. Potem była mocna herbata z samowaru, z owczym mlekiem. Piliśmy, aby nie obrazić gospodarzy. Herbatę Kazachowie nalewają bez końca, aż gość nie odwróci filiżanki dnem do góry. Ściślej nie filiżanki, lecz „pijałki", filiżanki bez uszka.

Rozmowa była utrudniona, gdyż my jeszcze słabo mówiliśmy po rosyjsku, a Kazachowie jeszcze gorzej od nas. Ale rozumieliśmy się. „Mamka" opowiadała o swojej przeszłości, bogactwie tego ludu. Gości z Europy na pierwsze odwiedziny obdarzało się zawsze drogimi prezentami. Bogatsi Kazachowie dawali nawet złote pierścienie, ubożsi srebrne, dzieciom do kieszonek wkładało się monety. Wtedy mieli niezliczone stada owiec, kóz, koni, wielbłądów. Były ordy, chanowie. Żona przynosiła w wianie kilkaset baranów, tuzin kobył. Ale dzisiaj? „Mój biedny" – powtarzała „mamka". Ma zaledwie dwa konie i parę owiec.

Poczęstowali nas *kumysem*. Bardzo smaczny. Nie jest to świeże kobyle mleko, ale lekko przefermentowane, musujące. Kazachowie twierdzą, że to ich eliksir życia i bez *kumysu* nie umieją żyć. Dlatego też zezwolono im na posiadanie koni. Mama dobiła zaraz targu na 30 litrów *kumysu* co drugi dzień za jakiś nasz letni płaszczyk. Przy zapowiadanych upałach zastąpi nam zsiadłe mleko.

„Mamka" potrafi też wróżyć z bobu, uprzedziła nas o tym Sitniczycha. Dodała jeszcze, aby Kazachom nie wierzyć, bo oszukują nie gorzej od Cyganów. Z wróżby nic jednak nie wyszło, „mamka" nie miała nastroju. Na pożegnanie dostaliśmy po kawałku młodej koniny, a pani Ala koguta dla synka. „Mamka" wyprowadziła nas za próg i długo stała patrząc za nami.

5 czerwca 1940. Wręczono dzisiaj Mamie paszport na 5 lat. O mój Boże!

Poznaliśmy drugą kazachską rodzinę, Bajzułów. Mieszkanie podobne do Haży-Achmeda, także nie za czyste. Tu też kilka kobiet. Kazaszki są nawet ładne, ale mężczyźni mnie przerażają. Ciemna cera, mongolskie rysy, silny czarny zarost, nisko nad oczami zupełnie proste brwi, wąsy zwisają w dół, dziko błyszczą skośne oczy. Stale chodzą w futrzanych czapkach. Niektórzy, jak Bajzuła, żyjący z polowania, mają zezwolenie na broń myśliwską i liczone naboje. W zamian, oddają państwu

skórki lisów, wilków stepowych. A te ostatnie mają piękne zimowe futerka białokremowo-brązowe. Pokazał nam kilka skórek. Cudo!

Kobiety kazachskie kochają się w pluszach, aksamitach. Zamiast guzików używają monet. Białe welony zwą „dżaoołog", mogą być długie lub krótkie, ale zawsze białe. Noszą też wiele srebrnych bransolet, które pięknie odbijają od ciemniejszej niż nasza, skóry. Mężatki – dwie na jednej ręce, wdowy – jedną.

17 lipca 1940. Czekamy, jak kania dżdżu, na listy z Brześcia. Już pierwsze docierają, ale ze smutnymi wiadomościami. Niemcy zagarniają coraz więcej ziemi. Najgorsza była wiadomość o kapitulacji Francji. Liczyliśmy na nią. I taka silna armia poddała się. Nic nie słyszeliśmy o bojach. Czyżby zdrada?

Nie wiemy prawie nic, co się dzieje w świecie. Jesteśmy jak w studni głębokiej i ciemnej. Jedyny egzemplarz „Prawdy" dociera z opóźnieniem do „kantory", a tam zawsze pełno mężczyzn. Przychodzą omawiać sprawy gospodarcze lub na pogwarki i do gazety kolejka, a potem używają jej zamiast bibuły do skręcania z machorki papierosów. Jeśli uda się dostać, i to jedynie pani Zofii Bielskiej, bo jej gospodyni pracuje w Sielsowiecie, to każdą wiadomość oblewamy łzami i walerianką. Więcej jest złych dla nas informacji niż dobrych, w niektóre w ogóle nie wierzymy.

Radia na wsi nikt nie ma, bo i nie ma tu elektryczności. Bazujemy więc tylko na listach. Szyfr jest tak nieskomplikowany, że cenzura sowiecka na pewno zaśmiewa się do łez: „Ciocia Amelia ma się dobrze i pozdrawia. Czy Franciszka pogniewała się i odeszła? A może Lord Was odwiedza?" itp.

Otrzymujemy również paczki. Z cukrem, białą mąką, suszonymi owocami, herbatą. Przysłała paczuszkę i Nastka. Jak zmieniają się koleje losu, kiedyś obdarowywana była przez nas. Kochana niania! Była u państwa Paszkiewiczów w czasie naszej wywózki i nie może sobie darować, że nie jest z nami. Napisała za pośrednictwem wujka rozpaczliwy list, który własnoręcznie podpisała.

Jako pierwszy mój korespondent zameldował się Lolek Bylczyński, mój towarzysz lat dziecinnych i sąsiad od urodzenia, gdy mieszkaliśmy jeszcze na ulicy Piotrowskiej, w wynajmowanym mieszkaniu. Jest o trzy lata starszy ode mnie i z tego powodu, w gimnazjum, uważał się za mego opiekuna. Zaczynają pisać koleżanki z „budy". Cudowny list, bardzo podtrzymujący na duchu, przysłał znajomy rodziców, inżynier Zelenay. Jedno zwłaszcza zdanie długo rozważaliśmy: prosi, żeby wierzyć w celowość wszystkiego cokolwiek się dzieje, także w celowość cierpienia. Czy coś się za tym kryje, czy też – jak mówi Mama – to tylko filozofia?

Uczę się języka rosyjskiego. Byłam osłuchana już w Brześciu, mieszkało tam sporo Rosjan. Uczono nas także parę miesięcy w gimnazjum, jest więc mi łatwiej niż innym z naszej małej polskiej grupy. Tu, na co dzień, mówi się przeważnie po „chachłacku", mieszaniną rosyjskiego z ukraińskim.

Mama pracuje, Julek całe dnie spędza z miejscowymi chłopcami, ganiając chomiki po stepie. Nie ma rówieśników Polaków, bawi się więc z ruskimi. Jakoś się dogadują. Ja także nie mam tu koleżanki. Marysia Michalcewicz, jedyna z młodszego pokolenia, jest o kilka lat starsza i mało mamy wspólnego. Mieszka

ponadto na drugim końcu wsi. Jestem więc sama i z konieczności przeważnie w towarzystwie dorosłych.

W połowie czerwca skończyła się moja wolność. Brygadier „zaprosił" mnie i inne dziewczęta do pracy w polu przy pieleniu pszenicy. Włączono mnie do trzeciej brygady. Dzień naszej pracy, podobnie jak pozostałych brygad, układa się według następującego schematu: o 7–8 rano zbierają się kobiety i dziewczęta przed jednym z domów i idą pieszo lub jadą wołami na miejsce pracy, czasem odległe o kilkanaście kilometrów od kołchozu. Do dalszych stanic wozi się je końmi. Po przybyciu na miejsce – krótki odpoczynek w cieniu wozu lub w trawie i rozdział prac przez zarządzającego. Pielące pszenicę nastolatki otrzymują pas szerokości sążnia (2 m) każda i pochylone, posuwają się naprzód i wyrywają wszystko, co rośnie (oprócz pszenicy) w zasięgu obu rąk. Po paru godzinach pracy boli grzbiet, gorąco, spływa pot. Często odpoczywać nie można, bo tyraliera idzie dość szybko i wlokący się z tyłu jest tematem żartów i docinków. Polki nie chciały być ostatnie… Pracować trzeba szybko i dokładnie. Pole, ciągnące się kilometrami, musi być zupełnie czyste, inaczej brygadier nie zaliczy dniówki.

Kucharka tymczasem, na prymitywnej płytce w ziemi, gotuje obiad. Jest to przeważnie makaron z razowej mąki pszennej, twardy nawet po ugotowaniu, i trochę baraniego mięsa. Około godz. trzynastej wywiesza na wozie lub dachu budki brygady koszulę na kiju, dobrze widoczną z daleka, zamiast gongu, którego by w polu nikt nie usłyszał. Stanowiska pracy są odległe od siebie. Na ten znak wszyscy ściągają z pola do „korytka". Bywało, że nie otrzymywaliśmy obiadu w stepie. Ktoś czegoś na czas nie dowiózł lub nie pobrał w terminie z „kładowoj" i zamiast gorącego posiłku był tylko chleb i gorąca woda.

Po obiedzie godzinna drzemka, gdzie kto może, aby minął największy upał. Potem nalewanie wody do butelek i każda wraca na swój odcinek. Z napełnionym brzuszkiem bardzo trudno zmobilizować się do pracy. Ciągle spoglądam na słońce. Oby jak najszybciej skryło się za horyzontem. Trzeba jeszcze zaczekać na „uczotczika", aby obmierzył każdemu i zapisał wykonaną pracę.

Po zachodzie słońca, noga za nogą, zmęczeni, zakurzeni wracamy do wsi piechotą, jeśli niedaleko, lub wołami. Gdy docieram do domu, jest zupełnie ciemno. Po takim wysiłku całe ciało jest obolałe, na drugi dzień wstaje się z trudem, ale śpi się kamiennym snem. Nie ma czasu ani siły na wspomnienia i zastanowienia. Może to ta metoda wychowawcza dla nas?

Po pszenicy nadeszły sianokosy. Zgrzebywałyśmy widłami siano po kosiarkach, układały w sterty, woziły zieloną lucernę do bazy dla bydła. Świeżo skoszona lucerna jest bardzo ciężka i naładowanie wozu wyczerpywało mnie zupełnie. Trzeba było jeszcze zawieźć ją i zrzucić w bazie. Woły często nie chciały iść. Prośba ani groźba nie pomagały. Uderzyć takiego umęczonego zwierzaka nie mogłam, więc drapałam go za rogami, pod szyją, obejmowałam, przemawiałam czule, nazywałam najpiękniejszym stworzeniem świata, ba, całowałam nawet aksamitne policzki, aby tylko ruszył choć jeden za innymi wozami. Wówczas drugi też pociągnie. Często to

skutkowało. „Cob, cob! Cabe, cabe!" – słyszało się od wczesnej wiosny na wszystkich polnych drogach i woły na ogół potulnie skręcały, gdzie trzeba.

Zaczęło się lato azjatyckie. Żar z nieba płynie, wszystko wysycha. Pracującym w polu beczkowozy dowożą wodę, ale zdarza się, że pominą jakąś grupę i pojadą do innych stanic, wówczas byle kałuża, nawet z kijankami, jest dobra. Pije się z niej wodę, nie patrząc, co tam pływa. Ostatnio podczas takich upałów pracowaliśmy w nocy, przy księżycu. Nawet ciekawie było. Tylko nad ranem, w trakcie krótkich wypoczynków na stertach siana, przysypialiśmy.

Podziwiam kondycję miejscowych kobiet. Mnie i innym naszym paniom po pracy nie chce się nawet otworzyć ust, tak jesteśmy zmęczone, a one – śpiewają. Śpiewają jadąc w pole, śpiewają wracając. Słucham je zawsze z przyjemnością. Z rzadka tylko wybucha na wozie sprzeczka, wówczas wymyślają sobie i klną straszliwie.

20 lipca 1940. Z pracą na razie mam spokój. Więcej zajęć dla 15-latki nie mają. Żniwa, jak powiedziano, jeszcze za ciężkie. Tylko chłopcy są stale zatrudniani przy poganianiu wołów.

Wszyscy kołchoźnicy, aby utrzymać się w kołchozie, muszą wypracować co najmniej 80 „trudodni" w roku. Pracują wszyscy członkowie rodziny. Dla każdego rodzaju pracy jest określona norma, czyli „trudodien". Można w jednym dniu pracy wyrobić półtora, a nawet dwa „trudodni", np. przy kombajnach, na traktorach, ale trzeba mieć wyjątkowe zdrowie i siły. Aby zarobić „trudodien" przy pieleniu pszenicy, należy wypielić pas długości 200 m i szerokości 2 m (sążeń). Mężczyźni mają pracę w kołchozie przez cały rok, kobiety pracują głównie w lecie, dorywczo wiosną i zimą, z wyjątkiem stale zatrudnionych na bazach, w mleczarni, świniarni. Wszyscy pracujący z Iwankówki podzieleni są na 4 brygady, z których każda pracuje oddzielnie na „swoich" polach. Za jej pracę i organizację odpowiada brygadier. Każda ma swego „uczotczika" obliczającego wykonaną pracę, zarządzających poszczególnymi stanicami w polach, traktorzystów itp. O terminach prac polowych decyduje agronom, rezydujący w „kantorze" z przewodniczącym i buchalterem.

Step zmienia zabarwienie. Po różnokolorowej wiosennej szacie była soczysta zieleń, teraz trawy kwitną szarosrebrnymi kitkami, delikatnymi jak ptasi puszek. Gdy wiatr nimi faluje, a wiatry tu ciągle wieją, cały step z daleka wygląda jak nie kończące się srebrne jezioro. Lśni metalicznie w słońcu. To jezioro stepowe oczarowuje, ogarnia, osacza… Tubylcy nazywają te trawy *„kałym"* (prawdopodobnie to ostnica). Ten step jest moim relaksem i powiernikiem. Idąc daleko z workiem po opał, tam gdzie nie ma już ludzi, tylko krowy chodzą na wypas, gdzie tylko trawa i niebo, mogę się wypłakać, poskarżyć… Step nie zdradzi. Tu też cudownie wypoczywam i marzę, leżąc w pachnącej trawie, pełnej pasikoników, mrówek, bożych krówek i dziesiątków różnych żuczków. Step jest piękny i w dzień, i nocą, gdy tchnie ciepłem zgromadzonym za dnia i wonnymi ziołami.

[…]

Poznaję coraz więcej kazachskich potraw. Nie próbowałam jeszcze rosołu „surpy". Wieprzowiny, jako mahometanie nie jadają, tylko baraninę, koninę i wołowinę. Za najsmaczniejsze mięso uznają młodziutką koninę, tzw. łosza. Na śniadanie pijają herbatę z owczym mlekiem, do tego chleb z masłem. Kumys popijają jak wodę przez cały dzień.

Przy okazji odwiedzin Kazachów dowiedziałam się nieco o ich praktykach medycznych. Np. kobiety rodzą w pozycji wiszącej. Podwieszone są pod pachy do sufitu. Mówią, że poród taki jest łatwiejszy. Powszechnie używanym „lekiem" jest wysuszona gardziel wilka. Ma ponoć działanie uniwersalne. Przytyka się ją do chorego miejsca, potem stuka nią parę razy o ziemię, znów przykłada, stuka, i tak kilka razy. Rany goją się szybciej, jeśli poliże je pies. Ludzi chorych nie należy myć ani zmieniać im bielizny, bo to szkodzi itp. Dowcipnie też poczynają sobie z niemowlętami płci męskiej. Ale to już widziałam i w rosyjskich chatach. W dnie kołyski, a jest to przeważnie drewniane pudło zawieszane u sufitu na sprężynie, gumie czy sznurku, wycinają otwór. Małemu na przyrodzenie zakładają wygładzoną kość umieszczoną drugim końcem w otworze kołyski. Pod otworem na podłodze stoi blaszanka. I pieluszki nie są mokre… A no, co kraj to obyczaj.

Nie tylko Kazaszki są zabobonne, rosyjskie kobiety też. Aby spadł deszcz, zakopują wszy do ziemi, a tego dobra tu nie brakuje, zwłaszcza w głowach. Do bardzo lubianych zajęć należy wzajemne iskanie się. Po drzemce w polu czy w dni świąteczne na progach chat, zaprzyjaźnione lub spokrewnione kobiety i dziewczęta kładą głowy na kolana drugich i zaczynają się łowy. Powszechny to tutaj obrazek. Prośba o poiskanie jest dowodem wielkiej sympatii. Brr! Dzieci też w ten sposób oczyszczają. Jakoś żadna o gęstym grzebieniu nie pomyśli.

10 sierpnia 1940. Przy ślicznym poranku szyłam sobie letnie pantofle, bo moje stare już się rozpadają, gdy słyszę nagle znajomy głos. Wybiegam przed chatę – Hela Gołubienkówna. Ucałowałyśmy się jak po paroletniej rozłące. Usadowiłam gościa na „kanapie" z dwóch naszych kufrów i z wielkiego podniecenia rozmawiać nawet nie mogłam. Mama zajęła się sędziną Dobrowolską, z którą Hela z Puszkinki przyszła. Za chwilę doszła do nas pani Grażyna Dębińska także z Puszkinki, z pięknym białym szpicem Lalką. Panie razem przyszły. Obie są młode, ładne, pełne optymizmu. Nie tracą nadziei, na wszystko patrzą z humorem. W Puszkince zebrało się więcej inteligencji niż u nas. Żebyśmy miały takie towarzystwo stale! Poszłyśmy z nimi do czwórki naszych samotnych pań, które jak przewidywały, już wchodzą i wychodzą przez okno ze swej izby. Gospodyni zabroniła im przechodzić przez jej pomieszczenie. Najwięcej kłopotów z wchodzeniem ma najstarsza z pań, pani Cencelowa, zwana przez pozostałe panie Ciocią.

Gawędziłam z Helą o szkolnych czasach. Byłyśmy razem jeszcze w szkole powszechnej. Wspominałyśmy nauczycieli, profesorów, koleżanki, wszystkie figle i psoty. Hela ma zamiar od września iść do rosyjskiej szkoły. Mówi, że zawsze czegoś się nauczy. I racja. A może do jesieni coś się zmieni i miejscowa szkoła nie będzie już potrzebna? Ciągle wierzymy w jakiś cud.

Od paru dni Mama nie pracuje w stepie. Coś jej szkodzi, chudnie z każdym dniem. To już nie jest moja dawna śliczna Mama. Julek także choruje na żołądek. Nawet zdobyty od Bajzułów *kumys* nie pomaga. Mnie na razie do pracy nie gonią, ale przewodniczący kołchozu, Połozkow, coś krzywo patrzy. Spotykamy się często, gdyż jedna z nielicznych studni z wodą dobrą do picia i najbliższa, jest tuż przy „kantorze". Mam szczęście do niego, wychodzi zawsze, gdy jestem przy studni. Korzystam więc póki można z wolności i trochę szyję, gromadzę opał i czytam.

Nauka rosyjskiego w „budzie" nie poszła w las. Czytam dzisiaj „Obłomowa" Gonczarowa[1]. Przeczytałam już wszystko Lermontowa[2] (ma piękny język, podobnie jak Słowacki)[3], Turgieniewa[4], Lwa Tołstoja[5], Żukowskiego[6], no i oczywiście Puszkina[7]. Pożyczam książki z biblioteki szkolnej, mimo że do szkoły jeszcze nie chodzę. Boję się jeszcze języka. Co innego krótka rozmowa, z którą sobie dobrze radzę, czy bierne czytanie, a co innego dłuższa odpowiedź w klasie pełnej dzieci.

13 sierpnia 1940. Dzisiaj skończyłam piętnaście lat. Mój Boże, piętnaście lat! Mama i Julek złożyli mi życzenia, ale prezentów żadnych nie było. Zostawili mi tylko ostatnią marmoladkę z paczki pani Irenki. Długo w nocy nie spałam. A potem był piękny sen. Byłam w Brześciu. Wędrowałam przez zielone bulwary ul. Sienkiewicza, potem Mickiewicza, przez ulicę Unii Lubelskiej, obok tonącego wśród drzew kościoła, w stronę stadionu sportowego i już widać było nasz migdałowy domek. W ogrodzie pełno owoców, zrywałam soczyste brzoskwinie, gruszki. Od strony ulicy doleciał śpiew powracających z ćwiczeń żołnierzy: Marysiu buzi daj, mamusi nie pytaj… To znaczyło, że kompanie wracają do koszar i Tatek niedługo wróci na obiad. Trzeba przygotować jeszcze lekcje, a ta Syberia to tylko zły sen…

---

1 Iwan A. Gonczarow (1812–1891), pisarz rosyjski, autor realistycznych powieści o życiu ziemiaństwa.

2 Michaił J. Lermontow (1814–1841), rosyjski poeta romantyczny; jego powieść pt. *Bohater naszych czasów* zapoczątkowała rozwój rosyjskiej powieści psychologicznej.

3 Juliusz Słowacki (1809–1849), wielki polski poeta i dramaturg romantyczny.

4 Iwan S. Turgieniew (1818–1883), pisarz rosyjski jeden z twórców rosyjskiej szkoły psychologicznej, autor powieści i opowiadań ukazujących życie różnych grup społeczeństwa rosyjskiego w XIX w.

5 Lew. N. Tołstoj (1828–1910), wielki pisarz rosyjski, mistrz analizy psychologicznej, autor takich dzieł jak *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*, *Zmartwychwstanie*.

6 Wasilij A. Żukowskij (1784–1852), rosyjski poeta i tłumacz, którego twórczość wywarła wielki wpływ na rozwój rosyjskiego romantyzmu.

7 Aleksander S. Puszkin (1799–1837), poeta rosyjski, twórca nowożytnej literatury rosyjskiej, najwybitniejszy pisarz romantyzmu rosyjskiego.

JÓZEF KUCZYŃSKI

Ksiądz, zesłaniec

W łagrach i na zesłaniu 1945–1956 i 1958–1965

Z DUSZPASTERSKĄ POSŁUGĄ

Ks. Józef Kuczyński urodził się w 1904 roku w Buczkach. W Żytomierzu ukończył szkołę dla nauczycieli w języku ukraińskim. W 1924 roku nielegalnie przybył do Polski i w 1930 roku ukończył seminarium w Łucku, gdzie później pracował jako ksiądz. W latach 1933–1937 studiował w Instytucie Katolickim w Paryżu, gdzie uzyskał tytuł naukowy doktora w zakresie nauk społecznych. Po powrocie pracował nadal w diecezji łuckiej. Związany był z tamtejszym Diecezjalnym Instytutem Akcji Katolickiej, był kapelanem Wołyńskiej Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego oraz Sekretarzem Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Gdy wybuchła wojna (1939), został proboszczem w parafii Szumbar koło Krzemieńca. Był tam świadkiem narastania fali antypolskich nastrojów ze strony nacjonalistów ukraińskich i szerzących się tam mordów. W 1942 roku w obliczu narastania tych zbrodniczych działań zorganizował przy kościele i dawnym klasztorze Reformatów w Dederkałach aktywną samoobronę ludności polskiej. Został za to odznaczony Krzyżem Walecznych Armii Krajowej. Po cofnięciu się wojsk niemieckich z tzw. terenów wschodnich ks. J. Kuczyński przez krótki okres czasu prowadził pracę duszpasterską w rejonie Kijów–Charków–Dniepropietrowsk. W 1945 roku został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa i skazany na 10 lat łagru, z czego 9 spędził w Workucie.

Po zwolnieniu z łagru, na krótko odwiedził rodzinne strony, gdzie od ks. Antoniego Chomickiego otrzymał szaty oraz paramenta liturgiczne i udał się do Kazachstanu. Tam w latach 1956–1958 prowadził półlegalną pracę duszpasterską. W 1958 roku został ponownie aresztowany i zesłany do obozów pracy w okręgu irkuckim, a po pewnym czasie skierowano go do obozu dla „religioźników" w miejscowości Sosnówka w Republice Mordowskiej. Zwolniono go 9 grudnia 1965 roku po odbyciu 7 lat kary. Od 1966 roku aż do śmierci (1982) był księdzem w Barze i innych parafiach. Wówczas odbył też podróż do Polski, gdzie w 1970 roku spotkał się z dawnymi parafianami ze wsi Dederkały na Kresach Wschodnich, przesiedlonymi na Śląsk Opolski po 1945 roku.

Wspominając to spotkanie, napisał w książce pt. *Między parafią a łagrem,* wydanej w Paryżu (1985): „W czasie mojej podróży do Polski dane mi jeszcze było spotkać się z moją dawną parafią w Dederkałach. Otóż parafianie dederkalscy, wyjeżdżając jako repatrianci do Polski, zabrali ze sobą część rzeczy, które były w kościele. Był tam obraz Jezusa Ukrzyżowanego, kilkanaście wotów i kilka ornatów. Wota ludzie włożyli pomiędzy ubrania, a obraz Matki Boskiej położyli na dnie skrzyni, zasłonięty zwyczajnym obrazem Matki Boskiej. Wszystkie te rzeczy przewiezione zostały na tereny Śląska Opolskiego, ale przechodziły różne perypetie, zanim zostały ostatecznie ulokowane. Cudowny obraz był naprzód w mieszkaniu prywatnym w Opolu. Parafianie chcieli go oddać do kościoła Jezuitów w Opolu, ale Jezuici powiedzieli, że zostanie zawieszony w bocznej nawie: przyzwyczajeni do tego, że obraz wisiał w Dederkałach na honorowym miejscu przy wielkim ołtarzu, parafianie nie zgodzili się. Wreszcie Karol Kaczaniuk, który osiedlił się w Krzywiźnie, zabrał przemocą obraz i umieścił go w tamtejszym kościele. Obraz nasz pasuje do tamtej-

szego neogotyckiego ołtarza, jakby specjalnie został do niego stworzony. Wota zaś umieszczone zostały na kolumienkach po obu stronach obrazu.

W czasie mojego pobytu w kościele odbyła się wielka uroczystość. Po moim przyjeździe do Krzywizny postanowiliśmy, wraz z moimi parafianami, których jest wielu w tych okolicach, wspólnie ofiarować jakieś wotum za ocalenie nas od wymordowania przez banderowców. Wobec tego zawiadomiłem parafian, aby przybyli na odpust w dniu 13 IX 1970 r. Zamówiono dwa wota z odpowiednimi napisami – 2–21 II 1944 r. – od proboszcza i parafian. Opolscy parafianie nie bardzo rozumieli, o co chodzi, ale złożyli się również na ryngraf Matki Boskiej. Uroczystość była bardzo podniosła. Wygłosiłem do wiernych kazanie, podczas którego opowiedziałem, jakie są dzieje i początki kultu tego obrazu. Przekazałem też prośbę, czy zalecenie dla parafian, aby ich dzieci i wnuki również dowiedziały się i wspominały o tych strasznych wydarzeniach, o cudownej opiece Pana Jezusa w obrazie dederkalskim i aby w dalszym ciągu oddawali cześć Panu Jezusowi."

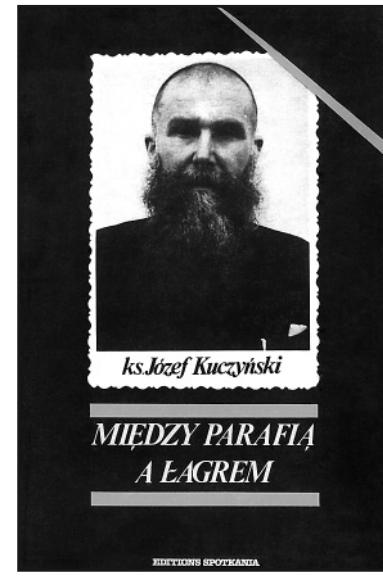

Okładka książki ks. J. Kuczyńskiego „Między parafią a łagrem", Paryż 1985

Bogaty i trwały jest poplon pracy duszpasterskiej ks. Józefa Kuczyńskiego, o którym do dzisiaj trwa pamięć wśród Polaków w Kazachstanie oraz wiernych, których spotkał na misyjnym szlaku. Zmarł jako proboszcz parafii Wierzbowiec i Łuczyniec na Podolu, mając za sobą 17 lat pobytu na zesłaniu, gdzie w zagrożeniu sprawował posługę duszpasterską*.

Podstawa relacji: J. Kuczyński, *Między parafią a łagrem*, Paryż 1985. Tytuł od autora antologii.

* Informacje biograficzne: J. Kuczyński, op. cit.; informacje z badań własnych w Kazachstanie oraz wiadomości od Polaków, którzy w ostatnich 15 latach przesiedlili się z Kazachstanu do Polski.

Wyjeżdżając z Workuty, byłem już zdecydowany, że pojadę do Kazachstanu. Przedtem jeszcze odwiedziłem strony rodzinne. Pojechałem najpierw z dziękczynieniem do dobrodzieja Chomickiego, który padł przede mną na kolana, a ja przed nim. A gdy usłyszał, że jadę do Kazachstanu – znowu na kolana. Wyposażyli mnie tam w szaty liturgiczne, organista zrobił mi 10 różnych zdjęć i potem przysłał setki odbitek. Bronio radził: zostawić 50, resztę spalić. Miałem z tym ogromne kłopoty.

Potem dotarłem do matki, u której po latach rozstania przebywałem 12 dni. Następnie wyjechałem do Kazachstanu. Na miejsce przybyłem w czerwcu. Zameldowałem się i jakoś mnie nie pytano, gdzie pracuję, czy gdzie będę pracować. Nie odprawiając nawet nabożeństwa w niedzielę pojechałem od razu do Karagandy i Akmolińska odwiedzić przyjaciół i towarzyszy z więzień i obozów. W Karagandzie

byłem 27 czerwca 1956 r. na imieninach ks. Władysława[1] – spotkanie po 10 latach! – i na poświęceniu kaplicy, którą tam kupili. Był to odpowiednio przerobiony dom.

W końcu dotarłem do Taińczy, gdzie przez dwa i pół roku miałem być proboszczem, czy raczej misjonarzem. Okolice Taińczy to rejon trosmaryniński, czkałowski i kelerowski, gdzie w 26 osiedlach mieszkali Polacy. W każdym osiedlu mogło być około 300 domów tak, że było około dwudziestu kilku tysięcy ludzi, którzy przetrwali w wierze, pomimo że przez 20 lat nie widzieli kapłana. Byli oni osiedleni w zwartej masie i mieli oparcie jedni w drugich, co ułatwiło im przetrwanie, a ponadto pochodzili z dobrych parafii. Były nawet dwie parafie mazowieckie, których ludność zachowała język polski[2]. Reszta zaś mówiła po ukraińsku, był to jakby ich język ojczysty. Niektórzy zdołali wyrwać się spod komendantury do osiedli roboczych i żyli już w rozproszeniu między ludźmi różnych narodowości.

Ks. J. Kuczyński w Workucie

Gdy przystąpiłem w Taińczy do pracy, ludzie zaczęli garnąć się do kościoła ze wszystkich stron. Przyjeżdżali z odległości 40, 60 i 80 kilometrów na pudłach samochodów ciężarowych, nawet wśród upałów i zamieci piaskowej, a w zimie w mróz i śnieg – ciepło odziani.

Pracowałem tam w warunkach nadzwyczaj ciężkich: wyjazdy były trudne, trzeba było nieraz jechać 50 km do chorego, latem panowały upały do +40°C, a zimą mrozy do –40°C, a nade wszystko byłem w ciągłym strachu, że coś się może stać. Od ks. Drzepeckiego z Akmolińska miałem pocieszające wiadomości, że prawie swobodnie mógł pracować; te wiadomości okazały się jednak złudne, i na skutek zbyt optymistycznego nastawienia naraziłem się na różne przykrości i niepowodzenia. Myślałem, że rzeczywiście można pracować swobodnie. Pojechałem na pierwszy posiołek odległy 22 km od Taińczy, gdzie zesłani byli moi dalecy krewni. Komendantem był tam Kazach, który nie sprzeciwiał się temu, abym zaczął spowiadać, chrzcić i wykonywać jakiegokolwiek posługi w chacie, w której mnie przyjęto.

Ludzie byli tam całkowicie przygotowani do spowiedzi i Komunii św., tak dzieci, jak i osoby dorosłe, wstępujące w związki małżeńskie. Były tam bardzo pobożne i uświadomione niewiasty, które mogły nauczać. Później dwie z nich pracowały u mnie w Taińczy jako katechetki. Niewiasty te pochodziły z parafii Sławuta, gdzie pracował ks. Ruszyński.

---

1 Dotyczy to ks. Władysława Bukowińskiego.

2 Dawni mieszkańcy Mazowsza osiedleni na Ukrainie pod koniec XVIII wieku.

Po pewnym czasie władze miejscowe, czyli rada wiejska – należał do niej Polak, niejaki Cerklewicz – zabroniły mi dalej pracować. Jako zesłaniec miałem pozwolenie na wyjazd na czas określony i tylko do ustalonej miejscowości. Musiałem więc wrócić do Taińczy. Najgorzej bywało, gdy jakiś Polak był we władzy miejscowej. W Taińczy zbierało się dużo ludzi w domu Szymona Czarnego, który nie bał się przyjmować u siebie księży i umożliwiał odprawianie Mszy św. w swoim mieszkaniu. Myślałem, że jest on bardzo odważny, ale pewnego razu, gdy przyszedł prezes rady osiedlowej, to widziałem, że cały drżał. Postępował jednak bardzo dzielnie.

Ten dom Czarnego zaczęliśmy przerabiać na kaplicę. Zburzono ścianę a gospodarze urządzili się w przedsionku, gdzie na taboretach jedli obiad. Żartowali z nich, że są Kirgizami. Właściwie nie był to przedsionek; w Kazachstanie buduje się w ten sposób, że jeśli trzeba zrobić jakąś przybudówkę, to doczepia się ją z boku. Przybudówka taka nazywa się priczepa i służy jako zabezpieczenie od wiatrów i zamieci. W priczepie zostawia się przestrzenie bez ściany i składa się tam siano, słomę, by nie wychodzić na zewnątrz, bo w czasie wielkich wiatrów nie sposób czegokolwiek donieść do domu. W przybudówkach bywają też studnie i wejścia dla bydła.

Priczepa ta bardzo nam się przydała. Ułożyliśmy w niej podłogę, ułożony z drążków dach podbiłem fornirem i pomalowałem, tak że wyszło dość przyzwoite pomieszczenie. Pod ścianą stały wieszaki i ławki, na których przyjezdni mogli wieszać swoje kożuchy oraz ustawiać koszyki prowiantem, a do kaplicy wchodzili już jako do pokoju. W kaplicy zbudowałem piec i zrobiłem wyciąg do wentylacji, taki, jakie widziałem w barakach w Workujcie. Chociaż kaplica była niewielka – zaledwie 12 metrów na 4 – mieściła jednak sporo ludzi. Zdarzało się, że w zimie, w czasie burzy śnieżnej ludzie, którzy przyjechali na nabożeństwo, nocowali w kaplicy i w priczepie.

Nabożeństwo odprawiało się codziennie w intencji ludzi, którzy polegli w czasie wojny. Umarli oni bez spowiedzi, pochowani zostali bez kapłana; wszyscy więc garnęli się na te nabożeństwa i codziennie śpiewano modlitwy za zmarłych. Mieliśmy zaimprowizowany katafalk, świece a nawet obraz Matki Boskiej Pocieszenia, który przywieźli ze sobą ludzie z Jampola. Ludzie wywożeni na Sybir starali się zabrać ze sobą nie tylko jak najwięcej rzeczy osobistych, ale i ten obraz wzięli, pakując osobno jego szatę i koronę oraz składając płótno w taki sposób, by nie połamać oblicza. Przywieźli ponadto mszał, krucyfiks, dzwonek i żelazko do pieczenia opłatków. Mając takie wyposażenie można się było tutaj bardzo ładnie urządzić. Ponadto dostałem ze Lwowa obraz Serca Jezusowego z kościoła OO. Jezuitów oraz obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Zamontowaliśmy też w kaplicy urządzenie, które odsłaniało i zasłaniało obraz Matki Boskiej.

Jednak i tutaj nie omijały nas trudności. Polecono nam zwołać tzw. „dwudziestkę", czyli komitet kościelny, wybrać zarząd i podać władzy obłasti celem zarejestrowania. Uczyniliśmy zgodnie z żądaniem. Przez jakiś czas wzywano nas, by nam oznajmiać, że nic nie zostało załatwione i że pracujemy nielegalnie. Kiedy

pojechaliśmy do władz, aby to wyjaśnić, powiedziano nam, że nie ma naszego podania. Zmienił się jakiś tam sekretarz i pism naszych nie odnaleziono.

Napisaliśmy nowe podanie. Początkowo mówiono, że złożone pisma wystarczą, później jednak, że muszą sprawdzić, czy dom jest zdatny do użytku i że potrzebne jest zaświadczenie stacji epidemiologicznej oraz zaświadczenie o stanie bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Po wielu trudnościach uzyskaliśmy potrzebne dokumenty. Jak się dowiedzieliśmy później, pracownicy stacji epidemiologicznej mieli z powodu wydania zaświadczenia ogromne nieprzyjemności, o mało ich nie usunięto z pracy. Natomiast komisja techniczna uznała, że dom grozi zawaleniem i nie nadaje się do użytku. Zgłosiliśmy zastrzeżenie, że od półtora roku jest już użytkowany, dlaczego więc nie spostrzegli tego wcześniej? W końcu pojechałem razem z delegacją parafian, aby wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Kiedy wreszcie przyjęto nas w urzędzie i okazało się, że nie jestem osamotniony, że stoi za mną naród, przez jakiś czas mieliśmy spokój. Potem znowu zaczęły się jakieś nieporozumienia, wzywania do urzędów, straszenie, w końcu przysłano nam nawet prokuratora.

Przyjechał w sobotę i rozpytywał o jakieś obrazki, to znów o jakąś młodzież i nakazał mi stawić się w poniedziałek w kancelarii koło Nowosuchotina. Te dwie doby wyczekiwania były bardzo denerwujące. Kiedy przyjechałem, siedział w poczekalni i pisał na maszynie, nic do mnie nie mówiąc. Wreszcie kazał mi usiąść. Czekałem może z półgodziny. Z końca korytarza widać było cele więzienne zamknięte na sztaby i na klucz. Wreszcie poprosił do gabinetu i zapytał: „Co to jest takiego, że sprzedajecie swoje portrety"? Tłumaczę, że byłem u kolegi na Ukrainie, że mi tam robiono zdjęcia, które rozdaję, jeśli mnie ktoś poprosi, ale że żadnych pieniędzy za to nie brałem. Wobec tego polecił, abym napisał wyjaśnienie. Najpierw zresztą sam pisał, ale potem powiedział, że jestem człowiekiem piśmiennym i poprosił, żebym sam napisał. Napisałem więc, że za moje zdjęcia żadnych pieniędzy nie żądałem, ani nie otrzymywałem. Potem wyjął wszystkie podania, które pisaliśmy do władz w celu rejestracji. „Dlaczego – powiada – to wszystko jest napisane jedną ręką? A czy to są autentyczne podpisy" Odpowiadam, że oczywiście, przecież nikt ludzi nie oszukiwał, nie przymuszał. Chcieli należeć do rady i podpisali. Zapytałem też, dlaczego te podania dostały się aż do prokuratora, skoro sprawdzał je któryś z urzędników rady wykonawczej. Odpowiedział, że oddano mu je. Następnie rozpytywał, jak wygląda nasza kaplica, mówił, że chciałby przyjść zobaczyć. Odpowiedziałem: „Proszę bardzo". Na tym przesłuchanie zakończyło się, było to takie szarpanie nerwów, chodziło mu o to, by mnie zastraszyć.

Obłożono mnie dużymi podatkami. Za pierwsze pół roku zapłaciłem 12 tysięcy rubli, za drugi rok – 36 tysięcy, a za trzeci 89 tysięcy. Napisałem deklarację o dochodzie, w którym nic nie można było zakwestionować, a mimo to podstawę wymiaru podatkowego stanowiła kwota trzykrotnie wyższa od zadeklarowanej. Oświadczyłem, że nie przyjmę takiego wymiaru podatkowego, wobec czego przysłano do mnie poborcę i chcąc nie chcąc musiałem zapłacić. Pracownicy wydziału finansowego twierdzili, że w kościele zbiera się kwestę trzykrotnie, na różne cele.

Feliks Mostowicz „Pamięci księdza Józefa Kuczyńskiego”

Odpowiedziałem, że jeśli ktoś chciał coś przynieść, to dał podczas jednej kwesty i na pewno więcej nie będzie dawał. Przyszli do kościoła na kontrolę. Patrzyli, co robię, co biorę. Kiedy przynoszono kwestę, natychmiast przystąpili do jej liczenia. Twierdzili, że biorę pieniądze za posługi – za chrzty i śluby. Mówiłem, że biorę „co łaska" i to nie przed posługą, ale potem, tak że nawet nie wiem, ile otrzymam, bo nie patrzę, ile kto daje. Zapisali te wszystkie dochody i przyjęli, że tak bywa każdej niedzieli. Tłumaczyłem, że bywają okresy niepogody, kiedy dochody są znaczne niższe, ale moich zastrzeżeń nie uwzględniono.

Kontrole w kościele wywoływały niesłychane wrażenie. Podczas gdy słuchałem spowiedzi, kontroler siedział o kilka metrów ode mnie i patrzył, czy nie biorę pieniędzy, a wierni w tym czasie odmawiali różaniec. Finansiści ci nie zwrócili jakoś uwagi na to, że dzieci trzymały w rękach książeczki do nabożeństwa, czego im nie było wolno. Zresztą później i to było przedmiotem wyjaśnień. Zarzucano mi, że rozpowszechniam książeczki do nabożeństwa, pisano o tym w prasie. Najwięcej jednak kłopotu było z tymi podatkami. Banknoty miały wówczas bardzo małą wartość. Chcąc zanieść na przykład 15 tysięcy, trzeba było brać walizkę. Najgorsze było liczenie. Jestem dość roztargniony i kiedyś nie policzyłem pieniędzy dokładnie i przy ich zdawaniu urzędnik rzucił mi je z powrotem i kazał jeszcze raz liczyć.

Po przesłuchaniu prokuratorskim zaczęto interesować się fotografiami, medalikami i obrazkami. Znowu wyjaśniałem, że fotografie zrobił mi przyjaciel na Ukrainie, a obrazki, medaliki, krzyżyki i różańce kupowali ludzie we Lwowie i odstępowali mi. Podałem, jaką otrzymałem ilość, i że brałem po kopiejce czy po kilka kopiejek więcej. Urzędnik podatkowy odetchnął z ulgą. Widocznie ktoś doniósł do obłasti, że produkuję dewocjonalia a nie obłożyli tego podatkiem. Dopisałem więc do deklaracji podatkowej, że znajomi z Ukrainy przywozili mi te przedmioty, ze sprzedaży których miałem taki a taki zysk. Po tym wszystko się uspokoiło, a korzyść miałem taką, że mogłem już oficjalnie handlować tymi rzeczami. Radzono mi, abym handel dewocjami przekazał komuś innemu. Mówiłem, że nie, gdyż kogo innego mogliby oskarżyć o spekulację, a ja, skoro płacę podatek, mogę się tym zajmować.

Ponieważ nie wszyscy mogli dotrzeć do kościoła i przywozić dzieci do chrztu – jeździłem po wsiach i w mieszkaniach odprawiałem Mszę św., spowiadałem, komunikowałem, chrzciłem i udzielałem ślubów. Odbywało się to w okropnym zaduchu i ciasnocie. Ale pamiętam też taką wieś odległą od Taińczy o 50 km – chyba Białojarka – gdzie postawiono wysoki namiot i w nim wybudowano kaplicę, ozdobioną sosenkami.

Niektóre osiedla były niemieckie, ale nawet w polskich mieszkali Niemcy, jedni protestanci a inni katolicy. Tak więc udzielałem ślubów po polsku, po niemiecku, po rosyjsku, a nawet na migi – dla głuchoniemych. Praca była piękna. Później chodziliśmy na cmentarz, gdzie „pieczętowaliśmy" groby i odprawialiśmy procesje, zwykle z pięcioma stacjami na Dzień Zaduszny, niezależnie od pogody. Zazwyczaj było to już po pracy, po żniwach. Dni były już dosyć chłodne, nieraz

mroźne. Bywało i tak, że ludzie trzymali w rękach grudki ziemi, a ja siedziałem w kabinie ciężarówki i święciłem, kropiłem, odmawiałem modlitwy pogrzebowe, a oni następnie kładli ziemię na gronach swoich bliskich. Trzeba jednak było, by ktoś znalazł samochód i przyjechał po mnie. Z czasem i o tym doniesiono do rejonu i prezesi kołchozów, bojąc się konsekwencji, odmawiali wypożyczenia koni czy samochodu; kierowcy zaś narażali się na przykrości. Liczyłem więc na prywatnych właścicieli samochodów. Niektórzy bardzo dobrze tam zarabiali. Na przykład kombajniści w dwa sezony mogli zarobić na auto. Płacono im zbożem, i jeśli je zdawali, nie musieli czekać w kolejce na przydział auta. Zwykle jeden brał od drugiego kwit na zboże i kupował auto w jednym roku, a tamten w następnym. Taki Polak, który miał samochód, najczęściej był proszony na kuma, dlatego że mógł przy okazji zawieźć wszystkich do kościoła. Właśnie ci ludzie pomagali często pojechać do chorych czy obsłużyć wieś.

Do chorych najczęściej jeździł ze mną ślusarz samochodowy z autobazy – Niemiec, protestant, który posiadał własny samochód osobowy. Ponieważ mógł wyjeżdżać dopiero po pracy, o godzinie 17 czy 18 – jechaliśmy na noc. Czasem trzeba było pokonać 80 km. W ciągu wieczoru, a nieraz nocy, spełniałem swoje obowiązki duszpasterskie, a o świcie wracaliśmy do Taińczy. Drogi, którymi jechaliśmy, były wyboiste, usypane za pomocą pługów z ziemi gruntowej. Im więcej się od ludzi wymagało, tym więcej garnęli się do kościoła. Starali się, by do chrztu byli kumowie odpowiedni, żeby do spowiedzi rzetelnie przystąpić, znali pacierz i katechizm. Wymagałem, by dzieci w wieku 4–5 lat znały „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Mario". Jeśli tego nie umiały, nie chrzciłem. A jeśli dziecko miało 7–8 lat i nie było przygotowane do spowiedzi, kazałem najprzód nauczyć, bo przecież chrzcimy po to, aby z dziecka wyrósł chrześcijanin. Czasem zdarzało się, że dorośli, będący kumami, musieli najpierw sami poddać się obrządkowi chrztu. Zdarzało się też dość często, że przyjeżdżały pary, które nie miały ślubu i których dzieci nie były ochrzczone. Wówczas odbywały się przygotowania: katechetka udzielała im wyjaśnień po ukraińsku, jednak nazwy Sakramentów podawano po polsku, tak jak wszędzie. Zajęcia trwały parę godzin, potem spowiadałem te pary, następnie udzielałem Komunii św.; odprawialiśmy modlitwy po Komunii i dopiero wtedy udzielałem ślubu. Jedni drugim służyli za świadków, a potem chrzciłem ich dzieci, przy czym jedni drugich brali za kumów.

Kiedy nadeszła jesień, rodzina Szymona Czarnego nie mogła już dalej gnieździć się w przyczepie i żyć jak koczownicy. Trzeba było urządzić im mieszkanie. Uchwaliliśmy, że kupimy im dom za ten, który przerobiono na kaplicę. Kupiliśmy dość ładny dom, o wiele droższy od tego, który przedtem posiadali, na nazwisko syna – Cypriana Czarnego. Był on dobrym stolarzem i nawet chcieli go mianować brygadzistą, ale musiałby się zapisać do związku zawodowego. Książeczki związkowe w Związku Radzieckim mają na każdej stronie napis: profsojuz – szkoła komunizma. Ponieważ nie chciał on wziąć tego dokumentu, więc pracował jako prosty robotnik. Ich nowy dom był o wiele bliżej stacji kolejowej, co było dla nich

korzystne, bo żona Cypriana wynosiła mleko czy inne produkty do pociągu, i mieli z tego pewne dochody.

W ten sposób kaplica była zabezpieczona jako dom Szymona Czarnego, gdyż Komitet wciąż jeszcze nie był zarejestrowany i nie można było dokonać aktu kupna. Dla siebie zakupiłem domek dwuizbowy po drugiej stronie drogi. Tu przyjechały do mnie z Buczek siostry Bronia i Maria wraz z matką. Z wielkim trudem udało im wyrwać się z kołchozu. Broni napisano w paszporcie, że jest Ukrainką, ale ponieważ zależało jej na wyjeździe, pogodziła się z tym.

Wobec tego, że mieliśmy swój domek, mogliśmy zapraszać gości. Przyjechał do nas ks. Bukowiński, by za poświęcenie jego kaplicy zrewanżować się poświęceniem mojej. Odbyła się więc wielka uroczystość, a ja miałem miłe towarzystwo kolegi i przyjaciela. Później odbywały się w Taińczy również inne uroczystości. W 1957 r. na moje imieniny przyjechali koledzy Bukowiński i Rzepecki – najbliżsi sąsiedzi: jeden z odległości 400 km, a drugi z 600 km. Zjawił się również ks. Michał Keller, który gdzieś w północnym Kazachstanie pracował początkowo jako więzień, a później jako wolny w charakterze budowniczego nadzorującego budowy. Kiedy dowiedział się, że tutaj są księża, przyjechał i po dwunastu latach odprawił po raz pierwszy Mszę św. Potem odprawiał już stale, a wkrótce przeszedł na emeryturę. Dostał papiery pochwalne i medal za swoją pracę i osiedlił się najpierw w Nowosybirsku, gdzie pracował wśród Niemców, potem w Kirgizji, wreszcie w Uzbekistanie, gdzie miał swój domek, wraz z siostrami. Pracował on prywatnie czy też pokątnie w grupach, a w końcu Niemcy wystarali się we Frunze, stolicy Kirgizji, oraz w czterech innych miejscach o domy modlitwy, które ks. Michał Keller obsługiwał oficjalnie.

Odbywały się u nas uroczyste nabożeństwa z „Te deum laudamus", w których brało udział czterech księży. Wywoływało to ogromne wrażenie wśród ludzi. Nieraz nawet trochę się przechwalałem, mówiąc: „Gdyby nie ja, cóż byście widzieli…". Odprawialiśmy również uroczystości Bożego Ciała. Kaplica stała na skraju osiedla, a z drugiej strony był już step. Ponieważ była za szczupła, by urządzić w niej ołtarze, ustawiliśmy w moim ogrodzie trzy ołtarzyki i wychodziliśmy do ogrodu i tutaj następowało zakończenie z kazaniem i błogosławieństwem Najświętszego Sakramentu – na wolnej przestrzeni tuż obok bezkresnego, płaskiego stepu, obok pola kartofli kwitnących w moim ogrodzie oraz słoneczników, ozdabiających nasz świat. W ogrodzie odbywały się również chrzty: podawano do chrztu nieraz kilkadziesiąt dzieci. Metryk żadnych nie prowadziliśmy. Kiedy zachodziła potrzeba, podawało się dane o chrzcie osobom, które wyjechały do Polski.

Cmentarz był wspólny dla wszystkich, oprócz mahometan, którzy mieli swój osobno. Jeśli zdarzyło się, że mahometanin był jakimś naczelnikiem, komunistą i pochowano go z czerwonymi flagami i orkiestrą oraz postawiono mu „szafkę", na której była czerwona gwiazda, to Kazachowie przychodzili w nocy, odkopywali grób i przenosili zwłoki na swój cmentarz. Meczet mieli tylko w Kokczetawie: był to drewniany budynek, taki, jakie u nas bywają, na przykład w Łucku. Znajdo-

wał się w centrum miasta, lecz później kazano go opuścić; pozostał jako zabytek, a Kazachowie zbudowali sobie drugi za miastem.

Na cmentarzu zatem odprawialiśmy bardzo piękną uroczystość – „przewody". Wychodziliśmy na cmentarz i śpiewając przechodziliśmy od jednego do drugiego grobu, modląc się przy każdym, co trwało nieraz i cztery godziny. Na cmentarzu pochowani byli również Niemcy. Nabożeństwa odprawiane były po łacinie, za dusze wszystkich zmarłych.

Nabożeństwa w kościele w zasadzie odprawiano po łacinie, ja jednak odprawiałem je częściowo po polsku, mianowicie: „O przenajświętsza Hostio", „Przed tak wielkim Sakramentem", „Dałeś im chleb z nieba" oraz oracje i modlitwy przed Komunią i po Komunii św.

Można było mieć tylko jedno wspólne nabożeństwo dla Polaków i Niemców, których przychodziło kilkudziesięciu, w tym cała młodzież i dzieci. Niemcy – katolicy trzymają się dobrze, zachowują swój język i wiarę. W kaplicy było jednak za ciasno i nie wszyscy się mieścili. Chodziło mi też o to, żeby Niemcy mogli śpiewać swoje pieśni i żeby powiedzieć do nich kilka słów po niemiecku. Odprawiałem więc sumę dla Polaków, a o godzinie 18 Mszę św. dla Niemców. Niemcy sprzątali kaplicę po sumie, a po nich z kolei sprzątały nasze parafianki. Przez pewien czas była wynajęta do sprzątania kobieta, ale porzuciła tę pracę. Mieliśmy też przy kościele stróża, niejakiego Jasińskiego, który nocował w kościele i pilnował. Służył też do Mszy św.

Z Taińczy wyjeżdżałem również do Niemców, którzy zamieszkiwali w odległych o 15–20 km osiedlach. Nie byli to przesiedleńcy, ale tacy, którzy tam przyjechali dobrowolnie jeszcze w 1904 roku. Ciekawe, że wielu z nich miało polskie nazwiska. Niemcy wszędzie dobrze gospodarują i wszędzie mają się dobrze – tam również. Mieli oni w każdej wsi kościoły, które zamieniono na magazyny. Tak jak zawsze, ktoś musiał starać się o to, by mnie przywieźć oraz zawiadomić ludzi, by się zebrali w odpowiednim czasie. Robiło się wszystko jak należy, dopiero w późniejszych latach zakazano chrztów w mieszkaniach.

Trudno było ustalić, które osiedla wchodziły do mojej parafii. **Ks. Rzepecki** pracował w odległej o 80 km wsi Zielony Gaj; ja sam bywałem czasami w Kellerówce, gdzie zamieszkiwało kilku katolików. W Kopiejsku koło Swierdłowska było natomiast więcej Ukraińców: byli tam też księża ukraińscy. Przyjeżdżał do nas czasem **ks. Rewt**, z którym przebywałem później w obozie w Mordowii. Kiedyś uniknął on aresztowania w ten sposób, że gdy dowiedział się, że milicja idzie, wyszedł i minął ich bez zatrzymania, bowiem nie znali go. W samym mieście Akmolińsku był **ks. Prokopiew** – grekokatolik. Pochodził on z diecezji przemyskiej, z tej części, która pozostawała po tamtej stronie granicy. Zesłano go do Taińczy. Wiedziałem o nim od jego kolegi, którego spotkałem w Workucie. Prokopiew został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. Pracował gdzieś aż w irkuckiej obłasti, w pobliżu Tracka. Osadzono go w końcu lat czterdziestych, a w 1955 roku został zwolniony i pojechał do Kazachstanu. W Akmolińsku pracował wśród Niemców,

Ukraińców i Polaków. Oburzałem się na to, że odprawiał nabożeństwa tylko po słowiańsku i chciał, żeby wszyscy śpiewali „Hospody pomiłuj". Pisał, że Niemcy jako tako śpiewają, natomiast Polacy śpiewać nie chcą, co było dla mnie zrozumiałe. Pracował zbyt gorliwie.

U mnie byli Polacy i Niemcy, a grekokatolików tylko kilku. Gdy przychodzili do spowiedzi, dawałem im książeczkę napisaną w języku ukraińskim i kazałem przeczytać.

Później ks. Prokopiew jeździł też do innych miejscowości, zwłaszcza tam, gdzie osiedlono Niemców. Był on jakiś niezaradny i zawsze chodził zaniedbany. Gdy przejeżdżał przez Taińczę, staraliśmy się go trochę odżywić i oprać, by trochę odpoczął. Nie pozostawał jednak długo, twierdząc, że za dobre jedzenie. I jemu czyniono wiele przeszkód w pracy, jakoś jednak trzymał się. Dopiero później kiedy nas aresztowano wyjechał do Wilna. Tam też był więziony, ale zwolniono go, zdaje się, po roku. W obozie wezwano mnie na przesłuchanie, podczas którego zapytano mnie, dlaczego Prokopiew uciekł z Kazachstanu. Zacząłem wówczas śmiać się bardzo głośno, na co przesłuchujący oburzył się: „Co w tym śmiesznego? Zwariowaliście czy co?" Odpowiedziałem: „Dobrze, że to nie ja wyjechałem, bo byliby kogoś pytali, dlaczego Kuczyński uciekł z Kazachstanu". Zaprotestowałem przeciw takim pytaniom, mówiąc tylko, że Prokopiew wyjechał z Kazachstanu dlatego, że gdy uwięziono już 5 księży z Kazachstanu, uznał widocznie, że nie ma na co czekać. Po zwolnieniu z więzienia w Wilnie Prokopiew był początkowo stróżem na cmentarzu, jednak zwolniono go stamtąd i skierowano do ciężkiej pracy w sowchozie. W późniejszych latach uzyskał zaświadczenie o inwalidztwie i zamieszkał w jakimś mieszkaniu całkowicie obstawionym regałami z książkami. Miał tam też swój ołtarzyk, przy którym odprawiał Mszę św., zawsze po łacinie. W niedzielę wyjeżdżał na Białoruś do polskich księży, którym pomagał w spowiedzi i odprawianiu nabożeństw. Ukrócił trochę swój ascetyzm i sypiał wprawdzie dalej na deskach, ale już nieco dłużej niż dawniej, jadł też lepiej, zwłaszcza gdy miał w domu gości. Obsługiwany przez jakąś staruszkę, chyba z Felsztyna, ciągle coś czytał i pisał: posiadał duże wiadomości o stanie Kościoła w Związku Radzieckim.

Chciałbym wspomnieć też o **ks. Piotrze Radwańskim**. Przebywał on w Miłopolu koło Połonnego. Gdy jego kościół został zamknięty, zapytał mnie czy nie przydałby się w Kazachstanie. Odpisałem, by przyjechał do nas. Bukowiński i Rzepecki byli tym trochę zaniepokojeni, mówili, że to człowiek starszy i przy tym chory. Miał on dziwaczny pseudonim – Pieresypkin. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, jakie było jego prawdziwe nazwisko. Prawdopodobnie uczył się przed wojną w Lublinie w seminarium dla misjonarzy wschodniego obrządku i widocznie przybrał sobie taki pseudonim. Od niego dowiedziałem się tylko tyle, że matka jego z domu nazywała się Ziółkowska. Kiedy przyjechał do mnie i jedliśmy obiad w kuchni, gdzieś obok siedziały kobiety i rozmawiały ze sobą, zapytując się: „Ciekawe, jakie jest jego nazwisko?" Na to odpowiedział: „KGB nie dowiedziało się a one chcą wiedzieć!"

Chory był podobno dlatego, że bili go poprzednio i nastąpiło pęknięcie przepony, tak, że żołądek wchodził do klatki piersiowej. Mógł jeść tylko siekane mięso lub coś podobnego.

Przybył on do nas naprawdę w porę. Moja matka była wówczas już bardzo chora, a jest taki zwyczaj, że ksiądz własnej matki nie spowiada – więc wyspowiadał moją matkę. Nie mogła ona ani leżeć, ani siedzieć, serce jej stawało i w końcu po krótkich, ale ciężkich cierpieniach umarła. Tak się złożyło, że w tym czasie trzeba było jechać do chorych, więc pojechał ks. Piotr, a ja sam pochowałem mamusię. Zrobiliśmy piękną trumnę obitą czarnym atłasem, nabożeństwa odprawiono po polsku, a Niemcy śpiewali po niemiecku. Przysłali mi aż dwie ciężarówki: na jednej ustawiono trumnę, a na drugiej usiadło dużo dzieci z sąsiedztwa: matka moja była bardzo uczynna, gościnna i często coś podsuwała dzieciom, tak że chętnie do nas przychodziły. Przebyliśmy trzykilometrową trasę przez step i ustalił się porządek pogrzebu. Był to jeden z pierwszych pogrzebów zorganizowanych z całą procesją, tak że później wspominali go wszyscy mieszkańcy. Na cmentarzu przemawiałem po polsku, po niemiecku i po rosyjsku.

Ks. J. Kuczyński w ostatnich latach życia – Wierzbowiec na Podolu

Ks. Pieresypkin przeniósł się potem do Pietropawłowska, gdzie wynajął mieszkanie. Po moim aresztowaniu ludzie właśnie do niego jeździli do spowiedzi. Po raz ostatni widziałem go, kiedy odsyłali mnie z Pietropawłowska na step. Stał wraz z innymi z daleka i patrzył.

Później udał się do Lwowa, gdzie chciał poddać się operacji. Podjęto się jej jednak dopiero w szpitalu w Moskwie. W przeddzień operacji przysłał mi pocztówkę – reprodukcję Delacroix – przedstawiającą Arabów polujących na lwy. Ks. Piotr nie wytrzymał operacji, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Został pochowany w Moskwie. Tam dopiero okazało się, że nazywał się Piotr Radwański.

Moje późniejsze sprawy wyglądały kiepsko. Otóż w kokczetawskiej „Prawdzie" zamieszczono artykuł na trzecią część strony pod tytułem: „Czy można mu wierzyć", w którym bardzo barwnie opisywano, jak uciekłem przez granicę do Polski, co tam robiłem, że później Związek Radziecki do mnie przyszedł, a ja na to spotkanie nie przyniosłem żalu, tylko kamień za pazuchą. Dalej opisywano jak i za co zostałem pierwszy raz uwięziony, potem omawiano moją działalność w Kazachstanie. Zostałem nazwany spekulantem i darmozjadem, oskarżony, że posadziłem ludziom na głowę matkę i dwie siostry, że wzbogaciłem się i kupiłem dwa domy,

a to dzięki temu, że spekulowałem dewocjonaliami – że na przykład za książeczkę wartą półtora rubla brałem 60 rubli.

W rzeczy samej dostawaliśmy dewocjonalia ze Lwowa, z Wilna, a nawet z Polski, przywoziła je też pani S. i wierni chętnie je kupowali, dając każdą cenę. Poza tym napisano, że handluję widokówkami piekła, raju i świętych, do których widocznie zaliczam siebie samego, skoro za swój portret biorę 10 rubli; że w ogóle załatwiam tutaj brudne sprawy watykańskie jako agent, a co to jest Watykan, wiadomo, skoro niedawno odbył się w Stanach Zjednoczonych zjazd policjantów, na którym mianowano papieża Piusa XII honorowym policjantem; i wiele innych, podobnych rzeczy.

Kiedy ukazał się ten artykuł, przybiegli do mnie przede wszystkim Niemcy; pytali, co oznaczają te wszystkie epitety, te straszne, niezrozumiałe słowa, jak tuniejadziec, co to znaczy „feudalny", „agent" – po prostu ogarnęło ich przerażenie tak wielkie, że trudno było wytrzymać. Zauważyłem jednak, że gdy ja sam jakoś zbierałem siły i odwagę i zaczynałem zachowywać się spokojnie, to i oni nabierali ducha. Po zakazie praktykowania, który został wkrótce wydany, zaczęliśmy znowu jeździć do władz. Dzięki temu na pewien okres czasu znów udzielono zezwolenia na odprawianie nabożeństw. Zresztą, uzyskanie takiego zezwolenia zależało od postawy parafian. Jeśli domagali się czegoś stanowczo, to uzyskiwali, jeśli dali się zastraszyć, to wszystko było na nic.

Wyjechałem później w podróż duszpasterską do dwóch odległych osiedli niemieckich. Po powrocie dowiedziałem się, że zostałem podany do sądu. Wobec tego niezwłocznie udałem się do sądu, by wyjaśnić, o co chodzi. Oświadczono mi, że nie zapłaciłem 16 tysięcy podatku i że jeśli kwotę tę uiszczę, to sprawa zostanie skasowana. Poczyniłem starania o zebranie pieniędzy, które następnie wpłaciłem.

Pogrzeb ks. J. Kuczyńskiego – Wierzbowiec – 16 III 1982 r.

Umyślnie chodziłem po mieście, aby widziano, że nie uciekłem. Ten artykuł prasowy jak i całe śledztwo w mojej sprawie miały na celu usunięcie mnie z miasta. Dano mi do zrozumienia, że jeśli wyjadę, nie będę miał żadnych kłopotów. Na temat moich objazdów po wsiach zamieszczono następny artykuł w gazecie rejonowej. Tym razem pisano, że napadam na wioski. Wzięło się to z następującego zdarzenia.

W jednej wsi wybudowano nowy dom i trzeba było go poświęcić. Córka gospodarzy była nauczycielką. Napisali więc, że skradałem się po zaułkach (gdzie tam, we wsi stepowej zaułki?) i wszedłem do tego domu, ale kiedy chciałem dostać się do pokoju nauczycielki, dostałem odprawę. Widocznie nie chcieli kompromitować tej nauczycielki. Szybko więc – pisali – ochrzciłem dzieci, udzieliłem ślubów i czym prędzej uciekłem.

Donat Poważyński

Elektryk

Pobyt na zesłaniu 1940–1946

ZNIEWOLONE DZIECIŃSTWO

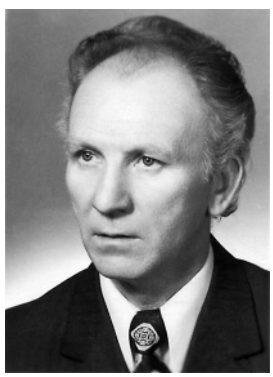

Donat Poważyński urodził się w Słonimie (1930) w rodzinie o patriotycznych tradycjach. Ojciec był kapelmistrzem orkiestry 79 Pułku Piechoty w Słonimie. Zmarł w 1936 roku. Wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej na Kresy Wschodnie we wrześniu 1939 roku rozpoczęły się aresztowania, rewizje oraz różne formy propagandy wspierane przez tutejsze mniejszości narodowe, których przedstawiciele witali „wyzwolicieli" okrzykami „wy was żdali". W marcu 1940 roku aresztowany został Edward, starszy brat Donata. Skazany na 5 lat łagru przebywał w okolicach Archangielska. Miesiąc później deportowano do Kazachstanu całą rodzinę Poważyńskich – matkę, dwie siostry i dwóch braci.

Wspominał o tym po latach autor tej relacji, pisząc, że „o brzasku dnia enkawudzista z dwoma cywilami, prawdopodobnie nacjonalistami białoruskim i żydowskim przyszedł do naszego domu i po rewizji nakazał: »sobierajties«. Pojedziecie tam, gdzie wasz syn. I tak rozpoczęła się nasza tułaczka wiodąca zesłańczym szlakiem z miasta mojego dzieciństwa do sowieckiego raju". Najprawdopodobniej służba ojca we wspomnianym pułku była zasadniczym powodem tego zesłania.

Tam w Kazachstanie życie rodziny funkcjonowało w oparciu o schemat trzech ogniw: modlitwy i wiary w przetrwanie, pracy – bowiem „kto nie pracował, ten nie jadł" oraz zaradności, której nie brakowało dwóm braciom, trzeci bowiem Edward przebywał w archangielskich łagrach. Po podpisaniu układu Sikorski–Majski został zwolniony z łagru i szczęśliwie dotarł do rodziny w Kazachstanie. Niedługo tu jednak pozostał, bowiem rozpoczął swój marsz do formującej się Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa w której szeregach walczył pod Monte Cassino! We wspomnieniach powstańców często powracają obrazy trudów codziennego życia w Kazachstanie.

Tworzą one kalejdoskop różnych zdarzeń, obrazów kultury Kazachów i stepowych pejzaży, śmierci, głodu i zimna oraz relacji między ludźmi. Na tych wątkach skupia się treść zesłańczych wspomnień, wplecionych w różne opracowania historyczne poświęcone deportacji Polaków na Syberię w okresie drugiej wojny światowej.

Te właśnie zagadnienia wtopione są też w relację wspomnieniową Poważyńskiego. On sam po powrocie z zesłania mieszkał wiele lat we Wrocławiu. Zmarł w roku 2005. Był aktywnym członkiem Związku Sybiraków, organizował działania charytatywne dla Polaków na Białorusi oraz pomagał studentom z okolic Słonimia i Baranowicz uczącym się we Wrocławiu*.

Podstawa relacji: D. Poważyński, *Zniewolone dzieciństwo*, „Zesłaniec" nr 58, 2014, s. 60–74.

* Informacje biograficzne: wiadomości przekazane przez autora relacji oraz jego rodzinę.

Okres po drugiej wojny światowej, sprawił, że mieszkańcy tzw. Kresów Wschodnich mieszkają obecnie w różnych rejonach naszego kraju, a wśród nich są także mieszkańcy Słonima, miasta mojego dzieciństwa. Niewielu z nich zapewne jeszcze dzisiaj pamięta, że Słonim leży w dolinie Szczary przy ujściu do niej Issy i zaliczany jest do najstarszych oraz sławnych miast kresowych ziem Rzeczpospolitej. Jego dzieje wypełnione były zróżnicowanymi etnicznie plemionami, walkami o prymat władzy, rozwojem i upadkami następującymi po zbrojnych najazdach. Z miastem związane są postaci najrozmaitszej maści – przedstawiciele rodów rycerskich, osoby świeckie i duchowne żyjące w okresie, gdy czas miecza i walki był silnie powiązany z tą ziemią i miał ogromne znaczenie w jej rozwoju. Pojawiają się one w różnych sekwencjach bezpowrotnie minionych stuleci, nieraz z ostrością konturów, z których jedne czas wyostrzył, drugie skutecznie zatarł.

Dość wspomnieć, a dobrze to pamiętam, że w okresie międzywojennym z wieży strażackiej Słonima, codziennie o godzinie dwunastej rozlegał się hejnał Ogińskiego. Imię tego zacnego włodarza Michała Kleofasa Ogińskiego nosiła też jedna z ulic oraz kanał, który zawdzięczał swoje powstanie tej zasłużonej postaci związanej z dziejami miasta. Kanał ten łączył Dniepr z Niemnem przez Szczarę i jezioro Wyganowskie. W latach 1867–1883 spławiano nim drewno do Morza Bałtyckiego. Ziemia Słonimska przechodziła swoje losy, zabory, rozwój, pożary, odbudowy i upadki a jej mieszkańcy syberyjską katorgę, na którą zsyłano nie tylko Polaków, ale i mieszkających tu Tatarów oraz Białorusinów.

Podczas pierwszej wojny światowej miasto przeżyło inwazje bolszewickie, podczas których doznało ciężkich ofiar wielu najświatlejszych jego obywateli. Między innymi w okrutny sposób zamordowano wówczas słonimskiego proboszcza ks. Ignacego Jana Webera, którego grób znajduje się w kościele na tzw. Zamościu. Trzeba też wspomnieć imponujące jednością zróżnicowane etnicznie społeczeństwo tego kresowego miasteczka. Dodajmy tu, że np. w 1937 roku pogrzeb Tatara płk. Bojraszewskiego, pierwszego po wojnie światowej burmistrza Słonima stał się, rzec można, wielką manifestacją wszelkich stanów i grup etnicznych składających w ten sposób hołd pamięci temu Człowiekowi wielce zasłużonemu dla rozwoju miasta i szacunku dla jego mieszkańców. Wówczas to cała ulica Tatarska zapełniła się, jak nigdy, tłumem Polaków, Białorusinów oraz Żydów.

W okresie międzywojnia kresowy Słonim żył swoim spokojnym życiem. Miasto braci Ogińskich, położone malowniczo nad piękną rzeką Szczarą i kanałem Ogińskiego, w który zamieszkiwały żyjące zgodnie cztery diaspory – polska, żydowska, białoruska i tatarska – posiadał cztery kościoły rzymsko-katolickie, cerkiew prawosławną, synagogę oraz meczet. Splendoru dodawały mu stacjonujące tu dwa pułki piechoty – 79 i 80, które podejmowały wiele działań patriotyczno-edukacyjnych z wyraźnym adresem do młodzieży. Pamiętać więc trzeba, że dorobek z tego zakresu był znaczący, częstokroć też nastawiony na sprawy żywotne dla życia miasta i jego mieszkańców. Scharakteryzowane tu w wielkim skrócie i ze znacznym zubożeniem dzieje miasta są o wiele bogatsze i wielostronne tematycznie.

Tu wspomnę, że po śmierci Taty w 1936 r., który był kapelmistrzem orkiestry stacjonującego w Słonimie 79 pułku piechoty, Mama – absolwentka Wyższej Szkoły Kupieckiej w Petersburgu przystąpiła do odbudowy naszego drewnianego domu, który wówczas spłonął. W roku 1938 cała nasza rodzina, składająca się z pięciu osób, wprowadza się do nowego domu. Radość z własnego kąta trwała jednak zbyt krótko. Wrzesień 1939 roku był wyjątkowo pogodny a mieszkańcy otulonego „babim latem" Słonima dowiedzieli się o tym, że Niemcy napadły na Polskę, a w ślad za tym 17 września 1939 roku hordy bolszewickie wkroczyły do miasta. Fakt ten przyjęto ze zgrozą i tylko niektórzy spośród ludności żydowskiej i białoruskiej witali bolszewików chlebem i solą wykrzykując „My Was żdali 20 let"!

Okupacja sowiecka rozpoczęła się aresztowaniami, grabieniem majątków, politycznymi mityngami, walką z religią, której najwidoczniejszym przejawem występującym w szkołach była ateizacja dzieci. Usiłowano odsunąć je od Boga i religii – głosząc hasła *„Boh daj pirog"* i *„Sowiet daj kanfiet"*. Oczywiście Pan Bóg pierogów nie dawał, za to Sowiet obdarowywał dzieciaki cukierkami. Oczywiście tego rodzaju spektakle przekonywały wyłącznie dzieci z rodzin białoruskich i żydowskich. Początki roku 1940 stały się tragiczne dla naszej rodziny. 15 marca 1940 r. w nocy został aresztowany mój brat Edward, mający lat 19 i osadzony w więzieniu słonimskim. Po miesiącu przewieziono go do więzienia w Orszy, gdzie odbyła się rozprawa sądowa, podczas której otrzymał wyrok – 5 lat łagru w okolicach Archangielska.

W niespełna miesiąc później (13 kwietnia) o brzasku dnia enkawudzista z dwoma cywilami, prawdopodobnie nacjonalistami – białoruskim i żydowskim przyszedł do naszego domu i po rewizji nakazał: „Sabirajties". Pojedziecie tam, gdzie wasz syn. I tak rozpoczęła nasza tułaczka wiodąca zesłańczym szlakiem z miasta mojego dzieciństwa do „sowieckiego raju"!

Dwa tygodnie minęły, gdy towarowy eszalon zatrzymał się na malutkiej stacji kolejowej Pietuchowo w północnym Kazachstanie przed Pietropawłowskiem. Z 65 wagonów bydlęcych wyległo na pobocze torowiska kilkaset polskich zesłańców – kobiet, mężczyzn, dzieci i starców, wystraszonych oraz wygłodzonych, aby rozpocząć dalszą wędrówkę w nieznany rejon tej ziemi. Moją rodzinę – matkę, dwie starsze siostry i starszego brata – załadowano wraz z pięcioma innymi rodzinami na rozklekotany „gruzawik" (samochód ciężarowy) i ruszono w nieznane. Jechaliśmy kilka godzin przez stepy i lasy brzozowe, w których miejscami leżał jeszcze śnieg, a był to już początek maja 1940 roku. Wreszcie przyjechaliśmy do niewielkiego „pasiołka" o dźwięcznej nazwie Sow-Ług. Ujrzałem dwa szeregi malutkich ziemianek ledwie wystających z ziemi, z malutkimi oknami usytuowanymi przy samej ziemi. Osada wyglądająca dziwacznie, położona była dość malowniczo, bo dookoła rósł olbrzymi las ze smukłymi i białymi jak śnieg brzozami. Enkawudzista, który nas eskortował, przedstawił przewodniczącemu kołchozu (był to kołchoz typowo rolniczy) przywiezionych polskich zesłańców i nakazał zakwaterować wśród rodzin rosyjskich.

Zamieszkaliśmy w jednoizbowej ziemiance z kuchnią, w której był olbrzymi piec chlebowy, dostosowany również do spania. Ściany i podłoga ziemianki były wysmarowane gliną zmieszaną z krowim łajnem. Smród był niesamowity i nie do zniesienia. Rodzina rosyjska składała się z czterech osób a nas doszło jeszcze pięć, więc można było sobie wyobrazić, jak w tak małym pomieszczeniu musiało zmieścić się dziewięć osób. Nie mieliśmy żadnego wpływu na to, aby warunki naszego pobytu zmienić na lepsze. Pomału rozlokowaliśmy się w tym dziwacznym mieszkaniu, a każdy z nas był jakby zamurowany. Nie wiedzieliśmy po prostu, po co nas tu przywieziono i za co, i za kogo mamy cierpieć?

Mając skończonych dziewięć lat i ukończoną jedną klasę szkoły powszechnej w Słonimie, nie zdawałem jeszcze sobie sprawy z tego wszystkiego, co się wokół dzieje. W pierwszej chwili nawet na myśl mi nie przychodziło, że w tych warunkach i w takim otoczeniu przyjdzie mi żyć. Od samego początku nie opuszczała jednak nas nadzieja, że ten pobyt jest tymczasowy, że to wszystko nie będzie trwało długo. Ta myśl pozwalała nam nie rozpaczać nad tą nową sytuacją oraz prosić Boga o pomoc i przetrwanie. Na nasz widok mieszkańcy kołchozu powychodzili ze swoich ziemianek i z ciekawością obserwowali nieznanych przybyszów. Byli poubierani w dziwaczne łachmany, a dzieci, przeważnie bosonodzy chłopcy, mieli głowy ostrzyżone na zero. Dziwny to był widok, bo dotychczas nikt z nas w życiu nie przebywał w takim środowisku. Określano nas jako: „bieżeńcy" (uciekinierzy), „polskie pany" i wrogowie Sojuza. Większość mieszkańców tej osady było analfabetami, a jedyną w kołchozie szkołę zamknięto, bo nie było nauczyciela.

Po krótkim zapoznaniu się z życiem kołchozu i jego mieszkańcami, dostaliśmy prowiant w postaci chleba i słoniny. Mogliśmy wreszcie, jako tako zaspokoić głód, bo żywność, którą mieliśmy w pociągu, już dawno się skończyła. Dzięki temu, że Mama ukończyła w Petersburgu „Wyższe Kamierczewskoje Uczyliszcze" (Wyższa Szkoła Kupiecka) i znała bardzo dobrze język rosyjski, mogła swobodnie prowadzić konwersację z tutejszymi mieszkańcami i uzyskiwać wszelkie informacje na temat życia i pracy. Pierwszy okres pobytu przebiegał dość monotonnie. Nasz przyjazd do Sow-Łagu zbiegł się ze świętem pierwszego maja i pierwszym dniem prawosławnej Wielkanocy. Chociaż wszelkie święta religijne były zakazane, to tu w dalekim Kazachstanie Rosjanie obchodzili je, jako rosyjską tradycję. Przeważnie w każdej ziemiance była ikona ozdobiona haftowanymi długimi ręcznikami. Ponieważ zbliżał się okres żniw, obowiązkowo do prac polowych zmuszano wszystkich, nawet dzieci, które ukończyły dziesięć lat. Dziwolągiem karnym w kodeksie bolszewickim był artykuł, który zezwalał wydawać wyroki już na dwunastoletnie dzieci. Oczywiście dzieci wykonywały w polu prace pomocnicze, jak plewienie buraków i ziemniaków oraz przy sianokosach i zwózce zboża do mechanicznych młockarni.

Pierwszą pracę rozpocząłem od obsypywania ziemniaków bardzo ciężką „haczką". Po takiej całodziennej pracy nie czułem ani rąk, ani nóg. Lżejsza była praca przy zgarnianiu siana drewnianymi grabiami. Z zaciekawieniem przyglądałem się kombajnom zbożowym, które widziałem po raz pierwszy, dziwacznym traktorom

na stalowych kołach, zakończonych ostrymi zębami, żniwiarkom zwanym „łabagrejkami". Ponieważ lato trwało tu bardzo krótko, dlatego w czasie żniw zboże koszono i układano w stogi, żeby w okresie zimy można było je młócić. Uprawiano przeważnie pszenicę, żyto, proso, słonecznik, a z roślin: ziemniaki i buraki pastewne. Przy wykopkach ziemniaków nie stosowano żadnej mechanizacji. Mężczyźni i kobiety wykopywali je szpadlami, a najczęściej dzieci zbierały je do wiadra i sypały na kopce. Wszystkie prace polowe wykonywano od świtu do zmierzchu. Dorośli pracowali na okrągło, dzień i noc. Na pole przywożono posiłki w postaci chleba i mleka lub jakiejś zalewajki. Za wykonywaną pracę rozliczano dorosłych tak zwanymi „trudodniami" (roboczodniówki), dzieciom nic nie naliczano. Stosowano tu stałą sowiecką zasadę: „kto nie pracuje ten nie je" (nawet dzieci).

Każdy kołchoźnik miał półhektarową działkę, na której przeważnie sadził ziemniaki i trochę warzyw oraz tytoń. Żadnego zboża nie wolno było uprawiać. Wolno natomiast było trzymać krowę, jednego cielaka, dwie świnie, pięć owiec oraz kury i gęsi. Z każdego zabitego zwierzęcia trzeba było oddawać kołchozowi skórę, nawet ze świni. Do roku 1941, to znaczy do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, mieszkańcy kołchozu żyli dość dobrze, bo mieli, co jeść. Wybuch wojny spowodował, że z kołchozu zabrano do wojska wszystkich mężczyzn w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu lat. Zabrano wszystkie zdrowe konie i opróżniono ze zboża wszystkie magazyny. Widmo głodu rysowało się przed oczyma Polaków, bo przecież żadnej działki uprawnej nie mieli, a w kołchozie nie mogli liczyć, że za wykonaną pracę dostaną trochę zboża czy ziemniaków.

Tu wspomnę, że na mocy porozumienia Sikorski–Majski, brat mój Edward zwolniony został z łagru, skąd po uciążliwej wędrówce dotarł obdarty i wynędzniały do kołchozu w Kazachstanie, gdzie przebywaliśmy razem z Mamą. Niedługo jednak pozostawał z nami, bowiem już w grudniu 1941 roku wyruszył na kolejny uciążliwy syberyjski szlak. Tym razem podążał do formującej się w ZSRR Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Po dwóch miesiącach w Uzbekistanie, gdzie w lutym 1942 roku znalazł się w Wojsku Polskim, potem w jego formacjach wędrował przez Persję, Palestynę, Egipt, Liban, kończąc ten wojenny szlak udziałem w bitwie pod Monte Cassino.

Pierwsza zima na zesłaniu upłynęła w miarę spokojnie, chociaż mrozy były duże i zamiecie niesamowite. Po żniwach i wykopkach w 1941 roku nikt nic nie dostał za wykonaną pracę. Wszystkie zbiory z pola były zwożone do magazynów, a stamtąd zabierały je przyjeżdżające z Presnowki (powiat) samochody. W tym roku zacząłem wozić zboże wymłócone przez kombajn do magazynu. Miałem wóz skrzyniowy zaprzężony w dwa wychudzone byki i tak w ciągu dnia po kilka razy kursowałem tam i z powrotem. Z kombajnu zboże sypano bezpośrednio do skrzyni, a w magazynie trzeba było rozładować je za pomocą drewnianej łopaty. Ile w ciągu dnia przerzuciłem zboża, jako jedenastoletni chłopak, trudno mi dzisiaj wyliczyć. Po takiej całodziennej harówce zmęczenie było okropne. Jedyną pociechą było to, że po skończonej zwózce mogłem po kryjomu wynieść ze skrzyni trochę

zboża i napełnić kieszenie. Musiałem to robić bardzo ostrożnie, bo gdyby mnie przy tym przyłapano, to groził mi sowiecki poprawczak. Ale dzięki Bogu, jakoś ten proceder się udawał. Wieczorem można było zboże zemleć na żarnach i upiec jakieś placki lub ugotować zacierkę.

Zima tego roku nadeszła dość szybko i wszystkich zaskoczyła, szczególnie nas Polaków, olbrzymimi opadami śniegu i srogim mrozem, dochodzącym do pięćdziesięciu stopni Celsjusza. W okresie zimowym, kiedy większą część dnia spędzałem w ziemiance, Mama udzielała mi lekcji z języka polskiego i rosyjskiego oraz matematyki. Według jej słów byłem uczniem dość zdolnym i szybko nauczyłem się pisać oraz czytać po rosyjsku. Język polski miałem dość dobrze opanowany, ale żeby go nie zapomnieć, dyktowała mi z pamięci różne wiersze lub opowiadała bajki, a ja to wszystko musiałem pisać. Jedyną polską książkę, którą mogłem czytać, stanowiła książeczka do nabożeństwa. Podobnie było wśród innych zesłańców, bo akurat nikt z Polaków przebywających w tej co i my osadzie, jadąc na zesłanie, nie zabrał żadnych polskich książek. Tak więc codzienna modlitwa poranna i wieczorna w języku polskim pozwalała utrwalać mowę ojczystą.

W kołchozie była mleczarnia, gdzie odwirowywano śmietanę, a z odtłuszczonego mleka produkowano kazeinę. W mleczarni był dość duży piec z wmurowanym weń olbrzymim kotłem napełnionym wodą. Do wody wstawiało się bańki z mlekiem celem podgrzania do odpowiedniej temperatury, aby dokładnie można było odwirować śmietanę. Codziennie chodziłem do tej mleczarni. Rąbałem drzewo, paliłem pod kotłem, a często ręczną wirówką odwirowywałem śmietanę. Za wykonywaną pracę dostawałem parę litrów serwatki i mogłem napić się mleka, a po skończonej pracy oblizywać ze śmietany wyjęte z wirówki talerzyki, potem zaś dokładnie je umyć. Jeżeli w domu były ziemniaki, to serwatka smakowała jak najlepsza śmietana.

Aby zdobyć trochę ziemniaków i pszenicy, Mama z dwiema siostrami haftowała poszewki na poduszki dla Rosjanek i wyszywały różne wzory na długich ręcznikach. Mój brat, starszy ode mnie o trzy lata, wpadł na pomysł, żeby z sowieckich kopiejek wyrabiać pierścionki i krzyżyki. Zdobył kawałek szyny, która zastępowała mu kowadło, młotek, przecinak, pilnik i przebijak. Warsztat był gotowy. Wykonane pierścionki i krzyżyki wymienialiśmy przeważnie na ziemniaki, a czasami dostawaliśmy parę garści prosa lub pszenicy. Doszliśmy do takiej wprawy, że każdy następny wyrób był doskonalszy.

W okresie zimowym moim i brata obowiązkiem było dostarczanie do domu drzewa na opał. Braliśmy wówczas siekiery i nie zważając ani na mróz, ani na śnieżycę szliśmy do lasu, aby ściąć brzozę, potem przyciągnąć ją do domu i popiłować na wymiarowe kloce. Ręce z mrozu po prostu nam kostniały, a nóg w ogóle się nie czuło. Z takiej wyprawy wracałem z płaczem, z bólu nie mogłem wytrzymać. Mama nacierała mi ręce i nogi śniegiem, aby nieco złagodzić ból, zabieg ten zawsze pomagał. Takich wypraw do lasu w czasie zimy było sporo. Często trzeba było zaopatrzyć w drzewo kogoś z Rosjan, bo za taką pracę dostawaliśmy zawsze trochę

chleba lub ziemniaków. Na tym odludziu nikt nikomu za darmo nic nie dawał, za wszystko trzeba było płacić pracą, często ponad siły. Pocieszeniem zawsze było to, że po takiej pracy można było wleźć na piec i ogrzać przemęczone ciało.

Oprócz głodu zaczęły nam dokuczać wszelkiego rodzaju insekty. Wszy, karaluchy i pluskwy stały się plagą nie do zniesienia. Wszędzie ich było pełno i nie było żadnego sposobu, żeby je wyniszczyć. Najgorsze były noce, kiedy karaluchy z sufitu spadały na twarz, a pluskwy łaziły wszędzie jak szarańcza. Najgorzej było z wszami, bo te były zarówno w pościeli, jak i w ubraniu, we włosach na głowie, a nawet na brwiach słowem wszędzie tam gdzie były włosy! Mydła nie było, a jedynym środkiem stosowanym do mycia podłóg był popiół z brzozy. Rozpuszczony w gorącej wodzie czynił ją miękką. W takiej wodzie prano bieliznę, w niej też się kąpano. Jedyna w kołchozie bania była najczęściej odwiedzana przez Polaków. Rosjanie już od dawna przyzwyczaili się do takich warunków i to ich nie raziło. Rzadko mieli grzebienie i często jedni od drugich pożyczali je, żeby wyczesać wszy.

Przyglądając się takiej sytuacji brat wpadł na pomysł (on miał zawsze zadziwiające pomysły), żeby wyrabiać grzebienie z bydlęcych rogów. Nazbieraliśmy trochę rogów, gotowaliśmy je kilka godzin, a następnie młotkiem rozbijaliśmy na cienkie płytki, nacinaliśmy nożem ząbki i po ogólnej obróbce grzebienie były gotowe. Oczywiście zaraz wymienialiśmy je na żywność z Rosjanami. Był to bardzo dobry pomysł. Wyrób igieł do szycia i gwoździ też był ważnym, doskonałym pomysłem i sposobem na zdobycie żywności, która jakże często zaspakajała nasz totalny głód. Okres zimowy zawsze sprzyjał uczeniu się czegoś nowego, a do tego wszystkiego mobilizował zawsze nieustający głód. Wykonywałem wszystkie prace, za które mogłem coś otrzymać z żywności, a więc odśnieżałem, nosiłem wodę ze studni na drewnianym pałąku ułożonym na ramionach. Taki pałąk, zwany „koromysłem", obciążony dwoma wiadrami wody wpijał się w barki jak drut kolczasty. Po takiej pracy miało się wszystkiego dosyć.

Dzięki Matce nauczyłem się dobrze czytać po rosyjsku, nawet lepiej aniżeli moi rosyjscy rówieśnicy. Książki do czytania mogłem zdobyć jedynie u weterynarza Puzyrowa. Całą jego niewielką bibliotekę potrafiłem przeczytać nawet kilkakrotnie. Czytałem Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewskiego i Tołstoja. Przeważnie czytałem na głos w rodzinie Gopcowych, gdzie było dwoje dzieci w moim wieku – córka Wala i syn Tola. Na takie wieczorne czytanie przy „kopciółce" przychodziły inne dzieci. Moja znajomość języka rosyjskiego wzbudzała szczególne do mnie zaufanie nie tylko wśród rówieśników, ale i wśród dorosłych Rosjan. Nawet przylgnęło do mnie przezwisko – „mudryj Jożik" (mądry Jeżyk). Jeżyk – z uwagi na to, że zawsze kurczyłem się z zimna, a mądry – ze względu na moje wiadomości i wspomnianą umiejętność czytania. Ponieważ Gopcow był szewcem i szył buty z cholewami, zacząłem przy nim uczyć się zawodu szewskiego. Robiłem drewniane gwoździe, tak zwane szpilki, nici i dratwy z włókna konopi. Nauczyłem się szyć cholewki i przybijać spody. Po kilkumiesięcznej praktyce potrafiłem już samodzielnie uszyć sobie buty z cholewami. Wprawdzie długo w tych butach nie chodziłem,

bo musiałem dać bratu Edwardowi, który przybył do nas z łagru w kapciach i po krótkim pobycie wyruszył do Armii Polskiej tworzonej w ZSRR przez gen. Władysława Andersa, właśnie w moich butach.

Trwająca wojna sowiecko-niemiecka przyczyniła się do tego, że nawet Rosjanie zaczęli głodować. Tylko jakoś sobie z głodem radzili. Po kilku zmianach miejsc zamieszkania usadowiliśmy się w końcu u Wronowej, która mieszkała z dwoma synami. Pożycie nasze było zgodne i układało się dobrze. Taką jaśniejszą osobistością w Sow-Ługu była Wasilisa Mielnikowa, zwana popularnie „babuszkoj Wasiunoj". Była to kobieta 60-letnia, służyła w konnej armii Budionnego i coś niecoś słyszała o Polsce. Nie umiała czytać i pisać, a zajmowała się wyłącznie hodowlą królików. Miała ich duże stadko, w związku z czym trzeba było przygotowywać dla nich sporo pokarmu.

Tak się złożyło, że stałem się stałym bywalcem „babuszki Wasiuni", a potem głównym hodowcą królików. Nauczyłem się posługiwać kosą, żeby kosić trawę. Uprawiałem tytoń i przygotowywałem machorkę i „kareszki", bo babuszka była jedyną kobietą w kołchozie, która paliła papierosy. Zwijała z gazety stożkowy rulonik, wsypywała do niego tytoń i tak paliła. W okresie zimowym dokonywałem uboju królików, ściągałem skórki. Po ich wysuszeniu na drewnianych palikach, wyprawiałem je za pomocą skwaszonego zacieru, sporządzonego z żytniej mąki. Oczywiście wszystkie jelita królicze przeznaczone były dla mnie. Sporządzałem z nich zupę, coś w rodzaju flaków. Bawiłem się również w weterynarza, bo babuszka Wasiunia miała dużo samców, które trzeba było kastrować. Za pomocą ostrego scyzoryka nacinałem błonę i wycinałem jądra. Doszedłem do bardzo dużej wprawy. Za swoją pomoc w hodowli dostałem parę królików. Po jakimś czasie, gdy się rozmnożyły, miałem ich około piętnastu. Przyszło jednak nieszczęście. Ulewny deszcz zalał zagrodę i wszystkie się potopiły. Przez cały dzień płakałem, a potem musiałem ściągać skórki i patroszyć. Co prawda było na jakiś czas, co jeść, bo mięso królicze nawet padnięte smakowało całej rodzinie, ale żal po stracie pozostał.

Książki, o których wspomniałem, musiałem też czytać w wolnych chwilach dla babuszki Wasiuni. Praktycznie cały okres zimowy na okrągło miałem pracę i zajęcie w różnych zawodach. Najcięższe chwile przeżywałem, gdy przyszło mi iść z 16-kilogramowym workiem pszenicy na plecach do wiatracznego młyna, który stał poza kołchozem na niewielkim wzniesieniu. Oczywiście młyn pracował wtedy, kiedy były silne wiatry, a więc *„burany"* i zawieje. Brnąłem po kolana w śniegu z ciężarem na plecach wśród zamieci. Nieraz po prostu nic nie było widać. Szło się na odgłos skrzypiących skrzydeł wiatraka. Droga powrotna taka sama – śnieg i mróz, do tego walący z nóg wiatr ze śniegiem. Pocieszeniem była zdobyta porcja mąki, którą dostawałem od gospodarza. Przyniesiona do domu zaraz była zagospodarowana przez Matkę. Placki, sporządzone na samej wodzie i upieczone bezpośrednio na fajerkach, smakowały jak najlepsze ciasto. Był też taki okres, kiedy głód tak dokuczał, że myślało się o zupełnym zagłodzeniu. Nawet babuszka Wasiunia nie mogła mi pomóc. Poradziła, aby iść do kołchoźników, którzy jeszcze

jako tako dawali sobie radę, i prosić o kawałek chleba lub parę ziemniaków. Nauczyła mnie, jak prosić: *Podajcie miłaścinu Christa radzi* (Dajcie jałmużnę radzi Chrystusowi). Z płaczem i ze wstydem odwiedzałem niektórych Rosjan prosząc o żywność. Zawsze trochę się uzbierało i można było poratować całą rodzinę.

Każda nadchodząca zima przynosiła na zesłaniu nieopisane głodowe życie i ciężką pracę w mroźnych i śnieżnych warunkach. Ileż to razy Mama ze starszą siostrą Lodzią musiały wędrować po śnieżnym stepie do Pietruchowa czy Presnowki, żeby dokonać wymiany jakiejś odzieży na mąkę. Srebrny kornet – pamiątka po ojcu – został wymieniony na pud pszenicy. Cztery złote krzyżyki z łańcuszkami, pamiątki pierwszej komunii, zamieniono na mąkę. W taki sam sposób Mama pozbyła się złotych kolczyków i pierścionka, a w najbardziej krytycznej sytuacji wymieniła na mąkę kilim, który dotychczas służył całej rodzinie, jako kołdra.

Nastanie wiosny zawsze napawało radością i nadzieją, że niedługo skończy się nasza udręka, ale była to tylko nadzieja. Z tą nadzieją żyliśmy i to dawało nam siły do przetrwania. Ta ziemia syberyjska, określana, jako „ziemia nieludzka", w okresie wiosny i lata stawała się ziemią żywicielką. Wyruszyłem wówczas z workiem na rozmokłe pola i wygrzebywałem z ziemi zamarznięte ziemniaki, które po ugotowaniu były czarne jak węgiel. Kiedy pola opustoszały ze śniegu i pokazały się rżyska po skoszonych zbożach, zbierałem kłosy, które suszyłem, wyłuskiwałem zboże i mieliłem na żarnach, żeby otrzymać mąkę. Wiosna przyniosła pożywienie – zbierałem pokrzywę i lebiodę na zupę, a czomber na herbatę. W rejonie naszego kołchozu były dwa jeziora. Jedno, Łabanowo, było prawie martwe – zarośnięte trzciną, a w wodzie żadnej ryby. Drugie, Czyścimir, obfitowało w dość duże ilości drobnych ryb – przeważnie karasi – i gromadziło w swoich szuwarach sporą ilość wodnego ptactwa.

Gnieździły się tam łyski, nurki i dzikie kaczki. Wędrowałem po zimnej wodzie boso i wyszukiwałem ptasich jaj. Jeżeli udało mi się trochę nazbierać, to pożywienie było dla całej rodziny. Często w znalezionych gniazdach były jaja zapłodnione. Ustawiałem też w sposób zamaskowany „kapkany" (metalowe sprężynujące szczęki), w które od czasu do czasu dało się złapać jakiegoś ptaka. Nie gardziłem też jajami wrony czy sroki, a wieczorem w oborze łapałem wróble i z nich przyrządzaliśmy coś w rodzaju rosołu. Przysmakiem też były jeże. Złapanego jeża wrzucało się do pieca i żywcem opalało się z kolców, a następnie patroszyło. Mięso jeża, podobne do mięsa dzika, przerośnięte było tłuszczem. Zdechłego konia, którego wywieziono poza „pasiołek" i zakopano w dole, odkopywaliśmy w nocy i wycinaliśmy kawałki mięsa, ażeby w domu Mama mogła coś z tego mięsa ugotować. Zdarzały się też takie przypadki, kiedy napotykaliśmy wilka, który upolował dziką kozę i pożerał wnętrzności. Wówczas grupa wyrostków ruszała z widłami, krzycząc i gwiżdżąc, żeby odgonić wilka. Wystraszony wilk pozostawiał ofiarę, a my zbieraliśmy resztki mięsa i dzieliliśmy je między sobą.

[…]

Sześcioletni okres zesłania, w którym przyszło mi wykonywać różne prace i zawody, zmienił moją psychikę chłopięcą, kształtował charakter, był szkołą przetrwania i przeżycia. Wszystkie upokorzenia, zniewagi, głód i chłód przeżywałem jak dorosły mężczyzna. Dzięki Mamie zachowałem swą narodowość i język ojczysty. Nie utraciłem nigdy wiary w Boga, a nadzieja powrotu do Polski, która towarzyszyła mi przez cały okres zesłania, została spełniona w 1946 r. Tak oto od 1940 do 1946 roku w warunkach bardzo ciężkich, przepracowałem tysiące godzin przy różnych zajęciach, nie otrzymując w zamian ani jednej kopiejki. Jedynym wynagrodzeniem była często miska „zalewajki" lub parę ziemniaków w łupinach. Przeżycie ciężkich lat zesłania, to jednak przede wszystkim sprawa Opatrzności.

Tam wśród stepów spotkaliśmy wielu przyjaznych ludzi. To Rosjanie sami zniewoleni przez reżim bolszewicki wyciągali do nas pomocną dłoń. Sami, cierpiąc głód i niedostatek, dzielili się z nami kawałkiem chleba, nieraz ostatnim, szczyptą ziarna i resztkami kartofli. Moje proszalne wędrówki do rosyjskich ziemianek spotykały się z dobrocią i do dzisiaj wspominam kawałki czarnego razowca, którym mnie obdarowywano. Dobroduszność „Babuszki Wasiuni"' zachowałem w pamięci. Pamiętam serdeczność Grafiny Woronowej, u której mieszkaliśmy, dobroć rodziny Bykowów, Radionowów, Gopcowych i Czebatariowych. Wspominam je ze wzruszeniem i wdzięcznością. A gdy opuszczaliśmy „gościnną ziemię radziecką", cała ludność kołchozu, w którym pracowaliśmy, odprowadzała nas daleko poza rogatki osady. Żegnano nas ze łzami w oczach, życząc szczęśliwej drogi. Dzięki im za to, a Tobie Matko Boska dzięki, żeś Nas zachowała przy życiu i doprowadziła na Ojczyzny łono!

* * *

Tutaj muszę oddać szczególny hołd mojej Mamie, która przeżyła w Petersburgu rewolucję 1905 i 1917 roku, wojnę domową w Rosji 1918 roku oraz zesłanie na Sybir. Tymi zesłańczymi zapiskami podziękować Jej chcę za to, że szczególnie na zesłaniu potrafiła uratować czworo dzieci przed głodem i chłodem, zachować wiarę w Boga i przywiązanie do polskości, zachowując w domu język polski. Jej żelazna konsekwencja w wychowaniu dzieci w duchu polskości i pobożności, pozwoliła przezwyciężyć głód, chłód, upokorzenie i poniewierkę, a często znieważanie i poniżenie.

Dziś z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że przetrwanie tego zesłania zawdzięczamy drewnianemu krzyżykowi, wyrzuconemu ze szkoły przez bolszewików w 1939 roku, który Mama znalazła na śmietniku i 13 kwietnia 1940 roku zabrała ze sobą na zesłanie. Pomimo różnych przeszkód i trudności krzyż ten powrócił z nami do Polski i jest przechowywany w domu, jako relikwia naszej rodziny. Ten zniewolony krzyż dla nas był ostoją, wsparciem, nadzieją i przetrwaniem na wygnaniu.

Danuta Tęczarowska

Lekarz

Na zesłaniu 1940–1941

W KOŁCHOZIE AK-BUZAŁ

Danuta Tęczarowska urodziła się we Lwowie w 1910 roku, zmarła w Anglii (1987). Przez całe życie była „gorącą lwowianką". Absolwentka Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Studia medyczne ukończyła w 1937 r. Od roku 1938 pracowała z mężem w Jeleśni koło Żywca, z zamiarem specjalizowania się w dermatologii. Niestety wojna zniweczyła wszelkie zamiary i plany. Była świadkiem aneksji Zaolzia przez Polskę. Zaraz potem wyjechała z matką do Lwowa w przekonaniu, że wojna jest nieunikniona. W Jeleśni pozostał mąż (J. Szpunar), również lekarz, spodziewając się, że wkrótce przyjedzie do Lwowa. Zgodnie z przydziałem mobilizacyjnmym przybył tam 31 sierpnia 1939 roku.

Rozpoczęła się wojna, bombardowanie Lwowa przez niemieckie lotnictwo. Wśród mieszkańców tego „zawsze wiernego miasta" zapanował ogólny chaos i dezorientacja. Jako lekarze oboje z mężem zgłosili się do punktu mobilizacyjnego, gdzie otrzymali przydział do frontowego szpitala. 12 września wyjechali ze Lwowa. Wkrótce potem nastąpiło rozstanie z mężem na frontowej trasie. Spotkała go dopiero po dwóch latach w nadwołżańskim Tatiszczewie, gdzie organizowała się Armia Polska pod dowództwem gen. W. Andersa. Wcześniej, tj. z początkiem grudnia 1939 r., otrzymała list od męża, który przebywał w sowieckiej niewoli. Jej wędrówka zakończyła się w Nadwórnej, gdy Armia Czerwona wkroczyła do Polski. Powróciła więc do matki we Lwowie.

Przez krótki okres za tzw. pierwszych sowietów pracowała w Poliklinice przy ul. Potockiego, będąc świadkiem sowietyzacji Lwowa i lwowiaków mającej charakter mitingów, wyborów, nadawania obywatelstwa radzieckiego, różnych form działań propagandowych, aresztowań i rewizji. Jednocześnie nastąpiła tragedia zsyłki kwietniowej (1940), w ramach której deportowana została wraz z matką do Kazachstanu, gdzie pracowała w kołchozie, a potem umożliwiono jej pracę w lokalnym ośrodku zdrowia.

Po latach ze schowka pamięci wydobyła obraz zesłańczego losu i przedstawiła go w książce zatytułowanej *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939–1942* (Londyn 1981) opublikowanej pod panieńskim nazwiskiem Danuta Tęczarowska. Jej lektura umożliwia czytelnikowi interesujące spotkanie z Kazachstanem z czasów wojny i charakteryzuje się wielością informacji o wydarzeniach oraz doświadczeniach wpisanych w zesłańczy los. Jest to zaledwie drobna część jej doświadczeń z „domu niewoli", który opuściła i szczęśliwie dotarła wraz z matką do tworzącej się w ZSRR Armii Polskiej. Tam spotkała męża.

Po wojnie zamieszkała w Anglii. Pracowała jako psychiatra w szpitalach psychiatrycznych. Do Polski nie wrócili, bowiem mąż był niebezpieczny dla ludowej władzy jako jeden z niewielu ocalałych z Katynia i Starobielska. Był też lekarzem w „przybocznej gwardii generała Andersa", o czym napisał mi w jednym z listów*.

Podstawa relacji: D. Tęczarowska, *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939–1942*, Londyn 1981.

---

* Dane biograficzne: korespondencja z mężem autorki, obecnie w zbiorach Archiwum Naukowego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu oraz D. Tęczarowska, *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939–1942,* Londyn 1981.

Stacja w Dżangistobe to maleńki budyneczek w stepie, ale muszą tu być niedaleko jacyś ludzie, bo słyszymy muzykę i śpiew, obchodzą święto 1 maja. Żołnierze rozsuwają drzwi a z boku stoi szereg ciężarówek, które zaczynają podjeżdżać pod nasze wagony. Żołnierze każą nam wysiadać „z rzeczami", każdy wagon do jednej lory. Nie wiedzieliśmy wtedy, że każdy kołchoz (przysiółek) zabierał przydzieloną mu ilość zesłańców. Od przypadku czy szczęścia zależało z jakiego kołchozu podjechała ciężarówka – w niektórych kołchozach podczas pierwszej zimy umarło z głodu ¾ zesłanych tam Polaków.

Myśleliśmy, że wszyscy z całego pociągu pojedziemy razem. Tymczasem lory naładowane ludźmi i bagażami zaczęły się rozjeżdżać w różnych kierunkach. Nasza lora pojechała w step drogą polną czy właściwie stepową. Nie widać żadnych krzaków czy drzew tylko płaski, suchy step bez żadnych chałup czy osad. Na lorze panuje cisza, nikt nic nie mówi, bo i cóż możemy powiedzieć? – boimy się. Po około dwóch godzinach jazdy lora zatrzymuje się w stepie. Każą nam wysiadać. Dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. Rosjanin, który nas eskortuje, daje każdemu z nas po 5 rubli i odjeżdża zostawiając nas w stepie, a na nasze wołanie ze śmiechem pokazuje nam szopę, która była tak niska, że nie zauważyliśmy jej. Zrozumieliśmy, że szopa to jest „dom", gdzie mamy wszyscy mieszkać. Nikt z nas już nie udaje dzielnego, na wszystkich twarzach widać rozpacz. Rozglądamy się naokoło i dopiero teraz widzimy, że niedaleko są jakieś domki, ale tak malutkie, że ledwo wystają ponad poziom stepu, a z domków tych wychodzą ludzie i idą w naszym kierunku. Nie wiemy, gdzie jesteśmy – my nie mówimy po rosyjsku a oni, tylko niektórzy i to bardzo słabo. Porozumiewamy się na migi – zrozumieli nas i powiedzieli „Ak Buzuł" pokazując na swoją osadę i Kazachstan pokazując cały widnokrąg. Jesteśmy więc w Kazachstanie w kołchozie Ak Buzuł, co, jak się potem dowiedziałam, oznacza Białe Cielę. Kazacy są pełni godności, mężczyźni w fufajkach (watowane kurtki) i futrzanych czapkach z nausznikami, kobiety w białych nakryciach głowy, które spadają z tyłu do ziemi jak welony, spódnice też mają długie do ziemi. Niosą miseczki z mlekiem (jeszcze wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak nas ugościli) i podają je dzieciom. Widzę, iż paru starych Kazachów ma łzy w oczach, płaczą nad nami. Młodych mężczyzn tu nie ma. Uświadamiam sobie, że przedstawiamy żałosny widok: kobiety w różnym wieku, dzieci, starzy mężczyźni i tylko paru młodych chłopców a wszyscy brudni, przestraszeni, z garstką bagażu. Jest już późne popołudnie – idziemy zachęcani przez Kazachów, którzy pomagają nam dźwigać walizki i toboły do naszej szopy. Widać, że barak ten został wystawiony parę dni temu, wprost na stepie, bo „podłoga" jest ciągle jeszcze zielona, trawa nie zdążyła pożółknąć. Dach i ściany są zrobione ze starej zardzewiałej blachy. Robimy sobie legowiska na ziemi, z czego kto może i kładziemy się. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek coś jadł. Ktoś ma świeczkę, więc śpieszymy się, żeby się jakoś urządzić, zanim świeczka zgaśnie. Nikt nie może myśleć o jutrze – jesteśmy wszyscy nerwowo wykończeni, wywiezieni na pustkowie, zdani na łaskę Boską. Czujemy się jakbyśmy „dostali pałką w łeb".

Z rana zjawiają się znowu Kazacy i na migi pokazują, że możemy od nich „kupić" za nasze rzeczy jaja i mleko. Kupujemy więc z matką jaja, które ucieramy na surowo z cukrem (cukier przyjechał z nami na dnie kosza – schowałyśmy go tam „na zimę" we Lwowie) i jesteśmy zadowolone, że mamy na razie czym żyć. Poza jedzeniem mamy drugi problem: jesteśmy bardzo brudne. Musimy jakoś się obmyć, a nie mamy miednicy ani wiadra. Z wodą nie ma problemu, bo przy każdym domu jest studnia. Pomocni Kazacy pożyczają nam wiadra i pokazują na migi, żebyśmy poszły w step i tam porządnie wyszorowały się. Studnie są głębokie i oblodzone (przez cały rok) a woda czysta i dobra. Idziemy więc z matką z wiadrami pełnymi wody i puszką po krabach „Kamczatka" do polewania się w step. Słońce grzeje już silnie a niebo jest niebieskie bez chmurki, więc rozbieramy się do naga i zaczynamy się polewać lodowatą wodą – jakoś nie czujemy zimna, bo chcemy czym prędzej pozbyć się brudu. Mydlimy się i polewamy, ale brud nie schodzi. Mamy „rzepę" na szyjach i na rękach do łokcia. Szorujemy się więc garściami suchej trawy i to trochę pomaga, ale brud ciągle jest. Dopiero po paru dniach, po parokrotnym szorowaniu się mydłem i trawą byłyśmy czyste.

Step pachnie macierzanką i piołunem i całkiem nie jest taki płaski, jak się nam na początku wydawało. Ledwo odeszłyśmy od naszej szopy, żeby się swobodnie obmyć, a już chałupy znikły nam z oczu. Trzeba bardzo uważać, żeby wrócić do Ak-Buzał, a nie pójść w step!

Po jakim takim obmyciu się wracamy do naszej szopy, gdzie już kwitnie handel z Kazachami. Polacy zamieniają swoje rzeczy na żywność, to znaczy na jaja i mleko. Największy popyt mają białe cienkie ręczniki, prześcieradła, miednice i garnki. Kazaczki są bardzo łakome na prześcieradła, bo biały welon spadający aż do ziemi to ich tradycyjne nakrycie głowy, a materiały na sprzedaż tu nie istnieją.

[…]

Musimy się jakoś tu urządzić, nie możemy ciągle „mieszkać" w tym baraku, spać na ziemi i siedzieć w kucki i koczować w gorszych warunkach niż skauci na wycieczce. Wszyscy zaczynają zastanawiać się, czy nie byłoby lepiej powynajmować izby od Kazachów i podzielić się na małe grupy. Uważam, że musimy to zrobić, gdyż w baraku nikt nie przeżyje zimy. Jeżeli chodzi o mnie, to mam nadzieję, że wyrwę się z Ak-Buzał przed zimą, że zatrudnią mnie jako lekarza. Ponieważ nie mam pieniędzy na wynajęcie Kazacha z furą postanawiam iść sama piechotą do Gieorgiewki. Do Gieorgiewki jest około 15 kilometrów, więc żeby wrócić tego samego dnia muszę zrobić 30 kilometrów, ale jestem dobrym piechurem i wiem z doświadczenia w górach, że „lekko" mogę robić 40 km dziennie. Pytam się na migi Kazachów o drogę – choć już znam parę rosyjskich słów, ale to mi mało pomaga, bo Kazacy też nie umieją mówić po rosyjsku. Jakoś zrozumieli o co mi chodzi i posługując się pojedynczymi słowami i gestami wytłumaczyli mi, jak dostać się do Gieorgiewki. Wskazówki ich skrzętnie zapisałam sobie, żeby nie zgubić się w stepie. Szeroka droga koło kołchozu Ak-Buzał zaraz po wyjściu z przysiołka gubi się i zostaje tylko słabo udeptana ścieżka, która też potem znika, ale mam iść

w tym samym kierunku na przełaj przez step aż zobaczę kurhan (zdaje się, że jest to miejsce pogrzebania kogoś bardzo ważnego w przeszłości), który mam obejść z prawej strony, potem na lewo itd. itd. Okazało się, że Kazacy dali ścisłe i dobre instrukcje, ani razu nie miałam wątpliwości, że dobrze idę. Wyszłam bardzo wcześnie rano, było chłodno a lekki wiaterek pachnął macierzanką i piołunem. Byłam zupełnie sama, naokoło mnie bezbrzeżny step, a nade mną kopuła nieba; czułam się lekko, zupełnie oderwana od rzeczywistości. Gdyby nie okoliczności, które mnie do tego skłoniły, to spacer ten byłby dużą przyjemnością. Na początku mojej wyprawy miałam wątpliwości, czy dobrze zrobiłam wybierając się w step sama, ale jak tylko wskazówki Kazachów zaczęły się sprawdzać nabrałam otuchy i w dobrej formie doszłam do Gieorgiewki o 10 rano, zadowolona ze swojego wyczynu.

Gieorgiewka jest wsią rosyjską i ciągnie się wzdłuż drogi Stienki Razina na przestrzeni paru kilometrów. Chałupy są tu wyższe, pobielane a koło chałup warzywne ogródki – widać, że panuje tu porządek i zamożność (względna… na stosunki kazachstańskie). Wzdłuż drogi widzę, po raz pierwszy w Kazachstanie, drzewa – topole, które szumią na wietrze jak na polskiej wsi. Zrobiło mi się ckliwo na sercu. Oprócz głównej drogi jest parę innych „ulic" gdzie mieszkają różne grupy Rosjan. Jest osiedle byłych „zsylnych" (zesłańców z carskich czasów, gdzie obecnie ich dzieci są już tu wolnymi obywatelami, tu się urodzili, pozakładali własne rodziny i uważają Kazachstan za swoją ojczyznę. Osobno jest osiedle byłych dobrowolnych przesiedleńców, którzy zwabieni urodzajnością ziemi przyjechali tu za carskich czasów a teraz ich dzieci i wnuki też czują, że Kazachstan to ich „rodzinny dom".

Opowiadała mi stara Rosjanka, że była to ziemia mlekiem i miodem płynąca. Zboże (pszenica) rosły prawie bez uprawy, gdziekolwiek upadło ziarno, a niezmierzone stepy wypasały niezliczone ilości bydła. Widzę teraz na własne oczy tę ziemię czarną jak aksamit. Naokoło Gieorkiewki leżą uprawne pola, niektóre już się zielenią, niektóre wyglądają jak czarne pasy. Uprawiają tu ziemniaki i pszenicę. Widać, że Rosjanie pracują na roli i mają dobre zbiory. Gieorgiewka jest zamożną wsią!

Idę do Wydziału Zdrowia (Rajzdrawu) i dowiaduję się, że Naczelnika nie ma. Przyjmuje mnie starszy dystyngowany Rosjanin Iwan Siemionowicz, zsylny. Iwan Siemionowicz był za carskich czasów urzędnikiem w Moskwie. Został aresztowany przez bolszewików i po paru latach więzienia zesłany do Gieorgiewki. Syn jego pozostał w Moskwie i studiuje na Uniwersytecie, żona umarła, gdy Iwan Siemionowicz siedział w więzieniu. Iwan Siemionowicz jest smutny i zastrachany, rozumie moje położenie bardzo dobrze, współczuje mi i chce pomóc. Daje mi nadzieję, że dostanę posadę, bo jest brak lekarzy, ale muszę zaczekać aż wróci Naczelnik. Każe mi przyjść znowu za dwa tygodnie, obiecując, że porozmawia o mnie z Naczelnikiem i że zrobi co może, żeby mnie zatrudniono. Wierzę mu, bo jego wygląd i zachowanie budzą zaufanie. Obiecuję przyjść znowu za dwa tygodnie.

[…]

Przeprowadziłyśmy się do Ajszy. Męża jej nie ma w domu i chałupa jest stosunkowo obszerna, więc bardzo chętnie wynajęła nam izbę. Z dużej sieni rozchodzą się w różnych kierunkach kręte korytarzyki prowadzące do izb mieszkalnych. Korytarzyki nie mają okien, są ciemne a izby mieszkalne mają drzwi zamykające się na bardzo skomplikowany drewniany zamek. Nie mogłam tego zamka otworzyć dopóki mi nie pokazali jak. System korytarzowy jest mądry, bo zapobiega dostaniu się do izb zimna w zimie, a upału w lecie. Robactwa na razie tu nie widać.

Dali nam do naszej izby dwa żelazne łóżka z workami wypchanymi sianem zamiast materaca. Wprowadziłyśmy się więc tam. Postawiłyśmy kosz na honorowym miejscu i służył nam jako stół, spiżarka, półka itp. Na drugi dzień rano patrzę na nasz kosz i oczom swoim nie wierzę: z każdej szparki w plecionce kosza wystają dwa małe ruszające się wąsiki – karakony powłaziły do kosza i zadomowiły się w nim! Wyciągnęłam kosz przed chałupę i biłam patykiem i choć wytrzęsłam część karakonów, jednak nie wszystkie dały się usunąć. Szczególnie te mniejsze pochowały się i nie można było ich wygonić nawet trzęsąc i rzucając koszem o ziemię. Wobec tego zaciągnęłam nasz kosz do rowu (nawadniającego) z wodą, zatopiłam w najgłębszym jak mogłam miejscu i usiadłam na nim. Tak przesiedziałam w wodzie przeszło godzinę i potopiłam karakony. Kosz był czysty! Sama się śmiałam z siebie, bo musiałam bardzo śmiesznie wyglądać siedząc w wodzie na koszu.

Ciągle zamieniamy nasze rzeczy za jedzenie, zwykle „sprzedajemy" je na raty, bo Kazacy nie mają dość sami i żyją z dnia na dzień. Jest to wynikiem tutejszej gospodarki; każdej rodzinie wolno mieć jedną własną krowę, która pasie się na stepie z kołchoźnymi krowami, więc np. mleka nigdy nie mają wystarczająco i jeżeli chcą coś od nas „kupić" to płacą nam mlekiem, codziennie po jednej szklance przez umówioną ilość dni. Za prawo wypasania krowy na stepie i za usługi kołchoźnego pastucha każda rodzina musi oddać kołchozowi pewną ilość mleka – nie przelewa się im…

Wypasanie krów jest zorganizowane: po wydojeniu krowy rano idą na cały dzień w step i przed zachodem słońca wracają do domu, gdzie się je znowu doi przed nocą. Wygląda to bardzo malowniczo: rano pastuch kołchoźny wyprowadza na drogę stado krów kołchoźnych, do których z każdego domu dołączają się krowy prywatne. To samo dzieje się wieczorem, gdy wracają do wioski ze stepu – z ogólnego stada po drodze każda prywatna krowa odłącza się od stada i idzie do swojej obory, bez poganiania. Krowy są tak wytresowane, że jak tylko z daleka posłyszą rano ryk zbliżających się krów kołchoźnych, natychmiast same opuszczają stado.

Prócz mleka od swojej krowy każda kazachska rodzina ma trochę kartofli i mąki. Nie mogą trzymać dużo kur, bo nie mają ich czym żywić, więc o jaja jest też trudno. Trzeba dodać, że w tym klimacie przez sześć zimowych miesięcy krowy nie doją się, a kury nie znoszą jaj.

Jest czerwiec i panują upały a noce są chłodne, krótkie i jasne, tak że można czytać na dworze o północy. Zrobiło się za gorąco, żeby gotować w domu i Kazacy budują piece na dworze przed domami. Pouczają mnie, jak się do tego zabrać. Po

pierwsze muszę znaleźć na śmietnisku kawałek rury na komin, kawałek blachy na blat, kilkanaście cegieł – „samanów" i znieść to przed chałupę. Następnie muszę znaleźć koński nawóz i rozrobić go z wodą na papkę, którą skleja się „samany" a robi się to ręką. Pouczyli mnie też, że nawóz krowi nie nadaje się do tego celu, gdyż po napaleniu cały piec rozleciałby się pod wpływem żaru. Przydało mi się doświadczenie górskie i wystawiłam piec z dobrym ciągiem, w dobrym kierunku „z wiatrem", nie dymił i mogłyśmy na nim ugotować ziemniaki czy kluski z czarnej mąki, zużywając stosunkowo mało kiziaku. Jaja jemy na surowo, żeby nie niszczyć witamin. Próbowałam ugotować „szpinak" z lebiody – jadalny chwast – ale nie wyszło. Było obrzydliwe. Herbatę bardzo oszczędzamy, bo mamy jej mało. Zaparzymy szczyptę, suszymy listki po użyciu i używamy je ponownie parę razy a na końcu gotujemy je. Jesteśmy głodne, ale żyjemy jakoś – co będzie dalej? Nie mając pracy nie mogłam kupić chleba, nawet gdybym miała pieniądze i gdyby tutaj był sklep. Kazacy nie mają chleba a żywią się plackami, które pieką z przydziału mąki za przepracowane dni. Nie nadają się oni do pracy na roli i mają mało „trudodni", dostają też mało mąki. Są niedożywieni. Zresztą w Ak-Buzał nie widać mężczyzn – są tylko starcy, kobiety i dzieci. Jak mogą dać sobie radę? Żebym tylko dostała tę pracę w Gieorgiewce.

Okazało się, że rodzina Ajszy przeglądała nasze walizki. Nic nie zginęło, po prostu byli ciekawi co mamy. Urządziłam więc im „wystawę" naszych rzeczy. Powyciągałam wszystko z walizek i pokazałam co i do czego służy. Byli zachwyceni, mlaskali językiem, kiwali głowami i było oczywiste, że tą wystawą sprawiłam im wielką przyjemność. Przy tej sposobności zawarłam znajomość z dziewczyną koło czternastoletnią, zdaje się, siostrą Ajszy. Chodzimy razem myć się w rowach nawadniających – myjemy się obie oczywiście moim mydłem, co sprawia jej wielką przyjemność. Biedna myje włosy w zimnej wodzie prawie codziennie a ciągle ma wszy. Myśli, że moje mydło jej pomoże. Tłumaczę jej, że nie i staram się przekonać ją, że wszy można wygubić domowymi środkami. Czy zrozumiała mnie, czy mogła dostać choćby wazelinę i ocet, nie wiem. Zresztą nie miała gęstego grzebienia a ja miałam ze sobą tylko jeden. Za to wszyscy tu iskają się nawzajem, jak tylko mają wolną chwilę. Położyć głowę na czyichś kolanach i czuć palce grzebiące we włosach to przyjemność i do tego pożyteczna. Jak u małp.

Dziewczynka chodzi ze mną po stepie i zbieramy kiziak. Chodząc śpiewa kazachskie piosenki, które bym była chętnie zapisała, gdybym umiała pisać nuty. Szczególnie jedna piosenka utkwiła mi w głowie, gdyż wydawała mi się „żywcem" wzięta z Aidy. Może było odwrotnie? Pamiętam tę melodię do dzisiaj i mogę ją z trudem odtworzyć, chociaż nigdy nie nauczyłam się oddać końcowego zawołania – nie mogłam wydobyć z siebie kazachskiego głosu.

[…]

Zaprzyjaźniłam się z panią W., która pracowała w Polsce w restauracji jako kucharka. Pani W. zawsze potrafi coś kupić od Kazachów, a ja nie. Zapytałam więc, jak ona to robi i dostałam lekcję psychologii od bardzo inteligentnej, choć

niewykształconej kobiety. Powiedziała mi, że Kazacy są za dumni, żeby handlować, „to stepowy wolny naród" i trzeba im dać złudzenie, że przychodzi się do nich na wizytę a nie po jaja czy mleko. Należy, po pozdrowieniu, kucnąć obok Kazacha, który zwykle siedzi na progu chaty i… siedzieć w milczeniu aż do czasu rozmowy, którą Kazach sam zacznie. Czasem trwa to bardzo długo i trzeba mieć dużo cierpliwości. A gdy Kazach coś powie, zwykle łamanym rosyjskim, trzeba podtrzymywać tę rozmowę wtrącając co parę minut jakieś słowo. Przynajmniej po pół godzinie takiej wizyty można zapytać czy ma jajka, nie dodając słowa na „sprzedaż". Wszyscy już wiemy, że należy się pytać „czemurtka bar ma?" (czy masz jajka), gdy chcemy dostać jajka. Stosując tę taktykę, robiąc zdawkowe uwagi o pogodzie, krowach itp. zaczęłam kupować od Kazachów. Że też wcześniej nie zorientowałam się, jaka tu jest etykieta…

Jeden z takich siedzących przed chałupą Kazachów pokazał mi na migi, żeby iść za nim. Zaprowadził mnie w step poza Ak-Buzał i coś mi tłumaczył, czego nie mogłam zrozumieć. W końcu zrozumiałam: „tu kończy się człowiek" i wtedy dopiero spostrzegłam, że całe pole było usiane małymi kurhanikami, bez żadnych znaków czy napisów. Kazach zaprowadził mnie na cmentarz. Oceniłam okazane mi zaufanie i przyjaźń – chciał mi pokazać, gdzie leżą jego przodkowie. „Tu kończy się człowiek" – ładnie powiedziane…

Dostałam wiadomość od brata męża ze Lwowa, że przyszedł do mnie do Lwowa list od mojego męża z niewoli rosyjskiej. Jak potem dowiedziałam się, mój mąż był wtedy w Starobielsku. Brat męża dostał właśnie ode mnie list z Kazachstanu i natychmiast napisał do mojego męża do obozu jenieckiego, podając mu mój kazachstański adres. Mój list nadany w Gieorgiewce, około dziesięć dni po przyjeździe do Kazachstanu, w tym czasie jeszcze do męża nie doszedł. Listy z niewoli szły około miesiąca, więc list pisany przez męża w marcu 1940 roku doszedł do Lwowa w kwietniu – już po moim wywiezieniu. Jak mi mąż potem opowiadał, w kwietniu i w maju 1940 roku nie pozwolono jeńcom pisać listów. W kwietniu 1940 roku mój mąż był w Starobielsku, w maju został przewieziony ze Starobielska do obozu jenieckiego w Pawliszczew Bor, koło Smoleńska. Stamtąd napisał do mnie do Kazachstanu w czerwcu 1940, gdyż w międzyczasie dostał i mój list z moim „nowym" adresem i list od swojego brata ze Lwowa, który też powiadomił go, gdzie się znalazłam. Pierwszy list od męża, który dostałam bezpośrednio zaadresowany do mnie do Kazachstanu, był pisany w czerwcu 1940 roku w obozie Pawliszczew Bor. Naturalnie mąż podał mi tylko numer wojenny skrzynki pocztowej – nie wiedziałam więc wtedy, gdzie przebywał. List ten dostałam miesiąc potem, gdy już byłam w Gieorgiewce. Wszystkim jeńcom zabroniono pisać miesięczne listy do rodzin wtedy, gdy obozy jenieckie w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie były likwidowane – dosłownie. Działo się to między drugą połową marca a drugą połową maja 1940 roku. Obozy były likwidowane stopniowo, transporty wyjeżdżały oficjalnie do Polski, do rodzin, „domoj". Mój mąż oczekiwał, kiedy przyjdzie jego kolej powrotu do Lwowa. Wyjechał jednym z ostatnich transportów ze Starobielska

i… ocalał. Na ścianach wagonów pociągu, którym jechał ze Starobielska do Pawliszczew Bor, były wydrapane przez poprzednie transporty polskich oficerów w niewoli rosyjskiej, nazwy miejscowości, przez które przejeżdżali. Pociąg męża przejeżdżał przez te same stacje, włącznie ze stacją Gniezdowo, gdzie zostały wyładowane poprzednie transporty, o których zaginął słuch. Transport, w którym był mój mąż też został wyładowany na stacji Gniezdowo, ale jeńców przewieziono ciężarówkami do obozu Pawliszczew Bor a nie do Katynia. Ta garstka oficerów uratowała się. Dlaczego nie spotkał ich los poprzednich transportów, nikt nie wie. Może ktoś „u góry" przestraszył się i nagle zmienił zdanie co do tego, co robić z oficerami-jeńcami? W każdym razie ocalała tylko garstka.

Obóz w Pawliszczew Bor był wygodnym i dobrze urządzonym miejscem przetrzymywania jeńców – mieli nawet prześcieradła w łóżkach! Obóz ten leżał o parę tylko mil od Katynia… Z obozu w Pawliszczew Bor mój mąż został potem przeniesiony do obozu w Griazowcu, ale to nie zmieniło faktu, że od czerwca 1940 roku pisał do mnie do Kazachstanu regularnie co miesiąc, aż do czasu zwolnienia go z niewoli.

Byłam w Gieorgiewce jedną z żon oficerów, która nie straciła kontaktu z mężem w niewoli rosyjskiej. Innym paniom, w tej samej sytuacji co ja, zaczęło wydawać się podejrzane, dlaczego ja otrzymuję listy od męża, a one nie, chociaż przed wywiezieniem ich do Kazachstanu dostawały listy od mężów w niewoli. Podejrzewano nawet, że mój mąż przeszedł na „ich stronę" i dlatego pozwolono mu pisać… Mój mąż przeżył niewolę, a ich mężowie nie – ale wtedy w Kazachstanie nikt jeszcze o tym nie wiedział, nikt nie wiedział o Katyniu. Biedne kobiety pisywały regularnie z Kazachstanu do mężów w niewoli rosyjskiej, prosiły krewnych w Polsce o przekazanie mężom ich kazachstańskiego adresu, bo przypuszczały, że ich listy nie były wypuszczane z Kazachstanu. Wszystkie jednak usiłowania nawiązania kontaktu spełzły na niczym. Od kwietnia 1940 roku jeńcy zamilkli, a w tym samym czasie wywieziono nas, ich rodziny, do Azji. Dla mnie sprawa Katynia jest oczywista – nie ma żadnych wątpliwości.

W Ak-Buzał nie widać młodych Kazachów – część pracuje gdzieś daleko, a duża większość została zaaresztowana i siedzi w więzieniach i obozach pracy. Kobiety, dzieci i starcy zostawieni bez młodych mężczyzn nie mogą dać sobie rady. Kobiety są drobne, szczupłe, mają maleńkie stopy i ręce o długich cienkich palcach. Ci koczownicy, których Rosjanie przymusowo osiedlili, nie są przygotowani do pracy na roli, ani fizycznie, ani psychicznie. Nie umieją niczego uprawiać i nie mają potrzebnych do takiej pracy sił fizycznych, wskutek czego panuje u nich bieda. Właściwie to żyją z tej jednej krowy, którą wolno posiadać każdej rodzinie – jeżeli rodzina jest duża, nie mają co jeść. Do tego panuje wśród nich gruźlica… Osiedla rosyjskie stanowią duży kontrast – mają pola uprawne, domy wyższe, lepsze niż kazachskie, ludność jest dobrze odżywiona. W okolicy Ak-Buzał jest parę kołchozów rosyjskich; jedną z rosyjskich osad jest Wozniesienka, do której wybrałam się z panią W. na przełaj przez step. Gdy zobaczyłam tam rosyjski kołchoz, te pola,

kapustę, ogórki, dynie, to serce krajało mi się na myśl, jak żyją Kazacy. Ludzie tu są dobrze odżywieni, silni i zdrowi, chałupy mają małe ogródki, gdzie są nawet jakieś kwiatki, a przy drodze rosną drzewa, topole. Za Wozniesienką widać pola pszenicy, złocą się w słońcu, a Kazacy zbierają po stepie marną dziką cebulę. Coraz więcej jest mi żal Kazachów – są systematycznie niszczeni.

W Ak-Buzał panuje wielkie poruszenie: odbędzie się ślub – prawdziwy, legalny, „kościelny" ślub! Młodziutka para, wywieziona wraz z rodzicami poznała się w wagonie, którym jechali i pokochali się. Dążą do ślubu, a obie rodziny są w kropce, co z nimi zrobić. Sytuację uratował pan B., profesor gimnazjalny, który jechał w tym samym wagonie co ja. Pan B. już w wagonie organizował śpiewy i pilnował, żebyśmy głośno i wszyscy razem modlili się, a teraz zajął się problemem ślubu. Widocznie znał się na rzeczy, bo napisał do biskupa we Lwowie, przedstawiając mu całą sprawę i otrzymał pozwolenie na przyjęcie roli księdza w tym wyjątkowym wypadku. Dostał „papierek" z pieczęcią i podpisem biskupa, upoważniający go do udzielenia ślubu. Nie wiedziałam, że Kościół przewiduje takie wyjątkowe okoliczności. W chałupie, w obecności grupy Polaków – świadków, odbył się „kościelny" ślub. Młodzi powtarzali sakramentalne słowa, metryka ślubna została wypisana przez pana B. i upoważnienie biskupa załączone. Byli legalnie poślubieni! Wynajęli od Kazacha izbę bardzo piękną, bo miała tylko ściany a za dach niebo; dużo chałup kazachskich ma takie przybudówki, bo Kazacy lubią spać w lecie pod gołym niebem, w chłodzie, ale zabezpieczeni ścianami przed intruzami. Młoda para spędziła noc poślubną i dużo następnych pod wygwieżdżonym niebem, ale ogrodzona od świata murami, przy zamkniętych drzwiach. Niestety straciłam z nimi potem łączność.

Z początkiem czerwca idę znowu do Gieorgiewki do Rajzdrawu, jak umówiłam się z Iwanem Siemionowiczem. Drogę już znam, więc idę pewnie. W Wydziale Zdrowia dowiaduję się od Iwana S., że rozmawiał o mnie z Naczelnikiem Wydziału i że jest nadzieja dostania posady. Niestety, Naczelnika dzisiaj nie ma, ale jutro będzie – wobec tego muszę tu zanocować. Idę szukać Polaków, którzy ciągle koczują jeszcze w jakiejś szopie – mieli szczęście, że trafili wprost do Gieorgiewki. Znalazłam ich; bardzo gościnnie przytulili mnie na ziemi i dali coś zjeść. Na drugi dzień zastaję wreszcie Naczelnika – jest to młody człowiek, energiczny, dobrze nastawiony do lekarzy, przyjemny i naturalnie „partyjny". Nie ma nic wspólnego z zawodem lekarskim, ale jest pełen zapału i inicjatywy. Zrobił na mnie dobre wrażenie i poczułam do niego sympatię – nie zmieniłam mego zdania o nim, gdy potem siedział w kryminale za jakież nadużycia… Siedzenie w więzieniu (tiurmie) to tu rzecz codzienna i nikt się tego nie wstydzi, to tak jak skarcić dziecko klapsem, po odsiedzeniu kary „przestępca" jest z powrotem przyjęty do społeczeństwa.

Naczelnik mówi mi, że tak, zatrudni mnie jako lekarza, „po specjalności", bo im brakuje lekarzy, ale musi to załatwić urzędowo, więc żebym się zgłosiła do niego za miesiąc. Mimo takiej zwłoki nie miałam wrażenia, że coś kręci, raczej wydawało mi się, że sprawa mojej posady jest na dobrej drodze.

[…]

Zapytałam też Naczelnika, co będzie z pozwoleniem na przeniesienie się z Ak-Buzał do Gieorgiewki, bo zasadniczo nie wolno było nam opuszczać miejsca, do którego nas zesłano, ale Naczelnik tylko roześmiał się i powiedział mi, żebym nikogo nie pytała o pozwolenie, a jak tylko dostanę posadę, żebym tu natychmiast przyjechała. Poradził mi też, żebym sobie teraz znalazła jakieś pomieszczenie, tak, bym miała gdzie zajechać. Jeżeli chodzi o transport z Ak-Buzał do Gieorgiewki, to najlepiej złapać jakąś przejeżdżającą przez wieś lorę. Bardzo uczynny, życzliwy i przyjemny człowiek – jednym słowem „morowy", czyli po lwowsku „fajny" chłop.

[…]

Powoli zaczynamy z matką planować ucieczkę do Gieorgiewki. Obserwujemy lory, które czasem przejeżdżają przez Ak-Buzał i rozpytujemy się wśród Kazachów, jak często i kiedy można złapać ciężarówkę, która by zawiozła nas do Gieorgiewki. Okazało się, że w pewne dni zawsze można dostać transport, więc wydaje mi się, że nie powinnyśmy mieć trudności z dostaniem się na miejsce. Umawiamy się też ze znajomymi, żeby byli w pogotowiu i przyszli nam pomóc załadować nasze bagaże, gdy przyjdzie „wielki dzień".

Było to już w lipcu 1940 roku, idę po raz trzeci do Gieorgiewki, gdzie Naczelnik roześmiany i zadowolony z siebie, oznajmia mi, że dostałam posadę! Mam prowadzić Przychodnię dla kobiet ciężarnych i dzieci do lat pięciu. Posada jest do objęcia natychmiast. Zaraz następnego dnia spakowałyśmy z matką nasze rzeczy, poprosiłam znajomych, żeby do nas przyszli i czekali, a sama wyszłam na drogę łapać ciężarówki. Dwie przejechały przez Ak-Buzał, ale jechały w innym kierunku. Trzecia, jaką zatrzymałam, jechała do Gieorgiewki a szofer przyjemny i przyjacielski Rosjanin powiedział, że bardzo chętnie podwiezie nas. Zajechał przed dom Ajszy, gdzie już czekali nasi znajomi, aby nam pomóc załadować się i nie trwało to dłużej jak pięć minut a znalazłyśmy się z matką i bagażem na lorze, która natychmiast ruszyła. Gdy koło domu Ajszy zrobił się ruch, przybiegł priedsiedatiel, zaczął coś krzyczeć i nawet pobiegł za lorą, ale szofer nie był w ciemię bity, a ja, pouczona przez Naczelnika, nie miałam zamiaru dać się nastraszyć i zatrzymać. Lora przyspieszyła i za minutę Ak-Buzał znikł mi z oczu. Nikt nigdy nie dochodził, dlaczego opuściłam miejsce zesłania nie zapytawszy się o pozwolenie.

W Ak-Buzał spędziłam trzy miesiące wśród Kazachów i polubiłam ten naród – współczułam im i ciągle współczuję. Niektóre ich zwyczaje, które raziły mnie, były tylko wynikiem ich sposobu życia na stepie. Siąkali nos w palce, ale tak umiejętnie, że nigdy nie zabrudzili sobie rąk, a wydzielina lądowała daleko, robili to na zewnątrz, nigdy w chałupie. Za to nasze używanie chustki do nosa bardzo ich brzydziło – nie mogli zrozumieć, jak możemy nosić przy sobie taką obrzydliwą rzecz, dotykać jej i jeszcze do tego prać.

Nie było klozetów, chodziło się do rowów poza domami, ale rowy te nie cuchnęły: w lecie paliło słońce i w bardzo szybkim czasie wysuszało odchody na kamyczki – przykładem jest panna Zosia, która pozbierała je na opał – w zimie mróz wszystko natychmiast ścinał, a śnieg przykrywał, a do czasu jak śnieg stopniał nie

było śladu nieczystości. Poza tym oprócz tych rowów służących jako klozety, cała osada była pokrajana rowami nawadniającymi, przez które w lecie puszczano wodę i te rowy irygacyjne regularnie spłukiwane wodą były bardzo czyste. Za pierwszą potrzebą Kazacy szli w step z czajnikiem napełnionym wodą do obmycia rąk. Mężczyźni nie stali a klękali, żeby ich nie było widać w płaskim stepie.

Wszy mają prawie wszyscy, specjalnie na głowie… ale od czego jest towarzyska czynność iskania się wzajemnie? Trzymali wszy pod kontrolą i nie byli bardzo zawszeni.

Chałupy kazachskie są niskie, do połowy wkopane w ziemię, okna bardzo małe tuż nad ziemią, sień i kręte korytarze prowadzące do izb mieszkalnych są tak dobrze przystosowane do tamtejszego klimatu, jak tylko można. Chałupy budowane są z samanów, tzn. dużych bloków wyschniętej, ale nie wypalonej gliny i pomazane z zewnątrz grubą warstwą krowiego nawozu. W lecie jest w nich chłodno, a w zimie ciepło. Podłoga, tzw. klepisko, posmarowane jest nawozem krowim i ma szklistą powierzchnię, bez kurzu. Żyli tak czysto i higienicznie jak tylko im warunki na to pozwalały.

W okolicy, dokąd byłam wywieziona, są teraz wyrzutnie sputników i lądują astronauci. Co stało się z Kazachami! Czy ich przesiedlono? A jeżeli zostali na miejscu to czy i jak zmienili się pod wpływem nowej „kultury"? Ale step pozostał. Są to za duże przestrzenie, aby je zabudować i zaludnić. Jak w pierwszych tygodniach po wywiezieniu tęskniłam za widokiem drzew, tak potem tęskniłam za widokiem i zapachem bezbrzeżnych przestrzeni stepowych. Stojąc na stepie miało się wrażenie, że stoi się na środku morza suchej trawy, przykrytego kloszem niebieskiego nieba. Nie mam zrozumienia dla poezji, ale często zbierając kiziak powtarzałam sobie na głos „Stepy Akermańskie" Mickiewicza, gdyż wiersz ten oddaje wiernie nastrój stepowy. Step to poczucie przestrzeni i wolności a jednocześnie utożsamienie się z przyrodą – na stepie człowiek czuje, że jest cząstką tej potęgi a równocześnie i pyłkiem tylko. Oprócz kiziaku zbierałam z kazachskimi dziećmi dziką cebulę, zobaczyłam też, że na stepie rosną dzikie szparagi, czyżby to była ich ojczyzna? Step dawał życie: bydło, opał, materiał do budowy domów. Jak bardzo jest mi żal Kazachów, że są biedni i głodni, a mogliby być syci i szczęśliwi, gdyby im na to pozwolono. Żaden Kazach nigdy nie skrzywdził mnie ani nie zrobił mi żadnej przykrości i nie słyszałam też nigdy o takim przypadku wśród moich znajomych.

Włodzimierz Złomanoff

Technik mechanik
Na zesłaniu 1940–1946

„ZACZĄŁEM PUCHNĄĆ Z GŁODU"

Autor tego pamiętnika urodził się w 1928 roku w Stołpcach na Wileńszczyźnie. Ojciec, z zawodu sędzia pracował w miejscowym sądzie, matka zaś zgodnie z panującym wówczas zwyczajem zajmowała się wychowaniem dzieci i domem. W 1938 roku ojciec autora skierowany został do pracy w sądzie w Krynkach koło Białegostoku. Tam nasz przyszły „pamiętnikarz" ukończył trzecią klasę. W lutym 1940 roku z matką i bratem wywieziony został do Kazachstanu. Z tą chwilą rozpoczęły się dla nich jakże odmienne od krajowej codzienności warunki zesłańczego bytowania. Żyło się tam ciężko. Zapiski o tym znajdujemy w tym dziecięcym pamiętniku, objętościowo krótkim, obfitującym jednak w mikrohistorie z zesłańczego losu.

Karty pamiętnika-dziennika zapisane przez małego chłopca ukazują jego odczucia i myśli związane z losem słabej istoty, która nagle musiała „dorosnąć" i podołać wyznaczonym normom pracy. Dramatyczne wydarzenia wiodące go szlakiem potrójnym: deportacją, pobytem w Kazachstanie i powrotem z niewoli, przekazane bez wielosłowia i emocji. Dziś fakty zawarte w pamiętniku należą do zamkniętego rozdziału naszej syberyjskiej historii, co nie oznacza, że powinny być zapomniane.

Kiedyś na jednym ze spotkań autorskich w szkole słynącej z wysokiego poziomu nauczania historii na pytanie zadane słuchaczom, z czym kojarzy się im Syberia, usłyszałem, że z mrozem, reniferami, zaprzęgiem w psy – i tyle! O dziejach Polaków na syberyjskim zesłaniu nikt nie wspominał, a gdy zaprezentowałem film na ten temat, zadumani wychodzili ze spotkania, zapewniając, że sięgną po książki mogące być dla nich przewodnikiem po tej historii, jak i wprowadzeniem w ten ważny fragment naszych dziejów za Uralem.

Wątki tej mikrohistorii z okresu ostatniej wojny ukazuje pamiętnik W. Złomanoffa. W 1946 roku powrócił z zesłania do Kazachstanu i zamieszkał we Wrocławiu, gdzie ukończył technikum mechaniczne. Należąc do Związku Sybiraków, opowiadał się za pisaniem wspomnień z deportacji, widząc w nich ubogacenie historii naszych losów za Uralem*.

Podstawa relacji: W. Złomanoff, *Wygnanie z Ojczyzny,* „Literatura Ludowa" nr 1/6, 1991, s. 174–212.

* Informacje biograficzne: Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu oraz informacje autora pamiętnika; A. Kuczyński, *Skład pociągu był pilnowany przez wartowników NKWD. Posłowie* [Posłowie do pamiętnika W. Złomanoffa, op. cit., s. 212–219].

Zima 1940 r. Spadł śnieg, przykrył step, biała pustynia, mrozy dochodzą do –30°C. Brak opału odczuwa się w mniejszym stopniu, siedzimy opatuleni we wszystko, co nadawało się do ubrania, gorzej odczuwa się brak jedzenia, głód. Mama wyszła, ażeby załatwić cokolwiek do jedzenia, przydziałowa mąka skończyła

się, od dwu dni nie mamy nic do jedzenia, topimy śnieg i pijemy gorącą wodę. Po trzech godzinach mama wróciła, przyniosła wiadro otręb, którymi karmione jest bydło na fermie. Dała w zamian nowe prześcieradło. Pierwsze jedzenie od dwóch dni. Ugotowana kasza z otręb smakowała jak najlepsze smakołyki. Mamy jedzenie, które wystarczy na tydzień, a co dalej?

Skończyły się otręby, temperatura na dworze podniosła się, cieplej. Tym razem poszliśmy z Romkiem załatwić cokolwiek do jedzenia, nie mamy już nic do sprzedania. Chodzi się od chałupy do chałupy, czasami ktoś z litości coś da. Zachorowała mama i Romek, nie mogą wstać, wszystkie obowiązki spadły na mnie. Poszedłem do przewodniczącego prosić o pomoc lekarską. Po dwóch dniach przyjechał 18-letni „lekarz” z centrali, dał lekarstwa, stwierdzając ciężkie przeziębienie, zalecając leżenie w łóżkach. Mama będąc zdrowa załatwiała żywność, znała dobrze język rosyjski, dlatego prędzej udawało się jej załatwić. Teraz ja musiałem opiekować się nimi i starać o żywność.

Nadeszły dni, że nie było już nic do jedzenia, poszedłem żebrać. Zimno, śnieg po kolana, chodząc od chaty do chaty żebrałem. Niektórzy dawali to kromkę chleba, lub garstkę mąki, inni zamykali drzwi i śmiali się. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. W ziemiance nie mamy nic do jedzenia. W nocy przed świętami, przezwyciężając strach przed wilkami zakradliśmy się do obory, gdzie stało bydło i ukradliśmy otręby i sól w bryłach, mieliśmy co jeść. Nowy Rok spędziliśmy w pościeli, nastawiając budzik na godz. 12. Gdy zadzwonił, złożyliśmy sobie nawzajem życzenia przetrwania i powrotu do ojczyzny. Luty, na dworze temperatura spada, dochodzi do –40°C, kończy się kupiony opał, bak jedzenia, głód. Zbliża się koniec miesiąca, powinniśmy dostać miesięczny przydział mąki.

26 II 1941 r. od wczoraj na stepie huragan z opadami śniegu. Na odległość 1 m nic nie widać. Miejscowi takie zjawiska meteorologiczne nazywają *buranami*. *Buran* trwał 9 dni i nocy. Dziesiątego dnia szybkość wiatru zmalała, a widoczność poprawiła się, więc mama z innymi paniami poszły po przydziałową mąkę, której przedtem nie mogły odebrać. U przewodniczącego dowiedziały się, że w czasie *buranu* zginęło kilku Kazachów obsługujących krowy. Karawana wołów, która wiozła z Pawłodaru mąkę, zaginęła na stepie w czasie *buranu*. Musimy czekać aż ich odnajdą i odkopią. Otrzymaliśmy pięciodniowy przydział mąki będący na stanie sowchozu, aby przetrwać do dnia odnalezienia karawany. Później okazało, że wszyscy z karawany ludzie i woły zginęli zasypani śniegiem. Do czasu odnalezienia karawany minęło 10 dni. Brak mąki, znowu chodzimy głodni. Jemy podkradane otręby. Stopniowo podnosi się temperatura, zbliża się wiosna.

Wiosna 1941 r. Słońce coraz bardziej grzeje, topi się śnieg, łatwiej się znosi głód, przetrwaliśmy koszmarną zimę 1940 r. Mama napisała list do znajomego z lat młodzieńczych profesora medycyny, który mieszka w Erewaniu w Armenii. Po miesiącu otrzymaliśmy od profesora Matewosjana list oraz paczkę, w której przysłał nam herbatę, cukierki oraz mydło, które jest tu nieosiągalne. Przysłaną

herbatę zamieniliśmy u Kazachów na mąkę. W liście profesor zapewnił, że w miarę możliwości będzie się starał pomagać nam, przysyłając paczki.

Kwiecień 1941 r. Śnieg stopniał, zbliżają się Święta Wielkanocne. Otrzymaliśmy z Polski paczkę, tym razem nie zniszczoną, przysłano nam herbatę, konserwy mięsne, cukier, takich smakołyków nie widzieliśmy od roku. Mamusia za herbatę dostała od Kazachów mąkę na Święta Wielkanocne. Upiekliśmy placki, były konserwy – wreszcie byliśmy najedzeni. Gdy świeci słońce i jest ciepło, łatwiej znosi się głód i brak właściwej odzieży dostosowanej do klimatu, jaki jest w Kazachstanie.

Lato 1941 r. Wiosną do sowchozu sprowadzono traktory z pługami do Sargamisu (Sargamis nazwa obszaru stepu, który należał w 1918 r. do bogatego *beja*, na którym siał proso, hodował krowy i owce – nazwa pochodzi od jego nazwiska), zaorano kilkusethektarowy obszar i zasiano proso. Przyszedł okres zbiorów, sprowadzono kombajny i okazało się, że kombajny nie mogą kosić, ponieważ wysokość łodyg prosa jest niższa jak ustawione noże w kombajnie. Na polecenie przewodniczącego sowchozu wszyscy Polacy musieli wyrywać proso ręcznie. Słońce praży w południe, temperatura dochodzi do +50°C.

W okresie prac polnych nie otrzymaliśmy przydziałowej mąki, ponieważ przewodniczący sowchozu uznał, że pracując przy zbieraniu prosa sami się wyżywimy. Niestety, ażeby zebrać taką ilość prosa, by starczyło na 1 obiad, należało zbierać młócić i przewiać przez pół dnia. Kłosy przeważnie były puste. Po tygodniowym pobycie i pracy na polu zacząłem słabnąć i puchnąć, po trzech dniach nie miałem siły wstawać, leżałem pijąc tylko duże ilości wody, stopniowo traciłem przytomność, umierałem. Mama po wielkiej awanturze dostała z centrali furmankę zaprzężoną w wielbłąda w celu zawiezienia mnie do szpitala w Nowotroicku 160 km od sowchozu. Podróż trwała półtora dnia. Dojeżdżając do Nowotroicka, zobaczyliśmy drzewa nie widziane od roku. Były to brzozy. Nowotroick to jednak ulica, nawierzchnia ulicy to udeptana ziemia. Kilkanaście domów z gliny o płaskich dachach w dwu rzędach, NKWD i szpital. Po przyjechaniu do szpitala lekarka stwierdziła, że stan mój jest spowodowany brakiem witamin i brakiem wyżywienia. Po kilku dniach pobytu w szpitalu, w którym jako lekarstwo otrzymywałem w miarę właściwe wyżywienie – z warzyw rzodkiewkę i ogórki – wróciłem do zdrowia. Wracając do sowchozu za pieniądze otrzymane za pracę kupiliśmy warzywa, takie jak: kapusta, ogórki, marchew, ziemniaki. Po powrocie ugotowaliśmy zupę jarzynową. To dopiero była uczta.

Czerwiec 1941 r. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej oraz szybkie postępy wojsk niemieckich w głąb ZSRR rozbudziły w Kazachach nadzieję na uwolnienie się spod władzy reżimu komunistycznego. Kazachowie uważają, że upadek komunistów umożliwi im powrót do życia takiego, jakie mieli za cara, kiedy to nawet najbiedniejszy żebrak był właścicielem kilku baranów. Reżim stalinowski zabronił im posiadania jakiejkolwiek prywatnej hodowli.

Pamiętając przeżycia zimy 1940 r. mama postanowiła wyrwać się z sowchozu, gdyż następna zima będzie na pewno naszą ostatnią. Nadarzyła się okazja, przyje-

chała z rejonu komisja NKWD w celu sprawdzenia życia Polaków w ich rejonie. Mama po wielu prośbach i awanturach, używając między innymi argumentów, że dzieci muszą się uczyć, otrzymała przepustkę i pozwolenie na wyjazd do rejonu. Po trzech dniach czekania jadący samochód zabrał nas do rejonu. Rejon (powiat) Kujbyszew leży nad rzeką Irtysz podległości ok. 180 km od sowchozu i ok. 180 km od Pawłodaru. Składa się z kilkunastu domów parterowych, budowanych z cegły robionej z gliny mieszanej z nawozem krowim lub z wikliny oblepionej z obu stron gliną, cztery domy drewniane piętrowe, a mianowicie NKWD, Milicji i Komitet Partii oraz szkoła w Kujbyszewie. Okazało się, że przepustka i pozwolenie jest wydane na okres czasowy i że będziemy musieli wrócić do sowchozu – czekamy, kiedy każą nam wracać. Mieszkając przez 2 tygodnie w Kujbyszewie odżyliśmy, tu oprócz przydziałowego chleba 400 gram dziennie można kupić warzywa, które tu rosną. Chodzą z Romkiem brzegiem Irtyszu pewnego dnia trafiliśmy na małą rzeczkę szerokości około 3 m wpadającą do Irtysza, w której aż roiło się od szczupaków, nie łowione od setek lat, gdyż Kazachowie ryb nie jedzą, rozmnożyły się, zjadając się nawzajem. Nie mając wędek, zrobiliśmy z cienkiego drutu pętle na kijach, wybieraliśmy szczupaki z rzeczki, wybierając odpowiedniej wielkości według życzenia. Od tej pory przez okres pobytu w Kujbyszewie mieliśmy ryb pod dostatkiem.

Nie czekając na dzień, kiedy odeślą nas z powrotem do sowchozu, mama rozpoczęła starania o otrzymanie przepustki na wyjazd do Pawłodaru. Po trzech dniach czekania w poczekalni naczelnik NKWD raczył przyjąć mamę, po wielkiej awanturze przepustkę otrzymaliśmy z adnotacją, że jest ważna na okres tygodnia. Przygotowanym samochodem wyjechaliśmy do Pawłodaru, czekając na przeprawę promem na drugą stronę Irtysza zastała nas noc. Zapytany przechodzień udzielił nam informacji, że w Pawłodarze hotelu nie ma, ale jest sowchozowa gospoda. Po długim szukaniu ciemnymi ulicami dotarliśmy do gospody, gdzie nas zarejestrowano, sprawdzając przepustkę z rejonowego NKWD i przydzielono kąt na nocleg. Rano mama udała się do naczelnika wojewódzkiego NKWD w celu uzyskania zezwolenia na zamieszkanie w rejonie, naczelnik nie wyraził zgody i kazał wrócić do sowchozu. Naradzając się co dalej robić, postanowiliśmy załatwić przeniesienie do rejonu w następujący sposób: ponieważ z Romkiem mamy zdolności rysunkowe, przygotowaliśmy rysunki typu praca robotnika dla dobra i zwycięstwa komunizmu, a Romek narysował portret Stalina na tle czerwonego sztandaru. Na drugi dzień mama z rysunkami poszła do naczelnika szkół w Pawłodarze, który po obejrzeniu rysunków i krótkiej rozmowie skierował mamę do dyrektora domu Pionierów. Ten zachwycony naszymi rysunkami skontaktował się z naczelnikiem szkół, proponując załatwienie naszego przeniesienia do rejonu w celu doskonalenia naszych zdolności. Naczelnik szkół kazał mamie zgłosić się o dwóch godzinach. Gdy zgłosiliśmy się po upływie dwóch godzin powiedział, że rozmawiał z naczelnikiem NKWD i przeniesienie jest załatwione. Wieczorem przyszliśmy do naczelnika NKWD, przyjął nas tym razem uprzejmie, wydając zezwolenie na stały pobyt w Kujbyszewie. Patrząc baranimi oczami na portret Stalina powiedział, że

powinniśmy doskonalić swoje zdolności ku chwale Związku Radzieckiego. Wyszliśmy zadowoleni z uzyskania zezwolenia na przeniesienie i zrobienia w „konia" takich szych. W następnym dniu przepłynęliśmy promem na drugą stronę Irtyszu. Po przespaniu na stepie nocy pod gołym niebem w południe złapaliśmy samochód, który zawiózł nas do sowchozu, szczęśliwi, że w niedługim czasie będziemy mogli przenieść się do rejonu.

Czekamy na transport. W międzyczasie p. Chruścicka załatwiła sobie pracę w kancelarii centrali informując mamę, że jest jeszcze jedno miejsce. Po napisaniu przez mamę podania przyjęto ją do pracy w centrali. Przeprowadziliśmy się do centrali, mama pracuje w kancelarii, a my z Romkiem i Andrzejem robimy zapasy kiziaku na zimę, mamy zezwolenie na wyjazd, ale na razie cicho odnośnie do naszego wyjazdu. Po upływie miesiąca dyrektor centrali informuje, że dzisiaj odjeżdża karawana wołów do rejonu po drzewo, że możemy z nimi jechać. Pakowanie „dobytku" trwało godzinę. Po pożegnaniu się z p. Chruścicką i Andrzejem wyruszyliśmy w drogę do nowego miejsca przeznaczenia. Jaki czeka nas los, zobaczymy. Podróż do magazynów drewna trwała wołami 12 dni. Dziennie przejeżdżaliśmy około 20 km, po drodze mijaliśmy ruiny starych aułów, jeziora solne, z których wydobywano sól. Stawaliśmy na odpoczynek, gdzie była trawa dla wołów. Noce spędzaliśmy pod gołym niebem nieprzyjaznego nam Kazachstanu. Wreszcie dojechaliśmy do magazynów drzewa, stąd do rejonu jeszcze 45 km. Dalej Kazachowie odmówili jechać, po długich namowach i awanturach jeden zgodził się za opłatą dowieźć nas do najbliższego aułu 12 km od składów. W aule udało się złapać ciężarówkę jadącą do rejonu, po dwugodzinnej jeździe przez step byliśmy w rejonie. Zatrzymujemy się przed pierwszym lepszym domem. Trafiliśmy na Rosjan staruszków, którzy wyrazili zgodę na zamieszkanie u nich do chwili znalezienia mieszkania. Nakarmili nas do syta kartoflami i ogórkami, takiego jedzenia dawno nie jedliśmy.

Następnego dnia mama zgłosiło się w NKWD celem zgłoszenia przyjazdu, naczelnik niechętnie, ale zatwierdził przeniesienie. Minęły 3 tygodnie, już nie grozi nam głód, chleb dostajemy na kartki, łapiemy ryby, można kupić kartofle i warzywa. Obawiamy się zimy, brak opału i niemożliwość zrobienia zapasów kartofli na zimę. Nie mamy pieniędzy, żeby kupić, no cóż, zobaczymy.

Lipiec 1941 r. W połowie lipca wszyscy Polacy zostali wezwani do NKWD, gdzie nas poinformowano, że jesteśmy wolni i możemy swobodnie poruszać się po terenie województwa. Postanowiliśmy wyjechać do Pawłodaru. W czasie załatwiania pozwolenia na wyjazd do Pawłodaru w NKWD proponowano nam przyjęcie obywatelstwa radzieckiego, byli tacy, co przyjmowali obywatelstwo radzieckie, lecz większość pozostała przy obywatelstwie polskim. Za parę dni, gdy przypłynie parostatek z Siemipałatyńska, popłyniemy nim do Pawłodadaru. Siedzimy na przystani i czekamy na parostatek z Siemipałatyńska. Po całonocnym oczekiwaniu przypłynął, jest to kołowiec, stary grat, trzymuje się na wodzie chyba na słowo honoru. Po półgodzinnym postoju wypłynęliśmy do Pawłodaru, płyniemy strasznie wolno. Płynąc Irtyszem obserwowaliśmy krajobraz, puste brzegi, gdzieniegdzie

rosły krzaki i drzewa, step. Po 2 dobach na horyzoncie Pawłodar. Wyjeżdżając z Kujbyszewa, zapomniałem zabrać ze szkoły zaświadczenie, że uczęszczałem do 3 klasy szkoły podstawowej. Po zejściu na brzeg mama poszła szukać jakiegoś lokum. Po trzech godzinach wróciła mówiąc, że mamy mieszkanie. Wózkiem pożyczonym od gospodyni przywieźliśmy nasz bagaż. W ciągu miesiąca zmieniamy kilkakrotnie mieszkania, za każdym razem uprzednio uzgodnione warunki stawały się nieaktualne i wysuwano nowe żądania nierealne do spełnienia, a to, że za mało płacimy lub winniśmy zapewnić opalanie naszej izby i gospodarzy itp. Wynajmując ostatnie mieszkanie zostało uzgodnione, że gospodyni będzie zimową porą ogrzewać, my będziemy opłacać opał. Mieszkamy przy ul. Lassala 207.

Zbliża się jesień, wieczorami temperatura ujemna. Po kilku dniach gospodyni przestaje opalać naszą izbę mówiąc, że ma za mało opału. Rozpoczęliśmy poszukiwania możliwości kupna opału. Udaje nam się kupić ½ tony drobnego węgla, używając jedno wiadro dziennie. W mieszkaniu jest zimno, palimy tylko pod kuchnią, ażeby mieć chociaż gorącą strawę. Na domiar złego kończą się zapasy żywności, brak pieniędzy uniemożliwia chociażby kupienie kartofli, pozostaje tylko 400-gramowa porcja dziennego przydziału. Znowu rozpoczyna się głodowe życie. Z Romkiem chodzimy do rosyjskiej szkoły, Romek do V klasy a ja do III klasy szkoły podstawowej. Język rosyjski opanowaliśmy w dobrym stopniu tak, że jesteśmy sławni jako wzór dobrych uczni. W szkole nie otrzymujemy zeszytów do pisania. Prace są pisane na gazetach między wierszami. Gazety są składane w format zeszytu, rozcinane i zszywane. Poza książkami, piórem i ołówkiem nie dostajemy żadnych pomocy naukowych. Na otrzymanej mapie politycznej Europy wydanej w 1940 r. Polska jako państwo nie istnieje. Dokonano następnego rozbioru Polski wchłoniętej teraz przez Niemcy i Związek Radziecki.

Na bazarze nic nie można kupić, pusto, poza półkami słoneczników i tytoniu. Mama pracuje przy wyciąganiu z Irtysza spławianego rzeką drzewa. Należy siekierami wyrąbywać lód a następnie powrozami wyciągać drzewo na brzeg. Pomimo, że za pracę mama ma płacone, nic nie można kupić do jedzenia, jedyne co jest osiągalne do kupienia w sklepach poza przydziałowym chlebem to lody. Lody tutaj są produkowane tylko zimą. Jest to odciągnięte mleko posłodzone sacharyną i zamrożone, po zagotowaniu lepsze do picia od wody.

W początkach grudnia podjąłem się dodatkowej pracy, ponieważ brakuje nam chleba na kartki. Przed pójściem do szkoły staję do kolejki po chleb o godz. 3 rano, żeby być jednym z pierwszych, kupując sąsiadom otrzymuję za fatygę coś do jedzenia. Mówiąc chleb, myśli się o prawdziwym chlebie żytnim czy pszennym, tutaj chleb jest to mieszanina żyta, owsa, jęczmienia, pszenicy, jednym słowem kawałek „cegły” z zakalcem 400 gram jest wielkości dwu dłoni.

W połowie grudnia mamie stojącej w kolejce za lodami skradziono kartki na chleb. Oczywiście złodzieja nie znaleziono, zostaliśmy nawet bez chleba. Wydania nowych kartek odmówiono. Na nasze szczęście w początkach grudnia w Pawłodarze powstało polskie przedstawicielstwo Rządu Londyńskiego, placówką kie-

rował rotmistrz W.P. Mama udała się do przedstawicielstwa z prośbą o pomoc. Udzielono pomocy doraźnej i dano nowe kartki na chleb. O otrzymaniu nowych kartek informacja dotarła do władz sowieckich, które wystąpiły z pretensjami do przedstawicielstwa, na które rotmistrz odpowiedział, że jego ludzie nie będą ginąć z głodu.

Minęło Boże Narodzenie, zbliża się Nowy Rok 1942. Silne mrozy dochodzące do –38°C, najbardziej daje się we znaki brak opału. Postanowiliśmy z Romkiem za wszelką cenę zdobyć opał, żeby chociaż było na czym ugotować jedzenie. Zapasy opału Kazachowie składają w dobudowanych do domów przedsionkach, lecz większość składa kiziak na płaskich dachach domów. Okna w domach są nie otwierane, oszklone ramy są wmurowywane na stałe, drzwi nie mają zamków, zamykane są na kłódkę, a od wewnątrz na zasuwy. Pewnej śnieżnej nocy poszliśmy z Romkiem za opałem. Wybraliśmy dom, gdzie na dachu był złożony kiziak, zamknęliśmy drzwi na skobel, wleźliśmy na dach i do worków nabraliśmy robiony kiziak. Mieszkańcy słyszeli, że chodzimy po dachu, lecz wyjść nie mogli. Rano ktoś im otworzył drzwi. Mieliśmy opał na 2 tygodnie. Nowy Rok 1942 przywitaliśmy nie będąc głodni. Za stanie w kolejkach dla sąsiadów dostałem kartofle, kiszone ogórki i pomidory, jedna z sąsiadek dała kawałek mięsa, tak więc w Nowy Rok spotkaliśmy się i byliśmy najedzeni. Coraz rzadziej biorę do ręki pamiętnik, brak czasu oraz interesujących wydarzeń nie zachęca do pisania. Zbliża się wiosna. Zobaczymy, co przyniesie bieżący rok. Gospodyni coraz częściej robi nam awantury, ma o wszystko pretensje, a w szczególności o brak opału.

Następująca wiosna poprawia nastroje i budzi nadzieję na poprawę życia. Śnieg stopniał, gdy ziemia obeschła w wolnych chwilach chodzę na stację kolejową i na torach w pobliżu magazynów opałowych zbieram węgiel, czasami uda się nazbierać w ciągu 4 godzin nawet trzy wiadra, tylko trzeba uważać, żeby nie zbliżać się za blisko do składu węgla, bo strażnicy odbierają zebrany węgiel i biją.

3 VIII 1942 r. Przyjechała mamy siostra z córką. Jadąc do Taszkientu zboczyła z trasy, ażeby spotkać się z siostrą, z którą nie widziała się od 1917 r. Urodzone były w Rydze na Łotwie. Mama wyszła za mąż i przyjechała do Polski, siostra została w Rydze. Obecnie mieszka w Moskwie, jest profesorem germanistyki, wraz z instytutem ewakuowano ich do Taszkientu. Spotkaliśmy się po kryjomu, ażeby siostra mamy nie miała kłopotów, że spotyka się z zesłańcami. Jej mąż aresztowany w 1932 r. zginął w obozie. Po tygodniowym pobycie ciotka wraz z córką wyjechały do Taszkientu.

Do przedstawicielstwa przyszły transporty UNRA, wszyscy zgłaszający się Polacy otrzymywali ubrania i paczki żywnościowe. Otrzymaliśmy przefarbowane mundury wojsk amerykańskich, bieliznę, płaszcze, buty i inne drobiazgi. Paczki żywnościowe zawierały żywność, której nie widzieliśmy od dwóch lat: konserwy mięsne, czekoladę, mleko skondensowane, suszone owoce południowe, cukier, kasze. Odżyliśmy. Miejscowa ludność patrzyła z zazdrością na otrzymane dary, niektóre produkty żywnościowe widzieli po raz pierwszy w życiu. Otrzymana pomoc

pozwoli łatwiej przeżyć i znieść zimę, ponieważ odzież, którą mieliśmy, zniszczyła się i wyglądaliśmy jak najgorsi żebracy.

1943 r. Sroga zima, mrozy dochodzące do –40°C. Czas upływa w pogoni za opałem lub żywnością, nowe transporty UNRA nie przychodzą, napięta sytuacja między władzami polskimi a sowieckimi. Pogarsza się sytuacja z zaopatrzeniem w chleb. W kolejkach, ażeby dostać przydziałowy chleb, stoi się nawet po 11 godz. Wieczorami niebezpiecznie wychodzić z domu, grasują wilki. Są częste wypadki na obrzeżach miasta podkopywania się wilków do obór, gdzie zjadane jest bydło, nie mówiąc już o psach zjadanych przed domami. Mieszkańcy twierdzą, że posuwający się front wypłoszył wilki w step Kazachstanu.

[…]

20 XII 1945. Coraz częściej zaniedbuję pisanie pamiętnika, zimno w mieszkaniu, pogorszyła się sytuacja żywnościowa. Stołówkę zamknięto, ponieważ stale brakowało produktów do gotowania. Obecnie mama pracuje na stacji malarycznej, w okresie zimy nie mają nic do roboty, prace rozpoczynają się na wiosnę i trwają do późnej jesieni. Ja w dalszym ciągu pracuję w kinie. Brakuje nafty do lamp, często wieczorami siedzimy po ciemku. Światło elektryczne jest doprowadzane tylko do budynków państwowych i zakładów, no i oczywiście do „naczalstwa”. Którejś nocy wracając z pracy po godzinie 24-tej ostatni seans był o 22 powiedziałem swojemu szefowi operatorowi (młody Rosjanin), że na dworze mróz był wtedy około 30 stopni C, a ja w domu nie mam ani kawałeczka drzewa. Wtedy on powiedział, że zaraz coś załatwimy, przechodziliśmy obok posterunku milicji ogrodzonego płotem z dużych desek, deski przybite wzdłuż, operator podchodzi do płotu, odrywa dwie duże deski długości około 4 m. a szerokości 30 cm, daje mi jedna, odchodzimy, umawiamy się, że deski są jego, wzięte z domu i po pracy niesiemy je do mnie.

Przeszliśmy około 50 m, gdy zatrzymał nas patrol milicji. Nogi mi się ze strachu ugięły, prowadzą nas do wyjaśnienia na posterunek, Miejsca wyrwanych desek nie zauważyli, na posterunku pomimo straszenia i osobnego badania podtrzymywaliśmy naszą wersję, puszczono nas. Zabraliśmy deski do domu, gdzie mimo nocy porąbaliśmy, żeby nie można było sprawdzić, skąd były wzięte. Tym razem skończyło się na strachu,. A za to groziło co najmniej pięć lat więzienia.

Luty 1946 r. Otrzymaliśmy pismo z polsko-radzieckiej komisji mieszanej do spraw ewakuacji. Pismo dotyczyło poczynionych starań ojca przez jednostkę wojskową o przyśpieszenie naszego powrotu do Polski i informację, że powrót nastąpi po załatwieniu formalności. Podobne starania rozpoczął Romek. Jest nadzieja, że niedługo wrócimy do Polski.

13 III 1946 r. Tak nareszcie wracamy do Ojczyzny, nareszcie po tylu latach cierpień wracamy do Polski. Co nas czeka w Polsce, jak ułoży się życie, gdzie i kiedy spotkamy się z ojcem i Romkiem, są to pytania, które rozwiążą się w Polsce. Wiemy, że ojciec pracuje w Sztabie w Łodzi, a Romek jest w wojsku w Poznaniu. Kończąc pisanie wspomnień z Kazachstan u chciałbym zapomnieć o koszmarnych 6 latach i Kazachstanie, ale wiem, że tych przeżyć nigdy się nie zapomni.

Paweł Zworski
Inżynier mechanik
Na zesłaniu 1940–1946

DEPORTACJA – ZESŁANIE – POWRÓT

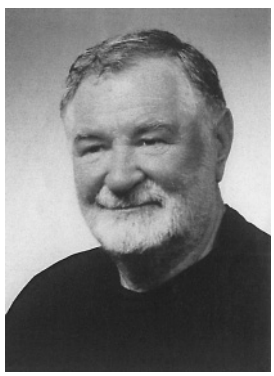

Autor relacji urodził się w 1929 roku w Augustowie. Jest synem Franciszka i Apolonii z domu Stankiewicz, którą wraz z czwórką dzieci oraz 75-letnią matką w marcu 1940 r. zesłano do Kazachstanu. Ojciec policjant, po rozpoczęciu wojny znalazł się w Warszawie i przez kolejne lata był więźniem w obozach koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau i Buchenwald. Szczęśliwie wszyscy wrócili z niewoli. Zamieszkali w Sobieszowie nieopodal Jeleniej Góry, gdzie przebywał już ojciec rodziny. O spotkaniu z nim napisał kuzyn autora (Mieczysław Karaszewski), informując, że „Jako pierwsi do swojego ojca […] do Sobieszowa pojechali siedemnastoletni wujek Paweł i wujek Alek, wtedy dwunastoletni chłopiec. Najpierw do hotelu Polski Róg wszedł wujek Paweł. Zobaczył bufet i wejście do kuchni. Potem otworzył drzwi, a za stołem zobaczył siwego mężczyznę, który zapytał: »Czego chcesz chłopcze?« Wujek odpowiedział, że szuka noclegu. Mężczyzna chciał również wiedzieć, z jakiej miejscowości pochodzi. Wujek Paweł odparł, że z Augustowa. Siwy Pan zapytał go wtedy, czy nie zna Pawła Zworskiego. Zaskoczony chłopiec odpowiedział: »To ja«. Tak wyglądało niezwykłe spotkanie po latach ojca i syna. Obaj zaczęli płakać. Przytuleni cieszyli się, że ich marzenia się spełniły i znowu są razem".

W Jeleniej Górze Zworski ukończył szkołę średnią. W latach 1951–1956 studiował na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym Politechniki Wrocławskiej. Pracę zawodową rozpoczął w macierzystej uczelni, na której uzyskał doktorat (1962) i stanowisko docenta (1972). Zajęcia dydaktyczne łączył z pracą naukowo-badawczą w zakresie budowy i eksploatacji maszyn wodnych oraz pełnił wiele funkcji organizacyjnych, m.in. pełnomocnika rektora ds. praktyk zagranicznych i zastępcy dyrektora ds. studenckich, kierownika Zespołu Dydaktycznego Specjalności Maszyny i Urządzenia Hydrauliczne.

Osiągnięcia z zakresu specjalności zawodowej zapewniły mu liczne dowody uznania środowisk naukowych, m.in. członkostwo w Komitecie Badań Morza PAN, godność rzeczoznawcy Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników Polskich. Jest posiadaczem 15 patentów, 3 wzorów użytkowych oraz autorem wielu publikacji. Ponadto czterokrotnie był wyróżniony nagrodami ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, rektora i dziekana Politechniki Wrocławskiej oraz Naczelnej Organizacji Technicznej. Jest odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotą Odznaką Politechniki Wrocławskiej i Honorową Odznaką Sybiraka.

Dodać tu jeszcze należy, że po przemianach politycznych w Polsce (1989) Zworski włączył się w krąg bezpośredniego działania na rzecz ujawnienia prawdy o zesłaniach i deportacjach Polaków na Syberię w latach 1940–1941. Został jednym z założycieli wrocławskiego oddziału Związku Sybiraków, jest członkiem

kolegium redakcyjnego kwartalnika „Zesłaniec" oraz przez wiele lat wspierał działalność serii wydawniczej „Biblioteka Zesłańca" Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Zesłańcze doświadczenia sprawiły, że działał w Stowarzyszeniu „Straż Mogił Polskich na Wschodzie", dbającym o znaki pamięci poświęcone Polakom z Kresów Wschodnich poległym w walkach z sowieckim najeźdźcą podczas drugiej wojny światowej. Dopełnieniem tej aktywności była także działalność humanitarna i kulturalna wspomagająca odradzanie się polskości na Kresach Wschodnich. Czynny społecznie włączył się też w prace Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", opowiadając się za jej programowymi działaniami dotyczącymi powrotu Polaków z Kazachstanu do Macierzy. Idea ta nie wygasła w nim do dzisiaj i nadal działa na jej rzecz*.

Podstawa relacji: P. Zworski, *Deportacja – zesłanie – powrót*, [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, pod red. naukową S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1996, s. 445–459.

* Informacje biograficzne: przekaz autora relacji oraz M. Karaszewski, *Mam marzenia*, Gdynia 2013, s. 57–96.

Nasza rodzina licząca 6 osób została wywieziona 13 kwietnia 1940 r. z Augustowa. Do północnego Kazachstanu przywieziono nas 28 kwietnia po 14 dniach podróży w bydlęcych wagonach. Przejechaliśmy prawie 5 tys. kilometrów. Skład pociągu liczył około 60 wagonów. Na stacji Mamlutka przed Pietropawłowskiem odłączono część wagonów, w tym wagon, w którym jechała nasza rodzina.

Wszystkie rodziny wraz ze swym skromnym dobytkiem wyładowane zostały na rampę w pobliżu torów kolejowych. Część rodzin schroniła się pod prowizoryczną wiatę, pozostali koczowali pod gołym niebem. Władzę od konwojentów przejęła grupa cywilów i mundurowych, prawdopodobnie pracowników miejscowego NKWD, do których dokooptowany został jeden z zesłańców. Sprawujący władzę sprawdzili obecność, dokonali przeglądu osób.

W pierwszej kolejności kierowano do miejsc przeznaczenia rodziny o najsłabszej kondycji fizycznej. Zostaliśmy zakwalifikowani do grupy rodzin słabych. W drugim dniu zostaliśmy załadowani na skrzynię samochodu ciężarowego. Wraz z nami jechały jeszcze dwie rodziny. Przez monotonne drogi stepowe wieziono nas z krótkimi przerwami prawie przez cały dzień. Wieczorem dotarliśmy do kazachskiego aułu Dżenatałap. Po krótkim postoju przed siedzibą „sielsowietu" wyładowano nas przy opustoszałym, typowym na owe czasy, kazachskim domostwie.

W Dżenatałapie mieszkaliśmy ponad 2 miesiące. Był to typowy auł lat 40. Wokół placu centralnego, gdzie usytuowane były parterowe siedziby urzędów, a więc „sielsowiet", milicja, szkoła, sklep, rozmieszczone były dość dowolnie indywidualne zagrody Kazachów. Podstawowym elementem zabudowy był obszerny prostokątny „prigon" („saraj"). Był to rodzaj zadaszonego podwórka, którego ściany były najczęściej wyplatane z łozy i uszczelnione bardzo starannie mieszaniną krowiego łajna i gliny. W „prigonie", do którego prowadziły otwierane do wewnątrz drewniane wrota, wydzielone były boksy dla owiec i kóz oraz krowy i konia. Z „prigonu" prowadziło wejście do pomieszczeń mieszkalnych – a więc jurty i ziemian-

ki, a także do „tamboru", czyli do dość dużego, pozbawionego okien spichlerza, w którym przechowywano karmę dla zwierząt i zapasy żywności dla ludzi.

[…]

W pierwszą noc, zmęczeni padliśmy na byle jak skleconych legowiskach na brudnej podłodze. Rankiem do naszej chaty weszli nieproszeni goście. Było ich sporo, różnej płci i wieku. Wszyscy ubrani byli w kożuchy lub watowane płaszcze. Mężczyźni na głowach mieli skórzane kapelusze z sierścią do wewnątrz i futrzanym otokiem na zewnątrz. Kobiety na głowach nosiły białe, obcisłe nakrycia opadające na ramiona swobodną pelerynką, z wycięciem odsłaniającym ich twarze. Miały długie po kostki ciemne spódnice i obcisłe pluszowe żakiety, na których po obu stronach piersi przyczepione były ozdoby – podziurkowane metalowe pieniążki o różnej wielkości kolorze złota i srebra. Mieszkańcy o żółtej karnacji i skośnoocy o wąskich ustach, starsi mężczyźni nosili długie, rzadkie brody. Mówili niezrozumiałym dla nas językiem, na twarzach ich było widać zdziwienie. Przyglądali się nam i naszemu skromnemu dobytkowi. Cmokając, brali w palce odzież, kołdry, prześcieradła, sprawdzając ich jakość. Nie czuło się wrogości, ale coś na kształt zdziwienia i współczucia.

Nasza siedziba była usytuowana w pobliżu dość wysokiej skarpy, tworzącej dolinę Iszymu, rzeki będącej lewą odnogą Irtyszu. Była to rozległa dolina, na dnie której między skarpą a Iszymem rozciągało się bagnisko otoczone kępami, tzw. „koczkami", przez które wiodły ścieżki do wodopoju. Bagnisko było zasilane przez źródło, które biło u podnóża skarpy.

W miejscu, gdzie wytryskiwało źródło, wbudowane było drewniane koryto, wyżłobione z pnia brzozy, tak że wiadro mogło być napełnione bez trudu po podstawieniu go pod wylot koryta. Przy źródle rosły dwie płaczące brzozy, których gałązki obwieszone były skrawkami kolorowych materiałów (tkanin). Wiązało się to zapewne z jakimiś obrzędami mieszkańców, ale tego nie dowiedzieliśmy się nigdy.

Pierwszy kontakt z hałaśliwą dzieciarnią aułu nastąpił, gdy poszliśmy z bratem po wodę do źródła. Byliśmy obserwowani przez skośnookich wyrostków. Atak przypuszczono, gdy z wiadrem wody wchodziliśmy krętą ścieżką pod górę. Posypały się kamienie, kije i kawałki nawozu. Byliśmy zaskoczeni i wobec zdecydowanej przewagi wrzeszczących napastników uciekaliśmy do jurty. Właściwie nigdy nie nawiązaliśmy kontaktu z młodzieżą kazachską, przeszkodą była nieznajomość języka, i jak sądzę, podsycana przez komunizujących wychowawców, wrogość wobec „polskich panów, burżujów i krwiopijców".

W pobliżu zagród leżały ogromne zwałowiska starej słomy zmieszanej z nawozem. Za tymi stertami były miejsca do załatwienia potrzeb fizjologicznych. Funkcję sanitariuszy dbających o czystość środowiska spełniały biegające luzem, zawsze głodne psy, których w aule było sporo. Może i z tego względu w aułach, a także w rosyjskich osadach nie budowano wychodków. Starsi Kirgizi za swoją potrzebą wychodzili niosąc z sobą metalowe dzbanki do codziennej ablucji. Na zwałach nawozu, wiosną, w dużych ilościach wyrastały dzikie pieczarki, które

przez Kazachów uważane były za niejadalne paskudztwo, a dla nas stanowiły źródło smakowitego pożywienia.

Wielkim utrapieniem, do którego przez długi czas nie mogliśmy przywyknąć, były wszechobecne, występujące w bardzo dużej ilości, przeróżne insekty. Nie znano i nie stosowano wówczas żadnych środków owadobójczych, więc występowały one w niewyobrażalnej ilości. W naszej jurcie gnieździły się ogromne ilości różnej odmiany karaluchów. Gdy babcia napaliła w piecu, aby trochę ogrzać pomieszczenie, owady te powyłaziły ze szpar i zakamarków i szczelnie pokryły cały piec.

Wielkie utrapienie stanowiła też „maszkara". Występowała ona zwłaszcza wiosną w okolicach mokradeł. Były to gęste roje różnych komarów i drobnych gryzących „meszek", które siadały na nie osłonięte części ciała, właziły pod koszule i gryzły boleśnie pozostawiając swędzące bąble. Wychodząc na wiosenne zbiory jadalnych roślin stepowych, a zwłaszcza szczawiu, dzikiej cebuli lub dzikiego czosnku, które rosły w pobliżu mokradeł, trzeba było być przygotowanym na kontakt z tą plagą. Rękawy obwiązywało się sznurkiem, aby chronić ręce przed „meszkami", głowę i szyję obwiązywało się szmatami, pozostawiając nie osłonięte jedynie oczy, a do ręki brało się tzw. „dymokur", czyli dziurkowaną blaszankę wypełnioną żarzącym się węglem i wysuszonymi odchodami końskimi, które paląc się wydzielały dym częściowo odstraszający ataki „maszkary". Mimo tych zabezpieczeń, po każdej wyprawie po jadalną zieleninę, która stanowiła, zwłaszcza na wiosnę, bardzo istotne źródło pożywienia i witamin, wracało się ze skórą obolałą i piekącą od licznych ukąszeń fruwających owadów. W rojach „maszkary" były również komary roznoszące malarię i ta choroba, bardzo męcząca, często atakowała mieszkańców północnego Kazachstanu, w tym również i Polaków.

Oddzielnym rozdziałem wpisanym w dzieje Polaków na zesłaniu, była wszawica, która stała się nieodłącznym towarzyszem biedy, zwłaszcza do czasu skromnych dostaw proszku DDT, otrzymywanego za pośrednictwem polskich placówek opiekuńczych w ZSRR. Plaga ta, ze względu na brak mydła, nad wyraz szybko zaatakowała prawie wszystkich Polaków. „Iskanie" i zabijanie wszy i ich jajeczek, czyli „gnid" było zajęciem powszechnym, niemal codziennym, a iskanie wszy we włosach zajęciem relaksującym, zwłaszcza u kobiet. Kirgizi wszy traktowali jako owady czyste, bo wyhodowane na własnej skórze, więc uśmiercali je własnymi zębami. Przyczyną wielu chorób był fatalnie niski poziom higieny osobistej. Bardzo dotkliwie odczuwaliśmy brak mydła. Ażeby temu zaradzić, w powszechnym użyciu zarówno przy myciu włosów, jak i praniu bielizny był „szczołg", czyli ług, wytworzony z gotowania popiołu drzewnego w wodzie.

Były również próby fabrykowania mydła własnej roboty według dość złożonej technologii, ale z wykorzystaniem bardzo intensywnego ługu i tłuszczu zwierzęcego. W wyniku tego otrzymywało się galaretowatą masę, która w zetknięciu z wodą wytwarzała pianę. Niewiele tego „mydła" można było sfabrykować ze względu na powszechny brak tłuszczu. Latem myliśmy się w jeziorze, zimą, wodą z miski przemywaliśmy tylko twarze i ręce oraz od czasu do czasu, korzystając

z uprzejmości gospodarzy lub sąsiadów, korzystaliśmy z „bani", czyli prowizorycznej łaźni parowej.

Postawową i jedyną treścią życia wszystkich Polaków, którzy zostali zmuszeni do wegetacji w zupełnie odmiennych niż w Polsce, trudnych warunkach, była walka o byt, o fizyczne przetrwanie. Nadzieja na powrót do Ojczyzny nie opuszczała nas nigdy, poza chwilami zwątpień i załamań.

Na początku naszego pobytu w Dżenatałapie panowało powszechne przekonanie, że to jest niemożliwe, byśmy tu mieli pozostać na zawsze, że Anglia, Francja, a może Ameryka, upomną się o nas i może pobędziemy tu parę miesięcy, ale na jesieni na pewno będziemy już w kraju. Takie przekonanie dodawało otuchy i pewności siebie, nawet w rozmowach z władzami.

W pierwszych dniach nie odczuwaliśmy głodu. Rok 1939 w północnym Kazachstanie był rokiem urodzajnym. Zagrodowe „ambory" pełne były dorodnej pszenicy i prosa. Byle „ciuch" z Polski można było zamienić na wiadro pszenicy lub prosa. Nauczyliśmy się szybko mleć na żarnach zboże, a w drewnianej stempie z prosa wyrabiać kaszę jaglaną. Można było wymienić lub spieniężyć jakiś drobiazg i zdobyć mleko, a w sklepie kupić naftę, olej i sól.

Na zmianę sposobu naszego myślenia o rychłym powrocie do Polski wpłynęło niecodzienne wydarzenie. Mama dowiedziała się, że w aule mieszka stary Kirgiz-wróżbita. Wróżenie polegało na tym, że starzec na bębenek obciągnięty skórą rzucał zwierzęce kostki różnej wielkości i uderzając w bębenek wprawiał je w ruch, a następnie przypatrywał się ich układowi. „Ojciec żyje. Będziecie tu jeszcze sześć lat. Po sześciu latach wszyscy spotkacie się w swojej Ojczyźnie" – brzmiał werdykt wróżbity. Przyjęliśmy go z niedowierzaniem, ale jednak Mama za koszule Ojca i inne drobiazgi zgromadziła dwa wory pszenicy, która uchroniła nas przed głodem syberyjskiej zimy.

Przez cały prawie maj dla Polaków nie było żadnej pracy. Dopiero w czerwcu Polki zostały zatrudnione przy produkcji cegieł – samanów. Nasza Mama i inne panie wraz z Kazachami nosiły glinę i wodę, a także słomę, którą dodawano do gliny. Ja z bratem zatrudnieni byliśmy przy urabianiu gliny. Siedząc na oklep na wymizerowanych koniach sowchozowych jeździliśmy wkoło starając się, aby ich nogi w miarę dokładnie wymieszały surowiec. Naszym zadaniem było również przewracanie uformowanych już cegieł, aby wysychały równomiernie na słońcu. Praca była ciężka dla dorosłych i dla dzieci, ale innej nie było. Wynagrodzenie bardzo niskie i gdyby nie funkcjonująca jeszcze zamiana rzeczy na żywność, byłoby bardzo źle.

Domostwo, w którym mieszkaliśmy, było fatalne. Dziurawa jurta nie nadawała się do użytku. W maju spadł śnieg; nie wiedzieliśmy, że trzeba go szybko usunąć z płaskiego dachu. Roztapiając się na słońcu zniszczył nam całkowicie sufit i ziemiankę trzeba było remontować. Ogarnęła nas czarna rozpacz. Może dlatego miejscowe władze nie protestowały, gdy mama postanowiła przenieść całą rodzinę

do odległej o ok. 40 km Markiewki, gdzie była siedziba rejonu i znacznie większa liczba zesłańców polskich.

Dzięki pomocy znajomych Polaków znaleźliśmy mieszkanie na poddaszu parterowego domku. Wprawdzie trzeba było tam wchodzić po drabinie, a strawę gotować na piecu naszej „chaziajki", ale to wszystko było luksusem w porównaniu do warunków, jakie mieliśmy w aule. Mama dostała pracę w gręplowni, tzn. w wytwórni „Pimów" – filcowych walonek z owczej sierści. W porównaniu do pracy przy produkcji „samanu" w aule była to praca lekka, lepiej płatna.

W rodzinie utworzył się pewien podział zajęć. Mama pracowała, babcia przygotowywała jedzenie i opiekowała się najmłodszym bratem. Siostra Krystyna zbierała nad Iszymem szczaw, cebulę i dziki czosnek i kursowała między domem a mamą ciągle coś przenosząc w obie strony. Ja z bratem całymi dniami łowiliśmy w Iszymie raki i ryby. Z rybami było gorzej, bo nie mieliśmy sprzętu do połowów, raki natomiast były wspaniałe. Po zyskaniu pewnej wprawy przynosiliśmy ich tyle, że wystarczało i nam do jedzenia, i do wymiany na inne artykuły spożywcze.

W Mariewce przebywaliśmy niewiele ponad miesiąc (15.07.1940–25.08.1940). Pewnego dnia mama została wezwana do komisariatu. Wróciła roztrzęsiona i zapłakana i oznajmiła nam, że za parę godzin przyjadą po nas, więc musimy się pakować. Przyjechała ciężarówka, kazano się nam załadować i pojechaliśmy w step. Zawieziono nas do rosyjskiego sioła o nazwie Biełoglinka i wyładowano pod „sielsowietem". „Priedsiedatiel" oświadczył nam, że mamy czekać, aż ktoś przygarnie nas pod swój dach. Siedzieliśmy na naszych skromnych tobołkach i czekaliśmy, a cała wieś nas oglądała i szacowała nasz dobytek, szacowała wiek członków rodziny. Byliśmy jak na targu niewolników. Wieczorem „priedsiedatiel" zaproponował nam nocleg w budynku szkoły.

Następnego dnia, koło południa, przygarnęła nas pod swój dach samotna wdowa, która mieszkała w małym domku na skraju Biełoglinki nad brzegiem jeziora Taranguł. Na imię miała Maria, nazywaliśmy ją ciocią Marusią. Miała około 40 lat. Mieszkała w drewnianym jednoizbowym domku, który, jak dowiedzieliśmy się, odziedziczyła po swoich rodzicach. Podstawowym, rzucającym się w oczy wyposażeniem wnętrza był ogromny piec chlebowy z wygodnym legowiskiem dla kilku osób. Od pieca pod sufitem były podwieszone nary do spania o nazwie „pałat", ponadto duże łoże, stół, taborety, ława, półki z garnkami. Przy drzwiach kołki na odzież. Do mieszkania wchodziło się z obszernego „prigonu", w którym ciocia Marusia trzymała krowę, dwie owce i świnkę. Za „prigonem" był niewielki ogródek, a na nim wszystkiego po trosze: ziemniaki, cebula, czosnek, ogórki, kapusta.

Ciocia Marusia oddawała nam do dyspozycji swoje małżeńskie łoże, na którym spały Mama z Babcią i na „waleta" siostra Krystyna, a na skleconych narach spali chłopcy, a więc Rysiek, ja i na „waleta" Aluś. Dobrą kobietą była ciocia Marusia, mieszkaliśmy u niej ponad rok, aż do ogłoszenia amnestii (sierpień 1941).

Mama pracowała w kopalni odkrywkowej białej gliny, prawdopodobnie kaolinu. Glina zalegała pod piaskiem ogromnych plaż jeziora Taranguł. Była to wielce

prymitywna kopalnia, oparta wyłącznie na sile rąk ludzkich. Wszyscy tu mieli zajęcie. Mężczyźni byli zatrudnieni przy formowaniu cegiełek białej gliny łopatami, bezpośrednio ze złoża. Kobiety przy formowaniu cegieł z masy plastycznej. Dzieci, w tym ja z bratem, przy suszeniu cegieł i układaniu w pryzmy przed transportem. Przy pozyskiwaniu białej glinki wszyscy pracowali do jesieni.

Dodatkowo zajęciem całej naszej rodziny i cioci Marusi było gromadzenie opału na zimę. W okolicach nie było lasu. Wokół bagien rosły kępy łoziny, a na nieużytkach wysokie byliny, w przeważającej ilości piołun, zwany „burianem". Zbierało i gromadziło się wszystko, co można było spalić. Najbardziej poszukiwanym materiałem palnym były „kiziaki", czyli odchody bydła i koni, po które z workami i łopatkami z blachy całe rodziny wyruszały w step. W połowie października cała wieś zasypana została śniegiem. Pierwsza zima była najgorsza. Po gęstej burzy śnieżnej, tzw. *„buranie"* całe zabudowanie znalazło się pod śniegiem. W izbie ciemno. Po otwarciu wrót ściana śniegu. Nawet komin był częściowo zasypany i dym z pieca napełniał izbę. Dużo czasu zajęło nam zrobienie wykopu u wejścia, odkopywanie okien i oczyszczenie komina.

Zimą okazało się, jak mizerne mamy odzienie. Nasze obuwie przywiezione z Polski, a także tzw. zimowa odzież były absolutnie nie przystosowane do tutejszego klimatu. Jedynie buty naszego ojca, tzw. sztyblety, z biedą nadawały się do używania. Były to buty „dyżurne". Idąc po wodę do studni lub za własną potrzebą, nogi owijało się szmatami i zakładało się sztyblety, którymi rozporządzała babcia. Z braku odzieży bardzo rzadko wychodziliśmy z domu. Całymi dniami siedzieliśmy na narach opatuleni, bo było zimno. Zimą babcia przędła owczą wełnę na pożyczonym kołowrotku, a gdy go nie było, za pomocą wrzeciona. Mama na drutach wyrabiała jednopalcowe rękawice lub skarpety dla zamożniejszych mieszkańców posiołka. Za tę pracę najczęściej otrzymywaliśmy mleko lub inne artykuły spożywcze.

Podstawowym pożywieniem była kasza z pszenicy przywiezionej z Dżenatałapy. Do wyrobu kaszy służył młynek do kawy, przywieziony z Polski. Pożywienie zawsze było racjonowane. Większą porcję otrzymywał tylko ten, kto był wyraźnie chory. […]

Na wiosnę Mama znowu poszła do pracy w kopalni białej gliny. Ja z bratem pomagaliśmy mamie, a także łowiliśmy ryby, których w jeziorze było bardzo dużo. Razem z miejscową młodzieżą wybieraliśmy jajka z gniazd dzikiego ptactwa. Zbieraliśmy na mokradłach szczaw, w stepie dziki czosnek i cebulę. Babcia przędła, pomagała uprawiać ogródek cioci Marysi.

22 czerwca 1941 nastąpił wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Opóźnione informacje o zajmowaniu przez Niemców kolejnych miast przyniosły nam jakąś nadzieję na polepszenie naszej sytuacji, a może i powrót do Polski. W połowie sierpnia wezwano mamę do komisariatu, gdzie dowiedziała się, że zmienił się nasz statut i jesteśmy na prawach uchodźców. I że mamy prawo zmienić swoje miejsce zamieszkania.

Pod koniec sierpnia 1941 r. pożegnaliśmy się ze znajomymi w Białoglince, a zwłaszcza z ciocią Marusią i wraz z rodziną Pawińskich przenieśliśmy się do Nowopokrowki, leżącej po przeciwnej stronie jeziora Taranguł. […]

Większość mieszkańców pracowała w kołchozie im. J.W. Stalina, gdzie były dwie samodzielne brygady. W siole była MTS (Maszyno Traktornaja Stancja). W Nowopokrowce był też kołchozowy ogród warzywny, w którym uprawiano kapustę, ogórki, pomidory a nawet melony, które nigdy nie dojrzewały. Były również dwie kuźnie, gdzie podkuwano konie i reperowano na bieżąco maszyny żniwne. Przy drodze do Markiewki stały dwa duże drewniane wiatraki, gdzie mielono zboże. Była gręplarnia, gdzie wyrabiano „pimy", a także niezależna instytucja o nazwie Zagotzierno, której zadaniem była pielęgnacja i ochrona przekazywanego państwu zboża z obowiązkowych dostaw kołchozu. Część Polek, w tym nasza mama, pracowało w tej instytucji. Jako wyposażenie miały drewniane łopaty i całymi dniami przesypywały pszenicę, chroniąc ją przez samozapłonem, albo czyściły to zboże w ręcznych wialniach.

Straszliwym paradoksem był fakt, że w latach 1943–1944, gdy w siole ludzie puchli z głodu, zbożem po brzegi wypełnione były wszystkie spichlerze, a także cerkiew i szkoła. Ale było to zboże przekazane państwu. Nikt nie mógł go ruszyć, a za kradzież zsyłano do łagrów. […]

Wiadomość o zakończeniu wojny dotarła do nas, gdy byliśmy w „kulturnym stanie" kołchozu im. Stalina. Radość była ogromna – cieszyli się wszyscy. Dla Polaków znowu zawitała nadzieja. Istniało przekonanie, że jedyną deską ratunku jest Związek Patriotów Polskich w ZSRR utworzony w Moskwie. Wszyscy dorośli Polacy, w tym nasza mama, za namową delegata rejonowego ZPP w Markiewce wstąpili w lipcu 1945 r. do tego związku, opłacili składki – 1 rub. miesięcznie oraz otrzymali legitymacje z dziwacznym czarnym orłem bez korony.

W lutym 1946 r. dokonano kolejnego spisu Polaków w związku z przygotowywanym wyjazdem do Polski. Wszyscy żyli oczekiwaniem wyjazdu – oszczędzano jedzenie, suszono suchary na drogę. Panowało ogólne podniecenie.

Wreszcie któregoś dnia pod koniec marca przyjechała do Nowopokrowki komisja mieszana z wizami wyjazdowymi dla Polaków. Wszyscy radośnie pędzili do „sielsowietu". Pobiegliśmy i my. Nasze karty repatriacyjne były, ale ich nam nie wydano, bo byliśmy zadłużeni wobec państwa. Ciążyła nad nami grzywna wymierzona za kradzież drewna opałowego. Oświadczono nam, że termin zapłaty się zbliża, i gdy zapłacimy należność dokumenty będzie można odebrać w siedzibie rejonu w Markiewce. Komisja odjechała. Zostaliśmy bez wiz wyjazdowych. Mama chciała sprzedać obrączkę ślubną i pamiątkowy złoty łańcuszek, ale nie znalazła nabywców. Zrozpaczeni, postanowiliśmy zwrócić się z prośbą o pomoc do Rejonowego Komitetu ZPP w Markiewce. Gdy dotarliśmy na miejsce okazało się, że takich Polaków zadłużonych względem państwa sowieckiego, jest znacznie więcej. Na naszą prośbę, zdając sobie sprawę z groźby sytuacji, prezes ZPP, polski Żyd

kresowy, obiecał nam wszechstronną pomoc. Bronił się, ale matki wcisnęły mu uzbierane pieniądze z prośbą, aby je wpłacił i pobrał nasze karty wyjazdowe.

Dwa dni trwały rozpaczliwe negocjacje. Trzeciego dnia przedstawiciel ZPP wręczył nam dokumenty twierdząc, że uzyskał je po różnych interwencjach i po wpłaceniu połowy zasądzonej kwoty, czyli po 1000 rb. od osoby. Zostajemy więc z Marianem Strzałą dłużni Związkowi Radzieckiemu po 1000 rb. lub po roku pracy w łagrach tego państwa. Ale to jeszcze nie wszystko. Okazało się, że zmieniono naszej babci imię jej ojca, czyli naszego pradziada, z Macieja na Marcina. Wizy babci nie wydano oświadczając, że jeżeli nie znajdą drugiej Pauliny Stankiewicz, córki Marcina, ur. 1866 r. to wydadzą dokumenty naszej babci. W końcu wszystko się wyjaśniło przed planowanym wyjazdem. Babcia dostała dokumenty, bo drugiej Pauliny Marcinowny nie było.

Wszyscy Polacy poddani zostali obowiązkowym szczepieniom ochronnym. Były to bolesne zastrzyki dawane w łopatkę. W końcu nastąpił oczekiwany dzień wyjazdu. Zazdrościli nam tego Niemcy znad Wołgi, Czeczeńcy i Tatarzy. Pożegnaliśmy się z naszymi gospodarzami i znajomymi. Do Pietropawłowska jechaliśmy amerykańskimi samochodami ciężarowymi, na skrzyniach wypełnionych pszenicą. Na nasz pociąg przez parę dni czekaliśmy w barakach w pobliżu dworca kolejowego Pietropawłowsk. W końcu ulokowano nas w wagonach towarowych. Ktoś kredą na naszym wagonie napisał „Hotel Nędzy". Jechaliśmy radośni przy otwartych na oścież drzwiach. Nauczyliśmy się chodzić po dachach wagonów i w czasie jazdy odwiedzać znajomych. Był jeden wagon przeznaczony na świetlicę, w którym gromadziła się młodzież. Na pierwszym postoju, po przekroczeniu dawnej granicy polskiej, ludzie po wyjściu z wagonów klękali i całowali we łzach ziemię, choć wiedzieli, że to już ziemia nie polska i że do Bugu jest jeszcze daleko.

W Brześciu nad Bugiem po krótkim postoju na bocznicy kolejowej, przenieśliśmy swój dobytek do podstawionych wagonów o mniejszym rozstawie kół. Tuż przed granicą do wagonu weszli żołnierze straży granicznej i celnicy. Pobrali od wszystkich dwujęzyczne karty repatriacyjne. Sprawdzali skład rodzin, odrywali połówki kart w języku rosyjskim. Celnicy widząc biedę szukali tylko złota. Zastrzegli, że jeżeli znajdą u kogoś ukryte złoto – nie ma szans na przejście granicy. Kilku paniom zdjęli z palców ślubne obrączki. Naszej mamie zabrali również złoty łańcuszek, wydając za to stosowne pokwitowania.

Po przejechaniu granicy 18 czerwca 1946 r. nasz pociąg zatrzymał się na dłuższy postój w Łukowie. Tu repatrianci, zgodnie z własnymi życzeniami, kierowani byli do różnych stron Polski. Nasza rodzina jechała do naszej cioci, Marii Dubiczyńskiej, siostry naszej mamy do Warszawy. Ci, których domy zostały za Bugiem, kierowani byli na północne Ziemie Odzyskane. Byliśmy oszołomieni Polską. Na tle mieszkańców widzieliśmy naszą nędzę. W Powiatowym Oddziale PUR w Łukowie dostaliśmy 1000 zł i dwie pary spodni cajgowych (tak jest zapisane na karcie). Wracając z PUR-u, wstąpiliśmy do kościoła, grały organy, ludzie śpiewali polskie pieśni, a nam po twarzach spływały łzy szczęścia.

KAZACHSTAN W POEZJI POLSKICH ZESŁAŃCÓW

POECI XIX WIEKU

Tomasz Zan (1796–1855), współzałożyciel Towarzystwa Filomatów, student wydziału matematyczno-przyrodniczego uniwersytetu w Wilnie. Skazany w 1824 roku za działalność patriotyczną na „rok twierdzy" i zesłanie w głąb Rosji. Do 1837 roku przebywał w Orenburgu. Wiele podróżował po guberni orenburskiej zajmując się poznawaniem roślinności tego obszaru oraz geologią. Dotarł w mało znane rejony stepów kazachskich leżące na wschód od Uralu Południowego. Przez Kazachów nazywany był „poszukiwaczem kamieni". Zlokalizował występowanie pokładów złota i innych zasobów naturalnych i dzięki tym odkryciom uzyskał od miejscowego gubernatora możliwość swobodnego wędrowania po obszarze guberni i okolicznych rejonów leżących poza jej granicami. Organizator muzeum w Orenburgu. Interesował się losami Polaków przebywających na zesłaniu w tej części Kazachstanu oraz wspierał ich radami i „oszczędnym groszem". W 1841 roku powrócił na Litwę i osiadł w majątku Kohaczyn w Nowogródzkiem, gdzie zmarł.

Informacja biograficzna: W. i T. Słabczyńscy, *Słownik podróżników polskich*, Warszawa 1992, s. 345–346; *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, t. II, Warszawa 1985, s. 671; J. Reychman, *Tomasz Zan jako badacz gór uralskich i założyciel muzeum w Orenburgu*, „Problemy", 1957, nr 8.

Źródło wierszy: Z. Trojanowiczowa, *Sybir romantyków. W opracowaniu materiałów wspomnieniowych uczestniczył Jerzy Fiećko,* Poznań 1993.

Gustaw Zieliński (1809–1881), ziemianin, poeta, uczestnik powstania listopadowego, na zesłaniu w Tobolsku i Iszymie. Mieszkając w Iszymie, nieraz bywał na tzw. Stepach Iszymskich. Sportretował piórem stepy kazachskie oraz ich mieszkańców, a opisy te znalazły uznanie historyków literatury oraz czytelników, którzy poznawali je poprzez strofy tej romantycznej poezji.

Po powrocie z zesłania osiadł w majątku rodzinnym na Mazowszu, zajmując się gospodarką rolną. Zgromadził liczny księgozbiór, ofiarowany po jego śmierci przez syna Towarzystwu Naukowemu Płockiemu, który stał się zalążkiem dzisiejszej płockiej książnicy Biblioteki im. Zielińskich. Wspierał także finansowo różne inicjatywy kulturalne w zaborze rosyjskim, np. pomnikowe wydanie dzieł Jana Kochanowskiego. Wyczulony na najbardziej drażliwe i ponure przejawy zaborczych ograniczeń w rozwoju narodowych tradycji kulturalnych i oświatowych, był członkiem Warszawskiego Towarzystwa Pomocy Naukowej. Przez pewien czas należał do grona redaktorów „Biblioteki Warszawskiej" oraz był redaktorem „Gazety Pomorskiej". Korespondował z pisarzami i poetami, m.in. z J.I. Kraszewskim i T. Lenartowiczem.

Informacja biograficzna: *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, t. II, Warszawa 1985, s. 682; M. Stogowska, *Wpisany w epokę. Gustaw Zieliński (1809–1881)*, Płock 1996.

Źródło wierszy: [G. Zieliński], *Stepy. Poemat przez G. Z. (Autora Kirgiza)*, Poznań 1856.

Tomasz Zan

Wygnaniec

Komu się troski wynurzą?
Kto tu mi wskrzesi nadzieje?
I w serce miotane burzą
Cichszej pogody nawieje?

Nie ma tu siostry ni brata,
Kochanki ni przyjaciela;
Ledwie nie połowa świata
Od rodziny mnie oddziela.

Słuch głuchnie, oko nie błyska
Obcemu między u miedzy obcemi,
Tu serdeczna dłoń nie ściska,
Biada nam na cudzej ziemi...

Nie bez rodaków ten kraniec,
Często rad druha obaczę,
Lecz i on smutny wygnaniec,
Ja na to, co i on płaczę.

Łza spada w Uralu wody,
Bez ulgi ja tutaj ronię;
Nie płynie w ojczyste grody,
Lecz w Chwałyńskim Morzu[1] tonie.

Westchnienie tam nie dolata,
Z serca ledwie oderwie się,
Wraz z nim zły buran pomiata
Na tatarskie stepy niesie.

Więc me wspomnienie polotnym,
Cieszę się samym złudzeniem,
A tak, co było istotnym,
Stało się dzisiaj marzeniem.

Orenburg, 1825

---

[1] Morze Kaspijskie

Gustaw Zieliński

Odjazd

Bywajcie zdrowi! — odjeżdżam daleko,
Aż na kraj świata — daremnie, daremnie
Stęsknioną myślą i łzawą powieką
Będziecie czekać uścisków ode mnie.

Odjeżdżam wesół — jak te, co się śmieje
Śmiechem rozpaczy, gdy życie ucieka;
Odjeżdżam wesół — bom stracił nadzieję,
Ostatnie źródło udręczeń człowieka.

Gdzież moje boskie, gdzież są ideały
O pięknej cnocie, o wzniosłej przyjaźni
I o miłości — z chwilą się rozchwiały
Jak senne mary młodej wyobraźni.

A rzeczywistość jak śmierci cień blady,
Co łzy wycisnął, co szczęście zakłócił,
Dotyka serca i idzie w me ślady,
Abym już nigdy do niebios nie wrócił.

Do niebios myśli, do których się wzbiłem,
Do mych przyjaciół, do mej kochanki
I do tych krain, gdzie szczęśliwy żyłem,
Gdym nucił pieśni, gdym z kwiatów wił wianki.

Z zmianą obrazów zmienia się uczucie,
Z inszą harmonią inne będą dźwięki,
Może wy kiedyś — tylko w dzikszej nucie,
Słuchać będziecie wygnańca piosenki.

Jak on daleko, pod zaspami śniegu,
W krainie zimy i wiecznego lodu,
Po dziennym trudzie szukając noclegu
Umierać będzie od zimna i głodu.

I w te strony lube źrenicą zaciekłą
Patrząc bez końca, marząc wśród zawiei,
Przeklnie to życie, co się będzie wlekło
Na lodowym brzegu Jenisiei...

Bywajcie zdrowi! ...lecą bystre konie
Coraz i coraz unosząc mnie dalej...
Ach! Nim ma pamięć wraz ze mną utonie,
Wspomnijcie czasem, żeście mnie kochali

Do mojej myśli

Myśli! — ciebie puszczam gońcem,
Gdzie wieczorem zorza płonie;
Za zachodnim pośpiesz słońcem
Ku rodzinnej mojej stronie.

Przeleć Ural — miń pustynie,
Szumną Wołgę, fale Oki,
Piękne wzgórza, gdzie Dniepr płynie,
I Litwinów kraj szeroki

Lecz gdy ujrzysz Wisły wody,
Lot Twój bystry niech ustanie;
Tam — upłynął wiek mój młody,
Tam — poznałem, co kochanie.

Tam się ciągle przypomina,
Śród kwiecistych marzeń wianka,
Ojciec stary — dom — rodzina,
Przyjaciele i kochanka.

Myśli moja! — krąż dokoła,
Każdy luby zwiedź zakątek;
Spojrzyj w serca — gdzie mnie woła
Nieskończony świat pamiątek.

Wracasz — jakież są przyczyny?
Ach! Zgaduję twój kierunek,
Niesiesz uścisk od rodziny
Od kochanki — pocałunek

Wiersz na pomięszkanie Adolfa J.

Gdzież jestem?... czy to jurta kirgiskiego chana,
Co jak łódka po morzu po stepach żegluje?...
Której gwiazda jak diament w zawoju sułtana
W doliny tulipanów nomadom przodkuje.

Czyli jestem pod niebios płonącym namiotem,
Pod którym wiecznie błędne snują się Araby?
I widzę pienia wieszczów wypisane złotem
Na jedwabiach zdobiących jedną z bram Khaaby

Czy to harem w balsamów owiany tchnienia?
Kędy basza na łonie wschodniej odaliski
Śród kwiatów, śród słowików, śród szmeru strumienia
Pieszczotami opłaca kupione uściski

Lub we śnie truciznowym siódme marzy nieba,
Widzi w kioskach Edenu dziewicze piękności;
A nie pamięta o tym, że po nie iść trzeba
Przez most nad przepaściami wiszący w wieczności.

Lecz dlaczegoż ten widok, co myśl nam weseli,
Zamienia się na przedmioty żałobą pokryte
I jest jako marzenie, co z duszy wystrzeli
W krainę ideałów — a spadnie rozbite.

Wytłumacz mi, Adolfie co to wszystko znaczy?
Może to zmienne życia naszego koleje;
Z jednej strony różowo, to niby nadzieje,
A z drugiej wszystko czarno — to obraz rozpaczy.

*

Na wiersz ten Adolf Januszkiewicz odpowiedział wierszem:

Nie jest to, bracie, jurta kirgiskiego chana,
Ni namiot beduina w oazach Tadmoru,
Ni harem odalisek wschodniego sułtana,
Błyszczący brylantami na brzegach Bosfory

Jest to, bracie, kraina ojczystych pamiątek,
Kwiat drużby, miłości z rodzinnych ogrodów;
Rozbitej mojej łodzi ocalony szczątek
Jaśniejący przeszłością śród Sybiru lodów.

Step

I.

Czyś widział stepy? Gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna;
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo w krąg pustynia biała, bezbrzeżna,
A przy rosnącym co chwila wietrze,
Straszliwa zamieć zaćmi powietrze?...
Biedny wędrowcze!... w złą się godzinę
Wybrałeś w podróż; patrz!... jak szalony
Wicher, jak wielka, całą równinę
Nieraz silnymi ująwszy szpony,
Łono jej białe rozrywa, porze,
Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi,
O! nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi
By ci rozkoszne podesłać łoże;
To rój gwiazd śnieżnych, wirowym ruchem
W takie cię gęste siatki okręca,
Tak nieprzebytem ściska łańcuchem,
Że zmęczonego, wziąwszy jak jeńca,
Przy tobie, żywym, jak przy swej osi,
Biały, grobowy kurhan podnosi.
Niebo i ziemia nikną ci, kołem
Ćma tylko luźnych atomów krąży,
Owija chwilę, i dalej dąży,
Chwyta cię obłęd; sądzisz, ze społem
Lecisz z tym wirem, co cię oplata;
Sądzisz, żeś jądrem nowego świata,
Który bujając ponad otchłanią
Nie zawisł w sferach, bo mu duch Boży
Jeszcze nie wskazał celu podróży.
Nagle cię senność porywa, za nią
Jakieś błękitne ciągną marzenia,
Które zasuwa gęsta pomroka...
Abyś przynajmniej w dniu przebudzenia
Ocknął w dziedzinie jarskiej proroka.

II.

Czyś widział stepy? Gdy w dzień wiosnowy
Z południa wietrzyk pociągnie miły,
A trawki, co się w ziemi taiły,
Trysną — pochwycą oddech majowy,
I rodzicielskie przywiędłe łono
Skryją w młodości szatę zieloną? —
Gdy w górze, po pod niebem wiszące,
Z łez zimy oschłe, jaskrawe słońce,
Jednem spojrzeniem, całej przestrzeni
Śle bujne życie, więź swych promieni
Co, jakby w chmurę padając mglistą,
Po stepie ścielą tęczę kwiecistą. —
Jeśliś to widział?... skłoń dumne czoło
Przed Tym, co w cudów zamknął cię koło.
Tu, wietrzny, zmienny rój Anemonów,
Gnie się zręcznością dworskich ukłonów;
Irys, ozdobny modnym turbanem
Pogląda z góry, jakby był chanem
Poziomych kończyn, co w mnogim tłumie
Pełznąc, podniosłej hołdują dumie.
Zalotna róża, w więzielu pęta
Jakby w zazdrosny harem zamknięta,
Wśród czujnej straży wabi z uboczy
Astrów, bławatów gwieździste oczy;
A kampanule szmerem swych dzwonków
Grzmią nad kolebką dziatwy skowronków.
Tam! Co się z łona stepów wynurza?...
Nie wzrok nie myli!... błękitne wzgórza,
Odłam to niebios? ... czy wróżka która
Wzrokiem urzekła fale jeziora,
Że choć wiatr marszczy powierzchnie sine,
Z wyżyn się nie śmią stoczyć w równinę!...
To niezabudki! Kwiatek pamięci
Próżno dłoń twoją ku sobie nęci;
Myśl z nich tysiące wieńców uplata,
A zakres serca tak w koło wąski

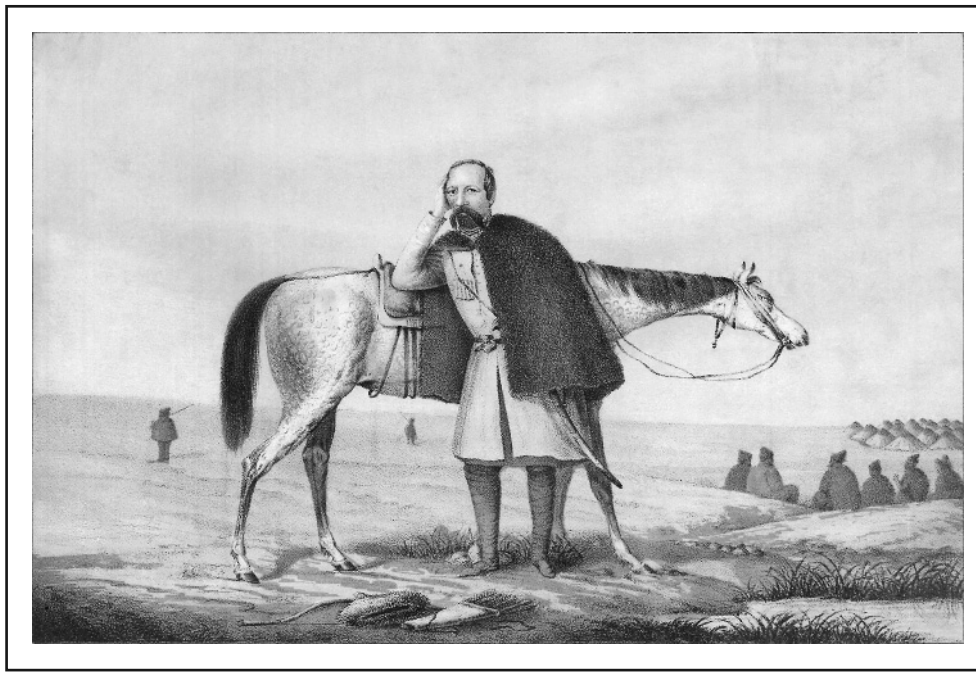

Kirgiz

Że mogąc nimi darzyć pół świata
Nie masz dać komu jednej gałązki,
Patrz! patrz! coś błyska....czy step się pali?...
Czy na zielonej, szumiącej fali,
Wytrysnął nagle ostrów korali?
Czy krew pobitych wytrysła z ziemi
Ponad kościami nie zemszczonemi?
Nie! To tychnisów płomienny wieniec,
Dziewiczych stepów świeży rumieniec.

III.

Step choć bezludny, w nim nie jest głucho,
W łono natury wtajemnicz ucho;
Ten szmer, którego pajęczy watek
Rwie się co chwila w harmonii tonów,
To są rozmowy całych milionów
W niedopatrzonym świecie żyjątek,
Ta woń, co pyłków najlżejszych tkanką

W swe balsamiczne bierze sploty
Co ją być sądzisz niebios posłanką,
To miłość kwiatów, to ich zaloty,
Bo w koło miłość. W kwiatów masz tchnieniu,
W brzęku żyjątek, w ptasząt nuceniu
Z pod niebios nawet brzmią zalecanki...
Gdy serce czułe, a kochać trzeba,
To myśl jak ptaszek leci do nieba,
I tam swej szuka gwiazdki — kochanki

IV.

Ha, dalej w stepy! Nie ma przeszkody!
Koń, choć nie rosły, lecz mocny, żwawy;
Step bujny, znajdziem dostatkiem trawy;
Maj miesiąc, to nam nie braknie wody.
Lecimy szybko, bo któż zatrzyma
Pośród pustyni, co krańców nie ma?
Może kruk głodny, co mi nad głową
Wciąż jakąś piosnkę kracze grobową?...
Może te lekkie po niebie chmurki?
Może te liczne po stepie wzgórki?...
Ha! To kurhany, pomnik jedyny,
Że człowiek gościł śród tej krainy.
Koniu! Na chwile biegu zastanów,
Ja cześć głęboka mam dla kurhanów...
Lecz kto je sypał?... czyj proch w nich leży?...
Proch bohaterów, czy też pasterzy?
Może ślad, kędy dawni chanowie
Swe hordy wiedli?... Któż mi odpowie?...
Pytałem synów tej ziemi, - milczą;
Dziejów pytałem – w dziejach noc głucha;
Wezwałem duchów – i z krain ducha,
Ile z gwiazd ku mnie siało promieni,
Tyle się naraz zsunęło cieni,
Step pełny; jeździec, rumaki w bieli,
Z dzikim okrzykiem kołem stanęli,
Łuk, strzały w ręku, bo każdy zbrojny

Jak legł, tak z myślą ocknął się wojny;
Cisną się... sądzą, że ich plemienia
Wódz, swe drużyny budzi z uśpienia;
Czekają znaku; mniejsza gdzie skinie,
Byle świat cały zmienić w pustynie.
Precz... przecz ode mnie burzące plemię;
Pył wasz rozwiany wichrem w równinach,
Nie zapadł płodnie w tę bujną ziemię,
Nie rozkwitł płodnie w te bujną ziemię,
Nie rozkwitł pieśnią w myśli dziedzinach;
Koniu!... lecimy, tu nikt nie wstrzyma.
W tych grobach nasion przyszłości nie ma.

V.

Za mną, przede mną, step trawą lśniący,
Równy, rozległy, oku ginący,
Bo skłon niebieski, stepy co kwitną
Wkoło się we mgłę zlały błękitną.
Z piosnką, podleciał wiosny śpiewaczek;
Mój wzrok go długo tropił do góry,
Aż skrył się w niebie jasnem, bez chmury,
Ówdzie sznur dzikich, wędrownych kaczek
Czerniał na niebie. Dalej i dalej...
Zmalał w nić szarą, i w wietrznej fali
Niby się rozwiał, niby rozpłynął...
Tylko krzyk głucho dolatał, ginął...
I ścichło niebo... Próżno do góry,
Próżno po ziemi tęskne ślę oko,
Bo jak daleko, bo jak szeroko
Nic — oprócz wiecznie pięknej natury.
O! jak tu serce rwie się do ludzi!
Kocham ich duszą świeżą, młodzieńczą,
Gdy żaden zimny powiew nie studzi
Marzeń płonących, co jasną tęczą
Obwodząc ludzkość z końca do końca,
Bierze swe farby z miłości słońca.
Dalej mój koniu! Prędzej do ludzi!..

Choć nie w rodzinne wracamy gniazda,
Ani nam miła przyświeca gwiazda,
Prędzej mój koniu...tak!...dobrze teraz...
Ty moje chęci odgadłeś nieraz.
Lubo traw żaden powiew nie kłoni,
Twa grzywa furczy, jakby na wietrze
Rozwiana wstęga, a od pogoni
W uszach mi świszcze rwane powietrze;
I Choć w mym pędzie wyścigam ptaki,
Zda mi się, stoję w miejscy przybity;
Bo step, wciąż piękny, bujny... jednak...
Temże półsferzem niebios nakryty.

VI.

Zmienił się widok, — inna kraina
Od stóp się moich oku poczyna,
Step szerszy, większy jak krąg śród wody
W coraz się dalsze rozlał obwody;
Trawy, co z wiatrem gnąc się, bujały,
Traciły świeżość...rzedły... karłały;
Nawet powietrze przejrzysto-szklane,
Gdzie pył kwiatowy z żyjątek rojem
Wciąż, idealnym krążył zawojem
Nad moją głową, teraz tumanne
Jakby w przezroczu rozpięły gazy,
Omgliło z lekka wszystkie obrazy.
Słońce, bez wieńca promieni, krwawo
Patrzyło z nieba na te przestworza,
Do umarłego podobne morza,
Siwe i nagie, gdzie niegdzie trawą
Zwiędłą porosłe, co jak ostrowy
Wzbiły się ponad wylew żwirowy.
Tu wydmuch piasku, jak srebrna mara,
jak kiedy wietrzyk przelotnym wiewem
Pomarszczy gładką szybę jeziora;
Tam, huraganów zmącone gniewem,
Kładąc się w warstwy żwirowe wały,

W spiętrzonych, długich sypach, zostały,
Ówdzie, jak gdyby żółwie olbrzymie
Zapełzły na te lądy bezwodne,
Wzgórza, z ciemnemi, nagiemi grzbiety;
O! bo w pustyni wszystko niepłodne,
Prócz może jednych marzeń poety.

VII.

Pędzę;...z pod kopyt końskich wzniesiony
Pył, niby błędnej ogon komety,
Ciągnął się za mną. Wzrok utęskniony
Bystrym w przestrzenie naprzód szedł gońcem,
Czy się nie spotka z błoniem kwitnącem,
A może z jaką jurtą gościnną,
Ach! Z tem pragnieniem, chyba rodzinną
Witałbym ziemię! Darmo... pustynie
Tak dzikie w koło, że wzrok w nich ginie
Jak rozum, gdy się w wieczność zacieka
Pędź miły koniu! Droga daleka...
Lecz patrz!... te linie co błękitnieją,
Szczerbią się... piętrzą...o! to nie chmury!
Czuje, że duch mój, myśli olbrzymieją
Przeczuciem cudów olbrzymiej natury

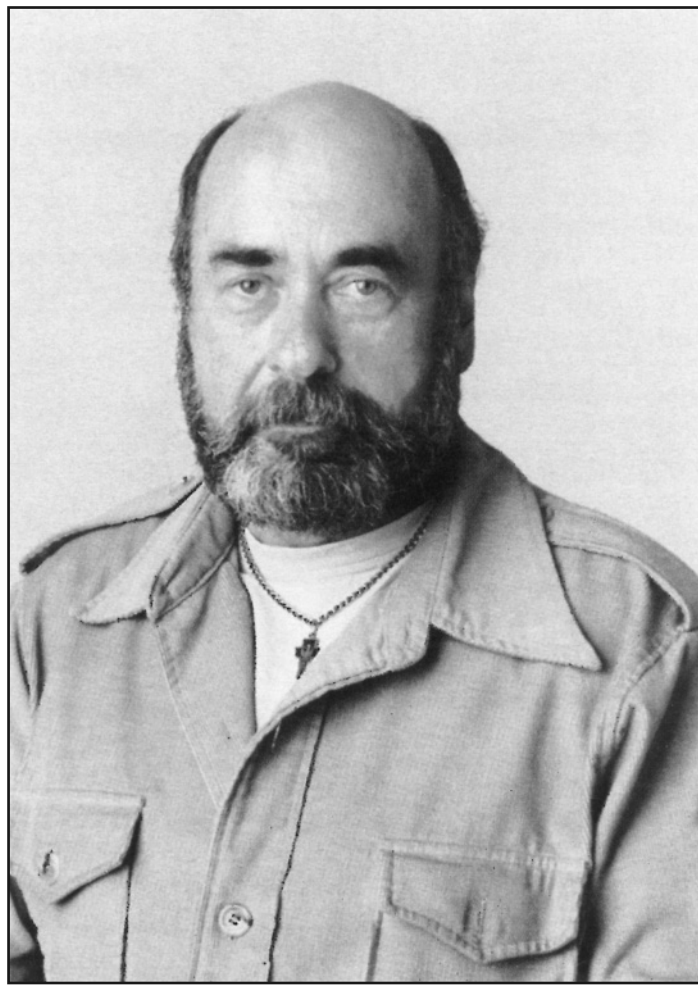

POECI XX WIEKU

Marian Jonkajtys (1931–2004) aktor, poeta, reżyser, zesłaniec pochodzący z nauczycielskiej rodziny Hieronima i Marii Jonkajtysów mieszkającej w Augustowie. Dnia 13 kwietnia 1940 roku deportowany wraz z rodziną (mama, sześcioro dzieci i kuzynka, bez ojca, który został wcześniej aresztowany) do Kazachstanu, skąd powrócili do Polski w 1946 roku Absolwent Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie (1957). Pracował w teatrach warszawskich, uczestniczył w audycjach telewizyjnych i radiowych, był także nauczycielem akademickim w macierzystej szkole teatralnej. W 1975 roku założył Teatr Muzyczny na Targówku w Warszawie, którym kierował do 1981 roku, tj. do wprowadzenia stanu wojennego w Polsce.

Przerwał wtedy działalność aktorską i po zdobyciu kwalifikacji czeladnika „rzeźbiarstwa w drewnie" tworzył portreciki sławnych Polaków i ikony. Wówczas zajął się też twórczością poetycką związaną z zesłańczymi losami Polaków. Był aktywnym uczestnikiem reaktywowanego Związku Sybiraków inicjując powstawanie tzw. znaków pamięci dotyczących wydarzeń sybirackich: np. nazwy „Ronda Sybiraków" w Warszawie, nadania „Imienia Sybiraków" szkołom w Augustowie i Nettcie, dorocznego „Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru" odbywającego się w Białymstoku. Trwałą zaś sławę przyniósł mu Marsz Sybiraków, z muzyką Czesława Majewskiego, który przyjęty został za hymn Sybiraków oraz wypędzonych z Kresów i Łagierników. Jego pamięci poświęcono monotematyczny numer kwartalnika „Zesłaniec", pisma Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków (2007, nr 30).

Nota biograficzna: G. Jonkajtys-Luba, *Po prostu brat*, „Zesłaniec" 2007, nr 30, s. 7–17; R. Rolska-Jonkajtys, *Teatr, który stworzył*, „Zesłaniec" 2007, nr 30, s. 5–6; J. Abramow-Newerly, [w:] M. Jonkajtys, *W Sybiru białej dżungli*, Warszawa 2003, s. 11–17

Źródło wierszy: M. Jonkajtys, *Żywa pamięć. Wybór wierszy z tomiku „W Sybiru białej dżungli". Część II*, Krzeszowice 2011.

Stefan Marian Legeżyński (1912–1976), urodzony we Lwowie, pisarz, poeta, publicysta. W 1940 roku deportowany wraz z rodziną do Kazachstanu. Na mocy postanowień porozumienia Sikorski–Majski, władze sowieckie wprowadziły amnestię dla Polaków oraz powstały w ZSRR polskie placówki dyplomatyczne. W jednej z nich (Dżambuł) w latach 1941–1942 pracował Legieżyński, który wraz z wojskiem polskim utworzonym przez gen. Andersa opuścił Związek Sowiecki. Przez pewien czas współpracował z „Gazetą Polską" w Jerozolimie, a w latach 1943–1947 był nauczycielem gimnazjalnym i wychowawcą w szkołach junackich w Palestynie. Potem mieszkał w Londynie, gdzie zmarł.

Pozostały po nim tomiki poetyckie oraz opowiadania zawierające wiersze pisane w kraju jeszcze przed deportacją, potem w Kazachstanie, Persji, Iraku, Egipcie i Palestynie. Uczestniczył w różnych formach działalności emigracyjnej.

Informacja biograficzna: *Gułag polskich poetów. Od Komi do Kołymy. Wiersze.* Wybór wierszy i przedmowa Nina Taylor-Terlecka, Londyn 2001, s. 169.
Źródło wierszy: Ibidem.

Leopold Lewin (1910–1995), urodzony w Piotrkowie Trybunalskim. Prawnik z wykształcenia (Uniwersytet Warszawski) oraz absolwent Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w Warszawie, poeta, tłumacz. Aresztowany przez NKWD we Lwowie w styczniu 1940 roku, przebywał na zesłaniu w łagrze Plesieckaja w okolicach Archangielska, a po uwolnieniu w Kazachstanie. Przez pewien czas pracował jako sekretarz Delegatury RP w Dżambule. Po zerwaniu układu Sikorski–Majski, aresztowany ponownie i skazany przez Wojskowy Trybunał Czimkientskiego Garnizonu Średnio-Azjatyckiego Wojennego Okręgu na karę śmierci. Po utworzeniu Związku Patriotów Polskich w ZSRR został uwolniony.

W latach 1944–1946 oficer Wojska Polskiego i członek jego Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego oraz naczelnik Wydziału Wojskowego w Polskim Radiu. Publicysta pracy wojskowej. Członek Związku Literatów Polskich, w latach 1948–1950 jego sekretarz generalny, a potem (1963–1965) członek Zarządu Głównego. Autor tomików wierszy oraz licznych przekładów z literatury niemieckiej i rosyjskiej.

Informacja biograficzna: *Gułag polskich poetów...*, op. cit., s. 169–170; *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny. Uzupełnienia do wydania I*, Warszawa 1987, s. 814.
Źródło wierszy: *Gułag polskich poetów...*, op. cit.

Artur Międzyrzecki (1922–1996), poeta, tłumacz, prozaik. W latach 1940–1942 przebywał na zesłaniu w ZSRR. Żołnierz Armii Polskiej utworzonej w Związku Radzieckim przez gen. Władysława Andersa. Uczestniczył w bitwie pod Monte Cassino. Po zakończeniu wojny mieszkał przez pewien czas w Paryżu, gdzie ukończył wydział dziennikarski École des Sciences Politiques. W 1950 roku wrócił do Polski i zajmował się działalnością literacką, redakcyjną i społeczno-kulturalną.

Jego dorobek literacki jest nadzwyczaj obszerny i obejmuje poezję, szkice wspomnieniowe, współpracował też z czasopismami krajowymi, prowadził dział literacki w tygodniku „Świat" i dział poezji w tygodniku „Nowa Kultura". Zajmował się też działalnością edytorsko-przekładową.

Informacja biograficzna: *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, t. I, Warszawa 1984, s. 667–668.
Źródło wierszy: *Gułag polskich poetów...*, op. cit.

Anna Rudawcowa, nazwisko panieńskie Okuszko-Boska (1905–1981), wnuczka powstańca styczniowego Antoniego Okuszko, herbu Leliwa, poetka, nauczycielka, działaczka patriotyczna. Urodziła się w Dorpacie (Estonia), gdzie ukończyła gimnazjum. Potem uczyła się w Wilnie – liceum i kursy pedagogiczne. Od 1932 roku mieszkała z rodziną w Grodnie, gdzie pracowała jako nauczycielka. Współpraco-

wała z czasopismami dla dzieci „Płomyk" i „Płomyczek", w których publikowała wiersze. Uczestniczyła w życiu kulturalnym Grodna, oddając się aktorstwu w teatrach amatorskich oraz w Teatrze Grodzieńskim im. E. Orzeszkowej.

W kwietniu 1940 roku z dwójką dzieci zesłana została do Kazachstanu. W 1946 roku. powróciła do Polski i zamieszkała z dziećmi w Gliwicach. Powojenny okres wiązał się z sporadyczną działalnością poetycką, bowiem jej poglądy różniły się od „wówczas wymaganych". Pisała jednak dalej – tym razem dla siebie oraz swoich dzieci i wnuków. Z mężem spotkała się po 13 latach rozłąki. Więziony był w łagrach i dopiero w roku 1953 uzyskał zgodę władz sowieckich na wyjazd do Polski. Zmarła w Gliwicach.

Informacja biograficzna: J. Fiećko, *Posłowie*, [w:] A. Rudawcowa, *Wiersze z Sybiru*, Gliwice 2013; J. Fiećko, *Anna Rudawcowa poetka na wygnaniu*, „Zesłaniec" 2014, nr 58; B. Rudawiec, *Anny Rudawcowej rozmowy z Syberią*, „Zesłaniec", 2011, nr 49.
Źródło wierszy: J. Fiećko, *Anna Rudawcowa…*, op. cit.

Halina Terlecka (1914–1995) – właściwie Halszka Irena Terlecka-Gebertt z domu Stypińska, urodzona w Warszawie, *primo voto* Junosza Szaniawska, *secundo voto* Terlecka, *tertio voto* Gebertt. Wdowa katyńska. Zesłana do Kazachstanu w 1940 roku. Z wojskiem polskim gen. Andersa opuściła ZSRR. Po wojnie zamieszkała w Szkocji, gdzie zmarła. Autorka tomiku wierszy pt. *Stepem i oceanem*, wydanych w Edynburgu (1944), autorka nieopublikowanych dotąd wspomnień zesłańczych.

Informacja biograficzna: *Gułag polskich poetów...*, op. cit., s. 174.
Źródło wierszy: Ibidem.

Aleksander Wat (1900–1967), właściwe nazwisko Chwat – poeta, tłumacz, prozaik, student filozofii i psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Animator polskiego futuryzmu, współredaktor czasopism literackich, redaktor działu literackiego wydawnictwa Gebethner i Wolf, działacz społeczno-polityczny o lewicowych poglądach, dwukrotnie więziony przed 1939 rokiem. Gdy wybuchła II wojna światowa wyjechał z Warszawa do Lwowa, gdzie pracował w czasopiśmie „Czerwony Sztandar". Aresztowany przez sowietów w styczniu 1940 roku więziony był we Lwowie, Kijowie, Moskwie i przebywał na zesłaniu w Saratowie. Po zawarciu układu Sikorski–Majski pracował w Delegaturze Polskiej Ambasady w Ałmaty. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między ZSRR a Rządem Polskim w Londynie, pozostał na zesłaniu w Kazachstanie. Do Polski powrócił w 1946 roku. Od 1959 roku mieszkał we Francji, gdzie związał się z polskimi ośrodkami emigracyjnymi. Tam zmarł.

Informacja biograficzna: *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, t. II, Warszawa 1985, s. 569–570.
Źródło wierszy: *Gułag polskich poetów...*, op. cit.

Marian Jonkajtys

Marsz Sybiraków

(Hymn Związku Sybiraków)

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,
Z rezydencji, białych dworków i chat
Myśmy wciąż do Niepodległej szli,
Szli z uporem, ponad dwieście lat!

Wydłużyli drogę carscy kaci,
Przez Syberię wiódł najkrótszy szlak
I w kajdanach szli Konfederaci
Mogiłami znacząc polski trakt...

Z Insurekcji Kościuszkowskiej, z powstań dwóch,
Szkół, barykad Warszawy i Łodzi;
Konradowski unosił się duch
I nam w marszu do Polski przewodził.

A myśmy szli i szli — dziesiątkowani!
Przez tajgę, stepy — plątaniną dróg!
A myśmy szli i szli i szli — niepokonani!
Aż „Cud nad Wisłą" darował nam Bóg!

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,
Szkół, urzędów i kamienic, i chat:
Myśmy znów do Niepodległej szli,
Jak z zaboru, sprzed dwudziestu lat.

Bo od września, od siedemnastego,
Dłuższą drogą znów szedł każdy z nas:
Przez lód spod bieguna północnego,
Przez Łubiankę, przez Katyński Las!

Na nieludzkiej ziemi znowu polski trakt
Wyznaczyły bezimienne krzyże...
Nie zatrzymał nas czerwony kat.
Bo przed nami Polska — coraz bliżej!

I myśmy szli i szli — dziesiątkowani!
Choć zdradą pragnął nas podzielić wróg...
I przez Ludową przeszliśmy — niepokonani
Aż Wolną Polskę raczył wrócić Bóg!!!

Saman

Do budowania chałup
W kołchozach Kazachstanu
Używano powszechnie
Tak zwanego — „samanu".
Brak lasów i opału
W tym odludziu stepowym
Stworzył dwa elementy
Przydatne do budowy:

Saman — niewypalane
I ciężkie cegły z gliny
I lżejsze — płyty z trawy
Stepowej — darniny.

Prosta była recepta
Na produkcję samanu:
Glina zmieszana z wodą
I sieczką słomianą
Wzmocniona — dla spojenia —
Nawozem bydlęcym
Świeżym końskim, lub lepszym
Spoiwem — krowieńcem.

Lecz to tylko recepta.
A nierzadko produkcja
W prymitywnych warunkach
Była ciężka nieludzko.
I spadała przeważnie
Na barki naszych matek
I młodych polskich dziewcząt
W tym często — małolatek.

Gdy bosymi nogami,
Do późnej nocy czasem,
Tę glinę, nawóz, słomę —
Miesiły — w jedną masę
I musiały, rękami
(by chleb dostać za normę)
Tę mokrą masę ugnieść
W ciężką, podwójną formę
I te dwie mokre cegły
Zanieść na plac budowy...
By zdążył je w terminie
Wysuszyć wiatr stepowy.

Do dziś — niektóre z dziewcząt
(teraz już starsze panie)
Noszą w bolących barkach
Wspomnienia o samanie...

Piere-kati-pole

Hej stepie szeroki
Stepie Kazachstanu
Co z wiatrem przynosisz
Gorzką woń burzanu...
Gorzki smak zesłania,
Gorzki los niewoli,
Gorzkiej, sybirackiej
Tułaczej niedoli... Hej!

Łzą z tysięcy oczu
Na polską niedolę
Po stepie się toczy
Piere-kati-pole...

Hej stepie szeroki
Wiosenne kobierce
Twoich polnych kwiatów
Raniły nam serce
Bo przypominały
Nasze polskie łąki
I jątrzyły ranę
Z Ojczyzną rozłąki... Hej!

Łzą z tysięcy oczu
Na dolę-niewolę
Po stepie się toczy
Piere-kati-pole...

Hej stepie ponury...
Hej stepie złowrogi.
Gdyś zimą buranem
Pozawiewał drogi —
Stałeś się cmentarzem
I śnieżną pustynią
Na której niejeden
Zabłądził i zginął... Hej!

Łzą z tysięcy oczu
Na dolę-niewolę
Po stepie się toczy
Piere-kati-pole...

Hej stepie okrutny
Czy jeszcze pamiętasz
Modlitwy szeptane
Przez polskie dziewczęta
Gdy powracające
Wieczorem z roboty
Wsi nie mogły znaleźć
Od kurzej ślepoty?... Hej!

Łzą z tysięcy oczu
Na dolę-niewolę
Po stepie się toczy
Piere-kati-pole...

Stepie kołchozowy
Hen, na końcu świata...
Wyrwałeś nam z życia
Najpiękniejsze lata...
Ukradłeś dzieciństwo
A starym i młodym
Zaszczepiłeś w oczach
Lęk wieczny przed głodem... Hej!

Łzą z tysięcy oczu
Na dolę-niedolę
Po stepie się toczy
Piere-kati-pole...

Stanisław Legeżyński

Chmury od Bałchaszu

Z nad Bałchaszu piętrzą się cumulusy zwolna,
Płynąc wysoko ku północy. Kłęby jasne —
Bałchasz pali fajkę. Beczą kozy, kremowe
Maleństwa — Zwyżkuje temperatura.
Walczą kury z nienawiścią. Jeden jak flaga,
Drugi nordyk. „Biały" przegrał. Byk Bałchasz ryczy.

Przyjechała wczoraj piękna dziewczyna w sukni
Z obrusa, przez sitowia, przez błota, do brata.
Najpiękniejsze są uczucia rodzinne?
Z pod tęczowej grabiarki listki na ostrzach trawy
I nieba lśniące dekoracje niebieskawe,
Będzie żar jutro. Wokół pokrążeni niebem,
Wozami — szczerozłotą dychtą, ciekawskimi cielętami
— Końmi — Kazachami, mlekiem
Poranka, wieczoru. Melodia owadami,
Śmiechy ludzi, pisk ptaków. Wpadł huk od południa!

Czerwiec 1940

Leopold Lewin

Sonet kazachstański

Ranek zawiesza blado różowe zasłony
Na kruszejących zboczach starego Tienszanu,
Z którego szczytów śnieżne błyskają korony –
Oślepiające kandelabry Kazachstanu.

U gór podnóża barwią się maków miliony,
Ścieląc tło malownicze wschodniego dywanu,
Na którym cienie chanów zbierają pokłony
Poległych przed wiekami wyznawców Koranu.

Gdy wiatr zgina ku ziemi głowy maków,
Step jak zaczarowany błękitem się mieni
Od niezapominajek, ukrytych w czerwieni.

Z oddali płyną głosy oszalałych ptaków,
Szmery skocznych Aryków, pluszczących w zieleni,
I westchnienia skarżących się wichrom Polaków.

1942

W Dżambule

W Dżambule kwitną już morele,
Nad arykami szumią łozy,
A w nich — słowicze wirtuozy,
Skrzydlate chóry i kapele.

W Dżambule kwitną już brzoskwinie,
Wiosna tak piękna jest w Dżambule.
W cieniu wysmukłych drzew — bogini
Do mnie się uśmiechają czule.

Morele rozkwitają biało,
Brzoskwinie rozkwitają lila,
Wiosna tak do mnie się przymila,
Takby się cieszyć wiosną chciało!

Lecz cóż mi, że ogrody kwitną,
Że kwiaty jak zaklęte rosną,
Że dal owiana mgłą błękitną —
Czy wolno mi się cieszyć wiosną?

Czy wolno tonąć w śpiewnym szumie
Zabłąkanemu wygnańcowi?
Kto jego rzewny ból wysłowi!
Któż jego cichy żal zrozumie!

On smuci się w tym rozkwitaniu
I z oczu strumień łez mu bryźnie,
Bo nie masz wiosny na wygnaniu,
Jeśli jej nie ma tam — w ojczyźnie.

1944

Artur Międzyrzecki

Pieśni

Zdrętwiała w stepach kazachskich, omdlała z żaru wśród pustyń,
Ty jedna mnie nie zawiedziesz, Ty jedna mnie nie opuścisz.

Są wzloty podniebne, harde. Są ostre, ciemne upadki.
Są dnie, co o pachną lipami, są słońca pokryte cieniem.
Jest wiersz o wiośnie w mym tomie, a obok jest list od Matki.
Są ranki dzwoniące pustką i blady świt, jak westchnienie.

Żmudna jest droga do siebie, gdy szlak się gubi w ciemności,
Gdy płaczą uschnięte kwiaty, gdy wyje noc urągliwie,
Kiedy nie można ogarnąć, kiedy nie można uprościć
Zmierzchów przeklętych rozpaczą i zwyciężonych porywem.

Ciężko jest nie móc odszukać swych własnych zmęczonych kroków,
Wciąż patrzeć celów odległych, rzuconych w przepastne dale
W zsiniałym jak obojętność, w nostalgią płaczącym mroku,
Czekając tęczy u kresu, nie mogąc jej w drodze znaleźć.

Ciężko nieść miłość przed sobą w wędrówkach długich, ciernistych,
Ciężko nieść żagiew nadziei, rozpłomienionej swą wolą,
Szukając dalekich oczu, które się nie chcą przyśnić,
Szukając dłoni pomocnej i zagarniając popioły.

Ty ze mną tylko idziesz, Ty ze mną tylko płyniesz,
Ty świecisz gwiazdą przewodnią i szlak wytyczasz męczeński
Przez śniegi więziennych lądów, przez morza i przez pustynie.
Umiesz bić werble zwycięskie i odwrót osłaniać z klęski.
Pieśni, niezgasła wśród lodów, pieśni trwająca wśród pustyń,
Ty jedna mnie nie zawiedziesz, Ty jedna mnie nie opuścisz.

Anna Rudawcowa

Do braci

Zły los nas rzucił w stepy Kazachstanu,
Zły los nas wygnał na tułaczkę w świat,
Gdzie każde serce jest otwartą raną,
Gdzie każda chwila jest szeregiem lat.

Upiorny pociąg wiózł nas poprzez rzeki
I przez uralskich gór zębaty pas,
Ojczyzny uśmiech — smutny i daleki
Bladł coraz bardziej, wreszcie całkiem zgasł.

Złapało życie w swe żelazne tryby,
W stalowe koła, sploty srebrnych szyn,
Wygnańców tłum, rzucony tu, na Sybir,
Za ciężki grzech nie popełnionych win.

Nie trzeba łez! Nie trzeba słów ni wyznań,
Bo każda skarga zagrzmi tu jak zgrzyt.
O, Bracia moi! Ludzie bez Ojczyzny!
Przeminie noc, a po niej przyjdzie świt!

Sybir, 1940

Sybirska kołysanka

Śpij Córeczko, śpij mój Synu,
Za oknami wilcze ślepia,
Za oknami nocka sina,
Sztywna z zimna śpi na stepie.
Smutny księżyc oczy stracił...
Z białym mrozem, w śnieżnym wirze,
Błądzą dusze naszych dzieci
Pochowanych na Sybirze.
Wyją wilki, kruki kraczą,
Mróz lodowe wkłada trepy –
Wiatr chichocze, stepy płaczą,
Syberyjskie białe stepy.
Tęskni słonko do świtania,
Uwiązane śpi za kratą...
Na tułaczkę, na wygnanie,
Poszła wiosna, poszło lato...
Zawierucha zęby szczerzy,
Wiatr zaprasza ją do tańca...
Cicho! Zmówcie trzy pacierze
Na ziarenkach z łez różańca...
Za tatusia, co w więzieniu,
Za to wszystko, co go boli —
I za braci zmarłych cienie
I za matuś, co w niewoli.
Śpij Córeczko, Synku mały,
Już nie płaczcie — baju, baju!
Wśród sybirskich stepów białych
Śnijcie sen o swoim Kraju!

Sybir — Kazachstan, 3 listopad 1940

Powrót

Wracam do Ciebie, Ojczyzno, stepem srebrnego burzanu,
Idę przez pustkę złych nocy, dni obłąkanych tęsknotą...
Chcę ucałować Twą ziemię, bólem i męką zoraną,
Chcę ucałować Twą ziemię, zlaną krwią, łzami i potem.
W smutnej tułaczej wędrówce długie miesiące i lata
Ty mi świeciłaś w ciemnościach gwiazdą złocistej latarni,
Wolno mijały godziny, smutek z nadzieją się bratał,
Ty gdzieś czekałaś daleko, Ty gdzieś walczyłaś ofiarnie.
Wracam do Ciebie Ojczyzno... To co mi było tak drogie,
To co się stało dalekie — może już wkrótce się zbliży...
Spotkasz mnie słońcem wolności, szeptem skarżących się mogił,
Szumem zwycięskich sztandarów, jękiem chylących się krzyży.
Przyjdę do Ciebie, Ojczyzno, stanę na progu Twych granic,
Klęknę, jak pielgrzym strudzony, w jasnym obliczu świętości
I żem nareszcie wróciła z dróg dalekiego wygnania
Tylko to jedno Ci powiem, powiem jak można najprościej...

Karaganda, 1946

Sen o Polsce

Dziś miałam sen o Polsce…
Jak przed laty kwitły przede mną bujne krzewy głogów
Nie poszarpanych bombą i granatem,
Nie stratowanych przez okrutnych wrogów.
Dziś miałam sen,
Że wierzby nad strumykiem ubrały się w pluszowe, srebrne bazie,
Że przez zakątki parku zarośnięte, dzikie
Szła wiosna ze mną, jak królowa z paziem.
Dziś miałam sen,
Że starą, polną gruszę pokryło gęsto puchem białe kwiecie,
Że w jej gałązkach siedział mały duszek
I tak żałośnie, cicho grał na flecie.
Śniłam, że słyszę szepty i rozmowy
Figlarza — wiatru z zadumaną sosną,
Że świat jest jasny, cudny, kolorowy
Jak bywa w bajce albo w Polsce wiosną.
I śniłam też, że było mi tak błogo,
Że serce biło rytmem tak spokojnym,
Jakby nie czuło żalu wcale, do nikogo,
Jakby nie było nigdy wojny.

Karaganda 1945 rok

Halina Terlecka

Modlitwa w drodze na zesłanie

Chylę czoło przed Tobą w głębokiej pokorze
I nic mi Ciebie, Boże, odebrać nie zdoła…
Na brzeg świata rzucona będę Ciebie wołać
I mojej ufnej wiary sierp i młot nie zmoże!
Kłos jestem, z łanu żyta krasnym sierpem zżęty —
Obca dłoń chce mnie skruszyć i siać w ziemię czarną…
Przyrzekam Ci: nie wzejdę nawet trawką marną,
Uschnę, gdy taka wola Twa, o, Niepojęty!...
Młot uderzył mnie w serce — złom żelaza wierny —
Iskry — krople krwi — prysły — ono jednak czuje
Czerwonej gwiazdy z niego przemoc nie wykuje!
… Pokornie Ci przyrzekam, Boże Miłosierny…
Twoja dłoń mi obetrze oczy z łez kroplistych…
Jeśli zechcesz, do Polski znowu wrócę może…
Chylę czoło przed Tobą — Miłosierny Boże!...
Sercem u stóp Twych leżę — Boże Wiekuisty…

Kwiecień 1940 r.
Azja, 15 dzień podróży do Kazachstanu

Nie chcę niczego

Szare dziś niebo
nad zmierzchłym stepem
mgła wilgotnawa —
cisza i śnieg.
Nie chcę niczego,
tak może lepiej —
pustką szarawą
sen w myślach legł.

Nie chcę niczego...
Myśl się kołysze —
nie czuć goręcej,
nie spotkać cię...
Wzroku twojego
nie widzieć więcej...
We mgle — wśród ciszy
zgubiłam się-

Kazachstan,
październik 1940

Step

Życie me przypomina step pusty — bezpłodny,
Gdzie pod słońcem palącym schną usta z pragnienia,
w którym kroki sieroce depcą po wspomnieniach,
gdzie piołun pije gorycz marzeń swych zawodnych.
Pusto, pusto, daleko… Dzwoni nieskończoność
Wszystkim umarłym chwilom wietrzane podzwonne…
ziół kadzielnice snują smutną, gorzką wonność…
żałobny orszak słupów idzie zamyślony…
I nie wiem, na czym oczy zatrzymać, zgubione
Kształtom drogim i bliskim, które w głębi żyją?...
Wyschłą pustkę bezkresną, którą wiatry piją,
Horyzont kreśli twardą rysą na dwa złomy.
I nie mam gdzie utulić na spękanej ziemi
Serca, które strudzone, iść dalej nie może…
Ty mu wyszukaj miejsce dla spoczynku, Boże,
Bo już go nie chcę chronić dłońmi zmęczonymi…

Kazachstan, Przyirtyszski Sowchoz,
wrzesień 1940

Spowiedź Ojczyźnie

Polsko, Ojczyzno moja. Przez sybirskie stepy
widzę Cię dziś dokładniej i jaśniej i lepiej,
bo w czasach gdy powietrzem twoim oddychałam –
choć kochałam cię zawsze — jednak cię nie znałam

Byłaś mojego życia prostą codziennością
smakiem twojego chleba i słońca jasnością
darzyłaś mnie dostatkiem, pewnością spokojem –
wszystko, co było polskie, było bliskie, moje.

Moimi były wszystkie twoje ludzkie prawa,
których podstawą było: nie odbierać — dawać!
Twój orzeł, twych nieznanych obrońców mogiły,

twoja ziemia i morze, twych tradycji siły –
to było kiedyś mojego bogactwa ogromem
w czasach gdy jeszcze kwitłaś i byłaś mi domem.

Widzę dzisiaj, że tylko czerpać w twej szczodrości
mało było — i mało mówić o miłości;
ty żądałaś ode mnie nie cnót, nie wawrzynów,
nie słów, tylko zwykłego, codziennego czynu,
trzeba było pracować rękami i głowa.
Cóż ci dałam Ojczyzno? — Serce — puste słowo!
Teraz przyszła twojego letargu godzina...
to jest i moja wina, moja wielka wina!
Dziś, kiedy już zapóźno, choć z duszy najszczerszej
cóż ci mogę dać Polsko? — Nic, tylko te wiersze,
bo w Kazachstanie gra mi „jak harfa eolska"
słodkie słowo „Ojczyzna", święte słowo „Polska"...
O, kiedy da mi Pan Bóg, że te wielkie słowa
staną mi się znów jawą i jasnością nową?
Kiedy w stęsknionych oczach rozbłysną rozkwitem
te „pola, malowane zbożem rozmaitem,
gdzie bursztynowy świerzop, gryka, jak śnieg, biała,
gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
a wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
zieloną; na niej zrzadka ciche grusze siedzą..."

Tak widział je Mickiewicz i jego oczami
ja je widzę, gdy moje napełnią się łzami

Nad Irtyszem, maj 1941

Aleksander Wat

Wierzby w Ałma-Acie

Wierzby są wszędzie wierzbami

Pięknaś w szronie i blasku, wierzbo ałmaatyńska.
Lecz jeśli cię zapomnę, sucha wierzbo z ulicy Rozbrat,
Niech uschnie moja ręka!

Góry są wszędzie górami

Przede mną Tiań Szań żegluje w fioletach,
Pianka światła, głaz barw, blednie i niknie.
Lecz jeśli cię zapomnę, daleki szczycie tatrzański,
Potoku Białej, gdzie z synem barwne roiłem żeglugi
Żegnani cichym uśmiechem naszej dobrej patronki —
Niech się w kamień tiańszański obrócę.

Jeśli was zapomnę
Jeśli cię zapomnę miasto rodzinne.

Nocy warszawska, deszczu i bramo, gdzie

W bramie dziad wyciąga rękę
Pies rozerwał mu sukienkę.
Śpij Jędrusiu…

Rozrzucam ręce żałośnie, jak polska płacząca wierzba.

Jeśli was zapomnę,
Lampy gazowe Żurawiej, stacje mej męki miłosnej —
Świetliste serca wtulone w ciemną wstydliwość liści
I szopę i szmer i deszcz, w Alei turkot dorożki
I złotopióry świt gołębi.

Jeśli zapomnę, walcząca Warszawo
W krwi spieniona Warszawo

Jeśli Cię zapomnę
Jeśli Was zapomnę.

styczeń 1942

Część III

ABY NIE ULEGLI ZAPOMNIENIU

WSTĘP

Nierozerwalny łańcuch zaborów i zesłań pobudzał patriotyczne nastroje społeczeństwa, sprzyjał konspiracyjnej działalności oraz radykalizacji poglądów, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej i akademickiej. Jej poczynania nacechowane deklaratywnością walki z zaborcą stały się czymś w rodzaju sakralizacji niepodległości. W początkach XIX stulecia żywy był jeszcze pogłos konfederacji barskiej oraz powstania kościuszkowskiego i niezrealizowanych nadziei wolnościowych związanych z Napoleonem. Nadzieje te ostatecznie pogrzebały postanowienia kongresu wiedeńskiego (1815), na którym car Aleksander I przeforsował decyzję o powstaniu Królestwa Polskiego (Królestwa Kongresowego), połączonego „na wieczne czasy" unią personalną z Rosją. Z natury rzeczy nowy władca uznał za niezbędne nadzorowanie wszelkich niepodległościowych poczynań Polaków.

Napięcia społeczne i patriotyczne dążenia Polaków stały się więc nieuniknione, a wymuszona nieraz lojalność okazywała coraz częściej niepodległościowe oblicze. Tytularny władca, następca zmarłego bezpotomnie cara Aleksandra I, car Mikołaj I, który obejmował tron w 1825 roku, koronował się niebawem na króla polskiego (1829). Taki właśnie wymiar odmienności polskiej w ramach imperium zapewnionej na kongresie wiedeńskim pękał z każdym rokiem. Trudno było o optymizm dotyczący kierunku zmian. Można było jedynie stawiać postulaty, z których i tak nic nie wynikało dla polskich aspiracji narodowych.

Z tego nurtu carskiego uzależnienia spraw polskich biorą początek działania patriotyczne młodzieży wileńskiej prowadzone w ramach tajnych stowarzyszeń naukowo-literackich Filomatów i Filaretów zlikwidowanych po głośnym śledztwie i procesie (1824) prowadzonym pod nadzorem satrapy, senatora Nikołaja Nowosilcowa, pełnomocnika carskiego w Królestwie Polskim (Kongresowym). Skazano wówczas 10 filomatów, wśród nich Tomasza Zana na rok twierdzy, zaś Jana Czeczota i Adama Suzina na pół roku, a potem na tzw. *posielenie*. Za nimi poszli na zesłanie tzw. Czarni Bracia z gimnazjum w Krożach na Żmudzi, wobec których wydany wyrok zalecał: „ekspedycję tych przestępców dokonać należy pocztą przez umyślnych żandarmów gubernialnych aż do miejsca przeznaczenia, natomiast koszta na nią łożone, poszukiwać na nich, a w razie ich ubóstwa, na ich rodzicach i krewnych [...]"[1].

---

[1] Cyt. za: *Archiwum Filomatów. Listy z zesłania. Krąg Onufrego Pietraszkiewicza i Cypriana Daszkiewicza,* t. 1. Zebrał, opracował i wstępami opatrzył Z. Sudolski przy współpracy M. Grzebień, Warszawa 1997, s. 17.

Pamięć o nich pobrzmiewa w *III części Dziadów* (scena 1) Adama Mickiewicza:

Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonymi głowami – na nogach okuci,
Biedne chłopcy! Najmłodszy, dziesięć lat nieboże.

Na tzw. linię orenburską powędrowali zesłańczym szlakiem wspomniani powyżej skazańcy i, jak słusznie podkreśla Z. Sudolski, był to naprawdę:

> Pierwszy, najtrudniejszy kierunek zesłania dochodzący niemal do „punktu zmierzchu cywilizacji", jak mawiał Norwid, dotyczył więźniów kroskich i głównych przywódców Filomatów i Filaretów. To oni pierwsi z wówczas osądzonych dotarli do progu właściwej Syberii, przed Uralem, do Orenburga i Orska. Oddzieleni zostali od kraju rodzinnego o blisko 3 tysiące kilometrów. Tędy prowadził główny trakt syberyjski, dalej przez Ural do stolicy Syberii Zachodniej Tobolska. Pasmo Uralu było granicą, od której zaczynał się inny świat, wszystko trzeba było widzieć w innym wymiarze. To był pierwszy krąg piekła, inferno zesłańców politycznych, które w XVIII wieku przekroczyli konfederaci barscy.
> Miejscowa twierdza orenburska strzegła wschodnich rubieży cesarstwa od ludów stepowych[2].

W epoce powolnego zawojowywania Kazachstanu przez Rosjan, Polacy także mieli w tym swój mimowolny udział. Jednakże polskie związki z Kazachstanem należy rozpatrywać nie tylko w aspekcie martyrologicznym. Wbrew trudnym warunkom, w jakich przyszło im tam żyć, osiągnęli wiele. Ważna i godna podkreślenia jest ich rola kulturowa na tych ziemiach.

Teksty w książce są tak dobrane, by ukazywały, jak dochodziło do twórczego wkładu Polaków w poznanie tej krainy. Pokazują, że Kazachstan był dla Polaków nie tylko miejscem cierpienia, ale że na przekór zesłaniom dali oni tej ziemi swój trud, wiedzę i pasję poznawczą, przyczyniając się do poznania kultury jej autochtonicznych mieszkańców, zasobów naturalnych oraz do jej zagospodarowania.

Na długi czas prawie zaginęła pamięć o nich – o ich osiągnięciach na zesłańczych szlakach. Aby ją przywrócić, trzeba było żmudnych poszukiwań źródłowych. Wkład naszych rodaków w poznanie Kazachstanu okazał się imponujący.

Ważne jest, by pisali o tym polscy, rosyjscy i kazachscy autorzy, by nadal wspólnie podejmowali ten badawczy trud nad dziejami Polaków w nauce, kulturze, gospodarce Kazachstanu i przywracali ich naszej pamięci.

---

[2] Ibidem, s. 17.

1.
Filomaci i Czarni Bracia

Tomasz Zan

Można powiedzieć, że pobyt w Orenburgu sprzyjał Zanowi, bowiem oprócz urzędniczych obowiązków mógł zajmować się obserwacjami z zakresu geologii i przyrody rozległego Kraju Orenburskiego, którego rozpoznanie leżało w interesie kolonialnych zamierzeń rosyjskich. Praca ta pochłaniała go bezgranicznie, a przez Kazachów nazywany był „miłośnikiem kamieni". Interesował się występowaniem piasków złotonośnych w stepach kazachskich, które zlokalizował i przebadał ich procentową wydajność. Kolekcjonował także liczne okazy flory i fauny, zabytki etnograficzne i historyczne oraz różnorodny materiał geologiczny – skały górskie, rudy, minerały, skamieliny.

Wspólnie z zesłańcem **księdzem Michałem Zielonką,** z którym Zan pozostawał w bliskich kontaktach, założył Muzeum Przyrodnicze, w którym znalazły się zbiory geologiczne, okazy botaniczne, zoologiczne oraz etnograficzne i historyczne, takie jak: odzież tubylcza, okazy broni, zbiory archeologiczne, numizmaty, mapy, sztychy i portrety, różne rękopisy i wiele innych. Wielość eksponatów nadawała placówce znaczący charakter w tej części ówczesnej Rosji, a sława Zana niosła się daleko w step i do urzędów gubernatorskich. Spełniał swoje obowiązki ze starannością, był lubiany i szanowany. Zlecano mu różne zajęcia, z których najbardziej lubił wycieczki w stepy, odpowiadające „zamiłowaniom do kamieni", rozwiniętym na studiach w Wilnie.

Wedle pewnych przekazów, gdy w 1837 roku Zan został ułaskawiony, zbiory, które pozostawił w utworzonym muzeum w Orenburgu, składały się z 1500 okazów skał górskich, 150 rud i kopalin, 610 minerałów, 13 zielników, w których było 1800 roślin, a także różnych spreparowanych okazów ptaków, owadów i zwierząt oraz eksponatów etnograficznych, map i rękopisów. Nic przeto dziwnego, że uważany jest za postać wielce zasłużoną dla tej ziemi, przypominaną od czasu do czasu w publikacjach jej poświęconych.

Zyskawszy przyjaźń w osobie znanego w Orenburgu pułkownika Stanisława Ciołkowskiego – który zaangażował Zana do nauki języka polskiego i francuskiego swych dzieci – został on wprowadzony w środowisko miejscowych autorytetów, którzy – mimo iż zesłani Polacy określani byli często *buntowszczykami* – okazywali

im swą przyjaźń, współczucie i pomoc. W jednym z listów pisanych do filarety Onufrego Pietraszkiewicza, Zan informował:

> Znajomy jestem z całym Orenburgiem, który dla mnie okazuje się być gościnnym, uprzejmym i cywilizowańszym. Wyższych jego mieszkańców składają urzędnicy wojskowi, naszemu krajowi obowiązani i z najlepszej strony jego charakter znający. Tak ujęty i obłaskany jestem ich przyjmowaniem serdecznym, żem musiał zapominać srogości, jaką mnie uciskać z obowiązku swojego powinni byli, i być nawet wdzięcznym niektórym [...]. Są tu ludzie znający kraj ten i ziemię dość ciekawą, bardzo mało nam znajomą. A my tu bez siły, bez pobudek i celu na step wyrzuceni, ledwo przez pamięć szczęśliwej przeszłości życie swoje czuć możem [...][1].

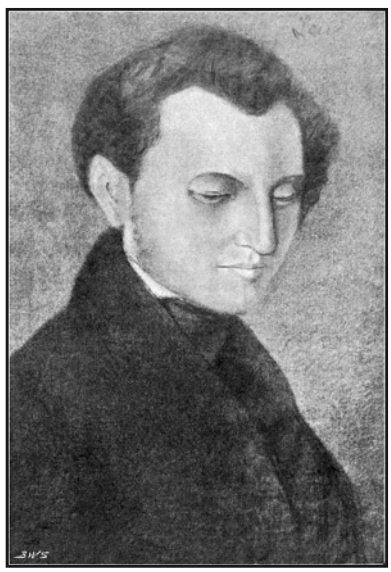

Tomasz Zan

Pozycja społeczna **Tomasza Zana** w Orenburgu miała niepoślednie znaczenie dla jego działalności badawczej. Mógł swobodnie przenosić się z miejsca na miejsce. Często bywał w stepach, prowadząc obserwacje o charakterze etnograficznym, przede wszystkim wśród Kałmuków i Kazachów.

Cieszył się dobrą opinią, szacunkiem i życzliwością władz Orenburga, w których znalazł jako taką ostoję.

Z całego bogactwa jego czynów najpełniej jawi się zesłańczy okres orenburski.Wiemy, że podczas pobytu w Orenburgu Zan czuł się tam dobrze i spokojnie, nie cierpiał niedostatku, a szacunek miejscowych urzędników oraz ludzi z wpływowych środowisk dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Jego dorobek dotyczący poznania kazachskich stepów i ludzi tam mieszkających nie został jeszcze w pełni opracowany, wiadomo jednak, że lata zesłania wiązały się z pracą w kancelarii generała-gubernatora W. Perowskiego. Dawało mu to możliwość odbywania licznych podróży. Jedna z nich miała np. na celu odnalezienie miejsc, gdzie „rozsypał się złoty piasek", jak pisał w jednym ze swych listów. Często wyruszał w mało dostępne rejony stepu, prowadząc eksploracje geologiczne, prace kartograficzne i klimatologiczne. Przy tym wszystkim nie krył podziwu dla miejscowych ludów – Kazachów i Baszkirów, którzy odwzajemniali ten szacunek, wspomagając niejednokrotnie w trudnych warunkach stepowego życia. Zgodnie z wyniesionymi z kręgu społeczności filomackiej zasadami poszanowania wiedzy i jej praktycznego znaczenia dla rozwoju i postępu, był człowiekiem nad wyraz praktycznym. Swoje terenowe zapisy przyoblekał w pełniejsze opracowania, był też autorem mapy geologicznej południowego Uralu.

---

1 *Archiwum Filomatów*, t. I. *Na zesłaniu*, pod red. Cz. Zgorzelskiego, Wrocław 1973, s. 105–106.

Podróżując jesienią 1832 roku, spotkał w stepie Polaków prowadzących eksploracje geologiczne i stwierdził w swej korespondencji, iż polscy górnicy ożywili tam ruch poszukiwawczy naturalnych skarbów ukrytych w ziemi, i tak: **Wasiukiewicz** poszukiwał złóż węgla kamiennego, **Owsianego** interesowała metalurgia, a **Popławski** w opuszczonych dolinach eksploatował złotonośne piaski. Zarówno potrzeba bycia użytecznym, a także podejmowanie zadań kojących zesłanie, jak i osobowość zniewolonych skłaniały ich ku działaniom pożytecznym, ku przyrodzie, prowadząc bowiem prace penetracyjne na tych obszarach, czuli się w pewien sposób ludźmi wolnymi od nadzoru i rygorów. Oto jak wspominał Zana zesłaniec Bronisław Zaleski:

> Zan prędko znajomy był bardzo wielu, pracował, a oddawszy się naukom przyrodzonym, głównie zaś geologii, niejedną usługę oddał władzom miejscowym w kraju tak bogatym, a o którym one nie wiedziały nic zgoła. Robił częste wycieczki do stepu i Kirgizów jako dzieci natury lubił, przez nich też lubiany, znany był w aułach pod nazwaniem „miłośnika kamieni", bo te w wycieczkach swoich zbierał. Szanowany powszechnie przez A. von Humboldta, nawet po jego podróży po Azji Centralnej, Mikołajowi zalecany jako największa tych stron osobowość, przebywał w Orenburgu lat blisko dwadzieścia i ledwo wtenczas, za wielkim staraniem, przez Petersburg wrócić potrafił. Dla towarzystwa rosyjskiego natura jego tkliwa, poetyczna, do mistycyzmu skłonna, nie była pojętną, wielu nazywało go marzycielem i rzadko kto mógł to życie prawdziwie ewangeliczne ocenić, wszakże w kilkanaście lat jeszcze po jego wyjeździe z Orenburga spotykały się tam osoby z zapałem utrzymujące, że gdyby takich ludzi pięciu było na ziemi jak Zan, to by świat cały przetworzyli, nie wylawszy kropli krwi[2].

Zan spotkał się ze wspomnianym Adolfem von Humboldtem, kiedy ten wybitny uczony niemiecki podróżował po Rosji. Wiemy, iż odwiedził wówczas Ural, Ałtaj i tereny leżące nad Morzem Kaspijskim. Z kalendarium wyprawy wynika, iż słynny przyrodnik, geograf i podróżnik niemiecki od lipca do września 1829 roku przebywał w Omsku, Troicku, Złotauście, Orenburgu, Uralsku, Buzułuku oraz w twierdzach tanałyckiej, orskiej i wielu innych. Jeden z polskich zesłańców z kręgu Czarnych Braci, krożanin **Alojzy Pieślak**, pisząc o spotkaniu z uczonym, informował:

> Kiedym przyjechał do twierdzy orskiej, zgłosiłem się do niego, on natomiast wypytał mnie szczegółowo o prowadzone przeze mnie prace w dziedzinie nauk przyrodniczych. Był niepomiernie zdziwiony, gdy w bibliotece mojego towarzysza Witkiewicza zobaczył 18 tomów swoich dzieł i gdy dowiedział się, że studiuje on języki wschodnie i że w sumie zna 19 języków łącznie z europejskimi[3].

---

2 B. Zaleski, op. cit., s. 39.

3 *Zapiski Pieślaka. Soobszczenije M.W. Łosiejewskiego*, „Istoriczeskij Wiestnik" 1883, t. XIII, nr 9, s. 583–584.

Biografowie podkreślają, że wspomniane wcześniej spotkanie z von Humboldtem było istotnym wydarzeniem w życiu Zana, bowiem wzmiankowany wyżej uczony niemiecki, poznawszy Polaka i jego pasje badawcze, zwrócił się do władz o uwolnienie go z niewoli. Prośba von Humboldta została spełniona i w 1837 roku Zan wyjechał do Petersburga. Pracował tam w Bibliotece Instytutu Górniczego. Jednakże jego zdrowie, nadwerężone ciężkimi przejściami, bardzo się pogorszyło; otrzymał urlop i w 1841 roku powrócił do kraju – na Litwę. Był urzędnikiem, lustratorem dóbr rządowych, rolnikiem i przyrodnikiem badającym przyrodę doliny Niemna.

W końcu osiadł w skromnym majątku Kochaczyn w guberni mohylewskiej (obecnie Białoruś) i ożenił się z Brygidą Świętorzecką. Owocem tego związku było czterech synów: Aldon, Stanisław, Wiktor i Klemens. Zmarł w 1855 roku w wieku 59 lat w Kochaczynie i pochowany został na parafialnym cmentarzu w Smolanach. Tam do dzisiaj jest jego grób, w którym spoczywa także żona i ich syn Staś, zmarły jako niemowlę.

Do ostatnich dni życia zajmował się opracowywaniem materiałów zgromadzonych w terenie. Jego pamiętniki wydała z autografu Maria Dunajówna jako: *Z wygnania. Dziennik z lat 1824–32*, (Wilno 1929). Ponadto jeszcze w XIX wieku ukazały się w Krakowie (1863) jego listy kierowane do różnych osób, zebrane w tomie *Żywot i korespondencje Tomasza Zana*. Kilkadziesiąt listów drukowano także w czasopiśmie „Kronika Rodzinna" (1883–1888), pod ogólnym tytułem *Listy Tomasza Zana do Karola Chodkiewicza*. W listach tych, obrazujących jego zesłańczy los, jest wiele wiadomości dotyczących miejsc, które poznał, będąc na zesłaniu. Są w nich także informacje przyrodnicze i etnograficzne, te ostatnie odnoszą się do Baszkirów i Kirgizów.

Bogactwo faktów związanych z życiem Tomasza Zana uzupełnić jeszcze wypada informacją, że w Warszawie mieszkają obecnie potomkowie „Promienistego", spadkobiercy patriotycznych tradycji rodu Zanów[4].

Ks. Michał Zielonka

Z postacią tego dominikanina, również zesłańca, łączy się wiele wątków dotyczących jego duszpasterzowania w Orenburgu oraz licznych wyjazdów w okolice tego miasta, gdzie spieszył do okolicznych twierdz, bo tam oczekiwali go ludzie chcący się wyspowiadać i choćby przez chwilę „pozostawać w łączności z Bogiem", słuchając Mszy świętej, czy ubogacając się rozmową z księdzem kapelanem.

Ks. Zielonka był ogromnie lubiany i ceniony – nawet przez orenburską administrację cywilną i wojskową. Zasługiwał na to swoją niezwykłą uczciwością, sumiennością, uczynnością – a bywało, że i ofiarnością. Był ofiarnym duszpasterzem,

---

4 A. Krępa, *Kresowe losy – wspomnienia potomków Tomasza Zana „Promienistego"*, „Wspólnota Polska". Pismo poświęcone Polonii i Polakom za granicą, nr 4, 2009, s. 38–41; E. Ziółkowska, *Wigilia u Tomasza Zana*, „Zesłaniec" nr 57, 2014, s. 3–6.

opiekunem zesłańców, wśród których wielu zawdzięczało mu duchowe wsparcie, a jak byli w potrzebie to i materialne. Podejmował wiele działań na rzecz zesłańców, aktywnie wspierał filomatę T. Zana w działaniach na rzecz otworzenia przez niego muzeum w Orenburgu. Po jego wyjeździe przejął opiekę nad tym muzeum i przyczynił się do dalszego rozwoju tej placówki. Jemu też zawdzięcza Orenburg rozbudowanie kościoła katolickiego. Generał Wasyl Perowski mianował go kapelanem Korpusu Orenburskiego, o czym pisał zesłaniec Walerian Staniszewski:

> Kapelanem Orenburskiego Korpusu był za moich czasów ks. Michał Zielonka, ex-dominikanin i ex-prefekt szkół publicznych w Grodnie. Jeszcze przed r. 1830 zesłany został jako przestępca polityczny do Orenburga i tu już pozostał aż do śmierci, która zaskoczyła go w parę lat po moim powrocie do kraju. Była to osobistość dość tajemnicza i niełatwa do odgadnięcia. Sądzono o nim rozmaicie, ale ja nie miałem sposobności przekonać się o żadnej jego stronie wybitnie ujemnej. Do stron zaś dobrych należało liczyć chętną jego usłużność w każdym wypadku, gdzie trzeba było dołożyć starania i zabiegów protekcyjnych. Każdy, kto tylko nie miał nieszczęścia narazić się jemu w jaki sposób, byleby grzecznie się pokłonił a pięknie poprosił, mógł być pewnym, że ks. prefekt nie poszczędzi swojej fatygi i sprawy jego nie zaśpi. Mieszkając od tylu lat w jednym miejscu, miał stosunki zażyłości lub znajomości z mieszkańcami wszystkich sfer od najwyższej do najniższej; wszyscy mieli dla niego znaczne względy i poważanie. Jeżeli więc czyj interes wziął szczerze do serca, to protekcja jego nigdy prawie nie była daremną. Miał też ks. Zielonka liczną pod tym względem klientelę i pędził życie nadzwyczaj czynne. Za wyłączeniem godziny obiadowej i poobiedniego wypoczynku, nigdy nie zastałeś go w domu. Od rana do wieczora jeździł wzdłuż i w poprzek Orenburga, forytując rozmaite sprawy. Wieczorem zajmował się korespondencją, która była bardzo obszerną. Z każdej poczty roznosiciel oddawał mu po kilka, a czasem i kilkanaście listów; licząc, że między nimi było wiele pisanych do naszych braci pod adresem księdza Zielonki, pozostawało jeszcze dość takich, które pisane były do niego samego i na które wypadało mu odpisywać. […] Kościół orenburski był schludny i porządnie utrzymany. Nie było przy nim dzwonów, schodziliśmy się więc na nabożeństwo w oznaczonej godzinie. Nie było także za moich czasów organów, bo dopiero staraniem jakiejś pani z kraju miały być nadesłane później. W czasie nabożeństwa śpiewano na chórze i na kościele zwykłe nabożne pieśni, które lubo nie artystycznie wykonywane, były jednak miłym przypomnieniem tego,

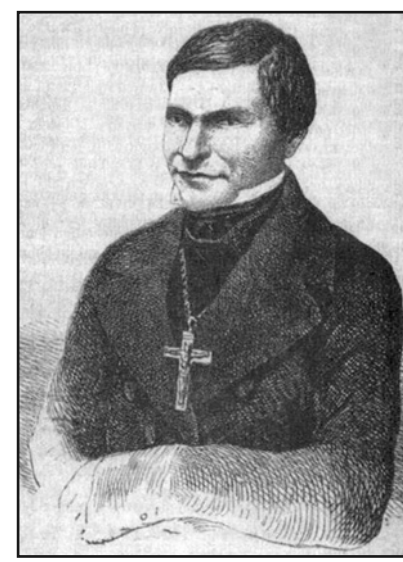

Ks. Michał Zielonka, o. Kandyd

co się niegdyś słyszało w parafialnym kościółku rodzinnej ziemi, a stąd budziły w sercu niewypowiedzianą rzewność. Najsilniej zaś drgała ta struna rzewności, kiedy z piersi wszystkich obecnych w kościele zabrzmiał wspaniały śpiew suplikacyjny: *„Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!”*. Rzewne to wrażenie chłodniało dopiero przy ostatniej zwrotce, którą ksiądz kapelan zwykle kończył suplikacją, ale też śpiewał ją zawsze solo i ani jeden głos z kościoła nie towarzyszył mu.
Nabożeństwa w kościółku orenburskim odbywały się tylko w niedziele i święta uroczyste[5].

Należy podkreślić, że wielkość ks. Michała Zielonki ujawniła się najbardziej w jego kontaktach z zesłańcami oraz w służbie Kościołowi i wiernym.

Adam Suzin

Adam Suzin

Z ramienia Komisji Granicznej w Orenburgu nadzorował stosunki handlowe z południową Azją oraz sprawował nadzór nad plemionami koczowniczymi, których szacunek i przywiązanie zdobył sobie przez sprawiedliwe i ludzkie postępowanie.

Wędrując po kazachskich stepach, pilnie obserwował życie i obyczaje Kazachów, zabytki ich przeszłości i stosunki społeczne. W 1834 roku wyjechał z Orenburga w dłuższą podróż po stepach, by tam spotkać się z Baj-Muhamedem, synem chana Małej Ordy, przyjaźnie nastawionym do władz rosyjskich. Mianowanie Baj-Muhameda pięć lat później (1839) sułtanem Średniej Ordy pozwala przypuszczać, że podróż ta miała na celu pełniejsze poznanie jego poglądów na sprawy stosunków rosyjsko-kazachskich, a także przygotowanie innych lokalnych wodzów do akceptacji tego wyboru.

Pobyt w stepach pozwolił Suzinowi zapoznać się z niektórymi zwyczajami koczowników, widział ich wesela, uczty połączone z wyścigami, poznał warunki bytowania i układ stosunków społecznych. Był świadkiem różnych zdarzeń wypełniających życie rodzinne i stosunki rodowe. Ich opis zawarty w artykule *Wycieczka w Stepy Kirgiskie odbyta w 1834 r. przez Adama S.*, opublikowanym na łamach

[5] W. Staniszewski, *Pamiętniki więźnia stanu i zesłańca*. Tekst do druku przygotowali A. Gałkowski i W. Śliwowska, Warszawa 1994, s. 274–275.

„Kroniki Rodzinnej" (1870), świadczy niewątpliwie o zainteresowaniach Suzina realiami kulturowymi tych ludzi stepu.

Sądzę, iż nie będzie przesadą, jeśli uznamy go za pierwszego polskiego profesjonalnego obserwatora kultury Kazachów. Dodajmy zaraz, że zasłużył sobie na to w trudnych latach niewoli. Bo rzecz to istotna, wskazująca na pasję poznawczą tego człowieka, która była wyraźną opozycją do srogiego wyroku wydanego przecież tylko za nieprawomyślność wobec carskich porządków panujących w Wilnie.

Jan Prosper Witkiewicz

Jan Witkiewicz, jeden z Czarnych Braci, po zwolnieniu z karnej służby wojskowej został zatrudniony w Komisji Granicznej w Orenburgu. Poza funkcją tłumacza rozsądzał spory plemienne, obserwował handel z Bucharą, obsługiwał obce poselstwa i sam posłował do kazachskich bejów. Żywe zainteresowanie wzbudza do dzisiaj jego podróż do Afganistanu w latach 1837–1839, odbyta na polecenie władz rosyjskich rywalizujących z Anglią o wpływy w Azji Środkowej. Gdy wrócił z niej do Petersburga, popełnił samobójstwo lub został tam zamordowany, najprawdopodobniej z rozkazu jednego z wywiadów – angielskiego lub rosyjskiego. Śmierć ta była dla wszystkich zaskoczeniem – zarówno dla przyjaciół, jak i dla jego współpracowników.

Wspomnijmy, że Witkiewicz służył jakoby w pierwszej linii mającej za zadanie zapewnić Rosji jej interesy w Azji Środkowej. Utrzymywał bliskie kontakty z kazachskimi feudałami – łagodził spory między poszczególnymi grupami, pośredniczył w interesach handlowych i zwalczał nadużycia. Znając język kazachski, umiejętnie oceniał przeróżne sytuacje społeczno-polityczne właściwe tamtejszej ludności. Miało to duże znaczenie dla administracji rosyjskiej – zarówno cywilnej, jak i wojskowej – dążącej do powolnego, acz konsekwentnego opanowania tego rejonu Azji. Z różnych notatek Witkiewicza wynika jednoznacznie, iż zdawał sobie sprawę z tej formy ekspansji terytorialnej, widział też nieuchronność tego procesu, starał się jednak o to, by złagodzić do maksimum związane z tym uciążliwości spadające na tubylczą ludność. Był zdecydowanym przeciwnikiem ekstensywnej formy kolonizacji i jak tylko mógł, dbał o to, by oręż był w tym przypadku zupełnie zbędny.

Miał rozległe kontakty wśród starszyzny kazachskiej. Godził zwaśnione ordy, które w bezwzględnej walce o lokalne prawa wycinały się wzajemnie. Stosował zasadę dialogu dla załatwiania tych spraw, inspirował spotkania *bejów*, by nakłonić ich do pokojowego załatwiania konfliktów. Cieszył się dużym autorytetem wśród starszyzny kazachskiej, która uznawała go za człowieka uczciwego, gardzącego przemocą. W raportach składanych swym zwierzchnikom akcentował konieczność włączenia się Rosjan do ustalenia pokojowych stosunków na rozległych obszarach stepowych. Zdecydowanie przeciwstawiał się tym, którzy utrudniali ułożenie poprawnych stosunków między Rosjanami i Kazachami. Nakłaniał też Rosjan, by podległe imperium plemiona kazachskie otrzymały osłonę przed napadami Chiwańców. W tym celu dostarczył informacje dotyczące wojskowej sytuacji chanatu

Chiwy, podkreślając, że warowne budowle miast i twierdz chiwańskich są niedostatecznie przygotowane do obrony i przy zdecydowanym ataku rosyjskim legną w gruzach. W jego opinii Kazachowie byli zainteresowani wyprawą wojsk orenburskich przeciwko Chiwie, mając na względzie położenie kresu trwającym od lat grabieżom stad bydła i mienia. Sugerował, by wojska rosyjskie przeszły na rubież na pobrzeżu Syr-darii, tam bowiem Kazachowie czumiekiejewskiej ordy wędrowali na zimę ze swoimi stadami, by zapewnić im karmę. Często nieprzygotowani do walki z Chiwańcami, tracili stada, a poniesione straty w inwentarzu i sprzęcie osłabiały ich gospodarstwa z każdym rokiem.

Pracując w Orenburskiej Komisji Granicznej, wypełniał także Witkiewicz wiele sekretnych misji. Urząd ten miał za zadanie gromadzenie informacji o sytuacji społecznej, gospodarczej i ekonomicznej rozległych chanatów środkowoazjatyckich. Zadania te wynikały ze stałej dążności Rosji do poszerzania swoich wpływów w tych rejonach, o które rywalizowały Anglia i Rosja planujące zwiększyć swe wpływy w Persji i Afganistanie. Ponadto nie zaniedbywano gospodarczej penetracji, podejmując eksploracje o charakterze geologicznym, przyrodniczym, etnograficznym, mające stanowić oparcie dla umocnienia rosyjskiego panowania. W pracach tych polscy zesłańcy mieli także swój wkład.

Skoro mowa o penetracji polityczno-wojskowej, należy wspomnieć o ekspedycji Witkiewicza do Buchary. Wyjechał tam w składzie karawany kupieckiej w listopadzie 1835 roku. Miasto to było w owym czasie centrum handlu niewolnikami, wśród których było także wielu Rosjan. Już sam udział w kupieckiej karawanie pozwala domniemywać, że misja ta miała agenturalny charakter. Sprawozdanie z niej obfituje w różne informacje o charakterze politycznym, jak np. wiadomości o działających w Bucharze agentach angielskich, a także wykaz osób mogących odgrywać te role na rzecz Rosji. Są w nim także wiadomości o wojsku bucharskim i jego uzbrojeniu, o jej władcach oraz panujących w mieście nastrojach politycznych.

Witkiewicz, podając skład narodowościowy niewolników, uczynił także uwagę o pewnym Polaku o nazwisku **Michalski**, pochodzącym spod Zamościa, który pojmany w niewolę, gdy uciekał z twierdzy w Orenburgu, został uwięziony przez Kajsaków, a następnie sprzedany do Buchary. Widocznie Polak ów był nieprzeciętną osobą, skoro po pewnym czasie mianowano go „naczelnikiem" rosyjskich niewolników przebywających w Bucharze.

Witkiewicz należy do kontrowersyjnych postaci, a jego krótkie, choć burzliwe życie stało się kanwą wielu opracowań, w których opisy mają odniesienie do rzeczywistości i są w dużym stopniu wiarygodne, ale też i takich, gdzie opisy wyraźnie zostały sprowadzone do wersji bliskiej opowieści przygodowej.

W literaturze tej sam bohater jawi się w pozytywnych barwach, a jego życie spowite jest pasmem przedziwnych przygód. Wystarczy zastanowić się przez chwilę nad rodowodem wymienionych przez różnych autorów okoliczności związanych z jego tajemniczą śmiercią w Petersburgu, by nabrać przekonania, że owa różnorodność refleksji i relacji z tym związanych czyni tę śmierć nadal zagadkową.

Prawdopodobny był też jego wallenrodyzm – dążność do zniszczenia Rosji poprzez wplątanie jej w wojnę z Afganistanem. Pisał o tym między innymi Henryk Mościcki, konkludując:

> Czy rozmyślnie wciągnąć usiłował Rosję do niefortunnej dla niej wojny? Byłże zatem Wallenrodem w mundurze kozackiego atamana. Tak należy przypuszczać. W tej nieposkromionej poniewierką wygnańczej duszy litewskiej żarzyły się jeszcze iskry dawnego ognia, niepospolita głowa Czarnego Brata snuła w samotni stepowej jakieś olbrzymie plany mściwych walk i bojów[6].

Rywalizacja między Imperium Rosyjskim a Wielką Brytanią o tę newralgiczną część Azji, w której Afganistan stanowił obszar pożądania ze strony tej ostatniej, to wedle niektórych siła sprawcza misji Witkiewicza. A nie była ona wcale łatwym zadaniem, jeśli wziąć pod uwagę historyczną prawdę i siłę osaczających Afganistan angielskich zamierzeń. Są to okoliczności, na które zawsze zwracali uwagę piszący o Witkiewiczu. Prowadziło to nieraz do uproszczonych konkluzji budzących nieufność, kiedy indziej znowu pochwałę charakteru umiejętności dyplomatycznych tego jednego z Czarnych Braci, który, podobnie jak liczne rzesze polskich zesłańców, miał dążyć do zminimalizowania siły wrogiego caratu, sprawcy polskich nieszczęść narodowych. W ten drugi nurt poglądów wpisała się także ostatnio Maria Janion, stwierdzając:

> Ktoś, kto chciał klęski Rosji carskiej, życzył jej konfliktu z Anglią. Witkiewicz zatem, doprowadziwszy do zatargu angielsko-rosyjskiego, pragnąłby popchnąć Rosję do tego, czego nie chciała, obawiając się – i słusznie […] – wielkiego dla siebie niebezpieczeństwa?[7]

Dla mnie te zróżnicowane okoliczności rosyjskiej misji w tej części Orientu, podnoszone przez polskich i rosyjskich autorów piszących o Witkiewiczu, a ostatnio drobiazgowo zaprezentowane przez M. Chrostka[8], czynią możliwym scenariusz, iż u podstaw jego tajemniczej śmierci w Petersburgu w maju 1839 roku leżały misternie utkane działania służb wywiadu, skutecznie zacierające wszelkie ślady z nią związane. Nawet jego pogrzeb był tajemniczy i do dzisiaj nie udało się ustalić miejsca pochówku na jednym z petersburskich cmentarzy. Zawsze tego rodzaju okoliczności towarzyszące życiu ludzi stwarzają okazję do różnorodnych interpretacji ich przeżyć, opowiedzianych na wiele sposobów, a co szczególnie ważne – napisanych ciekawie i niedających się wykreślić z kart historii. Zapomnienie jest akurat w odniesieniu do postaci Witkiewicza niemożliwe. Pamięć o nim powraca z różną częstotliwością. Autorski dialog w jego sprawie toczy się nadal, a współczesna ro-

---

6 H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza. Tło historyczne trzeciej części „Dziadów"*, Warszawa 1908, s. 104.

7 M. Janion, *Wallenrodowie linii orenburskiej. Jan Witkiewicz. Zygmunt Sierakowski*, „Przegląd Wschodni" 1991, t. 1, z. 2, s. 318.

8 M. Chrostek, *Etos dziewiętnastowiecznych zesłańców*, Wrocław 2008, s. 201–225.

syjska książka o *„Batyrze”*, napisana przez Michaiła Siemionowa, opatrzona została notą, iż stanowi ona:

> opowieść o człowieku dziwnym, o tragicznym życiu – jednym z pierwszych rosyjskich znawców Wschodu. Opowieść o człowieku, którego wysocy dygnitarze carskiej Rosji uznali za przestępcę państwowego; agenci angielskiego Intelligence Service – za świetnego rosyjskiego wywiadowcę; mądry Humboldt i genialny Puszkin – za niepospolitego uczonego, że Witkiewicz to człowiek bystrego oka, wielkiego rozumu i dobrego serca[9].

Wiktor Iwaszkiewicz

Po zwolnieniu ze służby w karnych batalionach fortecznych i przebywając na przymusowym osiedleniu, Wiktor Iwaszkiewicz został zatrudniony w Orenburskiej Komisji Granicznej. Ze względu na chorobę wystąpił ze służby wojskowej, pozostał jednak urzędnikiem ze specjalnymi zadaniami przy naczelniku Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich. Od 1848 roku dysponował zgodą monarszą na zatrudnienie w służbie cywilnej na terenie Syberii Zachodniej, pod warunkiem, że pozostanie na jej obszarze na zawsze poddany tajnemu nadzorowi ochrony.

Ożenił się z Polką i pozostał na terenie Syberii. Miał rangę radcy tytularnego i pracował jako asesor w tobolskim zarządzie gubernialnym. Nie posiadamy pełniejszych danych źródłowych, by móc dokładniej przedstawić biogram tej postaci. To, co jej dotyczy, odnosi się w większości do okresu pozostawania w służbie wojskowej. Jej rodzaj – poza okresem przebywania w batalionie liniowym – związany był z pracą o charakterze administracyjnym. Z różnych papierów urzędowych zachowanych w Kazachstańskim Archiwum Państwowym w Ałmaty wynika, że Iwaszkiewicz włączony był w sprawy związane z penetrowaniem stepów kazachskich pod względem gromadzenia informacji o stosunkach zachodzących między Kazachami a Rosjanami, o różnicach dzielących kazachskie rody, a dotyczących stosunku do rosyjskiego władztwa na tych obszarach.

Wiadomo, że uczestniczył w ekspedycji naczelnika Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich generała Mikołaja Wiszniewskiego, związanej z przyjęciem Wielkiej Ordy w skład imperium carskiego. Był organizatorem uroczystości, podczas której odbierano przysięgę sułtanów i naczelników rodów *starszego żusa*, zgromadzonych na uroczysku Kzył-Agacz. Przysięgali oni wówczas „wiernie i szczerze służyć” carowi rosyjskiemu, stosować się do wszystkich praw i nakazów, być posłusznym we wszystkim jego woli, nie „szczędząc życia, do ostatniej kropli krwi”. Iwaszkiewicz, „który uczestniczył w ostatecznym prawnym uregulowaniu przyłączenia *starszego żusa* do Rosji, wykazał przy tym niepospolite zdolności dyplomaty i administratora”.

---

9 M. Siemionow, *Dipłomaticzeskij agient*, Moskwa 1959. Cyt. za: M. Chrostek, op. cit.

2.

W KRĘGU TWÓRCÓW KULTURY

Gustaw Zieliński – poetyckie strofy

Na drodze wiodącej do pełniejszego ukazania związków polsko-kazachskich w XIX wieku pojawia się twórczość poetycka Gustawa Zielińskiego (1809–1881), uczestnika powstania listopadowego[10]. Po jego upadku uniknął zesłania. Został aresztowany za pomoc żołnierzom związanym z partyzantką polistopadową. Skazany został na bezterminowe osiedlenie na Syberii.

W 1834 roku wyruszył na zesłańczy szlak. Jechał pod eskortą i w kajdanach, a z zachowanej korespondencji opisującej tę drogę wynika, że mimo silnego poczucia rozłąki z krajem nie użalał się nad swoim losem. Pisał o mijanych miastach – Smoleńsku, Włodzimierzu, Niżnowgorodzie, Kazaniu, a ich opisy były swoistą sztuką tworzenia samodzielnego oglądu nowego dlań świata. W czasie podróży miał oczy szeroko otwarte, dzięki czemu przedstawił wiele sugestywnych opisów dotyczących tej drogi, których trudno by szukać w innych relacjach zesłańczych. Była to droga pełna nieustannych odkryć, zwłaszcza fascynacji przyrodą. Wśród owych opisów interesujący jest obraz Uralu:

Gustaw Zieliński w czasie zesłania ok. 1835 roku

> Niepodobna jednak, abym ci nie opisał prawdziwie zachwycającego widoku, jakiego doznałem w przejeździe gór uralskich. Jednego poranku, nim słońce wzeszło, gdy wszystko ciemną mgłą było pokryte tak dalece, że przedmioty na kilkadziesiąt kroków odległe stały się niewidzialne, pierwszy raz wjechaliśmy w gór pasma. Kiedyśmy się podnieśli na wierzchołek góry, wzeszło słońce, mgły opadły i najpiękniejszy zabłysnął poranek. Mgła nie opadła zupełnie – my tylko byliśmy nad jej granicą. Ona pokryła całą przestrzeń. Wyjąwszy najwyższych wierzchołków gór

[10] M. Stogowska, *Wpisany w epokę. Gustaw Zieliński 1809–1881*, Płock 1996.

jodłami obsypanych, na których odbijały się promienie wschodzącego słońca. Te wierzchołki gór jaśnią wydobyte, wydawały się na kształt wysp rozrzuconych na nie mającym końca wysp oceanie, w świeży wietrzyk, wzruszając mgieł tumany, nadawał im postać bałwanów wzburzonego morza, lekkość mgły pozwalała w części rozpoznać przedmioty pod nią się znajdujące, lecz złudzenia optyczne i imaginacja, w miejscu świerkowych i jodłowych lasów tworzyła zamki, miasta i ogrody. Było to coś zachwycającego! Raz zdawało mi się, że widzę jakąś czarodziejską krainę podwodną, to znów przeniosłem się w te czasy, gdzie Bóg zepsuty ród ludzki karał potopem, a telega na której jechałem zdawała mi się być arką zbawienną spośród powszechnego zniszczenia. To znów… ale pomyślisz sobie może: szczęśliwy mający bujną imaginację! Oni tam widzą róże, gdzie kwitnie rumianek, niebo im się uśmiecha w oczach jakiegoś koczkodana, a tam sobie tworzą ideał, gdzie nędza ziemska panuje. Prawda zjechaliśmy z góry, znów nas mgły odziały, zachwycające zjawisko – została naga rzeczywistość. Góry, rzeki, miasta, wsie, urodzajne pola, odłogi, lasy, stepy ciągle się przemieniając, ciągle niknąc i znów się ukazując mojemu oku, wzbudziły we mnie różne, dziwaczne, niepojęte uczucia. Dodając do tego wspomnienia przeszłości, przyszłości marzenia, ruch ciągły myśli przenoszącej się w różne czasy, miejsca i stosunki imaginacją porywają w jakieś nadziemskie nie istniejące krainy[11].

Czas tej wędrówki „przez miasta i strony nieznane" zakończył się w Tobolsku, mieście pobytu polskich i rosyjskich zesłańców. Zawarte tu znajomości, zwłaszcza z dekabrystami, których działalność łączyła się z poszukiwaniem drogi do wolności, ubogacały życie naszego zesłańca.

Korzystał tu z księgozbioru tzw. **„latającej biblioteczki" założonej przez Onufrego Pietraszkiewicza** oraz uczestniczył w tzw. **„Akademii Zesłańców" zorganizowanej przez Aleksandra Odojewskiego**, świetnego znawcę literatury rosyjskiej. W Tobolsku przetłumaczył kilka wierszy rosyjskich poetów, a przebywając wśród garstki myślących podobnie jak on zesłańców, znajdował w kontakcie z nimi dopełnienie swej osobowości przepojonej ideałami wolności. W listach do siostry Eufrozyny ukazywał ów „wolnościowy" obraz miasta, nie szczędząc także informacji o samym mieście, jego topografii, przyrodzie, ludziach i kulturze. Są to z uwagi na wielość kontekstów ciekawe obrazy, jakie wyszły spod pióra zesłańca-poety, poświęcone temu miastu i okolicom, które charakteryzował następująco:

Na zachód, dolne miasto, którego widzę każdą ulicę, każdy dom, każdy ogródek, które zwężone u stóp moich coraz się rozszerza, którego główne ulice długie i szerokie, z jednego prawie dobywającego się punktu i rozchodzące się w oddali, porównać można do promieni rozchodzącego się wachlarza, którego przedziały zajmują ulice poprzeczne, cerkwie, domy i łaźnie, którego przedziały na kształt chińskiej materii, pokazują ci się w różnych kształtach, farbach i deseniach. Jeden

[11] A.M. Stogowska, *Literackie opisy Syberii Gustawa Zielińskiego,* [w:] *Polska a Syberia. Spotkanie dwóch światów. Materiały z konferencji naukowej. Łódź, 1–2 marca 2001 roku*, Łódź 2001, s. 171–172.

kolor cienko brunatny jest tłem całego obrazu, na którym wyraźniej: białe, żółte, czerwone i zielone odbijają się kolory. Ta farba brunatna, jest to farba czasu wypiętnowana na drewnianych budowlach, rozpierzchnionych wśród małych kwadratowych ogródków warzywnych. Tu tło zielone ogródków zdaje się być więcej charakterystycznym tłem obrazu, na którym domy i łaźnie są tylko rzutem brunatnym. Tu znów gdzie więcej ścieśnione są domy, zdaje się widzieć sam brunatny kolor bez odmiany. Tam znów plac obszerniej robi pewną przerwę w widokach tego obrazu, a dziewięć białych cerkwi. Z wybiegłymi wieżami, blaszanym dachem, pozłacanymi kopułami i kopułkami z mnóstwem odskoków i załamków w budowie, dwie ogniowe czterokątne wieżyce i dwadzieścia kilka murowanych domów tu i ówdzie rozrzuconych, białych, żółtych i różowych, jeśli wrócimy do porównania wachlarza, te cerkwie, te domy, ta rozmaita ilość kolorów, ten blask odbijającego się słońca od złoconych wierzchołków świątyń, porównać można do kwiatów fantastycznych, rzuconych na tle brunatnym materii, która coraz bardziej zamienia się w zieloność, oddalając od środkowego punktu i zlewa się nareszcie z pysznym łąk kobiercem otaczającym, którego obwódką z lewej strony nabrzeża wysoka góra, a z prawej Irtysz, półokręgiem smug całe miasto oblewający[12].

Tobolsk opuścił Zieliński w lipcu 1835 roku i wyjechał do Iszymia, miasta wyznaczonego mu na zesłańczy pobyt, w którym przebywali także inni polscy zesłańcy. Tam spotkał **Adolfa Januszkiewicza**, również powstańca listopadowego, przyjaciela Adama Mickiewicza, którego postać utrwalił poeta w *III części Dziadów*. Ważkie i interesujące to były kontakty, zwłaszcza w pierwszym okresie zesłania, w którym adoptował się do życia w odległym, prowincjonalnym Iszymie, o którym pisał do siostry:

Iszym leży w południowej stronie tobolskiej guberni, nad rzeką tegoż nazwiska, która miasto z trzech stron oblewa, a z czwartej rzeczka Karasula, wpadająca do Iszyma, nadająca miastu postać wyspy. Naokoło miasta jest step obszerny, na którym gdzieniegdzie jeszcze wioski spostrzegać się dają, o a 8 wiorst od miasta ciągnie się łańcuch gór, które widać były kiedyś brzegiem Iszyma. Od tych gór poczyna się step zwany „iszymski", który na kilkaset wiorst odległości nie przedstawia nic prócz kwiatów, trawy i krzaków. Miasto Iszym, pomimo, że jest obwodowe, nie jest duże: dwie główniejsze ulice i kilka poprzecznych stanowią całą jego rozległość. Domy drewniane i lubo niektóre porządne, będące własnością urzędników i kupców miejscowych, reszta bardzo mizerne i drogie, z powodu, że Iszym rzeka nie spławna, a las, z którego mieć można drzewo do budowy, przeszło wiorst 200 (ponad 200 km) od miejsca odległy. Z tych powodów trudno znaleźć do wynajęcia dobre pomieszczenie i jeśli lepsza gdzie kwatera, to ją trzeba przepłacać. Zresztą Iszym nie jest punktem handlowym i lubo przedmioty do życia potrzebne, tańszymi są tu niż w Tobolsku, jednakże inne, bez których obejść się nie można, drogością swoją taniość pierwszych równoważą. […] Okolice Iszyma są to okiem nieprzejrzane stepy, a których całą zimę rozciągnięta szata śnieżna iskrzy się pod

[12] M. Stogowska, *Wpisany w epokę…*, op. cit., s. 96–97.

promieniami zimowego słońca odbijającego się od tysięcznych gwiazd i kształtów, w jakie tutejszy śnieg jest skrystalizowanym, na których goniące wichry i burze zamieniają całą okolicę w tuman zamąconego oceanu. Z nadejściem wiosny, jakby różdżką czarnoksięską dotknięte, znikają śniegi i lody i w dniach kilku całe stepy zaczynają się zielenić, a pracowita ręka śpieszyć się musi z uprawą, aby korzystać z dni ciepłych krótkiego lata i żeby zebrać owoce, które w długiej jesieni i zimie mają wynagrodzić trudy odpoczywającego rolnika. Ziemia tutejsza w ogóle jest bardzo dobra, tak że nawóz zupełnie jest niepotrzebny – byłby nawet szkodliwym bujności plonów. Ta ziemia już zacząwszy od Uralu nie ma na swej powierzchni jednego kamyka: jest to sypiący się czarnoziem, prawie wszędzie jednakowy, wszędzie urodzajny, gdzieniegdzie widzieć można gliniaste grunta, a piaski pomiędzy osobliwości policzyć należy. Jednakże staranna uprawa niemało przyczynia się do bujności urodzajów. Grunt zaorany sochą, a później zawleczony żelaznymi bronami zaraz z początku wiosny, leży tak i przepala się na słońcu aż do chwili, w której rozpoczynają się sianożęcia, wtenczas na nowo zaoranym bywa i zawleczonym – i tak leży aż do śniegów zimowych, a dopiero z następną wiosną orze się, sieje i zawleka. Trzy więc razy około jednej roli pracować potrzeba, ażeby ta porządne przyniosła korzyści, radlenia i przeorywania tu nie znają, a nawet całkiem jest niepotrzebne. […]

Liczne trzody bydła rogatego, wśród bujnych wyhodowanego stepu, stanowią znaczną gałąź handlu tutejszej okolicy, bowiem na jarmarku zimowym odprawiającym się w Iszymie, masło, łój i skóry główny stanowią artykuł, a obrót jarmarczny przynajmniej na milion można rachować rubli. W czasie jarmarku oprócz kupców rosyjskich, widzieć można Tatarów, Kirgizów, a niekiedy Bucharców ze stepów środkowej Azji przybywających, za kupnem lub sprzedażą rozmaitych przedmiotów[13].

Cytowany tekst to zaledwie fragment wspomnianego listu. W innych miejscach autor pisał w nim o polowaniu, plonowaniu tutejszej ziemi, gatunkach zbóż, sianokosach, deszczach i pogodzie. Czynił też różne uwagi na temat etnosów Syberii Zachodniej, podkreślając, że ludność zajmująca się rolnictwem to w większości rodowici Rosjanie: albo byli zesłańcy, albo też dobrowolni przybysze zwabieni tu łatwością uzyskania ziemi, stworzoną przez kolonizacyjną politykę administracji carskiej Rosji. Nie omieszkał jednak zaznaczyć, że część tutejszych Tatarów zajmowała się rolnictwem poza głównym zajęciem, jakim było polowanie i rybołówstwo. Podobny przyrodniczo-krajobrazowy wątek pojawia się w następnym liście, tym razem adresowanym do Marii Damięckiej. Znajdujemy w nim już na początku refleksję o stepach:

Widok rozległego stepu ma wiele poezji, bo nawodzi jakieś tęskne, melancholijne uczucia, i pomimowolnie wzrok od ziemi odrywa ku niebu. Tu imaginacja nie wykreśla owych czarodziejskich pałaców, tak jakoś właściwych brylantowym złudzeniem pustyń powieści arabskich, owszem, zadymiony koczowy namiot Kirgi-

[13] Ibidem, s. 102–103, 105–106.

Kirgiz w stepie

za, koń jego i trzody, lepiej się układają do obrazu, którego tłem zieloność stepu, a ramionami – zapadający błękitny nieboskłon. Kirgizy, zamieszkujący znaczną przestrzeń środkowych pustyń Azji, których koczowiska, acz w małej liczbie i na Iszymskim stepie napotkać się dają. Kirgizy – są to potomkowie, wojowniczego niegdyś plemienia Mongołów, które pod wodzą Dżyngishana[14], Tamerlana[15], Batego[16] i innych, niewstrzymane ani murami Państwa Niebieskiego (Chin), ani wyżynami Himalajów, ani nurtami Eufratu, gdy już całej Azji było za mało, rozniosło postrach i spustoszenia aż do środka Europy. Ale nie zapuszczając się w badania historyczne lud, o którym mowa, jest wyłącznie pasterski, którego chów koni i bydła jest jedynym przemysłem. Nie wyobrażaj sobie, że pasterskie życie Kirgizów ma jakiekolwiek podobieństwo z owym *„Pays du Tendre"*, tak niegdyś zawracającym głowy społeczności XVIII-go wieku. Owe czułe, płaczące, kochające, wzdychające postaci arkadyjskich pasterzy i pasterek, całym niebem są odmienne od surowych, dzikich, gościnnych Kirgizów. Od Kirgizek tak dobrze toczących koniem, jak najlepszy jeździec. Od ich dziatwy, która się prawie rodzi na koniu[17].

---

14 Właściwe Temudżyn, zwany też Czyngis-chanem (ok. 1155–1227), twórca imperium mongolskiego; dzięki sprzyjającym układom politycznym w Azji oraz talentom wojskowym i organizacyjnym stworzył z koczowniczych plemion mongolskich i tureckich scentralizowane państwo.

15 Wódz plemion środkowoazjatyckich (1336–1405). Rezydował w Samarkandzie, popierał rozwój architektury, rzemiosła i handlu. Prowadził liczne wojny, podbił Irak i Zakaukazie, rozgromił Złotą Ordę.

16 Batu-chan (początek XIII wieku – 1255), wnuk Czyngis-chana, wybitny dowódca i organizator. Od 1243 roku organizował państwo Złotej Ordy, które zjednoczył ostatecznie w 1251 roku. W 1241 roku najechał Polskę i Węgry, docierając przez Chorwację i Dalmację do Adriatyku.

17 M. Stogowska, *Wpisany w epokę…*, op. cit., s. 109.

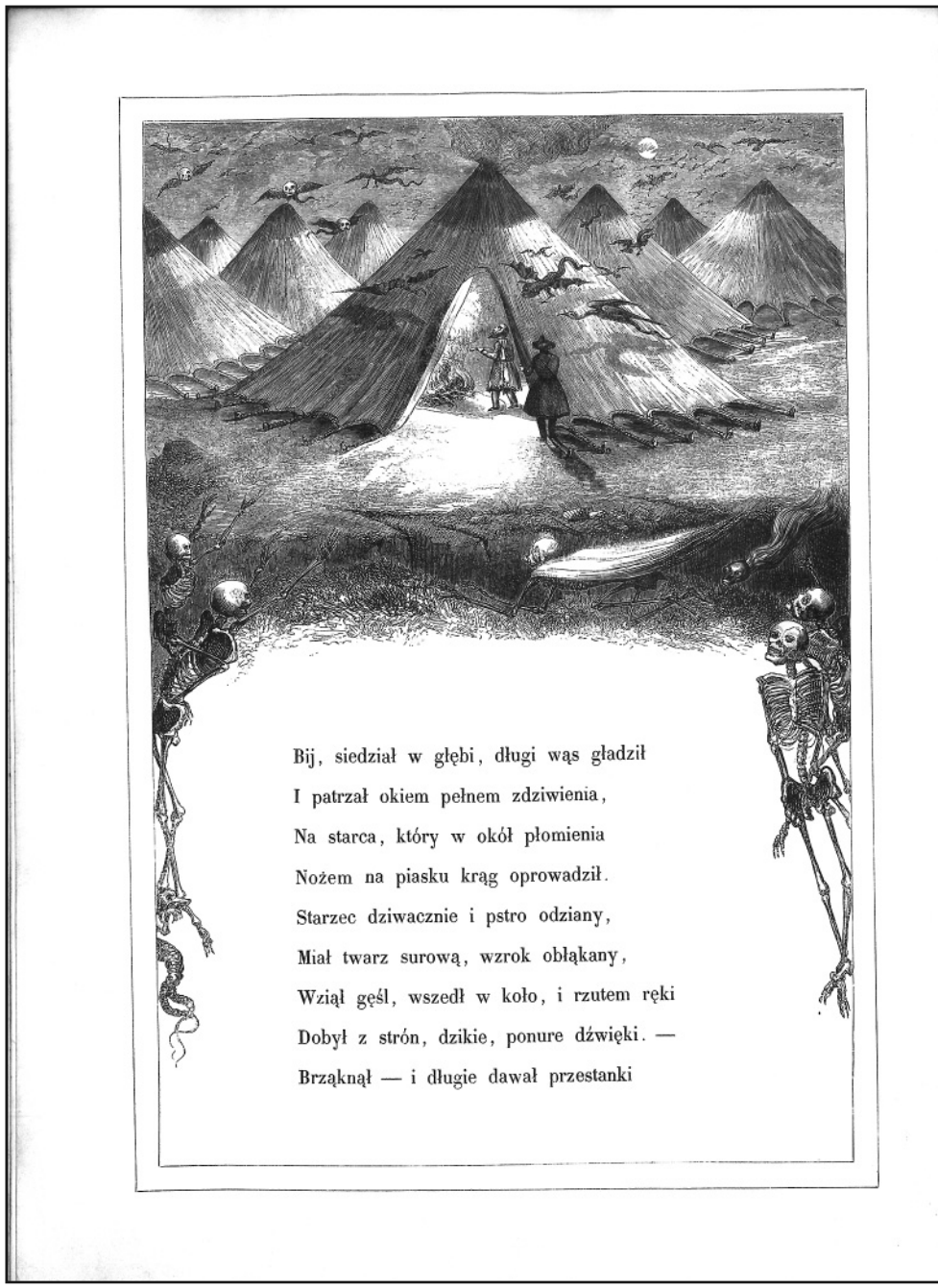

Strona z książki: „»Kirgiz« powieść przez Gustawa Zielińskiego". Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847

Myślę, że opisując poetycką drogę **G. Zielińskiego**, warto wspomnieć o tym, iż idąc po niej, czerpał z tego, co doświadczył w obcowaniu z tamtejszą przyrodą. Świat autochtonicznych mieszkańców kazachskich stepów o wiele więcej mógł mu ofiarować radości, gdyby nie fakt, że był on zniewolonym przez sądowy wyrok zesłańczym wędrowcem. Chętnie wędrował po stepach, bo one – oprócz doświadczania piękna – dawały mu pozory wolności:

> Zawróciłem konia i puściłem się w stepy. Jeszcze od brzegów góry widać gdzieniegdzie uprawne role, ja pędzę, oby je co prędzej stracić sprzed oczu, omijam łąki, pola, zarośla, omijam gaiki, siedlisko cietrzewia i zająca i nareszcie przybywam do miejsc, gdzie się drogi kończą, gdzie nikną wszelkie ślady pracowitej ręki i gdzie przede mną prawie niedojrzała równina powiewająca trawą i kwiatami.
> Jak tu miło odetchnąć. Zdaje się, że te miejsca zachowały dotąd też same formy, jakie miały w dniu pierwszym stworzenia, tylko pokłady przybyły, wegetacja wznosi się na wegetacji – zgon jeden jest drugich kolebką. Gdybym był badaczem natury, jakież dla mnie skarby na tej płaszczyźnie milionem usianej kwiatów! Tu liliowy irys, tu polna róża, tu błyszczący jaskier, tu skromny goździk wabi do siebie, a ileż tu kwiatów bez dna otwierają swoje korony – czekają historyka, który by opowiedział ich wzrost, miłostki i koniec. Jakżebym wzbogacił mój zielnik, może niejeden kwiat, nikomu dotąd nieznany, dziś jedyna ozdoba stepu, przekazałby moje imię potomnym w dziejach państwa roślinnego. Poeta w tej pięknej rozmaitości kwiatów, w tej grze kolorów i światła, widzi światy piastowane w łonie natury, widzi cuda w najdoskonalszej pomiędzy sobą harmonii, których łańcuch ciągle wiąże się z sobą, którego pierwsze ogniwo to trawka lub muszka, a ostatnie – myśl Przedwiecznego.
> Dalej i dalej okolica coraz dziksza, trawy bujniejsze, kwiaty coraz piękniejszych kolorów. Płonące słońce zakryło się chmurami, a od południa na kształt gór bazaltowych ciągną ciemnych chmur falangi, powietrze ciężkie, parne, płonące, grom słychać z daleka i wszystkie znaki zbliżającej się burzy, już połowa przede mną stepu znikła sprzed oczu, zaćmiona deszczem ulewnym, a dla mnie nie ma żadnego schronienia, bo na rozległych stepach jeden jest tylko namiot – niebios sklepienie. Ni drzewa, ni krzaczka, gdzie by podróżny głowę mógł złożyć. Na próżno pędzę, burza otoczyła mnie wokoło i nic nie widzę prócz strumieni deszczu i błyskawic i słyszę ciągły grom bijących piorunów. Piękny to widok burzy na stepach, gdzie wzburzone żywioły, niczym nie hamowane tym większą wywierają siłę swoją wściekłością i huk gromów mocniej się tu odbija, pęd wichru jest szaleńczy i błyski mają więcej ognia i przerażenia[18].

Takie wyprawy w step były zapewne dla poety czasem zapomnienia o realiach zesłania. Zarówno ten fragment listu, jak i kolejne jego wersy raz jeszcze potwierdzają szczególną atencję do przyrody, bo nie mogło być inaczej, kiedy doświadczało się rozległości stepów i ich kulturowych realiów. Stepowe wschody i zachody słońca,

[18] Ibidem, s. 109–110.

bezmiar przestrzeni, coś w rodzaju sielankowej krainy, w której żyli wędrowni pasterze, gdzie od czasu do czasu spotkać można było ich auły, to wszystko ubogaca wyobrażeniowe konteksty literackie jego poezji, która pozwala poruszać się po nieznanych, zaskakujących przestrzeniach. Nakazywał mu to duch romantycznego Orientu, który uwydatnia się w jego poematach. Jest w tych opisach ulubiona przez romantyków przyroda i jej tajemniczość, umiłowanie natury i szacunek dla niej.

A sprawy te odmalował autor nader realistycznie, co przybliża ową niezwykłą scenerię rozległych przestrzeni, wschodów i zachodów słońca, odgłosów dobiegających od wielbłądzich stad i nawoływań pastuchów. Dostrzegam tu wyraźny proces nabywania wiedzy o stepach i zrodzonej tutaj kompetencji poznawczej, w której splatały się wątki pejzażowe z realiami zesłańczego życia. I nie ma w tej twórczości poetyckiej separowania tych dwu spraw, wręcz przeciwnie – przenikają się one nawzajem, jak np. w bardzo osobistym wierszu *Na stepach*:

Na stepach

Ileż to razy człek w krainie ducha,
Chciałby zapomnieć o ziemskim padole,
I chciałby skruszyć żelazną niewolę
Która go wiąże do nieszczęść łańcucha,
Chociaż swe loty wybija nad chmury,
Myślą, jak strzałą strop niebios przenika,
Cofnąć się musi bo nie ma języka
Jakim ma mówić do Stwórcy natury.
Wraca – chce śpiewać co widział i smutnie
Patrzy, na nicość swych płomiennych tworów,
Bo choć od ziemi pożyczy kolorów,
Niebiańskich tonów, nie wleje w swą lutnię.
I próżno żąda siłami wszystkimi,
Skruszyć swe pęta, lecieć w złudzeń kraje
Gdy zwichnięte skrzydła, dopiero poznaje
Że on jest wiecznie przykuty do ziemi.

Birkut – wielki orzeł stepowy wykorzystywany przez Kazachów do polowań

Trzeba tu jeszcze raz podkreślić, że w twórczości Gustawa Zielińskiego wiele jest realiów kulturowych i opisów przyrody. Był wszakże poetą czerpiącym twórcze siły z romantyzmu, który go uwiódł jeszcze za młodu. A gdy jego wolność została ograniczona zesłaniem, znajdował ją na stepie, którego już same widoki łagodziły bolesną codzienność targaną świadomością zesłańczego zniewolenia. Wielkie orły stepowe, zwane birkutami, które służyły Kazachom podczas polowań, gdy szybowały po bezkresnym niebie, były, dla patrzącego na nie poety, apoteozą niczym nieograniczonej wolności i swobody. Natura poszerzała wyobraźnię, która w stepach Orientu wspomagała poetę w tworzeniu rozlicznych wizji, z odniesieniami do bezkresnej przestrzeni, a nawet kosmosu.

Wydarzenia związane z zemstą i miłością stanowiące fabułę poetyckiej powieści *Kirgiz* wyraźnie pulsują romantyczną wizją orientalizmu, w której pojawiają się opisy przyrody, nieraz przesycone metaforami:

I.

ość! — dość żyłem nie sobie....
Duszno, ciasno jak w grobie
Żyć zamkniętym, w ścian czterech niewoli...
Mnie tu nuda zabije!....
Ha!... tam chyba ożyję,
Gdzie powietrza,... gdzie stepów do woli.
« Bom na stepach się rodził;
Wiatr pustynny mnie chłodził
Gdym na koniu, biegł stada dozierać...
Ciągle widne niebiosy...
I step lśniący od rosy...
Ach!.. tam tylko, i żyć i umierać.

Pięknie zdobiony inicjał w książce: „»Kirgiz« powieść przez Gustawa Zielińskiego". Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847.

Nie mogło ich zabraknąć też w poemacie *Stepy*, są bowiem w nim obrazy wyścigów jeźdźców stepowych, folklor z tym związany, *akyni* grający na *dombrach*, surowa przyroda. Wprawdzie nieraz to banał i poetycka dezinformacja, ale nie czytelnicza nuda. Poemat poprzedzony jest słowem wstępnym, które wprowadza czytelnika w obcy dlań świat:

> tysiącami mil odległy, powierzchnią swoją, kolosalną przyrodą, nieledwie niebytem, tak różnych od co dzień widzianego, który pomimo licznych prac i badań najnowszych orientalistów, dotąd jeszcze dokładnie zbadanym nie został, nie uważam zbytecznym, krótkim wstępem poemat mój poprzedzić.

I tu właśnie przywołać trzeba list Adolfa Januszkiewicza do autora poematu *Stepy*, w którym zarzucał przyjacielowi Gustawowi zbyt idylliczne ukazanie stepowych przestrzeni, które w poetyckich strofach przybrały formy zupełnie sprzeczne z rzeczywistością:

> Wstęp tej nowej kirgiskiej powiastki piękny, świetny, brylantowy… Trzeba nie widzieć kirgiskiego stepu żeby prawić o błękitnych wzgórzach, sinych falach jeziora, kwiatkach pamięci niezabudkowych!!! Tyś sobie nabił głowę jak widzę, że step Tamerlanów to dzika Arkadia, kraj zielonych łąk, szemrzących strumyków i pasterek nucących idylle. Nie bracie. Nasz step nie przedstawia się podróżnemu w tym wabnym i pieszczonym stroju, w jaki Ty jego ubierasz. Ma on swoje piękności, lecz właściwe sobie. Dzikość, niepłodność, niedostatek wody, oto są ogólne jego cechy. Znajdziesz i tu wzgórza, lecz te będą nagie jak grzbiety żółwia, ujrzysz i tu jeziora, lecz po największej części smutne ich fale przywiodą Ci na myśl martwą *Asphaltis Palestyny* (skaliste obszary w rejonie Morza Martwego – A. K.), za niezabudką musiałbyś zjeździć sto uroczysk, nim byś znalazł dostateczną jej ilość na bukiet pamięci. Nic rzadszego w stepie, jak owe piękne okolice Iszymia zasłane kobiercami róż oraz lilii. Jeżeli wreszcie nad brzegami jakiej rzeczki znajdziesz oazę wśród tych pustyń, bogatych tylko w słoną wodę, w słoną ziemię i w słone nawet trawy, niedługo pocieszysz się jej widokiem – oto wkrótce afrykański prawie upał, zwykle całe lato trwający, spali ją swym oddechem, będziesz szukał jej śladów pod kopytami wielbłądów, koni i baranów. Jednym słowem, żeby zakończyć tę recenzję Twojej poezji, jeśli Ci mało świadectwa wędrowca, który w tym roku widział 1000 wiorst samego środka kirgiskiego stepu, odsyłam Cię do dzieła p. Lewszyna[19], który, co się tyczy ogólnego widoku jego, to samo powtórzy. Pamiętaj, że ja mówię tylko o ogóle[20].

Przez cały okres zesłania Zieliński pracował w miejscowej administracji. Dawało mu to możliwość poznania rozległych stepowych obszarów. Step był ostoją wolności jego mieszkańców, krainą, w której wyrośli, znali jej prawa i niebezpieczeństwa, a pośród jego rozległych przestrzeni były ich domy i mogiły. Raz był on szczodry i piękny, innym razem – zwłaszcza zimą, gdy wiały śnieżne *burany*, stawał się niebezpieczną otchłanią.

Tego wszystkiego musiał doświadczyć nasz romantyczny zesłaniec-wędrowiec, a zafascynowany folklorem, zwyczajami i obyczajami tego ludu, stał się piewcą jego życia i wolnościowych dążeń. Te wątki pojawiają się raz po raz w jego poezji ożywiającej step i jego obrazy, pełnej lirycznych pejzaży, nostalgii i wolnościowych dylematów jego odwiecznych wędrowców. Bo istotnie rozległe stepy, w których tylko tuziemiec mógł być bezpieczny, jawiły się jako przestrzeń wolności oraz kazachskich dążeń do niej, zwłaszcza wówczas, gdy rosyjski kolonializm starał się ją ograniczyć. Dla Zielińskiego, podobnie jak dla innych romantycznych twórców, step wydawał się być:

> nieskończoną sprzyjającą wolności przestrzenią, będącą dla artystów tworzących w pierwszej połowie wieku jednym z najważniejszych źródeł natchnienia. Step był miejscem bliskim niebu i pograniczem między światem ducha i materii (S. Gosz-

---

19 A. Lewszyn, *Opisanije kirgiz-kajsackich ord i stiepiej,* Petersburg 1832.

20 A. Januszkiewicz, *Listy z Syberii*, op. cit., s. 263.

czyński), przedmiotem malowniczych opisów i sferą objawienia „wiekuistego tchnienia bożego" (B. Zaleski). Ze stepem łączyła się rycerska chwała przodków i bujność, barwność życia[21].

Skądinąd wiemy, że wprawdzie nie poetyckie, ale jakże liryczne w swej wymowie były obrazy stepu zawarte w listach A. Januszkiewicza do matki. Fascynacja obu przyjaciół stepowym krajobrazem rodziła się u nich pod wpływem wędrówek po stepach, które, aczkolwiek związane ze statusem zesłańca, budziły zawsze jakieś poczucie wolności, choćby pod wpływem piękna zmieniających się przestrzeni, popasania w kazachskich aułach i czasowego przebywania w jurtach tubylców, którzy grali nieraz na *dombrach* i śpiewali rzewne pieśni. Można więc powiedzieć, że te interakcje etniczne i krajobrazowe nakładały się wzajemnie, tworząc wielość obrazów o społeczno-przyrodniczym kontekście.

Z zesłania powrócił Zieliński w listopadzie 1842 roku i osiadł na roli, poświęcając się gospodarce (dobra Skępe na ziemi dobrzyńskiej). Jego dorobek literacki związany jest z pobytem na zesłaniu. Tam bowiem napisał u schyłku lat trzydziestych poemat *Kirgiz*, którego pierwsze wydanie ukazało się w 1842 roku w Wilnie, gdy przebywał jeszcze na zesłaniu w Iszymie[22]. Poetycka opowieść przepojona jest egzotycznym orientalizmem powiązanym z romantycznym obrazem kazachskich dążeń wolnościowych i ich buntów w imię idei wyswobodzenia się z ciężaru niewoli. Krajobraz poematu jest przepojony realiami kulturowymi właściwymi dla tego narodu, a detale etnograficzne charakteryzujące się wiernością faktograficzną są w nim sugestywnie wyeksponowane.

Ów koloryt lokalny widać także w innych poematach, jak *Koń Beduina* oraz *Stepy*, jakkolwiek ten ostatni oprócz pewnej warstwy opisowej (pierwsza część niejako pejzażowa) w części drugiej tchnie filozoficznym rozumieniem losu człowieczego. Ślepy *akyn* głosi pochwałę wolności i szczęśliwego życia ludzi mających w niezmierzonej wielkości stepu poczucie swobody. Poprzez wszystkie utwory związane z tą ziemią przewija się wielka umiejętność odczuwania przez poetę uroku przyrody. Nic więc dziwnego, że jego utwory są po dzień dzisiejszy wielce cenione i lubiane przez Kazachów. Zwłaszcza *Kirgiz*, odtwarzający wolnościowe dążenia tego narodu, jest poematem po wielokroć przywoływanym w historii literatury kazachskiej.

Fabuła poematu toczy się wokół losu tubylczego młodzieńca sprzedanego w niewolę, który tęskniąc za wolnością, uwalnia się z niej wraz ze swym wspaniałym koniem i wbrew wielu niebezpieczeństwom odnajduje współplemieńców. Rozkoszując się wolnością, poznaje piękną kobietę, jak się okazuje – córkę mordercy jego ojca, tego samego, który i jego sprzedał do niewoli. Ów niedobry *bej*

---

21 W. Okoń, *Alegorie narodowe*, Wrocław 1992, s. 47.

22 Kolejne wydania poematu to: Wilno 1842, Warszawa 1852, 1857, 1892, 1899, 1901, 1908, 1909, 1910, 1921, 1924, 1956; Lwów 1867, 1871, 1877, 1884 i 1906; Lipsk 1847, 1857, 1871, 1876; Brody 1908.

Kirgiz – bohater książki pędzący wraz z Demelą przez płonący step

orientuje się po pewnym czasie, że młodzieniec ten to sprzedane przez niego kiedyś dziecko. Młodzieńca chroni jednak przestrzegane przez Kazachów prawo gościnności. Narzeczeni uciekają w step. Ojciec uprowadzonej, nie mogąc ich dopędzić, podpala step i uciekinierzy giną w płomieniach. Piękna Demela, ufająca chłopcu, zdecydowała się na ucieczkę, wierząc, iż gdzieś w stepach będzie wieść szczęśliwe życie ze swym lubym. Los jednak nie pozwolił na ziszczenie się ich marzeń.

Czy poemat *Kirgiz* bliski jest rzeczywistości? A któż to wie? Z pewnością jednak powstał na kanwie tamtejszych gawęd, pieśni *akynów*, z dużą dozą wyobraźni twórcy[23]. W fabularnej warstwie poematu pomieszał autor wątki literackie, historyczne, krajobrazowe oraz refleksje nad wolnością, których wprowadzenie oraz wykorzystanie jest z pewnością znaczącym osiągnięciem poety romantyka. W utworze przedstawione zostały również relacje społeczne jednostek – uroczej Demeli i jej narzeczonego. Powstanie dzieła związane jest z okolicami Iszymu, gdzie przez siedem lat przebywał jego autor.

Często w porze letniej pojawiały się tam koczowiska Kazachów, a tak oto pisze na ten temat zesłaniec **Paweł Ciepliński**:

> mieszkaliśmy razem w tobolskiej guberni, w powiatowym mieście Iszymie, gdzie nas było trzynastu. Z tej liczby Adolf Januszkiewicz, Gustaw Zieliński, Eugeniusz

[23] Zob. G. Zieliński, *Kirgiz i inne poezje*, opracowanie i wstęp J. Odrowąż-Pieniążek, Warszawa 1956.

Łempicki, Michał Moraczewski i ja, niżej podpisany, lubiliśmy polowania na ptactwo: – Od mieszkańców Iszymu dowiedzieliśmy się, że w odległości siedmiu mil od miasta jest step, tak zwany Burłakowy, bardzo obfitujący w różne gatunki ptactwa. Nie pamiętam, którego roku, postanowiliśmy i ten step zwiedzić. Wypytawszy się więc o drogę i zaopatrzywszy się w samowar i żywność na dni cztery dla siebie, psów i koni, puściliśmy się w połowie lipca na wielkie łowy.
Na noc zatrzymaliśmy się w odległej o wiorst trzy od tego stepu wiosce, u zaleconego nam gospodarza, który nas przyjął najserdeczniej. Nazajutrz o wschodzie słońca, powziąwszy wiadomość o pozycji, ruszyliśmy szukając jurt kirgiskich i szczęśliwie trafiliśmy od razu. Jedną z tych jurt najęliśmy na dwa dni i zaraz poznaliśmy jej gospodarza, czyli pana, jako też jego synów i trzy córki: Naxymelę, Demelę i Kartankę – bohaterki poematu *Kirgiz*. Kartanka najpodobniejsza do ludzi (bo wszystkie Kirgizki szkaradne) powinna była być bohaterką romansu, gdyż umiała szczebiotać cokolwiek po rosyjsku i najbardziej nas bawiła i zajmowała. Nie rozumiem, jak Gustaw jej imienia zapomniał[24].

Z pewnością twórca poematu szukał w swej wyobraźni literacko-romantycznych tragedii i dramatów, ale też osobistymi obserwacjami i przekazami swych przyjaciół nasycił jego treść interesującą fabułą, w której oczywiście nie obeszło się bez romantycznego tchnienia atmosfery stepu. Znajomość stepu, wynikającą z osobistych doświadczeń, przynosi nierzadko interesujące poetyckie refleksje związane pragnieniem wolności. Pojawiły się one z powodu przeświadczenia autora, że zniewolony przez rosyjskie imperium stepowy lud pragnie wolności, co można było wyczytać w jego losie. Sprawy te sprzyjają czytelniczej refleksji płynącej z lektury poematu, pełnego dynamiki i zaskakujących literackich obrazów. Przyglądając się temu dziełu, widać konsekwencję w rozwijaniu i kontynuowaniu pewnych wątków tematycznych powiązanych z przyrodą stepów i życiem ich autochtonicznych mieszkańców zniewolonych przez postępującą rosyjską kolonizację, co ilustruje następujący fragment poematu *Kirgiz*:

Kirgiz

Zatrzymał konia – spiął się w strzemieniu,
Rozpostarł ręce z czuciem dziecinnym,
Aby po długim, długim cierpieniu
Odżyć powietrzem stepu gościnnym.
Jemu się zdało – czystsze i letsze…
A więc je chwytał z takim pośpiechem,
Jakby chciał jednym pełnym oddechem
Objąć w pierś całe stepów powietrze
I długo, długo, jak ten co łaknie,
Bał się czy jemu tchnień nie zabraknie.

[24] P. Ciepliński, *Przyczynek do życiorysu śp. Gustawa Zielińskiego*, „Kłosy" 1882, nr 891.

Wyobraźmy sobie teraz tego romantycznego poetę, do którego zewsząd docierały impulsy krajobrazowe oddziałujące na jego niebywałą spostrzegawczość i wrażliwość, w sytuacjach mających charakter najrozmaitszych kulturowych realiów życia ludzi stepu, krajobrazu i świata przyrody. Kto ciekaw, niech poczyta poematy *Kirgiz* lub *Step*, a zobaczy ten teatr składający się z osobliwego życia nomadów, wobec którego niemożebne jest przejść obojętnie.

Wolność i godne życie jest przecież dążeniem każdego człowieka. Nie dziwi zatem, że poruszało autora nieszczęście narodu kazachskiego, jego nowe dramaty będące konsekwencją rosyjskiej kolonizacji i nie dające się rozwikłać wynikające z tego sprzeczności. Patrzył na te dramaty z pozycji piewcy „kirgiskich stepów", a ukazując los jednostki czy samotnego nieszczęścia, miał zapewne na myśli szerszy kontekst społeczny ukazany w poetyckiej formule wypowiedzi. Myślę, że nawet stawianie pytań dotyczących wzajemnych relacji między poetyckimi formami wypowiedzi a stepową rzeczywistością przeżywaną przez autora wypada na jego korzyść. Jest faktem, że step urzeka swoją urodą, gdy wiosną kraśnieje, a latem krótko jest piękny jak perski dywan, ale szybko się to zmienia, gdy więdnie roślinność, a spękana od słońca ziemia woła wody.

Obraz tych przestrzeni, wyłaniający się z różnych relacji autorstwa polskich zesłańców z XIX i XX stulecia, jest niezwykle interesujący w warstwie opisu przyrody i kulturowego otoczenia. Opisy te determinuje zarówno sam przedmiot, jak i osobowość ich autorów oraz świadomość, że kraj ten był dla nich przede wszystkim miejscem zniewolenia, co wyznaczało jednak sposób patrzenia na otoczenie społeczne i przyrodnicze. Nowe realia krajobrazowe i nowe otoczenie społeczno-kulturowe opisywane były przez pryzmat doznań człowieka zniewolonego, a przy tym należącego przecież do innej kultury. Różna jest percepcja tych przestrzeni – od poczucia bezradności i zagubienia w niej po zachwyt kolorytem i bezgranicznością, gdzie można czuć się wolnym.

Tutaj też zaznaczyć należy, że od czasu, gdy G. Zieliński pisał owe poetyckie strofy, dokonał się długi proces przemijania tradycyjnej kazachskiej kultury i antropogeograficznych realiów właściwych dla stepów, które poznał autor podczas swej niewoli. Kto wczytał się jednak w te poematy i zna choćby trochę życie ludzi stepu oraz przedziwne stepowe przestrzenie, pozostaje zawsze pod urokiem poetyckich wypowiedzi autora[25].

---

[25] Więcej o zesłańczych drogach G. Zielińskiego i jego twórczości z tego zakresu zob.: J. Kotarbiński, *Piewca „Kirgiza"*, „Kurier Warszawski" 1908, nr 356; J. Odrowąż-Pieniążek, *Gustaw Zieliński – piewca wolności i syberyjskich stepów*, „Kwartalnik Instytutu Polsko-Radzieckiego" 1955, nr 3, s. 110–135; tenże, *W stulecie śmierci Gustawa Zielińskiego*, „Notatki Płockie" 1981, nr 4, s. 5–7; T. Polanowski, *Sentymentalizm urozmaicony. O liryce Gustawa Zielińskiego*, „Roczniki Humanistyczne", 1975, t. 23. M. Krajewski, *Gustaw Zieliński – Życie i działalność,* [w:] *Gustaw Zieliński. Życie i dzieło. Materiały z sesji popularnonaukowej w Skępem w dniu 20 maja 1986 r.,* pod red. M. Krajewskiego, Rypin 1988; W. Wojdyło, *Syberyjski epizod życia i działalności Gustawa Zielińskiego (1908–1981),* [w:] *I Meżdunarodnaja naucznaja konferencja. Poljaki w Sibiri. Poljaki o Sybiri. Tomsk 3–5 ijunja 2012,* red. T.W. Gałkina, T.A. Gonczarowa, Tomsk 2012, s. 171–178; G. Zieliński, *Kirgiz. Powieść.* Wstępem poprzedził, przypisami uzupełnił i do druku przygotował M. Krajewski, Rypin–Skępe–Płock 2011.

Adolf Januszkiewicz – kazachski „Długosz”

Adolf Januszkiewicz w czasie zesłania ok. 1835 r.

Przyjdzie czas, że koczujący dziś nomada zaszczytne zajmie miejsce pośród ludów, co nań patrzą teraz z góry…

Taką refleksję zawarł Adolf Januszkiewicz (1803–1857) w jednym z listów pisanych z kazachskich stepów. Był zesłańcem z okresu powstania listopadowego, przyjacielem Adama Mickiewicza, który uwiecznił go w *III części Dziadów*[26], a po wielu latach jego dokonania stały się wspólną własnością nauki polskiej i kazachskiej.

Dodajmy, że **zasługuje on na szczególne przypomnienie jako pierwszy w dziejach Kirgizo-Kazachów historyk, porównywany *mutatis mutandi* z Janem Długoszem w Polsce.**

Jak dotychczas, jego postać daleko bardziej żywotnie istnieje w pamięci uczonych kazachskich niż w świadomości kulturalnej w Polsce i niech ta konstatacja będzie impulsem do zmiany tej sytuacji. W tej części Azji reprezentował on z urzędu interesy rosyjskie, natomiast w wysyłanych do bliskich listach pewny był swoich racji o kolonizacyjnej polityce Rosji, prowadzącej do zniewolenia ludu Kazachstanu. Żywił do niego wielką sympatię, upatrując w jego tradycjach i kulturze pewne uniwersalne porządki i reguły, sprawdzające się w surowych warunkach życia na stepie, co nie wykluczało tego, że dostrzegał tam również nędzę. Nieraz starał się jej zaradzić poprzez obiektywne przedstawianie rosyjskim władzom sytuacji panującej w stepie i pod dachami okopconych jurt.

Pracując w kancelarii Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich, włączony był w wiele spraw związanych z realizacją zadań administracji rosyjskiej na rzecz pełniejszego powiązania Kazachstanu z Imperium. Rzecz jasna, łączyło się to z częstymi wyjazdami do kazachskich aułów, by mieć pełniejszy wgląd w atmosferę społeczno-polityczną panującą wśród tubylców. Należy zdawać sobie sprawę, iż pertraktacje z poszczególnymi władcami stanowiły wielkie ryzyko dla mediatora.

Trudno tutaj rozważać wszystkie subtelności carskiej polityki w tym względzie, jej podstawę stanowiło jednak to, że w przeciwieństwie do obszarów syberyjskich, które kolonizowano siłą, w Kazachstanie zachowywano pewne pozory dyplomacji. Różnice w tym względzie podyktowane były również odmienną sytuacją demograficzną panującą na tych obszarach. Ludy Azji Środkowej posiadały pewną formę organizacji państwowej i trudno było ją podporządkować Rosji na zasadzie siły, chociaż było to możliwe z uwagi na przewagę militarną Imperium. Groziło

---

[26] J. Odrowąż-Pieniążek, *Dzieje Mickiewiczowskiego Adolfa*, „Kwartalniki Instytutu Polsko-Radzieckiego” 1956, nr 1, s. 255–277.

to jednak wojną partyzancką, ciągłym nękaniem najeźdźców, niszczeniem ich osad itp. Umyślono więc sobie w Petersburgu, że skuteczniejsze będzie zastosowanie polityki powolnych działań. W tym celu penetrowano dokładnie teren rozległych stepów, by wiedzieć, kiedy i gdzie wybuchają jakieś konflikty międzyplemienne, przekonywano poszczególnych władców do rosyjskiej polityki, obiecywano im zobowiązanie się Rosji do pilnowania kazachskich interesów i obrony plemion przed napadami sąsiednich ludów. Wysyłano do tubylczych osad lekarzy, by zwalczali choroby zakaźne, wspomagano materialnie władców w pozyskiwaniu przez nich artykułów zaopatrujących domowe gospodarstwo.

I tu wchodzimy niejako w sedno spraw załatwianych przez Januszkiewicza na rzecz Rosji. Zadania swe wykonywał przez ponad dziesięć lat. Był sumienny w pracy i otrzymał za nią godność radcy tytularnego. Znał wielu naczelników kazachskich rodów i cieszył się ich zaufaniem. W raportach składanych swym zwierzchnikom obiektywnie informował o sytuacji panującej wśród Kazachów. Widział duże rozwarstwienie społeczne właściwe dla tego ludu, postępujące także pod wpływem kolonizacji. Podkreślał bezwzględną władzę naczelników rodów i często współczuł biedocie cierpiącej nędzę i głód. Wskazywał na środki zaradcze, postulując np. wysłanie w step lekarzy, by ograniczyć praktyki miejscowych znachorów odpowiedzialnych za wysoki procent śmiertelności wśród ludności tubylczej. Stał na stanowisku, że w każdej gminie powinien być felczer wyposażony w podstawowe lekarstwa. Od tego uzależniał powodzenie w leczeniu i skłonieniu się Kazachów do przyjmowania pomocy od *kafyrów*, czyli niewiernych, tj. niemuzułmanów. Czy mu się to udało? W pewnym stopniu tak! Przebywając w stepach ze wspomnianym już W. Iwaszkiewiczem, wspominał:

> Na wieść o tych cudownych lekarstwach mego improwizowanego Hipokratesa zbiegały się tłumy chorych z okolicznych aułów. Przywożono ich na koniach, krowach, wielbłądach, a najsłabszych na dwukołowych taradajkach, *arbami* zwanych. Wszyscy prosili o te proszki, co większy skutek przynosiły niż modlitwy *mułłów* i zaklęcia *buksów* (znachorów i szamanów w jednej osobie – A.K.); uzdrowieni zaś składali swe dzięki w najczulszych wyznaniach. Mąż nawet jednej młodej i wcale nieszpetnej rekonwalescentki posunął do tego stopnia uczucie wdzięczności, że na wyjeździe w drogę żegnając się z nami i dziękując Wiktorowi za pomoc okazaną żonie, prosił, aby w czasie nieobecności jego, nie robił sobie żadnej ceremonii i raczył go zupełnie zastąpić.
> Ta wielka liczba chorych na febrę niczym jest atoli w porównaniu z syfilityczną zarazą, której straszne spustoszenia ciągle się nam nasuwają przed oczy; zresztą febra, jak nas zapewniano, grasuje tu tylko z początku wiosny; latem zaś sam wpływ powietrza, ruch, *kumys*, uwalniają od niej chorego i bez pomocy lekarskich środków[27].

[27] A. Januszkiewicz, op. cit., s. 45.

Co się zaś tyczy Januszkiewicza, to chociaż jego działalność w stepach nie nosiła charakteru oficjalnej humanitarnej walki z trapiącymi Kazachów chorobami, to jednak znano go na tej ziemi jako człowieka pełnego dobrej woli i wspomagającego biedny lud kazachski. Trudno dzisiaj dociec, czy w rozmowach z władcami plemiennymi skłaniał ich ku łagodniejszemu traktowaniu poddanych, w każdym razie w zapiskach swoich pozostawił wiadomości o biedzie panującej wśród prostego kazachskiego ludu. Pisał między innymi:

> Korzystając z chwil wolnych od zatrudnień, zwiedzałem pobliższe auły, by lepiej się zapoznać z tym życiem tak różnym od naszego, życiem, które wyobraźnia moja malowała sobie w najpiękniejszych barwach. Ale nie wszystko złoto, co się świeci z góry. W każdej jurcie spodziewałem się znaleźć szczęśliwych pasterzy Arkadii, niestety rzadko w której nie spotykał wzrok mój smutnych obrazów nędzy i chorób trapiących biedną ludzkość. We wszystkich prawie czarnych jurtach (bo majętniejsi mieszkają w białych) febra. I straszniejsza od nich *siphilis* liczyła swoje ofiary, a dotknięte nią osoby obojej płci, wyglądały jak widma lub szkielety, na dzieciach ospa, krosta, wrzody: i wszystko to własną tylko siłą musi pasować się z cierpieniem, bo nauka Eskulapa, złożona tutaj w rękach głupich i zabobonnych *buksów* podaje środki ratunku po największej części nacechowane piętnem szarlatanizmu i guślarstwa. Serce się rozdziera na widok tylu męczenników wołających o pomoc. Na szczęście nasze, niektórym z nich mogliśmy przynieść ulgę.[…] Widziałem (jakkolwiek mię to bolało) kirgiską biedę w całym znaczeniu tego wyrazu, powiększoną jeszcze w oczach moich na widok pokarmów, jakich by im żaden pies […] nie pozazdrościł […] Jak bogatsi pogardzają uboższymi, dał przykład Kirgiz jeden, zaproszony na herbatę do jenerała. Widząc, że mnóstwo jego ziomków stało koło jurty i tak cisnęło się, że ledwo jej nie obalili, obrócił się do nas i ze śmiechem i pogardą rzekł: „to szubrawcy". Trzeba było widzieć jego dumę i głupotę […]. Dziwnie to leniwi ludzie, mianowicie bogaci, którzy wszystkie ciężary, nawet powinności skarbowe, na przykład podwody, zwalają na niższych. Biedak z musu całe lato jak Negr pracuje dla bogacza około roli, żyje krowim mlekiem, pali się na słońcu prawie nagi, z obawy, żeby mu rabusie nie zdarli odzienia – i cóż ma za to? Stary jaki wytarty chałat, kilka dziesiątków krutu (serków) i garść prosa, oby je sobie posiał na rok przyszły[28].

Śmiało rzec można, że opisy A. Januszkiewicza to swoistego rodzaju pierwotna antropogeografia Kazachstanu, która mocno wrosła w polską literaturę zesłańczą związaną z rozległymi obszarami rozciągającymi się na wschód i południe od Uralu. Jego relacje tyczące się różnych spraw związanych z pobytem na zesłaniu odbiegają daleko od konwencji zwykłych sybirskich pamiętników i utworów epistolarnych. Wiele w nich ciekawych opisów geograficznych powiązanych z życiem tubylców

---

[28] *Żywot Adolfa Januszkiewicza i jego listy ze stepów kirgiskich*, wyd. II, Berlin 1875, t. 2, s. 40, 42, 134, 179.

zasiedlających stepy oraz informacji etnograficznych i historycznych dotyczących realiów egzystencji kazachskiego narodu.

Był obiektywnym kronikarzem stosunków społeczno-politycznych panujących w kazachskich aułach. Nieco informacji poświęcił **sułtanowi Barakowi**, który był jednym z wodzów Średniej Ordy. Podał ciekawe informacje o cieszącym się sławą wśród plemion kazachskich ich **rodaku Kunanbaju** – wielkim wówczas autorytecie moralnym, *nota bene* **ojcu najwybitniejszego poety kazachskiego Abaja**[29] – którego spotkał podczas swych wędrówek po stepie, ba, nawet wyleczył z ciężkiej choroby. Ojciec Abaja był:

> wielką znakomitością w stepie. Syn prostego Kirgiza, obdarzony z natury zdrowym rozsądkiem, zadziwiającą pamięcią i wymową, czynny, gorliwy o dobro swych ziomków, biegły w stepowym prawie i przepisach Alkoranu, znawca wszystkich ustaw rosyjskich tyczących się Kirgizów, nieposzlakowanej bezstronności sędzia i przykładny muzułmanin, plebejusz Kunanbaj zjednał sobie sławę wyroczni, do której, z najodleglejszych aułów, młodzi i starzy, ubodzy i bogaci cisną się po radę. Zaufaniem możnego rodu Tobukli, powołany na stopień rządcy, z rzadką pewnością i energią piastuje władzę, a każdy jego rozkaz, każde słowo spełnia się na skinienie. Niegdyś przystojny mężczyzna, dziś, napiętnowany strasznymi bliznami ospy, co go przed kilku laty omal nie wtrąciła do grobu, jak Mirabeau, w zapale mowy każe zapominać słuchaczom o szpetności swej meduziej twarzy; okrutna zaś plaga, jaką dotknięty został, obudzi w nim słodkie wspomnienia współczucia ziomków, które Ci może dać wiarę jego zasług i znaczenia. „Tłumy ludu w rozpaczy – mówił mi z wzruszeniem i dumą – oblegały w dzień i w nocy moją jurtę, w której walczyłem ze śmiercią, wśród mąk nieznośnych. Łzy to jego zalały ogień, co mnie pożerał, i wymodliły u Allaha mój powrót do życia". Nie takimże współczuciem, w jednym z najoświeceńszych krajów Europy, otaczał lud ostanie chwile wielkiego trybuna, co równie jak Kunanbaj był tarczą jego przeciw niesprawiedliwości i gwałtem możnych; ów lud co mniej szczęśliwy od półdzikiego, nie mogąc u swego obrońcy wypłakać życia u Boga, w uniesieniu wdzięczności dla umarłego wynalazł Panteon.
> Tuzin sułtanów i z pół kopy *murzów* było dzisiaj u nas na herbacie […] a wszyscy *baje* (bogacze) niegodni rozwiązać rzemyka u obuwia Kunanbaja[30].

Adolf Januszkiewicz interesował się folklorem, zwłaszcza ludowymi **pieśniarzami-improwizatorami *(akynami)*, i dwu z nich – Orynbaja i Dżanabaja** – opisał w korespondencji ze stepów. Nic więc dziwnego, że raz po raz jego opinie przywoływane są przez badaczy historii kazachskiego narodu. Wspomnijmy tu przy sposobności, że w 1966 roku profesor Uniwersytetu w Ałmaty Faina I. Stiekłowa

---

[29] Abaj Kunanbajew Ibrahim (1845–1904) poeta i kompozytor kazachski. Komponował muzykę do swoich wierszy lirycznych. W swej twórczości poetyckiej wykorzystywał motywy poezji ludowej i wątki orientalne. Twórca nowoczesnej literatury kazachskiej, w której przewijają się problemy społeczno-obyczajowe.

[30] *Żywot Adolfa Januszkiewicza…*, op. cit., s. 86–87.

Kunanbaj – ojciec słynnego poety Abaja

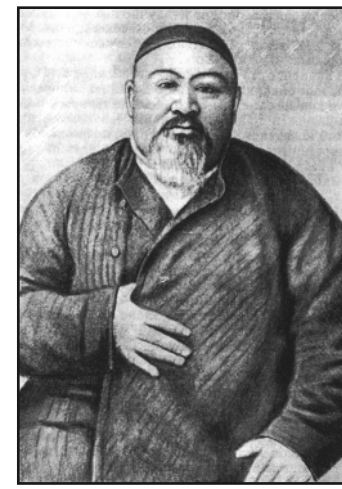

Abaj Kunanbajew

dokonała tłumaczenia na język rosyjski listów z zesłania i dziennika podróży Januszkiewicza[31], a potem wydano je w tłumaczeniu Mukasza Sercekajewa w języku kazachskim. Już rosyjska ich edycja przyciągała uwagę tytułem i okładką z wizerunkiem jeźdźca na koniu oraz wielbłądami w tle, a umieszczony na skrzydełku tekst zachęcał do lektury, informując:

> Drogi Czytelniku! Jeśli zechcesz wyruszyć w podróż w daleką przeszłość po kazachskich stepach, nasza książka *Dzienniki i listy*… Adolfa Januszkiewicza będzie dobrym przewodnikiem. Zapewniamy, nudy nie doświadczysz. Autora cechuje bogata wyobraźnia, ostre spojrzenie, w nadarzających się sytuacjach ma poczucie humoru. W swoich sądach i ocenach bywa on niekiedy subiektywny, a także grzeszy naiwnością – ale to nie najważniejsze.
> Najważniejsze jest to, że A. Januszkiewicz jest głęboko ludzki, kiedy opisuje społeczną nierówność kazachskiego ludu, że z miłością, szacunkiem i współczuciem opowiada o ciężkiej doli prostego kazachskiego narodu i nie wątpi w jego piękną przyszłość. Sto dwadzieścia lat temu powiedział: „…przyjdzie czas, że koczujący dziś nomada zaszczytne zajmie miejsce pośród ludów, co nań patrzą teraz z góry, jak wyższe kasty Indostanu na nieszczęśliwego paria!”
> Szczęśliwej drogi![32]

Wykreowana w Kazachstanie przez Stiekłową postać Januszkiewicza zadomowiła się na dobre w historii tego kraju i jest cennym źródłem do poznania wielu wątków jego kultury. Zabiegiem nader ważnym współcześnie, zapewniającym

---

31 A. Januszkiewicz, *Dniewniki i pisma z putiszestwja po kazachskim stiepam,* pierewod iz polskogo F.I. Stiekłowej, Ałmaty 1966.

32 R. Karaś, *Kumys na deser*, Warszawa 1969, s. 307.

pełniejszy rezonans wiedzy o jego życiu i realiach kulturowych ludzi stepu, poszerzającym dotychczasowe pole ocen i obserwacji, jest nowa edycja jego listów w opracowaniu Haliny Geberowej[33]. Przynoszą one bowiem wiele ciekawych informacji, ukazanych w szerokim spektrum spraw miejsca i czasu oraz powiązanych z nimi różnych wątków o jego wędrówkach po stepach, o pobycie w Iszymie i różnych okolicznościach z tym związanych.

Być może współcześnie te pełniejsze jego stepowe zapiski wydane zostaną w Kazachstanie, na co zasługują, wcześniejsze bowiem wydania w tłumaczeniu na język rosyjski i kazachski nie są doskonałe. Gorąco rekomenduję ten pomysł wydawcom z dalekiego kraju. Rysuje się realna szansa podjęcia tego problemu w ramach współpracy uniwersytetów polskich z uniwersytetami kazachskimi.

Jak dotychczas ukazała się w Kazachstanie książka **Utegena Kumizbajewa** o Januszkiewiczu zatytułowana *Polsza perzenti* (Ałmaty 1997). W Ałmaty nazwano jedną z ulic jego imieniem, planuje się też, aby podobne ulice były w Astanie i Ajaguzie. Przed laty zamierzano nawet urzeczywistnić pomysł, na razie uśpiony, aby w Ałmaty **wznieść mu pomnik**. Warto może powrócić do tej idei i być może obie ambasady – Republiki Kazachstanu w Polsce i Rzeczypospolitej w Kazachstanie podejmą kiedyś trud jej wznowienia i zrealizowania, co da jeszcze jeden trwały znak pamięci o naszym Rodaku w Kazachstanie.

Bronisław Zaleski – rysownik

Poszukując tego, co nadal trwa w historiografii polskiej związanej z opisywaniem Kazachstanu i jego ludów, a także tego, co obecne jest w nauce kazachskiej, wspomnieć należy postać **Bronisława Zaleskiego**, skazanego w 1846 roku za działalność patriotyczną na wcielenie do Korpusu Orenburskiego, w którym służył w latach 1848–1856[34]. Częstokroć wysyłano go w składzie różnych ekspedycji na teren Kazachstanu w charakterze rysownika.

Z tego okresu datuje się jego serdeczna przyjaźń z **Tarasem Szewczenką**, z którym jesienią 1849 roku brał udział w tzw. ekspedycji aralskiej. Podczas podróży po stepach Zaleski pilnie obserwował życie i obyczaje Kazachów, wykonał wiele rysunków o zróżnicowanej tematyce kulturowej. Gdy przyszło uwolnienie ze służby wojskowej (1856), przez pewien czas mieszkał na terenie guberni mińskiej (dzisiejsza Białoruś), a w 1860 roku wyjechał za granicę i pozostał w Pary-

---

[33] A. Januszkiewicz, *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży,* opracowała Halina Geber, Wrocław 2014. Zob. też A. Januszkiewicz, *Listy z Syberii.* Wybór opracowanie i przypisy Halina Geber, Warszawa 2003.

[34] W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy…*, op. cit., s. 698–699; W. Caban, *Z Orenburga do Paryża. Bronisław Zaleski 1820–1880*, Kielce 2006; A. Kuczyński, *Bronisława Zaleskiego opisanie Kazachstanu,* [w:] *Polskie opisywanie świata. Od fascynacji egzotyką do badań antropologicznych*, pod red. nauk. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2000, s. 109–120; tenże, *Kazachstan głazami Bronisława Zaleskogo*, „Nowaja Polsza" 2001, nr 6; B. Zaleski, *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich*. Wybrał, przedmową i komentarzem opatrzył Andrzej Zieliński, Wrocław 2008.

Strona tytułowa pierwszego wydania książki B. Zaleskiego „La vie des steppes kirghizes. Descriptions, récits et contes", Paryż 1865

żu, gdzie żywo włączył się w nurt życia kulturalnego oraz politycznego polskiej emigracji[35].

Szczególną wartość w dorobku pisarskim Zaleskiego dotyczącym Kazachstanu ma jego album *La vie des steppes kirghizes. Descriptions, récits et contes*, wydany w Paryżu w 1865 roku, ilustrowany akwafortami. W rzeczy samej, książka ta jest barwnym opisem kazachskich stepów, zawierającym złożoną panoramę kazachskiego bytowania. Przedstawia w niej autor determinanty środowiskowe tego życia, charakteryzuje jurtę stepowych nomadów, pisze o roli kobiety w tej społeczności, opisuje cmentarze, formy pochówków, wkracza w dziedzinę bogatego folkloru, starając się oddzielić poszczególne elementy tyczące się sytuacji społecznej, kultury duchowej i przeróżnych form gospodarczego bytowania. Nieraz odnajdujemy też informacje o tym, że islam nie wpłynął znacząco na kulturę duchową tego ludu. Stara się przy tym pokazać zachowane tu procesy społeczne, w których tradycyjne podziały nadal odgrywają zasadniczą rolę.

Kazachstan w owym czasie był państwem o sformalizowanej strukturze feudalnej, w której miejscowi *bejowie* zachowali znaczącą rolę. Oni też częstokroć wciągani byli przez kolonizatorów rosyjskich do przeróżnych układów, w efekcie których, sowicie opłacani, tracili część swojej władzy na podległym terytorium.

---

35 W. Caban, *Z Orenburga…*, op. cit.

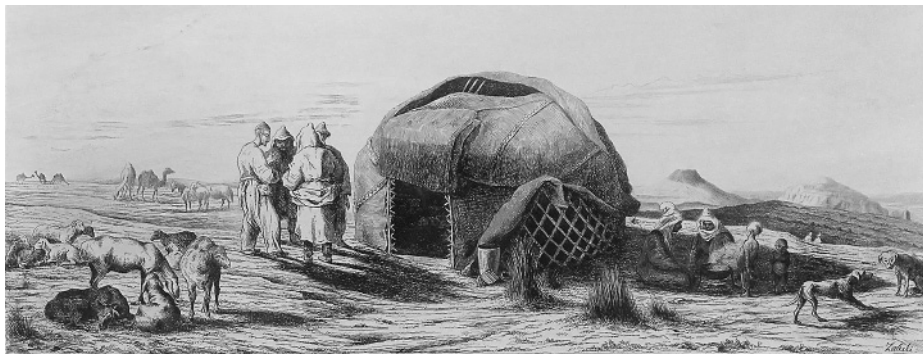

Jurta Kirgizów

Bronisław Zaleski pisał o tym wszystkim w bardzo zajmujący sposób, sam bowiem aktywnie uczestniczył w różnych formach stepowego bytowania, częstokroć też w trakcie wędrówek po rozległych obszarach przesiadywał w tubylczych jurtach, nocował w nich, pił *kumys* i wysłuchiwał rad przydatnych na szlakach jego wędrówek. Relacje te, którymi nasycił teksty swoich opisów odnoszących się do kazachskich stepów, tchną wiadomościami pochodzącymi z tzw. obserwacji uczestniczącej, ale także odnaleźć w nich można pogłębione opisy kulturowych realiów, które musiały bazować na dodatkowych informacjach zdobytych od mieszkańców stepów.

Opis stepów zawarty w tym albumie to temat wielowątkowy, rozciągający się na wiele elementów przestrzeni kulturowej, ale i topograficznej. Częstokroć koncentruje się on na wspominaniu przeżywanych zdarzeń, obserwacjach typu kulturowego, opisach drogi, co czyni ich treść swoistą tkaniną o różnych splotach, pełniejszych wzorach i postrzępionych brzegach. Widać tu też wyraźnie związki między różnymi częściami tej kulturowej materii, przedmiotami i ludźmi oraz mnóstwem innych czynników, jakim podlegało życie w określonym środowisku, i rolę tego środowiska w determinowaniu ludzkiego życia, przemienianiu go, wzbogacaniu bądź zubożaniu. Album nawiązuje do bogatego folkloru, w którym przetrwały elementy historii stepowych nomadów.

Zaleski z uwagą przyglądał się tamtejszym cmentarzom. Spotykał tam kamienne nagrobki z różnymi napisami, rysunkami wyobrażającymi konie, wielbłądy czy motywy roślinne i zwierzęce. Indagowany w tej sprawie stepowy lud nie znał dziejów tych zabytków przeszłości, a nieraz odnosił się do nich z brakiem poszanowania i „na zapadłych mogiłach swoich *batyrów* [bohaterów – A.K.] pasł barany".

Polski rysownik zdawał sobie sprawę z tego, że kamienne pomniki stanowią niezbity dowód różnorakich procesów zachodzących w przebogatej historii, jaka była udziałem ludzi zamieszkujących te obszary w odległej przeszłości. Jawi się nam ona bardzo wyraźnie z książki I. Gumiłowa *Śladami cywilizacji wielkiego stepu* (Warszawa 1973), będącej zapisem historycznej pamięci o złożonych procesach etnicznych i kulturowych, jakie dokonywały się onegdaj na tych terenach Azji Środkowej.

Zainteresowania Zaleskiego odmiennością kulturową obserwowanych przez niego ludów wywodziły się z tradycji romantycznej, w jakiej wyrastał. Rzec można, że zaprzyjaźnił się ze stepem i jego ludnością, dostrzegał jego urok i „szepty tajemnicze", dlatego w notatkach swoich pisał:

> Kto lubi przysłuchiwać się głosom ziemi, ten pewno przyzna, że każda strona ma swoją własną muzykę, swoje dźwięki i tony, swoje szepty tajemnicze, jednym słowem właściwą sobie harmonię. W stepie noc jest godziną tej muzyki. Nie umiem powiedzieć, jakie robi wrażenie płaczliwy krzyk wielbłąda, słyszany w nocy; jest w nim coś bardzo uroczystego i rzewnego. Często przypominał mi organy, i doprawdy jest to organ stepowy, który najuroczyściej nastraja duszę; a bez ustanku, to z tej, to z drugiej strony, słychać go w stepie, i pewno nikt tego wrażenia nie zapomni, kogo raz ono objęło; nie może on prześlizgnąć się po duszy, choć cokolwiek czującej[36].

Jak widać, czas niewoli był dla niego okazją do poznania prawdziwej natury stepów i żyjącego w nim ludu. Charakteryzowanej przez niego rzeczywistości odpowiadał swoisty rodzaj własnego doświadczenia, oplecionego licznymi wędrówkami i wynikającymi stąd różnymi rodzajami komunikacji społecznej z mieszkańcami stepów.

Był to czas splątania przeróżnych fragmentów tkanki kulturowej, znaczonej związkami z ludźmi i przedmiotami, doznawanymi wrażeniami i przebogatym „lasem rzeczy" zdeterminowanych przez przestrzeń i czas. Tamtego świata nie można już dzisiaj odtworzyć, został on bowiem bezpowrotnie utracony. Znalazł się na obrzeżach zmian kulturowych, jakie zaistniały w tej części Azji Środkowej, uległ rozproszeniu w nowej tkance naznaczonej piętnem globalizacji i uniwersalizmu.

Pora choćby na pobieżną konkluzję. Wydaje się zasadne stwierdzenie, że pisarstwu Zaleskiego patronowało postrzeganie złożoności kulturowej Kazachstanu i innych części rosyjskiego imperium. Bo należy wspomnieć, że wiele uwag poświęcił on także **Baszkirom**, **Wotiakom** i **Czeremisom**.

Problematyka etnograficzna ujawnia się także w pełni w innych jego tekstach, m.in. w relacyjnej opowieści charakteryzującej wędrówki w Górach Mugodżarskich. Wszystkie one nasycone są wielością wątków kulturowych – folklor, stepowe karawany, cmentarze, życie codzienne, jurty itp. Rytm tego opisu zmieniał się w zależności od kierunków podróży i czasu ich trwania. Nieraz zatrzymywano się w stepie na dłuższe postoje, które dawały możliwość pełniejszego poznania obyczajów i zwyczajów tubylczych ludów, ich sytuacji społecznej i materialnej. Autor ten dostrzegał także zarysowujący się tu wyraźnie u niektórych lokalnych grup proces akulturacji. Opisał wielość innych wydarzeń, zjawisk, zwykłych ludzi i ich władców, a także koczujące bezimienne masy, nieraz to skomentował, widząc wielopłaszczyznowość kulturowej tradycji, w której mocno zakorzenione

[36] *W stepach kirgiskich (Z notatek Bronisława Zaleskiego)*, cz. 1–2, „Kronika Rodzinna" 1890, s. 622–623.

były obserwowane zwyczaje i obrzędy. Zatrzymując się na szczegółach, poszerzał ogląd tego świata, pozwalając czytelnikowi zbliżyć się do niego. Czytając te teksty, mamy poczucie, że Zaleski poddaje często opisywane wydarzenia konwencji literackiej, zatem niektóre partie jego tekstów są urokliwe i zajmujące, ba, nawet potwierdzające sugestywność wyobraźni autorskiej, chociaż styl pisarski, jakim się posługiwał, preferował mówienie o faktach.

Tak więc, skoro z grubsza przedstawiono walory jego tekstów, wspomnijmy jeszcze o rzeczy najważniejszej. Oto w roku 1991 ukazała się w wydaniu kazachsko-rosyjskim jego książka-album opatrzona dwujęzycznym tytułem: kazachskim – *Kazak sacharasyna sajchat* i rosyjskim – *Żizń kazachskich stiepiej* (Ałmaty), będąca przekładem z języka francuskiego (*La vie des steppes kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż 1865), dokonanym przez F.I. Stiekłową i B.I. Sadykową. Przekład ten stanowił podstawę tłumaczenia na język kazachski, dokonanego przez K. Segizbajewa. Ukazanie się współcześnie tej książki w dwujęzycznej wersji jest potwierdzeniem jej wartości i ważnym podkreśleniem w dziejach związków polsko-kazachskich, dotyczących wkładu polskich zesłańców w różnorakie badania na rozległych przestrzeniach Kazachstanu oraz ich udziału w różnych dziedzinach życia tego kraju.

Pozostańmy jeszcze na moment w kręgu spraw i zakreślonej w albumie problematyki oraz przywołanego w jej tytule „życia kazachskich stepów". Gdy ukazał się on we Francji, stwarzał okazję do przybliżenia jego czytelnikom leżącego gdzieś daleko Kazachstanu. W piśmiennictwie francuskim owego czasu liczne były opisy egzotycznych krajów, wszakże Francja posiadała wówczas swoje kolonie w Afryce i Oceanii. Jednak literatura dotycząca „kirgiskich stepów" należała raczej do rzadkości, a nawet można zaryzykować twierdzenie, że tam raczej nie istniała. Toteż album B. Zaleskiego, mimo początkowych poważnych trudności edytorskich, zawierający 22 akwaforty uzupełnione obszernymi tekstami objaśniającymi, był niewątpliwie ważnym wydarzeniem wydawniczym na francuskim rynku księgarskim i głównym źródłem informacji o Kazachach i Kazachstanie w literaturze zachodnioeuropejskiej. Jego recepcję udało się odnaleźć w poczytnych czasopismach francuskich, m.in. na łamach „Journal des Politiques Débats et Littéraires" (19 X 1865) oraz w „Revue des Deux Mondes" (15 VI 1865).

Ponadto prezentowano go na prestiżowym dorocznym salonie dzieł sztuki w Paryżu, i to już było wielkim uznaniem dla autora, ponieważ opiniując dzieła na wystawę, Towarzystwo Akwaforystów prowadziło srogą selekcję akwafort zgłoszonych do prezentacji[37]. Echo tej edycji dotarło też do kraju, a redakcja poczytnego czasopisma „Kłosy" nosiła się z zamiarem nawiązania współpracy z B. Zaleskim. Nic jednak z tych planów nie wyszło. Album został też zauważony w Rosji przez geografa Wasyla Grigoriewa, który wędrował z autorem po stepach i w poświęconym temu albumowi omówieniu napisał, że zarówno tekst, jak i akwaforty tchną autentycznością:

---

[37] W. Caban, *Z Orenburga…*, op. cit., s. 185–191.

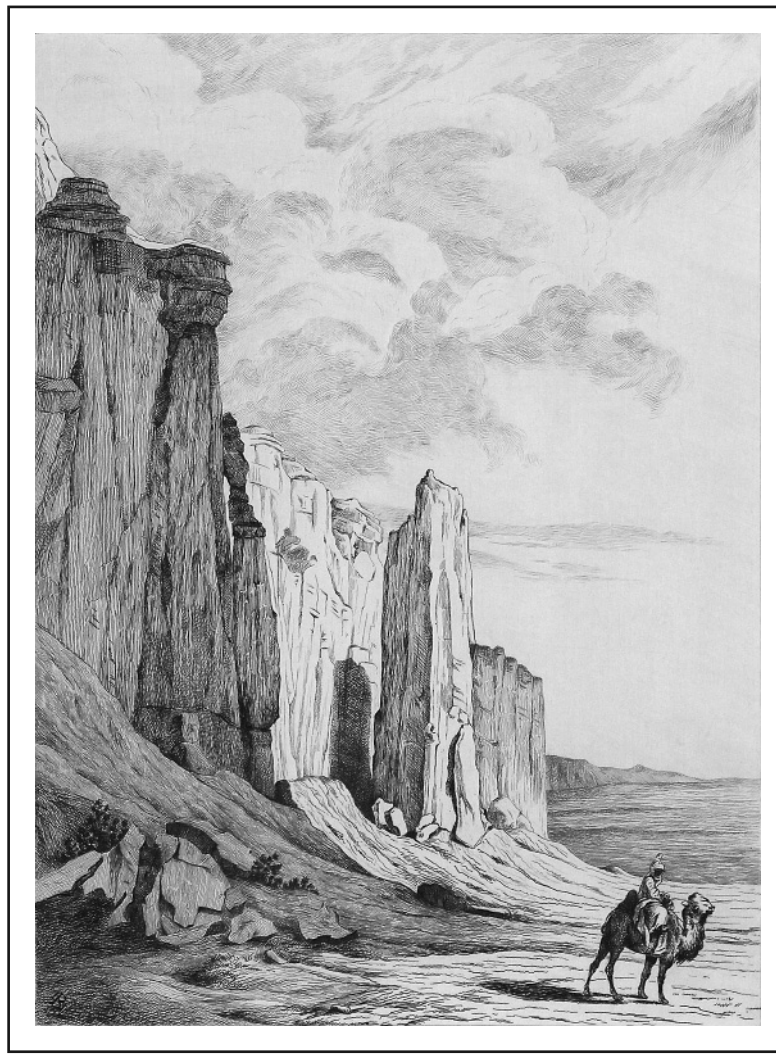

Góra Czirkała

Zdolności autora i jego twórcza fantazja nie dodały ani nie pominęły najmniejszego szczegółu: ołówek i rylec Zaleskiego oddają z zadziwiającą wiernością te bezkresne, pustynne równiny, na których nie ma innych zabudowań prócz cmentarzy, innego piękna oprócz skał wapiennych lub bagien zarosłych sitowiem […] Cichy smutek tchnie z jego wszystkich opisów i opowiadań, i nie mogło być inaczej; trudno było o radość wśród monotonnej przyrody stepu oraz w nastroju ducha, w jakim pozostawał piszący, jedna z najczystszych i najpoetyczniejszych dusz w naszym brudnym i prozaicznym świecie[38].

[38] Wasyl Grigoriew, „Izwiestija Imperatorskogo Russkogo Gieograficzeskogo Obszczestwa", 1865, t. I, nr 1, s. 189–190.

Józef Kobyłecki

Kontynuując ten wątek poznawczy w konwencji: zobaczyć polski los i kulturę Kazachów, wspomnieć wypada o ważnym tego typu opisie, jakim jest książka **Józefa Kobyłeckiego** (1801–1867) *Wiadomości o Syberii i podróże w niej odbyte w latach 1831, 1832, 1833, 1834*, wydana w Warszawie w 1847 roku. Była ona pierwszą polską monografią geograficzno-kulturową dotyczącą Syberii. Jej autor był oficerem rosyjskim. Służył w podmoskiewskim pułku huzarów, a potem w Tobolsku. Został tam oficerem inspekcyjnym wojsk rosyjskich stacjonujących w Omsku i z racji służbowych obowiązków poznał szmat syberyjskiej ziemi, w tym i północny Kazachstan. Opisał różnorodność kazachskiej kultury i gospodarki, tj. hodowlę, typy domostw, odzież, różne aspekty kultury społecznej i duchowej. Podkreślił słabe przywiązanie Kazachów do islamu, dużo uwagi poświęcił opisom obrzędów pogrzebowych i cmentarzy, na których „nagrobne kaplice" wprawiały go w zdumienie. Było to, rzec można, poznanie przez konkret, ukazujący inność tej kultury i materialnego bytu jej nosicieli.

Aleksander Bem

Aleksander Bem (na zesłaniu 1849–1857) po zwolnieniu z zesłania powrócił do kraju. Rok wcześniej ukazały się jego listy ze stepów, zatytułowane *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema*, które przygotował do druku W. Wieczorkowski i opublikował na łamach „Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych", 1856, nry 48–50. Zachęcając czytelnika do lektury tych listów, pisał:

> Na dalekim wschodzie, za Wołgą i Uralem, ponad Aralskiem i Kaspijskiem morzem, leży kraj dziki, ziemia pustyń piaszczystych, ziemia ludu, co nie przeszedł dziwnych kolei europejskiej cywilizacji, ale wegetuje z dnia na dzień, chowając stary obyczaj swoich przodków. Obyczaj ten to zlepek niekształtny mistycznych podań i wierzeń ludów, z którymi sąsiadował od niepamiętnych czasów, toż i hord różnojęzycznych, co przez ciąg tylu wieków ocierały się i mieszały z pierwotnem plemieniem ziemi[39].

By nie rozbudowywać opisu treści tych listów, należy jednak podać, iż oprócz spraw tyczących się bezpośrednio autora ukazują one obraz kazachskiego stepu i jego ludów. Oto bowiem pisał Bem:

> Wystawcie sobie ogromną przestrzeń ziemi, której granic słabe ludzkie oko dojrzeć nie jest w stanie, i która łącząc się z horyzontem, jedną z nim całość stanowić się zdaje. Ziemia ta w wielu miejscach zupełnie jest naga, w innych okryta właściwymi sobie roślinami, które zaledwie wegetować i kwitnąć zacząwszy przypalone upałem słonecznym, nigdy nie zwilżone ożywczą rosą, a zaledwie parę razy do roku

[39] A. Bem, *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema ułożył Władysław Wieczorkowski*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych" 1856, nr 48.

deszczem przykropione, usychają przedwcześnie, a okryte pyłem ziemi, który najmniejszy wietrzyk unosi, przedstawiają oku obumarłą naturę. Parę tylko iskier… a już i pożar w stepie. […] Lasów i drzew nigdzie nie widać; żadnej prawie nie masz zieloności, żadnej rozmaitości, która by choć na chwilę oko zająć mogła, a wiatr buja swobodnie po stepie od końca do końca, wiatr wściekły, nieznośny. Wszystko martwe, wszystko bez życia, a dodawszy do tego widok niezgrabnego Kirgiza, ociężałego i leniwego, który jedzie na równie niezgrabnym wielbłądzie lub wole, a będziecie mieli zupełnie widok stepowy. […] Mężczyźni są średniego wzrostu, krępi, dobrze zbudowani, twarz ich okrągła, czerwona, ogorzała, nos szeroki, najczęściej spłaszczony, oczy podłużne, wielkie, daleko od siebie położone, bo szerokość nosa znaczną pomiędzy nimi przestrzeń zajmuje. I cóż powiecie, mimo te wszystkie cechy, nie odrażają oni swoją brzydotą: owszem są nawet dość przystojni, w młodszym zwłaszcza wieku. Główny ubiór Kirgiza stanowi tak zwany czapan: jest to długa suknia, pospolicie czarnego albo brunatnego koloru, podobna do naszego szlafroka; taki czapan podbijają w zimie futrem baranim, używają także odzienia ze skór dzikich kóz włosem na wierzch. Szlafroki te wkładają w ogromne skórzane, a czasem w różne wzory wyszywane szembary (szarawary). […] Na ogolonej głowie noszą w zimie małe jarmułki kolorowe obszyte od dołu futerkiem, na te zaś kładą tak zwany *małachaj* z futra baraniego powleczonego suknem lub inną materią; latem samego tylko używają *małachaja*, który bywa zwykle biały, wełniany. Ubiór ten na głowę, wybornie zastosowany do klimatu, jest bardzo użyteczny w czasie wielkich tu panujących mrozów i śniegowych zawiei. Użytku koszul nie znają.
Kobiety tu są małego wzrostu, brzydkie, prędko się starzeją, a ubiór ich jest jeszcze mniej udany aniżeli u mężczyzn. Używają one podobnych jak mężczyźni szlafroków, a w czasie zimy i jazdy konnej szembarów, co przy małym wzroście bardzo je niekorzystnie przedstawia. Na głowie noszą białe zasłony, które im głowę i pół figury okrywają, jedną tylko twarz wyjąwszy[40].

W dalszej części tej relacji jest mowa o ubiorze dziewcząt, sposobie zaplatania warkoczy, o ozdobach. Podaje też autor wygląd jurt kazachskich, opisuje dokładnie ich budowę i podkreśla dostosowanie tego typu domostwa do koczowniczego trybu życia. Charakteryzuje rozplanowanie wnętrza i jego wyposażenie, podkreślając ważną rolę ogniska płonącego na środku na specjalnym trzonie. Wskazuje na dużą rolę hodowli i związany z nią koczowniczy tryb życia. Czyni uwagi o pożywieniu, podkreślając ważną rolę końskiego mięsa w jadłospisie Kazachów, którzy używali także mięsa baraniego, koziego i wielbłądziego. Nie pominął też wiadomości o *kumysie* jako podstawowym napoju stepowych tubylców.

Przekazy Aleksandra Bema są interesującym źródłem wzbogacającym naszą wiedzę o kulturze i realiach etnograficznych ludów kazachskiego stepu.

[40] A. Bem, op. cit., nr 49.

3.

W KRĘGU BADACZY PRAWA ZWYCZAJOWEGO

Polskie opisanie Kazachstanu w XIX wieku i początkach XX stulecia to wielość wątków, takich jak: informacje o kulturze, prace rozpoznawcze dotyczące zasobów surowców naturalnych, działalność kulturalna, gospodarcza, administracyjna i wojskowa. Jednym z bardzo ważnych zagadnień dotyczy obszaru badawczego obejmującego prawo zwyczajowe Kazachów.

Andrzej Szerszeniewicz

W badania prawa zwyczajowego Kazachów wpisał się Polak **Andrzej Szerszeniewicz**, słuchacz Szkoły Języków Wschodnich w Odessie. Stopień wiedzy o jego dokonaniach badawczych jest zaledwie szczątkowy i opiera się na informacjach zawartych w artykule W.Z. Galijewa z Ałmaty[41]. Ważne jednak jest to, że kazachski uczony identyfikuje go jako Polaka w służbie rosyjskiej i wpisuje jego badania nad prawem zwyczajowym Kazachów w program kontynuacji dalszych prac w tym zakresie.

Służbę urzędniczą Szerszeniewicz rozpoczynał jako tłumacz języka tureckiego w Urzędzie Gubernialnym w Noworosyjsku (1834), następnie w latach 1837–1845 pracował w Tobolsku jako urzędnik do zadań specjalnych przy gubernatorze Syberii Zachodniej. Opracowywał wówczas stosowne dokumenty, mające regulować system zarządzania ludami koczowniczymi tej części Syberii. Był to temat dotyczący ważnej sfery życia autochtonicznych etnosów, nie zmienia to jednak faktu, że głównym celem tego opracowania wydaje się być w istocie ograniczenie autonomiczności zwyczajowych form życia tubylców – po prostu kolonizacja tych obszarów. Treść jego opracowań charakteryzowały realizm oraz konkretność, zwłaszcza że były one rezultatem badań terenowych dających dobre rozpoznanie zwyczajów i obyczajów ludów, wśród których przebywał, wzbogacone urzędniczą pracowitością. Rozliczne potrzeby związane z opracowywanym zagadnieniem narzucały konieczność podróżowania, tak więc mobilność Szerszeniewicza wynikała z powinności zawodowej utrzymywania kontaktów z tamtejszą ludnością tubylczą i doświadczania w jakimś sensie ich życia.

---

41 W.Z. Galijew, *Józef Osmołowski w Kazachstanie,* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia…*, op. cit., s. 191.

Wkrótce więc zlecono mu kolejną misję. W Orenburskiej Komisji Granicznej zajmowano się zbieraniem i kompletowaniem wiadomości na temat kazachskiego prawa zwyczajowego. Wyjechał więc do Orenburga i w 1845 roku pracował w Komisji jako urzędnik, a od 1847 roku był pracownikiem w kancelarii orenburskiego i samarskiego gubernatora wojskowego, któremu szczególnie zależało na dobrym rozpoznaniu sytuacji w terenie, dotyczącej nastrojów wśród ludności kazachskiej i miejscowych rodowych władców. Te czynności rozpoznawcze wynikały z potrzeby zapewnienia bezpieczeństwa Rosjanom, którzy przenikali na te obszary.

Szerszeniewicz otrzymał zadanie przygotowania programu prac nad gromadzeniem materiałów dotyczących różnych aspektów prawa zwyczajowego Kazachów, regulujących społeczne i wierzeniowe sfery ich życia, oraz lokalnych tradycji z tym związanych. I znowu, tak jak poprzednio, gdy był w Tobolsku, rozpoczęła się jego wędrówka do tubylczych aułów. Docierał w odległe rejony stepów, by najpierw zgromadzić materiał, z szacunkiem do szczegółów, a potem dokonać rozróżnień i interpretacji oraz budzić dalsze niepokoje poznawcze. Sporządzony opis miał bowiem zawierać konstytuowanie określonych norm zwyczajowych. Szerszeniewicz, tworząc program badania tego kulturowo-wierzeniowego fenomenu (w których przenikały się już pewne elementy religii muzułmańskiej, tj. *adatu* i szariatu), uwzględnił w nim zagadnienia dotyczące sądów i sądownictwa, religijności, roli *bejów* i duchowieństwa, rady starszych, rodzajów przestępstw i kar za nie, prawa rodzinnego, opieki, wymiany towarów itp. Czy materiały te zostały w jakiś sposób wykorzystane przez miejscową administrację? Nie wiadomo. Natomiast ich zawartość jest dobrze znana, jako że zachowały się one w archiwach do naszych dni i warte są udostępnienia w formie edycji książkowej.

Karol Gutkowski, Czokan Walichanow i Hilary Gąsiewski

Przemieszczanie się między odmętami czasu, w którym polscy zesłańcy i dobrowolni emigranci, mieli sposobność poznawania Kazachstanu i tworzyli wiedzę o kulturze ludzi stepu, jest okazją, by wspomnieć o kolejnych profesjonalnych badaniach z dziedziny prawa zwyczajowego.

Prowadził je **Karol Gutkowski** (1815–1867), syn emerytowanego porucznika wojsk polskich, absolwent Korpusu Kadetów oraz Nikołajewskiej Akademii Wojskowej Sztabu Generalnego w Petersburgu. Jego zawodowe losy związane były ze służbą wojskową. W 1838 roku rozpoczął ją jako adiutant generała-gubernatora Syberii Zachodniej Piotra Gorczakowa, później natomiast mianowano go zastępcą wojskowego gubernatora obwodu semipałatyńskiego. W latach 1851–1863 był naczelnikiem Obwodowego Zarządu Kazachów Syberyjskich. Ważnym wątkiem jego działalności zawodowej były wykłady z dziedziny fortyfikacji, geografii i geodezji w Syberyjskim Korpusie Kadetów w Omsku. Nie stały one w żadnej sprzeczności z jego licznymi obowiązkami logistyczno-administracyjnymi, wręcz przeciwnie – miały podstawowe znaczenie dla istoty pracy pedagogicznej i dowódczej funkcji poprzez powstawanie sieci ważnych kontaktów i więzi społecznych.

Wśród słuchaczy Korpusu Kadetów był Kazach **Czokan Walichanow** (1835–1865), który mimo swego krótkiego życia zdobył sławę zdolnego publicysty i uczonego. Interesował się etnografią, historią i folklorem Azji Środkowej, brał udział w pracach przygotowujących reformę sądownictwa kazachskiego oraz prowadził wyprawę naukową do Kaszgaru. Jego biografowie są zdania, że pozostawał pod wpływem Gutkowskiego, który jeszcze podczas nauki w Korpusie Kadetów zwrócił na niego uwagę jako zdolnego słuchacza i w pewien sposób przyczynił się do jego kariery i rozwoju osobowości. Stał on bowiem na stanowisku, że właśnie Walichanow, syn kazachskiego narodu, może być wzorem do naśladowania w zakresie pełniejszego dostępu do szkół umożliwiających kształcenie młodzieży wywodzącej się z rdzennych narodowości, które skutkiem polityki kolonizacyjnej znalazły się w państwowej strukturze Rosji. Takie poglądy były wówczas raczej odosobnione, zatem i Gutkowski nie pozyskiwał dla nich pełniejszej aprobaty. W moim przekonaniu ta niepopularna wówczas próba zmiany sytuacji w tym zakresie została przedstawiona z dużym obiektywizmem i rzeczowością, opatrzoną poważnym argumentem konieczności tworzenia wykształconych kadr w obrębie kazachskiego narodu.

Przykład Walichanowa umacniał go w tych poglądach, a po śmierci tego młodego badacza czynił starania w Rosyjskim Towarzystwie Geograficznym, by opublikowano wyniki jego ekspedycji do Kaszgaru, które wcześniej z nim przygotowywał, widząc w tych materiałach wiele wartościowych spostrzeżeń o charakterze kulturowo-strategicznym. Można wręcz powiedzieć, używając pewnego uproszczenia, że los zdecydował o spotkaniu się tych osób, pozostających początkowo w różnych kontekstach społecznych – nauczyciela i ucznia, potem zaś pisarza, poety i przyjaciela, pełnych życzliwości wobec siebie. Obaj wyznawali zasadę, że powinnością człowieka jest dążenie do humanistycznego wymiaru życia i poszanowanie wartości duchowych wyznawanych przez społeczności o innych językach i kulturze. Wcześniej jeszcze, gdy się zdarzyło, że Gutkowski, najprawdopodobniej za wyrażanie poglądów zwalczających korupcję i despotyzm carskich urzędników, popadł w niełaskę u Aleksandra Duhamela, generała-gubernatora Syberii Zachodniej w latach 1863–1866, oraz wyższych urzędników z jego otoczenia, w konsekwencji czego utracił urząd naczelnika Obwodowego Zarządu Kazachów Syberyjskich, Walichanow napisał do niego:

> Bardzo mi żal Pana, Karolu Kazimirowiczu, gdy myślę o warunkach materialnych, w jakich znalazł się Pan. Dokąd się Pan uda? W razie gdyby miał Pan trudności ze znalezieniem miejsca dla siebie, niech Pan przyjeżdża na lato do nas, póki się Pan nie urządzi. Na Boga, niech Pan nie traci ducha, może wszystko zmieni się na lepsze[42].

Zdaniem S. Sapargalijewa i W. Djakowa, znawców stosunków polsko-kazachskich w XIX wieku, ten znany wówczas intelektualista kazachski, cieszący się wielkim autorytetem, czynił starania o pracę dla swojego dawnego nauczyciela

[42] Cz. Walichanow, *Sobranije soczinienij*, t. 4, Ałma-Ata 1968, s. 71.

w Korpusie Kadetów, co zapewne przyniosło jakiś efekt, ponieważ Gutkowski włączony został do składu komisji powołanej do opracowania projektu zarządzania Krajem Stepowym[43].

Wspomnijmy tu jeszcze o tym, że w Syberyjskim Korpusie Kadetów wykładowcą był jeszcze jeden Polak – **Hilary Gąsiewski**, i on także miał wpływ na rozwój osobowości Cz. Walichanowa, zwłaszcza w zakresie kształtowania się jego poglądów społeczno-politycznych[44]. Inny ślad życia Gąsiewskiego łączy się z kolejnym jego wychowankiem, wybitnym działaczem społeczno-politycznym na Syberii **G.N. Potaninem**, jednym z liderów tzw. obłastnictwa, oryginalnego ruchu społecznego na Syberii w latach 60. XIX wieku, którego celem było stworzenie regulacji prawnych na rzecz samodzielnego rozwoju Syberii. Ruch ten zrodził się wśród tworzącej się za Uralem burżuazji, chcącej bronić rozwoju i potrzeb ekonomicznych tego regionu Imperium, a tzw. radykaliści w jego łonie zmierzali nawet do oderwania Syberii od Rosji[45].

We wspomnieniu o Gąsiewskim napisał Potanin, że był on świetnym i światłym nauczycielem, który ze swym podopiecznym Walichanowem dbał o właściwy rozwój ideowy kadetów.

> Kadetom szwadronu dostarczał wiele nowości. Wykształcone społeczeństwo Omska bardzo interesowało się tym kadetem (Walichanowem – A.K.). Szczególny wpływ na jego rozwój wywarł zabierający go co niedzielę wykładowca historii powszechnej Gąsiewski. Dlatego my, kadeci szwadronu, niemałośmy zawdzięczali temu kirgiskiemu arystokracie o demokratycznych poglądach. Jeszcze przez dziesięć lat po wyjściu z korpusu (mogę to stwierdzić przynajmniej o sobie) żyliśmy ideałami i pod wpływem tego kółka przyjaciół, do którego należeliśmy na uczelni. Mieszkaliśmy już poza obrębem murów korpusu, a kółko rozwijało się nadal[46].

Dopełniając informacji o wojskowej służbie Gutkowskiego, podać jeszcze należy, że w kwietniu 1850 roku dowodził on wyprawą zbrojną przeciwko Kokandyjczykom z Ilijskiej Doliny. Miała ona charakter odwetu za zniszczenia dokonane przez nich na terenach podległych kazachskiemu chanowi Touczubekowi. Służba wojskowa raz po raz stwarzała konieczność wyruszania w teren, by łagodzić różne niepokoje, co dawało możliwość poznania stosunków społecznych panujących wśród Kazachów i było niewątpliwie jej pozytywną wartością. Był więc nie tylko wnikliwym obserwatorem, który poczynił wiele ciekawych spostrzeżeń, ale także

---

43 G. Sapargalijew, W. Djakow, op. cit., s. 211.

44 Ibidem, s. 214–216.

45 N.A. Jakowlewa, *Polacy na Syberii i syberyjscy obłastnicy w drugiej połowie XIX i na początku XX w.*, [w:] *Polacy w nauce, gospodarce i administracji na Syberii w XIX i na początku XX wieku*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 2007, s. 233–245.

46 Cyt. za: W. Djakow, *Udział Polaków w badaniach i zagospodarowywaniu Syberii w XIX wieku*, „Przegląd Historyczny" 1974, t. LXV, z. 4, s. 632–633.

rozumiał konieczność zmian istniejącej sytuacji, co powodowało nieuniknione konflikty z urzędnikami administracji carskiej. Konflikty klasowe i powszechna nierówność budziły niepokój tego przenikliwego obserwatora, który z jednej strony widział w stepach bogactwo i przepych w jurtach sułtanów, z drugiej zaś biedę ich podwładnych.

I jeszcze na moment pozostańmy w kręgu spraw związanych z udziałem Gutkowskiego w powołanej rządowym dekretem Komisji Stepowej, mającej opracować program rozwoju miejscowej gospodarki oraz zasady administrowania ludnością tubylczą. Odbył wówczas liczne podróże w step do tubylczych osad i uważnie przestudiował obowiązujący system administrowania na terenach zamieszkałych przez Kazachów. Co do jego funkcjonowania miał wiele zastrzeżeń, dostrzegał bowiem swoisty system dwuwładzy, polegający na istnieniu administracji rosyjskiej i niekontrolowanych działaniach miejscowych feudalnych władców, którzy byli faktycznymi i absolutnymi panami w terenie, utrzymującymi się dzięki poparciu carskiego rządu.

Receptę na poprawę wspomnianej sytuacji upatrywał w zwiększeniu samorządności w obrębie tubylczych instytucji społecznych, rządowej zaś administracji miałyby podlegać większe i nieskorumpowane funkcje kontrolne. Twierdził, że miejscowi urzędnicy manipulowali sprawozdawczością dla wyższych władz, co nie pozwalało jej uzyskać prawdziwego oglądu istniejącej w stepach rzeczywistości. Ucieczka od tej rzeczywistości i jej klajstrowanie, by nie trwożyć władz wyższych, była powodem swoistego mariażu miejscowych „czynowników" rządowych oraz feudalnych władców i stanowiła bezpośrednią przyczynę braku właściwego pokazania zła tamtego świata oraz grzechów rzeczywistości. Ten załgany obraz składał się na ułomność stepowej jurysdykcji i wedle Gutkowskiego uruchamiał regresywne mechanizmy broniące przed naruszeniem istniejącego tabu. Należy tu zaznaczyć, że zdobyte przez niego wiadomości nie ograniczały się do prostych obserwacji, lecz miały charakter pewnych refleksji kulturoznawczych i jurysdykcyjnych, dotyczących wielu dziedzin życia kazachskiego ludu. Były więc ciekawym źródłem do poznania zarówno miejscowej rzeczywistości społecznej, jak i tamtejszych stosunków gospodarczych. Widział wyraźną potrzebę pogodzenia tych dwóch obcych sobie kulturowo światów i dopiero w tym upatrywał możliwość realnej zmiany sytuacji, którą obserwował wśród autochtonicznych mieszkańców stepu.

Pokłosiem jego niepopularnych zresztą w owym czasie poglądów był obszerny tekst, który opracował wspólnie z A.K. Heinsem, opublikowany pierwotnie, jak ustaliła A. Milewska-Młynik, w „Wojennym Sborniku", a później jako fragment szkicu pt. *Kirgiz-Kajsaki* w obszernym zbiorze podejmującym wiele różnych wątków społeczno-kulturowych dotyczących Kazachstanu[47].

---

[47] A.K. Geins, *Sobranije litieraturnych trudow*, Sankt-Petersburg 1897–1899. Zob. też: A. Milewska–Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego,* Warszawa 2012, s.108–109, 115.

Józef Osmołowski

W omawianej tu problematyce zwrócić także należy uwagę na działalność **Józefa Osmołowskiego** (1820–1862), absolwenta orientalistyki Uniwersytetu Kazańskiego, pracującego od 1848 roku w Orenburskiej Komisji Granicznej w charakterze tłumacza. Znał dobrze język kazachski oraz inne języki wschodnie, był obznajomiony z islamem, z dziejami ludów w tej części Azji, ich wierzeniami i kulturą.

Jego znaczące osiągnięcia w zakresie badania prawa zwyczajowego Kazachów oraz działalność administracyjną przedstawił dokładnie wspomniany już W.Z. Galijew[48]. J. Osmołowski jako badacz i administrator reprezentował typ urzędnika o rzadko spotykanej na tym odludziu profesji. Interesowały go problemy języka i kultury autochtonicznych etnosów, przeto powierzono mu rozpoznanie norm prawa zwyczajowego Kazachów. Koncentrowało się ono w specjalnym programie badawczym kierowanym przez I.A. Andrego, kontynuowanym po jego śmierci (1848) przez J. Osmołowskiego.

Osmołowski – spostrzegawczy i inteligentny, a przy tym pracowity, korzystał z częstych okazji do podróży po stepach, w które wplecione zostały sprawy poznania prawa zwyczajowego. Miał przy tym świadomość, że zrodziła się dla niego niebywała możliwość przedstawienia wielopłaszczyznowości miejscowej tradycji, wpływającej na kazachskie normy determinujące określone dziedziny życia społecznego. Nie ulega więc wątpliwości, że najmocniejszą stroną urzędniczej działalności Osmołowskiego była możliwość terenowych eksploracji, a w istocie poznawania zwyczajów i obyczajów powiązanych z tamtym miejscem i czasem. Często było mu to pomocne w tworzeniu opisów obserwowanej rzeczywistości i nadawaniu jej sensu, z wyraźnym szacunkiem do szczegółów.

Pierwsze zadanie wyznaczone Osmołowskiemu po jego przybyciu do Orenburga dotyczyło rozpoznania wątpliwości Kazachów z rodu Adajewów, koczujących wzdłuż rzek Ust-Urtu i Emby, komu mają płacić daninę: chanowi chiwańskiemu (z siedzibą w Chiwie) czy administracji rosyjskiej? Potem przez wiele lat zajmował się badaniem prawa zwyczajowego w ramach specjalnej komisji. Powierzone zadania wypełniał z należytą starannością, występując z raportami uzasadniającymi dłuższy niż przewidywały to pierwotne ustalenia pobyt w terenie. Widział też potrzebę pewnej rewizji merytorycznej wcześniejszych informacji i w maju 1850 roku wnioskował o oddelegowanie go do Środkowej i Zachodniej Ordy celem sprawdzenia zbioru prawa zwyczajowego i uzupełnienia go o nowe szczegóły. To zasadniczo wzbogaciło jego wiedzę z tej dziedziny. W jednym z takich raportów wnioskował o skierowanie go:

> do Środkowej i Zachodniej Ordy, jeszcze przed opuszczeniem przez sułtanów-rządców swoich kwater, gdyż trasa ich wędrówek jest bardzo dogodna do sprawdzenia moich danych. Pozwoli to także znaleźć w odległych stepach, a zarazem zbadać

[48] W.Z. Galijew, *Józef Osmołowski w Kazachstanie,* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia…*, op. cit., s. 189–202.

> zwyczaje panujące między Kirgizami z oddalonych od siebie rodów, gdzie zazwyczaj są one bardziej klarowne. Pozwoli to także obserwować tryb sądowniczy sułtanów i stosowanie panujących w nim zwyczajów. Następnie proszę o oddelegowanie mnie do Wewnętrznej, czyli Bukieriewskiej Ordy w celu ostatecznego porównania zebranych opisów obyczajów, a to najlepiej można uczynić podczas jesiennego jarmarku, na którym zbiorą się wszyscy Kirgizi[49].

W sumie trzeba stwierdzić, że obserwacje Osmołowskiego są cennym i sumiennym materiałem poznawczym z dziedziny prawa zwyczajowego Kazachów. Szczególnie jasne i zrozumiałe jest to dla tych, którzy znają szczupłość zasobów archiwalnych z tego zakresu, dotyczących mniej lub bardziej szczegółowych problemów kodyfikacyjnych.

Dlatego też na uznanie winna zasługiwać jego refleksja mówiąca, że w tej dziedzinie można zauważyć nawarstwienia tatarskie, baszkirskie i uzbeckie. Wiedząc o tym, wstrzymywał się przed:

> ogólnym wnioskowaniem na temat obyczajów u Kirgizów i ich stosunku do Koranu i w ogóle do mahometanizmu, ponieważ Kirgizi Wschodniej Ordy, wśród których sporządzono zbiór ich praw, wyraźnie różnią się od pozostałych, tak pod względem oświecenia, jak i trybu życia. Ponadto nie należy odrzucać, iż Kirgizi ze Wschodniej Ordy, handlujący nieprzerwanie z innymi narodami, np. z mieszkańcami Buchary, Chiwy, Kokandy czy wreszcie Rosji, nie odczuli obcych wpływów, mogących w znacznym stopniu zmieniać samobytność tego narodu, a więc i jego zwyczaje[50].

Zdając sobie z tego sprawę, nie pominął żadnej okazji, by bliżej poznać ewentualne związki. Bywało, że powtórnie powracał w teren, aby szczegółowiej zapoznać się z niektórymi zawiłościami tego prawa, kontaktując się z miejscowymi *bejami* i radami starszych. Z jego archiwalnych zapisów wynika, że uczestniczył w zjeździe *bejów*, znał się z kazachskimi sułtanami Tiaukinem i Dżantiurinem. Podkreślmy raz jeszcze, że do odtworzenia, a w istocie konstruowania opisów prawa zwyczajowego tamtejszych etnosów niezbędne było nawiązanie więzi z miejscowym otoczeniem tubylczym oraz z wydarzeniami zachodzącymi w tamtym miejscu i czasie. Osmołowski zdawał sobie doskonale sprawę, że nie może dać się uwieść drobiazgowości tego prawa. Obowiązywała go wewnętrzna dyscyplina uczciwości i trzymanie się bezpośrednio doświadczanej rzeczywistości, przeto korzystał też z informacji *bejów* znających prawo zwyczajowe swego narodu, przede wszystkim *beja* Nauryzbaja Kazybajewa, Kusumbaja Satubałdina, sułtana-rządcy Achmada Dżantiurina oraz Bałgoża Dżanburczina, przewodzącego rodowi uzunskiemu z plemienia Kypczaków. W pracy tej potrafił wnikliwie oceniać sens przemian cywilizacyjnych

---

[49] Centralnyj Gosudarstwiennyj Archiw Kazachskoj SRR, f. 4, op. 1, d. 2382, l. 110. Cyt. za: W.Z. Galijew, *Józef Osmołowski w Kazachstanie,* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia…*, op. cit., s. 193.

[50] Ibidem, l. 111.

i związanych z nimi przewartościowań życia społecznego oraz regulujących je norm prawa zwyczajowego.

Oprócz wspomnianego znaczenia opisu zjawisk związanych z prawem zwyczajowym Kazachów, udokumentowanych przez Osmołowskiego, pełniejsza ich charakterystyka nie jest możliwa, całość bowiem zgromadzonego przez niego materiału z tego zakresu przedłożona Komisji Granicznej, w której pracował, a także w kancelarii orenburskiego i samarskiego generała-gubernatora zaginęła w urzędach administracji carskiej. Być może znajdują się one w archiwach Ałmaty, Orenburga czy Sankt Petersburga? Może ktoś podejmie trud ich odnalezienia! W każdym razie, jak pisał A.I. Makszejew:

> Osmołowski opracował wspaniały zbiór prawa zwyczajowego Kirgizów, uzupełniony bogatymi komentarzami, i przedłożył go władzom zwierzchnim, lecz ta praca pozostaje jak dotychczas w archiwach[51].

Podobną opinię wyraził rosyjski orientalista, przewodniczący Orenburskiej Komisji Granicznej W. Grigoriew, który po lekturze tego opracowania dotyczącego prawa zwyczajowego Kazachów stwierdził:

> uważam za swój obowiązek przyznać słuszność rozwadze w stosowaniu metod w tego rodzaju pracach prawodawczych, prowadzonych przez kilku znawców oraz przez miejscowych specjalistów. […] posiadał on [Osmołowski] rozległość wiedzy naukowej, sumienność i wytrwałość w pracy, nie uciekanie od trudności i niedostatku, jakie towarzyszyły nieodłącznie w każdej podróży w głąb stepów. Zajmował się niestrudzenie przekładem różnorodnych dokumentów dotyczących administrowania powierzonym mu terytorium, a zwłaszcza zbieraniem informacji o dzielnicach Azji Środkowej, zawsze przy każdej nadarzającej się okazji nawiązywał dysputę z Kirgizami, z Azjatami, by później systematyzować zdobytą wiedzę[52].

Relacjonując działalność badawczą Osmołowskiego nad prawem zwyczajowym Kazachów, pominięto jego inne poczynania w tym kraju. To tropienie jego śladów jest jednoznaczne ze spojrzeniem na historię rosyjskiego włodarzenia w Kazachstanie, ściśle powiązanego z czynnikami politycznymi i egzystencjalnymi tamtych czasów. Mając w miarę uporządkowaną sytuację poprzez pozyskanie miejscowych władców dla rosyjskiej kolonizacji Kazachstanu, starano się administrować nim przy pomocy zaufanych urzędników przybyłych z Rosji.

Urzędnikiem takim stał się też Józef Osmołowski, wyznaczony do zarządzania obszarami Syr-darii i mieszkającymi tam Kazachami, z czasem z rozszerzonymi obowiązkami polegającymi na zbieraniu informacji o sytuacji w chanatach

---

51 A.I. Makszejew, *Putieszestwia po kirgizskim stiepiam i Turkiestanskomu kraju,* Sankt Petersburg 1896, s. 246.

52 Orenburskij Obłastnoj Archiw, f. 6, op. 10, d. 5716, l. 54 oraz f. 6, op. 12, d. 6789, l. 13. Formularnyj spisok Osmołowskogo, l. 56–58. Cyt. za W.Z. Galijew, *Józef Osmołowski w Kazachstanie,* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia…*, op. cit., s. 194 i 201.

środkowoazjatyckich, pozyskiwaniu szpiegów, dbałości o stan twierdz i ich zaopatrzenie. Zapewne liczył się z konsekwencjami tego faktu – nowe obowiązki, co tu dużo deliberować, miały charakter kolonizacyjny. Już w początkowym okresie sprawowania tej funkcji brał udział w oblężeniu twierdzy Ak-Meczet, wprawdzie jako tłumacz i przewodnik, jednak oddziały, w których sprawował te obowiązki, miały za cel poskromienie Kokandczyków i zdobycie tego ważnego punktu ich oporu przeciw plemionom kazachskim, a także Rosjanom. Wybudowali ją oni na początku XIX stulecia na prawym brzegu Syr-darii, na skrzyżowaniu karawanowych szlaków wiodących z Taszkentu, Buchary i Chiwy przez Bramę Turgajską, a potem poprzez Troick i Atbasar do Syberii Zachodniej. Załoga twierdzy miała za zadanie stałe poskramianie okolicznych plemion kazachskich, pobieranie od nich podatków i utrzymanie dalszego ich podporządkowania władzy Taszkentu. Oczywiście było to w sprzeczności z rosyjskimi dążeniami do władania tymi obszarami. Postanowiono więc problem ten skutecznie rozwiązać i wyruszyć przeciwko Kokandczykom, idąc jakoby na pomoc oczekiwaną przez Kazachów. W rzeczywistości wyprawa miała na celu nie ochronę Kazachów, lecz rosyjskie interesy związane z przenikaniem do Azji Środkowej. Po 23 dniach oblężenia zdobyto świetnie ufortyfikowaną twierdzę, a potem zmieniono jej nazwę na Fort Perowskiego. W składzie rosyjskich wojsk atakujących Ak-Meczet byli polscy zesłańcy: Z. Sierakowski, S. Kozakowski, I. Brzozowski, B. Lutkiewicz, F. Werner, K. Łopatecki, I.N. Popławski i inni. Wspomniał o tym generał A. Perowski w sprawozdaniu do ministra spraw wojskowych:

> Ze szczególną satysfakcją nadmieniam przy sposobności o przykładnym sprawowaniu się szeregowców i podoficerów należących do jednostki złożonej ze zdegradowanych przestępców politycznych. Jedni z nich w składzie pododdziałów muszkietowego i sztucerowego znajdowali się przez cały czas na pierwszej linii okopów, a przy szturmie byli wśród tych, którzy pierwsi rzucili się na wyłom, przy czym dwóch (podoficer Michał Bielikowicz i szeregowiec Karol Pogorzelski), poniósłszy śmierć, zmazało swoje dawne przestępstwa. Inni spośród zdegradowanych pełnili obowiązki felczerów w lazarecie, a w pierwszej linii nieśli pomoc rannym i wynosili ich z wyłomu pod ogniem nieprzyjaciela[53].

Działo się to w 1853 roku, gdy Krajem Orenburskim zarządzał generał-gubernator W. Perowski, człowiek łasy na pochlebstwa zwierzchników i srogi wobec podwładnych, często zazdrosny o sukcesy współpracowników, które najchętniej przypisywałby sobie.

Powodowało to różne niesnaski i przykrości. Spotkały one także J. Osmołowskiego, a powstały na tle deprecjacji jego zasług na rzecz uspokajania buntowniczych nastrojów Kazachów, które właśnie on konsekwentnie łagodził, mając autorytet u miejscowych *bejów*. Ten brak uznania raził go szczególnie, przede wszystkim dlatego, że wyznawał on stosowaną w praktyce zasadę, iż gwarantem humanistycz-

[53] Gosudarstwiennyj Archiw Orenburskiej Obłasti, f. 6, op. 10/3, d. 2, l. 352. Cyt. za: G. Sapargalijew, W. Djakow, op. cit., s. 179.

nych stosunków społecznych jest akceptacja pewnych norm moralnych i uznawanie kultury ludności tubylczej za ważny element spokoju.

Zdawał sobie sprawę z faktu, że rosyjskie panowanie na tym terenie przysporzyło miejscowemu społeczeństwu pewnych korzyści, ale było także źródłem konfliktów, przeto dbał o to, by kierować się troską o los tych poddanych rosyjskiej kolonizacji społeczeństw. A nie była to postawa powszechnie wówczas aprobowana przez rosyjską administrację cywilną i generałów-gubernatorów. Rodak nasz jakoś radził sobie z taką sytuacją, zwłaszcza że miał dobre kontakty ze starszyzną kazachskich rodów, a i prosty lud szanował go za znajomość ich zwyczajów i obyczajów oraz języka. To wszystko ułatwiało mu pracę oraz załatwienie różnych trudnych spraw, do których należało m.in. uwolnienie przyrodnika N.A. Siewiercowa, kiedy w 1858 roku został pojmany przez oddział tubylczy i odesłany do Turkiestanu. Na pytanie, jak potoczyłyby się dalsze losy Osmołowskiego, trudno dziś odpowiedzieć. Zmarł w 1862 roku podczas snu w powozie, udając się w kolejną podróż służbową.

Prezentacja tej postaci i jej wkładu w poznanie Kazachstanu stanowi próbę porządkowania naszego dziedzictwa w tym stepowym kraju. Rodzi się potrzeba dalszych prac w tej dziedzinie i odkrycie zepchniętych w głąb zapomnienia fragmentów jego życia, zatrzymanych niejako w ukryciu. Jest to więc zaproszenie do kolejnej wyprawy biograficznej celem badania archiwów, a dotyczącej omawianej tu postaci, o której wspomniany już A.I. Makszejew pisał, że gdy w 1853 roku Perowski mianował Osmołowskiego zwierzchnikiem Kirgizów znad Syr-darii, miał on tam

> szerokie możliwości zastosowania praktycznego swoich wspaniałych zdolności, połączonych ze światłym umysłem, rozległą wiedzą i niezwykle dobrym i czułym sercem; pozostał niedoceniony z powodu niezmiernej skromności i braku przedsiębiorczości; jego podwładni z kolei ubóstwiali go za nieposzlakowaną uczciwość i sprawiedliwość[54].

Seweryn Gross

Dopełniając obrazu dziejów związków polsko-kazachskich dotyczących języka i kultury Kazachów, wspomnieć jeszcze należy o działalności badawczej **Seweryna Grossa** (1852–?), zesłańca z końca XIX stulecia, zajmującego się kazachskim prawem zwyczajowym, a ponadto bliskiego znajomego **Abaja Ibrahima Kunanbajewa,** wybitnego kazachskiego poety[55].

---

[54] A.I. Makszejew, op. cit., s. 247.

[55] W.Z. Galijew, *Zsylnyje rewolucjoniery w Kazachstanie*, Ałma-Ata 1978, s. 132–133; G. Sapargalijew, W. Djakow, op. cit., s. 279–280; A.K. Kunert, hasło „Seweryn Gros", [w:] *Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego*, red. F. Tych, t. 2, Warszawa 1987, s. 380–381.

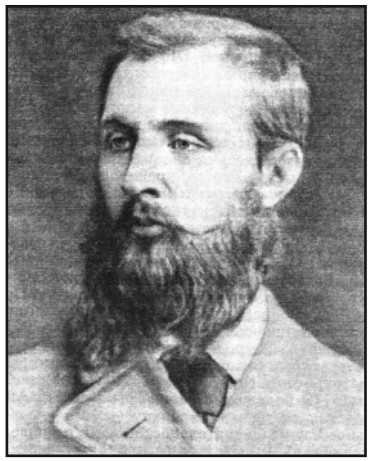

Seweryn Gross – zdjęcie wykonane na zesłaniu

Urodził się on w guberni kowieńskiej, w rodzinie właściciela ziemskiego. Ukończył gimnazjum w Rydze i studia prawnicze na uniwersytecie w Petersburgu. Od 1878 roku przebywał w Warszawie, potem wyjechał do Wilna i należał do istniejącej tam Gminy Socjalistów Polskich. Pobyt w Wilnie przerwany został wyjazdem do Szwajcarii (Genewa), gdzie reprezentował środowisko polskich socjalistów na Zjeździe Gmin, skąd powrócił do Warszawy. Tu został aresztowany (1881) i po przewiezieniu do Wilna skazany na 5 lat zesłania. Początkowo przebywał w Iszymie, gdzie zawarł związek małżeński z Anną Skałacką z Kijowa, przebywającą na zesłaniu za „rewolucyjną propagandę". Ze względu na chorobę żony przeniesiono ich do Semipałatyńska, gdzie Seweryn między innymi wspomógł miejscowe środowisko w zorganizowaniu muzeum i biblioteki.

Z jej zbiorów korzystali zesłańcy, a także inni mieszkańcy miasta, nierzadko Kazachowie, m.in. wielki kazachski poeta Abaj Kunanbajew (1845–1904). To jego, jako małego chłopca, leczył kiedyś z rozpoczynającej się ślepoty Adolf Januszkiewicz, gdy bywał w domu jego ojca. Kiedy Grossowie wyjechali z Iszymu, poszła za nimi stosowna notatka policyjna, informująca władze w Semipałatyńsku, że

> zesłańcy polityczni, Seweryn Gross i jego żona Anna, którzy w Iszymie pozostawali pod nadzorem policji, nie byli notowani w miejscach ich przebywania z powodu nagannego zachowania, mimo to oboje są nieprawomyślni pod względem poglądów politycznych, szczególnie zaś Gross jest pod tym względem niebezpieczny[56].

Zwolniony z zesłania (1887), wyjechał wraz z żoną z Kazachstanu i udał się do Kowna, potem mieszkał przez pewien czas w Galicji oraz na Łotwie, gdzie prawdopodobnie zmarł w Rydze.

Pobyt w Semipałatyńsku łączy się z pracą Grossa w Semipałatyńskim Komitecie Statystycznym, mającym zbierać materiały dotyczące prawa zwyczajowego Kazachów. Administracja rosyjska doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że do zrozumienia podstawowych znaczeń regulujących stosunki społeczne w obrębie tej grupy etnicznej istotne jest osadzenie tych norm w szerszym kontekście, z uwzględnieniem nawarstwień wpływów muzułmańskich, będących immanentną cechą tamtej rzeczywistości społecznej i kulturowej. Wspomniane zrozumienie tych norm wymagało więc nie tylko ich skatalogowania, ale i szerokiej interpretacji różnych szczegółów.

---

[56] Ł.M. Auezow, *Istoriczeskije osnowy epopiei „Put Abaja"*, Ałma-Ata 1969, s. 299.

Pracami z tego zakresu zajął się Semipałatyński Komitet Statystyczny kierowany wówczas przez generała-gubernatora Wasyla Cieklińskiego. W programie działalności tej struktury administracyjnej znalazło się więc rozpoznanie prawa zwyczajowego autochtonicznych mieszkańców Stepowego Kraju oraz pozyskanie informacji z dziedziny geografii, gospodarki i etnografii.

Szczególnie ważne były wiadomości odtwarzające skomplikowany system norm zwyczajowych, w związku z czym w 1882 roku została rozesłana do powiatowych urzędów na terenie Stepowego Kraju specjalna ankieta autorstwa Iwana Aleksandrowicza Kozłowa, będącego wówczas sekretarzem Obwodowego Komitetu Statystycznego w Akmolińsku. Uzyskany w ten sposób materiał przekazany został do kancelarii prawnej Jemieljanowicza Piotra Makowieckiego, sędziego powiatowego, a zarazem sekretarza Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego, w którym za zgodą wspomnianego wcześniej generała-gubernatora Gross uzyskał zatrudnienie. W ten to sposób zgromadzone materiały ankietowe trafiły na jego biurko, on zaś, by posiąść pełniejszą wiedzę dotyczącą prawa zwyczajowego Kazachów, ich zwyczajów i obyczajów, uzyskał pieniądze i zgodę na podróżowanie po Stepowym Kraju. Była to niełatwa próba pogłębienia problemu, a zarazem właściwa droga przybliżająca go do wtajemniczenia w złożone kwestie *adatu*, czyli prawa zwyczajowego narodów muzułmańskich i prawa religijnego szariatu, już wówczas bowiem kazachskie zwyczaje prawne i obrzędy miały charakter synkretyczny. Zanurzając się w obcy kulturowo świat, zdobył się na wysiłek skorelowania informacji ankietowych z tymi pozyskanymi podczas pobytu wśród Kazachów. Nie było to łatwe, zwłaszcza że niektóre elementy tego tajemniczego dlań świata naznaczone były już wspomnianym wcześniej synkretyzmem oraz sferą *sacrum*, w której spełniały się różne wierzeniowe zwyczaje ludu, a droga do ich poznania wiodła poprzez zbliżenie się do stepowych koczowników.

Wartość materiałów terenowych zgromadzonych przez Grossa polega też na tym, że to one dały mu możliwość zwrócenia uwagi na powiązania, przenikanie się i zazębianie różnych sfer życia społecznego Kazachów, prostego ludu i jego władców. Widać to wyraźnie w książce dotyczącej prawa zwyczajowego Kazachów wydanej w Omsku, w której na karcie tytułowej wymieniony jest J.P. Makowiecki jako redaktor, natomiast pominięto nazwisko autora, rzekomo ze względu na status zesłańczy, czyli S. Grossa[57]. Nie tak jednak sprawa wygląda, wziąwszy pod uwagę, że w tym czasie w Rosji ukazywały się prace innych polskich zesłańców, np. Benedykta Dybowskiego, Bronisława Piłsudskiego czy Wacława Sieroszewskiego. Sprawę tę starała się ostatnio rozwikłać A. Milewska-Młynik, informując, że:

> Ustalenie naukowego dorobku Seweryna Grossa jako badacza kultury Kazachów, zwanych we współczesnych mu czasach Kirgizami, nie jest sprawą prostą, gdyż prawie wszystko, co można powiedzieć o jego dokonaniach opiera się na dedukcji[58].

---

[57] W. i T. Słabczyńscy, *Słownik podróżników polskich*, Warszawa 1992, s. 131 i A. Kijas, op. cit., s. 40.

[58] A. Milewska-Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy…,* op. cit., s. 9.

A może po prostu powód przemilczenia był raczej bardziej osobisty, i sędzia Makowiecki ukrył takie współautorstwo, by wzmocnić swój prestiż jako sędziego, znawcy kazachskiego prawa zwyczajowego. Tak czy owak książka ta to niezwykle interesujące studium z tego zakresu, przesiąknięte wielością faktografii z zakresu kultury społecznej. Tymczasem w 1928 roku zesłaniec Siergiej P. Szwiecow, który w latach 80. XIX wieku przebywał na terenie Stepowego Kraju i zajmował się etnografią, napisał jednoznacznie na łamach czasopisma „Katorga i zsyłka", że to właśnie Gross był autorem tego zbioru i należał w owym czasie do znanych zesłańców przebywających w obwodzie semipałatyńskim:

> Był wszechstronnie wykształcony; wśród zesłańców wyróżniał się wiekiem – miał bowiem około czterdziestu lat – a także indywidualnością, niezłomnym charakterem i hartem ducha. W Semipałatyńsku pracował w kancelarii sędziego pokoju P. Makowieckiego, który zarazem był sekretarzem Obwodowego Komitetu Statystycznego. To umożliwiło Grossowi badania nad prawem zwyczajowym Kirgizów – tubylczej ludności obwodu. Przedmiotem badań stały się pisemne wyroki sądu *bijów*, tj. tradycyjnego sądu Kazachów, które Makowiecki kazał sobie dostarczyć ze wszystkich powiatów obwodów. W rezultacie powstała cenna praca, która zachowała wartość do naszych dni jako jedyna publikacja na temat majątkowego prawa Kazachów (Kirgizów). Wydał ją Semipałatyński Komitet Statystyczny pt. *Materiały po kazachskomu obycznomu prawu*, nie podając nazwiska autora, wymieniając jedynie P. Makowieckiego. Oczywiście żadnego opracowania redakcyjnego nie było i być nie mogło, gdyż Makowiecki nie dorównywał wiedzą Grossowi; zasługa jego polegała jedynie na tym, że przy pomocy swego sędziowskiego nazwiska przeprowadził przez igielne ucho cenzury i policji pracę, która w innych warunkach nie ujrzałaby światła dziennego. Miało to jednak ten ujemny skutek, że poszło w zapomnienie nazwisko prawdziwego autora tych cennych badań. Wśród tych, którzy znają dzieło i korzystali z niego, rzadko kto, niestety, zna obecnie nazwisko autora[59].

Tak więc, bez dostępu do oryginałów, które zapewne leżą gdzieś w archiwach, wyjaśnienie tego problemu jest, rzecz jasna, niemożliwe – podobnie jak wielu innych wątków z biografii Seweryna Grossa. George Kennan, amerykański dziennikarz podróżujący wówczas przez azjatyckie tereny Rosji, pisał o nim:

> Pan Gross był przystojnym 30-letnim mężczyzną, z kasztanowatymi włosami i brodą, niebieskimi oczami i delikatnymi, prawidłowymi rysami twarzy. Głos jego brzmiał przyjemnie, mówił z żywością i miał zwyczaj, w chwili podniecenia, lub gdy go coś szczególnie zainteresowało, otwierać szeroko oczy[60].

---

59 S.P. Szwiecow, *Kulturnoje znaczenije politiczeskoj ssyłki w Zaopadnoj Sibir*, „Katorga i zsyłka" 1928, nr 3 (40), s. 81.

60 J. Kennan, *Syberya*, przełożył K.Ł. z przedmową Z. Dębickiego, cz. I, Warszawa 1907, s. 127–128.

Jest takich fragmentów więcej, aż po ten, gdy Gross przyjechał do Ust-Kamienogorska, by zapoznać przybysza z Ameryki z tamtejszą kolonią zesłańców, która – podobnie jak semipałatyńska – wywarła na nim pozytywne wrażenie, a byli wśród niej niepokorni wobec carskiej władzy: aptekarze, lekarze, literaci, dziennikarze, tłumacze, studenci i właściciele rolni, ba, była nawet kaukaska księżniczka.

Jan Witort

Tym samym zagadnieniem co Gross zajmował się również inny Polak, **Jan Witort** (1853–1903). Ukończył on gimnazjum w Wilnie, studiował w Akademii Medyko-Chirurgicznej w Petersburgu. Zaniechał jednak kształcenia się na medyka i rozpoczął studia w Instytucie Technologicznym, których nie ukończył.

W 1875 roku został aresztowany za przynależność do wileńskiej grupy „narodników". Objęty nadzorem policyjnym, został zesłany do Archangielska, potem mieszkał w powiatowym miasteczku Onega. Zainteresował się tam kulturą okolicznej ludności i często odbywał wycieczki etnograficzne poza miasto. Był również na Wyspach Sołowieckich – ważnym ośrodku prawosławia w ówczesnej Rosji, którego klasztory zamienione zostały w ZSRR na łagry. Pobyt w tej części Rosji, zwanej Pomoriem, opisał w pamiętniku, dotychczas nieopublikowanym, znajdującym się w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Zawarł w nim wiele informacji etnograficznych o miejscowej społeczności, pisał o infrastrukturze gospodarczej tego rejonu, informował o przebywających tam zesłańcach, dał interesujący obraz życia klasztornego na Wyspach Sołowieckich, podał wiadomości o Lapończykach (Sammach).

Uwolniony w 1879 roku, jadąc do kraju, **odwiedził w Jarosławlu nad Wołgą przebywającego tam na zesłaniu arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego**, który podczas powstania styczniowego popadł w konflikt z rezydującym w Warszawie Wielkim Księciem Konstantym, do którego skierował protest po egzekucji duchownego, uczestnika powstania. Było to bezpośrednim powodem usunięcia arcybiskupa z Warszawy i skazania na wygnanie do Jarosławla, gdzie przebywał 20 lat. **W patriotycznym zwyczaju było odwiedzanie go przez Polaków**, zatem i Witort nie omieszkał tego uczynić, powracając z zesłania. Przez pierwsze miesiące przebywał w Warszawie, szukając kontaktów

Pomnik św. abp Zygmunta Szczęsnego Felińskiego przed domem Sióstr Rodziny Maryi w Warszawie

ze znajomymi, ostrzeżony jednak o możliwości ponownego aresztowania, udał się na Litwę, a potem do Rygi, gdzie otrzymał paszport i wyjechał za granicę.

Udał się do Krakowa, gdzie po krótkim pobycie został aresztowany pod zarzutem kontaktu z tamtejszymi socjalistami i przekazany władzom rosyjskim. Więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, został **ponownie zesłany (1880)**. Początkowo trafił do Maryińska w guberni tomskiej, potem przez pewien czas przebywał w Tomsku, skąd w 1884 roku wywieziono go do Kazachstanu. Mieszkał tam w Ust-Kamienogorsku, mając raczej dużo swobody. Z obu tymi miastami związani byli także Polacy przebywający na zesłaniu, jak również ci, którzy pracowali w różnych urzędach.

Na początku drugiej połowy XIX stulecia naczelnikiem poczty w Semipałatyńsku był **Julian Barszewski**. Tam też jego syn **Eugeniusz**, po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Kazańskim, był od roku 1880 prokuratorem okręgowym, przeniesionym na to stanowisko z Ust-Kamienogorska, gdzie od roku 1876 pracował jako sędzia powiatowy[61]. Zarówno jego ojciec, jak i on nie stronili od Polaków, których zesłańczy los zawiódł w tę część Kazachstanu.

Witort miał bliskie kontakty z zesłańcami rosyjskimi, od których po pewnym czasie nieco się izolował wskutek nieporozumień na tle politycznym. W grupie ludzi zrównanych nieszczęściem zesłania odnalazł nowy krąg towarzyski, jakim byli Gruzini. Wspominał ich po latach w autobiografii:

> W mieście mieszkali skazańcy gruzińscy, z którymi zaprzyjaźniłem się; spośród nich wyróżniał się Michał Kipiani wraz ze swą żoną, […] człowiek ten zwiedził całą Europę Zachodnią, studiował na Uniwersytecie Genewskim prawo i politykę, spędził lat osiem w Orenburgu jako wygnaniec; ułaskawiony za hr. Loris-Melnikowa, został zesłany ponownie w 1884 r. Była też skazanka polityczna, księżna Maria Szerwaszydze, córka ostatniego udzielnego ks. Abchazji, niegdyś panna dworu; jej towarzyszyła matka, która ani słowa nie umiała po rosyjsku; księżna znajdowała się pod nadzorem policji od r. 1877, tj. gdy przejęto listy tureckiego głównodowodzącego oraz odezwę jej do ludu Abchazji. Księżna ze zgrozą mówiła o tym, jak lud zginął prawie doszczętnie, „mój lud" jak się wyrażała. Mienie księżny rząd zasekwestrował, ale wydawał sute utrzymanie, potem mienie to zostało zwrócone jej synowi, wiernemu słudze N. Pana, który długie lata był gubernatorem w Tyflisie. Ks. Maria nauczyła się po polsku, by poznać Mickiewicza, którego znała tylko z przekładów gruzińskich. Z Gruzinami nasze stosunki były jak najlepsze. Lato 1885 r. spędziliśmy w Ulbiance, uroczej miejscowości górskiej, przyszłej stacji klimatycznej[62].

W 1888 roku wrócił z zesłania i osiadł w Poniewieżu, gdzie ociemniały i sparaliżowany zmarł w 1903 roku. Współpracował wówczas z polskimi periodykami ludo-

---

61 [Nekrolog] – „Sbirskaja gazieta", z dnia 1 marca 1887 roku.

62 J. Witort, *Autobiografia*, opracowali A. Kuczyński i Z. Wójcik, „Lud" 1997, t. 81, s. 244.

znawczymi i społecznymi – „Lud", „Wisła", „Głos", publikował też w petersburskim „Kraju" oraz w innych czasopismach[63]. W zachowanej autobiografii wspominał:

> W tydzień po wyjeździe byliśmy w Semipałatyńsku. Nowe warunki życia, nowe wrażenia, nowy kraj! Stepy średnioazjatyckie, których nigdy nie widziałem; Kirgizi, namioty, minarety, przeciągłe krzyki mezuinów, głoszących chwałę Allaha! Wszystko to wprawiło mnie w jakiś stan odurzenia, z którego wyszedłem dopiero po kilku dniach; co prawda byłem zmęczony. W Semipałatyńsku spotkałem się z moim dawnym przyjacielem, Sewerynem Grossem, napotkałem też kółko skazańców politycznych – i zaraz potem uzupełniał tę informację, pisząc, że generał-gubernator nakazał zbadanie prawa zwyczajowego Kirgizów. Zdobyto środki materialne i otwarto coś w rodzaju komisji, w której pracach uczestniczyliśmy Gross i ja. Ta drobna okoliczność wywarła wielki wpływ na rozwój moich poglądów; po raz pierwszy zetknąłem się bezpośrednio z ogromem materiałów surowych, dotyczących ludoznawstwa. Studiowałem je, rozglądałem się w nich i powoli przyszedłem do przekonania, że podstawą umiejętności społecznej może być tylko etnografia, w szerszym znaczeniu tego wyrazu; w zarysach ogólnych pogląd ten podzielałem i uprzednio, ale wówczas dopiero przybrał on kształty jasne i określone. Bogata biblioteka publiczna ułatwiła mi studia; tu muszę zwrócić uwagę na rosyjską literaturę etnograficzną o ludkach syberyjskich, literaturę bardzo bogatą i treściwą, ale dotąd tylko częściowo wyzyskiwaną przez uczonych badaczy europejskich z powodu braku znajomości języka[64].

Już z tego fragmentu autobiografii wynika, że jego zainteresowania koncentrowały się na etnografii. Będąc w okolicach Archangielska, poczynił interesujące obserwacje kulturowe wśród tamtejszej społeczności[65]. Widać z tego wyraźnie, że przez cały czas zmagania się z okropnościami zesłańczego życia, we wszystkich jego aspektach egzystencjalnych i społecznych, pozostał wierny pasji etnograficznej. Toteż pewnie i pierwsze doświadczenia z tego zakresu zdobyte nad Morzem Białym w okolicach Archangielska okazały się mu przydatne, gdy w Semipałatyńsku dowiedział się, że ma zająć się rozpoznaniem prawa zwyczajowego Kazachów. Mając już za sobą wcześniejsze obserwacje etnograficzne oraz najlepszą wolę ich kontynuacji, oddał się z zapałem realizacji tych niezwyczajnych na zesłaniu obowiązków.

Myślę, że w tym nowym dla niego miejscu odbywania kary zesłania spotkanie z Grossem wpłynęło pozytywnie na egzystencję i łagodziło przytłaczającą go zapewne nową rzeczywistość, zwłaszcza że był już wówczas człowiekiem schorowanym.

Wróćmy jednak do wątku badawczego, zastrzegając, że nie ma tutaj oczywiście miejsca na przedstawienie wszystkich jego aspektów. Przede wszystkim

---

63 A. Kuczyński, Z. Wójcik, *Materiały do bibliografii podmiotowej i przedmiotowej Jana Michała Witorta*, „Wrocławskie Studia Wschodnie" 1998, nr 2, s. 153–212.

64 J. Witort, *Autobiografia,* op. cit., s. 241–242.

65 W. Baranowski, *Polskie relacje o rosyjskiej kulturze ludowej (1831–1920)*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Ethnologica" 1985, t. 3, s. 174–178.

wiadome jest, że badania te prowadził na konkretne zapotrzebowanie, co dawało mu możliwość przebywania w kazachskich aułach. Ten rodzaj stacjonarnych badań dawał możliwość zgromadzenia materiałów „z pierwszej ręki" i porównywania ich z urzędowymi zapisami miejscowej administracji.

Rzec można, że teren i dialog były preferowane przez Witorta, co oczywiście współgrało z podobnym nastawieniem Grossa. Obaj bywali w aułach, śledząc zmiany natury społecznej i politycznej spowodowane rosyjską kolonizacją, stawiając jednocześnie pytania związane z przedmiotem swych badań. Dzięki takim okolicznościom poszerzano przestrzeń badawczą dającą możliwość rzetelniejszego opisu i uczenia się obcej kultury. Wśród informatorów musiał więc być prosty lud, feudalni władcy i ludzie z różnych poziomów miejscowej władzy. Był też wśród nich **Abaj Kunanbajew**, wybitny poeta, twórca pisanej literatury kazachskiej, który wzbogacił wiedzę Witorta o wiele informacji dotyczących tradycyjnej kultury Kazachów. Wspominając o tym, pisał po latach w autobiografii:

> Poznałem cywilizowanego Kirgiza, p. Kunanbajewa, który wraz ze swoimi trzodami i liczną rodziną koczował w stepach; we wrześniu korzystając z jego zaproszenia, pojechaliśmy doń. Droga prowadziła przez stepy; jechaliśmy od aułu do aułu, przeprowadzani przez Kirgizów, bośmy byli pod opieką rodu Kunanbajewów, rodu bardzo potężnego. Wycieczka ta na zawsze pozostanie mi w pamięci z powodu oryginalności i niepospolitości wrażeń, które doznaliśmy w stepach, i pod gościnnymi namiotami p. Kunanbajewa. Byliśmy bardzo radzi i zadowoleni […][66].

Wróćmy jednak do kręgu związków polsko-kazachskich dotyczących badań nad prawem zwyczajowym, bo w pełni na to zasługują. Wspomniany Seweryn Gross odkrywał ciekawe powiązania w obrębie ustroju społecznego Kazachów, poznawał ich istotę i funkcjonowanie. Jak wcześniej wspomniałem, badania Grossa ukazały się w książce przypisywanej J.P. Makowieckiemu, sędziemu powiatowemu w Semipałatyńsku. Należy jednak domniemywać, że jest też w niej cząstka trudu Witorta, który wespół ze swoim przyjacielem Sewerynem podróżował po stepach i działał w ramach tego samego zespołu badawczego powołanego stosowną dekretacją administracyjną. Jego trud pomijano jednak dotychczas w literaturze rosyjskiej zajmującej się kwestią wkładu Grossa do poznania kazachskiego prawa zwyczajowego. Upominam się więc o to, by pamiętać, że jakkolwiek sprawa autorstwa wspomnianej książki do tej pory nie jest jednoznacznie wyjaśniona, to jednak do jej powstania przyczynił się w jakimś stopniu także Jan Witort.

Zapewne tylko część swojej wiedzy o zwyczajach i obyczajach Kazachów oraz ich prawie zwyczajowym usystematyzował on po powrocie do kraju, ogłaszając artykuł na ten temat[67]. Wiele w nim realiów kulturowych wolnych od uprzedzeń wobec Kazachów, a nawet, rzec można, wyraźnej wobec nich sympatii i podziwu

---

66 J. Witort, *Autobiografia,* op. cit., s. 243.

67 Tenże, *Ze stepów Azji Środkowej (Szkic etnograficzny)*, „Lud" 1899, t. 5, s. 1–20 i 105–120.

związanego z ich umiejętnościami życia na tym terenie. Podkreślał, że ich życie było uzależnione od warunków klimatycznych, zaznaczał jednak, iż znają oni doskonale step, wiedzą, gdzie są źródła i studnie, do których podążają ze swoimi stadami. Ich mieszkaniem, pisał, są jurty kryte grubym wojłokiem, lekkie i przestronne, zimą zaś mieszkali w lichych lepiankach skleconych z gliny i chrustu, bez okien, wewnątrz zakopconych i ciemnych. Wolał jednak widzieć Kazachów jako ludzi szczęśliwych, szczególnie gdy latem mieli możliwość swobodnego wędrowania po stepach, urządzania wyścigów konnych, zawodów sportowych, np. walk siłaczy i innych zabaw, czyniąc ten okres roku swoistym stepowym karnawałem.

Biorąc pod uwagę krąg zainteresowań etnograficznych, J. Witort, jako wnikliwy obserwator, swoim zaciekawieniem wielością realiów kulturowych związanych z życiem ludzi stepu rozjaśniał czytelnikowi europejskiemu mroczną dla niego krainę zwyczajów i wierzeń Kazachów, unaoczniał ich sens i złożoność. Do tych cennych treści dopasowana jest sceneria wydarzeń związanych np. z zawieraniem małżeństw. Obserwując wesele kazachskie, pisał, iż ich ówczesne małżeństwo było instytucją

> złożoną z różnych pozostałości szczątkowych i nawarstwień historycznych, które nie zlały się dotąd zupełnie. Pomijając takie zabytki zamierzchłej przeszłości, jak obrzęd porwania oblubienicy, należy podkreślić trzy główne składniki małżeństwa: ludowe prawo zwyczajowe, wpływ prawodawstwa mahometańskiego i cywilizacji rosyjskiej, a zwłaszcza prawodawstwa cywilnego. Wpływy rosyjskie wyrażają się głównie w zastosowaniu do życia codziennego nowych poglądów na kobietę, na prawo dobrowolnego rozporządzania jej osobą itd. Wpływy te datują się od niedawna, ale potęga ich wzrasta coraz bardziej[68].

Pozostańmy jeszcze na chwilę w kręgu tych spraw i zakreślonej przez Witorta tematyki oraz swoistych praw jej przynależnych. Otóż zaznacza on, że małżeństwo zawierane jest u Kazachów na zasadzie wzajemnej umowy między głowami dwóch rodzin, nie bacząc na zgodę przyszłych współmałżonków, a przypadki zerwania umowy przedślubnej prawie się nie zdarzały. Swatanie i oświadczyny także się tu odbywały. Liczba swatów zależała od zamożności oblubieńca, a przyjęcie oświadczyn kończyło się modlitwą oraz ucztą, podczas której podawano mięso z zarżniętego na tę okoliczność białego barana, koninę, *kumys* i herbatę. W czasie tej uroczystości odbywały się także wyścigi konne, walki siłaczy, śpiewy z towarzyszeniem muzyki. Uczta kończyła się rozdaniem swatom podarków przez ojca panny młodej, a najcenniejszy z nich trafiał zawsze do ojca oblubieńca.

Wtedy to ojciec panny młodej jechał do przyszłego jej teścia po zapłatę, czyli *kałym*, który był trzecim aktem swatania. Składał się on z różnej liczby koni, przy czym wielkość *kałymu* stanowiła chlubę dla wnoszącego i odbierającego. Oczywiście im był on bogatszy, tym przyszły mąż i jego rodzina byli bardziej poważani

[68] J. Witort, *Ze stepów…*, op. cit., s. 9–10.

przez otoczenie. W czasach Witorta najniższy *kałym* składał się z dwu koni, a największy bywało, że nawet z 500.

Obrzęd formalnych zaślubin następował po pewnym czasie, w którym rodzice panny młodej przygotowywali jej stosowny posag, zwany *dżasan*. W tym czasie pan młody mógł odwiedzać swoją przyszłą żonę, przy czym pierwsze odwiedziny były bardzo uroczyste i towarzyszył im orszak prowadzony przez leciwego Kazacha. Tym razem przyszły zięć ofiarowywał matce, babce i siostrom wybranki podarki, przy czym najdroższy otrzymywała matka. Potem następował poczęstunek, mający charakter rodzinnej uroczystości. Takie wizyty oblubieńca powtarzały się czasami kilka razy. Termin zaślubin wyznaczany był przez ojca panny młodej i odbywały się one w aule, który ona zamieszkiwała. Budowano wtedy specjalną jurtę dla przyszłych małżonków, do której krewne oblubienicy zapraszały pana młodego, mieszkającego do tej pory w sąsiedniej jurcie. Potem wprowadzały do niej jego przyszłą małżonkę, za co otrzymywały podarki będące formą zapłaty. Młodzi pozostawali z sobą na noc. Nazajutrz ojciec córki proszony był o wyznaczenie terminu zabrania jej do aułu zięcia. W wigilię tego dnia odbywały się zawody konne i huczne zabawy, po których jurta państwa młodych otaczana była przez młodzież usiłującą zerwać z niej wierzchnie pokrycie. Wtedy to broniły jej kobiety wybiegające z tej jurty i inscenizując walkę, przekupywały młodzieńców darami, by odstąpili od dalszych zmagań. Nastawał czas pokoju, po czym rozlegały się śpiewy wychwalające wybrankę, a potem ośmieszające jej przywary. Tak upływała cała noc. Nazajutrz swatki zbierały się w jurcie, w której spędzili noc przyszli małżonkowie, i ubierały pannę młodą w najlepsze stroje. Tak wystrojoną sadzano na konia, którego prowadzono za uzdę do jurty jej rodziców, w której po raz pierwszy żegnała się z nimi. Tam ojciec dziewczyny pokazywał jej posag zięciowi i swatkom, które po przyjęciu go odstawiały do aułu małżonka. Wówczas córka po raz drugi żegnała rodziców, płacząc.

Dopiero po tym drugim pożegnaniu następował właściwy akt zaślubin, mający charakter aktu religijnego. Młodzi, oddzieleni zasłonami, stali w jurcie rodziców panny młodej przed nimi i świadkami (po dwoje z każdej strony). Co chwilę, na przemian, podnoszone były zasłony przyszłych małżonków. Duchowny mahometański lub osoba go zastępująca odmawiała stosowną modlitwę i zadawała pytanie, czy młodzi pragną być małżeństwem. Odpowiedź twierdząca lub milczenie było oznaką zgody. Dawniej podczas tego aktu zaślubin stawiano metalowe naczynie z wodą, do którego młodzi wrzucali korale, perły i srebrne przedmioty. Potem wypijali tę wodę, a naczynie z kosztownościami stawało się własnością duchownego. Po zakończeniu zaślubin ojciec żegnał córkę słowami: „Żyj tak, aby mnie nie przeklinano", zięciowi zaś powiadał: „Nie znieważaj żony, tym zgubisz swoją sławę!"

Zaraz po ślubie panna młoda udawała się do swojej jurty i nakładała strój kobiety zamężnej, potem w towarzystwie matki i przyjaciółek jechała do aułu, w którym mieszkał mąż. Tam naprzeciw im wyjeżdżał konny orszak złożony z krewnych pana młodego, inscenizując trudności wjazdu do aułu, związane często z zarekwirowaniem wielbłądów. Po otrzymaniu wykupu dalsza droga była wolna. W jurcie ro-

dziców synowa była odpowiednio witana przez teścia, który obdarowywał ją prezentami. Potem odbywała się trwająca do północy uczta, której towarzyszyły wesołe śpiewy. Następnie autor pisał o „zwyczajach, dziś na pół zapomnianych", dotyczących pierwszej nocy poślubnej, ogłaszania dziewictwa panny młodej lub wcześniejszej utraty wianka, poszukiwania sprawcy tego czynu i odpowiedzialności matki za to. Dawniej była ona bita przez męża za brak dozoru nad córką.

Demela – dziewczyna kazachska – bohaterka książki „Kirgiz". Ozdobą dziewcząt kazachskich były warkocze. Obcięcie ich uznawano za hańbę

Znaczny materiał zebrał także Witort na temat **prawa rodzinnego**, pisał o zemście rodowej, karach majątkowych, przysięgach, które jeśli składane były wobec władz rosyjskich, to nie były grzechem, zgodnie z kazachskim przysłowiem „Wrogom oddaj duszę i przysięgę, ale tajemnicy nie wydawaj", informował o zwyczajach dotyczących dzieci z nieprawego łoża, przytaczał przykłady z tego zakresu, wspominał o obowiązującym dawniej surowym karaniu, nawet śmiercią, obojga kochanków, z których związku poczęte zostało dziecko. Panny z dziećmi traciły wówczas swoje warkocze i uznawane były niemal za nierządnice, kochankowie zaś płacili sowite grzywny i obcinano ogon ich koniowi. W tej dezaprobacie społecznej tkwił powód do spędzania płodu, co było wówczas bardzo rozpowszechnione. Z biegiem czasu wraz z rosyjską kolonizacją sytuacja ta traciła obyczajową ostrość, podobnie jak inne elementy karnego prawa zwyczajowego.

Obserwował więc Witort zjawiska, które funkcjonowały często w synkretycznej już formie także u innych ludów tego regionu, zresztą nie tylko odnoszące się do zwyczajów związanych z zawieraniem związku małżeńskiego. Fakt, iż nie była to sytuacja szczególna i odosobniona dla Kazachów, potwierdza tezę, że już w owym czasie, a był to przecież koniec XIX stulecia, na prawie zwyczajowym nawarstwiły się tam elementy rosyjskiego prawa cywilnego. Treści tych obu istniały nieraz równolegle lub wymiennie, co wynikało z faktu umacniania się rosyjskiego

włodarzenia tymi obszarami. W tym panowaniu widział Witort „ziarno wyższego, ale obcego uspołecznienia" i uważał, że:

> Wpływy rosyjskie potęgowały się i krzepły wraz ze wzrostem władzy państwowej; powoli uspokojono stepy, zniesiono niewolnictwo, zaprowadzono administrację prawidłową, podzielono olbrzymie przestrzenie na obwody, powiaty, włości itd.; wszakże zachowano Kirgizom zupełny samorząd, gminy i sądownictwo ludowe wedle prawa zwyczajowego oraz zwolnienie ich od służby wojskowej, powinności naturalnych i wszelkich podatków oprócz 3 rubli opłaty od każdej jurty. Łatwo zrozumieć, że wiele przepisów lub nakazów prawnych nie ma w stepach znaczenia żadnego. Za wszelkie wykroczenia, spełnione przez Kirgizów w obrębie miast, stanic i osad kozackich, a w ogóle w miejscowościach zamieszkałych przez ludność osiadłą, podlegają oni sądom rosyjskim; tymże sądom podlegają wszelkie sprawy cywilne i karne, jeśli jedna ze stron procesujących się nie jest z pochodzenia kirgiską. Spod kompetencji sądów ludowych wyjęte są też sprawy o zbrodnie stanu, morderstwa, fałszowanie monety i *barantę* [forma egzekucji prawnej mająca często charakter napadu na jurtę, by odzyskać jakieś mienie, co jest pozostałością zemsty rodowej – A.K.] i poza tym nie znają oni żadnych ograniczeń[69].

Z tej perspektywy faktograficznej należy podkreślić, że w polskich opisach Kazachstanu z XIX stulecia, dotyczących kultury materialnej, społecznej i duchowej, ukazano specyfikę stepowego pejzażu, realistyczne obrazy życia nomadów i warunki ich bytowania w bliskości z przyrodą.

Elementem charakteryzującym te opisy jest ich wielowątkowość, stąd są one bardzo interesujące i ważne poznawczo. I zaiste, zafascynowanie Polaków tą kulturą było niezwykłe, skoro mimo uciążliwości zesłańczej stać ich było na to, by opowiedzieć o tym, jak postrzegają ten odmienny kulturowo świat. Jest to obraz wieloaspektowy i wielopłaszczyznowy, niezwykle zajmujący, niepozbawiony jednak wielu pokładów emocji będących pochodną niewoli. Na takim emocjonalnym widzeniu pejzażu kazachskich stepów i kultury jego autochtonicznych mieszkańców swoje piętno odciskała miejscowa przyroda, toteż stanowi ona interesujący składnik tych opisów. Rzec można, że kultowym jej obrazem jest poetycka twórczość wspomnianego już zesłańca **Gustawa Zielińskiego.**

Przede wszystkim jednak była to dla tych autorów kraina ich zniewolenia – i ta perspektywa wyznaczała sposób widzenia otaczającego ich odmiennego świata kultury: pasterstwa, wierzeń, zwyczajów i obyczajów. Są to nadzwyczaj interesujące obrazy, którymi nie pogardzi żaden etnolog czy antropolog kultury. Tworzą one bowiem ważną kategorię poznawczą wiodącą do poznania rozległych segmentów tradycyjnej kazachskiej kultury, na której przez wiele lat odbijała się przygniatająca przemoc kolonialnej historii i spowodowanej przez nią akulturacji.

---

[69] Ibidem, s. 105–106.

4.

Zesłańcy styczniowi

Mimo że losy zesłańcze uczestników powstania styczniowego od lat przyciągają uwagę naszych historyków, trzeba zaznaczyć, że dotyczy to głównie tej fali, która znalazła się na terenie Syberii Wschodniej, rzadziej Zachodniej, natomiast obszar ziem dzisiejszego Kazachstanu jest pod tym względem mniej rozpoznany. A przecież i tam było ich niemało. Podobnie jak ich rodacy, tak i oni wiedli tutaj swoje życie, chociaż nie odnieśli może tak spektakularnych sukcesów badawczych, jak Benedykt Dybowski, Aleksander Czekanowski, Jan Czerski czy Wiktor Godlewski, powszechnie znani w dziejach poznawania Syberii Wschodniej. Jedni i drudzy przeżywali trudy zbliżenia z miejscową społecznością, autochtoniczną oraz rosyjską, z czasem jednak dochodziło tam do wielopłaszczyznowej łączności między nimi, a nawet do zawierania związków małżeńskich z miejscowymi kobietami. Niektórzy zajmowali się rolnictwem, pszczelarstwem, rzemiosłem, inni pracowali jako nauczyciele, gdyż wbrew centralnym zarządzeniom miejscowa administracja przymykała na to oczy.

W Ust-Kamienogorsku z postyczniowej fali zesłańczej **kowalstwem zajmował się Adolf Gebert, krawiectwem – Benedykt Stankus, pszczelarstwem – Wincenty Arciszewski i Mikołaj Piotrowski**, a **Adolf Ziemlewski** z powodzeniem **uprawiał rolę**.

Z czasem Arciszewski pracował jako urzędnik w miejscowej administracji, a od 1875 roku był księgowym w urzędzie miejskim Ust-Kamienogorska. Wspomniany pszczelarz M. Piotrowski był też pracownikiem kancelarii sądowej w tym mieście, a w latach 1878–1895 sekretarzem dumy miejskiej. Prace urzędnicze wykonywali też **Ignacy Buraczewski, Stanisław Pietkiewicz, Michał Przygocki**. Wiadomo też, że postyczniowi zesłańcy: **Szymon Nowicki, Rafał Putnowski** i **Stanisław Jaworowski**, z powodzeniem realizowali się w pracy związanej z handlem winami. Prywatnych lekcji w Ust-Kamienogorsku udzielali: **Leon Berberiusz, Mikołaj Borowski, Bronisław Biecki, Józef Lenartowicz, Aleksander Sławiński** i **Antoni Sokołowski. Wiktor Żyliński** był nauczycielem domowym dzieci pułkownika Katina i kupca Zadorowa.

Zdumiewającym zaś faktem było utworzenie przez **Sulejmana Smolskiego** w zajmowanym przez niego domu prywatnej szkoły, do której uczęszczało około

32 uczniów – dziewcząt i chłopców. Uczył w niej czytania, pisania, arytmetyki, religii i pobierał czesne w wysokości od 50 kopiejek do 1 rubla miesięcznie. Szkoła istniała tam przez pięć lat, mimo że nie miał on oficjalnego zezwolenia na jej prowadzenie[70].

Działalnością nauczycielską zajmował się także mieszkający w Orenburgu **Arkadiusz Węgrzynowski**, który udał się na ten teren ówczesnej Rosji w poszukiwaniu intratnego zajęcia, jakiego na Podolu, gdzie mieszkał, nie mógł znaleźć. Po przybyciu do Orenburga w 1842 roku służył w Komisji Pogranicznej, gdzie powierzono mu opiekę nad szkołą dla dzieci kazachskich, w której otrzymywały one elementarny zakres wiedzy, kończąc na tym swoją edukację. Jedynie dzieci z majętniejszych rodzin uczyły się dalej i z czasem zasilały szeregi tworzącej się inteligencji kazachskiej.

Pracą nauczycielską zajmował się także w tym mieście powstaniec styczniowy **Edmund Straszyński**, cieszący się uznaniem swoich uczniów. Warto wspomnieć o jeszcze jednym polskim nauczycielu związanym z Orenburgiem, którego nazwiska niestety nie znamy. To właśnie jemu poświęcił znany rosyjski pisarz Michaił Michajłow fragmenty swego opowiadania pt. *Razem*, w którym napisał:

> Jego młoda odwaga nie skruszyła się w nierównej i nieobrachowanej walce; nie rozczarowały go nadzieje niespełnione, przesunął je dalej, w przyszłość. Z gniewnie smutnym uśmiechem na ustach, zadumą i głębokim smutkiem w błękitnych oczach opowiadał o swoim biednym, cierpiącym kraju. Potem oczy wysychały z łez i zapalały się odwagą i mówił z młodzieńczym ogniem o panowaniu zła na ziemi i o konieczności nieprzejednanej nienawiści zła, o świętości walki, cierpień i ofiary z życia dla dobra ojczyzny i ludzkości. Nie spełniły się jego nadzieje. Nie wrócił do domu – zmarł z dala od Ojczyzny[71].

Mimo określonych regulacji rządowych, mających na celu izolowanie zesłańców politycznych od miejscowej ludności, wielu z nich znajdowało pracę w środowisku, w którym wypadło im wieść zesłańczy żywot. Można więc tam było znaleźć jakieś zatrudnienie, potrzebne by osłabiać stres zrodzony zesłaniem, dające także poprawę materialnego bytu. Praca była więc nobilitacją losu zesłańca, który mimo iż odbywał karę za niepokorność wobec władz, np. poprzez udział w powstaniu styczniowym, tu na zesłaniu okazywał się potrzebny. Była niewątpliwie pozytywną wartością zesłańczej egzystencji, sferą osłabiającą ograniczenie wolności i pozwalającą na zdobywanie choćby namiastki stabilizacji, a niektórych zesłańców skłaniała nawet do działalności poznawczej nad kulturą tubylczej ludności.

---

70 B. Gierasimow, *Ssylnyje Polaki w Siemipałatińskoj obłasti (Kratkij istoriczeskij oczerk),* „Zapiski Siemipałatinskogo podotdieła Zapadno-Sibirskogo Otdieła Russkogo Gieograficzeskogo Obszczestwa", Siemipałatinsk 1918, z. 12, s. 47, 56, 82–84 i in.

71 Cyt. za: W. Djakow, *Udział Polaków w badaniach…*, op. cit., s. 633

Ze wspomnianych osób pozostali na stałe w tej części Kazachstanu, mimo manifestów amnestyjnych, **L. Berberiusz**, **A. Ziemlewski**, **M. Piotrowski**, **A. Sokołowski** (zmarli w Ust-Kamienogorsku) oraz inni, którzy znaleźli tutaj warunki do pracy i życia[72]. Niewątpliwie problem ich adaptacji odgrywał na zesłaniu ważną rolę, a proces asymilowania miał charakter wielce złożony i długotrwały, wiele zależało też od warunków życia, osobowości zesłańca i umiejętności nawiązania kontaktów z miejscowym społeczeństwem.

Wspomniany już Gierasimow, charakteryzujący polską społeczność zesłańczą w Semipałatyńsku i okolicach, stwierdził po analizie tego problemu, że

> zesłani Polacy byli nosicielami kultury. Wśród nich było wielu ludzi wykształconych, a miejscowa inteligencja odnosiła się do nich z szacunkiem[73].

Do tej grupy „wykształconych" należał pracownik miejscowego sądu **Antoni Dulewicz**, absolwent Uniwersytetu w Sankt-Petersburgu. Inni, których nazwiska spoczywają głęboko w tamtejszych archiwach, zajmowali się handlem, rzemiosłem, byli urzędnikami różnego szczebla, nieraz nauczycielami. Semipałatyńsk w owym czasie był ważnym punktem handlowym, ale również jednym ze skupisk inteligencji przebywającej na zesłaniu. W latach 80. XIX wieku przeżywał rozkwit lokalnych inicjatyw społecznych w dziedzinie oświaty. Ze środków budżetu miasta otwierano szkoły. To wszystko znajduje odzwierciedlenie w różnych zesłańczych opisach dotyczących tego miasta oraz w urzędowych dokumentach.

---

72 B. Gierasimow, op. cit., s. 47–49, 61, 77, 80–82, 84–86, 95, 97.

73 Ibidem, s. 19.

3.

XX wiek – Śladami pieśni akynów

Aleksander Zatajewicz – genialny badacz kazachskiego folkloru

Aleksander Zatajewicz

Osobliwie ważną częścią dorobku polskiego w dziedzinie poznania folkloru Kazachów jest działalność badawcza muzyka i folklorysty Aleksandra Zatajewicza (1869–1936). Już w dzieciństwie ujawnił się jego talent muzyczny i pierwsze wykształcenie w tym zakresie uzyskał w Orle, kończąc w 1886 roku wojskowo-muzyczne gimnazjum. Miał zamiar studiować w konserwatorium w Moskwie, niestety marzenia te nie spełniły się. Jak wspominał po latach, „zmuszony byłem pomagać matce-wdowie i siostrze, należało więc rozpocząć pracę, by wspomóc rodzinę". Od 1886 roku był urzędnikiem gubernialnym w Płocku. Potem w latach 1904–1915 pracował w Warszawie jako doradca generała-gubernatora. Oprócz urzędniczych zajęć był krytykiem muzycznym, piszącym dla gazety „Dziennik Warszawski", na łamach której opublikował wiele recenzji i artykułów o twórczości polskich, rosyjskich oraz zachodnioeuropejskich kompozytorów i wykonawców różnych form śpiewaczo-muzycznych[74].

W 1915 roku wraz z falą uchodźców opuścił Warszawę. Początkowo mieszkał w Moskwie, potem w Petersburgu i znowu w Moskwie, gdzie pracował w komitecie opiekuńczym niosącym pomoc ofiarom wojny, a po przewrocie bolszewickim w Rosji (po rewolucji październikowej) znalazł zatrudnienie w Narodowym Banku Rosyjskim. Jego rodzina przebywała w tym czasie u krewnych w Orenburgu. W 1920 roku on także przybył do tego miasta. Porewolucyjny rozgardiasz sprawił,

---

[74] A. Kuczyński, *Pieśni za dwa funty chleba – czyli opowieść o Aleksandrze Zatajewiczu, badaczu kazachskiego folkloru,* [w:] *Polska leży na Zachodzie. Studia z dziejów Polski i Europy dedykowane Pani Profesor Teresie Kulak*, pod red. W. Wrzesińskiego, M. Masnyka, K. Kawalca, Toruń 2011, s. 421–431.

że ciągle poszukiwał jakiegoś intratnego zajęcia, by móc wspomagać rodzinę. Takim było stanowisko księgowego w jednym z urzędów w Orenburgu, połączone z dodatkowym zarobkowaniem w charakterze akompaniatora w miejscowej filharmonii. I to, rzec można, był początek jego drogi do sławy folklorysty i zbieracza kazachskich pieśni ludowych. Fascynacja tą twórczością stepowego ludu, zwłaszcza tzw. *akynów*, stała się pobudką do gromadzenia i folklorystycznych analiz ich twórczości oraz muzycznych kompozycji zwanych *kiujami*, tworzonych przez samorodnych instrumentalistów. Muzyka stepowego narodu, jak wyznał po latach Zatajewicz, zdobyła jego serce „swojską, niepowtarzalną poetyką, piękną i bogatą melodią", przeto odbierał ją jako dziedzictwo narodowe tych autochtonicznych mieszkańców stepu.

To właśnie w ich twórczości przewijał się motyw stepowych przestrzeni, tułaczych wędrówek, zbójeckich napadów i krajobrazowych widoków, co uwznioślało tę twórczość przepojoną realiami matki-ziemi. Wspomniany folklor przekazywany był z pokolenia na pokolenie i opowiadał o barwnym i zarazem niełatwym życiu Kazachów oraz ich bohaterach. Były to improwizacje mające charakter wokalnego recytatywu, zazwyczaj z towarzyszeniem dźwięku *dombry*, szarpanego instrumentu strunowego, z którego zręczne palce grającej na niej osoby potrafiły wydobywać dźwięki podobne do stepowego wiatru, generować skojarzenia zagrożenia, ciszy, łkania i radości, rzec można – całej wielobarwnej mitycznej przestrzeni oswajanej przez wieki, będącej ostoją narodowych tradycji.

Świadom zarówno zadania, jakiego się podjął, jak i odpowiedzialności, jaka na nim spoczęła, Zatajewicz bez najmniejszego wahania, z niebywałą pasją poświęcił się tej pracy. Teksty te, zapisywane w różnych warunkach, otrzymały zarazem oprawę muzyczną (zapisy nutowe), co potwierdza dobre przygotowanie autora do tego rodzaju pionierskiej wręcz pracy oraz jego fascynację tą formą kazachskiego folkloru, pełnego motywów zmitologizowanej przestrzeni rozległych stepów.

Zebrał on i opracował do druku ponad 2300 pieśni oraz wiele innych kompozycji muzycznych. **Jego niestrudzona pasja w dokumentowaniu folkloru kazachskiego przyniosła temu narodowi pożytek o nieprzemijającej wartości i stała się podstawą do opracowania jego bogatej folklorystyki jawiącej się w pieśniach, baśniach i obrzędach.** Do pracy tej przystępował jako muzyk, starając się sprostać potrzebie zachowania tych pieśni i ich melodycznych wariantów. To założenie znalazło potem swój wyraz w zapisanych tekstach i melodiach. Bogaty dorobek Zatajewicza w tym zakresie dowodzi wielkiego szacunku, jaki żywił do tej twórczości i tradycji kulturowej Kazachów. Tak więc, jako przybysz z dalekiego kraju, stał się dokumentatorem folkloru ludu, który żył w rozległych stepach, z dala od europejskiej kultury.

W pracy tej nie miał przetartych szlaków, nie mógł oprzeć się na badaniach poprzedników, a rozpoczęte zadanie traktował jako niebywałą okazję do tego, by wzbogacić wiedzę o folklorze Kazachów. W postanowieniu tym wytrwał do końca, opublikował dwie prace z tego zakresu: *Tysjacza piesień kirgizskogo naroda*.

(Napiewy i mełodii), Orenburg 1925 oraz *Tysjacza piesień i kiujew kazachskogo naroda* (pośmiertnie) Ałma-Ata 1937[75]. W pierwszej z nich, ofiarowanej osobiście S. Rachmaninowowi, który opracował *Siedem tańców kazachskich* na podstawie melodii z tego zbioru, Zatajewicz napisał:

> Wam moi drodzy przyjaciele-dżigici poświęcam i przekazuję owoc pracy wykonanej wspólnie z Wami, w godzinach głodu, chłodu i epidemii. Przecież Wy doskonale znacie mój pogląd, że to nie ja zbierałem wspaniałe pieśni waszego narodu, ale wy sami za moim pośrednictwem zgromadziliście je, by uchronić ten skarb Waszej narodowej kultury od zapomnienia. Nie wiem, czy dobrze wykonałem tę pracę, ale zapewniam, że czyniłem to zgodnie z moją wiedzą, z ogromną miłością i poświęceniem, na jakie tylko było mnie stać.
> W pracy tej nie wolno było zrobić ani jednego kroku bez zharmonizowania jej z intymnymi strunami Waszej duszy, co sprawiło, że ja, przypadkowy przybysz, pokochałem na zawsze szlachetny i utalentowany naród kazachski. Dzisiaj jestem już starym człowiekiem, ale przyszłość jest przed Wami i narodem Waszym. Przechowujcie więc, pomnażajcie i gromadźcie duchowe skarby kazachskiego narodu. Pomnażajcie je i pielęgnujcie zgodnie z zasadami kultury ogólnoludzkiej, do której mam nadzieję trafią Wasze pieśni. Niech wzrasta i rozwija się kazachska muzyka, czerpiąca swe siły z duszy narodu[76].

I jeszcze na moment pozostańmy w kręgu dorobku tego genialnego badacza kazachskiego folkloru, zaznaczając, iż nikt przed nim, ani po nim, nie wykonał tak mozolnej pracy badawczej, polegającej na zebraniu i opracowaniu folkloru słownego i muzycznego Kazachów. Jego opublikowane dzieła, będące owocem tego trudu wnoszą spory wkład do dziejów kultury kazachskiego narodu i jako takie stanowią cenne źródło dla folklorystów i muzykologów zainteresowanych refleksją naukową nad tymi pieśniami.

Przy dokumentacji tego zjawiska zastosował on własną metodę zapisu nutowego, pozwalającą nie tylko na odtworzenie linii melodycznej danej pieśni, lecz również na oddanie nastroju i natchnienia jej niepiśmiennych wykonawców. Należy więc podkreślić, że **jego zapisy nutowe stanowią wartościowy dokument historyczny, tym cenniejszy, że niepowtarzalny**. Posiadamy przekaz źródłowy o tym, jak w 1926 roku A. Zatajewicz, płynąc statkiem po Irtyszu, spotkał młodą śpiewaczkę, autorkę pięknych pieśni wykonywanych przy akompaniamencie harmonii. Zapisał wówczas 12 z nich, utrwalając w ten sposób jej śpiewacze dziedzictwo, jeszcze przed tym, zanim rozeszło się ono po stepie. Pół roku po tym spotkaniu autorka i wykonawczyni tych pieśni zmarła na gruźlicę, a jej dziedzictwo przetrwało dzię-

---

75 Omówił tę książkę E. Brusiłowskij (*Zamietki o kazachskoj narodnoj muzykie*, „Literaturnyj Kazachstan" 1938, nr 1, s. 114–117), podkreślając, że jest ona nie tylko znakomitym dziełem, ale powinna stanowić punkt odniesienia do dalszych studiów nad tą problematyką.

76 A. Zatajewicz, *1000 piesen kirgizskogo naroda (Napiewy i mełodii)*, Ałmaty 2004, s. 22.

ki Zatajewiczowi i do dzisiaj jedna z tych pieśni, wykonywana przez **kazachską śpiewaczkę Żamal Omarową**, wzbudza zachwyt słuchaczy.

Zbiory Aleksandra Zatajewicza posłużyły **Jewgienijowi Brusiłowskiemu**, artyście narodowemu Kazachstanu, do komponowania pierwszych oper kazachskich, a zbiorami tymi nie gardził także **znakomity kompozytor Siergiej Prokofiew**. Dość powiedzieć, że nazwisko naszego rodaka jest znaczące w kazachskiej kulturze. Nic przeto dziwnego, że ceniony pisarz francuski Romain Rolland pogratulował mu słowami: „Chylę czoła przed wspaniałymi wynikami pańskiej pracy i rad jestem, że doprowadził ją pan do końca w tak ciężkich warunkach głodu i epidemii", a Maksym Gorki o jednej z książek Zatajewicza napisał, że **pieśni te stanowią „bogactwo dla Mozartów, Beethovenów, Chopinów i Musorgskich przyszłości"**[77].

Pieśni za dwa funty chleba

Współcześnie, gdy w postradzieckim Kazachstanie ożyła pamięć o Aleksandrze Zatajewiczu, w 135. rocznicę jego urodzin Polskie Centrum Kulturalne w Ałmaty przy wsparciu Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej zorganizowało koncert pod nazwą *Wiatr Ojczyzny*, z udziałem kazachskich artystów, oraz konferencję naukową jemu poświęconą. Uczestniczyli w niej muzykolodzy, historycy, muzycy, pisarze, poeci i dziennikarze.

Potwierdziło się wówczas raz jeszcze, jak wielki szacunek postać ta wzbudza wśród intelektualnych elit Kazachstanu i jaką wartość dokumentalną posiadają Zatajewiczowe zapisy melodii, oddające w nieskażonej formie pieśni stepowych *akynów*, takiej, w jakiej z ust do ust przekazywane były przez dziesiątki lat, trwając w narodowej pamięci, będąc integralną częścią jej kulturowego dziedzictwa. Ich treść i melodyczność ożywia obrazy z życia ludzi stepu oraz budzi wiele pozytywnych doznań, kreując obrazowość bezkresnej przestrzeni i wielu komponentów narodowej tradycji.

Wspomnijmy tu, że to urzeczenie folklorem kazachskim miało przypadkowy charakter. Oto bowiem, gdy Zatajewicz pracował w Orenburgu jako dyrygent, usłyszał pewnego razu kazachskiego śpiewaka. Przeżył wówczas wstrząs, fascynację i zadziwienie melodią oraz treścią wykonywanej przez niego pieśni. Postanowił więc ocalić muzyczne bogactwo narodu kazachskiego i praca ta jakimiś dziwnymi rytmami wypełniała mu życie, mimo niełatwych warunków, w jakich przyszło mu pracować. Przemierzał stepowe przestrzenie, nocował w pasterskich jurtach, gawędził z pasterzami wielbłądów, a każdy taki kontakt wywierał na nim duże wrażenie i przyciągał do ludzi, którzy znali te pieśni. Pokonywał wielkie odległości – często na wielbłądach, konno, pieszo, korzystał także z innych form komunikacji, szukając różnych sposobów realizacji swych celów badawczych i dokumentacyjnych. Wśród jego informatorów przeważali Kazachowie, ale zapisał on także wiele pieśni Tatarów, Uzbeków, Ujgurów, Tuwińców.

---

[77] Cyt. za: R. Badowski, *Polscy piewcy Kazachstanu*, Pelplin 2004, s. 95.

Obraz ten byłby zubożony, gdyby nie wspomnieć słowem o jego postawie wobec ludzi, z którymi spotykał się na szlaku wiodącym przez Semipałatyńsk, Pawłodar nad Irtyszem, Uralsk i rozległe stepy. Z pewnością nie było mu łatwo, warto bowiem zwrócić uwagę na nowe już wówczas w Kazachstanie społeczne i polityczne, porewolucyjne uwarunkowania. Były to więc różne wydarzenia towarzyszące wędrownemu życiu. Doświadczył ucieczki z Polski, tułaczki związanej z pierwszą wojną światową, a potem bolszewickiego przewrotu w Rosji i niełatwego bytowania związanego z tymi wydarzeniami. Miał jednak zapewne ponadprzeciętną odporność na te losowe doświadczenia i z uporem wchodził w sferę duchowych emocji ludzi, którzy powierzali mu tajemnice stepu zawarte w pieśniach i legendach. Wspominał o tym, informując:

> Zapisywałem wszystkich, którzy mogli zaproponować mi swoje wykonanie – komisarzy narodowych, inteligencję kazachską, zawodowych śpiewaków, studentów, uczniów wszelkich szkół i kursów, osoby odbywające karę, poganiaczy wielbłądów, nędzarzy i żebraków chodzących po bazarze i proszących o jałmużnę. Zapisywałem wszędzie – u siebie w domu, a najczęściej w domach akademickich, szkołach, w zgiełku bazaru, w noclegowniach, na korytarzu w teatrze – jednym słowem wszędzie, gdzie spotykali się śpiewający ludzie. Za każdą pieśń dawałem dwa funty chleba. Czasem mijały godziny, a nawet doby w poszukiwaniu metrum melodii. Często wahała się ona, to skracała, to znów rozszerzała się. Wtedy czekała mnie ciężka i trudna praca – ostrożne wygładzanie „na krosnach nut tych pomiętych koronek"[78].

Uwaga ta wskazuje na szeroką perspektywę zabiegów pozwalających mu na zapisywanie tych pieśni i jest to chyba najwartościowszy rys tej mrówczej pracy, w której wyrażała się bezprecedensowa skala jego muzycznego talentu oraz humanitarna wrażliwość. Podkreślali to po wielekroć autorzy prac jemu poświęconych, piszący też o ostatnim okresie jego życia.

W 1936 roku odbywała się w Moskwie Dekada Literatury i Sztuki Kazachskiej, na którą nie otrzymał on zaproszenia do Teatru Wielkiego. Można sobie wyobrazić, jaki to był cios dla niego. Jeden z Kazachów odstąpił mu swoje zaproszenie – wszakże w pierwszych operach kazachskich *Kyz Żybiek* i *Żałbyr* ich twórca Jewgienij Brusiłowski wykorzystał kazachskie melodie ludowe zapisane po raz pierwszy przez A. Zatajewicza. Nastawał widać czas politycznych represji sowieckich dla ludzi pokroju naszego rodaka, twórców kultury, pisarzy, intelektualistów. Ta deprecjacja jego osoby nie była przypadkowa i myślę, że zadziałały tu motywy dezintegrowania kultury i świadomości etnicznej nierosyjskich narodowości Związku Radzieckiego.

Jakiś czas po tej „Dekadzie" poświęconej narodowej kulturze Kazachstanu aresztowano ludowego komisarza do spraw kultury tego kraju, Temirbiega Żurgienowa, i wkrótce został on rozstrzelany. Wiemy, jak przebiegały dalej owe zabiegi ne-

---

[78] Cyt. za: S. Isajew, *Za pieśń – dwa funty chleba*, „Wieczernyj Ałmaty", nr 5–8 z 13 stycznia 2005 r.

gowania narodowych tradycji, zmierzające w konsekwencji do zbudowania dziwacznego tworu, jakim była kultura i sztuka radziecka. Wydarzenia te wstrząsnęły wieloma ludźmi, były katastrofą przewalającą się po falach ówczesnej radzieckiej rzeczywistości. Przybierały one różnorodne oblicza, zależnie od warunków, w jakich się rozgrywały, ogólnie jednak stopień represji, terroru był nie tylko osobistą katastrofą tysięcy działaczy w sferze narodowej kultury, ale i dla mniejszości narodowych zamieszkujących obszar imperium sowieckiego. Aresztowano wtedy i rozstrzelano lub zesłano do łagrów twórców i działaczy kultury w Jakucji, Buriacji, Uzbekistanie czy Tadżykistanie. Fala terroru ogarnęła środowiska uczonych, pisarzy, aktorów i ludzi innych profesji. Za tragiczny obraz owych działań niech wystarczy tu ich przypomnienie.

W okresie tych ideologicznych perypetii, które owładnęły radziecką kulturą, ciągle czyniono zabiegi na rzecz ograniczenia jej narodowego charakteru wśród autochtonicznych mniejszości. Nie było więc łatwo Zatajewiczowi działać dalej na rzecz dokumentowania kazachskiego dziedzictwa folklorystycznego. Myśląc o jego świadomości potrzeby kontynuowania tej pracy oraz o sferze odczuć duchowych temu towarzyszących, nie zapominajmy o nienajlepszym jego bycie materialnym. Coraz częściej dochodziły do niego wiadomości o problemach, jakie spadały na ludzi jemu podobnych, kazachskich działaczy kultury, pisarzy, uczonych. Pozbawiony pracy na etacie, rzec można przysłowiowego „twardego gruntu", udał się jednak do Kirgizji, by zapisywać pieśni i melodie tamtejszego ludu, wobec którego dawała już o sobie znać choroba sowieckiego zniewolenia indoktrynalnego.

W grudniu 1936 roku wracał z tej wyprawy do Moskwy, zapowiadając swój przyjazd lakonicznym telegramem „Przyjeżdżam w czwartek". Obsługa telegrafu popełniła błąd w zapisie dostarczonym do odbiorcy tej informacji, z którego wynikało, że miał powrócić czwartego grudnia. Błąd ten okazał się fatalny dla Zatajewicza. Gdy wysiadł na Dworcu Kazańskim w Moskwie, nikt na niego nie czekał. Lekko ubrany, w mroźnej już wówczas Moskwie przeziębił się, zanim dotarł do domu, i wkrótce zmarł na zapalenie płuc. I tak zabrakło mu życia, by móc nadal pracowicie i z pasją wzbogacać skarbiec kazachskiego folkloru. Pochowany został na Cmentarzu Nowodziewiczym, gdzie znajdują się groby luminarzy kultury rosyjskiej.

Moja znajomość z tą postacią łączy się z odwiedzinami tej słynnej moskiewskiej nekropolii. Znalazłem się tam gdzieś w połowie lat 70. ubiegłego stulecia, zachęcony opowieścią mojego przyjaciela o tym cmentarzu i spoczywających na nim ludziach nauki i kultury rosyjskiej. I oto gdy przystanąłem przy mogile A. Czechowa, zaciekawił mnie sąsiedni grób, przy którym stało parę osób, rozmawiając i żywo gestykulując. Rysy ich twarzy wskazywały, że nie są Rosjanami. Przystanąłem więc i ja, by wsłuchać się w ściszoną rozmowę tych ludzi. Niewiele z niej pamiętam, jedno jednak wynikało wyraźnie – atencja wobec postaci, której popiersie było na nagrobku, ozdobionym też postacią Kazacha trzymającego instrument zwany *dombrą*. Dowiedziałem się wówczas, że w mogile tej spoczywa muzyk i kompozytor,

który zbierał kazachskie pieśni i legendy. Tego, że był z pochodzenia Polakiem, nie wiedziałem, oni zapewne też, bo nie wynikało to z naszej rozmowy, nawet wówczas, gdy powiedziałem im, że jestem z Polski, a mój pobyt w Moskwie ma charakter turystyczny. Dopiero po powrocie do kraju zainteresowałem się bliżej tą postacią[79]. Wedle nikle sączących się biograficznych przekazów któryś z dziadków A. Zatajewicza był uczestnikiem jednego z polskich powstań narodowych, za co zesłany został do Kazachstanu.

Prawda to czy legenda? Być może kiedyś przekaz ten zostanie pełniej udokumentowany, wypełniając lukę między nim a pojawieniem się Zatajewicza na ziemi Kazachów. Mniej jednak o nim wiemy aniżeli o jego wnuku Aleksandrze, który poprzez swoją pasję folklorystyczną wpisał się w dzieje kazachskiej folklorystyki, etnografii i muzykologii. Rosyjska autorka I. Lewicka poświęciła mu powieść zatytułowaną *Żywyje drogocennosti: Dokumentalnaja powiest ob. A. W. Zatajewicze – kompozitorie, etnografie* (Ałma-Ata 1976), badająca świat jego życia, powszedniość, ale i niezwykłe u Aleksandra epizody. Książka ta to złożona mozaika biograficzna, bo takie było życie tego niezwykłego człowieka, zasługującego niewątpliwie na poważną monografię.

Postacią i dorobkiem Zatajewicza zajmują się folkloryści w Kazachstanie i Rosji, zatem niechże i u nas w dobie dokumentowania polskiego dziedzictwa naukowego, kulturalnego czy gospodarczego na Syberii i w innych rejonach byłego Imperium Rosyjskiego ożyje pamięć o postaci tego znakomitego człowieka. Rozkochany w pieśniach stepowych *akynów*, im poświęcił swoje zdolności i trud, do dzisiaj więc oddaje mu się tam hołd za wszystko, co uczynił dla kultury narodowej Kazachów[80]. Jego wiekopomne dzieło umożliwia pełniejsze poznanie folkloru, rekonstrukcji i reinterpretacji antropologicznej tej ludowej twórczości. Nic więc dziwnego, że wśród kazachskich uczonych pojawiła się potrzeba szukania dróg realizacji tych istotnych przedsięwzięć poznawczych. Problematyka ta sytuuje się na podłożu badawczym kazachskiej muzykologii i folklorystyki, a nawet antropologii kultury. Wspomnieć też wypada, że dla Zatajewicza – badacza – folklor nie był zjawiskiem statycznym, lecz wciąż dynamicznie rozwijającym się żywym organizmem. **Nie znając muzyki swojego narodu, podkreślają kazachscy badacze, nie można zrozumieć jego duszy i jego kultury.**

Zatajewicz był jednym z niewielu badaczy, którzy przeniknęli w głąb kazachskiej duszy, odradzającej się w czasach kolonizacyjnej niewoli za pomocą pieśni i dziedzictwa kulturowej tradycji w określonej czasoprzestrzeni. Nikt nie zdołał tego uczynić lepiej od niego. To ważna, choć nie jedyna okoliczność pozwalająca autorytatywnie wypowiadać się o niewątpliwie pionierskim charakterze osiągnięć folklorystycznych Aleksandra Zatajewicza.

---

79 A. Kuczyński, *Stepowe pieśni akynów*, Tygodnik „Wiadomości" (Wrocław) 1976, nr 10.

80 W 2004 roku ukazało się w Ałmaty wznowienie książki A. Zatajewicza, wydanej po raz pierwszy w Orenburgu w 1925 roku.

Świat ukazany w tych pieśniach w większości należy już do przeszłości, sporo bowiem związanych z nim kulturowych realiów uległo erozji oraz zatraciło swą ideową rzeczywistość i dzisiaj, w modernizowanym społecznie i gospodarczo Kazachstanie, stało się zaprzeszłym elementem folklorystycznym, który współcześnie powtórzony być nie może.

Dodajmy, że ten „polsko-kazachski" folklorysta dostrzegał rzeczywistą i kulturową wartość zapisywanych pieśni, ich odmienność i specyfikę, jeszcze wówczas wolnych od późniejszych naleciałości ideologicznych czasów sowietyzacji. Zatajewiczowi udało się uchwycić wielobarwny kontekstowo świat stepowych pieśni *akynów*, jakże ważnych dla zachowania poczucia tożsamości kulturowej i świadomości etnicznej ludzi stepu, dla których był on oswojoną przestrzenią ich życia i w której wykreował się kazachski naród z bogatą kulturą społeczną, językiem, zwyczajami i obrzędami.

W folklorystyce i antropologii kulturowej współczesnego Kazachstanu raz po raz można dostrzec oddźwięk, z jakim spotyka się jego dorobek z tej dziedziny. Nie omieszkał też o nim wspomnieć ambasador Republiki Kazachstanu w Polsce, pisząc:

> Na początku XX wieku Polak z pochodzenia, krytyk muzyczny Aleksander Zatajewicz przybył do Orenburga – ówczesnej stolicy Kazachstanu. Tutaj po raz pierwszy zetknął się ze źródłową twórczością muzyczną, a usłyszane melodie tak go poruszyły, że zaczął je zapisywać. Zebrał i wydał ponad 2300 pieśni i muzycznych kompozycji zwanych *kiujami*. Nikt przed nim, ani po nim nie wykonał podobnie gigantycznej pracy, jak ocalenie twórczości stepowych *akynów* i instrumentalistów, udokumentowanie dorobku całego narodu[81].

W kontekście tych niezwykłych dokonań Zatajewicza, o których pamięta się dzisiaj w Kazachstanie, podkreślić należy niewątpliwy fenomen jego trudu i bezprecedensową skalę jego talentu. Gdy zajął się zapisywaniem pieśni i kompozycji muzycznych, miał już 51 lat i bogate doświadczenie muzyczne. To niewątpliwie ułatwiało mu pracę, biorąc pod uwagę względy natury merytorycznej. Ale były także względy natury bytowej, warunków pracy i związanych z tym terenowych wypraw, by zebrać jak najwięcej oryginalnych utworów, wolnych od naleciałości będących wynikiem akulturacji, jaka niewątpliwie je dotknęła. Dzięki rozmaitym źródłom dowiadujemy się o tych osobliwych niekiedy okolicznościach, na które wpływało skromne finansowe zabezpieczenie tych badań i związane z tym ograniczone możliwości wyjazdu w teren, by „być wśród ludów znających te pieśni", problemy ze środkami komunikacji, brak możliwości zapisu fonograficznego twórczości, co niewątpliwie utrudniało dotarcie do wszystkich niuansów muzycznych danego utworu.

Badacz nie żalił się na okoliczności niełatwej wszakże codziennej egzystencji i darzył sympatią swych informatorów. Można powiedzieć, że zatracił się w ich pieśniach i legendach. Kontakty z nimi były zapewne jakimś spełnieniem tkwiącej

---

81 [J. Strzelczyk], *Benedykt Polak. Z Europy do Azji…*, op. cit., s. 8.

w nim od lat romantycznej wizji, dostrzegał to, że zapisywany przezeń folklor związany jest z naturą stepów i rytmem życia ludzi na nich żyjących. Jego postanowienie dokumentowania kazachskiego folkloru przyniosło zdumiewająco wielkie, niepowtarzalne korzyści dla muzykologii tego kraju, co nietrudno dzisiaj zauważyć, śledząc pochlebne opinie, jakie pobrzmiewają echem w pracach uczonych z Kazachstanu piszących o jego trudzie i dziele oraz zabiegających o utrwalenie pamięci o nim dla potomnych. To właśnie dzięki ich staraniom postać ta zadomowiła się na stałe w historii muzykologii i folklorystyce kazachskiej.

Z oddalającej się perspektywy czasowej warto wspomnieć, że folklorystyczne zainteresowania Zatajewicza zaowocowały utrwaleniem ważnego skrawka kazachskiej kultury, której dzieje fascynują dzisiaj coraz częściej badaczy suwerennego Kazachstanu. Jego dorobek z tej dziedziny jest bogaty, trwały i godny uznania, nie tylko ze względu na oryginalność, ale również dlatego, że jego badań obecnie nie można już powtórzyć.

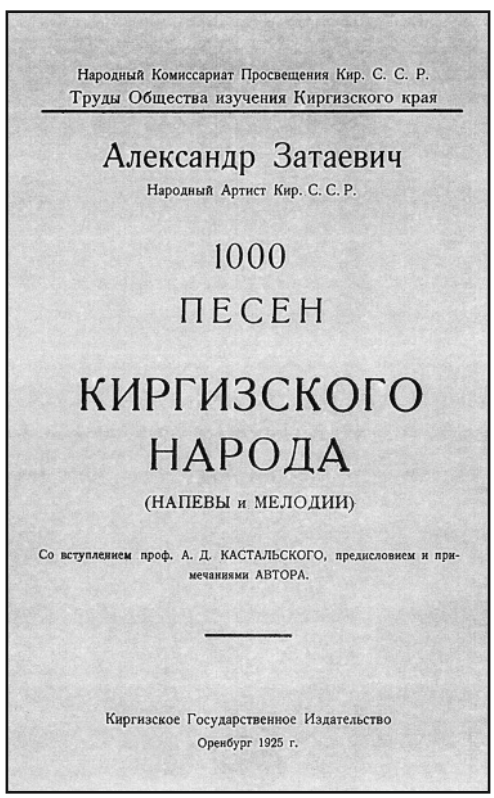
Народный Комиссариат Просвещения Кир. С. С. Р.
Труды Общества изучения Киргизского края

Александр Затаевич
Народный Артист Кир. С. С. Р.

1000
ПЕСЕН
КИРГИЗСКОГО
НАРОДА
(НАПЕВЫ и МЕЛОДИИ)

Со вступлением проф. А. Д. КАСТАЛЬСКОГО, предисловием и примечаниями АВТОРА.

Киргизское Государственное Издательство
Оренбург 1925 г.

Pierwsza edycja książki A. Zatajewicza poświęconej folklorowi kazachskiemu „1000 pieśni kazachskiego narodu", Orenburg 1925 r.

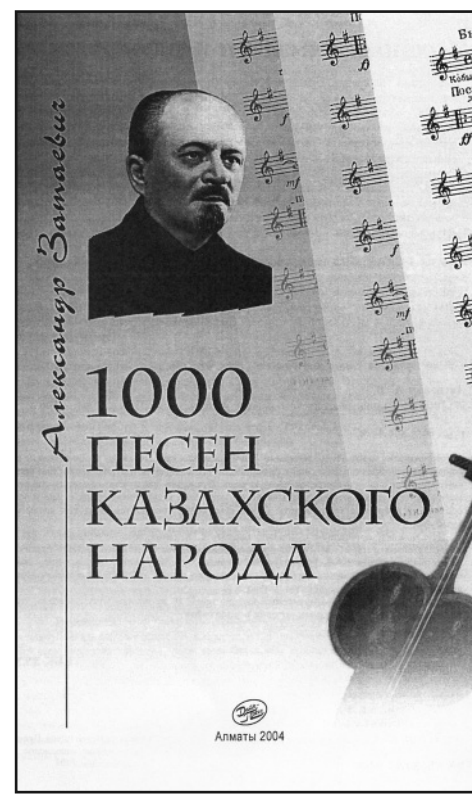

Okładka współczesnej edycji książki „1000 pieśni kazachskiego narodu", Ałmaty 2004 r.

4.

Z LEKARSKĄ POSŁUGĄ

Wspomnijmy jeszcze o mało znanym wątku dotyczącym pracy w Kazachstanie, którą wykonywali tam polscy lekarze już od pierwszej połowy XIX stulecia. W czasach po powstaniu listopadowym, na terenie tzw. Siedmiorzecza, regionu biorącego nazwę od rzek spływających z Tienszanu oraz stoków Dżungarskiego Ałataju wpływających do jezior Bałchasz, Sysykol i Ałakoł, dwaj zesłańcy **A. Januszkiewicz**, uczestnik powstania listopadowego, oraz **W. Iwaszkiewicz,** gimnazjalista z organizacji patriotycznej Czarni Bracia w Krożach na Litwie, spotkali tam dwu bliżej dotychczas nieznanych polskich **lekarzy Jerzykowskiego** i **Sokolińskiego** darzonych sympatią ze strony tubylców, którym nieśli ulgę w cierpieniach[82]. Kondycja zdrowotna autochtonicznych mieszkańców stepu nie była wówczas najtęższa i zdaniem Januszkiewicza doskwierały im: ospa, febra, różne krosty i wrzody, „bo nauka Eskulapa, złożona tutaj w rękach głupich i zabobonnych buksów, podaje środki po największej części nacechowane piętnem szarlatanizmu i guślarstwa. Serce się rozdziera na widok tylu męczenników wołających o pomoc".

Biedacy ci oprócz życzliwego słowa otrzymywali od niego różne lekarstwa, a częste wyprawy do aułów, w których prowadził spisy ludności jako pracownik Zarządu Pogranicznego w Omsku, pozwalały na nawiązanie przyjaznych kontaktów z ich mieszkańcami. Prosili go o proszki, które rozdawał, „co większy skutek odnosiły niż modlitwy mułłów i zaklęcia buksów; uzdrowieni zaś składali swe dzięki w najczulszych wyrazach".

W Stepie Turgajskim prowadził działalność lekarską bliżej nieznany Polak **Stanisław Rogala-Lewicki**, który zajmował się tam m.in. zwalczaniem malarii, ospy i innych chorób. Dzięki jego poświęceniu i przedsięwziętym środkom zdołano opanować wiele z tych chorób. Znana jest także jego działalność przy zwalczaniu cholery, podczas której zaraził się i zmarł. Jeszcze przez długie lata po tym wydarzeniu niosła się po kazachskich aułach legenda o człowieku, który, udzielając pomocy bliźnim, sam został powalony śmiertelną chorobą.

---

[82] R. Badowski, *Lekarze i aptekarze polscy w Kazachstanie,* [w:] *Kondycja zdrowotna Polaków na terenie byłego Związku Radzieckiego*, red. M. Makara-Studzińska, ks. E. Walewander, J. Bryll, Lublin 2013, s. 233–250.

Przykłady działalności medycznej Polaków w Kazachstanie są liczne i różnorodne. Poprzez ich biografie docieramy do rozległych przestrzeni tamtej historii, porządkujemy fakty świadomi niestety ich fragmentaryczności, z nadzieją jednak, iż zakorzenią się one nawet w tej formie w historii związków polsko-kazachskich i przysłużą do ustalenia prawdy. Różne źródła dokumentują tę działalność, wiele z nich nie różni się w faktografii i wnioskach, a posługa lekarska Polaków, którzy pracowali na terenie Kazachstanu w XIX i na początku XX wieku, odpowiadała oficjalnemu zapotrzebowaniu tamtejszych władz na ten rodzaj zajęć. Byli wśród nich dobrowolni przybysze związani administracyjnymi kontraktami zawodowymi, jak również lekarze wojskowi i zesłańcy, chociaż tych ostatnich było znacznie mniej. Wielu z nich podejmowało również działalność społeczną.

Z badań wynika, że zapotrzebowanie na usługi medyczne było wielkie, przeto lekarze wojskowi wypełniali nieraz wiele zadań medycznych na rzecz ludności cywilnej. Kontakty, jakie zachodziły między zesłanymi lekarzami a podlegającą izolacyjnemu charakterowi struktury penitencjarnej miejscową społecznością, były rezultatem potrzeb zrodzonych w tych środowiskach. Siła nawyku i Hipokratesowych zasad była czynnikiem sprawczym tego, że lekarze zesłańcy, mimo braku zgody na oficjalne wypełnianie obowiązków lekarskich, pełnili je na rzecz najbliższego otoczenia. We wszystkich takich przypadkach pomoc ta udzielana była przez ludzi niebędących wyznawcami Allaha, którzy mimo to uzyskiwali z czasem aprobatę lokalnych społeczności dla prowadzonych przez siebie praktyk, zyskując przy tym pełną autonomię. Oczywiście nie znaczy to, że tradycyjna medycyna zniknęła z praktyk uprawianych przez lokalnych *buksów*, czyli szamanów. Potrzeby medyczne wzrastały np. w czasie epidemii i profesjonalni lekarze czy felczerzy angażowani byli do prac sanitarnych oraz profesjonalnych praktyk. Sytuacje te przyczyniały się do powstawania dyktowanego koniecznością sojuszu *buksów* z profesjonalistami. W takich sytuacjach słabły rytualne obrzędy i praktyki „lokalnych czarodziejów" a wszechobowiązkowe stawało się wówczas kryterium zasad stosowanych przez lekarzy[83].

Wiadomo np., że w latach 1855–1856 lekarzem w Syberyjskim Batalionie Liniowym stacjonującym w Semipałatyńsku był **Stanisław Wiśniewski**, rodem z Białegostoku, wcielony karnie do wojska za utrzymywanie kontaktów z osobą nieprawomyślną wobec caratu, za którą uznawano szlachcica z Wileńszczyzny **Aleksandra Deręgowskiego**[84]. Powstaniec styczniowy **Aleksander Przystański**, absolwent Akademii Medyko-Chirurgicznej w Wilnie, trafił jako zesłaniec do guberni orenburskiej i po pewnym czasie uzyskał zgodę na prowadzenie praktyki lekarskiej. Ciekawym świadectwem jego praktyk po powrocie z zesłania w 1869 roku było założenie w Ogrodzie Saskim w Warszawie zakładu leczenia *kumysem* otrzymywa-

---

[83] A. Kuczyński, *Działalność zawodowa i społeczna lekarzy polskich w Kazachstanie w XIX i na początku XX wieku,* [w:] *Lekarze polscy na Syberii od XVIII do XX wieku*, pod red. J. Supadego, Łódź 2008, s. 188–198.

[84] G. Sapargalijew, W. Djakow, op. cit., s. 199.

nym z krowiego mleka. Praktyki owe zostały odnotowane na łamach „Tygodnika Lekarskiego" oraz przez „Gazetę Warszawską"[85].

Często w miejscowości, w której stacjonował dany korpus armii, jedynym medykiem w okolicy był właśnie lekarz wojskowy. Nie ulega zatem wątpliwości, że lokalne potrzeby w zakresie działalności lekarskiej nie tylko pozwalały tym lekarzom na jej prowadzenie, ale nieraz wręcz ją wymuszały. Formalnie zaleceń w tych kwestiach nie było, faktycznie istniała w tym zakresie ogólna aprobata dla tego typu działalności lekarzy powiązanych kontraktami z armią, pozwalała ona bowiem zapobiegać wielorakim epidemiom, negatywnym skutkom wynikającym z braku higieny oraz chorób epidemicznych, np. tyfusu plamistego, ospy czy cholery.

Cezary Terajewicz

Przykłady działalności lekarskiej Polaków w Kazachstanie są różnorodne pod względem wykonywanych przez nich obowiązków i obszarów, na których pracowali. Jednym z pracujących w Kazachstanie lekarzy był **Cezary Terajewicz** (1833–1901), absolwent studiów medycznych w Moskwie, uczestnik powstania styczniowego zesłany do miasta Tara na terenie Syberii Zachodniej. Tam, nie zważając na zakazy policji, świadczył lekarską pomoc potrzebującym. Mieszkańcy miasta dwukrotnie zwracali się do miejscowych władz o wydanie mu zgody na oficjalne uprawianie praktyki lekarskiej, którą otrzymał dopiero po paru latach zsyłki. Niestety popularność tego lekarza-zesłańca była nie w smak tamtejszej administracji, przeniesiono go zatem do pracy w Akmolińsku, a następnie do Semipałatyńska. W latach 1879–1893 był lekarzem w Spassku w guberni riazańskiej. Potem powrócił do Kazachstanu i osiadł w Ust-Kamienogorsku, gdzie oprócz zatrudnienia w państwowych jednostkach służby zdrowia prowadził prywatną praktykę lekarską, ciesząc się uznaniem miejscowego społeczeństwa. Jego wysiłki i oddanie pacjentom było zauważane w każdym miejscu pracy.

> Pozostawił on po sobie wdzięczną pamięć o oddaniu lekarskiej służbie, o serdecznym traktowaniu pacjentów i o tym, że zdołał przeciwstawić się i ograniczyć działalność tamtejszych znachorów[86].

Podobnie też pisał o nim B. Gierasimow, podkreślając, że był człowiekiem dobrze wykształconym i wspaniałym lekarzem o dużym autorytecie wśród mieszkańców Ust-Kamienogorska[87]. Przystając na przytoczoną wyżej ocenę C. Terajewicza, zauważyć należy, że osobowość jest pojęciem uniwersalnym i można charakteryzować ją z różnych punktów widzenia. W tym przypadku najstosowniejsze wydaje się ujęcie

---

85 R. Badowski, *Lekarze i aptekarze…*, op. cit. s. 239.

86 G.I. Mendrina, *Medicinskaja diejatelnost politiczeskich ssylnych w Sibiri*, Tomsk 1962, s. 24; Zob też: I.N. Nikulina, *Ssylnyj wracz C.I. Terajewicz (1833–1901) w Zapadnoj Sybirii,* [w:] *Lekarze polscy na Syberii…*, op. cit., s. 255–257.

87 B. Gierasimow, *Ssylnyje Polakii…*, op. cit., s. 93.

etyczne. Zapoznając się z różnymi opisami działalności lekarskiej naszego rodaka, wyczuwa się, że jego posługa lekarska dla ludności, wśród której wypadło mu żyć i pracować, zgodna była z ideałami humanizmu, których egzemplifikacją w tym przypadku była pełna poświęceń praca na rzecz potrzebujących. W 1892 roku, gdy był koordynatorem lecznictwa w podległym mu rejonie Ust-Kamienogorskim, wybuchła epidemia cholery. Wówczas dał świadectwo prawdziwego powołania do zawodu lekarza, wiernego przysiędze Hipokratesa i położył wielkie zasługi w opanowaniu rozprzestrzeniania się tej niebezpiecznej choroby, zawleczonej tu przez kupieckie karawany. Oczywiście nie tylko wiedza, ale i cechy charakteru wpłynęły na metody jego pracy, charakteryzującej się w tym przypadku logicznym podziałem zadań sanitarnych realizowanych w zależności od potrzeb z różną intensywnością, na różnym poziomie możliwości lokalnych. Niestety i on zaraził się cholerą, a komplikacje po przebytej chorobie towarzyszyły mu do końca życia. Zmarł w 1901 roku, a opis jego lekarskiego trudu przewija się do dziś przez różne publikacje, zatem i historyczna pamięć o nim trwa[88].

Wspomniano już o Semipałatyńsku, sporym pod koniec XIX stulecia mieście tego rejonu oraz znaczącym ośrodku administracyjnym w północnym Kazachstanie. Mieszkali tam także Polacy, zarówno zesłańcy, jak i dobrowolni przybysze szukający zatrudnienia. Byli też wśród nich postyczniowi zesłańcy – **lekarze J. Roszkowski** i **A. Mieletyński**, **farmaceuci (?) Szukiewicz i S. Kościałkowski** oraz **ginekolog J. Domaszewicz**, któremu udzielono zgody na praktykę lekarską ze względu na potrzebę, jaka istniała w tym mieście.

Ludwik Maciejewski

W 1897 roku, w czasie epidemii cholery i tyfusu zmarł semipałatyński lekarz **Ludwik Maciejewski**. Był on absolwentem medycyny Uniwersytetu Kijowskiego. W 1859 roku skierowany został do pracy w Omsku, a potem przez 25 lat pracował w Wiernym (obecnie Ałmaty). W połowie lat 80. XIX wieku przybył do Semipałatyńska i włączył się w życie społeczno-kulturalne miasta, nie traktując bynajmniej tego w kategoriach materialnych. W ramach tej działalności dużą popularnością cieszyła się propagowana przez niego idea utworzenia w tym mieście bezpłatnej lecznicy dla biednych, którą, acz nie bez trudności, jednak po części dzięki własnemu kapitałowi udało mu się powołać do życia[89].

Był członkiem towarzystw naukowych: Turkiestańskiego Komitetu Statystycznego, Turkiestańskiego Towarzystwa Lekarzy, Omskiego Towarzystwa Medycznego

---

88 W.Z. Galijew, *Medicinskaja diejatelnost ssylnych rewolucjonierow w Kazachstanie*, Ałma-Ata 1982, s. 47–48; tenże, *Miediki-rewolucjoniery w Kazachstanie*, „Sowietskoje zdrawoochronienije" 1972, nr 3, s. 70–71; I.N. Nikulina, *Ssylnyj wracz C.I. Terajewicz…* s. 255–257.

89 L.I. Maciejewskij, *Otczet Semipałatinskoj gorodskoj bezpłatnoj leczebnicy dla biednych w 1888 g.*, „Semipałatynskoje obłastnyje wiedomosti" 1888, nr 5.

i Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego. Działał w tych gremiach nie tylko na rzecz poprawy jakości służby medycznej, lecz również kreowania zainteresowań naukowych danym regionem. W organach tych Towarzystw publikował prace medyczne, a wśród nich wyniki badań antropologicznych prowadzonych wspólnie z rosyjskim lekarzem Fiodorem Pojarkowem w latach 1882–1883. Starał się też pomagać polskim zesłańcom w tym mieście. Z niepokojem obserwował brak higieny wśród miejskiej biedoty i ludzi żyjących w stepach. Gdy w 1897 roku wybuchła w tym rejonie epidemia tyfusu, Maciejewski wyjechał z Semipałatyńska do Pawłodaru, by w znajdujących się tam izolowanych strefach objętych epidemią nieść pomoc potrzebującym. Niestety, pomagając innym, zaraził się sam i parę miesięcy potem zmarł. W nekrologu napisano o nim:

> Jako człowiek i lekarz starał się zawsze i wszędzie pomagać jak tylko mógł; podczas nocy i w niepogodę spieszył z pomocą bogatym i biednym; szczególnie był ceniony jako lekarz pediatra. Jeszcze w długie lata po praktyce lekarskiej Maciejewskiego w miejscowości Kopale miałem okazję – wspominał autor nekrologu – przekonać się, jak wielu biednych ze łzami dziękowało mu za to, że uchronił ich od chorób, a także ich bliskich, dzięki czemu żyją, ale i za to, że wspomagał ich także materialnie, za co żywią szczególną wdzięczność Ludwikowi Hipolitowiczowi. Taką samą dobrą pamięć pozostawił on w Kuldży, Wiernym i w innych miastach, w których służył. Z serdecznością i sympatią spotykał się zawsze z młodymi lekarzami, starając się udzielić im rad, by w przyszłości mogli uniknąć pomyłek w lekarskiej pracy[90].

Adam Przegodzki i Wasyl Frunze

Pod koniec XIX stulecia z Wiernym (Ałmaty) związane były także losy lekarza **Adama Przegodzkiego**, potem lekarza powiatowego w Tokmaku, obsługującego mieszkańców olbrzymiego obszaru. Miał do pomocy **felczera Wasyla Frunzego**, ojca **Michaiła Frunzego**, późniejszego radzieckiego dowódcy, działacza państwowego i partyjnego. Obaj często pokonywali konno i na wielbłądach rozległe obszary stepowe, niosąc potrzebującym pomoc, za którą nie pobierali pieniędzy, jedynie prosili o gościnę w napotkanych jurtach.

Rosyjski działacz polityczny z kręgu tzw. narodników, lekarz F. Pojarkow, znał dobrze obu tych współpracowników, przeto nie omieszkał dać wyraz sympatii i szacunku wobec nich, pisząc:

> W imię sprawiedliwości powinniśmy dobrze wspomnieć działalność dwóch ludzi, którzy ponieśli wiele trudów i nie żałowali sił i zdrowia, żeby ulżyć w cierpieniach wielu ciężko chorującym Dunganom. Tymi ludźmi, którzy oddali im tak wielkie zasługi, byli: Adam Przegodzki, ówczesny lekarz powiatowy w Tokmaku, i jego

---

90 F. Pojarkow, *Ludwik Ippolitowicz Maciejewskij (nekrolog)*, „Turkiestanskie Wiedomosti" z 28 kwietnia 1898 roku.

pomocnik, obecnie już nieżyjący felczer Wasilij Frunze. Przypadł im obu w udziale olbrzymi trud opieki nad ciężko chorymi Dunganami. Doktor Przegodzki musiał przeprowadzić sam jeden ponad sto poważnych operacji, nie licząc drobnych, w warunkach urągających zasadom higieny, przy użyciu prymitywnych urządzeń i znikomych środków pomocniczych. Ten samotny lekarz, odcięty od świata i ludzi, który całą swą długoletnią służbę odbył w stepie, wyposażony tylko w wiedzę i gorącą miłość bliźniego, bez względu na osobę czy pochodzenie, wyszedł z honorem i chwałą z trudnej sytuacji, jaką zgotował mu los. Pierwszy razem ze swym pomocnikiem przyszedł na ratunek nieszczęśliwym i jak prawdziwy żołnierz ostatni opuścił pole bitwy, pozostawiając je dopiero wtedy, gdy już wszystkiego dokonał. Cześć mu i chwała! Prawdziwy heroizm ducha przejawia się w systematycznej pracy dla dobra bliźniego, wymagającej czujnej uwagi i serdecznej troskliwości. Doktor Adam Przegodzki i jego pomocnik Wasilij Frunze zasługują na naszą wdzięczność za to, że tak gorliwie pracowali dla dobra i pożytku tamtejszej ludności, ich nazwiska należy wpisać na kartach miejscowej kroniki wielkimi literami[91].

Kazachski lud bardzo cenił „dobrego lekarza o oddanym sercu dla biednych", który leczył stepowych koczowników i bratał się z nimi, a miejscowa administracja obdarzała go należnym szacunkiem. Lekarz i felczer razem tworzyli prężny i dynamiczny zespół, który w ich rozumieniu miał na celu nie tylko leczenie, ale i profilaktykę, znaczoną przede wszystkim postulowaniem utrzymywania higieny osobistej. Podejmowali z tego zakresu różne akcje, mimo iż prowadzone z wielkim trudem rozbijały się one często o mur nieufności tubylczych plemion. Rzec można, pracowali z dużym ładunkiem entuzjazmu, a także ze zrozumieniem trudnych problemów środowiska, w którym pełnili lekarską posługę. Wśród spraw związanych z praktyką medyczną niemało miejsca zajmuje sylwetka zawodowa i etyczna lekarza, a ważnym ich elementem jest ofiarność i umiejętność postępowania z ludźmi. Te cechy wyróżniały obie wspomniane tu osoby, a ludność korzystająca z ich usług darzyła je zaufaniem.

Wspomnieć należy też o szczególnej uciążliwości pracy lekarskiej na tym terenie. Była nią wielość przesądów i różnorodnych praktyk, jakie charakteryzowały działalność miejscowych znachorów, a częstokroć i szamanów, wobec których tubylcy odnosili się z czcią i którym składali hołdy. Przez wieki bowiem kultury tamtejszych ludów oswajały magiczne obszary życia, zdrowia, choroby i śmierci, różne wyznaczały im funkcje i miejsca, a ich związek z tamtejszą codziennością był zbyt ścisły oraz odwołujący się do czarów, wróżb, złych i dobrych duchów oraz kuglarstwa. I był to związek nierozerwalny, dopełniający się w różnych aktach tubylczego bytowania, narodzin, życia i śmierci. Wszystkie one wyraźnie tkwiły w tamtejszej kulturze, zwyczajach, obyczajach i psychice. Praktyki magiczne prawie zawsze odnosiły się do dobra i zła i zawsze wypełniane były przez konkretną osobę szamana/czarownika. Podkreślam to tutaj, by zaznaczyć, w jak wyraźny

[91] F.W. Pojarkow, *Poslednij epizod dunganskogo wostanija*, Wiernyj 1901, s. 70. Cyt. za: G. Sapargalijew, W. Djakow, op. cit., s. 268–270.

sposób działalność medyczna wśród autochtonicznych etnosów odbiegać musiała od standardów praktyki lekarskiej.

Inni lekarze i aptekarze

Na terenie Siedmiorzecza pracowali również lekarze **J. Kiszeński** i **N. Wyszpolski**. Oni także znani byli z troski o pacjentów, do których starali się dotrzeć nawet w najdalsze rejony stepów. Tam byli zawsze witani z serdecznością i żegnani z nadzieją, że gdy zajdzie potrzeba, pojawią się z pomocą. Rytm codziennych obowiązków, wyznaczanych przez życie miejscowej społeczności, i to wszystko, co go dotyczyło, determinowało formę pomocy lekarskiej rozciągającej się na różne sfery ludzkiego bytowania. Wiemy wszakże, że problematyka działalności lekarskiej i tego zawodu nie jest bynajmniej abstrakcyjnym zbiorem problemów, lecz jest ciągle ożywiana potrzebami ludzi. Od zaspokojenia tych potrzeb zależał wszakże i tam nie tylko szacunek dla lekarskiego trudu, ale także zaufanie ze strony pacjentów.

Wśród ludności Siedmiorzecza szacunkiem cieszył się lekarz **Jan Sikorski**, tak samo troskliwy w służbie dla bogatych, jak i biednych. Głównym lekarzem w II Brygadzie Artylerii stacjonującej w Wiernym był **J. Oliński**. **P. Balbucynowski** był w Wiernym lekarzem cywilnym (z doktoratem uzyskanym na uniwersytecie w Kazaniu). Należy jeszcze wymienić innych lekarzy realizujących posłannictwo swojego zawodu na terenie Siedmiorzecza: **J. Długoszewskiego**, **H. Piaczkowskiego**, **J. Sikorskiego**.

W Wiernym współczesnymi Adamowi Przegodzkiemu byli **lekarz M. Ignatowski** i **farmaceuta Józef Sienczykowski**. Pierwszy z nich, związany z miejscową lecznicą, prowadził także prywatną praktykę. Nie był zesłańcem, lecz lekarzem skierowanym tutaj z powodu braku specjalistów o tej profesji. W różny sposób oswajał się z nowym miejscem życia i pracy, które wyznaczało mu określone role do spełnienia, będące wypadkową miejscowych potrzeb.

Z lecznictwem wojskowym w Wiernym związany był farmaceuta **Józef Senczykowski**, kierujący apteką w szpitalu wojskowym. Po zakończeniu służby wojskowej otworzył apteki w Wiernym, Dżarkencie i w Karakoł. Pierwsza z nich istniała od 1882 do 1972 roku i przez wiele lat była centralną apteką (nr 1) w Ałma-Acie (została zburzona w czasie rozbudowy miasta). **J. Sienczykowski był też właścicielem laboratorium farmaceutycznego, przekształconego z czasem w Ałmatyńskie Zakłady Farmaceutyczne, które istniały do 1968 roku.** W Wiernym pracował także inny Polak, farmaceuta **S. Dubniewski**.

Aptekarzem w Orenburgu był **Michał Cejzyk, jeden z pierwszych zawodowych fotografów w tym mieście**. Pasja ta wiodła go w step, gdzie utrwalał różne jego obrazy. Niestety fotografie te nie dotrwały do naszych czasów, a i dalsze losy M. Cejzyka nikną w mrokach dziejów.

Z Orenburgiem związana była także działalność lekarska **J. Dowgiłowicza**, który w 1864 roku zajmował się zwalczaniem ospy i tyfusu brzusznego wśród Kazachów

z koczowisk ordy bugiejewskiej, a gdy epidemia ta wygasła, wrócił do miasta. Potem do tubylczych koczowisk tego rejonu skierowany został w 1865 roku felczer **P. Szczęsnowicz**. Znanym lekarzem w Kraju Orenburskim był **Józef Szymański**, który zmarł w 1834 roku w niewielkiej miejscowości Ileckaja Zaszczita, a swoje książki medyczne oraz sprzęt lekarski przekazał testamentalnie wyróżniającym się studentom Uniwersytetu w Kazaniu, natomiast pozostałe rzeczy Orenburskiemu Korpusowi Kadetów[92].

W Kokczetawie pracował lekarz **Z. Rudzki**, w Omsku – **S. Grabski**, w Akmolińskim II Batalionie służyli lekarze **S. Grudziński**, **W. Kruczek-Gołubiew** i **J. Leszczyński**, w Kustanaju dobrą opinią cieszył się lekarz **F. Stadnicki**[93].

Wspomnieć jeszcze wypada i o tym, że leczenie ambulatoryjne czy szpitalne były wówczas na tym terenie bardzo ograniczone, a dla ludności tubylczej wręcz niedostępne. Lokalna służba zdrowia była mało wydolna w sytuacji pojawienia się epidemii. Zatem skala ofiar chorób epidemicznych wśród tej grupy była szczególnie wysoka, co wynikało z braku pomocy medycznej i odpowiednich lekarstw. Rejony zagrożone epidemiami były izolowane do czasu wygaśnięcia ognisk zapalnych. Była to wówczas standardowa praktyka w tym zakresie i chorzy leczyli się sami różnymi domowymi sposobami, często przy pomocy szamanów. Jeśli wracali do zdrowia, to dzięki zdolnościom obronnym organizmu.

Z różnych opisów działalności medycznej w ówczesnym Kazachstanie wynika, że tamtejsi lekarze prowadzili nieraz wielokierunkową działalność, związaną nie tylko z doraźną pomocą medyczną, lecz także z profilaktyką i szerzeniem oświaty sanitarnej. Podczas epidemii tyfusu plamistego, malarii czy cholery udzielali pomocy wielu chorym w odległych stepowych osadach. Ich praca, chociaż pełna oddania, była, jak na istniejące potrzeby, bardzo ograniczona. Poświęcali dużo uwagi chorobom infekcyjnym. Akcentowali wpływ warunków sanitarnych na stan zdrowia społeczeństwa, postulując częstokroć radykalne zmiany w tym zakresie. Wielostronność działań medycznych wynikała z konieczności dostosowania ich do najróżniejszych warunków, w których przyszło im pracować, rzec można, że byli tam nie tylko lekarzami pierwszego kontaktu, ale także służbą sanitarną na terenach im podległych. Starając się zachować obiektywizm, należy jednak podkreślić, że lekarze ci legitymowali się wykształceniem medycznym zdobytym na rosyjskich uczelniach. W pracy charakteryzowali się niezwykłą odpowiedzialnością i profesjonalizmem, zarówno jako lekarze służący w garnizonach, jak i w służbie cywilnej. Chwała im za to, że tak to czynili. Interesujące biografie tych ludzi dokumentują te fakty, pokazują niezwykłą ich osobowość, odwagę, zaradność, zaangażowanie i umiejętność działania w ekstremalnych sytuacjach, jakimi były epidemie tyfusu czy cholery.

---

92 W. Djakow, *Udział Polaków w badaniach…*, op. cit., s. 633.

93 W. Z. Galijew, *Medicinskaja diejatelnost…*, op. cit., s. 45–58.

Powyższe wywody pokazują zarazem, jak w konkretnych warunkach wspomniani lekarze działali w podwójnym sprzężeniu umiejętności medycznych z praktyką społeczną. Tę współzależność wypróbowywali oni na różnych etapach swojej działalności wspieranej wewnętrzną siłą inwencji, jaką dawała im Hipokratesowa przysięga, i zdolnością przenoszenia jej do ludzi potrzebujących pomocy medycznej. Ta cecha ich charakteru spotykała się tam ze szczególną aprobatą lokalnej społeczności, co w różny sposób zaznacza się nieraz w nekrologach, administracyjnych dokumentach, relacjach wspomnieniowych i innych źródłach. Stanowi to ważne świadectwo i dokument o posłudze lekarskiej tych ludzi, o których pamięć powinna być zachowana i upowszechniona.

W stosunkach polsko-kazachskich jest to problem mało jeszcze przebadany. W książce dany jest zatem tylko niewielki przyczynek do prezentowanych tu zagadnień, jednakże żywić należy nadzieję, że kwestia ta doczeka się w najbliższej przyszłości pełniejszego oświetlenia po tylu latach niepamięci.

Lekarze weterynarii

W kraju, gdzie gospodarka związana była z pasterstwem, co pociągało za sobą konieczność istnienia odpowiedniej opieki sanitarnej, bardzo ważni byli lekarze weterynarii. Ponadto liczne oddziały wojskowe stacjonujące tutaj posiadały formacje jazdy konnej ze względu na to, że były one bardziej mobilne w stepowych warunkach aniżeli oddziały piechoty. To zaś rodziło konieczność istnienia odpowiedniej służby weterynaryjnej. Z pewnością byli w niej także Polacy pozostający zarówno w służbie wojskowej, jak i cywilnej.

Do nich należał **Józef Szyszkowski** (1853–1913), absolwent studiów weterynaryjnych Uniwersytetu w Kazaniu. Brał on udział w wojnie rosyjsko-tureckiej (1878), a po jej zakończeniu przeszedł do służby cywilnej. Pragnienie życia godnego i pożytecznego skłoniło go do poszukiwania pracy odpowiadającej wspomnianym oczekiwaniom. Najdłużej pracował w guberni permskiej (1881–1895), a potem krótko w Tiumeniu. Przyjmując spokojnie wszelkie odmiany losu towarzyszące pracy zawodowej i różne przeciwności, opuścił Syberię i w 1898 roku przeniósł się do obwodu semipałatyńskiego. W 1910 roku zamieszkał w Semipałatyńsku, biorąc udział w organizowaniu tamtejszej służby weterynaryjnej. Wspólnota zawodowa skłaniała go jako doświadczonego lekarza do podejmowania wielorakich przedsięwzięć na rzecz podniesienia statusu społeczno-zawodowego służby weterynaryjnej i zadał sobie wiele trudu, by cel ten urzeczywistnić. Zabiegał o niego w odpowiednich urzędach i publikował na ten temat artykuły na łamach czasopisma weterynaryjnego[94].

---

[94] J. Szyszkowskij, *Wozmożno-li wwieddienije procentnogo sbora w Kirgiskich stiepach*, „Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii" 1900, nr 2; tenże, *O wietierinarnoj organizacji w Siemipałatyńskoj obłasti*, „Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii" 1911, nr 5; tenże, *Dżut w Siemipałatynskoj obłasti w 1912 godu*, „Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii" 1913, nr 3.

Znając miejscowe realia, widział potrzebę zmiany opodatkowania mieszkańców kazachskich stepów i pełniejszej kontroli urzędników. W jednym z artykułów omówił też ważną dla regionu, w którym pracował, kwestię znaną pod nazwą *dżut*, czyli zjawiska spóźnionego śniegu i lodu w stepie, powodującego osłabioną i opóźnioną wegetację roślin, co było źródłem głodu doskwierającego miejscowej ludności żyjącej z wypasu bydła. Ludność ta, żyjąca w harmonii z naturą i bezgranicznie przywiązana do swej kultury, widziała w nim obrońcę jej interesów sprzeciwiającego się obciążeniom podatkowym narzuconym przez carskich urzędników.

W wątku obejmującym służbę weterynaryjną Polaków w Kazachstanie mieści się też postać absolwenta Instytutu Weterynaryjnego w Warszawie **Wacława Bienkiewicza**. W latach 1891–1907 pracował na Syberii, a następnie w rejonie turgajskim w Kazachstanie. W 1921 roku powrócił do kraju i początkowo służył w wojsku, a od 1922 roku był inspektorem weterynaryjnym na Polesiu. W jego pracy poza krajem mamy do czynienia nie tylko z klasycznymi obowiązkami lekarza weterynarii. Posiadana przez niego wiedza skłaniała go do wyrażania poglądów dotyczących prawidłowego zarządzania gospodarką pastersko-hodowlaną w ten sposób, by przynosiła ona ewidentne korzyści.

W latach 1896–1912 opublikował blisko 30 artykułów z tego zakresu, których tematyka związana była z miejscami pobytu, gdzie pracował, i które sugerowały nieraz nowe formy polityki agrarno-hodowlanej. W publikacjach tych oprócz spraw *stricte* lekarskich mamy do czynienia z opisem i oceną złożoności gospodarki stepowej. Kwestie te, znane z autopsji, starał się przedstawiać lokalnym władzom, będąc przekonanym, że stanowią one jedną z przesłanek stabilizacji lokalnej gospodarki pasterskiej[95].

Nie przewidział jednak, że gospodarka ta ulegnie totalnej degradacji w początkach władzy radzieckiej nieznajdującej żadnych słów usprawiedliwienia dla usankcjonowania nadmiaru stad bydła będących własnością lokalnych *bejów* – zwanych „bezwzględnymi feudałami". Część z nich zesłano na Syberię.

W tym miejscu pora powiedzieć, że okoliczności historyczne dotyczące kolektywizacji w Kazachstanie pozostawały w historiografii tego kraju tematem przemilczanym, podobnie jak degradacja stepowych żyznych obszarów spowodowana doświadczeniami nuklearnymi.

---

95 W. Bienkiewicz, *Nabludienija, matieriały i zamietki sobrannyje w Kirgiskoj Stiepi*, „Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii" 1905, nr 18–23; tenże, *Kirgiskoje stiepnoje skotowodstwo i mieri k jego ułutszenija*, *„Zapiski Siemipałatynskogo Potodieła Zapadno-Sibirskogo Otdieła"*, IRGO, Siemipałatinsk 1903, wyp. 1.

Edward Ostrowski

Ważnym źródłem do badań nad kulturą Kazachów jest kontrowersyjna książka Edwarda Ostrowskiego (1816–1859) zatytułowana *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich…* (Grodno 1859). Kontrowersyjna, jak bowiem ustalił Jerzy Tulisow[96], pewne jej fragmenty wyraźnie współbrzmią tekstowo z wcześniejszymi publikacjami M.J. Kittary[97] oraz A. Lowszyna[98].

Jako lekarz weterynarii udał się on w 1855 roku do Kazachstanu z polecenia rządu, by przeprowadzić szczepienia bydła przeciwko dżumie oraz wykonać badania weterynaryjne dotyczące zagrożeń epidemicznych. Towarzyszyli mu dwaj młodzi absolwenci uczelni weterynaryjnej w Charkowie, w której był profesorem. Podróż ta dała mu możliwość poznania sposobu życia, zwyczajów i obyczajów Kazachów[99].

Ostrowski urodził się w Pokorszach na Litwie, gimnazjum ukończył w Wilnie. Studiował w wileńskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej na wydziale lekarskim, a od 1835 roku na weterynarii. Po studiach pracował w Warszawie jako asesor weterynaryjny Urzędu Lekarskiego, nadzorując i koordynując służbę weterynaryjną na terenie Mazowsza i guberni kaliskiej. Gdy w 1840 roku utworzono w Warszawie Szkołę Weterynaryjną, został w niej asystentem dyrektora, a potem dyrektorem. Obowiązki te łączył z działalnością pedagogiczną w Marymonckim Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa (Warszawa). Doskonaląc swe umiejętności zawodowe, zdobywał kolejne stopnie specjalizacyjne, początkowo starszego lekarza weterynarii, a potem magistra nauk weterynaryjnych.

Od 1853 roku był profesorem Wyższej Szkoły Weterynaryjnej w Charkowie, gdzie umiejętnie łączył działalność pedagogiczną z pracą naukowo-badawczą. Należy tu wspomnieć i o tym, że tam, gdzie w jego książce nie ma wyraźnych zapożyczeń tekstowych z pracy wspomnianych powyżej A. Lowszyna i Kitarry, fragmenty tekstu tchną fascynacją autora obszarami stepowymi i całe partie narracji związane są z opisem przyrody. Jej roślinne okazy złożyły się także na herbariusz przekazany do Charkowskiej Szkoły Weterynaryjnej. W odczuciu Ostrowskiego, w stepie człowiek łączył się z naturą, a opisywane przez niego krajobrazy połączone są z realistycznymi scenami z życia ludności zamieszkującej ten teren.

---

96 J. Tulisow, *Zapomniana relacja z podróży do Kazachstanu,* [w:] *Kresy. Syberia. Literatura. Doświadczenia dialogu i uniwersalizmu*, pod red. E. Czaplejewicza i E. Kasperskiego, Warszawa 1995, s. 191–200.

97 M.J. Kittary, *Stawka Chana Wnutrienniej Kirgizkoj Ordy*, „Żurnał Ministierstwa Wnutriennych Dieł" 1849.

98 A. Lowszyn, *Opisanije Kirgiz Kazaczjich ili Kirgiz Kajsackich ord i stiepiej*, Sankt Petersburg 1832.

99 A. Kuczyński, *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych*, t. 1. Azja i Afryka, Wrocław 1994, s. 112–117.

5.

Naukowe ekspedycje i prace inżynierskie

W zapomnieniu pozostaje także do dzisiaj sprawa polskich inżynierów cywilnych i wojskowych, stanowiąca ważny komponent związków polsko-kazachskich. Podobnie jak lekarze, byli oni absolwentami uczelni rosyjskich i w większości wchłaniała ich rozwijająca się gospodarka Imperium. Uświadamia to nam, że losy tych ludzi przecinały się ze szlakami tych, którzy pracowali w owym czasie na terenie Syberii, uruchamiając żeglugę parową na jej rzekach, pracując przy budowie magistrali transsyberyjskiej, w kopalniach węgla, zakładach metalowych, gorzelniach i browarach. Akurat w odniesieniu do Syberii problem ten jest trochę znany, aczkolwiek on też wymaga pełniejszego opracowania z wykorzystaniem zasobów źródłowych znajdujących się w Rosji, natomiast te same zagadnienia odnoszące się do Kazachstanu kryją się jeszcze w mrokach niewiedzy[100]. Zdając sobie sprawę z faktu, że próba uszczegółowienia tego problemu, a więc tym samym wypełnienia istniejącej luki faktograficznej, nie może być należycie przedstawiona w tej książce, warto jednak zwrócić uwagę i na te kwestie.

Wyprawa geologiczna Aleksego Butakowa i udział w niej Polaków

Idźmy więc dalej szlakiem polskich doświadczeń badawczych związanych z Kazachstanem i jego bogactwami naturalnymi. W latach 1848–1849 miała miejsce wyprawa aralska Aleksego Butakowa, mająca na celu sporządzenie geologicznego opisu obszarów między Jeziorem Aralskim a Morzem Kaspijskim i odkrycie pokładów węgla kamiennego dla potrzeb żeglugi po tych akwenach. **W ekspedycji brali udział Polacy, karnie wcieleni do służby w batalionach Korpusu Orenburskiego.** Byli wśród nich:

– **Aleksander Chrabczyński**, który odbywał zesłańczą służbę wojskową w 1. orenburskim batalionie liniowym w Uralsku. Skazany za udział w powstaniu krakowskim w 1846 roku, został wydany Rosjanom przez władze austriackie;

---

[100] W. Skubniewski, *Spis przedsiębiorców na Syberii – Polaków i osób polskiego pochodzenia – w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku*, „Zesłaniec" 2005, nr 23, s. 117–125; M. Browczenko, *Polscy zesłańcy w kopalniach złota w Jakucji*, „Zesłaniec" 2005, nr 27, s. 3–8; N. I. Naumowa, *Kolejarze-Polacy na Syberii (1905–1920)*, „Zesłaniec" 2006, nr 27, s. 17–32; K. Tumanik, *Józef Adamowski i początki żeglugi parowej na Syberii Zachodniej w połowie XIX wieku*, „Wrocławskie Studia Wschodnie 2006, t. 10.

– **Robert Koprowski**, który za usiłowanie nakłonienia grupy rekrutów wysłanych z Dąbrowy Górniczej do Warszawy do tego, by przekroczyli kordon graniczny i przyłączyli się do powstania krakowskiego, został wcielony do 3. orenburskiego batalionu liniowego stacjonującego w Orenburgu;

– **Stanisław Królikiewicz**, który zesłany został za podobne „przestępstwo" do 4. batalionu tej samej formacji rozlokowanego w twierdzy aralskiej. Po uzyskaniu awansu na podoficera przeniesiony został do 5. orenburkiego batalionu w Orsku, gdzie poznał bliżej Tarasa Szewczenkę;

– **Hipolit Płaszczewski,** „urzędnik górnictwa w zakładzie Dąbrowa", który za udział w powstaniu krakowskim oraz za „przechowywanie wierszy w duchu nieprzychylnym rządowi, ukrywanie się za granicą i niewłaściwy sposób myślenia" skazany został na służbę w Korpusie Orenburskim (4. i 10. batalion);

– **Seweryn Przewłocki,** z powiatu krasnystawskiego, zamieszany w tzw. spisek aptekarski w Warszawie – u podstaw jego zesłania legło skłanianie „umysłów do buntu" oraz „deklamowanie po domach wierszy patriotycznych i prowadzenie szkodliwych rozmów" . On także odbywał służbę w jednym z batalionów Korpusu Orenburskiego;

– **Tomasz Werner**, aresztowany w 1844 r. w Warszawie za: „przynależność do tajnej organizacji pod nazwą Związek Narodu Polskiego, zamiar zdobycia Cytadeli Warszawskiej oraz Zamku Królewskiego i wywołania przewrotu". Ukarany chłostą w warszawskim cyrkule policji, został wcielony do Korpusu Orenburskiego (4. batalion liniowy w Aralsku). We wspomnianej wyprawie był kierownikiem grupy geologów poszukujących złóż węgla oraz dowodził statkiem parowym na Syr-darii, co świadczy o niepośledniej roli, jaką pełnił w tej geologicznej ekspedycji kierowanej przez oficerów rosyjskich, po zakończeniu której otrzymał awans na chorążego;

– **Ludwik Turno, urzędnik górniczy w Zagłębiu Dąbrowskim**, był zastępcą kierownika tej wyprawy. W czasie powstania krakowskiego zamierzał przyłączyć się do jego uczestników, aresztowany, znalazł się w 1847 roku na linii orenburskiej, odziany w szynel rosyjskiego sołdata;

– **Hipolit Zawadzki, urzędnik zakładów górniczych w Królestwie Polskim**, obwiniony został o przygotowanie górników z rejonu Dąbrowy Górniczej do udziału w powstaniu krakowskim. Wcielono go do Korpusu Orenburskiego (5. batalion w Orsku), skąd w 1850 roku za posiadanie „nieprawomyślnych wypisów z zakazanej książki A. de Custine'a"[101] został karnie przeniesiony do batalionów nerczyńskich na terenie Syberii Wschodniej, stacjonujących w Szyłce nad Bajkałem. Wrócił z zesłania w 1857 roku i poległ podczas powstania styczniowego;

– **Florentyn Żukowski** za niepokorność wobec władz carskich znalazł się także w jednym z oddziałów Korpusu Orenburskiego;

---

[101] A. de Custine, *Rosja w roku 1839*, tłumaczył i przypisami oraz posłowiem opatrzył Paweł Hertz, Warszawa 1995. Pierwsze francuskie wydanie tej książki ukazało się w roku 1843 w Paryżu pt. *La Russie en 1839*. Biogramy wymienionych uczestników ekspedycji A. Butakowa znajdują się w: W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy…*, op. cit.

– **Sylwester Kilkiewicz**, był lekarzem wojskowym;

– **Bronisław Zaleski** wykonał wiele rysunków dokumentacyjnych, będących pokłosiem terenowych eksploracji[102].

Ekspedycja ta była poważnym przedsięwzięciem organizacyjnym, które niestety nie przyniosło spodziewanych rezultatów, ponieważ odnalezione na półwyspie Kułanda pokłady węgla kamiennego okazały się kiepskiej jakości i węgiel ten nie nadawał się do palenia w kotłach statków parowych.

Dziwić może, że tylu Polaków znalazło się jednocześnie w tej wyprawie, zważmy jednak na fakt, że **niektórzy z nich związani byli zawodowo z zakładami górniczymi Zagłębia Dąbrowskiego, posiadali więc stosowną wiedzę geologiczną**. Stąd w masie rosyjskich sołdatów, w większości niepiśmiennych, stanowili rodzaj wykształconej elity, na której można było się oprzeć w trudnych ekspedycjach terenowych.

Ekspedycja badawcza – rejon Morza Kaspijskiego

Opisane powyżej okoliczności zadecydowały też o tym, że Polacy wzięli liczny udział w kolejnej ekspedycji badawczej w rejon Morza Kaspijskiego, która rozpoczęła się w kwietniu 1851 roku pod kierownictwem Aleksieja Antipowa, porucznika korpusu inżynierów górniczych. Teren eksploracji obejmował półwysep Mangyszłak i płaskowyż Ust-Urt, leżący między Morzem Kaspijskim a Jeziorem Aralskim. Rezultaty geologiczne wyprawy nie były takie, jak oczekiwano i podobnie jak wyprawa A. Butakowa, także i ta nie odnalazła pokładów węgla kamiennego potrzebnego przede wszystkim dla wojennej floty czarnomorskiej, ale także dla statków pływających po Morzu Kaspijskim i Jeziorze Aralskim. Ostatecznie

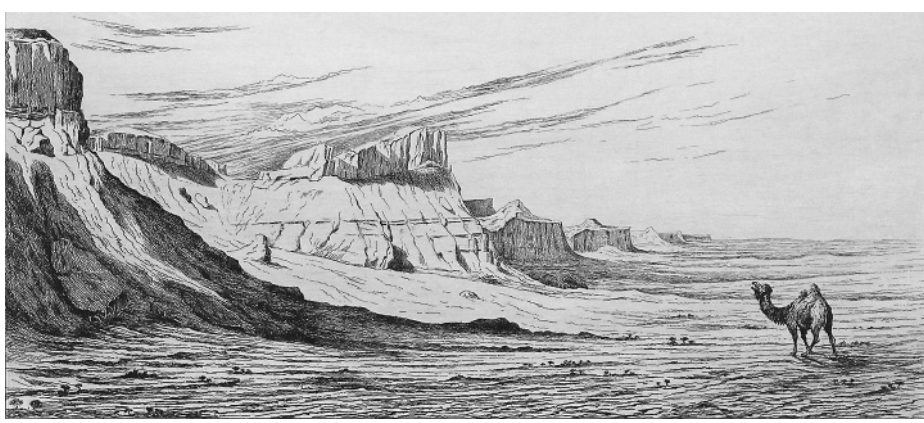

Płaskowyż Ust-Urt

[102] Biogramy wymienionych uczestników ekspedycji A. Butakowa znajdują się w: W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy…*, op. cit.

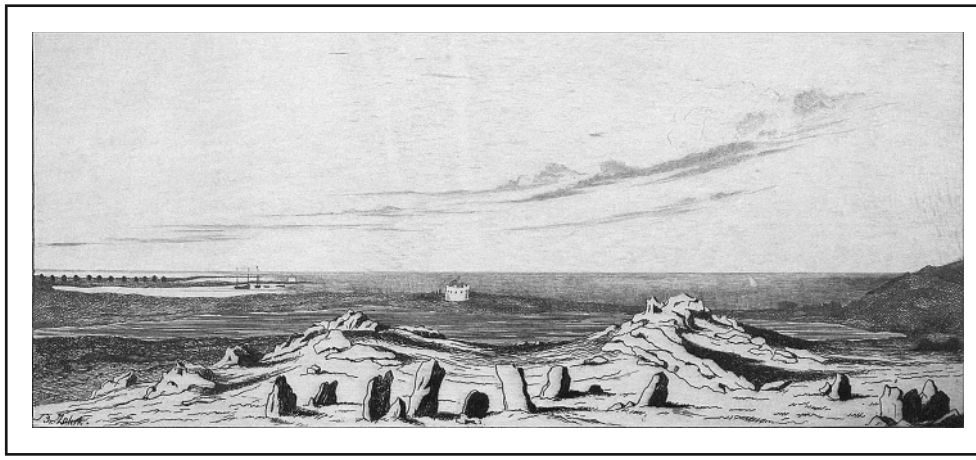

Zatoka w Nowopietrowsku

zakończyła się ona w terenie we wrześniu 1851 roku i na statku, który wypłynął z Nowopietrowska, przybyła do Orenburga.

Niektórzy z Polaków uczestniczący w obu tych wyprawach odbywali później indywidualne lokalne wyjazdy w teren w celu rozpoznania geologicznego, ale praktyczne rezultaty tych penetracji nie były imponujące – od czasu do czasu trafiali na ślady węgla i innych kopalin. Poznawali jednak teren i jego tubylczych mieszkańców. Częstokroć wracali z okazami różnych kamieni i podręcznymi zielnikami, które przekazywali do muzeum w Orenburgu.

Rekapitulując, dodajmy jeszcze, że studiami geograficzno-geologicznymi na obszarach przylegających do Morza Kaspijskiego zajmowali się filareta Aleksander Chodźko oraz jego brat Józef Chodźko, rosyjski generał, geodeta i kartograf, którego ustalenia badawcze wpisują się na stałe do dziejów poszukiwań przyrodniczych na tym obszarze. Znana jest także badawcza obecność na tym obszarze oficera wojsk inżynieryjnych Kazimierza Łapczyńskiego, który przed penetracją północnych stepów na wybrzeżach Morza Kaspijskiego pracował w Warszawie w Dyrekcji Komunikacji Lądowych i Wodnych. Włączony do prac inżynieryjnych, przyczynił się do przeobrażeń gospodarczych tych obszarów. Wspomniana faktografia z tego zakresu połączona z wielością polskich nazwisk to bynajmniej nie rozpoznanie laurkowe, lecz przypomnienie najbardziej znaczących osiągnięć, jakie wpisane są w dzieje Polaków w Kazachstanie i na przyległych do niego obszarach.

Oficerowie polskiego pochodzenia w carskiej armii

Byłoby nieroztropnością pominięcie tutaj niezmiernie ważnego nurtu prac ogólnogeograficznych związanych z Kazachstanem, prowadzonych przez oficerów armii carskiej polskiego pochodzenia. Już bowiem w latach 30. XIX stulecia zainicjowano w Sztabie Generalnym armii rosyjskiej program szeroko zakrojonych prac geograficzno-strategicznych, których wyniki publikowano na łamach wielotomowych

serii *Matieriały do geografii i statistiki Rossiji* oraz *Wojenno-staticzeskoje obozrenije Rossijskoj Imperii*, nieudostępnianych szerszemu ogółowi. Przeto i wiedza w nich zawarta nie rezonowała pełniej w nauce i służyła wyłącznie do celów wojskowych. W sumie wydano około 200 tomów, a jednocześnie publikowano tajne materiały specjalnego znaczenia pt. *Sbornik geograficzeskich, topograficzeskich i stasticzeskich matieriałow po Azji*, zawierające rezultaty badań prowadzonych przez wojskowe ekspedycje naukowe penetrujące kraje Azji Środkowej.

Brał w nich udział porucznik **Jan Gawerdowski**, autor pracy na temat stepów kirgiskich, kryjącej wiele ciekawych wiadomości geograficznych i kulturowych.

Z Kazachstanem związane są także prace chronometryczne **Piotra Zalewskiego**, pochodzącego z guberni grodzieńskiej, astronoma i geodety, podpułkownika wojsk rosyjskich. W działaniach tych wspomagał go drugi Polak – **Stefan Kozłowski**. Rezultatem ich prac było określenie punktów astronomicznych i triangulacyjnych oraz zweryfikowanie podawanych dotychczas długości geograficznych. Potem przez wiele lat wyniki ich badań stanowiły podstawę prac kartograficznych dotyczących niektórych rejonów Kazachstanu[103].

Zasługi Koziełł-Poklewskich

Warto też odkryć postać inż. **Jana Koziełł-Poklewskiego** (1837–1896), absolwenta szkoły podchorążych w Sankt Petersburgu, a potem studenta Akademii Inżynierów Wojskowych. Kariery wojskowej w rosyjskiej armii nie zrobił, natomiast w powstaniu styczniowym w stopniu pułkownika dowodził jednym z oddziałów powstańczych. Uniknął zesłania i wyjechał do Francji, gdzie brał udział w wojnie francusko-pruskiej. Zdecydował się jednak na powrót do kraju i złożył odpowiedni raport władzom rosyjskim, zapewniając je o lojalnej służbie, jeśli taka zostanie mu umożliwiona. Na nic zdały się te zapewnienia, został aresztowany, pozbawiony stopnia oficerskiego i skazany na służbę wojskową w twierdzy Wiernyj.

Jan Koziełł-Poklewski

Uwolniony po pewnym czasie, zajmował się rozpoznaniem złóż surowców naturalnych. Był właścicielem dużego zakładu kamieniarskiego w Kuldży. W Wiernym zaprojektował sieć *aryków* odprowadzających wodę z górnych partii miasta, przyczyniając się w ten sposób do właściwego odpływu wód deszczowych, wyrządzających nieraz znaczne szkody na ciągach komunikacyjnych miasta i posesjach. Był też twórcą żeglugi parowej na rzece Ili, wpadającej do jeziora Bałchasz, oraz właścicielem jednego statku obsługującego ten trakt wodny. W 1884 roku ogłosił pracę *Nowyj targowyj*

[103] W. i T. Słabczyńscy, op. cit., s. 243.

Alfons Koziełł-Poklewski

put od Irtysza w Wiernyj i Kuldżu i issledowanije rieki Ili na parochodie „Kołpakowskij". Zwrócił w niej uwagę na problemy geograficzne, hydrograficzne i topograficzne opisanego szlaku handlowego, podkreślając fakt, że może on przyczynić się do zagospodarowania ziem leżących w obrębie tej niezmiernie istotnej linii komunikacyjnej[104].

W Kazachstanie prowadził także rozpoznania geologiczne (rejon twierdzy Wierny) **Alfons Koziełł-Poklewski** (1809–1890), zajmujący się od 1838 roku wszechstronną działalnością gospodarczą na Syberii. Był organizatorem prywatnej żeglugi na rzekach Ob, Irtysz i Tura, zatem chciał pozyskać z Kazachstanu dobry i tani węgiel nadający się do spalania w kotłach parowych[105].

Inni zasłużeni Polacy – geolodzy, badacze flory

Porządkując obfity materiał związany z dziejami Polaków w Kazachstanie oraz ich działalnością wojskową, administracyjną, naukową czy gospodarczą, wspomnieć jeszcze należy o **Stefanie Baranowskim** (1817–1890), absolwencie studiów językowych Uniwersytetu Petersburskiego, który przez pewien czas pełnił obowiązki kuratora szkół w Syberii Zachodniej. Przyczynił się on także do rozwoju kolejnictwa na podległym mu terenie, wpływając na podjęcie decyzji o budowaniu linii kolejowej na trasie Orenburg–Taszkient–Samarkanda, czynnej do dziś[106].

Karol Bohdanowicz

Wielkie znaczenie dla Kazachstanu miały też studia geologiczne prowadzone tam w 1898 roku przez **Karola Bohdanowicza**. On też prowadził badania nad skutkami trzęsienia ziemi

[104] N.P. Iwlew, *Nachodki krajewieda*, Ałma-Ata 1977, s. 94–115. Wspomnianą pracę o szlaku targowym wiodącym Irtyszem do miasta Wiernyj opublikował na łamach czasopisma „Izwiestija Sobranija Inżenierow Putiej Soobszczenija" 1884, nr 11–12.

[105] T. Mosunowa, *Alfons Kozziel-Poklewski i jego firma*, „Wrocławskie Studia Wschodnie" 2000, t. 4, s. 49–64; S. Fiel, *Na syberyjskim trakcie. Polacy w Kraju Tiumeńskim*, Warszawa 1999, s. 29–66; W.P. Nikitiuk, T.P. Mosunowa, E.G. Niekljudow, *Rod Poklewskich-Koziełł,* Ekatierynburg 2014.

[106] A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku…*, op. cit., s. 15–16; tenże, *Polacy w Kazachstanie…*, op. cit., s. 48–49.

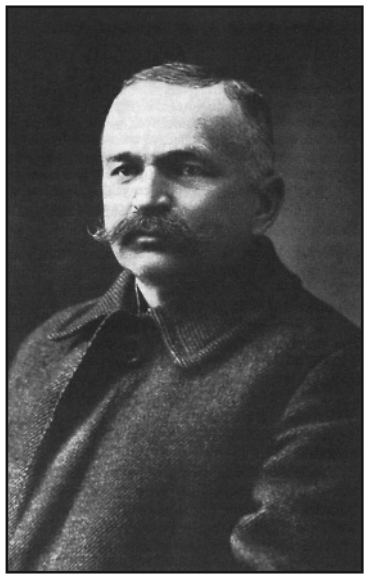

Stefan Czarnocki

w twierdzy Wiernyj (1911), które udokumentował bogatym opisem merytorycznym. **Do jego zasług należy odkrycie złóż ropy naftowej w rejonie rzeki Emby**, eksploatowanych później przez firmę Bracia Nobel, z którą współpracował jeszcze po opuszczeniu Związku Radzieckiego. Odkrycia w rejonie Emby miały ogromne znaczenie dla procesów industrializacyjnych mających miejsce w następnej dekadzie, tj. już w Związku Radzieckim, i kierunków dalszego rozwoju oraz odegrały ważną rolę w formowaniu się przemysłu wydobywczego na tym obszarze. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że rząd radziecki czynił różne zabiegi, by rozwijać ten obszar gospodarczo także po znacjonalizowaniu terenów roponośnych i wycofaniu się stamtąd obcego kapitału.

Jako kierownik Komitetu Geologicznego w Rosji K. Bohdanowicz kierował do Kazachstanu, związanych z tym Komitetem polskich geologów, wykształconych na uczelniach rosyjskich, którzy w różnych latach prowadzili tam rozpoznania geologiczne[107]. Z jego rekomendacji rozpoczął terenowe badania geologiczne w obwodzie akmolińskim **Stefan Czarnocki**, który także zajmował się podobnymi badaniami na polach naftowych Emby. Wspomagali go w tym **Arnold Makowski** i **Stanisław Doktorowicz-Hrebnicki**, którzy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku pracowali w krajowej służbie geologicznej. K. Bohdanowicz również powrócił do Polski w 1919 roku. Od 1921 roku do emerytury był profesorem na AGH w Krakowie.

Henryk Czeczott

Badaniami geologicznymi w Kazachstanie zajmował się także w początkach XX wieku **Henryk Czeczott**, inżynier górniczy, który **odkrył tereny złotonośne w obwodzie semipałatyńskim**, gdzie według jego projektu i pod jego nadzorem wybudowano kopalnię eksploatującą ten drogocenny kruszec. We wszystkich poczynaniach badawczych

[107] Pewne wątki dotyczące prac eksploracyjnych K. Bohdanowicza w Kazachstanie znajdują się w monografii biograficznej jemu poświęconej napisanej przez Profesora Zbigniewa Wójcika z Muzeum Ziemi PAN, a wydanej w serii pod nazwą „Biblioteka Zesłańca", istniejącej przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym we Wrocławiu. Zob.: Z. Wójcik, *Karol Bohdanowicz. Szkic portretu badacza Azji*, Warszawa–Wrocław 1997.

towarzyszyła mu żona, **Hanna Czeczottowa**, która w Kazachstanie prowadziła badania z dziedziny systematyki roślin.

Z ramienia petersburskiego ogrodu botanicznego badania florystyczne między Tien-szanem a jeziorem Bałchasz prowadził geobotanik **Mieczysław Ptaszycki**. On też rozpoznawał warunki glebowe i klimatyczne Stepów Akmolskich pod kątem wegetacji zbóż, które z czasem stały się ważnym bogactwem gospodarki rolnej tej części Kazachstanu. Rezultaty swoich badań przedstawił w kilku pracach opublikowanych w Petersburgu.

Wśród eksploratorów bogactw kazachskiej ziemi był też **Antoni Kulczycki**, absolwent renomowanego Instytutu Górniczego w Petersburgu (1912), prowadzący w latach 1914–1915 badania hydrogeologiczne w Kazachstanie, w trakcie których zgromadził bogatą kolekcję petrograficzną[108].

Na terenie Siedmiorzecza w latach 1882–1884 prowadził badania topograficzne, geograficzne i astronomiczne **Ryszard Zakrzewski**, a w jednej z jego prac znajdują się m.in. ciekawe informacje etnograficzne o Kazachach[109].

Adam Białowieski

Istnieją interesujące dane źródłowe związane z działalnością badawczą **Adama Białowieskiego** i **Eugeniusza Michaelisa**. Wykonali oni mapę geologiczną powiatu ust-kamienogorskiego, ważny na owe czasy dokument będący podstawą rozwoju w tym rejonie zakładów przemysłu wydobywczego rud i metali.

Adam Białowieski (1860–1915?) studiował na wydziale matematyczno-fizycznym Uniwersytetu Kijowskiego. Posądzony o przynależność do „rewolucyjnej organizacji", do której bez wątpienia należała „Narodnaja Wola", zamierzająca obalić istniejący porządek państwowy, został zesłany w głąb guberni archangielskiej, skąd powrócił w 1881 roku. Niedługo jednak cieszył się wolnością. Gdy bowiem ustalono, że był członkiem kółka narodowolców, zesłano go do Ust-Kamienogorska, na terenie dzisiejszego Kazachstanu, małego miasteczka liczącego wówczas niespełna 5 tysięcy mieszkańców, przepięknie położonego, o zdrowym klimacie i dwu rzekach – Irtysz i Ulba, odznaczającego się także taniością produktów, co było sprzyjającą okolicznością dla zesłańców. Wiadomo także, że przez pewien czas mieszkał w Barnaule i Semipałatyńsku. Niewiele natomiast wiemy o „rewolucyjnej" działalności Białowieskiego, zapewne jednak uważany był za człowieka niebezpiecznego dla panującego wówczas systemu politycznego, skoro kilkakrotnie go aresztowano i spędził na zesłaniu ogółem około 20 lat. Nieco wiadomości o jego życiu zawiera artykuł *Iz proszłogo*, który opublikował w roku 1906 w czasopiśmie „Byłoje" (nr 8). Jednak jego dalsze losy po zwolnieniu z zesłania (1896) nie są znane, wiadomo jedynie, że przez dłuższy czas pracował na kolei i że w 1915 roku mieszkał jeszcze w Petersburgu.

---

108 A. Kijas, *Polacy w Rosji…*, op. cit., s. 180–181.

109 W. i T. Słabczyńscy, op. cit., s. 242.

W Ust-Kamienogorsku, do którego zesłano Białowieskiego, wówczas prowincjonalnym miasteczku wyznaczonym przez Radę do spraw Więziennictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na miejsce zsyłki, przebywało wielu „niepokornych". W różny sposób włączali się w nurt życia pożytecznego dla miejsca, w którym wypadło im przebywać. Tam Białowieskiego spotkał wspomniany już dziennikarz amerykański G. Kennan, na którym zrobił on pozytywne wrażenie i który uważał go

> za szczególnie uzdolnionego, który znał dokładnie historię Rosji i prawodawstwo rosyjskie i obeznany był zupełnie z historią i literaturą narodów zachodnioeuropejskich. Miał sąd o wszystkim umiarkowany i pozbawiony przesądów i choć jego pogląd na świat zabarwiony był mocno pesymistycznie, znosił swą smutną dolę z godnością i męstwem[110].

Wspólnota losu i postaw przebywających tam zesłańców powodowała, że znajdowali oni różne możliwości wykorzystania swojej wiedzy i włączali się w rozmaite działania miejscowych władz. Pobliski Komitet Statystyczny w Semipałatyńsku także angażował ich do swoich prac. Można przytoczyć wiele twórczych przedsięwzięć podejmowanych przez tych ludzi, dość powiedzieć, że pochłaniały ich sprawy otoczenia i miejscowe inicjatywy administracyjne czy badawcze.

Z takiej potrzeby wywodzą się też badania geologiczne Białowieskiego, który w kwietniu 1886 roku napisał do gubernatora wojskowego informację, iż wspólnie z **Eugeniuszem Michaelisem** „podjęliśmy się sporządzenia mapy geologicznej okolic miasta i bardziej ciekawych geologicznie miejsc na terenie powiatu. Przeprowadzenie takiego rozpoznania może być dokonane podczas wypraw terenowych, natomiast mapy będą rysowane tutaj w mieście"[111].

Zgodnie z oczekiwaniem uzyskał stosowną zgodę na prowadzenie takich badań, mimo to wyzwolenie nie było całkowite i status zesłańca ciążył na nim nadal.

W miarę gromadzenia doświadczeń podejmował nowe ekspedycje subsydiowane przez władze. Za każdym razem nabierał zapewne przekonania, że właśnie geologia i wyprawy w teren dają mu, choćby na pewien czas, poczucie, że jest człowiekiem wolnym. Kontynuował więc swe ekspedycje i z czasem objęły one ważny geologicznie problem zlodowacenia Ałtaju. W tym zakresie osiągnął liczące się w geologii rezultaty i pracę na ten temat *(Ice period on the Altai Range)* opublikował w angielskim czasopiśmie „Nature", vol. 35, nr 909, z dnia 31 marca 1887. W chwili ukazania się tego artykułu formy i zjawiska geologiczne spotykane na terenie Centralnego Ałtaju były mało znane. Oprócz ważnych geologicznych konstatacji praca ta pozwala przynajmniej w zarysie uściślić trasę podróży badawczych jej autora, chociaż i to – jak zauważyli W. i T. Słabczyńscy[112] – nastręcza pewnych

---

110 J. Kennan, op. cit., s. 132.

111 I.N. Nikulina, *Udział zesłańców polskich drugiej połowy XIX wieku w badaniach naukowych Ałtaju*, „Zesłaniec" 2000, nr 31, s. 71–76.

112 W. i T. Słabczyńscy, op. cit., s. 33–34.

trudności z powodu późniejszych zmian w nazewnictwie geograficznym na tamtych obszarach. Praca ta, pierwotnie niezauważona przez rosyjskich specjalistów z zakresu nauk o ziemi, nabrała z czasem istotnego dla nich znaczenia i zaliczona została do wybitnych rozpraw w historii badań geologicznych na terenie Azji Środkowej, a znany geograf i podróżnik Władimir A. Obrucziew przetłumaczył ją na język rosyjski i w formie aneksu dołączył do swojej publikacji pt. *Ałtajskije etjudy*, w pełni podzielając poglądy Białowieskiego na problem periodyzacji epoki lodowej na terenie Ałtaju[113].

Władysław Massalski

Niepodobna też nie wspomnieć o **Władysławie Massalskim** (1859–1932), botaniku i geografie, który po ukończeniu gimnazjum w Wilnie studiował na Uniwersytecie Petersburskim. Potem przez wiele lat związany był z nauką rosyjską. Prowadził badania przyrodnicze na Zakaukaziu i brał żywy udział w pracach Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, które zresztą subsydiowało jego ekspedycje. Przez wiele lat był dyrektorem departamentu w Ministerstwie Rolnictwa w Petersburgu i zasłużył się w dziedzinie opracowania programów nawadniających oraz w ich realizacji na terenie Turkiestanu. W kraju tym badał także możliwości podniesienia kultury upraw rolnych, przede wszystkim rozwinięcia tam plantacji bawełny. Wiele podróżował po Azji Środkowej, fascynując się jej historią i kulturą.

Po powrocie do Polski w 1922 roku również tu aktywnie uczestniczył w życiu naukowym. Był współorganizatorem Instytutu Wschodniego oraz Towarzystwa Azjatyckiego, a w latach 1926–1931 pełnił funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Geograficznego oraz na łamach jego czasopisma „Przegląd Geograficzny" publikował różne artykuły, podobnie zresztą jak w innych periodykach krajowych.

Lata spędzone w Rosji, a przede wszystkim w Azji Środkowej, były źródłem jego fascynacji Wschodem, o czym niezmiernie ciekawie pisał w licznych tekstach wschodnioznawczych. W jednym z nich, który może najbardziej oddaje jego umiłowanie dla tych stron, stwierdził:

> Wschód do dziś nęci, mami, pociąga i fascynuje. Pociąga przede wszystkim urokiem przeszłości. Wchodzi tu w grę nie tylko część pielgrzymki do źródeł cywilizacji i kultury oraz poznania krajów, o których wzmianki towarzyszą nam od lat dziecięcych, nie tylko pęd do oglądania cmentarzysk epok minionych i widowni czynów nieśmiertelnych, lecz może i nieuświadomione pragnienie złożenia hołdu praojczyźnie, z którą tak jak gdyby dotychczas nas łączy nieuchwytne uczucie atawistyczne. Trawi nas żądza zajrzenia tam, gdzie jeszcze tli się dusza Wschodu, która niegdyś wzniecała płomienny blask na świat cały. Nęci też i Wschód teraźniejszy. Egzotyzm krajów, ludzi i otoczenia, kontrasty rzeźby i krajobrazu, olśniewające słońce, barwy

[113] W.A. Obrucziew, *Ałtajskije etjudy. Zamietki o sledach drewniego olodienija w Russkom Ałtaje (Etjud pierwyj),* [w:] *Izobrannyje raboty po gieografii Azji*, t. 3, Moskwa 1951, s. 41–42.

żywe i przepiękne – tworzą całość tajemniczą, niezmiernie interesującą i swoistą, która sprawia głębokie wrażenie, porywa i przykuwa na zawsze[114].

Bo przecież będąc na terenie tego Wschodu, który tak dobrze poznał Massalski, nie sposób nie pozostawać pod jego urokiem – wszakże we wspaniałych zabytkach Turkiestanu, Tadżykistanu czy Kirgizji kryje się tajemnica dwoistości albo nawet wielości kultur tego regionu. Sam wiem o tym, dzisiaj bowiem, gdy ta część Azji jest areną różnych postradzieckich konfliktów i podróż tam jest raczej niebezpieczna, stają mi przed oczyma wspaniałe zabytki, odnajdywane i potwierdzane przez pamięć, wydobywającą nieraz szczegóły tamtejszej starej architektury i jej dawne piękno, które na szczęście miałem okazję poznać, gdy dawne radzieckie biura podróży odprawiały tam turystów. Monumentalną pracą Massalskiego jest monografia zatytułowana *Turkiestańskij kraj* (ogłoszona w Petersburgu w 1913 roku), która zawiera wiarygodne odniesienia do Kazachstanu i Kazachów, dające interesujący obraz etnograficznych realiów i mające poważny walor kulturoznawczo-antropologiczny[115].

Gen. Bronisław Grąbczewski

Wątek wojskowy każe nam wspomnieć też o **gen. Bronisławie Grąbczewskim** (1855–1926), autorze interesujących prac osnutych na kanwie swoich wypraw wojskowych, których rezultaty dostarczyły sztabowi generalnemu wielu ważnych konstatacji o charakterze strategicznym, obejmujących także niektóre rejony Kazachstanu[116]. Jego wspomnieniowa trzytomowa książka o podróżach po Azji Środkowej, wydana w Warszawie w latach 1924–1925, nosi tytuł *Kaszgarja. Kraj i ludzie*, t. 1; *Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus*, t. 2; i *W pustyniach Reskemu i Tybetu*, t. 3, wznowiona została w 1958 roku w Warszawie w jednotomowym wydaniu zatytułowanym *Podróże po Azji Środkowej*, zawiera sporo materiałów etnograficznych. Jej autor był świetnym znawcą kultur ludów tej części Azji Środkowej, z którymi obcował na co dzień, oddając się z zapałem poznawaniu różnych osobliwości tamtego świata. Pisał o pożywieniu, ubiorach, jurtach i wyposażeniu, o narodzinach i pogrzebach, charakteryzował religie i ustrój społeczny. Często opisane przez niego elementy kultury tamtejszych ludów zanikły pod wpływem akulturacji, przeto informacje zawarte w jego wspomnieniach zyskują na wartości i godne są przypomnienia.

Tak oto można przedstawić obraz polskich dokonań w Kazachstanie w okresie przedrewolucyjnym w Rosji. Ich trwała wartość, wynikała między innymi i stąd, że

---

114 W. Massalski, *Skarby Wschodu*, „Wiedza i Życie" 1927, nr 7, s. 49.

115 M. Strzechowski, *Wkład Władysława Massalskiego w poznanie kultury ludów Azji Środkowej*, [w:] *Kultura i życie społeczne Azji Środkowej. Z polskich badań dawnych i współczesnych*, pod red. Z. Jasiewicza, Poznań 1983, s. 61–71.

116 M. Marciniak, *Bronisław Grąbczewski jako badacz kultury ludów Azji Środkowej,* [w:] *Kultura i życie społeczne Azji Środkowej…, op. cit*, s. 11–22.

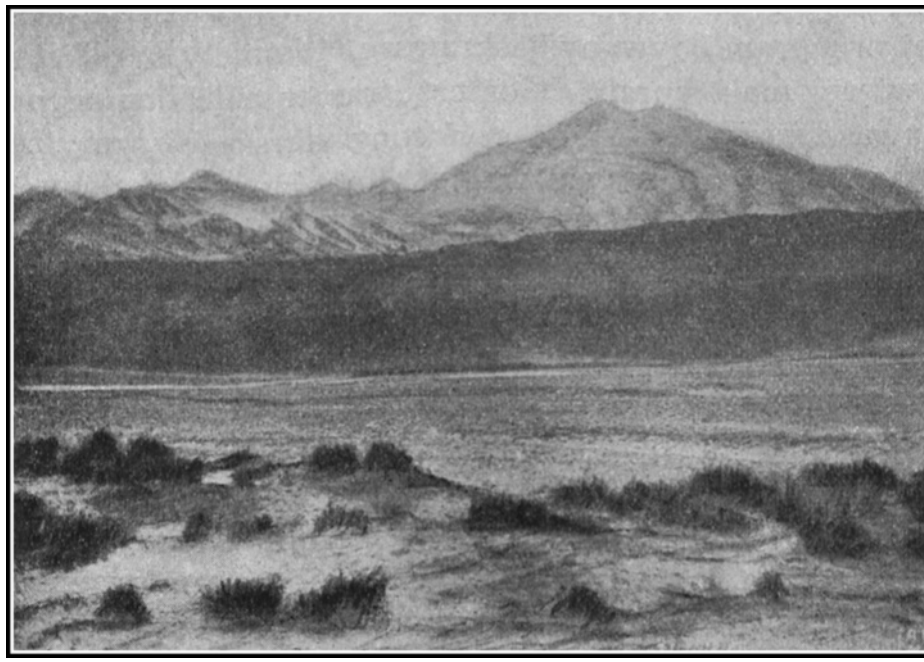

Dolina Wielkiego Ałaju w Daraut-Kurganie

Polacy potrafili twórczo wykorzystać warunki, w jakich przyszło im żyć i pracować, wspomagani po wielekroć przez miejscowe władze administracyjne.

Wspomnijmy tu jedynie, że powszechnie znana jest zasadnicza rola procesu industrializacji w przemianach społeczno-gospodarczych w Kazachstanie po przejęciu władzy przez bolszewików w tym kraju.

Inż. Michał Bogusz

Pisząc o okresie przełomowym w Rosji przed i po 1917 roku, wspomnieć trzeba o Polaku, nafciarzu, który w pionierskim okresie górnictwa naftowego w tym rejonie kierował jego rozwojem w Dosorze i Makacie, miejscowościach położonych w okolicach dzisiejszego Atyrau, dawniej Gurjewa. Spojrzenie na rozwój tego przemysłu w tym kraju byłoby niepełne, gdybyśmy pominęli postać **inż. Michała Bogusza**, absolwenta szkoły kolejowej w Wilnie (1898), który początkowo pracował w kolejnictwie. Potem studiował w Instytucie Górniczym w Sankt Petersburgu i po jego ukończeniu (1913) otrzymał skierowanie do pracy w Kazachstanie. Był tam pełnomocnikiem geologa w przedsiębiorstwie „Kolchida", zajmującym się eksploatacją złóż naftowych i ich lokalizacją. Plon tej pracy i umiejętności organizacyjne sprawiły, że już dwa lata później (1915) został mianowany zastępcą kierownika przedsiębiorstwa „Uralska nafta", a potem powierzono mu funkcję dyrektora przedsiębiorstwa „Emba", specjalizującego się w przemyśle naftowym

tego rejonu, w którym pracował do 1 kwietnia 1921 roku. Był też głównym inżynierem Towarzystwa Naftowego Braci Nobel, z ramienia którego informował władze nacjonalizujące przemysł naftowy o stanie zakładów wydobywczych w Dosorze. Wspomnieć trzeba, że w tym czasie, gdy obszary te zajęte zostały przez oddziały białogwardzistów oraz wojska kozackie, zarekwirowano wydobyte paliwo, sprzęt transportowy – barki, łodzie i samochody, a opuszczając te tereny pod naporem wojsk czerwonych, podjęto próbę spalenia zakładów wydobywczych, do czego jednak nie doszło.

Z zachowanej ankiety personalnej z tego okresu wynika, że Bogusz chciał wyjechać ze Związku Radzieckiego „do Włocławka w guberni warszawskiej". Powroty takie były wówczas możliwe dzięki traktatowi pokojowemu podpisanemu przez Rosję Radziecką i Polskę w Rydze 18 marca 1921 roku. Nie zdążył jednak zrealizować tego zamiaru, zmarł bowiem w Baku w lutym 1922 roku.

Decyzją zarządu przedsiębiorstw uralo-embskiego rejonu, z dnia 10 czerwca 1922 roku, jego imieniem nazwano parostatek pływający po rzece Ural. Potem nazwę *„Inż. Bogusz"* zmieniono na *„Nieftjanik"*. Przez zamierzony powrót do Polski chciał prawdopodobnie ominąć pułapkę tkwiącą w sowietyzowanej już przestrzeni, która zapewne w jego odczuciu ewokowała strach i lęk o dalsze funkcjonowanie zawodowe, a może nawet lęk przed ewentualnym uwięzieniem. Nowe władze starały się wtedy zatrzymać kadrę specjalistów mających zapewnić dalsze funkcjonowanie zakładów wydobywczych, wśród których byli obywatele innych państw, w tym także Polaka, Jakuba Wierdaka, pracującego tam w charakterze mistrza wiertniczego.

W roku 1988 w gazecie „Prikaspijska kommuna" w numerze z dnia 28 lutego ukazał się artykuł U. Kydyraliny i Ż. Kowżasorowej pt. *Bogusz: imię człowieka i parostatku*, w którym napisano:

> W surowych warunkach klimatycznych, pokonując olbrzymie trudności, pracowali wspólnie Rosjanie i przedstawiciele innych narodów, którzy organizując badania geologiczne, budując zakłady wydobywcze, przeprowadzając wiercenia przyuczali miejscowych koczowników do nowych zawodów. Szczególnie w latach dwudziestych, kiedy formowała się miejscowa kadra pracowników przemysłu naftowego, dużą zasługę można przypisać takim ludziom jak Michał Bogusz[117].

[117] J. Kaleta, *Polacy w zachodnim Kazachstanie. „Bogusz – imię człowieka i parostatku"*, Pismo poświęcone Polonii i Polakom za granicą, „Wspólnota Polska" 2000, nr 6/7, s. 38–39.

6.

„Zlituj się zlituj, nad ludem swym…”

Fragmentem tej pieśni, którą usłyszałem w stepie, gdy kończono modlitwę w jednej z osad zamieszkiwanych przez Polaków, upominam się o stworzenie im możliwości powrotu do Macierzy.

Po zakończeniu wojny rozpoczęły się dla zesłańców z lat 1940–1941 przebywających w Kazachstanie radosne powroty. Nie objęły one jednak zesłańców z lat 1936–1937, ponieważ byli oni obywatelami Związku Radzieckiego. Powracali jeńcy z lat wojny. W naszych kontaktach z ZSRR był jednak też taki czas, że po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemie polskie w 1944 roku wywieziono do łagrów Kazachstanu żołnierzy Armii Krajowej, działaczy politycznych i niepodległościowych. Wracali stamtąd przez wiele lat już po wojnie.

Pozostała natomiast w tym kraju liczna polska diaspora, która w swym podstawowym trzonie składała się z ludności zesłanej do Kazachstanu w latach 30. XX wieku, gdy likwidowano „sprawę polską” na terenach tzw. zazbruczańskiej Ukrainy. Fakty te były skrzętnie skrywane przez rząd Polski Ludowej, utajniane, pogrążone w niepamięci. Ożyły w krajowej historiografii po przemianach społeczno-politycznych w kraju, po zlikwidowaniu cenzury i dekretowanej przez kolejne rządy Polski Ludowej przyjaźni „polsko-radzieckiej”.

Dopiero po upadku rządów komunistycznych w Polsce zaistniały możliwości wspomagania tej diaspory w kultywowaniu przez nią polskości. Wielką aktywność przejawia w tym zakresie Kościół katolicki, działają różne organizacyjne gremia świadczące pomoc socjalną, kulturalną i oświatową. Rozwija się w Kazachstanie nauka języka polskiego, do Polski przyjeżdża młodzież, by studiować na wyższych uczelniach. Rodzą się koncepcje spełnienia marzeń o powrocie do Ojczyzny. Jakże często ocierają się one jednak o emocje, próby jednostkowych tylko rozwiązań lub zgoła nierealne plany. Jest to problem, który nadal czeka na rozwiązanie, na stosowne decyzje rządu Rzeczypospolitej. Jest to kwestia niezmiernie istotna, a zarazem złożona, zwłaszcza obecnie, w procesie formowania się nowych stosunków polsko-kazachskich opartych na suwerennej polityce niepodległych państw.

Wspomniano już, że polska obecność w Kazachstanie miała zawsze poniewolny charakter. Nieco inna była jednak obecność Kazachów na polskiej ziemi. To właśnie w okresie drugiej wojny światowej, nie z własnej przecież woli, szli Kazacho-

wie w szeregach Armii Czerwonej przez nasz kraj ku Berlinowi i dalej nad Łabę. Wielu z nich pozostało tu na zawsze. To na polskiej ziemi znajdują się ich mogiły otoczone pamięcią i refleksją odwiedzających te nekropolie, bo Polacy zawsze pamiętają o tych, którzy odeszli na wieczną wartę! Może byłoby dobrze, gdyby władze rządowe Republiki Kazachstanu doprowadziły do tego, aby na Cmentarzach Żołnierzy Armii Czerwonej w Polsce, na których pochowani są również Kazachowie, znalazły się tablice informujące o ich wojennym losie.

Byli też Kazachowie przez lata w naszym kraju, służąc w oddziałach Armii Radzieckiej, w ramach tzw. Układu Warszawskiego. Nieraz miałem okazję poznać ich, będąc w Legnicy czy Świdnicy, gdzie stacjonowały wojska radzieckie. A gdy powracali potem do swego kraju, w różnych okolicznościach spotykali tam Polaków, którym opowiadali o odległej Polsce – ich Ojczyźnie. Jednego z nich spotkałem przed laty w hotelu w Karagandzie, który dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, opowiadał mi o pobycie w Legnicy oraz innych radzieckich garnizonach, gdzie kierowały go służbowe obowiązki. Dla wielu żołnierzy oddalenie od rodzinnej ziemi było też spowodowane sowieckim zniewoleniem.

W jakim kierunku pójdą działania w zakresie odbrązowienia prawdy historycznej dotyczącej najnowszych związków polsko-kazachskich? Zobaczymy.

Przy tej sposobności wspomnijmy jeszcze o jednym mało znanym wątku polsko-kazachskim, dotyczącym działalności Instytutu Wschodniego w Warszawie w latach 1926–1939 w ramach programu solidaryzowania się z ideą wyzwolenia narodów ujarzmionych przez Związek Radziecki. Przypomniał o tym Aleksiej Wołkow, Ambasador Republiki Kazachstan, pisząc:

> ziemia polska stała się ostoją dla wybitnego kazachskiego polityka pierwszej połowy XX wieku – Mustafy Szukaja. W okresie międzywojennym, ten działacz społeczny i polityczny, pisarz, ideolog walki o wolność i niezależność Jednolitego Turkiestanu, znalazł tu duchowe i materialne wsparcie. Niejednokrotnie był zapraszany do Warszawy, aby podczas wykładów zaprezentować politykę bolszewików w Turkiestanie, a jego prace tłumaczono na język polski i publikowano w prasie II Rzeczypospolitej[118].

Sądzę jednak, że jest to istotne dla obu stron! Z polskiej perspektywy wiąże się to nie tylko z pamięcią historyczną, ale także powinnościami wobec naszej diaspory w Stepowym Kraju.

Polska diaspora w Kazachstanie trwa w oczekiwaniu na pomoc Macierzy. O formach tych oczekiwań pisano poprzednio. Wypada jednak zakończyć to wyznaniem pisarza Anatola Diaczyńskiego, syna dawnych przesiedleńców z tzw. Marchlewszczyzny, mieszkającego dzisiaj w Polsce, który powiedział przed paroma laty, że należy

---

[118] [J. Strzelczyk], *Benedykt Polak. Z Europy do Azji…*, op. cit., s. 8.

dać możliwość powrotu do Polski byłym przesiedleńcom z Marchlewszczyzny do Kazachstanu – tym, którzy czują się jeszcze Polakami i chcą nimi pozostać. Wszystkim pozostałym, którzy zechcą szukać innego losu, niech Pan Bóg pomoże[119].

Żadna grupa etniczna poza Ojczyzną nie jest w stanie utrzymać na dłuższy czas swojej żywotności kulturowej i etnicznej bez życiodajnych związków z krajem ojczystym. Polska mniejszość w Kazachstanie, społeczność zesłańcza, przez cały czas komunistycznych rządów szykanowana, potrafiła jednak po części zachować przez 70 lat poczucie swojej polskości. Wrosła w tę nową dla niej ziemię, pozakładała tu swoje domostwa (liche, co prawda, w pierwszym okresie zsyłki) – innymi słowy zapuściła korzenie w Stepowym Kraju. Zdając sobie sprawę z perspektywy czasowej tego procesu, należy się jej za to szacunek, ale i pomoc od Macierzy.

Tymczasem o sprawy polskiej diaspory w Kazachstanie należy zadbać czym prędzej, budując jakieś sensowne rozwiązania rządowe związane z powrotem tych, którzy tego pragną, do kraju przodków i to ze względów patriotycznych, a nie czysto pragmatycznych. Bo to im się należy! Niektórzy z nich już są w Polsce! Problem tych powrotów trapi wielu mieszkających tam naszych rodaków, przed którymi ciągle stoją do rozstrzygnięcia związane z tym trudne sprawy. Osoby młode emigrują najczęściej do Rosji, znają język rosyjski i posiadają różne zawody, dające im możliwość znalezienia zatrudnienia, nieraz są też absolwentami wyższych uczelni. Pozostają ludzie starzy.

Często zadają więc sobie pytanie: Czy pozostać w Kazachstanie, czy go opuścić? Dokąd jechać? Do Polski trudno! A może szukać sobie miejsca w wielkiej Rosji?

Już dzisiaj wiadomo, że kazachstańscy Polacy wyjeżdżają na teren Syberii Zachodniej, zwłaszcza rodziny z mieszanych związków polsko-rosyjskich, niewielka część osiedla się w obwodzie kaliningradzkim, w ramach tzw. wewnątrzrosyjskich programów repatriacyjnych. Obecnie istnieją tam wioski, w których osiedlili się Polacy, a największą z nich jest Oziorsk, oddalony około 15 km od granicy z Polską. Mieszkających tam Polaków spotkać nieraz można na targu w Gołdapi. Warto tu podkreślić, że najliczniejsza grupa polskich repatriantów z Kazachstanu przesiedliła

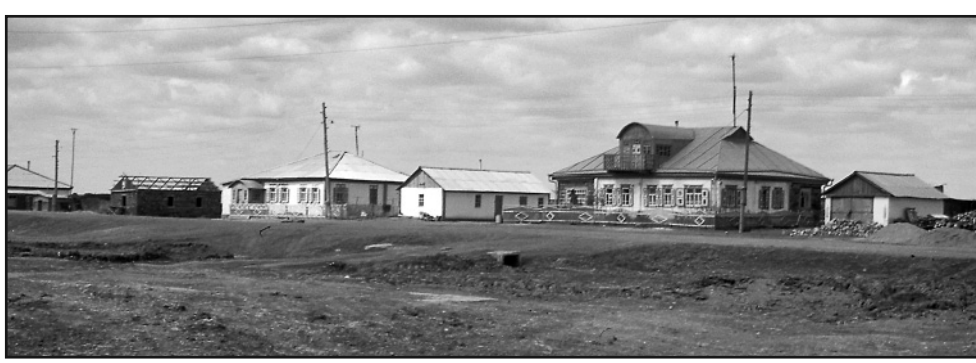

Polskie domy w Oziernoje

[119] A. Diaczyński, *To nie wyspa,* „Ład” (Katolicki Tygodnik Społeczny) 1994, nr 7, s. 4.

Polskie domy w Ozjernoje

Kościół w rejonie Ałmaty

się do Rosji (około 20 tysięcy) oraz do Niemiec i najczęściej są to małżeństwa mieszane (polsko-rosyjskie lub polsko-niemieckie), a najmniej liczną grupę stanowią niestety rodziny, które osiedliły się w Polsce[120]. Jeszcze inni przenoszą się na Ukrainę, do kraju przodków. Część natomiast czeka na repatriację do Polski, ale będą i tacy, którzy zostaną w Kazachstanie, bo – jak mi nieraz mówili – to już ich ziemia[121].

Chętnych do wyjazdu nadal jednak jest wielu, a nie wszyscy mają taką możliwość i czekają na szansę powrotu do mitycznego dla nich kraju przodków. Najczęściej dowiadują się o niej od polskich kapłanów pełniących misyjną posługę w Kazachstanie, od sióstr i braci zakonnych. W wywiadzie dla „Naszego dziennika" **ks. abp. Tomasz Peta**, przewodniczący Konferencji Biskupów Katolickich Kazachstanu, nazwał ich

> małą trzódką wyrosłą na krwi i łzach milionów męczenników i […] My, jako przedstawiciele Kościoła, ani nie zachęcamy ludzi do wyjazdu, ani nie próbujemy ich zatrzymać. To musi być decyzja konkretnego człowieka, konkretnej rodziny. Kościół wydaje „wizy do Nieba", widząc w przynależności do Jezusa i do Kościoła sprawę najważniejszą. O reszcie każdy musi decydować sam[122].

---

120 R. Wyszyński, *Zapomniani Polacy. Kultura i tożsamości potomków polskich zesłańców z polskich wsi w północnym Kazachstanie,* [w:] *Słowiańskie wyspy językowe i kulturowe,* pod red. E. Nowickiej i M. Głuszkowskiego, Toruń 2003, s. 91.

121 Sprawie sowieckich represji wobec Polaków mieszkających wówczas w ZSRR M. Iwanow poświęcił studium zatytułowane *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921–1939,* Wrocław 1991, oraz zajął się nią także W. Lizak w książce pt. *Rozstrzelana Polonia. Polacy w ZSRR 1917–1939,* Szczecin 1990, on też pisał o Polakach w Kazachstanie, poświęcając tej problematyce artykuł noszący tytuł *Skąd się wzięli Polacy w Kazachstanie?,* „Tygodnik Powszechny" 1989, nr 49. Tak więc to, co dotknęło zesłanych w latach 30. XX wieku oraz w okresie drugiej wojny światowej, ma już stosunkowo obfitą literaturę historyczną. Nadmienić tu jeszcze należy publikacje ujmujące szersze konteksty związków polsko-kazachskich, w tym także polskie dziedzictwo z zakresu etnografii, badań przyrodniczych, działalności gospodarczej oraz cywilizacyjnej itp., oraz wiele książek wspomnieniowych, opisujących zesłańczy pobyt w Kazachstanie w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu.

122 [A. Żurek], *W Kazachstanie także dzielimy się opłatkiem. Z ks. abp. Tomaszem Petą, przewodniczącym Konferencji Biskupów Katolickich Kazachstanu rozmawiała Agnieszka Żurek* „Nasz Dziennik", z dnia 22 grudnia 2011 r., s. 12.; zob. też: K. Nitkiewicz, op. cit., s. 38.

Problem polskości w Kazachstanie zyskał w ostatnich latach dość dobre nagłośnienie, m.in. poprzez badania prowadzone przez Instytut Etnologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz indywidualnych badaczy z ośrodków akademickich Krakowa, Warszawy, Wrocławia. Faktografia przez nich zgromadzona pozwala na odtworzenie obrazu życia tej ludności i jej losu – jako autonomicznego procesu ludzkiej egzystencji, rozpamiętywania o tym, co było, tego, co sensowne i wartościowe, a jakże często było daremnie poszukiwane. Tę perspektywę wyznaczają wspomnienia ludzi, z którymi rozmawiałem nieraz w Kazachstanie, a także po osiedleniu się w Polsce, ukazujące ich trudny los w czasach pogardy. Trudne, nieraz męczeńskie losy setek zesłańców różnych narodowości upamiętnia symboliczny pomnik ofiar sowieckiego totalitaryzmu wzniesiony w Astanie, przedstawiający kurhan, z którego wyrasta strzeliste drzewo pnące się ku niebu.

Żarna przywiezione przez polskich zesłańców we wsi Kielarówka

Sprawa powrotu Polaków z Kazachstanu związana jest z ideą powstałą pod koniec lat 90. XX wieku i zrodzoną z tej myśli ustawą o repatriacji obowiązującej od 2000 roku. Pozbawiona jest ona jednak spójnego systemu rządowego zabezpieczającego warunki socjalne i w zasadzie opiera się na samorządach lokalnych, zobowiązanych zapewnić repatriantiom warunki mieszkaniowe i źródła utrzymania[123].

Zachowana w jednym z polskich domów skrzynia przywieziona przez polskich zesłańców w latach 30. XX w.

Wyraźny jest jednak ślad tej samorządowej działalności. Dzięki niej część Polaków wróciła z Kazachstanu do Ojczyzny przodków. Młodzież, która studiuje w Polsce, w zasadzie pozostaje tutaj po zakończeniu nauki i podejmuje starania, by ściągnąć swoich rodziców. Nieraz czyni to z powodzeniem, częściej jednak przedstawiane przez nią argumenty patriotyczne, tożsamości etnicznej, trwania w polskości w latach prześladowań sowieckich

[123] M. Gawęcki, *Nowa repatriacja. Problem powrotu Polaków z terenów byłego Związku Radzieckiego*, „Zesłaniec” 2001, nr 6, s. 87–94; K. Kość, *„Gawęda o miłości ziemi ojczystej”*, „Zesłaniec” 2001, nr 6, s. 69–85.

itp. nie odnoszą oczekiwanych skutków. Ufam jednak, że zanim sprawa ta doczeka się systemowych rozwiązań, kolejni rodacy z Kazachstanu zamieszkają w Polsce, dzięki wspomożeniu ich przez lokalne samorządy. Ciągle jednak brakuje zaangażowania władzy centralnej w rozwiązanie tej kwestii.

Dużo ambicji przejawia w tym zakresie **Związek Repatriantów RP** skupiający Polaków, którym udało się powrócić do Ojczyzny przodków, ale jego aktywność, która znakomicie zainicjowała ten kierunek powrotu do Macierzy nie znajduje rządowego wsparcia.

Gorącym orędownikiem tych powrotów był **prof. Andrzej Stelmachowski,** prezes **Stowarzyszenia „Wspólnota Polska"**, później zaś jego następca **Maciej Płażyński, który zginął w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 roku**. Trud ten kontynuował jego **syn Jakub**, składając w Sejmie RP obywatelski projekt dotyczący nowej ustawy o repatriacji. Póki co skończyło się na tym, że projekt ten nigdy nie wszedł pod obrady Sejmu, mimo poparcia społecznego przez prawie 300 tysięcy osób.

Ciągle więc różne gremia społeczne podejmują ten problem widząc, że władze państwowe skutecznie go omijają[124]. A przecież to one powinny wypracować spójny system repatriacji naszych rodaków z republik postradzieckich, którzy chcą powrócić do kraju swych przodków. Wspomniany powyżej społeczny projekt opracowany pod kierunkiem Płażyńskiego, nadal czeka na ponowne rozważenie i każde przypominanie go jest rzeczą ważną.

Nasi rodacy z Kazachstanu mają prawo liczyć na pomoc umożliwiającą im powrót do Polski, co jest oczywistą powinnością Macierzy.

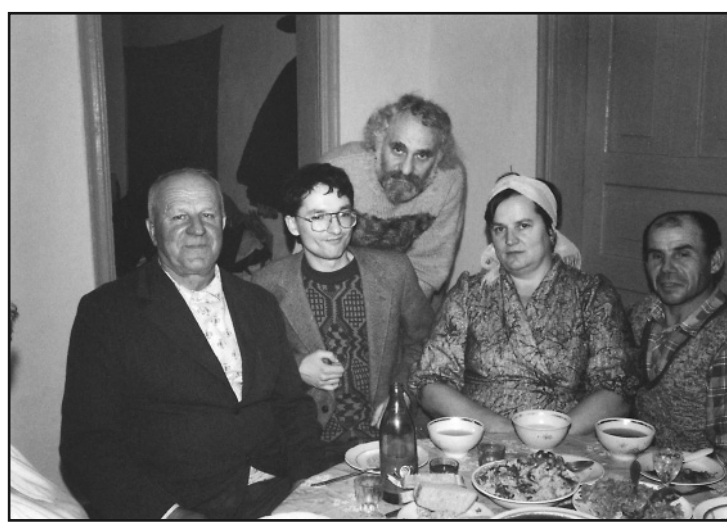

Etnologowie prof. A. Kuczyński oraz Grzegorz Pełczyński w gościnie u polskiej rodziny we wsi Oktiabr (obecnie Nur) na południu Kazachstanu. Lata 90.

[124] R. Wyszyński, *Katyń twa nadal,* „Kurier Galicyjski", 17–30 maja 2011.

ZAKOŃCZENIE.
PRZED DALSZĄ DROGĄ…

Polskie opisywanie Kazachstanu do czasów rewolucji październikowej w Rosji ma wiele wątków, z których jedne są bliżej znane, inne natomiast zaledwie zaczynają się wyłaniać z licznych, dopiero teraz dostępnych źródeł i wymagają naukowego opracowania. Może się to odbywać tylko w zespoleniu programów badawczych, realizowanych wspólnie przez uczonych polskich, kazachskich i rosyjskich. Pierwsze próby zostały już podjęte. Obraz Polaków przebywających na terenie Kazachstanu do czasów rewolucji październikowej jest więc zróżnicowany. Zaznaczyli oni swoją obecność w wielu dziedzinach prowadzonych tam badań i eksploracji, nierzadko o charakterze pionierskim. Dotyczy ona geografii i geologii, botaniki, medycyny, etnografii i folklorystyki. Podkreśla to wielu badaczy tej problematyki, z pewnością jednak nowsze badania pogłębią ten stan wiedzy.

Ustalenie dokładnej listy Polaków, którzy zaznaczyli swoją obecność na różnych polach życia naukowego, społecznego, gospodarczego czy politycznego na terenie Kazachstanu do czasów rewolucji październikowej nastręcza różnorakie trudności i przy obecnym stanie wiedzy niełatwo sformułować jakieś pełniejsze konkluzje. Obraz ich aktywności zawodowej i społecznej pojawia się w różnych źródłach typu naukowego i administracyjnego, nierzadko trudno jeszcze dostępnych dla polskich badaczy. Jest to więc kolejny postulat badawczy mogący wejść w ramy zainteresowań uczonych polskich i kazachskich.

Związki polsko-kazachskie stały się w ostatnim okresie przedmiotem dociekań historyków, socjologów i antropologów kultury, będących pochodną zmian polityczno-społecznych w naszym kraju i związanym z tym otwarciem archiwów kryjących tajemnice dotyczące zesłań i deportacji Polaków do Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu[1].

---

[1] G. Sapargalijew, W. Djakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX wieku*, Warszawa 1982; A. Kijas, *Polacy w Kazachstanie. Przeszłość i teraźniejszość*, Poznań 1993; *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, pod red. naukową S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1996; *W stepie dalekim. Polacy w Kazachstanie*, pod red. M. Gawęckiego i J. Jaskulskiego, Poznań–Ałmaty 1997; *Polska droga do Kazachstanu. Materiały z międzynarodowej konferencji naukowej. Żytomierz 12–14 października 1996 roku*, pod red. T. Kisielewskiego, Warszawa 1998; R. Wyszyński, *Polscy przesiedleńcy w Kazachstanie – polskość rezydualna,* [w:] E. Nowicka, *Polacy czy cudzoziemcy. Polacy za wschodnią granicą*, przy współudziale I. Kabzińskiej i R. Wyszyńskiego, Kraków 2000, s. 145–203; R. Badowski, *Polscy piewcy Kazachstanu*, Pelplin 2004; M.A. Koprowski, *Przez stepy Kazachstanu*, Katowice 2002.

Badacze na ogół są zgodni, że dogłębną historię zesłań Polaków do Kazachstanu trzeba dopiero napisać. Pojawiły się już pierwsze próby z tego zakresu. Jest nią niniejsza książka – pierwsza monografia *Polacy w Kazachstanie. Zesłania, dziedzictwo, nadzieje, powroty.* Konieczne jest jednak kontynuowanie tego tematu.

Jest oczywiste, że w sądach ogólnych zatraca się tragedia jednostki. Przeto niezmiernie istotnym zagadnieniem jest ukazanie losu pojedynczych zesłańców opisujących swe doświadczenia, w których zawiera się także cząstka losów wielotysięcznych rzesz Polaków, zagnanych przez zawieruchę wojenną do Kazachstanu. Rozrzucono ich po różnych rejonach rozległej stepowej krainy. Bywało, że znaleźli się w kazachskich aułach z dala od miejskich ośrodków, nieraz mieszkali wespół z Kazachami w kołchozowych osadach, pracowali w bazach traktorowych, fabrykach, kopalniach węgla, boksytu, rud żelaza, przy budowie linii kolejowych, dróg, miast i zakładów przemysłowych. Wielu zamknięto za drutami łagrów wchodzących w skład wielkiego zespołu zwanego „Karłagiem", inni wcieleni byli do tzw. trud-armii lub pracowali w tzw. spec-zonach na potrzeby frontu.

Podkreślmy raz jeszcze, że wojenna i powojenna fala zesłańców miała swych poprzedników wywodzących się spośród licznych rzesz ludności polskiej przesiedlonej do Kazachstanu przede wszystkim w 1936 roku, z tzw. dawnych kresów polskich, które po pierwszej wojnie światowej znalazły się w obrębie państwa radzieckiego. Te antypolskie represje, mające charakter akcji deportacyjnej ze wspomnianych już terenów tzw. zazbruczańskiej Ukrainy, ogarnęły wówczas także inne tereny Związku Radzieckiego. Przedstawiając te ważne pola badawcze, kryjące się w szerokim temacie naszych dziejów w Kazachstanie, zrodzonych w epoce sowieckiego panowania, podkreślić należy, że naznaczone są one triadą łez, krwi i mozołu, odmierzaną szlakami zsyłek, walką o byt i przetrwanie.

Polacy byli tam już wcześniej – w XIX i na początku XX wieku. Służyli w oddziałach wojskowych, stacjonujących w twierdzach okalających kazachską ziemię od północy. Rzadko tylko wspomina się z imienia i nazwiska owych bohaterów codzienności. Stanowili oni jednak silne oparcie dla rosyjskiej kolonizacji północnego Kazachstanu. Pod ich naporem plemiona kazachskie cofały się ku południowi. Wytyczając kolonizacyjny szlak, tworzyli warunki do powstawania osiedli rosyjskich, rozwoju handlu i rzemiosła. Żyzne stepy północne, na których kiedyś wypasały się stada wielbłądów oraz owiec i koni, zazieleniły się teraz łanami zbóż, pobudowano młyny i gorzelnie, zapewniające regularne dostawy żywności do twierdz. Powstało zaplecze kolonizacyjne. Trudne były to czasy, kiedy odmienny był nie tylko język, ale też tradycje, zwyczaje i obyczaje, sposób bycia i mentalność, różniące autochtonów i przybyszów. Mało się wie o tamtych odległych dziejach. W każdym razie spory procent ludności rosyjskiej w dzisiejszym północnym Kazachstanie, a także w jego centrach administracyjnych – dawniejszych twierdzach – to z pewnością spadek po carskiej jeszcze kolonizacji tych ziem i sowieckiego już ich zawłaszczania. Problem to niesłychanie ważny dzisiaj, gdy Kazachstan stał się wolnym pań-

stwem. Dawniej stosunki rosyjsko-kazachstańskie układały się rozmaicie i zawsze pozostawały pod wpływem imperialnej polityki rosyjsko-radzieckiej.

Rozwijają się obecnie kontakty gospodarcze Polski z Kazachstanem, zatem warto może przy tej sposobności zwrócić uwagę na odległe dzieje tych związków i wspomnieć o wkładzie Polaków w poznanie Kazachstanu oraz kultury jego autochtonicznych mieszkańców.

Od pewnego czasu obserwuje się wzrost zainteresowań tą problematyką i pojawiło się nieco publikacji dotyczących historii związków polsko-kazachskich.

Ważna jest współpraca historyków kazachskich, rosyjskich i polskich, dzięki której dokonuje się pogłębienie faktografii z tego zakresu, a dostęp autorów kazachskich i rosyjskich do olbrzymiego zasobu miejscowych archiwów, w Polsce niedostępnych, pozwala przedstawić tę kategorię kontaktów pełniej osadzoną w szerokiej dokumentacji źródłowej.

Ostatnio coraz wyraźniej widać kierunek badawczy, dostrzegający w polsko-kazachskich związkach element naszego dziedzictwa naukowego i gospodarczego w tym stepowym kraju, jak często zwykło się określać Kazachstan w literaturze i potocznym odbiorze społecznym. Rozprawy historyczne, wspomnienia, artykuły publicystyczne i inne wielorakie przyczynki poświęcone tej tematyce otwierają wielopasmowy trakt dotyczący wkładu Polaków w poznanie kultury Kazachów, w badania o charakterze przyrodniczym, zaangażowania w działalność inżynierską, medyczną, gospodarczą i administracyjną.

Ważna jest też popularyzacja wiedzy na temat związków polsko-kazachskich, ponieważ w czasach swobodnej współpracy naukowej między polskimi a kazachskimi specjalistami, która obecnie jest możliwa, poszerza się układ krążenia wiedzy na temat złożonych interakcji polsko-kazachskich w przeszłości. Rezultatem może być coś więcej aniżeli obraz dziejów Polaków w Kazachstanie. Wiadomo bowiem, że wspomniane wcześniej opisy mają nieraz charakter wiedzy o rzeczywistości kulturowej ludzi stepu uchwyconej w trakcie dawnych zesłańczych wędrówek polskich autorów po ich kraju. Są więc ważne dla współczesnych potrzeb historyczno-antropologicznych dotyczących Kazachstanu, którego mieszkańcy nie uniknęli w późniejszych latach akulturacji na płaszczyźnie materialnej, społecznej i duchowej.

Historia związków polsko-kazachskich to już współcześnie nie tylko „podróż w nieznane", ale źródło bogatych informacji na temat ludzkich losów, wyobrażeń o tym odległym kraju oraz kulturze jego autochtonicznych etnosów ukazujących interesujący poznawczo trud Polaków. Zostali oni rzuceni przez los na tereny rozległego Kazachstanu i opisali ten multikulturowy obraz oraz wpisali się w różne dziedziny życia tego kraju. Ważny to wątek poznawczy stanowiący fragment polskiego dziedzictwa, dotyczącego poznania licznych kultur i ludów świata, który coraz częściej znajduje odbicie w nauce kazachskiej. Z tej perspektywy podkreślić trzeba, że w polskich opisach Kazachstanu z XIX stulecia odnoszących się do zróżnicowanego katalogu kultury materialnej, społecznej i duchowej ukazano specyfikę stepowego

pejzażu, realistyczne obrazy życia nomadów, warunki ich bytowania w bliskości z przyrodą, ujęte kulturowo i różnorodnie pod względem faktograficznym.

Historycy kazachscy z dużym znawstwem piszą o historii Polaków w ich kraju, co we współczesnym kreowaniu stosunków polsko-kazachskich może mieć niepomierne znaczenie, szczególnie w układaniu wzajemnych międzynarodowych porozumień, zabezpieczających autonomię polskiej mniejszości narodowej w tym kraju, której obecność jest pokłosiem imperialnej polityki Rosji i Związku Radzieckiego wobec Polski, podobnej do kolonialnej polityki wobec Kazachstanu. Żyjemy więc w okresie odradzania się wiedzy o polskim dziedzictwie w tym odległym kraju i oby to dobrze przysłużyło się polskiej diasporze w nim mieszkającej, zanim Macierz otworzy dla niej gościnne i szerokie wrota! Kiedy to nastąpi?

O książce

Książka *Polacy w Kazachstanie. Zesłania, dziedzictwo, nadzieje, powroty* to rezultat wieloletnich zainteresowań badawczych jej autora. Jest ona pierwszym opracowaniem monograficznym zawierającym obraz polskiej obecności w Kazachstanie oraz wiele aspektów ich aktywności i niedoli. Autor korzystał z bogatego materiału źródłowego i obserwacji własnych, które doświadczył podczas pobytów w tym Stepowym Kraju – „wspólnym domu wielu narodów".

Książka ta jest próbą zwrócenia uwagi na nasze związku z Kazachstanem. Został w niej pokazany z jednej strony aspekt martyrologiczny, z drugiej strony starano się podkreślić kulturotwórczą rolę Polaków w Kazachstanie. Wyraża się to w dwu częściach monograficznych, których uzupełnieniem jest część antologiczna. Antologia ułożona jest w swej pierwszej części (obejmującej XIX i początek XX wieku) chronologicznie, zaś w drugiej, dotyczącej zesłań w czasie II wojny światowej, ze względu na jej jednorodność tematyczną, alfabetycznie.

Przedstawioną w książce antologię, podobnie jak każdą inną, charakteryzuje pewien subiektywizm autora. Jednakże zakres tematyczny został tak skomponowany, aby w sposób maksymalny przybliżyć Czytelnikowi życie polskie w Kazachstanie. Są więc w antologii teksty, które obrazują drogę na zesłanie, życie na zesłaniu, opisy kraju, ludzi, kulturę i zwyczaje Kazachów, wkład w badania naukowe – etnograficzne, przyrodnicze, dotyczące prawa zwyczajowego.

Warto też zwrócić uwagę na opisaną w książce działalność księży katolickich w Kazachstanie, którzy w ekstremalnie trudnych warunkach, nie bacząc na częste aresztowania i prześladowania, nieśli w step między oczekujących ich z utęsknieniem ludzi przesłanie wiary i nadziei.

Ważne jest jednak również to, by w tych badaniach nie zapominano o polskich zesłańcach od 1936 do 1956 roku. Dla nich wiedza, umiejętności nie były zaletą (jak to było w XIX wieku), a stanowiły zagrożenie, wiążące się z zesłaniem do łagrów, rozstrzelaniem. Dla zesłańców z tego okresu, kiedy na zsyłkę szły całe

rodziny – kobiety, dzieci, starcy – była to już tylko walka o przetrwanie i nadzieja na powrót do Polski.

Mimo ponurego bagażu historii autor starał się zawrzeć i uwypuklić w książce jaśniejsze obrazy, zgodnie z historyczną faktografią, iż Kazachstan dla Polaków był nie tylko miejscem cierpień, ale też na przekór zesłaniom dali oni tej ziemi swój trud, wiedzę i pasję poznawczą, przyczyniając się znacznie do poznania i zachowania w pamięci kultury autochtonicznych mieszkańców, odkrywania zasobów naturalnych, a także wnieśli swój wkład w zagospodarowanie tych ziem. Ważne, by pisali o tym autorzy polscy, rosyjscy, kazachscy, by wspólnie podejmowali badania nad dziejami Polaków w nauce, kulturze i gospodarce Kazachstanu.

W tym kontekście warto przywołać fakt, że wcześniejsza książka Kuczyńskiego pt. *Syberia Czterysta lat polskiej diaspory. Zesłania, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków* miała cztery wydania (1993, 1995, 1998 i 2007). Jej tematyka łączy się także z obecnie wydaną, poświęconą związkom polsko-kazachskim, poprzez tematyczną klamrę spinającą nieraz zesłania, polskie dziedzictwo kulturowe, naukowe i gospodarcze na Syberii z tym, jakie zaznaczyło się też w Kazachstanie. Obie ukazują się w tym samym Wydawnictwie i stanowią pewnego rodzaju całość oraz dopełniają się wzajemnie. Odstąpiono w nich od układu ściśle chronologicznego na rzecz formuły tematycznej. Nie rozbija ona jednak autorskiej narracji, lecz poprzez tzw. śródtytuły sygnalizuje istotniejsze wątki omawiane w książce.

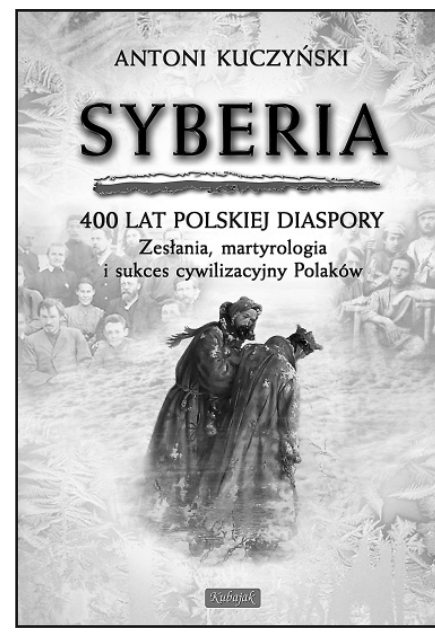

Wspomniana tu książka o związkach polsko-syberyjskich *(Syberia. Czterysta lat polskiej diaspory…)* staraniem Konsulatu Polskiego w Irkucku przygotowywana jest obecnie do wydania w wersji rosyjskiej. Stanowi to kontynuację ważnego przedsięwzięcia edytorskiego, jakim było opublikowanie w Moskwie w 2003 roku tłumaczenia polskiego dzieła zbiorowego pt. *Syberia w historii i kulturze narodu,* pod redakcją A. Kuczyńskiego i P. Romanowa. Książka ta spotkała się z pozytywnymi recenzjami w periodykach rosyjskich i wzbudziła powszechne zainteresowanie czytelników, podobne do innych opracowań dotyczących dziejów Polaków za Uralem, ukazujących się w ramach tzw. Biblioteki Polsko-Syberyjskiej wydawanych przez Polski Konsulat. Mamy nadzieję, że książka *Polacy w Kazachstanie. Zesłania, dziedzictwo, nadzieje, powroty* zainteresuje etnologów, antropologów kultury, historyków, politologów oraz

inne naukowe środowiska Kazachstanu i doczeka się edycji w języku kazachskim. „Związki Polaków z Kazachstanem mają długą i piękną tradycję" – mówił przed laty Aleksiej Wołkow, Ambasador Republiki Kazachstanu w Polsce, warto więc je upowszechniać w obu tych krajach.

Chcąc ocenić książkę *Polacy w Kazachstanie, Zesłania, dziedzictwo, nadzieje, powroty*, warto powołać się na fragmenty opinii wydawniczych.

Ks. prof. Franciszek M. Rosiński pisze:

Niniejsze opracowanie przygotowane przez prof. dra hab. A. Kuczyńskiego do druku stanowi pogłębione studium historyczno-etnologiczne o dziejach Polaków w Kazachstanie, obecnie największej republice postradzieckiej. Autorowi problematyka ta jest szczególnie bliska, prowadził bowiem na tym terenie badania środowiskowe nad tematem: *Kultura i świadomość etniczna Polaków w Kazachstanie* i w dużej mierze te pionierskie wyniki eksploracji terenowej znalazły odbicie w tej pozycji.

Należy tu zaznaczyć, że ta często trudna, czasami wprost tragiczna historia naszych rodaków w rzeczonym kraju nie doczekała się dotąd zadowalającego, wieloaspektowego opracowania monograficznego w ujęciu diachronicznym i synchronicznym. Nieliczne są publikacje autorów polskich czy radzieckich, niekiedy o określonym profilu ideologicznym, poświęcone tej problematyce, które zawierają dane częściowo już zdezaktualizowane, które byłyby dostępne w bibliotekach dla studentów i nauczycieli akademickich czy szkół średnich. Stąd autor, uwzględniając pilną potrzebę zajęcia się losami naszych rodaków na tych rozległych terenach przygotował kolejną wielowątkową rozprawę, przy czym prócz tradycyjnych kwestii historycznych i martyrologicznych poruszył także szerokie spektrum dorobku kulturowego, naukowego i gospodarczego tamtejszej Polonii i wskazał na trwały jej wkład w kulturę materialną i duchową tego makroregionu.

Prof. Zbigniew Wójcik pisze:

Nurt martyrologiczny jest prezentowany w treści w różnym stopniu (także w wypisach źródłowych), ale autor więcej uwagi poświęca dokonaniom naszych rodaków w dziedzinie kultury umysłowej i cywilizacji (tu znaczny udział przemysłowców, choćby Koziełłów-Poklewskich). Szczególnie jest to istotne, gdyż Rosjanie na te tereny w XIX w. przynieśli europejską cywilizację, odbierając zarazem tubylcom ich dziedzictwo kulturowe. Polacy, podobnie jak Rosjanie, utrwalali elementy nowoczesnej cywilizacji. Jednocześnie starali się zachować ich dziedzictwo kulturowe. Stąd znakomite studia nad prawem zwyczajowym zesłańców Seweryna Grossa, Jana Witorta i innych. Choćby z tego względu prezentowane opracowanie stanowi ważne dokonanie wybitnego specjalisty.

Prof. Zdzisław Winnicki zwraca uwagę na dodatkowe, ważne aspekty książki:

Autor przypomina i oddaje swoisty hołd życiu oraz dokonaniom (w tak niezwykłych – nienormalnych warunkach) takich Postaci jak np. Adolf Januszkiewicz, Tomasz Zan, Jan Prosper Witkiewicz, Bronisław Zaleski, Józef Osmołowski, Feliks Gross czy Aleksander Zatajewicz. Pisze i przywołuje wspomnienia o doli deportowanych w międzywojennym ZSSR oraz z czasu II wojny światowej. Łącznie, otrzymujemy wielowątkową prezentację i narrację w naukowym omówieniu – wielowiekowego pobytu Polaków w Kazachstanie wraz z doświadczeniami tego pobytu oraz, co równie ważne, odnotowaniem (wskazaniem) na trwały dorobek tych ludzi na rzecz środowiska ale także nauki światowej.

O Autorze

Prof. Antoni Kuczyński – urodzony w Horodle, etnolog, historyk nauki, redaktor i wydawca. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, doktorat w Instytucie Historii macierzystej uczelni; habilitacja w Instytucie Historii Nauki PAN. Wieloletni pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, założyciel Ośrodka Badań Wschodnich tej uczelni oraz jego wieloletni kierownik. Wykładał etnologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II.

Zainteresowania naukowe: etnologia, historia nauki, dzieje Polaków na Syberii i w Kazachstanie. Staże naukowe w Japonii i Rosji, gdzie prowadził studia archiwalne i obserwacje terenowe.

Autor kilku książek oraz wielu artykułów. Założyciel i redaktor „Wrocławskich Studiów Wschodnich", kwartalnika „Zesłaniec" i oficyny wydawniczej „Biblioteka Zesłańca". Członek komitetu redakcyjnego rocznika „Izwiestija naucznogo nasledija Instituta Bronisława Piłsudskogo" (Sachalin). Uczestnik konferencji krajowych i zagranicznych. Laureat Nagrody Zygmunta Glogera oraz Prof. Hugo Steinhausa oraz nagród Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, Instytutu Badań Humanistycznych Republiki Sacha (Jakucja), „Przeglądu Wschodniego" i innych.

Na wniosek Związku Sybiraków odznaczony Krzyżem Kawalerskim „Polonia Restituta" nadanym przez prezydenta Lecha Wałęsę.

SŁOWNICZEK

Objaśnienia wyrazów i zwrotów kazachskich zawartych w cytowanych listach A. Januszkiewicza opracował dr Aleksander Dubiński (1924–2013) i stanowią one dopełnienie do książki: A. Januszkiewicz, *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży*. Słowniczek został uzupełniony opracowaniem H. Geber, wydanym przez serię „Biblioteka Zesłańca" Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu w roku 2013 oraz przez Autora.

adat – prawo zwyczajowe
abłaj! aj! gaj, abłaj! – okrzyki
ajbałta – halabarda, siekiera na długiej tyczce, broń używana podczas grabieży
ajran – kwaśne mleko
aksakał – (od ak-biały, sakał-broda), wyraz do dziś używany grzecznościowo w odniesieniu do osób starszych, najbardziej szanowanych w swoim otoczeniu
akyni – ludowi muzycy, śpiewacy
ałdaj – tytuł władcy Pekinu
auł – osada koczownicza, skupisko jurt
batyr – bohater, śmiałek
arba – dwukołowy wóz, bryczka
baj, bej – bogacz
bij – sędzia
bajbicze – pierwsza żona
bajga – zawody, gonitwy na koniach z nagrodami
bajgusz – nędzarz
baranta – najazd, grabież, najczęściej uprowadzenie bydła
barantarze – złodzieje bydła
biszmet – rodzaj wierzchniej kamizelki
buksa – znachor, szaman
buran (ros. burian) – zamieć śnieżna
czambary – spodnie, szarawary
daba (bucharska) – chińska tkanina bawełniana
dombra – strunowy instrument muzyczny
dżasan – posag panny młodej
dżatak – biedak, dżataki – biedna ludność wiejska, niemająca bydła, zmuszona zajmować się rolnictwem
dżiłan – żmija
dżut – masowy pomór bydła, z powodu braku żywności zimą (związany z występowaniem grubej warstwy śniegu, z powodu której nie mogą się dostać do trawy pod lodem)
jurta – przenośny szałas u koczowniczych ludów środkowej Azji
kafyr – niewierny
kałym – okup za narzeczoną
kamcza – bat, batog
kanfa – tkanina z mocnych nici służących do haftowania
karawanbasza – przywódca karawany
kiregki – przenośne ściany jurty w formie drewnianej kratownicy, mogą też być używane jako podłoga, pokrywana wojłokiem lub skórą
koszma (z rosyjskiego) – koc z owczej wełny
kumys – napój z mleka kobylego
kun – rekompensata za zabójstwo płacona najbliższej rodzinie
kunak – przyjaciel
kystawy – miejsca zimowania koczowników
małachaje – futrzane czapki męskie
muezin – osoba wzywająca muzułmanów do modłów pięć razy dziennie o wyznaczonych porach
mułła – człowiek uczony, szanowany przez społeczność, teolog, prawnik muzułmański
murza – arystokrata rodowy/plemienny
manłyki – wzorzysty ubiór wierzchni z chińskiego jedwabiu
saukla, sukele, sankiele – drogocenny ubiór na głowę, przeważnie dla panny młodej
sułtan – członek rodu chanów
szatra – mniejsza jurta
tamga, tawro – znak właściwościowy wypalany na bydle, nieraz używany jako symbol rodu lub plemienia
tamyr – pobratymiec, przyjaciel
tamyrstwo – związek braterski dwóch rodzin lub osób
telenguci – niewolnicy
tezek – suszony nawóz służący jako opał, inaczej kiziak
toj – uczta
tunduk – przykrycie otworu dymnego jurty na noc
tursuk – worek skórzany do przechowywania kumysu i innych produktów mlecznych
ulanczi – pieśniarz, poeta, bard ludowy.

SPIS ILUSTRACJI

Spotkanie Ojca Świętego Jana Pawła II z Prezydentem Kazachstanu Nursułtanem Nazarbajewem. Astana 2001 (© Servizio Fotografico – L'Osservatore Romano) 2
Chan tatarski (repr. z: Karol Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich*. Wyd. 1997, wg: C. Vecellio, *Costumes anciens et modernes* (bez miejsca wydania)) 28
Auł (repr. z: Anna Milewska-Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012) 29
Mongołowie z odciętą głową Henryka Pobożnego pod Legnicą – miniatura z 1353 r. (repr. z: *Giovanni di Pian di Carpine, Storia dei Mongoli*, Perugia 1989) 32
Papież Innocenty IV wg Kroniki Hermana Schedla z końca XV w. (repr. z: *Giovanni di Pian di Carpine, Storia dei Mongoli*, Perugia 1989) 33
Jan di Piano Carpini przekazuje papieskie posłanie Wielkiemu Chanowi Mongolskiemu Gujukowi (repr. z: *Giovanni di Pian di Carpine, Storia dei Mongoli*, Perugia 1989) 35
Kościół pw. św. Wincentego (dawniej klasztor franciszkanów, fundacji księcia Henryka Pobożnego) we Wrocławiu przy pl. Nankiera, na którym znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona Benedyktowi Polakowi (fot. po lewej) oraz ulica Benedykta Polaka we Wrocławiu (fot. po prawej) (fot. Anna Kubajak) 39
O. Wacław Chomik OFM ze Śląskiej Prowincji Ojców Franciszkanów udziela błogosławieństwa uczestnikom ekspedycji szlakiem Benedykta Polaka (fot. Dorota Szyjanowska) 40
Jezioro Bałchasz w Kazachstanie, w sąsiedztwie którego wiódł prawdopodobnie szlak wyprawy franciszkańskich mnichów do Mongolii oraz jurta (fot. Paweł Kuśmierski) 41
Pamiątkowy kopiec w Krynicy usypany w okresie międzywojennym – ku pamięci konfederatów barskich, w tym przywódcy Kazimierza Pułaskiego (fot. Anna Kubajak) 43
Strona tytułowa pierwszego wydania wspomnień K. Lubicz Chojeckiego (repr. z: K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich*. Wyd. 1997) 45
Chan tatarski Islam Gerej III (repr. z: K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich*. Wyd. 1997, wg: B. Moncornata. Zbiory Biblioteki Narodowej) 46
Gospodarstwo tatarskie (repr. z: K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich*. Wyd. 1997, wg: L. Podhorecki. *Chanat krymski i jego stosunki z Polską w XV–XVIII w.*, Warszawa 1987) . 47
Kobiety tatarskie (repr. z: K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich*. Wyd. 1997, wg: A. Kuczyński, *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych*, t. 1. *Azja i Afryka*, Wrocław 1994) 50
Wojownik tatarski (repr. z: K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich*. Wyd. 1997, wg: *Geschichte des gegenwartigen Kriegs zwischen Russland, Polen und der Ottomanischen Porte*, Frankfurt und Leipzig 1771–1773) 51
Adam Mickiewicz (repr. z: H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza*. Warszawa 1908) 54
Jan Czeczot (repr. z: H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza*. Warszawa 1908) 54
Tomasz Zan (repr. z: „Zesłaniec" 2013, nr 57) 55
Ostra Brama z czasów Mickiewicza (po lewej) oraz klasztor OO. Bazylianów w Wilnie (po prawej) (repr. z: H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza*. Warszawa 1908) .56
Cyprian Janczewski (repr. z: H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza*. Warszawa 1908) 58
Jan Witkiewicz (repr. z: H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza*. Warszawa 1908) 60
Alojzy Pieślak (repr. z: H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza*. Warszawa 1908) 61

X Pawilon Cytadeli Warszawskiej – centralne więzienie śledcze dla więźniów politycznych, gdzie urzędował sąd wojenny (fot. Anna Kubajak) 64
Miejsce w X Pawilonie, gdzie zakuwano więźniów w kajdany (po lewej) oraz Cela w X Pawilonie (po prawej). Okna w celach zamalowane były na biało. Więźniowie byli izolowani, przetrzymywani pojedynczo, nękani obezwładniającą samotnością (fot. Anna Kubajak) . . . 65
Szymon Tokarzewski (repr. z: S. Tokarzewski *Bez paszportu. Z pamiętników wygnańca*, Warszawa 1910). 66
Zesłaniec z ogoloną do połowy głową i jednym wąsem na obrazie A. Sochaczewskiego „Pożegnanie Europy" (fragment) (Muzeum Historyczne Miasta Stołecznego Warszawy) 67
Szymon Tokarzewski (repr z: G. Sapargalijew, W. Djakow *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, Warszawa 1982) 68
Adolf Januszkiewicz (repr. z: A. Januszkiewicz *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży*, Wrocław 2013) 69
Gustaw Zieliński (repr. z: A. Januszkiewicz *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży*, Wrocław 2013) 70
Albina Migurska (ze zbiorów Janusza Migurskiego z Gliwic) 71
Grób Albiny Migurskiej i synka Konrada w Nerczyńsku (ze zbiorów Janusza Migurskiego z Gliwic). 71
Bronisław Szwarce (repr. z: G. Sapargalijew, W. Djakow *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, Warszawa 1982) 76
Grób Bronisława Szwarcego na Cmentarzu Łyczakowskim (fot. Przemysław Kubajak) 77
Propaganda radziecka z początkowego okresu „eksperymentu polonijnego" i kolektywizacji; skuteczność stosowania racjonalnych metod hodowli (repr. z: „Orka", 3 stycznia 1928 za: Mikołaj Iwanow *Pierwszy naród ukarany*, PWN, Warszawa – Wrocław 1991) 81
Dwa największe Polskie Rejony Narodowościowe w ZSRR w latach 1925–1936: Marchlewszczyzna (Ukraina) i Dzierżyńszczyzna (Białoruś) 82
„Wrogowie władzy radzieckiej" w środowisku polskim (repr. z: „Trybuna Radziecka", 10 października 1930 za książką: Mikołaj Iwanow op.cit.) 85
Feliks Mostowicz „Deportacje – fragment tryptyku, cz. III" (Muzeum Niepodległości, Warszawa) 86
Pracownicy kołchozu „Gwiazda Komuny" z Zielonego Gaju, w którym pracowali Polacy deportowani w 1936 r. z Ukrainy (ze zbiorów Heleny Bagińskiej z Wrocławia, dawnej mieszkanki Zielonego Gaju). 88
Feliks Mostowicz „Rodzina Mostowiczów w izbie" (w Kazachstanie). Matka Filomena (siedząca na ławeczce przy kuchni, siostra Wala przy cebrzyku, Feliks (autor) siedzi przy piecu i czyta książkę, brat Józef wygląda zza pieca (F. Mostowicz, Muzeum Niepodległości, Warszawa) 90
Feliks Mostowicz „Nowa Ojczyzna" (Muzeum Niepodległości, Warszawa). Grupa Polaków deportowanych w 1936 roku z Żytomierszczyzny. Na obrazie widoczna flaga trzymana przez żołnierza, tabliczka z numerem 3 „uczastka" – i tłum przesiedleńców na pustym stepie, gdzie mieli zbudować nową wieś. 93
Dom z samanu. Autor tego zdjęcia – Karol Wituszyński został zesłany do Kazachstanu w 1940 roku. Był fotografem w Samborze, któremu udało się przemycić aparat fotograficzny. Zmarł w 1944 roku, jego żona zmarła nieco wcześniej, a syn został zamordowany w Kijowie – Bykowni w 1940 roku. (fot. Karol Wituszyński) 99
Krzyż na Sopce Wołyńskiej w Kazachstanie (fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje) 100
Dymitr Grozdew „Panorama Golgoty Wschodu" (Muzeum Wojska Polskiego, Białystok) 110
Lokomotywa i wagony jakimi transportowano zesłańców znajdujące się w skansenie w Centrum Edukacji i Promocji Regionu w Szymbarku (fot. Przemysław Kubajak) 112
Pomnik poświęcony Matce-Sybiraczce w Lublinie (fot. Anna Kubajak) 115

Wychudzone dziecko – jedno z wielu, które zjawiały się przy Armii Andersa (z arch. Związku Sybiraków w Krakowie) 122
Odśnieżanie chaty zasypanej śniegiem (fot. Karol Wituszyński). 124
Kobiety ciągnące wózek po stepie (fot. Karol Wituszyński) 125
Mężczyźni zostali powołani do wojska, a kobiety zostały traktorzystkami. Na fot. dziewczyny naprawiające traktor (fot. Karol Wituszyński) 126
Kwartalnik – pismo ZG Związku Sybiraków 129
Publikacje Związku Sybiraków Oddz. Krakowskiego 129
Biblioteka Zesłańca – Polskie Towarzystwo Ludoznawcze. 129
Mapa Kazachstanu oraz trasy marszu do miejsca koncentracji wojska oraz trasa przeprawy wojska przez M. Kaspijskie do Persji. (Mapa w oparciu o: Tadeusz Bugaj *Dzieci polskie w ZSRR i ich repatriacja 1939–1952*. Prace Karkonoskiego Towarzystwa Naukowego nr. Pracownia Badań Humanistycznych. Jelenia Góra 1986 na podstawie: *Polskie siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. II, Londyn 1975) 131
Gen. Władysław Anders – dowódca Armii Polskiej formowanej w czasie II wojny światowej na terenie Związku Radzieckiego. Fotografia zrobiona już po wyjściu Wojsk Polskich z ZSRR na Półwyspie Gallipoli w Turcji, 9 lipca 1946 r. (fot. ze zbiorów Muzeum Armii Krajowej w Krakowie) 132
Dymitr Grozdew „Panorama Golgoty Wschodu" (Muzeum Sybiraków, Białystok) 135
„Deportacje Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku" pod red. A. Dziuroka i M. Niedurnego. Instytut Pamięci Narodowej, Katowice 2004. 139
Pomnik ku czci deportowanych Polaków w Pawłodarze, odsłonięty w 2005 roku. Powstał on dzięki staraniom Wincentego Dewojny – prezesa Klubu Pawłodarczyka w Poznaniu oraz polsko-kazachskiego małżeństwa Łucji i Bułata Tokinów (oboje stoją obok płyty z orłem). Napisy na poszczególnych płytach wyryte są w trzech językach: polskim, kazachskim i rosyjskim. (fot. ze zb. Mariana M. Jonkajtysa) 141
Jeden z wielu zachowanych do dzisiaj ołtarzyków domowych, przy których o. Serafin odprawiał potajemnie Msze św. (fot. z arch. OO. Kapucynów w Krakowie, sygn. APS IV) 143
O. Albin Janocha na fot. z 1961 roku, 6 lat po przyjeździe do Polski z Kazachstanu (fot. z arch. OO. Kapucynów w Krakowie, sygn. APZ 135) 148
O. Albin Janocha na fot. z 1978 roku (fot. z arch. OO. Kapucynów w Krakowie , sygn. APZ 135). . 149
Ks. Władysław Bukowiński (z arch. Postulacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego) . . 151
Pierwszy grób ks. Władysława Bukowińskiego w Karagandzie (fot. z lewej: z arch. Postulacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego, fot. z prawej: Janusz Kamocki). 153
Trzej przyjaciele ks. Józef Kuczyński, ks. Bronisław Drzepecki, ks. Władysław Bukowiński (repr. z: ks. Józef Kuczyński „Między parafią a łagrem", Paryż 1985) 154
Grób grekokatolickiego księdza Aleksandra Chiry w Karagandzie (fot. Janusz Kamocki) 156
O. Serafin Kaszuba (fot. z arch. OO. Kapucynów w Krakowie, sygn. APS IV) 157
O. Odoryk Aleksander Beń OFM (pierwszy z prawej) podczas Mszy św., Czelabińsk 1987 (fot. ze zb. A. Kuczyńskiego). 158
Ojciec Święty Jan Paweł II wygłasza homilię podczas Mszy świętej (fot. Joanna Dudek-Ławecka). 162
Komunia Święta podczas Mszy św. na Placu Matki Ojczyzny w Astanie (fot. Joanna Dudek-Ławecka). 163
Kościół w Oziernoje (fot. Janusz Kamocki). 164
Poletka uprawne dyni i ziemniaków przy domach w Oziernoje (fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje) 164
Budynek klasztoru Sióstr Karmelitanek w Oziernoje (fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje) 164
Jurta przed kościołem w Oziernoje w dniu uroczystości Królowej Pokoju (fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje) 165

Kobiety z Oziernego w Kaplicy Sióstr (fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje) 165
Wierni w czasie uroczystości Królowej Pokoju w Oziernoje (fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje) 165
Modlące się dzieci w Kaplicy Sióstr w Oziernoje (fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje) 165
Adam Suzin (ryc. wg fot. Karola Bejera, repr. z: „Tygodnika Ilustrowanego", nr 215, Warszawa, 6 II 1880 r., Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 168
Wnętrze jurty Kirgizów (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 173
Baranty – rozboje, napady na inne auły (repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847) „Rozboje, napady na inne auły, nazywają jednym słowem baranty. Z takowych barant powstaje pospolicie nienawiść i zemsta." – pisze autor wspomnień J. Kobyłecki 194
Adolf Januszkiewicz (repr. z: A. Januszkiewicz *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży*, Wrocław 2013) 201
Saukele (saukla) – nakrycie głowy młodej Kazaszki z obwodu turgajskiego (ryc. D. Lwowicza z książki: A.Ch. Margułan *Kazachskoje narodnoje prikładnoje isskustwo*, t. 1, Ałma-Ata 1986, za: Anna Milewska-Młynik *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012) 204
Bij – jeden z dostojników kazachskich (repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847) 213
Przedstawiciel „białej kości", sułtan Daulet Buszajew z pow. perowskiego, koniec XIX w. (ryc. z książki: N.I. Grodiekow *Kirgizy i kara-kirgizy Syr-Darinskoj obłasti* t. 1, Juridiczeskij byt, Taszkent 1888, za: Anna Milewska-Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012) 214
Bronisław Zaleski (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 215
Skała Mnich (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 221
Ogród Mangiszłaku (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 222
Hanga–Baba (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 223
Dolina Apazir (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 228
Cmentarz w Agaspejar (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 231
Grobowiec świętego męża Dalismana (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 235
Ubiór młodej Kirgizki w dolinie Wielkiego Ałaju (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 251
Targ w Kaszgarze (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 252
Posiedzenie ludowego sądu, rys. Achmatow, koniec XIX wieku (ryc. z książki: N.I. Grodiekow *Kirgizy i kara-kirgizy Syr-Darinskoj obłasti* t.1, Juridiczeskij byt, Taszkent 1888, za: A. Milewska-Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012) 280
Bronisław Grąbczewski (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 281

Przenosiny aułu z miejsca na miejsce (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 283
Kirgizka przybrana do zmiany miejsca aułu (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) . . 284
Bij (naczelnik) kirgiskiego rodu Czum-bagysz (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) . . 284
Auły kirgiskie w dolinie Wielkiego Ałaju zajmujace tereny oswobodzone spod śniegu (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 285
Wnętrze jurty Kirgiza średniej zamożności. W jurcie – cała rodzina: ojciec, syn, jego dwie żony i syn. Wzdłuż ścian jurty pościel, ubranie i dywany. (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 287
Kirgizka z doliny Wielkiego Ałaju tka wełnianą materię na ubranie (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 288
ks. Władysław Bukowiński (z arch. Postulacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego) . . 290
Ks. Władysław Bukowiński w małym kościółku w Karagandzie w latach 1956–1957 (z arch. Postulacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego) 294
Grupa młodszych dzieci przygotowana przez ks. W. Bukowińskiego do Pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej w Karagandzie (z arch. Postulacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego) 297
Grupa starszych dzieci i dorosłych przygotowana przez ks. W. Bukowińskiego do Pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej w Karagandzie (z arch. Postulacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego) 297
Ks. Bukowiński w ornacie i albie ofiarowanej przez wiernych w Karagandzie (z arch. Postulacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego) 298
Kazimierz Burzyński (fot. Franciszek Piwowarski) 300
Marian Dziedzic po powrocie z zesłania (fot. ze zb. A. Kuczyńskiego) 311
Zesłańcza wędrówka – obraz autorstwa Jadwigi Kasiak (fot. ze zb. A. Kuczyńskiego) 313
Marian M. Jonkajtys po powrocie z zesłania (wrzesień 1946 r.) (fot. ze zb. Mariana M. Jonkajtysa) 320
Grupa Polaków z Ogrodów Siewiernego Ziarno Sowchozu Irtyjskiego Rejonu, Pawłodarskiej obłastii – OGRODY Kazachstan. 2 sierpnia 1940 roku. I rząd, stoją od lewej: pan Halicki, Janina Piechowska, Jadwiga Kamińska – córka p. Kamińskiego, Janina Plutowa, pani Kamińska – siostra Józefa Kamińskiego, Bronisława Kamińska – córka p. Kamińskiego. II rząd, siedzą od lewej: pani Halicka z synkiem, Helena Gładkowska, pani Piechowska, Franciszka Szkodzińska z synkiem Eugeniuszem, Felicja Jonkajtys, pani Kamińska – druga siostra Józefa Kamińskiego. III rząd, siedzą na ziemi od lewej: Edward Jonkajtys, Józef Kamiński, Stanisław Szkodziński (fot. ze zb. Mariana M. Jonkajtysa) 322
Halina Kierska (fot. ze zb. A. Kuczyńskiego) 330
Ks. Józef Kuczyński (repr. z: ks. Józef Kuczyński *Między parafią a łagrem*, Paryż 1985) 342
Okładka książki ks. J. Kuczyńskiego *Między parafią a łagrem*, Paryż 1985 343
Ks. J. Kuczyński w Workucie (repr. z: ks. J. Kuczyński *Między parafią a łagrem*, Paryż 1985) . . . 344
Pamięci księdza Józefa Kuczyńskiego (Feliks Mostowicz, Muzeum Niepodległości, Warszawa) . 347
Ks. J. Kuczyński w ostatnich latach życia – Wierzbowiec na Podolu (repr. z: ks. J. Kuczyński „Między parafią a łagrem", Paryż 1985) 353
Pogrzeb ks. J. Kuczyńskiego – Wierzbowiec – 16 III 1982 r. (repr. z: ks. J. Kuczyński *Między parafią a łagrem*, Paryż 1985) 354
Donat Poważyński (fot. ze zb. A. Kuczyńskiego) 355
Paweł Zworski (fot. ze zb. A. Kuczyńskiego) 384

Kirgiz (repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847) 401
Marian A. Jonkajtys (fot. ze zb. Mariana M. Jonkajtysa) 406
Tomasz Zan (repr. z: H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza*. Wyd. 1908) . 428
Ks. Michał Zielonka, o. Kandyd (repr. z: „Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego", Paryż 1867) 431
Adam Suzin (ryc. wg fot. Karola Bejera, repr. z: „Tygodnik Ilustrowany", nr 215, Warszawa, 6 II 1880 r., Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 432
Gustaw Zieliński w czasie zesłania ok. 1835 roku (repr. z: G. Sapargalijew, W. Djakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, Warszawa 1982 r.) 437
Kirgiz w stepie (repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847) 441
Strona z książki: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847 442
Birkut – wielki orzeł stepowy wykorzystywany przez Kazachów do polowań (repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847) 444
Pięknie zdobiony inicjał w książce: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847. 445
Kirgiz – bohater książki pędzący wraz z Demelą przez płonący step (repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847) 448
Adolf Januszkiewicz w czasie zesłania ok. 1835 r. (repr. z: G. Sapargalijew, W. Djakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, Warszawa 1982 r.) 451
Kunanbaj – ojciec słynnego poety Abaja (ryc. z książki: A.Ch. Margułan *Kazachskoje narodnoje prikładnoje isskustwo*, t. 1, Ałma-Ata 1986 za: Anna Milewska-Młynik *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012) 455
Abaj Kunanbajew (ryc. z książki: L.M. Auezowa *Istoriczeskije osnowy epopei „Put' Abaja"*, Ałma-Ata 1969 za: Anna Milewska-Młynik *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012). 455
Strona tytułowa pierwszego wydania książki B. Zaleskiego *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 457
Jurta Kirgizów (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 458
Góra Czirkała (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 461
Seweryn Gross – zdjęcie wykonane na zesłaniu (ryc. z książki: L.M. Auezowa *Istoriczeskije osnowy epopei „Put' Abaja"*, Ałma-Ata 1969 za: Anna Milewska-Młynik *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012) 474
Pomnik św. abp Zygmunta Szczęsnego Felińskiego przed domem Sióstr Rodziny Maryi w Warszawie (fot. Anna Kubajak) 477
Demela – dziewczyna kazachska – bohaterka książki „Kirgiz". Ozdobą dziewcząt kazachskich były warkocze. Obcięcie ich uznawano za hańbę (repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847 483
Aleksander Zatajewicz (repr. z: *1000 pieśni kazachskiego narodu*, Ałmaty 2004) 488
Pierwsza edycja książki A. Zatajewicza poświęconej folklorowi kazachskiemu *1000 pieśni kazachskiego narodu*, Orenburg 1925 496
Okładka współczesnej edycji książki *1000 pieśni kazachskiego narodu*, Ałmaty 2004 496
Płaskowyż Ust-Urt (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 510

Zatoka w Nowopietrowsku (repr. z: B. Zaleski *La vie des steppes Kirghizes. Descriptions, récits et contes*, Paryż, 1865, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) 511
Jan Koziełł-Poklewski (repr. z: Н.П. Ивлев *Находки краеведа.* Алма-Ата 1977) 512
Alfons Koziełł-Poklewski (repr. z: S. Fiel *Na syberyjskim trakcie*, Warszawa 1999) 513
Karol Bohdanowicz (repr. z: Z. Wójcik, *Karol Bohdanowicz*, Warszawa – Wrocław 1997) 513
Stefan Czarnocki (repr. z: Z. Wójcik, *Karol Bohdanowicz*, Warszawa – Wrocław 1997) 514
Henryk Czeczott (repr. z: Z. Wójcik, *Karol Bohdanowicz*, Warszawa – Wrocław 1997) 514
Dolina Wielkiego Ałaju w Daraut-Kurganie (repr. z: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924, Cyfrowa Biblioteka Narodowa POLONA) . . 519
Polskie domy w Oziernoje (fot. Janusz Kamocki) 523
Polskie domy w Oziernoje (fot. Janusz Kamocki) 524
Kościół w rejonie Ałmaty (fot. Janusz Kamocki) 524
Zachowana w jednym z polskich domów skrzynia przywieziona przez polskich zesłańców w latach 30. XX w. (fot. Janusz Kamocki) 525
Żarna przywiezione przez polskich zesłańców we wsi Kielarówka (fot. Janusz Kamocki) 525
Etnologowie prof. A. Kuczyński oraz Grzegorz Pełczyński w gościnie u polskiej rodziny we wsi Oktiabr (obecnie Nur) na południu Kazachstanu. Lata 90. (fot. ze zb. A. Kuczyńskiego) . 526

Okładka:
Fot. s. 1: repr. z: *„Kirgiz" powieść przez Gustawa Zielińskiego*. Rycina hr. Aleksandra Rzyszczewskiego. Wydanie J.N. Bobrowicza. Lipsk 1847
Fot. s. 4: prof. Antoni Kuczyński – fot. Małgorzata Łukaszewicz

INDEKS NAZWISK

dot. nazwisk Polaków bez części II (Antologia)

A

Abaj Ibrahim Kunanbajew 473, 474, 480
Anders Władysław 79, 100, 101, 130, 132, 140, 144, 150, 300, 305, 355, 359, 362, 365
Antipow Aleksiej 510
Arciszewski Wincenty 485

B

Balbucynowski P. 503
Baranowski Stefan 513
Barszewski Julian 478
Bekisz Władysław ks. 159
Bem Aleksander 72, 462, 463
Beniowski Maurycy Augusty 42
Beń Odoryk Aleksander o. 156, 158
Berberiusz Leon 485, 487
Białowieski Adam 515, 516, 517
Biecki Bronisław 485
Bieńkiewicz Wacław 506
Blechman Bolesław 19
Bogusz Michał 519, 520
Bohatkiewicz Stanisław ks. 159
Bohdanowicz Karol 513, 514
Borowski Mikołaj 485
Brusiłowski Jewgienij 491, 492
Bukowiński Władysław 10, 128, 151, 152, 155, 344
Bukowiński Władysław ks. 10, 151, 152, 153, 154, 156, 159, 162, 350, 352
Buraczewski Ignacy 485
Butakow Aleksy 508, 510
Byrska Maria 128

C

Cejzyk Michał 503
Chira Antoni ks. 156
Chobian-Cheron Stanisława 128
Chomik Wacław o. 38
Chrabczyński Aleksander 508
Cieński Włodzimierz ks. 144
Ciołkowski Stanisław 58, 427
Czarniecki ks. 68
Czarnocki Stefan 514
Czeczot Jan 54, 55
Czeczott Henryk 514
Czeczottowa Hanna 515

D

de Bourgone Ryszard 28
Deręgowski Aleksander 498
Długoszewski J. 503
Doktorowicz-Hrebnicki Stanisław 514
Domaszewicz J. 500
Dowgiłowicz 503
Drzepecki Bronisław ks. 154, 155, 156, 344
Dubniewski S. 503
Dulewicz Antoni 487
Dybowski Benedykt 475

F

Fedorowicz Tadeusz ks. 10, 144, 146, 148
Feliński Zygmunt Szczęsny 477
Folcik Marian ks. 144
Frunze Michaił 501
Frunze Wasyl (Wasilij) 501, 502

G

Gałęzowski Karol kanonik 152
Gawerdowski Jan 512
Gąsiewski Hilary 21, 465, 467
Gebert Adolf 485
Giedroyć Jerzy 128
Giovanni di Pian di Carpine 40, 41
Grabski Ryszard Czesław o. 159
Grabski Ryszard ks. 148
Grabski S. 504
Grąbczewski Bronisław 518
Gross Seweryn 107, 128, 473, 474, 475, 476, 477, 479, 480
Grudzińska-Gross Irena 128
Grudziński S. 504
Gutkowski Karol 21, 465, 466, 467, 468
Guzowski Tadeusz 67

H

Henryk II Pobożny 31

I

Ignatowski M. 503
Innocenty IV 21, 31
Iwanicki Eugeniusz 128
Iwaszkiewicz Wiktor 30, 57, 58, 59, 60, 201, 205, 436, 452, 497

J

Janczewski Cyprian 57
Jan di Piano Carpini 31, 32, 33. *Zobacz też* Giovanni di Pian di Carpine
Jankowski Roman 19
Janocha Albin o. 10, 144, 148
Jan Paweł II 45, 79, 161
Januszkiewicz Adolf 10, 30, 69, 212, 439, 445, 446, 447, 448, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 474, 497, 534
Jaworowski Stanisław 485
Jerzykowski 497
Jeżowski 54
Judycki Wiktor ks. ppłk 144

K

Kapusta Jan ks. 144
Kaszuba Serafin o. 20, 154, 155, 156
Kierska Halina 127
Kilkiewicz Sylwester 510
Kimisbajew Otegen 202
Kiszeński J. 503
Kobyłecki Józef 10, 72, 190, 462
Koprowski Robert 509
Kościałkowski 500
Kościuszko Tadeusz 201
Koziełł-Poklewski Alfons 513
Koziełł-Poklewski Jan 512
Kozłowski Stefan 512
Królikiewicz Stanisław 509
Kruczek-Gołubiew W. 504
Krummel Józef 19
Kruszewski Leon 68
Krzysztoń Jerzy 126
Kuberska Maria 154
Kuczyński Adolf 68
Kuczyński Antoni (wileński mieszczanin) 68
Kuczyński Józef ks. 10, 20, 128, 154, 156, 159
Kuczyński Konstanty 68
Kulczycki Antoni 515
Kunanbaj 212, 454
Kuszewicz Edward 68

L

Lenartowicz Józef 485
Leszczyński J. 504
Lewandowski 15
Lubicz Chojecki Karol 10, 45, 46, 47, 48, 49, 51

Ł

Łapczyński Kazimierz 511
Łęczycka Maria Jadwiga 128
Łukasiński Walery 76
Łupinowicz Aleksander Karol 19
Łuszczek Lucjan ks. 144, 147

M

Maciejewski Ludwik 500, 501
Makowski Arnold 69, 514
Massalski Władysław 517, 518
Michaelis Eugeniusz 515, 516
Michalska Franceska 96, 98
Mickiewicz Adam 38, 54, 55, 201, 341, 375, 421, 435, 439, 451, 478
Mieletyński 500
Migurski Wincenty Maciej 70, 71

N

Naglerowa Herminia 127
Nowicki Szymon 485

O

Odojewski Aleksander 438
Oliński J. 503
Omarowa Żamal 491
Ordyński Karol 52, 53
Osmołowski Józef 469, 470, 471, 472, 473
Ostafin Piotr 140
Ostrowski Edward 507
Owsiany 429

P

Pestkowski Stanisław 80
Peta Tomasz ks. abp 524
Piaczkowski H. 503
Pieślak Alojzy 57, 58, 59, 61, 429
Pietkiewicz Stanisław 485
Pietras Krystyna 123, 124
Pietraszkiewicz Onufry 428, 438
Pilawski Stanisław 80
Piłsudski Bronisław 475
Piotrowski Mikołaj 485, 487
Płaszczewski Hipolit 509
Płażyński Jakub 526
Płażyński Maciej 526
Polak Benedykt (Benedictus Polonus) 21, 31, 32, 33, 37, 38, 39, 40, 41, 522
Popławski 429
Prokofiew Siergiej 491
Prorok Jan 111, 121
Przegodzki Adam 501, 502
Przewłocki Seweryn 68, 509
Przybysz Jan ks. 144
Przygocki Michał 485

Przystański Aleksander 498
Ptaszycki Mieczysław 515
Putnowski Rafał 485

R

Radwański Piotr 352, 353
Rogala-Lewicki Stanisław 497
Rosiński Franciszek ks. prof. 38
Roszkowski J. 500
Rudzki Z. 504
Rymkiewicz ks. 68

S

Senczykowski Józef 503
Sielawa Leopold 75, 77
Sieroszewski Wacław 475
Sikorski J. 503
Sikorski Jan 503
Sikorski–Majski układ 100, 102, 130, 132, 133, 144, 146, 300, 355, 359
Sławiński Aleksander 485
Smolski Sulejman 485
Sokoliński 497
Sokołowski Antoni 485, 487
Stadnicki F. 504
Staniszewski Walerian 14, 64, 68
Stankus Benedykt 485
Stelmachowski Andrzej prof. 526
Straszyński Edmund 486
Suchocki Mikołaj 57
Suzin Adam 10, 56, 432
Szczęsnowicz 504
Szelążek Adolf Piotr bp 152, 156
Szemioth Aleksandra 129
Szerszeniewicz Andrzej 464, 465
Szukiewicz 500
Szwarce Bronisław 75, 76, 77
Szymański Józef 504
Szyszkowski Józef 505

Ś

Ściborski Bolesław 21

T

Tarkocińska Zofia 128
Taylor-Terlecka Nina 24, 126
Terajewicz Cezary 499
Tęczarowska Danuta 127
Tokarzewski Szymon 66
Turno Ludwik 229, 509
Twardowski Bolesław abp 144

U

Ulianowski Ludwik 80
Utegen Kumizbajew 456

W

Walichanow Czokan 21, 465, 466, 467
Waryński Ludwik 77
Wasiukiewicz 429
Wat Aleksander 126
Watowa Ola 127
Welik Paweł ks. 10, 19
Werner Tomasz 509
Wersocki Jan 19
Węgrzynowski Arkadiusz 486
Wielemański Władysław o. 159
Wiera Choruża 80
Wierdak Jakub 520
Wiśniewski Stanisław 498
Wiśniowska (Migurska) Albina 70, 71
Witkiewicz Jan Prosper 55, 57, 58, 59, 60, 62, 429, 433, 434, 435, 436
Witkowski Melchior 52, 53
Witort Jan 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484
Wołkow Aleksiej 25, 37, 79, 522
Woroniecki Michał ks. 159
Wójcik Zbigniew prof. 45, 151, 152, 478, 479
Wróbel Adam ks. 10, 144
Wyleżyński Franciszek 19
Wyszpolski N. 503

Z

Zakrzewski Ryszard 515
Zaleski Bronisław 10, 43, 72, 429, 447, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 510
Zalewski Piotr 512
Zan Tomasz 10, 54, 55, 56, 67, 427, 428, 429, 430
Zatajewicz Aleksander 10, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496
Zawadzki Hipolit 509
Zielenkiewicz Feliks 57
Zieliński Gustaw 10, 43, 394, 437, 439, 443, 444, 446, 447, 448, 449, 450, 484
Zielonka Michał 56, 70, 427, 430, 431
Ziemlewski Adolf 485, 487

Ż

Żukowski Florentyn 509
Żyliński Wiktor 485